

Biblioteka
Warszawska

Mf 12454

Warszawa
1857 r.

t. 2

poz. Mf 12454

Biblioteka Warszawska

Warszawa 1857

Nowa seria. T. 2 (m-c IV-VI),
sp. rzeczy

Oryg.: ZNiO sygn. 117.152

neg. Mf 12454

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1857.

NOWA SERJA.

Tom drugi.



P
117153

WARSZAWA.

W Drukarni Gazety Codziennej.

przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich

—
1857.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1857.

Materyały historyczne.

	Stron.
Nagrobek Bolesława Chrobrego, rozpoznany przez <i>Augusta Bielowskiego</i>	1
Archiwa prowincyalne w państwie pruskiem. Przez <i>X. M.</i>	265
Nastanie szlachty i herbów w Polsce. Rozprawa historyczna przez <i>Karola Szajnochę</i>	321
Jezuici w Kaliszu (1581 — 1773). Szkic historyczny, skreślił <i>Cezar Biernacki</i> (ciąg dalszy).....	750

Biografie.

Wojciech Oczko, nadworny lekarz królów polskich, rodem z Warszawy. Przez <i>J. T. L.</i>	290
Konstanty Świdziński i jego wieczysta fundacya, przez <i>Juliana Bartoszewicza</i>	487, 719
Ksiądz Nikodem Kamiński. Wspomnienie przez <i>Adama Słowikowskię</i>	891

- Początek ikonografii naszej. W spisie małego zbioru rycin i obrazków w odciskach z blach miedzianych, które przedstawiają wizerunki królów polskich i znakomitych mężów; tudzież ŚŚ. Patronów naszych i błog. Polaków. Dodane są prace rytowników naszych i inne tu należące przedmioty. Przez *Ambrożego Grabowskiego* 609

Prawo.

- O klasyfikacji hipotek, jako też praw hipotekowanych w ogólności, przez *Augusta Heylmana*..... 469
- Podług jakich praw urządzone być powinny stosunki majątkowe pomiędzy cudzoziemcami, bez umowy przedślubnej w związku małżeńskie wchodzącemi, przez *Antoniego Wrotnowskiego*.. 849

Nauki społeczne.

- Rolnicza ludność w Polsce od XV do XVI wieku, przez *T.(adeusza) Xcia L.(ubomirskiego)*..... 791

Opisy i podróże.

- Wycieczka na Litwę. Wspomnienia podróży, przez *Ferdynanda Nowakowskiego* (ciąg dalszy)..... 86

Literatura.

- Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Przyjęcie do Akademii pana Biot, i mowa Guizota. — *La Question d'argent*, komedia Dumasa syna. — Kometa Karola Vgo. — Kurs antropologii profesora Quatrefages.— Wiadomości literackie..... 136
- Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Wystawa fotograficzna. — Poezye Michała Anioła. — *Fiammina*, komedia we czteryech aktach pana Marie Uchard. — Wiadomości literackie.. 520
- Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Thiersa piętnasty tom Konsulatu i Cesarstwa. — *Etudes et lectures sur les sciences d'observation*, przez Babineta. — Pamiętniki Guizota.—Teatra: *Camma*, tragedia włoska Montanellego.—Koncerta.—Wystawa obrazów Delarocha..... 763
- O poezji włoskiej w średnich wiekach jako źródle do Boskiej Komedyi Danta. Przekład z *A. Frydejska Ozanama*..... 228, 547

Powieść.

	Stron.
Stary wojak. Rzecz prawdziwa.....	426

Poezye.

Narodowe pieśni serbskie. Przełożył na język polski <i>Edward Brzetysław</i>	372
Urywek z powieści p. t.: „Tomilo”, przez <i>Wincentego Korotyńskiego</i>	748

Dramat.

Cyganie. Dramat w pięciu aktach wierszem, przez <i>J. Korzeniowskiego</i>	19
Faust. Tragedya Goethego. Przekład z niemieckiego przez <i>Z. Z...</i>	645

Sztuki piękne.

Przegląd muzyczny. Studya nad muzyką dramatyczną, czyli operą. Przez <i>M. K.</i>	270
---	-----

Rozbiory.

Miano Słowiańskie w ręku jednej familii od trzech tysięcy lat zostające, czyli nie Zendawesta, a Zędaszta, to jest życie dawcza książeczka Zoroastra. Tłumaczył z zędzkiego języka, <i>Ignacy Pietraszewski</i> . Berlin. 1857. Przez <i>J. Papłońskiego</i>	255
Czas, dodatek miesięczny za m. styczeń i luty r. b.....	293
Wiadomość o życiu i pismach <i>Jana Kochanowskiego</i> . Skreślił <i>Józef Przyborowski</i> nauczyciel przy gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Poznań. 1857. Przez <i>K. Wł. Wójcickiego</i>	576
Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich, przez <i>ks. Ludwika Łętowskiego</i> biskupa <i>Joppejskiego</i> , dziekana katedr. <i>krakow</i> . Kraków. 1852.....	583
Starodawne prawa polskiego pomniki poprzedzone wywodem historyczno-krytycznym tak zwanego prawodawstwa <i>Wiślickiego</i> , w texcie ze starych rękopism krytycznie dobranym, wydał <i>Antoni Zygmunt Helcel</i> . Warszawa. 1856.....	602
Wycieczki po stokach galicyjskich i węgierskich <i>Tatrów</i> , przez <i>Dra T. Tripplina</i> . Warszawa. 1856. Przez <i>Kazimierza Kalinkę</i>	863
Zapiski o południowej Rusi, przez <i>Erazma Izopolskiego</i>	872
Czas, dodatek miesięczny za m. marzec r. b.....	881
Poezye <i>Wincentego Pola</i> . Nowe, poprawne i powiększone wydanie. 4 tomy. Wiedeń. 1857.....	886
Historya prawodawstw słowiańskich <i>W. A. Maciejowskiego</i> , wydanie drugie. 1857.....	889

Nauki przyrodzone.

	Stron.
O Mellonim i pracach jego, przez <i>Hippolita Skrzyńskiego</i>	111
Sprawozdanie z podróży naturalistów odbytej w r. 1854 do Ojco- wa (dokończenie).....	161
Wiadomość o kotach dzikich na Podolu, poprzedzona uwagami o miej- scu, jakie zajmować winny w systemacie zoologicznym koty nasze domowe z niektórymi odmianami swojemi, przez <i>Gu- stawa Belke</i>	841
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Chemia, przez <i>J. B...ę</i>	625

Korrespondencye.

Do redakcyi Biblioteki Warszaw. z Moskwy, ze Lwowa i z Ławrynowic.	296
— — — od <i>Juliana Bartoszewicza</i>	621
List Augusta Bielowskiego do K. Wł. W.....	622
Do redakcyi Biblioteki Warszaw. od <i>J. Latańskiego</i>	898
Odpowiedź redakcyi Biblioteki Warszawskiej panu <i>A. P.</i>	900
<i>Kronika bibliograficzna</i>	300, 629, 901
Doniesienia literackie.....	301, 631, 903
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astrono- miczném warszawskiem:	
za miesiąc luty r. b.....	317
— — marzec r. z.....	541
— — kwiecień r. b.....	917

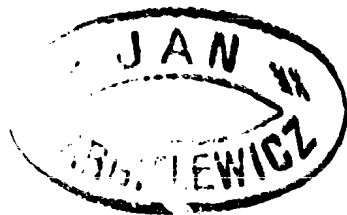


Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, d. 9 (21) marca 1857 r.

Cenzor, RADCA DWORU

Stanisławski.



NAGROBEK

BOLESŁAWA CHROBREGO,

ROZPOZNANY PRZEZ

Augusta Bielowskiego.

Krótki, w 28 leoninach zawarty nagrobek Bolesława I, którego Wielkim lub Chrobrym nazywają, należy do dawnych i bardzo ciekawych pomników historycznych. Przez długi czas był on prawie niepostrzeżony przez pisarzy dziejów Polski; w nowszych czasach stał się przedmiotemuczonych badań i sporów, które podziśdzień nie są stanowczo rozstrzygnięte. Koléjto wszystkim podobnym pomnikom zwyczajna. Dawniej bowiem dość było dla dziejopisa zebrać w jedną osnowę to, co z jakichbądź podań go doszło: dziś rozróżniamy podania późne od społecznych, naoczne od pochwytyanych ze słuchu lub z przywidzenia. Dziś żądamy od historyka, aby powieść jego poza obręb wiarogodnych świadectw nie wykraczała, ale szanując się w wiadomościach wydobytych ze spół-lub blisko-czesnych pomników, przedstawiała z konsekwencyą obraz, krytyką w szczegółach przetrawiony, rozjaśniony wielostronnym poglądem na ogół i do godności umiejętnej podniesiony. Kiedy więc po odsunięciu tego, co późniejsi dziejopisowie podali, tak skąpy pozostaje materiał do dziejów naszych dawniejszych, z tém większą tedy troskliwością należy nam rozbierać każdy choćby najmniejszy pomnik źródłowy, i dochodzić wiarogodności zdarzeń w nim zawartych. Wielka przeto będzie różnica w tém,

jeśli pomnik, o którym tu jest mowa, za pług XI lub XIV wieku uznamy.

Naruszewicz i Czacki nie wątpili o autentyczności nagrobku Chrobrego. Według nich jest to pomnik z pierwszej połowy wieku XI; a zatem najstarszy z dotąd znanych piśmiennych naszych zabytków. Felix Bentkowski w *Historji literatury polskiej* spomniał o nim z pewnym niedowierzaniem. Lelewel wyczerpnął cały zasób swój erudycyi, aby okazać, że to jest pomnik w trzysta lat później podrobiony; podobnież zdanie objawił Józef Łukaszewicz. Michał Wiszniewski stanął w obronie jego autentyczności. Nakoniec Szule Dominik stara się wszystkimi siłami udowodnić, że pomnik ten postawił wkrótce po śmierci Chrobrego, syn jego Mesko II. Obaczmy podstawę na której wszyscy ci pisarze twierdzenia swoje opierają.

Stanisław Sarnicki w wydanej przez siebie roku 1587 *historji polskiej* powiada o Bolesławie Chrobrym tak: „Pochowany jest Bolesław w katedrze poznańskiej, w środku kościoła, na którego grobowcu wyryty jest napis, mały zaiste, ale powagą starożytności swojej wielce ujmujący:

*Hac jacet in tumba
Rex pius, gloriosa columba
Boleslaus Chrobri*

W tym grobie leży
Król pobożny, błogosławiony gołąb',
Bolesław Chrobry.

Głoski są prawie zniszczone od starości, podobnie jako i sam grobowiec, ztémwszystkiém jakotako czytać się dają.” (Sarn. VI. 5).

W lat kilkadziesiąt po Sarnickim, Stanisław Łubieński, biskup płocki, pisząc żywot Marcyalisa biskupa, uznał za rzecz stosowną, przy wzmiance o Bolesławie Chrobrym wypisać całkowity jego nagrobek, który, jak mówi: „dotąd w poznańskim kościele katedralnym widzieć się daje, głoskami wielce przestarzałemi, a nawet dawnością czasu zniszczonemi pisany: wiersze jego są niezgrabne wprawdzie, i miarą sobie nierówne; oddają one dostatecznie swój wiek, którego rubaszność każdy łatwo w nich poznać może.” (*Series Episc. Ploc. Crac.* 1642 str. 34).

Tu wypisuje całkowity nagrobek.

Wnet potem ogłosił drukiem pomnik ten bez żadnej prawie od Łubieńskiego różnicy Szymon Starowolski (*Monumenta Sarmatarum. Crac.* 1655 str. 447) jako: „nagrobek Boles-

stawa Chrobrego, króla polskiego, pochowanego w kościele katedralnym poznańskim.”

Jeszcze później podał go całkowicie Krzysztof Hartknoch w dziele: *Respublica Polonica (Frankf. et Lipsiae 1687 str. 39)*. Według niego jest to pomnik najstarszy; widzieć się daje w kościele katedralnym poznańskim, głoskami niezmiernie staremi i zniszczonemi już prawie od starości pisane; w roku zaś 1664 przepisano go na tablicy i na najbliższym filarze zawieszono.”

Mikołaj Załuski w swoim *Jus Regni Poloniae (Posn. 1700 — 1702, T. 1. str. 607)* podał nietylko napis grobowy w całości, ale oraz i wiadomość z jakiego materiału pomnik ten jest postawiony. Mówi on: „W kościele katedralnym poznańskim pochowany jest Bolesław Chrobry, którego grobowiec z białego prostego kamienia wyciosany, w środku kościoła znajduje się; nagrobek zaś wypisany na tablicy, zawieszonój na najbliższym filarze, opiewa tak, jak go Stanisław Łubiński, biskup płocki w żywocie Marcyalisa biskupa płockiego zamieścił.” Tu przytoczył go dosłownie.

W roku 1744. jak powiada Łukaszewicz, wystawiła kapituła nowy nagrobek Chrobremu i wśród uroczystego nabożeństwa przeniosła zwłoki do innój trumny. Stanisław Patelski, który w roku 1762 nagrobki katedry poznańskiej drukiem ogłosił, tak go opisuje. „Bolesława Chrobrego nagrobek dawny, który widzieć można w katedrze poznańskiej w większym chórze, jest z kamienia ciosowego, postawiony w kwadrat. Po stronie jego południowój wyrzeźbiono na kamieniu sześciu apostołów; tak samo sześciu po stronie północnej. Od wschodu Zwiastowanie Najświętszój Panny Maryi, od zachodu zaś jej koronacja. Na wierzchu posąg leżący króla Bolesława we zbroi ze wszelkiemi ozdobami, w jednej ręce trzyma orła białego, w drugiej miecz i jabłko królewskie, na głowie zaś korona z kamienia białego.” (*Memoriale Epitaphiorum Posn. 1762. D. 3*).

Pomnik ten zniosła kapituła w roku 1766 z powodu „mniej przyzwoitój budowy jego” (1), a wystawiła nowy, który podobno w pożarze katedry 1772 roku zniszczony został.

(1) *Ob minus decentem structuram.* Józ. Łuk. Obr. m. Pozn. II. 104.

Odtąd nie miał już król ten pomnika w katedrze poznańskiej, i tablicę nawet z napisem na najbliższym filarze wiszącą, którą oglądał jeszcze Hartknoch, wyrzucono jak się zdaje roku 1744. (Wiszn. Histor. lit. polsk. I, 445).

Oto są dane, które służyły pomienionym pisarzom za podstawę ich zdań. Z nich wyciągali jedni dowody za autentycznością, drudzy przeciw autentyczności napisu, a to w sposób następujący:

Łukaszewicz, który starannie archiwa i wszelkie pomniki poznańskie rozpatrywał, mniema, iż napis grobowy Bolesława jest wymysłem XIV lub XV wieku. Mniemanie to opiera głównie na tém, że ani Gal, ani Bogufał, ani nawet Długosz nie o nagrobku nie wspomnieli.

Stający w obronie autentyczności napisu, Wiszniewski, wyznaje, iż to jest zarzut najtrudniejszy do zbiccia; dodaje wszakże słuszną uwagę, iż dowody z przemilczenia, zwykle do najslabszych należą. Sam Wiszniewski jest tego zdania, iż napis ów jest najdawniejszym zabytkiem literatury polsko-łacińskiej. „Musiał on być (powiada) położony za czasów Kazimierza (zwanego Mnichem), bo po spaleniu katedry poznańskiej, znaleziono kości drugiej osoby, które jak się domyśla Czacki, były Mieczysława II-go. (Hist. st. Lit. I, 430). Ten ostatni wniosek Wiszniewskiego opiera się na nieporozumieniu. Czacki bowiem w powołanym przez niego przypisku do Naruszewicza mówi nie o Mieczysławie drugim, ale tylko o Mieczysławie, a wiadomo jest co Długosz w przedmowie do żywotów biskupów poznańskich powiada: „Mieczysław I, blizkim śmierci się czując, wskazał synowi swemu, Chrobremu, miejsce w kościele poznańskim, w którym pragnął być pochowanym: tam tedy nietylko jego, ale i syna jego Bolesława Chrobrego zwłoki, równie jak wnuków jego i następców, aż do czasów Łokietka chowano.” (Rkp. Bibl. Oss. N-r 619, str. 131).

Przeciwno przypuszczeniu, iż pomnik ten stawał dopiero Kazimiérz I, mówi to, że gdyby tenże stawał go dziadowi, nie zapomnieliby też o swoim ojcu, dla którego bliższe miał obowiązki; a właśnie niema tu o tém żadnego śladu. Najpodobniej więc, że tak blisko obok siebie złożone Mieczysława i Bolesława zwłoki, będą dwóch najpiérwszych tam pochowanych królów: ojca i syna, zatem Mieczysława I-go nie II-go.

Zresztą Wiszniewski, który sobie zamierzył ukazać tylko podobieństwo, iż nagrobek ów z XI-go wieku pochodzić może, wyznaje, iż zarzuty Łukaszewicza nie mało go w jego mniemaniu zachwiały.

Dominik Szulc zaczyna swoją rozprawkę: „O prawdziwości napisu grobowego Bolesława Chrobrego” następującym twierdzeniem: „Wspominają o tym nagrobku nietylko Miechowczyk i Długosz, ale dawniejszy Boguła, biskup poznański.” (Pisma D. S. Warszawa, 1853 str. 264). Mylnie to zaraz na początku twierdzenie, nie daje dobrego wyobrażenia o sumienności autora w przytaczaniu dowodów. Właśnie bowiem uważał to już Łukaszewicz, w Obrazie miasta Poznania (T. 2. str. 103), że „Boguła o nagrobku Chrobrego nic nie wspomina.” I przyznał mu to w zupełności Wiszniewski, chociaż sam z innym zdaniem co do autentyczności nagrobka wystąpił. Boguła mówi: „Umarł Bolesław roku 1025 w zamku poznańskim i tamże w środku kościoła katedralnego pochowany” (Wyd. Warsz. str. 20). Czy atoli nad zwłokami jego jest jakiś nagrobek lub nie? tego Boguła zgoła nie wspomina. Tak samo Miechowita mówi wprawdzie, że Mesko złożony został do grobu ojcowskiego: *in sepulchro paterno conditus* (Chron. II. c. n.), ale o nagrobku milczy zupełnie.

Co do osnowy samej nagrobku, tej autentyczności broni Szulc zwycięzko przeciw zarzutom. Jakoż osnowa ta jest tego rodzaju, iż każda z napomknionych w niej okoliczności od człowieka społecznego Chrobremu i dobrze dziejów świadomego pochodzić może; zarzuty zaś przeciw niej tak przez Łukaszewicza jak i Lelewela robione, opierają się w znacznej części na niewłaściwym znaczeniu, jakie niektórym wyrażeniom poddawano. Ale są innego jeszcze rodzaju podniesione przeciw autentyczności tego pomnika zarzuty, a tych Szulc bynajmniej nie odpiera.

Joachim Lelewel dostrzegł wprawdę swoim w badaniach filologicznych okiem, że wyrazy niektóre, w nagrobku tym znajdujące się, do wieku Meska II-go zgoła nie przypadają, ale są o sto lub kilkaset lat późniejsze. Uważa on między innymi, że przydomek *gloriosus* dany Bolesławowi, którego społeczeństwo Wielkim nazywali, zdradza w autorze nagrobka znajomość kroniki Gala, pisaną w wieku XII-tym. Nadewszystko zaś okazuje dowodnie, że wyraz *serenissimus*, który także za-

równu u Łubieńskiego, jako téż w Starowolskiego, Hartknocha, Załaszowskiego i Patelskiego odpisie znachodzim, zaledwie w wieku XIV w Europie, w Polsce zaś dopiéro pod koniec XIV wieku stał się znajomszy. Pomnik tedy w którym się wyraz ten znachodzi, do XI wieku odniesionym być nie może.

Czuł to, jak się zdaje, już Czacki, i w przypuszczeniu, iż wyraz ten źle odczytano, zamienił go na „invictissime” chociaż wszyscy jego poprzednicy od Łubieńskiego aż do Patelskiego „serenissime” w tém miejscu znachodzili. Że to był domysł tylko Czackiego, o tém niżej się przekonamy. Tego domysłu chwycił się Szule i powyższe zarzuty Lelewela przechodzi milczeniem. Atoli nie są one tego rodzaju, iżby je lekceważyć można. To co Lelewel na drodze filologicznej przeciw autentyczności nagrobku wytoczył, popiera silnie okoliczność napomkniona już u Patelskiego, a stwierdzona następującém odkryciem. W roku 1842 Edward hr. Raczyński wydając „Wspomnienia Wielkopolski,” umieścił w nich między innemi dawny wizerunek nagrobku, z częścią znajdującego się na nim napisu. Zrobiony on jest według ryciny z XVI, lub téż co podobniejsza z XVII wieku, która się w zbiorze księdza Przyłuskiego, terażniejszego arcybiskupa gnieźnieńskiego przechowała. Uderzają w tym wizerunku dwa przedewszystkiém szczegóły: najprzód widzimy, iż napis nie był całkowicie w jedném miejscu umieszczony, ale rozrzucony po dwa i po cztery wiersze wokoło pomnika. A to nam wyjaśnia, dlaczego Sarnicki, który piérwszy w swojej historii polskiej nagrobek ten przytacza, umieścił z niego tylko dwa wiersze, dając do zrozumienia, jakoby to był cały ów napis. Oto z zatartego i niewyraźnego, jak sam powiada, nagrobku, wyczytał on tylko to, co na główném miejscu pomnika było umieszczone, nie domyślając się, że reszta wokoło całego pomnika znajdowała się. Był on téż za jego czasów wielce nieczytelny, a odpis na tablicy dopiero w roku 1664 zrobiono.

Drugą okolicznością, a ta mówi stanowczo na stronę Lelewela, jest orzeł polski wyrzeźbiony na tarczy posągu, jak to już spomniał Patelski, a trzymający w szponie jabłko królewskie. Wiemy zaś, że herb ten niewcześniej zjawił się w Polsce, jak dopiéro pod sam koniec trzynastego wieku, za Przemysława. Jeślibyśmy więc z tych danych zawiązywać mieli ostatecznie nasz wyrok, tedy nie wahałbyśmy się ani na chwilę

przyznać zupełną słuszość Lelewelowi, i pomnik ten odnieść do wieku XIV lub XV.

Atoli traf szczęśliwy zdarzył, że od czasu w którym owe dowody za i przeciw autentyczności wytaczano, wykryły się nowe niektóre szczegóły, jakich się wówczas nie domyślano, a te zmieniają zupełnie stanowisko dzisiejszego w tym przedmiocie badacza. W roku 1847 znajdowały się w bibliotece uniwersytetu lwowskiego rękopisma po zniesionym niegdyś klasztorze Benedyktynów w Tyńcu pozostałe. Ponieważ bibliotece owój nie na własność, lecz tylko w depozyt były oddane, przystęp więc do nich był niezmiernie utrudniony. Nie mogąc żadną miarą uzyskać dla siebie pozwolenia do przejrzenia ich, choćby tylko z grubszego, porozumiałem się w tej mierze z kolegą moim p. Janem Szlachtowskim, któremu jako profesorowi literatury polskiej w uniwersytecie podówczas, użytkowanie z nich zabronione być nie mogło. Z tą samą gotowością, z jaką dawniej do Petersburga dojechać i tamże znakomitsze rękopisma dziejowe Polski przejrzeć podjął się, postanowił on teraz w chwilach wolnych od biblioteczných i professorskich zatrudnień, przepatrywać rękopisma tynieckie. Plan jego byłby nierównie obfitszy dla dziejów, gdyby mu więcej czasu od głównych obowiązków jego zostawało, a zaszłe wkrótce wypadki roku 1848 i pożar biblioteki, który wszystkie rękopisma tynieckie zniszczył, dalszym usiłowaniom jego w drodze nie stanęły. Zrobiło się jednak co było można w ówczesnych okolicznościach. Między przejrzanemi przez niego kodexami znalazł się jeden kwartan, znacznej objętości, zawierający pisma z różnych czasów, treści po większej części duchownej. Na pierwszym miejscu było: *Speculum regulae sanctissimi patris nostri Benedicti*. Dalej następowały: *Viridarium presbyterorum*. *Stella Clericorum*. *Sermones*. Po kazaniach szły w rękopiśmie tak zwane: „*Gesta Romanorum*” na 67 kartkach fantastycznie opowiedziane. W nich autor z dziejów obcych wpada nawiasowo na karcie 14 w pochwałę Bolesława Chrobrego i kończy je temi słowami: „*Vixit autem Boleslaus sexaginta annis in regno suo, ut ponitur (1) in Epitaphio;*” i przytacza tu całkowity nagrobek.

(1) Wyraz ten napisany jest w oryginale przez skrócenie i można go czytać: *ponitur* albo *patet*. Nie jestem wszakże pewny, czy inny jeszcze jaki wyraz nie byłby odpowiedniejszy temu skróceniu,

Daléj spomina jeszcze gdzie nieco o następnych królach polskich aż do Bolesława Śmiałego, którego trzecim Bolesławem nazywa: „*Tertius vero Boleslaus subintravit, et metas polonicas reformavit, et dicebatur largus, qui ob gestum superbiae*”.... Tu nagle urwawszy powieść o Polsce, wraca na karcie 15 do osnowy głównej dzieła: „*Titus in civitate Romana regnavit*” i t. d. zamykając takowe na karcie 67, stronie odwrotnej, temi słowami: *Et sic est finis istius boni operis, scilicet. Gesta Romanorum; finitum per STANI praeponendo, SLAU his adjungendo, ultimum S fini dando, quae scripsi his nomen pando; STRE jungendo, CZA ponendo, K et A finiendo, cognomen vobis pando, deum verum colendo. Sub annis Domini Millesimo quadringentesimo nonagesimo. Takocz kzaże Stanisławye, daj boże byl (zam. być) wyełkym opatem w they wyelebney swyathey, dostoyney Slawye*”.

W całym tém dziele jedna i ta sama ręka widoczna, piśmo cechę dobitną XV wieku noszące, i rok wyraźnie położony nie zostawiają wątpliwości co do czasu, w którym nagrobek był tu wpisany. Wpisywał go więc w roku 1490 Stanisław Streczaka, mnich w Tyńcu, Polak, który drwił z cudzoziemców, a wzdychał do dochodów opata. Przypatrzmy się teraz podanemu przez niego nagrobkowi. Uchyliwszy drobne usterki pisowni, opiewa on u niego tak:

EPITAPHIUM
CHABRI BOLESLAI.

*Hic jacet in tumba
Princeps, genorosa columba,*

*Chabri tu es dictus
Sis in aevum (1) benedictus.*

5. *Fonte sacro lotus,
Servus domini puta totus:*

*Praecidens comam
Septenii tempore Romam.*

*Tu possedisti
10. Velut verus athleta Christi*

NAGROBEK
BOLESŁAWA CHROBREGO.

Tu leży w grobie

Książę szlachtetnego rodu
gołabek,

Zwano cię Chrobrym

Wiecznie bądź blogosławionym.

Ledwie zdrojem świętym polany,

A już istny kmieć boży:

W siedmiolęciu obcinasz włosy

Dla posłania do Rzymu.

Tys posiadał

Jako prawdziwy szermierz

Chrystusa

(1) W oryginale jest wszędzie e zamiast ae, tudzież c zamiast t w wyrazie: *divitias* i t. d.

*Regnum Slavorum
Gothorum sive Polonorum.
Caesar praecellens
A te ducalia pellens:*

15. *Plurima dona sibi,
Quae placuere tibi,
Hinc detulisti,
Quia divitias habuisti.
Inclyte dux tibi laus*
20. *Strenue Boleslae!
Perfido patre
Tu es, sed credula matre.*

- Vicisti terras
Faciens bellum quoque guerras,*
25. *Ob famamque bonam
Tibi contulit Otto coronam,
Propter luctamen.
Sit tibi salus. Amen.*

Królestwo Słowian
Getów czyli Polaków.
Cezar najdosłojniejszy
Nagnał od ciebie zaleźności
dukowskie:

- Dla niego mnóstwo darów,
W których miałeś upodobanie,
Z tąd zabrales,
Boś obfitował w dostatki.
Przesławny ksiązę cześć tobie
Waleczny Bolesławie!
Z ojca niedowiarka
Lecz, z prawowiernej matki
zrodzony.
Podbiłeś ziemię
Wyprawy robiąc i walcząc,
Z powodu twój sławy dobrej
Otto dał ci koronę,
Na zapasy.
Bądź zbawiony. Amen.

Rozpatrując się w texcie nagrobku, podanym nam przez Streczakę w wieku XV, uderza nas przedewszystkiem trafność uwag Lelewela, który niektóre w texcie Łubieńskiego i następców jego wyrażenia uznał za nieprzypadające do czasów Meska II. Właśnie bowiem tych wyrazów nie ma Streczaka. Zamiast *gloriosus* widzimy u niego *generosus*, a wyraz ten jest tém właściwszy w tém miejscu, że po słowie: ksiązę (*princeps*) zastanowienie się nad zacnością rodu jego jest rzeczą naturalną. Zamiast znowu *serenissime* czytano w XV wieku na nagrobku *strenue*, który to przymiotnik jest jakby tylko przetłumaczeniem polskiego wyrazu chrobry, i wybornie charakteryzuje Bolesława. Tak samo widzimy, iż w wierszu 10 jest u Streczaki wyraz *verus*, który późniejsi wypisywacze nagrobku wypuścili, przezco miara wiersza, na której brak Łubieński się użala, najwięcej ucierpiała. Nakoniec w wierszu 17 wyraz *huic*, który po zaimku *sibi* (*ei*) był niepotrzebnym pleonazmem, widzimy zastąpiony wyrazem *hinc*, pełnym znaczenia, wskazującym na miejsce, z którego dary dla Otto-na zabierano. W Gnieźnie ucztowany i darami obsypany był Otto, ale spółczesny rocznikarz kwedlinburski wie, że te dary z różnych miejsc były tamże zwożone. *Otto summo conamine a duce Slavonico Bolizlavone susceptus, xenis omnige-*

ni census ubique terrarum studiosissime quaesiti obsequialiter donatur (Pertz. III, 77). Zgodnie z tém mówi bezimier-ny autor poznańskiego nagrobku: „dla niego mnóstwo darów ztąd zabrales”. Pomijamy drobniejsze w tym odpisie różnice, chociaż i one dla przywrócenia właściwego tekstu nie są obojętne.

Ależ tak przywrócony do dawnego brzmienia swego text, jak z jednéj strony postrzeżeniom Lelewela zaszczyt przynosi, tak z drugiéj strony usuwa cel, który temi postrzeżeniami miał być dopięty, mianowicie: okazanie nieautentyczności nagrobku. Jakoż nie znachodzimy teraz w napisie samym nic, coby przeciw autentyczności jego mówiło; zostaje jeden tylko stanowczy przeciw niéj zarzut, a tym jest orzeł, na pomniku wyryty, o którym spominał już Patelski i który istotnie widzimy na rycinie u Raczyńskiego.

Dzięki Tytusowi hr. Działyńskiemu, który z równą gorliwością, jak znajomością swego przedmiotu, coraz nowe źródła do dziejów Polski drukiem ogłasza, okazuje się dziś i ten zarzut nie do nieusunienia. W wydaném bowiem przez niego wielkiej wagi dziele: „Sperry Krzyżaków z Polską (1), znachodzimy bardzo ciekawe téj rzeczy objaśnienie.

Aby ocenić całą ważność tego świadectwa, które tu przytaczamy, nadmienić wypada o tém, kto i w jakich okolicznościach je wydaje. W wytoczonym roku 1422 przeciw Krzyżakom procesie powoływano na świadków mężów jak najpoważniejszych i najświetlejszych. Przedmiot sporu rozebrano na 119 punktów, a każdy ze świadków wybierał tylko te okoliczności, które jak najdokładniej znać mniemał, inne zupełnie przemilczając.

Pomiędzy 39 świadczącemi był Jerzy Merkiel, Polak rodem, notaryusz miasta Poznania. Urodził się on 1376 roku, a ojciec jego był poufnikiem dwóch królów: Łokietka i Kazimierza Wielkiego. Zeznanie swoje robił pod przysięgą tak, jak wszyscy świadkowie w téj sprawie. Otóż odpowiadając na punkt 31, w którym mowa jest o niepodległości Królestwa Polskiego, zamyka swoje zeznanie temi słowami: *Et ita videntur sonare Cronicae et Epitaphium scriptum in sepulcro*

(1) *Lites et res gestae inter Polonos ordinemque Cruciferorum. Poznaniae 1855. 4.*

praedicti regis (Boleslai Chabri) sculptum in lapide marmoreo. (I tak zdają się opiewać kroniki, tudzież napis nad grobem pomienionego króla znajdujący się, wyrzeźbiony w marmurze) lit. II, 143.

Z tego okazuje się, że chcąc dziś wyrzec coś pewniejszego o tym przedmiocie, potrzeba rozróżnić dwa nagrobki Chrobrego. Ten, który w końcu XIV i na początku XV wieku oglądał Merkiel, i na który w roku 1422, o czasach Chrobrego mówiąc, jako na pomnik wiarogodny powołał się, był marmurowy, a napis jego przechował nam Streczaka; ów zaś, którego napis zajrzał cząstkowo pod koniec wieku XVI Sarnicki, wypisywał całkowicie w XVII wieku Łubieński, Starowolski i Hartknoch, a Załaszowski z Patelskim opisali, który nakoniec zgodnie z temi opisami i wypisami rycina Raczyńskiego przedstawia, był z prostego kamienia białego, czyli z piaskowca, a text jego był już znacznie zmieniony. Te więc znamiona, które uznaniu autentyczności ostatniego stały na zawadzie, nie rozciągają się bynajmniej do nagrobku pierwotnego.

W tém, co w samym nagrobku, według odpisu z XV wieku, czytamy, i co o nim najdawniejsze świadectwa doniosły, nietylko nie znajdujemy nic takiego, coby przeciw autentyczności jego mówiło, ale owszem dostrzegamy skazówki, które wprost mówią za jego autentycznością.

A najprzód, co do formy jego zewnętrznej, napisany on jest wierszem takim, jakiego w wieku XI powszechnie w nagrobkach używano. Pisarz XI wieku, Sigebert mnich, kreśląc żywot Teodoryka, biskupa, przed kilkudziesiąt laty zgasłego, przytacza trzy nagrobki, z których każdy tak rodzajem wiersza, jak i nierównym odliczaniem zgłosek podobniusię jest do nagrobka Chrobrego. Jeden z nich „*Comitis Everardi*” zaczyna się:

*Clauditur hac tumba
Infans Evrardus*

*Pridem sine fele columba,
Nobilis atque pius*

Sanguine magnifici Generosus Deodorici i t. d. (Leibnitz. SS. R. B. t. str. 310). Taką samą miarą ułożony nagrobek rymowy czytać można w kronice Hermana Kontrakta, zrobiony dla Hiltrudy matki tego kronikarza, który jak wiadomo, 1054 roku żyć przestał (Pertz. V. 130).

Takież nakoniec w XI wieku ułożony nagrobek dla Sigfrieda opata w Tegernsee, znajduje się w Peza *Thesaurus Anecdotorum* T. V., Cz. 1, str. 264 i t. d.

Co do treści nagrobku, Lelewel podnosi jako okoliczność najwięcej rażącą i nie przypadającą do XI wieku, otrzymanie korony od Ottona przez Bolesława. A że ta okoliczność i w kronice Galla znajduje się, tłumaczy to tём, iż autor tój kroniki był cudzoziemiec. Mniema więc, że z Galla dopiero przeszło to wyobrażenie do autora nagrobku.

Jakoż między Gallem a autorem nagrobku zgodność jest w tem, że Otto położył koniec jakimś zależnościom dukowskim Bolesława; zdjętą tём, jak powiada Gall, z głowy swojej koronę, włożył na głowę naszego Bolesława; i to samo mogą wyrażać słowa nagrobku: „*tibi dedit Otto coronam*”. Atoli nie jesteśmy pewni, czy oprócz tego nie zachodziło co między Ottonem a Bolesławem, coby więcej jeszcze do słów nagrobku przypadało, a nieznanne było Gallowi. Kiedy bowiem według słów Galla Otto włócznią św. Maurycego i gwoździem z krzyża Chrystusowego Bolesława, w Gnieźnie już, za dane sobie ramię św. Wojciecha oddarował, dowiadujemy się tymczasem od dobrze świadomego tych wypadków rocznikarza kwedlinburskiego, że Otto przysyłał w odwet Bolesławowi jakieś dary jeszcze i z Akwizgranu (Pertz III, 77).

Jakkolwiek bądź, ta jednak okoliczność, którą Lelewel podniósł przeciw autentyczności tego pomnika, rozpatrzona bliżej przemawia raczej za jego autentycznością. Gdyż najprzód jestto twierdzenie nie ze wszystkiём słuszne, iż autorem kroniki znanój pod imieniem Galla był cudzoziemiec; sam bowiem Lelewel podniósł to z dobitnością w innych swych dziełach, że spół autorem kroniki owój jest Michał Polak, kanclerz kapituły kruszwickiej, któremu Gall pierwszą i drugą księgę jój przypisując, wyraźnie spół autorom dzieła tego (*cooperatore* *hujusce opusculi*) nazywa. To tedy co Gall w tych księgach pisał (a właśnie w pierwszej z nich znajduje się ów szczegół), wiedział dobrze i aprobował Michał: musiała więc okoliczność o otrzymaniu korony przez Bolesława opierać się na poważnym jakimś pomniku, kiedy ją w kronice swojej umieścili. A jeśli przyczyną tego, co w tój wieści zdaje się rażącym lub niedokładnym, szukać mamy w cudzoziemskości autora i stronnictwem jego na ten wypadek zapatrywaniu się: w takim razie musimy wyznaczyć, iż przypada ona więcej do czasów Meska IIgo niżli do czasów Galla.

Kiedy bowiem pisał ten kronikarz, rozstrzygał Krzywousty orężem kwestyą o niezależności królestwa Polskiego od cesarstwa, i Gall, którego dzieło na cześć króla tego było przedsięwzięte, głosi najobszerniej jego w téj mierze nad cesarstwem odniesione tryumfy. Ani więc wiekowi Gala, w którym mnóstwo już było uczonych Polaków, ani stosunkowi jego do króla, ku którego uczczeniu dzieło swe pisał, nie odpowiada stronicze téj kwestyi na niekorzyść króla przedstawienie. Jeśli zaś cofniemy się w czasy bliższe śmierci Chrobrego, przedstawia się nam stosunek ten całkiem inaczej. Tam cała hierarchia duchowna obrządku łacińskiego, z samych cudzoziemców składa się. Nadewszystko zaś pamiętać nam wypada, iż ten nagrobek kładziono w katedrze poznańskiej, która nawet wtedy, gdy Otto był w Polsce, i duchowieństwo krajowe nowoutworzonej hierarchii krajowej poddawano, została uległą obcemu, magdeburskiemu arcybiskupowi. Nie więc naturalniejszego, jak to, że mnich lub który z dostojnych kapłanów poznańskich, którzy wszyscy byli wówczas cudzoziemcami, wynurzał się pod tym względem nieco jaskrawiej, niżby się był Polak rodowity, i nie zostający w żadnym do cesarstwa stosunku, wynurzył.

Z tą okolicznością wiąże się i drugi szczegół. Ani Gall ani żaden z kronikarzy polskich nie wystawia nam Meska Igo inaczej jak tylko dobrym chrześcianinem. Jeśliby nieznajomy autor nagrobka, jak się domyśliwa Lelewel, wziął z Galla okoliczność o otrzymaniu korony przez Bolesława, tedy prawdopodobnie i drugi ten szczegół o wierze Meska Igo byłby u niego podobniejszym do tego, co Gall rozpowiada. Tymczasem w nagrobku nadmieniono o księcia tego pogaństwie (*perfito patre natus*), a gdy tę okoliczność uważnie rozbieramy, przekonujemy się, że tak sądzili o téj rzeczy społeczeńsi, a zwłaszcza cudzoziemcy lub gorliwcy obrządku łacińskiego. I tak Tietmar rozpowiada, jak Mesko nie zachowywał postów i zmuszał do tego żonę swoją Dobrówkę, co według niektórych przez trzy lata trwać miało: (Thietm. IV, 35). Mesko, już jako mąż Dobrówki, jest jeszcze, według słów autora tego, długi czas poganinem: „*vario gentilitatis errore implicitus*.” a dopiero po wielokrotnych naleganiach, „*crebro dilectae uxoris hortatu, innatae infidelitatis toxicum evomit*.” (Id. *ibid.*) Tak samo Matylda, matka żony Meska Igo Ryxy, nazywa Chrobrego źródłem i początkiem religii chrześciańskiej w Polsce (*fons et origo reli-*

gionis Christianae), a że to twierdzenie miało ważną jakąś podstawę, pokazuje się to ztąd, iż nawet Długosz, który nam za polskimi kronikarzami chrzest i gorliwość chrześcijańską Me-ska Igo dokładnie opisuje, nadmienia w innych miejscach po kilkakrotnie, że religii katolickiej w Polsce był *piérwszém źródłem* Chrobry. (1).

Nie mało przemawia za autentycznością nagrobka i to, że autor jego nadmienia okoliczności takie, które w żadnym tak krajowym jak i obcym pisarzu nie znajdują się i tylko społeczeństwu znane być mogły. Taką okolicznością jest obcięcie włosów siedmio-letniemu Bolesławowi i posłanie ich do Rzymu. Objąśnił ją trafnie Stanisław Łubieński, przypominając, iż zwyczajem było u chrześcijańskich książąt, posyłać ucięte dzieciom swoim włosy do Rzymu na znak uległości ich stolicy apostolskiej.

Szczegół ten nietylko znachodzi w społecznych okolicznościach zupełne potwierdzenie, ale razem pojaśnia nam wypadki, których znaczenia dotąd nie rozumiano. Bolesław Chrobry urodził się roku 966, czy téż na początku 967 (2), w każdym więc razie siedmiolecie jego skończyło się już w roku 973. Wtedyto, jak nas naucza nagrobek, słano ucięte mu włosy do Rzymu. Uważmy jak dalece zgadza się to z podanemi nam zkażdinąd wiadomościami. W tym właśnie 973 roku, odbył się pamiętny zjazd w Kwedlinburgu, na którym między innemi ważną kwestyą kościoła polskiego rozstrzygano. Połowa Polski, mianowicie tak zwane ziemie krakowskie (*Kraków cum omnibus regionibus ad praedictam urbem pertinentibus*), trwała jeszcze podówczas w obrządku słowiańskim. Wysłany tu około roku 960 przez Ottona 1-go biskup Adalbert (nie Wojciech) dla nawracania na obrządek łaciński, przyjęty był tak, iż ledwie z życiem się wymknął. (Pertz. III, 61). Nie ustawał jednakże Otto w swój gorliwości. Założywszy w roku 970 metropolią w Magdeburgu, rozciągnął granice jej dyecezyi przez całą tak zwaną Wielkopolskę, poddając biskupa poznańskiego, Jordana, władzy arcybiskupa magdeburckiego. Zostawały jeszcze ziemie krakowskie, w które dyecezya Jorda-

(1) *Ab isto rege (Boleslao) fidei Christianae in Polonia coepit exordium.* Dług. Hist. Pol. II 173. *Cultum veri Dei inchoavit Boleslaus.* Ibid. Cf. etiam II 174. Tak samo mówi w żywotach arcybiskupów Gnieźnieńskich. „*Primus Polonorum gentem ad jura Christianitatis reduxit Boleslaus Chrobri.* Rkp. Bibl. Ossol. Nr. 619. k. 31 v.

(2) Ob. Wstęp kryt. str. 538.

na nie sięgała. Otto zaprosiwszy do Kwedlinburga Meska wraz z Bolesławem czeskim, bratem Dobrówki, założył w porozumieniu z Janem XIIItym, papieżem, biskupstwo w Pradze, i mianując Ditmara biskupem pragskim, rozciągnął jego dyecezyą przez drugą część Polski, a mianowicie, po źródła Bugu i Styru na wschód, a na południe po Dunaj. Jak poddanie Jordana arcybiskupowi magdeburskiemu działało się zapewne nie bez wiedzy przyzwolenia Meska i tak téż i zakreślenie granic nowo założonego pragskiego biskupstwa, przez ziemie Polski, stało się za jego przyzwoleniem; zadowolniony był Otto na zjeździe owym z Meska, i powiada Tietmar, iż tenże hojnie od cesarza obdarzony do domu powrócił (Pertz, III. 770). Dany wówczas przywilej pragskiemu biskupowi, odnowiono w roku 1085 za Wratysława, i z tego powodu przytoczył go Kozma w swojej kronice: w nim mamy dowód widoczny, jak daleko sięgały posiadłości Meska w tych tu stronach roku 973 (1). O tém mianowaniu Ditmara biskupem pragskim donosząc rocznikarz polski, wie to dobrze, że w sprawie téj miała czynny udział Dobrówka. Mówi on: „*Ecclesia Pragensis primo coepit habere episcopum, ex ammonitione Dobrovcae.*” (*Annal. Traskae ms. ad ann. 974. Cod. Puław. p. 327. Cod. Varsov. p. 74*), a Długosz rozpisuje się szeroko pod tymże rokiem o gorliwości Dobrówki, z jaką brata swego, Bolesława, częstemi poselstwami i listami do kroku tego nakłaniała (*Hist. II. 101 i 102*). Wtedy to więc posłała ona i włosy siedmioletniego synka swojego do Rzymu.

Kraj, w którym Bolesław panował, nazywa autor nagrobku głównie królestwem Słowian „*regnum Slavorum*” i w tém zgodny jest ze współczesnemi, mianowicie z Piotrem Damianem (*Vita s. Romuald. c. 26*), z Wipponem (ap. Pistor III, 470 i 477), tudzież z rocznikarzem kwedlinburskim (Pertz III, 77) i z Adelboldem (*Vita Henrici ap. Leibn I, 433*), którzy naszego Bolesława królem, lub dukiem Słowian nazywają. Wszakże doклада téż i imię Polaków, tak samo jak je i u Wippona w powołaném wyżej miejscu znajdujemy do-

(1) Zgodnie téż z wskazaniami w przywileju powołanym granicami, powiada Nestor pod rokiem 980: „Idzie Włodzimierz ku Polakom i zajmuje grody ich Przemyśl, Czerwień i inne grody, które są aż po dzień pod Rusią.” Dwa te tak ważne i zgodne z sobą świadectwa nie zostawiają żadnej wątpliwości, iż pierwotnie w tych tu ziemiach książęta polscy panowali.

łożone. Wtrącone między oba te imiona nazwisko Gotów, znaczy właściwie Getów starożytnych, którzy byli zupełnie innym narodem od nowożytnych Gotów, ale w późniejszych po Chrystusie wiekach, za przykładem pisarzy kościelnych: Hieronima, Orozyusza i Jordanesa dawano zwykle nazwisko Gotów i tamtym. Mamy tu lekką skazówkę, że wyobrażenie o tożsamości Getów ze Słowianami, w kronikach polskich obszernie rozwinięte, sięga u nas nierównie wyższych czasów, niż czasy Wincentego i Galla.

Nakoniec znaczenie wyrazów: „*propter luctamen*” na „*zapasy*” objaśnił należycie Szulc, wskazując na odpowiednie miejsce w Helmoldzie. (*Chron. Slav. I. 15*). „*Eodem tempore Boleslaus Christianissimus rex, confoederatus cum Ottone III, omnem Slavam, que est ultra Oderam, tributis subjecit.*” Tę samą wiadomość podał też Adama bremeńskiego scholiasta, jego spółczesny (Pertz VI. 318).

Te i tym podobne skazówki, chociaż nie są tego rodzaju, iżby nad wszelką wątpliwość podniosły autentyczność nagrobku, czynią ją jednak w wysokim stopniu prawdopodobną. Zdaje się więc, że Mesko II, który rok cały żałobie po ojcu i uczynkiem pobożnym poświęcił (1), a zwłoki jego z królewskim przepychem składał w grobowcu (2), nie zaniedbał postawić oraz i pomnik jego pamiętce. Jakiego kształtu był ten pomnik, tego nie wiemy: wszakże można być niemal pewnym, iż bardzo znacznie różnić się musiał od tego, jaki nam rycina Raczyńskiego przedstawia. O rzeźbiarza znakomitszego trudno było podówczas w całej Europie, wszakże materiał mógł być najprzedniejszy, skoro nań dostatków królewskich nie żałowano. Była to więc prawdopodobnie wielka marmurowa płyta, którą im mniej umiano ustroić rzeźbą, tém obszerniej się na niej z napisem rozwiedziono. Oprócz wierszów mógł znajdować się na pierwotnym nagrobku i rok, w którym król ten rodził się, i w którym życia dokonał, albo przynajmniej jedno z tych dwojga: na to bowiem wskazywać się zdają słowa Stre-

(1) *Miecislaus exacto integro anno, in quo patrem suum cum omni militia, veste mutata, lugebat.* Dług. Hist. II. 181. *Ipsi divinitati regni tui primitias devoto pectore consecrasti.* Epist. Mathildae ap. Deth, str. 4.

(2) *Corpus regium in ecclesiam Posnaniensem deductum, juxta magnificentiam regalem a Miecislao conditum est, et funeris suis justissimus honos persolutus.* Dług. II, 178.

czaki: „*vixit autem Boleslaus sexaginta annis ut ponitur in epitaphio.*” Nie przywiązujemy nader wielkiej ścisłości do tych słów jego, zwłaszcza mając wątpliwość, azali wyraz *ponitur* dobrze czytamy. Godzi się jednak zrobić tu uwagę, że gdy rok 965 przyjęty jest powszechnie za rok zaślubin Dobrowki, a rocznik benedyktyński, według rękopisu Łubieńskiego, rok 966 za rok urodzenia Chrobrego podaje, śmierć zaś tego króla według zapiski w kalendarzu wawelskim dnia 3 kwietnia, a według Kozmy dnia 17 czerwca roku 1025 przypadła: więc obliczenie powyższe, iż Chrobry żył lat 60, nie jest z temi datami niezgodne; i sam nawet Długosz zdaje się iść za tém obliczeniem, gdy powiada: „*annis prope sexaginta, in assiduis occupationibus et curis, tempus Boleslaus Poloniae rex consumavit*” (Hist. II. 172); chociaż w inném znowu miejscu (II. 177, 178) wiek jego tylko na 58 lat oblicza. W przenoszeniu napisu pierwotnego, na pomnik późniejszy, przekręcono, jak to już uważaliśmy, niektóre wyrazy, a inne całkiem wypuszczono; bo pierwotny napis był już bardzo wytarty. Łatwo więc stać się mogło, że nie dopatrzone i roku czyto urodzin, czy śmierci, który jako nie należący do osnowy wiersza, gdzieś na krańcu był umieszczony. Że pomnik ów pierwotny z samej płyty marmurowej składał się, za tym domysłem przemawiają słowa Długoszowe, który w przedmowie do Żywotów biskupów poznańskich nadmienia, iż Kazimierz Wielki niskie i prawie z ziemią równe grobowce królów w katedrze poznańskiej podwyższał dużemi kamieniami i zdobił (1). Tego rodzaju niski i prostym tylko napisem okryty pomnik łatwo mógł ująć uwadze Czechów łupieżących roku 1039 w Poznaniu, którzy chociaż zabrane z Polski zdobycze obszernie opisują, nie wiedzą jednak nic o grobowcach królów w katedrze poznańskiej. Z blizkich Kazimierzowi czasów, mamy świadectwo Merkiela, że napis w marmurze był wyrzeźbiony. Za Kazimierza mógł i sam nagrobek ten otrzymać kamienne podwyższenie i ozdobę; aby jednakże całkiem był dopiero przez tego króla postawiony, przeciw temu mówi to, że w takim

(1) *Casimirus sarcophagos regum humiles et solo aequatos petrosa mole superimposita erexit, delitescentesque umbras, ne in perpetuam reciderent oblivionem, vindicatas illustravit.* Rękop. bibliot. Oss. N-ro 619, karta 131.

razie Merkiel nie przywiązywałby takiej ważności do pomnika, który prawie w jego czasie powstał, a młodszy był od tego, co jego ojciec, poufnik Łokietka, dobrze mógł pamiętać. Najbardziej zaś mówi przeciw temu ta okoliczność, iż tradycje z czasów Kazimierza w dość licznych pomnikach przechowane, a nawet tradycje dawniejszych czasów sięgające, nie wiedzą nic zgoła o tych szczegółach historycznych, które wyczytujemy w nagrobku.

Miano téż pomnik ten w wielkiem poszanowaniu, i w roku 1496, jak o tém Łukaszewicz z aktów miejscowych doniósł, postanowiła kapituła, iżby dzień i noc nad grobowcem Chrobrego lampa gorzała. W późniejszych uszkodzeniach i naprawach kościoła, o których na początku tego artykułu mówiliśmy, przerabiano téż i nagrobek, strojąc go według wyobrażeń wieku swego w rzeźbę i napis dawny, i o ile go wyczytać umiano, powtarzano. Jedno z tych późniejszych przerobień przedstawia nam Raczyńskiego rycina, a że ona robiona była w czasach nierównie późniejszych, niż dotąd mniemano, to poznać można już ztąd, że wyraz *princeps* w drugim zaraz wierszu, który jeszcze Łubiński i następcy jego dobrze czytali, był już tak zatarty, że go na rycinie zupełnie wypuszczono.

Tyle co do znaczenia historycznego tego nagrobku. Nasuwa się tu jeszcze uwaga, która może posłużyć do bliższego oznaczenia osoby jego autora: najdawniejszy dotąd znany odpis jego przechował się w kodexie Benedyktyńskim, obok reguły świętego Benedykta.

Lubił Benedyktynów Bolesław, powiada Długosz, i przenosił ich nad wszystkie inne zakony (1); mógł więc ów napis grobowy układany być przez jednego z ulubionych temu królowi zakonników i bogdaj czy ów dwuwiersz; „*Chabri tu es dictus, sis in aevum benedictus*”, nie został natrącony aluzją do imienia Benedykta, patrona zakonu, tém bardziej, że autor w ostatnim dopiero wierszu życzy mu zbawienia (*sit tibi salus*), podczas kiedy już na początku między błogosławionymi go mieści.

(1) „*Fratres ordinis S. Benedicti caeteris ordinibus specialibus praetulit et amavit Boleslaus.*” *Hist. II. 172, 173*

CYGANIE.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH WIERSZEM.

PRZEZ

J. Konzeniowskiego.

Nechāj ne būde ni menī, ni jēi.
Z pieśni gminnej.

O S O B Y.

KIRMO, starszy Cyganów.

JERNI

GULDA

NAJA

GOJA

DŻIM

} Cyganki.



NANGO

MANRU

GAŁDASZ

JEGAG

DRABO

GURU

} Cyganie.

Kilku innych Cyganów i Cyganiek różnego wieku.

Scena w lesie na Litwie.

AKT I.

(Las, w którym koczowisko Cyganów; w głębi z lewej strony widzów (1) namiot, w którym kuźnia; przed kuźnią kowadło, toczydło, na ziemi os nowa i parę starych, parę kół nieokutych, parę obręczy żelaz-

(1) Wszelkie oznaczenie strony prawej i lewej w całym ciągu dramatu tak się rozumie.

nych i inne kowalskie graty; z prawej strony w głębi na trzech drążkach wisi kocioł, a pod nim pali się ogień; w samym środku jeszcze dalej stoi duży wóz, a na nim chomąt, duha, szleje, lejce i t. d. Bliziej widzów ku prawej stronie wznosi się na środku sceny wielkie i rozłożyste drzewo. Za niem małe krzaczki, a tuż przy niem z lewej strony kłoda, trochę ukośnie wsuwająca się w głąb sceny i służąca za siedzenie. Z prawej strony wysuwa się na parę kroków na scenę bok szatry, które jest szatrem starszego bandy. Bok ten, zamknięty od strony widzów płachtą pozszywaną, starą i brudną, z jakiej i całe szatrowo złożone, zajmuje dwie pierwsze kulisy z prawej strony i wysuwa się na scenę tak, że nie zasłania kociołka.

Przy podniesieniu kurtyny, w kuźni jest chłopak przy miechu, i Kirmo zajęty rychtowaniem jakiejś roboty. Przy kociołku krząta się Goja, stara cyganka, i dwie młodsze; inne siedzą tam łatając jakieś szmaty; kilku Cyganów siedzi lub leży przy wozie. Dżim, tancerka bandy, bijąc w bębenek i dzwoniąc, przebiega głąb sceny po przed wozem, a drażniąc Manru i Jagaga, ucieka na lewo w las po przed kuźnią, a ci za nią: wtedy Jerni wychodzi z prawej strony od szatry starszego, a Kirmo postrzegłszy ją, rzuca robotę, zbliża się do niej i oboje postępują na przód sceny).

SCENA PIÉRWSZA.

KIRMO, JERNI.

KIRMO.

Gdzież ona poszła?

JERNI.

Poszła go wyglądać.

KIRMO

(*ruszając ramionami*).

Głupia!

JERNI.

O Kirmo! nieraz ci mówiłam,
Na coś ty wysłał Nanga na ten jarmark,
Kiedy w nim Gulda duszę utopiła.
Prawda, nie mamy szkapy, i na gwałt nam
Ona potrzebna, aby ruszyć z miejsca;
Ależ był Jegag, Manru, byli insi:
Ich było posłać tam z Galdaszem: oni
Sprawniejby jaką skradli, lub wydrwili.

KIRMO.

Tys mądra Jerni, i na całą Litwę
Niema cyganki, coby tak wróżyła.

Wiész w jakim ziele śmierć, a w jakim zdrowie;
 Słyszysz jak trawa rośnie i zgadujesz
 Myśli, a pytasz na com go tam wysłał?
 Na to, że chciałbym, by go jakie licho
 Wplątało w biędę i zakuło w dyby;
 Bo już mi dojadł miną i słowami.
 To *mero*, (1) hardy, jakby jaki ksiązę,
 Zuchwały ze mną, tak jak szlachcic z żydem,
 I ani słuchać chce, że mój starszy.

JERNI.

Czy myślisz, że mnie krzywda twa nie boli,
 Mnie, która byłam kiedyś twoją *ghassi*? (2)
 I jabym chciała, aby gdzie podyrdał,
 Bo z tym psem swoje także mam rachunki.
 On i mnie zowie czarownicą; nigdy
 Dobrego słowa nie da, choć z méj piersi
 Płynęło mléko, którym żyła Gulda,
 Kiedy jój matkę *maribe* (3) zabrała.
 Lecz ona Nanga kocha bez pamięci,
 I ciebie przeklnie, jeśli on nie wróci.

KIRMO.

At, gdzietam: krzyknie i załamie ręce,
 I kląć i płakać będzie dwa tygodnie;
 A potem Galdas, Manru, albo Jegag
 Łzy jój zcałuje z oka, i na usta
 Uśmiech przywoła. Zresztą, ty wiész, Jerni:
 Co ma być, będzie; tego nikt nie zmieni.
 Jeśli powróci z koniem, no, to dobrze,
 To go pozbędę później; a jeżeli
 Nie wróci wcale, ba! to jeszcze lepiej:
 Znak, że go trzyma koza, albo stryczek.
 Lecz cicho! Gulda idzie. Jerni! weźno
 Ją w swoje ręce i rozwesel trochę.
 Powiedz jój niech ma rozum: wszak na Litwie
 Młodych Cyganów nigdy nie zabraknie.

JERNI.

Będiesz mnie uczył, co jój mam powiedzieć!

(1) *Mero* znaczy pochodzenie z wyższego rodu, z jakiego dawniej byli wojewodowie i księżęta cygańscy w Węgrzech i Siedmiogrodzie. Znakiem takiego pochodzenia jest czerwona kurtka.

(2) *Ghassi* żona, kochanka, w ogóle kobieta wybrana, z którą Cygan żyje.

(3) *Maribe*, znaczy śmierć.

KIRMO.

Prawda, tyś mądra, i potrafisz lepiej
 Zgiąć ją językiem, niż ja szynę młotem.
(wraca do kuźni).

SCENA DRUGA.

KIRMO, JERNI i GULDA.

GULDA

(wychodzi z prawej strony i przystępuje szybko do Jerni).

Coście wy z sobą rozmawiali? Jerni!
 Może co wiecie,

JERNI.

Nic a nic.

GULDA.

To czemuż
 Śmiech na twych ustach, gdy mnie serce boli?

JERNI

(siada na kłodzie).

Alboż nie śmieszna twoja głupia troska?

GULDA.

Głupia! gdy trzeci tydzień już go niéma;
 Kiedy obiecał, że za trzy dni wróci?
(siada przy niej).

JERNI.

Nibyżto Cygan, gdy co obiecuje,
 Powinien zaraz i dotrzymać słowa?
 Słowo, to powróż, co kępuje wolę.
 Niech się nim wiążą ci, co mają ziemię,
 Która im daje odzież, chleb i złoto;
 Co w swoim kotle mają codzien mięso,
 A w zimie komin i dach nad swą głową.
 Im wszystko dobre dano tu na ziemi,
 Lecz razem różną dano im niewolę.
 Cygan nic niéma, dachu, ani roli,
 Dziurawą płachtą plecy swe okrywa,
 Kradzioną strawą żyje, bosą nogą
 Grzęźnie po błocie, lub po śniegu brodzi;
 Lecz za to wolny jak ptak na gąszi.
 Z płachtą na plecach i z sucharem w gębie,
 Śpiewa i kocha dziś tę, jutro inszą.

Jak mu do serca która się zaśmieje.
 I nie zna troski, chyba jeśli głupi,
 Jak ty, szalona, co trzy lata prawie
 Jednego kochasz, i schniesz z utrapienia,
 Że ci obiecał wrócić i nie wraca.
 Tfy! śmiechu warto. Rób jak ja robiłam,
 Gdy w gębie były zęby, jakby perły,
 A włos się kruczy zsuwał za kolana.
 Kiedy nie było tego, co mię kochał,
 To byli insi. (*śmiejąc się chytrze pogląda na nią*).

GULDA.

Milczno stara! Możeś
 Ty była taka, a ja jestem insza.
 Dla mnie on jeden jest na całym świecie.
 Jeśli go stracę, to uwiążę sobie
 Kamień do szyi, i tak będzie koniec.

JERNI.

At! durna! durna! niema w tobie widzę,
 Nic krwi cygańskiej.

GULDA.

Kłamiesz, jam Cyganka
 Z rodu i serca. Do gałęzi dębu
 Kołyska moja była uwiązana,
 W płachcie na plecach matka mię nosiła,
 Wyrosłam, jak z was każda; jak wy wszystkie
 Kocham włóczęgę i to życie ptaka,
 Któremu wszystkie szlaki są otwarte.
 Gdybym nie była Romni (1) z pokolenia,
 Cyganką z serca, byłabym dziś panią.
 Na głowie mojej lśniłyby kamienie,
 Plecy i piersi jedwab'by okrywał;
 Nie szłabym boso za ojcowską kuźnią,
 Lecz piękne konie w srebro zaprzężone,
 Wiozłyby w koczku twoją dumną Guldę.

JERNI.

Ej! proszę, jakie myśli jój przychodzą!

GULDA.

Czyś zapomniała tam, za Nowogródkiem!

JERNI.

Ba! jak zapomnieć? choćto temu będzie
 Już lat ze cztery. A pięknyż był panicz!
 On na kolanach ciągnął cię do siebie,
 I ojcu dawał cały worek złota.

(1) Romni, cygańska dziewczyna.

GULDA.

Ja wtedy ojcu rzekłam: nie bierz złota,
 Bo ja go nie chcę i z nim nie zostanę.
 A jemu rzekłam: nie kluj się paniczu!
 Dla ciebie trzeba pani, nie Cyganki.
 Dziś ciebie ciągną moje czarne oczy,
 I białe zęby; dziś cię wabi nóżka
 Mała, co w tańcu zdradza ci, że ciało
 Gładkie i zwinne, młode i żyjące.
 Za rok pogasisz iskry moich oczów,
 Wypijesz ze mnie młodość i swobodę;
 I gdy jak kwiatek zwiędnę w twoich rękach,
 Sługom wypędzić każesz mię ze dwora,
 I psami wyszczuć ciemne dziecko puszczy.
 A jabym wtedy przyszła tu—i w nocy
 Dwór twój z płomieniem poszedłby w powietrze,
 I na twą głowę, któraby marzyła
 O jakiej inszej, spadłaby z łoskotem
 Gorąca belka, któraby cię zgmiotła.
 Puść mię więc lepiej, bom ja nie dla ciebie!—
 Panicz pomyślał—i nie prosił więcej.
 A ja rzuciłam jego drogie perły,
 Jego jedwabie, jego smaczne jadlo;
 Bo onby w złotój zamknął mię niewoli,
 W pięknych pokojach trzymałby związaną;
 A mnie tam było duszno —mnie do lasu
 Ciągnął cygański żywot i krew Romni.
 I poszłam z wami, gdzie mi wiatr grał piosnkę
 Znaną z dzieciństwa, na szumiących liściach;
 Gdzie mi głód mówił: głodnaś, ale wolna;
 Gdzie w nocy miesiąc z góry do mnie śmiał się,
 A przez gałęzie gwiazdy mrugające
 Wróżyły sercu, że się znajdzie miły,
 Z którym do końca życia powędruję.

JERNI.

I przyszedł Cygan i Cygankę wolną,
 Jak suczkę wziął na obróż, i za sobą
 Ciągnie. Ej! wstydź się Guldo.—Piękny panicz
 Nie mógł cię związać sznurem z dyamentów,
 A ten...

GULDA

(przerywając).

Ten Jerni! związał mię--miłością.
 Trzy lata temu, pomnisz, jak tu przyszedł
 Do naszej bandy, i do ojca mówi:
 „Zostanę z wami, będę młotem robić,

I w moich rękach zegniesz się żelazo
 Jak pręt łoziny." Ja przy ojcu stałam,
 A każde słowo jego, jak kipiątek,
 Biegło po moich żyłach. Nie wiedziałam
 Czemu od niego nie odwracam oczów;
 Dlaczego potem, kiedy noc nadeszła,
 Nie schodził z myśli i ze snu mię budził.
 Nazajutrz mówię ojcu: „Tyś już stary,
 Weź pomocnika, co za ciebie robi.”
 A on był przy tém, słyszał com mówiła,
 I tak popatrzył na mnie, że dziś jeszcze
 Widzę płomienie w oku tém palącym.
 On mnie pokochał, ja go pokochałam.
 I odtąd żaden jeszcze dzień nie przeszedł,
 By oczy nasze z sobą nie mówiły;
 Żadna noc, żebym jego pocałunkiem
 Zakołysana, nie złożyła głowy
 Na jego piersiach i z objęcia jego
 Nie wstała młodsza, zdrowsza i weselsza.
 A dziś, już tyle dni... a jego niéma.
 I ty chcesz, żeby troska mię nie piekła,
 I trwoga piersi mych nie rozrywała?
 O! ja nie taka, jak wy wszystkie: dla was
 Dziś ten, a jutro inszy;—dla mnie jeden.
 Ja pokochałam nie na rok, nie na dwa,
 Lecz na wiek cały. Póki serce bije,
 Musi być moim. Oddam go, gdy ręka
 Martwa skostnieje, gdy na piersi moje
 W głębokiej jamie ziemi nasypiecie.

JERNI.

Ej Guldo! Guldo! ten cię ogień strawi.
 Pańska to miłość—to nie dla Cyganki.

GULDA.

Nie gadaj Jerni, czego nie rozumiesz.
 W piersiach twych popiół, jak na zimnym hornie.
 Ty już nie pojdziesz, jaki tam jęk w sercu,
 Gdy niéma głosu, co jak piosnka matki
 Utulić umie dziecko rozplakane.
 Tyś już za stara Jerni, i dla ciebie
 Niéma miłości.

JERNI.

Ale jest nienawiść.
 I jak ci kiedy będzie jój potrzeba,
 Wtedy przyjdź do mnie.

GULDA.

Cicho! ktoś tam woła.

SCENA TRZECIA.

*Ciż, GOJA, potem GAŁDASZ, MANRU, JEGAG,
i kilku innych Cyganów.*

GOJA
(do Kirma).

Hej! stary! Gałdasz idzie.

GULDA.
(zrywa się).

Więc i Nango!
Oni tam razem byli. Jerni! Jerni!
(przyklada rękę starą do piersi).
Patrz! jak mi serce bije.

KIRMO
(wychodzi z kuźni do siebie).

Coś sam jeden!
Tamtego niema—podnieś głowę stary!
(uśmiecha się i zacięra rękę).

GULDA
(postępuje w głąb i cofa się).

Sam!—a gdzież Nango?

JERNI.

Widzisz, że go niema.
(Gałdasz wchodzi).

GULDA
(przystępuje do niego).

Gdzie Nango? powiedz; czemu sam powracasz?

GAŁDASZ
(siada na kłodzie).

Poczekaj, powiem, lecz odpocząć dajcie,
Bom się okrutnie zmachał. Cztery mile
Biegłem, mijając wioski i miasteczka,
Żeby co prędzej między wami stanąć.

GULDA.

Powiedz mi tylko: Nango zdrow i wolny?

GAŁDASZ.

Miałby być chorym?—Cygan nie choruje.
A taki ptak, jak Nango, nie tak łatwo
Splątać się daje: trzeba mocnej sieci.
(z uśmiechem).

Nie mu tam złego—ma się z kim pobawić.
A jakby jakie licho go nagnało,
Dobre ma konie, to ucieknie pewnie.

GULDA
(*na stronie*).

Pobawić?—co on mówi?

KIRMO
(*niechętnie, pokręcając wąsa*).

Więc są konie?

GAŁDASZ.

I jakie jeszcze!

KIRMO.

Hm! i to nowina.

MANRU.

Ej! zuch ten Nango!

JEGAG.

Ba! ba! jeszcze jaki.

GAŁDASZ.

Zaraz wam powiem, tylko brzuch podłatam.
Cały dzień w gębie nic nie miałem. Cygan
Z głodem, jak z dobrym zna się przyjacielem;
Lecz i przyjaciel ciężki, gdy zadługo
Na karku siedzi. Dajcie co przekąsić.
Nu, stara Goja, rusz się, i zaczerpnij
Z kociołka, jeśli co zostało na dnie.

GOJA
(*wydobywa z za pazuchy chleb*).

Masz tu tymczasem dobry kawał chleba.

GAŁDASZ.

Dawaj (*przyklada do ust*).

Brru! wygrzał się przy starym piecu.

GOJA
(*uderza go warzączą po plecach*).

Paskudnik!

GAŁDASZ.

No, no, przynies-no co w misie.
(*Goja odchodzi do kociołka*).

KIRMO.

Powiedzże teraz jak tam się wam wiodło.

GAŁDASZ
(*gryząc chleb*).

At! jak zwyczajnie na jarmarku: tylko
Slinę polykaj, patrz, aż oczy bołą,
A ręką nie daj woli, chociaż świerzbią.
Wszystkiego pełno, czego u nas nie ma;
A tu się każdy strzeże, i jak tylko
Zajrzy cygańską skórę, i posłysz
Cygańskie słowo, zaraz swoje dobro
Garnie pod siebie, i nie daje capnąć.
Strzeżcie się ludzie! Cygan, Cygan idzie!
I ztąd i zowąd jeden na drugiego
Woła, i wszyscy wrzeszczą: precz Cyganie,
Precz ztąd złodzieju!

JERNI.

Żeby im głód zajrzał
Do zimnej chaty! i choroba dzieci
Poturbowała!

GULDA.

Cicho stara! nie klnij.
Powiedzno, czemuście tak długo byli?
Z kim się tam Nango bawi, jak mówiłeś?

GAŁDASZ
(*z uśmiechem patrzy na nią*).

Ej Guldo! Guldo! jak tve oczy patrzą?
A ładneż oczy, choć musiałaś płakać.
No no, poczekaj, dowiesz się o wszystkiém;
Niech tylko podjem.

(*bierze miseczkę ze strawą, którą mu Goja podaje, jedząc*).

Oj, ten Nango, Nango!
Taki się drugi jeszcze nie urodził.
Gdyby Cyganie teraz, jak bywało,
W Mirze swojego króla obierali,
On byłby królem.

GULDA
(*z dumą*).

Za to też go kocham.

KIRMO.

Przestań go chwalić, lepiej mów co zrobił.

GAŁDASZ.

W miasteczku dwa dni przeszło nam na niczem.
Idziem więc głodni, myśląc, co z nas będzie,

Gdy nie ma szkapy. A tu słońce pali,
 Wieś niedaleko, a w poblizkim stawie,
 Ze dworu ludzie pańskie konie pławią.
 Siedliśmy sobie oba i gadamy,
 A tak nas jakoś krzaki zasłoniły,
 Że nas nie widać. Aż patrzymy, zdala
 Pędzi koń dzielny, że aż droga huczy.
 Uzdeczka na nim, a on rozpuściwszy
 Grzywę i ogon, ziemię z pod kopyta
 Wyrzuca w górę i na oslep leci.
 Zrzucił, powiadam, durnia, co nie umiał
 Na nim dosiedzieć. Nango mówi, prawda.
 Patrzej, zdaleka goni jakiś chłopak.
 I wtedy Nango zarżał, a koń stanął,
 I zestrzygł uszy; podniósł łeb, wyciągnął
 Mordę, i zarżał także. Nango znowu.
 A ja się śmieję, że koń głupi myślał,
 Że w krzakach może klacz go nawołuje.
 I dalej ku nam pędzi! My przysiedli,
 Żeby nie widział; a gdy wbiegł, ja z jednej,
 Nango przyskoczył raptem z drugiej strony,
 I łap za cugle. Wtedy koń rad nierad,
 Musiał się wstrzymać. Nango go pogłaskał,
 Na grzbiet mu wskoczył, i powiada do mnie:
 «Biegnij do lasu» i ścisnąwszy konia,
 Poleciał, że aż ziemia zatętniała.

(wszyscy okazują znaki podziwienia i aprobacyi).

JEGAG.

To mi to majster! toto będzie kiedyś
 Starszy. .

KIRMO.

Stul gębę, coto tak wielkiego?
 Ukraść nie sztuka, schować dobrze sztuka.
 Cóż ze uchwycił konia. Ale gdzież on?
 Jak z nim tu będzie, ja dopiéro powiem,
 Że Nango mądry i prawdziwy Cygan.

MANRU

(do Jegaga).

A i to prawda, stary dobrze mówi.

GULDA.

Cóż dalej?

GAŁDASZ.

Dalej to, żeśmy się zesзли,
 I potem w las, gdzie oczy nosły. Lasem

Szliśmy do nocy, i spętawszy konia,
 Siedliśmy sobie myśląc, co tu zrobić!
 Ja mówię: chodźmy z koniem gdzie daleko,
 Tam wymieniamy. Nango mówi: dobrze!
 I gdy dzień nadszedł, szliśmy znowu lasem,
 Do samej nocy jeden dzień i drugi.
 Trzeciego ranku, gdy idziemy drogą
 Żyd nas napęcza na kulawej szkapie.
 „Nie sprzedajecie konia?” mówi do nas.
 „To koń kradziony. Nu to nic nie szkodzi;
 Jaby zamienił z wami. Chodźcie za mną.
 Ja tu na karczmie siedzę i handluję
 Końmi”. My za nim. Żyd miał więcej koni,
 Pewnie kradzionych, bo to szelma złodziej;
 Ale zdatniejszych dla nas, niż ten pański.
 Nuż my w targ z żydem. Ot i krótko mówiąc,
 Dał nam dwie dobre szkapy, i w dodatku
 Wózek i korzec owsa, krup i mąki.

KIRMO.

I gdzież to było?

GAŁDASZ
*(jedząc).*Gdzie? pod Białymstokiem,
 Ztąd mil dwanaście!

GOJA.

Aj! aj! tak daleko!

GAŁDASZ
(oddaje jej miszkę).

Coto daleko, kiedy się udało.
 Nie szkoda czasu, gdy zysk w rękę wścibi;
 A wózkiem zawsze bliżej niż piechotą.
 Ale żyd mówił: „jedźcie tylko nocą,
 Bo wam odbiorą konie”. My téż we dnie
 Paśliśmy nasze szkapy, a gdy zmierzchno,
 Jechali zwolna, żeby się nie zmylić.
 Tak znowu przeszedł jeden dzień i drugi.
 Aż trzeciej nocy rankiem, patrzym, ogień
 Błyska pod lasem. Podchodzimy zwolna—
 Cyganie! Był tam stary, co prowadził
 Niewielką bandę; była stara chora,
 I przy niej dziewczę, śliczne, jak ta gwiazda,
 Co rankiem świeci.

GULDA.

Dziewczę? co ty mówisz?

GAŁDASZ.

Oho! patrzajcie, jak ją to ukuło,
Jakby wiedziała.

GULDA

(*chwyta go za rękę*).

Co jakby wiedziała?

Co ja mam wiedzieć? Nie patrzże tak, głupcze!
A mów.

GAŁDASZ

(*nadstawia jej twarz*).

Pocałuj.

KIRMO

(*odpycha go*).

Wara od niej—gadaj.

GAŁDASZ.

A nu cóż? powiem, a ty sobie sama
Rozmiarkuj, coto dalej z tego będzie.
Otóż podchodzim bliżej i patrzymy,
A stary Cygan bije śliczne dziewczę
I woła: „dalej w drogę, dalej z nami,
Porzuć tę bábę, niech tu zdycha”. Wtedy
Nango przyskoczył, chwycił go za rękę,
I pyta: „za co bijesz ją?” a ona
Składając ręce do nas: „Aj! kochani!
Ratujcie—woła—oto matka chora,
Nie może ruszyć ręką ani nogą,
A on zaczekać nie chce, i mnie każe
Porzucić starą samą jedną w lesie,
I ruszać, a ja nie chcę i nie pójdę”.
Tak mówiąc, dziewczę śliczném, czarném okiem,
Które pływało we łzach, na nas patrzy,
I milcząc prosi głośniej niż słowami.
A Nango od niej nie odwraca oka,
Patrzy i patrzy, a twarz jego groźnym
Pali się gniewem. A gdy stary znowu
Do niej przystąpił, chcąc ją powlec z sobą,
Pchnął go i krzyknął: „Precz ztąd, ruszaj sobie,
Ona nie pójdzie z tobą”. (*patrzy uśmiechając się na Gulde*).

GULDA

(*drżąc*).

I nie poszła?

GAŁDASZ

(*przybliża się*).

Pocałuj—powiem.

GULDA
(uderza go w twarz).

To masz pocałunek.

GAŁDASZ
(odskakuje).

Słuchajże teraz Guldo! Nango nie twój!
Dziewczyna wzrokiem go oczarowała.
Jak niedźwiedź, gdy go w lesie psy opadną,
Którego łapą macnie, to powali,
Tak on rozpędził tę Cyganów bandę.
A kiedy poszła klnąc i lając, wtedy
Nango dziewczynę objął, lzy jój obtarł,
Na wózek włożył konającą babę,
I w las zawrócił, a mnie tu iść kazał,
By wam powiedzieć, że dziś, albo jutro
Przywiezie zdobycz i zostanie z nami.
A co? nowina warta pocałunku!

GULDA
(rzuca się na szyję Jerni).

Jerni! o Jerni! ratuj mnie! daj ziele,
Które zabija. On mi nóż wbił w piersi,
Ale skaleczył tylko, a nie dobił.

JERNI.

Co-bo ty zaraz wierzysz.

GULDA.

Więc on kłamie?

(patrzy mu bystro w oczy).

O tak, ty kłamiesz, chciałbyś abym Nanga
Kochać przestała, abym była twoją.
Niedoczekanie twoje, ty psie jakiś!
Co szczekasz teraz, kiedy go tu nie ma.
Będiesz ty nie tak skomlił, gdy powróci.

GAŁDASZ.

Ba! obaczmy. Tyś nie brzydka Guldo!
Lecz tamta młodsza i śliczniejsza. Nango
Nie ślepy. Już ma póty twej miłości.
Naja nie taka, jak ty wściekła. Z słodkim
Uśmiechem tuli się do jego boku,
A i piosneczkę piękną ma na ustach.

GULDA.

Oh! jak mi w głowie się przewraca. Naja!
Ona się zowie Naja! i z uśmiechem,

Powiadasz, tuli się do jego bokul

(pociera czoło obiema rękami patrząc dziko).

Nie, nie na długo będzie tój pieśczoły.

(wrywa mu nóż z za pasa).

Znajdę ją przecież, a twój nóż tak ostry

Jak twoje słowo. Precz ztąd, precz, puszczaście!

(wybiega na prawo).

KIRMO.

Szalona dziewczka! chodźcie za nią.

KILKU.

Chodźmy.

(Cyganie wybiegają, kobiety grupują się koło kociołka z odpowiednimi giestami. Jerni pokiwawszy głową idzie za Guldą, szalona spada).

AKT II.

(Miejsce jak w I akcie. Kirmo przy kuźni, Goja i kilka Cyganiek przy kociołku. Na przodzie sceny Cyganie grają w pałeczki).

SCENA PIÉRWSZA.

KIRMO, GAŁDASZ, MANRU, DRABO, GURU
i kilku innych.

(siedzą na ziemi lub stoją).

GURU.

Kiedyż marszałek, kiedy chłop lub Cygan?

MANRU.

E, ciasna głowo! jeszcześ nie zrozumiał.

(pokazuje mu na dłoni pałeczki na dwa cale długie i rozczepione).

Ot masz pałeczki, z jednéj strony białe,

A z drugiéj z korą, i tak rzucasz. Jeśli

Odkryjesz wszystkie białe, król wypada;

Jeśli trzy białe, jedna będzie czarna....

Rozumiesz?....

GURU.

Nu, tak, bo ich wszyśkich cztery.

MANRU.

Wtedy marszałek, co z rozkazu króla
Bije.

GURU.

A, bije! kogoż?

MANRU.

Głupcze, kogóż
Biją? Szlachcica nikt nie bije; szlachcic
Płaci; a biją chłopą i Cygana.
Jak zaś wypadnie jeden tylko biały,
To chłop wypada; a jak wszystkie czarne,
To wtedy Cygan.

GURU.

A żyd nie wypada?

MANRU.

Nie.

GURU.

E, to szkoda.

GAŁDASZ
(*śmiejąc się*).

Pewnie biłbyś żyda.

GURU.

Gdzie tam, żyd bestya musiałby zapłacić
Więcej niż szlachcic, bo ma zawsze więcej.

MANRU
(*potrząsa palcami*).

Rzucam (*rzuca, wszyscy patrzą ciekawie*).

DRABO.

Marszałek!

MANRU
(*bierze pytkę*).

Strzeżcież się robaki!

DRABO
(*bierze palceczki*).

Teraz ja. Wszystkie cztery będą białe,
I będę królem (*rzuca*).

MANRU.

Wszystkie cztery czarne.
Cygan! a! Cygan (*wszyscy śmieją się*).

GURU.

Walże go marszałku!

Niech się nie chwali.

GAŁDASZ.

Jeszcze nie ma króla.

Jak kto zostanie królem, to rozsądzi,
Ile dać chłopu, ile Cyganowi.

DRABO.

Rzucajże.

GAŁDASZ

*(bierze pałeczki).*Dawaj *(rzuca)*.

DRABO

(odskakuje).

A niech cię beng (1) porwie.

Król! król!

GAŁDASZ

(rozkazując).

Marszałku! dziesięć pal mu w łapę.

(Manru bije Drabo).

KIRMO

*(zbliżając się od kuźni).*Hultaje! tylko wam swywola w głowie,
A w kotle pusto.

MANRU.

A nam co do tego?

Kto starszy niech się stara, żeby było.

KIRMO.

Któryż z was przyniósł co dla bandy?—żaden.

Baby wywróżą czasem kilka groszy,

I wytumanią trochę krup lub mąki.

A wy co? tylko leżać, fajkę palić,

Śmiać się umiecie i mląć językami.

Niechno ruszymy dalej, a to samo

Będzie, co tutaj, dam ja wam hultaje.

(podnosi bizun, znak swojej władzy, który ma zawsze za pasem).

GAŁDASZ.

No, no, idź stary tam do swojej kuźni.

Na mnie nie powiesz, że ci się źle sprawił.

A Nango także więcej wart od ciebie.

(1) Beng diabeł, zły duch.

KIRMO.

Gębę masz wielką, umiesz się wychwalać,
I zawsze trzymasz stronę tego śmiałka,
Co miał nam dobre konie przyprowadzić;
A on nie koni szukał, lecz dziewczyny.
Niechno nie będzie koni, tylko dziewczka,
I niech mi zgubi dziecko, które kocham,
To mu łeb hardy młotem swym rozbiję.

GAŁDASZ.

Rozbijesz, albo nie rozbijesz: ja ci
Powiadam tylko, że jest para koni.
Jak je zaprzężesz jutro i ruszymy,
To wszystko będzie. Teraz, stary Kirmo!
Daj się zabawić, kiedy jeść nie dajesz.

KIRMO

(z gniewem).

Próżniakil (*idzie w głąb i siada przy kuźni*).

MANRU.

Słyszysz?—a cóż mamy robić?
Gdzie tu co ukraść, i od kogo wydrwić
Kawałek sukna choć na lichą kurtę?
Choćby dziurawe buty i grosz jaki
Na chleb i tytoń? Prawda idą ludzie
I jadą traktem, co ztąd niedaleko;
Lecz już nas znają. A choć Jerni wróżę,
A Jegag skacze, Tume się uśmiecha,
A Dżim maleńką nóżkę pokazuje,
Wszystko to dla nich już nie nowe. Głupi
Chłop się napatrzył, i już płacić nie chce.

GAŁDASZ.

Czyto chłop tylko taki?—I panowie,
Żydy i szlachta równie głupi, albo
Może też równie mądrzy.

MANRU.

To też Cygan
Powinien włóczyć się odewsi do wsi,
I tam drząc łyka, gdzie go nie widzieli.
Litwa szeroka, Cyganowi ciasno
Na jedném miejscu. Grzyb niech siedzi w ziemi,
Póki go noga czyja nierozdepcze;
Szlachcic do swojej skiby przyrośnięty,
Niechaj się poci nad kawałkiem ziemi,
Póki nie przyjdzie Maribe koścista,

I tam, gdzie orał, jamy nie wykopie.
A nam to na co? Dla Cygana hańba,
Kiedy mogiłę jego tam usypią,
Gdzie go na rękach matka kołysała.

DRABO.

Co to, to prawda. Niechaj cię beng porwie,
Jak mądrze gadasz.

MANRU.

To téż mię złość brała,
Że Kirmo siedział tu i siedział, póki
Nie zdechła szkapa, że już nie mógł dalej
Ruszyć się z miejsca.—Stary do niczego.

GURU.

A jaki złośnik! grozi nam bizunem.

GAŁDASZ
(*sekretniej*).

Cicho! niedługo jemu rządzić nami.
Niech tylko Nango wróci. Bez zachodu
Zbierzem się wszyscy, i starego zrzucim,
A Nango niechaj będzie naszym starszym.
On More, on pochodzi z tego rodu,
Z którego mówią, byli nasi króle;
Kiedys przed laty Andrzej Stefanowicz,
A nie tak dawno pan Jan Marcinkiewicz,
Co siedział w Mirze, miał sto koni w stajni,
I od którego, jak szeroka Litwa,
Jeden Radziwiłł tylko był mocniejszym.

MANRU

(*klepie go po ramieniu*).

Mądryś ty bratku! z tego i dla ciebie
Kawałek dobrej spérki się okroi.

GAŁDASZ.

Czemu?

MANRU.

Jak Kirmo już nie będzie starszym,
Wtedy i Gulda będzie pokorniejsza.
Gdy pomiarkuje, że jój Nango nie chce,
A bizun ojca nic już nie poradzi,
Przyjdzie do ciebie sama i popatrzy
Tém czarném okiem, co na wskrós przepala;
Pckaże białe zębki i tak powie:
„Kocham cię Gałdasz, będę twoją għassi.”

GAŁDASZ
(z uśmiechem).

Czy przyjdzie, czy nie przyjdzie, tego nie wiem.
Czekałem dłużej, czekać będę jeszcze.
Dla takiej ghassi warto być cierpliwym.

MANRU:

A pięknaż była, jak ci nóż wydarła,
I poleciała na złamanie szyi.
Gdzież ona teraz?

GAŁDASZ.

Jegag ją dopędził,
A Jerni jakoś gniew jój ugłaskała.
Zostali w lesie. Ja wróciłem, żeby
Jój nie rozdrażniać. Niechaj się wykrzyczy.
Jak wróci Nango, to jój zamknie gębę.

MANRU
(pogląda na lewo).

Patrzcie! patrzcie! Jegag fajkę pali!
(wszyscy patrzą).

SCENA DRUGA.

CIŻ, JEGAG *wchodzi z fantazyą z lewej strony*
paląc fajeczkę.

MANRU.

A z kąd masz tytuń?

JEGAG.

Jerni wywróżyła.

DRABO.

Mądra to babal niechaj ją beng porwie.

JEGAG.

Traktem szły chłopki i jeden chłop z nimi.
Jerni zaczęła baby te tumanic:
Jednej sześćdziesiąt lat obiecywała,
Diewczynię męża, inszej troje dzieci.
A chłop się gapił i tak nachylony
Patrzył, jak Jerni z babskiej dłoni czyta.
A przy torebce, z tyłu, miał za pasem
Zatkniętą fajkę i ot to z tytuniem.
(pokazuje pęcherz pełny tytuniem).

Ja wtedy mówię: „Jerni, będzie zdobycz,
Zagadaj chłopca.”—Ona obie jego
Ręce chwyciła i zaczęła wróżyć.
Głupi chłop słuchał, i nie pomiarkował,
Jakem z za pasa wszystko to wysmyknał.

MANRU.

Dawajże! dawaj—to dopiero bankiet!
(nakładają sobie fajeczki i jeden od drugiego zapala).

GAŁDASZ.

Cóż robi Gulda? czy wyrzeka jeszcze?

JEGAG.

Już teraz cicho siedzi nade drogą,
I tylko myśli. Ale jój coś złego
Chodzi po głowie. Oczy jój jak węgle,
Zęby ściśnięte, łokcie na kolanach,
A obie ręce, jakby dwa grzebienie
Wsunęła w czarne włosy, które szarpie,
I z grożącego czoła odgartuje.
Patrzyłem na nią długo, a choć piękna,
Strach jakoś patrzeć. Nie chciałbym być teraz
W skórze téj małej, którą Nango znalazł.

GAŁDASZ.

Pluń na to. Dałby on jój, gdyby śmiała
Tknąć się dziewczyny, którą sobie wybrał.
Alboto Cygan chłop, żeby wiek cały
Męczył się z jedną. Miała go trzy lata,
A teraz inna mieć go będzie póty,
Póki się od niej serce nie odwróci.

JEGAG.

No tak, to prawda, to cygańskie prawo;
I żaden nie chce stracić téj wolności.
Wié ona o tém, jednak nie odstanie,
Zginie a nie da inszej.

GAŁDASZ.

Gdzietam nie da.
I niedźwiedzicy Cygan umie w gębę
Zasunąć kółko, i tańcować każe,
Jak jój zaśpiewa.

MANRU.

Ona mocno kocha.

DRABO

(ze śmiechem do Galdasza).

I mocno bije, niechaj ją bęń porwie!

GAŁDASZ.

Nic to—z jój ręki to niebardzo boli.

NANGO

(za sceną).

Hop! hop! hop!

GAŁDASZ.

Cicho! to głos Nanga. Patrzcie!

Ot i on wrócił i dziewczeczkę swoją
Za rękę wiedzie.

MANRU.

Co to ona niesie?

Aj! aj! gitaral—musi grać i śpiewać.
Nu, nie dziwota, że koło niej Nango
Tańcuje, jak mu zagra.

JEGAG.

Biédne dziewczę!

Niechno ją Gulda ujrzy, obaczycie!

GAŁDASZ.

E, co jój będzie? a od czego bizun.

*(wchodzi Nango w czerwonej kurtce i prowadzi za rękę Naję,
trzymającą wypukłą gitarę o kilku strunach).***SCENA TRZECIA.**CIŻ, NANGO, NAJA, GOJA i inne CYGANKI
patrzą zdaleka.

GAŁDASZ.

Jak się masz Nango?

NANGO

(oglądając się wkoło).

Jak się macie chłopcy!

A co tu u was?—*(do Galdasza).* Gdzie jest Gulda?

GAŁDASZ

(ciszej).

W lesie

Wygląda ciebie z nożem, który w gniewie,

Z za pasa u mnie wychwyciła, gdym jęj
Powiedział, żeś tę spotkał i wybawił.

NANGO.

Szalona!—Ale cicho! potém o tém.
Gdzie stary?

GAŁDASZ.

A ot! siedzi przy swėj kuźni.

(ciszej).

Nango! my już tu sobie ułożyli,
Że jego zrzucim, a obierzem ciebie.

NANGO.

Co mi tam!—pierwěj z Guldą się obaczę.

GAŁDASZ.

Alboż ją kochasz jeszcze?

NANGO

(śmiejąc się).

Tybyś nie chciał,
Żeby mi w piersiach dawna chęć została,
I żeby oczy na nią tak patrzyły,
Jak dawniej.—Weź ją sobie teraz, możesz.

GAŁDASZ.

Ba! możesz!—łatwo gadać, lecz obaczym.

NANGO.

Cicho bądź, stary ku nam tu podchodzi.

(do Kirma, który się zbliża ze zmarszczoném czołem).

Jak się masz dado! Coś tak zmarszczył czoło,
I brwi nasunął? Czy ci to nie miło,
Żem ci tak piękną zdobycz przyprowadził?

KIRMO

(patrząc surowo na Naję).

Ją? A tu na co jeszcze jedna gęba?
I tak ich nadto.

NANGO.

Nadto jest na ziemi
Ten, co już zgrzybiał. Młody zawsze zda się.
Nie o nięj mówię, Kirmo. I to zdobycz,
Piękna, jak widzisz, ale nie dla ciebie.
Dla ciebie inszą mam za koczowiskiem.
Chodźcie zobaczyć konie, co tam stoją.
Dzielne to szkapy!—Wóz twój i ładunek

Pociągną żwawo, i mój jeszcze wózek
Z mąką i kaszą będziesz mógł przywiązać.

MANRU.

Są szkapy! hejża! jutro zaraz w drogę.
Mnie od siedzenia nogi już nadgniły.

DRABO.

I mąki przywiózł? zuch! niech go beng porwie!

JEGAG.

I jeszcze ptaszka, co nam śpiewać będzie.

NANGO

(klepie Kirma po ramieniu).

No, stary dado! podnieśno łeb siwy,
I pójdź poglaskaj gniadą i pstrokatą.

(do Nai łagodniej).

Zostań tu Naja! usiądź tam i spocznij.
Nie patrz tak smutno. To wesołe chłopcy.
A ten dziad stary, choć ponuro patrzy,
Nie taki zły, jak tamten. Nie podniesie
Na ciebie ręki—za to ja ci rękę.
Chodźcie.

(wszyscy wychodzą na prawo, kobiety wracają do kociołka. Naja zostaje bliżej drzewa).

SCENA CZWARTA.

NAJA *(ogląda się wokół).*

Tu straszno! las głęboki! głuchy!
Dziewczyny żadnej tu nie widać, tylko
Stare tam baby siedzą przy kociołku,
I patrzą na mnie, jak na jakie dziwo.
Oj! gorzko jakoś mię tu przywitali.
Stary brwi zsunął i dobrego słowa
Nie dał sierocie. Biédna! biédna Naja!
Ciężko ci będzie z niemi, choć tu miły,
Co mnie obronił, matkę na wóz zabrał,
A gdy zamknęła oczy, dół wykopał,
I skrzeple ciało pokrył matką ziemią!

(siada na ziemi pod drzewem i przesuwa rękę po gitarze).

Struny wy moje! nie wiem, czy tu palce
Zdołają dobyć piosnkę z waszój sieci!
Choć serce kocha, ale śpiewać nie chce.

W piersiach przygluchło, to i wy podobno
Na długo w lesie tym zaniemiejecie.

*(kładzie gitarę i spiéra głowę na rękę —
z lewej strony wchodzi Jerni i Gulda).*

SCENA PIĄTA.

JERNI, GULDA, NAJA.

GULDA
(podnosi głowę).

A któż wie, może on nie wróci wcale.

JERNI.

Jeśli ma wracać z inną, niechaj lepiej
Rusza w świat, żebyś go już więcej nie widziała.

GULDA.

Nie Jerni, jabym wtedy poszła za nim.

JERNI.

Poco?

GULDA.

Posłyszec, jak ją wołać będzie;
Obaczyć, jak ją wezwie do pieśczoćy;
Jak głaszcząc twarz jój w oczach jój zatonie,
Jak kładąc głowę jój na swoich piersiach,
Ustami swemi ust jój szukać będzie.

JERNI
(ruszając ramionami).

I cóż ci z tego przyjdzie?

GULDA.

Co? ja wtedy
Stanę tuż za nią, i on będzie musiał
Patrzeć i na mnie, i na mojem czole
Czytać, że radość jego prędko minie.
I wzrok mój dla nich stanie się tym nożem,
Którego ostrze widzieć będą zawsze,
I w dzień i w nocy, i czuć jak on zimno
Piersi dotyka i do serca wchodzi.

JERNI.

Nie masz rozumu.

GULDA.

Zemsta, to mój rozum.
Lecz patrzno, coto za kobieta?

JERNI.

Nie wiem,
To jakaś obca.

GULDA

(idzie do Nai i odgartuje jej rękę).

Kto ty jesteś?

(Naja powstaje i patrzy z podziwieniem. Gulda wraca gwałtownie).

Jerni!

To Naja!

JERNI.

Zkąd wiiesz?

GULDA

(drżąc).

Patrzże, czyż nie widzisz,
Że ona piękna i odemnie młodszą
(po chwili zbliża się do Nai).

Tyś Naja?

NAJA.

Naja się nazywam. Czemuż
Tak na mnie patrzysz? com ja ci zrobiła?

GULDA.

Oh! coś zrobiła? to ci kiedyś powiem!
(ogląda się wokół).

Gdzież Nango? bo i on już musiał wrócić,
Gdy ty tu jesteś.

NAJA.

Przyszliśmy tu razem.

GULDA.

Przyszliście razem! oh! wiem o tém dobrze,
Żeście tu razem przyszli; ale gdzież on?

NAJA.

Wszyscy tam poszli konie te obejrzeć,
Które dla bandy przyprowadził.

GULDA

(do Jerni).

Pójdę.

JERNI

(zatrzymując ją).

Guldo! nie dawaj woli sercu. Język
 I oko twoje niech mu nie powiedzą,
 Jaką masz ranę w piersiach, i jak boli.
 Zaśmiej się, pokaż mu tve białe ząbki,
 Tak, żeby nie zgadł, że rozgryziesz niemi
 Tę nitkę, co go wiąże z tą dziewczyną.
 Bo któż wie, może Gałdasz, co cię kocha,
 Skłamał umyślnie, abyś sama, gwałtem
 Zazdrości swojej pchnęła go w jej rękę.
 A jeśli prawda, że już jego miłość
 Frunęła z twego gniazda, to już darmo.
 To ptaszek, Guldo, co się krzykiem nie da
 Nazad przywołać, ani ręką ująć.
 Na niego trzeba chytrą sieć nastawić,
 Żeby nie widział petli, co go złapie.
 A gdy się splącze, wtedy skręć mu główkę,
 I zapłać ból ten, który cię rozrywa.
 Lecz ty nie słuchasz, co ci mówię.

GULDA

(podnosi głowę).

Owszem,
 Słyszałam wszystko *(udaje uspokojenie i uśmiech).*
 Patrz, czy z taką twarzą
 Mam przed nim stanąć?

JERNI

(poprawia jej włosy).

Dobrze, idź, idź teraz.

GULDA

(seryo).

Jerni! o Jerni, staraś a nie mądra!
 Myślisz, że wstanie z grobu dzień wczorajszy.
 Oh! nigdy: patrzaj, jaka ona piękna!
(wychodzi).

SCENA SZÓSTA.

JERNI, NAJA.

NAJA

(przystępuje do Jerni, która zbliża się i patrzy na nią z zajęciem).

Powiedz mi, mami! (1) coto za kobiéta,
Która ztąd wyszła?

JERNI.

To tutejsza Romni.

NAJA.

Jam Romni także, chociaż jestem obca;
Dlaczegoż ona tak patrzyła na mnie,
Jakbym jój dziecko wzięła i sprzedała?

JERNI.

Wzięłaś jój więcéj.

NAJA.

Ja? com tu dopiéro

Staneła nogą?

JERNI.

Powiedzno mi pierwéj,

Kochasz ty Nanga?

NAJA.

A jak go nie kochać?

A gdzież jest drugi taki Rom (2) na świecie?
Przez całe życie byłam bardzo biedna,
Cygan, co starszym był téj małej bandy,
Do której matka dzieckiem mię przyniosła,
Był zły i groźny. Stary pies bez zębów,
Ciągnął grosz ze mnie, skorom do lat przyszła;
A jednakowo bił mię prawie co dnia.
Czasem nie chciałam tańczyć, gdy mi w sercu
Brzmiała piosenka, co nie miała jeszcze
Słów, aby z niemi pobiedz między ludzi.
I ja siedziałam smutna, jak ptaszyna
Siedzi i tuli, i wygrzewa dzieci,
Póki im mocne skrzydła nie wyrosną.

(1) *Mami*, zn. mamka. W ogóle tak dziewczęta nazywają stare, obce sobie kobiety.

(2) *Rom*, młody Cygan.

On wtedy szarpał mię za włosy, ciągnął
 Przed karczmę, gdzie ciekawi wyglądali,
 Jak się wyginać i uśmiechać będę.
 I nieraz z płaczem szłam, bo jego czupny (1)
 Krwawił mi plecy, a tymczasem piosnka
 Zamarła w sercu, i już było po niej.

JERNI.

I dużo takich piosnek umiesz?

NAJA.

Żadnej.

Umiem bajeczki o cygańskich królach:
 O królu Janie, który siedział w Mirze,
 O Znamierowskim, co choć szlachcie rodem,
 Dla ładnej Romni przystał do Cyganów,
 Został ich królem i w Ejszyszkach mieszkał.
 Tych mię bajeczek matka nauczyła.
 A piosnek nikt nie uczył, to téż żadnej
 Nie ma gotowej w głowie; bo piosenka
 Drżmie głęboko na samym dnie serca;
 A kiedy przyjdzie chwila, wtedy raptem
 Budzi się ze snu i na ustach staje.
 Otóż i za to bił mię stary dados,
 Kiedym nie mogła śpiewać, gdy mi kazał.
 Oh! płakać można, kiedy płakać każą,
 Niech grzbiet zaboli, to i łzy popłyną.
 Pieśni nic nie wywoła, ani prośba,
 Ni żadna kara, bo pieśń, jak ptak wolna.
 Ale ty jakoś smutno patrzysz na mnie?

JERNI.

Nic, nic; mów dalej.

NAJA.

Jeszcze gdyśmy mieli

Miszkę, niedźwiedzia, było mi weselej.
 Miszka do tańca nie był zbyt ochoczy.
 Ryczał on zawsze, gdy ze złością dados
 Ciągnął łańcuszkiem za żelazne kółko,
 Które mu gębę rozrywało. Wtedy
 Brałam łańcuszek z rąk Cygana, klaszcząc
 W dłonie i różne pieśni mu śpiewając.
 I biedny niedźwiedź czuł, że mu lżej było
 Pod moją ręką: wspinał się na łapach,
 I chętniej tańczył. A gdy się zmordował,

(1) *Czupny*, bizun, zwłaszcza ten, który jest znakiem starszeństwa.

Zbliżał się do mnie, miło patrzył w oczy,
 Jak gdyby prosił, żeby go pogłaskać;
 I gdy dotknęła kudłów jego głowy,
 Kładł się na ziemi i nogi mi lizał.

(ociera tzy).

On tylko jeden kochał mię. Lecz biedny
 Miszka zdechl prędko i zostałam sama.
 Zarobek cały był z mojego tańca
 I z moich pieśni; a gdy ludzie na mnie
 Patrzyć nie chcieli, i nie chcieli słuchać
 Smutnych mych piosnek, w których było więcej
 Łez niżeli głosu, wtedy znowu stary
 Bił mię okrutnie, że aż krew tryskała.
 O! powiedz, mami, jakże nie mam kochać
 Nanga, co biedną wydarł z rąk tak srogich,
 Co starój matce nie dał umrzeć samój,
 I gdy umarła w ziemi ją położył!

JERNI.

A on cię kocha?

NAJA.

On? a czemuż, powiedz,
 Nie miałby kochać, kiedy ja do niego
 Tulę się całą duszą; kiedy z moich
 Oczów to widzi, że mnie wziął z niewoli,
 I życie oddał, i do mego serca
 Zwołał pieśń szczęścia, co już uciec chciała.

JERNI.

Wiészże ty biedna, kto jest ta kobiéta,
 Która ztąd poszła?

NAJA.

Nie wiem—ona piękna,
 Lecz jakaś straszna.

JERNI.

To jest jego ghassi.

NAJA

(zmieszana).

Co? jego ghassi? jego jest kochanką?
 I on ją kocha?

JERNI.

Kochał ją trzy lata;
 A ona jeszcze kocha go, jak nigdy
 Matka Cyganka dziecka nie kochała.

NAJA

(pocierając czoło obiema rękami).

Cóż będzie? powiedz!

JERNI

(oglądając się).

Strzeż się.

NAJA

(po chwili—z postanowieniem).

Ha! to zginę.

Lecz ja go także kocham tak, jak nigdy
 Matka Cyganka dziecka nie kochała.
 On mnie wybawił, i on mój: niech sobie
 Tamta rwie włosy, jeśli jój nie zechce:
 Ani się zleknie, gdy mi grozić będzie.
 On Cygan; kto go zmusi, by ją kochał,
 Jeśli wzrok jego od niej się odwrócił.
 Wolno mu wybrać mnie z piosenką w sercu,
 Lub tamtę z okiem, co jak nóż przebija.
 „Bądź moją Nają!” niech mi Nango powie,
 A będę. Tamta miała go trzy lata,
 Ja go mieć muszę rok, pół roku tylko,
 Choćby dzień—potém niechaj mnie zabije!
(zakrywa twarz i płacze).

SCENA SIÓDMA.

JERNI, NAJA, GULDA *wchodzi szybko ze zmienioną twarzą, potém NANGO.*

GULDA

(przystępuje do Jerni i bierze ją za rękę).

Jerni! przepadło wszystko! on już nie mój.

JERNI.

Musiałaś gwałtem pchnąć go precz od siebie.

GULDA.

Nie: z ócz wyjęłam gniew, by go nie zakłuł;
 Głos mój był miękki, jak głos matki, kiedy
 Do piersi swojej chore dziecko tuli;
 Uśmiech pokrywał boleść, jak zielony
 Liść kryje ranę, którą ma zagoić.
 Nic nie pomogło: uśmiech, głos, spojrzenie.
 Patrzył bez serca; jak lód zimném słowem
 Przyjął kochankę, co dla niego żyje,

I rzekł: idź, potém pomówimy z sobą.
 Chodź Jerni! poradź, co mam począć: sama
 Nic nie wymyślę; w głowie mojej tylko
 Szum jakiś huczy, w sercu straszne szepty.

JERNI.

Uspokójno się, tak nic nie poradzisz.

GULDA.

Pokój jest w ziemi, a w tém dla mnie rada.
(pokazuje nóż).
 Inszój już nie ma.—Coto? ona płacze? !

JERNI.

Biédneto dziewczę, daj jój pokój Guldo!

GULDA.

Biédna? któż winien.

JERNI.

Ba! nie ona pewnie.

GULDA.

Oh! jam biédniejsza, i biédniejsza przez nią.
(Naja odsłania twarz i patrzy na nią ze drżeniem).
 Pocoś tu przyszła? na płacz czy na radość?
(zbliża się do niej).
 Głupia dziewczyno! popatrzno mi w oczy!
 Płacz twój nie długi—lecz i radość krótka!
(bierze za rękę Jerni i wychodzą na lewo).

NAJA

(ogląda się z przerażeniem).

O, biedna Naja! jakże mi tu straszno!

(Nango wchodzi).

Nango! O Nango! ratuj mnie: jam twoja!

(rzuca się w jego objęcie, zasłona spada).

AKT III.

(Miejsce toż samo.—Na kłodzie z przodu sceny siedzi Naja, przy niej na ziemi Nango, wsparty prawą ręką o kłodę i patrzy z miłością na nową kochankę. Przy kuźni Kirmo zajęty robotą, w ciągu sceny staje z młotem w ręku zewnątrz kuźni i patrzy smutno na Guldę, która tam siedzi na ziemi, zakrywwszy twarz rękami).

SCENA PIÉRWSZA.

NANGO, NAJA, KIRMO, GULDA.

NANGO.

Zanuć mi piosnkę, moja słodka Najo!
 Już serce nie drży ci z bojaźni: Gulda
 Pokornie zeszła ze swojego miejsca,
 I gniewem moim zastraszona, siedzi
 Zdaleka, warcząc może—ale cicho.

NAJA.

O Nango! zęby jój ścisnąłeś groźbą;
 Lecz zła myśl pewnie w głowie jój nie milczy:
 Ona nie zaśnie, póki mnie nie zgubi.
 O, mój jedyny! pogośmy tu przyśli?
 Ziemia szeroka, a piosenka moja
 Wszędzieby ucho ludzkie przywabiła,
 I chlebby dla nas wyrósł z niej, jak z roli,
 Na którą z nieba spada deszcz kroplisty.
 I tak we dwoje szlibyśmy daleko,
 Ja ciebie karmiąc, a ty silną ręką
 Broniąc od złego słodkiej swojej Nai.
 A gdyby w lesie noc nas zaskoczyła,
 Tybyś mi z liści miękkie usłał łożę,
 Na swojej piersi głowę mą utulił,
 A ja bezpieczna, nowąbym na jutro
 Usnęła piosnkę, abyś nie był głodny.
 A tu, o! nie mów, że mi nie drży serce:
 Póki tu jestem, bać się nie przestanę.

NANGO.

Dzieckoś ty Najo! jak ptaszyna miłe,
 Lecz jak ptaszyna trwożne i pierzchliwe.
 Nie wiesz co może w silnym silna wola.
 Słaby śmie wtenczas, kiedy go się boją,
 I grozić lubi, gdy kto przed nim klęka.
 Ale niech spotka oko niezmruczone,
 I głos, co idzie z nieulekłej piersi,
 Stygnie i gnie się jak gorąca szyna
 Pod młotem, który umie ją uderzyć.
 Widziałas, jakem złość ich uspokoił.
 Kirmo ci groził, Gulda przeszywała
 Wzrokiem, a jednak nic ci się nie stało.
 Podniosłem głowę, popatrzyłem tylko,
 I głos ich umilkł; a gdym zapowiedział,
 Że złamię rękę, która ciebie dotknie,

Warcząc odeszli, jak psy zestraszone.
 Nie bój się Najol! przy mnieś ty bezpieczna:
 Czy pójdziem sami w świat, jak dwa bociany,
 Co obok siebie gdzieś do słońca lecą;
 Czy tu zostaniesz, gdzie każdy kark zegnę,
 I gdzie zawładniesz pieśnią i pięknością.

NAJA

(nachyla się i całuje go w czoło).

Kocham cię Nango!

GULDA

(zrywa się).

Oh! to w moich oczach!

KIRMO

(chwytą ją za rękę).

Siedź: ani z miejsca.

NANGO

(patrzy rozmazony w oczy Naj).

Kochasz mię! O! kochaj,
 Ale tak słodko, ale tak głęboko,
 Jak słodko wietrzyk z listkiem się rozmawia,
 I jak głęboko cichy Niemen płynie,
 Gdy silny wicher jego fal nie wzdyma.
 Inszėj miłości miałem dość, aż nadto.
 Twojėj mi trzeba, aby pierś i głowa
 Spoczęły trochę, jak pod wonnym cieniem
 Lipy kwitnącej nowych sił nabiera
 Podróżny, który w upał szedł przez piaski.
 Miłość jēj była piaskiem rozpalonym,
 I żar jēj byłby spalił moje serce,
 Gdybym był ciebie, ptaszku mój, nie znalazł.
 Jam cię wybawił, i tyś mnie zbawiła:
 I teraz razem, póki tchu i życia
 Pójdziemy z sobą.

NAJA

(z uśmiechem).

W świat, jak dwa bociany,
 Co obok siebie gdzieś do słońca lecą.
 Tak powiedziałaś, prawda? z tego kiedyś
 Ładną piosenkę zrobię: teraz cicho!

SCENA DRUGA.

CIŻ i GAŁDASZ *wchodzi z prawej strony.*

GAŁDASZ
(dając znak żeby się zbliżył).

Nango!

NANGO
(wstaje i zbliża się).

Czego chcesz?

GAŁDASZ.

Ty tu pieścisz się z swym ptaszkiem,
I leżąc słuchasz jego szczebiotania;
A my tymczasem tam się naradzamy,
I tu przyjdziemy, by starego zrzucić,
A ciebie obrać głową naszej bandy.

NANGO.

Cóż mnie do tego?

GAŁDASZ.

Jakto, co do tego?

Nie chcesz być starszym?

NANGO.

Mnie to wszystko jedno.

Słabemu władza nie dodaje mocy.
Silny i bez niej silnym będzie zawsze.
Odkąd tu jestem, zawszeście robili,
Jakem wam kazał; com chciał, to się stało.
Kogo słuchają, ten jest starszym; starszy
Z imienia tylko sługą jest jak inni.

GAŁDASZ.

Nango! tyś dziwny człowiek.

NANGO.

Czemu dziwny?

GAŁDASZ
(niechętnie).

Widać, żeś Mero, żeś cygański szlachcic:
Jak szlachcic z chłopstwem, tak poczynasz z nami.

NANGO
(spokojnie).

To bajka, pleciesz, o czém sam nie myślisz;
Jam taki Cygan jak wy wszyscy. Kaftan

Czerwony, co jest znakiem mego rodu,
 Spłował od dawna, jak tych przodków pamięć,
 Tych wojewodów i cygańskich książąt,
 Od których idę, a co niegdyś w Węgrzech,
 I w Siedmiogrodzie bandom królowali.
 On mnie nie robi pierwszym między wami.
 Jest coś innego, że idziecie do mnie,
 Gdy trzeba rady w jakiej złej godzinie;
 Ze mnie stawicie z przodu, kiedy jaka
 Bięda zagraża wszystkim i każdemu.
 Co to jest, tego nie wiem, i wy może
 Nie wiecie sami; lecz czujecie wszyscy,
 Że choć wam równy, wyższy-m jednak głową,
 Silniejszy ręką, i mocniejszy piersią.
 Gdy więc i teraz tak myślicie, róbcie
 Jak się wam zdaje. Jeśli zawołacie,
 Stanę, i bądźcie pewni, że jak dotąd
 Com kazał było, tak i potem będzie.

(odwraca się i zdejmując z dzewa gitarę Nai, Gałdasz ruszywszy ramionami odchodzi.—Nango kładzie się znowu przy nogach Nai, podaje jej gitarę i mówi z uśmiechem).

Cóż twoja piosnka? moja słodka Naj!

NAJA.

Jaka?

NANGO.

A jakaż: ta, coś obiecała.
 Struny czekają, żebyś ich dotknęła,
 A dźwięk ich razem z głosem twoim przejdzie
 Do mego serca.

NAJA

(bierze gitarę).

Więc ty chcesz piosneczki,
 O tych bocianach co do słońca lecą?
 Aj! drogi Nango! możnaż to tak prędko?
 Ta pieśń się jeszcze w sercu nie złożyła:
 Ale posłuchaj, gdyś tam z nim rozmawiał,
 Wysłułam inszą.

NANGO.

Słucham cię, mój ptaszku!

NAJA

(śmiejąc się).

Właśnie o ptaszku będzie. Ale teraz
 Spięwać nie będę; powiem ci ją tylko,
 Bom jeszcze dobrej nuty nie dobrała.

SCENA TRZECIA.

KIRMO, GULDA, NANGO, NAJA, JERNI *wychodzi z lewej strony z lasu, z laską w ręku, staje z boku i słucha.*

NAJA

(uderza w struny i po przegrywce mówi).

— Śliczny szczygiełku! ptaszku maleńki!

Mówi pytając, młoda Cyganka,

Ty sobie latasz, nuczysz piosenki

Czy nie widziałeś mego kochanka?

— Jakiż on? naucz, ptaszek odpowie;

Możem i widział, lecz mogęż zgadnąć?

— Ma czarne włosy na dumnej głowie,

A okiem umie sercem zawładnąć.

— Tam młody cygan szedł przez dąbrowę,

Ale do ziemi miał wzrok schylony;

Czarne miał włosy, lecz spuścił głowę—

— To nie ten ptaszku! ptaszku pieszczony!

— Jakiż on jeszcze, powiedz dziewczyno!

Może się innym przymiotem chlubi?

— On nie pogardza drobną ptaszyną,

Rzuca jój ziarnko i pieśń jój lubi.

— Dziś na gałęzce rosą okryty,

Siadłem śpiwając pieśń z całej siły,

Pod drzewem Cygan spał jak zabity.

— To nie ten ptaszku! ptaszku mój miły.

— Jakiż on jeszcze, naucz mię, może,

Powiem ci, jaką udał się drogą.

— Jego nie straszą kije ni noże,

Dziesięć rąk ręki jego niezmogą.

— Po głuchój puszczy latałem z rana,

Aż słyszę w krzakach płacz i jęk srogi.

Tam kilku chłopów biło Cygana.

— To nie ten ptaszku! ptaszku mój drogi!

— Toż ja już nie wiem, rzecze ptaszyna

Po jakich ścieżkach miły twój bieży.

— Patrzenie-no ptaszku, mówi dziewczyna

Śmiejąc się, ktoto u nóg mych leży?

Nie także włosy, jakem mówiła,

Nie także oko i czujność ucha;

Nie także w ręku i w piersiach siła,

Nie także patrzy i piosnki słucha?

Teraz szczygiełku! ptaszku maleńki!
 Klasnąwszy w dłonie, doda Cyganka,
 Leć sobie dalej, nuć swe piosenki,
 I już nie szukaj mego kochanka.

JERNI

(zbliża się i kładzie rękę na ramieniu Nai).

Ładna piosenka! ależ głupie dziewczę!
 Nie myślisz o tém, że jej tamta słucha.

NANGO

(zrywa się, odsuwa Naję na przeciwną stronę i staje między nią a Jerni).

Nie drzyj tak Najo! nie bój się, ja z tobą.—
 Precz czarownico! Po co mi ją straszysz?
 Mówiłem: kto jej dotknie, złamię rękę;
 Kto ją skaleczy słowem temu przytnę
 Język, i zęby w gębę mu wybiję.

JERNI

(śmieje się złośliwie).

A gdy już czas je wybił, gdy ich niéma?
 Śmiałżebyś porwać się na starą babę,
 Co ma trzy razy tyle lat, niż tobie
 Życ naznaczono?

NANGO.

Idź, prorokuj głupim:

Ja drwię z twój wróżby.

JERNI.

Wróżbato nie trudna.

Zuchwalcy zwykle bardzo krótko żyją:
 Możesz nie wierzyć, ale kto ma rozum,
 Nie drażni serca, które go kochało.
 Pszczoła maleńka i miód słodki daje;
 Lecz gdy ją ściśniesz, ciężko cię zakole:
 Tys silny, prawda, wszyscy cię słuchają,
 Ale kobieta, której miłość depczesz,
 I serce krwawisz, pewnie się nie zleknie.

GULDA

(która w czasie słów Jerni zbliżyła się, a za nią Kirmo z młotem z tyłu).

To prawda, Nango, ona dobrze mówi.

NANGO

(postępuje ku nim).

Cóżto? myślicie, że się grózb ulęknę?

KIRMO

(z wściekłością).

Ty psie przeklęty! wiem, że się nie złękiesz
Groźby kobiecój—lecz to już nie groźba.

*(podnosi młot, zamierza się i chce go uderzyć. Naja wydaje
krzyk, Gulda rzuca się naprzód i zasłania sobą Nanga).*

GULDA.

We mnie wprzód uderz, ojcze!

NANGO

*(odpycha Guldę, rzuca się na Kirma, wydziera mu młot i odrzuca
daleko, śmiejąc się).*

Głupi dziadu!

(na odgłos tej wrzawy zbiegają się Cyganie).

SCENA CZWARTA.

CIŻ, GAŁDASZ, MANRU, DRABO, JEGAG,
GURU i inni CYGANIE i CYGANKI.

GAŁDASZ.

Coto? co było? powiedz Nango!

MANRU.

Powiedz.

NANGO

(żartobliwie).

Fraszka: grzyb w lesie porwał się na dęba,
I chciał go zwalić.

GAŁDASZ.

Kirmo! tyś oszalał!

Na niego z ręką?

NANGO.

Z ręką nie—lecz z młotem.

Wiecie, on kował: chciał spróbować tylko,
Czy mój łeb równie twardy, jak kowadło.

(z mocą do Kirma).

Prędzej ty głupcze! zegniesz zimną szynę,
Niżli mię zmusisz, bym ją wziął na powrót.

Ni jej miłości nie chcę, ni obrony.

Ja chcę słodkiego trunku, nie kąpiątku,

Który rad nie rad przez trzy lata piłem.

Dosyć już tego—ty się w to nie wdawaj.

Cygan dziś kocha, jutro przestał: nikt go
 Nie może zmusić, aby gnił w niewoli.
 To samo ona mogła dawno zrobić;
 Nie rzekłbym ani słowa, tylko nogą
 Pchnąłbym od siebie głupią, co mną gardzi.
 Lecz nie to tylko piekło ci psie serce.
 Wiem ja, oddawnam był ci solą w oku,
 Żem patrzył śmiało, gdyś ty brwi nasuwał,
 Żem się śmiał, gdyś się rzucał, i żeś musiał
 Mimo twój woli robić tak, jak chciałem.
 A teraz jeszcze żar tój nienawiści
 Ona rozděła!—Wolno wam obojgu
 Mnie nienawidzić. Warczcie sobie w kącie,
 I układajcie, jak mnie zgubić: ale
 Wara wam od niej, wara ci odemnie.
 Jeżeli na mnie nóż lub młot podniesiesz,
 Ja ci nie młotem, ale pięścią tylko
 Stary łeb zgniotę, że nie stękniesz nawet.

GAŁDASZ

(występuje).

Teraz posłuchaj Kirmo! co ja powiem:
 Dziesięć lat wodzisz nas, i źle nam wszędzie,
 Głodno i chłodno; jużes nadto stary,
 I nie masz głowy: siądzże sobie w kącie
 I pal spokojnie tytuń, jak ci dadzą;
 A Nango odtąd będzie naszym starszym.

MANRU

(występuje).

Na jedném miejscu lubisz długo siedzieć,
 I trzymasz bandę w lesie, jak zamknięte
 W oborze bydło. Cygan wtedy żyje,
 Gdy przed nim droga, i szerokie pole,
 I wieś, i karczma. Tyś grzyb, stary Kirmo!
 Wrastasz już w ziemię, siedzże w niej z korzeniem,
 A nas kto inny poprowadzi. Czas twój
 Minął już dawno: niechże Nango będzie.

JEGAG

(występując).

Tyś zły, a słaby, tyś już do niczego,
 Grozisz bizunem, nawet młot podnosisz,
 A niemasz mocy, żeby nim uderzyć.
 Twój pustej groźby nikt już nie usłucha,
 Boś tylko stary, lecz nie starszy siłą.
 Idź więc w ką Kirino—Nango będzie starszym

DRABO

(występuje).

Fajka nam stygła często po miesiącu;
 Nie ma tytoniu! a tyś starszy Kirmo!
 Kociołek bywał po tygodniu próżny,
 Ani w nim kaszy, ni kawałka szpérkil
 Suchar—i basta,—a tyś starszy Kirmo!
 Na co nam taki starszy, co nie umie
 Napęlnić swoim fajki i kociołka.
 Idź więc w kąć Kirmo: Nango przywiózł kaszy,
 I dał tytoniu—Nango jest nasz starszy.

WSZYSCY

(oprócz Jerni i Guldy, wołają).

Nango niech będzie, jego będziemy słuchać.

KIRMO

(który przez ten czas patrzył ponuro w ziemię, wyjmując z za pasa bizun (czupny) znak starszeństwa, i rzuca go im pod nogi).

Tu psy niewdzięczne!—weźcie.—Jak wam później
 Spisze nim plecy, to pomyślcie sobie,
 Że stary Kirmo śmieje się w swój jamie.

(do Guldy).

A ty szalona! któraś mi nie dała
 Rozbić mu młotem głowy, ruszaj teraz
 Służyć téj dziewczce, co twe miejsce wzięła.
 Nie znam cię więcj—tyś nie moje dziecko.

GULDA

(ciszej do ojca, zaciskając zęby).

Nie bój się stary, już ja jój usłużę.

(usuwają się na lewo w głąb. Kirmo siada na ziemi, i ponuro patrzy, przy nim staje Gulda i Jerni).

GAŁDASZ

(zdejmuje bizun z ziemi i podaje go Nangowi).

Weź go, weź Nango, tyś już starszy.

NANGO

(bierze).

Biorę:

Lecz pamiętajcie, że go nie upuszczę,
 Gdy przyjdzie podnieść go i nim uderzyć.

(zatyka go za pas).

JEGAG.

Nam dosyć twego słowa.

NANGO.

Bo téż czyje
Słowo nie mocne; ten niech pasie bydło.—
A teraz patrzcie! to jest moja ghassi.
Jak oka w głowie, tak pilnować będę,
By do jój oczów nikt łez nie napędził,
I z ust nie zegnał farby i uśmiechu,
Mówię to wszystkim, aby każdy wiedział.

NAJA.

O dobry Nango!

MANRU.

Wiémy jak ci miła.

NANGO.

Po jutrze idziem w drogę, ku Mirowi,
Tuśmy siedzieli może nadto długo.
Litwa szeroka: tam wsi wiele, więcej
Ludzi ciekawych, którzy mają grosze,
I łatwowiernych, co się zdurzyć dadzą.
Baby niech wróżą, ptaszek mój zaśpiewa,
A Dzim potańczy z bębmem i dzwonkami;
Wy zaś chłopaki...

JEGAG.

Nasza rzecz kieszenie
Chłopów, koszyki babskie i żydowskie
Skrzynki.

DRABO.

Daj pole, a już żniwo będzie.

NANGO.

Kto źle ukradnie, ten dostanie batem.
Gałdasz, ty konie będziesz miał pod strażą;
Ty Manru wozów dopilnujesz; wózek
Przywiążesz z tyłu, i z leszczyny młodój
Przyczepisz na nim budkę: na tym wózku
Usiądzie sobie Naja pod nakryciem,
(kładzie rękę na jój głowie).
Ażeby słońce główki jój nie piekło.

GULDA

(do Jerni).

Oh! prędzój legnie pod nakryciem z ziemi.

MANRU.

Już ja jój śliczną bryczkę wyrychtuję.
(Naja dziękuje mu uśmiechem).

NANGO.

Drabo! tyś kowal, dalej do kowadła:
Opatrz podkowy i obejrzyj w wozie
Osie i koła, by się nic nie psuło.

DRABO.

A stary?

NANGO.

Stary niech spoczywa: dość się
Nadźwigał młota.

JEGAG
(szyszcząc).

I do łba nim mierzył.

Głupi!

JERNI.

Milcz Jegag! głupszy ten, co siwój
Urąga głowie, bo nie będzie starym.

NANGO.

Cicho! nie lubię swarów, ani bójek.
Gdy bydło w polu bodzie się rogami,
Powraca zwykle głodne do obory.
Kirmo już przebył swoje, a wy młodzi
Nie śmieście drażnić go słowami. Dosyć
Biedy staremu, że mu nic nie służy,
Że chciałby ugryść życia, a tu nie ma
Zębów, i zły na młodych, co je mają:
Dajcie mu pokój. Jużeśmy mu wszystko
Wypowiedzieli, i niech będzie koniec.
No, dalej teraz wszyscy do roboty:
Baby do kotła, i manatki zbierać;
A wy chłopaki każdy na swe miejsce.
(*obraca się do Nai*).

MANRU
(*do innych*).

Oto mi dados, to mi starszy!

JEGAG.

Ba! ba!

DRABO.

Bądź mądry niezróbno tak, jak ci każe.
(*wszyscy rozchodzą się i usuwają ze sceny*).

NAJA

(kładzie ręce na jego piersiach).

O Nango! czemu teraz nie ma królów?
 Jabym cię zaraz królem wykrzyknęła,
 I każdy słuchałby twojego głosu!

NANGO.

Dziecino miła! możeż ja być inszym?
 Ten głos, którego każdy słuchać musi,
 Jest tu: a z kąd mi przyszedł, tego nie wiem.

NAJA.

O, z tąd zapewne, z kąd mnie moje pieśni!
(Nango patrzy na nią z miłością, całuje ją w czoło, potem obejmuje w pół i wychodzą na prawo).

GULDA

(idzie naprzód sceny, zmieniona, z wlepionemi oczyma w to miejsce, gdzie stali, z roztarganym włosom; Jerni postępuje zwolna za nią).

Tu, przy nich wszystkich zwał ją swoją ghassi!
 Tu na jój głowie rękę swą położył,
 I jak zrzenicy bronić jój obiecał.
 I bronić będzie, bo w nim moc i siła,
 A ona piękna, i on ją pokochał
 Więcej, o! stokroć więcej niż mnie kiedyś.
(bierze za rękę starą Cyganke).

Jerni, o Jerni! czy ty to pojmujesz,
 Co się tu działo, gdym patrzyła na nich,
 Kiedym musiała milczeć, i nie mogła
 Dziesięciu nożów wetknąć do jej serca.

JERNI.

Słuchajno Guldo!

GULDA.

Nie mów nic, słowami
 Nie dasz mi rady; nie zamówisz bolu,
 Który już przejadł się do głębi duszy.
 Insze lekarstwo wymyśl. Daj mi ziele,
 Coby powoli zdarło wdzięk z jój lica,
 Zgasiło oczy, co go nęcą blaskiem,
 Ażeby widział codzien, jak z jój kości
 Zsuwa się ciało, by drżał codzien mocniej,
 I aby wreszcie w rękach jego zwiędła,
 I jak łodyga sucha się złamała.
 Daj mi to ziele, ty je znasz, inaczéj
 Przeklnę cię stara wiedmo! żeś nie wtedy
 Nie zadusiła, gdym twą pierś ciągnęła.

JERNI.

Dam, jak czas przyjdzie.

GULDA

(z wykrzyknikiem).

Dasz? o złota Jerni!

JERNI.

Cicho bądź, nie krzycz, tu nie tobie tylko
Potrzeba zemsty—i mnie jój potrzeba,
I jak czas przyjdzie, będziem ją mieć obie.
Ale milcz, wciągnij szpony, i jak kotka,
Siedź przy ich norze, aż ci powiem:—teraz!

GULDA.

Aż powiesz? kiedyż powiesz?

JERNI

(oglądając się).

Chodź, tu słyszają.

GULDA

(ciągając ją).

Chodźże, chodź prędzej, tylko mów niewiele;
Chyba, że takie wynalazłaś słowo,
Co jak nóż kole, co jak jad zabija.

(wychodzą na lewo, zasłona spada).

AKT IV.

(Miejsce toż samo. Kirmo leży blisko drzewa oparty o kłodę;
Jerni siedzi koło niego na kłodzie, a Gulda z lewej strony
o podał z głową opartą na dłoni).

SCENA PIĘRWSZA.

KIRMO, JERNI, GULDA.

KIRMO

(nakładając fajeczkę).

Coś ich nie widać, wieczór się nasuwa;
Wyszli tak rano!

JERNI.

Pewnie gdzieś daleko
Nowy wódz bandę swoją poprowadził.

(z ironią).

Przyniosą wielką zdobycz!

KIRMO.

Czemuż wielkiój
Nie mają przynieść? z takim zuchem każdy
Robi się śmielszym i zręczniejszym staje.

JERNI

(kivając głową).

Tys widzę całkiem już opuścił uszy?
Przewieśże jeszcze torbę, stary dziadul

KIRMO

(krzesząc ogień do fajki).

Ba! i ja także byłem kiedyś młodym,
I swój czas miałem; była siła w ręku,
I białe zęby i na łbie włos czarny.
A żaden Cygan nie rzekł wtedy do mnie:
„Ruszaj w kąt Kirmo! na nic się już nie zdasz”.
Wieleżto razy wiodłem naszą bandę,
Która mię chętnie starszym wybierała.
A gdy wiatr inny zawiał, i innego
Za przewodnika swój wędrówki wzięli,
To znów wracali i prosili: „Kirmo!
Bądź starszym, prowadź nas po Litwie dalej”.
Nawet przed kilką laty, choć już z głowy
Zleciały włosy, a co się zostało,
Zwiędło jak liście, które wiatr zapomniał
Na starym dębie, jednak przyszli do mnie,
I rzekli: „Kirmo ciebie słuchać chcemy”.
I jam bił dla nich młotem, i próżniaków
Żywił zarobkiem mojej starej dłoni.
I banda nasza większa niżli inne;
A choć głód czasem zajrzał tu i do nas,
Nie pozdychali jednak, bo niedługo
Kociołek znowu kipiał mém staraniem.
Teraz im inny lepszy, a ja w kącie
Siedzę skulony. Dobrze, będę siedział.
Prawda, gniew z razu chwycił mię za serce,
Jakby obcęga pryskającą szynę;
Alem pomyślał: co mi przeznaczono,
To mnie nie minie; co ma być, to będzie.
Pamiętasz, Juta była mądra baba,
Ona i ciebie wiele nauczyła;
Ona mi rzekła: „Kirmo! umrzesz starym,
I umrzesz starszym. Nie troszcz się nigdy”.
Dlatego teraz siedzę sobie cicho
I choć się gniewasz, kpię i fajkę palę.

JERNI.

I będziesz czekał, aż ta pora przyjdzie? ...

KIRMO.

A cóż mam robić!—ręką nie przyciągniesz
 Co samo idzie zwolna, lecz przyjść musi.
 Fala na Niemnie, co jest dziś pod Grodnem,
 Jutro jest w Kownie. Sto rąk jój nie wstrzyma;
 Jak żadna ręka w garść jój nie nabierze,
 I nie przeniesie dziś, gdzie ma być jutro.
 Tak z naszym życiem, i z tém co się zdarza.
 Cygan się rodzi takim, jakim umrze.
 Kto kowal, z dziecka piecze się przy ogniu;
 Kto złodziej, z dziecka bawi się ze stryczkiem.
 I tak idziemy wszyscy, aż nareszcie
 Przychodzi każdy tam, gdzie mu kazano.
 Nie jeden rzuca się, bo głupi, nie wie,
 Gdzie jego droga. Komu zaś powiedzą.
 Jakim manowcem trafi do swój jamy,
 Czeka spokojnie i fajeczkę pali:
 Umrze on starszym, choć go durnie zrzucą.

JERNI.

Tacy wy wszyscy, starzy jak i młodzi.
 I miłość wasza krótka i nienawiść,
 Jak na łbie waszym przystrzyżone włosy.
 Obraza w sercu waszém nie osiada
 Tak, jak w kobiety sercu, gdzie się gnoi,
 Póki się robak zemsty nie wylęgnie.
 Wzięli ci władzę, wyrzucili za płot,
 Jak psa bez zębów i z ochrypłym głosem,
 Który podwórza bronić już nie może;
 On nóż utopił w piersiach twego dziecka,
 Jak pszczoła wypił wszystek miód z jój serca,
 I siadł przy innym kwiatku—cóż ty na to?
 Prysnałeś gniewem, z młotem się rzuciłeś
 Na zuchwałego, co cię nogą kopnął;
 I wszystko przeszło: gotówbyś z nim nawet
 Wypić na zgodę—a twój gniew zgasł prędko
 Jak płomień słomy, co na chwilę buchnie,
 A potem cicho—tylko garść popiołu.
 Tfy! wstydz się, Kirmo.

KIRMO.

Cóż to? zapomniałaś,
 Że ja psa tego z dawna nienawidzę;
 Lecz widać jeszcze nie czas: skoro przyjdzie,
 Co mnie i jemu przeznaczono, wtedy
 Dam mu za swoje.

JERNI.

Tak, tak, a tymczasem

Twojego trupa w zimnej złożą jamie;
 I on z kochanką swoją na mogile
 Twojej usiądzie, i przy dziecku twojem
 Pieścić ją będzie i jej pieśni słuchać.—
 Lecz nie doczeka: ja mu nie daruję;
 Ja, niegdyś twoja ghassi, ja, przy której
 Piersi w sieroctwie dziecko twe wisiało.

KIRMO.

Cóż mu dziś zrobisz?—siła jego wielka,
 A w oczach siedzi coś, co już zdaleka
 Powala wroga, co się chce zamierzyć.

JERNI.

Sily ja nié mam, bom już stara baba;
 A czarów oczów jego się nie boję,
 Bom i ja sama trochę czarownica.
 Lecz wiem, z kąd życie bije, jak ze źródła;
 I tam dopęłzać umiem, i jak zmija
 Wpuścić tam kroplę jadu, który chowam;
 A życie bić przestanie, i z nié raz
 Zdmuchniona siła zgaśnie jak łuczywo.—
 Lecz cicho! przyszli.

KIRMO

(ogląda się).

Goja i dwie baby.

*(wchodzi Goja i dwie Cyganki, każda niesie zdobycz w płachcie
 zawiniętą).*

SCENA DRUGA.

KIRMO, JERNI, GULDA, GOJA i dwie CYGANKI.

GOJA

(zadyszana rzuca na ziemię co niosła w płachcie).

Uf! takim biegła, żeby wam powiedzieć.

JERNI.

Cóż się tam stało? czy co złego?

GOJA.

Gdzie tam!

(podskakuje i klaszcze w ręce).

Hejża! hu! hurra! zdobycz, jakiej dawno
 U nas nie było: na tygodni parę
 Będzie każdemu póty. — Patrzno, stara!
 Com ja przyniosła (*pokazuje kawał słoniny*)
 Szpérka na trzy palce!
 Król jakby spojrział, toby się oblizał.
 A ona worek kaszy ma jaglanój,
 A tamta masła pełny garnek. Myślisz,
 Że to już wszystko? gdzie tam! gdzie tam. Nango
 Pełne kieszenie groszów z sobą niesie;
 Gałdasz tytuniu, że i dla mnie stanie,
 Jak sobie zechcę pogryść dla rozrywki:
 Jegag od żyda capnął flaszę wódki,
 A Drabo, niechaj beng go porwie, schwytał
 Cielaczka, zwinął w radno i do lasu
 Na plecach dźwigã. — Nuże wy tam żwawo!
 Rozłóżcie ogień i nalejcie wody;
 Kociołek niechaj kipi: toż im sprawię
 Ucztę, o jakiej ani im się śniło.

(*klaszcząc w ręce*).

Hejża! hu! niechaj żyje Nango! to mi
 Starszy, z nim pewnie głodu nie zaznamy.

JERNI.

Zawsze wam nowy lepszy od dawnego;
 Choć gorszy, byle inszy. — Ale gdzieżto
 Tak was spanoszył Nango?

GOJA.

Gdzie? rozpowiem:

Szliśmy od rana, a tu głód dokuczał
 I słońce piekło. Jakby na złość, nigdzie
 I żywej duszy. Chłopcy chcieli burczeć,
 I mówią: „poco my idziemy? wróćmy”.
 „Milczć, i na przód!” — krzyknął wtedy Nango.
 I wszyscy poszli wzięwszy nogi za pas.
 Ku południowi wieś się pokazała,
 Wikiszki Wielkie, ztąd dwie dobre mile.
 „Patrzajno Drabo! — rzecze Nango, co tam
 Pod żytem?” Drabo podkradł się, aż widzi,
 Chłopak śpi, w ręku mając długi sznurek,
 Który uwiązał do cielaczka nogi.
 Kiwnął więc Drabo, inni tam podbiegli;
 Jegag zarzucił radno na cielaka;
 Drabo oderznął sznurek i schwyciwszy
 W ręce swą zdobycz, dalej w żyto. Tam go
 Zakłutł i rzucił, z nami się złączywszy.

Przed karczmą było ludzi óma i pod wód,
 I dwa koczyki ładne: jeden próżny,
 A w drugim pani jakaś i dwie panny.
 „Patrzcie! Cyganie idą!—wszyscy krzyczą;”
 I dalej żydy wyglądają z karczmy,
 Panowie z fajką stają sobie we drzwiach,
 Chłopy i baby w kupę się zbierają,
 I na nas patrzą. Wtedy Dzim w bębenek
 Swoją uderzyła—tańczy, i do panów
 Ząbkami błyska i oczami strzela.
 I kiedy wszyscy na nią się gapili,
 Nasze chłopaki chyłkiem między wozy,
 I Gałdasz zdobył gdzieś tytoniu worek,
 Jegag wyciągnął szpérkę, Manru kaszę,
 A Drabo garnek masła z pod rąk jakoś
 Tak wymknął babie, że nic nie widziała.
 I w mig kobiety nasze płachtą każda
 Okryła zdobycz, niby dziecko niesie.

KIRMO

(uśmiechając się i kręcąc głową).

Toście się tego popisali.

GOJA.

Czekaj,

Nie na tém koniec: Dzim zebrała dosyć
 Groszów w bębenek, i od owych panów
 Srebrnej monety; wtedy ja do panien,
 I nuż ich prosić, żeby dały rączki.
 Panny ciekawe zawsze, i z nich każda,
 Skoro podrośnie zaraz chce mieć męża;
 Jedną i druga wyciągają dłonie,
 A ja im plotę, a na owych panów
 Póty poglądam, aż się przybliżyli.
 Panny kraśnieją widząc, że panowie
 Słyszą, co mówię; a gdy już skończyłam,
 Jeden i drugi patrząc na dziewczeczki
 Śliczne, jak maki, wtyka mi po rublu.

(klaszcząc w ręce).

Hejża! ho! niechaj żyje Nango!

JERNI

(ponuro).

Jużeś

Skończyła?

GOJA.

Gdzietam! teraz posłuchajcie!
 Na rozkaz Nanga wyszła naprzód Naja

Z gitarą w rękę; panny wychyliły
 Główki swe z kocza, a panowie całkiem
 W śliczném dziewczęciu okiem utonęli.
 Nawet chłopaki proste i w siermięgach,
 Patrzyli na nią, jak na dziwowisko.
 Ona podniosła głowę, pomyślała,
 W czarném jéj oku coś się zaświeciło;
 I gdy wokoło wszyscy tak umilkli,
 Żebyś usłyszał muchę, uderzyła
 W struny, i nie śpiewając, ale jakoś
 Głośno i ślicznie mówiąc, powiedziała
 O królu Janie, który w Mirze siedział,
 Jak jemu list z pieczęcią dał Radziwiłł,
 Z jaką paradą potém król cygański
 Jechał do Zelwy, gdzie był jarmark suty,
 I gdzie sprzedawał śliczne swoje konie.
 Oj! co tam było złota w jęgo rzędzie!
 W jakiej kolasie wiózł tam swą królową,
 Co było na niej dyamentów, pereł
 I aksamitów, aż się serce kraje,
 Że to minęło wszystko, a dziś tylko
 Suchar i łachman, jak powiada Naja.
 Lecz patrzcie! patrzcie! oto już wracają.

(słychać bębenek z dzwonekami za sceną, śpiew i krzyk Cyganów. Kirmo wstaje i usuwa się na lewo, Jerni usiada przy Guldzie. Wchodzi Nango z podniesioną głową, prowadząc za rękę Naję, za nim Cyganie gruppujący się tak, że po środku zostaje plac wolny. Chłopaki stają z lewej strony, a na ich przodzie Manru, Cyganki z prawej. Naja siada na kłodzie, Nango staje przy niej opierając się o drzewo).

SCENA TRZECIA.

CIŻ, NANGO, NAJA, GAŁDASZ, MANRU, JE-
 GAG, DRABO *później* DŻIM i pozostali CYGANIE
 i CYGANKI.

MANRU,

(idąc na swoje miejsce ogląda się i śpiewa).

Uderz w bęben dziewczę składne,
 I ostatnich doładź sił;
 Pokaż że masz nóżki ładne,
 Ja ci będę w dłonie bił.

(wszyscy klaszczą, wtedy Dżim wysuwa się z głębi z bębenkiem w rękę i w ciągu całego śpiewu tańczy, to cofając się w głąb sceny, to rzucając się naprzód ku prawej stronie).

CHÓR
(*przyklaskując*).

Hop! hop! hurra! hejża! ha!
Cygan także się raduje,
Spiewa w lesie i tańczy,
Gdy w kociołku szperkę ma!

MANRU.

Dobryto dzień, jakich mało!
Jest co wypić, jest co zjeść;
Wszystko gracko się udało,
Cześć starszemu! bandzie cześć!

CHÓR.

Cześć starszemu, bandzie cześć!

GAŁDASZ.

Bijże w bęben dziewczę składne,
I ostatnich dobądź sił,
Pokaż że masz zębki ładne
Ja ci będę w dłonie bił.

CHÓR
(*przyklaskując*).

Hop! hop! hurra! hejża! ha!
Cygan także się raduje
Spiewa w lesie i tańczy,
Gdy w fajeczce tytuń ma.

MANRU
(*śpiewa*).

Pan i szlachta, chłop i żydzi
Pocą się, by w worek kłaść;
Cygan pracą się nie zbiedzi,
Patrzy tylko gdzie co skraść.

CHÓR.

Patrzy tylko gdzie co skraść.

JEGAG.

Bijże w bęben dziewczę składne,
I ostatnich dobądź sił,
Pokaż że masz oczki ładne,
Ja ci będę w dłonie bił.

CHÓR
(*przyklaskując*).

Hop! hop! hurra! hejża! ha!
Cygan także się raduje.

Śpiewa w lesie i tańczy
Kiedy w kabzie grosze ma!

MANRU
(*śpiewa*).

Pan gdy goły i w złym stanie,
Płacze, stęka i źle śpi;
Cygan głodny i w łachmanie,
Z biedy i ze świata drwi.

CHÓR.

Z biedy i ze świata drwi.

DRABO.

Bijże w bęben dziewczę składne,
I ostatnich dobądź sił;
Pokaż ząbki, nóżki ładne,
Ja ci będę w dłonie bił.

CHÓR
(*przyklaskując*).

Hop! hop! wszystko się udało,
Jest co wypić, jest co zjeść,
Dobryżto dzień jakich mało
Cześć starszemu! Nandze cześć!
Cześć starszemu, bandzie cześć!

(Dżim znużona przestaje raptem i siada na ziemi, a po niejakiem czasie powstaje i usuwa się ze sceny).

NANGO
(*występuje*).

Dosyc już! biędne dziewczę się zmachało.
Cztery mil drogi! jeszcze ją męczycie.
Idźcie odpocząć, jutro rano dalej
W świat: tuśmy nadto się już zasiedzieli.
(wszyscy się poruszają, Dżim wychodzi).

DRABO.

Trzeba odpocząć gdy przed nami droga;
Lecz wprzód Nango, pozwól się z kociołkiem
Trochę rozmówić. Cielak był zacieżki,
I tu mnie jakoś ściska coś gwałtownie.

GOJA
(*przystępuje*).

Nie bój się! taki krupnik wam zgotuję,
Że i panięta, co we dworze siedzą,
Jakbym go z miską im podała, razem
Z miską i z łyżką zjedliby ze szczętem.

GAŁDASZ.

Dobrze starucho! tylko szperki dużo.

GOJA.

Będzie jój, nie bój się, jak szyszek w lesie.

GAŁDASZ.

Chodźcież poleżeć, nim nas baba zwoła.

MANRU.

Czekajcie!— Nango! nim pójdziemy spocząć,
Kaź Nai, żeby powiedziała jeszcze
Tę śliczną bajkę o cygańskim królu,
Co w Mirze siedział. Ot i stary Kirmo
Posłucha. Kto wie, może i sam widział,
Jak on do Zelwy jeździł na jarmarki.

(Kirmo zbliża się ciekawie, Jerni rusza ramionami i splota).

NANGO.

Czyś nie zmęczona? moja słodka Najol!

NAJA.

O! nie, mój Nango! powiem, kiedy każą.

NANGO

(surowiej oglądając się).

Któż tu śmie tobie kazać?

MANRU.

My prosimy!

KILKU.

Prosimy, śliczna Najol!

GULDA

(n. s.).

Wszystkich! wszystkich
Oczarowała.— Nocy! przychodź prędzej!

NAJA.

Słuchajcież, jacto kiedyś u nas było.

(uderza w struny i potem mówi).

W Nieświeżu siedział książę Radziwiłł,
I ciżba dworzan czekała pana:
Ten się uśmiechnął, inny się zdziwił,
Że książę chętnie przyjął Cygana,
I w swój komnacie mówił z nim długo.
A kiedy wyszli do wielkiej sali,
Jak z wiernym książę obszedł się sługą,

I rzekł, a wszyscy pilnie słuchali:
 „Panie kochanku! Ot pana Jana
 Waszmościom moim rekomenduję.
 Starszego w Litwie niéma Cygana;
 On wszystkich karze, wszystkim przodkuje.
 Marcinkiewiczem właśnie się zowie;
 I jak widzicie, ma on strój pański,
 Ma siłę w ręku i olój w głowie.
 Panie kochanku! to król cygański!
 W Mirze stolicę jemu obrałem,
 Gdzie może wszelkie brać przedsięwzięcie;
 I na to list ten z podpisem dałem,
 A waść książęce przyłóż pieczęcie”.

Cygan się skłonił księciu w kolana,
 I podziękował; a na papierze
 Mając protekcyą takiego pana,
 Wrócił do swoich i osiadł w Mirze.

(uderza w struny przegrywkę).

Oj! były kiedyś nie takie czasy,
 Gdy króla swego mieli Cyganie!
 Dziś szatro dla nich i głuche lasy,
 Dziś gryzą suchar, chodzą w lachmanie.
 A dawniej, kiedy król nasz od Mira
 Do Zelwy jechał na jarmark suty,
 To się bywało w kontusz ubiera,
 Wdziewa czerwone lub żółte buty,
 I za pas lity bizun zatyka,
 Na bakier kolpak barani bierze,
 I przed swoimi śmiało pomyka
 Na karym albo siwym ogierze.
 A przed nim w różnym śpiewając tonie
 I bijąc w bębny idą śpiewaki;
 A za nim wiodą przedażne konie,
 I na nich derhy lśnią i czapraki;
 Za końmi idzie krasna kolasa,
 W niej w aksamicie siedzi królowa;
 Jój dyamenty błyszczą u pasa,
 Od pereł błyszczy piękna jój głowa.
 A przy kolasie po każdej stronie
 Na małych koniach jadą dziewczęta;
 Ich czarne oko młodością płonie,
 Ich kosa błyszczy we wstążki wzięta.
 Dopieroż banda, wróżki, kucharki,
 I różna służba na zawołanie!
 Takto do Zelwy i na jarmarki,
 Wjeżdżali niegdyś nasi Cyganie.
 A dzisiaj insze nastały czasy,
 Już króla Jana nie znajdziesz w Mirze;

Rozbite bandy skryły się w lasy,
List tylko księcia tkwi na papierze.

(uderza mocno struny, spuszcza gitarę i pochyla głowę na ramię Nanga, który ją ściska i całuje w czoło. Cyganie okazują znaki radości i podziwienia. Gulda przy ostatnich strofach powstała i patrzyła na nią z nienawiścią).

JERNI
(ciszej).

Nie patrz tak Guldo!—to niewinne dziewczę.

GULDA.

Przepadnij wiedmo! jeśli jój śmiesz bronić.
(siada znowu).

KIRMO
(ociera łzę).

Tak było kiedyś! sam to, sam widziałem:
Pięćdziesiąt koni wiódł nasz król na jarmark;
A dziś największa banda jedną szkapę
Wiezie gałgany swoje. Ale trudno, .
Co ma być będzie—czekać tylko trzeba.
Dzięki ci dziewczę! żeś mnie odmłodziła.
(odchodzi na lewo w las).

NAJA.

Widzisz mój Nango, kiedy pieśń twój Nai
Starych odmładza, to ty pewnie nigdy
Nie będziesz starym.

JERNI
(głośno).

O! nie będzie pewnie.

NANGO
(porywa się).

Kto to powiedział?

JERNI
(podnosi się groźnie).

Ja ci to powiadam!

NANGO.

Precz czarownico! groźb się twych nie zlekne,
Wróżba dla takich co się jutra boją.

GOJA

(pokazuje się z warzączą w ręku).

Do miski chłopcy! a niech który powie,
 Że to nie pański krupnik, to mu język
 Kipiátkiem sparzę, żeby nie lgał więcéj.

DRABO

(skacząc).

Hurra! ho! hejza! daléjże do miski!

(wychodzą wszyscy poza kociołek i usuwają się ze sceny).

GOJA.

Idź tam, do szatra, Nango z swoją Nają;
 Ja wam osobno dam przysmaczek taki,
 Jakiego dawno żadne z was nie jadło.

(oddala się).

NANGO.

Pójdź drogie dziecię—oczy ci się kleją;
 Posil się, połóż i śpij—ja nad tobą
 Czuwać tam będę, żeby nikt z twych powiek
 Snu nie odegnał aż do jutra rana;
 Abyś wzmocniona, gdy się słońce zbudzi,
 Była gotowa i do drogi rzeźwa.

NAJA.

O Nango! Nango! ty mnie nadto kochasz.

(odchodzą na prawo do szatru).

JERNI

(powstaje).

Chodź Guldo! połóż się i spocznij także,
 Nadto dziś głowa twoja się zbiedziła.
 Choć serce boli, ciała trzeba ulgi.
 Mocnym być musi, kto chce zrobić swoje.

GULDA.

Idź, idź—ja przyjdę. Jeszcze tu posiedzę,
 Popatrzę jeszcze i pomyślę, kiedy
 Dotrzymasz słowa i pomożesz duszy.
 Spoczynku wcale mi nie trzeba. Choćbym
 Poszła, nie zasnę. A wszystko mi jedno,
 Tu, czy tam czekać, aż dasz coś przyrzekła.

JERNI

(n. s.).

Wiem co jój w głowie—z oka jój nie spuszczę,

(odchodzi na lewo).

GULDA

(po chwili wstaje, ogląda się wokół, potem podchodzi pod szatro i słucha).

Coś mu szczebiocze i na strunach brząka!—
Smieją się teraz — może z mego bólu!

(odstępkuje nagle).

Przekłęta chwila, w której ją obaczył,
W której mię z serca jego wyrzuciła.
O Jerni! ty mnie zwodzisz, każesz czekać!!—
Ból mój nie czeka—on mnie wprzód zabije,
Nim zdołam zemstą duszę zaspokoić.
Trzymaj więc dar swój—*(dotyka ręką noża)*

Tu pewniejszy środek.

Nocy! zsuń prędzój czarne tve zasłony!
Zgasz wszystkie gwiazdy, aby sen w ciemnościach
Silniej mu skleił oczy, i odrętwił
Tę rękę, coby mi przeszkodzić mogła.
Niech marzy słodko, jak ja niegdyś przy nim;
Niech się obudzi z takim bolem, jaki
Mnie teraz szarpie, i niech zdrajca pozna
Po jój zastyglém sercu, żem tam była.

(wychodzi na lewo, zasłona spada).

AKT V.

Noc, wewnątrz szatra starszego, z szarego i brudnego płótna. Z prawej strony ściana z łatanych kawałów zszyta wisi pionowo. Nakrycie z takichże kawałów od prawej ku lewej stronie pochyla się ukośnie, a przy lewej kulisie podparte jest niezgrabnymi kołkami na trzy łokcie wysokimi, tak, że reszta spada pionowo do ziemi. Nad nakryciem w górze widać las. Tylne ściana szatra zawieszona takimiż płachtami, które w samym środku nie zszyte dają wnijście. Po lewej stronie z liści usłane łóżko, nakryte szarą płachtą. Ku prawej, stoi niezgrabny stolik, na którym wyszczerbiony dzbanek z wodą i spory gliniany kufelek. Na rogu zaś próżna miska z dwiema drewnianymi, włożonemi w nią łyżkami. W blaszanym lichtarzu pali się pochylona świeczka, przy stoliku stoi prosty stółek. Po kątach szatra porozrzucone różne graty, stanowiące majątek bandy. Jedna stara skrzynka stoi z lewej strony wnijścia, a przy niej sznury, piła, topory, rydle, pęk kluczów, wytrychów i t. d. Po prawej stronie pod samą ścianą boczną stoi solanka z której wiszą gałgany, a przy niej dziza do miszenia chleba, niecółki, miski gliniane i t. d. Na łóżku Naja śpi, trzymając

w obu rękach rękajeść gitary wspartéj na jéj piersiach; Nango stoi niedaleko z założonemi rękami i patrzy na nią.

SCENA PIĘRWSZA.

NANGO, NAJA *śpiąca*.

NANGO

(*z uśmiechem*).

Usnęła przecie!—Czemu nie spisz? mówię.
„Piosnka nie daje o tych dwóch bocianach,
Które do słońca dążą. Śpij ty Nango,
A ja polecę z niemi ponad morze,
I pytać będę chmur, gdzie słońce.”— Słodki!
Miły mój ptaszku! leć daleko, zdrowo,
A wracaj do mnie z sercem kochającym.

(*po chwili*).

Budzi się, znowu usteczkami rusza.

(*odstępuje na palcach i patrzy*).

O nie— to przez sen, coś się jéj tam marzy.—
Coto w téj główce dzieje się; tam jakiś
Czujny robotnik, co w dzień nie spoczywa,
I spać nie może, kiedy ciało uśnie.

(*odstępuje parę kroków—po pauzie*).

Ale i do mnie sen coś nie zagłada,
Chociaż dzień cały byłem dziś na nogach.

(*uderza się pięścią w czoło*).

I mnie tu siedzi tamta, i ognistém
Okiem mnie ściga, gdzie się tylko ruszę.
Tfy! tfy! przypadnij maro! Nie chodź za mną,
I jęk i groźba twa daremna!

(*schyla głowę i zamyśla się*).

SCENA DRUGA.

NANGO, NAJA *śpiąca*, GAŁDASZ.

GAŁDASZ

(*wchodzi i staje przy wnijsciu*).

Nango!

NANGO

(*wstrząsa się*).

Kto tu? A, Gałdasz! czego chcesz?

GAŁDASZ
(*zbliża się*).

Chodź, Nango!
Żeby nie było biedy. Nasi chłopcy
Łyknęli trochę wczoraj, i śpią; teraz
Jak kłody; żaden nie chce głowy podnieść:
A choć podniesie który, to pomruczy,
I znów bezwładny pada łbem do ziemi.

NANGO.

To i cóż, niech się wyspią.

GAŁDASZ.

Kiedy widzisz,
Mnie strach ogarnął, jakem tam przy koniach
Leżał; tam w krzakach coś mi się majaczy.
Może złodzieje. Jak nam skradną szkapy,
To będziem siedzieć znów i w kulak dmuchać.

NANGO

(*bierze toporek ze śmiechem*).

Chodź, nie wiedziałem, żeś ty tchórz.

GAŁDASZ.

Ba! w nocy!
(*wychodzą*).

NAJA

(*po chwili podnosi trochę głowę, wspiera się na łokciu i mówi przez sen*).

O chmuro! chmuro! powiedz nam gdzie słońce?
Jeszcze daleko, za siedmiu morzami.
A wielkież one? gdzie ich brzeg i końce?
Tam się z tamtymi rozmówcie chmurami.
(*znowu kładzie się śpiąc i trzymając na piersiach gitarę. Gulda wchodzi*).

SCENA TRZECIA.

GULDA, *potém* JERNI, NAJA *śpiąca*.

GULDA

(*wstrzymuje się przy wnijsciu*).

Poszedł, nie dostrzegł, żem skulona w cieniu
Czekała, aż ucichnie jego szatro;
Aż go sen zmoże i skrepuje duszę.
Gałdasz niechający lepiej mi usłuży!

Teraz tu jestem sama, ona we śnie;
Ten grunt mi dobrze znany, teraz ręki
Nic nie zatrzyma (*dobywa nóż*).

A ty mnie nie zawieź!

(*idzie ku łóżku Nai, podnosi nóż, nachyla się chcąc uderzyć,
i wstrzymuje się*).

Te struny, których brzękiem go czaruje,
Leżą na sercu jój—o! na toż, na to,
By je przed moją ręką zasłoniły?
Precz z niemi. (*chce odrzucić gitarę, i cofa się o krok*)
Jak je ruszę, kto wie, może
Zadzwońią brzękiem, który mnie zabije.
(*patrzy na nią*).

Nie, na téj głowie coś niepojętego;
Na tém uspioném czole świeci jakieś
Światło łagodne, piękne, jak ta iskra,
Co w nocy błyszczący na robaczka głowie.
(*odstępkuje ze wzdrygnięciem*).

Ja jój nie dotknę—Jerni! o tys wczoraj,
Prawdę mówiła: rękaby mi uschła!
(*rzuca nóż, Jerni staje przy wnijściu*).

JERNI

(*zbliża się*).

Więc teraz wierzysz co ci mówi Jerni.

GULDA

(*nie patrząc na nią*).

Czemużeś tylko mi obiecywała?
Tys mię durzyła; bojącemu sercu
Nie chciałaś dać lekarstwa, co w twém ręku:
Przyszłam więc tutaj, radzić sobie sama.

JERNI

(*podaje jój flaszeczkę*).

Teraz ci daję—tu śmierć w każdej kropli.

GULDA.

Dla kogo? dla niej? nie chcę.

JERNI.

Dla niej?... głupia!
Cóżby ci przyszło, gdybyś kwiat ten ścięła?
Onby cię zabił, potemby zapomniał
I jój i ciebie, i śmiałyby się z inszą.
Kobięta, co ma rozum, nie tak inści się.

GULDA.

Niech więc nie będzie dla mnie, lecz i dla niej.
Niechaj on umrze!

JERNI
(z uśmiechem).

Teraz powiedziałaś
Jak ta, co mleko z piersi moich piła.
Na, wlej połowę tam, do tego kubka:
Choć on chłop silny, będzie miał aż nadto.

GULDA.

Wlej sama (odwraca się i pociera ręką czoło).
Tylko patrz, by było dosyć!

JERNI
(przystępuje do stołu, wlewa truciznę w kubek i dolewa wody ze dzbana).

Chęcią, czy ręką wszystko to tam jedno:
Jeśli wypije, zginie od nas obu,
Bo nam obydwom jego śmierć potrzebna.
(bierze Guldę za rękę).

A teraz precz ztąd!

GULDA.

Idź, ja tu zostanę.
Tobie to na nic; a mnie Jerni, trzeba,
Ażeby wiedział, z czyjjej ręki ginie.

JERNI.

Cicho, głos jego (wymyka się).

GULDA
(patrząc za nią).

Idź, idź, stara wiedmo!
Mądraś ty wróżka, a nie wszystkoś zgadła.
(idzie na prawo i siada na ziemi przy solance).

SCENA CZWARTA.

GULDA, NAJA *śpiąca*, NANGO.

NANGO
(wchodzi i zatrzymawszy się przy wnijściu trzyma płachtę podniesioną i patrzy w głąb).

Czy mi się zdało? coś zaszeleściło
W krzakach.

(po chwili puszcza zasłonę, kładzie toporek).

Et, także jakieś przywidzenie.
Ten głupi Galdas nabił mi tęp głowę.
(postępuje parę kroków zwrócony ku stronie Naji).

Tchórz! nadaremnie zbiegałem się tylko,
Aż pot się leje, i pragnienie pali.

(obciera czoło rękawem, idzie do stołu i bierze kufelek).

O! pełny! dobrze! po robocie takię
Jakam miał dzisiaj, wypiłbym pół stawu.

(podnosi kufelek i obraca się do Nai).

Za twoje zdrowie! spieszku mój *(pije)*.

GULDA

(po chwili).

A zostaw

I dla mnie trochę, Nango!

NANGO

(stawia kufelek i z przerażeniem pogląda)

Ty! ty tutaj?

(przystępuje).

Pocoś tu przyszła?

GULDA.

Poco? tyś mnie pieścił

Jak suczkę, która stopy twe lizała;

A teraz inszą głaszciesz. Mnieś odpędził,

I kopnął nogą, i ja przyszłam teraz,

By ją ukąsić!

NANGO

(przestraszony idzie ku łożu Nai).

Najo, biedna Najo!

GULDA

(wstaje i postępuje parę kroków).

Nie bój się, nic jęj złego się nie stało.

Przypatrz się, śpi spokojnie, i oddycha

Cicho, jak dziecko, które miłość matki

Zakołysała. Ją coś strzeże, Nango!

Chciałam ją zabić, a z jęj czoła coś mnie

Tak uderzyło, że nóż wypadł z ręki:

Obacz, tam leży zimny przy twych nogach.

NANGO

(schyla się, bierze nóż i zatyka za pas).

Masz szczęście! byłby zagrzał się w twém sercu.

Precz ztąd, uciekaj; będę wiedział teraz,

Jak się strzedz ciebie, jadowita zmijo!

Precz, jeśli jeszcze krzywo na nią spojrzysz,

Jutro inaczej z tobą się rozmówię.

GULDA.

Jutro! O Nango! kto wie czyje jutro.

NANGO
(*zmieszany*).

Co to jest? mnie coś ręce słabną, w oczach
Ciemno się robi, i tu, tu coś pali.
Nie uważałem dotąd, a jój słowo
Dziwny strach jakiś i ból rozbudziło.
Tam coś brzydkiego czułem na języku,
Ale pragnienie gorycz przygluszało.
Przekłeta, powiedz coś tu namieszała?

(*ciągnie ją do stołu*).

Chodź, wypij resztę, albo cię zabiję.
(*podnosi nad nią nóż*).

GULDA
(*bierze kufelek*).

Położ nóż Nango! wszakżem cię prosiła,
Abyś zostawił dla mnie. Dawniej, pomnisz,
Dzieliliśmy się chętnie każdą strawą,
Każdym napojem: wszystko po połowie,
Było nam wspólne. Dzień był nasz; noc każda
Moja i twoja razem. W wspólném tchnieniu
Powietrze było nasze, wszystko nasze.
Dlaczegoż myślisz, że się nie podzielę
Z tobą tym kubkiem. Wypileś połowę,
Druga połowa moja, i patrz—piję.

(*wypija i stawia kubek*).

A teraz słuchaj, Nango! już się stało!
Ta wspólna uczta dla nas jest ostatnią.
Jerni część serca swego tu włożyła,
A ja kazałam. Tyś mnie zdradził Nango!
Ją zdeptał nogą, bądźże teraz gotów.

(*siada przy stole*).

NANGO
(*mocując się z osłabieniem*).

Przekleństwo na was! jędze niegodziwe!
Umrzec, i teraz, z takich rąk!—o Najo!
O słodkie dziecię! cóż się z tobą stanie (*placze*).

GULDA
(*pocierając czoło i twarz obiema rękami i mocując się także z bólem*).

Zbudź ją, pożegnaj i pocałuj jeszcze.
To raz ostatni, teraz nic nie powiem.
(*silniej mocując się*).

O Jerni! jad twój szybki! w twojém mleku
Nie było tyle ognia. Oh! jak paniu!

NANGO

(przyklęka przy Nai i budzi).

Najo! wstań dziecię!

NAJA

(budzi się i podnosi).

To ty Nango! jakże

Słodko zasnęłam.

NANGO

(podnosi się na nogi).

Zbudzisz się okropnie!

Umieram Najo!

NAJA

(zrywa się).

Ty?

NANGO

(ściska ją i pokazuje z przerażeniem Guldę).

O! patrz! to ona!

NAJA

(w uniesieniu).

Boże! raz pierwszy imię tve wymawiam!

Ale tu dawno, dawno byłeś! Ratuju!

Ratuj go Stwórco!

NANGO

(przypada na kolano).

Uchodź ztąd—już nie czas!

(pada i kona).

NAJA

(ku wnijściu szatra).

Ludzie! ratujcie!—O ja biędna! biędna!

*(klęka przy nim i kryje twarz na jego piersiach).***SCENA OSTATNIA.**

CIŻ, JERNI, KIRMO, GAŁDASZ, JEGAG, MAN-
RU, GOJA i kilku CYGANÓW i CYGANEK, wszy-
scy spieszno wchodzą i patrzą ze zdumieniem.

KIRMO.

Co się tu stało?

JERNI

(patrząc na zwłoki Nanga).

A cóż? stary Kirmo!
Juta podobno prawdę powiedziała.
Patrz, ten tu leży—a tyś znowu starszy!

KIRMO.

A Gulda?

GULDA

(podnosi się i chwytając się zbliża się do Nanga).

Idzie także na swe miejsce.
(nachyla się i trąca Naję).
Dziewczyno!

NAJA

(zrywa się i cofa).

To ty?

GULDA.

Nie bój się mnie teraz,
Słuchaj mnie tylko. On ci mówił: uchodź!
I ja ci mówię: idź ztąd, idź daleko.
Tu między niemi niema nic dla ciebie.—
Ten—mój na zawsze!
(pada przy zwłokach Nanga i kona).

JERNI

(uderza się pięścią w czoło).

O ty stara głowo!
Nie przewidziałaś, że cię tak oszuka.

NAJA

(popatrzywszy przez chwilę na zwłoki kochanka mówi).

O Nango! Nango! ja cię znajdę kiedyś!
Teraz śpij w ziemi, póki cię nie zbudzi
Głos mojej pieśni i strun moich wrzawa.
A ty sieroto! uchodź ztąd—do ludzi,
Gdzie znają Boga, gdzie się boją prawa,
Gdzie sercu wściekle wzbronnie są gonitwy;
I gdzie dzwon z wieży woła do modlitwy.
(porywa gitarę i wybiega, wszyscy zdumieni rozstępują się).

JERNI

(do przerażonych Cyganów).

Daléj do rydlów. Czemu tak patrzycie?
Nasze to sprawy, nasze to jest życie.—

Wykopcież jamę: tam niech w jednym grobie
Zgodzą się z sobą i przebaczą sobie.
Kirmo! bierz wodze—ten już nie zawarczy;
Na innych jeszcze siły ci wystarczy.
Zbierajcie obóz—i w świat! w świat Cyganie!
Tu po nas tylko mogiła zostanie.

(poruszenie wszystkich, grupują się, zastona spada).



WYCIECZKA NA LITWĘ.

WSPOMNIENIA PODRÓŻY.

PRZEZ

Ferdynanda Nowakowskiego.

(Ciąg dalszy).

III.

Jestem znowu w Kownie, myślą bujam po sercu Litwy—Wiłkomierskiem, po Wilnie, a ciato przedstawiam różnym władzom celem wyjednania dlań p a d o r o ż n é j. Chociaż wielka liczba czytelników obeznana jest z tym wyrazem, tym przecież, którym nie zdarzyło się podróżować po cesarstwie, wyjaśniam, że padorożna jest decyzja gubernatora zamykająca: odległość mającej odbyć się drogi, rozkaz wydawania na stacyach pocztowych okaziciełowi pewnej oznaczonej liczby koni z przewodnikiem i ilość pobranych opłat w stosunku kopiějki sr. od wiorsty. Bez padorożnej nie można pocztą jechać, na każdéj stacyi trzeba ją okazać smotritielowi (expedytorowi), który pobiera progony, to jest należność za odległość od jednéj do drugiéj stacyi około rsr. 1. Czasami bywa w padorożnéj jeszcze jedno bardzo ważne wyrażenie z buduszczym, o które trzeba się dopomnieć: jezeliby było pominięte, smotritiel

nie dozwoli nikomu więcej wsiąść na wózek, tylko wymienionej osobie; przeciwnie, może się zabrać druga i więcej osób.

Uzbrojony w taką arkuszową kartę, wsiałam w mały wózeczek z desek zbity, o 4-ch prawie równych kołach, zastany barłogiem, i nim zdołałem się otulić płaszczem, znikło mi miasto z przed oczu, bo konie tujsze pocztowe zupełnie są różne od naszych. Trąbkę zastępuje tu dzwonek, czasami je m s z c z y k (pocztylion) przybiera plecy trąbką, ale to tylko dla oka. Mundur pocztylionowski stanowi chałat (szlafrok) z grubego zielonego sukna, przewiązany około bioder pasem wełnianym czerwonym, na głowie kapelusz krojem rossyjskim z dwugłowym orłem na przodzie. Konie tak są dobre, że jazda staje się nie prędką, ale szaloną: w 45 minut przejechaliśmy dwie mile, zostawiając usuwające się z drogi sznury kibitek naładowane wysoko lnem, na wierzchu którego burłaki (1) powyciągani leżą na brzuchach. Zdawałoby się komu taka pospieszna podróż dobrą, zapewne byłaby nawet arcywyborną, szkoda tylko, że jest zupełnie niedogodną. Łatwo tę niedogodność pojąć, przypomniawszy sobie, że się siedzi na troszce lichy słomy i w małej skrzyneczce, która porywana galopem koni, odbija się od szose jak piłka pod ręką żaka. Gdzie droga równa, jeszcze pół biedy; ale szose do Petersburga zrujnowana w dwóch ubiegłych latach, nie prędko wróci do pierwotnego stanu: gdzieś po wiorście prawie wyłożona jest drewnianymi dylami. Trzeba mieć do takiej jazdy, jak to mówią końskie zdrowie. Mój organizm stanowił zupełny kontrast z organizmem jemszczyka, którego wytrzymałość nie podziwiać, ale nawet poważę się zazdrościć. Kiedy on siedział na kawałku deski ruchomym, wspartym na bokach kolasy, ja w barłogu wiłem się jak wąż z boleści;

(1) *Burłak* wyraz rossyjski znaczy *flis*; tu tak nazywają osiadłych *kacapów*.

czułem drganie każdej żyły z osobna, rozchodzenie się nawet stawów między kośćmi: przepasywanie i obwiązywanie się nic nie pomogło. Wszelako to dopiero pierwsza stacya za Kormiałowem, zwaném mieścina trudno wiedzieć dlaczego, bo postaci i lichój wsi nie ma. Kormiałów sławny tém, że należał do oprawy królowej Barbary Radziwiłłówniej, ma kościół parafialny nadany funduszem ziemnym w r. 1521 przez Zygmunta I.

W Tużanach, tak się zowie pierwsza od Kowna pocztowa stacya, po okazaniu padorożnej, świeża bryczka z końmi już gotowa. Rad byłbym ztąd prędko zmykać, ale to nie tak łatwo jak się zdaje; trzeba było się wpiérw załatwić z panami: starostą, stróżami, jemszczykami i t. p., którzy obtaczają wokół, póki się im dobrze nie optaci, jeśli się pragnie uniknąć niemiłych wymówek na skrzydłach wiatru goniących za odjeżdżającym. Konie prawie na wszystkich stacyach i to w znacznej liczbie, bo czasami sto i przeszło się znajduje, utrzymują żydzi. Starosta jestto czasem nie żyd, dyrygujący stajniami, pilnuje zaprzęgów i niby sporządza siedzenie dogodniejsze z pieręplotami, to jest siatką z powrozów na której się siedzi; rzeczywiście czyniącą trzęsienie mniej dokuczliwém, ale trzeba się nictylko o nią dopomnieć, lecz nawet przypilnować, bo starostowie zwykle oszukują. Tym razem przynajmniej luby starosta słowa nie dotrzymał: siedząc skakałem w bryczce jak maryonетка; kazałem przystanąć, siedzenie poprawić, ale to się na nic nie przydało. Tymczasem wieża kościoła uprzedzała mnie, że jestem już blisko miasta Janowa; nadjechaliśmy nad brzeg Wilii, odgłos dzwonka przywołał już do bacności dozorców urzędowego promu, bo trzeba objaśnić, że tu są dwa promy: wspomniony, wielkich rozmiarów, pięknie utrzymany, wymalowany, służy do przewożenia dostojnych osób i poczt, a drugi prywatny dla pozostałej reszty. Wilia pod Janowem dosyć szeroka, za miastem nieco ła-

miąc się w półkole i zmieniając kierunek północny prawie w południowo-wschodni, przyjmuje w siebie pod wsią Skorule rzekę Świętą. Płynącego promem zwraca uwagę zaraz na prawo wielki murowany czerwony gmach bez wieży: jestto właśnie kościół w Skorulach, wzniesiony r. 1662 przez Andrzeja Skorulskiego marszałka kowieńskiego, pod tytułem ś. Anny. Kościół ten miał być przez pewien czas zborem aryańskim, dziś nie ma swego księdza, codzien tylko z Janowa rano udaje się kapłan, celem odprawienia mszy. Przewożący się razem ze mną promem, wracający już po nabożeństwie ze Skorul ksiądz dodał, że na wewnętrznych ścianach kościoła jest dużo podpisów różnych osób, między innemi Tadeusza Rejtana i znanego Wołodkowicza. Jestem po chwili w Janowie, miasteczku zaludnioném żydami i rolnikami zarazem rybakami, którym Wilia pięknych łososi dostarcza, w ulicach błotnych, ale z chodnikami z desek ułożonemi. Prędko się mogłem przekonać o rodzaju ludności i zatrudnieniu mieszkańców, bo turkot i głos dzwonka przerywający ranną ciszę, wyprowadzał przed każdy dom inną ciekawą postać: tu np. starego żyda z gromadą pokudłaczonych szajgiaków, tam mieszczan z sieciami w dłoni, owdzie chłopięta z częściami pługów, bron i t. p. Na tle szarych małych domków rysowała się wybitnie wieża biała świątyni, zbudowanej w r. 1791 przez Józefa Kossakowskiego biskupa Inflanckiego z klasztorem dla Trynitarzy, którego ciało razem ze zwłokami brata jego Szymona hetmana polnego W. Ks. litewskiego sprowadzonymi z Wilna, tu spoczywa.

Od Kowna do Janowa okolica jest mniej malownicza, ale więcej uczuciowa, szczególnie wtedy, kiedy gnieźdzący się w lasach nadzwyczaj gęstych rozbójnicy witają pod swoim. W przeddzień mojego przejazdu ujęto 5 sprawców: 3 burłaków i 2 żydów, o tyle uprzejmych, że nawet i pocztę chcieli w las uprowadzić. Ra-

bowali wyśmienicie fury z produktami wszelkiego rodzaju: jak solą, owocami, skórą, wszystko mogło u nich znaleźć wygodne pomieszczenie. Świadomi miejscowości nie odbywają téj podróży 4-milowój nigdy nocą.

W Janowie zaopatrzwszy bryczkę w piereploty, w 55 minut stanąłem w Pogielozach, a w drugie tyle i w Wiłkomierzu; ale ta ostatnia stacya mię dobiła: złowrogi starosta znów dopuścił się oszustwa, nie dał piereplotów. Każdy spektator wiłkomierski na pewno sądził patrząc na mnie, że jaki ranny wraca z pod Sewastopola: głowa dwakroć różnokolorowemi płatami obwinęta, plecy nakrzyż przewiązane, nos dla krwi płynącej zabandażowany, a w takim razie usta naturalnie dobrze były otwarte, co razem wzięwszy musiało się wybornie przedstawiać. Byłem naprawdę w obawie, bo krew z nosa przeszła od pół godziny nieustannie płynęła. Zeskoczywszy z bryki wpadłem do wiłkomierskiej apteki z krzykiem:

— Panowie! o ratunek proszę, na miłość Boga; dostałem krwotoku.

— Co! kto? co się stało? pyta wyiatując z drugiej komnaty, kusy i łysy jegomość.

— Coto za waryat—odzywa się nieco ciszej jeden z subjektów.

— Pewno go pobili, ale porządnie; uważasz—dodaje drugi—cały zboczony.

— Nie, nie!—wołam zrzucając przemokły krwią płaszcz i ściągając bandaż nosowy—nie waryat! tylko przejeżdżający pocztą, zbytecznie wzruszony.

— Jaś!—krzyknie kusy—po Szlamę cyrulika: piornem.

— Może lepiej po Garbińskiego.

— Ruszaj żywo! wiesz przecie, że Garbiński na sekcyi.

— Panie, ratuj sam! Boga się bój! bo mi słabo, zemdleję—i to mówiąc zwolna siadam na kanapie.

—Zaraz panie dobrodzieju—rzecze kusy, widocznie sam aptekarz, przeciągając wyrazy najnieznośniej i kręcąc się między stoikami, a przytknąwszy mi do czerwonego nosa jakiś wonny olejek pyta:—z czego to panu przyszło?

— Ach, nie nudź pan!—zawołam zły—mówiłem przecież, że ze wzruszenia.

— To jest, chciałeś pan powiedzieć, z uderzenia—rzecze aptekarz.

— Ach, Boże mój! czy mię pan nie rozumiesz? jestem podróżny, ot dopiero co wysiadłem z pierokładnej (1).

Postyszawszy ten wyraz, aptekarz ocknął się i wykrzyknikiem: aaa! dał mi poznać, że już niby pojął przyczynę słabości; mimo to wstawiając napowrót stoik do szafki, szeptał do subiekta: „diabelnie się upił, musi wracać z jakiego halu, ale z kąd? zaraz się dowiemy.”

Cała ta rozmowa mniej zajęła czasu, niżeli go potrzeba na jej przeczytanie; obelgę musiałem przemilczeć udając, że nie słyszał, bo łaska pana aptekarza była mi potrzebna, a nie wiem i po dotąd czy w Witkomierzu jest druga apteka. Po chwili przybył z potrzebnymi przyborami: miednicą, pajęczyną, jakimś kitem nietylko Szlama cyrulik, ale i miejscowy lekarz, który Szlamie zalecił przedewszystkiēm obmycie mię, następnie lanie wody zimnej na kark i głowę, później położył jakąś maść chłodzącą na całym karku i za uszami, a mimoto krew nie ustawała. Konsyliarz siedząc naprzeciw mnie z wlepionemi jak w tarczę oczami, długo był nieruchomy i niemy; jednego razu przesunął ręką po czole i wyniosłym czubie, jakby na przywołanie zbawczej myśli, żywo się zerwał z krzesła i wzięwszy z rąk Szlamy dwa małe kawałki gąbki, obmazawszy je poprzednio czēms lepkiēm, bez ceremonii

(1) Bryczka pocztowa, która się odmierza na każdej stacyi.

wpakował mi w nos. Na taki argument, krew rozumie się płynąć przestała, i zaleciwszy mi nie ruszać się z miejsca przynajmniej przez 20 minut, prędko ze Szlamą się wyniosł. Skazany na taką pokutę, wykręciłem krzesło ku oknu, abym mógł choć patrzeć na rynek dosyć porządny, zabudowany murowanemi kamienicami, gdzieniegdzie piętrowemi. Żydów i tu niemało, a pewno więcej jak chrześcian; przechodzą się różnemi gruppami, radząc zapewne o zbliżającym się kowieńskim jarmarku.

Uspokojony, podziękowawszy szczerze za udzieloną pomoc wybiegłem na miasto w celu bliższego z niem zapoznania się, a przede wszystkim idąc za popędem żołądkowym, z jakim zakładem gastronomicznym. Świeży kłopot: w sali bardzo porządnie umeblowanej, stołami bielutko, czysto nakrytymi, karty po polsku wprawdzie pisane, ale ja nie wszystko rozumiem; a więc proszę o te potrawy, o których ledwie co, albo nigdy nie słyszałem, i tak: 1) botwinka: to z opowiadania mniej więcej znane, podobne do zupy szczawiowej. 2) Sztuka-mięs huzarska, niby pieczeń. U nas mięso dają oddzielnie i liczą za drugą potrawę; tu mięso pływa w każdej zupie i za nie się nie uważa: szkoda, że ten zwyczaj u nas nie istnieje. Sztuka-mięs w litewskich restauracjach jest z rachunku druga, a właściwie trzecia potrawa. 3) Potrawka z grudzinki: to musi być coś ciekawego! Sąto nasze mostki cielece z białym sosem. Gzuję, że jestem już syty, a litania potraw na papierze jeszcze długa: nakarmię choć ciekawość. Następował wyraz cielecie: coto u diabła, tego nie tylko, że nie rozumiem, ale nawet nie gładko się wymawia. Proszę mi dać, mówię, tę potrawę cie... Szezęście że były numera, proszę dać numer 7 i kilka następnych. Podająca słuchając pilnie, wytrzeszczyła oczy i w moment przyniosła kilka talerzy. Pokazało się, że numer 7 była poprostu pieczeń cieleca; dał jej w reszeczaka

czyli młoda smażona słoninka z cebulowym sosem, i jusznik, niby czernina polska, zupa z krwi drobiu kwaskowato przyrządzona. Dobra potrawa, ale nie zawsze smakuje: dana bowiem na stół wtedy, gdy młodzian stara się o rękę córki, znaczy ostateczne odmówienie.

Syty odbyłem pielgrzymkę po mieście położoném na wzgórzu, raczej na wyniosłym brzegu rzeki Świętej, nie zupełnie równo, bo z rynku zjeżdża się w kilka ulic na spadzistości umieszczonych. Ruch większy jak w innym powiatowém mieście, ku czemu wiele się przyczynia dogodna jego pozycja w najżyźniejszej okolicy Litwy; nadto między krzyżowemi traktami kowieńsko-petersburskim i wileńsko-mitawskim, krom spławu sąsiedniej rzeki. Przejazd poczt ciągły, a ztąd głos dzwoneków nieustanny; nieraz wpadasz w zapomnienie czyto nie na mszę lub Anioł Pański. Znalazłem tu i księgarnią przy ulicy Oniksztyńskiej z szyldem, do której sam przystęp już nie łatwy, bo po dość wysokości i chwiejącej się ze schodkami wystawie, a wewnątrz nieład brudny i ledwie ze 300 porozrywanych książek.

Zwracam wprost do kościoła, a dawnych czasów on sięga, bo go jeszcze sam Władysław Jagiełło między innymi siedmioma, przy wprowadzeniu chrześcijaństwa w r. 1387 pod wezwaniem śś. Piotra i Pawła budował (1). Więcej osobliwości tak naprędce nie dostrzegłem, chociaż przeszłość Wiłkomierza nieraz z dziejami Litwy i Korony zetknięta. Po litewsku nazywają go Wiłkamergie od wyrazów Wiłka s wilk i merga dziewczka, to jest wilcza dziewczka.

Od XIII wieku Wiłkomierz już podlegał groźnym i częstym napadom rycerzy mieczowych inflanckich (2); tedy ich wyprawy szły na burzenie pogańskiej Litwy,

(1) Wapowski, tom I, str. 74. Wilno u Glücksberga, r. 1847.

(2) Starożytna Polska, tom III, str. 265.

i tu nieraz rozbijały się o męztwo Litwinów. Roku 1435 pamiętny wypadek uwiecznił to miejsce (1). Za panowania Władysława Warneńczyka w Polsce, a za rządów namiestniczych w Litwie Zygmunta Kiejstutowicza, Swidrygajło wyzuty jeszcze z nich przez króla Jagiełłę, zebrawszy stronników swoich z Rusi litewskiej, uderzył z posiłkami krzyżaków inflanckich na Litwę. Na czele całej wyprawy szedł Zygmunt Korybut synowiec Jagiełły, który pewien czas na tronie czeskim zasiadał, a podmówiony od cesarza Zygmunta wdał się niebacznie w tę sprawę; wojskami W. księcia litewskiego wspartymi 8-tysięcznym hufcem jazdy polskiej pod komendą Jakóba z Kobylina, dowodził syn księcia Michał. Krwawa bitwa zaszła pod Pobojskiem w okolicach Witkomierza z korzyścią dla Litwinów; lecz ostatnia zguba Niemców i stronnictwa Swidrygajły, pod samym Witkomierzem 1 września dokonana została. Klęska mianowicie Inflanckich zupełną była: sam wielki mistrz Franko Kirkshoff albo Kersdorff poległ na placu, a Niemców kilkanaście tysięcy tu zginęło; kilku książąt ruskich i litewskich straciło życie w boju, dwóch synowców Swidrygajły pojmany zostały, on sam tylko z małą garstką niedobitków zdołał ujsć aż do Połocka. Lecz największym tryumfem dla Zygmunta Kiejstutowicza było wzięcie w niewolę króla Korybuta, naczelnego wodza ranami okrytego. Kiedy się Polacy nad jego losem litujący pytali go, dlaczego się nie ratował ucieczką, mogąc uchodzić z placu, pamiętną im dał odpowiedź: „długi czas będąc między wami, nie nauczyłem się uciekać.”

W XVIII wieku podczas konfederacji barskiej zaszła pod Witkomierzem potyczka konfederatów z obcymi wojskami, pomyslna dla pierwszych.

(1) Wapowski, tom II, str. 243, 4, 5 i 6; Gołębiowski: Dzieje Polski za Wł. Jagiełły, tom II, str. 26.

Podczas najścia Szwedów r. 1711 w rabunku miasta zginął oryginalny przywilej, o co dopiero w r. 1729 mieszczanie manifest zanieśli. Stanisław August dyplomatem renovationis et locationis, w Warszawie, dnia 22 maja 1792 roku, potwierdzając prawo magdeburskie, oswobadzając mieszczan od wszelkich powinności względem starostów wilkomierskich, nadał miastu nowy herb taki (1):

„Dom niby z rozwalin dźwigający się, na facyacie którego już podniesionej, serce, jakby służące za ołtarz, a na oném postawiona rozłożona księga z napisem na wierzchu księgi tych słów: „wdzięczność wiekui-sta”, a w samej rozłożonej księdze na prawej stronie herb królewski z podpisem: „królowi”, na lewej zaś róża z pięcią listkami z podpisem na spodzie: „przyjacielowi”, przez toż miasto obrany nadajemy, którego to herbu na pieczęciach i wszelkich oznakach temuż miastu używać pozwalamy; innych wszelkich swobód, wolności i zaszczytów, jakowe prawami krajowemi i miastom wolnym sądozwolone i jakowemu zarządzeniu najwyższym władzom też miasta wolne podlegać są obowiązane, to wszystko w tém mieście Wilkomierzu dopełnione i wykonane mieć chcemy, oraz wszelkich prerogatyw tak spraw krajowych, mianowicie konstytucyi na sejmach postanowionych, jakoteż z prawa miejskiego Magdeburskiego wynikających, tymże mieszkańcom Wilkomirskim używać dozwalamy, i aby w tém od nikogo żadnej nie mieli krzywdy i przeszkody ostrzegamy, na co dla lepszej wiary niniejsze dyploma ręką Naszą podpisane i pieczęcią W. Księstwa Litewskiego stwierdzić rozkazaliśmy.

Dan w Warszawie dnia XXII miesiąca maja roku Pańskiego MDCCXCII, panowania Naszego XXVIII.

(podpisano) Stanisław August, król.

(1) Dosłownie z oryginału znajdującego się w sądzie powiatowym wilkomierskim.

Na poprzedniej stronnicy dyplomu jest herb wyżej wspomniany wymalowany, w okręgu koła średnicy przeszło dwa cale mającym; na niebieskiem polu w odcinku koła murawa, a na niej dom czerwony nieskończony z połową dachu, w księdze nad sercem wyraźnie wymalowany Ciołek, herb króla, a więc nie herb kraju, jak nas Starożytna Polska poucza (1).

Chodząc ponad brzegiem rzeki Świętej, ujęty jej niepretensjonalnym wdziękiem, czystą wodą, tak że dno da się widzieć przy miernej głębokości, a po części także dbając o własne zdrowie, zmieniłem pierwotny zamiar udania się drogą bitą do Dyneburga, stanowiąc ostatecznie puścić się w podróż za kierunkiem płynącej wody, zwłaszcza, że karta wskazywała jeszcze kilkanaście mil do jej źródła. Ale trudno jest oznaczyć jej źródło tak, jak wyprowadzić niemylnie początek jej nazwiska: jedni twierdzą, że wyływa z jeziora Dusiaty; pan Prekier zaś utrzymuje, że z jeziora Swinta w Nowo-aleksandrowskim powiecie, i że przechodzi przez jezioro Dusiacie; dalej, że od wspomnianego jeziora otrzymała miano Swinta, Szwenta, Święta; inni znów chcą ustalić podanie, że od licznie chrzczonych w jej wodach pogan przez Jagiełłę; inni nakoniec, że kiedyś, kiedyś, ale zawsze już w czasach chrześcijaństwa przejeżdżał ksiądz do chorego z najświętszym Sakramentem i w tej rzece się utopił, a lud wiedziony czcią religijną nazwał ją Świętą. Z tych wszystkich, mojem zdaniem, twierdzenie pana Prekiera najwięcej zbliżone jest do prawdy.

Zaopatrzywszy się w Witkomierzu w artykuły posilające, mianowicie herbatę, cukier i różnorodne ciasta, wynajętą burłacką kibitką udałem się ku Onikszom. Nikogo dziwić nie powinna moja gastronomiczna przeczność, bo tu taki zwyczaj: w żadnej karczmie nie tu

(1) Tom III, str. 269.

dostać nie można prócz samowaru i mięsiwa; o wódkę prawie się nikt nie pyta, a na szyldach błyszczą nie butla z szumówką lub piwem, lecz żółty samowar. Po niemiłym zajściu z moim furmanem, któremu odechciało się jechać, sądzą, że się tanio ugodził, bo ośm złp. na milę, już toczyłem się zwolna kolasą. Po pierokładnej dreptanie szkapiąt także niemiłe sprawia uczucie: tam się pędzi jak strzała, tu zaś postępuje żółtym krokiem. Zniecierpliwienie tém większe, że obok przelatujące z dzwonkiem bryczki, ciągłym zmuszaniem usuwania się na stronę jeszcze podróż czynią nudniejszą, bo muszę objaśnić, że aż do wsi Świętorzeczka wiorst 9 jechałem jeszcze drogą bitą; z tego punktu bowiem szose zmienia kierunek ku wschodowi, a Święta rzeka prawie w stronę przeciwną. Na siódmój wiorście za Witkomierzem leży piękna wieś kościelna Widziszki, pozór małego miasteczka mająca, tak schludnie i murywanemi domkami zabudowana. Od Widziszek do Kowarska przez wiorst 15 ciągle się jedzie w towarzystwie rzeki Świętej, snującej się już po zielonych równinkach, już też po krzakach, już wreszcie zagładającej na chwilę jakby przez ciekawość do lasu i znów na odkryte pole pokazującej swe oblicze. Rzeka ta w pewnych miejscach ma wysokie brzegi, w innych prawie żadnych: zależy to od okolicy, która jest bardzo piękną i niejednostajną, choć nigdy nazbyt górzystą.

Kowarsk wieś kościelna zwana miasteczkiem, któreto miano właściwszém byłoby dla Widziszek, ma postać nader głuchą: oprócz kilkudziesięciu domów drewnianych w nieładzie rozrzuconych na wzgórzu, karczmy brudnej i naprzeciw stojącego kościołka nic tu więcej nie widać.

Dziwna tu posępność panuje, lecz przed 300 blisko laty zapewne tak nie było: wiadomo, że w owym czasie Kowarsk należał do bogatego i zanego rodu, znanego w historyi Grzegorza Ościka albo Ostyka, zdrajcy

i fałszerza monety przykładowie ukaranego. We dworze, którego ślady jeszcze po dziś dzień tu mają istnieć, nie mały musiał być popłoch, kiedy przystąpi z Wilna na rewizyą dworzanie znalazłszy stęple i inne potrzebne do kucia pieniędzy narzędzia, razem z Bartłomiejem spółnikiem Ostyka zabrali. Kto wie, jakieby ohydne Ościka zamiary zabicia króla skutki przyniosły, gdyby nie Mirewski jego służący, który wszystko wyjawił Marcinowi Rybińskiemu zostającemu u czesnika królewskiego Andrzeja Zebrzydowskiego, a ten marszałkowi nadwornemu Albrechtowi księciu Radziwiłłowi. Stefan Batory z czterema tylko pierwszemi radnemi rzecz tę wziął na rozwagę: z tych wojewoda wileński Mikołaj książę Radziwiłł schwytać rozkazał Ostyka, który się w Trokach podówczas znajdował; osadzono go pod strażą w mieszkaniu marszałka; w mieszkaniu zaś jego znaleziono blankiety z pieczęciami różnych senatorów i podpisami kształtnie naśladowanej ich ręki, czém sobie większe zaufanie u nieprzyjaciół jedną, udając jakoby i najpierwsze osoby z jego zamysłami się łączyły. Bartłomiej zaś służący jego i spółnik przyznał, że pan jeszcze w czasie bezkrólewia dwa razy do Moskwy posyłał i listy złamł odbierał.

Ostyk zrazu zdrady się zapierał, przywodząc, że cudzych pieczęci użył na zmyślenie pism długi zeznających, a kucie monety zwałił na żyda, który owe pieczęcie sporządzał; przed sądem jednak, po wielu excepcjach złożył pismo poprzednio przygotowane, w którym przyznał, że przyciśniony niedostatkiem i obciążony długami, w nadziei otrzymania jakiego pieniężnego wsparcia wszedł w obrady z nieprzyjacielem, zrobiwszy mu nadzieję przy sposobności zabicia króla, przyczém pokornie prosił o darowanie winy. Nic to nie pomogło: ścięty był w Wilnie, dnia 18 czerwca 1580 r. W następnym roku na sejmie warszawskim syna od kary statu-

tem litewskim na dzieci spadającej uwolniono (1), zostawiając mu tém samém szlachectwo.

Opuszczając Kowarsk małą drożyną przez wsie Dowgińce, Dobuże, Pienianki, zbliżatem się do Onikszt odległych tą drogą o mil 3 od Kowarska. Onikszt po litewsku Aniks z czej miasteczko niewielkie z kilkunoma domami murowanemi, leży między lasami na górze stanowiącej jeden brzeg rzeki Świętej, która tutaj w zwyczajnym porządku rzeczy, zamiast się zwać szerokością i głębią zdumiewa. Przewóz do miasta odbywa się promem pod protekcyą żyda, snąc bardzo miłującego pracę, bo jedną ręką ciągnął linę, a w drugiej dzierżył zabita kure, którą w przestankach skubał, może i to najprędzej z obawy, aby szabas go nie zaskoczył, bo inaczej musiałby pościć. Onikszt mają kościół fundowany w r. 1514 przez Zygmunta I, wymurowany został r. 1766, zdaje się staraniem Adama Naruszewicza, któremu król Poniatowski probostwo oniksztynskie dodał do pierwój udzielonego probostwa Niemeczyńskiego (2). Drugim godnym wspomnienia proboszczem oniksztynskim był zmarły przed kilką laty ksiądz dziekan Klet Węc k o w i c z, który swojém staraniem i własnym funduszem pewno po Naruszewiczu pierwszy z upadku kościół dźwignął, i do bytu, w jakim go widzimy, doprowadził. Nadto, jego pobożność, chrześcijańska pokora, ojcowska pieczołowitość nad owieczkami, dopominają się o pamięć u potomków, a przykład dla następców stanowią.

Dziś stan miasteczka, sądząc po ulicach niebrukowanych, domkach małych słomą krytych, podupadły. Przed laty zapewne miało i ludność większą i byt lepszy, kiedy konstytucya z r. 1593 połowę tu sądów ziemskich wilkomierskich przeniosta (3). Co więcéj, Onikszt

(1) Albertrandy, tom I, str. 240; III, str. 128.

(2) Znakomici mężowie polscy, Bartoszewicza, tom I, str. 32.

(3) Vol. leg. III karta 1346.

były nawet przez krótki czas do ostatniego rozbioru Polski miastem powiatowém, w skutek konstytucyi 1793 r., o czém protokół czynności sejmikowój w archiwum sądu powiatu w Wiłkomierzu leżący przekonywa (1).

Parafia oniksztyńska jest dość rozległa, należy do niej około 2,000 dymów, miasteczko Androniszki z kościołem filialnym, wiele wsi, między innymi Burbiszki z pięknym pałacem murowanym; Szłowiany, Elminiki i Pienianki dziś w rękach successorów marszałka Józefa Kuszelewskiego zostające. Szłowiany sławne kamieniem Puntuk leżącym w lesie przy drodze. Wielkich rozmiarów ten kamień, to też nie obtrząskany z takim kolosem Litwin nie może się powstrzymać, aby go przybyszowi nie pokazał. Dla nas niczém się on wydaje; ileżbyto takich puntuków było z jednéj tylko Ojcowskiéj

(1) Protokół datowany w lutym 1794 r., pod prezydencją marszałkostwa sejmikowego JW. Józefa Kuszelewskiego sejmowego litewskiego i ziemskiego, powiatu oniksztyńskiego sędziego, horodniczego wilkomierskiego:

Wybrany na *marszałka* powiatu oniksztyńskiego: Adam Plater generał-major wojsk litewskich, kawaler orderu ś. Stanisława.

Na *podkomorzego*: Józef Kuszelewski, wprzód prezydent powiatu oniksztyńskiego i kawaler orderu ś. Stanisława.

Na *chorążego*: Józef Morykoni sędzia ziemski oniksztyński.

Na *sędziów ziemskich* wybrani: 1) Antoni Kuszelewski mostowniczy powiatu wilkomierskiego; 2) Tadeusz Pomarnacki łowczy powiatu wilkomierskiego; 3) Ignacy Erdman rotmistrz tegoż powiatu; 4) Józef Łappa ex-assessor assessoryi litewskiéj; 5) Justyn Siesicki porucznik wojsk litewskich.

Na *komissarzy do komissyi porządkowój*: 1) Antoni Łappa sędzia ziemski i krajczy preński; 2) Hieronim Grądzki szambelan jego królewskiéj mości; 3) Michał Tyszko horodniczy oniksztyński; 4) Hieronim Morykoni podkomorzyc wilkomierski; 5) Franciszek Lesiecki dworzanin skarbowy W. Ks. litewskiego; 6) Ferdynand Łukaszewicz ex-komissarz porządkowy wilkomierski; 7) Wincenty Butler miecznikowicz wilkomierski; 8) Dominik Siesicki chorąży brygady II, wojsk litewskich; 9) Justyn Szukszta szambelan jego królewskiéj mości.

Pieczęć miasta Onikszty wielkości koła dwa cale średnicy mającego, przedstawia: na moście trzech arkadowym statuę ś. Jana Nepomucena z krzyżem w jednéj ręce, a różczką w drugiéj; naokoło napis: „pieczęć Sądu primae instantiae miasta Rzeczypospolitój wolnego Onixt.“

lub Grodziskiej skały; ileżto tysięcy skał stokroć większych pokrywa całe dawne województwo krakowskie? Ale punkt w Szłowianach ma oprócz tego swoje dzieje: my w nim widzimy wielki kamień, a Litwin krom tego czyta zeń lube dla się wspomnienia: tu były, mówi, spełniane przez naszych praojców ofiary bogom, tu wielki bojar Puntukis za świętokradztwo ścięty!

Pienianki obsypane licznymi kurhanami w lesie nad rzeką Świętą, kurhanami nietkniętymi jeszcze ręką archeologa, któremu z chęcią dzisiejszy właściciel Jan Kuszelewski przyszedłby w pomoc, gdyby tylko chciwe skarbów przeszłości dłonie skierował w te strony. Pienianek dotykają wsie: Pokolnie, Górapol i Skudociszki, każda z wielką sypaną górą, dającą nazwisko wsi (1), na których Perkunowi cześć składano.

Skudociszki zaś posiadają kościół filialny do parafii Uciańskiej należący, o którego założeniu takie istnieje podanie, nawet w miejscowych księgach kościelnych zapisane:

Przed sto pięćdziesięcią laty wielkie morowe powietrze trapiło wokół miejscowe okolice z wyjątkiem tylko Skudociszek, cudem widocznie ochronionych, do tego nawet stopnia, że byle kto zdołał stąpić na ziemię Skudociską już był wolny od zarazy. Wszyscy ocaleni widząc w tém najwyraźniej łaskę Stwórcy, lud i szlachta nawet ze zniesionego na własnych barkach drzewa, wybudowali do dziś dnia istniejącą świątynię pod wezwaniem ś. Trójcy.

Dojechawszy do Onikszt taką się już odmianę we wszystkiém spostrzega, że niepodobna o niej przemilczeć: zacząwszy od wozu, na którym się siedzi, aż do ubiorów i języka. Chłopi litewscy używają tak małe wózki, kształtem do ruskich kibitek zbliżone, że długość trzech ledwieby dorównała długości krakowskiego wo-

(1) Kałas, znaczy góra, stąd Pokolnie.

zu. Jeden konik w hołobli stanowi całą uprząż. Bryczki panów także maleńkie, ledwie dwie osoby pomieścić się mogą: ale za to możniejszych uprząż więcej charakterystyczna: zwykle pojazd w cztery konie kierowane przez dwóch ludzi w żokiejskim kostiumie i z pocztarskimi trąbkami!

Po polsku rozmówić się tu już nie można, mało kto zna ten język; panowie tylko i żydzi. Pierwsi z konieczności muszą umieć po litewsku, bo inaczej nie mogliby utrzymać stosunków z poddanymi, co już znacznie ułatwia im jego naukę.

W Oniksztach i wioskach przyległych lud zachował oprócz języka jeszcze i dawny strój: ubiór szczególnie kobiet bardzo dziwaczny. Zdaje się przybywszy do wsi, że się weszło do jakiego klasztoru: wszystkie mężatki przybrane jak mniszki. Głowę całą, czoło, lice, brodę i podbrodzie, nawet wierzch piersi, tak, że tylko oczy i usta widzialne, okręcają jednym długim na kilka łokci, białym, płóciennym szalem zwanym namiotką. Dziewczęta zawiązują na głowie chustki białe, ale niezgrabnie; kobiety stare kładą jeszcze latem i zimą na namiotki czapki z baranków siwych, których i w kościele nie zdejmują: wszystkie zaś okryte białymi prześcierałkami związanymi na jednem ramieniu i spadającymi prawie do kostek, wyglądają jak straszdyła przy cerze brudno żółtej, na co zapewne dymne chaty wielce wpływają. Te białe okrycia zmieniają się u mężczyzn w białą szatę, którą tu wszyscy nawet i w dni świąteczne, nie wyłączać dzieci noszą, i którą Litwin pokrywając najpiękniejszy strój najwyżej ceni: nazywa się ta biała suknia Triniczaj. Jestto zabytek niewątpliwie z czasów Jagiełły, który każdego przyjmującego chrzest obdarzał białą szatą i dlatego Jucewicz bardzo trafnie początek nazwy tej wyprowadza od słowa Trinitas, Trójca przenajświętsza, bo każdy w Jój imię był i jest

chrzczony. Ubiór mężczyzn w ogóle mniej uderzający: noszą siermięgi własnego wyrobu lub białe świty.

Gleba ziemi nietylko w téj okolicy, ale w całym powiecie wiłkomierskim, kowieńskim i upitskim przewyborna; urodzaje takie, jakich w całej Polsce nie ma, nawet może lepsze jak w Sandomierskiem lub Proszowskiem. Wysokość żyta dochodziła blisko czterech łokci i to nie miejscami, ale na całych łanach gęsto zarośniętych, bo tu bródz nie zostawiają, tylko całe pole obsiane tak, że i piędź ziemi nie leży pusta. Pszenice, owsy i jęczmiona także kolosalne, a len w wielkiej ilości tu uprawiany, szczególniej koło Onikszta prześliczny: należy téż on, jak wiadomo, do pierwszych produktów Litwy. Trzy wyż wzmiankowane powiaty bez wątpienia nazwę ziemi obiecanej mogłyby otrzymać. Szlachta dumna z takich urodzajów, zwie się śpichlerzem Europy; w ostatnich latach drogich, massy pieniędzy za zboże pozbierała. Zdaje się tém samym, że i byt włościan powinienby być doskonały, ale gdzie tam: chłopek litewski pracowity, nabożny, biędny jest; narzeka na przeciążenie, bo dzień cały, tydzień, ba! życie nawet całe robi panu, którego wola, podług jego mniemania, jest nieograniczona (1). Jak się panu zachce, mówi chłop litewski, to żona i domownicy muszą iść na pańskie bez względu na następstwa, jakie z opóźnienia spotkają mój plon. Kobiety więc tu tak samo pracują jak i mężczyźni: sam widziałem kilkanaście amazonek wracających konno bez użycia nietylko angielskich, ale nawet zwyczajnych siodeł, z pługami od uprawy roli. Choć chłopi skarżą się na ciągłe zatrudnienie, ale robią pilnie, zda się jakby nawykli do tego zgnębienia, które się już

(1) Wprawdzie Ukaz Najwyższy, zdaje się po r. 1845 wydany, ścieśnił nieograniczoną przedtém wolę panów w stosunkach z włościanami. Dziś każdy chłop posiada około 20 dziesiątyn gruntu, z którego odrabia pańszczyzny tygodniowo trzy dni piesze i trzy dni sprzężajne (ciągle) w jednego konia, wedle zwyczaju.

w samym ukłonie przy nachyleniu głowy niemal do ziemi przebija. Ale jak przyjdzie święto, Litwin bieży do kościoła, słuca pilnie kazania w jego języku głoszonego, modli się z książki: nie ma ani jednego chłopa, dziecka nawet, któreby nie czytało. U każdego w rękę można zobaczyć najczęściej: Auksa Ołtarius (Złoty Ołtarz) lub Szwėtas Giesmes (Pieśni święte). Nie ma dnia, aby księgarnia w Kownie nie sprzedała tych książek po 50 do 60 exemplarzy, tak nazwanym kora-bielnikom (kramarzom), którzy chodząc po wsiach, chłopom ich dostarczają. Wprawdzie księgarnia wileńska pod firmą Rubena Rafałowicza, dziś Leona Klaczko, taniem wydawnictwem czyni pospółstwu wielką przysługę, bo za złoty jeden sprzedaje książkę oprawną pięknie z złocistemi lub srebrzystemi brzegami i jeszcze z futeratem!

Obok powyższych zalet chłopa litewskiego, zwraca uwagę jego gościnność: gdzie tylko zdarzyło mi się zjechać, wszędzie natychmiast bez żadnej propozycji z méj strony stawiano przedemną mleko, chleb i miód. Jużto gościnność żyłami Litwinów płynie; miałżebym zamilczć o téj, jakiej po dworach panów doznawałem, o owych konfiturkach, któremi ciągle karmią przed i po jedzeniu, przed i po herbacie. W ogóle po dworach litewskich przebija nietylko dostatek, ale bogactwo, bo téż panowie tutaj nie tak drobne jak u nas majątki posiadają; często przejeżdża się mil pięć i więcéj majątkiem jednego właściciela. Nie ma dworu, któryby przynajmniej obok znacznego zbioru książek nie prenumerował nietylko kilku pism peryodycznych polskich, jeszcze kilku francuzkich jak *Illustration*, *Indėpendance Belge* lub innych, gdy niestety u nas, nie we wsi już, ale w miasteczku ledwie się zdarzy spotkać z jedną gazetą lub żadną.

Język francuzki głównie w użyciu, po nim rodziny, mniej mówią po polsku, ale jednak mówią; dziwnie

zaprawdę wyglądają, szczególnie te piękne Litwinek usteczka, rzucające żmudzkimi lub litewskimi słówkami!

Dwory panów, jak zwykle wszędzie, stanowi dom parterowy lub piętrowy z dziedzińcem w czworobok obmurowanym lub oparkanionym, mieszczącym oficynę i między innymi potrzebnymi gospodarskimi zabudowaniami magazyn zapasowy włościański, do którego corocznie włościanin każdy zsypuje częściowo zboża tyle, póki się nie uzbiera czetwert oziminy i pół czetwerti jarzyny na duszę. Z tego magazynu komissya żywności gubernialna za pośrednictwem marszałka powiatowego i miejscowego magazyniera udziela potrzebującym pewną część zboża sposobem pożyczki, z warunkiem zwrotu przy najpiérwszém żniwie. W pewnym przecieź dworze, a w którym, nie widzę potrzeby czytelnikowi donosić, znalazłem oprócz powyższych budowli, piękny mały murowany domeczek z wielkimi kutemi drzwiami, gruntownie, bo aż kilkoma zamkami opatrzonymi, oknami silnie zakratowanemi i mimowoli ściągający na się każdego oczy. Uprzejmy gospodarz, stary kontuszowiec, biały jak gołąb', zuch jakich mało, czerstwy jak trudno w tym wieku coś podobnego znaleźć, bo kąpieli rzecznej przestaje używać pod koniec października, uprzedzając moje zapytanie objaśnił, że biały domek stanowi jego domowe archiwum.

Pragnąłem jak najprędzej wedrzeć się w tajniki tego skarbcza, paliłem się, jakto mówią do starych szpargałów, w myśli już przewracałem księgi, akta, robiłem wyciągi, gdy za mocném skrzypnięciem wielkich drzwi owiało mię rozczarowanie nie do opisania. Zapach wódki i widok beczek, beczutek, niemite na mnie sprawił wrażenie tak, że cofnąłem się o kilka kroków, gdy stary schwyciwszy mię pod rękę, prowadząc dalej mówił:

— Przypatrz się mospanie mojemu archiwum: tu—
wskazując ręką na beczki ustawione na ligarach dwoma

rzędami jedna na drugiej wokoło całego wnętrza budowli—jest prawdziwa starka; a tu mospanie—kierując znów wielki palec ku brudnej, zakurzonej beczce w kącie będącej—najdawniejsza z r. 1806, dalej 1807, 1808, aż do bieżącego, jak atoli widzisz napisy na każdej beczce; tu zaś w piwnicach także niemłody węgrzyn.

— No, mospanie—dodał po chwili biorąc za mały, srebrny kubeczek, przeczytamy teraz pierwszą kartę, i poczerpnął liwarkiem z owój 1806 r.; następnie zbliżywszy się ku mnie, rzekł: „nasze kawalerskie zdrowie” i łyknął, nalewając potem dla mnie pełny kubeczek.

— Ja prześlicznie panu dobrodziejowi dziękuję: nigdy nie piję.

— Co!—krzyknie siwosz, zrobiwszy marsa takiego, że aż mnie ciarki przeszły— co, mospanie—starki mój przyjaciółki nie pijesz, a to mi młodzieniec; wstydź się, —i uśmiechając się z błagalną już miną podawał kubek, mówiąc:—no, spróbujno mospanie, to niczém madera; no pijże! nie bądź dzieckiem.

Rad nierad musiałem wypić.

— A teraz, mospanie—rzekł stary, odwracając się ku przeciwległej ścianie—skosztujemy trochę z młodziej np. z r. 1816, żebyś mógł znaleźć różnicę; przecie dziesięć lat to kawał czasu—i jak poprzednio znów liwarkiem naciągnął, upuszczając już nie w kubek, ale w kieliszek i zbliżając go do okna powiedział:

— A widzisz, mospanie, jaka czysta, jaki żółty kolor—no pijem!

— Ale ja nie—odzywam się.

— Żarty mospanie, musisz pić!

— Ale jak poważam pana dobrodzieja tak nie mogę, jestem nie przyzwyczajony, szkodzi mi nawet.

— Co nie przyzwyczajony! to mospanie się przyzwyczajasz; ot tak, jak ja, śmiało—i kielich w mgnieniu oka duszkiem przewrócił.

— Istotnie zazdroszczę panu dobrodziejowi takiej odwagi, ale pić nie mogę.

— No, mospanie, to aby pół kielicha.

I tego nie, odezwę się, całując w ramię nieubłaganego starca.

— No, bój się Boga! to aby sprobój, choć kroplę; a jeśli nie, toś wieczny mój nieprzyjaciel, i każdy kto starki szesnastówki (tak nazywał beczkę z r. 1816) nie pije. Wiesz mospanie, tu panienki nawet z całej okolicy choć krzywią buziaczkami a moję przyjaciółkę piją.

Koniec końcem postępując od szesnastówki do dwudziestówki i tak dalej, tyle tylko dziś mogę powiedzieć, że nazajutrz popołudniu znalazłem się nie wiem jakim sposobem w przyległym dworze, blisko o mil dwie odległym od domowego archiwum.

Ztąd wracałem już inną drogą do Wiłkomierza z zamiarem udania się do Wilna. Między Onikszami a Staszkuniszkami, minawszy gęsty las wjechaliśmy w piasek małą wózczyną, w dwa koniki z Litwinem, który trochę po polsku mówił. Jazda wolna, upał, a przytém ból krzyża, jako następstwo siedzenia na części wozu niższej od przedniej, zniewoliły mnie do zmiany pozycyi siedzenia w taką, że plecami zwróciłem się do koni i zarazem dotykałem pleców powożącego, bo wózek, jak wyżej nadmienilem był bardzo krótki. Ni ztąd ni zowąd znalazł się na drodze jakiś chłopczyna w 12-tym może roku po wiejsku ubrany, i goniąc za furą wciąż bełkotał raz za razem:

„Paimk mani ponas, kojas mań skauda” (zabierz mnie pan, bo mię nogi bolą).

Objaśniony przez mego furmana, przychyliłem się do prośby chłopięcia, który usiadł na brzegu wózka między mną a powożącym i tak jechaliśmy drzemiąc w piaskach, ale nie wszyscy. Jednym razem jak kolasa utknie o kłodę leżącą na drodze, furman spada między konie i mnie za sobą pociągając, krzyczy po litewsku:

„Oj Diewulo! (1) ku ponas darej, usimusziu,” (Oj dla boga, co pan robisz, zabiję się). Chciałem się podźwi gnąć ale niepodobna: uczułem wnet, że mnie spotkał los nieszczęsnego Mazepy, z różnicą, że nie do grzbietu konia, ale do ludzkiego jestem przywiązany. Nim zdoła liśmy się z woźnicą rozplątać, niewdzięcznego figlarza już nie było, który pasek jakim byłem obwiązany, sznurkiem połączył z pasem otaczającym ciało woźnicy.

Po tym wypadku minąwszy wkrótce Wiłkomierz, który wschodzącymi promieniami słońca, wraz z wzgórzem, na którym stoi bityszcząc, zdawał się znacznie młodszym, świeżutkim, znalazłem się na szerokim trakcie wysadzonym po obu stronach podwójnym szpale rem brzoż płaczących, wiodącym do Wilna. Choć głos dzwonka wśród ranniej ciszy i niewyłożonej kamieniami drogi, silniej działał na uszy, ale za to jazda stawała się znośną, bo mniej trzęsącą. Od czasu do czasu tylko piasek wyrzucany kopytami rączych biegunów zasypywał oczy, mimo to przecież pędząc wciąż galopem między szeroko i pięknie rozłożoną zielonością owych drzew, zdawało się, że się płynie korytem rzeki snującej się pod cieniem swych zielonych sąsiadek. Rzeczywiście nie można zaprzeczyć tutejszym traktom oprócz wdzięku i wygody, tak są szerokie, że bezwątpienia dziesięć pojazdów jeden obok drugiego mogłyby się bez szwanku posuwać. Niebawem więc minęliśmy zostawiając na prawo wspomniony poprzednio P o b o j s k, pamiętny w dziejach Litwy bojem, który mu i nazwiska dostarczył (2), kilka wiosek rozestanych po obu stronach szose, między innemi Chrzczeniszki, białymi budowlami wybitnie się od innych odznaczającą. Pierwsza

(1) Oj Diewulo! zwyczajny ludowy wykrzyknik, pochodzi od Diewas, Bóg.

(2) Od pobojuwisko, Pobojsk, a rzeczce tam płynącej dano nazwisko Wiktoryi.

pocztowa stacya od Witkomierza zowie się Wiesy (wagi), to téż i podrózných cierpliwość diabelnie się tutaj równoważy. Na zmianę koni i bryczki tyle czasu zabiorą, ile potrzeba na przebycie 5 mil drogi. Jak na trakcie petersburskim wszystko odznacza się szalonym pośpiechem, rygorem, a na stacyach samych nie wygodą ale elegancyą; tak tu panuje zupełny rozstrój: tam na najmniejszej stacyi znajdziesz kilka saloników pięknie umeblowanych z wygodnemi kozetkami, lustrami, wyborną usługą i t. d., a jak w miastach, to oddzielnymi numerami, że nie ma potrzeby w nocy szukać hotelu; tak tu znów licha drewniana chałupa z brudną izbą, dwoma lub trzema stołkami i to jeszcze bez nogi, nosi nazwę poważnej stacyi, niby podrózných osłody. Tam rzed samowarów warcząc, czeka na ciebie; tu kudłaty pejsacz dymając starą cholewą twierdzi, że w samowarze nie chce się gotować— bo dziś szabas.

Za Wiesami w kilkowiekstowej odległości leży miasteczko Szyrwinty z kościołem fundowanym przez Katarzynę, Agnieszkę i Bohdanę Ościkowny roku 1475, pod tytułem ś. Michała; następnie za stacyą Musa i nad rzeczką tegoż nazwiska, owa, gdyby tak nazwać można praprababka Litwy Mejszagoła. Jestto wieś kościelna miasteczkiem przezywana, jedna z najdawniejszych osad litewskich, z którą kilka pięknych historycznych wspomnień się wiąże. Jako w siedzibie dawnych książąt litewskich, na górze sypanej podotąd istniejącej w ogrodzie, stał zamek czyli dwór wiejski książęcy, zamkiem królowej Bony nazywany dlatego, że za jej czasów, kiedy majątność tę dzierżyła od męża, zamek jeszcze się utrzymywał. Tu spoczywają zwłoki Olgierda W. księcia litewskiego spalone obyczajem pogańskim wraz z jego najlepszym koniem i bronią, około r. 1380; tu wreszcie błysła prawie pierwsza pochodnia chrześciance i jej godło krzyż, gruchocząc skryty w cieniu

dębowego gaju posąg Kukowojtisa, tryumfalnie wzniość się na świątyni staraniem Jagiełły zbudowanej (1).

Z Mejszagoty do Kierżanki ostatniej stacyi przed Wilnem już nie tak daleko, a ztąd tylko 16 wiorst do miasta. Za małą godzinkę będę już w grodzie Giedymina, ciekawość, tę żądzę, która mnie tak długo paliła już wkrótce nasycę; a jednak czuję jakiś niepokój, krew widocznie silniej krąży, chciałbym lotem błyskawicy przelecieć na dolinę Swentoroga, patrzeć na nurty Wilii i Wileńki, stąpać po mogiłach Giedymina i Bekiesza: ale napróżno wyteżam wzrok przed siebie, bo nie mogę ujrzyć ani jednej nawet wieżycy: chaty tylko wieśniacze ugruppowane na lewo i prawo traktu z mурowanemi kominami i gontowemi dachami świadczą wyraźnie o blizkiem ognisku litewskiej cywilizacyi. Jednym razem, szybko wzniesiony na górę, raptem olśniony zostałem widokiem, widokiem, którego opisać i wypowiedzieć sił mi brakuje. Błysła jak powierzchnia poruszonego lustra, dolina otoczona masą zielonych gór, zastana białą kępą domów, upstrzoną stami wież i wieżyczek pośród tu i owdzie rozrzuconych drzew; błysła i znikła, bo nim zdołałem tu i tam rzucić okiem, już nieprzejrzysta zastona drugiej góry zakryła wszystko. Raz jeszcze i jeszcze raz w miarę wznoszenia się na pagórki lub opuszczania w doliny, kreśliłem na tle méj wyobraźni pejzaż, jakiego żaden artysta z taką prawdą jak natura nie odda: aż wreszcie dolatujący dym z miasta upewniał, że nie jest dymem gorejącego zniczu, a gwar przedmieścia Snipiszek odgłosem pienia Wajdelotów—jestem więc już w Wilnie.

(Dokończenie nastąpi).

(1) Wapowski w tomie I, na str. 74 pisze, że Jagiełło wprowadzając nową wiarę pobudował najprzód kościoły katolickie: w Mejszagole, Wilkomierzu, Niemenczyne, Miednikach, Krewie, Bolciach i Hajnowie.

O MELLONIM I PRACACH JEGO (*).

PRZEZ

Hippolita Skrzyńskiego.

I.

Nauki fizyczne uprawiane dawniej przez małą liczbę ludzi im wyłącznie oddanych, nie wychodziły prawie za obręb gabinetów, laboratoryów i zakładów naukowych. Ogół niebardzo pochopny do abstrakcyi i niepojmujący wypadków czystego badania stał na uboczu; uważał fizykę i chemię za nauki piękne i ciekawe wprawdzie, ale mało pożyteczne. Dziś widzimy zajęcie powszechne dla tych nauk obudzone i wzrastające z dniem każdym: jakiejże przyczynie tak nagłą zmianę przypisać należy? Nauki fizyczne w ostatnich lat dziesiątkach wzrosły niesłychanie, jak nam historia umiejętności nigdzie nie przedstawia przykładu; a w ślad za wielkimi odkryciami, które są największą chlubą naszego wieku, szły szybko jedno za drugimi najszcześniejsze ich zastosowania do wszystkich gałęzi przemysłu, sztuk, rolnictwa i t. d.; para i elektryczność zawładnęły czasem i przestrzenią: zgoła powiedzieć można, że nauki fizyczne zmieniły postać świata. Nic też dziwnego, że każdy dzisiaj już to z potrzeby, już z ciekawości stara się zapoznać z naukami, których zastosowania przynoszą mu korzyść i budzą jego podziwienie. Nawet umysły czysto utilitarne, które to tylko cenią i za pożyteczne mają, co ma bezpośre-

(1) Artykuł ten mający na celu popularne przedstawienie nowszego postępu nauki o cieple, polega w części na ośnwie artykułu prof. Jamin zamieszczonego w *Revue de deux Mondes* z grudnia 1854 r.; różni się wszakże od niego odmiennem nieco ocenieniem prac Melloniego, ich zupełniejszym przedstawieniem i wykazaniem ich wpływu na dalszy rozwój nauki.

dni związek z potrzebami i sprawami codziennego życia, patrząc na cudowne te wypadki przekonały się, że i nauka na coś się przydać może i łaskawszym okiem spoglądają na uczonych.

Ale mylonoby się bardzo, gdyby mniemano, że zastosowania do potrzeb człowieka są ostatecznym celem badań natury: mają one poważniejszy i wyższy cel, jak uczynienie zadość wymogom wygodnego bytu materialnego, a tym celem jest zaspokojenie naglącej potrzeby ducha ludzkiego, poznanie zewnętrznego świata i zbadania przyczyny i związku zjawisk w naturze. Ten cel, czyśto filozoficzny mieli i mają na widoku jej badacze, i często nie myślą wcale o korzyściach materialnych, jakieby z ich odkryć społeczność osiągnąć mogła. Fizykom idzie przedewszystkiēm o zbadanie sił natury, a nauki przez nich uprawiane zmierzają głównie do wytłumaczenia zjawisk, t. j. wykrycia praw, którym podlega materia i siły z nią połączone: nie będą one skończone dopóki wszystkie tajemnice natury nie będą odsłonięte. Czyli staną kiedy na tym ostatecznym szczeblu doskonałości? Być może, że nigdy; ale dążą do niego bez przerwy. W każdym razie samo to dążenie jest godne myślącego jestestwa, a choćby wypadło zatrzymać się i w połowie drogi, ilużto jeszcze spodziewać się możemy prawd wielkich, ilu dobrodziejstw dla ludzkości!

Fizyka właściwa, której przedmiotem siły i ich prawa w naturze nieorganicznej, zajmuje się głównie czterema kategoriami zjawisk: ciepła, światła, elektryczności i magnetyzmu. Zjawiska te wydają się w zasadniczych swych formach tak od siebie różne, iż niedawno jeszcze temu uważane były jako skutki tyluż agensów specyficznie różnych, które wyobrażano sobie jako płyny nieważkie, obdarzone własnościami takimi, jakich właśnie potrzebowano do wytłumaczenia pewnych szeregów zjawisk. Byłyto hipotezy wymyślone nie tak w zamiarze podania istotnej przyczyny zjawisk, jako raczej dla powiązania z sobą szczególnych faktów; ostać się też nie mogły przy olbrzymim postępie nauki w przeciągu ostatnich lat trzydziestu. Przekonano się, że światło i ciepło są skutkami jednej i téjże samej przyczyny; że

elektryczność, magnetyzm i chemizm mają wspólny początek pozostający w najściślejszym związku z przyczyną światła i ciepła; wykazano pokrewieństwo między temi skutkami a siłą dynamiczną, jakkolwiek byłby jój początek; tak, że czyli to siła wywołuje skutki ciepła lub elektryczności, czyli te skutki siłę, zawsze praca dynamiczna siły (travail) strawiona lub wydobyta jest proporcjonalna owym skutkom.

Między gienialnemi ludźmi, którzy uświetnili nasz wiek znakomitemi odkryciami w fizyce, niepoślednie miejsce zajmuje Macedonio Melloni, którego prac naukowych krótki rys podać zamierzyłem. Niewyrównywając gieniuszom pierwszego rzędu, miał on niezłomną wytrwałość i pracowitość, które często zastępują gieniusz. Położył on sobie za zadanie życia zbadanie natury ciepła, do tego celu zmierzał wyłącznie i bez przerwy, dopóki usiłowania jego pomyślnym skutkiem nie zostały uwieńczone. Melloni wykazał i dowiódł, że światło i ciepło, obiektywnie są jednem i temże samem zjawiskiem, dwoma skutkami subiektywnemi jednej i téjże samój przyczyny; nauka winna mu więc jeden z owych rzadkich postępów, które ją przekształcają i upraszczają. Skreślić prace włoskiego uczonego, jestto dać obraz jednego z najważniejszych i najciekawszych zwrotów w nowszej fizyce; ażeby go zaś dobrze zrozumieć, potrzeba wiedzieć na jakim stopniu stały nauki światła i ciepła zanim się zjawił Melloni.

Przypomnijmy sobie tu niektóre fakta ogólne i doświadczenia dobrze znane. Słońce wylewa na powierzchnię ziemi promienie światła i podobne promienie ciepła: pierwsze dostrzega nasz zmysł widzenia, drugie dają się uczuwać przez ogólne wrażenie, które wywierają na wszystkie nasze organa zewnętrzne, na które padają; wzbudzają to, co nazywamy ciepłem i dają początek rozlicznym innym naturalnym skutkom, których jesteśmy świadkami.

Ciepło to dochodzi nas jednocześnie ze światłem, albowiem gdy jaka przeszkoda przejmie to ostatnie, pierwsze niknie natychmiast; jest więc rzeczą nieskończenie prawdopodobną, że przychodzi nam ze słońca razem ze

światłem w 8 minut, 13 sekund, przebiegłszy przestrzeń 21 milionów mil geograficznych (1).

Ciepło i światło słoneczne mają więc wspólny początek, rozbiegają się z równą chyżością; lecz mają jeszcze inne ściślejsze podobieństwo.

Wystawmy zwierciadło szklane lub z wypolerowanego metalu naprzeciw wiązki promieni słonecznych: promienie odbijają się w zwierciadle i zgromadzą w punkcie, który nazywa się ogniskiem; oko dostrzega w tym ognisku światło bardzo mocne, a termometr pokazuje wysoką temperaturę, tak, iż ciała palne w niem się zapalają. Doświadczenie to uczy nas, że ciepło odbija się podobnie jak światło, i że oba rodzaje promieni towarzyszą sobie ciągle.

Dochodzimy do podobnych wypadków ze szkłem soczewkowym, jednem z tych, co są używane w optyce. Promienie słoneczne padające na jego powierzchnię, przenikają go, pochylając się ku swemu pierwotnemu kierunkowi i zmierzają do miejsca szczupłego, w którym znajdujemy zagęszczone światło i ciepło. Jeśli światło załamało się, ciepło także doznać musiało załamania.

Oprócz więc promieni oświecających przedmioty, są jeszcze inne podobne, które je ogrzewają. Przywykliśmy rozróżniać je i przypisywać dwom oddzielnym przyczynom, dwom odmiennym działaczom (agensom) *światła i ciepła*, nie mając pewności czyli rzeczywiście są różne. Następnie uznajemy, że oba te gatunki promieni rozbiegają się z ogromną chyżością; że oba odbijają się od zwierciadeł; że oba przenikają ciała przezroczyste w nich się nie zatrzymując: zgoła że światło i ciepło zdają się ciągle towarzyszyć sobie.

Lubo oba te działacze, a raczej rodzaje zjawisk zasługiwały na równą uwagę fizyków, nie były jednakże badane z równą starannością. Światło najprzód wyłącza-

(1) Obserwacje zaćmień księżyców Jowisza, fenomen aberracji światła w ciałach niebieskich i doświadczenia ze światłem ziemskim wprost przez Fizeau zrobione, pouczają zgodnie, że światło przebiega w 1 sekundzie około 42000 mil geogr., że potrzebuje 8^m 13^s do przebieżenia odległości między Słońcem a Ziemią.

cznie pociągnęło do doświadczeń. Snellius i Descartes znaleźli prawa jego załamania się w ciałach, Newton rozłożył go na części pojedyncze, z których się składa, Huyghens odkrył i oznaczył prawa podwójnego załamania się jego w kryształach, Malus jego polaryzacją, Young unieśmiertelnił swe imię odkryciem interferencji, czyli działania promieni jednych na drugie, Fresnel, Arago, Hamilton Cauchy odkryli i wytłumaczyli matematycznie resztę jego własności, tak, iż prawie już nie było niczego do nauczenia się o świetle, gdy co do ciepła pozostawano w zupełnej niewiadomości. Zostawano pod wpływem założonego z góry mniemania, że światło i ciepło nie mają z sobą żadnego związku; uparto się oddzielać od siebie oba rzędy zjawisk; w badaniach, które nad nimi czyniono nietylko nie postępowano za wskazówką widocznych analogij, ale rzecz można, że umyślnie na nie zamykano oczy.

Jest jednak przyczyna téj nierówności w postępach badań nad światłem i ciepłem: natura obdarzyła nas cudownym organem, nadzwyczaj czułym na najdelikatniejsze zjawiska światła, który ze tak powiem jest narzędziem fizyczném zawsze gotowém, towarzyszącém nam wszędzie i obudzającym w każdej chwili uwagę naszą na zjawiska nieustannie się ponawiające; nic więc dziwnego, że fizycy piérwój i z większym powodzeniem zaczęli badać własności i naturę światła. Nie jesteśmy tak korzystnie uposażeni co do ciepła; nie mamy oka, któreby go widziało: wprawdzie wzbudza w nas wrażenie, ale wrażenie to jest niewyraźne, głuche, nie analizuje go żaden nerw szczególny. W braku oddzielnego organu, którego natura nie dała, fizycy oczekiwać musieli na wynalazek sztucznego narządu zdolnego wskazaniami swojemi zastąpić brak bezpośrednich wrażeń, dość ścisłych, aby mogły służyć za podstawę badaniom. Tąto jest przyczyna, dlaczego światło piérwój i dokładniej zbadane zostało.

W czasie gdy zaczęto pracować nad ciepłem rozchodzącém się w promieniach, nie znano innego narzędzia do mierzenia skutków ciepła, tylko termometr. Użyto go téż: lecz to narzędzie dobre do mierzenia zna-

cznych odmian temperatury, nie ma bynajmniej téj czułości, jakiej wymagają tak delikatne badania; a nawet gdyby ją miał, zawsze zachodziłaby charakterystyczna różnica między wskazaniem organów jak oko lub ucho, a takiego narzędzia. Organa te nie ograniczają się tylko na objawieniu nam bytu światła i głosu, ale jeszcze rozróżniają we wrażeniach, które odbierają, szczególne ich rodzaje (własności): oko ostrzega nas, że światło pojawia się w barwach najrozmaitszych; ucho zaś rozróżnia niskie dźwięki od wysokich i ocenia z zadziwiającą ścisłością ich przedziały. Przeciwnie termometr objawiając nam działanie promieni ciepła, miesza je wszystkie, nie wykazuje żadnej różnicy między promieniami pochodzącymi z ognisk rozmaitych, i zostawia bez odpowiedzi pytanie, czy znajdują się podobnie jak w świetle różne rodzaje ciepła, i czy te rodzaje różnią się od siebie jaką szczególną własnością na podobieństwo ubarwienia.

Pojmiemy więc łatwo na jakie trudności trafić musieli fizycy, którzy chcieli badać ciepło we wszystkich jego modyfikacjach, i że nie łatwo im było otrząść się z błędnego mniemania o różnicy natury światła i ciepła. Widziano że słońce i ciała gorejące ziemskie wydają światło i ciepło; ale z drugiej strony widziano także ciała mocno nawet gorące a nie świecące, i na odwrót ciała świecące (np. księżyc), a nie wydające ciepła. Zresztą zjawiska właściwe ciepłu, jak rozszerzenie ciał, zmiany ich stanu skupienia i towarzyszące im pochłanianie, lub uwalnianie ciepła i t. d., przedstawiały się tak odrębnymi, tak różnymi od zjawisk światła, iż mniemanie o gatunkowej różnicy dwóch rodzajów zjawisk narzucało się prawie mimowolnie.

Wszystkie te trudności zostały jednak przełamane, dzięki wytrwałym usiłowaniom i genialnym doświadczeniom, o których mówić będziemy.

Przebiegając dzieła uczonych, którzy pierwsi dotknęli się tych ważnych badań, znaleziono, że Mariotte sławny fizyk francuzki doświadczył jeszcze w r. 1686, że ciepło słoneczne przechodziło łatwo tafłę szklaną, gdy ciepło ogniska w niej się zatrzymywało, prawie całkiem. Wiekiem później znakomity Scheele powtórzył

to samo doświadczenie i zrobił też samą uwagę. Oba-
dwa zgodzili się na to, że promienie ciepła nie mogą
być jednego gatunku, gdy mając różny początek, dozna-
ją w przechodzie swym przez ciała odmiennych od nich
skutków: było to zarodem najgłówniejszych odkryć.

Nagły i niespodziewany postęp w tym przedmio-
cie zawdzięcza nauka wybornym pracom Williama Her-
schel'a w r. 1800. Mąż ten, już słynny odkryciami
swemi w astronomii, pobudzonym został do badań nad
ciepłem promienistém okolicznością przypadkową:
chciał on obserwować słońce przez wielki, przez siebie
zbudowany teleskop; lecz promienie tego niebieskiego
ciała skupione w ognisku ogromnego zwierciadła, dawały
w niém tak mocne światło a zarazem i ciepło, iż obser-
wacye byłyby niepodobne bez przytłumienia ich w zna-
cznej ilości. Herschel téż uciekł się do sposobu uży-
wanego pospolicie przez astronomów przy obserwa-
cyach słońca, wstawiając na przebiegu jego promieni
szkła zabarwione, aż obraz w ognisku zebrany stał się
nieszkodliwym. „Czemu wóczas doświadczył, powia-
da Herschel, jest uderzające: gdym użył pewnych
szkieł doznawałem uczucia ciepła, choć miałem mało
światła; gdy tymczasem inne, dawały mi wiele światła,
a prawie nic lub bardzo mało ciepła; a ponieważ przez
różne te kombinacye szkieł, obraz słońca był rozmaicie
zabarwionym, wpadłem na myśl, że promienie różnej
barwy mogą mieć własności ogrzewania nierówne” (*Phi-
losophical Transactions* 1800 r.).

Zwyczajny postrzegacz, znalazłszy te różnice mię-
dzy skutkami światła a ciepła promieni słonecznych,
mógłby poprzestać na wskazaniu téj szczególności
i przejść do innych badań: ale jest to przymiotem zna-
komitych umysłów, iż chwytają choćby najlżejszą ska-
zówkę mogącą doprowadzić do nowych odkryć, i biorą
się do badań i doświadczeń. Herschel odłożywszy wa-
żne swe prace w astronomii, wziął się z nadzwyczajnym
zapalem do śledzenia własności ciepła i badania jego
natury; domyślał się bowiem, że tenże sam promień wy-
chodzący ze słońca, mógł być jedyną przyczyną obu

skutków, oświecania i ogrzewania, dotychczas przypisywanych dwom pierwiastkom oddzielnym.

Za przewodnika w badaniach przedsięwziąć się mających, miał Herschel znaną analogią skutków, owo niewyraźne przeczucie tożsamości przyczyn i przykład prac, których przedmiotem była optyka. Sądził bardzo trafnie, że trzeba szukać w cieple własności, poznanych już w świetle, i badać jak daleko rozciąga się podobieństwo, a odkąd zaczynają się różnice. Zaczął to porównanie, usiłując rozłożyć ciepło podobnie jak Newton rozłożył światło. Nie od rzeczy będzie przypomnieć sobie tutaj doświadczenie Newtona.

Przepuszczając światło słoneczne przez otwór bardzo szczupły, zrobiony w okiennicy pokoju całkiem ciemnego, światło to rozbiega się w postaci snopka promieni idących w jednym kierunku i maluje na przeciwnej ścianie obraz słońca; lecz przejąwszy je szkłem szlifowaném w postaci graniastosłupa trójkątnego, które dla krótkości nazywają w optyce pryzmatem, widzimy, że przechodzą przez ten pryzmat i wychodzą z niego w całkiem odmiennych warunkach.

Dostrzegamy najprzód, że nowa wiązka nie jest przedłużeniem pierwszej, lecz czyni z jój kierunkiem kąt, tak, że każdy promień załamując się wewnątrz pryzmatu, przy wyjściu z niego zbacza od pierwotnego kierunku.

Przypatrując się bliżej dostrzegamy nadto, że promienie nie idą wspólną drogą jak przedtém: jedne zbaczają więcej jak drugie, tak iż idąc rozczepiają się znacznie i rozdzielają w postaci snopu świetlistego.

Lecz najbardziej uderza piękność i wielobarwność zjawiska: promienie rozdzielone nie są tejże samej barwy: te, które najmniej zboczyły są czerwone, te, które najwięcej fioletowe; a między temi granicami dostrzegamy inne mające zboczenie pośrednie, których barwy są: pomarańczowy, żółty, zielony, niebieski, granatowy. Zrzucając całą wiązkę na tło białe widzimy wspaniały obraz ubarwiony najczystszeimi kolorami, przechodzącymi jeden w drugi przez nieznaczne odcienia: obraz ten nazywa się widmem słoneczném.

Doświadczenie Newtona wykazuje najoczywiściej, że światło słoneczne jest zbiorem nieskończonej liczby promieni pojedynczych istniejących obok siebie, czerwonych, żółtych, niebieskich i t. d.; przechodząc przez pryzmat zbaczą wszystkie, lecz nierówno: mają one jak się wyrażają fizycy *łamałości nierówne*, dlatego rozdzielają się i rozczepiają w widmie.

Herschel idąc za powziętą przez siebie myślą, postanowił szukać podobnych własności w cieple. Przepuściwszy więc przez pryzmat wiązkę promieni słonecznych i otrzymawszy w ciemnicy widmo, umieścił w niem bardzo czuły termometr, najprzód w barwie fioletowej, potem w błękitnej, i tak następnie we wszystkich barwach, aż do czerwonej: w każdym miejscu termometr podnosił się, w każdym więc znajdowało się ciepło. Ztémwszystkiém jednak, jeżeli oko ostrzega nas barwą o różnorodności światła, termometr umieszczony w różnych częściach widma, niczego podobnego nie poucza nas co do ciepła, o którego obecności świadczy, i moglibyśmy sądzić, że ciepło jest wszędzie jednej i téj saméj natury. Herschel nie popadł w ten błąd, albowiem, jak powiada te ciepła różnią się od siebie własnością bardzo wybitną, t. j. nierówną łamałością: ciepło czerwonej barwy zbacza mniej jak fioletowej, a gdyby były jednorodne, nie mogłyby opuścić drogi wspólnej, rozdzielić się w pryzmacie, ani rozczepić w różnych miejscach widma (*Phil. Trans.* 1800 str. 272).

Gdyby postrzeżenia Herschela były na tém stanęły, możnaby było wyrazić poprostu stosunek ciepła do światła w słowach: Ogół wszystkich promieni światła, znajdujących się w naturze odnosi się do siedmiu typów barw głównych; tak samo rzecz się ma z ogółem promieni ciepła: słońce posyła nam siedm typów ciepła, czerwone, żółte, niebieskie i t. d. które to wyrazy oznaczałyby szczególne gatunki ciepła, towarzyszące światłu odpowiedniego nazwiska; lecz to nie wszystko: oprócz tych gatunków ciepła znajdują się jeszcze inne, a o tém także Herschel nas poucza. Umieszcza on termometr kolejno we wszystkich barwach, posuwając go od barwy fioletowej do czerwonej; stanąwszy z nim na

granicę widma, gdzie się kończy barwa czerwona, nie zatrzymuje się, ale wiedziony szczęśliwym instynktem posuwa termometr dalej w miejscu zupełnie ciemnym. Działanie na termometr nie zmniejsza się, za zmniejszaniem się natężenia światła, owszem powiększa się ciągle i jest mocniejszym w barwie czerwonej aniżeli w żółtej, choć światło żółte jest daleko mocniejsze; co większa, dochodzi do maximum w miejscu całkiem ciemnym w odległości półtora cala od ostatecznego krańca barwy czerwonej, i nie ustaje, aż dopiero w wielkiej od widzialnego widma odległości.

Że ciała nieświecące, jak piec, woda ogrzana i t. p. wysyłają promienie ciepła, to wiadomo każdemu; lecz że słońce oprócz ogromnej masy ciepła świecącego, wysyła jeszcze promienie ciepła niewidzialne, ciemne, oddzielne od pierwszych: tego się nie domyślano wcale. To odkrycie zrobiło też w świecie uczonym wielkie wrażenie.

Dziwna rzecz, że fizycy zachowawszy w pamięci zasadniczy ten wypadek, pozostawili w zapomnieniu rozumowania, do których doprowadziły Herschela. Jakoż we wszystkich swoich dziełach zamieszczali wiadomość o odkryciu w słońcu promieni ciemnych, pomijali jednak teoryczne znaczenie doświadczenia. W rozumieniu Herschela odkrycie to było nietylko faktem: miało ono w umyśle jego znaczenie tejże samej wagi, co rozłożenie światła przez Newtona; dowiodło bowiem, że ciepło słońca jest złożone i wielorakie podobnie jak światło; że się składa z promieni odmiennych, odróżniających się swą łamalnością, z których jedne połączone są z pojedynczymi światłami widma, drugie zaś mniejszej łamalności jak pierwsze stanowią, wyrażając się słowami Herschela: *światło niewidzialne*. Taki był wysoki punkt zapatrywania się na którym stanął Herschel.

Opisawszy swe doświadczenia, sławny astronom przechodzi myślą z dziedziny faktów w dziedzinę indukcji i powiada: „Być może, że jedne i te same promienie mają razem zdolność oświecania i ogrzewania; że światło i ciepło są dwoma odmiennymi skutkami jednej przyczyny; lecz może być także, że światło i ciepło są

zjawiskami dwóch promieniowań różnych, towarzyszących sobie, odbijających się razem, łamiących się i wychodzących razem z pryzmatu, lecz niemających nic wspólnego ani w zasadzie, ani we własnościach”.

Tu robi Herschel uwagę, że prawidła filozofii nie upoważniają do przypuszczania dwóch przyczyn w tłumaczeniu zjawisk, gdy jedna może być dostateczną (*Phil. Trans.* 1800 str. 291), i wychodząc z téj zasady, usiłuje dowieść, że można bardzo dobrze pojąć wszystkie dopiero przez siebie odkryte fakta przyjmując jedną przyczynę. Co do promieni zarazem świecących i grzejących nie ma żadnej trudności; lecz zjawia się natychmiast i jest niemałą, gdy przejdziemy do promieni ciepła niewidzialnych, t. j. ciał ciepłych a nieświecących, lub widma słonecznego poza granicą czerwonej barwy. W tym przypadku Herschel, który jak wszyscy niemal ówczesni fizycy mniemał, że światło jest ruchem rzutowym, niezmiernie szybkim molekulów istoty nieważkiej, stanowiącej właściwą materią światła, rozumuje w ten sposób: „Przypuścić można że molekule światła wyrzucone ze słońca są rozmaitych momentów (wielkości, mass); postępują one wspólną drogą w promienowaniu słonecznym, lecz rozdzielają się w pryzmacie, postępując odtąd odmiennymi drogami według swéj wielkości. Są takie, które oświecają i ogrzewają ciała, są to molekule średnie; lecz te, których massa jest albo zamalą albo zamalą, mogą nie mieć własności oświecania tylko samego ogrzewania: stanowiąc one będą, jeśli się tak wyrazić można, *światło niewidzialne* lub *ciepło ciemne*.... Dośćby było przypuścić, że powłoki i płyny w oku zatrzymują te ostatnie molekule, ażeby pojąć, że mogą nie sprawiać żadnego wrażenia na nerw optyczny, zatrzymując własność ogrzewania” (*Phil. Trans.* 1800 str. 272 i 292).

Temito pamiętnymi wyrazy zakończył Herschel pierwsze swe badania nad ciepłem promienistém. Dowiódł on w sposób dotykalny, że ciepło nie jest jednorodne; że promienie które w nas wzbudzają czucie jednokowe, które jednakowo działają na termometr, są bardzo

różne, i że można je rozdzielić jedne od drugich załamując je w pryzmacie. Wykrył on, że załamane w pryzmacie, jedne z tych promieni towarzyszą światłu, a drugie występują poza obręb widzialnego widma. Wówczas zadaje sobie pytanie, czy ciepło jest czém inném jak światło, i nie usiłując sprawdzić swego domysłu żadnym doświadczeniem, oddaje się naturalnej i ponętnej myśli: że jedna przyczyna rodzi oba skutki, i że promienie ciepła niewidzialne nie czynią wrażenia na blonie siatkowej, bo je zatrzymuje oko. Było genialny domysł i miał nadejść czas, w którym szczęśliwsi fizycy mieli go stwierdzić w zupełności.

Byłyto prawda tylko pierwsze prace Herschel'a i może byłoby lepiej dla jego sławy, gdyby na tém były stały. Chciał jednak jeszcze niezbitemi doświadczeniami dowieść tożsamości przyczyn obu skutków i wykazać, że skutki ciepła są liczebnie równe skutkom światła. Uskutecznił w tym celu liczny szereg postrzeżeń narządami które znał, które znano w jego czasach, a których niedokładne wskazania wprowadziły w błąd jego wielki umysł. Herschel, naturalnie wziął te wypadki za prawdziwe i wyprowadził z nich wnioski błędne. Z przykrością widzimy jak znikają dawniejsze jego trafne domysły, jak zdanie jego zmienia się całkiem i do tego stopnia, że sam w wyrazach energicznych zbija swe własne genialne rozumowania i zwie niedorzeczném mniemanie o tożsamości światła i ciepła (*Phil. Trans.* 1800 str. 507, 508).

Dajmy poznać doświadczenia, które tak głęboko zmieniły jego przekonania.

Herschel zebrał znaczną liczbę tabliczek ciał najrozmaitszych; jedne ze szkła białego, drugie z kryształów naturalnych, inne znów ze szkła rozmaicie zabarwionego: każda z tych substancyj wystawiona na światło przejmuje jedną jego część, a drugą przepuszcza: Herschel mierzył z największą jak mógł dokładnością obie te części. Robiąc podobne doświadczenia z ciepłem, znalazł również, że niektóre substancje przepuszczały jego część, którą oznaczał przez obserwacyą, a drugą pochłaniały, którą oznaczał rachunkiem. Ażeby

urozmaicić poszukiwania ile tylko można, używał kilku różnych ognisk ciepła t. j. słońce, świecę, zwyczajne ognisko kominkowe lub piec żelazny rozgrzany, lecz nie do czerwoności. Wielka ta praca obejmuje aż 220 doświadczeń oddzielnych: ułożył je Herschel w tabellach, kładąc obok każdej substancji liczby wyrażające stosunek ciepła i światła, które pochłaniają.

Powiedzieliśmy już, że wypadki te nie mogły być dokładnymi. Środki któremi rozporządzał Herschel, były zagrube na badania tak delikatnego rodzaju; liczby też otrzymane, jako dane do wyciągnięcia z nich praw fizycznych nie mają żadnej wartości: są fałszywe, i nic dziwnego, że wprawiły w błąd Herschel'a. Zastanawiając się atoli nad ich ogółem znachodzimy w nich skazówki, które nas prowadzą do niektórych ogólnych uwag prawdziwych.

Pierwsza, która się nastęrcza z rozwagi ogółu doświadczeń jest, że promienie ciepła pochodzące z ognisk odmiennych nie przechodzą w równej ilości przez jedną i tę samą substancją, z czegoby wynikało, że ogniska te są różnorodne, na podobieństwo różnorodnych promieni w słońcu: Herschel sam nie zwraca na tę okoliczność uwagi.

Drugie spostrzeżenie ogólne, które czyni już sam Herschel i do którego przywiązuje główną wagę, jest fakt ogólny, przez wszystkie jego liczby stwierdzony: że niektóre gatunki szkła doskonale przezroczyste, t. j. przepuszczające światło prawie w całości, zatrzymują niemal wszystko ciepło; gdy tymczasem inne ciemne, nieprzezroczyste przepuszczają z łatwością ciepło ogniska użytego do doświadczenia; słowem, że nie masz żadnego związku między większą lub mniejszą łatwością w ciałach przepuszczania światła i ciepła, pomiędzy tém co nazywamy przezroczystością, a tém coby nazwać można przecieplaniem (transcalescence). Na témto spostrzeżeniu, prawdziwém i stwierdzoném później przez Melloniego ścisłemi doświadczeniami, gruntuje Herschel nowe swe widoki, dawniejszym przeciwne.

Wyprowadza on z niego następujący wniosek: „Ponieważ nie masz równości w działaniu téjże samej sub-

stanągi na zatrzymanie lub przepuszczenie promieni ciepła a promieni światła, nie może także być jedności w przyczynach, które im dają początek." Naprzeciw tego wniosku zbyt pospiesznego i nieszczęśliwego; można natychmiast postawić zarzut, i sam Herschel to uznaje. Stawia on go sam prawie w tych wyrazach: „Powiedzieć można, że ciepła, które ogniska wydają, obejmują w sobie zarazem promienie świecące i promienie ciemne; otóż zdarzyć się może, że materye z których składają się ciała do doświadczeń użyte, w taki sposób działają, iż trudniej lub łatwiej zatrzymują jeden lub drugi gatunek ciepła: jeśli zatrzymają promienie ciemne, a przepuszczą świecące, będą przezroczyste jak szkło, a przecieź przytłumią znaczną część ciepła; jeśli zaś przeciwnie przepuszczą promienie ciemne a zatrzymają świecące, to będą nieprzezroczyste, lecz pomimo tego przepuszczają ciepło.“

Dla rozstrzygnięcia między swym wnioskiem, który jest nielogicznym, a powyższym zarzutem, Herschel ucieka się do wypadków swych doświadczeń. Nie byłoby żadnego pożytku ani zajęcia, postępować za nim w jego roztrząsaniach; powiedzmy tylko, iż w nich znalazł potwierdzenie mniemania, iż światło i ciepło nie mają nic z sobą wspólnego i przejdźmy do ostatniego dowodu, który ma za niezbity, i który takim jest w rzeczy samej.

Rozłożywszy promienie słoneczne przez pryzmat, przepuszcza same promienie czerwone, zatrzymując inne, ponieważ promienie te mają równą łamalność, stanowić muszą jeden rodzaj światła pojedynczego i jeden rodzaj ciepła elementarnego, t. j. dwa promieniowania oddzielne, z sobą złączone, jeśli oba skutki przypiszemy dwóm różnym przyczynom, lub jeden promień jeżeli światło i ciepło mają wspólną przyczynę. W pierwszym przypadku będzie można stłumić ciepło nienaruszając światła, ponieważ oba skutki są od siebie niezależne; w drugim nie będziemy mogli osłabić ciepła, bez równego osłabienia światła, ponieważ oba są skutkami jednego i tegoż samego promienia. Herschel potrzebował tylko przepuścić promienie czerwone przez tafle

przezroczystą i sprawdzić równość lub nierówność światła i ciepła przepuszczonych promieni (Phil. Trans. str. 521).

Położenie tego dylemmatu jest istotnie wskazaniem jedynéj metody doprowadzić mogącéj do rozstrzygnięcia stanowczego pytania; nieszczęściem trzeba było doświadczeń bardzo ścisłych, ażeby ocenić stateczną równość przytłumionego światła i ciepła. Doświadczenia Herschel'a były niedokładne, dał téż odpowiedź przeczącą i oświadczył się stanowczo za różnorodność obuj działaczy.

Słowem, Herschel zrobił wielkie odkrycia i wypowiedział wielkie myśli: on piérwszy dał poznać różnorodność promieni ciepła w słońcu, i rozróżnił je od siebie różną ich łamalnością; wykazał, że słońce oprócz promieni świetlistych, wysyła promienie ciepła niewidzialne, niemające własności oświecania, i że te są najobfitsze: są to promienie mające łamalność najmniejszą. Daléj dowiódł, że jeżeli promienie zarazem świecące i grzejące przechodzą przez ciała, nie ma żadnego stosunku między przezroczystością ciała a zdolnością jego do przepuszczania ciepła. Wreszcie położył ważne filozoficzne pytanie: czy światło i ciepło winne swój początek jednéj lub różnym przyczynom. Zrazu stronnik jedności przyczyny, przytoczył wszystkie dowody, które można było przytoczyć na jej poparcie; później przywodzi znów wszystkie, które ją mogły osłabiać i kończy dylemmatem, który ostateczne rozstrzygnięcie kwestyi poddaje doświadczeniu. Zrobił on to doświadczenie, ale zrobił go źle, bo jego narzędzia były złe; otrzymał wypadek fałszywy, wniósł téż fałszywie, że ciepło jest całkiem co innego jak światło.

Od roku 1800 płodna ta i ważna kwestya została zaniedbaną: uczeni zwrócili swe prace w inną stronę, zapomniawszy całkiem i przedmiotu i badań których był celem. Widzimy téż jak zwolna zatracą się wiadomości o różnorodności ciepła. Robią doświadczenia nad odbijaniem się, rozpraszaniem, pochłanianiem, wyzlewaniem ciepła, nietroszcząc się bynajmnieéj o rodzaj ciepła użytego, jak gdyby jego jakoś nie miała żadnego wpływu

na wypadki; wciskają się błędy, twierdzenia niedokładne znajdują przyjęcie i rzecz dochodzi do smutnego stanu ciemności i zagmatwania. Jeżeli od czasu do czasu pojawi się jakie zajmujące postrzeżenie, to pozostaje bezowocnym i bez żadnego zastosowania.

Dopiero w r. 1832, znakomity Ampère, u którego zajęcie się szczegółami nie tłumilo wielkich myśli ogólnych, podnosi kwestyą, którą Herschel pozostawił nierozwiązaną, zapatrując się na nią z bardzo wysokiego stanowiska.

Dwie były teorye światła rozdzielające przez długi czas filozofów na dwa obozy: emanacyjna czyli wyziewania i undulacyjna czyli falowa. Pierwsza, której autorem był Newton, okazała się z postępem optyki fałszywą i sprzeczną z doświadczeniami; druga, którą przypisują zwykle Descartowi, ale właściwie winna swój początek Grimaldemu i Huyghensowi, nietylko tłumaczyła z łatwością zjawiska znane, ale przewidywała nowe nieznanne; przyjętą téż została przez wszystkich fizyków. Ampère próbował na podobnym początku oprzeć nową teorią ciepła.

Wiadomo, że światło jest ruchem drgającym; ruch ten powstaje w ciałach świecących, rozbiega się na wszystkie strony za pomocą eteru i przynosi do oka, wstrząsając nerw optyczny, wrażenie, które światłem zowiemy. Skutki te można przyrównać do głosu, który rodzi się z drgań ciał brzęących, rozbiega się falami w powietrzu i objawia się nam przez wstrząśnienie naszego narządu słuchowego. Drgania światłorodne atoli odbywają się z niesłychaną szybkością; drgania głosu, acz szybkie, dość są wolne stosunkowo, iż je liczyć możemy; nadto pierwsze udzielają się płynowi niezmiernie subtelnemu, drugie zaś ciału stosunkowo nieskończenie grubsze. Jest jeszcze inne podobieństwo zbliżające do siebie światło i głos: tony niskie rodzą się z drgań wolnych, wysokie z szybkich; w świetle większa lub mniejsza prędkość drgań daje początek różnicy barw, najwolniejsze drgania dają barwę czerwoną, najprędsze barwę fioletową i w ogólności tém więcej zbaczają w pryzmacie im się odbywają z większą prędkością.

To założywszy, dostrzega Ampère, że ciepło promieniste podlega we wszystkich przemianach, których doznaje, tymże samym prawom co światło. Wnosi ztąd, że chcąc tłumaczyć ten fakt teorycznie, wypada szukać przyczyny ciepła promienistego w drganiach eteru, podobnych do fal rodzących światło. Przyjmuje więc, że drgania te posiadają jednocześnie podwójną własność: działania na oko i wywierania w niem wrażenia światła, i na termometr, sprawiając podwyższenie jego temperatury. Drganiom prędkim przypisuje ciepło i światło fioletowe, wolniejszym ciepło i światło czerwone, a najwolniejszym i posiadającym najmniejszą łamalność promienie ciepłe niewidzialne.

W zasadzie Ampère i Herschel wypowiedzieli do tąd też samą myśl, tylko pod inną formą, przyodziewając ją wyrazami i pojęciami właściwemi teoryom, które przyjęli; Ampère kładł wibracje tam, gdzie Herschel przypuszczał molekule istoty nieważkiej światła. Obaj przychodzą wnet do prawdziwej trudności, dlaczego promienie ciepła ciemne nie dają światła, i obaj sądzą, że nie dochodzą do wnętrza oka; różnica tylko ta między nimi zachodzi, że czego domyślał się Herschel, tego Ampère dowodzi. Doświadczenie, które opisuje jest bardzo trafnie obmyśloném.

Wystawmy sobie kulę żelazną umieszczoną w ciemności, ogrzewającą się ciągle stopniowo: jest najprzód ciemną, niewidzialną choć gorącą, następnie zaczyna świecić, staje się ciemno-czerwoną, jasno-czerwoną, nareszcie białą. We wszystkich tych peryodach doświadczenia, wydaje promienie ciepła, przemieniające się stopniowo, co zgadza się z pojęciami Ampèra; gdyż dość jest przypuścić, że drgania rozchodzące się przyspieszają się zwolna i stają się prędszemi nie zmieniając natury. W czasie trwania całego doświadczenia przepuszczano wyrzucone ciepło przez warstwę wody, i obserwowano skutek jaki wywierało na termometr za nią umieszczony. Skutek był żaden, dopóki była ciemną, stał się zaś widocznym natychmiast, jak tylko stała się świecąca. Ciepło niewidzialne przemieniło się więc stopniowo na światło; nie przenika wody przed tém przeobrażeniem,

a ponieważ oko jest pełne wody, nie dochodzi do siatkowej i nie czyni nań wrażenia aż w chwili, gdy nabędzie chyżości drgania dostatecznej.

Zarzuty dotyczące niektórych szczegółów, jakie na przeciw téj teorii stawiono z łatwością odparte zostały.

Potrzebném i pożyteczném było zrobić ten krótki przegląd prac i myśli poprzedników Melloniego. W historii zawodu naukowego człowieka trzeba koniecznie poznać stan umiejętności jaki zastał, i punkt na którym stanęła gdy schodzi z widowni; wtenczas porównując obie epoki możemy sądzić ze znajomością rzeczy wypadki któremi obdarzył naukę i rolę, jaką odegrał; wtenczas dopiero ocenić możemy jego rzetelną zasługę, wskazać postęp który sprowadził, myśli nowe które wypowiedział, i wyznaczyć dlań właściwe miejsce w szeregu ludzi, którzy wzbogacali wiedzę ludzką.

Melloni urodził się w Parmie na początku bieżącego stulecia; odbył nauki w mieście rodzinném z wielkiém powodzeniem, okazując od najmłodszych lat w naukach fizycznych upodobanie, które było powołaniem. Opowiada sam, że widok natury już w młodocianym wieku wzbudzał w nim pragnienie poznania przyczyn tylu zadziwiających zjawisk. Szczególniej rola, którą w naturze odgrywa ciepło wzbudzała w nim ciekawość; będąc jeszcze w szkołach, zadawał sobie już pytania odnoszące się do wpływu tego działacza na zjawiska, które się ciągle wokoło nas odbywają, a nieznajując rozwiązania w dziełach które czytał, szukał go we własnych rozmyślaniach. W tento sposób gotował się do zatrudnień, które zapełniły jego życie, oddając się od młodości jednemu z tych niczém niepowstrzymanych popędów, które stanowią o życiu i powołaniu człowieka. W krótkim czasie po ukończeniu nauk uniwersyteckich otrzymał Melloni, dzięki znakomitemu usposobieniu, którego dał dowody, zaszczytne powołanie nauczania fizyki w szkole w której pobierał nauki. Znalazł się więc odrazu w położeniu najwłaściwszém i najdogodniejszém, w jakim znajdować się może człowiek nauce poświęcony. Nie doświadczył on téj przeciwności, jakiej niejeden miłujący naukę i pragnący jęj się poświę-

cić doznał, zmuszony oddać się innemu rodzajowi pracy dla chleba, często przeciwnej jego usposobieniu i skłonnościom. Będąc otoczony wszelkimi pomocami, mając zwykle dość czasu zbywającego od obowiązków nau czania, można swobodnie i zupełnie oddać się nauce ulubionej i poszukiwaniom tak ścisły związek z temi obowiązkami mającym. Melloni téż nie spoczął na lau rach akademickich w wygodném krześle katedry, jak niektórzy z jego braci w powołaniu; nie poprzestał na spożywaniu tego co inni odkryli, ale sam przyłożył rękę do wspólnej pracy i stanął jako współzawodnik w zastępie badaczy, którzy są chlubą swego wieku i zaszczytem narodów do których należą. Zaraz po objęciu katedry zajął się doświadczeniami, lecz miał przede wszystkim potrzebę, że tak powiem zmysł ścisłości. Przyrządy termometryczne które wówczas znano i któremi rozporządzał, nie odpowiadały téj jego potrzebie. Zmuszony więc był przerwać doświadczenia i myśleć nad wynalezieniem doskonalszego narzędzia jak do tychczasowe termometry i termoskopy.

Zył wtedy w Reggio znakomity fizyk Nobili mający już sławę europejską. Uczony ten, jak każdy prawdziwy uczony nie odpychał od siebie młodszych współzawodników, ale lubił znosić się z nimi i chętnie udzielał im rad i zachęty. Między nim a Mellonim zawiązała się korespondencya, w której udzielali sobie wzajemnie wiadomości o swych pracach i widokach. Z niejto najprzód dowiedział się Melloni o wynalezieniu przez Nobilego przyrządu termoelektrycznego i natychmiast odgadł całą ważność, jaką mieć może w jego badaniach nad ciepłem promienistém. W rzeczy samej temuto narzędziu i umiejętnemu jego użyciu zawdzięcza Melloni całą swą sławę, a filozofia natury jedną z swych najpiękniejszych stronnic.

Przyrząd wynaleziony przez Nobilego jest tak ważny w fizyce i tak stanowczo wpłynął na cały naukowy zawód Melloniego, iż musimy go tutaj szczegółowiej opisać. Biorą się dwa metale: bizmut i antymon; z nich wyrabiają się dłuższe pręciki grubości zwyczajnych drutów do dziergania, które tną się na kawałki około cala

długości. Mając takie calowe druciki, do końca jednego drucika z bizmutu lutuje się koniec drucika z antymonu, do tego lutuje się znów drugi drucik z bizmutu i tym sposobem postępując dalej tworzy się łańcuch nieprzerwany, którego części naprzemian składają się z dwóch metalów spojonych końcami. To uczyniwszy, zagina się w spojeniach cały ten łańcuch czyli drut długi złożony z kawałków bizmutu i antymonu naprzemian po sobie idących w ten sposób, iż wzdłuż pierwszego drucika z bizmutu układa się drugi z antymonu, wzdłuż tego ostatniego następujący z bizmutu i tak dalej. Cały łańcuch przybiera tym sposobem postać pęczka, którego elementa są ułożone jedne obok drugich; ma kształt paczki zapalek, a po obu jego końcach przypadają spojenia dwóch różnorodnych metali, które go składają. Oba te końce łączą się z sobą metalowym drutem, któremu można dać długość dowolną.

Przyrząd ten zwany stosem termoelektrycznym ma szczególną i bardzo ważną własność; jeżeli zasłonimy jeden jego koniec od wpływu wszelkiego promieniowania a drugi wystawimy na promienie ciepła z jakiegobądź ogniska, staje się natychmiast stosem Volty; powstaje prąd elektryczny, krąży w różnorodnych częściach składających łańcuch i rozchodzi się w drucie metalowym łączącym jego końce zwanym dlatego łącznikiem.

Mamy tutaj skutek wywołany przez ciepło, które rodzi prąd elektryczny; gdy ciepło mocne, prąd jest silny, gdy słabiej, prąd zmniejsza się, gdy ustaje działać prąd niknie; łatwo więc pojąć, że gdyby można zmierzyć moc czyli natężenie prądu elektrycznego przez ciepło wywołanego, mianoby tém samym miarę przyczyny, t. j. ilości ciepła stos ogrzewającego. Właśnie jest ogólny i bardzo prosty sposób wymierzenia siły prądu elektrycznego, zależący na tém, iż obok drutu łączącego dwa końce stosu umieszcza się igłę magnesową: gdy prąd przebiega przez drut wywiera działanie na igłę, która zmienia położenie; jeżeli jest mocny, zboczenie igły jest znaczne, jeżeli zmniejsza się, zboczenie ubywa, jeżeli niknie zboczenie także znika. Igła magnesowa na ten cel

użyta znajduje się w przyrządzie do śledzenia i mierzenia prądów elektrycznych, który nazywa się dlatego *reometrem* albo *galwanometrem*.

Znając te stosunki można teraz całkiem spuścić z uwagi elektryczność, która tu służy jako ogniwo łączące skutek otrzymany z przyczyną, którą chcemy ocenić; można zatrzymać się na zjawiskach skrajnych i powiedzieć: gdy ciepło pada na jeden koniec stosu, igła reometru zbacza, a chcąc ocenić i zmierzyć to ciepło, dość jest ocenić i zmierzyć zboczenie igły magnesowej przezeń sprawione.

Wprawdzie Melloni nie wynalazł ani stosu termoelektrycznego, ani reometru; winien je był Nobilemu i Schweigerowi, ale myśl połączenia obu tych przyrządów w jeden mający służyć do mierzenia najmniejszej ilości ciepła jest jego niezaprzeczoną własnością. Oba przyrządy połączone stanowią odtąd jeden i ten zwie się *termomultiplikatorem*, daje zaś wypadki o których nikt przedtém nie myślał. Melloni nie zraził się ani znacznymi nakładami, których wymagały liczne próby, ani przykrością często zawodnych usiłowań. Znalazł biegłych artystów, z których pomocą przewyciężyć zdołał wszelkie trudności i złożył doskonały przyrząd, któremu nawet nadał formę wytworną. Każdej potrzebie doświadczenia odpowiada w nim stosowny mechanizm, który je ułatwia, a czułość jego jest tak wielka, iż często wprawia w kłopot czyniących doświadczenia mniej biegłych jak Melloni. Odtąd pozyskała fizyka, powiedzieć można oko, które widzi ciepło, które dostrzega najlżejsze jego ślady i mierzy wszystkie jego odmiany; odtąd można było śmiało puścić się na pole doświadczeń o których marzył Melloni.

Jeśli chcemy np. okazać że ciepło rozchodzi się z wielką chyżością, umieścimy stos naprzeciw lampy w pewnym oddaleniu, zakrytej zasłoną; w tej samej chwili w której usuniemy zasłonę igła magnesowa poruszy się. Jeżeli żądamy wiedzieć czy promienie ciepła przechodzą wskroś ciał przezroczystych, postawmy między lampą a stosem tafelkę szkła, blaszkę lodu, żłobek szklany napełniony zimną wodą i t. p., a doświadcze-

nie wykonane, jak poprzednie, wykaze natychmiast ciepło przez rozmaite te ciała przepuszczone.

Rzecz widoczna, że przyrząd Melloniego służyć może równie dobrze jak dawniejsze termoskopy do okazania, że ciepło rozbiega się w promieniach, odbija i łamie podobnie jak światło; lecz ma przed niemi tę niezmierną wyższość, że jego ruchy są tak delikatne, iż niepodobna dostrzedz najmniejszego przedziału czasu między chwilą wyrzucenia promieni, a chwilą, w której okazuje się ich skutek; jest zaś tak dokładnym w swych wskazaniach, że poruszając peryodycznie płomień świecy widzimy jednoczesne peryodyczne ruchy igły magnesowej. Czulość jego jest niezrównaną; najmniejszy ciąg powietrza, najłżejsze promieniowanie ciał przyległych, odbijają się w narzędziu. Jeśli się doń zbliżymy, reometr natychmiast zdradza naszą obecność; jeśli go się dotkniemy, igła magnesowa zrywa się gwałtownie; księżyc nawet, który według panującego w niektórych miejscach przesądu ma być źródłem zimna, przysyła nam ciepło, które jest dostateczne do działania na termomultiplikator (1).

(1) Dawniej uważano księżyc za pozbawiony zupełnie własności ogrzewania; podawano nawet tę okoliczność za niezbity dowód specyficznej różnicy światła i ciepła. Jakoż światło księżyca zagęszczone w ognisku największych zwierciadeł i szkieł, nie wywierało żadnego wpływu na termometry. Melloni dopiero używszy do tego doświadczenia swojego przyrządu i zebrawszy promienie księżyca w ognisku wielkiej soczewki pierścieniowego układu (a échelous), okazał, że księżyc wyrzuca promienie ciepła. Usunąwszy wszystkie przeszkody wpływające niekorzystnie na doświadczenie, jakimi są: ciągi powietrza i promieniowanie ciał otaczających, otrzymał zboczenie od $0^{\circ}.6$ do $4^{\circ}.8$ na reometrze stosownie do mniejszej lub większej wysokości księżyca nad poziomem (Comptes rendus XXII, 541). Domyślić się łatwo, że w przejściu przez atmosferę ginie większa część promieni ciepła księżycowego, i w rzeczy samej w upłynionym dopiero co roku Piazz-Smyth podczas wyprawy swój astronomiczno-meteorologicznej, znajdując się na Piku Teneryfyy w wysokości 3320 metrów nad powierzchnią morza powtórzył doświadczenie Melloniego z daleko większym skutkiem. Lubo księżyc znajdował się w dość niskim położeniu, wydawał jednak ciepło, które wyrównywało trzeciej części ciepła świecy woskowej w odległości 15 stóp angielskich.

Łatwo pojąć jaki przewrót zrządziło tak czułe narzędzie w doświadczeniach z ciepłem. Gdy Herschel chciał posunąć swe *nadzwyczaj czułe* termometry o jaki ułomek stopnia, potrzebował do tego sporego pieca, kuli żelaznej rozpalonej, ognia węglanego, ognisk niedogodnych niedostatecznych, które jeszcze miały tę wadę, że były zmiennymi. Melloni zastąpił je ogniskami prostymi, przenośnymi, delikatnymi, dającymi ciepło stateczne i zawsze tego samego gatunku. Stanowią je: mała lampa z kwadratowym knotem zwana Locatellego, płomień wysoko, naczynko z wodą wrzącą, lub blacha miedziana ogrzewana spirytusem i t. p., które można z łatwością gasić, zapalać, przemieniać, tak, iż doświadczenia odbywają się szybko i dokładnie, bez kosztów i onych ciężkich i nudnych przyrządów, których użycie lubo często nieuchronne, zawsze jest nieprzyjemne.

Przez posiadanie tak doskonałego narzędzia zbliżywszy się do celu, do którego zdązał, rozpoczął Melloni łącznie z Nobilim ważne swe poszukiwania, gdy nagle wypadki z 1830 roku przeniosły go na inne pole działania. Zmuszony następnie opuścić katedrę i kraj rodzinny udał się do Francyi. Jeżeli zawód swój naukowy rozpoczął wśród najpomyślniejszych dla siebie okoliczności, to teraz znalazł się w nader przykrych okolicznościach, w których się jeszcze nigdy nie znajdował: nadeszły walki z niedostatkiem, z lekceważeniem lub obojętnością ludzi naukowych, których ustalone opinie wywracał. Walczył jednak z odwagą, która go nigdy nie opuściła, rozwijając i popierając wytrwale swoje myśli z wrodzoną mu żywością, która mu narobiła wielu niechętnych. Spójność opinii i jedność naukowych widoków zbliżyły Melloniego i Arago. Mąż ten równie wzniosły umysłem jak sercem, daleki był od namiętnostek ludzi pospolitych choć uczonych; poznał się zaraz na Mellonim i uważał za swój obowiązek podać rękę uczonemu wygnańcowi, otwierając dla niego znów zawód naukowy, nieszczęśliwemi okolicznościami przerwany. Za jego wstawieniem się uzyskał Melloni posadę profesora fizyki w kollegium miasta Dole. Przez to zabezpieczony był od niedostatku, jednak zaspokojenie potrzeb ży-

cia nie jest wszystkiém dla człowieka nauce poświęconego. Fizykowi potrzeba jeszcze gabinetu, opatrzonego w potrzebne do jego badań narzędzia; potrzeba mu artystów, którzyby z precyzją wykonać byli zdolni jego pomysły. Odległe prowincjonalne miasteczko, w którym kazano mu wykładać fizykę a nie dano żadnych narzędzi do doświadczeń, nie mogło być dla niego miejscem stosowném; uzbroił się jednak w cierpliwość i po paroletnim pobycie w Dole, zebrawszy nieco oszczędności, opuścił to miejsce i udał się do Genewy.

Genewa dostarczyła mu obficie wszelkich pomocy, na których mu zbywało w Dole; ukończył tam szybko swe pierwsze najważniejsze poszukiwania i pospieszył zaraz do Paryża dla przedstawienia Instytutowi pierwszego swego pamiętnika.

W ciele tém uczoném panowały wówczas teorye istot nieważkich: ciepło uważane było za taką istotę niezmiernie subtelną, przechodzącą z jednych ciał w drugie, lub wyrzucaną przez nie w postaci strumieni. Materją tę obdarzoną wreszcie rozmaitemi własnościami rozszerzania, rozpuszczania ciał i t. d., nazywano ciepłikiem (*caloricum*). Wszelka tradycya o różnorodności ciepła zaginęła. System falowy światła lubo już znacznie wykształcony miał niewielu nieśmiałych zwolenników; wszyscy szli za Biotem, który uporczywie trzymał się systemu emisyjnego, marnując wielkie zasoby talentu na nadawanie kulkom światła coraz to nowych własności, osi, biegunów i t. p., tak, że tak zwana hipoteza Newtona stała się stosem hipotez sprzecznych i niepodobnych, przypominających żywo epicykle Ptolomeusza. W obec tak konserwatywnie usposobionego zgromadzenia wystąpił młody, prawie nieznanый cudzoziemiec z nowymi myślami i nowym narządem. Myśli jego nie zgadzały się z wyobrażeniami, nałogiem uświęconemi; doznały téż zrazu losu prawie wszystkich nowości i niespodzianych odkryć. Krótko mówiąc, wystąpienie Melloniego przyjęto z niedowierzaniem i uprzedzeniem, obsypano go jednostronnemi i płytkimi zarzutami i zaprzeczeniami, bez należytego zgłębienia przedmiotu; gdy tymczasem komisya do rozbioru pamiętnika ustano-

wiona, zwlekała nieskończenie złożenie rapportu, którego się autor uporczywie dopominał. Nie mogąc doczekać się skutku, postanowił wreszcie obejść się bez zdania Akademii; odwołał się do całego świata naukowego, ogłaszając drukiem swe prace.

Prace te zrobiły we Francyi, a szczególnież zagranicą wielkie wrażenie i zjednały odrazu Melloniemu zasłużoną sławę; ten zaś nie ustawał, lecz wydawał dalsze swe poszukiwania, które ją utwierdzały. Na widok takiego powodzenia poruszyła się wreszcie Akademia, poznała swój błąd, a chcąc go jeżeli można naprawić, mianowała inną kommissyą, lepiej dobraną do rozbioru pamiętników przez Melloniego ogłoszonych. Sam Biot wziął na siebie rolę sprawozdawcy i z właściwym sobie talentem i ścisłością zajął się badaniem wypadków przez Melloniego otrzymanych; szczególnież zaś zwrócił uwagę na wyprobowanie termomultiplikatora, od którego dokładności, oczywiście zależała wartość wypadków. Rozebrał on skrupulatnie narząd i sposoby doświadczeń, a niepoprzestając na doświadczeniach autora i zadaniach przez niego rozwiązanych, dodał całe rzędy nowych, poddał je pod ścisły rachunek i nie zaspokoił się, dopóki nie przekonał się o ścisłej zgodności pomiędzy wypadkami doświadczeń, a teorią. Przeświadczony Biot o ścisłości sposobów doświadczenia i dokładności wypadków, okrył je swoją powagą i wykazał całą ich ważność w świetnym raporcie, który był prawdziwym tryumfem dla Melloniego. Wejdźmy teraz w bliższe szczegóły tych prac i wniosków, jakie z nich autor wyprowadził.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Przyjęcie do Akademii pana Biot, i mowa Guizota.— *La Question d'Argent*, komedia Dumasa syna.— Kometa Karola Vgo. — Kurs antropologii profesora Quatrefages.— Wiadomości literackie.

Śmierć poczyniła zeszłego roku tak wielkie luki w akademickim kole, że obiory nowych członków prawie bez przerwy po sobie następują. W tym miesiącu opróżniony fotel Lacretell'a zajął pan Biot, ośmdziesiątletni starzec, który cały swój długi żywot poświęcił nauce i mnóstwem nowych zbogacił ją odkryć. Obiór poważnego członka znanego powszechnie tak z usług oddanych krajowi na polu naukowym, jak z nieskazitelnego charakteru i enót domowych, musiał być liczniejszy od poprzednich, tém bardziej, iż wiadano, że pan Guizot ma przyjmować nowego członka. Jakoż w istocie, zgromadzenie uczone w wielkim komplecie, nosiło tą razą cechę rzeczywistej powagi, a cały obrząd z niezwykłą odbył się solennością. Ogromną salę przeznaczoną dla słuchaczy, przepełniał tłum śmiertelników, w nieśmiertelnem zaś gronie jaśniały pod biretami głowy najpoważniejszych jego członków, jak pp. Guizot, Beryer, Dupin, Villemain, Duchâtel, Rémusat, Odilon Barrot, Thiers, i t. d.

Pan Biot zabrał głos naprzód, ale mówił tak cicho, że osoby najbliżej siedzące zaledwie dziesiąte słowo słyszały. Przeczytawszy nazajutrz mowę jego, dowiedzieliśmy się, że jest napisana bardzo pięknie i rozumnie. Biot opowiedział naprzód życie poprzednika swego, Lacrete'll'a, oceniał go jako literata, adwokata, publicystę i profesora, poczem zastanawiał się nad rewolucją francuzką, i dowodził, że wszelki postęp o tyle jest trwały i zbawienny dla narodu, o ile płynie z wytrawnego namysłu i wiedzy wszechstronnój; zachęcał przeto młode pokolenie do zamiłowania gruntownej nauki, na której tak dziś zbywa młodym, a która jest jedynym przewodnikiem mogącym doprowadzić ludzkość do wyższych celów.

Ostatecznie, mowa Biota była więcej moralna, niż literacka, więcej polityczna niż matematyczna. Układając ją, szanowny członek miał widocznie na myśli kwestye żywoźniejsze od badań naukowych. Podnosząc do ideału wysoką misję uczonego i wielkie zadanie ludzkiej intelligencji, chciał ohydzić warsztatowe piśmiennictwo mające tylko zysk na celu, oraz zawrócić w głębsze koryto lekkomyślnie-burzliwe umysły francuzkiej młodzieży.

Odmalowawszy wznioste, spokojne i niezachwiane szczęście, jakiego człowiek na łonie nauki doznaje, pan Biot temi słowy przemowę swoją zakończył:

..., Ten, kto się poświęci szczerze dociekaniom fenomenów naszego globu, uczuje się tak zupełnie zwolniony z obowiązku brania udziału w sprawach publicznych ziemi, jak gdyby żył na Saturnie lub Jowiszu. Świat zewnętrzny nie przyjdzie go wyrwać z abstrakcyi, chyba że sam zechce zwrócić na się oczy ludzkie celem dojścia do sławy lub fortuny, czyli poświęcić czyste rozkosze myśli dla próżności lub interesu. Iluż ludzi widzieliśmy tracących w ten sposób godność osobistą, spokój duszy, zdolność pracy, nawet geniusz!

I na co? Na to, żeby ten tłum, którym gardzą, klaskał im przez chwilę, a ludzie których poważają wyrzekli z westchnieniem „szkoda!”... I cóż waży taki sukces w pozgonnej stawie? Kto się dziś troszczy o to, jaki stopień polityczny zajmował Descartes we Francji, Newton w Anglii, Leibnitz w Niemczech, Lineusz w Szwecyi?

„Do téjto stawy abstrakcyjnej, wspólnej wszystkim narodom cywilizowanego świata, trzeba zwracać umysł młodzieży odznaczającej się w szkołach. Mocny wysokim stanowiskiem, na któreście mnie wynieśli, czuję obowiązek zwrócenia mowy do młodych adeptów nauki, i powiedzenia im w imieniu całej Akademii: młodzieży, która z zapałem puszczasz się w zawód naukowy, nie dozwoł próżności zgasić w sobie boskiego ognia, nie poświęcaj go nigdy dla interesów znikomych, zaprzatających dziś ludzi przedewszystkiem. Kto z was na seryo chce się oddać nauce, niechaj naprzód czytaniem usposobi i przygotuje umysł do przyjęcia nauki: trzeba być pierwój literatem, potém uczonym. Tylko obszerna znajomość literatury daje subtelność myśli, pełne zrozumienie idei, i talent jasnego jój określania właściwemi słowy. Tak przygotowany uczeń, łatwo zrozumie pierwsze tajemnice nauki; skosztowawszy każdej, wybierze tę, która mu się wyda najpowabniejszą i poświęci jój się wyłącznie.

„Wtedy już, jedyną ambicyą człowieka winna być żądza dalszych odkryć, usiłowanie wyruszenia dalej ze stacyi, na której ulubioną naukę jego zostawili światli poprzednicy. Celu tego dopiąć tylko można będąc samotnym, cierpliwym, wytrwałym, nie dając przystępu innym wpływom, prócz wpływów przywiązania trwałego, które jest ducha podporą.

„Tą drogą, o! młodzieży! żaden z was nie dojdzie do majątku, ani do światowych honorów; co większa, czekają was na niej prywacye i przykrości, ale mimo

to, jeżeli czujecie w sercu ogień święty, wytrwajcie! Wytrwajcie, mówię, a niezawodnie przyjdzie dzień, w którym będziecie ocenieni i z bogaceni nagrodami, które nasze ustawy przeznaczyły dla pracowitej zaślugi. Prędzej więc, czy później mając zapewniony chleb powszedni, swobodnie dla nauki pracować będziecie mogli.

„Tylko nigdy nie ubiegajcie się o uznanie tłumu; niechaj wam wystarczy uznanie małej liczby ludzi wyższych rozsianych na powierzchni globu. Oni sami mają prawo was oceniać i nadać wam rangę, której ani wpływ ministra, ani wola monarsza, ani kaprys ludowy nadać ani odebrać wam nie mogą, i na której pozostaniecie dopóty, dopóki będziecie wierni nauce. W końcu jeżeli pod wieczór życia, złożycie zaszczytne świadectwa, przypuszczeni w ojczyźnie do grona najwyższych intelligencyj, otrzymacie najpiękniejszą nagrodę o jakiej uczony marzyć może.”

Pan Biot mówił długo. Wszystkie uszy silące się daremnie na chwytanie cichych słów uczonego starca, z upragnieniem oczekiwały odpowiedzi Guizota, którego Cycerońskiej wymowy tak dawno nie słyszano w publicznym zgromadzeniu. Skoro przemówił Guizot, zaległa salę wielka cisza, którą przerywało tylko skrzypienie piór notujących żwawo każde słowo ex ministra. Zgromadzenie złożone z jego przyjaciół i nieprzyjaciół, podzieliło się na dwa obozy obserwujące się wzajemnie; badawcze oczy latały szybko, to chcąc przeniknąć do gruntu często zawitą myśl mowcy, to śledząc wrażenia jakie na tym lub owym słowa jego sprawiały. Pan Guizot mówił prześlicznie: porywająca wymowa jego naprzemiany zamglona lub jasna, podobną była to do lotu orła kryjącego się w obłok przed ludzkimi wzrokiem, to do słońca, co go zaćmiewa swym blaskiem. Były chwile, w których namiętnym oklaskom wielbicieli, wtórowały poklaski nieprzyjaciół Guizota: tak wielka jest

potęga jego słów poważnych, silnych i twardych jak skała; tak wielki urok tego wzroku, co się nigdy nie lęka, i tego głosu co niegdyś bez zadrzenia powtórzył trzy razy rozhukanéj izbie owe pamiętne słowa: „J'ai été à Gant!”

Z mowy téj czysto politycznéj, pełnéj alluzji niezrozumiałych dla większej części cudzoziemców, wyjmujemy dwa ustępy, które będąc osnute na wspólném dla wszystkich polu, ogół interesować mogą. Wypowiedziawszy brylantowym stylem mnóstwo rzeczy nie mających żadnego związku z Akademią ani Biotem, pan Guizot rzekł zwracając mowę do niego:

„Lat temu pięćdziesiąt cztery, jak po raz piérwszy wszedłeś pan do Instytutu; wtedy najmłodszy, dziś najstarszy z jego członków (Biot od pół wieku był członkiem Akademii Nauk). Sławni mistrze nasi: Laplace, Lagrange, Monge, Berthollet, otworzyli ci podwoje tego gmachu, bo kochając naukę szczerą i czystą miłością, kochali także młodzież, która jéj służyć miała. Przyjmowali ją więc, zachęcali, oświecali i widzieli z rozkoszą wzrastającą pod cieniem własnéj stawy przyszłą stawę swych ulubionych uczniów.

„Pamięć téj szlachetnéj opieki musiała się głęboko wyryć w sercu pańskiém, kiedy w pięćdziesiąt lat późniéj zdołałeś nam jeszcze opowiedzieć z młodzieńczym zapałem, starania, jakie podejmował Laplace, ażeby piérwsze prace pana oceniono, kiedy w podeszłym wieku czujesz jeszcze tyle synowskiéj wdzięczności dla czcigodnego protektora, który schował do teki swe najważniejsze odkrycie, zostawiając tobie młodemu zaszczyt tego wynalazku.

„Miałeś pan także w owym czasie bardzo fortunny wypadek, z którego nie chciałeś korzystać. Zdobywca Włoch i Egiptu, już przeczuwany zdobywca Europy, generał Bonaparte, wtedy piérwszy konsul, był obecny na posiedzeniu Akademii Nauk, na którym pan zdawałeś

sprawę z poszukiwań swoich. Monge siedząc obok Bonapartego przed czarną tablicą, na której pisał, rzekł do niego z ojcowskim zadowoleniem: „Tę nową pracę jeszcze zawdzięczamy naszej kochanej szkole politechnicznej.” „Poznałem to po figurach,” odpowiedział pierwszy konsul. W końcu posiedzenia, Akademia jako sprawozdawców do przejrzenia pańskiego memoriału wyznaczyła obywateli Laplace’a, Bonapartego i Lacroix. Nie wiem czy cesarz Napoleon o tém pamiętał, ale to wiem, żeś mu pan nigdy tego nie przypomniał; nadto szanowałeś naukę, a żeby w jej imieniu o łaskę się starać.

„Jestto także niemałym zaszczytem dla geniusza, którego Akademia za sędziego panu wyznaczyła, iż zawsze szczerze szanował naukę i jej mistrzów. Jeden z najznakomitszych naszych kolegów pan Molé opowiadał mi, że w czasie najwyższej swój potęgi, największego upojenia sławą, cesarz Napoleon czuł zawsze wysoką cześć dla wyższości umysłowej; mistrzowie nauk matematycznych i fizycznych byli dlań za młodu reprezentantami owój wyższości. Głębokość i dokładność ich kombinacyj, zdobycze, które odnieśli nad naturą wydzierając jej potęgę i tajemnice: słowem, dominowanie świata myślą, uderzyło wcześniej wyobraźnię bohatera despoty i zdobyło sobie jego uwielbienie.

„Niektórzy z tych książąt nauki, może najstańniej: Monge, Berthollet, Fourier, zjednoczyli się z jego fortuną, pomagali mu do sławy i towarzyszyli nawet na pustyni. On także oddawał hołd ich sławie, i lubił czytać w domu, czy za domem okazywać im nieledwie przyjacielskie względy.

„Ale wzrok jego nie zatrzymywał się w wysokich sferach nauki. Ostrzeżony przez wzniosłe aspiracye, które są, jak powiedział Royer Collard na grobie Kazimierza Périer, częścią Boskiej sztuki rządzenia, czuł także piękność belletrystyki i nie czekał, aż zostanie panem Francji, żeby ocenić ważne stanowisko, jakie zajmuje

w, życiu duszy i towarzystwie ludzkim. Żywo poruszany widokami miejsc przypominających wielkie wypadki, próbował raz w Egipcie czytać z pomocą Fouriera, skreślone przez Lukana porównanie Pompejusza z Cezarem; a ponieważ tłumaczenie szło wolno, zniecierpliwiony zawołał: „Jakże szczęśliwy Carat i Arnault, że mogą czytać płynnie piękne wiersze w oryginale!” „Nie myśl wodzu, odrzekł Fourier, żeby ci panowie czytali je płynniej od ciebie”. „Jako! zawołał Bonaparte, więc już nie umięją po łacinie we Francyi? Muszę ja w to wejrzeć”.

„Jakoż wejrzał w istocie. Nauki kwitły przed nim i bez niego, ale restauracya studyów klassycznych jest jego dziełem. Śmiertelni stwórcy piękna, Homer i Wirgiliusz, Thucydides i Cyceron, dzięki jemu odzyskali swoją rangę i wpływ swój na rozwijanie się młodych umysłów. Stawszy się wszech-potężny, nadto potężny tak dla swęj chwały jak dla swęj fortuny, Bonaparte niemniej lubił rozmawiać z Fontanem jak z Laplac'em, dopóki nie dopatrzył w odradzającej się literaturze nieco owęj niezawisłości, której umysł ludzki nawet uciśniony, nawet uwiedziony rzec się nie może. Wtedy żałował, że dał w ręce młodzieży Tacyta, i już nie kazał sobie czytać w Tuileryach republikańskich trenów tegoż Lukana, który go tak zachwycał nad Nitem.

„Zdarza się czasem, że despoci jeżeli są wielkimi ludźmi, tworzą ustawy, których rezultatu nie przewidzieli i widzą nie bez podziwu w dziełach swoich jawiącą się pewną wolność, która nie wchodziła w ich plany: powodowani instynktem i miłością wielkości, wywołują potęgi, których długo w służebności utrzymać nie zdołają. Kardynał Richelieu zakładając Akademię francuzką nie przewidywał, że ona wkrótce nie podzieli ani jego złęgo usposobienia dla Corneila, ani złęgo gustu w sądeniu Cyda. Napoleon pewno nie na to założył uniwersytet, żeby dostarczył zasadom liberalnym tyłu zdolnych i wytrwałych obrońców. Sąto szczęśliwe nieogłędności tych strasznych dominatorów świata,

którym wrodzona wielkość każe czasem zapominać samolubnych namiętności, a którzy idąc za polotem genialnej myśli, czynią więcej i lepiej niż obrachowli.

.... „Poprzednik pański Lacretelle, i pan, panie Biot, jesteście nietylko szlachetnym, ale zbawiennym dla nas przykładem. Jestto dziś skłonność powszechna widzieć wszędzie tylko zawiedzione nadzieje i rozczarowania. Jakoż rzeczywiście wszystko cośmy widzieli i wytrzymali, może nam dać to smutne pojęcie o przeznaczeniu ludzkości. Tam, gdzieśmy liczyli na siłę, pokazała się słabość; przedwczesna niemoc albo nagły upadek zabił to, co świetną i długą obiecywało przyszłość. Najwięksi wojownicy zostali zwyciężeni, najmędrsi politycy nie dopięli swego, najszlachetniejsze zakłady upadły. Żyliśmy i żyjemy na ruinach. Sama tylko miłość nauki i miłość prawdy nie zostały zawiedzione, tylko zdobycze umysłowe pokazały się trwałe: wielkość intelektualna powstała sama jedna z pomiędzy tyłu upadłych wielkości. Jestto skazówka, że na tej drodze możemy sobie obiecywać nieco pewności i trwałych zwycięstw.

„Nieraz już Francya widziała niepowodzenie swoich do sfer wyższych polotów. Wtedy smutna, ale niezrażona, szukała i znajdowała na czas jakiś w niezmodowanej czynności swego umysłu, inne rozkosze i inną chwałę. Po politycznych porażkach Frondy wybuchły mnogie prace scyentyficzne i arcydzieła literackie XVII wieku. Za naszych czasów wyszedłszy z kabał rewolucyjnych, które nam uczyniły podejrzanemi wszystkie wolności, filozofia wyzwoliwszy się z materyi, znowu ku górze lot swój skierowała, a belletrystyka ku zapomnianemu niebu oczy podniosła. Człowiek zmęczony marzeniami lub hańbą świata realnego, w świecie intelektualnym krzepi się i podnosi. W tej świętej kontemplacyi prawdy i piękna odrodzone dusze odzyskują na

nowo nadzieje i siły potrzebne do nowych prób, mających na celu urzeczywistnienie wielkich zamiarów ludzkości. Do tychto pogodnych sfer myśli i nauki, zapraszam dziś młodą generacją, idącą niepewnym krokiem w przyszłość, nie po to, uchwaj Boże, ażeby się zrzekła praktycznych praw prawdy nad społecznością, ani żeby zwątpiła o swém powodzeniu, ale żeby się nauczyła jasno pojmować swą sprawę i dobrze jęj służyć, przyjmując naprzód wszystkie warunki jęj panowania. Boski mistrz ludzi powiedział uczniom zgromadzonym koło siebie na górze, słowa, które ośmielam się powtórzyć, gdyż równie do zbawienia duszy jak do zbawienia narodu się stosują: „Szukajcie naprzód królestwa Bożego, a sprawiedliwość jego i wszystko inne będzie wam dodane.”

Nowa komedia Dumasa syna, la Question d'argent, nadto zajmowała ubiegłego miesiąca tutejszych krytyków, ażebyśmy ją w tém sprawozdaniu pominąć mogli, chociaż zdaniem naszym, sztuka ta mniej warta od poprzednich utworów Dumasa nie zasługuje na obszerne rozbiory, jakimi ją tu zaszczycono, i nie dorównywa, nawet dowcipem, przedstawianej równocześnie wybornęj komedyi Barriera les Faux Bons-Hommes, o której już dawnięj wspominaliśmy czytelnikom naszym, a która w Paryżu nie pozyskała ani połowy pochwał, jakimi fejletoniści obsypali nowy utwór autora Kameliowęj Damy. Że sztuka znalazła tak wielkie poparcie tutejszych kierowników opinii literackięj, łatwo pojąć: autor do ich cechu należy, a tu ludzie dawno już zrozumieli, że w połączeniu siła. Trudnięj pojąć jęj powodzenie w teatrze i szczerą sympatyą uliczną, którą chyba tytułowi sztuki przypisać należy, bo rzecz sama sucha i wcale niezapaina.

Kwestya pieniężna nie agituje się już tą razą w świetnych salonach jak w Demi-Mondzie, i nie jest

przerwana żadną intrygą miłosną, bez której dotąd dramat nie mógł się obejść jak ogród bez wody: rzecz toczy się na właściwem polu. Autor zamknął akcją w zimnym biurze bankierskiem, osoby zaś wprzągnął w deptak materyalnych kłopotów i podzielił wedle podziału dóbr ziemskich, to jest, jednemu dał miliony, a reszcie kazał walczyć z brakiem, niedostatkiem, nędzą, gonić wiecznie za pieniędzmi, owym Sfinxem ulanym w menicy, który zwykł pożerać tych, co tajemnicy jego nie odgadują. Postawił także dwoje ludzi na to tylko, żeby ich przedzielić biletem bankowym i pokazać, że ten kawałek welinu mocniejszy niż mur, i że go żadna kula nie przestrzeli.

Jak niegdyś poeci idealizowali wielkie bitwy stanowiące o losach ludzkości, tak Dumas usiłował w swojej komedyi oddać jaskrawemi barwy walkę interesów, która jest tłem życia dzisiejszych ludzi; walkę, w której najsilniejsi bywają zwyciężeni z powodu braku amunicyi. Natchniony duchem swego czasu, chciał pokazać, że z rejestrow bankructwa, z wypadku likwidacyi, dadzą się ułożyć tragiczniejsze od Sofoklesowych tragedye, a na listy miłosne szkoda słów, bo wymowniejsze od nich są listy zastawne.

Szkoda, że przy tak wielkiej zdolności dramatyzowania, autor nie zbadał głębiej materyalnej strony przedmiotu: byłby przez to uniknął wielu rażących pomyłek, które zawsze wywoływać będą uśmiech na usta finansistów, a prostakom nie dozwolą z moralności jego komedyi korzystać. Ale przystąpmy do treści, z której czytelnik najlepiej sam rzecz osądzi.

Zaraz w pierwszym akcie poznajemy wszystkie osoby sztuki w domu pana Durieu, zamożnego mieszczanina, który nie może sobie darować, że przed dwudziestą laty pojął żonę bez posagu, i przez dwadzieścia lat każe biedaczce pokutować za tę pomyłkę, którą za młodu w dodawaniu popełnił. Pani Durieu różni się

tém tylko od służących swego męża, że nie bierze zastug. Bolesny jest ten typ sponiewieranéj żony, podobny do wyblakłego portretu familijnego, który odwrócono malowidłem do ściany.

W panu Durieu, Dumas chciał przedstawić egoizm pieniężny; siostrzeniec mieszczanina, p. Charzay, uosabia pieniężną filozofią. Jestto kawaler, który ma trzy tysiące franków dochodu z obciętego od swego kapitału kuponu, i na tym kuponie żyje jak jedwabnik na liściu morwowym. Młody ten człowiek, typ dość powszedni w naszych czasach, nie ma żadnych namiętności, żadnych pragnień, żadnej ambicyi, nawet żadnego zachcenia; posiada tylko sztukę dzielenia trzech tysięcy franków dochodu na trzysta sześćdziesiąt pięć równych części, i spożywania onychże w sposób tak regularny, żeby ostatniego dnia roku podsumowana addycya ani o centym nie przenosiła budżetu. Trzydziestoletni rentier, którego autor uposażył w tak budującą oględność i dobrą konduite, widocznie pragnąc, żeby się podobał, niekoniecznie jest sympatyczny: suchoty serca nadto mu patrzą z twarzy, a moralność jego podobna do moralności owego chłopca, coto zapytany przez nauczyciela: „Expliquez moi ce que c'est qu'une bonne action?” odpowiada poważnie: „Papa m'a dit qu'une bonne action est celle qui est au dessus du pair.”

Hrabina Savelli, typ wielkiej damy familiantki, hojnej aż do szaleństwa, dziwnie odbija obok młodego sknery. Hrabina ma pięćdziesiąt tysięcy dochodu, pałace we Francyi i ville we Włoszech, ale huragan nieładu rozwiewa te książęce dostatki, i w parze z rządcami, z którymi pani nigdy się nie rachuje, sprawia wieczną próżnię w szkatułce. Zład poniżenie, brudne tarapaty, usługi, i tam dalej. Arystokracya francuzka ze wszystkimi swemi zaletami, wadami, uchwycona tu wybornie, narysowana bez przesady. Hrabina należy do tych już dziś rzadko napotykaných kobiet

z czasów restauracyi, które najwłaściwiej porównać można do zbytłwych sprzętów, albo do tłustych i krasnych kaktusów, które kwitną na wyżynach bezwonne i kolące, a mimo to ubrane piękniej niż wszystkie pachnące i pożyteczne kwiaty.

Prócz wymienionych figur, poznajemy jeszcze u pana Durieu śmiejącą i roztrzepaną córkę jego Matyldę, Rencoura, starego zrujnowanego szlachcica, któremu hrabina idąc za radą przyjaciół powierzyła zarząd swego majątku, i córkę rządcy Elizę, piękną pannę bez posagu, którą admirują wszyscy, ale nikt poślubić nie chce, bo tylko w cnoty bogata.

Towarzystwo z powyższych osób złożone, wyłącznie zajmuje się kwestyą pieniężną: ojcowie i matki, panny i kawalerowie rozmawiają o rentach, akcyach, procentach, kursie papierów, assocyacyach, assekuracyach, prymach, kommandycie i t. d.

Na takiem tle obrazu jawi się pryneypalna jego osoba, bankier Giraud, w którym Dumas chciał podobno przedstawić Miresa. Jestto portret najmniej uderzający, może dlatego, że nadto prawdziwy, nie mający żadnej cechy oryginalnej, żadnej śmieszności, nie różniący się od innych ani ubiorem, ani fizyonomią. Finansista Giraud nie czyni żadnego wrażenia, rozmowa zaś jego powszednia ale zdrowa, częściej aprobacją niż pogardę wywołuje, bo tłem charakteru Girauda — rozsądek.

Syn ogrodnika zarobiwszy na giełdzie sześć milionów, nie tylko nie wstydzi się swego pochodzenia, ale chlubi się z niego; ojcowskie saboty gotów zamiast herbu wyryć na pieczęcie. Giraud wielbi naiwnie wszechmocność złota, ale nie człowieka, który je posiada: nie bierze dla siebie ani jednego z mnogich pokłonów jakie mu wybijają, wiedząc, że się należą całkowicie jego szkatule i kredytowi. Bankier Dumasa skromniejszy niż osioł w bajce, wie, że ludzie nie przed nim, ale przed złotą relikwią którą niesie kłękają. Prócz

rozsądku Giraud ma dobre serce: worek jego zawsze otwarty dla przyjaciół, a chęci służenia im najlepsze.

Tyle rozsądku i dobroci budzą koniecznie w słuchaczach życzliwość dla bankiera, a nawet nieraz do admiracyi ich zmuszają. Zaprawdę, nie można było lepiej adwokatować sprawy skazanego, ani wystawić w lepszym świetle wszystkich łagodnych okoliczności, jak to uczynił Dumas przez pierwsze trzy akta swój komedyi.

Serdecznie przyjęty w domu pana Durieu bankier, zaprzyjaźnia się z rozsądnym siostrzeńcem p. Charzay i ofiaruje mu pomoc, z którą wnet swój mająteczek potroi. Charzay odrzuca ofiarę, czém wzruszony Giraud zamyka kasę, a otwiera serce; wyznaje młodzieńcowi, iż pragnąłby się ożenić z damą wysokiego rodu, któraby go wprowadziła w wielki świat; jeżeli więc panna Eliza de Rencourt raczy przyjąć jego pokorne miliony, ofiaruje jój swoją rękę.

I jakżeż tu nie kochać takiego bankiera? jakże nie podziwiać jego szlachetnych instynktów? Nawet trzydziestoletni rentier wzruszony do żywego taką wielką bezinteresownością, obiecuje mu swoje poparcie.

Po téj krótkiej scenie uczuciowej następują znów długie sceny finansowe, których tu opisywać nie będziemy, nie mając dzięki Bogu w naszym języku słów na wyrażenie tych rzeczy, a w naszym kraju czytelników, którychby zajmowały. Cały długi akt zapełniają obrazy szkicowane na giełdzie i wierne relacye z bur-sowych operacyj. W końcu upatrzwszy wolną chwilę od interesów, Matylda córka pana Durieu oświadcza swemu kuzynowi Charzay, że gotowaby iść za niego, gdyby miał majątek, a że i on gotów się z nią żenić, bo go ma, postanawia tedy zająć się powiększeniem swój fortuny, w którymto celu wyjeżdża do Solonii.

Przed odjazdem Charzay zawiadamia ojca Elizy o zamiarach bankiera względem jego córki. Ten przy-

staje odrazu na proponowane zamęcie; Eliza odrzuca najprzód rękę finansisty, ale w końcu nagłona przez wszystkich, przyjmuje.

Główną scenę czwartego aktu stanowi spisanie ślubnego kontraktu bankiera. Tutaj paradox jest rażący: autor, który przez trzy poprzednie akta malował jak najlepiej dorobkowicza i dokazał tego, iż mu sympatyą widzów pozyskał, nagle czuje potrzebę sponiewierania swego bohatera, bo tego wymaga moralność sztuki; zmusza go więc do czynu będącego w zupełnej niezgodzie z charakterem, jaki mu nadał poprzednio. Bankier siedząc naprzeciw narzeczonej, czyta jój kontrakt ślubny, w którym napisano, iż panna Eliza ma milion posagu. Zapytany o powód tego kłamstwa, odpowiada beczelnie, że to jest najlepszy sposób zabezpieczenia owego miliona od natarczywości wierzycieli na przypadek rzeczywistego lub udanego bankructwa: jestto nonsens nie dający się usprawiedliwić niczém. Czyż można przypuścić, ażeby nawet największy łotr przyznawał się bez potrzeby do naprzód obmyślanego oszustwa? Któż zmusza Girauda do tego cynicznego wyznania? Czyż nie właściwiej było ograniczyć się na pierwszej odpowiedzi, którą daje pannie „na przypadek śmierci chciałem pani los zabezpieczyć.” Co za cel może mieć ten człowiek, ażeby się ohydzać w oczach kobiety którą kocha? Przecież nawet rozbójnik potrafiłby udąć uczciwego w dzień swego wesela.

Po téj scenie bankier staje się naraz czarny jak węgiel; wszyscy nim gardzą: panna Eliza drze kontrakt ślubny. Charzay, który słuchał pode drzwiami, miota nań najdotkliwsze obelgi, nazywa go bez ceremonii złodziejem; na co bankier odpowiada z krwią zimną: „Vous m'ennuyez à la fin” i dowodzi, że za dobrodziejstwa zawsze mu niewdzięcznością płacono.

Przejście jest tak nagłe, że słuchacz mimowolnie to zdanie podziela. Oskarżenia przybywają zapóźno,

dlatego zdają się podrobione: jedno nieprawdopodobne słowo włożone mu w usta, nie może odrazu obrzydzić człowieka, którego dobroci dowodzono przez trzy godziny.

Nie dość na tém. Raz zagniewany na swego bohatera autor, zapędza go niemal na galery. W ostatnim akcie rozchodzi się pogłoska, że Giraud uciekł do Ameryki. Hrabina i Durieu mający u niego kapitały, już załamują ręce, kiedy drzwi się otwierają, wchodzi Giraud z pełnym pugilaresem banknotów i opowiada, iż wraca z Hawru, że ta niewinna przejażdżka spowodowała najniższy spadek jego akcji, które za pół ceny wykupił.

Nowe nieprawdopodobieństwo. Któż nie wie, że taki figiel zaprowadziłby bankiera do domu poprawy albo do kryminału; że to jest oszustwo niemożliwe, wymysł autora nie znającego się wcale na finansach. Ale darmo, potrzeba było koniecznie zakończyć morałem, a ponieważ nie znalazła się w sumieniu rzeczywistość dla spekulantów pogarda, autor sfatszował ją naprędce mając nadzieję, że za prawdziwą ujdzie i kurs publiczny znajdzie. Cały czwarty akt na to poświęcił. Przed powracającym z Hawru Giraudem pierzcha wszystko jak przed zarazą, lokaje nawet ujrzawszy go sprzątają srebro stołowe; hrabina nie chcąc już wysokich procentów, odbiera mu swoją sumę; Durieu nawrócony przez żonę, z którą przez dwadzieścia lat nie gadał, zarzeka się, że wyższego nad trzy od sta procentu nie przyjmie. Charzay powróciwszy z Solonii, porzuca Matyldę dlatego, że bogata, a żeni się z Elizą dlatego, że uboga.

Na tak fantastycznym finale kończy się ta niby pozytywna komedia, świecąca i zimna jak pieniądze, około których krąży: komedia, w której nawet jedyna opiewana miłość, miłość złota nie jest namiętnością, ale tylko pożądliwością,

Cóżkolwiek bądź, jak powiedzieliśmy, sztuką została wybornie przyjętą w teatrze, a wielbioną w fejtynie. Wśród chóru panegirystów jeden tylko ozwał się krytyk, szkoda, że interesowany. Mires w swym dzienniku Constitutionelu ogłosił uszczypliwy rozbiór komedy w formie listu do autora, gdzie mu dowodzi grubą nieznajomości kwestyj pieniężnych. Jeden z tutejszych humorystycznych dzienników podchwycił praktyczne uwagi bankiera i w następujących wyrazach je streścił:

„Widziałem na scenie kwestyą pieniężną i czytałem co o niej napisali krytycy: i sztuka i fejtyny nieosobliwe. Bohater pański jest cymbat, inne osoby nieodłączne, ty zaś mój drogi nie jesteś mocny. Jeżeli jeszcze zechcesz pisać o kwestyi pieniężnej, pofatyguj się do mnie, to ci wytłumaczę co to są finanse; wtedy może napiszesz dobrą sztukę. (Dopisek redakcyi). Słychać, że w biurach Miresa dawane będą bezpłatne konsultacye dramaturgom.”

Pewien Niemiec, podobno Bawarczyk, ogłosił w dziennikach niemieckich rodzaj proroctwa opartego na swych astronomicznych spostrzeżeniach, w którym oznajmia, że koniec świata nastąpi 13 czerwca roku bieżącego, z powodu karambolu ziemi z komętą tak zwaną Karola V-go, pierwszy raz widzianą w 1264, a ostatni w 1556 roku. Nowina ta powtórzona przez dzienniki francuzkie, nadspodziewane sprawiła na Paryżanach wrażenie, czyli tłumacząc się jaśniej, napędziła im średniowiecznego strachu, którego nikt w najcywilizowańszych mieszkańcach globu nie przypuszczał. Przyjście komety stało się powszechnym przedmiotem rozmów; świat wielki i mały, ministrowie i wyrobnicy z równym zajęciem rozmawiają o straszliwej postacie gniewu Bożego, która spadłszy jak piorun na naszą szarą planetę, ognistą miotłą wymiecie ludzi, a ziemię w tuman kurzawy zmieni i rozwieje.... Dodziśdnia

mówią o niej tyle w Paryżu, że i my mówić musimy o przepowiedni uczonego proroka, chociaż astronomowie już ją do rzędu bajek policzyli.

Skoro obawy o los naszego globu doszły do uszu tutejszych uczonych, wielu z nich wystąpiło natychmiast, mając sobie za obowiązek zaprzeczyć ubliżającym oświacie przypuszczeniom. Zgorszeni tak wielkim nierozumem astronomowie, wystrzelali cały arsenał argumentów nagromadzonych przez światłych poprzedników, celem zabicia w łatwowiernych umysłach trwogi wywołanej jednym niedorzecznym artykułem. Nie wchodząc czy dopięli celu, lub czy przekonali massy, przytaczamy tu głównejsze szczegóły ze studyów, jakie z tej okazji napisali pp. Babinet i Figuier.

Dowiedzieliśmy się z nich naprzód: że kometa o której mowa, pierwszy raz obiegła swoją elipsę w 292 lata; przeto nie w 1857, ale w 1848 roku powinna była na nowo być z powrotem, a nie pokazała się; że więc dlatego już dziś pojawienia się jej obrachować nie można, bo podstawą obrachunku była poprzednio dokonana podróż. Zdaje się, że jakieś nieprzewidziane okoliczności musiały bieg jej opóźnić, jeżeli (co być bardzo może) nie przeszła niepostrzeżona w 1848 roku, jak to czasami bywa z kometami, które wypadki atmosferyczne, albo zbyt gęste chmury zasłoniły w punkcie, na którym je dojrzyć można było.

Babinet powiada, że przypuściwszy nawet, że kometa Karola V-go jeszcze nie przeszła, żadne złąd niebezpieczeństwo ziemi nie zagraża. Droga komety jest nachylona o przeszło 30 stopni do ekliptyki, opisuje więc w przestrzeni zupełnie inną elipsę jak glob ziemski.

Ku większemu uspokojeniu mieszkańców ziemi Figuier dodaje nadto, że kilku astronomów, a między nimi Hind, świeżo oznaczyli czasowe ukazywanie się tej komety; mogli więc byli obrachować dokładnie na jakim punkcie przestrzeni i w jakiej odległości od ziemi

taż kometa znajdować się będzie 13 czerwca 1857 roku. Że w tych wypracowaniach o tém wzmianki nie ma, zatem jestto najlepszym dowodem, iż przepowiednie Niemca nie należącego wcale do grona sławnych astronomów, są zupełnie bezzasadne.

W tak pocieszający sposób wyjaśniwszy tę kwestyą żywotną, pan Figuiet dyskutuje teoretycznie przypuszczane prawdopodobieństwo uderzenia komety o glob ziemski, powołując się na powagę pp. Laplace, Delambre, Herschel'a i Arago.

Arago w swojej Astronomii ludowej obliczył najdokładniej, jakie być mogą prawdopodobieństwa karambolu komety z ziemią, bacząc osobna na uderzenia rdzenne i na uderzenie mas płynnych otaczających kometę, zwanych pospolicie ogonem. „Co się tyczy uderzenia rdzennego komety, mówi on, jedynego któreby mogło rozburzyć ziemię, znaleźliśmy jedno złe prawdopodobieństwo na 281 milionów dobrych; na uderzenie ziemi o mgławicę jest dziesięć do dwudziestu z tych prawdopodobieństw na 281 milionów dobrych. Przypuśćmy na chwilę, żeby kometa uderzając rdzennie o ziemię zagładziła cały rodzaj ludzki; wtedy niebezpieczeństwo śmierci jakieby wynikało ze zjawienia się komety byłoby dla każdej osoby ściśle równe szansie jakaby miała, gdyby w danej urnie na 281 milionów gałek, była jedna gałka biała i gdyby wyjęcie téj gałki białej przy pierwszym ciągnięciu miało być dla niej wyrokiem śmierci.

„Każdy człowiek rozsądny, choćby najsilniej do życia przywiązany, żartowałby sobie z tak małego niebezpieczeństwa; otóż w dzień na który zapowiadają kometę, zanim ją jeszcze dostrzeżono, zanim można było jej bieg oznaczyć, jest ona dla każdego mieszkańca naszego globu białą gałką urny o jakiej mówiłem.”

Jakkolwiek komety zajmują ogromną przestrzeń na niebie, przestrzeń na miliony mil, jednak brakiem

wszelkiej w tych wysokościach atmosfery (co sprawia, że płyny w skład ich wchodzące rozrzedzają się do nieskończoności) gęstość tych ciał schodzi rzeczywiście do bardzo małych proporcyj.

Laplace w tych słowach mówi o tym ważnym fakcie, który zdumiewa na pierwszy rzut oka, ale na który po chwili namysłu zgodzić się bardzo łatwo. „Mimo, że rozmiary kometowych ogonów przenoszą miliony miarymetrów, atoli nie zaciemniają one widocznie światła gwiazd, które przez nie przegładają; są więc one bardzo rzadkie, a ciężkość ich jest bodaj niższa od ciężkości najmniejszych gór na ziemi. W spotkaniu się więc z ziemią nie mogą sprawić żadnego wyraźnego skutku, i zdaje się nawet, że ją już kilka razy owionęły niepostrzeżone.

To tłumaczy jakim sposobem kilka komet przebiegło blisko niektórych planet, nie wywarwszy na nie najmniejszego fizycznego wpływu.

„Kometa 1770 roku, mówi Delambre, przeszła między Jowiszem i jego satelitami, w niczem ich biegu nie zakłóciwszy. Komety więc dla astronomów nawet są tylko ciekawości przedmiotem.”

Herschel powiedział więcej: „Ogon wielkiej komety, mówi on, o ile sobie z niego możemy zdać sprawę, składa się z kilku funtów materji, może nawet tylko z kilku uncyj.”

Do pierwszych objaśnień, których w kwestji kometowej dostarczyli najpierwsi astronomowie francuzcy, dołączamy zdanie w téj materji pana Babinet, największej powagi astronomicznej, na jaką się dziś Francuzi powołują. Babinet powiada: „że ziemia uderzając o kometę nie doznałaby większego wstrząśnienia, jak pociąg spotykający muchę na kolei żelaznej.”

Jakiś nieznany astronom w obszernym artykule zbijał to zdanie Babinet, dowodząc, że materja nawet nieważna jak mgła lub para, jeżeli jest poruszana wielką

szybkością, może straszne poczynić zniszczenia. Babinet odparł zwycięzko ten zarzut, przypominając szanownemu koledze, że komety biegną tylko szybko wtedy, kiedy są blisko słońca, że w odległości takiej, w jakiej od niego znajduje się ziemia, idą bardzo wolno, a w większej jeszcze odległości pozostają stosunkowo nieruchome. Odpowiedź swą uczony astronom zakończył, że w każdym razie komety są częścią naszego systematu słonecznego, że więc Stworzyciel świata musiał obrachować ich ruchy, Stanowiąc prawa trwałości naszego systemu planetarnego, prawa, które były i będą po wszystkie czasy podziwem zdolnych je pojąć geniuszów.

W tutejszym ogrodzie botanicznym (Jardin des Plantes) pan de Quatrefages członek Instytutu, rozpoczął z wiosną swój kurs antropologii i historii rodu ludzkiego. Wykład jego reasumujący obecne stanowisko tej nauki we Francyi, może być ciekawym dla niejednego z czytających, tém więcéj, że przedmiot sam jest poważny i wart bliższego zastanowienia się.

Pan Quatrefages bardzo niedawno objął katedrę w Jardin des Plantes, na której długo przedtém, chociaż z mniejszém zajęciem, słuchaliśmy pana de Serres. Pan Quatrefages ma wymowę miłą, i nader licznych słuchaczy; prelekeye jego są teraz modne w Paryżu. Sala w której wyklada, wielka i wysoka na dwa piętra, amfiteatralnie zatacza się około profesorskiego krzesła; na prawo i na lewo fotelu stoją dwa szkielety ludzkie, na stołach rozłożone szkielety zwierząt, słoje anatomiczne, czaszki i t. d. Audytoryum inne jak na zwyczajnych prelekeyach. Młodzieży tu najmniej: wszystko ludzie już w wieku, koledzy raczej, nie uczniowie profesora. Siwe głowy i piersi ozdobione wstążeczką legii, przeważają w zgromadzeniu, gdzieniegdzie widać kapelusze kobiece.

Pan Quatrefage zaczął od pytania, czy wyrażenie: ród ludzki jest prawdziwe? Czy pod to ogólne mia- no można podciągnąć wszystkie bez wyjątku ludy mie- szkające na naszym globie? Na powyższe pytanie od- powiedział, iż ród ludzki jest jeden, a odmiany jego wszelkie są rassami tylko. Tutaj zaraz nastęcza się nowe pytanie: czy mamy przykłady jakich rass natural- nych między zwierzętami? Na to odpowiada professor, że podziśdzień jeszcze, naturalisci muszą sprowadzać nieraz i odnosić do jednego gatunku indywidua, które długi czas za odrębne uważano. Stawało się to zaś ilekroć znaleziono pośrednie ogniwa łańcucha, przej- ścia i odcienia których poprzednio nie znano. Szakal z Indyów i szakal z Senegalu, jakiś czas uważane były za dwa odmienne gatunki: dopiero jak poznano szakala z Berberyi, Egiptu i Arabii, musiano uznać, że wszy- stkie odmiany téj rassy do jednego należą gatunku.

Oprócz naturalnych są rassy sztuczne, które sobie człowiek sam stwarza i którym wedle woli kształt i chakter dyktuje. Człowiekowi dano jest urabiać na- turę żyjącą, jak urabia wszelkie materye nieorgani- czne.

Patrzmy na owcę merynosa. Wychowanie domo- we, zdaje się na pozór niewiele tu zmieniło dawnéj dzikiéj zwierzęcia natury; a jednak jeżeli zważymy, że każdy włoszek wełny ma na swoje usługi osobne, wy- łączne naczynia z których czerpie soki, ma oddzielnie ożywiający go nerwy; jeżeli sobie wyobrazimy ten tak powikłany system naczyń i nerwów pozostający w związku z innemi częściami organizmu: zrozumiemy łatwo, ile sama natura wełny modyfikować musi całą wewnętrzną budowę poprawnéj owcy.

Weźmy teraz konia wyścigowego: pierś jego szeroka, silnie wyrobione płuca, wysokie, suche nogi, budowa cała chuda ale muskularna: wszystko to jest skutkiem wychowania i upartéj woli człowieka. Koń ten i chart

są to dwie maszyny, które człowiek zbudował do biegu. Nie poprzestając na zmianie formy zwierzęcia, moralne w naturze jego poczynił zmiany; u charta i u wyżła człowiek wychowaniem karném umarza wrodzony instynkt psa, który na to goni zwierzynę, aby ją pożarł.

Między rassami sztucznemi są rassy, które stworzył przypadek. Tak na początku tego wieku w Ameryce południowej urodził się byk bez rogów; że rogi odbierają wiele soków zwierzęciu, chwycono tę pożądaną nowość, i umiejętném krzyżowaniem otrzymano rasę bezrozną. Piękne angielskie jój próbki widzieliśmy na ostatniej wystawie zwierząt w Paryżu. Pod koniec zeszłego wieku w Massachusset urodził się baran z krótkimi nogami. Ponieważ nogi uważają owczarze za rzecz prawie u owcy zbyteczną, właściciel barana umiał korzystać z okazji, i po niedługim czasie udało mu się uwiecznić w rassie charakter, który zrazu był tylko kaprysem natury.

Wracając do rodzaju ludzkiego, professor w następujący sposób tłumaczy różnice jakie tu między rassami napotyamy. Odległość od człowieka białego do murzyna jest wielka; ale ustawivszy między nimi ludzi rassy czerwonej i żółtej, a między temi wszystkich pośrednich rass odcienia, przejście będzie tak niewyraźne, że ostatecznie naturalisci znaleźli niemałą trudność w podziale rass ludzkich na kolory, i musiano zwrócić uwagę na inne więcej niezawodne oznaki rassy. Tyle co do koloru.

Co do wzrostu, powiada pan Quatrefage, różnica między Boshismanem a Patagonem jest uderzająca, jednak w odniesieniu do różnicy jaką napotyamy w innych rassach zwierzęcych, przestaje być zadziwiająca. Między Boshismanem a Patagonem stosunek jest jak 8 do 25: między King-Charlem a psem pirenejskim, jak 1 do 64.

Co do budowy wewnętrznej. Professor zestawia szkielet jamnika i szkielet brytana; różnica obu jest niezaprzeczenie większa od tój jaka zachodzi między szkieletem białego i murzyna. Nadto dodaje, że niektóre znaki szczególne jakie nas uderzają w rassach kolorowych, odnaleźć można w rassie białej. Weźmy płód naszej rassy i śledźmy jego fazy od zawiązku aż do wyjścia na świat; w budowie jego od początku do końca uderzać nas będzie, że części niższe ciała, jak nogi, zawsze są w słabszym stopniu rozwinięcia od reszty ciała, i dopiero z wiekiem się równoważą. Toż samo spostrzegamy u rass kolorowych, z tą różnicą, że nogi ich pozostają zawsze cienkie i słabe stosunkowo do korpusu. Moznaby powiedzieć, że to są dorosłe dzieci, których budowy natura nie zdążyła harmonijnie ukończyć. Indyanie na Wschodzie mają ręce tak małe, że w rękojeść ich pałasza ręka Europejczyka zmieścić się nie może. Jednak, mimo wątych nóg, i oni i murzyni biegają szybciej niż biali. Uważano także, iż niektóre dzikie plemiona mają błony między palcami u ręki. Otóż łatwo się jest przekonać, że dzieci Europejskie w łonie matek, przez pewien czas mają zrosnięte palce. Słowem, prawie każda z cech odznaczających niby odmienne rassy da się odnaleźć w różnych fazach naszej, którą uważamy za oś rassy ludzkiej.

Najważniejszym może argumentem na poparcie twierdzenia, że różnice jakie przedstawia ród ludzki są tylko różnicami rass i że tych ostatnich żadną miarą za osobne nie można uważać gatunki, jest moc jaką mają wszystkie rassy ludzkie nieskończonego mieszania się między sobą. Ile razy probowano krzyżować dwa odrębne gatunki zwierząt, mieszańce były nieplodne: w najlepszym razie przestawały rodzić po czterech lub pięciu generacyach, lub też potomstwo przybierało wyłącznie kształt jednego z rodziców. Doświadczenie uczy, że w królestwie zwierząt można krzyżować

z sobą tylko gatunki bardzo blizkie i pokrewne. Pan Flourens professor fizyologii w Jardin des Plantes, otrzymał z psa i szakala mieszańce płodne; atoli pomału płodność w nich słabła, nareszcie w piątój generacyi całkiem ustała. Toż samo widziano i u ptaków.

Teorya Quatrefage'a dowodząca jedności rodu ludzkiego, jakkolwiek nie przez wszystkich uczonych podzielana, najlepiej do umysłu prostego przystaje, gdyż się opiera na logiczności przyrody. Natura, ta matka tak płodna i bogata, która każde rodzące się jestestwo w coraz to odmienne stroi sukienki, tak dalece, że nie masz dwóch listków sobie podobnych na drzewie, jak z jednéj strony uderza cudowną dowolnością i fantazyą w tworzeniu indywiduów, tak z drugiejj przestrzega święcie raz już odcisniętych typów. Wszystko coby chciało odbiedz od tych odwiecznych wzorów, skazane jest na niepłodność i zagubę. Indywidua w gatunkach są nieskończenie nowe i odmienne, ale gatunkom samym od rass nadanej formy odbiedz nie wolno. Natura stoi na straży tego pierwotnego rzeczy porządku i zazdrosna o swoje dzieło, wszelkim na tém polu pokuszeniom ludzkim niezłomny opór przeciwstawi.

Ludwik Ratisbonne ukończył przekład drugiejj części Boskiejj Komedyi. Jestto podobno najlepsze tłumaczenie wierszem, jakie dotąd pojawiło się we francuzkim języku. Za przekład pierwszėj części, Akademia przyznała panu Ratisbonne nagrodę literacką.

— Franciszek Wiktor Hugo, syn sławnego poety, przetłumaczył prozą Sonety Szekspira. Jest ich sto pięćdziesiąt. Młody pisarz wykonał tę długą pracę bardzo sumiennie i szczęśliwie. Szkoda, że przy zdolnościach, jakie posiada, obrał sobie najmniej zajmujące dzieło wielkiego dramaturga.

Co do budowy wewnętrznej. Professor zestawia szkielet jamnika i szkielet brytana; różnica obu jest niezaprzeczenie większa od tej jaka zachodzi między szkieletem białego i murzyna. Nadto dodaje, że niektóre znaki szczególne jakie nas uderzają w rassach kolorowych, odnaleźć można w rassie białej. Weźmy płód naszej rassy i śledźmy jego fazy od zawiązku aż do wyjścia na świat; w budowie jego od początku do końca uderzać nas będzie, że części niższe ciała, jak nogi, zawsze są w słabszym stopniu rozwinięcia od reszty ciała, i dopiero z wiekiem się równoważą. Toż samo spostrzegamy u rass kolorowych, z tą różnicą, że nogi ich pozostają zawsze cienkie i słabe stosunkowo do korpusu. Można by powiedzieć, że to są dorosłe dzieci, których budowy natura nie zdążyła harmonijnie ukończyć. Indyanie na Wschodzie mają ręce tak małe, że w rękojeść ich pałasza ręka Europejczyka zmieścić się nie może. Jednak, mimo wątych nóg, i oni i murzyni biegają szybciej niż biali. Uważano także, iż niektóre dzikie plemiona mają błony między palcami u ręki. Otóż łatwo się jest przekonać, że dzieci Europejskie w łonie matek, przez pewien czas mają zrosnięte palce. Słowem, prawie każda z cech odznaczających niby odmiennę rassy da się odnaleźć w różnych fazach naszej, którą uważamy za oś rassy ludzkiej.

Najważniejszym może argumentem na poparcie twierdzenia, że różnice jakie przedstawia ród ludzki są tylko różnicami rass i że tych ostatnich żadną miarą za osobne nie można uważać gatunki, jest móc jaką mają wszystkie rassy ludzkie nieskończonego mieszania się między sobą. Ile razy probowano krzyżować dwa odrębne gatunki zwierząt, mieszańce były nieplodne: w najlepszym razie przestawały rodzić po czterech lub pięciu generacjach, lub też potomstwo przybierało wyłącznie kształt jednego z rodziców. Doświadczenie uczy, że w królestwie zwierząt można krzyżować

z sobą tylko gatunki bardzo blizkie i pokrewne. Pan Flourens professor fizyologii w Jardin des Plantes, otrzymał z psa i szakala mieszańce płodne; atoli pomatu płodność w nich słabła, nareszcie w piątój generacyi całkiem ustała. Toż samo widziano i u ptaków.

Teorya Quatrefage'a dowodząca jedności rodu ludzkiego, jakkolwiek nie przez wszystkich uczonych podzielana, najlepiej do umysłu prostego przystaje, gdyż się opiera na logiczności przyrody. Natura, ta matka tak płodna i bogata, która każde rodzące się jestestwo w coraz to odmienne stroi sukienki, tak dalece, że nie masz dwóch listków sobie podobnych na drzewie, jak z jednéj strony uderza cudowną dowolnością i fantazyą w tworzeniu indywiduów, tak z drugiejj przestrzega święcie raz już odcisniętych typów. Wszystko coby chciało odbiedz od tych odwiecznych wzorów, skazane jest na niepłodność i zagubę. Indywidua w gatunkach są nieskończenie nowe i odmienne, ale gatunkom samym od rass nadanej formy odbiedz nie wolno. Natura stoi na straży tego pierwotnego rzeczy porządku i zazdrosna o swoje dziecko, wszelkim na tém polu pokuszeniom ludzkim niezłomny opór przeciwstawi.

Ludwik Ratisbonne ukończył przekład drugiejj części Boskiejj Komedyi. Jestto podobno najlepsze tłumaczenie wierszem, jakie dotąd pojawiło się we francuzkim języku. Za przekład pierwszėj części, Akademia przyznała panu Ratisbonne nagrodę literacką.

— Franciszek Wiktor Hugo, syn sławnego poety, przetłumaczył prozą Sonety Szekspira. Jest ich sto pięćdziesiąt. Młody pisarz wykonał tę długą pracę bardzo sumiennie i szczęśliwie. Szkoda, że przy zdolnościach, jakie posiada, obrął sobie najmniej zajmujące dzieło wielkiego dramaturga.

— Pod napisem: *le Trésor de la Curiosité*, pan Karol Blanc wydał dość ciekawą książkę. Jestto obszerny spis wszystkich dzieł sztuki, które w ciągu stu pięćdziesięciu lat sprzedano na publicznych licytacyach. Nader zajmująca jest ta statystyka licytacji, którą właściwie nazwać można historią przemiany gustu we Francyi, stwierdzoną przez najwiarogodniejsze świadectwa, to jest ceny po jakich w rozmaitych epokach sprzedawano obrazy, rysunki, marmury, kość słoniową, szkła, medale, bronie, porcelany, emalije i t. d. Widzimy tu rok po roku, spadek lub podwyżkę rozmaitych mistrzów. Tak naprzykład: na wencie Crozota 1741 roku, rysunki Leonarda da Vinci i Michała Anioła, z których każdy dziśby pokryto luidorami, sprzedawano losami, złożonemi z dwudziestu sztuk, los po 20 fr. Rembrandty, które za naszych czasów stanowiłyby fortunę właściciela, wystawione za 15,000 franków na wencie Petersa, nie znalazły nabywcy. Katalog pana Blanc pełen podobnych szczegółów przeplatanych trafniemi uwagami, zasługuje ze wszechmiar na uwagę miłośników sztuki.

SPRAWOZDANIE

Z PODRÓŻY NATURALISTÓW

odbytej w r. 1854 do Ojcowa.

(Dokończenie).

(Zob. Bibl. Warsz. z r. 1855 tom II, str. 355).

ZWIERZĘTA NIŻSZYCH GROMAD.

Co do zwierząt miękkich, przez krótką podróż naszą zwracaliśmy uwagę tylko na ślimaki z rzędu oddychających płucami (*Les Gastéropodes pulmonés*). Z bezskorupnego rodzaju pomrowiów (*Limax*), wszędzie w cieni-tych lasach widzieć się nam dawał największy krajowy gatunek *L. maximus*. W Potoku, po każdym deszczu, wyszedłszy do bukowego lasu, tu i owdzie spotykać można wyciągnięte ciała tych pomrowiów, wlekących się po wierzchu ziemi zaścielonej suchym liściem, dopóki najwyższa warstwa jego zwilgocona jest od deszczu. W miarę osychania wilgoci, pomrów zanurza się w warstwy głębsze, a w dni upału wcale się nie ukazuje, ukryty wtedy tak głęboko pod liśćmi jak wilgoć znaleźć może: podchodzi więc pod wiory, pod pnie obalonego drzewa i t. p. i leży tam ściągnięty. Usuwając takowe przedmioty z miejsca, nietylko same pomrowie, ale i jaja ich poszukiwane znajdować można. Podczas rozkruszania zbutwia-

łego pnia na ziemi leżącego, nieraz w jego wilgotném próchnie odkrywają się te zwierzęta, przed suszą tam schronione. Zważając na obfitość wielkich pomrowiów, gdy po deszczu występują, na objętość ich lipkiego ciała, gdy jest wyciągnięte, nie podobna przestać na przekonaniu, że człowiek żadnej z nich nie miałby korzyści. Jundziłł pisze, „iż tam gdzie ich wiele się znajduje, wieśniacy je zbierają i do smoły kołowej rzucają, mniemając że smarówidła przyczynią“. Ani w Potoku, ani w Ojcowie lud nie wie o tym ich użytku. We Francyi robią z jednego mniejszego gatunku bulion dla chorujących na piersi: pomrów największy posilniejszą może byłby potrawą, niż wiele bedłek. Rzączyński przytacza w Hist. nat. ich nazwę ludową *smarze*; nazwisko wspólne z bdlami naprowadza na myśl, że może i spólny użytek z niemi lud w której okolicy odnosi.

W Potoku największy pomrów w rozlicznych ukazuje się odmianach barwy: biały, biały z podłużnemi pręgami popielatemi, albo téż czarny z białemi, czarny zupełnie, a niekiedy bardzo piękny niebieski. Bez wątpienia, że te uderzające różnice niejednemu wydały się być gatunkowemi.

Bogatemi są te skaliste okolice w gatunki z rodzajów skorupnych: osobliwie z rodzaju właściwych ślimaków (*Helix*). Jest tam, jak i wszędzie, pospolity ślimak pstry (*Helix arbustorum* L.), jest gajowy (*H. nemoralis* L.) z skorupą w rozmaitych odmianach, jakoto ze wszystkimi pięcią lub z brakiem jednej pręgi, z brakiem dwóch, a niekiedy o jednej tylko przędze, naostatek bez żadnej pręgi. Między temi ostatniemi bywają niektóre cielistoczerwone, gdy tymczasem pręgowanych tło jest jak wosk albo cytryna żółte. Mniejszy od niego i nie z brunatném lecz z białém ujściem ogrodowy (*H. hortensis* Müll.), bywa także to z najpiękniej odznaczonemi pięcią prążkami, to z czwartą pręgą tak szeroką że jest pasem, to z dwoma takimi pasami gdy pręgi, druga i trzecia, zleją się razem, to naostatek bez żadnej pręgi, cytrynowo-żółty lub biały. Lecz te gatunki, z temi wszystkimi odmianami, znajdują się i gdzieindziej w lasach i ogrodach. W pasmie skał wapiennych, zacząwszy od Wawelni aż do Częstochowy,

jest gatunek, którego nie zdarzało się nam widzieć w okolicach innych, a który tak w Ojcowie jako i Potoku, jest najpospolitszy ze wszystkich, i po każdym deszczu każdą skałę okrywa. Konchyliologowie niemieccy, którzy go najpierwej odróżnili w okolicach Wiednia, gdzie się podobnie w obfitości znajduje, nadali mu nazwisko austriackiego (*H. austriaca* v. Mühlf.). Ślimak austriacki wielkością i pięcią pręgami podobny jest zupełnie gajowemu, ale nieco większy od niego i biały, rzadko żółtawy, nigdy przecież nie mający pięknej żółtości gajowego. Ostatnia pręga zwraca się zawsze bliżej znamiona (*umbilicus*), niżeli u gajowego: poprzeczne kręskowanie na zakrętach, osobliwie od spodu (od ujścia), jest daleko wyraźniejsze, a brzeg ujścia, wprawdzie jak i u tamtego brunatny, lecz kończący się jeszcze wąską białą linijką. Zakręty skorupy tego ślimaka tak idą, że ona stanowi ostrokąg wyższy niż u *H. hortensis*; słowem, jestto gatunek oddzielny, skałom właściwy.

Tak w Ojcowie jako i w Potoku znajduje się jeszcze ślimak chróscinowy (*H. fruticum* Müll.), wielkości ogrodowego, lecz którego zamglona skorupa jest albo zupełnie biała i szarawa, albo z jedną czerwono-brunatną pręgą, która biegnie nie przez sam środek ostatniego najgrubszego zakrętu, lecz bliżej szwu, a na zakrętach poprzednich prawie zupełnie zasłania się niemi. Równie jak on pospolity w tych obudwu miejscach ślimak zaściągły (*H. faustina* Ziegl.) niezmiernie podobny jest do pręgowanej odmiany chróscinowego; lecz jego skorupa, bardziej spłaszczona czyli stanowiąca niższy ostrokąg, ma kolory ciemniejsze a więcej na powierzchni połysku. Pierwszy Ziegler opisał ten gatunek z okazów z Galicyi i Bukowiny otrzymanych; w żadnym innym kraju jeszcze go nie znaleziono. Zewnętrzna połowa ostatniego, najgrubszego zakrętu, ciemniejsza jest od koloru który ma reszta skorupy: granica oddzielająca te dwa nateżenia barwy, jest linią równoległą od pręgi, która, ponieważ nie na niej, lecz na polu jaśniejszém leży, ztąd zdaje się jakoby na tym zakręcie przy ciemno-brunatnej prędze biegła jeszcze druga, biaława. Zakręt przedostatni z ostatnim

ztykają się na prędze, przez co ona w połowie, a na zakrętach poprzednich nawet całkiem jest zasłonięta.

Do najpospolitszych tamże należy ślimak opoczny (*H. lapicida* Lin.), którego skorupa, bez żadnego połysku żółtawo-rogowa z czerwonawemi gdzieniegdzie wpoprzecz zakrętów pasami, tworzy jeszcze niższy ostrokąg, słowem jest płaska jak guzik, a że ostatni jój zakręt złamany jest w ostrą krawędź, powstaje przeto kształt skorupy soczewkowaty, a ujście jej nie koliste, lecz eliptyczne. Po ślimaku austriackim, tego najwięcej występuje na skały tak w Potoku jako i Ojcowie. Uderzające ma podobieństwo do niego, tak w kolorze jako i kształcie, ślimak okrągły (*H. rotunda* Müll.) jednakże mniejszy i nie z tak ostrą krawędzią, a bardzo w tém odmienny, że wszystkie zakręty ma poprzecznie brózdowane, co go czyni ozdobnym. W jednym źródleku nad Prądnikiem w Ojcowie, znaleźliśmy pustą jego skorupkę.

Znaleźliśmy jeszcze w Ojcowie z kosmatych: *H. strigella* Drap. okazy z zamkniętym i otwartym znamionem, i *H. hispida* Müll.; z zębatych w ujściu: *H. personata* Lam. i *H. bidentata* Gm., tudzież najdrobniejszego *H. pulchella* Müll. liczne zwapnione skorupki.

Z innych rodzajów skorupnych, oko obchodzącego skały uderzają świdrzyki (*Clausilia*), których odróżniliśmy dwa gatunki: gładki (*Cl. bidens* Drap.), i piękny poprzecznie na zakrętach brózdowany (*Cl. plicatula* Drap.). Ostatni w mnóstwie występuje na skały w Ojcowie, a w Potoku na mchem porośłe pnie starych buków w lesie. Skorupa świdrzyków; póki jeszcze są młode i niedorośłe, nie więcej np. nad 5—7 zakrętów mająca, nie wrzecionowata jest, lecz stożkowata, i wtedy zdaje się być do innego należąca rodzaju.

Przy zbieraniu owadów trafia się dostrzedz różne drobne: *Pupa muscorum* Lin., *Pupa tridens* Drap., *Achatina lubrica* Brug. i. t. p.

Nie było czasu zwracać uwagę na wodne, z których pospolitsze tylko, jakoto zatoczek rogowy (*Planorbis corneus* Drap.), nieruch stawowy (*Lymnaeus stagnalis* Müll.) i nalegota zwyczajna (*Paludina vivipara* Lin.) widzieć się nam dały.

Z małżów (*Acephala*), uważaliśmy tylko jedną skojkę malarską (*Unio pictorum* Lam.), którą wyciągano przy łowieniu ryb w Potoku.

We wszystkich źródłach w Potoku licznie się utrzymuje wypławka popielata (*Planaria torva* Müll.), którą tam w różnych stopniach wzrostu znajdować można. Czołga się ona, nakształt małej pijawki, po piaszczystém dnie wody, i licznymi towarzystwami przywiera do tej części kamieni, którą one w wodzie są zanurzone. Wyciąga się i skurcza z większą jeszcze łatwością niżeli pijawki, osobliwie w przednim końcu ciała, który jest od reszty oddzielony niby szyją i oznaczony dwiema ciemnymi kropkami, zapewne oczami, a z boków przedłuża się w klapki nakształt uszu. W podobnych źródłach, koło Warszawy, jak np. w Królikarni, znajduje się inny tego rodzaju gatunek, biały (*P. lactea* Müll.). Niekiedy znaleźć można matkę z kilkorgiem młodych do spodniej powierzchni jęj ciała przywartych. Cuvier umieścił te wodne zwierzęta pomiędzy robakami (*Entozoa*), w rodzinie do której motyllice należą.

Moquin-Tandon, w drugiem wydaniu swojej monografii pijawek (1) (str. 200), przytacza kilka zadziwiających doświadczeń z popielatą wypławką, którą wielu mylnie uznawało za pijawkę.

Gdy zostanie przecięta w poprzek na dwoje, po jakim czasie do części przedniej dorasta ogon, do tylnej głowa. Tak więc głowa jako i ogon wydobywają się z części, która dotąd mieściła się w środku ciała. Przecinając zwierzę na dwoje, przecina się na dwoje i jego żołądek, czyli worek trawiący, jako położony na środku brzucha; jedna jego połowa zostaje przy ogonie jednej wypławki, druga przy głowie drugiej. Posuwając przecięcie nieco dalej naprzód lub nieco dalej w tył, otrzymałoby się dwa osobniki, z których jeden miałby cały żołądek przy głowie lub przy ogonie, drugi byłby bez żołądka. Gdy dwa osobniki otrzymały głowę albo ogon im niedostający, u obudwu na środku brzucha ukazuje się biała

(1) *Monographie de la famille des Hirudinées par A. Moquin-Tandon etc. nouvelle édit. revue et augmentée accompagnée d'un Atlas de 14 pl. etc. Paris 1846 in 8.*

kropka; ta rozszerza się, wydrąża i daje początek nowemu żołądkowi; jednocześnie żołądek dawny albo jego części, zwolna znikają. Jest nawet chwila, w której jedna z wypławek przedstawia obydwaj żołądki: normalny na środku brzucha, i drugi przy głowie, albo przy ogonie.”

Owóż tedy (dodaje Moquin-Tandon) czyto przy głowie, czy przy ogonie leżące części wypławki, odsiężają się w sposób taki, że tworzą żołądek; a że można krające narzędzie jak chcąc posuwać to ku przodowi, to ku tyłowi, można zatem z którejkolwiek części zwierzęcia utworzyć żołądek jego. Nie byłoby tedy nic przeciwko mniemaniu, że u zwierząt bezkręgowych części ich ciała, na pierwszy rzut oka niepodobne sobie, są rzeczywiście tém samym. Kiuwier mawiał: „Do najświetniejszych przedsięwzięć historii naturalnej filozoficznej należało to, ażeby okazać, iż wielka liczba organizacyj napozór bardzo odmiennych, daje się jednak sprowadzić do spólnego planu.”

Prof. Waga, który te niższych gromad zwierzęta w ciągu podróży naszej troskliwie uważał i zbierał, tak wyraża się o gatunku dżdżownicy znalezionej w Ojcowie. „Za korą butwiejących pniów starych i nieżywych jodeł, znajduje się gatunek dżdżownicy, który pięknnością ubarwienia różniącą go od pospolitych, zwrócił uwagę moję. Dżdżownica ta, żyjąca w wilgotném próchnie zbutwiałego drzewa, z którego kora łatwo się odziera, nie jest tam rzadka: przesiaduje zwykle u dołu pnia, bliżej ziemi, lecz w porze dżdżystej, gdy i wyższe pnia strony napoją się wodą, można ją znaleźć i w wysokości dwóch łokci od ziemi, a w całej rozciągłości drzewa obalonego na ziemię, i w tém położeniu butwiejącego. Pewnego dnia bardzo pogodnego, w sierpniu, zostawszy aż do zciemnienia się w lesie ponad skałami, gdy na te dżdżownice z obfitującego w nie pnia wybierał, postrzegłem, że w ręku moich świeciły, a za wrzuceniem do spirytusu, cały we flasze oświecały. Światło ich nie miało téj zieloności, co rzucające w podobnym razie przez elektrycznego wąkroja (*Geophilus electricus*), lecz równie jak ono udzielało się ręce a było koloru białego, to jest jak światło wilgotnego drzewa gnijącego, które w tym stanie mocno niekiedy

świeci lecz nie udzielającem się światłem. Kilka dżdżownic potrzymanych w zamkniętej ręce, za otworzeniem jej świecą jasno, a spirytus, za wrzuceniem do niego jednej lub dwóch, oświeca się cały we flaszcze, i świecenie jego trwa przez kilka sekund. Przypatrując się w dzień temu zjawisku, postrzegłem, że dżdżownice za każdym rozdrażnieniem wydawały ze swego ciała ciecz mléczną, która zrazu zabelala spirytus, lecz potem ścinała się w nim i grudkami na dno naczynia spadała, tracąc własność świecenia. Nie jest ona fosforem który najjnniej nie świeci po wrzuceniu do spirytusu. Od takiej własności możnaby ten gatunek dżdżownicy nazywać świecącym, *Lumbricus lucens*,”

Podania o świeceniu dżdżownic w ciemności, z najdują się już w *Recueil de l'abbé Rozier*, Octobre 1780. We dwanaście lat później (1792) to samo zjawisko uważał Bruguières, a Bosc w *Nouveau dictionnaire d'histoire naturelle appliquée aux arts* 1803, tome XIII, p. 305, mówi pod art. *Lombric*: „Dżdżownice świecą czasem w nocy. Nie wiemy przyczyny tego stanu, który nie idzie za porą ich miłostek, ponieważ daje się widzieć w porze każdej“ (1). Pod tymże artykułem w *Dictionnaire des sciences naturelles*, 1823, tome 27, pag. 160, tak wyraża się Blainville: „W pewnych okolicznościach, niedostatecznie ocenionych, dżdżownice stają się świecącemi“ (2). W r. 1840, pod d. 2 listop. p. Forestier przesłał list Akademii um. paryzkiej o témże zjawisku, jako uważaném przez siebie. P. Audouin, zdając sprawę Akademii o doniesieniu p. Forestier, nie wątpi (*Annales des sciences nat.* 2^e sér. zool. tome XV), że dżdżownice mogą świecić, „bo (mówi) p. Moquin-Tandon, professor botaniki w Tuluzie, uważał to zjawisko ze wszelką ścisłością naukową. Światło było białawe, podobne światłu żelaza rozpalonego do białości. Za zgnieceniem dżdżownicy, fosforescencya rozpościerała się po ziemi, można było nawet zakreślać robakiem świe-

(1) „Les lombrics sont quelquefois phosphoriques pendant la nuit. On ignore la cause de cet état, qui n'est pas dû à l'amour, puisqu'il se voit dans toutes les saisons.“

(2) „Dans quelques circonstances assez mal appréciées, les lombrics deviennent phosphorescens.“

całą kresę, jak kawałkiem fosforu“. P. Audouin mówi jeszcze dalej: „U tych dżdżownic dawało się widzieć dosyć rozwinięte *clitellum*, dowód, że wtedy w stanie parzenia się były. P. Moquin-Tandon zebrawszy niektóre, trzymał je u siebie przez kilka dni żywe, i przekonał się, że ta własność świecenia jest tylko w substancyi nabrzmień części rodnych, czyli *clitellum*, że zatem świecenie dżdżownic objawia się tylko w ich parzenia się porze.”

Po takiej sprzeczności podań i wniosków, p. Gervais pod art. *Lombric*, w *Dictionnaire universel d'histoire naturelle* p. d'Orbigny, 1847, tome 7, p. 429, namienia tylko, że „niektóre dżdżownice są świecącemi:” (1) a W. Hoffmeister, w początkowej monografii dżdżownic (2) nawet zupełnie zamilcza o tej ich własności.

Czy więc własności świecenia uważanego w dżdżownicach nie przyznano wszystkim ich gatunkom, widząc je tylko w jednym, to jest tym naszym *Lumbricus lucens*? Względem dżdżownic, których rozróżnieniem gatunkowem długo nie zajmowano się, łącząc wszystkie gatunki w jeden pod Linneusza nazwisko *Lumbricus terrestris*, łatwo się to stać mogło. Wszakże nasz gatunek (*Lumbricus lucens* n. sp.) jest zupełnie oddzielny, bo nie tylko tą stałą własnością świecenia i miejscem przebywania swojego od dżdżownicy pospolitej różni się, ale i w barwie swojej odmienny jest od niej. Dżdżownica nasza świecąca miewa wszystkie wymiary wzrostu pospolitej, którą Hoffmeister *Lumbricus agricola* nazywa. W okazach rozmaitej wielkości znajdowaliśmy stale liczbę pierścieni 104. Każdy z tych pierścieni jest zwierzchu ciemno-czerwony, którato barwa tylko do boków ciała dochodzi, a od spodu jest jasno cielista, co ten gatunek czyni strojnym, bo w całej długości na dnie jasnym, ciemniejsze ma obrączki. Wizerunki na tablicy u Hoffmeistera, fig. 1 i fig. 5 w których barwa jest przesadzona, przedstawiają, osobliwie w części ciała przedniej aż do pasa, raczej barwę zwyczaj-

(1) „Quelques unes sont phosphorescentes.“

(2) *Die bis jetzt bekannten Arten aus der Familie der Regenwürmer. Als Grundlage zu einer Monographie dieser Familie. Von W. Hoffmeister. Braunschweig, 1845, in-4to z jedną tabl. wizer.*

ną u gatunku naszego. Po 26^m, 27^m lub 30^m pierścieniu leży pas jednobarwny, cielisty, zabierający 6 lub 7 następnym pierścieni ciała. Na 15^m lub 16^m pierścieniu, z obu stron, w miejscach w których się ciemny kolor jego kończy, widziałem u niektórych okazów wielką szparę poprzeczną wśród nabrzmiałości. Kierunkiem linii pośredkowej (*sur la ligne médiane*), na grzbiecie biegną rzędem przez całą długość zwierzęcia, dziurki, któremi ono świecąca wilgoć wypuszcza, tém widoczniejsze że przypadają na białe brzegi pierścieni. Kolce idą czterema rzędami, każdy podwójny; rzędy skrajne wypadają tam, gdzie się kończą górne ciemno-czerwone połowy pierścieni; rzędy średnie na ich połowy białe, to jest na brzuch od spodu.”

Co się tyczy dalszych gromad z działu stawowatych zwierząt a osobliwie owadów, te chcąc w jakiej okolicy, choćby tylko w przybliżonym stosunku rozpoznać, nie na dni, jak wiadomo, ale na lata czas rachowaćby potrzeba. Prof. Waga, zajmując się wyłącznie zbieraniem tych zwierząt, po naszym wyjeździe z Ojcowa, został tam jeszcze aż do końca sierpnia, a następnie aż do października w Potoku zabawił. Ciekawsze gatunki, tak w pierwszym jako i drugim miejscu poznajdowane, w części nowe dla entomologii, opisał, inne tylko wyliczył. Obejmiemy sprawozdaniem naszym tę pracę jego.

„W podskalnych źródłach, tak w Potoku jako i Ojcowie, znajduje się licznie kielż pospolity (*Gammarus pulex* Fab.): zwierzątko wielkości stonogi, należące do tej gromady, której największą część składają raki, to jest do gromady czerwiów (*Crustacea*). Można go tam widzieć w różnych stopniach wieku, samce i samice. Jest to tenże sam gatunek, który się znajduje w strumyku płynącym od znanego źródła na Bielanach pod Warszawą, w sławnych źródłach w Królikarni i w innych okolicach Polski, gdzie nie postrzegłem jeszcze dotąd drugiego gatunku z tegoż rodzaju, w dziele Roesela przedstawionego, a który autorowie dzisiejsi nazwiskiem *Gammarus fluvialis* odznaczają. Kielż pospolity stanowi w Potoku główne pożywienie pstrągów; anatomi-

zując kilka tych ryb, które mi ułowiono z rozkazu dziedzica miejsca, znajdowałem w ich połyku i w żołądku różne wodne gąsienice owadów muchowatych, wypławki popielate, lecz nadewszystko kielże, ułożone w kanale kolejną od świeżo połkniętego i nie niezmiennego, aż do rozgniecionych i rozmięczonych siłą trawienia.

Z rzędu stonogowatych czerwiów (*isopoda*), kilka jest gatunków, z których jedne na cieniste ściany skał wyłazają, a drugie prawie nigdy nie wychodzą zpod ziemi, pochyłości skał okrywającej. Między ostatnimi postrzegłem nowy gatunek pobieżki, i nazywam go nacechowanym (*Philoscia notata*); nie dorasta on do tej wielkości co pobieżka zwyczajna (*Philoscia muscorum* Latr.), ale ma wydatniejszą od niej barwę: jest czarna, ozdobiona cytrynowo-żółtą plamą po każdej stronie ogona przy podstawie jego. Znajdowałem ją w wilgotnej, zupełnie czarnej, organicznej ziemi, wypełniającej przestrzenie między zwalonami na kupę złomkami skały, w miejscu zacienionem drzewami. Za wyjęciem z ziemi kamienia, pobieżka szybko przed światłem ucieka chcąc się ukryć pomiędzy głębsze kamienie w stosie, i nie podobna byłoby dostrzedz czarną jak ziemia, gdyby jej nie zdradzały żółte plamy na ogonie. Największe indywidua mają przeszło 6 mil. dług., na 3 szerokości. Nogi jej, różki i przysadki są ołowiano-szarą barwy. W mieszaninie kolorów na górnej mocno połyskującej działów powierzchni, więcej niż u zwyczajnej pobieżki przemaga czarny, tak, iż gdy tamta jest gliniasto, popielato i czarno upstrzona, tę można uznać zupełnie czarną; boczne jednak brzegi każdego z siedmiu działów ciała, są prawie białe, a ta białość zachodzi dość szeroko, lecz nie ma granic stałych. Na każdej stronie i blisko bocznego brzegu trzech pierwszych odwłokowych działów, leży plamka cytrynowo-żółta; za ściąganiem się działów, plamki ich zlewają się w jedną, której obwodu dopełnia jeszcze mały takiejże żółtości ślad na samym skraju tylnym ostatniego działu ciała, za którym ogon następuje. U niektórych osobników, zwłaszcza większych, nawet na środku 2-go i 3-go działu ogonowego, przebija kolor żółty plam bocznych. Trzy ostatnie

działy ogonowe, są zupełnie bez plam żółtych. Tyłne, dwustawne przysadki zewnętrzne, są daleko grubsze od wewnętrznych i znacznie dłuższe od nich. Znalezioną ciężarną samicę, gdy podniosłem śpilką łuski na pierśsiach, wysypało się zpod nich 12 indywidualów młodych, niedojrzałych; wszystkie uorganizowane już jak matka, lecz mające czerwono-pomarańczową barwę na całym ciele, wyjąwszy oczy, które były czarne.

Uważałem i pająki tarczowe, osobliwie z rodzajów nieprzędzących: *Opilio*, *Trombidium* i t. p. Nigdy nie widziałem większych osobników z gatunku *Pteroptus vespertilionis*, jak te, które tłumami występowały na błony skrzydłowe niedoperzów Ojcowskich. Jeszcze bardziej zajęły mnie inne, o których niżej będę mówił, z rodziny roztoczowatych (*Acarieus*), pasorzyty pasorzytów, bo żyjące na owadzie *Nycteribia*, który sam na niedoperzach żyje. Zaopatrzyłem mój zbiór w najpiękniejsze i najrozmaitsze okazy pająkowatego gatunku *Trogulus nepaeformis*. Stworzenie to, przypominające kolorem i powierzchnią płaskiego i twardego ciała płoszczycę popielatą (*Nepa cinerea* L.), zaledwie raz pod Tarchominem koło Warszawy, z ziemi pod krzakami łoży, wygrzebałem, i to w okazie nie dłuższym nad 5 milimetrów. W Ojcowie jest ono bardzo pospolite, i przebywa w zgniłych liściach wypełniających szczyby skał wysokich. Tam nietrudno znaleźć osobniki od długich ledwie na 2 milimetry, aż do mających blisko 8 mil. długości na 3 szerokości. Osobliwym jest ten pająk mało ruchu mający, a którego ciało jestto owalny krążek, jakby ze starą skórą wycięty i przedzielony w podłużną krawędzią pośrodkową. Latreille, który mu pod kamieniami pobyt naznacza, przyrównywa jego barwę do barwy ziemi.

Kleszcz z niedoperza, którego p. Taczanowski w d. 16 lipca znalazł w Potoku na podkowiec tarczowym i mnie oddać raczył, jest niewątpliwie gatunkiem, który Koch nazywa *Ixodes vespertilionis*; lecz osobnik nie przedstawia go w stanie zupełnej dojrzałości: ma nóg tylko sześć, ciało wypełnione krwią, na 2 mil. długie. Z obu stron smoczka widać przez mikroskop przy-

tulone do niego i równe mu długością głaszczki, trzystawowe, o stawie ostatnim ku wierzchołkowi grubiejącym. Nogi stosunkowo długie i cienkie: tak one jako i głaszczki, są jednakowego koloru, to jest brunatnoczerwone i wółprzezroczyste, w każdym stawie opatrzone białawymi włoskami. Włoski takie dają się postrzegać i na bokach odwłoka. Tułów jasno-orzechowy, a krwią wypełniony odwłok, u żyjącego ciemno-olwianny, u wyschłego prawie czarny: po zgonie na tułów i na niezakłębnięte brzegi odwłoka wystąpiła białość. Powierzchnia skóry na odwłoku, uważana przy mocnym powiększeniu, jest bardzo delikatnie i mierzytelnie wpoprzek rysowana (*striata*), ale tę cechę przedstawiają i inne gatunki przypijających się kleszczów. Koch (*Deutschl. Insekten v. Herrich-Schaeffer Hft. 187 (37), tab. 9*) znalazł go na wielkim podkowcu (*Rhinolophus ferrum equinum*), w stanie zupełnie wyrosłym (8 mil. dług.) i opojonego krwią, która pod grubą skórą nadała zwierzęciu tę błękitną barwę, w jakiej je autor przedstawił. Na tymże gatunku niedoperza znalazł Koch innego kleszcza, którego gatunkowo odmiennym uznawszy, pod nazwiskiem *Ixodes flavipes* (*Ib. Hft. 189 (39) tab. 2*) przedstawił, ale to widocznie był ten sam, tylko młodszy (3 mil. dług.), przez co i kolor odwłoka miał odmienny.

Gatunek kostropatka żyjącego na błonach skrzydłowych największego niedoperza Ojcowskiego (*Vesp. murinus*), celuje także i sam wielkością nad znajomymi mi dotąd, które na zwyczajnych niedoperzach, osobliwie zaś na gacku uszatytnym znajdowałem. Uderza ta różnica wielkości osobliwie w samicach, które łatwo rozróżnić od płci drugiej, bo bardzo często widzieć można w połączeniu obiedwie. Koch (*Deutschl. Ins. v. Panzer fortg. v. Herrich-Schaeffer*) wystawił samicę tego kostropatka na fig. 21 zeszytu 188, pod nazwiskiem *Pteroptus rhinolophinus*, że ją na wielkim podkowcu znalazł; samca zaś z kończatym tyłem wystawia na fig. 21 zeszytu 137 (albo 4) jako osobny gatunek (1), znaleziony przez siebie

(1) Pod tenże podciągnąć należy i następują 22 figurę Kocha, *Pteroptus abominabilis*, jakie razem znajdowałem. Koch nie podaje względnych wielkości swoich gatunków.

na pospolitym niedoperzu (*Vesp. noctula*), lecz którego także i na poprzedzającym znajdował. Na schwytanym później w baszcie Ojcowskiej pospolitym niedoperzu (*Vesp. noctula*), kostropatki były mniejsze daleko i bliższe figury 23 Kocha zeszytu 167 (czyli 23) *Pteroptus vespertilionis*.

Kostropatek żyje tłumami na błonach skrzydłowych niedoperza myszatego: na jednym takim niedoperzu liczba osobników mogła niekiedy do 100 dochodzić. Za rozpostarciem skrzydła roją się powolnymi ruchami. W rojach tych osobniki niejednokowój bywają wielkości: mniejsze są samcami, większe samicami, a przypatrzwszy się największym, dostrzedz można, iż to są pary w połączeniu płciowém. Samice mają po 2 mil. dług., a 1 szer., i łatwo je poznawać po pękatości ciała, od spodu białawego, wydętego widocznie płodem. Kostropatki zrzucają wyleń, po zejściu z ich ciała tak układającą się, jakby dwie zetknięte otworami rękawiczki. o 4 palcach. Jestto zatem skóra z rozporem na środku, którym wydobył się z niej kostropatek tak, że z jednej strony wyciągnął cztery i z drugiej cztery wyprostowane nogi, ustawiając je do téj czynności równolegle, który to kierunek pozostaje w wyleń. Ze skrzydełka niedoperza trzymanego nad papierem, można wiele takich wyleńi nustrząsać. Na pierwsze wejrzenie, skóry te zdają się być samymi zwierzątkami; są jednak prawie białe, gdy ciało kostropatka ma kolor gliniasty i nieuzbrojonemu oku przedstawia czarną obwódkę.

Ale z największą troskliwością starałem się w Potoku i Ojcowie rozpoznać żyjące tam pomiędzy skałami wijów (*Myriopoda*) gatunki. Te ciekawe, zwierzęta, najpóźniej od owadów oddzielone ażeby stanowiły osobną królestwa zwierzęcego gromadę, gorliwie dziś we wszystkich częściach świata, lecz nadewszystko w Europie, są wyszukiwane, i zdają się zapowiadać rozległe pole odkryć, ponieważ niepodobna przypuszczać, ażeby gromada, niezaprzeczenie oddzielna, była w stosunku do innych tak ubogą w rodzaje, a nawet i gatunki.

W pierwszych dniach przybycia mojego do Ojcowa, postrzegłem po deszczu występujące na mokre ska-

ły węzławce walcowate (*Polydesmus stigmatus*). Gdy węzławiec płaski (*Polydesmus complanatus*) jest zwierzęciem wszędzie pospolitem, walcowaty znajduje się w niektórych jedynie miejscowościach. Dotąd o jednym tylko w Królestwie Polskiem wiedziałem, to jest w Szekowie, na połowie drogi z Warszawy do Łomży, na pochyłości lesistego wzgórza ciągnącego się ponad rzeczką Orzecz, tamtędy płynącą. Dlatego węzławiec walcowaty, mimo swoją wielkość i odznaczanie się pięknosciami nóg, połyskiem i t. d. uchodził baczności naturalistów nawet naszego wieku, i pierwszy dopiero Eichwald, w r. 1830, opisał go w swojej Zoologii specjalnej, jako znajdującego się w okolicach Wilna i na Wołyniu; lecz uwiedziony walcowatością jego pierścieni, policzył go do krocionogów (*Iulus stigmatus*), mimo brak oczu i inne własności czyniące zwierzę prawdziwym węzławcem.

W zgniłych liściach pomiędzy wierzchami skał, osobliwie dokopawszy się do warstw wilgotniejszych, prawie wszystkie znajome mi wije odkrywałem, wpośród nierównie większych entomologicznych bogactw. Wielkie, swobodnie wyrosłe okazy krocionogów: *Iulus sabulosus*, *I. dispar*, *I. unciger* i t. d., ów z rodzaju płaskich, płowo-pomarańczowy *Platyiulus audouinianus* (*Polyzonium germanicum* Brandt), obydwaj oprzędniki (*Craspedosoma*), tak niekiedy rzadkie w okolicach Warszawy, skulica plamista (*Glomeris pustulata*) w różnych odmianach, drobny *Polyxenus lagurus*, wążkroje, jakoto elektryczny (*Geophilus electricus*) i dwa inne zwyczajniejsze, i t. d. wszystko to znajduje się pomiędzy temi skałami, wszystko to, nie podnosząc się częstokroć z miejsca, w niem jednym powykrywać można.

Lecz w miejscu wcale innej natury, na wschodniej pochyłości skał, ocienionej gęstą zarośłą, w czarnej i wilgotnej ziemi, która zamuliła stopy naniesionych złomków wapienia, wygrzebując te złomki i ścigając żyjące pod nimi pobeżki nacechowane (*Philoscia notata*), które wyżej opisałem, z radością odkryłem osobliwą skulicę, o której żaden znajomy mi autor wzmianki jeszcze nie uczynił. Brandt, Koch, Gervais, rozmnoży-

li gatunki tego rodzaju, znanego niegdyś z jednego tylko europejskiego *Glomeris pustulata*, a którego odmianami jedynie zdaje się być większa część później podawanych. Mój gatunek jest od wszystkich znanych tak odmienny i wielkością i postacią, że jeżeli dotąd wyliczane rzeczywistemi są gatunkami, on osobną pomiejdzy niemi sekcją rozpoczyna (1). Nowa skulica, w wzroście najzupełniejszym i wyciągnięta, nie dochodzi 4 mil. długości; jest biała, jakby zwapniona, bez żadnego połysku, tylne brzegi pierścieni ma nie łukowate, jak zwyczajne gatunki, lecz falowato wygięte (*marginibus undulato-reflexis*) i wysoko górujące, ztąd ją zebrowatą (*Glomeris costata*) nazywam. W rzeczy samej to górowanie żeber wytwornie powyginanych, nadaje jej za pierwszym oka rzutem, wejrzenie nowego typu, osobliwie gdy się ogląda z boku na zwiniętą w kulkę. Łatwo ją wtedy, na czarnej ziemi leżącą, poczytać za skalcynowaną skorupę drobnego ślimaczka z gatunków: *Pupa muscorum* Lin. i *Helix pulchella* Müll., a jakie właśnie w tejże ziemi razem z nią znajdowałem. Materya, z jakiej się górne tarcze jej pierścieni składają, jestto cienka ale twarda błonka, w brzegach jak szkło przezroczyste, lecz pokryta zewnątrz materyą inną, ciemną, białą jak kreda. Zdawałoby się, że jest taka sama jak na mszycach z rodz. *Dorthisia* lub na czerwcach, ale na tych jest ona miękka jak jedwab' i trzyma się ich ciała słabo, gdy na skulicy ma twardość prawie mineralną i trzyma się jej szklistej skorupy tak mocno, że skrobiąc ją końcem lancetu, skrzypienia dosłyszyc można. Patrząc z góry na grzbiet zwierzęcia przez mikroskop, postrzega się w tej białej warstwie na pierścieniach, tu i owdzie miejsca niezakryte, jakby dziury wygrzyzione od robaków, już w różnych niestałych miejscach, już w kierunku żeber i blisko nich rozłożone. Wygięty brzeg pierścienia, stanowiący zebro, widziany z wierzchu, okazuje się grubą krawędzią w całej długości przedzieloną na dwoje roweczkami, ponad którym biegnie na zebrze frenzla, z kosmków tejże białej materyi ułożona.

(1) A może nawet i osobny rodzaj, z uwagi na odmienną ilość oczu.

Gdziekolwiek taż materya przypada na część pokrycia bardzo cienką, a ma w sobie dziury, zdaje się, że te dziury są na wylot, ponieważ tam światło przez przezroczystą błonkę prześwieca. Gdzie więc dziury są gęste, przedstawia się przez mikroskop widok koronki. Taką koronkową tkaninę dostrzedz można między pierścieniem a pierścieniem na bokach ciała, ale najpiękniejsza stanowi cienki brzeg przedni tułowowego pierścienia, jakby perełkami obsadzony. Okażemy zaraz jego użycie. Wiadomo, że największy pierścień czyli tułów u skulic zwyczajnych, przy tylnym kącie swoich obgiętych brzegów, ma niby początek rozłupania: są tam niby dwie podniesione rogami a dalej sklezione z sobą blaszki (1). Gdy skulica w kulkę się zwinie, wtedy ostry brzeg ostatniego pierścienia w to rozczepanie trafia, i tym sposobem szczelniej ciało zamyka. Zamiast tego wszystkiego, u naszej skulicy żebrowatęj cały brzeg przedni tułowowego pierścienia naddany jest koronką, bo na nią w tym samym celu zachodzi brzegiem pierścienia ostatni, gdy skulica w kulkę się zwinie. Całe tedy zwierzątko jest jak kreda białe: jedne czernią się oczy. Naliczyłem tylko 5 tych oczu, ułożonych jak u skulic zwyczajnych, to jest łukowatym rzędem w którym jedno po najpierwszém wysunięte jest z szeregu na bok. Mały dział półksiężycowaty, pomiędzy głową a pierścieniem największym czyli tułowem, środkujący, zdaje się jakby ze trzech powstawał, szwami poprzecznymi odznaczonych. Pomiedzy oczami a różkami widać i dołek słuchowy p. Brandta. I różki i nogi są, jak całe ciało, białe. Różki okryte włoskami, osobliwie na najdłuższym i zgrubiałym stawie szóstym, ostatni w sobie mieszczącym. Podobne włoski pokrywają i głowę. Nogi bardzo krótkie, za ledwie końcami podymków za boki pierścieni sięgnąć zdolne: naliczyłem ich par 16 u jednego z osobników większych, który zapewne był

(1) W tém miejscu tarcza tułowu zdaje się nawet powstawać z nałożenia trzech blaszek, które od przodu zlewają się do jednej, tak wszakże, iż granica do której się rozciągała każda, oznaczona jest delikatnym rowkiem. Na tego rowki czyli rysy, zapatrywał się p. Brandt, dzieląc gatunki tego rodzaju na sekcye.

samcem. Ruchy zwierzęcia są powolne: dotknięte zwi-
ja się w kulkę. Bez wilgoci prędko ginie. Uważałem je-
go wyleń: mączasta powłoka na niej, nie tyle jest chro-
powata i dziurawa, ile na samém zwierzęciu, co zape-
wne ze skurezenia się zwleczonój błony pochodzi. Znaj-
dowałem i osobniki młode, mało co nad 1 mil. dłuższe.

Co do samych owadów, są tak w Potoku jako i Oj-
cowie gatunki, które albo bardzo rzadko znajdują się
koło Warszawy, albo nigdy jeszcze tam znalezione nie
były. Wymienię w tym względzie, czego przez dwukro-
tny pobyt w Potoku podochodziłem. A jakkolwiek faunę
Ojcowską tylko przez koniec lipca i sierpień badałem,
z całym przekonaniem jednak słusność przyznaję p.
Ambrożemu Grabowskiemu, który w dziele swoim *Kra-
ków i jego okolice*, mówiąc o Ojcowie, czyni uwagę (wyd.
4-te, str. 377): „że tu widzieć się dają owady niezbyt
pospolite na ziemi naszej.“

Z rzędu bezskrzydłych (*Aptera*), tak w Potoku jako
i Ojcowie w lasach, niemal wszędzie utrzymuje się po-
między liśćmi suchymi mój gatunek z rodziny skocz-
gonnych, *Achoreutes bielanskiensis*, tak pospolity w lesie
bielańskim koło Warszawy i w lasach koło Jabłonny (1).
Dziwnato rzecz, że owad szeroko po kraju naszym roz-
postarty, uniknął baczości naturalistów niemieckich, bo
ani wątpić można, że znajdować się musi w posiadłościach
niemieckich przynajmniej bliższych naszej granicy, jakoto:
w Szlązku, w Galicyi i t. d.; jak znowu zdaje się, że nie
ma go w Szwecyi, w Belgii, Francyi, Anglii, ani w Szwaj-
caryi, gdzie w naszych czasach tak baczna i tak biegłych
postrzegaczy rozpostartą jest uwaga na wszystkie zworza
drobnych organizmów. Po ogrodach i placach pustych
w Warszawie pod kamieniami i ceglami, znajdowałem od
wielu lat inny jeszcze, dziś do téjże rodziny zaliczany, owad
drobny, któremu angielski entomolog Westwood nazwi-

(1) Opisanie wraz z wizerunkiem znajduje się w 3-cim zeszycie Ro-
czników Tow. Entomologicznego francuzkiego za rok 1842; lecz wize-
runek (Pl. II fig. 5) zamiast niebieskiego, mylnie ma nadany kolor
prawie czarny, jakiego nabywają osobniki umierające. Osobniki żywe,
posłane przeze mnie Towarzystwu do Paryża, doszły tam umierające-
mi, i z takich kolor brano.

sko *Campodea staphylinus* nadał, a entomolog francuzki p. Gervais opisał go i w wizerunku przedstawił w trzecim tomie wydanym r. 1844 Historii naturalnej owadów bezskrzydłych, dzieła należącego do znanych uzupełnień Buffona (*Suites à Buffon*) przez Roretta wydawanych. W dziele tém (na str. 455 pomienionego tomu) znajduje się wywód sprawy okazującej jak usilne spółubieganie się ożywia dzisiejszych zwolenników entomologii w niesieniu ofiar swój nauce. P. Gervais, który ten owad znalazł z okolic Paryża, i długo zastanawiał się nad oznaczeniem mu stanowiska w układzie, a nawet wizerunek jego wyryć kazał, znajdując się w Londynie na początku roku 1842 udzielił swoich postrzeżeń nad nim i okazał rycinę tamiecznemu entomologowi p. Westwood, a nawet oświadczył, że zaraz za powrotem do Paryża naukową wiadomość o nim ogłosi. Entomologowie, znakomici obydwaj, naradzali się połączoną siłą umysłu nad odgadnięciem rodziny, w jakiejby ten owad pomieścić należało. P^{na} Gervais uderzała wielka jego podobność do gąsienic owadów siatkoskrzydłych (*Neuroptera*), a mianowicie z rodziny widelnic (*Perlida*); p. Westwood uznawał go za niedojrzały stan jakiegoś wija, mając zapewne na uwadze wąkroje (*Geophilus*), do których podobny jest z różków, z koloru i z miejsc znajdowania się swojego. P. Gervais w rzeczy samej, skoro powrócił do Paryża, udzielił swoją wiadomość towarzystwu entomologicznemu francuzkiemu, przez co ona weszła niebawem do buletynu, który towarzystwo to po każdym posiedzeniu swoim ogłasza. Już p. Gervais miał w korekcie drukarskiej buletyn, gdy mu przyniesiono nowy zeszyt pisma angielskiego *Annals and Magazine of nat. hist.*, w którym się ujrzał być wyprzedzonym przez p. Westwood. Ten bowiem zaraz po odjeździe entomologa francuzkiego znalazłszy owad w Hammersmith, nadaje mu nazwisko *Campodea staphylinus* i pod takim ogłasza w krótkiej zapisce, z którą nie czeka nawet terminu wyjścia dziennika właściwszego do takich ogłoszeń. P. Gervais poczynił w korekcie swojego podania zmiany, a mianowicie stosując się do prawa pierwszeństwa, przyjął nomenklaturę p. Westwood i z nią opisał dokładnie swój owad w spe-

cyalném dziele, które wymieniliśmy wyżej. Na wiele lat przed tém wydarzeniem znałem ten owad z okolic Warszawy, ale, o czém obydwaj autorowie nie wiedzieli, znał go nierównie dawniej naturalista niemiecki Schrank i w pierwszej części trzeciego tomu dzieła swojego *Fauna boica* (1803), podciągnął opisanie jego na str. 185 pod Linneusza *Podura ambulans*.

W Potoku i Ojcowie w lasach na skałach, pomiędzy liśćmi suchymi znajdują się licznie osobniki tego owada, nierównie większe i więcej wykształcone niż te, które w Warszawie znajdowałem. Jakoż i p. Gervais kończy swoje opisanie tą uwagą, że w lasach znajduje się odmiana większa niżeli w ogrodach. P. Gervais naznacza owadowi największą długość 4 milim.; ja znalazłem w Potoku osobnik dwoma przeszło milimetrami dłuższy, i zadziwiłem się nad ścisłością postrzeżeń entomologa francuzkiego, który wszystkiego tego, co przedstawia mój okaz wielki, podochodził z uważania daleko mniejszych. Jeżeli *Campodea* jest rzeczywiście rodzaj, pewną jest rzeczą, że osobniki ogrodowe, blado-zółte i małe, należą do gatunku odmiennego od leśnych, ciemnozółtych i większych. Powiedzieliśmy już, że *Campodea*, ogólną postacią ciała tak podobna do gąsienic z rodz. *Perla*, ma różki wielostawowe (do 32 stawów) i podobnejże budowy dwie szczeciny odwłok zakończone od tyłu (o przeszło 36 stawach). Nie będzie ciekawszej rzeczy nad odkrycie sposobu rozwijania się tych stworzeń tak wątplych i ślepych, które i dawniej Schrank i teraz Westwood za nie-dojrzały stan wijów poczytywali.

Do owadów, na które przez pobyt mój w Ojcowie najpilniejszą uwagę zwracałem, należą przedewszystkiém mrokawy (*Nycteribia*) pasorzytny rodzaj żyjący na niedoperzach, znany mi przedtém niedokładnie, bo tylko z dwóch osobników znalezionych na żywym niedoperzu wąsatku (*Vesp. mystacinus*), który w dniu 14 sierpnia przed kilką laty wpadł wieczorem do mieszkania mojego. Ponieważ te dwie mrokawy w zbiorze moim są tylko na 2 mil. (3 z nogami) długie, a w dziełach autorów podawana jest długość mrokawy niedoperzowej na dwie linie, skłaniałem się już do uczynienia wniosku, że mrokawa

wbrew przyrodzeniu owadów dojrzałą będąc rośnie, czyli że nie jest owadem, mimo że jest sześcionożnym stworzeniem. Mniemanie to nabierało we mnie tém więcej stałości, że już przedtém nie wahał się przyznawać do niego Latreille (1), a za nim Macquart (2). Można tedy wyobrazić sobie jakim było szczęściem mojem, gdy na niedoperzach Ojcowskich w obfitości znalazłem mrokawy jedne na 3 mil. ($5\frac{1}{2}$ z nogami), drugie nawet na 4 mil. (do 12 mil. z nogami) długości mające, i gdym wkrótce postrzegł, że te odmienne wielkości są oddzielnemi w tym rodzaju gatunkami.

Zdaje się, że Linneusz znał już jeden mrokawy gatunek, który zrazu (*Fauna Suec.*) do wszów (*Pediculus*) załączył, a później (*Syst. nat. ed. 12*) nietylko przeniósł go, mimo sześciu nóg, do swojego rodzaju rostoczków (*Acarus*), zatem do pajaków, ale nadto, pod tém nazwiskiem *Acarus vespertilionis*, zmieszał z nim widocznie kostropatka niedoperzowego (*Pteroptus vespertilionis*). Ztąd dwie synonimy przez Linneusza przytoczone, jakoto *Frisch*, część 7 i tabl. 7, i *Scopoli Ins. Carniolica* n. 1058, do tego ostatniego należą. Zdaje się, że Schrank był pierwszym (1803), który mrokawę (*Fauna boica*, tom III, p. 175. n. 2587) na właściwém w systemacie stanowisku umieścił, to jest załączył ją do rodzaju narzępików pomiędzy muchowatemi owadami i *Hippobosca vespertilionis* nazwał. W tymże samym roku (1803) i Latreille (*Nouveau Dict. d'hist. nat. Tome XV*, p. 570), jakkolwiek zrazu (*Préc. des caract. génér. des Ins.*) pomieszczał mrokawę (*Nycteribia pedicularia*) w gromadzie pajaków, kładzie ją pomiędzy owady muchowate w swoją familią *Coriacées*, złożoną właśnie z narzępików (*Hippobosca*), ślepo jednakże idąc za powagą Linneusza, podaje, że *Frisch* (*l. s. c.*) opisał ten owad i wizerunek jego w dziele swoim przedstawił. Tymczasem Hermann, w swoim dziele *Mémoire*

(1) „Metamorphoses nullae? individua enim ejusdem speciei plurima et magnitudine admodum varia observavi.” *Genera crust. et ins.* 4, pag. 364.

(2) „De plus, Latreille a observé une différence considérable dans la grandeur des individus de la première espèce, et il soupçonne par cette raison, que ces insectes ne subissent pas de métamorphoses.” *Diptères. Suites à Buffon. Tome 2*, p. 646.

aptérológique, r. 1804 wydaném, nietylko organizacyą mrokawy dosyć szczegółowo zbadał, ale nawet wizerunki dwóch gatunków tego rodzaju przez siebie *Phthiridium* nazwanego podał, i chociaż pomieniony swój rodzaj pomiędzy pchlicami (*Podura*) a wszami (*Pediculus*) kładzie, zwraca jednak uwagę (pag. 121) na jego spólność z gatunkami bezskrzydłemi narzępików (*Hippobosca*), i zaczyna go uważać jako ogniwo łączące owady dwuskrzydłe z bezskrzydłemi. Hermann ostrzega już, że figura Frischa, przez Linneusza przytoczona, nie ten owad przedstawia lecz pająka, to jest kostropatka na błonach skrzydłowych niedoperza żyjącego. Mimo to, Fabrycyusz w rok potém (1805) piszący, w swoim *Systema Antliatorum* (pag. 350), pod *Nycteribia vespertilionis*, zostawia jeszcze błąd Linneusza, to jest wypisane z niego bez sprawdzenia kładzie dwie powyższe cytacye, Skopolego i Frischa, do kostropatka należące (1). W tymże roku (An XIII) i Latreille (*Hist. nat. gén. et part. des Crust. et des Ins. Tome XIV*, pag. 403), pisze o mrokawie, zowiąc gatunek *Nycteribia pedicularia*, z odniesieniem do niego jedynéj synonimy *Pediculus vespertilionis* Lin. i przyłącza wizerunek owada (Pl. CXII, fig. 14). Dziwnato rzecz, że tacy mężowie jak Linneusz, Fabrycyusz i Latreille nie udali się z należytą uwagą do książki Frischa (*Beschreibung von allerley Insecten*, 1720), ażeby poznać, że u niego, równie w dosyć szczegółowém opisaniu (Część 7, str. 12), jako i na dosyć wyraźnym wizerunku (tab. VII) nie mrokawa, której pewnie Frisch nie znał, tylko kostropatek żyje. Słusznie tę synonimę przytoczył Scopoli pod swoim n. 1058, bo ón dodając (*Ent. Carn. pag. 388*): *Pedum numerus imprimis Acarum indicat*, mówi wyraźnie o kostropatku. W IV tomie dzieła Latreill'a, *Genera crust. et ins.* w roku 1809 wydanym, widzimy na końcu muchowatych owadów familią *Coriaceae*, obejmującą narzępiki (*Hippobosca*), i w niej osobne, *Phthiromyiae* nazwane, ostatnie pokolenie muchowatych, wiążące je z wysysającymi (*Suctoria*) czyli pchłami, i tylko dla jednego rodzaju mrokawy ustanowione.

(1) W przytoczeniach Fabrycyusza jest i więcej niedokładności, jak np. pod Latreille, *Dict. d'hist. nat.*, gdzie zamiast *Nycteribia vespertilionis*, stać powinno *Nycteribia pedicularia* i t. d.

Przy témże dziele jest i liche wizerunek (Tab. 15, fig. 11) mrokawy, gatunku dla którego Latreille zdaje się nazwisko *Nycteribia vespertilionis* przyjmować. Dopiero w trzecim tomie dzieła Kiuwiera *Le règne animal*, w r. 1817 wydanym, Latreille tę rodzinę *Coriaceae*, wraz z pokoleniem *Phthiromyia*, zlewa w jedną, ostatnią muchowatych czyli dwuskrzydłych owadów rodzinę, nazwaną poczwarkolężniami (*Pupipara*), co wszyscy entomologowie dotąd zatrzymali. Ale w tymże roku 1817 ogłosił i Leach trzeci tom swojego dzieła: *Zoological Miscellany*, w którym dał bardzo piękny (tab. 144) wizerunek samca i samicy mrokawy nazwanej przez siebie *Phthiridium Hermannii*; prócz tego opisał mniejszą *Phthiridium Latreillii*, i jeszcze jedną nieeuropejską *Phth. Blainvillii*. Leach rozumiał, że pierwszym dziełem Latreill'a, w którym on temu rodzajowi nazwisko *Nycteribia* nadał, jest 14-ty tom w r. 1805 wydany, jego ogólnej i szczególnej Historii naturalnej owadów, dopełniającej Buffon'a edycyi Sonninięgo (1), gdy to nazwisko, o czém Leach zapewne nie wiedział, znajduje się już w poprzednio r. 1803 ogłoszonym czternastym tomie Nowego dykeyonarza (2). Troskliwy o prawo pierwszeństwa, zostawił przy rodzaju nazwisko *Phthiridium* przez Hermanna mu nadane r. 1804, twierdząc niesłusznie, że nazwa Latreill'a ukazała się w rok dopiero (3). Sam Latreille wydał objaśnienie w téj mierze przy wyjściu w rok potem (1818) dwudziestego trzeciego tomu powtórnie drukującego się Nowego dykeyonarza (4),

(1) Wydanie w 129 tomach in-8vo, które wychodziły w ciągu lat dziesięciu, pomiędzy 1798 a 1807 z wyrażeniem na tytule: ouvrage formant un cours complet d'histoire naturelle rédigé par Charles N. Sigisb. Sonnini. Praca Latreill'a przy tém wydaniu zajmuje tomów 14, które wyszły pomiędzy r. 1792 a 1805, z tytułem: *Histoire naturelle générale et particulière des Crustacés et des Insectes. Ouvrage faisant suite aux oeuvres de Leclerc de Buffon et partie de Cours complet d'histoire naturelle redigé par C. S. Sonnini.*

(2) *Nouveau dictionnaire d'histoire naturelle appliquée aux arts, à l'agriculture etc. par une société de naturalistes etc.* (w czém znaczny miał udział Latreill'e), wyszedł w Paryżu we 24 tomach in-8vo, pomiędzy rokiem 1802 a 1804.

(3) „This Genus was established in 1804 by Hermann, who named it *Phthiridium*, and in the following year it was observed by Latreille, who called it *Nycteribia*” Pag. 54.

(4) *Nouveau dictionnaire d'histoire naturelle etc.* (jak wyżej). wyszedł powtórnie w Paryżu w 37 tomach in-8vo, pomiędzy rokiem 1816 a 1819.

gdzie ogłosił ostatnie pojęcia swoje o organizacyi mrokawy, nabyte ze ścisłego zbadania gatunku cudzoziemskiego (z Ile de France) nazwanego u Leach'a *Phthiridium Blainvillii*, około 2 linii długiego, a którego okaz od Kiuwiera jak mówi, otrzymał. Te badania Latreill'a dotąd jeszcze są wszystkiém co o organizacyi tych owadów wiemy. Najznakomitsi autorowie, którzy później o mrokawach pisali, polegali jedynie na tém czego dociekł Latreille; powtarzali go tylko, sami nie widzieli nawet mrokawy. Meigen w znaném systematyczném dziele o muchowatych owadach (1), w tomie 6 r. 1830 wydanym, kładzie rodzaj *Nycteribia* (p. 238), tylko jako dodatek na końcu, wyznając, że ten rodzaj zna jedynie z opisu innych autorów, a wizerunek gatunku (tab. 64, fig. 19) z dzieła Latreill'a przerabia. Macquart w podobnym dziele francuzkiém (2), w tomie 2 r. 1835 wydanym, ledwie tyleż co Meigen o mrokawach podaje (od str. 646); przyjmuje dwa gatunki: *Nycteribia respertilionis* i *N. bitr-ticulata*, a w atlasie do dzieła (Pl. 24, fig. 166) przedstawia owad najniedokładniej, przyznając się, że miał okaz nie w dobrym stanie. W dykcyonarzu d'Orbigny (3), tomie VIII, który r. 1847 wyszedł, autor dosyć rozciągłej wiadomości o mrokawach, p. Desmarest, wyznaje (p. 698), że prawie wszystko co o organizacyi tych zwierząt powiedział, z dzieł Latreilla wyczerpnął. Wydany w rok potem (1848) siódmy tom znanego dzieła *Diptera Scandinaviae* (4) okazuje, że tak pracowity autor jego, Zetterstedt, który niemal każdą najdrobniejszą muchę z autopsyi opisał, mrokawy nie widział, a rozważając

(1) *Systematische Beschreibung der bekannten Europäischen zweiflügeligen Insekten, von Johann Wilhelm Meigen i t. d.*, tomów 6 in 8-vo wydanych w Akwizgranie między 1818 a 1830 rokiem, tudzież tom 7, który dopiero w 1838 w Hamm wyszedł.

(2) *Histoire naturelle des insectes. Diptères. Par M. Macquart etc.* dwa tomy in 8-vo w Paryżu 1834, 1835, należące do Nouvelles Suites à Buffon formant avec les Oeuvres de cet auteur un cours complet d'histoire naturelle etc., wyd. przez Roret.

(3) *Dictionnaire universel d'histoire naturelle résumant et complétant etc. etc. dirigé par M. Charles d'Orbigny etc.* w Paryżu, tomów 13 in 8-vo zaczęty r. 1841, ukończony r. 1849.

(4) *Diptera Scandinaviae disposita et descripta. Auctore Ph. Dre Johanne Wilhelmo Zetterstedt etc.* we 12 tomach in 8-vo Lundae, od 1842 do 1855, dzieło wiekopomnej pracowitości.

sprzeczności, jakie w innych autorach znalazł, wątpi nawet, ażeby ten rodzaj do owadów muchowatych liczyć należało (1); w ostatnim zaś (12) tomie dopełnień, teraz (r. 1855) wydanym, wcale nie o rodzaju *Nycteribia* nie wspomniał. Cała familia *pupipara*, do której mrokawy należą, wiele jest dla dzisiejszych naturalistów zajmującą, jak mogą za dowód na to posłużyć badania Leuckaerta. przedstawiane niedawno naturalistom belgijskim (2).

Gatunki składające tę familią *Pupipara*, wszystkie są pasorzytnemi, to jest żyjącemi na innych zwierzętach. Najznajomszy, skrzydlaty, trzyma się konia, inny bezskrzydły żyje w wełnie na owcach; lud widujący obydwaj, i jednego i drugiego nazywa u nas *kleszczem*, lecz to nazwisko rozciąga zarazem do wielu stworzeń nietylko z rodzajów, ale i z gromad odmiennych. Dla uważającego rodzaje ich skrzydlate, żadna nie pozostaje wątpliwość, iż to są muchy skórkowate i płaskie, ażeby się bezpieczniej mieściły na zwierzęciu, na którym żyją, mające odwłok podzielony wprawdzie poprzecznymi śladami pierścieni, lecz tylko pozornie, bo w rzeczy samej odwłok ich jestto worek z błony jednostajnej, ażeby w nim bezpieczniej rozwijać się mogła gąsienica, noszona w żywocie aż do zamienienia się w poczwarkę. Tę szczególną odłomność w ich rodzeniu się, odznaczającą je od innych muchowatych, a może i od wszelkich owadów, postrzegli już dwaj z przeszłego wieku sławni obserwatorowie Réaumur i Degéer; pierwszy nazwał je dlatego *nymphipares*, wyrazem znaczącym to samo co dzisiejsze *pupipares*, to jest *poczwarkoleżne*. Żaden inny owad muchowaty nie nosi, jak te, w żywocie swoim płodu przez trzy jego stany, to jest jaje, gąsienicę i poczwarkę; a gdy poczwarki muchowatych, sąto zwykle baryłeczki z poprzecznych obrączek złożone, tu poczwarką nazywa się skorupka jednostajna, bez żadnych

(1) Nie jest mi znany przytoczony przez niego Westwood: Zetterstedt przyjmując dwa przez niego zcharakteryzowane gatunki, mówi (pag. 2918): „ambae in Vespertilione murino Europae habitantes, mihi non in natura, sed tantum e descriptionibus et figuris auctorum interdum contradicentium cognitae, inde adhuc ambiguae” etc., a niżej: „a Dipteriorum ordine forte removendae et ad Apterorum reducendae.”

(2) Zob. *L'Institut* 1855, 14 marca n. 1106.

dziły mrokawy, i już na drodze ująłem ich dwie, obiedwie samce. Gdy te niedoperze dla wypchania ich, nazajutrz poduszono, zająłem się szukaniem na nich pasorzytów. Na jednym tylko znalazła się pchła niedoperzowa (*Pulex vespertilionis* Rousseau): mrokawy i kostropatki były na każdym.

Mrokawa ma swoje siedlisko we włosach. Poruszenia jej są nadzwyczajnie żwawe. Trudno ją ścigać i ująć na niedoperzu, nawet nieżywym: zawsze się wysliznie i w sierć zanurzy tak, że nie łatwo ją od zwierzęcia odłączyć. Przesadzona do szklaniej rurki lub flaszeczki, zrazu ciągle biega, ale wkrótce zmordowana, zastanawia się; lecz i wtedy drży cała, zrywa się nagle i jak szalona biega lub w ciasnym zamknięciu jak młynek wiruje. Te gwałtowne ruchy wkrótce ją wycieńczają. Mrokawy mają życie słabe, mimo twardość pokrycia. Odosobnione od niedoperza mniejsze watały i marły w téjże godzinie, większe ledwie do następnego rana żywe dotrzymać się dawały. Dopóki żyły, w tylnym końcu ich odwłoka mogłem widzieć przez lupę ruch perystaltyczny kanału pokarmowego w jego części tylnej wyrabiającej czarny ekskrement, gdy część przednia bywa czasem czerwona, napełniona krwią niedoperza prędko się trawiącą i przechodzącą w wyrzut czarny.

Mniejsze i większe mrokawy, sąto dwa oddzielne gatunki, które zaraz rozróżnimy. Wielką końcami nóg prawie tyle ogarnia przestrzeni, co wszelot jaskółczy (*Stenopteryx hirundinis*) i jest rzadsza od mniejszej. Na siedmiu niedoperzach przyniesionych dnia 17 lipca z jaskini, znalazłem sześć mrokaw wielkich, a 23 mniejszych. Niektóre z wielkich parzyły się: samica z nabrzmiałym odwłokiem dźwiga na sobie samca, i tak są połączone, że w tym stanie do flaszki przesadzić się dały. Tam, mimo najżywszy ruch biegającej i rzucającej się samicy, samiec z niej nie spadał. Gdym zanurzył z flaszka tę parę w ukrop dla zaparzenia, samica zniosła tam w mgnieniu oka masę białą, lecz która od gorąca natychmiast zczerniała. Odwłok, który przed znie-

sieniem był nadęty i biały, po zniesieniu wrócił do wielkości normalnej i zwyczajnego koloru. Samica od pary, w stanie kopulacji do fiolki zamkniętej i nie zaparzaną, zniosła po jakimś czasie (d. 19 lipca) na korku podobną masę białą, która już w parę godzin poczęła czernieć, naostatek zupełnie zczerniała. Jestto najprzód kupka materii galaretowatej, białej, mokrej, jakby ciało młodego ślimaczka. Powiększenie przez lupę odkrywa w niej organizację; w jednym końcu dają się dostrzegać poprzeczne zmarszczki i dążenie do wzniesienia się powierzchni w małą stożkowatość, jakby punkt, w którym łączyła się z innym ciałem. Prawie na środku, najbardziej wyniesionym, para brunatnych oddalonych od siebie kropek czyli gruczołków, a na spadzistości od drugiego końca druga para takichże kropek, lecz zbliżonych do siebie. Sądzę, że ta postać należy do gąsienicy, którą tylko w okolicznościach przymusu owad składa, jako płód przedwczesny. Kurczy się to ciało wkrótce, w miarę osychania tężeje, na miejscu owych dwóch kropek odsuniętych od siebie, powstają dwa guziczki płaskie, leżące w dołkach; dwie inne bliskie sobie kropki stają się czarne i cała naostatek poczwarka nabiera czarności i skorupowatości. Dzieje się to wszakże stopniowo, i jest taka chwila, w której widać przez lupę już tylko przestrzeń pomiędzy guziczkami środkowymi a kropeczkami nadbrzeżnymi białawą; gdy nawet potem i ta białość zniknie, pozostają jeszcze czas niejaki dwie białe wężykowate, kształtu ∞ żyłki, jakby przegłądanie jakiegoś organu ukrywającego się pod skórą. Czarny kolor poczwarki, przez lupę ukazuje blask metaliczny brązu, a powierzchnia jej poprzeczne marszczki. Objętość całej poczwarki większa niż odwłok mrokawy. Jest ona spodem silnie przyklejona do przedmiotu na którym ją owad złożył.

Lecz te poczwarki zniesione były przez owad uwięziony lub przymuszony do zniesienia. Pragnąłem poznać ukształcone niezależnie od tych wpływów. Koło połowy sierpnia udałem się do jaskini Jerzmanowskiej w zamiarze dojścia, czém mianowicie żywią się wielkie niedoperze tameczne. Wiadomo tym którzy pomienio-

na jaskinię odwiedzali, że miejscom u sklepienia na których te zwierzęta tłumami na dzień zgromadzać się zwykły, odpowiadają na dole, czasem i na łokieć wysokie, stożkowate kupy ich gnoju, w ciemnej i wilgotnej jaskini fermentującego zwolna i pleśniejącego wokoło. Widywałem już dawniej po wierzchu tych kup błędzące mrokawy, które zapewne spadają z niedoperzów zgromadzonych u góry. Badając pewnego razu szczątki niedotrąwione owadów, jakoto krówek leśnych (*Scarabaeus sylvaticus*), różnych drobnych szarańczy (*Acrydium*) i t. p. któreto szczątki stanowią owe stosy gnoju, znalazłem pomiędzy niemi skorupkę poczwarki mrokaw, lecz opuszczoną już przez owad, który wyszedł z niej dosyć symetrycznym wylamaniem prawie połowy strony wypukłej, tak, iż tylko druga połowa na której guziczki leżą, pozostała. Okaz ten podał mi wyobrażenie kształtu i wielkości jakie ma poczwarka mrokawy dojrzała. Skorupka ta, kształtu prawie półkulistego, od spodu zupełnie płaska, i jakby zbudowana na denku, którego brzegi wokoło nieco wystają, miała $3\frac{1}{2}$ mill. dług. na 3 szer. i bardzo mierzytelną budowę; gdy tymczasem zniesione w sposób przymuszony, były tylko massami zgniecionemi 2 mill. długości; lecz i jedne i drugie ten sam kolor odznaczał.

Na niedoperzach w Ojcowie znajdują się dwa następujące mrokawy gatunki:

Gat. 1 mrokawa wielka (*Nycteribia vespertilionis* Fab.) *Leach Zoological Miscellany, tom III, tab. 144* samiec i samica.

Trudno dojść czy z tym rzeczywiście gatunkiem Linneusz swój *Acarus vespertilionis* pomieszał. U Schranka (*Fauna boica, n° 2587*) jest on nazwany *Hippobosca vespertilionis*, u Latreilla zrazu (*Nouveau Dict. d' hist. nat. 1^{re} éd.*) *Nycteribia pedicularia*, u Hermanna (*Mém. apt. p. 120*) *Phthiridium vespertilionis*, u Fabrycyusza (*Syst. Antl. p. 350*) *Nycteribia vespertilionis*. Odtąd tę ostatnią nazwę przyjął i Latreille. Leach (l. c. pag. 55) niesłusznie raz już przyjętą przemienił na *Phthiridium Hermanni*. Nazwa *Nycteribia vespertilionis* znajduje się u Meigena (*Syst. Besch. d. europ. zweifl. Ins. t. VI, p.*

238), który sam nie widział owada; u Macquart'a (*Suites à Buff. Dipt.* t. II p. 647), który prawie go nie widział; u Zetterstedt'a (*Dipt. Scand.* VII, pag. 2017), który także go nie widział; i u Desmarest'a (*Dict. d'Orb.* t. VIII, p. 698).

Gatunek ten jest największy: wyciągniętemi nogami tyle miejsca zajmuje co wszelot jaskółczy (*Stenopteryx hirundinis*). Wizerunek jego dał najprzód Latreille w *Hist. nat. gén. et part. des Crust. et des Ins.* t. XIV Pl. CXII fig. 14, z kąd potem przeniesiony został do jego dzieła: *Genera Crust. et Ins. tab. XV fig. 11*, a ztąd do Meigena *tab. 64, fig. 19*. Daleko prawdziwszy jest wdziele Leach'a (s. c.). Wizerunek u Hermanna (pl. V, fig. 1) jest na bardzo wielki rozmiar, lecz bez sztuki, a u Macqarta (*Atlas. Pl. 24 fig. 16*) zupełnie chybiony. Innych nie widziałem (1).

Gatunek ten Leach znajdował bardzo często (*vulgatissime*) na wielkim podkowcu (*Rhinolophus ferrum equinum*). W Ojcowie żyje on nadewszystko na niedoperzu myszaty (*Vespertilio murinus*). P. Taczanowski raz go znalazł na niedoperzu pospolitym (*Vesp. noctula*), w Lubelskiem.

Rzecz osobliwa, że na tych pasorzytach żyją inne pasorzyty. Na jednej wielkiej mrokawie, samicy, było 9 małych pajęczków, dosyć podobnych kostropatkom, ale bardzo małych (zaledwie $\frac{1}{2}$ mill. dług.), jednakże i gołym okiem dostrzedz się dających. Za powiększeniem przez mikroskop, uznałem je najbliższemi rodzaju *Dermanyssus*. Trzymały się one ciągle swojego owada po którym łąziły, nawet gdy już nie żył, i żyły o parę dni dłużej od niego. Zaraz po zdjęciu mrokawy z niedoperza, skupione były na jego tułowiu, usiłując chować się między szczeciny i we wgnioty. Gdy zaczęła mio-

(1) Nie mając przed sobą Westwood'a (*Monogr. in Trans. Zool. Soc. 1834 vol. I. pag. 290. 7, tab. 36*) przytoczonego przez Zetterstedt'a, nie jestem w stanie osądzić czy nazwisko Westwood'a *Nycteria vexata* do tego, czy też do poprzedzającego odnosi się gatunku, zwłaszcza gdy widzę przy nim synonimę *Hermann. Mem. apt. tab. V fig. 1 ♂*, która według mnie do poprzedzającego raczej należy, i gdy wielkość jego (1—1½ lin. dług.) przez Zetterstedt'a (z Westwood'a?) podawana, obok wielkości dla poprzedzającego tamże oznaczonej (long. circiter 1½ lin.) okazywałaby że bywa od niego większy.

tać się zwawo, one rozsypały się po niej, i zchodziły z tułowu na nogi aż do podymek, a potem znowu na grzbiet wracały. Przy najgwałtowniejszém jednak miotaniu się owada, żadna nie spadła z niego. Dopiero nieżywego opuszczając zaczęły, i rozeszły się na wewnętrznych ścianach fiolki, nareszcie mrzeć i schnąć zaczęły.

Gat. 2 mrokawa mniejsza (*Nycteribia biarticulata*) Hermann, *Mém. apt.* Pl. VI, fig. 1 tylko samiec (wiz. niedokładny).

Najpierw wymieniony został ten gatunek przez Hermanna *Mém. apt.* pag. 124, pod nazwiskiem *Phthiridium biarticulatum*, które potem Leach (*l. s. c.* pag. 56) na *Phthiridium Latreillii* przemienił. Latreille zrazu *Nouv. Dict.* 1818) jeden tylko europejski gatunek mrokawy uznawał, ale potem (*Encycl. méth.* n° 2) przyjmuje *Nycteribia biarticulata*, i to jest dzisiejsza tego gatunku nazwa (vid. *Dict. d'Orbigny* l. s. c. pag. 698).

Hermann znalazł go na podkowcu, zapewne większym, a Leach na niedoperzu myszaty. W Potoku znaleźliśmy go na podkowcu mniejszym (*Rhinolophus bihastatus*), w Ojcowie na tymże, i obficie jeszcze na niedoperzu myszaty. W Warszawie licznie go znalazł p. Taczanowski na *Vespertilio Schreibersii*, i raz na *Vesp. Nattereri*.

Pomiędzy samicą a samcem mniejszej mrokawy, znaczna jest różnica w samej postaci. Samiec ma nogi cienkie, samica nieco krótsze, o udach i piszczelach bardzo szerokich: piszczel u nich tak krótka a szeroka, że jest prawie półkolem. Nadto odwłok samca jest mały, samicy szeroki, a w porze w której się już ukształciła w nim poczwarka, biały i wółprzezroczysty. Tylne działy odwłoka na tylnym brzegu opatrzone włosami, u samca są bardzo szczupłe, przeto odwłok jego jest kończaty. U samicy, u której odwłok jest szerszy, działy te mało się wysuwając, zakończę ją go strzępiasto. U wielu osobników działy odwłoka tak ściągają się przez wyschnienie, że ich więcej nad dwa nie widać: liczbę którą Hermann za rzeczywistą poczytał. Udy u tego gatunku nie mają téj kosmatości co u poprzedzającego, a na ich przedniej płaszczyźnie, nawet w końcu bliższym

piszczeli, prawie zupełnie gołe. Nawet piszczele mniej niż u poprzedzającego włosiste.

Głowa u okazów tego gatunku, prawie zawsze w tył, aż na grzbiet się zachyla. W grzebieniu zbrojącym brzeg pierwszego działu odwłoka od spodu, jest do 50 zębów.

Gat. 3 mrokawa mała. Tę znam tylko ze dwóch samic znalezionych na niedoperzu wąsatku, jak to wyżej już powiedziałem. Są one bardzo podobne do samic poprzedzającego gatunku, ale jeszcze mniejsze i zsiadlesze. Piszczel u nóg przednich półkolista. Nie znając płci drugiej, nie mogę całkowicie opisać gatunku.

Do rzadkich owadów, które przez mój pobyt w Potoku, we wrześniu (1854) zebrałem, należy mucha *Adapsilia coarctata*, której znalazłem samicę jedną w d. 6 września, i następnego dnia samicę i samca. Pożądanym był dla mnie nowy okaz tego gatunku, dla którego ustanowiłem rodzaj w *Annales de la Société Entomologique de France, tome XI, page 279*, z okazów suchych, dawniej w Tarchominie pod Warszawą znalezionych. Oczy ma za życia zielonawo-czarne. Odwłok nie z pięciu, jak podałem, lecz z sześciu złożony jest działów. U samicy pierwszy dział lejkowaty, a cztery następne obrączkowane, mają jednakowe ubarwienie, to jest na bokach są jasno-żółte, na grzbiecie i brzuchu czerwono-żółte, lecz wydają się w tych miejscach czarnymi dla wielu czarnych, wielkich szczecin, któremi są pokryte. Ostatni dział, którym się odwłok kończy, jest cały czerwono-żółty, połyskujący, a wydaje się zupełnie nagim, chociaż i on pokryty jest włoskami przez lupę widzialnymi. Dział ten jest tak długi jak wszystkie poprzednie razem wzięte, i ma kształt szczególniejszy: jestto róg przy podstawie tak szeroki, jak działły poprzednie, potem lejkowato się zwęża i zaraz przechodzi w ostrokrag mocno zakrzywiony na dół. Sam wierzchołek jego, mieszczący w sobie otwór odchodowy i rodny, jest od spodu ukosnie ścięty i czarny. Spodnie brzegi tego końcowego i trzech poprzednich działów, tak górują, że odwłok uważany z boku, okazuje się w tych miejscach strzępiastym. Powierzchnia ostatniego działu na bokach, ma

poprzeczne marszczki. przez lupę widzialne. Po zgonie działa odwłoka ulegają wielkiej kontrakcyi, i dlatego opisałem tę część ciała zrazu (*l. c.*) niedokładnie, bo tylko z jedyne go okazu samicy, wylęgniętego świeżo, przez co odwłok jego znacznej uległ odmianie kształtu. Wszakże to przekształcanie się odwłoka po wysuszeniu, nie jest własnością jego powszechną, bo u jednego ze dwóch okazów samicy, w Potoku znalezionych, ta część ciała utrzymuje się przy swoim kształcie, jaki miała za życia. Ta mucha objawia się przy końcu sierpnia i we wrześniu. Usiada ona na krzakach dębowych, pojedynczo w polu rosnących.

Nad Prądnikiem znalazłem (13 sierpnia) gatunek srokatki, *Ortalis paludum*, odmienny od pospolitego na mokrych łąkach koło Warszawy *Ortalis palustris*. Osobliwa, a tak pospolita w Królikarni na ciemniżyku (*Cyananchem vincetoxicum*) inna srokatka, *Ortalis connexa*, znajduje się i w Ojcowie, gdzie na swoją roślinę, dającą się tam często spotykać po zachodnich skał pochyłościach, w dni pogodne spada i siadłszy, skrzydełkami miłe upstrzonemi, jakby sposobiąc je do lotu potrząsa. Podobne uplamienie skrzydeł i podobne ich poruszenia cechują pstrzewki (*Trypeta*), inne drobne muszki, których tylko jednych rodzaj poznać, dosyć jest, ażeby się zdumieć nad cudowną rozmaitością dzieł boskich na ziemi. Na dolinie stanowiącej jakby dziedziniec przed starym zamkiem Ojcowa, na każdym krzaku rosnącego tam ostu rozdzieńcowego (*Carduus acanthoides*) obficie znajdowałem pstrzewkę żółtą (*Trypeta flava*, *Tryp. arnicæ* Meig. *Tephritis arnicæ* Zetterst.), jedną z większych. Gdzie zaś tylko rośnie sierpik polny (*Serratula arvensis*), postrzeże się pstrzewka czteropaśna (*Trypeta quadrifasciata*). Przeszedłszy jednego bardzo pogodnego dnia, dolinę Saspowską, gdym się wydostał na te przestrzenie zarośli, na które ona wyprowadza, zdało mi się, że przybył do stolicy dwuskrzydłych owadów. Myśl gubiła się tam w ich rozmaitości. W jednej zarośli postrzegłem na liściach leszczyny usiadające pstrzewki, i dwie schwytałem. Jedna z nich była *Trypeta reticulata* Loew, prawie równająca się pięknością oczkowanej

(*Tryp. gemmata* Meig.), pospolitej równie tam jak i w okolicach Warszawy na roślinie, którą zowią wołowym językiem (*Anchusa officinalis*). Druga ma u Meigena nazwisko *signata*, lecz które Loew wyrugował udowodnieniem, że właśnie ta muszka była *Musca cerasi* Linneusza. Meigen, z którego opisem mój okaz dziwnie się zgadza, mówi (tom V p. 332): „Bei einer Abänderung ist das charakteristische Komma mit der dritten Binde vorne verbunden,” ale w moim ta plama kształtu przecinka nie od przodu, ale owszem od tyłu złączona jest z trzecim na skrzydłach pasem. Badawczy Loew nie wątpi, że to jest Linneusza *Musca cerasi*, chociaż nie sprawdził przytoczonej przez Linneusza figury w Redim, nie mając, jak mówi, autora tego pod ręką (1). Udałem się do miłej mi książeczki *Redi de Insectis*, którą od uczonego Alexandra hr. Przędzieckiego otrzymałem w darze, i w rzeczy samej postrzegłem na rycinie przy karcie 264 umieszczonej, muchę z przegowanymi skrzydłami, która, że zamiast mieć trzy pręgi, ma ich na rysunku więcej niż dwakroć tyle, nie należy uważać tego za niezgodność z naturą, zważywszy iż tenże wizerunek daje zarazem jej odwłokowi przynajmniej 11 działów zamiast pięciu, i biedną muszkę jak konia w uzdzienię ubiera. Ale Redi jest autorem XVII wieku, w którym nie umiano niezfantazyować wizerunku owada. Zawsze to jest mucha która się wychowała w wiśni, a Saspowski okaz bardziej w jagodzie suchodrzewu (*Lonicera xylosteum*), bo tam wszędzie w zaroślach ten krzew się objawia. W XVII wieku nie liczono plam lub pasków na skrzydle muchy, bo myślano, że skoro jest pstra, to już jest bardzo nie ta co domowa. Któżby i w naszym, w którym Meigen przeszło 60 pstrzewek odróżnił, spodziewał się, że niedługo Loew liczbę tę do 87 podniesie? (2). Zdawałoby się, że Loew przynaj-

(1) Germar, Zeitschrift für die Entomologie, 5r Band pag. 361. (Nie mogę zamilczyć, że to i inne w tym rodzaju dzieła, winienem zaszczycającej mnie przyjaźni księcia J. T. L. Ta szlachetna pomoc ważną jest dla mnie nie oddalającego się z kraju. do którego książki entomologiczne (stosunkowo najkosztowniejsze ze wszystkich) nigdy nie wchodziły).

(2) *Linnaea entomologica*, 1 Band, pag. 525.

mniej wszystkie europejskie wyczerpnął, a jednak przez ten krótki pobyt w dolinie Ojcowskiej znalazłem jedną, której żaden z tych autorów nie ma. Różki u niej i cały wierzch głowy pomiędzy brunatnymi oczami, czoło i czaszkę (Meig.) stanowiący, jest jak zwykle żółty, żółtości woskowej, z przodu ciemniejszej: tylko oczki (*ocelli*) leżą na czarnej plamce. Powierzchnia jego jest naga, wszakże na bokach, z przodu oczu, leży po każdej stronie tęga czarna szczecina: dwie podobne zbliżone ku sobie, wyrastają na ciemnej plamce oczek, i dwie także, oddalone od siebie, na samym czole, blisko oczu, a poniżej tych ostatnich dwie mniejsze i białe. Tułów i odwłok całe czarne, bez żadnych znaków, tylko pokryte bardzo rzadkimi szczecinkami białymi, które na tułowie rozproszone są niemierzytelnie, a na odwłoku, w kierunku jego działów, rzędami idą. Na bokach tułowu rzadkie szczeciny czarne. Kolor stanika (*scutellum*) przechodzi w żółtawy, tak że wierzchołek jego jest brudno-żółty, także i bezmianki. Upstrzenie skrzydełek częścią jak fig. 30 (*Tryp. argyrocephala*) Loewa; częścią jak tegoż fig. 55 (*Tryp. biflexa*) i 54 (*Tryp. irrorata*), tém się nadewszystko odznaczające, że pierwsza, to jest mniejsza żyłka poprzeczna, leży w kwadracie ze czterech drobnych przezroczy okrągłych, a przezrocza większe tak są liczne i ku sobie zbliżone, jakby chciały utworzyć dwa poprzeczne pasy białe na ciemnym skrzydełku. Nogi żółtawe. Samiec dług. nieco nad 3 mill. rozwarcie skrzydeł przeszło 7 mill.

Rozleglejsze przestrzenie dolin, na które Saspowska wyprowadza, zarosłe są gajkami leszczyzny, olszyny, świdwy i t. d., wśród których kwitnące osty i różne wyższe zioła, zwabiają tysiące much, tak, że w ich rozmaitości błąka się oko entomologa, gdy ujrzy, że je poobsiadały *Milesia saltuum* i *vespiformis*, *Phasia brachyptera*, *Hexatoma bimaculata*, *Phonia obscuripennis* (nie znajdująca się koło Warszawy i której samicę znalazłem w Ojcowie, a potem, przez traf szczególny, samca w Potoku), *Scaeva glaucia*, *Eristalis oestracea* (obiedwie koło Warszawy nie dające się widzieć) i t. d. Nawet między temi ilowatemi (*Syrphici*) postrzegłem jeden gatunek,

który, nie znajdując go w autorach, *Syrphus spilopterus* nazywam. Ma on pyszeczek czarny i lśniący; cały przód głowy, aż poza różki żółtawy, to jest gęsto włoskami tego koloru okryty. Wzniesienie, na którym różki, jak pyszeczek lśniaco-czarne, z samym brzeżkiem osady od wierzchu żółtawo-brunatnym, Różki czarne, brzeżek drugiego ich stawu żółtawy; szpecinka tego stawu czarna w brunatne przechodząca, zupełnie naga. Oczy ciemno-brunatne, nagie; między-ocze, to jest wierzch głowy poza różkami, czarne lśniące, pokryte jednak włoskami tego koloru. Tułów zielonkawo-czarny, porośły delikatnymi włoskami zielonawo-żółtymi, najgęściej od przodu, gdzie też jest prawie zielonawo-żółty i przedstawiający ślad dwóch równoległych podłużnych pasów. Na wierzchu, pomiędzy podstawami skrzydeł, jest połyskująco-czarny, włoskami czarnymi pokryty. Stanik nieczysto-żółty, pokryty włoskami takimi jak przód tułowu, lecz dłuższymi. Takie jeszcze włoski okrywają i podstawę odwłoka, który zresztą jest prawie goły, szklący, czarny: jedynie brzeżek trzeciego i trójkątna przestrzeń zajmująca cały tylny brzeg drugiego działu są zamglone, co pochodzi ztąd, że te powierzchnie przyodziejają niskie, jak na axamicie, włoski czarne. Na każdym skrzydle, zupełnie przezroczystym, wyraźna czarna, prawie kwadratowa plama, ogarniająca wszystkie żyłki poprzeczne i znamię. Łuski za skrzydłami i bezmianki białe. Nogi, osobliwie na udach, nieco kosmate: udy przednich czarne, kolana i piszczele żółte. Udy nóg tylnych nieco zgrubiałe, od podstawy żółtawe, dalej aż do kolan czarne. Piszczele nóg tylnych łukowate, w pierwszej połowie żółte, w drugiej czarne. U wszystkich dwa pierwsze stawy podymków żółte, reszta aż do szponów ciemna. Znalazłem dwa osobniki, obydwie samice, wielkości zupełnie jak *Eristalis oestracea*.

Znalazłem i w Potoku kilka dwuskrzydłych gatunków takich, jakich nie postrzegłem nigdzie około Warszawy: *Anthomyia pallida* (przy ranie ciekącej, staremu dębowi koło lasu zadanej), i *Medeterus regius* (na skałach pospolity). I z tych, jakby z promieniami słońca spadających żalobnic (*Anthrax*), a których obyczaje z taką

prostotą, jakby natura sama, Zeller skreśla (1), i z taką je prawdą opowiada jakby się z nim chodziło po kniejach w których je spostrzega, muszę i z tych wspomnieć ten przynajmniej, który mnie dnia jednego przed burzą na wierzchołku góry Chelm tak długo zatrzymywał, płochy i pierzchliwy *Anthrax cingulata* Zell. Wymienić muszę i mniejszy *Anthrax mucida* Zell. który w Potoku na piaskach w polu znalazłem.

Lecz nierównie obfitszy plon odniosłem w owadach chrząszczowatych (*Coleoptera*). Tak w Potoku jako i Ojcowie znajduje się jelonek (*Lucanus cervus*), którego nie mamy koło Warszawy; a ze szczypawkowatych, *Procrustes coriaceus* pospolitszy niż u nas; tudzież zupełnie nam obce *Cychrus attenuatus* (w Potoku pod wiorami w lasach), *Carabus Linnaei* (tamże i w Ojcowie), *Carabus auro-nitens* (w Ojcowie i Potoku); rzadki *Carabus catenulatus* (w Ojcowie i Potoku); *Carabus cyanus* (bardzo pospolity w lasach w Potoku): a z mniejszych *Abax metallicus*, *Abax striola*, *Abax ovalis*, wszystkie trzy pospolite w lasach w Potoku, osobliwie pomiędzy liśćmi na skałach. W dolinie Sąpsowskiej przy Ojcowie, znajduje się także trudny do znalezienia gatunek *Lebia crux minor*.

Po obu stronach Ojcowskiego zamku, brzegi Prądnika zarasta gęsto podbiał, a raczej lepieźnik (*Petasites officinalis*), na którego szerokich liściach żyje dosyć tam pospolity owad *Molytes fuscomaculatus*, największy u nas gatunek wołków (2). Wstępując na lesiste góry znalazłem rzadkiego w naszych stronach sprężyka *Corymbites haematodes*; na polanach znajdowałem maleńkiego gryczana, *Homaloptia ruricola*, którego nie widziałem w okolicach Warszawy. Nigdzie nie spotykałem tak często pręgowanego zmrożyka czerwonego (*Cryptocephalus bipunctatus* var. *lineola*), ani osobliwszych odmian zmiennego (*Cryptoceph. variabilis*) na głogu.. Na zwyciężyjadzie (*Cynanchum vincetoxicum*) pod skałami

(1) W Izys Okena, z r. 1840

(2) Gdy nastąpiło potem (d. 23 lipca 1854) burze i ulewy zszorowały miejsca tą rośliną zarosłe; nie można już było ani jednego wołka znaleźć.

rosnącym, łowiłem wysmyki bladonogie (*Dasytes pallipes*), gatunek nie wszędzie się znajdujący; a w prochu liści zbutwiałych, wypełniającym szczeliny pomiędzy skał cyplami, pierwszy raz zdarzyło się mi wygrzebać rzadki drobny gatunek chrząszczów krótkopokrywych: *Phloeobium clypeatum*.

W Potoku pierwszy raz znalazłem większego świetlika, *Lampyris noctiluca*, samca, lubo przekonałem się później, że ten gatunek jest i koło Warszawy, a mianowicie w parku rozkosznego Natolina, gdzie i samice bez trudności znajdowałem. Samiec tego gatunku ma punkta świecące daleko mniejsze, niż zwyczajny u nas świętojański robak (*Lampyris splendidula*). Jednego dnia (18 września) chodząc po okolicznych polach w Potoku, trafiłem na chwilę przemieniania się omarlicy krawędziściej (*Silpha carinata*) w dojrzały owad, który zrazu był biały, i w tym stanie w spirytusie go zachowałem. Zwiedziłem tego dnia kilka gaików rozrzuconych na polach, opodal od lasu i znacznie odległych od siebie, a w każdym na to samo natrafiłem zjawisko, lubo omarlica wymienionego gatunku należy do owadów rzadszych. Odbywała ona przemianę we mchu pomiędzy krzakami. Czarna skóra, którą zostawia, a która dotąd szerokiej poczwarcie służyła, zciągnięta jest zawsze w jednakowy sposób, bardzo charakterystyczny, lecz tylko rysunkiem objaśnić się dający (1). W Potoku nie jest rzadki na dzikiej róży pod lasami zmrożyk o dwunastu kropkach (*Cryptocephalus 12-punctatus*). W tamecznym ogrodzie, pomiędzy liśćmi zwyczajnego jastrzębca (*Hieracium pilosella*), gołe piaszczyste wzgórze gęsto zarastającego, znalazł się d. 4 września bardzo rzadki tarczyk, *Cassida lucida Suffr.* (2).

(1) Szeroka, płaska i strzępiasta gąsienica tego owada, ma ciało złożone ze 12 działów, coraz ku tyłowi węższych i z obudwu stron po 10 ostrych strzępków w tyłzwróconych, tudzież parę ogonowych prątków (*styli caudales*) na dziale przedostatnim. W wyleni, którą chrząszcz zostawia, działły te powsuwane są jeden w drugi, przez co wyleń od tyłu kończy brzeg tylny najszerszego działu: z innych pochowanych, sterczą tylko zbliżone wierzchołki strzępków, tudzież prątki ogonowe, co tej wyleni nadaje podobieństwo do jakiegoś gatunku karaczana. Od spodu wyleni wisi wolno zewłoka z nóg i rożków.

(2) Znalazienie go winien jestem panu Domaradzkiemu, tam podówczas mieszkającemu.

We mchu wodą opłókiwanym, stanowiącym malownicze wysepki przy źródle Zygmunt w Potoku, a które tam powstają przez spotykane się strużek oddzielnych, wynikających każda z innego podskalnego źródelka, w wielkiej ilości znalazłem ciekawy chrząszczowaty gatunek *Elmis aenea* (*Limnius aeneus* Illig.), (1) i niemniej licznie inny, krótkopokrywy *Lesteva bicolor* Erichs. Gatunki tego drugiego rodzaju w podobnychże miejscach znajdować musiał Erichson, który mówi (*Gen. et spec. staph.* p. 855): „indigenas praecipue in muscis rivulorum affluvie humidis observavi.” Znalazłem również obficie ten sam owad nad sadzawką św. Stanisława przed kościołem na Skalce w Krakowie, i tylko z tych dwóch miejscowości w zbiorze go moim posiadam.

Gdy odwiedzałem sławne źródło przerywane pod Ostrzeżnikiem, woda tego roku nie płynęła z niego, a źródło ukazało się mi tylko w kształcie studzianki napełnionej wodą stojącą, w której różne dawały się widzieć pływacze (*Hydrocanthari*). Sięgnąłem po kilka i postrzegłem gatunki dla mnie nowe. Rzecz dziwna: w monografii p. Aubé wszystkim za ojczyznę wskazane są najbardziej południowe Europy kraje. Najpierwszym był *Hydroporus marginatus*, gatunek, który p. Aubé znalazł tylko z południowej Francji, Włoch i Hiszpanii: dokładnie go opisał, lubo mógłby był jeszcze dodać do cech dwie linie żółte, przy mocnym powiększeniu owada widzieć się dające w głębi jego pokryw, odpowiednie dwóm na każdej rzędem nakłóc, czyli kropeczek, a ciągnące się od samego szwu poprzecznego przez całą żółtość pokrywy i przez część czarność, w którą zachodzą i nikną przed dojściem do środka pokrywy. Z większych jednym był *Agabus biguttatus*, a prędziej *melas* pana Aubego, zatem albo z Sycylii, Włoch, Hiszpanii i południowej Francji, albo z Morei (pag. 169), ale bez żadnego śladu plam apikalnych, które też u tych gatunków często znikają; drugim niezaprzeczenie *Agabus ni-*

(1) Gistel, niemiecki entomolog, przytacza w dziele swém niedawném (1856) *Die Mysterien der europ. Insectenwelt* (pag. 162), i inny tychże owadów gatunek, który *Elmis paradoxa* nazwał i który znalazł w źródłach termopilskich, gdy Grecją zwiędzał.

gricollis (Aubé pag. 159 pl. 19 fig. 4). Ale Aubé nie dość szczegółowo opisał tułów tego ostatniego. U niektórych osobników tułów ma tuż przy brzegu przednim, w jego kierunku ciągnącą się ryse, jakby z nakłóć bardzo blizkich siebie złożoną; lecz u wielu innych cecha ta jest bardzo zatarta, osobliwie na środku, gdzie niekiedy i całkiem niknie. Na tylnym brzegu czarnego tułowu, lecz tylko naprzeciwko stanika, przebija często wyraźna czerwoność czyli brunatność. Pokrywy są czasem całe orzechowe, z rozpościerającymi się na środku przestrzeniami (*plagae*) czarnymi, kształtu nieoznaczonego: przestrzeń na jednej nie równa ani wielkością, ani kształtem przestrzeni na drugiej. Często są dosyć ciemne, ale przy podstawach, ponad szwem poprzecznym zawsze jasne. Dwie plamki poza środkiem są u niektórych bardzo wyraźne; u niektórych prawie znikają, lecz u żadnego z moich osobników nie widzę dwóch drugich plamek (apikalnych); najmniejszego nawet śladu ich nie dostrzegam. Co do wielkości, są indywidua o cały milimetr mniejsze. Aubé naznacza za ojczyznę gatunkowi temu południową Europę i północną Afrykę, tudzież Rosyją i Turcyą Azyatycką.

Gdyśmy do Potoka przybyli, na każdej niemal drożynie któraśmy udawali się koło lasu, przechodziła tak rzadka koło Warszawy gąsienica wielkiej rusałki, liściem osiny żyjąca. Niebawem ukazywać się zaczął i sam motyl (*Limenitis populi*). Nie ma nic bardziej żywego, jak gdy ten największy z naszych motylów dziennych, w dniu czystej pogody letniej, powita zwyczajem w swoim rodzaju przybywającego nad las człowieka: szeroko lotem go okrąży, siądzie mu tuż przed oczy i pławi w słońcu swoje tak mile upstrzone skrzydełka; zdaje się iż pewny jest że przypatrzeć się mu przybyłem, gdy tymczasem myśl moja gubi się w niepojmowaniu celu, na jaki przyroda wydała ten pstry płatek tak rozmaicie rządzący się wolą swoją.

Motylów niewiele w podróży naszej zdobyliśmy, mając ciągle na owady innych rzędów zwróconą uwagę. W dolinie Ojcowskiej spędza się ponad Prądnikiem *Hip-*

parchia sibilla (1) i smutny *Satyrus stygne* (2). Ostatni odznacza się lotem ciężkim; mimo to bardzo stroni od człowieka, troskliwy aby go nie wydały czarne skrzydełka, któremi z pewną trudnością włada. Dlatego, spędzony niedługo leci, i znowu spokojnie usiada na listku krzewiny lub wysokiego ziała nadwodnego, jak w pochmurne dni tylko czynią inne motyle dzienne.

Na skałach Ojcowa spotyka się często osobliwego motylka nocnego *Nudaria senex* z wółprzezroczystymi skrzydłami, a który widać do skalistych tylko miejsc jest przywiązany. D. 23 lipca złapałem go na skale: siedział na mchu ościelającym głazy, i był jakby martwy, zdrętwiały; dopiero za przebicciem śpilką ruszać się począł. D. 24 tegoż mies. widziałem jak samica takiego niosła na skale jaja, każde na osobnym włosku osadzone, prawie jak w rodz. złotooków (*Chrysopa*), ale włoski nie idą równolegle do góry, lecz rozmaicie krzyżują się z sobą, tworząc tym sposobem kosmyk przytwierdzony do skały, w małym jej wydrążeniu. Znajdowałem potem i więcej takich motylków. Trzymają się one tam, gdzie skała od spodu jest głęboko podcięta i jakby pieczarę tworzy. Pod nią, to jest u sklepienia, siedzą te motylki nieporuszone; obierają zaś to siedlisko dlatego, ażeby deszczu uniknąć. Tamże się one i niosą.

Znajdowałem, szczególnie w dolinie Sąspowskiej, mnóstwo dosyć rzadkich pszczoł powtórnego wylęgu, jak np. *Andrena barbarea* Panz. a którą na początku wiosny zdarza mi się i około Warszawy znajdować. Ztamtąd mam także dwa piękne gatunki *Cimbex fasciata* i *Cimbex obscura*, koło Warszawy nieznanne. Idąc raz (24 lipca) doliną Sąspowską, natrafiłem na jedną ze skrajnych jodeł lasu. Jej pień pokaleczony, obłany żywicą, okazywał zanędnienie drzewa. Zatrzymałem się ujrawszy tam liczne okazy niepospolitego u nas trzpiennika, *Sirex spectrum*, same samice, lecz w różnych, bardzo od-

(1) Histoire naturelle des Lépidoptères ou papillons de France par Godart, cont. par Duponchel. *Petit Sylvain* fig. 3 pl. 6 secund. i ze strony odwrotnej fig. 1 pl. 6 tert.

(2) Tamże; samiec taki jak fig. 2 pl. 14, to jest na górnej powierzchni tylnych skrzydełek mający trzy oczka drobne nie wśród plamy pomarańczowej, tylko bezpośrednio na czerności skrzydeł.

miennych wielkościach. Tak one głęboko w to drzewo świder swój pozapuszczaly, że nie mogąc go wyciągnąć, pozdychały na miejscu, i poschły nieżywe w położeniach nader szczególnych, powykręcane wpół ciała. W wielu miejscach tkwiały same tylko świdry; zapewne owad do nich należący, urwany już został przez ptaka (dzięcioła albo kowalika). Znalazły się jednak na tém samym drzewie i żyjące indywidua, ale same tylko samice. Lecz, co najwięcej mnie ucieszyło, to widok w tém towarzystwie owada, jaki mi jeszcze nigdy się nie trafił, a który, niby gąsienicznik, do innej przecież rodziny się liczy: *Ibalia cultellator*. Jedento z takich owadów, któremu w zbiorze nigdy dosyć napatrzeć się nie można.

Niepodobna tu wymieniać tych wszystkich, zwłaszcza drobnych pszczołowatych (*Hymenoptera*) gatunków, któremi od powrotu z Ojcowa mój zbiór się powiększył. Wielu z nich bardzobym długo, a często i nadaremnie, koło Warszawy szukał. Oprócz tylu innych, na zwyciężyjadzie pod wschodniem skał Ojcowskich pasmem, trafiło mi się ująć trzy osobniki bardzo rzadkiego pszczołowatego gatunku *Evania minuta* Fab., który insi do osobnego rodzaju *Hyptia* Illig. albo *Brachygaster* Leach, załączają, a który Stephens, entomolog angielski, zdaje się uznawać za lęgnący się pasorzytnie w dzikich persakach (*Blatta laponica* Lin.) (1). Nees ab Esenbeck mówi, że tylko raz zdarzyło się mu jednego samca znaleźć, a wyznaje, że samicy nie znał wcale (2). Od chwili kiedy w r. 1824 znalazłem jednego samca w Augustowskiem, w ogrodzie wsi Grabowa, nie spotkałem u nas tego owada, aż po 30-stu leciech w Ojcowie.

Przejdziemy do owadów z niezupełną przemianą, zaczynając od siatkoskrzydłych (*Neuroptera*). Między Częstochową a Potokiem na przeprawie przez Wartę,

(1) Zob. *Brullé pag. 527* w tomie IV, r. 1846 wydanym dzieła *Histoire naturelle des Insectes. Hyménoptères w Suites à Buffon de Roret*.

(2) *Hymenopterorum Ichneumonibus affinium* etc. tom I na końcu.

postrzegalem częściej tu niż gdzieindziej zbledniałą płaskonogą łąteczkę, *Agrion lacteum* Charp. W dolinie Ojcowskiej nad Prądnikiem, zastaliśmy tułający się jeszcze ponad brzegiem ten wyrażliwszy gatunek *Calopteryx virgo*, który swym ciemnym kolorem, skrzydełkami prawie czarnymi u samca (*alis atro-caeruleis*), tak dziwnie nadaje się do ponurój postawy lasów jodłowych i wielowiekowych murów na skale. Nawet te ważki na szklanych skrzydłach unoszące się w powietrzu, wszędzie tak pospolite latem, tyle należą do ożywienia wielkiego krajobrazu przyrody. Ta najpospolitsza *Libellula vulgata*, podczas lotu, w którym pełna jest płasów, ugadza w sam wierzchołek najcieńszego źdźbła trawy lub sterczącój u drzewa gałązki suchej, jakby tym przedmiotom pocałowanie przynosiła; czasem upodoba tam sobie: już odleci jakby igrając, już znowu powróci, zatrzyma się i niestety znowu odleci. Byłoto dnia 23 lipca nad zachodem słońca, gdy się zatrzymał w ciemnym lesie jodłowym w Ojcowie, gdzie inny z téjże rodziny owad, szklarek hakowaty (*Aeschna hamata* Charp.), latał tam i nazad wzdłuż drogi przez las idącój, jakby po mecie wyznaczonój sobie i drugi taki wzdłuż rowu przerzniętego potokiem. Wśród najuroczystszej ciszy ponurego lasu patrzyłem na ten lot do pływania podobny, trwający więcej niż godzinę, a zawsze tam i napowrót po linii prostój, w długości nie przenoszącój stu kroków. Musiało to stanowisko być szczególnie dogodnym dla niezmordowanego szklarka, który tam podczas każdego przelecenia mety trafiał może na drobniejsze owady, i te wśród lotu chwycił i pożerał. Ale trudno a często i niepodobna dociec rzeczywistój przyczyny tych osobliwych poruszeń w owadach. Jednego dnia, w końcu lipca, zaszedłszy wieczorem w najsuchsze okolice wyrębów w lesie, miałem widok niemniej zastanawiający. Zaléciała pojedynczo w to miejsce, jakby kometa, okazała jętka ze pstremi skrzydłami (*Ephemera danica* Pictet) i ponad małą przestrzenią przy ziemi obraną, bez celu i zawsze wkoło szalonym pędem latała, gdy inne przelatujące owady, jakoto muchowate i t. p. zbiegały się do niej jak wróbie do sowy. W dniu 24

lipca, na skřęcie w dolinę Sęspowską, zleciał ze skały lotem wolnym nieznanym mi owad siatkoskrzydły i skierowawszy się na dość wysokie drzewko śliwkowe, rosnące opodal w dolinie Sęspowskiej, siadł blisko wierzchołka jego. Nagiąwszy drzewko, spostrzegłem go na liściu i upewniłem się, iż to jest nieznanym w okolicach równin naszych *Osmylus maculatus*, tém pożądanym dla entomologa od ogłoszenia przez p. Leona Dufour wzorowej jego monografii anatomicznej w IX tomie Roczników nauk przyrodzonych (1). Mającemu obiedwie ręce zajęte utrzymywaniem nagiętego drzewa, niepodobna było myśleć o przytrzymaniu owada, który też wnet uleciał i oddaliwszy się zginął dla moich oczu. Żalowałem straconego nie wiedząc, że stał opodal świadek mego żalu: sprawny 12-letni chłopczyk z pobliskiego tartaka ciągle się przyglądał moim czynnościom i śmiało zapewnił, że trafi do listka, na którym spłoszony owad usiadł. Daleko odszedłem za niespodzianie nadarzoną przewodnikiem, nim ten stanął przed innym drzewkiem, które z ostrożnością nakłonił, a ja schwytałem dość nietrwożliwy owad. Jakżem się zadziwił, gdy tego samego wieczora rzeczony mój pomocnik przyniósł mi do domu jeszcze drugi okaz żywy tak pięknego a wówczas nowego dla mnie gatunku, dodając, że z drzewa go strząsnął. Cieszę się odkryciem w kraju naszym miejsca, w którym ten najpiękniejszy z rodziny złotooków (*Hemerobidae*) owad się utrzymuje, a który i Dufour w podobnych znajdował miejscach: „koło Saint-Sever, w głębokich wąwozach gór porozrywanych, wśród lasów ponad źródłami żywo płynącej wody.” Okolica Ojcowa nie wiem czego by nie przedstawiła z tej miłej rodziny złotooków: znalazłem tam bardzo piękny i jeszcze wątpliwy dla mnie gatunek z rodzaju *Chrysopa*, mniejszy niż zwyczajne i z węższymi stosunkowo skrzydełkami, a przednim ich wszystkich brzegiem, zwłaszcza w miejscu gdzie zwykle *pterostigma* (*parastigma* Charp.) leży, mocno zazielenionym. Tak rzadko u nas spotykane: *Drepanopteryx phalaenodes*

(1) *Recherches sur l'anatomie et l'histoire naturelle de l'Osmylus maculatus*, p. Léon Dufour, w *Annales des sc. nat.* tome IX de la 3me sér. 1848, pag. 344. Pl. 16, fig. 11—29.

i *Hemerobius hirtus* Fab., tam wcale nie były rzadkiemi: piérwszy na Prądniku w lesie dębowym, drugi na całym ciągu doliny tak pospolity, że codzien dostawałem go po kilka okazów w różnej piękności odmianach.

Od 5 sierpnia drobny psotnik skrzydlaty, bardzo blizki gatunku *Psocus domesticus*, tak we dnie jako i wieczorami wszędzie w mojem mieszkaniu w Ojcowie łąził: po papierach, książkach, stołach, pościeli i t. d. Wieczorem mnóstwo ich wpadało na płomień świecy i te potém spalone, obsypywały jakby piasek wszystkie przedmioty na moim stole. Dnia 15 sierpnia postrzegłem w jednym kącie okna u góry na szybie zebrane w rój, w którym było ich do tysiąca, tém gęściej skupione im bliżej kąta. Chodziły zwawo tam i sam, lecz nie doszedłem w jakim celu.

W Ojcowie uderza entomologa właściwa tamtéj okolicy postać wojsilki; różni się ona nietylko tém od zwyczajnéj (*Panorpa communis* Lin.), że ma mniejsze i w wielkiéj części pozacierane plamki na skrzydłach, ale nawet ciało jéj, w ogólności szczuplejsze, inaczéj jest ubarwione. Nie mając dzieła, w którém entomolog angielski Stephens poodróżniał tego rodzaju gatunki, nie nazywam Ojcowskiego, mimo, że Burmeister wszystkie te różnice za odmiany tylko jednego gatunku zdaje się uważać. W Ojcowie tameczne i zwyczajne, są równie pospolitemi.

Ktokolwiek odwiedzał malownicze źródło Zygmunt w Potoku, uderzony tam został mnogością owych sztucznych z kamyczków udziałanych pokrowców gąsienicy wodnéj owada z rodziny chróscikowatych (*phryganides*). Są wprawdzie podobne w każdéj wodzie płasko się rozlewającéj, lecz tameczne noszą na sobie cechę tak odrębną a tak stałą, że wszędzie poznane być mogą iż ztamtąd pochodzą. Jest ich w Potoku głównie dwojaki gatunek: dłuższe, walcowate, i krótsze, płaskie. Jedne i drugie złożone są z samych kamyczków kwarcowych: tamte z równych, te z nierównych. Ostatnie są rurcząką 9—10 mil. długą, 1 mil. średnicy w otworze mającą, złożoną ze zbitia kamyczków drobnych prawie jak piasek, lecz rurcząka ta staje się ciałem płaskim, bo

z dwóch przeciwnych sobie boków opatrzona jest stale sześcią kamykami większemi (jak konopne siemę), które wszystkie na jednej płaszczyźnie leżą, w parze środkowej zwykle największe. Budowa ta, do której okazania rysunek byłby potrzebny, każdego zastanowi. W drobnej gąsienicy tyle rozsądku i tyle przemysłu, że każda dobierze sobie cztery kamyki równe na końce, a dwa długie, większe na środek rurki i z nią w jedną całość je spoi, a mając się już w poczwarkę przemienić, takimże większym kamykiem jak denkiem, otwór swój rurki nakryje! Na czas niejaki przed ostateczną przemianą owada, wszystkie te rurki tak pozatykane, są przyczepione do mokrej strony kamienia, cegły, drzewa lub jakiego bądź większego przedmiotu zalewanego wodą źródlaną: często nawet jedna przyczepia się do drugiej tak, iż niekiedy dwie, trzy i więcej zwierają się ze sobą bokami na jednej płaszczyźnie. Walcowate blisko na cal długie, złożone są z kamyków mniejszych od ziarna prosa, i zadziwiają jednakowością téj mozaiki. Znalazłem raz 8 takich najmierztelniej jedna obok drugiej do płaskiego kawałka drzewa poprzytwierdzanych.

Wychodziły z tych artystycznych pokrowców i dojrzałe skrzydlate owady, z krótszych wczesniej, z dłuższych nierównie później, bo dopiero za moim powrotem do Warszawy, dokąd starałem się mokre przewieźć. Ale kto zastanawiał się nad gatunkami tego pokrewieństwa, nie zadziwi się nad moją niepewnością w oznaczeniu dwóch ciekawych gatunków z Potoka, o których tu mówię. Jest wprawdzie monografia owadów chrzączkowatych (1), a może nawet troskliwiej nad wszystkie monografie owadów wydana: każdy gatunek przedstawiająca w wizerunku i niemal każdego opisująca przemianę. Ale jakże słabe odcienia różnic pomiędzy tak licznymi np. na tabl. XVI gatunkami? Piktet nie wykazał ich należycie. Podług niego gąsienice wielu wodosówek

(1) *Recherches pour servir à l'histoire et l'anatomie des Phryganides*, par François Jules Pictet Genève, 1834, in 4to, dzieło wydane jak wiadomo funduszem, który sławny chemik Humphrey Davy zostawił w Genewie na wydanie tam uznanego za najlepsze dzieła w przedmiocie nauk przyrodzonych, przez Genewczyka napisanego.

robią z początku pokrowce z innych materyałów, a dopiero gdy poczwarkami stać się mają, zamieniają ten materyał na kamienie. Widać i to z jego badań, że rodzaj materyału nie idzie stale za gatunkiem, który z tego buduje co w swojej wodzie znajdzie; ztąd jeden i tenże sam gatunek może mieć gniazdo w jednej wodzie z muszelek, w drugiej z kamyków, w innej ze szczątków roślinnych i t. p. I nie przeczę że tak jest, ponieważ ten sam gatunek z Potoka większy, znajduję w stanie skrzydlatym i w Królikarni, gdy tam nigdy nie znalazłem pokrowców takich jak w Potoku. Obydwa gatunki w Potoku, których tu opisałem pokrowce, są bardzo blizkiemi dwóch najpiérwszych w monografii Pikteta: *Phryganea striata* i *Phr. pilosa*, i niewątpliwie należą do ostatniej sekcji w rodzaju *Limnophilus* Burmeistera, a mianowicie:

Gat. 1-szy *Limnophilus ictus*: dług. ciała 6 lin. ze skrzydłami $8\frac{1}{2}$ lin., w rozwarciu skrzydeł $16\frac{1}{2}$ linij. Różki ciemno-brunatne, piérwszy ich staw czarno-włosisty. Głowa brunatna, głaszczki czerwone, oczy czarne. Przedkarcze (szyja) kasztan. z włosami rudemi; międzykarcze na wypukłych bokach ciemno-brunatne, a na środku ma z przodu wklęsłość mniejszą, z tyłu większą, obydwie czerwone czyli jasnobrunatne z powierzchnią, na której daje się postrzegać kilka krostek. Zakarcze (*metanotum*) lśknące, ciemne jak boki międzykarcza, przedzielone od niego czerwoną marszczką poprzeczną, a na środku mające także małe wgniecenie. Odwłok czarny popielato mieniący, u samicy po uschnieniu staje się krótszy niż u samca. Nogi czerwono-brunatne, także i ich ostrogi, lecz ciernie czarne. Skrzydła brunatne, w końcach czarno przypalone, po rozłożeniu górne ciemniejsze od dolnych, które są prawie przezrocyste, zwłaszcza w dzielnicy tylnej. Przy mocném powiększeniu widać na błonach skrzydłowych niezmiernie drobne czarne włoski, nierównie gęściejsze na skrzydłach przednich, a najgęściejsze na wierzchołkach, które z téj przyczyny są czarne. Nawet na żyłkach dostrzega się rząd włosków. Żyłki najwyraźniej występują w końcach skrzydeł, mianowicie między ich brzegiem wierzchołkowym, a spólsrodkowym mu łukiem przecięć poprzecznych

i na téj przestrzeni sprawiają wejrzenie fałd podłużnych, dla nieuzbrojonego nawet oka widocznych. Żyłkowanie w głównych rzeczach nie zbacza od rodzaju. Przy wierzchołku górnego skrzydła dostrzedz można u niektórych osobników trzy coraz ku dołowi mniejsze plamy, jakby po wyschnięciu kropel cieczy tam upadłych pozostałe, przypadające każda w osobną komórkę podbrzegową (*areola submarginalis*). Zaczyna się to od komórki trzeciej, licząc od przodu, to jest wprost wierzchołka skrzydła leżącej, a w której oprócz tego przy samym rozwidleniu się żyłek które ją tworzą, leży punkt, niby wyrobiony usiłowaniem przekłócia skrzydła. Na jednym z ramion trzeciej żyłki podłużnej, blisko tego miejsca, w którym ją przecina poprzeczna, dostrzega się jeszcze miejsce, w którym błona zdaje się być przetartą a żyłka uschłą. Te dwa skaleczenia, stałą cechą tego gatunku będące, przy mocnym wpatrzeniu się, mogą być niekiedy i gołym okiem postrzeżone w kształcie białych punkcików.

Gatunek 2-gi *Limnophilus iridion*: dług. ciała $3\frac{1}{2}$ lin., ze skrzydłami $5\frac{1}{2}$, rozwart. skrzydeł 10 lin. Różki czarne, takąż głowa i głaszczki, oczy brunatne. Części tułowu nie odróżnia kolor: jest on wszędzie czarny. Na przedkarczu długie włosy złote; na górnej powierzchni międzykarcza wgniecenia prawie jak u gatunku poprzedzającego, i także z krostkami. Odwłok jak u poprzedzającego. Piszczele nóg jasno-brunatne, udy i podymki ciemne, ostrogi jasne, kolce ciemne. Skrzydła jaśniejsze niż u gatunku poprzedzającego ale także przy wierzchołkach zciemnione. Włoski na nich jasne, wyjąwszy te, które rzesowatość stanowią; gatunek ten jest blizki poprzedzającego. Główną jego cechą rozeznawczą, jest wyraźny rzędzik włosków czarnych, ciągnący się po żyłce, która ukośnie idzie od korzenia skrzydła górnego, dla zamknięcia pola czyli komórki podługowatej z ostatnią podłużną na tém skrzydle żyłką. Przy zamknięciu skrzydeł rzędzik ten włosków stanowi cyliaturę daszkowatego grzbietu chrościka, jak to wyobrażone jest np. *Pl. VI, 1 fig. d*, i *Pl. XI, fig. 10* u Pikteta.

Nad Prądnikiem w Ojcowie, znalazłem we dwóch okazach ciekawy owad do téjże familii chrościkowatych

należący, z różkami o 40-stu drobnych stawach, a wielkim najpierwszym niezmiernie włochatym. Byłby to *Trichostomum capillatum* Pikteta i Burmeistera, z którym się zgadza w kolorze, wielkości i kształcie; lecz gdy widzę u samca włochate głaszczki zupełnie inaczej zakończone niż pomienieni dwaj autorowie naznaczyli (bo raczej jak w rodz. *Mystacida*), ostateczne rozstrzygnięcie jego znaczenia czasowi jeszcze zostawić muszę,

A przejdę do prostoskrzydłych owadów (*Orthoptera*). W Potoku poznałem karaczana plamistego (*Blatta maculata*), równie pospolitego w okolicach międzyleśnych koło Rajgroda, lecz który mi nigdy nie dał się widzieć w okolicach Warszawy. Karaczan plamisty, w Potoku bardzo pospolity owad, żyje pomiędzy suchymi liśćmi, pod każdym niemal krzakiem na polu, a osobliwie u stóp sosen rozrzuconych na jałowym gruncie. Wszystkie jego stany: gąsienice w różnych wzrostach i ich wyleń, półpokrywe samice często z tłómczkami jaj przy tyle, i całopokrywe samce, wszystko to, w jednym czasie i miejscu znaleźć tam można. Połyskująca czarność tego gatunku czyni go osobliwym dla oka, przyzwyczajonego samą oliwkowość widzieć w pobratymczych gatunkach. Już małeńkie, ledwie pełny wielkość przechodzące, łatwo ztąd poznawać, że są w przedniej połowie ciała oliwkowe, w tylnej czarne.

W liściowém próchnie, wypełniającem szczeliny skał w Ojcowie, utrzymuje się gatunek skorka, u Fischera nazwany *Forficula acanthopygia*, równie jak i w Biełańskim lesie koło Warszawy, pospolity. Zapewniono mnie, że na przestrzeni piasków ciągnącej się od Olkusa ku Rabsztynowi, utrzymuje się, równie jak i na zaspach za Pragą koło Warszawy, wielki biały skorek, *Forficula gigantea*, i lubo go nie mogłem tą razą znaleźć, nie wątpię jednak o prawdziwości podania.

Ale żaden rodzaj prostoskrzydłych owadów nie zajął mnie tyle w Ojcowie, co tak nazwane u ludu naszego pasikoniki (*Locusta*), bo nigdzie jeszcze w kraju takiej ich różnorodności nie widziałem. Są to te pomiędzy koników, czyli szarańczy, u których włoskowate różki przenoszą długość ciała, i których samice mają tył uzbrojony

pałaszem (*Ovipositor* Fisch.). Na równinach naszych, wszędzie obok siedlisk wiejskich, znajomy jest pasikonik zielony (*Locusta viridissima* i *L. cantans*) i konik pstry (*Decticus verrucivorus*), gatunki wielkie, któremi się często dzieci wiejskie bawią, i które pod koniec lata i w jesieni, usadowiwszy się na drzewie, krzaku lub w ziołach wyższych, wydają ów znany przeciągły głos cierkania, z różnych punktów ogrodu do naszych uszu dochodzący. Lecz między lasami, a zwłaszcza w górach, utrzymują się inne ich gatunki wprawdzie mniejsze, ale liczniejsze i rozmaitsze.

Te pasikoniki małe są zwierzętami nader łagodnymi i spokojnymi; niektóre na całe życie bezskrzydłymi zostają, inne otrzymują jedynie początki pokryw i skrzydeł. Nie latają zatem: całym ich ratunkiem w niebezpieczeństwie jest tylko wykonanie łagodnego na długich tylnych nóżkach skoku, którym wypadają z rąk na roślinę i nikną, z jej zielonością swoją zmieszawszy. Niektóre zastawać można pod wieczór na takiej roślinie, która nawet nie byłaby zdolna ukryć ich dla braku liści. *Odontura serricauda* siedzi czasem na wysoko wybujałym, lecz jak słomka cienkim i gołym pręcie jakiego *Hieracium* albo na *Statice* tuż pod kwiatem i zawsze w parze, jedno od drugiego nie dalej, jak ażeby się długimi różkami włoskowatemi sięgnąć zdołały. Co wieczór odwiedzałem raz taką parę u podnóża skały niedalekiej od mieszkania mojego, pragnąc uważać codzienny wzrost i przemianę zwierzęcia; co wieczór zastawałem ją na miejscu. Jednego razu ośmieliłem się wziąć ostrożnie konika do ręki, lecz niebawem i oddałem go rozerwaną parze. Następnego wieczora nie zastałem już koników. Długo ich nadaremnie szukałem. W kilka dopiero dni, kiedym się wdarł na wierzchołek téj skały od przeciwnéj jéj strony, z której się las ciągnął, poznałem tę samą parę na innéj tegoż gatunku roślinie. Owéj nocy po zaniepokojeniu przeze mnie cichéj koników pary, musiała ona po przykréj i prawie pionowéj ścianie skały, od jéj podnóża na sam wierzchołek przewędrować. Poruszył mnie ten wypadek, bo zgoda i miłość tych par, w odległości jedna od drugéj żyjących, nie wiem w kiloby szacunku dla nich

nie obudziła. Gatunku *Ephippigera vitium* nie śmiałem zabierać więcej nad jedną parę do zbioru mojego, a i tę zalem opłaciłem, gdy nocy jednej usłyszał do świerszczowego podobne, lecz nieporównanie cichsze zacierkanie przybitej śpilką do ściany mego mieszkania. Nie wielki też i pożytek z nich miłośnik owadów odnosi. Prawie zawsze utracają nogi tylne, które im do skakania służą. Wpuściłem raz jednego do flaszki dorzuciwszy i nogę, która przy wpuszczaniu w palcach mi została, w zamiarze przyprawienia jej potem do okazu: ale jakżem się zdziwił, gdy za powrotem do domu nie znalazłem ani śladu nogi. Konik zjadł ją przez drogę, nie zostawiając i szczątka. Prawie wszystkie przez wyschnienie utracają barwę po zgonie i tak się marszczą, że nawet kształt się ich do niepoznania odmienia. Dlatego tu załączam opisy gatunków na miejscu z osobników żywych pobrane, lubo nie wiele dodać dziś można do ich opisów w dziele, które Europa niemieckiemu badaczowi Fiszrowi zawdzięcza (1).

Ephippigera vitium Fisch. Samiec większy, samica mniejsza: dług. samca 21 mill. samicy 16 mill. prócz pałasza. Dług. różków 38 mill. Zielony, twarz (*facies*) jasno-zielona, w końcach prawie biała: różki czarne, w dolnych grubszych stawach brunatne. Oczy niebieskawe, wierzch głowy tej samej co twarz zieloności, lecz od tyłu, w części która się w tułów chowa, głęboko-czarny. Tułów kabłkowaty (*pronotum selliforme* Fisch.) nie w kształcie klapy, lecz cały zachyla się na boki, zielony, brzegi boków szeroko żółte: brzeg przedni i tylny czerwono-brunatne, osobliwie tylny ma tę czerwoność szeroko zachodzącą, i zdaje się jakby przypalony. Powierzchnia tułowu pomarszczona, w tylnym brzegu groszkowana (*chagrinée*). Tułów tylnym brzegiem bardzo do góry odstaje, z pod niego wychodzą listkowate początki pokryw, zrazu bardzo krótkie i prawie pod nim się kryjące, głęboko czarne z białą wąską obwódką,

(1) *Orthoptera Europaea, auctore Leop. Henrico Fischer etc. Lpsiae* 1853 in 4to, dzieło klasyczne, z którego i nomenklaturę bierzemy do gatunków naszych.

a potem rozwijające się w kapturki takie jak u następnych gatunków, brunatne z brzegiem bocznym żółtym. Odwłok w połowie sierpnia, jest u samca wielki, u samicy ledwie pół tej wielkości mający, ale potem u obu dwu płci staje się wielki, pękaty, zawsze miękki, zwierzchu jasno-zielony bez połysku (zamglony), osobliwie u samca; tylne brzeżki jego działów czarne, lecz zaraz potem żółtawo-zielone. Patrząc na wierzch odwłoka wprost, postrzega się cień pośrodkiem jego biegnący, jakby linia, co pochodzi ztąd, że każdy dział na środku jest przegięty. Spód odwłoka jeszcze jaśniej zielony, a tę dolną od górnej jego powierzchni oddziela szeroki pasek żółty, będący dalszym ciągiem podobnej żółtości na bocznym brzegu tułowiu. Na samym brzuchu biegną z boków dwa rzędy wielkich plam prostokątnych żółtych, a pomiędzy nimi dwa inne plamek trójkątnych, zbliżone ku sobie i na środek brzucha przypadające. Ale u samicy, u której odwłok jest na brzuchu bardzo wąski, wszystko to zbliża się ku sobie tak, iż w miejscu bocznych plam prostokątnych, są tylko brzeżki marszczek żółte, a rzędy plam pośrodkowych zlewają się w jeden. Sztyleciki boczne (*cerci* Fisch.) bardzo krótkie, stożkowate, u samca mają na wewnętrznym boku sęczek czyli kolec (*mucro* Fisch.). Pałasz samicy bardzo długi (17 mill.), nieco dłuższy od całego ciała, przy podstawie biały, dalej aż do końca czarny, z boków przebrószczony, prawie prosty. Nogi płowe, w częściach grubszych zielono-napuszczone. O ile u następnego gatunku samica większa jest od samca, o tyle u tego samiec przewyższa samicę. Gatunek ten poruszając listkowatemi pokrywami, wydaje ciche świerczenie.

Odontura serricauda, tej wielkości co *Thamnotrizon cinereus* lecz grubszy, osobliwie samica (20 mill. prócz pałaza długa). Dług. różków 42 mill. Zielony, ma bardzo długie brunatne różki z białymi obrączkami, w odległości kilku milimetrów jedna od drugiej, przez co się zdaje jakby złożone były ze stawów tak długich jak te odległości. Twarz jednostajnie niebieskawo-zielona. Oczy czerwone, zaraz za nimi idzie do tułu-

wu pasek od dołu czarny, od wierzchu żółty. Pasek wąziutki czyli kréska żółta ciągnie się wzdłuż tyłu czyli wierzchu głowy. Tułów wązki i krótki: zwierzchu idzie przez jego środek ta sama co na głowie kréska pośredkowa, a z boków odgranicza klapy ta sama co za okiem, i także od dołu czarna, od wierzchu biało-żółta. U samca zpod tułowu wyrastają także początki pokryw, tak długie jak tułów a węższe od odwłoka, kapturkowato lewa zachodzi na prawą, obiedwie żółte z czarnym przewróconym znakiem przecinka ' na środku. Pod temi pokrywami z boków dostrzedz się daje biały szponik: jestto rudyment skrzydła. U samicy są także te początki pokryw, ale krótsze od tułowu i zielone, a brzeg ich zewnętrzny żółty, wewnętrzny szary, i lewa nie cała leży na prawej, lecz tylko szarym brzegiem zachodzi na nią, przez co ta szarość na sam środek wypada. Odwłok bardzo obszerny, szczególnie u samicy; od spodu jasno-zielony, na przetchlinkach żółtość przebija, a środkiem biegnie rząd wielkich plam sześciobocznych żółtych; od wierzchu ciemno-zielony, u samca lśkniący, pod pokrywami czarny, u samicy bez połysku. Brzegi tylne każdego działu jaśniej zielone z rzędem ciemnych kropeczek. Boczne sztyleciki przytulają się do ciała, są brunatne albo różowe, dosyć twarde, u samca w połowie zakrzywiające się ku wewnątrz a potem do góry, i temi zakrzywieniami przytulają się do końca odwłoka, poniżej odchodowego otworu; u samicy szponowate, ku ciału nakrzywione. Pałasz samicy, około 7 mill. długi, jest szeroki, osobliwie przy początku, dalej nieco się zwęża a potem ku wierzchołkowi znowu się rozszerza, z samym wierzchołkiem szerokim, naokoło, to jest od góry i od dołu, ostro-ząbkowanym. Jest on zielony, lśkniący, na boku ma parę rowków. Nogi delikatne, zielone, dwóch pierwszych par udy brunatnawe. Na zewnętrznym boku zielonych udów nóg tylnych, biegnie rząd ukośnych kreseczek czarnych. Na piszczeli najpierwszej nóg pary, tuż przy kolanie, w niejakiem jej rozszerzeniu, leży czarne znamię (*tympanium* Fisch.), od przodu i od tyłu bardzo wyraźne. Podymki brunatnawe, z końcami niektórych stawów i pazurkami

czarnemi. Ten gatunek mieszka samotnie, zwykle parami, na wierzchołkach skał drzewami zarosłych, i siedzi na liściu lub gałęzce drzewa, szczególnie jabłoni dzikiej, leszczyny i t. p.

Odontura albovittata: mniejszy od wszystkich pasikoników, nogi ma długie a nadzwyczajnej cienkości. Dług. 52 mill. dług. różków 42 mill. Zielony, prawie bez połysku, przez lupę ma na całym ciele rozrzucone czarne kropeczki, na udach nóg najgęściejsze. Twarz jednostajnie jasno-zielona. Oczy brunatnawe, zwłaszcza w wierzchołkach. Różki brunatne, lecz każdy ich staw z białą obrączką, co je pięknymi czyni. Czoło uzbrojone guzem stożkowatym, czyli rogiem (*tuberculum superius* Fisch.), pomiędzy podstawą różków sterczącym. Na wierzchu głowy wzdłuż linijka biała, tylko przez lupę widzialna. Zieloność wierzchu głowy przechodzi w brunatne, a przez lupę widać kropeczki ciemniejsze. Tułów cały (nie w klapy) obgięty, bardzo wąski, zielony z czarnymi kropeczkami przez lupę. Środkiem górnej jego powierzchni wzdłuż biegnie linijka żółtawa, przez lupę tylko widzialna, a niekiedy po bokach niej od przodu białe, półksiężycowate centki. Brzegi boczne tułowu szeroko białe, tylny nieco odchylony, rzędem brunatnych kropek odznaczony. Zpod tułowu wychodzą listkowate początki pokryw, brunatne, w środku ciemniejsze, jakby zgniecione; lewa zakłada się na prawą lecz nie okrywa jej całkowicie: u samicy prawie kryją się pod tułowem. Odwłok zielony, u niektórych osobników na bokach brunatnawy, u innych czarny, za czym zaraz następuje białość odgraniczająca górną powierzchnię od dolnej i będąca przedłużeniem białych brzegów bocznych tułowu. Na samym brzuchu są jeszcze cztery białe pasy: dwa boczne szersze, dwa środkowe zbliżone do siebie. Są to białe marszczki brzucha. U samca, u którego odwłok jest daleko węższy, tych dwóch środkowych pasków białych nie ma. Sztylciki boczne brunatne, prosto w tył idące: u samca dłuższe, z wierzchołkiem szponowato w górę zakrzywionym, u samicy krótkie, stożkowate. Pałasz samicy bardzo osobliwy, łodkowaty, krótki ale szeroki, łuko-

wato w tył zawrócony, tak bardzo z boków spłaszczone, że patrząc wprost na jego krawędź górną, zdaje się być włosem. Jest on przy podstawie nadęty, a potem nadzwyczaj się spłaszcza: zielony, z brzegami i wierzchołkami brunatnymi. Jego łukowaty brzeg spodni jest jak piła ząbkowany: brzeg zaś górny prosty, ma ząbkowatość tylko przez drobnowidz widoczną. Cieniutkie nogi są zielone, przez lupę kropkami czarnymi zasiane. Gatunek ten żyje na pochyłościach skał, na liściach różnych ziół i krzewów, lecz nadewszystko ulubioną mu rośliną jest *Cynanchum vincetoxicum*. Nie rzadko znajduje się jego odmiana, osobliwie samiec, u której na bokach odwłoka działają są czarniawe; u takich koloryt wszystkich części jest wyraźniejszy, nawet obrączkowanie różków bardzo wpada w oko.

Meconema varium: dług. ledwie 10 mill. prócz pałasza samicy; dług. pałasza 7 mill. dług. różków do 36 mill. Jestto gatunek skrzydlaty. W połowie sierpnia osiągnąwszy już wzrost ostateczny i początki pokryw, zrzuca poraz ostatni wyleń (białą) i staje się skrzydlatym. Cały jest blado-zielony, tylko przez tułów i odwłok ciągnie się na wierzchu paseczek żółty. Różki żółte, w pewnych odległościach, ale krótszych i jednostajniejszych niż u gatunku 2-go (co trzy millim.), czarno-obrączkowane. Twarz blado-zielona, z wargą białą. Głaszczki delikatne, pierwsza ich para (*maxillares*) bardzo długa. Oczy perłowe, z czarnym punktem. Wierzch głowy pomiędzy różkami, w cienki nadrostek, jakby róg (*tuberculum superius* Fisch.) naprzód skierowany, z wierzchołkiem żółtawym. Tułów siodełkowaty; na tylném jego przedłużeniu, po obu stronach kreski pośrodkowej żółtej, są aż do brzegów pola brunatne, a nad niemi, po jedną i drugą stronę, czarny przecinek. Odwłok od spodu żółtawo-biały, czterema lub pięciu wielkimi łuskami, rzędem ułożonymi, zamknięty: u samca długi i prawie równowąski. Za tym rzędem łusek idą jeszcze u niego cztery, po in-szej, niższej płaszczyźnie biegnące, odmiennego koloru. Zakończenie odwłoka u samca jest osobliwe. Nie jest on, jak u innych gatunków, kończący lecz ścięty (*trun-*

catum), a ostatni dział jego kończy się u góry klapą rogatą (*lamina supraanalis* Fisch.); z boków ma sztyleciki górne (*cerci*) nadzwyczajnie rozwinięte, idące w tył, potem zakrzywione do góry i ku sobie podane. Sztyleciki spodniej pary (*styli* Fisch.) są małe, stożkowate. Boczne sztyleciki u samicy są krótkie, nożowate. Pałasz samicy gładki, na bokach jego ciągnie się wążka brzoza, blisko spodniego brzegu. Kształt pałacza najbliżej przystępuje do kształtu tejże części u *Ephippigera vitium*, tylko bardziej łukowaty. Wszystkie części tego gatunku, nawet najdelikatniejsze, jak różki, głaszczki, sztyleciki boczne i t. d. okryte są bardzo delikatnymi włoskami. Pokrywy i skrzydła nieco krótsze od ciała, są pełne zielonych, jak na liściu, żyłek, gęściejszych na pokrywie niż na fałdowanym skrzydle. Ten gatunek żyje tylko na drzewach: na buku i na dębinie. Samce jego rzadszymi są od samic. Jest on i koło Warszawy, na dębach, a nawet i w Saskim ogrodzie na kasztanach. Gdy w jesieni liście z tych drzew spadać zaczęły, i on z nimi spadły, usiłując potem wrócić na drzewo, na jego pniu spostrzegać się daje.

Thamnotrizon cinereus (*Decticus apterus* Burm.): dług. 18 mill. dług. różków 24 mill. Szary: twarz bardzo ciemna, na środku między oczami (na nosie) biała kropka. Czoło szare, między różkami dwie czarne plamki, które przegradza kresa biała, ciągnąca się przez cały tył, to jest wierzeh głowy. Na bokach czoła, nad samą nasadą różków biała, jak na nosie, kropka czyli guzik, wszystko łskniące. Siodło tułowu zwierzchu szare z cieniem podłużnej rdzawej pręgi środkowej, na bokach bardzo ciemno brunatne czyli czarne, która jednak czarność końca klap nie-dosięga; tyłny tego siodła brzeżek biały. U samca zpod tyłu tułowu wychodzą początki pokryw, zrazu ciemne, dalej jasne, prawie białe. Są one zamienione w rodzaj kapturków, tak szerokich jak odwłok na którym leżą, a pół długości tułowu mających. Lewy wchodzi na prawy i niemal całkowicie go nakrywa. U samicy w miejscu tego są tylko małe listki, leżące na bokach odwłoka i nie stykające się z sobą. Odwłok z boków ciemno-szary,

prawie czarny, spodnie brzeżki działów białe; spód pięknie żółty: wierzch u samicy jednostajnie jasno-szary, u samca tworzy pas szarawy; na środku każdego działu po dwie czarne kropki. Boczne sztyleciki szare, blisko na 2 millim. długie. Pałasz samicy krzywy, szeroki, 10 mill. długi, na bokach przerowiony, szary z końcem czerwonym. Nogi szare, ciemno-upstrzone. Udy tylnych przy podstawie wierzchu czarne, na zewnętrznym boku także czarne, którą czarność do połowy uda sięga. Długie piszczele tych nóg są szare z czarną plamką, w odległości milimetru od kolana, z tyłu, to jest z wierzchu leżącą. Ten gatunek znajduje się i koło Warszawy pod lasami (za Pragę) na krzakach dębowych, z których spłoszony spada na ziemię i ukrywa się w suchych liściach, trudny do rozeznania pomiędzy niemi, jako ich kolor mający.

Decticus bicolor: dług. ciała 16 do 18 mill. dług. pałasza samicy 7 mill. dług. różków 20 mill. Twarz ciemno-brunatna, na czole pomiędzy różkami okrągłe w kształcie kropki piętno białawe. Górne głaszczki (*palpi maxill.*) brunatne, w stawach i na zgrubiałym wierzchołku czarne, sam wszakże wierzchołek ich biały. Oczy prawie czarne. Różki szczeciniaste są nie bardzo długie, dłuższe jednak nieco od ciała, bardzo ciemne, wyjąwszy pierwsze ich stawy od korzenia, które są jaśniejsze. Czoło i wierzch głowy zielone, z boków nad oczami czarne, a na granicy téj czarności, nad różkami leży w niejakiem zagłębieniu białe piętno okrągłe, podobne temu, które jest na czole. Na tyle tejże czarności, od oka ku tułowowi, ciągnie się biały łuczek czyli kréśka. Górna zieloność głowy stanowi pas, na którym przebija ślad dwóch pośrodkowych pasków czyli krések, lecz bardzo niewyraźnych, wyjąwszy od tyłu, gdzie niekiedy bywają wyraźne i czarne. Tułów siodełkowaty, wierzch jego stanowi pas zielony, jakby przedłużenie tego, który jest na głowie; nawet ze śladem pośrodkowych linii brunatnych: klapy są czarne czyli ciemno-brunatne, z tylnym brzegiem dość szeroko białym. Odwłok brunatny, z wierzchu jaśniejszy niż na bokach, a po tym jaśniejszym wierzchu biegną cztery rzędy kropek

ciemnych, po cztery na każdym dziale, lubo podobne kropki, acz niewyraźne, dają się i na bokach postrzegać. Brzuch zielony, z pojedynczego rzędu dużych łusek złożony. Górne boczne brunatne sztyleciki samca, są z gałęzią (*dens* Fisch.) od wewnątrz, która u samicy jest tylko brodawką. Sztyleciki dolne samca, jaśniejsze co do koloru, są stożkowate. Pałasz samicy, przy podstawie zielonawy dalej ciemno-brunatny, jest łśniący, dość szeroki, bardzo kończaty, z głębokim przebrożdżeniem na bokach: kształtem najpodobniejszy do tego organu u *Thamnotriz. ciner.* Nogi brunatne z ciemnymi na częściach grubszych kropkami. Na udach nóg tylnych, zielonych od spodu, czarny szeroki pas, zewnątrz dłuższy, wewnątrz skrócony. Pierwszy staw tylnych podymków ma z obu stron listkową przysadkę ruchomą (*plantulae liberae* Fisch.). Gatunek ten jest skrzydlaty: jego pokrywy, u samca ze zwierciadłem (*areola specularis* Fisch.), są na środku brunatne, po brzegach zielone; u samca mniej zieloności téj mające, ponieważ u niego zwierciadło jest brunatne. Górna zieloność pokryw samicy, stanowi trójkąt ostrokątny, przewrócony. U niej na brunatnych miejscach pokryw okazuje się dążność do takiego upstrzenia jak u *Decticus verrucivorus.* U tego gatunku pokrywy i skrzydła tylko do połowy ciała dochodzą, ale znalazłem jedną samicę z pokrywami i skrzydłami najzupełniej rozwiniętymi, sięgającymi wierzchołkiem prawie końca pałusza. W takim stanie zieloność górna pokryw dalej się przeciąga niż dolna, lecz obie dwie giną, a wierzchołki pokryw ogarnia bardzo ciemna brunatność, jaka i plamy na ich środku stanowi. Skrzydła przezroczyste z wierzchołkiem zaciemnionym. Są tego gatunku odmiany u których wszystko to jest brunatne co bywa zwykle zielonem, a takie osobniki przypominają barwę domowego świerszcza. Gatunek ten, uważany przeze mnie przy końcu sierpnia, znajduje się na wrzosach przed jaskinią Jerzmanowską bardzo licznie. Lecz szczęśliwem było znalezienie jednego osobnika ze skrzydłami zupełnemi, ponieważ Fiszler upewnia, że taki ledwie na trzydzieści lub na sześćdziesiąt zwyczajnych przytrafić się może.

Nie opisuję gatunku właściwego miejscom mokrym, *Xiphidium fuscum* Fisch. ponieważ ten w każdej okolicy kraju naszego znaleźć się może na trzcinie. Zatem od prostoskrzydłych owadów, przechodzę naostatek do półpokrywych (*Hemiptera*), i kończę moje entomologiczne sprawozdanie z tój podróży.

Pod skałami w Ojcowie dosyć pospolity jest *Harpactor cruentus*, większy pluskwowaty gatunek, podobający się swoją cynobrową czerwonością. W dębowych zarostach na najwyższych szczytach tój góry, która Ojcowską jaskinię w swém łonie mieści, żyją na dębach *Cimex achatinus* Wolff i na jałowcu *Acanthosoma haematogaster* Burm. Na Prądniku, także na dębach i na leszczynie, często się spotyka szczupły, orzechowo-podpalany, z rogatym tułowem *Clinocoris ferrugator* Hahn, to jest *Acanthosoma bispina* Burm. Ale na Prądniku odkryłem najciekawszy tych pluskwowatych gatunek, godny wymienienia nawet z tego względu, że Hahn (*Wanzenart. Ins. 3^r B. pag. 84*). który go miał z Francyi i za nowy poczytywał, przez szczególniejszy przypadek dał mu nazwisko *Capsus planicornis*, to jest takie jakie ten owad już w r. 1772, o czém Hahn nie wiedział, przez Pallasą (*Spic. zool. fasc. IX, pag. 23*) miał sobie nadane: *Cimex planicornis*. Pallas mówi, że ten gatunek znajdował w Belgii i dla osobliwszych różków odrysować go kazał, ale w chwili ogłaszania wizerunku (*l. c. Tab. I fig. 13*) nie miał przy sobie ani owada ani opisu; wszakże to co spa miętawszy wyraził „*alae lactescentes, pedes griseo lutescentes, totus fere niger*” dostatecznym jest do przekonania, że Pallas nie o innym mówi owadzie. Ale Hahn nie wiedział i więcej. Przed nim bowiem, a nawet przed Pallasem jeszcze, bo w r. 1763 Skopoli, jako gatunek wówczas nowy i bardzo rzadki (*Species vere nova rarissimaque*) opisał też pluskwę pod nazw. *Cimex meriopterus* (*Carniol. pag. 131 n° 382*). Potém Fabrycyusz otrzymaną z okolic Hamburga w r. 1776 (*Gen. Ins. pag. 300 n° 147—148*) wspomniał pod nazwiskiem *Cimex spissicornis*. Włoski entomolog Rossi (*Fauna Etrus. II pag. 249, n° 1344*), który także znał tę samą pluskwę

i zwracał uwagę na osobliwość jej różków (*Antennar. forma singularis*), przyjął (w r. 1790) nawisko dane jej od Skopolego *Cimex meriopterus*, a nie był pewny czy do niej należy *spissicornis* Fabrycyusza. Panzer już w r. 1793 znalezioną pod Norymbergą wystawił w wizerunku (*Fauna. Ins. Germ. II—15*) lubo niedokładnym, i nazwał ją tam *Lygaeus spissicornis*, za czém wkrótce (1794) i Fabrycyusz (*Ent. syst. IV, pag. 181*) poszedł. Następnie, pod nazwiskiem *Miris spissicornis* wyobrazil ją Schellenberg (*Cimic. Tab. III fig. 4*), według exemplarza z pod Zurich w Szwajcaryi, chociaż i ten wizerunek nie przedstawia dokładnie przedmiotu. Fabrycyusz w *Syst. Rynq.* (pag. 246) przeniósł gatunek pod *Capsus spissicornis*, co przyjął i Latreille w r. 1807 (*Genera III, pag. 124*), tworząc dla niego osobną (2-gą) sekcją w rodzaju *Capsus*. Wyszły potem wizerunki owada w *Encycl. Méth. Pl. 373 fig. 27* i w *Faune Française Hém. Pl. 6, fig. 8*, a Latreille (*Familles nat. 422*) sekcją swoją przemienił w rodzaj, który *Heterotoma* nazwał. Rodzaj ten przyjął i Burmeister w r. 1835 (*Ent. II. pag. 276, 1*), u którego pluskwa nasza nazywa się *Heterotoma spissicornis*, to jest tak, jak powinien był nazwać ją w swoim dziele Hahn, a jak ją nazywają w swoich późniejsi od niego Blanchard (*Hist. nat. ins. III, 140, 1*) i Amyot et Serville (*Hist. nat. des Ins. Hém. pag. 283*). Tento więc gatunek, uznany przez Burmeistera za bardzo rzadki w Niemczech, w obfitości znalazłem na Prądniku w Ojcowie, na różnych krzewach, a mianowicie na paprociach w lesie. Skopoli znajdował go na *Origanum vulgare* i *Eupatorium cannabinum*, a Rossi na piołunie: Burmeister także na piołunie i na liściach topoli białej, a Amyot koło Paryża, na kwiatach pokrzywy. Jest on zaiste osobliwy, zdolny każdego entomologa uwagę zwrócić obcą temu rodzajowi budową różków, szeroko spłaszczonych, łskniących jak polerowane i z rzesowatym brzegiem: przypominających owe blaszkowate niektórych piórek końce w rodzaju ptaków *Anastomus*, od których gatunek jego nazwisko *lamelligerus* otrzymał.

Rzadką jeszcze pluskwę *Odontoscelis fuliginosa* Burm. znalazłem w Potoku, pomiędzy liśćmi *Hiera-*

cium pilosella na wzgórzu piaszczystém w ogrodzie, i tamże niemniej rzadki gatunek skoczka, którego samca wyobrazil Ahrens w *Fauna Ins. Europ. fasc. IV tab. 22* pod nazw. *Eupelix cuspidata*, a samicę w témże dziele Germar (*fasc. XX tab. 24*) pod nazw. *Eupelix producta*, Co do skoczków (*Cicadina*), piérwszy raz dał mi się widzieć w Ojcowie nie rzadki tam na dębach *Issus coleoptratus*, w rozlicznych odmianach *Tettigometra obliqua*, i na jałowcach, tam niezmiernie liczny nieznaný zaś koło Warszawy, i którego jedyny okaz z puszczy Kozińskiej w moim zbiorze miałem, *Tettigometra virescens*. Gdzieindziej już opisałem z jakimi trudnościami przyszło mi wynaleźć największy krajowy gatunek *Ledra aurita*, a kilka nowych zamierzam opisać osobno.”



O POEZJI WŁOSKIEJ W ŚREDNICH WIEKACH

JAKO ŹRÓDLE DO

WŁOSKIEJ KOMEDYI DANTA.

PRZEKŁAD

z *A. Fryderyka Ozanama* (*).

Praca ta nie jest ściśle naukowym dziełem. Roku 1847 po spełnionej we Włoszech misji literackiej, powracając do kraju, wzbogacony mnóstwem niewydanych dokumentów, objaśniających dzieje czasów barbarzyństwa. Do drogocennych kłosów, którem znalazł na polu, kędy Muratori i jego następcy obfite zebrali plony, zerwałem niemniej kilka kwiatów poezji, wijących się jak powój wokoło dojrzałego zboża. Między innymi były tam i ułamki wierszy z rękopisu z XIII wieku, pieśni które przeszedłszy przez usta kilku pokoleń, popadły w niestusne zapomnienie. Były i zbiory legend, których uczony podróżnik nie zwykł kupować po jarmarkach, ale któremi lud zabawia się w długie godziny czuwania.

(*) Tytuł dzieła: „Les poètes Franciscains en Italie au treizième siècle, avec un choix des petites fleurs de Saint François traduites de l’Italien, suivis de recherches nouvelles sur les sources poetiques de la Divine Comédie. Paris. 1855.“ Fryderyk Ozanam urodził się d. 23 sierpnia 1813 r. umarł w samej sile wieku 1853 r.

Miałem jeszcze w pamięci cudne katedry włoskie, nacechowane żywotnym piętnem średnich wieków, poszanowaniem ludów, a ubóstwem pielęgnujących je zakonników, ocalone przed wandalizmem nowoczesnym. Myśl jedna ożywiła w oczach moich te obrazy przeszłości: przypatrując się zblizka średnim wiekom we Włoszech, zdało mi się, że widzę wydatniejszy tu niż gdzieindziej węzeł pomiędzy wiarą a geniuszem; dostrzegałem jaką moc natchnienia święci dawali tu wielkim artystom. Widziałem jak święty najpowszechniej znany i czczony w tej epoce, święty Franciszek, ołoczył swoje czasy urokiem poezji; jak sam tworzył cudowne kantyki i pozostawiał po sobie całą szkołę poetów, architektów, malarzy; jak grób w Assyzie stał się ich kolebką, ich gniazdem, z kąd roje ich rozbiegło się aż do podnóża Alp i zatoki neapolitańskiej. Chciałem więc badając początki poezji u Franciszkanów włoskich, wsnuć do tego przedmiotu moje wrażenia i pamiątki, w chwili, gdy czuję się jeszcze pod wpływem czarownych miejsc, świeżo przezemnie zwiedzonych.

Pisarze duchowni wyświellili Opatrznościowe postannictwo świętego Franciszka, gdy wraz ze świętym Dominikiem przyszedł podtrzymać zachwiane mury kościoła. Historycy zaczynają rozumieć polityczne znaczenie Braci Mniejszych, tego zastępu, współczesnego rzeczompospolitym włoskim, naturalnego sprzymierzeńca słabych, wroga ciemieżców, których jako ubodzy, ani się bali, ani ich potrzebowali. Uczeni uznają już, ile duch ludzki winien doktorom szkoły Franciszkańskiej, świętemu Bonawenturze, owemu Platonowi średnich wieków; Rogierowi Bakonowi, który przeczuciem odgadł dzisiejsze odkrycia. Co do mnie, zwrócę uwagę na przystugę, jaką Franciszkanie oddali naukom we Włoszech. Naprzód jednym rzutem oka przebiegam wieki poprzedzające wiek XIII, a od katakumb, aż do bazylik weneckiej i pizańskiej, szukam w pomnikach, w napisach, pierw-

szych śladów poezji ludowej i religijnej, jeszcze uplątanęj w formy łacińskie, ale gotowej do lotu, gdy język nowy użyczy jęj skrzydeł. Święty Franciszek pojawia się: należy go zbadać jako poetę, podejmując bacznie wszelkie okoliczności, które się przyczyniły do wykształcenia tego niepospolitego umysłu; należy dowieść autentyczność przyznawanych mu utworów; naznaczyć im miejsce pomiędzy chwilami zachwytu, w których pochłaniał ogień z nieba, i kaznodziejskiej wymowy, mocą której udzielał go ludziom. Geniusz świętego założyciela przechodzi na pierwszych jego uczniów i zastępców: świętego Bonawenturę, który pod płaszczem szkolarstwa kryje liryczne natchnienie, brata Pacyfika zwanego królem wierszy; Jacomino z Werony, twórcę dwóch długo zapomnianych poematów, z których Dante wziął nie jeden ustęp do swego Piekła i Raju. Nakoniec idzie największy z tych poetów, błogostawiony Jacopone z Todi, wzgardzony jako szaleniec, ukarany jako przestępca. Z głębi więzienia ciska on gromy satyr na bezprawia duchowieństwa i ludu, i zarazem określa w wierszach najtrudniejsze punkta teologii chrześcijańskiej, a dobiegłszy do ostatecznych tajni mistycyzmu, śpiewa cudne natchnieniem pienia, przypominające mistyczne dźwięki świętej Teresy i świętego Jana od Krzyża. W miarę jak ścigamy ślady pierwszego wieku zakonu świętego Franciszka, musimy zatrzymać oko i na kamiennych współczesnych pomnikach: tu bowiem poezya jaśnieje pełnym blaskiem w pysznych zarysach architektury i świetnym kolorycie fresków. W wędrówce mojej zatrzymywałem się u grobu świętego Franciszka w Assyzie, u świętego Antoniego w Padwie, u świętego Krzyża we Florencyi. Na Florencyą to przede wszystkim sływa pierwszy promień rodzącej się sztuki; tam to znalazłem piękną legendę Fioretti di San Francesco, którą uważać można jako małą epopeę, obejmującą bohaterskie podania zakonu świętego Fran-

ciszka, a raczej jako relikwiarz, zdobny w emalie, przedstawiające naiwnie cuda świętego i postaci jego towarzyszków. Z tych postaci, jedne zalecają się wyłącznie barwą, którąby stracić musiały w przekładzie. Innych cały wdzięk stanowi ruch i życie, te więc nie wytrzymałyby noża analizy. Inna ręka bieglejsza od mojej wybrała i przełożyła na francuzki język najpobożniejsze, najtkliwsze, najwdzięczniejsze z tych opowieści, i usiłowała zachować ściśle starożytną ich prostotę.

Niejedyn może z czytelników moich dziwić się będzie, takiemu uwielbieniu dla mistycyzmu, którego słowo nie przemawia już do naszego wieku; takiej względności dla podań nieopartychna wierze. Ja też nie narzucam nic wierze czytelnika: nie pisze ściśle naukowej książki, nie tworzę religijnego dzieła. Nie mieszam bynajmniej tych pieśni i tych podań z niewzruszonym dogmatem, jak nie mieszam kropel rosy z promieniami zorzy, której zwykle towarzyszą. Zbieram je jako pierwszy plon ziemi, zapłodnionej chrześcijaństwem. Jeżeli nie mogę dotknąć bez wzruszenia owęj poezyi starych wieków, to dlatego, iż duchem przeżyłem cały dzień, w obec wypadków i ludzi, którzy im dali natchnienie. Przebyłem dzień zbyt dla mnie krótki, w starożytném mieście Assyzie. Znalazłem tam pamięć świętego tak żywą, jak gdyby wczoraj zamknął oczy, i na bramach rodzinnego miasta wycisnął piętno błogostawieństwa. Wskazywano mi miejsce, gdzie się urodził, i kaplicę gdzie poświęcił Bogu skołatane serce. Wskazywano mi krzak głogu, co zakwitnął różami w chwili, gdy Franciszek rzucił się nań, w szczerym zapale pokuty. Poznałem w nim obraz téj mowy włoskiej, tak ostrój jeszcze i dzikięj, która zaledwie dotknięta ascetyzmem katolickim, zakwitła tak uroczem. Nakoniec ukląknę z pokorą na świętym grobowcu, pod tém sklepieniem lazurówem zasianem gwiazdami, z kąd odrodzona sztuka malarska pierwszy rozwinęła piólot. Tam ja to powzią-

tem pierwszą myśl tego dzieła. Zamiar mój rozwijał się w następujących uwagach, gdy opuściwszy z nim Assyz, ogarniałem okiem białe mury Sagro Convento i miasto utulone pod jego strażą, i okoliczne wzgórza, na które sływał złoty promień zachodu.

Rozważając Włochy średniowieczne, widzimy przestrzeń obejmującą Toskanią, Ombryą, i północną dziedzinę świętego Piotra: tam w przeciągu trzech wieków jaśniał najżywszy promień uświęcenia chrześcijańskiego. We Florencyi to, święty Jan Gwalbert, ojciec pustelników z Vallombrez zakłada zarazem węgielny kamień swobód publicznych, walcząc przeciw świętokupstwu biskupów. Tam święty Filip z Benizzi, i jego towarzysze, składają oręż w wieku krwawych bojów i ustanawiają miłosierne bractwo Serwitów: później błogostawiony Giovanni delle Celle, i święta Magdalena z Pazzi, piszą listy, które są dotąd niewyczerpanym skarbem mądrości i wymowy. W Pizie widzimy świętego Reyniera, jak za powrotem z jerozolimskiej pielgrzymki, rozbudza w ludzkie szat bohaterski krucyat. W Siennie znajdujemy świętą Katarzynę, świętego Bernarda, i mnóstwo innych świętych od których to miasto nazwanem zostało przedsiódkiem raj. Wnijdźmy oto w te odwieczne grody Gwelfów i Gibelinów, najeżone wieżami, kipiące niegdyś siłą wzburzonych namiętności. Ujrzymy tam na ołtarzu postać ubogiej sługi, lub pokutującej grzesznicy, zamienionej dziś w patronkę miejsca: jak świętej Zity w Luce, świętej Małgorzaty w Kortone. Nie mówię już o Assyzie i o tej wielkiej liczbie dusz, które w ślady świętego Franciszka i świętej Klary uleciały ztamtąd ku niebu. Ale nie mogę zapomnieć ani świętego Bonawentury, który wyszedłszy z miasteczka Bagnorea stał się pochodnią kościoła i szkoły: ani świętej Róży z Viterby, która dziewięć-letnią będąc dziewczką, przebiegała ulice miasta i nakłaniała lud do pokuty.

Piękna to rzecz zaprawdę widzieć na tak małej przestrzeni, a w czasach tak ciężkich, tyle odwagi, tyle miłosierdzia, tyle poświęcenia w służeniu prawdzie wiekuiściej.

Owóż ta klassyczna ziemia świętości, staje się kolebką sztuki chrześcijańskiej. Grobowce służebników Bożych jak posiew drogocenny, przebijają ziemię i wydają plon, a tym plonem są wspaniałe pomniki. Wiara która przenosi góry, dźwiga te katedry, te góry z marmuru, pokryte w rzeźby i obrazy, brzmiące dźwiękiem uroczystych hymnów i pieśni. Gdziekolwiek wielka religijna pamiątka wycisnie piętno świętości, natychmiast powstaje tam bazylika, rozwiera podwoje; a w tę pracownię uświęconą tajemną siłą modlitwy, garną się pracownicy, wyrabiają ducha w milczeniu, a nie goniąc za czczym oklaskiem rzeczy, otaczając sztukę religijną czcią, badają z poszanowaniem jej prawa, i tworzą arcydzieła wiekowe. Wiemy już jakie pokolenie architektów i malarzy wzrastało pod świętym przysionkiem Assyżu. W owymto czasie ksiądz Bolsena, odprawiając świętą ofiarę, gdy zwątpił o przytomności Bóstwa, ujrzał jak krew wytrysnęła z hostyi, którą trzymał w ręku. Podjęto zakrwawioną bieliznę z niewystowioną trwogą i za twierdzono, iż to żywe świadectwo cudu zachowaném być musi w przybytku, jakiemu nie ma równego na świecie.

I około 1280 roku poczęto budować wspaniały tum w Orvieto; a przez trzysta lat pobożny lud nie szczędził kosztów ani trudu, byleby odkupić zwątpienie swego kapłana, i uczcić godnie znieważoną tajemnicę miłości. Dwustu przeszło artystów nastąpiło po sobie w tej długich lat kolei, od Jana z Pizy i uczniów jego, którzy ozdobili fasadę, aż do Luca Signorelli, który odmalował Antychrysta, Sąd i Piekło w seryi fresków godnych natchnienia Michała Anioła. Na wiele lat przedtém, roku 1186, arcybiskup z Pizy Ubaldo Lan-

franchi, umyślił udarować współziomków, pełnym chwałą grobowcem. Sprowadzał więc na okrętach ziemię z Bellemu i Jerozolimy; zapełnił nią przestrzeń wyżłobioną obok katedry, i założył narodowy cmentarz Pizanów. Ale ponieważ należało uczcić ziemię deptaną stopami Zbawiciela, postanowiono otoczyć ją wspaniałym murem, a ten mur pokryć obrazami, któreby w miejscu śmierci, pocieszającą zapowiadały nieśmiertelność: i przez dwieście lat najstynniejsi mistrze tokańscy, nie wierzyli w własną chwałę, dopóki nie nakreślili kilku fresków w Campo Santo. Jeżeli nazwano Siennę przedsionkiem raju, z powodu wielkiej liczby jej świętych, zjednała sobie niemniej to imię wspaniałemi pomnikami swemi. Oprócz wyniosłej katedry, posiada bowiem pałac rządowy, pełen bohaterskich i religijnych obrazów, i własną szkołę malarską, tak czystą i naiwną, a tak niestusznie zaniebaną. Florencya, najbogatsza w pamiątki, najwięcej też wydała pomników. Niech nas nie trwożą owe mury cyklopów, owe ponure frontony, i najeżone zęby; przestąpmy progi pałaców i kościołów, a ujrzymy jak je pędzel w niebiańskie zaludnił wizye: ujrzymy postacie promiennej młodością, niewinnością, słodyczą; i zapytamy sami siebie, i kędyż to w czasach wrzącej walki, artyści tokańscy znachodzili te oblicza aniołów, dziewic i świętych młodzianów? O! nie szukali ich daleko, ale spotykali je tuż obok siebie po klasztorach, o których bramy roztręcał się okrzyk domowych walk i bojów; lub też u starych ognisk rodzinnych, których odwieczne obyczaje opisuje Villani i Ricobaldo. „Tam żywot upłynął w prostocie: mężowie odziewali się niewyprawną skórą baranią, niewiasty chodziły w wązkiej szacie ze szkarłatnego sukna, opasane skórzanym pasem, na sposób starożytny. Mąż i żona jadali z jednej misy, pili z jednej czary; a podczas wieczerzy, służba przyświecał im trzymając w ręku pochodnię ze smolnego tuczywa.

Ale ci co żyli w ten sposób, zachowywali uczciwość na wzajemnych stosunkach, wierni byli swój gminie, a zachowując szorstkość i ubóstwo w obyczajach, większe spełniali dzieła, niżeli pokolenia miększe i ogładniejsze, które szły w ślad za niemi." Tak sobie należy wyobrazić Włochy w XIII wieku. W ten sposób zatem, powstawało pomału gniazdo, z kąd trzy wielkie orły poezyi chrześcijańskiej miały wzbić się do lotu, i śmiało wybiedz pod obłoki: temi orłami byli: Dante, Petrarca i Tasso.

Niech mnie Bóg broni, abym miał tylko uważać świętych jako poprzedzicieli wielkich poetów. Widzę w nich oto służebników owój Wszechpotężnej Opatrzności, która mądrze każde dzieło swoje ku wielorakim przeznaczą celom: zarazem czuwa nad rozwinięciem sztuki, jak rząd opiekuńczy, obmyśla ludom igrzyska, gdyby sztuka była tylko uciechą i zabawą ludów. Ale nie jestże słuszna, aby Opatrzność baczyła o niej w swój radzie skoro wiemy, że sztuka jest środkiem wychowania człowieka, cywilizowania społeczeństw i uczczenia Tego, który jest zarówno najwyższą pięknnością jak i najwyższym dobrem i prawdą?

I.

O poezyi ludowej we Włoszech w XIII wieku.

Zanim rozpoczniemy badania nasze nad szkołą świętego Franciszka, należy wprzód naznaczyć jej właściwe miejsce w poezyi włoskiej. Trzeba rozpoznać główny charakter tej poezyi, dojrzeć jak zwolna przebija przez pomrok starożytnych wieków, jak później natchniona duchem św. Franciszka i jego uczniów, wpływa na szkoły mniej religijne i głębokie zapuszcza korzenie w czasach mniejszej łatwowierności. Ale charakter geniuszu włoskiego cechuje się tém, że wykształcając się naukowo, pozostał czysto ludowym (popularnym), że po wszystkie czasy panowania literatury włoskiej, widzimy nieza-

tarte źródło poezji ludowej, w której czerpie poezya uczona, a po okwitnieniu powraca do niej znowu i zasila ją szczątkami swemi. Należy więc koniecznie zgruntować to źródło i wysledzić przyczynę jego nadzwyczajnej obfitości.

Nowy lud włoski odradza się w katakumbach. Tam zstąpiwszy, znajdziemy zarody tego wszystkiego, co w przyszłości tak świetnie wybujać miało: widzimy tam lud, w późniejszym znaczeniu tego słowa, to jest niewiasty, dzieci, słabych i małych, któremi gardzili starożytni dziejopisowie, o których nie raczyli nawet wspominać; widzimy tam lud nowy, zbiór niewolników i wolnych, cudzoziemców i barbarzyńców, ożywionych duchem innym od ducha starożytności. Społeczeństwo to ma już myśl własną, którą wyrazić usiłuje; ale myśl ta zanadto jest obfita, zanadto niespokojna i nowa; słowo wystarczyć jej nie może: potrzeba współdziałania wszystkich sztuk na jej wyrażenie. W owym pierwotnym stanie, poezya nie dosyć jest wydatną i określoną, nie przywdziała jeszcze właściwej sobie szaty. Ale za to rozlana jest wszędzie: w architekturze, w malarstwie, w rzeźbie, w napisach; wszędzie bowiem panuje symbol, przenośnia, wszędzie widzimy usiłowanie, aby uwydatnić myśl w obrazie, aby ideał odbić w rzeczywistości.

Wyobraźmy sobie katakumby, jakby długie galerye, ciągnące się podziemną siecią pod przedmieściami i okolicami Rzymu. Nie trzeba ich mieszać z wielkimi pieczarami, z których wydobywano płyty marmuru na zbudowanie pogańskiej Romy. Chrześcianie sami wykuli ciasne korytarze katakumb, aby w nich spełniać tajemnicze obrzędy swęj wiary, a po śmierci złożyć głowę na wiekuisty spoczynek. Te podziemne labirynty liczą niekiedy po trzy i cztery piętra; a ciągną się na osmdziesiąt i więcej stóp w ziemię: miejscami jeden ledwie człowiek i to z pochyloną głową, zdoła się przez nie przecisnąć i po prawej i lewej stronie widać otwory wykute w murze kilkoma rzędami, zarzucone wapnem, kędy spoczywają ciała zmarłych. Te podziemne galerye rozchodzą się w różnych kierunkach, znać dla zmylenia pogoni srogich prześladowców. Dotąd widzimy dzieło konieczności i trwogi, silnie przemawiające o sobie: żaden pomnik dokonany ręką człowieka nie daje większej nauki. Przebiegając stopą owe tajemne drogi, wieczną otoczone ciemnością, uczono się odrywać duchem od zmysłowego świata, od dzien-

nego nawet blasku, przez który wszystko staje się widzialném. Cmentarz okrążał całą przestrzeń, jak wieczność okrąża czasy, a ołtarze i oratoria wykute tu i owdzie ku spełnieniu świętych tajemnic, oświecone z góry światłem dzienném, były jakoby przystanie zwiastujące nieśmiertelność, na pociechę dusz zanurzonych w pomroku ziemskiego żywota (1).

Te oratoria pokryte są obrazami grubego niekiedy pędzla, znać niewprawną kreślonemi ręką: malowali je naprędce nieświadomi prostaczkowie, przy słabym połysku lampy, przestraszeni trwogą, w oczekiwaniu nieochybnój śmierci. Często jednak wśród innych zdarzy się dostrzedz obraz, którego śmiałe zarysy przypominają doskonałość starożytnej sztuki, Co więcej w wielu z nich przebija już nowy żywioł, który miał niebawem nową siłą natchnąć sztukę, wskrzesić ją i przerodzić. Owe posągi kute z kamienia, klęczące w kornój postawie z wyciągniętymi w górę rękoma, z oczyma wlepionymi w niebo, tchną całe żywą wiarą męczenników. Nowy żywioł chrześcijańskiej wiary odbija w duchu dokonanych dzieł, w wyborze przedmiotów, w żarliwém natchnieniu, jakie znać wiodło dłutem i pędzlem artysty. Myliłby się, ktoby mniemał, że w odludnych tych miejscach, ujrzy tylko obraz prześladowanego, ściganego społeczeństwa: przeciwnie, wchodząc pod sklepienie, widzimy podwójny wizerunek dobrego pasterza, dźwigającego na barkach tu owce, tam kozła, na znak, że gotów strzedz zarówno niewinności i pokuty. Dalej w czterech oddziałach, odznaczonych wieńcami z kwiatów i owoców, widać obrazy ze Starego i Nowego zakonu mieszczone po dwa obok siebie w sposób, że przedstawiają zarazem figurę i rzeczywistość, prorocstwo i historią. Jest tam *Noe* w arce, *Mojżesz* dobywający wodę ze skały, *Job* na śmieciisku, cud w *Galilejskiej Kanie*, rozmnożenie chleba, *Łazarz* wskrze-

(1) Katakumby, na które już *Bosio*, *d'Argincourt* i *Bottari* rzucili wielkie światło badaniami swemi, wyjdą rzec można z głębi ziemi, pod piórem panów *Marchi* i Ludwika *Perret*. Zanim te dwa wielkie dzieła pojawią się na widownię powszechną, należy zwrócić uwagę na uczony *Obraz Katakumb* przez p. *Raula Rochette* (*Tableau des Catacombes*) i na książkę księdza *Gaume*, poświęconą im wyłącznie w dziele p. n. *Rzym Troisty* (*Trois Romes*). Chcąc jednak zebrać pierwotne technienie świętej poezji, poznać symbolizm teologiczny, pochwycić Boskie wspomnienia przechowane w owych cmentarzach, trzeba wziąć za przewodnika dzieło księdza *Gerbet*: p. n. *Szkice Rzymu chrześcijańskiego*, *Esquisses de Rome Chretienne* T. I, str. 144, T. II, str. 104.

szony z grobu; jest tam zarówno i Daniel we lwiej jaskini, Jonasz wyratowany z wnętrzości wieloryba, troje młodzianków w ognistym piecu, żywe symbole męczeństwa przez pożarcie, ogień i wodę, ale męczeństwa tryumfującego, którego wspomnienie, krzepiąc odwagę, pocieszało w boleści. Nie masz tam śladu współczesnego prześladowania, nie widać nigdzie płonących na stosie chrześcian: słowem, nic tu nie przypomina krwi obfitym przelanej potokiem, nic nie rozbudza nienawiści, ani zemsty, wszędzie widzimy tylko obraz przebaczenia, nadziei i miłości (1).

Jeżeli chrześciance przebywający w katakumbach mieli czas na zdobienie swych kaplic, niemniej i na grobowcach zmarłych pozostawiali ślady wdzięczności i żalu. Rzeźba chrześcijańska poczyna się od hieroglifów, od figur narysowanych bez kształtu i bez wdzięku, których wartość stanowi tylko myśl żywotnie w nich wyrażona. Liść jest tu godłem wytrwałości życia, łódź z rozwiniętym żaglem zwiastuje przelotność chwil ziemskich, gołąbka niosąca w dziobku gałązkę, zapowiada przybycie lepszego świata; ryba przypomina wody chrztu świętego. Na grobie bez podpisu widzimy rybę i pięć bułek chleba cudownie rozmnożonych: co znaczy, że tu spoczywa człowiek odrodzony chrztem św., który wierzył w Chry-

(1) Malowania katakumb przedstawiają niekiedy dobrego pasterza niosącego na ramieniu kozłą zamiast owcy. Archeologowie uważają to wyobrażenie jako niewolnicze naśladownictwo sztuki pogańskiej, według której malowano Apollina w ubiorze pasterskim, pasącego trzody Admeta i dźwigającego na barkach młode kozłą. Można temu symbolowi nadać głębsze i prawdziwsze teologiczne znaczenie, zwracając uwagę na ówczesne spory. Gdy w drugim wieku sekta *Montanistów* nie przyznawała kościołowi prawa odpuszczania grzechów popełnionych przed chrztem świętym, katolicy przeciwstawili im przykład dobrego pasterza, odnoszącego do owczarni zabląkaną owcę; ale *Tertulian*, który właśnie ognistą wymową jął posługiwać herezyi, wyrzucał katolikom, jakoby znieważyli ową parabolę, malując ją nawet na czaszach używanych do biesiad. „Chrystus mówił on, ocala jedno owce: dla kozłów nie zna miłosierdzia” (*De pudicitia*: cap: 7. 10. 13.) Kościół odpowiedział na tę przewrotną doktrynę, mieszcząc kozłą na ramionach wiekiutego pasterza. Dla usunięcia wszelkiej wątpliwości w tym względzie *S. Eucher* w piątym wieku, wyjaśniając prawa symbolizmu chrześcijańskiego, oświadcza, że owce oznaczają sprawiedliwych, a kozły grzeszników. (*Liber formularum spiritualis intelligentiae*).

stusa i który brał udział u stołu Pańskiego (1). W miarę jak znika poganizm, dużo chrześcijańskie staje się coraz swobodniejsze i płodniejsze. Zamiast nieśmiałyh symbolów, rytych z początku na cegle, widzimy coraz swobodniej żłobiony marmur; widzimy owe cenne płaskorzeźby, rzniete na sarkofagach, które zdobią dziś muzea Rzymu i kościoły Rawenny.

Równie jak rzeźby katakumb, przedstawiają one przedmioty biblijne, z pewnemi jednak odmianami. Bogatszy i wyraźniejszy symbolizm, jaki tu dostrzegamy, zapowiada: że skończyły się czasy przesładowania; że konieczna potrzeba ostrożności nie osłania już świętyh tajemnic. Grobowce Rawenny nie mówią o śmierci, wszystko raczėj przypomina tu nieśmiertelność, którą chleb żywota zapewnia chrześcianom. Widzimy oto jak ptastwo niebieskie spożywa winne grona, jak gołąbki poją się w kielichu zbawienia, jak ciche baranki kosztują palmowego owocu.

Ale gdy rysunek nie zdołał wyrazić całkowitej myśli, przyzwał na pomoc słowo. Zaczęły się pojawiać grobowe napisy: z początku brzmiały one krótko, lecz wymownie, np.: „*Oto miejsce spoczynku Philemona*”. Niektóre z nich wyrażały myśl tkliwą i pocieszającą. Weźmy oto: *Florentius felix agneglus (sic) Dei* „Florencyusz szczęśliwy baranek Boży”; albo téż: „*Padłaś przedwcześnie Konstancyo, cudzie piękności i mądrości*”. *Nimum cito decidisti, Constantia, mirum pulchritudinis atque idoninati (sic)*. Konstancya poniosła śmierć męczeńską, flaszeczka bowiem zbarwiona krwią wskazuje grób jej pobożności wiernych; ale święta miała zaledwie lat ośmnaście, kościół przebaczył więc okrzyk boleści wyrwany z piersi ojcowskiej. Niekiedy czujemy wyrażoną w kilku słowach trwogę boskiego sądu, jak w owej modlitwie, którą chrześcianin *Benirosus*, wyrzył na ojca grobie; „*Nie wzywaj nas Panie, kiedy umysł nasz pełen jest ciemności*”. *Domine, ne quando adumbretur spiritus, veneris*. Niekiedy myśl o zmartwychwstaniu jaśnieje wpośród łez i żałoby: rodzina Seweryanusa

(1) Te objaśnienia nie są dowolnie podawane, ale raczėj wzięte są ze starożytności chrześcijańskiej. *Klemens z Alexandryi: Paedagog III, Constitut. Apost. lib: V cap. 7.*, *S. Augustin Epist: 48 id. De civ. Dei XVIII, 23.* *Optatus Milevit, Contra parmen III, 2.*, *S. Eucher, Liber formularum spiritualis intelligentiae,*

wzywa pomocy tego, który daje wzrost ziarnu posianemu na roli:

*Vivere qui praestat morientia femina terrae,
Solvere qui potuit lethalia vincula mortis.*

Doszliśmy więc do poezyi godnej tego nazwiska, bo wyrażonej wierszem. Już ona nie umilknie, a niebawem poeta *Prudencyusz* sławić będzie katakumby i ich męczenników rymem *Wirgiliusza* i *Horacego*. Dotąd jednak wszystko zachowało piętno wyłącznie ludowe i barbarzyńskie. W tych napisach kreślonych po łacinie, literami greckimi, pełnych ortograficznych błędów, niemniej usterków języka i prozody, chwytamy niby na gorącym uczynku prostaczków, którzy je kreślili: widzimy matki z gminu, ojców niewolników, jak przelotnie wyrażają na kamieniu boleść i nadzieję, znacząc miejsca kędy mają zasyłać szczere ku niebiosom modły. Prześladowcy, prawdziwi Rzymianie, przechadzając się po cmentarzu, z uśmiechem pogardy odczytywali zapewne te napisy kreślone ręką nieuczonych prostaczków, którzy nie znając zasad pisma, chcieli wszakże ogłaszać prawdę światu. A jednak wielki posiew miał wkrótce wydać plony: starożytna cywilizacya rzymska dążyła do upadku, a odwieczna Roma miała rychło na własne ujrzeć oczy, jak z owych podziemi, któremi była podkopana, z owego wzgardzonego społeczeństwa chrześcian, wyjdzie nowa cywilizacya, a zarazem i nowa poezya.

Podczas gdy mury odwiecznego miasta chwieją się pod razami taranów, gdy *Gotowie* i *Wandalowie* wdzierają się przez wylomy; podczas gdy barbarzyńcy zdzierają z gmachów ołowiane dachówki; gdy wrywają z zawias podwoje lane z bronzu; w chwili gdy wszystko dąży do upadku: święte grobowce katakumb wyrastają niejako z łona ziemi i oblekają się w kształty przepysznych bazylik świętego *Pawła*, *Najświętszej Panny* i tylu innych, które od IV do XIII wieku zebrały, przechowały i ocaliły wszelkie rodzaje sztuki. Zamiast poezyi szkolarskiej, (*la poesie des écoles*) mamy tu plastyczną poezyą pomników.

Trudno pojąć czém była bazylika chrześcijańska za czasów barbarzyństwa, gdy cała cywilizacya chroniła się poza obręb jej murów. Ponieważ nikt ze świata starożytne społeczeństwo, bazylika musiała być niejako formą, na wzór której miał się ukształtować nowy byt społeczny. W jednym obrębie,

gdzie myśl moralna przewodniczyła odradzającej się ludzkości, powinni byli ludzie przywykać do ładu i reguły, uczyć się karności i posłuszeństwa; to też kościół bywał obwarowany dwoma dziedzińcami, które dzieliły go od zewnętrznego gwaru: wpośrodku dziedzińca była fontanna, gdzie oczyszczano ręce; nakoniec podział wewnętrzny gmachu odpowiadał stopniom hierarchii katolickiej, począwszy od *kruchty*, kędy płakali pokutnicy, aż do *naw* oddzielnych dla chrześcian obojjej płci, aż do *presbiteryum*, gdzie ławy kapłanów okręzały marmurowy tron biskupa. Z postępem czasu z łona kościoła wyrastały coraz nowe przedmioty: dzwonnice, chrzcielnice i cmentarze tulić się poczęły pod opiekuńcze jego skrzydła; kościół niebawem zamknął w sobie wszystko, co stanowi treść duchowego życia ludu. Dotąd widzimy w *Pizie* obręb zajmujący katedrę, kampanile (dzwonnice), chrzcielnicę i *campo santo* (cmentarz); jestto cała duchowa ojczyzna człowieka: tu się rodzi, żyje i umiera. Snadno pojąć, że z bazylik powstawały miasta.

Z drugiej strony, światło nauk i sztuk poczęło gasnąć widocznie; potrzeba więc było, ażeby mury bazylik zawarły w sobie pierwsze zasady nauk zdolnych rozbudzić umysł i wzruszyć wyobraźnię: trzeba było, aby ludzie wychodzili z nich skąpani w uroczym promieniu światła, a powracali do nich z miłością, jako do czystego źródła piękności i prawdy.

Ażeby urzeczywistnić ideał owego czasu, kościół powinien był zawierać w sobie cały kurs teologii i cały pemat święty. Tak rozumieli ci, którzy pokryli mozaikami kościoły Rzymu, Rawenny, Medyolanu, Wenecyi, Kapui i Palermo, a pokryli niemi nietylko ołtarze, ale niemniej nawy, przedsionki, naostatek i zewnętrzne frontony.

Tu rozwija się historia Starego i Nowego zakonu, dopełniona legendami świętych, a uwieńczona widzeniami Apokalipsy: zwykle symbol chwały niebieskiej (*Gloria*) zapełnia półkole Sanctuarium. Nic nie może iść w porównanie ze wspaniałym wizerunkiem Chrystusa, który odbija na tle złotém, ni by wpośród słonecznych promieni: święci składają przed obliczem Pana wysłużone na ziemi korony; powyżej cichy baranek spoczywa na wierzchołku góry, z której spływają cztery rzeki: symbol czterech ewangelii. Dwanaście owieczek wychodzi z dwóch miast Jerozolimy i Betleemu: wyobra-

zają one owczarnią Chrystusową, która wyszła częścią z synagogi, częścią z tłumu prostaczków. Wśród ozdób oplatających te pyszne obrazy, widzimy: jelenie i gołąbki, lilie i palmy: symboliczne znaki starożytności chrześcijańskiej, wyjaśniane na zasadzie nigdy nieprzerwaną tradycyi; a dla okazania, że nauka była jawną i dostępną wszystkim, podawano w nauczających napisach klucz do zrozumienia symbolów. Wiersze nad każdą wyryte mozaiką tłumaczyły jej znaczenie, wydobywały z niej treść nauczającą, przemawiały do serca czytelnika, łzę wyciskały mu z oka, serce wzruszały do modlitwy. Wielkie i poważne mury kościołów romańskich, możnaby niejako nazwać stronicami olbrzymiej księgi, na których czczono cuda świętego patrona, miejsca, pamięć książąt założycieli bazyliki, nakoniec wspomnienie znakomitych nieboszczyków, co spali snem wiecznym w cieniu olbrzymich jej sklepień.

Tym sposobem powstał rodzaj poezji, niedostatecznie zbadany przez krytyków, poezji niejako kamienną, która ożywiła średniowieczne włoskie kościoły, jak niegdyś sztuka święta pokryła hieroglifami i malowaniami świątynie starożytnego Egiptu. U św. Jana Laterańskiego, podwoje, sanctuarium, a nawet tron papieski pokryte były wierszami, które w języku prostym, ale dosadnym, opiewały prawa stolicy apostolskiej i kościoła matki kościołów. U św. Piotra napisy na grobowcach ojców świętych, stanowiły same przez się dokładne dzieje papiestwa. Mianowicie VI i VII wiek wyrył łacińskimi zgłoskami imiona, daty urodzenia i zgonu, oraz dobre czyny współczesnych papieżów. Wielka ilość tych drobnych poemacików i łatwość z jaką kreślone były, są dowodem uprawy nauk w epoce, w której dziejopisowie przedstawiają nam Rzym jako rozpustnicę babilońską, upojoną ciemnotą i zepsuciem. Przybytek w Pizie podnosił dumne czoło, zryte opisami zwycięstw: głosiły one pierwsze krucjaty Pizanów, gdy mocą oręża wydarli niewiernym Maurom Sardynią i Balearskie wyspy, mianowicie zaś opiewały ich zwycięską wyprawę przeciw Sarracenom z Palermo. Na jéto pamiątkę, za zdobyte na wojnie łupy, pobożni ci żeglarze zbudowali swoją katedrę. Ale nigdzie epopea pomnikowa nie przechowała się tak dokładnie, jak u świętego Marka w Wenecyi: pomińmy kopułę i wyniosły fronton, pokryty złotem i snycerskimi ozdobami; wnijdźmy

oto pod złożone sklepienia i przejrzymy bacznie szereg mozaik i objaśniających je napisów.

Przedsiónek zawiera sceny ze Starego testamentu, wyobrażające symbolicznie Nowy zakon. Widzimy tam historję Bożego ludu, zaczynającą się od Genezy, a kończącą z jednej strony na Mojżeszu, który chrzci Izraelitów w morzu Czerwonym; z drugiej na Janie, który chrzci lud w wodach Jordanu. Te obrazy sięgają czasów nieświadomej prostoty, a jednak czuć w nich natchnienie, pełne niezrównanego wdzięku. Bóg naprzód stwarza światło; zamiast groźnego starca unoszącego się ponad chaosem, artysta przedstawił słowo wcielone, Boga Człowieka, pięknego nieśmiertelną pięknoscia, odzianego po królewsku, w szaty z bieli i purpury. Z pełnym spokojem wyciąga Pan rękę ponad wzburzone żywioły, bo wie że mu będą posłuszne; przed nim stoją dwa globy, jeden ciemny, drugi promieniejący światłem; pomiędzy globami, anioł, symbol pierwszego dnia stworzenia, wyciąga ramiona i ulata w górę. Ależ te obrazy rodzącego się świata są tylko prologiem wielkiego widowiska, jakie nas czeka we wnętrzu bazyliki. Chrystus Odkupiciel wszystko tu napelnia obecnością swoją, zaczawszy od kopuły sanctuarium, kędy się pojawia w gronie proroków, jako zapowiedziany narodom i przez nie upragniony. Jego żywot, jego cuda, jego nakoniec święta męka zapelniają chór i galerye wielkiej nawy. Wspaniały obraz ostatecznego sądu, groźno strzeże wchodowych podwoi. Na pobocznych nawach wyobrazone są dzieje żywota Najświętszej Maryi Panny, SS. Apostołów i dwóch patronów miejscowych S. Marka i S. Klemensa, nie licząc w to wielkiej liczby pojedynczych wizerunków świętych, co odbijając na tle złotem, zamieniają kościół w raj widomy, albo w niebieską Jerozolimę, która niby zstąpiła chwilowo z góry, a geniusz i pobożność zatrzymały ją na ziemi. Dla objaśnienia tych mozaikowych obrazów, widzimy tu poemat złożony z dwunastu wierszy, rozsianych po wnętrzu kościoła. Tu wiersz opowiada cud spełniony, tam wyjaśnia znaczenie symbolu, niekiedy zawiera zdanie moralne, lub modlitwę. Bezwątpienia, owe barbarzyńskie hexametry obrazają częstokroć przodyą i składnię, ale tchnie w nich za to religijny zapał, bohaterska miłość kraju, powiewa z nich geniusz kapłańsko-rycerski wieku, który ośmielił się zbudować na palach wpośród oceanu te olbrzymie kopuły. W chórze dokoła wielkiej arkady takie czytamy wezwanie do

świętego patrona miasta; „Marku! ty nauką twoją pokrywasz Włochy, grobem Afrykę, a Wenecyą Twoją obecnością: ty jak lew chronisz ją groźnym rykiem.”

*Italiam, Libyam, Venetos, sicut leo, Marce,
Doctrina, timulo, requie (1) fremituque tueris.*

Niekiedy poeta chciał, aby na ścianie przybytku, władcy Wenecyi, wyczytać mogli zbawienne ostrzeżenia. Gdy doża z książęcego pałacu wszedłszy do kościoła pomijał oltarz S. Klementa, mógł czytać owe słowa, złotemi wyrzute literami na marmurze mniej uległym skażeniu, niżli serca jego pochlebców: „Kochaj sprawiedliwość, oddaj każdemu, co mu należy. O dożo! niech ubogi i wdowa, nieletni i sierota znajdą w tobie obrońcę. Niech ani nienawiść, ani miłość, ani złoto, nie zachwieją twój woli! O dożo! padniesz jak kwiat podcięty, rozsypiesz się jak popiół, a według twych czynów otrzymasz po śmierci nagrodę lub karę.”

*Ut flos casurus, dux, es cineresque futurus,
Et, velut acturus, post mortem sic habiturus.*

Nakoniec mali i ubodzy w duchu nie zostali pominięci. Dla nichto przedewszystkiem dodawano napisy do obrazów; a z obawy, żeby olśnieni blaskiem malowidła, nie przepomnieli myśli ożywiającej obrazu nad wizerunkiem Zbawiciela, te wyrzute słowa: „Obraz przedstawia Boga ale obraz nie jest Bogiem. Zważ na to i wielbij myślą tego którego widzisz tu wyobrażenie.”

*Nam Deus est quod imago docet: sed non est Deus ipsa.
Hanc videas, sed mente colas quod nosis in ipsa.*

Tak więc sztuka chrześcijańska odrzucała ponęty, jakie pogaństwo rozlączało przed oczyma tłumu. Ale po tych ostrzeżeniach ściślejszej ortodoxyi, pojmujemy, że zachwycony własnem dziełem, olśniony złotem i świetnemi barwy, tenże lud, który zbudował kościół św. Marka, dał sam świadectwo, iż jego świątynia będzie królową chrześcijańskich przybytków.

*Historiis, auro, forma, specie tabularum,
Hoc templum Marci fore (sic) decus ecclesiarum.*

(1) Te dwa wiersze zawierają całą historią św. Marka. Ów uczeń św. Piotra z polecenia głowy Apostołów opowiadał ewangelią w północnych Włoszech; potem został biskupem alexandryjskim: Wenecyanie. uwieźli z Alexandryi jego relikwie i dali im świetny przytułek w Wenecyi.

Zakreś dzieła nie pozwala nam przytaczać więcej napisów; ależ skoro te napisy wiążą się z sobą tajemniczym węzłem, ściągając się zarówno do obrazów, płaskorzeźb i snycerskich ozdób, śmiało zatem rzec można, że wspaniała katedra jest księgą, poematem, i że chrześcijaństwo dotrzymując swego przyrzeczenia wy dobyło z głazu okrzyk chwały. „*Lapides clamabunt.*”

Ta poezya pomnikowa kreślona była po łacinie; wszakże nie sądzimy, aby uczeni dla uczonych ryli te łacińskie napisy, aby tylko oświecone nauką umysły zrozumieć je mogły.

Przeciwnie, wszystko tu było czysto ludowe: tak wyrażone uczucia, jako téż forma niepoprawna i rym konieczny w utworach ludu. W XI, XII i XIII wieku język łaciński upowszechnionym był we Włoszech; po łacinie kapłani głosili ludowi słowo Boże; po łacinie objawiano mu rządowe postanowienia; po łacinie układano mu wojenne - pieśni. Roku 934 mieszkańcy Modeny czuwali na murach miasta zagrożonego napadem Węgrów; rzemieślnicy i mieszczanie, uzbrojeni naprędce ku obronie domowych ognisk, na widok płonących okolicznych włości, krzepili ducha powtarzając hymn wojenny, który przetrwał aż do naszych czasów, a który mimo nowożytnego rymu, zachował wydatną cechę, starożytnéj klassycznéj epopei. „O ty! co własną piersią zasłaniasz mury miasta, nie zasypiaj, radzę ci, ale czuwaj pilnie! Dopóki czujny Hektor żył w Troi, dopóty Troja nie uległa zdradzie Greków.”

*O tu qui servas armis ista moenia,
Noli dormire, quaeso; sed vigila!
Dum Hector vigil extitit in Troja,
Non eam coepit fraudulentu Graecia.*

Była więc i poezya śpiewana, żyjąca w ustach ludu, nietylko po kościołach kędy brzmiały hymny Świętego Ambrozego i Grzegorza, ale i w obozie i na polu powszechnego zebrania, a nawet i pod gankiem nie jednéj ówczesnéj piękności, która z upodobaniem słuchała pochwał głoszonych na jéj cześć, dźwięczną mową Horacego i Wirgiliusza. Moglibyśmy przytoczyć tu na dowód niemało piosenek, śpiewanych u stołu, a nawet i satyr politycznych; lecz poprzestaniemy na wspomnieniu jednego tylko poematu większej rozciągłości, w którym dostrzeżemy wierne odbicie geniuszu włoskiego. Flota pizańska poniosła płomień wojny na afrykańskie brzegi. Było to 1088 roku. Po-

wraca obciążona łupami Sarecenów. Poeta nieznany chciał uczcić ten pamiętny czyn, ludową pieśnią. Wiersz rymowany nie zachował nawet klassycznej prozody, a jednak wszystko w nim przypomina starożytne podania. Biorąc ściśle pierwsze słowa, możnaby rzec, iż Piza wszczęła na nowo odwieczne spory Rzymu i Kartaginy.

*Nam extendit modo Pisa laudem admirabilem,
Quam olim recepit Roma vincendo Carthaginem.*

A przecież to wyprawa krzyżowa. Chrystus sam posuwa galery, a gdy chrześcianie wylądowali na brzegach Afryki, sam apostoł Piotr św. prowadzi ich, a św. Michał trąbi w róg wojenny przed nimi. Poeta opisuje zmienne koleje wojny: liczy poległych, oplakuje młodego Hugona Visconti, najdorodniejszego i najdzielniejszego z wodzów, którego krew drogo opłaciła zwycięstwo Pizanów. Dla uczczenia bohatera porównywa go do Kodrusa, „do tego przesławnego króla, który naraził się sam na skon bohaterski, byle swoim zapewnić zwycięstwo.” Wprawdzie są dalej słowa malujące pełną wiarę średnich wieków: „A więc piekło zostało wyludnione i państwo szatana zamienione w gruzy, gdy Jezus odkupiciel skonał dobrowolnie na krzyżu. Gwoli Jego służbie, przez miłość ku niemu umierasz, o drogi! A więc w dzień ostatecznego sądu, ujrzymy cię w promieniach chwały, jako pięknego męczennika.

*Pro cuius amore, care, et cuius servitio,
Martyr pulcher rutilabis venturo iudicio.*

Widzimy już przed końcem XI wieku to zjednoczenie świętych i ziemskich rzeczy, które tak potępiano w Dantem, Tassie i innych włoskich poetach. Nie pedantyzm jednak pisarza, ani smak pogański czasów odrodzenia, obwiniać o to należy, ale ducha włoskiego ludu, który zapamiętał wszelkie dawne podania i nie uronić nie chce z dwoistego wieńca swojej klassycznej i chrześcijańskiej chwały. Każde niemal włoskie miasto chlubi się, że posiada w swych murach relikwie Świętego albo li kości jakiego starożytnego bohatera lub poety. Neapol wskazuje z dumą grobowce św. Januarego i Wirgiliusza. Padwa wzniosła nieporównany przybytek św. Antoniemu, ale z niemalém także poszanowaniem zachowała kamień mający być grobem Antenora. Sienna miasto świętych nosi z dumą tytuł kolonii rzymskiej, a poza katedrą na kolumnie, długo pielęgnowała wilczycę z bliźniętami. C na cześć ku przeszłości,

dochodziła czasami do przesady, ale źródło jój było szlachetne: ludzie średniowieczni wierzyli, iż z wielkich wspomnień rodzą się wielkie czyny.

Wszakże owa poezya wspomnienia. ta poezya pieśni rycerskich i religijnych pomników, długo była słabém załedwie tchnieniem. Dopóty brakło jój właściwój formy, dopóki zmuszoną była więzić się w spleśniałój łacińskiej mowie, tak nieudolnej, gdy przychodziło jej wyrażać na nowo rozbudzone uczucia. Starożytna bajka opowiada, jak Merkury w dzieciństwie bawiąc się ponad morzem, podniósł z piasku skorupę żółwią i utworzył z niój pierwszą lirę. Tak téż i geniusz włoski młody jeszcze i czysto-ludowy, musiał zbierać u stóp swoich potarzane w prochu narzecze, z którego miał wyrobić nieśmiertelne narzędzie swoich myśli.

Oddawna już każda okolica, każde miasto, miały tu oddzielne narzecze. Związek Lombardzki zjednoczył miasta, ludy włoskie poczęły się znosić nawzajem, a zbliżone narzecza zamieniły się w język stały, który niebawem przyjęty został na dworach, na ucztach publicznych, aż w końcu stał się narodowym. Było to dziełem drugiej połowy XIIgo wieku. Na początku XIIIgo zjawia się Święty Franciszek, a człowiek ten głęboko rozmyślony w ubóstwie, śpiewa tylko w mowie ludu. Improwizuje po włosku pieśni o słońcu. Piérwszy ten wykrzyk rodzinny zbudził niezliczone odgłosy. Mnich Franciszkainin z Werony, Fra Giacomino napisał w narzeczu weneckim dwa małe poemata: *Piekło i raj*, i uTOROWAŁ autorowi Boskiej Komedyi drogę do nieśmiertelności. Inny mnich *Giacopone de Todi* błąkał się po górach Ombryi, śpiewając w niewyrobioném narzeczu ludu, już nie ulotne zwrotki, ale pieśni obszerniejszych rozmiarów, w których przechodził całą mistyczną teologią św. Bonawentury, tudzież chłostał satyrą wyuzdanie ludu i słabość duchowienstwa. Ten człowiek zuchwały niemniej przedsięwziął od Danta: poprzedził go, a można rzec z prawdą, że go natchnął.

Dante znalazł już gotowe wzory, znalazł również w starych legendach włoskich tajemne wizye niewidzialnego świata (1). Powziął on szczęśliwą, lecz śmiałą myśl podjęcia tych ludowych

(1) Powiem o tém obszerniej badając źródła poetyczne Boskiej Komedyi.

pomników i wyśpiewania, ale w języku ludowym. Główna w tém jest jego zasługa, zwłaszcza, iż go niemała ponęta na przeciwną ciągnęła stronę. Zachęcony pieknością Enejdy, którą umiał napamięć, postanowił nasamprzód napisać poemat łaciński na miarę Wirgiliusza. Zaczął go nawet w te słowa:

Ultima regna canam fluido contermina mundo.

Ale w miarę jak postępował w pracy, czuł wzgardę ku uczonym swego czasu, którzy zaprzędawali się książętom, i na cześć ich najemne nucili pieśni. Nie chciał czynić jak drudzy, a nawet oświadczył się za mową ludu. „Na hańbę wieczystą tych, którzy gardzą własnym językiem, a chwałą cudzy.“

Dante uczył z miłością język włoski: „którego samogłoski tak są miękkie, budowa tak doskonała, którym tak, jak i łacińskim snadno wyrazić najwznioślejsze i najnowsze myśli.“ Takie uczucia wyraził Dante w księdze swojej *Convito*; a kto wie, czyli w tém nie odbija najwydatniejszy rys jego geniuszu, iż podjął z prochu wzgardzone narzecze, właściwe ubogim prostaczkom. Nie stworzył go, jak mu to niesłusznie przyznawano, ale uwiecznił je nieśmiertelnym pomnikiem, pomimo złej woli uczonych owego czasu.

Professor uniwersytetu bolońskiego, Giovanni del Virgilio, pisał do Danta listy łacińskie wierszem, zachęcając, aby wybierał z greckich podań przedmioty godniejsze jego muzy jak np. Porwanie Ganimedesa. Wyrzucał mu, że pisze dla nieokrzesanego tłumu, iż zaniedbuje uczonych ludzi pracy i nauki, wybladłych nad starymi księgami, którzy nie śmieli zajrzeć do jego Boskiej Komedyi z obawy, aby sobie nie popsuli łaciny.

*Tanta quid heu semper jactabis seria vulgo?
Et nos pullentes nihil ex te vate legemus!*

Dante odpowiedział mu po łacinie wierszem pełnym alegoryi i figur, chcąc mu dowieść, że pod względem pedantyzmu i ciemności, może walczyć z mężem najuczestszym swego czasu. Ale przytém dodaje, że pragnie gorąco skończyć rychło poemat ludowy, który tyle kosztował go niewczasów, poczem chce z księgą w rękę zakolatać w ojezyste bramy. Ma nadzieję, że te otworzą się przed nim, i że doczeka chwili, w której ozdobi czoło wieńcem poetycznym, gdy go naród ochrzci poetą.

Powrócił w rzeczy samej do niewdzięcznej Florencyi, ale powrócił dopiero po śmierci, uwieńczony miasto bluszczu, któ-

ry rychło więdnije, cierniem wygnania i aureolą nieśmiertelności. Rzemieślnicy przy warsztatach śpiewali jego wiersze, Boccacyusz je wykladał (jak wykładano Wirgiliusza) z katedry ustanowionéj w tym celu przez rzeczpospolitą florencką. Malarz Michelino z wyższego rozkazu przedstawił wizerunek poety, w prześlicznój katedrze *Sancta Marya del fiore*; Dante przyobleczony w togę doktorską wskazuje na trzy niewidzialne światy, które się przed nim otwierają. Ze zwyczajną w ówczesném malarstwie nieświadomością perspektywy, przedstawia malarz miasto rodzinne Danta w małych rozmiarach, pełzające niby u stóp jego: Dante przerasta głową najwyższe dzwonnice i wieże.

Ale podczas gdy poezya święta odradzała się w hymnach św. Franciszka i jego uczniów, poezya rycerska występowała także na widowię. W XIII wieku, miasta włoskie dumne z wywalczonéj swobody, wyprawiają turnieje, wzorem pokonanych przez siebie cesarzów. Padwa, Trewiza, Wenecya, Genua, Florencya, dają na wyścigi wspaniałe uczty. Przybywają na nie tłumy muzyków, kuglarzy i inpropwizatorów. Powtarzają na rynkach romantyczne powieści o rycerzach okrągłego stołu i paladynach Karola Wielkiego, śpiewają pieśni, które obiegly wokoło Europe. Wiadomo ze świadectwa *Alberta Mussato*, że około 1320 roku, komedyanci (*les histrions*) wystawiali na teatrach wyprawę Rolanda i Oliwiera. Ci dwaj paladynowie tak byli popularni, że umieszczono ich posągi w przedsionku katedry w Weronie. Czuwają obadwaj z mieczem w ręku, a dla uniknienia pomyłki, artysta wyrył na mieczu Rolandowym nazwę *Durindana*. Słynne to ostrze sprawiło niegdyś w Pireneach niezatartą szczerbę. Około tego czasu, historycy włoscy poczęli wspominać częściej okres bohaterski panowania frankońskiego domu, (*Reali di Francia*). Dowodzą oni, że Konstantyn miał syna Kłowisa, którego Karol Wielki prawym był następcą: oraz przytaczają rycerskie czyny śmiałego Beuves d'Antone i Gisberta. W tém źródle czerpali poeci dwóch następnych wieków: *Altissimo*, *Pulci*, *Bojardo*, od których przechodzimy do Ariosta i Tassa. Ci dwaj wielcy poeci byli niemniej uczonemi ludźmi; badali starożytność, szukali w niej natchnienia, odrzucili jednak klassyczne pęta. Gdy Grecy ocaleni z klęski konstantynopolitańskiej, odbudowali tak świetnie klassyczne ołtarze wpośród literackiego pogaństwa,

które złudziło tyle wielkich umysłów; gdy posuwano wzgardę pospolitej mowy aż do zamieniania imion własnych na obce; Aryost i Tasso, na wzór Danta postanowili pisać w mowie niewiast, ludu i rycerstwą, nie dbając o poklaski uczonych, ale pragnąc, aby ich pieśń pozostała w ustach i pamięci narodu.

To téż lud, któremu poświęcili swój geniusz zapłacił im cześcią nieśmiertelną. Okazał on wdzięczność nie tylko wtedy gdy zgraja rozbójników padła na kolana przed Aryostem, lub gdy tłum mnogi cisnął się w bramy Rzymu za zwłokami Tassa uwieńczonego pogrobowym bluszczem; ale co więcej, dochował im dotąd pamięć pełną poszanowania i miłości. W Neapolu śpiewak ludu powtarza dziś jeszcze zwrotki z Rolanda szalonego, w obec majtków i rybaków zebranych w porcie, którzy tłuką orzechy na zaspokojenie głodu. Są wsie w okolicach Pizy, gdzie uroczystość patrona, uświęconą bywa corocznie przedstawieniem dramatycznym ustępów z Jerozolimy wyzwolonej, jak niegdyś w Atenach wystawiano sceny z Iliady! Wieśniacy za wspólnym porozumieniem rozbiegają role pomiędzy siebie; jeden z nich np. śpiewa słowa Tankreda, drugi Arganta, trzeci zaś powtarza część opisową łączącą dialogi. Lud ma prawdziwie genialne pomysły w przyswajaniu sobie arcydzieł sztuki. Cześć zatém i chwała poetom, którzy jak Aryost i Tasso, pieśnią kształcili ducha nie samych tylko wybranych, ale tłumy pasterzy i wyrobników, którzy karmiąc ich bohaterskim podaniem, rozwijając w nich uczucie piękna, podnosili ich wyobraźnię ku uwielbieniu wiecznego dobra i miłością ogrzewali im serce.

Tym sposobem poezya powróciła do ludu, od którego wyszła pierwotnie. Lud włoski umie się obejść bez chleba i odzieży, ale nie umie żyć bez pieśni. Większy improwizatorowie z okolic Sienny nie umieją czytać ani pisać, jednak wyższe mają pojęcie poetycznej piękności, od słynnych poetów uczonych po akademiach. Tam równie, jak w wielu sycylijskich i korsykańskich wioskach, improwizator uświęca rymem radość, lub niedolę rodziny. W Rzymie nawet mieszkańcy przedmieść wiernie zachowują starożytne podania i chętnie szukają poetycznych rozrywek. Transteweranie mienią się potomkami Trojan i każą sobie opowiadać po gospodach historią pięknej Tarpei, jak zaprzedała kraj za klejnoty, jak za karę zarzucono ją tarczami. Zajrzyjmy oto w maleńkie książeczki, których tak pełno po jarmarkach i targach, a które wieśniak zanosi do chaty, jako

miły gościniec, wraz z srebrnym klejnocikiem dla żony i wstążkę do ozdobienia rogów pracowitym wołom. Są to małe epeje pisane w ośmiowierszach na miarę Aryosta i Tassa, liczą one od 500 do 2000 wierszy. Tylko śpiewacy z rzemiosła uczą się ich napamięć, jak w Grecyi uczyli się niegdyś rapsodów Homera. We dnie świąteczne lud z okolic Rzymu gromadzi się na wspólne posłuchanie i to najmiłszą jego stanowi zabawę. Liczne są utwory tego rodzaju. Jedne z nich składają cały okres poezji świętej: zaczynają się zwykle od upadku Aniołów i stworzenia świata. Występują w nich postacie: Józefa, Samsona, Judyty, najtkliwsze ustępy nowego zakonu, legendy świętych; Neron i męczeństwo ŚŚ. Apostołów, Konstanty, Atylla i Ś. Leon Wielki. Prawda historyczna podrzędną tam gra rolę i nie krępuje w niczém swobodnego polotu wyobraźni. Owa swoboda do tego dochodzi stopnia, że św. Jan Chryzostom jest w epeji ludu nawróconym hersztem rozbójników. Inne poemata składają znów okres romantyczny. Poczyna się on od podań greckich, potrąca o starożytność Rzymu, a kończy się na ulubionych średniowiecznych opowieściach. Znajdujemy tu historią Orfeusza, oraz Pyrama i Thisbe, przygody Horacyuszów i Kuracyuszów; życie królowej Oliwy, Florindy i Chiara Stello, Olbrzyma, Moranta i klęskę pod Roncevaux. Poznajmy bliżej jeden z tych małych poematów, obejmujący historią papieża Alexandra III (*Istoria di Papa Alessandro III. Todi 1812*). Tło całe jest tu historyczne, tylko geniusz ludu przerobił historią, chcąc jej nadać zwrot bardziej poetyczny i cudowny.

Poemat zaczyna się od wzniesienia myśli ku niebu, nie tyle może czyniąc zadość starożytniej formie, jak raczej odpowiadając zwyczajom chrześcijańskiego ludu, który modlitwą uświęca czyn każdy. Wreszcie sam przedmiot budzi poszanowanie. W osobach Alexandra i Fryderyka Rudobrodego toczy się walka duchowieństwa z cesarstwem. Poeta trzyma z papieżem, jednak nie chce poniżyć i osoby cesarza. Podnosi go nawet śmiałym zmyśleniem, którym uniewinnia błąd bohatera, składając go na złowrogie przeznaczenie. Barbarossa uczynił ślub, że oswobodzi grób Chrystusa: ale nim wyprowadzi mnogie zastępy chrześcian do Palestyny, zwiedza ją sam przebrany w pielgrzyma, chcąc rozpoznać siły niewiernych. Kardynał bezimienny, który odgrywa w poemacie rolę złego geniusza, oznajmia o tém sultanowi listem obwarowanym pieczęcią papieżką. Fryderyk

wtrącony zostaje do więzienia i okuty w kajdany. Ale okupuje się na wagę złota, odpływa do Włoch, zaprzysięgając zgubę Ojcu Świętemu, którego niesłusznie obwinia o zniweczenie świętych nadziei.

Za zbliżeniem się wojsk cesarskich, Alexander opuszcza Rzym; bramy miasta zamykają się przed dostojnym tułaczem. Zmuszony pokryć swą godność prostym habitem ubogiego zakonnika, papież z koszturą w rękę przybywa do Wenecyi. Wchodzi nocą i zasiada na wschodach przed kościołem Zbawiciela, oczekując dnia białego. Z pierwszym brzaskiem jutrzynki, stróż kościelny otwiera podwoje, a widząc obcego zakonnika wskazuje mu klasztor, w którym właśnie zgromadzenie potrzebuje kapelana. Alexander idzie do klasztoru, gdzie gościnnego doznaje przyjęcia. Żyje tam długie lata w świętym ubóstwie, odziany podartym płaszczem, zapomniany od świata, niemniej jednak szczęśliwy z własnej doli.

Poeta do czternastu lat przeciąga ukrycie Alexandra III. Aż nakoniec jednego poranku, podróżny jakiś w przejeździe przez Wenecyą, słucha mszy świętej w kościele Zbawiciela, którą odprawia papież. Poznaje mniemanego kapelana, idzie do pałacu doży i oznajmia panującemu właśnie Sebastyanowi *Ziani*, oraz zgromadzonej radzie, jak świetny gość przebywa w murach miasta. Tu opowieść przybiera charakter wyższy, prawdziwie bohaterski. Doża zbiera panów i duchowieństwo, sam na ich czele wstępuje do łodzi i z wielką okazałością udaje się do klasztoru. Rozkazuje, aby zakonnicy wystąpili wszyscy jeden za drugim w wojskowym porządku. Księża strwożeni tak niespodziewanemi odwiedzinami, przechodzą drząc pod przenikliwym wzrokiem doży. Alexander idzie na ostatku. Widząc go Doża, a za nim panowie i duchowieństwo padają pokornie na kolana, zarzucają płaszcz papieżki na ramiona mnicha i proszą go o błogosławieństwo. Świetny orszak wiedzie tryumfalnie papieża w podwoje św. Marka, a potem na wspaniałą ucztę w progi marmurowego pałacu. Nakoniec Ojciec Święty błogosławi lud zgromadzony wokoło pałacowych krużganków.

Ale Wenecya nie przestaje na złożeniu hołdu papieżowi: wysłała poselstwo do cesarza. Fryderyk odrzuca wszelkie przedstawienia. Żąda aby mu wydano papieża okutego w więzy i rozkazuje synowi swemu Ottonowi, aby w tym celu stanął na czele siedmdziesięciu pięciu zbrojnych galer. Wenecyanie

uzbrajają się ze swéj strony. Mają oni tylko trzydzieści pięć naw, ale żeglarze weneccy świadomi wypraw morskich. Wreszcie za przeciwnikami mówi siła, za niemi słuszność sprawy.

Krwawa bitwa kończy się zwycięstwem na stronę Weneccyan. Doża wiezie w mury miasta młodego księcia w więzach. Cesarz ulega w końcu. W dzień naznaczony papież zasiada na tronie w pośrodku placu św. Marka, u głównego wnijscia bazyliki. Niebawem pojawia się cesarz świetnym otoczony orszakiem, klęka, całuje stopy papieżkie i otrzymuje rozgrzeszenie. Do czasu téj świetnej walki, poeta zgodnie z podaniem odnosi przywileje Wenecyi i zaślubiny doży z Adryatykiem. W chwili gdy Sebastyan Ziáni powraca z boju wlokąc za sobą szczątki floty cesarskiej, papież wypływa przeciw niemu, spotyka go w *Lido* i tam ściągając z palca drogi pierścień, w te słowa przemawia do doży: „pragnę, aby to było ustanowione wyrokiem, że książę Wenecyi, zwany będzie odtąd księżciem morza, tak on, jak najpóźniejszy jego następcy.” To mówiąc podał pierścień księżciu, a ten rzucił go w głębie morskie i zaślubił fale Adryatyku.

*E poi l' anello al principe ebbe date,
Che lo diè all' acque: e' Imar fu sposato.*

Wieleby można w tym utworze przytoczyć prześlicznych ustępów pełnych życia i naiwnego wdzięku. Ale co przede wszystkim, godne jest podziwienia, to, że walka Alexandra III z Fryderykiem Barbarossą, a zatem spór Gwelfów z Gibelinami, duchowieństwa z cesarstwem, pozostawił tak trwałą pamięć nie tylko pomiędzy uczonemi, ale i w tłumie wdzięcznego ludu. Podczas gdy statysci i historycy przepomnieli po większej części tych wielkich papieżów, obrońców swobód kościoła i ludu we Włoszech, podczas gdy ich wystawiano jako księży chciwych, czyhających jedno na zakłócenie monarchom pokoju, lud wszakże pamiętał ich zasługi. Rzeczpospolita Siena, nie szcędząc kosztów, poleciła malarzowi *Spinello Aretino*, aby ozdobił pałac rządowy freskami wyobrażającemi całą historią Alexandra III. Wenecya rozkazała przedstawić tenże przedmiot w sali wielkiej rady, naprzód Janowi Bellini, następnie zaś Tintoretemu, gdy pożar zniszczył dzieło starego mistrza. A podanie przechodząc z ust do ust, żyło w pamięci ludu, wraz z pieśniami opiewającemi wypadek, aż te nakoniec zebrane w małą epopeę, doczekały się druku w Todi 1312 roku. Pieśni te do

dziś dnia powtarzają śpiewacy wędrowni w górach Ombryi i Sabiny.

Zarzuci kto może, iż zawiele nadajemy wagi piérwszym pojawom poezji ludowej, uwydatnionym w napisach kościelnych i ostatnim jój dźwiękom wyrażonym w powyższych rapsodach. Wiemy dobrze, ile tym utworom niedostaje pod względem sztuki; ale poezya spoczywa w piersi ludu, jak chleb w łonie ziemi: można ją tylko wyrobić wytrwałą pracą i mozolem. Utwory ludu przechodząc z ust do ust, coraz bardziej tracą poetyczną barwę i przybierają cechę pospolitości; każdy wiek odejmuje im najlepszą część i poprawiając niby, kazi je niemilosiernie, aż nakoniec nianki nawet i żebracy nie chcą ich już powtarzać i porzucają na pastwę wiecznej niepamięci. Gdy zaś przeciwnie artysta z wytrwałą wolą podejmuje ów żywioł drogocenny, gdy poeta przebierze umiejętnie owe pieśni i jednolitym połączy je węzłem, wtedy z mało znaczących urywków rodzą się wieczno-trwałe dzieła; szkoda tylko, iż sztuka zaciera w nich nazbyt często pełną prostoty barwę pierwotnych czasów. Poezje Franciszka Św. i jego następców, są właśnie pomnikiem owój chwili, gdy sztuka z niezrównanym wdziękiem pochwyca natchnienie ludu, a jeżeli niezawsze umie nadać mu uroczy wdzięk formy, za to przynajmniej nie kazi go szkolną uczonością i pozostawia mu pierwotną naiwność i prostotę.



KRONIKA LITERACKA.

Miano Słowiańskie w ręku jednej familii od trzech tysięcy lat zostające, czyli nie Zendawesta, a Zędaszta, to jest życie dawcza książeczka Zoroastra. Tłumaczył z zędskiego języka Ignacy Pietraszewski. W Berlinie. Nakładem autora. 1857. Zeszyt I str. XII—109 w 4-ce.

Nazwisko pana Ignacego Pietraszewskiego oddawna już znane w świecie naukowym: nie pierwszy to już raz przysługuje się on polskiej publiczności głęboką a ciężką pracą, mającą na celu nietylko obznajomienie uczonych z mądrością, historią, zwyczajami i obyczajami Wschodu, ale jeszcze i objaśnienie historii ojczyźstęj z pomników wschodnich, i wyszukanie pierwiastkowej mowy, od której nasza słowiańska pochodzić mogła. Dziełc jego *Numi Mohamedani* wydane w r. 1843 w Berlinie, słusznie przez znawców i ludzi specjalnych cenione, rozbirowi naszemu podlegać nie może. Większęj dla nas wagi jest jego: *Nowy przekład dziejopisów tureckich, dotyczących się historii polskięj, a późnięj Tarychy Wasyf Efendego*, (tom I, Berlin 1846). Mamy obecnie aż dwa przekłady tychże dziejopisów. W r. 1825 znany w Europie orientalista Józef Sękowski wydał w Warszawie swoje *Collectanea z dziejopisów tureckich* i w dodatku do tomu II zamieścił też same cztery pomniki, które u p. Pietr. osobny tom stanowią. P. Pietraszewski dostrzegł w tłumaczeniu Sękowskiego wiele niedokładności, wiele umyślonego skażenia prawdy, widział w tém złą wolę tłumacza, i dlatego przedsięwziął nowy przekład, którego z wielką pracą dokonał. Dotąd były tylko dwa wydania całego dzieła Wasyf Efendego w oryginale: pierwsze wyszło w r. 1805 w Konstantynopolu, drugie w r. 1827 w Bulaku. P. Pietraszewski nie wskazał tych wydań, ale wiemy o tém z trzeciego tłumaczenia wydanego w r. 1855 w języku rossyjskim, a wiadomość ta o wydaniach i rękopismach możeby mogła usprawiedliwić różnicę, jaką widzimy

w przekładach obu orientalistów. Tłumaczenie p. Pietraszewskiego zawiera cztery dokumenta: pierwszym jest firman czyli list sultana Murada III do króla polskiego Stefana Batorego o najazdach Polaków na Multany, pisany w roku hidżry 985 (po n. Chr. 1578); drugim jest poselstwo tureckie do Polski z r. 1757; posłem był Mohemed Aga, a donosił o wstąpieniu na tron sultana Mustafy-Chana; opis jego poselstwa wyjęty z dzieł Tarychy Wasyf Efendego dziejopisarza tureckiego; trzecim jest poselstwo tureckie do Prus z lat 1763—4, z dzieł tegoż dziejopisarza wyjęte; posłem był Rosmi Ahmed Efendy, a opowiadanie jego jest z całego tomu najciekawsze nie dlatego, żebyśmy czegokolwiek z niego nauczyć się mogli, ale że wskazuje sąd o nas ludzi obcych, zawiera opis miast, przez które poseł przejeżdżał i rzut oka na całą rzeczpospolitą polską. Nader zajmującym jest także opis Berlina i samego króla Fryderyka II, uroczystości dworskich, stosunków króla do Austrii i Rosyi. Czwartym i ostatnim jest poselstwo do Rosyi Derwisz Mehemed Efendego z lat 1754—5, nie zawierające nic szczególnego, prócz opisu balu maskowego wyprawionego w Petersburgu przez cesarzową Elżbietę. Powtarzamy, że najciekawszym dla nas jest dokument trzeci i ten też na większą uwagę zasługuje. Różnica między tłumaczeniami obu orientalistów polskich nie jest tak znaczną, aby mogła dawać p. Pietraszewskiemu powód do uwłaczania p. Sękowskiemu w sposób nawet niezupełnie przyzwoity! Każdą różnicę p. Pietraszewski przypisuje albo nieumiejętności przeciwnika, albo umyślnemu przekręcaniu prawdy; w objaśnieniach tekstu posądza go o nienawiść do własnej narodowości i tłumaczy ją osobistą obrazą doznaną przez Sękowskiego w Wilnie, po powrocie jego ze Wschodu. Za winę mu nawet poczytuje, że się zbyt wczesnie ożenił! Nie wiem czy wyświecenie stosunków domowych do wyjaśnienia prawdy i sądu o dokładności przekładu posłużyć może, i to szkalowanie poczytujemy p. Pietraszewskiemu za winę i przypisujemy ją osobistej jakiejś niechęci, o której publiczność wcale wiedzieć nie chce. Usunąwszy te drobne uchybienia, jakże ważnym będzie dla nas to dzieło p. Pietr. Więcej z niego poznamy Wschód, jego historią, jego obyczaje, niż z kilkotomowych dzieł, napisanych po krótkim pobycie w tych ziemiach nam nieznanym jakiego turysty, co się puścił tam bez znajomości języków wschodnich, bez stosunków z mieszkańcami, bez innego przewodnika prócz dobrej woli i szlachetnych usiłowań. Mówię tu o podróży na Wschód, wydanej przed kilką laty w Krakowie. P. Pietraszewski pierwój niż został profesorem języków wschodnich w uniwersytecie berlińskim, piastował urząd konsula rosyjskiego w Jaffie; miał więc dosyć sposobności przypatrzenia się mieszkańcom Wschodu, a wszystko co nam podaje jest ciekawe i zajmujące, a zarazem wzbudza i interes ogólny, i przeraża wystawieniem obydnego postępowania rządów muzułmańskich w tych krajach nędzy i zepsucia. Ibrahim Pasza syn Mehameda Alego, narysowany po mistrzowski; obraz nędzy

nieszczęśliwych żydów garnących się do swęj zburzonej świątyni, napęlnia zgrozą i przerażeniem, a jakże ciekawe są choć krótkie wzmianki o Szulcu, Kraszewskim, Dobrowolskim, Sawickim! Dzieło p. Pietraszewskiego nicby nie straciło, gdyby się mogło ukazać z samym tylko tekstem i objaśnieniami, bez uwag grammatycznych i sporów z Sękowskim, bo uwagi dla orientalistów nie na wiele się przydadzą: dla profanów są zupełnie bezużyteczne. Ten sam, a najciekawszy dokument trzeci w r. 1855 zjawił się i w ruskiem tłumaczeniu. Przełożył go i wydrukował w Moskwitianinie (tom V) niegdys uczeń Sękowskiego Grygoryew, z pomocą drugiego orientalisty Wołkowa, a przełożył z wydania z r. 1827, jak sam powiada, słowo w słowo; i rzecz dziwna, tłumaczenie to zgadza się z przekładem Sękowskiego, a różni się od tłumaczenia p. Pietraszewskiego i wielu zwrotami i samym nawet porządkiem opowiadania. Uniesienie się p. Pietraszewskiego tłumaczymy jego gorącą miłością ku ziemi rodzinnej, nie mogącą przenieść żadnego wyrzutu jego ojczyźnie zrobionego, chociażby ten zarzut do odległej ściągął się przeszłości. Poseł turecki zarzuca Polakom z połowy przeszłego wieku, że są zniewieściali, tchórzliwi i leniwi. O tchórzliwość nikt dotąd przodków naszych nie pomawiał; lenistwo jest wadą wszystkim Słowianom właściwą, a zniewieściałość w drugiej połowie przeszłego stulecia nie wiem, czy nie jest zarzutem słusznym: bo przecież w przeciwnym razie nie stałoby się to, co się stało. Powtórę, poseł mówi, że poddanych w Polsce stanowią Rusini i Żydzi. Tak się posłowi zdawało, tak téż napisał; tak p. Sękowski i Grygoryew przetłumaczyli: p. Pietraszewski zbija takie rozumienie wyrazu *Rus* i mówi, że toż słowo znaczy po turecku jeszcze *capita, duces*, naczelników, a w tłumaczeniu wyraził się, że poddani w Polsce składają się z chłopów i żydów. Jeżeli drugie znaczenie ma wyrażać *wodzów*, to jakże *wodzów* przez chłopów tłumaczyć można? Dzieło swoje poświęcił p. Pietraszewski swym współziomkom, a *w ofierze* znać to pocziwe uczucie, które autorem przez cały ciąg dzieła kierowało; przytaczamy ją tutaj, opuszczając tylko zbyt ostre wyrażenia ściągające się do samej tylko osoby, którą autor za cel swych pocisków obrał. Ofiara ta brzmi następnie: „braciom poświęcam obecne wydanie, nikogo bowiem z obcych ono nie obchodzi tyle jak tych, którzy czują i cenią myśli nawet Persa mówiącego: żyć można bez ciebie i nie w tobie, o ziemi moja rodzinna! jednakże gorszem jest takie życie, jak tysiąc razy umierać i odżyć znowu na chwilę!”

Przechodzimy do ostatniej pracy p. Pietraszewskiego w tytule naszego sprawozdania wyrażonej. Rozbiór nasz nie jest recenzją, do takiego tytułu nie ma on żadnego prawa; jestto tylko sprawozdanie celem obznajomienia czytelników z treścią i celem pracy naszego współziomka. Orientaliści polscy dobrze się zasłużyli uczonej publiczności, a przez to samo i krajowi zaszczyt przynieśli. Zajęli oni najwyższe naukowe godności, i przyczynili się do roz-

szerzenia świątłych pojęć o wschodzie, jego językach, religii i obyczajach. Kowalewski professor zasłużony języka mongolskiego, współczesny Mickiewiczowi, Jeżowskiemu i równemu z nimi onego czasu uległy losowi, jest obecnie rektorem kazańskiego uniwersytetu; Sękowski był professorem języka perskiego w uniwersytecie petersburskim; Kazimirski tłumacz na język francuzki Koranu znanym jest powszechnie; p. Pietraszewski zajmuje katedrę języków wschodnich w uniwersytecie berlińskim; Kossowicz rodem ze Żmudzi, bibliotekarz CESARSKIEJ biblioteki publicznej w Petersburgu, wydaje obecnie Słownik sanskrycko-rossyjski drukujący się przy Izwiestijach” przez też akademią wydawanych; Muchliński jest professorem języków wschodnich w uniwersytecie petersburskim. Najnowsza praca p. Pietraszewskiego ma za przedmiot Zendawestę czyli Zędasztę, to jest *słowo życia*, utwór Zoroastra, jednego z największych mędrców Wschodu, prawodawcy ludów między Eufratem, Kaukazem, rzeką Oxus i morzem Indyjskim. Zendawesta napisana w języku zendskim, który był dawną mową Persów, dziś już martwą i tylko w księgach świętych przechowaną. Kiedy żył Zoroaster, z pewnością niewiadomo: zwykle odnoszą go do XII wieku przed nar. Chr. Uczniowie jego rozdzielili się na dwa oddziały: z tych jeden do dnia dzisiejszego mieszka w Kirmanie nad morzem Kaspijskim i tam ogień święty pielęgnuje; drugi zaszedł do Guzaratu, gdzie Surat jest głównym jego siedliskiem. Tam ma on swoją świątynię, tam się modli do Ormuzda, który jest początkiem dobrego; tam strzeże ceremonij świętych i pacierz w Zendskim odmawia języku. Tyle tylko powiem o przedmiocie pracy p. Pietraszewskiego, nie jest bowiem moim zamiarem wyklądać religią czcicieli ognia, którą czytelnik ciekawy znajdzie w dziele pierwszego wynalazcy i pierwszego tłumacza Zendawesty, w dziele Anquetil’a du Perron (Paris 1771) lub jego niemieckiego tłumacza Kleukera (Ryga 1776—1777). W krótkości zaś da o nim pojęcie i historia powszechna Cezara Cantu (tom II tłum. L. Rogalskiego) lub Historia powszechna kościoła przez Alzog’a, (t. I, str. 77, tłum. p. Belejowski). Ważniejszym dla nas od przedmiotu jest cel polskiego przekładu. Sam już tytuł polski jest dla nas zagadkowym: *miano słowiańskie w ręku jednej familii od trzech tysięcy lat zostające, czyli nie Zendawesta, a Zędaszta*. Objaśnienie tytułu znajdujemy w krótkiej niemieckiej przedmowie: (zur Benachrichtigung), wyrażonej na tylniej okładce zeszytu i po francuzku. Przedmowa francuzka tak brzmi po polsku: „Bóg i ciągła praca nad językami wschodniemi przyprowadzili mię do odkrycia interesującego wszystkie narody Europy. Zędaszta (a nie Zenda-Vesta), to jest księga życiodawcza obejmuje w sobie nie bałwochwalstwo, jakto sądziło wielu uczonych, ale naukę o Bogu wszechmogącym i o nieśmiertelności duszy. Życie bezbożne narodu perskiego przed 3000 lat, tyrania rządu, wielożęństwo posunięte aż do ostateczności, ciągła zaraza morowa z powodu trupów zostawionych bez pogrzebu

i próżniactwo narodu zniewoliły Zoroastra do podania środków zaradczych. Z początku uczył on naród moralności i rolnictwa i posłał go *do 7-go klimatu nad morze Bałtyckie*, aby tam uprawiał ziemię. Pisownia (bo tę jak sądzę, autor rozumiał pod słowem: la lecture) tego dzieła jest słowiańską, a w dziele znajdujemy tysiące słów, które napotykamy we wszystkich dyalektach tego (słowiańskiego) języka. *Jestto fakt niezaprzeczony*. Bezinteresowność i miłość prawdy spowodowały autora do sprzedawania tego dzieła zeszytami, za gotowe pieniądze" (1).

Widzimy więc cel autora: dowieść, że język, którym przed trzema tysiącami lat w Persyi mówiono, jest językiem słowiańskim, a przynajmniej zawierającym *tysiące słów słowiańskich*; powtórze: że naród perski wywedrował nad morze Bałtyckie i że zatem Pomorzanie, więc i najbliżej z nimi spokrewnieni Polacy pochodzą od uczniów Zoroastra dawnych czcicieli ognia.

Co do pierwszego. Badania filologiczne wykryły podobieństwo języków europejskich z sanskryckim, świętą mową Indyan, i z 1500 pierwiastków mowy sanskrytu znalazły 1000 w naszych europejskich językach. Odkrycie języka zendzkiego, świętej mowy dawnych Persów, jeszcze dalej posunęły te badania. Indologowie wykryli podobieństwo sanskrytu z narzeczeniami greko-pelagijskimi, języka zendzkiego ze szczepem języków germańskich, i w szczególności z dawną mową Germanów, z mową gocką. Rezultatem tych badań jest dzieło: „Parallèle des langues de l'Europe et de l'Inde par Eichhoff, Paris 1831.” Z tych badań jasno się okazuje, że wszystkie prawie języki europejskie mają podobieństwo wzajemne; że każdy z nich zachował mniej lub więcej pierwiastków dawniej mowy Indyan; że wszystkie ludy europejskie wyszły początkowo z Azji; że tam była kolebka rodu ludzkiego, o czém wreszcie i bez filologów dawno świat wiedział z Pisma świętego. Podzielono więc języki ludów historycznych na szczep indo-europejski i szczep semityczny: do pierwszego zaliczono język sanskrycki z najbliższymi od niego pochodzącymi językami Azji południowej i większą część języków europejskich; do drugiego zaliczono ludy lub wprost od Sema pochodzące (Żydzi, Chaldejczycy i Arabowie), lub też z nimi spokrewnione, Assyryjczycy, Babilończycy, Fenicyanie, Abissynianie, Kopty, Baski w Hiszpanii i inne). Do indo-europejskiego szczepu należy i język zendzki, w którym pisana jest Zenda-Vesta, do niego też i nasz słowiański należy. Oznaczenie bliższego podobieństwa mowy naszej do sanskrytu było i jest zadaniem uczonych filologów słowiańskich, którym nie jest obcą mowa ludów wschodnich; wykazanie podobieństwa mowy naszej do języka zendzkiego przedsięwziął obecnie p. Pietraszewski.

(1) Cała część, którą p. Pietraszewski przepolszczyć zamierzył, zawiera u Anquetil'a XXII rozdziały; zeszytów więc będzie najmniej jednaście, jeden zeszyt po 10 talarów.

Zamiłowanie języka ojczystego doprowadzone aż do pogardzenia mowami obcemi, duma narodowa zbyt wygórowana, bo każąca uważać swój naród za najdawniejszy i najszlachetniejszy na świecie, nadawały zawsze fałszywy kierunek pracom uczonych słowiańskich, którzy się nad pochodzeniem języków zastanawiać chcieli. Dawne czasy i przeszłe wieki zostawiam w pokoju; wtedy bowiem ze zwyczaju każdy historyk najlichszego kraju zaczynał swą historią co najmniej od Noego i lud swój wyprowadzał w prostej linii od jego synów i ma się rozumieć od Jafeta, lub jego dzieci i wnuków. Ledwie w początkach bieżącego stulecia zaprzestano się bawić w genealogią, a zaczęto pisać historią ludów tylko od czasu pewnych świadectw o ich bytności. Miało być podług jednych 73, podług innych 72 narody, z których blisko połowa, bo 31 poszła od Chama, 27 od pobożnego Sema, a 15 od Jafeta i siedmiu jego synów. Ale co mieli począć biedni słowiańscy historycy, nie znajdując w nazwach aż tylu ludów tylko swych narodów imienia; od kogoś przecie trzeba było ród swój wyprowadzić: szukali więc w dawnych kosmografiach i greckich i łacińskich, czyby do kogo siebie nie mogli przyczepić. U greckich pisarzy: Synkella, Kedrena, w Chronikon Paschale; u łacińskich: Euzebiusza (*Thesaurum temporum*), u Hippolita z III wieku (*Chronicon de divisionibus et generationibus gentium*), u Ado z IX wieku (*Breviarium chronicorum ab origine mundi*) o Słowianach ani wzmianki. Jest tylko u Euzebiusza: *Illyria lucidissima* (najjaśniejsza) *Sarmatia*, *Thracia*, *Scythia*; u Hippolita: *Sarmatia*, *Thracia*, *Dalmatia mollis*, *Illyria*. Co tu począć? Nestor pierwszy wyliczając część Jafeta po Illiryi dodał: „*Słowienie*”, bo do jednej Illiryi dodał Euzebiusz „*lucidissima*”; oczywista więc, że ten przydomek tylko do Słowian się stosował, notabene jeżeli Euzebiusza znał Nestor.. Kadłubek czyli raczej Mateusz rozradowany, że nazwa Jawana syna Jafetowego bardzo podobna do Iwana, od tegoż wywodzi początek swego narodu i potomków jego różnemi drogami aż do Krakowa prowadzi, a mając Scytów za Słowian, wszystko co gdzie o Scytach wyczytał, Polakom przypisał. Lengnich Lachów od Lazów, mieszkańców Kolchidy wyprowadza, a inni od innych, że nie wspomnę o znakomitych nawet pisarzach: Janie Potockim, Wadze, Albertrandym. Przydomek dany przez Euzebiusza Illiryi bardzo się podobał Illiryjczykom i dalejże krzyczeć po świecie, że Słowianie dzisiaj Illiryą zamieszkujący, sąto potomkowie tych samych Illirów, o których i bizantyńscy i łacińscy piszą kronikarze, że język illiryjski, czyli co jedno i to samo, słowiański, jest językiem najdawniejszym na kuli ziemskiej; że jest matką wszystkich istniejących narzeczzy; że sam Bóg w niebie i Adam w raju po słowiańsku mówili. Appendini w 1806 r. wydał dzieło: „*de praestantia et vetustate linguae illyricae ejusque necessitate ad plurimarum gentium populorumque originés investigandas*” (to jest o zaletach i starożytności języka illiryjskiego i o jego konieczności do zbadania początków mnóstwa plemion i narodów); i dalejże porównywać ze słowiań-

skiami odkopane w starych rękopismach słowa macedońskie, trackie, scytyjskie, wandalskie, i dowodzić, że wszystkie te narody mówiły po słowiańsku; mało tego, ile tylko było ludów w starożytności, wszystkie bez wyjątku mówiły czystym lub zepsutym słowiańskim dyalektem; bóstwa mitologiczne w illiryjskim tylko swe objaśnienia znajdują: Bacchus od *Bóg*, lub jak Dębołęcki wyprowadzał od *Beczkos*, bo na beczce siedział, Semele od *Semia* (ziemia). W tej słowianomanii Appendini miał mnóstwo naśladowców. Hrabia Sargo z Raguzy w rozprawie swojej: *Mémoire sur la langue et les moeurs des peuples Slaves*, zaszedł jeszcze dalej, *Sanskryt* objaśnił przez *um-skryty*, samego Jehowę przez *je (jest) i owy*, *Nabuchodonozora* przez *nam bucho dano zar*, to jest tyle co *nam od Boga dany car*; *uranusa* od *uranić*, *Cotytto* (*Venus plebeja*) od *koceniá się* i t. d., a język scytyjski czyż mógł nie być słowiańskim, kiedy dochowane z niego wyrazy najdokładniej na to pochodzenie wskazują; naprzykład scytyjskie *Spu*, oko, w najczystszym jest związku ze słowem: *spac*, to jest *oko zmrużać*. Ale dość tych bredni; na ówczesny stan filologii słowiańskiej nie byłoby zbyt rażąca przesada. Gorsza daleko, że dziś jeszcze podobne wywody się przytaczają. Nawet Mickiewicz błędu tego nie uniknął, i w jednym ze swoich Kursów literatury słowiańskiej zupełnie też same co Appendini, błędy etymologiczne powtórzył. Jednocześnie inny poeta słowiański Kollar, zbierał materyały do dzieła swego wydanego w r. 1853 (*Staroitalia Slavjanska*), w którym usiłował dowieść, że Włochy były zaludnione pierwotkowo przez Słowian, którzy lądem i morzem ze wschodu, północy, zachodu i południa weszły do Italii, a ztąd od czasów najdawniejszych i aż do dnia dzisiejszego pozostały tam ślady Słowiańszczyzny. Na północy Italii panował podług Kollara język słowiano-etruski, na wschodzie słowiano-umbryjski, we Włoszech środkowych słowiano-łaciński i słowiano-sabiński, na południu słowiano-oński. Na tej zasadzie wszystkie starożytne pomniki piśmienne półwyspu apenińskiego Kollar słowiańskim objaśnia językiem, a germański fantastyk Auerbach niemieckim. Praca Kollara niewysłowiona, wydanie dzieła okazało; ale cóż, kiedy nauka filologii lub etnografii żadnej a żadnej z niego korzyści odnieść nie może. Ale jeszcze i ten czas uważam za odległy; oto wszystkiego przed dwoma laty *Gazeta Codzienna* zamieszczała w swych kolumnach artykuły cyframi A. R. podpisane, w których brednie etymologiczne doszły już do najwyższego stopnia zboczenia; wreszcie i dwóch lat nie potrzeba: przed rokiem miałem w ręku obszerny wolumen do druku przeznaczony, w którym autor wbrew zdaniu Kollara, Słowian z Italii od Osków wywodzi, a za dowód przytacza nawet imiona własne, na *ski* zakończone. Pamiętam jeden przykład: negadawszy się dosyć o *Oskach*, *Eskach*, autor powiada: weźmy naprzykład nazwisko *Popławski*, czyż ono nam dostatecznie nie wykazuje swym składem, że rzekę *Po* w *pław* przebyli *ski*, to jest *Oski*. Na szczę-

ście rękopism pozostał w ukryciu: widać, nie znalazł odważnego przedsiębiorcy.

W tym samym duchu wyszła w Moskwie w r. 1855 książka w języku rossyjskim pod tytułem: *Примѣры всесвѣтнаго славянскаго чаромантія астрономическихъ выкладокъ* i t. d. przez Łukaszewicza; książkę tę autor rozesłał *nieznajomym*, darmo, bo znajomi i przyjaciele zapewne zapłacić musieli, i z niej wnioskujemy, że uczony i głęboko myślący filolog zbadał wszystkie języki świata, i doszedł, że każde słowo jakiegokolwiek narzecza, przekręcone z przedstawieniem spółgłosek, samogłosek, dodaniem, obcięciem niezawodnie się znajdzie w jakim języku Europy, Azji, Afryki lub Ameryki. Prócz tego autor przedsięwziął dowieść, że we wszystkich językach słońce znaczy *władzę* i liczbę *pięć*, a ziemia liczbę *trzy* i przytoczył mnóstwo na to przykładów z podobieństwa dźwięków; ale *chef d'oeuvre* jest jego objaśnienie alfabetu greckiego słowiańskim językiem: *alpha* znaczy o chwała! *beta* czyli po rejchlińsku *wita* przez przedstawienie zgłosek znaczy diwa, dziewa, *delta* zamiast *dla tia* dla ciebie, *theta*, dzieci i t. d. Nie dotykałbym tego przedmiotu, gdybym nie wiedział, że pewien uczony z niej czerpie filologiczne natchnienie i niestety podobno już prasę męczy. Na tém samém polu, tylko nieczysto filologiczném, a etymologiczno-historycznym pracował, a może jeszcze i dotąd pracuje u nas, rodzony brat p. Ignacego Pietraszewskiego, pan Baltazar, którego dotąd dwa dzieła znamy; pierwsze pod tytułem: *Słowianie w badaniach początkowych z historii powszechnej* (Warszawa 1845); drugie, *Słowianie byli świadkami i obrońcami ubóstwa i pierwszej kultury Europy*. (Warszawa 1855). Co do pierwszego, nie wiem czy w swoim czasie miało ono sprawozdawcę w pismach publicznych; wiem tylko, że praca ta byłaby nieskończenie mozolną, i jeżeli kto chce mieć wyobrażenie o obu tych dziełkach, niech zbierze do kupy wszystkie słowa polskie, doda do tego dużo nazw jeograficzno-historycznych i potem wszystko razem pomiesza; po wysypaniu téj mieszanki, ale z zachowaniem prawideł grammatycznych, dzieło takie jak p. Baltazara Pietraszewskiego ułoży się samo przez się. Zdziwi się czyteinik zapewne, dlaczego raczej nie wykazują prawdziwego postępu filologii; mażto być właściwą przedmową do nowój pracy p. Ignacego Pietraszewskiego? Odpowiadam, niestety! *cel* téj nowój pracy jest dalszym ciągiem badań wyżej wspomnianych. Autor przełożył dwa rozdziały Zendawesty; pierwszy jest w pięciu językach: zendskim, polskim, niemieckim, francuzkim i tureckim; w drugim tureckie tłumaczenie usunięte. Objasnienia obu rozdziałów są w języku polskim, a w nich autor usiłował dowieść i przekonać, że język zendski jest słowiańskim, czyli że słowiański ma wielkie z zendskim podobieństwo. Powiem, jak niegdys Socynian Dąbrowski o dziele pewnego Jezuity, który obszerną rozprawę teologiczną wydrukował o nieśmiertelności duszy, lecz słabemi ją poparł argumentami: „podług tych dowodów księdza jezuity śmiało

twierdzić można, że dusza ludzka jest śmiertelna." Tak po dowodach p. Pietraszewskiego śmiało wyznajemy, że język słowiański żadnego prawie podobieństwa z zendzkim nie ma, to zaś jakie w kilku pojedynczych wyrazach upatrujemy, jest właściwe wszystkim językom indo-europejskim. Cóż z tego wynika? oto, że wszystkie języki indo-europejskie, jako z jednego a nieznanego źródła pochodzące, są do siebie w wielu wyrazach podobne, a szczególnie w tych, które do pierwszych potrzeb należą, i które są niezbędne do wyrażenia pierwiastkowych pojęć człowieka. Tak matka, brat, mąż, siostra, jeść, dać, stać, i imiona liczbowe mają prawie wszędzie jeden i tenże pierwiastek. W językach do jednego szczepu należących, jedne pierwiastki dochowały się w jednym, inne w innym narzeczu, z tego jednak nie wypada, aby to lub owo miało większe prawo do dawności i powinowactwa z językami najstarożytniejszemi. Nawet w słowniczkach dodanych do obu rozdziałów Zendawesty, widzimy, że niektóre słowa przechowały się w języku niemieckim, a w naszym, żadnych śladów nie zostawiły; na tém samém więc prawie i Niemcy mogą dowodzić i rzeczywiście dowodzą, że mowa zendzka najpodobniejszą jest do germańskiej. Każdy na swe koło wodę ciągnie, p. Pietraszewski w najszlachetniejszej chęci dowiedzenia swój myśli głównej, ucieka się nawet do naciągania, i dla oddania myśli oryginału dobiera wyrazów najpodobniejszych brzmieniem do słów zendzkich. Tak *pergert* rozdział, nazwał *przegartem* od przegartywania, przerzucania; *urwerao* drzewa, zioła, wszystko co się *urwać* daje, *urwiałka*; *pajesoj*, policyant, za *pasem* knut noszący, *spitemoj* uczony, ruskie *wospitatiel* guwerner i t. d. Tu zrobimy uwagę, że też same wyrazy u Anquetil'a brzmią zupełnie inaczej; tak *pergert* u niego *fargard*, *spitemoj* = *sapetman*, *urwerao* = *oruertur*. Są bezwątpienia wyrazy oczywiście podobne z brzmienia i ze znaczenia do słowiańskich, ale jak powiedziałem, takie podobieństwo jest wspólne wszystkim językom indo-kaukazkim, mającym jedno i toż samo pochodzenie. Nietylko języki Jafetowe, ale nawet Semityczne, jak hebrajski, mają niejaki podobieństwo do naszych słowiańskich narzeczy, do tego stopnia, że Frenzel (*Origines linguae Sorabicae*) całe dzieło o tém podobieństwie napisał. To jednak wyszukiwanie podobieństwa z językami semitycznymi żadnego pomyślnego skutku dotąd nie odniosło i nikogo nie przekonało. Wiemy, że z kilkunastu lub kilkudziesięciu, kilkuset nawet wyrazów, trudno jest sądzić o powinowactwie języków. I jakkolwiek są szacownemi dzieła takie jak *Słownik porównawczy* 285 wyrazów przez 200 języków europejskich i azyatyckich przeprowadzony, a przez Pallosa i Backmeistera zebrany (1), lub jak drugi *Słownik porównawczy* z rozkazu Cesarzowej Katarzyny II ułożony (2), a zawierający

(1) *Sravnitelnyj słowari wsiech jazyków etc.* Petersburg, 1787—1789. 2 tomy.

(2) *Sravnitelnyj słowar' wsiech jazyków po azbucznomu poriadku raspołożennyj.* Petersburg 1790—1791. 4 tomy.

do 300 wyrazów objaśnionych w 277 językach i dyalektach, a mianowicie w 52 europejskich, 185 azyatyckich, 28 afrykańskich i 15 amerykańskich jakkolwiek nie bez wartości jest dzieło Bartona o ludach amerykańskich i Herwasa *Vocabularium Poliglottum* i wiele innych, zawsze jednak we względzie filologicznym są one niedostateczne. Nie z samych bowiem pojedynczych wyrazów o języku wnioskować należy, bo te często w błąd wprowadzić są w stanie; ale jedynie analogia tworzenia się wyrazów, wzięta razem z całym zbiorem pierwiastków języka, może przyprowadzić do wniosków o pochodzeniu i powinowactwie języków (1). O ile więc z materiału języka, z jego lexicografii sądzić można, podobieństwo naszych narzeczy z zendskiem udowodnionem być nie może. P. Pietraszewski obiecuje pomówić w ostatnim poszycie o grammatyce tego języka; może coś nowego wykryjemy, bo z dotychczasowych badań wypływa wniosek, że i co do tworzenia się wyrazów żadna analogia między naszymi a zendskimi językami nie zachodzi.

Co do drugiego celu pracy pana Pietraszewskiego, to jest co do wywędrowania uczniów Zoroastra do 7-go klimatu czyli nad morze Bałtyckie, ten ma być w dalszych poszytach wykazany. W tym względzie pan Pietraszewski zada sobie za dużo mozół: nikt nie wątpi, że Słowianie wyszli z Azji, ale czasu tego wyjścia historia nie oznacza; musiało więc ono nastąpić w czasach przedhistorycznych i przyjęto już za pewnik, że naród tak wielki jak słowiański nie przychodzi, ale na miejscu wzrasta; żeby więc jeszcze w VI wieku zasłużyć sobie na nazwę narodu licznego, (natio populosa, numerositate pollentes) (2), trzeba na to nie kilka stuleci, ale tysiącznego lat obiegu. Jakkolwiek trzy tysiące lat upłynęło od czasów Zoroastra, języki jednak słowiańskie są piśmieniem już od lat tysiąca, a przed tym tysiącem także mało miały podobieństwa do zendzkiego, jak i dzisiaj. Posuwając się coraz dalej w przeszłość, znajdziemy jeszcze dosyć słów słowiańskich rozrzuconych u pisarzy greckich i rzymskich, a i te nawet nie wykazują szukanego podobieństwa. Jeżeli więc słowiańskie narzecza od przeszło tysiąca lat tak mało się zmieniły, szczególniej co do materiału języka, to przez analogią wnioskujemy, że i od czasów Zoroastra nie mogły się zmienić do tego stopnia, aby się prawie wszelkie ślady tożsamości zatarły i mimowolnie przychodzimy do wniosku wskazanego przez Pismo Święte, że jeszcze przy budowaniu wieży babilońskiej języki tyle się jeden od drugiego różniły, że się ludzie wzajemnie już wtedy zrozumieć nie mogli i w różne strony rozejść się musieli. Wówczas jedno z tych plemion przeszło do Europy, ale nie wprost nad morze

(1) Patrz o tém: Mithridates Adelunga w tomie 4 z r. 1817; dodatek Wilhelma Humboldt, str. 305 i nast.

(2) Patrz Jornandes'a w Muratorego: *Rerum Italicarum scriptores. Mediolani 1723*, str. 194 i 203.

Baltyckie, bo skok byłby za duży. tylko stopniowo się rozszerzając, już za czasów historycznych o Baltyk, morze Niemieckie i Adryatyckie się oparło. Pan Pietraszewski dzieli ziemię na klimaty, i uczniów Zoroastra do siódmego klimatu przenosi, na jakiej zasadzie, nie wiemy: bo o klimatach mowa jest tylko u Edrisi'ego geografą z XII wieku, i Słowiańszczyzna rzeczywiście mieści się u niego w klimatach VI i VII, a Polska na skraju szóstego i siódmego pasa czyli klimatu (1). Ale jakim sposobem opowiadanie Zendawesty z 1200 r. przed Chrystusem połączyć ze wskazaniem Edrisi'ego z 1154 r. po Chr., tego wcale nie pojmujemy i rozwiązania zagadki od dalszych poszytów wyglądać będziemy. Kończę uwagę, że z czcią prawdziwą patrzymy na pracę pana Ignacego Pietraszewskiego, że cenimy jego naukę, wytrwałość, poświęcenie się; że trudność tej pracy przy wydaniu takiego dzieła, przy którym sam i autorem i zecerem być musi, jest niewysłowioną; że cena na pierwszy zeszyt naznaczona (10 talarów) wcale nie jest za tyle poświęceń i kosztów wygórowaną, bijemy czołem przed poczciwą dążnością i olbrzymią pracą, ale mimo to pytamy: *cui bono?*

J. Papłoński.

Archiwa prowincyjne w państwie pruskim.

Prócz archiw tajnych w Berlinie i Królewcu, każda z prowincyj dzisiejszego państwa pruskiego posiada, wyjąwszy Księstwo Poznańskie, tak nazwane archiwum prowincyjne. Jestto skład przywilejów, korespondencyj, akt, kronik i innych dokumentów po supprymowanych biskupstwach, kapitulach, klasztorach, po wygasłych rodzinach książąt panujących i t. p. Archiwa te wzorowo uporządkowane powierza rząd pruski zwykle pieczy ludzi, którzy w świecie naukowym wydaniami dziełami głośne imię sobie zjednali, i którzy z takich bogactw umysłowych należyce korzystać umieją, jakoto: Vogtom, Stenzlom, Ledeburom, Medemom i t. d. Każde z tych archiw prowincyjnych pruskich posiada mniej więcej liczne materyały do dziejów Polski; najobfitszemi atoli w takie materyały są archiwa prowincyj, które niegdyś do Polski należały, albo téż z nią graniczyły, to jest pruskie, pomorskie i szląskie. Dokumenta tych trzech archiw tyczące się Polski, wyliczę, zaczynając tą razą od szląskiego.

Archiwum prowincyjne szląskie złożonóm jest w Wrocławiu. Składa się z przywilejów i innych dokumentów po licznych między latami 1809—20 zniesionych klasztorach szląskich, z archiw po książętach lignickich, z archiwum Sobieskich, z archiw

(1) Patrz Lelewela, Polska wieków średnich. Tom II, str. 355 i tegoż Atlas dołączony do: Géographie du moyen âge, tablice X i XI.

niektórych miast szląskich i t. p. Uporządkował je zmarły już uczony historyk niemiecki Stenzel. Z polskich rzeczy zawiera w sobie następujące szczegóły:

1) List Kazimierza Jagiellończyka z r. 1472 do Fryderyka księcia lignickiego, w którym go seryo upomina, aby Władysławowi nowo obranemu królowi czeskiemu, homagium niezwłocznie złożył, dając mu do zrozumienia, że w przeciwnym razie inaczej o to poproszonym zostanie.

2) List Kazimierza Jagiellończyka z r. 1487 do Fryderyka księcia lignickiego, w którym się król polski wstawia za swoim poddanym Stanisławem mieszczaninem z Tarnowa, któremu kupcy szląscy długu za woły od niego kupione oddać nie chcieli.

3) List Janusza Latańskiego wojewody poznańskiego z r. 1550 do Jerzego księcia lignickiego, w którym mu dziękuje za przysłane sobie dwa psy i nawzajem posyła mu dwa wprawione do łowów sokoły. „*Nuper etiam, mówi między innymi w tym liście Latański, Serenissimo Regi Romanorum quatuor lectos falconas assignavi, cum iisque suae Sacrae Majestatis falconarius, qui eos tollat, in itinere expectatur.*” Te szachry myśliwskie możnowładcy polskiego z zagranicznymi monarchami nie były zapewne bardzo korzystnymi dla Polski.

4) List Stanisława z Werbna Rydzyńskiego z r. 1549 do Jerzego księcia lignickiego pisany po polsku. Ważny nie tak z treści jak z formy, w której był pisany.

5) List Jakóba Uchańskiego prymasa pisany po polsku w roku 1573 do Kaspra Zebrzydowskiego wojewody kaliskiego. Ostatni zakomunikował go zapewne książętom lignickim w oryginale, otwierał on bowiem widoki Piastom szląskimi dostania się na tron polski po śmierci Zygmunta Augusta, albo raczej po wygaśnięciu po mieczu rodziny Jagiellońskiej.

6) List księcia Konstantego Ostrogskiego wojewody kijowskiego z roku 1564 do Jerzego księcia lignickiego, w którym księciu donosi, że mu posyła trzy żądane konie ukraińskie i parę rogów jelenich.

7) List Jakóba Rokossowskiego dziedzica Sierakowa z r. 1574 do Jerzego księcia lignickiego, w którym między innymi powiada, że na żądanie księcia posyła mu dzielnego konia, którego książę dla siebie na jakąś wyprawę wojenną zamówił.

8) List Andrzeja Opalińskiego marszałka w. koronnego z roku 1575 do Jerzego księcia lignickiego, w którym księciu dziękuje za dobre przyjęcie, jakiego żona jego bawiąca u wód w Szląsku od księcia doznała. Z listu tego widać, że Opalińscy żyli z książętami lignickimi na poufałej stopie przyjaźni.

9) List Jana Zborowskiego podczaszego koronnego z r. 1576, pisany po polsku do Jerzego księcia lignickiego. Jak wiadomo, Jan Zborowski był najpotulniejszym z pomiędzy wszystkich braci swoich, a przecież list ten jest w tak zuchwałym tonie do księcia panującego pisany, w jakimby dziś magnat polski

do swego ekonomy pisać nie śmiał. Już z tego listu powziąć można wyobrażenie co zaszli byli Samuel i Krzysztof Zborowscy.

10) Kilkanaście listów z różnych dat Katarzyny, żony Zygmunta Augusta, pisanych w niemieckim języku do książąt lignickich. Listy te rzucają niejaki światło na życie Zygmunta Augusta z małżonką swoją, tudzież na jego życie prywatne.

11) Paka papierów pisanych w niemieckim języku dotyczących się bezkrólewia po Zygmuncie Auguste i Henryku Walezym, znacznej wartości historycznej. Szczególniej zasługują na uwagę: „*Acta vom Empfange und Begleitung des neuen Koenigs von Pohlen durch Schlesien 1573.*”

12) Trzy dokumenta dotyczące się elekcji Stefana Batorego.

13) Paka papierów pisanych częścią w niemieckim, częścią też w łacińskim języku, dotyczących się elekcji Stefana Batorego, niemaliej wartości historycznej.

14) Opis bitwy pod Byczyną w niemieckim języku. Opis ten różni się od opisu współcześnie w niemieckim języku drukowanego.

15) *Acta wegen der polnischen Angelegenheiten, Haltung der Kundschaften in Pohlen, derselben Bezahlung; verschiedene Invasiones der Polacken in Schlesien* i t. d. Paka papierów pod powyższym tytułem zawiera rozmaitej wartości dokumenta historyczne od r. 1560 do 1579. Najważniejsze są listy szpiegów płatnych od książąt szląskich. Do tej posługi używali książęta szlascy Niemców zostających w obowiązkach u magnatów polskich: między temi Niemcami najczynniejszym był niejaki Scharf lekarz na dworze Jędrzeja Opalińskiego marszałka wielkiego koronnego. Nie odstępując nigdy boku swego pryncypała jeździł z nim na sejmy, na dwór królewski, na rozmaitego rodzaju zgromadzenia szlachty, wszędzie nadstawiał pilnie ucha, a że umiał po polsku i nikt się w nim szpiega nie domyślał, nie strzeżono go się: odkrywał więc wiele tajemnic rządu polskiego i wyjawiał je książętom szląskim, a ci posyłali je zapewne domowi rakuzkiemu.

16) Spis dokumentów, które się stosunków Polski i Szląska tyczyły, a których już dziś w archiwum prowincyałném szląskiem nie ma: znajdują się one zapewne w archiwum tajném w Wiedniu. W spisie tym jest wzmianka, że Jakób Brzeźnicki kanonik poznański przesyłał w r. 1582 cesarzowi niemieckiemu wszelkie *arcana polonica*, i za to pobierał od cesarza roczną pensją. Tak dawnym i zakorzenionym było w narodzie naszym to moralne zepsucie. Książd opatrzonej hojnie dochodami kościołami nie rumienił się sam siebie zdradzać własną ojczyznę za marną nagrodę roczną. Ten sam spis wspomina o jakimś nieznanym dziele Kromera w polskim języku pod tytułem: *Relacya*.

17) List Janusza Radziwiłła, pisany z Gdańska 1615 r. do Jana Krystyana księcia lignickiego, którego względem poleca Aleksandra Koniecpolskiego, który porwawszy z klasztoru pannę

Dembińską, musiał z kraju za granicę uchodzić. List ten opisuje dosyć obszernie całą tę zkądinąd już czytelnikom znaną sprawę.

18) *Interpretatio latina litterarum Potentissimi Monarchae Sulthan Murath Chan ad Serenissimum Sigismundum Regem Poloniae*. Rzecz zkądinąd już znana.

19) List Morsztyna referendarza w. koronnego z r. 1660 pisany w francuzkim języku, którym poleca dworom zagranicznym Czaplica majora wojsk polskich, Socynianina, wygnanego dla swojej religii z kraju. Z listu tego widać, że sam Morsztyn był powierzchownie katolikiem, a w gruncie Socynianem.

20) List Gryzeldy Wiśniowieckiej Korybutowej z r. 1669 do Krystyana księcia lignickiego, w którym mu dziękuje za powinszowanie z okoliczności wstąpienia na tron polski syna jej Michała Wiśniowieckiego.

21) List Jana Leszczyńskiego kanclerza w. koronnego z r. 1669 do Krystyana księcia lignickiego, w którym mu z strony króla Michała dziękuje za powinszowanie wstąpienia na tron polski.

22) Listy króla Jana III i rozmaite papiery po Jakóbie Sobieskim synie Jana III, znalezione na zamku oleśnickim. Z papierów tych napisał Stenzel biografią Jakóba Sobieskiego królewicza, wystawiwszy go jako pod każdym względem niktęmego człowieka. Listy króla Jana III pełne są brudów erotycznych i innych. Pojąć tego nie mogę, że ich królewicz Jakób dla sławy swego ojca nie zniszczył.

23) Spis osób, które się w roku 1656 z Polski do Szlązka schroniły.

24) Kilka plik papierów tyczących się rozmaitych szkód, które Szlązacy przez wpadanie Polaków do Szlązka w rozmaitych epokach ponieśli.

25) Plika papierów tyczących się wpadania Szlązaków do Polski w rozmaitych epokach od r. 1552 do 1643 niezbyt wielkiej wartości historycznej. Sąto bowiem reklamacye rządu polskiego o zgwałcenie granic, zabieranie bydła, lub t. p. poddanym polskim przez Szlązaków.

Prócz tych znajduje się jeszcze kilka innych mniejszej wagi dokumentów do dziejów Polski w archiwum szlązkim.

Z przywilejów mających niejaki związek z dziejami polskimi, a złożonych w tém archiwum, wymienię tylko przywileje do końca XIII wieku.

1) Przywiléj z roku 1177, którym *Mesico dux Poloniae* potwierdza klasztorowi lubuskiemu zamianę dóbr Bogunowo i Dobrogostowo.

2) Przywiléj z r. 1211, którym Władysław Odonicz, książę kaliski zapisuje klasztorowi Cystersek w Trzebnicy wsie: Pyszno i Bratostowo. Przywiléj ten jest z tego względu ważnym, że w nim na świadków czynności użyto także kobiet, jakoto: Łucyi żony Władysława i Jadwigi żony Henryka księcia szlązkiego.

3) Przywilój z r. 12.. (dwie liczby głoskami zatarte), którym Władysław książę kaliski nadaje biskupowi pruskiemu (sic) wieś Cecowiec w księstwie kaliskim. Ten biskup pruski będzie zapewne biskup chełmiński.

4) Przywilój z r. 1206, którym Fulco biskup krakowski zamienia wieś Kampino na wieś *Laurentiae* z opatem ś. Wincentego w Wrocławiu.

5) Przywilój z roku 1218, którym Paweł biskup poznański nadaje kawalerom ś. Jana Jerozolimskiego w Poznaniu dziesięciny. Przywilój ten jest w kopii z roku 1544.

6) Przywilój, którym biskupi: wrocławski, poznański, kujawski i inni nadają kościołowi ś. Bartłomieja w Trzebnicy odpust na dni 40.

7) Przywilój z r. 1233, którym Lutfried opat tyniecki i mnisi tego klasztoru poddają pod rozstrzygnięcie biskupowi wrocławskiemu spór swój z klasztorem ś. Wincentego w Wrocławiu.

8) Przywilój z roku 1238, którym Paweł biskup poznański dziesięciny ze wsi Chociule około Ołoboka klasztorowi Cystersek w Trzebnicy nadaje.

9) Przywilój z r. 1239, którym Władysław Odonicz nadaje klasztorowi cysterskiemu w Lubuszu 3000 łanów (mansos) ziemi około Bytnia w Szlązku pod warunkiem, aby trzy miasta na nich wzbudowali i osadzili je na prawie magdeburskim.

10) Przywilój z r. 1239, którym Władysław Odonicz uwalnia miasta powyższe klasztoru lubuskiego jeszcze nie założone, na lat 12 od wszelkich ceł i podatków.

11) Przywilój z r. 1248, którym Przemysław książę wielkopolski uwalnia wieś Żarnowo, należącą do klasztoru trzebnickiego od wszelkich podatków krajowych.

12) Przywilój z r. 1248, którym Przemysław książę wielkopolski potwierdza nadania swego ojca Władysława klasztorowi w Ołoboku.

13) Przywilój z r. 1252, którym Przemysław i Bolesław, książęta wielkopolscy, nadają klasztorowi w Trzebnicy wieś zwaną Lang „*quae est situ super Vartam fluvium, in qua ex antiquo erant duo kmetones, ipsius patris nostri venatores castorum, quorum unus vocabatur Pista et alter Lutwin.*”

14) Przywilój z r. 1255, którym Przemysław książę wielkopolski nadaje klasztorowi Cystersek w Trzebnicy wieś Chociwle.

15) Przywilój z r. 1257, którym Vitus biskup litewski nadaje kaplicy Franciszkanów w Glacu 40 dni odpustu.

16) Przywilój z r. 1262, którym Urban IV papież, upowaznia Dominikanów polskich do udzielania odpustów tym, którzyby się jakimkolwiek bądź sposobem przyłożyli do odzyskania ziemi świętej z rąk niewiernych.

17) Przywilój z r. 1262, którym Bolesław książę wielkopolski miasto Sarnów należące z przynależnościami do klasztoru trzebnickiego, na 10 lat od wszelkich podatków uwalnia.

18) Przywilėj z r. 1269, którym Piotr biskup mazowiecki (mazoviensis, tojest płocki) nadaje klasztorowi w Trzebnicy pewne odpusty.

19) Przywilėj z r. 1269, którym Janusz arcybiskup gnieźnieński nadaje klasztorowi w Trzebnicy pewne odpusty.

20) Przywilėj z r. 1270, którym Wołymir biskup kujawski nadaje klasztorowi w Trzebnicy pewne odpusty.

21) Przywilėj z r. 1295, którym Władysław książę kujawski (Łokietek) nadaje Janowi obywatelowi toruńskiemu wolność postawienia szpitala w mieście Brześciu.

22) Przywilėj z r. 1297, którym Władysław książę kujawski nadaje szpitalowi w Brześciu wieś *Kante*.

23) Przywilėj z r. 1308, którym Władysław Łokietek nadaje kaplicę swoją w Brześciu szpitalowi tamże.

24) Przywilėj z r. 1313, którym Władysław Łokietek nadaje szpitalowi w Brześciu *jus patronatus* nad kościołem ś. Piotra tamże.

X. M.

PRZEGLĄD MUZYKALNY.

Studia nad muzyką dramatyczną, czyli operą.

I.

„Czy możemy mieć narodową operę?”—jestto kwestya zajmująca od pewnego czasu dosyć silnie wszystkich przyjaciół u nas sztuki muzycznej. Jedni utrzymują że literatura wcieliwszy w siebie wszystkie elementa narodowe, dzięki potężnym talentom od lat wielu z miłością ją uprawiającym, doszła do pewnego stopnia siły i świetności, i że pod wielu względami stanąć może na równi z literaturą innych narodów; inni dają za przykład malarstwo, które lubo wątłemi siłami, jakby omackiem, toruje sobie przecie drogę po ścieżce dziejów krajowych, by dojść w przyszłości do pewnych warunków niezależności w ideale piękna: a jedna tylko muzyka, pomimo swego upowszechnienia z pierwiastkowej prostoty wyzwolić się nie może i nie mamy dotąd narodowej opery! Więc, by muzyka dramatyczna w świetną i potężną szatę opery odziana mogła dojść do pewnej cechy miejscowej czyli narodowej, jednym się zdaje, że treść do niej powinna być koniecznie wzięta z dziejów ojczystych; innym, że szukać jej należy w pieśniach ludowych; ci znów powiadają, że sama treść nic jészcze nie znaczy, bo muzyka do niej może być pisaną w stylu włoskim, francuzkim albo niemieckim,

więc narodową nie będzie; tamci nakoniec pytają, jakież powinny być cechy muzyki polskiej i czém się od innej ma ona odróżniać, a przedewszystkiém czy możemy mieć własną szkołę jak to inni ją posiadają? i t. p.

Są to ważne kwestye, dowodzące, iż niemi na seryo zaczyna się wielu zajmować; że zbliża się chwila, w której może z korzyścią dla muzy krajowej dadzą się one rozwiązać. Więc należy się nad niemi cokolwiek zastanowić, i o ile się da, w tak żywotnej sprawie porozumieć.

Przedewszystkiém, zdaje się jak gdyby o tém wcale nie wiadano, że przez lat kilkadziesiąt prawie, pomimo różnej kolei losów, jakim kraj nasz ulegał, mieliśmy kilku kompozytorów rodaków, albo zdawna w kraju osiadłych, którzy scenę naszą obdarzyli licznym szeregiem dzieł muzycznych teatrowi poświęconych: *Nędza uszczęśliwiona, Zośka, Krakowiaki, Leszek biały, król Łokietek, Jagiello w Tenczynie, Szarlatan, Jadwiga, Jan Kochanowski, Zamek na Czorsztynie, Cecylia Piaseczyńska* i t. d.: jak to z tytułów samych wnosić można, utwory komicznej i poważnej treści, najwymowniej świadczą, że mieliśmy już polską operę. Wiele z tych zapewne nie odpowie wymaganym warunkom w pojęciu jakie dzisiaj mamy o tego rodzaju dziełach, wiele z nich należałoby podciągnąć do rzędu tak nazwanych komedyo-oper. Od lat dwudziestu kilku niesłyszając żadnego z wymienionych tu dzieł na scenie naszej, nie można o nich wydać sądu krytycznego, ani też porównywać z tego rodzaju utworami włoskich, francuzkich lub niemieckich kompozytorów; a zatem jaka była główna cecha muzyki miejscowej, w czém się od innych różniła, potrzebaby szukać troskliwie w owych partyturach grubym pyłem zapomnienia okrytych, a i to nie dałoby się w sposób zadowalniający wszystkich opowiedzieć.

Nie ma narodu, któryby muzyki swojej nie posiadał; objawia się ona w pieśniach religijnej i światowej treści, będących naturalnym wynikiem usposobienia i charakteru narodowego, a stanowiących niejako powłokę poufnego życia ludu, co je wyśpiewuje. Ztądto pochodzi ich zasługa, siła i wdzięk. Posiadają one moc wywoływania w duszy naszej pewnych uczuć odnoszących się do lat naszego dzieciństwa, lub ważniejszych wspomnień ogół cały narodu dotyczących. W takim razie, wartość artystyczna melodyi może być żadna, niemniej jednakże władza jój jako pieśni narodowej jest potężna. Jeden z pisarzy powiada: „że organista Szwajcar, żyjący zdale od swych gór rodzinnych, w wielu okolicznościach chętniej przeniesie piosnkę *le ranz de vaches*, nad wszystkie preludye Bacha i Händla”, bo żadna muzyka nie jest w stanie tak głęboko duszę naszą poruszyć, jak ludowa. Jój dźwięki przypominają nam ustron rodzinna, błogie życie na łonie kochanej rodziny spędzone, rozkosze i uciechy wieku dziecinnego; wszystkie te najdroższe skarby duszy naszej, nuta jednej prostej pieśni odrazu do życia przy-

wołuje: cisną się one do serca, przepelniają go słodkimi obrazami przeszłości i nieraz potok łez mimowolnie z oczu spływający, świadczy o jej władzy. Taka muzyka żyje i żyć musi w narodzie dopóki on sam egzystować będzie; lecz wtedy tylko daje się ona zastosować na scenę, gdy treść sztuki wzięta jest z dziejów gminnych, gdy występują w niej typy ludowe w całej swojej naiwnej prostocie, tłumacząc się również prostą w stanie natury będącą muzyką. Sztuka nie prawie, albo przynajmniej niewiele może mieć do czynienia; powinna ona starać się tylko by dopomódz raczej do odmalowania nieskazitelnego motywu, bo inaczej utraci on właściwy sobie charakter i naturę. Utwór taki nazywać się będzie wówczas komedyo-operą i tych nie brakuje scenie naszej. Któż nie zna wybornych sztuczek, w których pieśni ludowe najszcześliwiej są zastosowane, jak naprzykład: *Antoni i Antosia*, *Młynarz i Kominarz*, *Nowy Rok*, *Janek z pod Ojcowa*, *Łobzowianie* i t. p. Wolno tu kompozytorowi jeżeli nie całą muzykę czerpać z pieśni ludu, to przynajmniej starać się dać jej tok gminny, w czém niepoślednią zyska sobie zasługę. Takich komedyo-operetek radziłyśmy mieć jak najwięcej; każdy taki skromny w zarysach komedyi obrazek, nabiera pewnego wdzięku i uzupełnia się kolorytem swojskiej muzyki; a choćby plan rysunkowy jego był nawet wadliwy w układzie akcji scenicznej lub charakterów osób w nim działających, już sama muzyka podtrzyma go i nada mu pewną wartość: w dramacie zaś wyższego rzędu, zastosowanie takiej muzyki w żaden sposób ujęszyć nie mogło.

Jeżeli treść dramatu wychodzi ze sfery ludowej, jeżeli żaden z typów gminnych w akcji jego nie bierze udziału, oczywiście, że forma i charakter muzyki musi być zupełnie odmiennej natury. Im większe i silniejsze uczucia grać będą w dramacie, tém muzyka chcąc je wiernie malować i wyrażać, będzie ogólniejszą: musi ona utracić cechę miejscową, a przyjąć ogólną stosownie do tożsamości uczuć ogarniających ludzkość całą. Muzyka w takim razie wyższość ma nad mową, bo ona jest językiem uniwersalnym dla wszystkich zarówno zrozumiałym, bo natura jej elementów w teorii i estetyce nie powinna być krępowaną żadnymi miejscowymi warunkami, ani też różnicami między-narodowymi. Im więcej muzyka się doskonali, tém więcej staje się ogólniejszą, a utracą miejscowe dzieciństwa swego cechy. Uniwersalność jest jej własnością i zarazem ostateczną granicą do której zdążać powinna. Poezya w potęgde słowa, malarstwo w materialnych zasobach swjej sztuki, uplastycznąć mogą dany przedmiot do pewnego stopnia: muzyka przeciwnie, bezpośrednio dotykając pryncypiów, z których pochodzą wszystkie uczucia, całą jej władza zawartą jest jedynie w obrębie psychologicznym. Kilka okresów melodyjnych, harmonijny szereg kilku akordów, daje nam poznać smutek, radość, miłość lub rozpacz: oto co może muzyka nieuciekając się do pomocy tekstu ją objaśniającego. I to właśnie stano-

jój wyższość nad innemi sztukami, bo rozumiała ją jest ona dla wszystkich, bo swą potęgą ogarnia wszystkie kraje, wszystkie klasy społeczeństwa, bo wyraża się językiem przez wszystkich zarówno pojętym i rozumiałym. (Naturalnie mowa tu o narodach w jednych i tychże samych warunkach cywilizacyi wykształconych).

Z tak pięknego jednakże przywileju, kompozytorowie nie zawsze w zupełności chcą korzystać: zauważano, że każdy naród, każda epoka, mają właściwy sobie smak, który się udziela koniecznie muzykom jakich produkuje. Smak ten bywa specjalny w swój naturze, a więc nie może zarówno godzić się z wyrazem absolutnym uczuć całej ludzkości. W muzyce dramatycznej, osnutój na tle pewnych miejscowych, melodyjnych i rytmicznych okresów, widzimy tego przykłady; to, co stanowić będzie największy wdzięk i zaletę dla słuchaczy miejscowych, obojętném i niezrozumiałém będzie dla obcych: a zatem muzyka wiele traci z swój potęgi i uroku, gdy zamyka się li tylko w pewném kółku miejscowości, i jeżeli z tego języka uniwersalnego uczuć, starają się wyrobić język dla swój epoki i swoich słuchaczy. Naprzykład, gdyby kto u nas ułożył operę, w którejby występowali Krakowiaki, Mazury, Litwini, Ukraińcy, i. t. d. nie ma wątpliwości, że byłaby to opera zupełnie narodowa: próbkę już takowój mamy w *Krakowiakach i Góralach*. Rozmaitość muzyki właściwój każdemu plemieniu czyto żywcem zaczerpana w muzyce ludowój, czy układana podług właściwego charakteru, byle tylko umiejętnie użytą na scenie, będzie dla nas wielkiej ceny i przyczyną wielu rozkoszy; urok jój narodowy będzie jednym jeszcze więcej wdziękiem: lecz gdyby jój słuchał Niemiec, Anglik, Włoch albo Francuz, jakżeby inne wrażenia na tych cudzoziemcach sprawiła! Słuchaliby oni z zajęciem może téj muzyki tak oryginalnej w swoim charakterze; dopatrywaliby może analogii łączącój się z nią narodowości w pośród której powstała; lecz czy żwawa nuta krakowiaka, mazura, lub tęskna ukraińca, poruszy w nich tak głęboko duszę i serce jak związane z nią nierozłączoną nicią tradycyji i błogich wspomnień rodzinnój miejscowości? Nie zaiste. Więc ściśle biorąc, muzyka niewiele zyskuje gdy się ją rozczłonkowsza na rozmaite miejscowych cech charakteru czyli tak nazwane szkoły. Co w szuce nazywają szkołą, jest to zbiór pewnych zasad, wspomnień, sposobów trwających przez następne generacye; następstwo dwóch ruchów kombinujących się między sobą: ruchu ogólnego, umysłowości ludzkiej i wpływu miejscowego kraju, w którym się on objawia. Trzy takie szkoły dzielą dzisiejszą muzykę na włoską, niemiecką i francuzką. Różnią się one od siebie pewnym zarysem melodyi, formą akompaniamentu, równowagą lub systematyczném przemaganiem niektórych elementów opery, czy to poświęcając deklamacyą melodyi, orkiestrę dla śpiewu, uczucie dla brawury, prawdę efektowi i przeciwnie, podług przyjętych za-

sad obowiązujących zarówno kompozytorów, wykonawców i publiczności.

Włosi z namiejętą rozkoszą delectują się melodyą; wymagają oni od muzyki słodyczy, jasności i wdzięku. Mało ich obchodzi treść opery, byle tylko mieli śpiewne arye, kawatyny, albo zalecające się tym przymiotem inne ustępy opery. Są oni w najwyższym stopniu melomanami bez różnicy stanów; sam klimat wiele im do tego dopomaga: to też w żadnym kraju nie słyhać tyle muzyki co u nich. Lubią oni dzisiaj wrzawę orkiestrową do czego ich niektórzy dzisiejsi kompozytorowie przyzwyczaili, bo za dawnych dobrych tamże czasów muzyki, tego niebywało; lecz i teraz nawet gdy śpiew ma co do powiedzenia, akompaniament jest zwykle najniższym jego sługą i odgrywa podrzędną rolę. Przeciwnie zaś u Niemców: tam najczęściej akompaniament jest rzeczą ważniejszą od śpiewu. Poetyczno-metafizyczny umysł tego narodu, tak przyjazny dla wszystkich natchnień w muzyce, niezawsze wiedzie ich szczęśliwie w zastosowaniu jej do dramatu. Zbytniego romantyzmu sentymentalność, rozwadniająca najgorętsze w nich uczucia, łącznie z głębokiem zaciekaniem się w ciemne i niedostępne dla każdego innego ucha sfery wyszukanej harmonii; poświęcenie niekiedy zupełne śpiewu dla muzyki napiętnowanej zbytnią rozwagą i medytacją, oto jest owa oryginalność indywidualizmu, cechująca wszystkie prawie produkeye artystyczne tego kraju.

Styl francuzki stanowiący niejako przejście od włoskiego do niemieckiego, albo raczej, łączący w sobie niektóre obu tych szkół cechy, odznacza się głównie świetnością, życiem, dowcipem tak melodyi, jak i akompaniamentu. Wierna do treści deklamacya lubo wpadająca niekiedy w przesadę, jest tu znowuż najważniejszym warunkiem dla kompozytora.

Śpiew w francuzkich operach mniej uczuciowy jak u Włochów, mniej sentymetalny jak u Niemców, ale rytmu żywszego, kształtniejszego, posiada wiele wdzięku, obfity jest w modulacye i ekspresyą dramatyczną. Kompozytorowie francuzcy staranni są w koloraturze orkiestrowej; ubiegają się za blaskiem i świetnością brzmienia instrumentalnego i lubo dla efektu nieraz prawdę poświęcają, jednakże wiele dobrego smaku przebija się w ich utworach.

Trzy te szkoły, wyrobione na podstawie wpływów miejscowych, będące ze wszystkimi swojemi zaletami i wadami owocem pewnego muzycznego ukształcenia narodu, są dzisiaj panującami w Europie, dzieląc lubowników muzyki dramatycznej na trzy mniej lub więcej nieprzyjazne sobie obozy. Kompozytor, któryby umiał połączyć w jednym te trzy rodzaje stylów, według mego przekonania byłby doskonalszym od innych, bo wyprowadziłby muzykę z kółka koteryi miejscowej, a postawiłby ją w sferze godniejszej i właściwszej tej sztuce. Z dzisiejszych kompozytorów jeden tylko Meyerbeer próbował to uczynić w pierwszej swojej w tym duchu napisanej operze *Robercie Diabie*; lecz niestety, nie wytrwał stale

do końca. Uległ wadzie zwyczajnym kompozytorom powszechnej; począł schlebiać smakowi publiczności, nganiać się za efektami, a *Gwiazda Północna* jest smutnym świadectwem do jakiego stopnia szarlataneryi spaść może, gdy pójdzie tą drogą, nawet tak potężny talent. Gdyby przed półwiekiem nie był zajaśniał najszczytniejszy geniusz jaki kiedykolwiek się ukazał na horyzoncie muzycznym i nie zostawił nam ideału doskonałości w muzyce dramatycznej, wolno byłoby wątpić w słuszność mego twierdzenia; lecz *Don Juan* egzystuje, a pomimo kilkudziesięciu lat ubiegłych od pojawienia się tej cudownej opery, dlaczego wydaje się nam ona zawsze świeżą, piękną i wielką? Oto dlatego, że twórca jej połączył w niej tradycją wszystkich szkół razem; że wznosił ją nad poziom wszystkich miejscowych koteryjnych formuł; że niedogadzając ani ulegając wymaganiom współczesnych, pomimo tysiąca przeszkód, pomimo nędzy która na niego czyhała za podobnej zuchwałości postępek; nakoniec pomimo wrzasków otaczającego a nieumiejącego ocenić go tłumu, posłuszny jedynie swemu natchnieniu, spełnił posłannictwo- od Opatrzności mu naznaczone i obdarzył świat arcydziełem, co jak słońce po wszystkie wieki przyświecać będzie tej boskiej sztuce na ziemi! Mozart był artystą w całym znaczeniu tego wyrazu: komponował on muzykę tak jak ją czuł; pisał ją dla siebie, nie myśląc wcale o tém, czy ona się podoba ogółowi lub nie. Jeżeli widział, że które z jego dzieł nie ma powodzenia jakiego się spodziewał, zamykał się u siebie z kilku przyjaciółmi, dawał im słyszeć utwór przez publiczność potępioną; a gdy pochwałę ich uzyskał, nie myślał już wcale o swém nieszczęściu. Był to człowiek najmniej zdolny do świetnych powodzeń, bo nie umiał schlebiać, dlatego też za życia nie doznawał ich wcale.

W *Don Juanie* treść jest hiszpańską, tekst włoski, muzyka przez Niemca skomponowana, a jednakże świat uznał tę operę za najszczytniejsze arcydzieło sceny lirycznej. Bo Mozart nie w koteryi, nie w narodowości, nie w modzie szukał formuł dla muzyki; on świat cały duchem swym ogarnął, on w oceanie ludzkości szukał natchnień dla wyrażenia uczuć dźwiękami muzyki, uczuć, które z taką niesłychaną prawdą wypowiedział!.. W tém leży najważniejsza przyczyna, dla której opera jego nigdy się nie zestarzeje, tak jak nie starzeją się uczucia w ludzkości. Zwyczajni kompozytorowie piszą opery włoskie, niemieckie albo francuzkie; Mozart napisał operę uniwersalną.

Więc *Don Juan* jest i będzie zawsze ideałem muzyki dramatycznej, tak jak *Requiem* tegoż kompozytora dla muzyki kościelnej, a symfonie Beethowena dla muzyki instrumentalnej. Który kompozytor jakiegokolwiek narodowości bliżej stanie Mozarta, tém doskonalszym będzie.

Daleki jednakże jestem od potępiania usiłowań w uprawianiu i rozwijaniu muzyki w granicach narodowości; owszem, widzę w tém zawsze pewny jej postęp. Ludzie talentu prawdziwą przysługę krajowi wyświadczają, jeżeli pracują nad doskonaleniem je-

go narodowej muzyki, i słusznie kraj takimi pracownikami chlubić się może; lecz niechże to nie będzie uważane jako jedyny i wyłączny cel muzyki. Nie dlatego jest ona wyższą nad wszelkie języki świata całego, bo językiem powszechnym dla wszystkich ludów, ażeby go rozdrabniać na dyalekta przystępne tylko pewnym narodowościom lub plemionom. Bóg dał ją jako osłodę życia, jako rozkosz duszy zarówno wszystkim ludziom, a zatem taką być powinna.

Niektórzy wyżsi kompozytorowie pojmowali to dobrze; zostawili wiele dzieł świadczących o podobnej dążności. Wpłynęli oni przeważnie na dzieje w historii muzyki, nie od rzeczy więc będzie odchylić zasłonę przeszłości, zajrzeć do każdego z krajów cieszących się dzisiaj swoją własną szkołą i przypatrzwszy się początkom, wysledzić postęp muzyki dramatycznej czyli opery.

II.

Włochy potrzeba uważać za kolebkę muzyki dramatycznej; pierwszy ślad opery u nich się spotyka i z Włoch dopiero przeszła ona do innych krajów,

Wiadomo, iż Grecy w swoich tragediach używali śpiewnej deklamacji, atoli sposób w jaki się to odbywało, w pomroce średnich wieków zaginął i zaledwie słaba na ten czas tradycja tego została. Zastosowanie muzyki do widowisk teatralnych sięga tak daleko jak początek tychże widowisk dawanych pod tytułem *Mysteryów*, *Aktów Sakramentalnych* i t. p.; później wmieściła się ona do *intermedyów* i *baletów*, a następnie gdy dzieła sceniczne ukształcone nieco zostały, używano jej jak i za dni naszych w antraktach, a niekiedy i w samym dziele; lecz podobne jej zastosowanie, nie można było nazwać jeszcze dramatem muzycznym, nie pojmowano też potrzeby ani konieczności łączenia w sposób właściwy muzyki do słów: uważano ją jako rzecz jedynie dodatkową, bez której z łatwością obejść się można. Niektóre hymny powszechniej znane, diabelskie chóry układane w sposobie śpiewów liturgicznych (*plain-chant*), pieśni popularne, czasami rodzaj niedołęznego recitatuwu, oto wszystko co smak ówczesny tolerował i co wymagano od muzyki.

Lubo są ślady, że już w 1475 r. przedstawiono dramat *Orfeo*, napisany podobno przez Angelo Politien kanonika przy katedrze Florenckiej i 1480 jakąś tragedią muzyczną, nie ulega wątpliwości, że pierwszy dopiero Alfons della Viola, mistrz kapeli nadwornej księcia Este w Ferrarze, około 1541 r. próbował połączyć śpiew z deklamacją w przedstawieniach scenicznych: jego więc należy uważać jako pierwszego dramatycznego kompozytora. Najdawniejsze dzieło, które posiada pewne cechy opery, ukazało się w Ferrarze 1541 r. pod tytułem: *Orbecche, tragedia di Giambattista Giraldi Cinthio Ferrarese; in Ferrara in casa*

dell'autore, dinanzi ad Ercole 2 d'Este; duca 4 di Ferrara: fece la musica Alfonso della Viola: fu l'Architetto e il Dipintoro Girolamo Carpi di Ferrara. Tenże skomponował muzykę do opery: *Aretusa* w 1563. Agostino Beccari, naśladowując go, napisał dramat pasterski: *il Sacrificio* w 1565 i *lo Sfortunato* w 1567 r. Pomędzy innemi muzycznymi dramatami, cytują: *I Pazzi Amanti* wystawiony w 1569, *Poesia rappresentativa* w 1574, *Il re Salomone* 1579, *Pace e Vittoria* 1580, *Pallada* 1581, *Tragedia Frangipani* z muzyką Claudiusza Merula organisty księcia parmeńskiego i *Anti-Parnasso* 1597 r. przez Orazio Vecchi. Muzyka w tych dziełach pisaną była do monologów w stylu tak nazwanym madrygałowym (1), dla braku instrumentów na pięć głosów fugato przez chóry za kulisami wykonywaną, aktor zaś stał na scenie i udawał że śpiewa dla zrobienia większego efektu.

Kilku znakomitych Florentczyków, a na ich czele Giovanni Bardi i hrabia Vernio, czuli całą niedorzeczność w zastosowaniu do teatru stylu madrygałowego, i krzywdę jaką on wyrządza sztuce dramatycznej. Hrabia Vernio, liczni jego zwolennicy i przyjaciele, stanowili pomiędzy sobą pewne kółko literackie. Zauważali nadewszystko nieludzkie obchodzenie się tak nazwanych kontrapunktistów z poetami. Ponieważ nie było w owe czasy innéj muzyki jak tylko kontrapunktowa, więc silono się na połączenie z nią poezyi; ale niszczyła ona nietylko harmonią poetyczną, lecz nawet wszelkie reguły grammatyczne. Trzeba było powtarzać bez końca jedno słowo, zaokrąglać sylaby bez miary, zmieniać longi na brewy a brewy na longi, rozcinać peryody bez litości i t. d. Od dawnego już czasu takie postępowanie z poezją oburzało ludzi rozsądnych i dobry smak posiadających. Należało więc w miejsce zabójczej fugi i nieubłaganego kontrapunktu, stworzyć nową muzykę, do której składu nie wchodziłyby jednakże pieśni popularne, jako niewłaściwe i niegodne włączeniu się z wzniosłą poezją klassyczną. Lecz jak się wziąć do tego? w tém leżała największa trudność zadania. Po długim napróżno wyszukiwaniu elementów i form jeszcze nie egzystujących, a które nie dają się tak łatwo utworzyć, przypomniało sobie, że Grecy muzyką recytowali swe dzieła sceniczne; że posiadali oni instrumenta podtrzymujące głosy; że chóry śpiewane były przez wszystkich, a głównejsze osoby pojedynczo się odzywały; że rodzaj ich śpiewu niewiele się różnił od zwyczajnego wymawiania i t. p. Podług więc tych prawideł i pod dyktando osobistą hr. Vernio, Vincenzo Galilei, ojciec wielkiego Galileusza, ułożył próbkę *monodyi* czyli notowanej deklama-

(1) Madrygał, byłato sztuka skomponowana na same głosy, w początkach XVI wieku powszechnie używana, i która dopiero znikła, gdy muzyka dramatyczna stanowczy tryumf odniosła. Madrygały były pisane na cztery, pięć, sześć albo siedm głosów, w stylu bardzo wyszukany i pełnym najmozolniejszych kombinacyj, jakoteż: fug, imitacyi i t. d.

cy; zacytował on ustęp z *Ugolino* Dantego, towarzysząc sobie na lutni, wpośród ogólnego uniesienia słuchaczy nad odrodzeniem muzyki starożytnej. Przewalili to *stilo nuovo, stilo rappresentativo, recitativo* czyli *musica parlante*. Znaleźli się jednakże tacy, którzy się wyśmiewali z Galileusza i jego nowego stylu; byli to po największej części kontrapunkciści i melodyści, którzy nie pojmowali, ażeby muzyka mogła być w deklamacyi. Zachęceni tak pomysłnym wypadkiem, młodzi ludzie postanowili na większą skalę odbyć próbę i zastosować ten rodzaj śpiewu do teatru. Rinuccini, jeden z lepszych poetów ułożył tekst, a Peri i Caccini, do których przystąpił później sławny mistrz szkoły weneckiej Monteverde, skomponowali muzykę z towarzyszeniem orkiestry. Orkiestrę składały: klawikord, viola di gamba, harfa i lutnia. Recitativ (bo aryi jeszcze nie znano), było rodzaj śpiewu miarowego dziwnie ubogo nam się dziś przedstawiający, a cała Florencya z entuzjazmem przyklaskiwała dziełom, słusznie za pierwiastek dzisiejszej opery uważanym, jakoto: *Dafne* przez Peri, *Euridice* przez tegoż i Caccini, *Ariana* i *Orfeo* przez Monteverde.

Nędznie się nam wydać musi ta niby muzyka w *Euridice*, w której ani melodyi, ani harmonii nie ma; a jednakże lat temu dwieście kilkadziesiąt, uważano ją za coś tak nadzwyczajnie pięknego i osobliwego, że nie wahano się wykonaniem tej opery ozdobić solenną uroczystość zaślubin Henryka IV króla francuzkiego z Maryą Medicis we Florencyi 1600 roku.

W owymto czasie Monteverde, urodzony w Cremonie pomiędzy 1565 a 1570 rokiem, dokonał rewolucyi, która niesłychanie wielki wpływ wywarła na losy muzyki dramatycznej, burząc w zupełności zasadę, na jakiej cała teoria śpiewu liturgicznego zbudowaną była.

Pomiędzy odległościami odrzucanemi przez wszystkich teoretyków w średnich wiekach, jako niewłaściwych szerogowi dyatonicznemu w śpiewie liturgicznym gregoryańskim; szczególnież niecierpiane były trytony. Okropne te interwale, które nazywano *diabolus in musica*, znajdowały się w miejscu zejścia dwóch ważnych nut gammy, tojest: w czwartym i siódmym stopniu.

Z przyczyny niedostatecznie dzisiaj jeszcze objaśnionej wypada, iż słysząc te dwa tony jednocześnie, ucho czuje mocny pociąg do konsonansu oktawy. Otóż ten interwał harmoniczny, znajduje się w akordzie co nosi nazwę *dominanto-septymowego*, stanowiący dysonans małej kwinty słyszanę bez przygotowania, a która przechodzi naturalnie w akord *sekstowy*, składający się z elementów akordu doskonałego. Skutek akordu *dominanto-septymowego* jest ten, że ucho nasze słyszy następstwo szeregu nut, stanowiących jedność oktawy i mimowoli dąży do spoczynku, czyli logicznego następstwa brzmienia, tojest: do akordu doskonałego (perfektowego). Wszystkie sztuki zawierają podobne kontrasty ruchu i spokoju; consonansów i dysonansów, co się wzywają i odpowiadają sobie. Akord *dominanto-septymowy*, zawierający najprzy-

jemniejszy dysonans naturalny, którego ucho przyjmuje bez przestrogi lub przygotowania, pozwalając mu przeczuć sąsiedztwo akordu *doskonalego*, używany był przez wielu kompozytorów XVI wieku, bo można go znaleźć w dziełach Cypriana de Rore, Palestriny, Orlanda di Lasso, Gabriellego, a nadewszystko pomiędzy madrygalami Gesnaldiego, nacechowanemi wyrazem dramatyczności, zwiastującym epokę odrodzenia. Jednakże duch emancypacji charakteryzujący ruch XVI wieku, zostawił silne piętno w kompozycjach Monteverdego; zuchwały umysł tego człowieka posiadał świadomość rewolucyi jakiej dokonać postanowił. Powodowany instynktem i czuciem dramatycznym potężnie władającym poetami i artystami owego czasu, Monteverde ośmielił się ogłosić w przedmowie umieszczonej na czele piątej księgi swoich madrygałów, wydanej w Wenecyi 1604 r.: „że muzyka jest dla pieszczenia ucha i malowania uczuć duszy, a nie dla dogadzania pewnym regułom abstrakcyjnym, przez teoretyków narzucanym.“ Silny taką zasadą i powagą Platona, którego przyzywa na stwierdzenie zdania: *iz znaczenie słów powinno być najważniejszą rzeczą dla kompozytora*, gdy tymczasem dawniejsi, to jest: scholastycy, utrzymywali, że *armonia fosse signiora dell' orazione* (harmonia panuje nad poezją), Monteverde daje wielką liczbę śmiałych kombinacyj, następnie przychodzi bez żadnego przygotowawczego środka do owego sławnego akordu *dominanto-septymowego*, który zupełnie zrywa z tradycją śpiewu liturgicznego gregoryańskiego (plain chant).

W madrygale na pięć głosów *Cruda Amarilli*, Monteverde pokazuje poraz pierwszy akord *dominanto-septymowy*, akord, którego nowość łącznie z figurami rytmicznymi również osobliwymi, wywołał oburzenie starych teoretyków. Jeden uczony kanonik boloński Artusi, stanął w obronie zasad aż dotąd ustalonych i walczył z wielkim zapalem przeciw temu nowatorowi; Monteverde mając za sobą całą młodzież, świat elegancki i ducha czasu, odpowiadał z powodzeniem swemu antagoniście, aż w końcu tłum za nim pociągnął. Takimto sposobem dokonana została rewolucya, co miała za cel wprowadzić do sztuki kompozycyi tę jedność oktawy, jaką sama natura przedstawia. Potrzeba było wieków, by zwalić jarzmo teoryi otrzymanej w spuściznie z systemu muzycznego Greków. Nasza gamma nowożytna z dwiema tonacjami *majorową* i *minorową*, jest rezultatem nacisku harmonii, której uczone kombinacje dają nam przez modulacyą tę rozmaitość akcentów melodyjnych.

Wynalazek modulacyi miał te same konsekwencje dla sztuki muzycznej, co farby olejne w tym samym prawie czasie wynalezione, dla malarstwa. Własność harmonii a w szczególności dysonansu, zapładniającego przez rytm modulacyą, że może otoczyć wyraz czysto uczuciowy, to jest pomysł melodyi, cieniem i światłem, stanowiącym obecność natury w dramacie. Założywszy sobie zadanie, że *orazione* czyli znaczenie słów, powinno kierować natchnieniem kompozytora i panować w kombinacjach

harmonijnych zamiast być jego niewolnikiem, Monteverde stał się twórcą praw, którym nowożytna muzyka bez szemrania ulega, a nawet jeżeli doszła do takiej doskonałości, niezawodnie im to wszystko zawdzięczać powinna.

Monteverde wiele bardzo pisał w rozmaitych rodzajach znanej w jego czasach muzyki: on z pierwszych, jakem to już wyżej powiedział, próbował formy dramatycznej; lecz z pieluch dzieciństwa nie mogła się jeszcze wyzwolić. Dopiero w Neapolu 1646 roku, dzięki usiłowaniom wymienionych poprzednio kompozytorów, wykonano operę w stylu poważnym (*serio*) pod tytułem: *Amor non legge*, odznaczającą się pewną regularniejszą formą, do której muzykę kilku nieznanych dzisiaj kompozytorów układało.

Dziwna rzecz, iż muzyka dramatyczna tak długo blakając się po manowcach niepewności, zółwim tylko krokiem naprzód stąpała, chociaż Palestryna i Allegri już egzystowali i muzykę kościelną do najwyższej pod względem ducha katolickiego doskonałości doprowadzili. Wszystkie usiłowania piszących dla teatru aż do czasów Aleksandra Scarlatti, na małych bardzo postępach się ograniczały; jedyną ich zasługą było uwzględnienie poezji i połączenie jej w sposób nierozdzielny i stanowczy z muzyką, czego przedtém wcale nie bywało. Widać, że silniejszą była natenczas wiara w duszach ludzkich, jak potrzeba uciech i zabawienia zmysłów; natchnienie czerpane w źródle wiary silniejsze i potężniejsze w sztuce skutki przyniosło, jak wszelkie rozumowane dążenia do podniesienia téjże saméj sztuki na polu światowém. Religia mocno wszczepiona w duszę ówczesnego społeczeństwa, miała już swoich mistrzów, co udoskonalili muzykę na chwałę Boga poświęconą, gdy tymczasem świątynie rozrywkom światowym przeznaczone, długo na wątłych podstawach budowane, dopiero aż w drugiej połowie XVIII wieku, oswobodziły się z niemowlectwa, w chwili właśnie, gdy wiara słabnąć poczęła, a dusze ludzkie skłonniejsze się okazały do przyjmowania wrażeń świata zewnętrznego, i gdy materializm począł je pod władzę swoją podbijać. Utraciwszy wiele z silnej wiary, mistrzowie w sztukach nie czuli już w sobie dosyć powołania na służenie Bogu talentem jaki z Jego woli odebrali; świat ze wszystkimi swemi pozorami ponętami wydał im się do tego właściwszym, jemu się téż zupełnie prawie oddali. I to nam tłumaczy dlaczego malarstwo i muzyka od drugiej połowy zeszłego wieku, aż do dni naszych, pogrążyło się z małemi nadzwyczajnie wyjątkami w sferach świata zmysłowego; zapewne, że muzyka dramatyczna ogromne od tego czasu uczyniła postępy, lecz na stu dobrych teatralnych kompozytorów, zaledwie jednego dobrego w stylu prawdziwie kościelnym, postawić jesteśmy w stanie.

Lecz nie wyprzedzając faktów, wracam się do punktu w którym historią muzyki dramatycznej zostawiłem.

Po Monteverdem, najznakomitszym w początkach XVII wieku kompozytorem był Carissimi. Pierwsze jego religijne utwory pojawiać się zaczęły, gdy styl Palestriny wszechwładnie ogarnął już smakiem publiczności. Wprowadził on do tego rodzaju kompozycji więcej nieco swobody; pierwszy użył do swych dzieł altówki i *basso-viole* (1), on także nadał kształtniejszą formę *Oratoryom*, przyczyniwszy się tym sposobem wielce do upowszechnienia tego rodzaju muzyki. Carissimi poprawił znacznie dramat liryczny. W jego recitativach było wiele wdzięku i ekspresyi. Udoskonalił bass, który aż dotąd był ciężki i monotony; nadał mu wiele różnaitości a nawet elegancyi, nieuszkodziwszy w niczém jego siły i energii.

Dominik Mazzochi, kompozytor szkoły rzymskiej, około roku 1638 odznaczając się w utworach madrygałowych, pierwszy użył w muzyce wyrazów *crescendo*, *diminuendo*, *piano*, *forte* i wynalazł kwadrat anharmoniczny, który pierwotnie zastosowany w muzyce dramatycznej i pokojowej, przeniesiono wkrótce do muzyki kościelnej.

Przez długi przeciąg czasu, opera na krok dalej posunąć się nie mogła: zdawała się raczej upadać jak postępować naprzód. Więcej przywiązywano wagi do przepychu w wystawie, do sztuczności w maszyneryach, aniżeli do wartości poezyi i muzyki. Wystawienie opery pociągało za sobą ogromne koszta: było rozrywką, którą tylko książęta pozwalali sobie. Później, gdy znaleźli się przedsiębiorcy do dawania widowisk, czego już ślady spotkać można w połowie XVII wieku, przedewszystkiém mieli sobie za obowiązek umieszczać na doniesieniach wielkimi literami nazwiska maszynistów, nie zaś poety ani muzyka. Słowa i muzyka uważane były za rzecz podrzędną, i rzeczywiście w stanie, w jakim znajdowały się naówczas te dwa najważniejsze dzisiaj elementa opery, nie były w stanie ować owładnąć jeszcze wyłącznie uwagi słuchaczy. Więcej ciekawości i zajęcia wzbudzał olimp, tartar, niebo, piekło i cała rzesza nimf, satyrów, aniołów i diabłów z owemi wzniesieniami w górę, zapadaniami pod scenę; z ową kalwakatą jeźdźców za bohaterami greckimi albo rzymskimi postępującą. I nie mogło być inaczej; nie posiadano jeszcze ani muzyki, ani śpiewaków, którychby z zajęciem lub zachwyceniem słuchać można było; ograniczano się na monotonném psalmodyowaniu pewnych ustępów, i chociaż pierwsze początki aryi mającej jakiś odpowiedni związek z sytuacją osoby na scenie występującej, ukazały się w r. 1649 w operze *Jason*, skomponowanej przez Wenecyanina Francesco Cavalli, znacznie później dopiero przyszła ona do niej jakiej doskonałości.

(1) *Basse de viole*, byłto instrument najpowszechniej w owe czasy używany: posiadał siedm strun i podług akordu perfektowego był strojny (Fetis).

Alexander Stradella, urodzony w Neapolu a żyjący pomiędzy 1650 a 1680 rokiem, był wybornym kompozytorem i niepospolitym skrzypkiem. Posiadał on jeszcze do tego głos bardzo piękny i wiele czucia w śpiewie. O nimto powiadają, że dwóch dobrze zapłaconych zbójców wysłano do Rzymu, by go tamże zamordować, lecz gdy ci usłyszeli śpiewającego w Oratoryum własnej kompozycji, tak byli jego śpiewem do głębi duszy wzruszeni, że nie mogli się odważyć na odebranie życia temu wielkiemu artyście. Wszystkie jego kompozycje są prawie wokalne, a nawet jedną jego modlitwę podziśdzien często słyszeć można wykonywaną w pośród mnóstwa tegoczesnych świeżych utworów: góruje ona nad wszystkimi wzniosłą i piękną melodyą. Stradella wzorem poprzednika i nauczyciela swego Carissimi, wprowadził muzykę instrumentalną do kościoła, tylko zamiast niewolniczego akompaniowania głosem, dał jej deseń niezależny, w czém później przez wszystkich był naśladowanym.

Najwięcej zasług położył dla muzyki dramatycznej Alexander Scarlatti i od niego datuje ona nową erę prawdziwej świetności. Kompozytor ten urodzony 1650, a zmarły 1725 r. pierwszy dopiero napisał *uwerturę*, która przed nim była tylko rodzajem mizernego muzycznego prologu. On to udoskonalił recitativ z akompaniamentem, dorobił przegrywki czyli riturnelle w ustępach deklamacyi uczuciowej i wprowadził tak nazwane *da capo*. Prawdziwie twórczy geniusz tego człowieka, niesłychanie wielki i zbawienny wpływ wywarł na kompozytorów po nim idących i w ogólności na muzykę. Scarlatti a później Leo zrobili to dla aryi, co Carissimi uczynił dla recitativu: ozdobili ją wdziękiem śpiewności i świetnym akompaniamentem. Przed nimi, arya i recitativo mieszało się wzajemnie, oni dopiero stanowczo rozdzielili te dwa rodzaje śpiewu podziałem ruchu, właściwą niezależnością charakteru, różnaitością i pięknnością formy. Wówczasto muzyka teatralna nabrała znaczenia i wpływu aż dotąd nieznanego. Scarlatti założywszy szkołę w Neapolu, wydał z niej wielu ogromnego talentu kompozytorów, a mianowicie: Leo, Porporę, Vinci i Durant'a. Włosi z uwielbieniem przyjmowali utwory tych mistrzów, bo w nich dopiero napawać się mogli rozkoszami śpiewu dramatycznego, o jakim dotąd wyobrażenia nie mieli. W owęj także epoce zaczęli się kształcić specyjalni śpiewacy, gdyż przedtém kompozytor sam zwykle dzieła swoje wykonywał. Wkrótce téż pozaprowadzano szkoły śpiewu; Pistocchi sławny nauczyciel, żyjący pomiędzy 1680 a 1720 r. Bernacchi jego uczeń, Porpora i. t. d., wiele przyczynili się do udoskonalenia téj gałęzi muzyki. Kraj cały pokrył się szkołami wydającemi wybornych śpiewaków, a mianowicie: w Neapolu, Rzymie, Eolonii, Wenecyi, Modenie, Medyolanie i Florencyi, nauczano sposobów wydobywania i formowania głosów z całą znajomością rzeczy. Zaraz téż pojawiło się mnóstwo śpiewaków, o jakich dzisiaj trudno mieć pojęcie: Cafarelli, Farinelli, Gaudagni, Raff, Mancini, Tesi, Faustina i wielu innych, bylito prawdziwi mistrzowie w swéj sztuce. Szkoły

instrumentalne zaczęły się także pomyślnie rozwijać: Corelli urodzony w Fusignano 1653 r. pierwszy założył takową, słynną z dobrego i czystego stylu. On pierwszy wprowadził do swych kompozycji skrzypce i od tego czasu instrument ten począł zajmować pierwsze miejsce w muzyce kościelnej, teatralnej i salonowej. Tartini najpierwszy skrzypek swego czasu (w końcu XVII wieku), niemało się przyczynił do spopularyzowania tego pięknego instrumentu.

Przy tak potężnie rozwijającej się we wszystkich gałęziach muzyce, kantata, rodzaj utworu salonowo-dramatycznego, nie mogła pozostać w tyle: Carissimi i Scarlatti znacznie ją udoskonaliли, a następnie Bassani, Gasparini, Lotti, Cavalli, Bononcini, Gasparini i. t. p. tak kantatę ukształcili, że epokę w której żyli ci kompozytorowie, przewano złotym wiekiem kantaty. Porpora i Pergoles, szczególnie ten ostatni w dziele swym *Orfeo*, zostawił wzór najwyższej w tego rodzaju muzyce doskonałości. Dwaj ci znakomici kompozytorowie układali muzykę najczęściej do treści, której im dostarczał Metastase. Poeta ten żyjący pomiędzy 1698 a 1782 r. celował głównie w dramacie lirycznym i długi czas nie miał równego sobie współzawodnika.

Zbliżamy się teraz do epoki najświetniejszej, jaka kiedykolwiek w dziejach muzyki egzystowała, a tą jest wiek XVIII, szczególnie drugą jego połowę.

Szkoły: Rzymska, Neapolitańska, Wenecka i Bolońska, wydawały mnóstwo wielkiego talentu kompozytorów i artystów, którzy w jednym celu połączeni, okryli Włochy nieśmiertelną chwałą i nadali krajowi swemu w muzyce niezaprzeczoną wyższość nad resztą ucywilizowanej Europy.

Pergoles, urodzony w Neapolu 1704 r. był największym mistrzem swego czasu. Niewiele po nim zostało, lecz we wszystkich jego utworach jest tyle natchnienia i taka doskonałość formy, że nawet dzisiaj jeszcze dzieła Pergolesa, a mianowicie owo sławne *Stabat Mater*, za wzór doskonałości słusznie jest uważane. Nieoceniony i wzgardzony od współczesnych, którzy nie byli w stanie pojąć utworów tego wielkiego kompozytora, mając zaledwie lat 33, zmarł, pełen goryczy dla ludzi, co swą nikczemną zazdrością zatruli zbyt krótkie niestety życie jego. We dwa lata później, z chciwością wyszukiwano prace jego, z zapalem się im przysłuchiwało, a imię Pergolesa przymiotnikiem *Boski* uczczono. Jeden jeszcze Martini zmarły 1781 r. dla kościoła pracował, lecz po nim nie było już kompozytorów religijnych godnych wzmianki.

Świat i wszystkie jego ponęty opanował wyłącznie umysłem ówczesnego społeczeństwa. Uczni i artyści dla niego tylko wiedzę swą i muzę poświęcali; nie więc dziwnego, że większą uwagę zwrócono na muzykę dramatyczną, więcej od niej wymagać zaczęto, bo ona jedna mogła do pewnego stopnia potęgą swoją nasycić i zadowolnić ludzkość, ku sferom zmysłowości skierowaną.

Szereg wielkich kompozytorów rozżarzał jeszcze tę namiętną żądzę wrażeń i rozkoszy uroczemi blaski swych utworów. Niepodobna mi wszystkich wymienić, więc chociaż o znaczniejszych wspomnę.

Logroscino celował przedewszystkiém w operze *buffo*: onto od Neapolitańczyków zachwyconych jego utworami, przewany został *il Dio dell' opera buffa*; Jan Bononcini, znany jako współzawodnik Händla; znakomity skrzypek a zarazem kompozytor Gemniani, urodzony w Luce 1698; Galluppi, przewany Buranello od miasta Burano w którym się urodził (1703 r.), uważanym być może za jednego z najlepszych kompozytorów opery *buffo*. Był on uczniem sławnego Lotti i zmarł jako mistrz kapeli w kościele śgo Marka w Wenecyi 1805 r., mając lat 102.

Nicolo Jomelli, urodzony w Aversa około 1714, odznaczał się we wszystkich rodzajach muzyki tak kościelnej, teatralnej, jako i salonowej. Liczne jego dzieła bogate w harmonią, cenione są szczególnież ze względu na oryginalność, prostotę i piękność melodyi; zmarł 1794 r. Piccini, najlepszy z mistrzów szkoły neapolitańskiej, płodnym był niesłychanie; jeszcze przed 1776 rokiem nim do Paryża wyjechał, by tamże stanowczy wpływ wyrzucić na losy opery komicznej francuzkiej, napisał on trzysta oper! W Paryżu także wiele ich skomponował, a wszystkie odznaczają się oryginalnością i pięknnością pomysłów. On pierwszy w swój operze *Cecchina* czyli *la Buona figliola*, zaczął wprowadzać ustępy zbiorowe tak nazwane *morceaux d' ensemble* i finały. Zrazu nieśmiało i inni poczęli tego używać, aż później stały się najważniejszą częścią i ozdobą dramatu lirycznego.

Sarti i Sacchini współczesni Picciniego, niepoślednie także zajmują miejsce w rzędzie kompozytorów dramatycznych; szczególnież Sacchini celował bogactwem akompaniamentu w swych utworach pełnych szlachetnego i uczuciowego śpiewu. Wyżsi jeszcze co do talentu byli: Piotr Guglielmi zmarły 1804, Paisiello 1816, i Cimarosa.

Domenico Cimarosa urodził się w Aversa państwie neapolitańskiem 17 grudnia 1749 r. Syn ubogiego mularza, straciwszy wczesnie ojca, który spadłszy z rusztowania przy budowie pałacu Capo di Monte życie postradał, oddany był przez matkę na wychowanie zacnemu zakonnikowi i organście Poleano. Otrzymałszy od niego pewne początki muzyki, umieszczony został w dwunastym roku w konserwatoryum Santa-Maria-di-Loretto 1761 r.

Wyszedłszy z niego w dziewiętnastym roku życia, począł tworzyć opery z nadzwyczajną łatwością, i wkrótce téż imię jego stało się głośném nietylko w całych Włoszech, lecz nawet w Europie. Powołany do Rossyi, przybył do Petersburga 1789, gdzie był jak najlepiej przyjętym; lecz po napisaniu tamże wielu oper w ciągu trzechletniego pobytu, wrócił nazad do rodzinnego kraju, gdyż klimat północny szkodliwy wpływ wywierał na jego zdro-

wie. W przejeździe przez Wiedeń 1792 r. napisał dla tamtejszego teatru swóje nieśmiertelne dzieło: *il Matrimonio segreto*, a następnie, w skutek prześladowania stargawszy walle zdrowie, w Wenecyi 11 stycznia 1801 roku, w smutku życia dokonał.

Wszyscy ci kompozytorowie zmarli na początku XIX wieku, zamykają okres najświetniejszy i najbogatszy muzyki XVIII stulecia.

Po Cimarosie, muzyka zdawała się upadać. Meyer, Paër, Zingarelli, Pavezi, Salieri, Fioravanti i wielu innych, owdładnęli sceną siląc się na sprostowanie poprzednikom swoim; lecz nie było to rzeczą tak łatwą, i pomimo talentu, dzieła ich doświadczywszy chwilowego powodzenia, zniknęły ze sceny jak drobne kwiaty nieublaganą kosą podcięte. Tą kosą, albo raczej tém słońcem mającém zaćmić swym potężnym blaskiem mdławo błyskające na horyzoncie muzycznym gwiazdki, był Rossyni, co upadającą sztukę w swym kraju podniósł, przywrócił jój dawne znaczenie, a szczęśliwie przez siebie dokonanemi zmianami w jój dotychczasowo przyjętym systemacie pisania oper, nadał jój przewagę nad muzykami innych krajów, potęgą geniuszu usprawiedliwioną. (1)

Wielki ten kompozytor urodził się 29 lutego 1792 r. w mieście Pesaro, należącém do państwa Papieckiego. Ojciec jego mierny bardzo waltornista, prowadził koczujące życie, grywając w orkiestrach na swym instrumencie, gdy się jaka błakająca opera zatrzymała w czasie jarmarków w Sinigaglia, Ferrarze, Forli i innych miasteczkach Romanii. Matka Rossyniego, niepospolitój piękności kobieta, występowała wówczas na scenie jako *seconda-donna*. Młody Gioacchino towarzysząc nieodstępnie rodzicom w ich wycieczkach artystycznych, wczesnie począł objawiać pewne zdolności do muzyki, i już przed dwunastym rokiem życia w 1804, oddany był na naukę niejakiemu Angelo Tesei. Przy końcu kilku miesięcy, potrafił zarabiać sobie po kilka paolów śpiewając pięknym swym sopranowym głosem po kościołach w czasie większego nabożeństwa, a później pod kierunkiem swego nauczyciela, nabrał wprawy do akompaniowania i poznał pierwsze zasady kontrapunktu. W roku 1806 przewodniczył Rossyni jako dyrektor małym orkiestrom w wykonywaniu oper w Lugo, Ferrarze, Forli, Sinigaglia i innych drobnych miasteczkach. W 1807, przestał śpiewać po kościołach i wkrótce zaraz wszedł do liceum bolońskiego uczyć się kompozycyi od Stanisława Mat-

(1) Należałoby mi jeszcze wspomnieć o Mozarcie, który będąc dzieckiem, bo miał zaledwie lat 14, gdy w 1770 r. napisał dla teatru *la Scala* w Medyolanie operę pod tytułem *Mitrydat*, a w trzy lata później *Lucio Silla*; lecz powodzenie tych utworów lubo było dosyć dobre, nie mogło wyrzec żadnego wpływu na losy ówczesnej muzyki włoskiej. Cherubini zaś i Spontini, chociaż Włosi z urodzenia, że talent swój poświęcili na usługi innych krajów, a zatem mniej mając styczności z dziejami muzyki, którą opisuję, obszerniej traktowan. będą pod właściwą rubryką.

tei. Postępy jego w tej nauce były nadzwyczajne i w rok później skomponował symfonią i kantatę przezwaną *Il Pianto d'Armonia*. Było to pierwsze jego dzieło wokalne, skutkiem czego obrany został dyrektorem Akademii *Concordi*, zgromadzenia muzycznego, założonego w łonie tegoż liceum. Rossyni w dziewiętnastym roku życia posiadał już tyle nauki, że nie obawiano się powierzyć mu dyрекcyą orkiestry przy wykonaniu w Bolonii, *Czterech pór roku* Haydena. Gdy rodzice jego nie mogli otrzymać miejsca w żadnym teatrze, wracali do Pesaro uprowadzając z sobą syna, i tamto w r. 1809, Rossyni miał szczęście zwrócić na siebie uwagę możnej bardzo rodziny Perticari, która własnym kosztem wysłała do Wenecyi, gdzie w 1810 skomponował pierwszą swą operę pod tytułem *la Cambiale di Matrimonio*. Zachęcony powodzeniem, przybył do Bolonii, napisał w roku następnym dla tamtejszego teatru *l'Equivoco Stravagante*, a powróciwszy do Wenecyi, wystawił tamże 1812 r. *l'Inganno Felice*. Geniusz jego począł się już przebijać i zwracać powszechną uwagę. Dochody jego zaczęły się zwiększać, mógł nawet zasilać niemi ubogich swoich rodziców; tegoż samego roku napisał jedną z lepszych komicznych oper pod tytułem: *Pietra del paragone*, która miała nadzwyczajne powodzenie. Rossyni przewodnicząc na fortepianie podczas trzech pierwszych reprezentacyj, otrzymał za to do tysiąca franków, a posyłając znaczną część tej summy matce, w ten sposób zaadresował: *All'ornatissima signora Rossini, madre del celebre Maestro in Bologna*.

Wydzierano go sobie gdzie tylko się zatrzymał: talent i wzrastająca sława jednały mu wszędzie jak najpochlebniejsze przyjęcie. *Tankred*, pierwsza jego opera w stylu poważniejszym napisana 1813 r., stanowi najświetniejszą epokę w zawodzie tego kompozytora. Od tego czasu poczyna się szereg ogromnych dla Rossyniego tryumfów.

Dziwniej nieraz obojętności i lekceważenia na własne powodzenie dawał niekiedy młody maestro dowody; anegdota, którą tu przytoczę, najlepiej świadczyć będzie o charakterze twórcy *Tankreda*. W 1812 r. zobowiązał się Rossyni napisać operę pod tytułem: *la Scala di sete*. Dyrektor teatru, dla którego ta opera była przeznaczoną, byłto człowiek wymagający, niegrzeczny, opryskliwy, jednem słowem brutal w całym znaczeniu tego wyrazu. Rossyni postanowił figla mu wypłatać; a ponieważ wolno jest kompozytorowi użyć wszystkich efektów, jakie tylko są możliwe w instrumentacyi orkiestrowej, w allegrze uwerury, skrzypkowie każdy początek taktu mieli sobie akompaniować, uderzając smyczkami w blachę pokrywającą świeczniki przytwierdzone do pulpitów. Łatwo sobie wyobrazić zdziwienie i gniew ze wszystkich cyrkulów a nawet i okolic Wenecyi, tłumnie zebranej publiczności dla posłuchania tej nowej opery. Publiczność, która na dwie godziny przed rozpoczęciem uwerury oblegała drzwi teatru, uczuła się być znieważoną osobiście i straszliwie wygwi-

zdała rozpoczęte dzieło: Rossyni niedotknięty tém wcale, spytał, śmiejąc się dyrektora, co zyskał, że mu tyle przykrości robił i tak lekko go traktował?

Niezmordowany ten kompozytor tworzył partytury z nadzwyczajną szybkością: *Italiana in Algeri* w 1813, *il Turco in Italia* w 1814, *Elisabetta* w 1815, *il Barbiere di Seviglia* w 1816, *Otello* w tymże samym roku, *Cenerentola*, *Gazza ladra*, *Armida* w 1817. *Semiramida* w 1823, *Moise* w 1827, *Le Comte Ory* w 1828, że pominię wiele innych jako mniej znanych oper, a których liczba do 39 dochodzi, wzbudzały pomiędzy ówczesną publicznością zapal, o jakim dzisiaj pojęcia nie mamy. Nieraz w pośród ciągłych salw okłasków i krzyków *viva Rossini! viva maestro!* Rossini, który zwykle siedział przy fortepianie w orkiestrze, zmuszony był czynić tyle ukłonów publiczności, że zaledwie miał siły wyjść z teatru i zawlec się do domu. W r. 1824 osiadł stale w Paryżu, wpłynawszy wiele utworami swemi na tamtejszych kompozytorów; ze swój także strony uległ smakowi paryzkiej publiczności. W operze *le Siège de Corinthe* wystawionej 1826, w *Mose in Egitto* 1827 i *le Comte Ory*, widoczne są tego dowody. Koroną zaś jego wszystkich dzieł jest bez zaprzeczenia *Guillaume Telle*, także dla sceny francuzkiej w 1829 roku napisany.

Popularność muzyki Rossyniego nietylko we Włoszech, lecz w Europie całej, nie da się z niczém porównać. Wszyscy kompozytorowie piszący przed zjawieniem się tego mistrza, ustąpić musieli ze sceny włoskiej przed geniuszem tak porywającym i tak płodnym. Niemcy nawet, tak dumni ze swych kompozytorów, ulegli wpływowi téj czarownej i rozkosznej muzyki, która ich sceną potężnie zawładnęła. Melodye jego mniej poważne i uczuciowe jak Haydena, Mozarta i Beethowena, łatwiej do uszu i do serca się wciskają: w tém leży cała tajemnica ich powodzeń. Jednakże dzieła jego nie są wolne od wielu błędów.

Niemając dosyć cierpliwości na ukończenie pracowitych studyów, Rossini zbyt wczesnie może rzucił się w zawód kompozytorski. Wprawdzie umysł jego pełen taktu chwycił wszystko co mogło być dla niego użyteczném, odrzucając zaś to, co mu się na nic przydać nie mogło; lecz gdyby był przyszedł w innym czasie, kto wie czy znalazłby tak łatwe i tak świetne powodzenie. Publiczność znudzona słuchaniem mniej-więcej podobnych do siebie utworów, żądała czegoś nowego, a co właśnie kompozytorowie poprzedzający Rossyniego dać jej nie mogli. W *Tankredzie* dopiero, żywość młodej imaginacji, świeżość melodyi, orkiestra pełna jaskrawego i śmiałego kolorytu, silne wrażenie na umysłach słuchaczy wywarła. Co nie było wyjątkową oryginalnością Rossyniego, zręcznie i ponętnie przez niego przedstawione, z łatwością uszło za jego własność. Mniej sumienny od Mozarta, skoro tylko zbadał usposobienie lub smak publiczności, starał się zaraz do niego zastosować; dlatego téż poniżał on niekiedy talent swój w rutynie dosyć jednostajnych formuł, nacechowanych

pewną szarlataneryą, a niechybnie dobrze od ogółu publiczności przyjętych. Zarysy arii, duettów i większych zbiorowych ustępów, zawsze są prawie jednostajne; to samo można powiedzieć o rytmie wielu końcowych finałów; krescenda zaś, które przejął od Mosca, kompozytora, co pierwszy je umiał zastosować, tak są częste i nieuniknione, że nawet przez współczesnych a nieprzyjaznych sobie krytyków, przewany był *Monsieur de crescendo*. Główną cechą muzyki Rossyniego jest lekkość i humor, chociaż gdy maluje on sytuacje poważne i uczuciowe. Utwory Mozarta, Beethowena, Meyerbeera, wywołują w nas głębokie, ponure i smutne wrażenia; przeciwnie Rossyniego, z wyjątkiem tylko ostatniej jego opery *Guillaume Tell*, są miłą i świeżą melodią, sprowadzają uśmiech zadowolenia i rozkoszy. Dlatego wszystkie partytury obok Rossyniego wydają się być ciężkie i nużące. Rossyni jest rzadko smutny, a jeden z wielbicieli tego mistrza powiedział „że gdyby Rossyni urodził się panem kilkudziesięciu tysięcy liwrów rocznego dochodu, jak jego kolega Meyerbeer, z pewnością geniusz muzyczny twórcy *Cyrulika Sewilskiego*, byłby się stanowczo przechylił na stronę opery komicznej.” Lecz cóż, ubogi, musiał myśleć o środkach utrzymania życia. Dyrektorowie teatrów naówczas żądali tylko oper poważnych, a nareszcie Rossyni poznał i pokochał pannę Colbrand śpiewaczkę, która jedynie w serio operach występowała i z nią jak wiadomo połączył się węzłem małżeńskim; dla niejto napisał *Elisabete*, *Otello*, *Armide*, *Mojżesza*, *Semiramidę* i wiele innych oper. Rossyni jednakże wyświadczył wielką przysługę poważnym operom. Dawniejsi mistrzowie, a nawet Cimarosa i Paisiello, zanadto używali w dziełach tego rodzaju recitativ, arii i duettów, a zbyt mało ustępów zbiorowych (*morceaux d'ensemble*). Ządto pochodzi owa monotonia niszcząca urok piękności w ich utworach się zawierających. Rossini obrał sobie zupełnie inny sposób, jak to już w *Tankredzie*, a szczególnie w *Otellu* dostrzedz można. U niego wszystkie sytuacje są w muzyce, dlatego tak mało recitativ i te nawet co są, zyskują wiele na interesie, bo orkiestra im towarzyszy; znaczenie i siła jaką nadał chórom jest także własnością Rossyniego; on pierwszy zaczął notować niespuszczając się na smak śpiewaków, wszelkie broderye i kadencye w śpiewie. Nikt nie był w stanie nadać tyle świetności i potęgi orkiestrze co Rossyni, lecz w ostatnich dziełach swoich zbyt wiele używał hałaśliwych instrumentów, przez co męczył nieraz uwagę słuchaczy i dał powód naśladowcom swoim do ogromnego później w tym względzie nadużycia.

Ządłego może w niniejszej pracy rzepisałem się o Rossinim, ale uważam tego człowieka za największego kompozytora naszego wieku; potężny jego geniusz oswobodziwszy muzykę w własnym kraju od pewnych krępujących ją formuł, wzbogacił sztukę wielu nowemi i śmiało wprowadzonymi reformami; tym sposobem przyczyniwszy się wiele do jej postępu, wywarł potę-

żny wpływ na muzykę dramatyczną w inny krajach; która przez długi czas znosiła przewagę stylu włoskiego.

Naśladowcami Rossyniego, używającemi mniej więcej dobrego powodzenia we Włoszech byli: Carafa urodzony w Neapolu 1785, Mercadante znany poczęści i u nas z dwóch swoich oper: *Przysięgi* i *il Bravo*; Meyerbeer, którego aż do czasu napisania na scenę paryzką *Roberta Diabła*, uważać porzeba za jednego z lepszych włoskich kompozytorów; Paccini i Vaccajo. Wszystkie ich dzieła kalkowane są na sposób Rossyniego, nie wiele też o nich jest do powiedzenia. Jeden Bellini oryginalniejszy od innych, umiał sobie zjednać nieco większy rozgłos.

Bellini urodził się w Sycylii 1802 r. Pierwsza jego opera *Bianco e Fernando* wystawiona w Neapolu 1826, dobrze bardzo od publiczności przyjęta została; powołany w roku następnym do Medyolanu, skomponował tamże dla Pasty i Rubiniego *Piratę*. Ogromne powodzenie téj opery zjednało Belliniemu wielką wziętość we Włoszech; 1828 wystawił w tém samym mieście *Straniere*, a następnie 1831 *Sornnambulę*. Prześliczna ta partycja, arcydzieło w swym rodzaju, napisana również dla Pasty i Rubiniego, odśpiewana była w teatrze *Canobiana* i wzbudziła pomiędzy publicznością niesłychany entuzjazm. Zachęcony tak świetnemi powodzeniami Bellini, zapragnął styl swój rozszerzyć i w *Normie* dał dowody postępów, jakich słusznie wielbiciele jego talentu po nim się spodziewali. W roku 1834 przybywszy do Paryża, skomponował tamże dla czterech najslawniejszych wówczas wirtuozów, tojest dla pani Grisi, Tamburini, Lablacha i Rubiniego swego najulubieńszego śpiewaka *Purytanie*, i w sześć miesięcy po pierwszym przedstawieniu téj pięknej opery, w styczniu 1835 r. zmarł Bellini w samej sile wieku, nie mogąc nawet nacieszyć się zasłużoném powodzeniem ostatniego swego utworu. Kompozytor ten, z małemi naukowemi zasobami, winien był wszystko instynktowi wrodzonego talentu. Umiał on znaleźć w głębi swego serca szczytnę i pełne oryginalności melodye, a w kombinacyach harmonii, zdarzało mu się czasami sięgnąć w sfery przystępne tylko potężnym organizacyom muzykalnym.

Donizetti i Verdi, sąto dwaj wyższego talentu kompozytorowie (należący także do rzędu naśladowców Rossyniego), zamykający okres historyczny muzyki dramatycznej włoskiej.

Donizetti urodzony w Bergamo 1798 roku, pierwszą swoją operę pod tytułem: *Eurico di Borgogna*, wystawił w Wenecyi 1818 r.; od tego czasu zachęcony powodzeniami, pisał opery z nadzwyczajną szybkością: liczba ich do sześćdziesięciu kilku dochodzi, a z pomiędzy nich najpiękniejsze są jako opery serio: *Anna Bolena*, *Lucrezia Borgia*, *Lucya z Lamermooru*, *Faworyta*; a zaś z komicznych: *la Fille du Régiment*, *l'Elissire d'amore* i *Don Pasquale*. Przyzwyczajony do spiesznego tworzenia dzieł swoich, Donizetti wiele także doznał zawodów, a nawet niepo-

wodzenie ostatniej jego opery napisanej w Paryżu 1843 r. skróciło pasmo dni jego; wkrótce też dostał obłąkania zmysłów i dnia 8 kwietnia 1848, zmarł Donizetti w mieście rodzinnem Bergamo (1).

Verdi ostatni z większych kompozytorów włoskich, od czasu wystawienia pierwszej swęj opery *Nabuchodonozor*, zawładnął zupełnie sceną; a dzisiaj same tylko melodye tego kompozytora rozlegają się na klassycznej ziemi sztuk pięknych. Wiele już pisano o nim, każdy ma sobie za obowiązek obwiniać tego mistrza o upadek muzyki we Włoszech, i rzeczywiście pomimo niezaprzeczonych piękności znajdujących się w niektórych jego operach, a mianowicie: *Ernani*, *Due Foscari*, *Lombardi*, *Macbeth*, *Trovatore*, *Rigoletto*, i *Vepres Sicilien*, w ogólności są to dzieła w których widocznie przebija się upadek sztuki i zepsucie smaku.

Od czasu jak Rossyni przestał pisać, charakter muzyki włoskiej znacznie się zmienił. Wpływ literatury zagranicznej i nowych teoryj o sztuce dramatycznej, pobudza kompozytorów w nadawaniu utworom swoim cechy gwałtowno uczuciowej; poświęcili oni łagodny i delikatny koloryt uczucia, dla ponurych i ciemnych wyrazów zbolalej duszy. Melodye ich nie mają już téj jasności, wzniosłości i tego bogactwa co dawniej. Sztuka instrumentowania straciła wiele na wdzięku i elegancji, a stała się wrzaskliwą i trywialną. Jednym słowem, następcy Rossyniego poniżyli muzykę przez zbytnią przesadę w wyszukiwaniu mocnych efektów dramatyczności. Zdaje się, że świetna gwiazda muzyki tego kraju oraz widoczniej błedniejąc, wkrótce może na zawsze zejdzie z horyzontu, na którym od tylu wieków całemu światu przyświecała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wojciech Oczko, nadworny lekarz królów polskich, rodem z Warszawy.

Niesiecki w genealogiczném dziele swojém, dochodząc z kąd która familia szlachty naszej przybyła, w tomie III na str. 397, pod nazwiskiem *Oczko*, przytacza wyciąg z dzieła *Purpura docta*, w którym wspomniany jest „*Joannes Oczko Bohemus ex nobili et antiqua familia Dominorum Ularsim, intimus quondam Consiliarius et Secretarius Caroli IV caesaris*” etc. Wypi-

(1) Po bliższe szczegóły tyczące się życia tego kompozytora, odsyłam czytelnika do Biblioteki Warszawskiej za miesiąc listopad 1856 r.

sawszy ten wyciąg, dodaje na końcu ze Starowolskiego, że „Wojciech Oczko wydał księgę wielką *De variis affectionibus Corporis humani*, r. 1581”.

Te dwa podania, żadnego z sobą w Niesieckim związku nie mające, Janocki, mówiąc o Wojciechu Oczko (Janociana III, p. 217) błędnie łączy w słowach o tym ostatnim: „*Eques Bohemus indigenatu Polonico cohonestatus*”, i odnosi się do Niesieckiego, który tego bynajmniej nie twierdził.

Siarczyński, mówiąc także o Wojciechu Oczko (Obraz wieku pan. Żyg. III, tom II, str. 24), wyraża, iż to był „z rodu zacnego w Morawii lekarz Lwowski”, ale nie podaje z kąd o tém pochodzeniu rodu jego wiadomość wyczerpną.

P. Ludwik Gąsiorowski, w tomie I^m swoich wiadomości do Historji sztuki lekarskiej w Polsce, nie mógł przeto na zasadzie powyższych świadectw inaczej wyrazić się o Wojciechu Oczko, jak mówiąc (str. 270), iż on „podług jednych miał być rodem z Czech, podług drugich zaś z Morawii”.

Tymczasem rzecz się ma wcale inaczej: przeglądając dawne akta kapituły warszawskiej, znaleźliśmy w 4^{tej} ich księdze, że Wojciech Oczko nie był ani szlachcicem, ani Czechem i Morawczykiem, lecz był rzeczywistym Polakiem, rodem z Warszawy. W wieku XVI było już w Warszawie kilka szpitalów (św. Ducha założony przez książąt mazowieckich, św. Trójcy wystawiony kosztem Jana Figury), ale się dawała czuć potrzeba lekarzy. W r. 1550 kapituła postanowiła prosić króla o pozwolenie osadzenia jednej prebendy przez biegłego w sztuce lekarskiej. Zjawiają się zatem imiona kilku lekarzy: Jakób Pontificius, kustosz kollegiaty warszawskiej (1553); Wawrzyniec Pontificius, kanonik kapituły (1569); Baltazar doktor (1556), i inny Tomasz a Syerpez (tojest z Sierpca). Powyższe okoliczności wpłynęły zapewne i na los Wojciecha Oczki (1). Najpierwsza tego nazwiska wzmianka w księgach jest pod Rosławem Oczką, który w r. 1560 z wikaryusza postępuje na penitencyonaryusza kollegiaty. W r. 1562, na prośbę opatrz nego Stanisława Oczki, kołodzieja, kapituła synowi jego, zostającemu w akademii krakowskiej, Wojciechowi Oczce, daje pewną sumę na dostąpienie naukowego stopnia w akademii. (2) W r. 1565 Wojciech jest już magistrem nauk i przelożonym szkoły

(1) P. Gąsiorowski (*l. c.*) pisze *Oczka*, *Oczkowi*, zamiast *Oczki*, *Oczce*. Tęj formy nazwisk familijnych u nas wiele jest na Podlasiu i w przyległej części Litwy, np. *Mleczek*, *Chodźko*, *Oskierko*, *Łojko* i t. p. i one nie są pochodzenia czeskiego.

(2) 1562. *Alberto Oczko pro studio dona. Domi ad postulacionem providi Stanislai Oczko, Rotificis, discreto Alberto filio ejus circa Universitatis Cracoviens. studioso quinq. florenos in moneta ad promociones ex gratia sue d. Procuratori de peccunijs Capituli dare madavert.*

istniejącej natenczas przy kollegiacie warszawskiej, i w tymże roku wybiera się w podróż do Włoch, na którą kapituła znaczny mu daje zasiłek (1).

W r. 1569 Wojciechowi Oczce, już będącemu z powrotem z Włoch i zaszczyconemu tytułem doktora medycyny, kapituła odstępuje na mieszkanie kamienicy należącej do szpitala przy kościele św. Marcina, i to bez czynszu, ponieważ „zawsze rada trzymać wkoło siebie ludzi uczonych, zdatnych i pożytecznych” (2).

Nietylko ten jeden jest dowód, że kapituła z światłą hojnością rozrządzała funduszami swojemi: zapisano, że wykladała to na wsparcie podupadłego malarza, chorującego muzyka, ranego żołnierza; to na wykupno więźniów na Podolu z niewoli tureckiej, na wspomnienie młodego podłasiaka idącego na naukę do Krakowa. Jan Figura, gdy cały swój majątek stracił na wystawienie szpitala, oprócz mieszkania i usługi odbierał tygodniowo po 1 flor.: sumę dość znaczną zważając na ówczesową wartość floryna. Pisarz miejski, Zygmunt Ulrychowicz, towarzyszący podobno Oczce w podróży do Włoch, otrzymał od kapituły wsparcie na dokończenie nauk (3).

Wszystko to wyjęliśmy z księgi czwartej aktów kapituły warszawskiej. Dziwne być musi uczucie człowieka, któremu się poszczęściło brata swego rodaka z niebezpieczeństwa życia wybawić, i wrócić go rodzinie: coś podobnego w uczuciach doznaje ten, kto narodowi swemu własność zasłużonego imienia przywraca.

J. T. L.

(1) 1565. *Alberto Oczko Magistro Schole pro studio dece talari ex gratia dati. Domini ad petitione Alberti Oczko Magistri Schole Varschoviens. p. studio ad Italiam proficiscenti decem Talaros de peccunijs hospital. d. Oeconomo du et qndo. ibit et non alio modo dare ex gratia comiserunt.* Niżej, pod zagłówką: *Decem floreni in auro Alberto Oczko mgro. (magistro) pro studio Italiam eunti*, zapisano iż takowe pieniądze zostały wydane Oczce.

(2) *De domo ad Hospitale pertinen. Egreg. Dno Alberto Oczko Doctori. ad manendum concessa. Domi in pnti. (praesenti) Capitulo gnali. (generalis) volentes Homines idoneos doctos et necessarios circa Capitulum suum conservare retinere et providere: ad postulacionem Egregii dom. Alberti Oczko medicine Doctor. circa domum ad Hospitale sancti Martini spectantem etc.*

(3) 1555. *Honorabilis Stanislaus Polgassek infirmus sustinet. ex pictura etc.* po grzywnie na kwartał. 1566. *Francisco Arphiste Elemos.* 1563. *Adolescenti a Drogiczyn Andree Cracov. ad studia eunti 8 flor.* 1560. *provisio Famat. Joan. Figura.* 1565. *Decem floreni in auro Vlrico Sigismundo (dalej nazwany Ulrychowicz) notario Civili ad Italiam pro studio dati etc.*

CZAS: DODATEK MIESIĘCZNY za miesiące styczeń i luty r. b. wyszedł z druku i obejmuje: 1) Ignacego Domejki cztero miesięczna podróż z Paryża do Chili w roku 1838. Jestto początek téj podróży; wyborne jest opisanie Londynu, jakie na czele zaraz czytamy. 2) Negocyacye ze Szwecyą o pokój 1651 do 1653, przyczynek do historyi wojen szwedzkich, przez B. Kamińskiego. Z rozprawy téj znać krytycznego badacza, z nie-malą erudycyą i z wyższym poglądem. 3) Z Komedyi Boskiej Danta, przekład pieśni XXV *Piekło*, wierszem nierymowym przez Teofila Lenartowicza i pieśni 2, *Czysca*, przez Władysława Kulczyckiego. 4) Przegląd piśmiennictwa Lucyana Siemieńskiego już jest szerszego poglądu: nie pojedynczemi zajmuje się dziełami, ale sprawozdaniem z roku 1856.

«Ruch, to najwybitniejsze znamię dzisiejszój epoki, bo się objawia we wszystkich gałęziach pracy ludzkiej, czy materyalnej czy umysłowój, nie mógłbym powiedzieć że jest wypadkiem jakiegś myśli za-ziemskiej, jakiegoś nieodgadnionego instynktu jak ten, który ludy pędził na Rzym Cezarów, lub odzyskanie grobu św. lub na odszukanie nieznanomych światów. Tam zawsze był cel wysoki, który wszystkich porywał i wiódł, było słowo upajające co rodziło poświęcenia się: kiedy dziś sprawcą i celem ruchu jest kapitał więcéj jeszcze fikcyjny jak rzeczywisty.

«W ujemnej stronie społeczeństwa tkwi ujemna strona dzisiejszój literatury: publiczność obok innych wygódek i wykwin-tów życia, potrzebuje jeszcze przyjemnej umysłowój rozrywki w chwilach odpoczynku od zabaw, lub od gonitw za złotym cielcem: dlatego ten jój najwięcéj dogadza, kto ją najlepiej rozer-wać umie. A rodzaj rozrywki bywa w różnych różny: w Atenach publiczność tak się bawiła wszystkiém, czyto swoimi politykami, czy hetmanami, czy filozofami a nawet bogami, że aż władza musiała się w to mieszać, i tamę położyć temu szalowi przedrwiwania wszystkiego. W Rzymie za panowania Augusta podczas przedstawień poważnych Plauta lub Terencyusza wołali widzowie: dajcie nam uczonego niedźwiedzia lub skoczka! Kiedy Francya szalała i rozpustowała najwyższém zepsuciem, bawiono się płaczkliwym dramatem. Otóż więc jak wtedy, tak dziś, tak zawsze, zabawa przybiera różny charakter: czasem pusty śmiech oddziaływa na zbytek purytańskiego świętoszko-stwa, to znowu lzy sentymentalne płyną nad listami dwojga kochanków, lub tkliwym dramatem, kiedy na placu publicznym poklaskiwało się spadającym głowom. W dzisiejszej chwili społeczeństwo nasze rozlubowało się nadzwyczaj w obrazach wiejskiej prostoty, a tymczasem całemi tłumami garnie się do miasta, i zmienia swój patryarchalny tryb życia, otaczając się wygodkami i wymysłami wcale niezgodnemi z tą wynoszoną pod nieba doskonałością człowieka natury. Że taki smak prze-waża, najoczywistszy dowód w tém mnóstwie produkcji opie-

wających przedmioty sielskie, zawsze prawie w przeciwstawieniu do klass wyższych, ma się rozumieć zepsutych do gruntu.”

Zwraca następnie uwagę wyłącznie na literaturę krajową. „Kiedy przebiegam myślą płody fantazyi i serca w upłynionym roku puszczone w świat, które powiedzmy nawiasem, są tylko dalszym ciągiem tego, co się w poprzednich latach rozdziło: uderzają mnie wyłącznie dwie myśli, a raczej dwa temata, około których krążyła niemal cała rzesza piszących. Pierwszym tematem jest świat Soplicowski, zaściankowy, sięgający jak wiadomo ostatnich godzin rzeczypospolitój, co ożywiona wielkim duchem Barskiego związku, buchnęła raz jeszcze płomieniem konającej lampy i ukazała przesuwające się w jej blasku charaktery i postacie bohaterskie.” Drugi temat znalazł się w życiu *wioskowém*: powieść stanęła na czele literatury. „W świecie literackim naszym (pisze Siemiński) powstała czynność, o jakiej nie słyszeliśmy nawet w najlepszych chwilach złotego wieku: coraz nowe powstają pióra, tworzą się kombinacye edytorskie na obszerną skalę: książka książkę goni, sława sypcha sławę, i koniec końców obliczywszy się, z wielkiej chmury mały deszcz, wiele hałasu i okazałości—rzetelnego pożytku mało. Forma powieści, w którą wszystko zmieścić się może, stała się zdawkową monetą, krąży z rąk do rąk, ale nikt jej nie chowa, bo tylko na konwencyonalną wartość, zaspokaja ledwie codzienny wydatek, a zatem nie obraca się w kapitał, któryby prawdziwą zamożność stanowił. Toż i duchowego kapitału wyroby te nie przynoszą, jak nie przyniosły żadnemu narodowi choć liczył ich na krocie i lepszych niż nasze. Nie mówię tego bynajmniej, aby przymawiać tym, co nas zasilają podobnym rodzajem literatury, służy im bowiem ogromny argument: a dlaczegoż nas czytają tak skwapliwie, dlaczego dopiero czytać zaczęto, odkąd obraliśmy tę drogę? Zapewne argument mocny, lecz jeszcze nie zwycięzki: wlec się bowiem za efemerycznym smakiem massy czytającej jedno jest, co zajmować to stanowisko na jakim masa stoi: a cóż się robi z tém powtarzaném co chwila kapłaństwem myśli, z tém posłannictwem duchowém, do jakiego każdy piszący rości sobie pretensją, jeżeli tu i owdzie pomiędzy sceny brudne lub płaskie, z rzeczywistości niby wzięte, rzuci obrok duchowy, kusy jaki morał, co nie chłodzi, nie grzeje? Powiadają, że przy nich dopiero prawdziwy postęp, odkąd zaczęli w wierznych rysach malować rzeczywistość. Przyznaję, że rysy pochwycone są z rzeczywistości tu i owdzie. a pochwycone aż do drobiazgów, lecz czyli wyżsi pisarze nasi nie robili tego samego? Kto więcej rzeczywistości umiał pochwycić, jak Mickiewicz, Brodziński w *Wiesławie*, Goszczyński w *Zamku Kaniowskim*? ale dlatego każdy z nich czuł się w obowiązku napęłnić tę rzeczywistość taką potęgą ducha, że te ich kreacye mają wszystkie przymioty prawdziwej kreacyi, to jest idealność.”

»Ten kierunek nadany dzisiejszemu naszemu piśmiennictwu wszczął się z tój ślizkiej a przyjętj przez wielu prawdziwie utalentowanych autorów metody popularyzowania wszelkich wyobrażeń, przez podanie ich w najprzystępniejszj i najbardziej łatwjej formie powieści. Usłużność ta odbyła się jednak kosztem wysokiego nastroju, w jakim prawdziwy kunsztmistrz powinien trzymać swoję kompozycya: tymczasem rzecz dowiedziona, iż popularność nie leży w spłaszczeniu się, gdy największe utwory takimi nie są, ale dlatego przystępnemi być nie przestają. Malczeskiego lub Mickiewicza czyta i czuje wielka liczba, a jednak ton ich zawsze wysoki:—podnosi drugich, siebie nie znizła. Pogardzono tóż wyborną przyprawą mogącą prawdziwie łaknących nasycić, a zajęto się rozdawaniem zupy rumfordzkiej, która nie dozwala zaiste z głodu umierać, ale tóż i nie tuczy. Filantropia ta tak w ekonomii politycznej jak w literaturze, bardzo może być chwalebna, ale mniemam, że zawsze tam lepij, gdzie się bez niój obejść można.»

W dalszym poglądzie wspomina J. Kraszewskiego obrabianie pamiętników historycznych; Korzeniowskiego *Krewnych*, M. Grabowskiego *Starostę Kaniowskiego*, *Nowego Gładyatora* p. Morzkowskiej i *Fabiola*. Z poezyi: drobne poezye W. Pola; Syrokomi liczny poczet broszur; powieści poetyczne S. Pruszkowj; Jana Chęcińskiego *Anioł i Czart*, przekład *hymnów kościelnych* ś. p. ks. Hołowińskiego; przekład z Eschylesa *Agamemnona*. Pierwsze pieśni pielgrzymki Czajld Harolda, przekład Wiktora z Baworowa. O przekładzie *Fritiofowej sagi* z Tegnera przez Jagielskiego wyraża: »Wygląda to raczej na jakieś filologiczne exercycyum niż na poetyczny przekład. Znałem pewnego Francuza, który sobie uroił pozbierać wszystkie wyrazy i lokucye z francuzkich średniowiecznych romansów, i tym językiem tłumaczyć Homera; jakoż obrobił tym krojem kilka ksiąg, ale praktyczny rozum Francuzów zaraz zrobił sprawiedliwość, bo mu taką oryginalność przyznał, że nikt nie chciał jój naśladować.» Wspomniawszy o *Listach z Krakowa* Kremera, i o *Bibliotece Polskiej* w Sanoku wydawanj, tak mówi dalej: »Edukacyjne dziełka podniosły się o wiele na swojjej wartości; *Rozrywki dla młodocianego wieku* wydawane przez panią Pruszkowj, gdzie spotyka artykuły szczęśliwie napisane, w tym tonie, w jakim Tańska do młodego pokolenia przemawiać umiała.» Zakończa swój przegląd wymienieniem dzieł ważniejszych historycznych, jak Szajnochy *Jadwiga* i *Jagiello*; Balińskiego: *Studia*; J. Bartoszewicza: *Kościół Warszawskie* i K. Wł. Wójcickiego: *Cmentarz powązkowski*. W ostatku o najnowszych publikacyach dzieł więcj naukowych. 5) *Zamiennik*, powieść przez F. Medarda, jest osnuta na tym zabobonie ludu, że *Dziwożony*, nowo narodzone dzieci odmieniają matkom, a swoje straszdyła podkładają. 6) *Drugie konferencye Paryzkie* przez Mauricego Mana. 7) *Kronika*, obejmujaca korespondencye z Kra-

kowa, Lwowa, Wiednia, Berlina, Paryża, Rzymu i Londynu: z Warszawy nie ma żadnych wiadomości.

W *Gazecie Literackiej*, zamykającej ten zeszyt, czytamy na czele takie upomnienie się Redakcyi. „Zbieranie wiadomości literackich nie jest tak łatwe, jakby się zdawało, bo nie wszystko co się podaje, bywa z pism publicznych brane. Ażeby podobna kronika wiadomości miała interes, i niosła rzeczywisty pożytek, trzeba o niejedno pisać, dowiadywać się, szukać. Nicby nie było dziwnego, żeby czytająca publiczność nie wiedziała w jaki sposób powstaje taka Gazetka, ale Redakcyom dzienników nie musi to być tajno; dlaczegóż więc pewne pismo peryodyczne Warszawskie przedrukowując sobie wszystkie wiadomości z *Gazetki* naszej, nie powiada przynajmniej że to wzięło z *Dodatku do Czasu*. Przecież to nie o wielką rzecz idzie, tylko o podanie źródła: co tak nawet daleko łatwiej, niż komponować haczyki, krzyżyki, i paragrafy mające oznaczać: że te wiadomości pochodzą wprost od korespondentów owój *Gazety*”

KORRESPONDENECYJE.

Moskwa. (Wyjątek z listu.)

„Pomiędzy bardzo licznymi pismami peryodycznymi wychodzącymi w Moskwie, najlepsze w całym znaczeniu literackie pismo w guscie naszej Biblioteki Warsz. jest *Wiadnik*, pod redakcją młodego profesora Leontiewa. W ostatnim zeszycie umieszczony był przegląd piśmiennictwa polskiego. W nim przedstawia obecny ruch umysłowy w Polsce ostatnich czasów, rozwodząc się nad Biblioteką Ossolińskich we Lwowie i nad przedrukiem Słownika Lindego, dając zarazem życiorys tego zasłużonego męża. Dość obszernie opisuje sprawozdawca prace obecnie dziś żyjących: K. Wł. Wójcickiego, J. Bartoszewicza, Maciejowskiego, Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Kaczkowskiego, Gregorowicza, Pruszkowój i innych: na końcu wspomina o pismach peryodycznych i o Czytelnicy niedzielnej. W tutejszym uniwersytecie jest wykład języka polskiego jeden rok na fakultecie historyczno-filologicznym. Wykładający profesor zna biegle literaturę polską. Byłem na jego prelekcji, kiedy rozbiierał *Maryę Malczeskiego*, porównyując z tłumaczeniami: rosyjskim i innymi. Tłumaczeń naszych powieści wiele, szczególnie z *Kraszewskiego* i *Korzeniowskiego*, mniej z poezyi: z dawniejszych *Mickiewicza*, w prześlicznym przekładzie *Puszkina*. Na teatrze grano *Panią kaszcielarnię* *Korzeniowskiego*, p. t. „*Staraja arystokratka*” w przekładzie *Sołowiewa*. Byłem na drugim przedstawieniu, lecz niestety! pomimo tego, że bardzo dobrzy grali arty-

ści, nie była ta sztuka należycie odegraną i przyjętą téż została obojętnie bez oklasków. Nic dziwnego, nie znają oni owego zbliżenia się sługi do pana, nie wiedzą, że te sługi to szlachta. Nam ciągle słysząc w czasie gry „Wasze Siatelstwo,” ginął cały efekt tego jednego z najlepszych utworów Korzeniowskiego. Dają tu balet *Wesele w Ojcowie (Krestijanskaja swad'ba)*. Gdyby nie przybyły tu Gielert i kilku naszych tancerzy, nie byłoby na co patrzeć, choć ciągle biją brawo i wołają bis! Nasi tylko są w strojach krakowskich, inni ubrani w kozakinach i w czapkach bez piórek i pasach bez kólek. Wkrótce mają tu przedstawić znane na teatrze warszawskim *Tańce perskie.*”

L. D.

Lwów (z listu A. Bielowskiego do K. Wł. W.)

„Lucyan Siemieński napisał rozprawę o Andrzeju Morsztynie, którą odczytał na posiedzeniu uczoném towarzystwa krakowskiego. O poetach naszych dawniejszych panują po większej części jeszcze chaotyczne wyobrażenia. Do niedawna uważaliśmy wszystkich Kochanowskich za braci rodzeniuteńkich, a rodowy ich do siebie stosunek, nawet dziś po bardzo pięknej pracy Przyborowskiego, nie jest nam jasny. Pisarze bardzo poważni nie odróżniają jeszcze i teraz Zimorowiczów, i każą nieboszczykowi, który od 20 lat blisko był w grobie, śpiewać o burdach kozackich za Chmielnickiego. Wacława Potockiego nie znaleźmy do niedawna najznamienitszego utworu. Poczciwego Tobiasza, co płakał nad zgonem matki, chrzcimy raz Wiśniowskim, drugi raz Wiśniowieckim. Niemniejsze chmury osłaniają ród i utwory Gawińskiego, Zbylitowskich, Morsztynów. Do bardzo świeżych czasów znaleźmy trzech Morsztynów z imienia: Hieronima, Andrzeja i Stanisława. Znakomity uczony poznański wprowadził na scenę Zbigniewa, a że go uposażył i dość licznemi i nie lada tworam, rozbiegły się one po wszystkich wypisach i książkach szkolnych, rozstawiając imię Zbigniewa. Tymczasem ów pan Zbigniew, jestto podobno sójka, co się w pawie piórka przybrała. Lutnia *Andrzeja Morsztyna* ułożona w dwie księgi i Łukaszowi Opalińskiemu poświęcona, chodziła po rękach różnych amatorów, którzy ją zdruzgotawszy, zagartywali jęj drzazgi do swoich zbiorów i tak zwane „*Sylva rerum*” wystrajali. Tego rodzaju rękopism, miał pod ręką szanowny uczony poznański i z niego wyprowadził na świat Zbigniewa. Czy z tych tworów przypadnie jeszcze jaka okruszyna komu innemu niż Andrzejowi? jaki jest właściwy kształt Andrzejowej lutni rozburzonej niegdyś przez wypisywacza, a wydawcę poznańskiego *inną fożą* strojonęj? jaka wartość poezyi, jakie losy i stosunki poety? Na te wszystkie pytania spodziewamy się pojaśnień od talentu i znajomości rzeczy Lucjana Siemieńskiego, któremu w tym celu przesłany został rękopism *Lutni Morsztynowej*, roku 1861 pisany, z Zakładu narodowego imienia Ossolińskich.—W Poznaniu u Żupańskiego drukuje się obecnie drugie wydanie dziełka Lelewela: „Napisy grobowe Bolesławów, bardzo

znacznie od pierwszego wydania zmienione. Autor korzystał w tém przeobrażeniu z rozprawki mojej o nagrobku *Bolesława Chrobrego*, którą wam przesyłałem.”

Wyjątek z listu 28 lutego 1857 r. z Ławrynowic.

„Wzmianka o wieczorze w Krzemieńcu podana przez kogoś do lwowskiego literackiego dziennika przywodzi mi na myśl ówczesną chwałę drogiego nam autora L. Kropińskiego. Byłoby zda się 1822 r.: zjechał on do Krzemieńca jako wizytator lyceum. Obudziła się ciekawość pogłoską, że ma z sobą rękopism Julii i Adolfa. Wkrótce gruchnęła wieść po pięknym świecie tamtejszym, że oto wczoraj był tragiczny wieczór u pani starościny Czackiej: że wśród zebranego tam towarzystwa, Kropiński opowiedziawszy wprzód treść powieści, czytał niektóre listy dwojga kochanków, a wówczas wśród powszechnego zachwytu wzmogło się rozrzewnienie tak silne, że siostra starościny, generałowa Wielhorska, zemdląła. Nazajutrz żal przejmował nas wszystkich, cośmy nie podzielali tych wrażeń. Nad wieczorem zamierzam cześć złożyć autorowi i wolnym krokiem dążyć ku jego mieszkaniu. Wtém słyszę idących śpiesznie za mną. Było Stanisław Worcell i Konstanty Piotrowski moi przyjaciele. Słyszałeś, pytają, o wczorajszym wieczorze? Słyszałem! Gdzież tak wolno idziesz? Do niego! Spiesz z nami, aby go uprosić choćby o paluszek Julii.

Generał jak zwykle uprzejmy, wylany dla życzliwych, dobył swój rękopism. Okrążyliśmy we czterech stolik przed nami z herbatą, a on króciutko dawszy nam treść poznać, przez szkło powiększające, poczynił listy odebrane czytać. Jeszcze ćwiartki nie dokończył, gdy zwolna drzwi się odchylają. Zagląda... Teodozy Sierociński, regens funduszowych uczniów, pedagog straszny poetom, co lubo umie oceniać piękności, głuchnie na wszystko, skoro dostrzeże usterk grammatyczny. Kropiński spojrzawszy ku drzwiom, mruknął do nas: szatan go niesie! Jak się masz! Zadzwonił i do wchodzącego lokaja ozwał: daj tam na stoliczku herbaty panu Sierocińskiemu, postaw przed nim butelkę z rumem. Gdy lokaj spełniwszy to wyszedł, gospodarz z naciskiem pyta: Masz tam wszystko? Mam z łaski pana. Siadajże pod piecem przy ponczu, a mierz ani piśnij. Jeżeli dostrzeżesz cokolwiek nie wedle twojej syntaksymy, to pozwalam cichutko wymknąć się za drzwi. Wśród czytania trzeciej kartki, już Sierociński parzącą szklanekę ponczu gwałtownie wychylił i na palcach zniknął. Autor plecami doń obrócony, nie dostrzegł tego. My zaś trzej ponad ziemią bujaliśmy. Było stan duszy nie do opisania. Deklamacya stosowna obranych, efektowych listów, przytém słodki, rzewny organ autora, wiele mógł wpływać na nerwy słuchacza. Worcell i ja płakaliśmy jak dzieci: Piotrowski tubalnym głosem wdychał tylko, bo też ten choćby najsilniej przejęty, lzy nigdy nie uрони! Wnoszę z pewnością, że lwowski literacki dziennik wspomina o tym wieczorze u pani starościny Czackiej, który dniem jednym poprzedził ową bytność moją u generała. To wspomnienie ku jego chwale byćby powinno; a przynajmniej ku chwale owo-

czesnej. Bo i czémże są odgłosy literackiej sławy. Każda wiosna ma słowika; każda epoka ma swojego wieszczą. Zostawiwszy przecież na boku wszelką uludę w jaką znajomość osobista Kropińskiego wwozici nas mogła, dość jest czytać niektóre z jego poezyi, co są wyrazem najzaczniejszej duszy, aby mu dać miejsce pomiędzy mówiacemi do serca każdej epoki. Co do powyższej powieści trudno zaprzeczyć, że ona dużo utraciła czytana od początku do końca i nie przez samego autora. Pomnę, że we dwa lata później będąc w Kijowie 1824 r., gdzie po raz pierwszy powitano Julię i Adolfa z rycinami, pewna dama uprzedzona przezemnie o tój powieści w 2 tomach, nabywszy ją tam za sześć rubli, wymawiała mi potém nużącą monotonność listów miłosnych. Mówiono i to, że autor przedmową zaszkoził sobie. Świat nasz przesiąkły wówczas *Nową Heloizą*, obiecywał sobie z przedmowy coś więcej, niż kiedykolwiek być może: jak zwykle się dzieje z każdą, choćby niezaprzeczoną pięknoscią, o której nas zanadto już uprzedzono.

Nie wątpię, że Pamiętniki podczaszego Michała Czackiego o czteroletnim sejmie są zajmujące. Mogą tam być wykryte, a dotąd tajne niektóre sprężyny działań wiadomych nam z dyaryuszu i konstytucyi majowej. Znałem osobiście podczaszego. Zapraszał mię nieraz na liczne obiady, gdy z całą rodziną przemieszkiwał w Krzemieńcu. Miło nam było widzieć w nim jeden z pozostałych niewielu zabytków przeszłości. Patrząc na sędziwą twarz jego, często przychodził mi na myśl czuły ustęp z jego mowy na pogrzebie brata Tadeusza. „Czemu ja raczej nie umarłem! Żal po mnie byłby się ograniczył domem i rodziną: po tobie bracie cały naród płacze.”

Szymon Konopacki.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1856.

60. Biblioteka Warszawska. Pismo poświęcone naukom, sztukom i przemysłowi. 1856. 8-ka wielka. 4 tomy (z 12 zeszytów). Warszawa. W Drukarni Gazety Codziennój (nakład redakcyi). Tom I (ogólnego zbioru tom LXI) kart 2 i str. 620. Rejestru kart 2. (W zeszytcie na m. luty dołączone: Wypadki dostrzeżeń meteorologicznych w r. 1855 robionych). Tom II (ogólnego zbioru tom LXII) str. 656, i nap. z rejestrem kart 4. (Do str. 37 dołączono trzy lit. tablice, oznaczone: tab. II, III i IV (I-szój nie było). Do str. 588 także jedna rycina). Tom III (ogólnego zbioru tom LXIII, napisów i rejestru kart 4 i str. 648. Tom IV (ogólnego zbioru tom LXIV) napisów i rejestru kart 4 i str. 680. (Przy str. 44 dwie lit. tablice, a przy str. 608, ośm tablic). Rsr. 9. (Odbijano ex. 700, a od m. marca ex. 750, dodrukowawszy powtórnie ex. 50 m. stycznia i lutego).

61. Fizyka popularna zawierająca w sobie opisanie główniejszych fenomenów natury, mechaniki świata powszechnego, tudzież fizioologicznych i chemicznych własności ciał i jestestw, do składu kuli ziemskiej wchodzących. Przez T. S. Ska. Wilno. 1856. Drukiem T. Glücksberga. Napis. i przypis. kart. 3. Przedmowy str. XXX i 140. Rejestru i omyłek kart 2.

62. Katalog wystawy starożytności i przedmiotów sztuki 1856 urządzonój w pałacu JW. hr. Augustostwa Potockich w Warszawie na Krakowskiém Przedmieściu, na korzyść Domu schronienia Opieki Najświętszój Maryi Panny. Warszawa. W drukarni Józefa Unger. 1856. W 8-ce. str. XVII—353 i kart 4, kop. 75.

63. Pamiętniki komisyi archeologicznój wileńskiej. Część I. Wilno. Drukiem Józefa Zawadzkiego. (Tekst polski i rosyjski obok). Zapiski wilenskoj archeologiczneskoj komisyi. Czast 1. Izdana pod redakcieju Adama Kirkora i Matwieja Gusewa. Pamiętniki komisyi archeologicznój wileńskiej. Część 1. Wydana pod redakcyą Michała Balińskiego i Ludwika Kondratowicza. W 4-ce. str. 59.

1857.

6. Biada temu, kto ma rozum. Komedia w czterech aktach wierszem napisana przez A. Grybojedowa. Tłumaczył polskim wierszem Józef Lewart-Lewinski. Warszawa. Henryk Natanson. 1857. W 8ce. W drukarni Gazety Codziennój. str. II i 101, kop. 75.

7. Jahużna. Gawęda z podania ludowego. Warszawa. Nakładem Aleksandra Nowoleckiego księgarza. 1857 (Druk J. Jaworskiego). W 16-ce. str. 50, kop. 50.

8. Imiennik. Obrazek z końca zeszłego stulecia. Napisał Julian Miłkowski. Warszawa, w drukarni Gazety Codziennój, 1857. 2 tomiki. W 16-ce. Tom I. str. 156. Tom II. str. 166, rsr. 1.

9. Lud ukraiński przez Antoniego Nowosielskiego. (Z godłem):

„L'Éthnographie, après avoir rempli sa mission matérielle, sentira bientôt le besoin de s'élever à sa mission morale, de remonter des preuves physiques aux preuves intellectuelles et morales de cette origine.”

Matter.— De l'influ: des moeurs sur les lois.

Wilno. Nakład i druk Teofila Glücksberga. 1857. 2 tomy, w 8-ce. Z pierwsiem autora. Tom I. str. XII i 380. Obejmuje: 1. Mysteryozofią słowiańską. 2. Bajki ukraińskie. 3. Bajki słowiańskie u Herodota i Lucyana. Tom II. Str. 282, ma inny napis: „Lud ukraiński, jego pieśni, bajki, podania, klechdy, zabobony, obrzędy, zwyczaje, przysłowia, zagadki, zama wiania, sekreta lekarskie, ubiory, tańce, gry i t. d., zebrał i stosownemi uwagami objaśnił Antoni Nowosielski.

10. Najnowsza podróż po Danii, Norwegii i Szwecyi, przez Dra T. Tripplina. Wilno. Nakładem księgarni P. F. Rubena Rafałowicza. 1857. (Taki tytuł na okładkach: na karcie tytułowej następny): Najnowsza podróż do Danii, Norwegii i Szwecyi, odbyta w r. 1855 przez skrzypka polskiego, opisana przez Dra T. Tripplina. Tomów dwa. W 12-ce. Czcionkami A. Marcinowskiego. Tom I. str. 206. Tom II. str. 226.

11. O fizyczném wychowaniu dzieci, przez Andrzeja Śniadeckiego. Wydanie nowe. Wilno. Nakładem A. Assa. 1857. W 18-ce. W drukarni A. Marcinowskiego. Str. 251.

12. Wspomnienia z przejażdżki po kraju napisane dla młodych czytelników, przez Z(ofią) Ś(cisłowską). Warszawa. Aleksander Nowolecki księgarz. 1857. Tomów 2. W 16-ce. W drukarni J. Jaworskiego. Tom I. str. 184. Tom II. str. 240, rsr. 1, kop. 50.

13. Życie Najświętszej Panny. Wilno. Nakładem A. Assa księgarza wileńskiego. W 16-ce. Str. 187. W drukarni A. Marcinowskiego. (Jestto przekład z dziełka napisanego przez panią Anna Marya, tłumaczenie Cezary i Dominika Chodzków), kop. 60.



DONIESIENIA LITERACKIE.

WARSZAWA.

Z wielu stron kraju odbiera ciągle redakcyja Biblioteki Warszawskiej jużto zapowiedzi, już wyjątki i próby, już całkowite przekłady arcydzieł literatury dramatycznej. Równocześnie kiedy nakładem J. K. Żupańskiego wydaną w r. z. otrzymujemy tragedya Eschyleasa, „Agamemnon” w wybornym przekładzie Zygmunta Węclewskiego, nauczyciela przy gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu: odebraliśmy w rękopiśmie tłumaczenie téjże tragedyi przez Józefa Szujskiego, w której podobnie dyalog idzie wierszem miarowym, a chóry rymowym. Dla wiadomości przeto pracujących w téj gałęzi literatury podamy znane nam przekłady z literatury dramatycznej.

Znany już czytelnikom naszym Józef Paszkowski, który za główne zadanie położył sobie przekład wszystkich dramatów Szekspira, przełożył już oprócz ogłoszonych w naszym piśmie: Śmierć Cezara, Koryolana, Romeo i Julia, i przygotował do druku: 1. Hamleta. 2. Mackbeta. 3. Burzę. 4. Henryka IV. 5. Figle kobiet. 6. Kupca weneckiego: tak 9 dramatów ma gotowych do wydania, a z innych wiele ma przełożonych scen i całych ustępów. Z Getego przetłumaczył: Torkwata Tassa, Ifigenią w Taurydzie i Fausta. A. I. Szabrański wierszem rymowym przełożył także Ifigenią: a obecnie otrzymujemy akt pierwszy tego dramatu tłumaczenia Felicjana Łobeskiego Galicyanina, jak równie pierwsze akta Tassa przekładu p. Jenikiego redaktora Księgi Świata. Równocześnie przekładem Szekspira zajął się p. Komierowski. Donosiliśmy w poprzednim zeszycie o przekładzie Koranu wprost z oryginału przez obywatela starego podlasia z rodu Tatarów: tłumaczem tym jest p. Buczacki. Teraz otrzymujemy wiadomość, że znalazł się drugi tłumacz, który przełożył z oryginału Koran i ma gotowy do druku.— Nakładem Żupańskiego księgarza w Poznaniu, wychodzi przekład „Mackbeta,” przekładu Andrzeja Koźmiana. Bronikowski profes. przy gimnazjum ostrowskiem w Wielkiem Księstwie Poznańskim, zajmuje się przekładem dzieł Platona. Ma już wygotowane przekłady z Platona: „Rzeczpospolitą, Timeos, Kritias, Menexenos, Entyphron, Jon, Charmides, Hippias Major, Lysis, Phaedros. Redakcja Biblioteki Warszawskiej od dawniejszego tłumacza dzieł Platona Felicjana Kozłowskiego b. nauczyciela gimnazjum warsz. otrzymała przekłady rozmów greckiego mędrca: „Entyphron” (czyli o religijności). „Protagoras” (o cnocie); Phedr (w części o miłości i duszy, a w części o wymowie), które w późniejszych zeszytach da poznać czytelnikom swoim. Otrzymaliśmy świeżo wyborny przekład Fausta Getego przez beziennego: oddawna przetłumaczył ten utwór germańskiego wieszca wzmiankowany przez nas J. Paszkowski: prolog przekładał także August Bielowski. Równocześnie pierwsze pieśni wędrowki Czajld-Harolda, we Lwowie ogłasza W. hr. Baworowski, kiedy w Petersburgu cały ten poemat wydrukował B. M. Wolff tłumaczenia Michała Budzyńskiego.

— Kornel Kozłowski jeden z młodych a zdatnych pracowników na niwie historycznej, syn znanego tłumacza pism Platona, napisał rozprawę p. n. „Rys pierwotnych dziejów gminu polskiego z uwagą na wyrobienie się ducha tegoż pod wpływem politycznego jego położenia.”

— Nakładem S. Orgelbranda księgarza wyjdą następujące dzieła: J. K. Gregorowicza: „Dobry ekonom” czyli popularnie przedstawiony skrócony wykład z zastosowaniem się do potrzeb kraju polskiego, nauki o naturze i pokarmie roślin, własności i obsiewie gruntu, o produkcyi i obchodzeniu się z nawozem: napisany w dwóch tomach. „Boga nieśmiertelnego w śmiertelnej naturze cierpiącego, święta historia” przekład z łacińskiego.— „Elementarz hebrajsko-polski.” „Sowizdrzał” czyli zabawne powiastki z obrazkami dla dzieci na kolendę.

— Zwracamy uwagę naszych czytelników na dzieło, które nakładem tegoż księgarza wyjdzie z druku. Nasz ziemianin, Edmund Stawiski, drukował ciąg rozpraw, materyałów do historii rolnictwa w Polsce, w naszym piśmie; teraz z dodatkami wychodzi ta szacowna praca oddziel-

nie. W obudzonej od lat niewielu kwestyi włościańskiej praca ta p. Stawiskiego ważne zajmie miejsce.

— Zbiór popiersi metalowych zakładu K. Mintera, z bogactwem się coraz nowemi przybytkami. Oprócz dawniej przez nas wymienionych już, widzieliśmy odlewy popiersi bardzo trafnych i artystycznie wykonanych J. I. Kraszewskiego, Wł. Syrokomli i Zygmunta Kaczkowskiego: w większym formacie tychże zalet Augusta Cieszkowskiego. Z historycznych, podług starego medalu w mocno wypukłej płaskorzeźbie popiersie Jerzego Lubomirskiego, i w zwyczajnej króla Jana Sobieskiego.

— Eustachy Marylski obywatel ziemski, znany autor dzieła: „Wspomnienia zgonu zasłużonych w narodzie Polaków” w r. 1829 wydane, zamierza ogłosić drukiem rękopisma „Kuruty” tłumacza polskiego języków wschodnich przy królu Stanisławie Auguste. Jeden obejmujący szczegółowy opis pobytu posła tureckiego w Warszawie: drugi, spisany ręką tegoż „Kuruty” w języku francuzkim, po dyktowaniu samego króla, o porwaniu jego przez konfederatów barskich z Warszawy.

— Alexander Osipowicz ma oddawna przygotowany do druku rękopism opisu statystyczno-historycznego gubernii augustowskiej. Praca ta, której ogłoszenia drukiem jak najrychlej pragniemy, oznajomi nas z częścią kraju naszego, prawie zupełnie nieznaną.

— Henryk Natanson przygotował do druku i ogłosi w r. b. następujące dzieła: J. I. Kraszewskiego „Dziwadła” drugie wydanie. „Błada dziewczyna i improwizacye do zapalenia fajek” tegoż. Fr. Bremerowej: „Ognisko domowe.” „Kłótnia i zgoda:” „W Dalekarii.” Irwiuga: „Życie Mahometa.” Fenchtersleben'a: „Hygiena duszy: przekład D-ra Thuguta z 18 wydania oryginału. Gasparin'a: „Agronomia”— Natansona Jakóba: „Chemia organiczna”— Masse'go: „Atlas anatomiczny.” D-ra Szokalskiego: „O pijawkach.” „Fullerton: Men Midleton, przekład Pauliny Wilkońskiej. Lubieńskiego: „Nabożeństwo katolickie” drugie wydanie.

— B. M. Wolff nakładca i księgarz w Petersburgu, ogłosił drukiem: Rajnolda Hejdensteina, dzieje Polski tłumaczenie Michała Głisczyńskiego. Znakomici mężowie polscy Juliana Bartoszewicza tom trzeci. Poezye Lorda Byrona tom pierwszy: Wędrowki Czajld-Harolda przekład Michała Budzyńskiego. Publikacya ta ma objąć tłumaczenie wszystkich poezyj Byrona. Wszedł także tom 12 Skarbczyka poezyi polskiej: obejmuje poezye A. E. Odyńca, Antoniego Czajkowskiego i Teofila Lenartowicza. „Marya” Malczeskiego zyskała tylko nowe gustowniejsze okładki, drzeworyty i druk te same jak w pierwszym wydaniu. Ołtarzyk mniejszy, zbiór nabożeństwa katolickiego. Do „Biblioteki zaściankowej.” przygotowują B. M. Wolff coraz nowe zasoby: oprócz powieści Fr. hr. Skarbka: „Pan Starosta” „Pamiętniki Seglasy i Dodosińskiego, oraz drobnych komedyi niedrukowanych dotąd, wiele do tej publikacyi: „Pamiętniki Paska.” Dziennik Franciszki Krasieńskiej, K. Hoffmannowej. Przy starannym doborze i taniem wydaniu, Biblioteka zaściankowa może się spodziewać świetnego powodzenia.

-- Dnia 14 grudnia r. z. przedstawiono po raz pierwszy na Teatrze Rozmaitości: „Chatkę w lesie” dziwactwo dramatyczne, jak je sam Syrokomla nazwał. Utwór ten zastosowano do wystawy, z wyrzuceniem je-

dnęj sceny zbytcej. Pierwsi nasi artyści rozebrali role. Rychter marszałka; Maryi, panna Palińska; płodozmiana sędziego Jan Królikowski; Henryka poetę Komorowski; Trzaskę starego myśliwca, Panczykowski; Mateusza sługę, Chęciński. Publiczność tłumnie się zbiegała, nacisk do teatru był niesłychany. Wystawa tej sztuki nic do życzenia nie zostawia: każdy z artystów umiał się godnie wywiązać z swęj roli, a wdzięczny, harmonijny i pełen ślicznych poetycznych myśli wiersz Syrokomli, wypowiedziany umiejętnemi usty, podniósł na scenie o wiele cały ten utwór. Publiczność nasza z zajęciem niesłychanęm zbiegała się i słuchała, a piękniejsze ustępy, gdzie proste, serdeczne przemawia uczucie, gdzie myśl poetyczna przyświecała, nie niknęły przed jęj uwagą i z zapalem poklasków nie szczędziła. Z powodu choroby artysty Józefa Komorowskiego, przedstawienia „Chatki w lesie” wstrzymane zostały. Długie utwór ten mieć będzie powodzenie na scenie naszęj, i nie wątpimy, że takie przyjęcie zachęci Syrokomlę do dalszęj pracy na niwie dramatycznęj literatury.

— Dziwimy się nad cierpliwością i wytrwałością zakonników w średnich wiekach, którzy długie lata, a nieraz całe życie poświęcali przepisywaniu z malaturą rękopismów. Oglądaliśmy niedawno z naszych czasów dowód podobnej cierpliwości. Sąto przepisane „Śpiewy historyczne” J. U. Niemcewicza wraz z nutami i rycinami. Nuty i rycin, wybornie, do złudzenia oddane. Rękopism ten ciekawy, pisany i rysowany w młodych latach przez J. Łoskiego obywatela ziemskiego na starém naszym Podlasiu, zabrał mu cztery lata ciągłęj pracy.

— Doktor Edward Galli, znany w literaturze naszęj pod pseudonymem Edwarda Maryana, dawnięj uczeń lyceum krzemienieckiego i akademii wileńskięj, osiadłszy na Wołyniu w tejsze samęj wsi, w któręj mieszkał niegdys Aloizy Feliński, studjuje „Zendawestę,” dzieło, w którém obejmuje dzieje mistycyzmu. Pracę tę już posunął daleko.

— Wyszła z pod prasy Gazety Codziennęj: „Ikonografia (z archeologii ogólnęj) przez Józefa Łepkowskiego członka towarzystwa naukowego krakowskiego, wydziału archeologicznego, z trzema tablicami (w 8-ce str. 92). Jestto oddruk z Biblioteki Warszawskięj.—W r. 1856 w Gazecie Codziennęj czytaliśmy szkic historyczny Stefana Nowickiego: „Jędrzej Frycz Modrzewski.” Szkic ten wyszedł w oddzielnych odbitkach. Jest to praca młodego badacza, który pięknie i szlachetnie rozpoczął swój zawód literacki, oddając cześć należną pamięci znakomitego męza.

— Kilku przyjaciół młodości Stanisława Jachowicza, powzięło zamiar ofiarować mu w dniu 17-m kwietnia r. b., jako w 61szą rocznicę urodzin jęgo, Wieniec, pismo zbiorowe, złożone z utworów wierszem i prozą jęgo przyjaciół i wielbicieli. dotąd drukiem nieogłoszonych. Autorowie i autorki polskie proszeni są, aby listki i kwiaty do Wieńca tego nadesłać raczyli przed dniem powyższym na moje ręce. Nie masz żadnego ograniczenia, ani co do objętości, ani co do treści nadsyłanych utworów; z serdeczną radością powitane będą rozprawy tak z dziedziny nauk ścisłych, jak plony z niwy literatury pięknej; tak tłumaczenia, jak pisma oryginalne; tak artykuły stanowiące całość, jak wyjątki z pism, pod piórem będących. Wszystkie te rękopisma ofiarowane będą w darze czci-godnemu solenizantowi dnia 17-go kwietnia r. b. Aby zaś cała powsze-

chność polska choć częścią zbioru tego jak najprędzej ucieszyć się mogła, kilku wielbicieli dostojnego poety, postanowiło utwory, które on z Wieńca wybierze. podać zaraz kosztem swoim do druku; a księgarnia tutejsza W. Józefa Błaszковского, zajmie się sprzedażą dziełka, zrzekając się zupełnie wszelkiego wynagrodzenia. *Ludwik Pietrusiński*. Warszawa, Krakowskie - Przedmieście, N° 382, kamienica W. Julij Malcz, blisko gmachu Towarzystwa Dobroczyńności.

— Przygotowują się pod prasę dzieła ś. p. Józefa Elsnera; składać się będą z dwóch tomów: pierwszy obejmie życiorys jego i prelekcye jakie miewał; drugi, obiedwie części o metryczności języka polskiego. Autobiografią własnoręczną Elsnera, którą sam skreślił w języku niemieckim, przetłumaczył Kazimierz książę Lubomirski. Pod względem muzycznym przegląda manuskrypta starannie, znawca i artysta, Józef Krzyżanowski.

— Księgarz S. H. Merzbach ogłosił illustrowany prospekt na dzieła; „Księga świata,” która coraz więcej, jak zasługuje, znajduje upowszechnienie, i Historią naturalną, systematycznie ułożoną przez ś. p. P. E. Leśniewskiego prof. nauk przyrodzonych. Ostatnia wyjdzie w 6 poszytach, które stanowić będą trzy grube domy w 8-ce, do 90 arkuszy druku z 48 kolorowanymi tablicami, i przeszło z 1000 drzeworytami. Pierwszy zeszyt o 244 stronicach już wyszedł z druku z 8-ma tablicami kolorowanymi, i może dać wyobrażenie o wartości dzieła, które w instrukcyi prywatnej i wszędzie, wielką dać może pomoc i prawdziwą naukę. Tenże księgarz, w tymże prospekcie ogłosił przedpłatę na dzieło: „Dziwy świata pierwotnego czyli kolebka wszech-świata: historia popularna stworzenia i kształcenia się powierzchni kuli ziemskiej z jej roślinami i mieszkańcami, od początku aż do czasów obecnych, według wypadków badań i nauki ułożona przez D-ra W. F. A. Zimmermana. Przełożył z 29 wydania oryginalnego F. Dziekoński, z 237 drzeworytami w texcie odbitemi.”

— Słownika Malarzów polskich Edwarda Pastawieckiego wyszedł tom 3-ci i ostatni, zamykający całość tego ważnego i sumiennie obrobionego dzieła. Obejmuje od lit. U do Z. Następnie przydatki i uzupełnienia do wszystkich trzech tomów, do życiorysów malarzy; w końcu czytamy: Ustawy cechu malarzy w Krakowie; cech warszawski szklarzy ze stolarzami połączony i cech warszawski malarzy w połączeniu ze złotnikami i aptekarzami. Skorowidz dokładny obejmuje alfabetyczny spis wspomnianych malarzy w ciągu całego trzech tomowego dzieła.

— Opisu „Cmentarza powązkowskiego” pod Warszawą, K. Wł. Wójcickiego wyszedł zeszyt X i obejmuje życiorysy. ks. Kamińskiego S. P. (dokończenie) wraz z obszerną biografią Kazimierza Brodzińskiego, Fryderyka Bystrzyckiego astronoma, Franciszka Ryxa, Ludwika z Melinów Ryxowój, Michała J. księcia Poniatowskiego prymasa korony polskiej, Leona Tarnowskiego audytora generalnego wojska polskiego, Ludwika Metzela, Floryana Kąsinowskiego p. pułkownika, Franciszka G. Ledoux, Michała Chopin profesora, Dominika Merliniego budowniczego, Franciszka i Jana Bohomolców, Jana Albertrandego, Edwarda Żółtowskiego generała wojsk polskich, ks. Rafała Skolimowskiego profesora. Do tego zeszytu dołączonych jest sześć rycin pomników grobowych:

1. Romualda księcia Giedrojca. 2. Jakóba Tatarkiewicza rzeźbiarza. 3. Antoniego Mianowskiego. 4. L. A. Dmuszewskiego. 5. Teodora Rudnickiego p. pułkownika. 6. Widok katakumb w perspektywie.

— Dnia 23 lutego r. b. na sesji Towarzystwa Archeologicznego Wileńskiego, wybrano na rzeczywistych członków: K. Wł. Wójcickiego, Wacława Alexandra Maciejowskiego, Zygmunta Helcla, Karola Bajera, Alexandra Tyszyńskiego i Józefa Łepkowskiego.

— Zabaw przyjemnych i pożytecznych dla młodego wieku, redagowanych przez Józefę Smigielską, wyszedł ostatni zeszyt tomu trzeciego. Redaktorka rozpoczęła tu zajmującą: „Wędrówkę po kraju” od guberni płockiej. Myśl ta piękna i wielce użyteczna w piśmie poświęconém młodemu wiekowi, ma być w dalszych zeszytach rozwiniętą, i objąć opis Królestwa Polskiego wedle dzisiejszych na gubernie podziałów.

— Znany chlubnie z prac swoich Michał Gliński przygotował obszerną monografią p. n. „Jan Hus.” Obejmuje ona dwa obszernie tomy i rzuca niemałe światło na właściwą epokę. Obecnie studjuje życie Sokratesa, które w równie obszernych ramach zamyśla podać do druku.

— Były professor Kozłowski tłumacz dzieł Platona, napisał, jakto już dawniej podaliśmy: „Dzieje Mazowsza” od pierwszych początków do r. 1526 czyli do połączenia Mazowsza z Koroną. Pracę tę dawniej mieliśmy w ręku, i o niej wspominaliśmy. Sumienny autor, bacząc na coraz obfitsze materiały, przerobił już rzecz gotową na nowo, wzbogacił wiadomościami ze świeżo wydanych źródeł i przygotował do druku. Obejmie dwa spore tomy. Od czasu ogłoszenia: „Dziejów w Xięztwie Mazowieckim” przez zmarłego Hippolita Kownackiego w Pamiętniku Warszawskim, przybył potężny zbiór pomników, który nietylko podał wiele nieznanych a ważnych szczegółów, ale rzucił nowe światło na całość obrazu udzielnego Mazowsza. Pięknybo téż i zajmujący obraz tej części Polski, dotąd mało poznany, mało zbadany. Ciąg dziejów Mazowsza od chwili gdy występuje na karcie dziejów, aż do połączenia z Koroną, to ciąg obrazów pełnych życia, pełnych poezji, godnych pióra nietylko dziejopisarza, ale poety i pędzla malarzy. Potężne postacie książąt panujących i wojowników Mazowsza, z tym ludem dzielnym, ciągle czuwającym z dobytą szablą na kopcach swoich, dla obrony domowych ognisk, to od pogańskich Prusaków i Litwinów, to od rozbójniczych rycerzy krzyża; prostota obyczajów tego ludu, co się tyle różnił mową i zwyczajem od reszty Polski; to wielkie serdeczne przywiązanie do rodu Piastów, który na tronie mazowieckim tylko utrzymał się w całej sile narodowości, i stawał w opozycji naprzeciw nowego rodu Jagiellonów: oto ciąg nieprzerwany tych poetycznych dziejów, na które literatura nasza historyczna oczekuje oddawna. Wiemy, że prof. Kozłowski, a dziś ziemianin, zrobił w swój pracy krok olbrzymi, od ogłoszonej dawniej przez Hippolita Kownackiego: czy zaś odpowiedział w zupełności tak wielkiemu zadaniu, dzieło jego które wkrótce ogłoszonym zostanie drukiem, odpowie samo. My cieszymy się, że szanowny tłumacz dzieł Platona zwrócił pióro swoje na stronę dziejów polskich, i poświęcił tak zajmującemu przedmiotowi, jakim jest historia udzielnego Mazowsza.

— Rozrywek dla młodocianego wieku pod redakcją P. Seweryny z Żochowskich Pruszkowej wyszło już cztery tomy; piąty i ostatni pierwszej seryi wkrótce w trzech zeszytach opuści prasę drukarską. Druga *serya*, po ukończeniu pierwszej, zaraz zacznie się drukować, do której redaktorka przygotowała już obfite a ważne i zajmujące przedmioty. Wkrótce obszerniejsze podamy sprawozdanie po wydaniu i ukończeniu 5go tomu: bo publikacja ta ze wszech względów zasługuje tak na uwagę, jak na współczucie czytającej publiczności, swoją wartością rzetelną i dążnością.

— Album Lubelskiego wyszedł poszyt drugi i obejmuje ryciny wraz z tekstem: 1. Rynek i ulicę Grodzką, budowle z czasów Zygmuntofskich; 2. Dom niegdyś rodziny Sobieskich; 3. Ulica „Złota” z kościołem XX. Dominikanów; 4. Pomnik grobowy Firlejów, zachowujący się w tymże kościele. Jestto pomnik wystawiony dla Piotra i Mikołaja Firlejów, dziedziców na Dąbrowicy, Janowie i Lewartowie. Napisy już przytarte: z grobowca Piotra podał je Sierpiński w opisie Lublina; z Mikołaja daje nam część wyczytaną p. Lerue. Odbicie w litografii A. Pecq'a et comp. nic nie pozostawia do życzenia, i z najlepszymi zagranicznymi może się porównać. Nie wątpimy o chętnym przyjęciu i zakupie tej pięknej publikacji, a zwrócić musimy prośbę do p. Lerue, ażeby po skończeniu tego Album, dał nam kostiumy ludowe z Lubelskiego w wiernych przerysach. Jest ich wielka różnorodność, z powodu, że dwa plemiona polskich mazurów i rusinów ziemię tę zamieszkują. Znajdzie niezawodnie i w ubiorach mieszczan jeszcze zabytki dawne, może nawet owe historyczne „karmazyny” czyli żupany karmazynowe, które się jedynie u mieszczan naszych długo przechowywały. Przy pilnych poszukiwaniach znalazłby artysta niemało w obrazach rodzinnych godnych uwagi ubiorów starożytnych; wydaniem ich w następnej „seryi” Album Lubelskiego, wielkaby p. Lerue zrobił przysługę, nie tylko pod względem sztuki, ale dla młodych malarzy naszych, którzy się biedzą wyszukiwaniem dawnych kostiumów polskich. Album takie, w przystępnej cenie, znalazłoby niewątpliwie prędko kupcy. Zatrzegamy staranność w oddaniu prawdziwych fizyonomii naszych włościan, i nie przedstawiania ich w utrefionych włosach, z obliczem paniczkiowatym.

— Tom drugi przedruku Słownika języka polskiego S. B. Lindego obejmujący litery G. L. wydania Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich wyszedł z druku i nosi na sobie datę jeszcze roku 1855: druk przecież skończono dopiero we wrześniu 1856 r. W przedmowie August Bielowski zdaje sprawozdanie co do dodatków, jakie w tym tomie załączono, z rękopismów samego Lindego, który w ostatnich latach pracował jak wiadomo nad Słownikiem porównawczym. Druk tomu III już znacznie posunięto.

Kraków.— Kupiec i obywatel krakowski Jan Walter przeznaczył po zmarłym w Paryżu w r. 1847 synu swoim Filipie chemiku i autorze kilku znakomych dzieł, pozostałą bibliotekę złożoną z 316 tomów dzieł chemicznych, oraz zbiór chemiczny liczący 243 organicznych i nieorganicznych preparatów, znajdujących się w najlepszym stanie w zamkniętych szklanych naczyniach, dla krakowskiego technicznego instytutu w celu zbogacenia jego naukowych zbiorów.—Józef Czech nakładem i drukiem

swoim wydał kazania, nauki parafialne, tudzież odezwy i homilie ks. P. Weronicza, tom jeden, str. 364; dla was będzie dobrze słony, bo 15 złp. kosztować będzie. Jestto ogromnie wysoka cena, bacząc, że księgarz Czech żadnego honorarium za rękopism nie zapłacił, tylko przedruki powtarza. Z Nowym Rokiem zaczął wychodzić niemiecki dziennik p. n. „*Krakauer Zeitung*,” pod redakcją Dra Boczek Morawiaka. Jestto gazeta urzędowa; drukuje się w drukarni „*Czasu*.” Księgarz Juliusz Wildt zamierzył od Nowego Roku wydawać *Czytelnią domową* w zeszytach po bardzo niskiej cenie: ma ona zawierać wybór najlepszych powieści i romansów w dobrych przekładach z różnych literatur europejskich, a mianowicie z angielskiej, włoskiej, szwedzkiej, rosyjskiej i t. d. Wszakże nie same tylko romanse będą wchodzić w skład *Czytelnii*, ale i dzieła historyczne, a nawet podróże, jeżeli w tym rodzaju okaże się coś znamenitego, a pisanego przystępnie dla większej masy czytelników. Na początek ma się ukazać przekład romansu *Dred*, przez sławną amerykańkę Beecher Stowe.— W nowej drukarni Budwejserskiej wyszło tłumaczenie wierszem niemieckim Maryi Malczeskiego przez Ernesta Schroll. Wiersz gładki i oddający dość z precyzją piękność oryginału.— Józef Kremer zajęty jest dziełem: *Podróż do Włoch*. Praca ta będzie dalszym ciągiem czyli raczej dopełnieniem *Listów z Krakowa*: gdy bowiem w *Listach* podane są ogólne zasady estetyki i dzieje fantazyi artystycznej na tle historii powszechnej; w *podróży do Włoch* autor zamierzył przedstawić estetykę zastosowaną do pomników sztuki, znajdujących się na ziemi włoskiej, a zwłaszcza unaocznic za pomocą tych pomników historią sztuki. Do tego celu podróż po Włoszech nastęrcza autorowi wielce sposobną porę. Jakoż reszty architektonicznych pomników i muzea florenckie, rzymskie i neapolitańskie tak są bogate, że dostarczą autorowi obfitego materiału do wykazania historycznego rozwoju architektury, rzeźby i malarstwa starożytniej klassycznosci, a kościoły, pałace, galerye obrazów, które spotykamy we Włoszech, znowu są tłem wybornem do wyświecenia epok architektury, skulptury i malarstwa chrześcijańskiego. Dzieło to ma obejmować 5 tomów. Wiele drzeworytów wyobrażających najważniejsze dzieła sztuki umyślnie do téj pracy zrobionych i wdrukowanych w tekst, posłuży do wyjaśnienia rzeczy. Rysunki do tych drzeworytów są wykonywane przez młodych artystów w Krakowie, a znakomity drzeworytnik p. Kretschmar w Lipsku, wyrznie takowe na drzewie. Dzieło to wyjdzie w Wilnie nakładem księgarni Józefa Zawadzkiego. Dwa pierwsze tomy zupełnie skończone i do druku przygotowane. Autor obecnie pracuje nad 3-cim tomem.

— Dodatek *Czasu* ze stycznia r. b. podaje nam następane wiadomości. „Kiedy w różnych stronach kraju naszego zręczni rysownicy wydają Albumy widoków mniej może malowniczej natury, jak nasza podgórska lub karpacka, u nas nie pokazywało się nic godnego wzmianki. Dopiero teraz właściciel znanych wód szczawnickich p. *Szalej*, sam artysta, przedsięwziął wydać Album *Szczawnicy*, podług rysunków własnej roboty. Wykonanie na kamieniu powierzone zostało znakomitemu zakładowi litograficznemu wiedeńskiemu pp. Rösch i Reisenstein. Niebawem ukażą się pierwsze zeszyty złożone z ośmiu widoków, opatrzonych historycznym

tekstem. 1. Zakład kąpielny Szczawnicy. 2. Wieś Frydman. 3. Widok zamku Czorsztyna. 4. Widok zamku Niedzicy. 5. Widok cmentarza Czerwonego-klasztoru. 6. Zamek Lubownia od zachodu. 7. Tenże od południa. 8. Podoleniec z klasztorem OO. Piarów. W dalszych zeszytach mają być następne widoki: Czerwony Klasztor, skały Grabczycha, zatoka Dunajca pod Bereztykiem i pod skałą Faćmich: Skałka czerwona w Pieninach; Piennicki potok i zamek ś. Kunegundy; Sokolica w Pieninach i drugi jej widok od Studzinek.—Walery Wielogłowski właściciel księgarni i wydawnictwa książek katolickich, piątym i szóstym zeszytem zawierającym *Grzeszni rodzice* i *Występne dzieci*, oraz *Naradę gromadzką*, ukończył pierwszą seryą obrazków z obyczajów ludu wiejskiego, które zanim ukończone zostały, doczekały się drugiego wydania. Teraz niebawem ukażą się obrazki domownictwa wiejskiego i zawierać będą pojedyncze figury folwarcznego świata: gospodynią, fernalów, gajowych, polowych, kowala, cieślę, młynarza i t. d. Po tych pójdą obrazki z domownictwa dworskiego, jak: panna służąca, garderobiana, pisarz, ekonom i t. p. Będzie to jednem słowem najzupełniejsza galeria wioskowego świata, narysowana z wiernością flamandzką.—Professor prawa kościelnego i Dr. praw F. Słotwiński wydał u Budwejsera dwie rozprawki: dzieje powszechnego soboru trydenckiego i o nauce Rongiego i Czerskiego.

— W Niemczech zajmują się teraz przekładem rzeczy polskich: w Stuttgardzie wyszedł „Dworzanin” Górnickiego p. n. „Der polnische Demokrit als Hoffmann.” W pięknym zbioru niemieckich poezyj „Cameen” p. W. Constant wydanym w Düsseldorfie, znajdujemy udatny przekład Farysa Mickiewicza. W Rzymie wydrukowano książeczkę z nabożeństwem do N. Panny Żyrowieckiej p. n. „Apparecchio di Nove giorni precedenti alla festa della Nativita di Maria Vergine, che si celebrò ogni anno per lo scoprimento e trasporto dell’ Imagine della Madonna Stessa detta del Passolo. Roma 1856 r.”

Lwów.—Nakładem Kajetana Jabłońskiego wyszedł V zeszyt „Dzieł znakomitych pisarzy krajowych.” Zeszyt ten obejmuje dokończenie z pism Józefa Borkowskiego przekładu z *Dumasa, Teressa*, i początek oryginalnego utworu jego: „Mowa kwiatów,” którego zakończenie i mała powiastka „Powój”, szósty i ostatni zeszyt pierwszego tomu zajmą. Nakładem Wilda wychodzi przedruk Gawędy o literaturze i sztuce J. J. Kraszewskiego. W drukarni Poremby wyszło drugie wydanie powieści K. Wł. Wójcickiego, pod np. Kurpie, nakładem Marcina Jabłońskiego litografa, bez zezwolenia autora, jak wiemy dokładnie. To co u was w Warszawie silną opinią powstrzymaliście, taką łupież własności literackiej, u nas gęsto się zaczyna pojawiać. Pisma nasze peryodyczne swobodnie przedrukowują najlepsze powieści, które się u was pojawiają i pomniejsze a pełne wartości artykuły.—Nakładem Wilda drukują się dalsze serye „Szkiców historycznych Karola Szajnochy.”

U Pillera wyszła książka p. n. „Wiadomość historyczna o statui alabastrowej N. Maryi Panny Jackowej, słynącej łaskami przez ks. Donata Piątkowskiego, zakonu kaznodziejskiego. Jestto statua, którą ś. Jacek Odrowąż z Kijowa do Halicza w r. 1238 przyniósł i która się aż do dzisiaj w kościele OO. Dominikanów lwowskich zachowuje. „W pracy ks. Piątkowskiego (pisze Dodatek do Czasu zeszyt styczniowy r. b.) jest wiele

ciekawych szeregów do dziejów dominikańskich w Galicyi. Dodane są przytém urzędowe akta, świadczące o autentyczności statuy."

(Z listu). „Staraniem Wiktora hr. Baworowskiego powstaje we Lwowie nowy księgozbiór, w który z chwalebą gorliwością, zamiłowaniem i znanstwem, hr. Baworowski gromadzi szacowne zabytki przeszłości naszej w jedno ognisko. Księgozbiór ten tworzący się dopiero, liczy już 6000 tomów dzieł polskich lub z piśmiennictwem i dziejami polskimi w związku będących: blisko 3000 tomów obcych i 500 przeszło rękopismów. Pierwszym zawiązkiem tego zbioru była biblioteka nabyta od Kazimierza Stadnickiego, złożona z kilku tysięcy tomów, a obejmująca wiele rzadkości bibliograficznych i piękny dobór dzieł. Następnie zwiększył swój księgozbiór hr. Baworowski ważniejszymi nabytkami, jakoto: zbiorem rękopismów Alex. Batowskiego w Odolanowie znajdujących się: kupnem od Ambrożego Grabowskiego w Krakowie pięknego zbioru rękopismów z 120 tomów, między którymi są ciekawe materiały do dziejów ojczystych z trzech ostatnich wieków. Najważniejszym atoli nabytkiem jest zbiór rękopismów Kazimierza Stronczyńskiego sprowadzony z Warszawy. Prócz tego wcieliły się w zbiory p. Baworowskiego archiwa kilku rodzin, w których nie jeden spoczywa ważny szczegół. Nabył także od D. Zubrzyckiego nie tylko rękopisma, ale oraz zbiór kilkakaset dzieł ruskich i rosyjskich, tworzący najkompletniejszy ze zbiorów tego rodzaju, które się w naszym kraju znajdują. Przy nieustannej staranności i zabiegach hr. Baworowskiego, zbiory jego naukowe staną pomiędzy pierwszymi w Polsce."

Tenże hr. Baworowski ogłosił drukiem we Lwowie r. b. „Pielgrzymkę Czajlda Harolda, poema lorda Byrona, spolszczone przez Wiktora z Baworowa. Część 1 i 2." (Str. VIII 79 i X w 12-ce). Tłumacz pisze na czele: „Poema Childé Harold's pilgrimage," noszące niezaprzeczoną cechę podobieństwa wątku do biegu życia autora, wychodziło na świat częściowo w różnych okresach jego zawodu piśmiennego. Stosując się do porządku wskazanego nam przez pierwtwór, ogłaszamy w przekładzie polskim jako całość oddzielną, dwie pierwsze pieśni tego najznakomitszego utworu angielskiego wieszczą, przywiezione z podróży odbytej w 20 roku życia w Hiszpanii i Grecyi, i podane do druku po raz pierwszy w r. 1812. Zachowujemy sobie na później wydanie całkowitego tłumaczenia z powodu niepoślednich trudności, z jakimi w drugiej i trzeciej części walczyć przychodzi, i które niejako wzrosły w miarę, jak siła twórcza naszego autora z postępem lat brała wzrost i dojrzałość." Dla poznania choć w części wartości przekładu przywiedziem tu przypisanie Bajrona: do *Janty*, czyli do jedenastoletniej lady Karoliny Harley:

Ani pod wschodniem niebem gdzie pielgrzymowałem,
W krajach, gdzie wdzięk anielski piękności udzielałem;
Ani w tych snach, po których budzim się boleśnie
Żesmy śliczne widzenie mieli tylko we śnie:
Nic jak ty nie zabłysło przed okiem zdumiałem,
Ani dłoń moja nadziei nie rości,
Że odtworzy mieniący blask twojój piękności,
Nie zgrzeszę przedsięwzięciem, niestety zbyt śmiałem.

Kto cię nie zna, ten mego nie pojąłby pienia,
Kto cię zna, ten zuchwałe wyśmiałyby zachcenia.

Oby jaką dziś jesteś, taką zawsze była,
Od ziemian czczona i niebianom miła;
Bądź władczynią serc czułych, zniewalaj bez sideł,
Bądź obrazem miłości, bez miłości skrzydeł,
A pochlebne nadzieje téj dobrej istoty,
Co otacza twą młodość tkliwemi pieśczoćty,
Te nadzieje w jéj oczach wezmą błogi skutek:
Okazesz jéj z wdzięcznością kiedyś w późnej porze,
W twych rozwiniętych wdziękach tę pogodną zorzę,
Przed którą utrapienia nikną, wionie smutek.
Peri zachodu! składam niebu dzięki
Że we dwójnasób przewyższam cię laty;
Z ócz twoich wrzącój nie zaczerpię męki,
Nie zasmucisz mych oczu gdy zwiędną twe wdzięki,
Z tobą płakać nie będę twych powabów straty,
Gdy twych czcicieli płochy rój skrzydlaty
Porwany wirem miłosnego szału,
Uganiać będzie za marą zwodniczą,
Ja już wzdychać nie będę do uczuć podziału,
Co nawet szczęście zaprawia goryczą.

Rzuc piękna na te pisma tém okiem gazeli,
Które płochy się kryje, to znów blaskiem strzeli;
To zniewala słodyczą to znów óm jak słońce.
Uśmiechnij się mym pieniom, spełń prośby gorące,
Którebym pewnie zanosił daremnie,
Gdybyś inne uczucia mogła dostrzedz we mnie
Nad uczucia przyjaźni, które tobie święcę;
Nie pytaj rajskie dziecię, dla czego w twe ręce
Skladam te z duszy mojej wyjęte wyrazy,
Pozwól tylko do wieńca wpleść lilią bez skazy.

Zarówno jak dziś świecisz na mych marzeń niebie,
Tak gdy zasnę snem wiecznym, jęty czasu matnią,
Czyje oko te słowa przebieży, ten ciebie
Pierwszą przywita, pożegna ostatnią,
Jeśli śmierć w niepamięci wiecznej nie zagrzebie
Tego, co ciebie czcił czułością bratnią;
A ty do wieszczój lutni ściągniesz dłoń anioła,
Uszczęśliwisz o luba! stroskane me cienie:
Prześcigniesz me nadzieje, spełniesz to życzenie,
Nad które więcej skromne żadne być nie zdoła.

Sanok.— *Biblioteka polska* tu wychodząca ciągle, wydała teraz *życiorysy* niektórych poetów i uczonych przez Brodzińskiego, i tegoż przekład elegij łacińskich Jana Kochanowskiego. W tym zbiorze wysła

tragedya *Jephtes* Jana Zawickiego z czasów Stefana Batorego, która ma wiele zalet z układu i języka, chociaż (jak objaśnia Dodatek Czasu) jest bardzo cennym przekładem łacińskiego pierwowzoru Buchanana. Ważnym jest także przedruk pisemka wielce cenionego przez historyków: *Rozmowy umarłych Polaków*: ma to być utwór Jana Jabłońskiego znakomitego męża w ostatnich latach panowania Sobieskiego i Augusta II. Wydawnictwo Biblioteki polskiej ma przejść zupełnie w ręce dotychczasowego jej redaktora Kazimierza Turowskiego.

Petersburg.— Powieść J. I. Kraszewskiego, którąście w waszém piśmie ogłosili, przełożona na język rosyjski, wychodzi częściami w zeszytach: „Biblioteki do czytania.“—Dr. Żurawski wydał w drukarni uniwersytetu kijowskiego: „Materiały statystyczne tyczące się dóbr prywatnych i kredytu gubernii kijowskiej, po rosyjsku.“ *Iwantów* ogłosił w Moskwie jedną arkuszową kartę petersbursko-warszawskiej kolei żelaznej.

Praga.— Wyszedł pierwszy tom Historji braci czeskich przez profesora Giudely: dzieło ważne również do historji polskiej, gdyż wiele rodzin téj sekty religijnej prześladowanej w Czechach, Morawie i Szlązku, wyniosło się do Wielkopolski i Prus polskich, zwłaszcza po powstaniu r. 1547. Prof. Giudely, jak zapewnia *Bohemia*, zbierał materiały do swojej historji także w Poznaniu, a przytém archiwa w Berlinie, Hollandyi i po wielu innych miejscach, także w osadzie Hernhut wielce mu posłużyły do napisania tego dzieła. Całe dzieło obejmować ma dzieje reformacyi i rewolucyi w Czechach od czasów hussyckich do bitwy pod *Białą Górą*. Pierwsza część traktować ma o Braciach czeskich, druga obejmie historją całej reformacyi, a trzecia powstanie 1618 r. Treść dzieła sam autor skreśla najlepiej:

„Bracia Czescy od chwili swego istnienia, jako istotni reprezentanci narodowego husytyzmu, aż do zgonu swego ostatniego mistrza Komeniusza (który znalazł przytułek w Lesznie) wycisnęli na dziejach swéj ojczyzny właściwe piętno, biorąc udział, a raczej stając na czele wszystkich ruchów, które wstrząsnęły XVI i XVII wiekiem“. Tom ten obejmuje dzieje sekciarzy od roku 1434 do roku 1564.

Poznań.— Uczni nasi rodacy w Wielkiém księstwie Poznańskiem postanowili zawiązać u siebie Towarzystwo przyjaciół nauk. Towarzystwo to odbyło dnia 13 lutego swoje pierwsze zebranie, na którém wybrano: na prezesa Augusta hr. Cieszkowskiego, członka redakcyi Biblioteki Warszawskiej; na vice-prezesa Dra Cegielskiego; na sekretarza p. L. Wegnera syndyka przy konsystorzu arcybiskupim; na redaktora mającego się później wydawać pisma, Dra prawa Wład. Niegolewskiego, i na podskarbiego hr. Heliodora Skórzewskiego.

— Donieśliśmy o nowym przedruku Teodora Wagi „Historji królów i książąt polskich“ podług wydania wileńskiego z r. 1824. Do tego wydania, które nakładem J. K. Żupańskiego wyszło, dodano: „Wyciąg z geografii polskiej, przez tegoż Wagę w r. 1767 ogłoszonej. Tak więc dzieło to wielkiego użytku jest jako podręczne; bo połączył trafnie wydawcy dzieje wraz z opisem kraju.

— *Przeglądu poznańskiego* na r. 1856 wyszło tylko 5 zeszytów, stanowiące tom jeden. Redakcyja w końcu zapowiada: „W następnym

roku 1857 *Przegląd* wraz z *kroniką rolniczą* wychodzić będą jak zwykle co 6 tygodni." Dodatek do *Czasu* (styczeń r. b.), z którego te wiadomości czerpiemy, wspomina o wyszłej nowej pracy ks. Jana Jabczyńskiego kanonika metropolitarne go poznańskiego p. n. „Rys historyczny miasta Dolska i jego okolic,” i że tenże autor zajmuje się obecnie zbieraniem źródeł z archiwów kapitulnych celem wydania historii biskupów diecezji poznańskiej.

— Już drugie tłumaczenie Maryi Malczeskiego wyszło w języku niemieckim. Paulina Wilkońska wdowa po naszym humoryście napisała powieść w jednym tomie p. n. „Obrazek poznański:” dwie inne jej powieści „Irena i Pani podkomorzyna” ukażą się niebawem zpod prasy drukarskiej, równie jak i pismo zbiorowe: „Snopek literacki, pod redakcją téjże autorki.

— Tytus hr. Działyński ogłosił w Poznaniu drukiem L. Merzbacha szacowne dzieło p. n. „Źródłopisma do dziejów unii korony polskiej i W. ks. litewskiego. Część III. Dyaryusz lubelskiego sejmku unii. Rok 1569, w 4-toe, str. 271.” Wydawca w przemowie wyraża: „Chęć uzupełnienia źródeł nagromadzonych do księgi I i II, dziejów unii korony polskiej i W. ks. litewskiego, skłoniła nas do rozpoczęcia druku wydaniem księgi III, czyli Dyaryusza lubelskiego sejmku unii z roku 1569. Kodeks społeczny, który nam służy za podstawę, pochodzi z archiwum Podhoreckiego i był nam udzielony przez hr. Leona Rzewuskiego. Oby użytek jaki dziś robimy z tego wspaniałego daru, pobudził miłośników dziejów narodowych do łaskawego wspierania przedsięwzięć naszych.” Karta tytułowa z prześlicznym popiersiem Zygmunta Augusta w stroju koronacyjnym jest sztychowana w Dreźnie przez Meyera. Dodano tu ze statutu Łaskiego z dawnego drzeworytu wierny facsimil sejmku polskiego. Wydanie całe należy do przepysznych edycji i nadzwyczaj starannych pod względem korekty, co niemałą jest dziś zaletą wśród ogólnej niemal niedbałości o korektę dokładną. Oczekiwać będziemy z upragnieniem wydania dwóch pierwszych części, zapowiedzianych przez szanownego wydawcę. Znając ogromne bogactwo zabytków literatury naszej dawniej, jaką hr. Tytus Działyński zgromadził, a posiada wiele unikatów, ośmielamy się zwrócić jego uwagę, że godziłoby się nie zapominać i o pomnikach stariej poezji polskiej. Wydawnictwo *Biblioteki poetów naszych*, najskuteczniej i najłatwiej mogłoby się powieść pod powagą i staraniem hr. Działyńskiego. Najpiękniejszych zabytków polskiej poezji nie znamy; przedruków rzeczy już upowszechnionych nie możemy pożądać; ale ileżto skarbów tego rodzaju zawiera biblioteka w Kurniku, o których tylko z posłuchu lub z opisu bibliograficznego wiemy. Biblioteka ta tysiące broszur nadzwyczaj ważnych zgromadziła; prosty ich a wierny i sumienny przedruk dałby nam nieocenione materiały do dziejów i wewnętrznego życia dawniej Polski. W poetach naszych troskliwy badacz znajdzie także niemało potemu szczegółów: bo pełność życia narodu, pomimo form starożytnego świata Grecji i Romy, odbijała się silnie w ich utworach. Zwróceniem uwagi na myśl naszą i wprowadzeniem jej w czyn, dodałby do tytułu zasług nową, dostojny właściciel biblioteki w Kurniku.—Teki Podoskiego dotąd wyszło już cztery tomy:

w ciągu zaś roku 1857 wyjdą trzy jeszcze. Tom piąty zawierać będzie różne dokumenta od czasów Michała Korybuta do Sasów: tom VI zaś i VII dokumenta dyplomatycznych stosunków między Polską a Moskwą, tudzież relacje poselstw wielce ciekawe i objaśniające położenie ówczesne. Teką Podoskiego wychodzi nakładem księgarni N. Kamińskiego. W téjże księgarni wyszła dawniej *Geografia Zawackiego*, która dla wyborowego układu i umiejętnego obrobienia przedmiotu, zasługuje na pierwszeństwo przed innemi geografiami używanemi u nas do nauki dzieci. J. K. Żupański jeden z najwięcej przedsiębiorczych księgarzy, który wydaniem swemi rzeczywistą a niemalą usługę wyświadcza literaturze naszej, wydał do *Wzorów prozy* tom dodatkowy, zbioru poezyi także Dr. Rymarkiewicza. Zbiór ten dzieli się na: 1) poezyą epiczną czyli opisową; 2) poezyą dydaktyczną i liryczną; 3) poezyą dramatyczną. Nakładem tegoż księgarza wyszedł przekład Agamemnona, tragedyi Eschyelsa przez Zygmunta Węclewskiego nauczyciela Gimn.; wiersz w przekładzie miarowy, w chórach rymowany. Jasny i dobitny język, trafność przepolszczenia pokazują, że to nie zwykły filolog, ale człowiek umięjący władać piórem i czuć wyższe piękności, wykonał ten przekład. Taką pochwałę oddaje temu tłumaczeniu dodatek *Czasu* w zeszycie 12 r. z.

Przemyśl.—Wydawca Biblioteki polskiej K. Turowski z Sano-ku przeniósł się do Przemyśla, i ogłasza wszystkie pisma Jana Kochanowskiego. Dalej ma dzieła wydawać znakomitszych poetów.

Wiedeń.—Wincenty Pol ogłosił dzieła swoje poetyczne w nowém ozdobném wydaniu w 4-ch tomach. Obejmują: Mohorta, Winnickiego, Sejmik sądowej Wiszni, Wita Stwosza, i drobne poezye. Wydanie poprawne, pomnożone jest licznemi objaśnieniami historycznemi.

— Dr. Konstanty Wurzbach, znany z prac naukowych, jak *O przysłowia polskie* i o Krakowie, wydaje wielkich rozmiarów *Lexicon* czyli *Słownik biograficzny cesarstwa austriackiego*, w którym znajdujemy życiorysy Polaków dokładnie i dobrze skreślone.

Berlin.— P. Ignacy Pietraszewski autor kilku dzieł w polskim języku, traktujących o dziejach polskich w styczności z tureckimi, przytém professor języków orientalnych w uniwersytecie berlińskim, zaczął wydawać tam zeszytami *Zoroastra*, *Zendesztę* (*Zendawestę*). Pierwszy zeszyt wyszedł z druku p. n. *Miano słowiańskie* w ręku jednej familii od trzech tysięcy lat zostające, czyli nie *Zędawesta* a *Zędaszta*, to jest życiodawcza książeczka *Zoroastra*. Berlin, nakładem autora. 1857. Wiadomo, że przed kilkadziesiąt laty Francuz *Anquetil du Perron* pierwszy raz podał tłumaczenie téj piątój księgi pisanój w języku zendzkim; przekład ten nie zadowalał orientalistów: owoż p. Pietraszewski biegły w wielu orientalnych językach, dopatrzywszy w téj księdze wyraźne ślady Słowiańszczyzny spolszczył ją, dając obok tekst charakterem zendzkim i łacińskim podług wymawiania polskiego. Autor sam jest wydawcą: dla niezmiernych kosztów jakie poniósł, naznaczył cenę wysoką wprawdzie, lecz nie odstraszącą prawdziwych miłośników badań w dziedzinie naszej najodleglejszój przeszłości.

Drezno.— Karol Lipiński wydał w Dreźnie nakładem Wilhelma Paul wszystkie 83 kwartety *Haydena* na dwoje skrzypce, altówkę i basetle;

przejrzał i opatrzył znakami tempo. Trzy tomy o 25 zeszytach: cena prenumeraty 25 talarów, zeszyt jeden dwa talary.

Paryż.— Znany artysta Rodakowski wymalował portret Mickiewicza. Władysław Oleszczyński zrobił z gipsu popiersie tegoż poety. Trzy biblioteki zażądały już tego popiersia wybornie zrobionego i taniego.

Tenże Oleszczyński wykończył posąg Mickiewicza. Statua ta ma stać w jednym z kościołów miasta Poznania, albo w Bibliotece Raczyńskich: kosztą wynoszą 4,000 fr. Wysoka sześć stóp: stać będzie na piedestale mającym 4½ stóp. Na pierwszy rzut oka przypomina Szyllera Thorwaldsena, może dlatego, że ruch i układ prawej ręki jest ten sam prawie, tylko że Szyller w tęsknej, zadumie, głowę nieco na piersi opuścił: Mickiewicz zaś lekko w tył przechylony, okiem w dal patrzy, jakby wyzywał wszystkie burze losu; prawa ręka zgięta pod piersią trzyma w dłoni rylec, lewa opada wolno na papier leżący na odłamie symbolicznej ruiny: spodem wykwiła gałązka laurowa. Na zwieszonj karcie czytamy sześć wierszy poety:

Pieśni ma! tyś jest gwiazdą za granicą świata!
I wzrok ziemski do ciebie wysłany za gońca,
Choć szklane weźmie skrzydła, ciebie nie dolata,
Tylko o twoje mleczną drogę się uderzy.
Domyśla się że to słońca,
Lecz ich nie zliczy, nie zmierzy.

Głowa poety modelowana jest wedle litografii Mackiewicza uznanej za najwierniejsze odbicie rysów jego pod koniec życia, oraz wedle maski, którą zaraz po śmierci zdjęto z twarzy zmarłego. Piękne, bogate włosy od czoła w tył zarzucone, i usta bolem ścięte, nadają głowie wyraz wielkiej mocy i wzniosłej dumy. Draperye artysta dał zupełnie naturalne: z pod rozsuniętych fałdów widać na guziki zapięty paletot, z lewego ramienia opadły płaszcz, prawa podtrzymuje ręką.

— Literatura nasza posiadająca żywoty sławnych Polaków literatów, poetów, malarzy, teraz zubożoną zostaje dykcjonarzem muzyków polskich ułożonym w języku francuzkim przez Wojciecha Sowińskiego p. n. *Les musiciens polonais anciens et modernes.* Autor w prospekcie mówi: że Polska miała dawniej tyle znamienitych muzyków i kompozytorów, jak: Gomółka, Sebastyan z Fulsztyna, Waclaw Szamotulski, Marcin Lwowczyk, ksiądz Gorczycki i inni; że prace ich zasługują na uwagę i rozbiór. Następnie idzie spis alfabetyczny osób mających imię w muzyce lub przykładających się do podniesienia tej sztuki: spis ten obejmuje z górą 900 nazwisk. Cena prenumeraty wynosząca tylko 5 franków, a przesłana autorowi pod adresem: Mr. Sowiński rue de Lille n. 67 à Paris, powinna znaleźć licznych zwolenników, zwłaszcza, że nie brak u nas na amatorach muzyki.

— W korespondencji z Paryża umieszczonej w Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych (16 marca r. b. nr. 72) czytamy, że na początku marca rodak nasz Fontana dawał koncert, na którym grał między innymi kilka mniej znanych mazurów Szopena. „Pani Viardot-Garcia brała udział w tym koncercie. Odśpiewała naprzód Erlköniga, a potem dwa Szopenowskie mazurki: „Gdybyś ja była słoneczkiem na

niebie; i szynkareczko! szafareczko!" Odśpiewała te dwie piosnki po polsku z takim prześlicznym akcentem, z takim zrozumieniem rzeczy, z takim wdziękiem, że opisać nie potrafię. Możecie sobie wystawić, jaki entuzjazm te piosnki wywołały w nieciasném kole publiczności polskiej znajdującej się na koncercie: artystka dwukrotnie powtarzać je musiała. Już wychodząc z koncertu, na ulicy spotykałem jakieś posępne figury, nawpół zcicha nucące: szynkareczko! szafareczko! Może z wspomnieniem téj piosnki łączyły się dla nich jakieś dawne zamglone warszawskie wspomnienia".

Do tego ustępu dodamy: że mazurki te Szopen w młodych latach będąc w Warszawie jeszcze ułożył do słów Stefana Witwickiego, i udzielił je najpierw przyjacielowi swemu Dominikowi Magnuszewskiemu, który je z upodobaniem śpiewywał. Piosnki te szybko rozbiegły się po Warszawie, a ztąd po całym kraju: akademików warszawskich ulubionemi były, szczególnież druga, hulaszca: „Szynkareczko! szafareczko!" Melodya ich tak wdzięczna, a zarazem tak odpowiednia do słów, łatwo się wdrażała w pamięci każdego, kto je tylko raz usłyszał. Tak nuty jak i słowa przepisywane chciwie, przechowały się u nas w licznych odpisach. Nie dziw, że w Paryżu wywołały w gronie polskim tak wielki zapal: przypomniały one bowiem nie jednemu, dziś siwizną wieku okrytemu, owe chwile szczęśliwej młodości, zapalu i szczęścia.

Dnia 15 stycznia r. b. w kwiecie wieku umarł w Syrakuzie Władysław Wieczorkowski, młodzieniec najpiękniejszych dla kraju nadziei, współpracownik naszego pisma i „Kroniki." Podróż morską do Małty, i burza która spotkała okręt na którym płynął, wyczerpały resztę sił trawionych suchotami.

Dnia 5 marca r. b. umarł w młodych latach bo w 33 roku życia w Warszawie Seweryn Kapliński sekretarz IX Departamentu Rządzącego Senatu, znany tłumacz wielu dzieł dramatycznych. Przekładał „Gryzeldę" Halma, „Lukrecyą" Ponsarda: „Uryela Akostę" Gutzkova, i dramata Körnera. Tłumaczył Hejnego, pisał wiele i oryginalnych utworów. Zgon tego młodego a zdolnego pracownika, jest rzetelną stratą dla literatury naszej.



Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Luty, 1857.

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	758.495	28	0.227
Najwyżej barometr dochodził d. 24 o g. 10 w.	772.31	28	6.362
Najniżej — — — d. 13 o g. 4 w.	737.36	27	2.869
Średnia zmiana dzienna barometru	3.166		1.404
Największa zmiana dzienna barometru d. 13—14 o g. 4 w.	21.42		9.495
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających	8.652		3.834
Średnia temperatura lutego wynosi: i ta jest niższa o	749.843	27	8.403
od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających	— 4 ^o .90 C.	—	3 ^o .92 R.
Największe ciepło było d. 27 o g. 4 w.	1.61 „		1.29 „
Największe zimno — d. 5 o g. 6 r.	— 3.29 „	—	2.63 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	+ 3.7 „	+	2.96 „
Największa zmiana dzienna temperatury	— 16.8 „	—	13.44 „
d. 11—12 o g. 6 r.	2.261 „		1.809 „
Termometrograf wskazał:	12.7 „		10.16 „

Maximum: + 4^o.1 R. d. 27 po połud.

Minimum: —14^o.1 „ d. 5 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 92.7, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 3.71 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest równa normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 4.0 mil. czyli 1.77 lin. par.; z śniegu 6.0 mil. czyli 2.66 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 10.0 mil. czyli 4.43 lin. par. ilość ta wody jest o 9.54 lin. par. mniejsza od tej, jaka średnio u nas w lutym spada.

Dni pogodnych było 6, napół pogodnych 9, pochmurnych 15.

— deszczu 3 (d. 12, 16, 28).

— śniegu 2 (d. 12, 13).

— gradu 1 (d. 13).

— mgły 7 (d. 5, 6, 12, 15, 20, 21, 24).

Wichrów 1 (Pn.).

Wiatrów mocnych 1 (Z.).

Wiatr panujący Południowy.

Luty r. b. był pogodny i suchy w deszcz i śnieg nieobilly; pierwsze jedenaście dni były mroźne następne siedemnaście dość łagodne, lubo noce i poranki były zimne, w ogóle miesiąc ten był blisko o półtora stopnia k. zimniejszy niż zwykle. Najcieplejsze dni były d. 12, 15, 16, 28; najzimniejsze d. 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9. Barometr utrzymywał się bardzo wysoko; wyjąwszy dwa dni 12 i 13 w których stał niżej, w innych dniach wznosił się wyżej niż w stanie normalnym, skutkiem tego średnia wysokość miesięczna jest o 3.83 lin. par. większa od normalnej i tylko o 0.57 lin. par. mniejsza od największej średniej jaka była w lutym roku 1832. Dnia 24 barometr wznosił się na 28 cali 6.36 lin. par. to jest tylko o 0.29 lin. par. mniej od najwyższego stanu jaki miał miejsce w lutym r. 1837. Pod względem stanu nieba miesiąc ten znacznie się różnił od lat innych, był bowiem pogodniejszy niż zwykle. W stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych: jest jak 3.8:6.6:17.8; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 6:9:13; pod względem pogody miesiąc ten zbliżał się do stanu lutego w r. 1826.

Dnia 11 i 16 pokazywały się plamy na słońcu.

Wysokość wody na Wiśle pod Warszawą największa stóp 5 cali 4 d. 7, 8, 9, 10, 11; najmniejsza stóp 4 cali 6 d. 22, 23, 27, 28.

NASTANIE SZLACHTY I HERBÓW W POLSCE.

ROZPRAWA HISTORYCZNA

PRZEZ

Karola Szajnochę.

Treść: 1. *Ślacha* tyle co *ród*, rodowitość. — 2. Rodowitość przychodzi z chrześcijaństwem. — 3. *Herb* tyle co *erb*, dziedzictwo. — 4. Unia czeska. — 5. Nadania *jure haereditario*. — 6. Dziedziczość i feudalność. — 7. Zmiany czasu.

Dopiski: I. Lecha, lech, szlachta. — II. Rodowość staro-germańska. — III. Pieśń o sędziu Libuszy.

1. *Ślacha* tyle co *ród*, rodowitość.

Szlachta i herby przyszły do nas od Czechów, a Czesi wzięli je od starożytnych Germanów.

Z Germanii przybyły one do Czech w czasie przyjęcia chrześcijaństwa przez Czechów od Germanów, a z Czech do Polski w czasie przyjęcia chrześcijaństwa przez Polaków od Czechów.

Nim obaczmy jak się to stało, obaczmy najprzód pierwotne znaczenie wyrazu *szlachta*.

Jestto starodawny rzeczownik z niemieckiego pierwiastku *Schlagen*, niegdyś *slahen*, w najdawniejszej starożytności *slachan*, mającego znaczenie *uderzyć* albo *rodzić*. Mówi się jeszcze dzisiaj: *die Bäume schlagen aus*, drzewa puszczają listki; *aus der Art schlagen*, wyrodzić się; *von gutem Schlag*, dobrego rodu albo gatunku. Utworzony z tego słowa rzecz-

wnik *Slahta*, inaczéj *Slachta*, w dawném narzeczu niższoniemieckim *Schlachta*, w dzisiejszój niemczyźnie przekształcony w *Ge-schlecht*, znaczyl tyle co *ród* albo *rodzaj*, po łacinie *genus*, *familia*, albo *cognatio*.

Ku tém większój oczywistości, przytoczymy kilka przykładów: *Servorum genus Scalk slahta*, ród niewolników. *Vestri generis innuera slahta*, waszego rodu (1). *Abrahamis slahta*, ród Abrahama. *Judor slahta*, pokolenie Judy (2). *Maniger slahte*, varii generis, różnego rodu (3). *Goter slahte*, dobrego rodu (4).

Albo w psalmie 73cim wiersz 8: *Dixerunt in corde suo cognatio eorum inter se... Chaden in iro herzen diu slahta ze inanderen* (5) (według Wujka): Mówili w sercu swoim *rodzaj* ich pospołu, albo (według edycyi Szarffenbergera 1577): *Rzekli w sercu swém rodzina* ich społu.

Mamy tedy rzeczownik *Slahta*, *Slachta*, *Schlachta*, w polskiem podobnież *Szlachta* lub *Ślachta*, ale nie masz jeszcze znaczenia *Szlachetności*, *nobilitas*.

W tém ostatniém znaczeniu używali i używają Germani podziś dzień wyrazów *Adel*, *edel* właściwie *aedel*.

Obeznajmy się jednakże dokładnież z tym wyrazem, a przekonamy się, że i w nim także zawiera się pojęcie *rodu*.

Zgadniają się na to wszyscy starożytnicy niemieccy.

Zdarzały się wprawdzie przykłady wyprowadzenia wyrazu *adel* od słowa *od*, *uodal*, *praedium*, posiadłość ziemska; lecz mniemanie to okazało się przywidzeniem, nie mającém głosu w nauce, acz niebezpieczném dla filologów słowiańskich (6).

Głębsi badacze dawniejszych i nowszych czasów przyjęli za rzecz udowodnioną, iż *adel*, *edel*, niekiedy *aethel*, pochodzi od starogermańskiego wyrazu *aett*, ród, *genus*, *prosapia* i znaczy podobnież *ród*, pokolenie, familią, *genus*, *cognatio* (7).

U autorów dawniejszych znajdują się na to przykłady w starożytnych przekładach i formułach, używających wyrazów

(1) Schilter Thesaurus antiquit. theutonic. III. 744.

(2) Graff althochdeutscher Sprachschatz VI 780.

(3) Wachter Glossar. germ. 1418.

(4) Wackernagel Deutsches Lesebuch 229.

(5) Schilfert I, 150.

(6) Obacz dopisek I *Lech*, *lecha*, *szlachta*.

(7) Ihre *Glossarium suo—gotthicum* I 6—14. Wachter 18.

edel, edhili, aedlum, zamiast *gens cognatio*, albo „rodem z miejsca pewnego.” Oto kilka:

In carne generis ejus... *in sines edhiles fleische...* w ciele rodu swojego. Ex genere Judae... *fona Judases edhile...* z pokolenia Judy. Demonstremus nunc genus et patriam ejus... *chichundimes auh nu dhes edhili endi odhil* (gdzie *edhil* genus, i *odhil* ziemia, są wyraźnie przeciwstawione sobie)... Okażmy teraz ród i ojczyznę jego (1). Ostrogothus prosapia... *Oestgoetskoer at aedlum...* rodem z Ostrogoty. Gente Anglus... *Aengskoer at aedlum...* rodem Anglik. Gente Danum... *Danskan at aedlum...* rodem Duńczyk (2).

Najnowszy zaś badacz Grimm, wskrzesiciel starożytnej filologii germańskiej, autor sławnego dzieła o prawniczych starożytnościach niemieckich, rozpoczyna rozdział o szlachcie prostemi słowy:

„*Adal, adel*, znaczy *genus, prosapia*, z przydatkowym pojęciem *nobilitas*” (3).

Mają zatem oba wyrazy *slahta* i *adel* właściwie toż samo znaczenie rodu, familii, pokolenia, z jedyną różnicą owego pojęcia przydatkowego.

To jest: ród jakikolwiek, ród pospolity, ród w ogóle, zwał się u starożytnego germaństwa *slahta*; ród szlachetny, ród poszczególny, ród wyłącznie „urodzonych” zwany był *adel*.

Możemy nawet wskazać przyczynę tego.

Pochodząc bowiem od słowa *Slahan*, dziś *Schlagen*, mającego podwójne znaczenie rodzić i bić, miał wyraz *Slahta* podobnież dwojakie znaczenie rodu i bitwy (niegdyś także mordu, zabójstwa) (4).

Dla uniknięcia téj dwuznaczności nadał wydoskonalający się język tym obudwom znaczeniom formę odmienną: znaczeniu bitwy pozostawił pierwotną formę *Slahta*, dziś *Schlacht*; znaczeniu rodu (w ogóle) przybył zwyczajny przyrostek *ge*, z czego zrobiło się *geschlecht*, niegdyś *geschlacht* (5).

Szanowne zaś pojęcie rodu zacnego, szlachetnego, ku tém staranniejszemu oddaleniu go od wszelkiej dwuznaczności, odróżnił język owym drugim wyrazem *adel*.

(1) Wachter 18. (2) Ihre I 11. (3) Wydanie 1854, str. 265.

(4) Tamże str. 625. (5) Adelung II 209.

Zresztą mają oba wyrazy *Slahta* i *adel* tak dalece tożsamo znaczenie rodu, iż (jak powyżej widziano) tłumacząc jedno i tożsamo wyrażenie łacińskie *ex triba Judae* albo *ex genere Judae*, mówiono w starożytnym języku Germanów raz *Judor slahta*, drugi raz *Judases edhile*.

Ponieważ zaś wyraz *adel*, równoznaczny wyrazowi *Slahta*, jest oraz równoznacznym naszemu słowu „szlachta” czyli „szlachectwo”, przeto jawną jest rzeczą, iż tenże polski wyraz „szlachta” inaczéj „ślachta”, i ów niemiecki *slachta*, inaczéj *schlachta*, jako tegoż samego i znaczenia i brzmienia, są jednym i tym samym wyrazem.

Pozostawałaby chyba wątpliwość, kto od kogo, czy Słowianie od Niemców, czy téż Niemcy od Słowian przyswoili sobie ten wyraz?

W téj atoli mierze nie masz wątpliwości na seryo.

Kiedy bowiem Słowianie dla okazania słowiańskiej kolebki wyrazu „Szlachta” muszą uciekać się do wcale zagadkowych pierwiastków *lech*, *lecha*, grzęda; przedstawia język germański swoją *Slahtę* jako jedną z tysiąca różnych form pierwiastku *Slahan* dziś *Schlagen*, zapełniających sobą znaczną część słownika niemieckiego.

Słowianie następnie dla zabezpieczenia kłopotliwemu pytaniu: z kąd tak uderzające podobieństwo wyrazów *slachta* i *ślachta*, widzą się zmuszeni do przypuszczenia, iż Niemcy swoją *slachtę* przywłaszczyli sobie od Słowian, co ze względu na zupełny brak innych pochodnych wyrazów od słowiańskiego pierwiastku *lecha*, a niezmierne rozrodzenie się germańskiego pierwiastku *slahen*, jest prostą nedorzeczością.

Po trzecie. Przytoczone wyżej przykłady używania wyrazu *slahta* przez Niemców, pochodzą w większej części z najdawniejszych czasów piśmienności niemieckiej t. j. z wieków IX i X, a polski i czeski wyraz „szlachta,” jako najgorliwsi obrońcy jego słowiańskości przyznają „dopiero później zaczął być znany Słowianom” (1).

Znają go w końcu jedynie ci Słowianie, którzy bezpośrednio stykają się z Niemcami, u Germanów zaś jest on po wszystkich narzeczach, i w przeróżnych rozgałęziony znaczeniach.

(1) Maciejowski Hist. praw. słow. 1822, I, 118.

Owszem im bliżej który z używających go ludów słowiańskich sąsiaduje z Niemcami, tém szerzej w sposób niemiecki rozkrzewił on się u niego.

I tak kiedy w dalszej od Niemców Polsce wyraz „szlachta” ma jedynie słowiańskie znaczenie panującej klasy narodu, w bliższych Niemcom Czechach miał on nadto niemieckie znaczenie rodu *jakiegokolwiek*, nawet gatunku.

Oto przykłady: „Rzekł Dariusz: każdy z was zna swoją *szlachtę* (swoją ród)! Nie masz tak twardej przygody z którejby się nie potrafił wydobyć kaźden, kto pomny jest swojej *szlachty* (rodu swojego)”. Albo: „zióło tego pokolenia czyli tej *szlachty*” (1).

Da się nawet unaocznic stopniowa kolej przeistaczania się wyrazu *slachta* w drodze z Niemiec do Polski.

W Niemczech znaczył on ród i bitwę, a przyjąwszy później jako ród formę *Ge-schlecht*, pozostał jedynie w znaczeniu bitwy.

W Czechach upowszechnił się on w niemieckim znaczeniu rodu w ogóle, a przybrał nadto słowiańskie znaczenie rodu zacnego, rodowitości.

Do Polski dostał się on jedynie jako ród zacnych, „urodzonych”.

Zaczem już z samych dowodów filologicznych można zawiązać, iż nasz wyraz *szlachta* jest wyrazem germańskim, i że przez Czechy przyszedł do Polski.

Ale nie o filologię tu chodzi.

Rozprawa niniejsza ma zamiar historyczny.

Okazemy więc z dziejów, dlaczego i jakim sposobem niemiecki wyraz *slachta*, nabył u nas tak wielkiej wagi.

2. Rodowitość przychodzi z chrześcijaństwem.

Niepotrzeba długo dowiedzić, iż główną zasadą szlachectwa jest właśnie to, co się zawiera w niemieckim wyrazie *slachta*, t. j. ród, rodowitość.

Powtarza się takie pojęcie *rodowitości* w nazwach szlachty u wszystkich innych narodów.

(1) Jungmann Słown. pod wyrazem *Slechta* i *Slachta*.

Słowa łacińskie *generosus*, *gentilis*, francuzkie *gentilhomme*, angielskie *gentry*, hiszpańskie *hydalgo*, niemieckie *adel*, wszystkie mają znaczenie *gens*, *genus*, ród, pochodzenie rodowe.

Wszelka *szlachta* gdziekolwiek, była tylko zbiorem rodów uprzywilejowanych.

Cóż zaś stanowiło istotną spójnię rodu każdego? Własność, posiadłość. Ztąd *possessyonat* znaczył zwykle tyle co *szlachcic*.

Czém objawiało się najwyraźniej należenie do rodu? Prawem brania w nim spadku, sukcesyi.

Co było głównym przywilejem rodowości szlacheckiej? Dziedziczność. Ztąd dziedzic zwyczajnie tyle co *pan*, co *szlachcic*.

Odbierzmy rodzinie własność, członkom rodu prawo dziedzictwa, całemu rodowi przywilęj dziedziczności, a mimo wszelką miłość rodzinną, rozerwie się związek rodzinny, rozejdą się bracia po świecie, zapomną o sobie krewni, zginie dawne znaczenie rodu.

Służy własności i dziedzictwu tak wielka waga w czasach obecnych, a służyła jeszcze większa w dawniejszych.

Im dalej bowiem sięgniemy w przeszłość, tém rzadszym i kosztowniejszym okazuje się przywilęj własności dziedzicznej, dziedziczności.

Cofając się po śladach dokumentów prawniczych w najgłębszą odległość naszych dziejów, znajdujemy ostatnimi dokumentami polskimi nadania *jure hæreditario* czyli prawem dziedzicznym, udzielane w znak osobliwszej łaski, a stawiające nam dowód, iż przed nimi nie było (powszechnego) prawa dziedzictwa.

Nad te najdawniejsze zabytki ustawodawcze nie masz u nas starszych śladów pisemnych, a chcąc sobie w téj mierze zrobić wyobrażenie jeszcze dalszej przeszłości, należy uciec się do dokumentów pośrednich.

Są nimi dokumenty ludów sąsiednich, odnoszące się do takiej samej przemiany społeczeństwa, jaka i u nas zaszła przed owymi nadaniami *jure hæreditario*.

Tą wielką zmianą społeczną było zaprowadzenie religii chrześcijańskiej.

Nie ograniczając się bynajmniej na zaniechaniu dawnych obrzędów bałwochwalczych, pociągnęło ono za sobą daleko zupełniejsze przeobrażenie *wszystkich* stosunków społecznych, niż nas zwyczajnie uczy historia tego wypadku.

W Polsce nie dochowały się żadne dokumentowe ślady z czasów przyjęcia chrześcijaństwa, a tém samém żadne wzmianki o społecznej wówczas reformie; lecz u wszystkich ludów sąsiednich, mianowicie w Węgrzech, w Prusach i w Litwie pozostał szereg najciekawszych dokumentów z téj pory.

Szukając w nich skazówek do wyjaśnienia sobie kwestyi własności i dziedziczności, znajdujemy arcyważne ustępy, zostające w uderzającym związku z naszymi dokumentami *jure haereditario*.

Te najstarsze z prawniczych zabytków polskich obdarzają prawem dziedzictwa coraz większą liczbę osób pojedynczych, które go dotąd jeszcze nie miały, a owe chrzestne dokumenty sąsiednie, darzą niém ryczałtowo całą klasę możniejszą, zawierając niekiedy wyraźną wzmiankę, iż przed aktem obecnym, tojest w czasach pogaństwa nie było tego prawa w rozleglejszém znaczeniu słowa.

Można więc przyjąć za pewne, że podobnie i w Polsce jak w XII i XIII wieku dla osób pojedynczych, tak za czasów pogaństwa dla całej społeczności, nie istniała dziedziczność w właściwém słowa znaczeniu.

Z tego względu są te dokumenta sąsiednie poniekąd dokumentami *naszemi*, i słuszną obeznać się z niemi dokładniej.

Zaczynając tedy od Węgier, czytamy w pamiętnych rozporządzeniach ś. Szczepana na korzyść nowych chrześcian, co następuje: „Ustanowiliśmy naszą mocą królewską, aby każdy miał prawo dzielić swoją posiadłość, dać ją żonie, synom, córkom, krewnym (*parentibus*) lub kościołowi; po jego zaś śmierci niewolno nikomu niweczyć tego (1).”

W Litwie otrzymało bojarstwo u chrzcielnicy zapewnienie różnych swobód chrześciańskich, pomiędzy którymi wymienia król na czele łaskę następującą: „Każden bojarzyn przyjmujący religią chrześciańską, będzie miał zupełne prawo posiadać, dzierżyć, sprzedawać, alienować, mieniać, dawać, darować i na jakikolwiek wolny i nieprzymuszony użytek według upodobania

(1) Werböcz *Corpus juris hung.* II, 5.

obracać, wszelkie zamki, dobra, wsie, domy, tudzież wszystko co posiada po ojcu, używając przytém podobnych praw, jakie służą reszcie szlachty korony polskiej." W nieco późniejszym zaś dokumencie dodano: „Po śmierci ojca niewolno nikomu wyzuwać dzieci z posiadłości dziedzicznych; mają one owszem posiadać takowe wraz z sukcesorami swojemi na sposób panów i szlachty korony polskiej (1).”

Podobną kartę swobód nadał legat papieżki w roku 1249 nowo nawróconym Prusakom. Udzielono im w niej przywileju dziedzictwa, opisano sposób przechodzenia spadków na dalszych krewnych, a w końcu dołożono: „Łaskę tę przyjęli neofici z wdzięcznością, gdyż w pogaństwie spadał majątek na samych tylko synów (2).”

Oto właśnie główna podstawa dziedziczności pogańskiej. Dziedzictwo przechodzi tylko na synów. W braku tychże staje się ono puścizną, zabieraną przez księcia.

Do tego zwyczaju konfiskaty odnoszą się owe słowa ustawy ś. Szczepana; „niewolno będzie nikomu niweczyć tego,” odnoszą się podobnie słowa w dokumencie dla Litwy: *niewolno będzie wyzuwać dzieci z posiadłości ojczystych,*” odnosi się także zastrzeżenie w dalszym ciągu dokumentu pruskiego, odnoszą się wreszcie tysiączne wzmianki starożytnego prawodawstwa polskiego, o zajmowanych przez księżęcia puściznach.

Dalsi krewni nie mieli w pogaństwie żadnego prawa do dóbr rodzinnych, czyli właściwiej mówiąc: w pogaństwie nie było dalszych krewnych. Cała rodzina pogańska składała się z ojca i synów (3).

W ostatnim rezultacie: pogaństwo nie znało ani rodziny, ani dziedziczności w późniejszym znaczeniu słowa.

Jedynie taki stan rzeczy okazuje się zgodnym z treścią najdawniejszych podań dokumentowych, a wszelkie zdania przeciwne, mianowicie owe marzenia o jakiejś szerokiej spólności familijnej w naszym pogaństwie są złudzeniem optycznym, ściągają się bowiem właściwie do czasów późniejszych chrześcijańskich.

(1) Działyński, zbiór praw lit. str. I, 13.

(2) Dogiel Cod. dipl. R. Pol. IV 17 *in paginis* mylnie zamiast *in paginismo* jak w wydaniu Dregera. Wiszn. Hist. lit. II 349.

(3) Ob. dopisek II. Rodowość starogermańska.

I nie dziwić się temu ograniczeniu własności i życia rodzinnego w pogaństwie. Niedostawało mu pewnego nader ważnego uświęcenia, które samo jedno ścieśnia i utrwała stosunki rodzinne, małżeństwa chrześcijańskiego.

Wieloleństwo pogańskie nadaremnie zaprzeczane przez apologetów pogaństwa (1), utrzymywało węzły rodzinne w niepodobnym do uporządkowania zamęcie.

Upewnieni o tém szeregiem różnorodnych świadectw społecznych, czytając zgodne w téj mierze podania listów papieżkich (2), kronikarzy krajowych (3), apostołujących pomiędzy poganami księży chrześcijańskich (4), nie możemy zapomnieć, mianowicie jaskrawego obrazu najdawniejszej Kroniki czeskiej.

Nie unosząc się bynajmniej moralną zniewagą przeciwko obyczajom pogańskim, owszem upatrując w nich pewną cechę złotego wieku, opowiada znany czeski kronikarz Kozmas, iż nietylko w czasach pogaństwa panowała u jego ziomków „wspólność związków małżeńskich” (5), lecz nawet długo po wprowadzeniu religii chrześcijańskiej, jeszcze około roku 1002, kiedyto „wolno było każdemu według upodobania mieć po dwie i trzy żony; ani ubliżało w czémkolwiek cncocie, jeśli ktoś porwał cudzą małżonkę lub jeśli czyjaś żona poszła żyć z cudzym mężem. I było owszem wielką hańbą dla męża przestawać na jednéj żonie, i podobnież wstydem dla żony mieć tylko jednego męża.”

Jeszcze starszy zaś autor żywota św. Wojciecha mówi wyraźnie: „Dla kilku małżonek jednego męża żyli krewni w kazirodnych ze sobą związkach” (6).

Taki stan rzeczy nie dopuszczał wyróżniania pojedynczych rodów w narodzie, a brak dziedziczności majątków nie pobudzał do zmiany stanu.

Dwie wzajemnie oddziaływające na siebie okoliczności: wątpliwość związków małżeńskich i ograniczenie dziedzictwa, bro-

(1) Maciej. Pamiętn. I, 231 Hist. praw. II, 197—201.

(2) Dogiel *Cod. diplom* IV, 19. *Item promiserunt quod duas vel plures uxores simul de caetero non habebunt.*

(3) Nestor. *Imiachuzę po dwie i po tri żeny.*

(4) Żyw. św. Wojciecha 181, 190, *propter plures uxores unius viri.*

(5) Chron. 8.

(6) Vita s. Adalbert. 181, 190.

niły rodzinie rozramienić się w szerokie koło prawnie ustalonych stosunków pokrewieństwa, a majątkowi utrwalić się dziedziczością w rodzinie. Za ledwie od ojca do synów dała się wykazać czysta krew pochodzenia, i przechodziła dziedzictwo. Poza synami panowała zamieszka „spólnych małżeństw” i konfiskata.

Dopiero chrześcijaństwo zniosło tę zamieszkę i konfiskatę.

Skutkiem niesłychanie wytrwałej walki z narowem małżeńskiej wspólności pogan, skutkiem owęj za ledwie zrozumiałej dziś surowości w zabranianiu małżeństw pomiędzy najdalszemi stopniami powinowactwa, powiodło się chrześcijaństwu wyklarować nareszcie stosunki pokrewieństwa, a jednocześnie spłynęły na nowych chrześcian, z daru spółapostołującej władzy książęcej, pewne swobody i przywileje chrześcijańskie, pomiędzy którymi pierwszy — dziedziczość.

Zaczęły nastawać szeroko rozgałęzione rody chrześcijańskie z przyznanem sobie dziedzictwem chrześcijańskim.

Były to rzeczy nowe i potrzebowały nowych nazwań.

Nazwy te wzięto z téj samęj ręki, z kąd zostało wzięte i chrześcijaństwo, t. j. w Polsce od Czechów, w Czechach od Niemców.

Według języka tych spólnych apostołów czeskiego i polskiego pogaństwa otrzymały nowe *dziedzictwa* germańską nazwę *erb* czyli *herb*, a nowe rody, mające taką własność dziedziczną, nazwane *ślachty* t. j. właśnie rodu, familii.

Kto nie miał żadnego dziedzictwa do pozostawienia rodzinie albo odzierzenia po krewnych, temu i za chrześcijaństwa niepotrzebna była rodzina, ten nie należał do żadnej „szlachty”.

Erb, Herb, dziedzictwo, któreby ktoś albo rzeczywiście posiadał, albo do którego by przynajmniej rodem swoim miał prawo, stanowiło główny warunek ślachty, szlachectwa,

Zastanowimy się teraz nad tym głównym warunkiem.

3. *Herb* tyle co *erb*, dziedzictwo.

Natrącają się przed wszystkim dwie wątpliwości: 1) czy *erb* a *herb*, mimo różnego brzmienia pierwszój głoski, jest w istocie toż samo? i 2) dlaczego wyraz niemiecki *erb*, ozna-

czający dziedzictwo, zmienił znaczenie swoje w polskim wyrazie *herb*, oznaczającym pewne znamię na tarczy?

Co do pierwszego, wiadomo, iż jak jeszcze podziśdzień, tak zwłaszcza w średnich wiekach mówiono na początku *e* albo *he*: *ereditas* i *hereditas*, arfa i harfa, ołd i hołd, orda i horda, uszarz i hussarz i t. p.

Również i *erb* brzmiało niekiedy *herb*. Oto kilka przykładów z starożytnych aktów i rękopismów niemieckich: *afdir herbo probaeres* (1), dziedzic drugiego stopnia; *herbi*, pewien rodzaj posiadłości dziedzicznych (2); albo w kazaniu z XII stulecia: wrócił wygnaniec do swojego dziedzictwa, *ist der el-linde mennisge widir chomin zuo sineme herbe*" (3).

Stosownie do takiej tożsamości przyjęli niektórzy Słowianie, mianowicie Czesi, zwykłą formę *erb*; inni zaś, jak Polacy i Serbowie łużyccy, dawniejszą formę *herb*.

U tych ostatnich zachowały się w podziśdzień słowa *herba*, *herbnuscz*, *herbwański*, w znaczeniu: dziedzic, dziedzictwo i dziedziczny.

Niemniej łatwą do zrozumienia jest przemiana wyrazu *erb* jako dziedzictwo w wyraz *herb* jako znamię na tarczy.

Każdemu aktowi urzędowemu, nadaniu każdej łaski, towarzyszył w średnich wiekach pewien znak symboliczny.

W podobnie obrazowy sposób udzielano także prawa dziedzictwa.

Było ono w każdym razie rodzajem wyzwolenia, i nie potrzeba długo tłumaczyć, iż człowiek posiadający pewną własność dożywotnie, z ramienia kogoś trzeciego, a człowiek posiadający ją prawem nieograniczonego dziedzictwa, mają się do siebie jak człowiek niewolny, do wyzwolenca.

Odwiecznym zaś godłem samowładności była u narodów europejskich tarcza.

Ktokolwiek bez zupełnej władzy nad sobą zostawał pod czyjąś opieką albo obroną, ten zostawał pod jego tarczą, *sub scuto nostrae potestatis*, jak mawiali książęta o ludziach niewolnych lub nieosiadłych, jak powiedział mógł mąż o żonie, ojciec o dzieciach i t. p.

(1) Graff Althochdeutsch. Sprachschatz I 406.

(2) Brinckmeier glossar diplomat. pod tém słowem.

(3) W. Wackernagel Deutsch. Leseb. I 196.

Ztąd jak przy wyzwoleniu syna u starożytnych Germanów (1), tak i przy wyzwoleniu rodu całego przez obdarzenie go prawem samowładnego dziedzictwa, była dawana tarcza, aby wyzwoleni odtąd sami za jej pomocą byli sobie obroną i opieką.

Podobnie i pasowanie rycerskie poczytywano głównie za uroczystość udzielenia błogosławieństwa i tarczy, z kąd też zwykle mówiono: „pasować kogoś“ albo tylko: „dać mu błogosławieństwo i tarczę“ (2).

Już więc sama tarcza bez żadnego na sobie znaku, była dostatecznym godłem szlachectwa, i zdarza się z tej przyczyny, iż przy wielu starożytnych dokumentach wiszą pieczęcie szlacheckie, przedstawiające samą tarczę bez żadnego *herbu* w dzisiejszym znaczeniu słowa.

Zwyczajnie jednakże potrzebowała tarcza osobnego jeszcze znamienia, gdyż będąc znakiem samowładnej dziedziczności pewnego kawałka ziemi, miała ona zarazem odznaczać wszystkich członków *rodu* jednego, i to nietylko jako ludzi wolnych i samowładnych w ogóle, lecz nadto jako prawnych współspadkobierców tegoż poszczególnego kawałka ziemi.

Pod tym względem ogólne wyrażenie się „mieć tarczę” znaczyło „być szlachcicem”, poszczególnie zaś wyrażenie „mieć jedną i tę samą tarczę z kimś trzecim” użyte np. przez naszego Marcina Galla o Bolesławie Krzywoustym i morawskim księźęciu Świętopelku (3), znaczyło „być jego krewnym, należeć do tegoż samego dziedzictwa“, albo jednym ogólnym mianem na te oba pojęcia; „należeć do tegoż samego *imienia*”.

Aby zaś *wiele* osób mogło też samą posiadać tarczę, potrzeba było pewnego wspólnego znaku na tarczy tych wszystkich osób.

Otrzymał tedy każdy ród od księżęcia oprócz tarczy szlacheckiej jeszcze pewien znak wspólny, łączący wszystkie tarcze jednego rodu, któryto znak był jedynie wyobrażeniem rzeczy, stanowiącej ogólną własność członków całego rodu, to jest wyobrażeniem wspólnego wszystkim kawałka ziemi dziedzicznej.

(1) Tacitus *germ. scuto framesque*.

(2) *Segen und Schild* we wszystkich dziełach o rycerstwie niemieckim. (3) Str. 282, 283.

W takim rozumieniu mówi znane dzieło „O pierwiastkach prawa francuzkiego:” Każdy rycerz nosił swoją ziemię dziedziczną wymalowaną na tarczy swojej (Michelet p. XXXVII).¹⁾

Zaczém i nasz *herb* polski jest w rzeczy niczém inném jak tylko wymalowaną na tarczy ziemią szlachecką, czyli wymalowaniem *dziedzictwem* rodu, t. j. właśnie owém niemieckim *erb* czyli *erbe*.

Ztąd nazwy tak wielu herbów polskich, jak np. Bogorya, Jastrzębiec, Działosza, Łada, Dąbrowa, Godzięba, Sulima, Szeliga, Białynia, Przyrowa, Kadłub i t. p. (1), są tylko nazwami istniejących podziśdzień wsi.

Wyobrażano taką wieś dziedziczną najczęściej tym samym symbolem średniowiecznym, który służył wówczas do wwiązania kogoś w posiadanie ziemi dziedzicznej. Wwiązywał tedy książę w taką posiadłość najczęściej przez podanie obdarzonemu uszczkniętej z darowanego gruntu gałązki, grudki ziemi, rośliny i t. p. (2), któreto wszystkie znaki szły następnie jako znamiona nadanej wsi na tarczę.

Ztąd téż idzie, iż dzisiejsi badacze heraldyki postrzegają na najdawniejszych pieczęciach szlacheckich tylko jakieś „drzewka, roślinki“ i t. p. (3).

W innym razie brano znaki herbowe od niektórych innych uroczystości, towarzyszących niekiedy udzielaniu prawa dziedzictwa, jak np. od chrztu, pasowania rycerskiego, nadania urzędu i t. p.

Jeśli nowokreowany *dziedzic* otrzymał swój przywilej w nagrodę za porzucenie pogaństwa a przyjęcie religii chrześcijańskiej, tedy malowano mu na tarczy owę przepaskę chrześtną, którą np. pieczętowali się członkowie starożytnego rodu Nałęczów.

Bardzo często łączyło się nadanie dziedziczości z pasowaniem rycerskim, przypominającym się już za czasów Bolesława Chrobrego (4), a powszechném w czasach późniejszych.

(1) Porówn. Tabella miast, wsi, osad Królestwa Polskiego. Warsz. 1827 i t. p.

(2) Grimm D. Rechtsalterthümer 110—133.

(3) Maciej. Pismienn. I 609.

(4) Ob. mój artykuł „O łaźni Bolesł. Chrobrego” Bibl. Warsz.

Głównym zaś warunkiem zaszczytu rycerskiego był koń, od którego prawie wszystkie języki dały nazwę rycerzom, mianic ich *ritter, eques, chevalier* i t. p.

Podobnie i nasz szlachcic, z łacińska *miles*, miał przedewszystkiē znaczenie jeźdźca, a chcąc powiedzieć „wojsko piesze i jazda”, mówi najstarszy nasz kronikarz: „wojsko piesze i szlachta” (1).

Jak sama tarcza bez żadnego znamienia bywała dostateczną cechą szlachectwa, tak tēż sama postać jeźdźca była znakiem wyższej od szlachectwa dostojności rycerskiēj, i na tym jednym znaku przestawali książęta niższego rzędu, pieczętując się samą postacią jeźdźca, jeśli już otrzymali pasowanie rycerskie; a pieszą, jeśli jeszcze nie byli pasowani.

Książętom godziła się całkowita postać na koniu, a szlachcie pasowanēj dość było użyć pewnēj części przyborów rumaka rycerskiego.

Z pomiędzy tych, siodło było częścią zelżywą, i nie znaly obyczaje wiēkszej dla rycerza zniewagi, jak gdy mu za karę kazano nieść siodło w rękę (2).

Najzaszczytniejszemi zaś znamionami rumaka były strzemiona i podkowy.

Trzymać komuś strzemię, znaczyło powszechnie uznawać się jego podwładnym, wstępować w czyjś strzemię, mieć prawo następstwa po nim; dotknąć się strzemia czyjegoś, ucieć się pod jego opiekę: wsadzić kogoś na koń bez strzemion, wyrządzić mu obrazę najsromotniejszą (3).

Jeszcze wiēkszą wagę miała podkowa: stanowiła ona główną rycerskość konia. Koń nie podkuty, albo nie na wszystkie cztery nogi podkuty, nie był wcale koniem rycerskim, a jazda na takim podłēm zwierzęciu liczyła się do najdotkliwszych rodzajów kary (4).

Przeciwnie, wymalowane na tarczy strzemię, świecąca tam podkowa, świadczyły o podniesieniu szlachectwa pospolitego do godności rycerskiēj.

I zdaje się rzeczą pewną, że owa niezmierna ilość podków w herbach polskich, znaczy jedynie rycerską godność przyzdo-bionych niemi rodów szlacheckich.

(1) Str. 189 *nullum peditem sed milites tantum*. (2) Michelet *Origines du droit fr.* 379. (3) Np. Długosz *Hist.* X. 142 z związanemi *sub ventrem equae* nogami. (4) Michelet 382, Grimm 712.

Takież znaczenie mają prawdopodobnie także zwyczajne *strzały herbowe*, właściwiej kopie. Prawo noszenia kopii cechowało od wieków stan ludzi wolnych (1), a od czasów upowszechnienia się rycerstwa była ona najzaszczytniejszą bronią rycerską.

Udzielenie więc kopii znamionowało albo godność rycerską, albo usamowolnienie obywatelskie, a łącząc się z nadaniem dziedziczności, przypominało się kopią czyli strzałą na tarczy.

Przydatek krzyżyka w herbie bywał zapewne tylko świadectwem odbytej przez rycerza wyprawy krzyżowej przeciw poganom do Prus z Bolesławem Chrobrym, na Pomorze ze Śmiałym i Krzywoustym, na Litwę z każdym prawie księżciem. Wynagradzając się bowiem różnemi dożywotniami zaszczyty rycerstwa zagranicznemu, nie pozostała zasługa taka zapewne bez nagrody i w Polsce.

Tysiąc innych okoliczności wprowadziło tysiąc innych modyfikacyj w nieustającą kolój udzielania przywilejów szlachectwa, udzielania przez coraz nowe ręce, coraz nowym osobom i pokoleniom pod wpływem coraz nowych zwyczajów.

Powiększyła niezmierną różnokształtność heraldyki potrzeba znaków drugiego rzędu, znaków dla ucha tak zwanych proklamacyj czyli zawołań.

Każdy bowiem herb musiał przemawiać nadto do słuchu, mieć pewne stałe hasło, po którymby wszyscy należący do herbu mogli nawoływać się w czasie wojny lub gwałtów.

Niekiedy była nazwa herbu, oraz jego zawołaniem czyli hasłem; najczęściej jednakże różniły się nazwy herbów i hasła, a w takim razie miano ziemi dziedzicznej, właściwe miano *erbu*, było używane dowolnie za jedno albo za drugie.

Weszły też do ogółu heraldyki krajowej najstarsze ze wszystkich herbów, to jest herby całego kraju i pojedynczych jego okolic czyli ziemskie, istniejące po większej części zapewne już za pogaństwa, lecz istniejące jako używane zawsze i wszędzie znaki *wojenne*, a tém samym różne wcale od przywilejowych herbów prywatnych.

Nie mając powodu zapuszczać się w szczegóły zawołań i herbów ziemskich, mówimy tu jedynie o prywatnych,, a tym

(1) *Ut servi lanceas non portant* w kapitularzach V cap. 247. Eichhorn Deutsche Rechtsgesch. I 133—*Omnes hastati*. Vita S. OSS. Ludev. I 712—Michelet *origines* 280.

za główną podstawę służyło pojęcie dziedzictwa, dziedziczności, pewnej spółki rodowej przeznaczonęj do odziedziczenia się wzajem.

Z tęg przyczyny bywał wyraz *herb* tłumaczony zwyczajnie tęg samęm słowem łacińskięm, kótręm tłumaczono także wyraz *rodzina*, ród, tojest słowem: *genealogia*, *familia*, *domus*, *cognatio*.

I jak dziś mówi się „herbu Gryf,” „herbu Nałęcz,” tak niegdys mówiono powszechnie „z rodu Gryfów” z rodu Nałęczów,” *de familia Nałęcz*, *de familia Griffonum*, albo *de cognatione Nałęcz*, *de cognatione Griffonum* (1), a ktoby powiedział był: „ze szlachty Nałęczów,” albo: „ze szlachty Gryffów,” ten byłby powiedział w gruncie toż samo.

Z kótręjkolwiek bowiem strony spojrzymy na obadwa wyrazy nasze, zawsze i w *herbie* i w *szlachcie* odezwie się nakoniec fundamentalne pojęcie wielkięj owych czasów nowości, rodu.

Wspomniane powyżęj herby ziemkie pochodzą (jak powiedziano) zapewne z czasów pogaństwa; lecz herby i szlachectwo *rodowe* spłynęły do Polski z chrześcijaństwem.

Przychodzi teraz szukać dalej po drodze czasów, jakiemi tęg zabytkami podań, napomknien kronikarskich, śladów dokumentowych, upamiętniło się w narodzie takie a nie inne nastanie szlachty.

4. Unia czeska.

Dwie okoliczności sprawiły, iż naród bardzo ciemno przypomina sobie tak arcyważny wypadek, jakim było uorganizowanie szlachectwa w kraju.

Jedną jest nadzwyczajnie długi brak dziejopisów, krajowców, z kótrých pierwszy, Kadłubek, pisał w przeszło 200 lat po wypadku, zanadto już spotężniałym i dawnym za jego czasów, aby go zapisywać jako nowość ciekawą, pamiętać jego początek.

Drugą i o wiele jeszcze ważniejszą była niechęć do otwartego wyznania, iż naród w częmkolwiek zadłużył się sąsiadom, cokolwiek wziął z zagranicy. Przeczytajmy np. co już

(1) Bogufał *Chron.* Somersb. II 57, 63.

za Zygmunta mówi w tej mierze Orzechowski (1), a rozumiemy niebezpieczeństwo odzywiania się z skromną prawdą.

Zdarzają się przecież nader treściwe półsłówka kronik, świadczące o niezupełném jeszcze zapomnieniu istotnego źródła szlacheckości i herbów w Polsce.

Należy tu mianowicie wzmianka w Kronice Bielskich: „Niektórzy rozumieją, żeby z wiarą chrześcijańską dopiero u nas i szlactwa i herby nastaly” (2), lubo sami Bielscy temu nie wierzą.

Jeszcze charakterystyczniejsza reminiscencya przechowała się w kronikach ruskich.

Przedstawia ona w tak skromném świetle pierwiastki szlactwa w Polsce, odbiega tak dalece od dumnych wyobrażeń późniejszych, iż nie ma się czemu dziwić, dlaczego dopiero jakaś kronika ruska podniosła ją z zapomnienia.

Zawiera się to podanie w ogłoszonej niedawno Kronice rusko-litewskiej z czasów Kromera (3), i wiąże się z powieścią o unii Horodelskiej z r. 1413.

Zgodnie z ważném napomknieniem Długosza (4), nie powtarzającem się zresztą w żadnej innej kronice tamtoczesnej, opowiada latopisiec litewski o wpływie cesarza Zygmunta na tę unię polsko-litewską, i daje tém świadectwo rzeczywistej wiarogodności reszty przytoczonych przez siebie wzmianek.

Namawia tedy cesarz panów litewskich, aby poszli za przykładem Polaków, którzy w podobnyż sposób zawarli niegdyś unię z Czechami, i wielką ztąd mieli korzyść.

Oto całkowity ustęp kroniki: „Począł cesarz mówić panom litewskim, iż panowie Laccy nie mogli inaczéj uczynić pokoju między królestwami Czeskiem a Polskiem, i zawsze między temi królestwami walki bywały, aż dopóki panowie Laccy z panami czeskiemi nie zbratali się tém, iż herby sobie Lachowie pobrali u panów czeskich, a odtąd herby sobie pobrali i tém się pobratali, odtąd przestała walka pomiędzy niemi,

(1) Nr. w Żywocie Jana Tarnowskiego w rozdziale „o narodzie Tarnowskich”.

(2) W rozdziale o Mieczysławie I.

(3) Narbutt T. Pomniki do dziejów litewskich, str. 43.

(4) Długosz *Hist.* XI. 336 *suadente Sigismundo.*

i żyją z sobą w pokoju. Panowie litewscy odpowiedzieli cesarzowi i W. księżciu Witoldowi tym obyczajem: „Miłośliwy cesarzu i hospodarze nasz, W. książę Witoldzie! Lachowie nie byli szlachtą, ale byli ludźmi prostymi, ani herbów swoich nie mieli, i wielkimi dary dochodzili tego u Czechów, biorąc od nich tak wielkie skarby, że im herbów swoich Czechowie uzczyli, i szlachtą ich uczynili, i przyjęli ich w herby swoje: my zaś jesteśmy starą szlachtą rzymską” i t. d.

Spytajmyż teraz owęj wzmianki Bielskich o nastaniu szlachectwa i herbów za Miecysława, od kogoś otrzymali je Polacy „wraz z chrześcijaństwem?” a poweźmiemy naturalną odpowiedź: od tego samego narodu, od którego i chrześcijaństwo, t. j. od Czechów.

I spytajmyż przeciwnie naszego latopiśta ruskiego: kiedyto zbratali się Polacy tak ścisłemi węzły z Czechami? a nastanie się sama przez się odpowiedź: w tym samym czasie, kiedy oba narody zbratali się chrześcijaństwem. Zresztą bowiem, wyjąwszy wcale późniejsze czasy panowania króla Wacława w Polsce, nie przypominają sobie dzieje inną epoki trwalszych związków Polski z Czechami, oprócz epoki Dąbrówki i Miecysława.

Przy słabém świetelku odpowiadających sobie w ten sposób natracen kronikarskich zaczyna w pewnej mierze rozwidniać się dla nas wypadek, o którym wszelka zresztą pamięć zagasała, a którego wspomnienie w naszej kronice ruskiej na tém względniejszą zasługuje uwagę, im większego prawdopodobieństwa nadaje mu reszta okoliczności.

Ów cesarz Zygmunt, przypominający Litwinom unią Polski z Czechami, był królewicem czeskim a synem Polki, i mógł przeto znać w istocie tradycje obu narodów, a panowie litewscy przyjmują jego wzmiankę jako rzecz wszystkim wiadomą.

Wyrażenie się Litwy o panach polskich przed unią czeską jako o „ludziach prostych” jest tylko odmienném brzmieniem tegoż samego zdania, jakie o Polakach przedchrześcijańskich wyróżają najprzeciwniejsz inniemaniu naszemu autorowie, nazywając owe czasy stanem „zupelnej równości” (1), t. j. właśnie zupelnej prostaczości.

(1) Maciej. Hist. prawod. I, 118.

Między świeżo ochrzczonej Polską, a apostołującymi w Polsce Czechami, zachodziły w istocie stosunki ścisłego zjednoczenia, które nie mogły obejść się bez podobnej assymilacji społecznej, o jakiej nadmieniamy nasza kronika ruska.

Za małżonka Dąbrówki panowali Czesi przez dłuższy czas w Krakowie, a za jej syna Chrobrego panowali Polacy przez jakiś czas w Pradze i w całych Czechach, i ustąpiwszy nawet z stolicy czeskiej, nie postradali kraju całego, gdyż przez długie jeszcze lata dzierżyli czeską Morawią.

Ś. Wojciech stał się pierwszym patronem Polski, a jego czescy bracia wnieśli do Polski swoją Różę herbową, zapewne nie jedyny tego rodzaju gościniec czeski.

Owszem, najdawniejszy herbarz polski Długosza (1), twierdzi wyraźnie, iż wiele starożytnych klejnotów polskich, mianowicie herby: Oksza, Wieniawa, Rawicz, Ogończyk, Odrowąż, Kuszaba, Grabie, Pomian, Przegonia, Stemberg, przybyły do Polski z Czech lub z Morawii.

Były tedy gęste ślady społecznego braterstwa obu narodów, w którym oczywiście przodkował naród dawniej ochrzczonej.

Dopieroż taką unią braterską przypuszczając, umiemy dać odpowiedź na zapytanie, dlaczego jedynie w Czechach i w Polsce znajduje się wiele instytucyj i nazw społecznych, o których nie słychać w innych krajach słowiańskich.

Czechy to głównie i Polska znają tak ważne rzeczy i słowa, jak np. *szlachta*, *herb*, *król*, *pan*, *sejm* i t. p.

Zapewne téjże starożytnéj unii zabytkiem jest także nasz wyraz *obywatel* tak szanowany i dawny (2) w Polsce, a wyraźnie czeskiego zakończenia i tyle przeto ciekawy dla naszych filologów.

Dalszy ciąg wieków zaprowadził wprowadzić wielką różnicę między szlacheckim społeczeństwem Polski a Czech, lecz w wiekach X i XI były one sobie wielce podobne.

Zachowując sobie na później wzmiankę o powodach do téj różnicy, wskażemy teraz inny rodzaj pamiątek, które pozo-

(1) *Insignia seu clenodia regni Poloniae*, wydane przez J. Muczkowskiego.

(2) Znajduje się on już w przekładach Biblii z XVI w. Ob. Linde pod tym wyr. Tamże Skrzetuski Pr. P. I 187. „Same szlachtę prawa nasze rozumiały właściwie przez obywatelów”.

stawiło po sobie upowszechnienie się szlachectwa i herbów w Polsce.

5. Nadania *jure haereditario*.

Sąto jak wyżej wzmiankowano, najdawniejsze dokumenta krajowe.

Sięgają one według powszechnego przyjęcia (1), aż do czasów Bolesława Krzywoustego.

Mamy owszem skazówki jeszcze starszej u nas egzystencji nadań podobnych.

Zachował się bowiem nieogłoszony jeszcze transsumpt dokumentu z r. 1065 (2), który zawiera erekcyą klasztoru w Mogilnie przez Bolesława Śmiałego, a w którym powiedziano między innemi: „Zbylut miles nadał kościołowi dziedziczną wieś Bogusino za przyzwoleniem krewnych swoich. *Miles Magnus Dobrogost* nadał kościołowi dziedziczną wieś Padniewo za przyzwoleniem krewnych. *Zbylut miles addens eidem ecclesiae haereditatem Bogusino cum consensu amicorum suorum. Miles Magnus Dobrogostius addens eidem ecclesiae haereditatem Padniewo cum consensu amicorum suorum.*

Wyrazy *haereditatem* i *cum consensu amicorum* stawiają dowód wyraźny, że już w połowie wieku XI istniały posiadłości *cum jure haereditario*, potrzebujące przyzwolenia krewnych w razie donacyi.

Od połowy zaś wieku XI do przyjęcia religii chrześcijańskiej, mianowicie do wznowienia onej przez Kazimierza restauratora, upłynęło tak mało lat, że *jednoczesne* nastanie chrześcijaństwa i przywilejów *jure haereditario*, nie może podlegać wątpliwości.

Z którejkolwiek zresztą epoki pozostały dokumenta tego rodzaju, w każdej okazują one pewną właściwą sobie cechę, wzbudzającą podziw niejaki.

Zwracano mianowicie uwagę na to, iż nadawane temi dokumentami, „*jus haereditarium*” nie tylko jest prawem dzie-

(1) Np. Lelewel Pocz. prawod. 1828 str. 55.

(2) Wynaleziony przez szanownego przyjaciela mojego A. Bielowskiego, i w jego posiadaniu będący.

dziczenia, jak ze starożytnej łaciny wynikało, ale w Polsce było też czém inném (1)."

Było ono w szczególności darem zupełnej prawie samowładzy w dobrach dziedzicznych, ile że panowie uzyskujący je, „uwolnieni byli od wielu albo wszystkich podatków i opłat, mieli pozwalane pobieranie czynszów, ceł, myta; bywali uwalniani od naprawy dróg, zamków i innej wojennej służby (2), a miewali sobie pozwolone budowanie własnych zamków; byli uwalniani od wszystkich instancyj sądowych, czasem nawet od *curii* samej, a sobie w swojej włości, w swoim dziedzictwie, miewali sądownictwo bez oznaczenia prawa przyznane. Były to słowem przywileje zupełnie zpod prawa, panów i ich włości wyosobniające (3)."

Nie miało to przecież pozoru jakichciś niezwyčajnych przydatków do właściwego przywileju dziedzictwa; owszem wpływało samo przez się z ówczesnego pojęcia *dziedziczności*.

Jak bowiem wyrazy *szlachta*, *szlachectwo*, znaczyły w gruncie tylko *ród*, *rodowitość*, tak i w wyrazach *dziedzic*, *dziedziczny*, tkwiło główne pojęcie *samowładztwa* niezawisłości.

Pomijając tysiące innych przykładów, przekonamy się o tém najłatwiej z następującej wzmianki kronikarza z czasów Bolesława Krzywoustego.

„Książę morawski Świętopelk” mówi nasz Gallus (4) był poprzednio dziedzicznym; później atoli czeski książę Borzywoj, uniesiony ambicyą, zagarnął jego księstwo pod swe zwierzchnictwo. *Igitur Swathopole dux moraviensis haereditarius prius extitit; postea vero ducatum Boemie Boriwoj suo dominio plenus ambitione subplantavit.*

Inaczéj: Świętopelk był poprzednio dziedzicznym, a później stał się *holdownym*, zaczęm dziedziczny a niedziedziczny, znaczy tyleż co wolny a zawisły, udzielny a feudalny, pan niepodległy a wassal.

Ztądto obyczajowa świetność naszego wyrazu *dziedzic*, nadawanego podziśdzień szlachcie possessyonatom, a drogiego już czasom Bolesławskim.

(1) Lelw. Pocz. prawod. str. 84.

(2) Zawsze tylko do pewnego stopnia i warunkowo, jeśli np. dobra *duchowne* zostały nadane takim prawem.

(3) Tamże str. 83. (4) Str. 282.

Był on już wtedy tak dalece nazwą wolności, w ogóle ludzi wolnych, że nawet niewolnik na zagonie, zyskując usamowolnienie, otrzymywał nazwę *diedzica*.

Ztądto uderzają nas w niektórych dokumentach najstarszych osiedli na gruntach kmiecych *haeredes* (1), co według znanego za granicą terminu prawniczego znaczyło chłopów usamowolnionych (2).

Z czasem przyłgnęło świetne miano *diedzica* jedynie stanowi szlacheckiemu, i zapewniło mu oprócz niektórych mniejszych pożytków następne swobody kardynalne: 1) prawo przekazywania majątku nie tylko dzieciom, lecz oraz dalszym krewnym, i podobnież brania spadku po dalszych krewnych; 2) przywilój wyzwolenia kmieci swoich od dania panującemu, z prawem pobierania onych na rzecz własną; 3) przywilój wyzwolenia dóbr swoich, t. j. poddanych swoich, od wszelkich sądów książęcych z prawem własnego sądownictwa nad nimi.

Teraz po słówku o każdym z tych praw z osobna. Prawo pozostawiania i brania spadków, inaczój prawo mienia *rodu* jakiegoś, w obszerniejszém słowa tego znaczeniu czyli należenia do jakiej *szlachty*, pochlebiało wielą jawnemi korzyściami, a połączone z niem niedogodności, jeszcze się czuć nie dawały: każdy bowiem członek takiego rodu, inaczój każdy *slachcic* (jak z Kmita Kmicic, z Sławęta Sławęcic i t. p.) mógł co chwila odziedziczyć jakiś majątek, widział się otoczonym liczną zgrają krewnych i popleczników, przemawiał śmiało do króla, a jeszcze śmielój do każdego człeka bez *szlachty* czyli bez rodu.

Za to, chcąc sprzedać albo darować wieś dziedziczną, musiał szukać przyzwolenia rodu całego, albo przynajmniej bliższych „stryjów herbowych,” inaczój bowiem występowali oni przeciw nabywcy, odzywając się z bliższém od niego prawem do wsi dziedzicznej, która nie powinna była wychodzić z rodu.

Nastąpiła owa spólność rodowa, którą wzięto za charakterystyczną cechę stanu społecznego Słowian od czasów przedchrześcijańskich (3), a która wcale przeciwna temu stanowi,

(1) Np. w sławnym dokumencie Tynieckim z r. 1275, powtarzającym dokument z czasów Bolesława Krzywoustego *heredes Medwed, Kłech, Mych, Woyan*.

(2) Brinckmeier *Glossarium diplomaticum* I, 949 *Haeredes, Hörige*.

(3) Ob. dopisek III Pieśń o sędzie Litoszy.

rozwinęła się dopiero pod wpływem chrześcijaństwa, jednocześnie z zaprowadzeniem szlachestwa i herbów w ziemiach słowiańskich.

Wyniknęło wreszcie z dziedziczności rodowej konieczne wyłączenie córek od spadków, gdyż biorąc za główny warunek dziedziczenia tożsamość krwi, musiano koniecznie wykluczyć zięciłów, krów cudzą, przybyszów z rodu innego.

Drugą korzyść nadał *jure hereditario*, t. j. wolność dóbr od podatków. Była z początku jak się zdaje bardzo ograniczona; rosła w przeciągu czasów, zmieniła się według usposobienia królów, i dopiero w wieku XIV, w skutek znanej ugody Koszyckiej z królem Ludwikiem, stała na dwóch groszach łanowych; czyli tak zwaną „królowszczyznę”; będącą jedynym znakiem uznania najwyższej władzy królewskiej.

Trzecią korzyść, t. j. własne sądownictwo nad ludem, obdarzało „dziedziców” zaszczytnym mianem „pan”.

Według coraz powszechniejszego uznania (1) jestto słowo germańskie pisane w starożytniej niemieczyźnie *ban*, *fan* i *pan*, lecz oznaczające jednostajnie „prawo sądzenia”.

Czyto jako *ban* (2), czy jako *fan* (3), czy wreszcie jako *pan* (4), służyło ono zawsze bądźto pewnemu urzędnikowi królewskiemu, który zasiadał na sądach, bądźto pewnemu właścicielowi ziemskiemu, który uzyskał prawo sądownictwa własnego.

Ziądło zapewne poszło, iż w Polsce owi z urzędników koronnych, którzy pierwotkowo byli głównie sędziami, t. j. kasztelanowie, zachowali do późna wyłącznie miano *pan*, i zamiast „kasztelan krakowski” lub „wojnicki” mówiono zwyczajnie „pan krakowski”, „pan wojnicki” i t. p.

Takie kardynalne swobody spływały z *prawem dziedziczeniem* na nowo utworzoną niemi *szlachtę*, „herbowników”, „dziedziców”, „panów”, wolnych od służebności i danin.

Często łączyło się jeszcze z nadaniem *jure hereditario* nadanie pewnego urzędu koronnego.

(1) Maciejowski, Polska pod względem ob. I, 55 „jestto wyraz nie słowiański, lecz gocki”.

(2) Brinckmaier *Glossar. diplom.* I, 263. *Gerichtsbürker* a) überhaupt b) *pönlische*.

(3) Schilter *Thesaur. antiq. teuton.* III 378 *verillum judiciale*.

(4) Tamże pod wyr. *pan*.

W starożytności mianowanie najwyższych urzędników krajowych, mianowicie wojewodów i kasztelanów, działo się w sposób nadzwyczaj uroczysty, podobny późniejszemu obrzędowi przyozdabiania pasem rycerskim.

Przeczytajmy np. starożytną formułę prawną, wymawianą w VII i VIII wieku przez królów frankskich przy mianowaniu wojewodów i kasztelanów, czyli ówczesnym wyrazem „duków, komesów lub patrycyuszów.” Brzmi ona jak następuje: „Poruczyliśmy ci urząd komesa, duka i patrycyusza w onym powiecie, abys nam zawsze nienaruszoną zachował wierność; abys wszystką ludność tameczną sprawował według słuszności, ustaw i zwyczajów ludu każdego; abys wdowom i sierotom był obrońcą żarliwym; abys złoczyństwa, zbójców i zbrodniarzy wytepiął z jak największą srogością; aby żyjący pod twojemi rządami ludzie przykładni cieszyli się pokojem i pomyślnością (1).”

W Anglii zaś i w państwach skandynawskich nadawali królowie takż urząd jarłów, ealdormenów czyli starostów, przez opasanie nowego dostojnika orężem, przywieszeniem mu tarczy i wsadzeniem hełmu na głowę (2).

W podobnyż zapewne sposób, może z przydatkiem zachodnio-europejskiego obrzędu *łaźni*, udzielana bywała w Polsce najmożniejszym krajowcom, np. owym dwunastu „przyjaciołom (3) i doradzcom” Bolesława Chrobrego, podwójna dostojność szlachectwa i urzędu.

W czasach późniejszych, kiedy liczba kandydatów do prawa *szlachty* przewyższyła liczbę dostojenstw i urzędów koronnych, a w całym świecie zachodnim upowszechnił się zwyczaj rycerstwa pasowanego, straciły owe frankskie formuły, tudzież owe angielskie obrzędy pasa i tarczy, pierwotne znaczenie udzielania urzędu koronnego i spowszechniały w prostą ceremonię opięcia pasem rycerskim, zalecającą nowym rycerzom zawsze jeszcze owe moralne obowiązki komesów, a zdobiącą ich orężem i tarczą jarłów.

Wtedy przywilejom *jure haereditario* czyli nadaniom szlachectwa, zaczęło w Polsce towarzyszyć powszechnie pasowanie rycerskie.

(1) Eichhorn *Deutsche Rechtsgesch.* 1818. I. 79.

(2) Lappenberg *Gesch. Engl.* I. 567. 580. Dahlmann *Geph. Dänem.* I. 120.

(3) Gallus *p.* 67 *amicos.*

Nawet nowonawróconym Prusakom udzielił legat papieżki w r. 1249 pozwolenie, aby synowie zamożniejszych rodziców, w znak osiągniętej samowładności, otrzymywali pas i oręż rycerski (1).

W Polsce, zwłaszcza w klasie możniejszej, a osobliwie książęcej, opięcie pasem rycerskim związało się niejako nieodzownie z uznaniem kogoś *dziedzicem*.

„Niech mi syn twój ustąpi księztwa,” mówi w Kronice Kadłubkowej (2) Mieczysław Stary do matki małoletniego Leszka Białego, „a ja przybiorę go za syna, i ozdobiwszy go w tym celu pasem rycerskim, zwrócę mu księztwo i uznam go według obrzędu prawa, *dziedzicem*.”

Za przykładem książąt i najmożniejszych panów upowszechniły się pasowiny rycerskie u wszystkiiej szlachty, jako zwyczajny obrzęd wwiązania w prawa dziedziczości rodowej.

Kiedy owszem (jak zwykle bywa) utworzyły się z czasem różne odcienia w jednym i tym samym stanie szlacheckim, mianowicie odcienia większych i mniejszych fortun, pozwalających albo nie pozwalających odbyć na sobie kosztowną (3) ceremonią pasowin: natenczas ogół stanu szlacheckiego podzielił się na dwa różnej godności stopnie, jeden możniejszy, szlactwa pasowanego, drugi mniej możny, prostej szlachty.

W skutek tego niektóre ustawy książąt w wiekach XIV i XV, mówiąc o przyzwoleniu wszystkiiej szlachty na ogłoszoną właśnie ustawę, wyrażały się u wstępu (w ówczesnym przekładzie polskim): „Toc są prawa ustawione w ziemi mazowieckiej... gdzie tam byli *pasani* i szlachetni panowie,” albo: „My Jan z Bożej miłości xiążę mazowieckie, pospołu z *pasanymi* pany i szlachetnymi (4); a w oryginale łacińskim: „*Haec sunt jura et statuta ducatus Mazoviae... cum consensu strenuorum ac nobilium terrae ejusdem consiliariorum*” i „*Joannes d. gr. dux Mazoviae, praesentibus strenuis nobilibusque dominis* (5)”, a znaczyło szlachtę możniejszą i mniej możną (*strenuus, gestreng, Ritter*).

(1) Dogiel *Cod. dipl.* IV. 18.

(2) Str. 817.

(3) *Omissis sumptuosis solemnitatibus.* Ducange *gloss. lat. voce Alapa militaris.*

(4) Lelew. *Pomn. jez. i nchw.* 133. 140.

(5) Bandtke *Jus. pol.* 417. 425.

Następne czasy zatarły tę różnicę między nierównymi stopniami fortun, a pas i szabla rycerska weszły w wolny każdemu zwyczaj, stały się równie wymownym znakiem szlachectwa jak niegdyś tarcza i wymalowane na niej „piątno” erbowe.

Mianowicie w drogim szlacheckiemu strojuw pasie, przechodzącym tak uroczyste z ojca na syna, przywdziewanym tak starannie przy każdej solenności, przechowała się ciekawa pamiątka starodawnego obrzędu uszlachetniania, mająca w wieku XVIII jeszcze wartość obyczajową, w wieku XV wartość pewnej urzędowej dystynkcyi, a w wiekach XI i XII wartość rzeczywistej i rzadkiej jeszcze godności, rycerstwa pasowanego.

Nie od jednego bowiem razu, lecz owszem bardzo powoli szerzyły się w Polsce przywileje *jure haereditario* i nadawane niemi szlachectwo.

Za Bolesława Chrobrego, Kazimierza Odnowiciela, Bolesława Śmiałego, było zapewne bardzo niewielu uczestników nowego prawa, bardzo niewielu ślachciców nowych.

Dopiero od czasów Kazimierza Sprawiedliwego, po sławnym za jego rządów synodzie Łęczyckim, okryła się Polska bujnym porostem ślachty i erbów; porostem swobód zachodnio-chrześcijańskich.

Chodziło synodowi Łęczyckiemu najbardziej o zabezpieczenie majątku zmarłych księży od tak zwanego prawa puścizny, czyli od grabieży *książęcój* (1).

Byłoto właśnie owém staropogańskim prawem, pozwalającym księżęciu zabrać majątek odumarły bez synów.

Po osobach duchownych nie pozostawali synowie, przeto grabił księżę puściznę.

Jeśli ksiądz był *ślachcicem*, czyli miał *ród*, tedy powinien był majątek pozostawiony spadać na dalszych krewnych; lecz dawne nadużycia, praktykowane we wszystkich krajach europejskich, pozwalały księżętom zabierać i w takim razie majątek.

Jeśli zaś nieboszczyk nie należał do *ślachty*, t. j. nie miał rodu żadnego, natenczas grabież zdawała się tém słusniejszą.

Owoż ustanowił synod Łęczycki, iż dobra zmarłych księży nie mają być grabione, t. j. mają pozostać przy kościele,

(1) Kadłub. 779 *a principibus usurpatim*. Boguf. Sommersb. II 46 *fisco principum*.

albo spadać na krewnych, bądźto ślachejnych, bądź nieślachejnych.

W ostatnim razie, przyznał synod krewnym nieboszczyka prawo dziedziczości *rodowej*, prawo szlachectwa.

Polska napelniła się tłumem nowych rodów dziedzicznych, tłumem nowój ślachty i nowych erbów, a Kazimierza „Sprawiedliwego” sławi spółczesny biskup i kronikarz jako głównego rozszerzyciela swobód krajowych, swobód dziedzicznego szlachectwa, połączonych w mniejszej lub większej mierze z wspomnionem powyżej wyzwoleniem od danin, służebności, sądów książęcych i t. p.

W takiemto znaczeniu powiedziano o Kazimierzu w Kronice: „Rozwiązał pęta niewoli, zdjął jarzmo poborczości, wyzwolił od haraczów, zniósł służebnictwa, nietylko ulżył brzemieniu, lecz owszem uchylił je całkowicie, kazał ustać ciężarom i przymusom” (1).

Za jego téż czasów uwidomiła się wielka różnica, zachodząca między szlachecką społecznością Polski a Niemiec.

Kiedy najstarszy brat Kazimierza Sprawiedliwego, Władysław II, bawił wygnanecem w Niemczech, i za pomocą cesarską starał się wrócić do Polski, wyrzekano tam przeciw niemu: „Chce Niemcom zaprzedać swobodę naszą” (2).

Germańskiem słowem umianowane szlachectwo polskie przybrało wcale odmienną postać od szlacheckości germańskiej.

Wzmianka o tém odstania nam wcale nową stronę przedmiotu.

6. Dziedziczność i feudalność.

Okazaliśmy już powyżej, iż wyraz *dziedziczny* a *feudalny* stały w zupełnej z sobą sprzeczności.

Dziedziczność oznaczała posiadanie wolne i niezawisłe, feudalność posiadanie zawisłe, warunkowe, ograniczone.

Ułatwia to odpowiedź na zapytanie: o ile feudalizm panował lub nie panował w Polsce?

Z wyjątkiem niektórych nie nicznaczących zachceń i pozorów chwilowych, była dziedzicznie - szlachecka Polska nietyl-

(1) Kadłub. 778. (2) Tamże 783.

ko wolną zupełnie od feudalizmu, ale nawet ukonstytuowaną wcale przeciwnie.

Jakimże więc sposobem rzecz wcale różnej istoty od feudalności zachodniej, wzięła w Polsce nazwę z Zachodu?

Wyjaśnimy sobie to zagadnienie, czyniąc należyłą dystynkcyą pomiędzy epokami historyi.

Kiedy do Czech i Polski wnikało chrześcijaństwo z instytucjami Zachodu, nie znano jeszcze na Zachodzie przewagi feudalizmu.

Zaledwie w XIII wieku ostatecznie wszechwładny w Niemczech (1), był feudalizm o cztery wieki wcześniej, t. j. w wiekach IX i X, dopiero w porze wzrostu początkowego, a jeszcze wcześniej, t. j. w wiekach V i VI, w ledwie dostrzeżonym zarodzie.

Górował podówczas w państwach zachodnich system wcale przeciwny, tak zwany allodyalny, t. j. właśnie *dziedziczny*.

Przypominając sobie ten stan pierwotny, postrzegamy w przedfeudalném społeczeństwie Zachodu dwojaki stopień obywatelstwa, czyli dwojaki stopień pierwiastkowy szlachty germańskiej: piérwszy, klasę allodyalnych czyli dziedzicznych i zupełnie wolnych posiadaczy własności ziemskiej; drugi, klasę posiadaczy feudalnych, trzymających swoje ziemie dożywotnią od ksiązęcia *dzierżawą*, a przeto pod pewnemi uciążliwemi warunkami, mianowicie z obowiązkiem *nieograniczonej* służby wojennej.

Tamci, dziedzice allodyalni, protoplaści późniejszej szlachty polskiej, miesiali szeroko rozpostarte rody erbowe, żyli w wielkich spółkach dziedzicznych (2), sejmowali wolnemi głosy z ksiązęciem, płacili tylko dobrowolne i tylko na jeden raz uchwalone podatki, pełnili tylko warunkową służbę wojenną, ciągnąc pospolitem ruszeniem ku obronie ojczyzny, nigdy za granicę na podbój.

Z takimi poddanymi mogli ksiązęta zachodni, mianowicie przedsiębiorczy królowie frankscy, równie mało dokazać, jak późniejsi królowie polscy ze swoją szlachtą.

(1) Eichhorn *Deutsche Rechtsgeschichte* II. 1—276.

(2) O istnieniu takiej spółności majątkowej u narodów germańskich ob. dopisek III pieśń o sądzie Libuszy.

Zwróciła się tedy wszelka uwaga i łaskawość książęca ku poddanym drugiego rzędu, ku owym posiadaczom feudalnym, o wiele skorszym do posłuszeństwa i zawiślejszym, owszem do zupełnej z początku służebności włożonym, a zwłaszcza na każdą wojnę bez ograniczenia ciągnąć obowiązany, i chętnie téż każdej chwili ciągnącym.

Przy pomocy stronnicych względów książęcych, mianowicie za niedołęznego panowania dynastji karolińskiej po Karolu W. we Włoszech, w Francji i w Niemczech, zaczęli posiadacze feudalni przemagać w wieku IX allodyalnych, ale nie wzięli jeszcze góry stanowczo.

W tymto właśnie wieku IX weszły wraz z zachodniem chrześcijaństwem zachodnie instytucje do Czech, a weszły w starodawną, powszechnie jeszcze poważaną formę zwyczajów allodyalnych czyli dziedzicznych.

W takim téż charakterze allodyalnym podały następnie Czechy swoją instytucją szlachecką, wraz z chrześcijaństwem w X wieku Polsce.

Zakorzeniwszy się tu w ciągu przydłuższych związków z Czechami, rosło allodyalne szlachectwo pomyślnie na nowym gruncie, mającym kiedyś obiecaną zostać mu ziemią.

I rozwijały się tedy jednocześnie w niewielkiej od siebie odległości dwa wcale różne stany społeczne: w Niemczech szerzył się coraz przeważniej system feudalny, w Polsce wzmagała się allodyalność.

Wychowanek czasów i krajów po-karolińskich, wojenny system feudalny, system właścicielstwa warunkowego, o władnął w ciągu wieków X i XI tak dalece wszystkie stosunki, że nie tylko ostatnie zabytki własności allodyalnej, ale nawet zwierzchnia władza książęca doznały jego przemocy.

Ostatni dziedzice allodyalni, nieskończenie mniej możni od magnatów feudalnych, ujrzeni się w konieczności uciekać tłumnie pod skrzydła feudalizmu, chronić swoje allodyalnie-wolne zagrody w obronę pobliskich zamków feudalnych, a książęta i królowie zachodni, nawykłszy pozwalać na kolejne następowanie synów po ojcach w dzierzawnych posiadłościach feudalnych, musieli nakoniec uznać prawo warunkowego *dziedzictwa* feudów.

Zniknęły tedy w XI i XII wieku z jednej strony wszystkie allodya, t. j. wszelka swobodna *własność* w zupełnym słowa

znaczeniu, i ustalała z drugiej strony dzierzawna ograniczoność i surowa służebność feudów, a upowszechnił się pośredni stan społeczny, który nie był ani zupełnie swobodnym właścicielstwem, ani wyłącznie osobistą dzierzawą feudalności pierwotnej: stan warunkowego, ograniczonego, danniczego dziedzictwa, feudalność w późniejszym znaczeniu słowa.

W porównaniu z losem dawnych dziedziców allodyalnych, w porównaniu z prosperującą teraz w Polsce allodyalnością, byłto stan o wiele późniejszy ale ponieważ jego zwycięstwo nad allodyami pociągnęło za sobą wiele następstw zbawiennych, przeto ma on swoje chwałę w historii, znalazł wielką wziętość u ludzi, i coraz bujniej plenił się na Zachodzie.

W potężnym rozroście swoim, przy gwałtowném parciu żywiołów germańskich ku Wschodowi, rozpostarł się feudalizm w wieku XI także po Czechach, zagłuszając tam niedawną plantę allodyalności.

Ztąd lubo Polacy od Czechów otrzymali swoje szlachectwo, zaszła niebawem zupełna różnica między allodyalnym szlachectwem polskim, a nowo-feudalnym szlachectwem Czech.

W XIII wieku dostąpił feudalizm najwyższego tryumfu w Niemczech, i wygórowało allodyalnie niezawisłe możnowładztwo w podzielonej na księstwa Polsce.

Odtąd zaczęła na Zachodzie kłonić się przed władzą monarchiczną feudalność, a w Polsce rozprzestrzeniać się po całym narodzie wolna szlacheckość allodyalna.

W taki więc sposób wyróżniły się od siebie w przeciągu czasów szlachectwo polskie i szlachectwo germańskie; takim sposobem rzecz umianowana w Polsce słowem zachodniem, przybrała charakter przeciwny zachodowi.

Na widok coraz większej z czasem sprzeczności obudwóch stanów społecznych, nie mogli ani Polacy ani Niemcy przypuścić, aby ich odmienne instytucje miały jakiegokolwiek pokrewieństwo u źródła.

Polacy poczytali swoje szlachectwo za rzecz z gruntu słowiańską, a u Niemców allodyalnie dziedziczne zwyczaje szlachty polskiej, mianowicie zwyczaje majątkowej spółności rodów, lubo dopiero wraz z chrześcijaństwem wniesione od Zachodu, otrzymały wyłączone miano *prawa polskiego*.

„Bo wy Niemcy nie wiecie, co to jest prawo polskie,” mówi w Kronice Henrykowskiej (1), za dni najwyższego wygórowania feudalizmu u Niemców, prawoznawca polski do niemieckiego, i nuż mu wykladać prawo najdalejzych krewnych do sprzedanej komuś obcemu *erbownej* dziedziny rodu, które jakkolwiek przeciwne kusej sukcesyjności feudalnych dziedzictw niemieckich w wieku XIII, było przecież powszechnie zrozumiałem na Zachodzie przed pięcią albo sześcią wiekami, w wiekach VI, VII i VIII.

Również zagadkową stała się jeszcze pewna inna różnica między szlacheństwem polskim a zagranicznym, to jest różnica herbowości.

„Dziwiono się oddawna, z kąd pochodzi tak zwana spólność herbową u szlachty polskiej? czyniąca jeden i ten sam herb gromadną własnością kilkunastu, czasem nawet kilkudziesięciu domów osobnych, a nieznaną wcale szlacheństwu zagranicznemu.”

Jestto właśnie tylko zabytek starodawniej allodyalności szlachestwa w Polsce.

Allodyalne bowiem dziedzictwo przechodziło nieograniczonym następstwem na krewnych najodleglejszych, lubo nazwę osobnego domu noszących, byle tylko jednym i tym samym herbem poświadczyć mogli, iż pierwotnie z tegoż samego pochodzą rodu.

Feudalne zaś dziedzictwa szlachty innych narodów, przechodziły w ogólności tylko na bliższych krewnych z wyłączeniem stopni dalszych a osobliwie pobocznych, na które żadnego wcale względu nie mając, wracał majątek znowuż do dyspozycji księcia.

Ztąd świadectwo pochodzenia od pewnego rodu pierwiastkowego, tenże sam starodawny herb rodu, bywał w Polsce bardzo starannie zachowywany przez krewnych nawet podówczas, kiedy bliższe albo dalsze stopnie pokrewieństwa tworzyły osobne domy nowego miana, zapominały z czasem o wspólnym pierwiastku pochodzenia i tylko w jednym i tymże samym herbie, służącym w taki sposób kilkunastu albo kilkudziesięciu

(1) Stenzel *Liber fundat. claustr. in Heinrich* str. 43.

różnoimiennym domom miały pamiątkę spólnego źródła, nazywały się ciągle stryjcami, albo stryjami herbowemi (1).

Przeciwnie w feudalnym szlacheństwie zagranicznym dalszy stopień pokrewieństwa nie przynosił żadnej korzyści, przez co zakładając nowe domy odmiennego nazwiska, nie troszczyli się założyciele o zachowanie dawnego herbu, lecz otrzymywali od księcia albo herb wcale nowy, albo jakiś drugi i trzeci znak w przydatku do pierwotnego.

Z tej przyczyny bywają herby zagraniczne z tak wielu rozmaitych złożone znaków, polskie zaś tak proste i jednostajne.

Z téjże saméj przyczyny okazuje się heraldyka zfeudalizowanych Czechów, nieznająca spólności herbów, różną pod tym względem od polskiej, lubo niegdyś była pierwszym jéj wzorem.

Tak wyróżniają się z czasem też same instytucje w różnych porach i miejscach, tak odmiennymi stają się owszem same pojęcia narodu o tém, co stanowi zacność i chwałę jego dziejów.

Dziś wykazanie obcego pochodzenia instytucji herbowéj, zdaje się ubliżać jéj zaszczytowi — niegdyś było ono jéj chlubą.

Zakończymy wzmianką o tym osobną.

7. Zmiany czasów.

Wiek obecny uskarża się niekiedy na przeludnienie; świeżo ochrzczona Polska skarżyła się na zbytnią szczupłość ludności.

Brak mieszkańca, to brak żołnierza, brak podatków, brak bogactw, brak handlu i przemysłu, brak wszelkiej pomyślności.

Niedarmo też przez kilka wieków następnych, aż do wielkiego organizatora Kazimierza w 400 lat po ochrzczeniu, myśleli książęta polscy jedynie o sprowadzaniu osadników do kraju.

W braku zaś rąk, w braku prostéj uprawy ziemi, brakowało tém bardziej głów i uprawy umysłu.

Jak czasy rzadkiéj ludności były same przez się czasami rzadkiéj oświaty, tak napływ osadnictwa zagranicznego był

(1) I tak np. jedynie na mocy spólnego herbu Oksza, nazywa Stanisław Orzechowski Mikołaja Reja z Nagłowic, w żywocie Jana Tarnowskiego, swoim „stryjem”.

jeszcze z téj przyczyny korzystnym i pożądanym, że wnosił do kraju zarody większej oświaty polerowniejszych zwyczajów.

Ztąd czyto wędrowny kapłan z krucyfiksem i książką w ręku, czy rycerz spieszący w służbę dworską u Bolesławów, czy rolnik osiadający na glebie, wszyscy byli nadmiar mitemi „gośćmi,” a wniesione przez nich wyobrażenia zagraniczne, zwyczaje cudzoziemskie, ustawy dojrzałszej gdzieindziej społeczności, uświetniały nader pochlebnym lustrem króla i państwo.

Jakoż nawet ów potężny i bogaty Bolesław Chrobry, w porównaniu z którego wielmożnością najznamienitsi królowie czasów późniejszych wydawali się tylko chudemi książątkami; „miewał tę jedyną skargę na ustach, iż mu brakowało rycerzów, *quod solis militibus indigeret* (1).” Przetłumaczywszy zaś użyty tu wyraz *militibus* właściwém mu mianem *szlachta*, otrzymamy wiadomość, iż mu „tylko *szlachty*, to jest właśnie stanu *rycerskiego* niedostawało,” czyli inaczej że pragnął utworzyć sobie szlachtę.

Z czém rymuje podanie innego kronikarza, donoszącego o Bolesławie Chrobrym, iż „dla ozdoby dworu swojego otaczał się nietylko rycerstwem i najdosłojniejszymi panami, ale oraz licznym orszakiem *wyzwolenców*, których wyniósł do stanu „z poddaństwa” (2), t. j. właśnie: orszakiem niewolnych niegdys posiadaczy pogańskich, wyzwolonych nadaniem chrześcijańskiej samowładności *jure hereditario*.

Wyzwolenicy krajowi cieszyli się nowém szlacheństwem, a „każdy gość zagraniczny, który odznaczył się w rycerstwie przed obliczem monarszém, nie rycerzem lecz synem zwał się królewskim. Jeśli zaś w czémkolwiek nie dopisało mu szczęście, natychmiast król Bolesław nieskończonemi obsypywał go dary, odzywając się do obecnych: Gdybym tego walecznego rycerza mógł wykupić złotem od śmierci, jak skarbami mojemu zaradzić mogę jego niedostatkowi, tedy samą chciwość śmierci przesyciłbym bogactwami” (3).

Jeszcze bardziej uderzającym sposobem uwydatnia się ówczesna wziętość cudzoziemczyzny, ówczesna potrzeba żywiołów zagranicznych, w pamiętnej nauce testamentowej, którą

(1) Chron. mart. Galli p. 74.

(2) Długosz Hist. lib. II p. 124 *sed et libertorum quos a servitute dissolveat.* (3) M. Gall. p. 75.

spółczesnik i powinowaty Mieczysława I, węgierski król Szczepan św. pozostawił swojemu synowi Emerykowi.

Czytamy tam między innymi: „O przyjmowaniu cudzoziemców i o hojności względem przybyszów. Z gości i przybyszów zagranicznych rośnie tak wielki pożytek państwowi, że słuszną przypisać mu szóste miejsce pomiędzy zaszczytami dostojności królewskiej. Cóż bowiem innego dopomogło wzrostowi państwa Rzymskiego, co do takiej wielkości i chwały podniosło królów rzymskich, jeśli nie napływ wielu zacnych i mądrych ludzi z różnych okolic świata? Byłaby Roma podziśdzień niewolnicą, gdyby potomstwo Eneasza nie uczyniło jej wolną. W miarę napływania gości cudzoziemskich z różnych krajów postronnych, napływają też różne z nimi języki i obyczaje, przybywają z nimi różne ustawy, przywileje i zwyczaje wojenne, co wszystko przyozdabia i wślawia dwór królewski, a rzuca postrach na zuchwałość sąsiadów. Każde zaś państwo, w którym panuje tylko jeden język i jedno prawo, bywa niedołężnym i kruchym. Dlatego przykazuję ci synu, abys ochoczem sercem przyjmował gości, i nie skąpił im łask, i starał się pilnie o to, aby chętniej przybywali do ciebie niż dokąd inąd. Gdybys bowiem pokusił się wywrócić, com ja zbudował, albo rozproszyć, com ja zgromadził, przyprawilibys o niezmierną krzywdę królestwo swoje” (1).

W tymto właśnie duchu poczytuje ów „list Matyldy” za wielki zaszczyt synowi Bolesława Chrobrego, iż „chwała Boża trzema różnemi językami brzmi w jego państwie” (2).

Toż jeszcze w wieku XV nie wahano się powiedzieć o Kazimierzu W., w przedmowie do statutu, iż „rzymskich panów chorągiewnych przykładem rzeczy swoje, tudzież poddanych swoich, pocziwym obyczajem oświecić chciał” (3).

Dopiero w czasach późniejszych przyzwyczajono się uważać szlachectwo za plód wcale domowy.

I znalazła się niejaka słuszość złudzeniu, ile że z długim przeciągiem czasów zaszły niemałe zmiany w samejże instytucji herbowej, znacznie różnej w końcu od typu owjej chwili pierwotnej, kiedy szlachectwo weszło z krzyżem do Polski.

(1) Werboecz *Corpus juris Hung.* II 4. Katona *Hist. crit.* I. 374.

(2) Dethier *Epist. ined.* p. 4 *quis in laudem Dei totidem coadunavit linguas* (3) Bandtke *Jus pol.* 25. Lelew. pomn. jęz. 94.

Pierwsza i główna zmiana wypłynęła naturalnym następstwem z tej samej okoliczności, która niegdyś otworzyła wrota przyjsciu szlachectwa.

Pierwotny brak ludności sprzyjał (jak powiedziano) napływowi żywołów zagranicznych, a gdy za ich pomocą utworzyło się szlachectwo rodów krajowych, zaczęły te nowe rody, te dziedziczne spółki rodowe, rozradzać się w coraz szerszą przestrzeń.

W takim rozprzestrzenieniu się każdego rodu z osobna, objawiły się niedogodności *pierwotnej* organizacji szlachectwa, nieobliczonej jeszcze na późniejszą tłumność członków rodowych.

Pierwotny *erb*, czyli dziedziczny majątek rodu, nazbyt szczupły w stosunku do późniejszej tłumności spółherbowników, stał się nakoniec zawistym od tak wielu prawnych pretendentów do *erbu*, że wszelki rozsądny obrót takim dziedzicznym majątkiem uległ całkowitemu zatamowaniu.

Do tego upowszechnił się z czasem inny rodzaj własności, nieodziedziczonej po przodkach, lecz osobiście kupnem albo darem nabytej, a tém samym niepodlegającej prawu spółdziedziczości rodowej, lecz zawistej jedynie od woli właściciela (1).

Wyniknął ztąd niezmierny zamęt stosunków własności, jużto z powodu ciężającej nad każdym majątkiem chmury spółdziedziców rodowych, jużto z powodu wątpliwéj niekiedy różnicy między majątkiem dziedzicznym a nabytym.

Nastał przeto czas powszechnego pieniactwa o majątki, czas niezliczonych bezprawów trybunalskich, zdzierstwa sędziów, namiętnego rozbechtania żytki pieniackiej, która odtąd stała się niejako warunkiem prawdziwéj krwi szlacheckiej.

Wymagało to koniecznej reformy ustawodawstwa, której w istocie za Kazimierza W. dokonał statut Wislicki, a która od pierwszego do ostatniego paragrafu z nadmienioną tu plagą pieniactwa walcząc (2), uderzyła głównie przeciw dawnéj spółdziedziczości rodowej.

„Macierzą wszelkiego rozterku a niezgody”, opiewa dotyczący ustęp statutu (3), „jest spółność posiadania. Gdyż ma-

(1) Stenzel *Liber foundationis* cl. *Heinrichow*, p. 43.

(2) Lelew. Pomn. jęz. 17. „Aby w drapieżtwie alybo w ciąży naszego ubóstwa... obykli są łakomi sędzie”.

(3) Bandtke *Jus pol.* 95. Lelew. Pomn 67. Jadw. i Jag. II 96.

jąc spólnie zawiadować majątkiem, poruszają się bracia rodzeni częstokroć ku wzajemnej mierzącej i kłopotom niemalym. Przeto gwoli uwarowaniu się zwady, a może nawet uszkodzenia żywota ubogiego, najlepiej bywa dla członków rodu, gdy żyją w własnych osobnych domach, z przynależącą każdemu częścią majątku, uczyniwszy rozbrat pomiędzy sobą”...

Ułatwione zostało dzielenie się rodów w mnogie domy osobne, różnego zwykle nazwiska, a niekiedy i herbu.

Ciekawa tego pamiątka przechowała się w innym paragrafie tegoż samego statutu, regulującym sprawę herbową.

Za życia ojca, powiedziano w tym paragrafie (1), nie wolno synom przybierać nowych herbów czyli pieczęci: po śmierci ojca mogą to czynić.

Byłoby właśnie hamulcem przedwczesnego wyosobniania się synów, gdy ojciec żył jeszcze w pewnej posiadłości dziedzicznej, mogącej po jego śmierci stać się przedmiotem sporu. Przybieranie herbu nowego było zupełnym rozbratem z rodem, było założeniem wcale nowego domu, a ponieważ przed śmiercią ojca i ostatniem zarządzeniem dzierzona przezeń własnością, nie dało to uskutecznić się należycie, przeto dopiero po śmierci ojca i ostatnim podziale, pozwalano odmieniać herb.

Zwyczajnie jednakże zatrzymywały wyosobnione domy dawien herb starożytny.

Ustaliła się właściwa heraldyce polskiej *spólność herbo- wa*, zadziwiająca heraldyków zagranicznych.

Na mocy téj spólności wszyscy członkowie kilku, kilkuna- stu, czasem nawet stu i kilkudziesięciu (2) domów jednego her- bu, pocztywali się za krewnych czyli „stryjów herbowych“, a kolligując się z innemi dalej herbami, rozpościerali coraz szersze związki rodzinne.

Cały kraj okrył się nieprzejrzaną siecią braterstwa; cała szlachta stała się jedną rodziną krewnych.

I toż właśnie stanowi niespożytą zasługę szlachectwa w Polsce, stanowi jego niezrównaną oryginalność.

Kardynalne zasady instytucyj społecznych przechodzą z wieku do wieku, od narodu do narodu, i nie masz ludu żadnego, któryby w téj mierze był zupełnie oryginalnym. Ztąd głó-

(1) Bandtke *jus pol.* 33.

(2) Ob. Niesieck. wyd. Bobr. pod herbem Jastrzębiec.

wna chwala oryginalności polega w tém: co którykolwiek naród umiał zrobić z poślubionego zkądinąd zarodu cywilizacyi? Pod tym zaś względem, i gdzież drugie zjawisko historyczne, któreby się mogło mierzyć z olbrzymią wspaniałością obrazu, jaki przedstawiła światu *szlachecka rodzina Polski*?

Każdy ze stu tysięcy jój braci, czuł w duszy i praktykował w życiu, co pewien biskup chełmski wyraził w kilku słowach treściwych, godnych wyrzycia w każdym sercu szlacheckim.

„Mam tylu krewnych“—mawiał zacny biskup Powała, niegdys z Władysławem Warnieńczykiem rycerz pod Warną, „że nie masz prawie żyjącego dzisiaj Polaka, któryby mi nie był krewnym“ (1).

Cóż za niezmierna różnica między tém spokrewnieniem się całego prawie narodu, a owym skromnym zawiązkiem kilku rodów dziedzicznych czyli *szlachty erbowej*, przybyłym niegdys z chrześcijaństwem do Polski!

D O P I S K I.

I. Szlachta, lech, lecha.

PP. Jungmann i Szafarzyk w Słowniku języka czeskiego i w *Aelteste Denkmäler der böhmischen Sprache* str. 89. powiadają: Jak niemieckie wyrazy *adeling*, *adel*, pochodzą od słowa *uodal* praedium, posiadłość, tak i słowiańskie *szlachta* i *lech*, pochodzą od słowa *lecha*, zagon. Jestto zestawienie bardzo powabne, ale nader pozorne: według przytoczonych bowiem w rozprawie naszej skazówek, wyprowadzają dzisiejsi Germaniści słowa *adeling*, *adel*, nie od *uodal* posiadłość, lecz od *adal* lub *edel* ród. Upada więc analogia, a wyrazom słowiańskim pozostaje utrzymać się własną siłą. W takim razie potrzeba osohliwszą dla nich mieć słabość, aby nie zwątpić w przyznawane im znaczenie szczerosłowiańskie; inaczéj, na którykolwiek z tych trzech wyrazów rzuciwszy okiem, okaże

(1) Długosz, Hist. XIII 576 *singulos jere mortales Polonos stirpe sibi et cognatione conjunctos astruebat*. Niemiecki kor. pol. pod herbem Powała.

się każdy nader podejrzanego znaczenia i pochodzenia. I tak najprzód co do wyrazu *szlachta*, natrąca się pytanie, jakim sposobem z wyrazu *lech* może uformować się słowo pochodne *szlachta*, z niezwyčajnym w podobnych derywacyach przyrostem *ta*? Gdzież jakikolwiek inny przykład derywacyi tego rodzaju? Co do drugiego wyrazu *lech*, tego właściwie nikt nie rozumie, a tém samém nie powinien brać za źródłostów innych znanych wyrazów. Mając być ojcem tak arcyważnego słowa jak *szlachta*, pojawia się on tylko dwa razy, i to wcale niezrozumiałém znaczeniu. Dalimil pisze: W serbskim narodzie był *lech*, który nazywał się Czech," a już przepisywacze Dalimilowi nie ufali zrozumiałości tego wyrazu, i tłumaczyli go przydatkiem *muż*, *mąż*; późniejszym zaś filologom słowiańskim podobało się upatrzeć w *lechu* młodzieńca, junaka czyli rycerza, bez względu na to, że ten młodzieniec o kilka wierszów niżej „niesie dzieci swoje na plecach”. Po raz drugi powtarza się wyraz *lech* w *Pieśni o sądzie Libuszy*, a ma tam znówuż równie zagadkowe znaczenie, jak zagadkową w ogólności jest epoka i cała treść téj pieśni. Taką sama niepewność zachodzi wreszcie co do wyrazu *lecha*. Ma on w starosłowiańskim języku oznaczać *zagon*, w dalszém odniesieniu *kawałek ziemi*. Słyszając to, możnaby mniemać, iż wyraz ten powtarzał się bardzo często w mowie potocznej, należał do słów najpowszedniejszych. Tymczasem zajrzyjmy do Miklosicha *Radices linguae slovenicæ*, a obaczymy, iż wyraz *lecha* zdarza się mało co więcej nad raz jedyny, mianowicie w przekładzie ewangelii św. Marka, w rozdz. 6, w. 40. Powiedziano tam po łacinie: *discubuerunt in partes per centenos et quinquagenos*. W starosłowiańskim przekładzie odnosi się słowo *liecha* do wyrazów *in partes*, i znaczy właściwie *rzędem*, w liczbie mnogiej *rzędami*. W takiémtó znaczeniu oddają wszystkie przekłady biblii to miejsce. Niemiecki przekład opiewa: *und sie setzten sich nach Schichten je 100 und 100, 50 und 50*. Francuzki: *et ils s'assirent en divers rangs*. Polskie przekłady mają: „rozsadzili się na części po stu i po pięciudziesiąt,” albo „siedli rząd podle rządu,” albo z zachowaniem tegoż samego wyrazu słowiańskiego „siedli tłuszcze *lechami* po stu i po pięciudziesiąt” (Ob. Linde pod tym wyr.). Ma więc *lecha* w tych przykładach znaczenie *rzędu*, i zachowywa je nawet w przenośnem używaniu zamiast wyrazu *zagon*, gdzie *le-*

cha znowuż oznacza tylko *rząd*, formę, powzdłużność kształtu, a bynajmniej *grunt*, ziemię, o którą głównie chodzi. Przeko-
na o tém najdokładniej szereg przykładów używania wyrazu *lecha* w języku polskim, zebranych przez Lindego. Oto kilka:
„Długie w lechę (*w rząd*) układał zagony” — „Lecha długa albo gruba, ziemia do siania nieco od ziemi podniosła, deszczkami obita” — „Rzodkiew najlepiej sadzić na wysokich lechach albo zagonach, (t. j. albo na wysokich warstwach czyli pokładach ziemi, albo na zwyczajnych zagonach)”. Wszędzie tu *lecha* ma jedynie znaczenie pewnej formy powzdłużnej lub podniosłej, nie zaś materyi. Jednym słowem: *lecha* znaczy *rząd*, *szereg*, *warstwę*, *szychtę*, *pokład* i t. p., a bynajmniej *grunt*, *ziemię*, *glebę* posiadłość. W takim zaś znaczeniu *warstwy* powtarza się ten sam wyraz w językach starogermańskich, gdzie *leg* i *lech* (Richthofen Altfries. Wörterb. pod temi wyraz.), *laga* i (w niższo-niemieckim narzeczu g-ch) *lacha*, *lache*, znaczy właśnie *poziom*, *pokład*, *rząd*, *warstwę*. Jakoż dziś jeszcze mówi się w języku niemieckim *eine Lage Kanonen*, rząd armat na okręcie; *eine lage* (niższo-niemiecką wymową *eine lache*) *Sand*, warstwa piasku; *eine Bienenlache* (Adelung p. sł. *lage*) rząd pni w pasiece. W dalszém przestoczeniu znaczy *leich lech* (Adelung p. t. s.) podziśdzień ulicę, długi rąbek ziemi granicznej i t. p. Odzywa się wreszcie nasza *lecha* w podobnym znaczeniu, *pokładu*, *podścieliska* w innych jeszcze językach, mianowicie w greckim słowie *lech*, *lechos*, łoże, odpowiadającém polskiej *lesze* jużto kształtem powzdłużnym, jużto ową „podniosłością od ziemi,” właściwą grzędom w ogrodzie. A co najgorsza, w obudwóch językach cudzoziemskich, t. j. niemieckim i greckim, ma *lecha* wyraźny źródłosłów w czasownikach *legen*, *lehen*, *legomać*, kłaść, podczas gdy w językach słowiańskich stoi ona całkiem osamotniona. Jest tedy wszelki powód do wniosku, że języki słowiańskie przyjęły ją zkadınąd, a czasy późniejsze dały jej znowuż wyjść z używania, jako wyrazowi napływowemu, bez głębszego rozkorzenia się w języku, zastępując go bardziej słowiańskim wyrazem *grzęda*, w którym podobnie panuje pojęcie *rzędu*. Na wszelki wypadek jest nasza *lecha* wyrazem tak niepewnym, iż nie godzi się fundować na nim najobojętniejszego twierdzenia, a tém mniej teoryi o pochodzeniu *szlachty* u Słowian.

II. Rodowość starogermańska.

Mówimy jedynie o stanie rodziny w pogaństwie Słowian i innych ludów sąsiednich a współczesnych. Mówimy o nim tak, jak nas zniewalają do tego wyraźne świadectwa historyczne; że istniały kiedyś ludy pogańskie, u których panował inny stan życia społecznego, nie należy do rzeczy. Toć i Rzymianie nie byli chrześcianami, a mieli przecież dokładnie uregulowane stosunki pokrewieństwa i ustawy spadkowe. Coś podobnego daje się widzieć także u starożytnych Germanów. Lubo poganie i barbarzyńcy, żyli oni w szeroko rozramienionych związkach rodowych, i przestrzegali stosunków pochodzenia. Owszem rodowość była u Germanów niejako podstawą całego porządku społecznego. Polegał na niej mianowicie wymiar sprawiedliwości i sposób toczenia wojny. Co do pierwszego, znana jest germańska instytucja główszczyzny, *wehrgeld*, jedyny u Germanów system sądownictwa karnego, nakazujący całemu rodowi człowieka zabitego ścigać mordercę, i dzielić się uzyskaną na nim główszczyzną. Co do sposobu wojowania dowiadujemy się od Tacyta, iż cała organizacja wojenna kierowała się u Germanów związkami krwi, ile że „hufce germańskie tworzyły się nie trafem lub przypadkowym skupieniem różnego ludu, lecz według rodów i pokrewieństwa: *non casus nec fortuna conglobatio cuneum facit, sed familiae et propinquitates*”. Przedstawia się tedy u Germanów wcale inny stan rzeczy, który może właśnie dlatego przybrał tak odmienną postać od społeczeństwa u Słowian, że Germani byli narodem wojennym a wędrownym, zmuszonym do obronnego skupiania się w większe lub mniejsze oddziały czyli hufce, wiązane najłatwiej węzłami pokrewieństwa. Jakiegokolwiek zresztą okoliczności były temu powodem, daleko ważniejszą na wszelki wypadek jest dla nas kwestya, jak rodowość germańska zgadzała się z zwykłym u pogan wielożeństwem, w którym rozprawa nasza upatrywała tak wielką przeszkodę wykształceniu się związków rodowych? Pod tym zaś względem otrzymuje nasze pojęcie rzeczy zupełną aprobatę w pewnym *dalszém* świadectwie o Germanach. Starożytni Germani nie znali w ogóle wielożeństwa, zdarzającego się czasem tylko u książąt, „raczej dla honoru niż zmysłowości: *exceptis admodum paucis, qui non*

libidine sed ob nobilitatem plurimis nuptiis ambiuntur". Zwyczajna jednożenność była owszem tak dalece właściwą dawnym Germanom, że opisujący ich Tacyt bierze ją za charakterystyczną odznakę pogaństwa germańskiego, donosząc, iż Germani „prawie sami jedni pomiędzy barbarzyńcami przestają na jednożeństwie: *nam prope soli barbarorum singulis uxoribus contenti sunt*". Potwierdza się to następnie dwoma dalszemi napomknieniami Tacyta, z których jedno opisuje uroczyste obrzędy zaślubin u Germanów, drugie zaś donosi z zadziwieniem, iż „mimo tak wielką liczbę narodu, nadzwyczajnie rzadkie w nim cudzołóstwa: *paucissima in tam numerosa gente adulteria*". Była więc szeroko rozwinięta rodowość u Germanów, gdyż było jednożeństwo, i panowały oraz inne instytucje społeczne, oparte na związkach krwi. Brak tego wszystkiego u Słowian każe tém mocniej wierzyć w owo nieistnienie u nich rodów w pogaństwie, które przyjęliśmy w naszej rozprawie, a którego nie zmieni znane świadectwo św. Bonifacego o małżeństwach słowiańskich. „Wendowie” mówi tenże św. Apostoł Niemców w liście do jednego z królików anglosaskich, „Wendowie, którzy są najplugawszym rodzajem ludzi, tak gorliwie wzajemną miłość małżeńską zachowują, że małżonka po śmierci męża życie sobie odbiera... aby z nim razem na jednym zgorzała stosie”. Mimo pozorną świętość téj wzmianki nie zaprzecza ona bynajmniej wielożeństwu. Mowa tu jedynie o wierności słowiańskich żon w ogóle, których mogło być dwie i trzy, a każda z nich miała obowiązek ginąć wraz z mężem. Sama zresztą wzmiankowana tu śmierć ofiarna, podejmowana przez wdowę wraz z niewolnikiem i koniem pańskim, przedstawia żonę słowiańską raczej niewolnicą niż towarzyszką męża. Taki zaś stan nie wróżył pomyślnie o moralności, co téż w owym przydatku św. Bonifacego „którzy są najplugawszym rodzajem ludzi” smutne znajduje potwierdzenie.

III. Pieśń o sądzie Libuszy.

Przyzwyczajono się mniemać powszechnie, jakoby wymieniony tu pomnik literatury był obrazem społecznych stosunków

Słowian, w czasach pogańskich. Ponieważ *sąd Libuszy* wynurza się przychylnie o spólném pożyciu braci i równym podziale majątku ojcowskiego pomiędzy synów, przeto upatrzono w tém charakterystyczną cechę starożytnych ustaw słowiańskich. Najucześniejszą owszem edycją tego pomnika w dziele: *Die ältesten Denkmäler der böhmischen Sprache, kritisch beleuchtet von P. J. Safarik und Fr. Palacky, Prag 1840*, odnosząca go do wieku IX lub piérwszej połowy X, stara się udowodnić, że *pieśń o sądzie Libuszy* przedstawia walkę między prawem słowiańskiem żądającym równego działu, a germańskiem przyznającym całe dziedzictwo najstarszemu synowi. Tymczasem przy dokładniejszym roztrząśnieniu przedmiotu okazuje się wszystko złudzeniem. W *pieśni o sądzie Libuszy* niemasz wcale pogaństwa, niemasz podstawy praw wyłącznie słowiańskich, niema żadnej walki pomiędzy prawem germańskiem a słowiańskiem. Jestto poprostu poemat chrześcijański, przedstawiający scenę sądownictwa chrześcijańskiego, mianowicie według przyjętych w Czechach zwyczajów prawa saskiego. Co do czasu skreślenia rękopismu nie mamy uroszczenia wdawać się w bliższe oznaczenie epoki, nie znając autografu. Zdaje się przecież mimo wszelkie przeciwne temu pozory, iż wskazany przez samychże wydawców (*Denkmäl.* str. 33, 32 n. 2) wiek XII albo XIII, w którym według ich własnego przyznania „*dopisane*” zostały głoski niektóre i przybyć mogły linie atramentem ciągnięone, będzie zapewne najwcześniejszą epoką całego rękopismu. Nie pozwalając sobie jednakże stanowczego w téj mierze głosu, mamy tém więcej dowodów ku poparciu twierdzenia, iż *sąd Libuszy* jest sądem chrześcijańsko-niemieckim. Dla przekonania się o tém, przypomnijmy najpierw główną treść poematu.

Dwaj rodzeni bracia wadzą się o spuściznę ojcowską. Sprawa ich wytacza się przed Libuszę. Księżna ustanawia sąd, zwołuje tak zwanych „kmięci,” wyprawia posłów po lechów i władyków. Zgromadzają się w Wyszogrodzie kmięcie, lechowie, władykowie; zasiada księżna na tronie; stają przy niej „dziewy” z księgą ustaw i mieczem; stoją w pogotowiu narzędzia próby Bożej, ogień i woda; rozpoczyna się sąd. Libusza oświadcza się za spólném pożyciem braci albo równym podziałem mienia, i wzywa zgromadzenie, aby wybrało jeden z tych dwóch wypadków, albo całkiem nowy ustanowiło wyrok. Na to lechowie i władykowie naradzają się z sobą: jeden z lechów donosi

o ukonczeniu narady; „dziewy” zbierają głosy do urny; lechowie liczą je i oznajmują wyrok większości: bracia mają pospólnie władać majątkiem. Oburzony tём starszy brat nie uznaje wyroku i odzywa się z prawem do całkowitego dziedzictwa. Księżna uskarża się na swoje „poganie” i dobrowolnie składa władzę książęcą. Kończy fragment przemową jednego z lechów, odradzającą szukać prawa u Niemców.

Owoż jednym z głównych powodów fałszywego zapatrzenia się na całą osnowę poematu jest niedostateczne ocenienie wyrazu „poganie.” Pp. Szafarzyk i Palacki tłumaczą go kilkakrotnie (str. 43, 48, 55, 83) wyrazem *pohańbienie*, *contumelia*, *schmaeht*, *schmaehung*. Zachodzi w tём jednakże niedokładność. *Poganie*, rzeczownik od czasownika *ganić*, *poganić*, *naganić*, okazuje się prostym przekładem albo równoznacznikiem niemieckiego *schelten*, francuzkiego *blamer*, średnio-łacińskiego *blasphemare*, polskiego *naganić*, *naganienie*, a te wszystkie wyrazy znaczyły w średnich wiekach *appellować*. Co do wyrazów *schelten*, *blamer*, *blasphemare*, przekona o tём każdy zupełniejszy słownik pomienionych języków; polskie zaś *naganienie*, znajduje się naprzód w oryginale statutu wiślickiego: „*cum aliquis arguis alias nagani sententiam castellani Cracoviensis* (Bandtke p. 89),” następnie w jego przekładzie z wieku XV, „kiedy kto *nagani* albo odzowie skazanie pana krakowskiego, co rzeczno jest pospolicie narzeczienie albo *naganienie* (Lelew. Pom. str. 62).” Jest tedy czeskie *poganie* właściwie zapomnianym wyrazem terminologii prawniczej oznaczającym *appellacya*, czyli odwołanie się nie do innego prawa, coby sprzeciwiało się zwyczajnemu biegowi rzeczy, lecz tylko do innej wyższej instancji. Taką wyższą instancją względem Libuszy mniema autor poematu władzę królewską w Niemczech, stawiając tём oraz dowód, że pisze w takim czasie, kiedy Czechy w sprawach sądowych ulegały zwierzchnictwu Niemiec, to jest w czasach o wiele późniejszych od pogaństwa. Ztąd ostatnia odezwa jednego z lechów odradzająca szukać prawa u Niemców, nie mierzy bynajmniej do różnicy między prawem niemieckim a słowiańskim, lecz radzi tylko zaprzestać na instancji krajowej, nie uciekając się do prawa, to jest do sądu Niemców. Jednym słowem mowa tu o dwóch różnych instancjach tegoż samego prawa, bez wzmianki o walce prawa słowiańskiego z germańskim, które-

to walka okazuje się zresztą z innych jeszcze powodów zupełnie urojoną w obecnym razie. Co bowiem w komentarzach do *pieśni o sądzie Libuszy* powiedziano o prawie słowiańskim, jako o prawie równych działów, albo *spólnego* posiadania majątku, o prawie zaś germańskim jako o prawie uprzywilejowanej pierworodności, polega na prostym złudzeniu chronologicznym. Piérwszeństwo synów najstarszych ustaliło się u narodów germańskich dopiero w czasach późniejszych, w porze zakwitnięcia feudalizmu od wieku X; wieki poprzednie mianowicie IX, VIII, VII i VI, nawet wieki pogaństwa, były u wszystkich narodów germańskich epoką *równych* działów, a nawet *spólnego* posiadania. Mamy na to niezliczone dowody w przedfeudalnym ustawodawstwie wszystkich ludów germańskich. I tak, np. prawo Wizygotów przepisywało: „*Si ex uno fratre sit unus filius, et ex alio fratre plures, omnem haereditatem defuncti capiant at aequaliter per capita dividant portiones,* w równych częściach podzielią się majątkiem (*Majer Germ. Unverfass.* str. 135).” Prawo Bawarów nakazywało: *Ut fratres haereditatem patris aequaliter dividant*, aby bracia w równych częściach dzielili się majątkiem ojca (*Eichhorn Deutsche Staats und Rechtsgesch.* 1818, I, 188). Prawa północne wyrażały się w tym samym duchu, zalecając nawet zupełną *spólność* i nierozdzielność posiadania: „*Beisammen, wohnen, Brüder am besten*; najlepiej braciom żyć w *spólności* majątku. (*Gejer Geschichte von Schweden* I, 263, 264).” Taką samą radę *spólności* czyli *pożycia* w *spółkach*, inaczéj *parentelach* rodowych, zawiera prawo Longobardów: „*Omnis parentela usque in septimum gradum memoretur, ut parens parenti per gradum et parentelam heres succedat, sic tamen ut ille qui succedere vult, nominatim unicujusque nomina parentum suorum antecessorum dicat*; *parentela* trwa aż do siódmego stopnia, a krewni dziedziczą po sobie według porządku *parenteli*, byle ten który chce odziedziczyć, umiał nazwać imiona swoich krewnych antecessorów (*Majer Germ. Urverf.* 100).” Jeszcze powszechniej zdarzają się takie *spółki* dziedziczne w prawie salickim, gdzie nawet (jak później w naszej księdze wiślickiej) znajdujemy przepisy, jakim sposobem ten albo ów członek *parenteli* może się wyosobnić ze *spółki*: *Si quis de parentilla tollere se voluerit.* (*Majer Germ. Urverf.* 74).” Według powszechnéj wówczas zasady *równych*

działów byli nawet bękarci w używaniu takiej równości i mie-
wali równe działy z resztą rodzeństwa (*Michelet Origines du
droit franc.* 67. Adam Brem. Lindenbr. 60). Owszem, pier-
wotną równość działów poczytywano później, to jest za czasów
feudalizmu za charakterystyczną cechę wszystkich narodów
i czasów przedfeudalnych, czyli jak zarozumiałość feudalna
wyrażała się: ludów i czasów *barbarzyńskich*. W takiemto
znaczeniu mówi np., w XI wieku znany dziejopis Adam Bre-
meński (wyd. Lindenbr. p. 31). „*Qui, ut mos est barbaris,
aequam tunc inter liberos sortiti sunt partem haereditatis,*
którzy, jakto bywa w zwyczaju u ludów barbarzyńskich wzięli
równe działy w spadku ojcowskim.” Co zaś w czeskim kome-
ntarzu do *pieśni o sądzie Libuszy*, (*Denkmäl.* str. 100) przyto-
czono z kroniki Normañskiej: *pater adultos filios cunctos a se
pellebat, praeter unum, quem haeredem sui juris relinquebat,*
ściąga się do zwyczajnego u Normanów wypędzania nietylko
kilku synów, ale całej owszem młodzieży kraju, na morze
w cudze strony, nie dowodząc bynajmniej prawa pierworodności
o którym we wzmiance niniejszej tém mniej może być mowa,
ile że ów pozostawiony w domu syn jeden, *praeter unum,*
bywał zazwyczaj synem najmłodszym, nie mogącym jeszcze
dać sobie rady w świecie. Reszta zaś powtórzonych następnie
słów uczonego Phillipsa zawiera tylko uwagę, że już w owęj
przedfeudalnej epoce równych działów objawiała się w prawach
germańskich dążność (*die Richtung*) do primogenitury feudal-
nej, lubo nad samą dążność nic więcej wówczas widzieć się
jeszcze nie daje.

Nie ma więc powodu upatrywać w *sądzie Libuszy* śladów
prawa słowiańskiego z czasów pogańskich, albo walki tegoż
prawa z germańskiem. *Pieśń o sądzie Libuszy* jest tak dalece
obcą czasom i obyczajom pogańskim, że owszem wszelkie rysy
odmalowanego w niej obrazu sceny sądowej, są rysami całkiem
chrześcijańskimi, mianowicie rysami sądów chrześcijańskich
według prawa saskiego. Czemu chrześcijański autor *pieśni* na-
patrzył się od XII albo XIII wieku do syta w Czechach i w Niem-
czech, to przeniósł on żywcem w opis swojej sceny pogańskiej,
zaledwie jedną licencyą poetyczną: *wecoziznih bogcu* „nieśmier-
telnych bogów,” zamiast „nieśmiertelnego Boga,” ubarwiwszy
go nieco z pogańska. Zresztą niema *żadnego* rysu, któremu byśmy
nie umieli wykazać wzoru w średniowiecznych zwyczajach

chrześcijańskich. Słuszna przekonać o tém skazówkami szczegółowemi. Wytkneliśmy już wyraz terminologii prawniczej *poganienie*, o którym więcej w *Grimma Deutsche, Rechtsalterthümer* 1854 str. 865. Towarzyszy mu zbliżona podobnyż wyraz drugi jeszcze ciekawszy. Zamiast słowa *osądzić* używała średniowieczna terminologia wyrazu *znachodzić* (to jest prawo), *finden* (das Recht), *invenire* (sententiam), zamiast *sąd*, *wyrok*, mówiono *znalezienie*, *die findung*, zamiast *sędzia*, *znalazca*, *finder*. Jestto wyrażenie się tak charakterystyczne i wyjątkowe, iż niełatwo przypuścić, aby pojawiwszy się raz w języku staroniemieckim, powtórzyło się ono samo przez się w słowiańskim. Owoż w *sądzie Libuszy* w wierszu 76, zamiast *wyrok*, czytamy *nalez*, słowo nieznane wcale w innych narzeczach słowiańskich jawnie przetłumaczone z niemieckiego wyrazu *findung*. Ale nie koniec na tém. Jedną z najciemniejszych zagadek naszej pieśni jest słowo *witizowym*, w wyrażeniu się: *wyuoczzone wieszczbam witizowym*, zastosowaném do owych „dziew sądowych,” które towarzyszą Libuszy. Uчени komentatorowie czescy znają odpowiedni wyraz niemiecki, lecz uwiedzeni zwyczajną pokusą erudycyi, wołają iść za znaczeniem dalszém niż bliższém, widzą w tém słowie jakichś starostowiańskich „witezów” czyli zwycięzców, domyślają się pruskich i Trebellionowych Withingów i t. p. Tymczasem jestto tylko trzeci wyraz terminologii prawa saskiego, będący odmienną nazwą owych sędziów czyli *znalezców*, którzy inaczéj mieli urzędowy tytuł *wiedzących* po staroniemiecku *witzig* lub *witig* (Wachter *Glossar.* pod słow. *witig.* *Denkmäl.* 96), po łacinie *sapiens*, z słowiańska według zwyczajnej przemiany *g* w *z* (*Denkmäl.* 96) *witiz*, jak się to okazuje z tysiąca średniowiecznych formuł prawniczych, np. *Clotarius cum sapientibus suis invenit*, Klotar. osądził (zawyrokował) z sędziami (*Eichhorn Deutsche Staats und Rechtsgesch.* I, 105), „*Witz-geding* (tak właśnie pisze się owo słowiańskie słowo *witz*) albo *witzig geding judicum sapientum* (*Hallaus Glossar. m. aevi* pod słowem *witzig*)” i t. p., ztąd „wyuczzone wieszczbam witizowym,” znaczy „znające się na wieszczbach czyli wypowiedziach sędziów, albo *znalezców*, co tém oczywiciéj zgadza się z naszym wykładem, ile że te „dziewy sądowe,” właściwie rodzaj woźnych albo pisarzów sądowych, którym poeta gwoźli dziewiczemu charakterowi księżnej Libuszy dał postać dziewic, zbierają następnie

głosy sędziów, a t \acute{e} m sam \acute{e} m musz \acute{a} znać si \acute{e} na ich wypowiedziach czyli formu \acute{l} ach. Taki \acute{e} m \acute{z} e t \acute{u} maczeniem technicznych wyraz \acute{o} w s \acute{a} downictwa chrześci \acute{a} ńskiego mog \acute{a} być tak \acute{z} e s \acute{l} owa: „chwalić wypowiedzi,” *laudare, collaudare sententiam* (Grimm. Rechtsalt. 864), „ustawić prawdę,” *veritatem dicere*, w któr \acute{o} to ostatni \acute{e} m wyrażeniu s \acute{l} owo *veritas, prawda*, znaczy jedn \acute{o} razowy, poszczeg \acute{o} l \acute{n} y s \acute{a} d czyli wyrok, podczas gdy zakon oznacza og \acute{o} l \acute{n} y zbi \acute{o} r starodawnych praw i zwyczaj \acute{o} v; z \acute{a} d *pochwalichu prawdu po zakonu*, znaczy: „pochwalili (*collaudabant*) s \acute{w} iezo wydany s \acute{a} d czyli wyrok, sformu \acute{l} owany wed \acute{l} ug praw u \acute{s} więconych wiekami.” Taki \acute{e} m \acute{z} e powt \acute{o} rzeniem zwyczajnej formu \acute{l} y praw niemieckich s \acute{a} mianowicie wyrazy „u nas prawda po zakonu swatu, *iu ke prinesehu otci nasi*,” powleczone tak z \acute{l} udnym pozorem narodow \acute{o} sci s \acute{l} owiańskiej, a b \acute{e} d \acute{a} ce w \acute{l} asci \acute{w} ie tylko ulubion \acute{a} formu \acute{l} \acute{a} wszystkich niemieckich wyrok \acute{o} v i statut \acute{o} v. Opiewa ta formu \acute{l} a zwyczajnie „prawo to przynieśli zstarodawna ojcowie nasi, *dys recht haben vor alter Zeit unser vorfarn herbracht* (po dwakroć w przedmowie do Zwierciadła t \acute{a} skiego), albo: „my wy \acute{z} ej, pomieniona gmina wyznajemy, i \acute{z} prawo to przynieśli nam przed wiel \acute{a} laty nasi rodzice i przodkowie,” albo: „wiadomo nam i przyniesiono do nas w ten spos \acute{o} b od przodk \acute{o} v naszych,” albo: „przynieśli to od wiek \acute{o} v przodkowie nasi (Grimm. Rechtalt. 772, 773 zawsze *auf uns gebracht*, jak w pieśni *prinesehu*).” W skutek podobnego \acute{z} wreszcie przypomnienia sobie zwyczajnych przybor \acute{o} v ka \acute{z} d \acute{e} j sceny s \acute{a} dowej w s \acute{r} ednich wiekach, umieścił poeta w swojej pieśni owe narz \acute{e} dzia s \acute{r} edniowiecznych prób Bo \acute{z} ych, p \acute{l} omień i wodę, kaz \acute{a} t jedn \acute{e} j „dziewie” trzymać w r \acute{e} ku „deski prawodatne,” to jest księ \acute{g} e praw (*deski* tyle co księ \acute{g} a *Denkmäl.* str. 98) towarzysząc \acute{a} zwyczajnie s \acute{a} dom niemieckim (Grimm. Rechtsalt. 784 *librum legis*, pisarz z księ \acute{g} ą, *der schreiber bei dem Buch*), drugi \acute{e} j za \acute{s} dziewie dał w r \acute{e} ku miecz, b \acute{e} d \acute{a} cy podobnie \acute{z} zwyczajnym atrybutem sali s \acute{a} dowej (Grimm. 852, Michelet; *Origines du droit françois* str. 315).

Na t \acute{e} jsze sam \acute{e} j drodze dochodzimy wreszcie znaczenia przednich aktor \acute{o} v s \acute{a} du Libuszy, lech \acute{o} v. G \acute{l} ówn \acute{a} w s \acute{a} dach niemieckich rol \acute{e} odgrywali owi wy \acute{z} ej wymienieni *analeŝcy, fndler, urtheiler, schozffen*, w polsko-magdeburgskich s \acute{a} dach *lawnicy*. Nie maj \acute{a} c w \acute{l} asci $\acute{w$ ie tytu \acute{l} u i ur \acute{a} du sędzi \acute{o} v, byli oni jedynie powo \acute{l} anymi do rozstrzygni \acute{e} cia pewnej w \acute{a} tpliw \acute{e} j

kwesyi rozpoznawcami, któreto jednakże rozpoznanie stanowiło główną czynność sądownictwa średniowiecznego. Sędzia albo sędziowie właściwi byli tylko prezesami zebrania (Grimm. str. 750 *Haltaus Glossar. str. 1644 a iudice praeside*), zapytującymi znalców o słuszność czyli prawdę (*veritatem*) w pewnym wypadku spornym, a potem wykonującymi ich wyrok. „Wyrok sądowy” czytamy w często przytaczaném tu dziele Grimma, str. 863 był tylko odpowiedzią znalców na zadane im przez sędziego pytanie.” Owoż wpatrzmy się dokładniej w scenę sądu *Libuszy*, a znajdziemy naszych lechów takiemiz właśnie dawcami odpowiedzi, zgodnemi we wszystkich rysach z charakterem zwyczajnych znalców saskich. Było tych znalców czyli *finderów* przy każdym sądzie zwyczajnie siedmiu (Grimm. str. 775, 777, 858, 863. Eichhorn D. *Rechts und Staatsgesch. I 211 der Regel nach sieben*), a zliczywszy wymienionych w sądzie *Libuszy* lechów (*Denkmäl. str. 35 po Zutoslau...*) otrzymujemy z zadziwieniem takąż samą siódemkę. Zamiast sędziego prezyduje w uroczystém zgromadzeniu naszego poematu, jakto bardzo często zdarzało się w sądach niemieckich (Grimm. str. 752), samaż księżna *Libusza*, a jój wstępna przemowa do zgromadzenia opiewa: „*Se bratroma rozresite pravdu... Budeta im oba w jedno wlasti, ci se rozdelili rounu meru? Oto braciom rozstrzygnijcie prawdę... Mająz obaj władać z sobą spolem, czy téz równą rozdzielić się miarą?*” Jestto, jak widzimy prostém zapytaniem według zwyczajów prawa saskiego pociągającym za sobą różne inne czynności, które podobniez są niczém inném jak tylko praktyką codziennych zwyczajów saskich. Przypatrzmy się bliżej téj analogii. Po usłyszaném zapytaniu naradzali się znalczy sascy tajemnie pomiędzy sobą (Grimm. 787, 788 *heimlich, secretum*), i w podobnyż sposób naradzają się cicho (*ticho, govoriti*) nasi lehowie. Po skończonej naradzie następowało zebranie i obliczenie głosów, które według prawa saskiego decydowały większością (Grimm 773, 864, 875, 879) i w podobny téz sposób rozstrzyga w naszej pieśni większość zebranych głosów *ucinu*, (*Denkmael. 36, 61*). Wynajdowali z pomiędzy wszystkich głosów zebranych tę większość wyrokującą i oznajmiali ją sascy znalczy, mający od téj właśnie czynności nazwę swoje i takąż samą czynność pełnią nasi lehowie: *i dasteje (głosy) lechom prouclati.... ie ucinu prouclati w narod, tojest wziąwszy*

z rąk dziew glosy zebrane, znachodzą większość i oznajmiają ją zgromadzeniu. Jakoż témo właśnie rozwiązują się pytania uczonych wydawców czeskich (*Denkm.* str. 89), „dlaczego w wierszu 78 tylko lechowie i władyki, w wierszu zaś 89 tylko lechowie są wymienieni?” W wierszu 78 (*clanehu se lesi i uladiki* kłaniali się lechowie i władyki), następującym bezpośrednio po zapytaniu Libuszy, występują tylko lechowie i władyki bez kmięciów, ponieważ onito sami, tojest *znaleźcy* i przytomna sądowi gmina, z wykluczeniem właściwych sędziów, któremi są właśnie owi *kmięcie*, mieli pojedynczemi głosami swemi dawać odpowiedź na zapytanie, mianowicie dawać ją czasem *zosobna*, czasem *pospołu*, jak o tém np. w Eichhorna *Rechtsgeschichte* I, 211: „*Die Gemeinde oder die Urtheiler... durch ihre Stimmen*, tojest gmina albo *znaleźcy* przez głosowanie...” W wierszu zaś 89 „*i daste je lehom prouolati*, i dały dziewy lechom obwołać głosy;” wymieniono jedynie lechów, ponieważ do nich samych, tojest do samych *znaleźców* saskich, należało właśnie *znaleźć* w ogólnej liczbie głosów przeważającą większość, *wieczinę*, i oznajmić czyli obwołać ten wyrok *znaleziony*. Podobnież w wierszu 53: „*cda se snehu lesi i uladyki u uisegrade...* gdy się zjechali w Wyszogrodzie lechowie i władyki,” czytamy tylko o lechach i władykach, ponieważ onito sami, tojest powołani na sąd obywatele całego kraju, możniejsi i ubożsi, nie mieszkali w stolicy i dopiero za osobnym poselstwem księżny znaném także w sądownictwie niemieckim (Grimm 765 *Bote.* Eichhorn I, 211) zjeżdżają się do Wyszogrodu. Kmięcie zaś, tojest sędziowie właściwi znani w Czechach pod tém imieniem jako członkowie „najwyższego trybunału królestwa, *das permanente oberste Tribunal des Reiches* (*Denkmäl.* 69),” mieszkali ciągle w stolicy (*permanent*) i nie potrzebowali dopiero zjeżdżać się wraz z lechami i władykami do miasta, lubo księżna posyła po nich do domów, w mieście. Mamy więc rozwiązane oraz pytanie; w jakim stosunku zostają do siebie trzy różne klasy występujących w naszej pieśni aktorów? *Kmięcie* sąto owi znani w średnich wiekach najwyżsi sędziowie czescy; *lechy* sąto powoływani z grona obywatelstwa prawoznawcy czyli główni *znaleźcy*, zasiadający tylko jednorazowo w sądzie, zresztą zamożniejsi ziemianie; władyki wreszcie, owi *minus nobiles* (*Denkm.* str. 89), są zwyczajną publicznością każdego sądu saskiego.

Nasuwa się owszem na téj drodze osobliwsza skazówka do saméjże nazwy *lechów*. Przypominając sobie bowiem różne w różnych stronach nazwania starogermańskich *znaleźców*, spotykamy także nazwę *lah*, *lah-man*, prawo-znawca. Miała ona swój pierwiastek w starogermańskim wyrazie *lag* albo *lög*, według znanéj niższo-niemieckiej wymowy *lach* albo *lech*, w dzisiejszym angielskim języku *law*, w duńskim *lowe*, prawo, a służyła mianowicie *znaleźcom* anglosaskim, ob. *Lappenberg Geschichte Englands* I, 602 (*lah-men*). Ponieważ zaś między językiem wyszłych do Brytanii Saksonów, a pozostałych nad Elbą Sasów, panowało najściślejsze powinowactwo, przeto słuszną przypuszczać, że i w nadelbiańskiej Saksonii znaném było to słowo, a ztamtąd wraz z samémże prawem saskim przeszło do Czech. Jakoż, zdarzają się wzmianki wyraźne, iż wyraz *lög*, *lech*, prawo, brzmiał do późnych czasów nad niższą Elbą, że oznaczał tam właśnie *zgromadzenie sądowe* (Grimm str. 837 mene *loeg*, u fryzów), a obejmując tém samém wszystkie osoby zgromadzenia, przyłgnął mianowicie do głównych aktorów sądu, naszych *znaleźców*, nazwanych u brytańskich Saksonów *lah-man*, a u nadelbiańskich Sasów i Czechów, z prosta *lech*, *lechy*.

Na wszelki wypadek odnosiło się to miano nie do pewnego ogólnego stanu obywatelstwa, lecz do samego *obowiązku* w zgromadzeniach sądowych, pełnionego tam chwilowo przez mianowanych lub obranych ku temu obywateli światlejszych i możniejszych. Po którémto wykazaniu tożsamości saskich *znaleźców* a naszych *lechów*, nie pozostaje w *pieśni ó sądzie Libuszy* żaden rys zwyczajowy, któremu byśmy nie wytknęli tu źródła i wzoru w średniowiecznych zwyczajach sądownictwa chrześcijańskiego. Nie masz tém samém w naszej *pieśni* żadnego śladu pogaństwa, nie masz wyłącznych pojęć prawnych słowiańskich, nie masz walki między prawem germańskim a słowiańskim. Jestto (jak powiedziano) obraz sceny sądowej chrześcijańsko-niemieckiej, pochodzący prawdopodobnie z epoki rękopismu Krółodworskiego, zastosowany przez poetę do pogańskich czasów *Libuszy*, a tak dalece przejęty zasadami prawa saskiego, że nawet ów niby-słowiański wyrok równego podziału ojcowski pomiędzy obu braci, jest tylko echem Saksonu. *Libusza* i *lechy* nakazują podzielić się równą miarą, a *Zwierciadło saskie* powtarza po kilkakroć ten sam *nalez*, ralecając np. w księdze I,

rozdział 5, aby kaźden brat nawet poświęcający się stanowi duchownemu, a więc dostatecznie na całe życie zaopatrzony, „otrzymał równą część dziedzictwa ojczystego, wraz z resztą braci, *obtinebit aequam partem cum fratribus in haereditate.*” Toż nakoniec i owo poganienie czyli appellacya do króla w Niemczech jest tylko aplikacyą innego paragrafu Zwierciadła, nakazującego w ks. 2, rozdz. 12, „aby w razie poganienia wyroku, nastąpiło przedłożenie go najwyższemu sędziemu, a nakoniec królowi, *an den hogesten richtere unde folest voden koning* (Grimm 865).” Służy owszem ta ostatnia okoliczność za jeden z dalszych dowodów przeciw zbyt starożytnemu wiekowi pieśni naszej, ile że appellacye czyli naganienia podobne, uchodzą w historyi praw germańskich powszechnie za owoc czasów późniejszych. (Eichhorn *Deutsche Rechtsgeschichte* I, 225. Grimm 865 *späterhin*).

NARODOWE PIESNI SERBSKIE (*).

PRZEŁOŻYŁ NA JĘZYK POLSKI

Edward Brzetystaw.

OŻENIENIE JAKSZYCA DYMITRA (1).

Przechodzą się dwa sokoły siwe
Po sławetném mieście Białogrodzie,
Dwa sokoły, dwa Jakszyce młodzi:
Jakszyc Dymitr, tudzież Jakszyc Szczepan.
Wedle onych dobre konie idą,
A wedle nich kopije jak w wojnie.
Jednakowe konie i oręże,
Jednakowe juki i odzienie,
Jednakowe ciżmy i spodeńki.
Jedno drugie całuje i ściska,
Miłują się dwa Jakszyce młodzi.
Szable im się po ziemi aż wloką,
Każda warta secinę dukatów;
Jednakowe kołpaki i pióra,
Nad niemi się alaj-barjak (2) wije,

(*) Zob. Bibl. Warsz. z r. 1857 tom I, str. 735.

(1) Rodzina Jakszyców przed bitwą Kosowską jeszcze slynęła w dziejach serbskich: najslawniejszym z nich był Jakszyc Dymitr, który we wszystkich wojnach węgierskich za króla Macieja chlubny brał udział i dlatego dosięgnął wysokich zaszczytów. Zginął pod Smederowem (Semendria) walcząc z głośnym bohaterem księżciem Pawłem Brankowiczem przeciw Turkom. Dom Jakszyców (Jakmъhebakylo) Heвопра nazwany, dodziśdnia jeszcze zachowany, stoi w twierdzy Białogrodzie (Belgrad).

(2) Proporzec, sztandar, chorągiew.

Na którym jest ze złota czółeczko (1),
 Które im się za słońcem obraca,
 A pod nim są dwa Jakszyce młodzi:
 Jedno drugie całuje i ściska,
 Miłuje się dwóch braci rodzonych.

Tu zagadnie brata Jakszyc Dymitr:
 „Oj Szczepanie, mój sokole siwy!
 Oj Szczepanie, moje oczy czarne!
 Oj Szczepanie, mój bracie rodzony!
 Rowieśnicy już dawno żonaci,
 Już po synie prowadzą za rękę,
 Jeden syna, drugi małą córkę;
 A ty mi się żenić nie pozwalasz,
 Ni z Turczynką, ani z Kaurkinią (2),
 Ani z Niemką, ani też z Madjarką,
 Ni z Toticą, ani z Bunijewką (3);
 Niechby była jakiegokolwiek wiary,
 Niechby była méj postawy, wzrostu,
 Niechby była mego lica, wzroku,
 Niechby była we wszystkiém mnie godna.”

Tu odrzeczce bratu Jakszyc Szczepan:
 „O Dymitrze mój sokole siwy!
 O Dymitrze, moje oczy czarne!
 O Dymitrze, mój bracie rodzony!
 Z czarną ciebie ziemią ożenimy,
 Z czarną ziemią i zieloną trawą!
 Dworskoś służył u króla Macieja.
 Wszak w Budzynie, wszakże w białym grodzie,
 Dworszczyłeś tam przez trzy lata całe;
 Dworskim byłeś u cara Turskiego,
 U caraś był dworzaniem jego,
 Dworzaniem dziewięć lat całutkich,
 I to wielkim Cara haracznikiem (4).
 Tyś już przeszedł ze wschodu na zachód,
 Od zachodu k' Isterskiemu grodu (5),
 Tyś nie znalazł dla siebie dziewczyny,

(1) Czółeczko po serbsku „czelenka” starodawna ozdoba u juna-
 ckich kołpaków, składała się z wachlarzowato ułożonych drzących lu-
 szczek, za każdym powiewem wiatru się poruszających. Często wyrabia-
 no je w kształcie chorągiewek z kosztownego kruszcu.

(2) Kaurin, giaur, niewierny (wyraz turecki) kaurkini chrześcianka,
 ale tutaj trzeba rozumieć prawosławną Serbkinie.

(3) Katolickich Serbów w Baczce, Subaticy, Somborze i t. d. na-
 zywają z przekąsem *Bunijewcami*.

(4) Poborcą z ramienia Turków wysłanym.

(5) Niewiadomo o którym zamku nad Dunajskim ślepiec śpiewa.

Ni Turczynki, ani Kaurkini,
 Ani Niemki, ani téz Madiarki,
 Ni Toticy ani Bunijewki;
 Niechaj będzie jakiegokolwiek wiary,
 Lecz niech będzie twój postawy, wzrostu,
 Twego lica i twego spojrzenia.
 A niech będzie we wszem ciebie godna.”

Odpowiada Jakszyc Dymitr na to:
 „Oj Szczepanie, mój bracie rodzony!
 Istotnie jest, dworzyłem u króla,
 Wzdyć w Budzynie, wzdyć na białym grodzie;
 I u cara byłem dworzaniem,
 Dworzaniem dziewięć lat calutkich;
 Ja przeszedłem ze wschodu na zachód,
 Od zachodu k' Isterskiemu grodu,
 Jam nie znalazł dla się odpowiedniej,
 Ni Turczynki, ani Kaurkini,
 Ani Niemki, ani téz Madiarki,
 Ni Toticy, ani Bunijewki.
 Niechby była jakiegokolwiek wiary,
 Jedno mojej postawy a wzrostu,
 Mego lica i mego wejrzenia,
 I we wszystkiém dla mnie odpowiedna.
 Gdziem ja znalazł dla siebie dziewczynę,
 Tam nie było dla mnie przyjacieli;
 A gdziem znalazł dla siebie przyjaciół,
 Tam nie było znowu dla mnie dziewczki;
 Bo wiem bracie Jakszycu Szczepanie,
 Jestci obwód, zowie się Rowiny,
 A w Rowinach gród Wirowy z nazwy,
 We Wirowach Kawga Radosawa,
 A u Kawgi dziewięć miłych braci,
 Wszyscy dziewięć wielkimi banami:
 Najstarszy jest Kawga Radosawa,
 Najstarszy jest wielkim Seraskierem (1),
 A u nich jest bardzo stara matka,
 Między nimi siostra jedynaczka;
 Brat ją żywił ośmnaście latek,
 Z miłości jej Kapetaństwo (2) nadał,
 Ztąd się zowie Kapetan-dziewczyna.
 Za nią jedwab' wlecze się i szkarłat
 Na trzy łokcie po zielonej trawie,
 Smukła postać przy wysckim wzroście,

(1) Najwyższy stopień w wojsku tureckim.

(2) Nazwa przywódcy oddziału wojskowego, w dawnych pieśniach
 znaczy niewielkiemu rodu, pokolenia lub okolicy.

A w kibici jak konopie cienka;
 Plecy gładkie jako pręcie młode,
 Kaftany jój zielone jedwabne,
 Wyszywane nicią szczero-złotą,
 Małe piersi—dwie żrałe cytrynki,
 Białe rączki—skrzydła łabędziowe;
 Na swych palcach dziewięć ma pierścieni,
 A dziesiąty burma (1) szczero-złota;
 Zaś jest w każdym po dziewięć kamieni,
 Każdy warta po dziewięć tysięcy;
 I w burmie są trzy kamienie drogie,
 Warta burma trzy carowe grody.
 Na jój szyi błyszczą dwa dżerdany (2):
 Jeden dżerdan z drobniutkich perełek,
 A drugi jest ze żółtych dukatów,
 W dziesięć rzędów—tysiąc to dukatów.
 Czarne oczy jako u sokoła,
 Dwie jagody—dwie rumiane róże.
 A brwi onój—morskie pijawice,
 A jój rzęsy—skrzydełka jaskółcze;
 Miodne usta, istna cukrownica.
 Drobne ząbki—dwa rzędy perełek,
 Rusa kosa jak jedwabna kita.
 A jój mowa—gołąbków gruchanie,
 Gdy się śmieje ach! to słońce grzeje,
 Gdy się mignie, ach! to połysk słońca,
 Od tak wielu kamieni precudnych!
 Cała błyszczy od szczerego złota!
 Nad nią leci ptaszek sokół siwy,
 Szerzy skrzydła, tém jój czyni chłodek,
 By jój białe nie zczerniały lica.
 Cóżto za chód, cóżto za obroty,
 Cudem, serce jeżeli nie pęknie!
 Prosi o nią trzydziestu i czterech,
 Sami wielcy banowie i pany,
 I przemożnych książąt téż synowie,
 I tu mnogo jedynaków było,
 Ztąd zostały bezdzietnemi matki,
 Wszystkichto już zgubił srogi Kawga,
 Wyrowy swe przyozdobił białe,
 Nie bazylią ni rumianą różą,
 Lecz głowami proszących się o nią!
 Toby była mnie dziewczyna godna,
 To jest, bracie, dla mnie dziewczę lubę,

(1) Wyraz turecki, t. j. pierścień znacznej wielkości i ceny.

(2) Ozdoba kobiet serbskich, składa się z pieniędzy nawiazanych na nitkę; i u nas coś podobnego noszono dawnymi czasy.

A i dla cię dobrzy przyjaciele.”

Na to rzeczesz Jakszycu Szczepanie:

„O Dymitrze, mój sokole siwy!
 O Dymitrze, moje oczy czarne!
 O Dymitrze, mój bracie rodzony!
 Idźże bracie tam na błonia dolne,
 I przyprowadź dwa dobre koniki,
 Dla mnie Zdralę, a sobie Żerawa; (1)
 Podkuj bracie i srebrem i złotem,
 Zaś od kopyt, aż po pęcinę;
 I srebrzystém siodłem osiodłaj je,
 A grzywy im poprzeplataj złotem,
 I zauzdaj uzdą pozłacaną,
 Pokryj bracie jedwabiem, szkarłatem,
 Czaprak popuść koniom aż do kolan,
 Złote frędzle koniom po pęcinę,
 Każdy kutas od pół funta złota;
 Przyciągnij je poczwórnym popręgiem,
 A i czwarty jedwabną tkannicą.
 Poczém pójdziem do naszej świetlicy,
 Aby zrzucić to z siebie odzienie.”

Owo zwlekli a lepsze przywdziali,

A na nogi cizmy i spodeńki:
 Tamte mają srebrem podkowane,
 A spodeńki wyszywane złotem,
 A na plecy płaszczyk sześciokrzydły,
 Na którym są guziki ze złota.
 Każdy guzik od pół funta złota,
 A pod szyją z pięciu funtów złota,
 Który zmieści dwanaście ok wina,
 Czém junacy bujne piją wino,
 Wypijają za Jakszyców zdrowie!
 A na głowie kołpak cały biały,
 Na którym jest ze złota czoleczko,
 O dwudziestu i czterech jest stopniach,
 Które zwykle za słońcem się zwraca;
 A pod niém są dwa Jakszyce młodzi.

Więc wychodzim na górę, do składu,
 I wsypujem do kieszeń dukatów,
 Poczém tamże sztandar rozwijamy,
 Na którym jest jabłuszko ze złota,
 Na którym jest alem (2), kamień drogi,
 Który błyszczy jako jare słońce!
 Wedle niego widać gdzie się idzie,

(1) Żeraw i Zdral konie barwy szaręj, lotne jak żoraw: ztąd ich nazwa. (2) Turcy nazywają najdroższy kamień *alem*.

O północy jako téż i we dnie.
 Więc idziemy do Wyrowów białych,
 By zażądać od Kawgi dziewczyny:
 Czy zażądać, czyli téż wyprosić,
 Czyli unieść, czyli téż ją zgubić,
 Albo bracie kupić ją za złoto.”

Gdy to słyzy Jakszyc Dymitr młody,
 Więc te słowa miłe się mu zdają;
 Tu się znowu nieco zastanowił,
 (Boć jest smutno z Kawgą się targować,
 A on próby wcale nie przyjmuje,
 A najciężej unieść jest dziewczynę):
 Błade lica ku ziemi obraca,
 Poczém mówi do brata Szczepana:

„Oj Szczepanie, mój bracie od matki!
 Prosi o nią trzydziestu i czterech,
 Wszystko wielcy panowie i bany,
 I synowie przewielmożnych kniaziów,
 Było téż tam wielu jedynaków,
 Już ich wszystkich zgubił srogi Kawga!
 Wyrowy swe przyozdobił białe,
 Nie bazyłką, ani rumianą różą,
 Lecz głowami proszących się o nią.
 Może bracie i nas obu zgubi,
 Postawi nas w grodzie na wieżycy,
 By mu czuwać, bez odmiany straży,
 Bez odmiany pokąd siły stanie,
 I Wyrowów grodu bielutkiego!
 Zostanie nam sierociną matka,
 Któż ją biedną chlebem choć pożywi?
 Posmutniałeś Jakszycu Szczepanie!”

Na Dymitra posepnie pogłąda,
 I rozgniewan tak się doń odezwie:
 „Bojaźliwy Jakszycu Dymitrze!
 Cóż tak nagle odmieniasz swój zamiar,
 A więc nie śmiesz do Wyrowów białych?
 Czy cię Kawga tak bardzo zastrasza?
 Jam go jeszcze nigdy był nie widział,
 Przez wzgląd na się nie czyn sobie hańby,
 Odegnajże stracha przekłętogo:
 A więc chodźmy do Wyrowów białych.”

Kiedy Dymitr rozważył te słowa,
 To nic jemu nie pozostawało,
 Jak usłuchać braciszka starszego:
 A więc idzie na błonie, tam na dół,
 I prowadzi dwa koniki dobre,
 Bratu Zdrala a sobie Żerawa;
 Podkówą je i srebrem i złotem,

Pokrywa je czultanem (1) od złota,
 Zauzda je uzdą pozłacaną,
 Wszystko czyni jako Szczepan mówi;
 Poczém idą do swojej świetlicy,
 Gdzie ze siebie zrzucają odzienie,
 Ono zrzucą a piękniejsze wdzieją,
 A na nogi ciżmy i spodeńki.
 Ciżmy ich są srebrem podkowane,
 Obwinięte sznureczkiem od złota,
 I ozdobne frędzlami pięknymi;
 Spodnie mają zielone jedwabne,
 A czeczermę (2) ze samego złota;
 A na plecach sześciokrzydły dołman.

Przepasali szable samokówki,
 Które im się po posadzce wloką,
 Każda warta po tysiąc dukatów.
 Wszak są one wykowane dawno,
 Dla dwóch braci, dwóch Jakszyców młodych:
 Kowali je trzy niedziele całe,
 Trzej kowale i trzech pomocnicy,
 Choćby dziewczki wyszywały sławne,
 Nie byłyby pozłacane krasniej:
 W rękojści jak Lali, Wezyra (3),
 A na pochwach perły i kamienie.
 I kołpaki drugie odmienili,
 Nasypali do kieszeń dukatów,
 Rozwinęli jedwabny proporzec,
 Na którym jest jabłko całe złote.
 A w tém jabłku alem kamień drogi,
 Który błyszczy jako jare słońce!
 Wedle niego widać gdzie iść trzeba
 O północy jako i w południe.

Gdy się bracia tako postroili,
 Postroili jak najpiękniej można,
 Obadwa się za ręce ujęli,
 I tak schodzą na dół z swych czardaków,
 Po przed dwory Jakszycowe białe;
 A pod ścianą sztandar postawiwszy,
 Obadwa się za ręce ujęli,
 I do białych puszczają się dworów,
 Do staruszki Jakszycowej Róży.

Obadwa się matce pokłonili,
 Całują ją w kraj sukni i ręce,

(1) To jest derka, czaprak.

(2) Wyszywania rozmaite ku ozdobie spodni madjarskich służące.

(3) Nazwy tureckich godności.

Czarną ziemię po której stapała.

Poczém rzeczesz Jakszycu Szczepanie:

„Wybacze nam nasza droga matko!
 O wybacz nam i pobłogosław nam:
 Dzięki matko za staranie, miłość!
 Daj nam matko swe błogosławieństwo
 Bo idziemy do Wyrowów białych,
 Dla Dymitra prosić o dziewczynę:
 Bądź wyprosić, nasza droga matko,
 Bądź wyprosić, albo téż zażądać,
 Bądź ją unieść, albo oną zgubić,
 Bądź ją, matko, okupić bogactwem!”

Gdy posłyszysz Jakszycowa Róza,
 Chyżo wstała na nogi lekuchne,
 Ona dzieci pogładziła ręką,
 Całowała Dymitra, Szczepana,
 Wybacza im i błogosławi im;

Poczém mówi Jakszycowa Róza:

„Idźcie dzieci w godzinę szczęśliwą!
 Byście zdrowo zaszli do Wyrowów,
 I nie długo matce powrócili,
 Do swój matki przyšli na wieczerzę,”

Odpowiada Jakszyc Dymitr młody:

„Z Bogiem ostaj nasza droga matko!
 Wybacze nam i pobłogosław nam,
 Za twe matko i trudy i miłość!
 Jakież dzisiaj sen miałaś téj nocy,
 Coć się sniło i coś w śnie widziała.
 Z Bogiem ostaj nasza droga matko!

Dwa sokoły odchodzą cię z dwora,
 Do dalekiéj ziemi odlatują,
 By do obcych szlaków zaleciały,
 Między cudze gołębie bieluchne;
 Niech Bóg zdarzy, by się który wrócił,
 By gołębie ich nie zadziobały.”

Obadwa się koników chwycili,
 Matka wstała na nogi lekuchne,
 Poczém dzieci swoje prowadziła,
 A od progu dworu gospodzkiego,
 Białogrodu ku żelaznej bramie.

Wystąpili na pole Wracara (1),
 I podskoczy Jakszyc Dymitryja,
 On podskoczy cienko wyśpiewując,
 Głośno śpiewa jako sokół siwy,
 A w swój pieśni tak mówić poczyną:
 „Z Bogiem miasto, Białogrodzie sławny,

(1) Pole przed Białogrodem, na którym się już dziś domy stawiają.

Z Bogiem ziemio, z Bogiem k' tobie wołam,
 Gdy nas ujrzysz wtedy się ciesz nami!
 Bośmy dzisiaj z ciebie wyjechali,
 Z przekrasnego miasta Białogrodu,
 A ze swego dworu gospodzkiego
 Do dalekiej ziemi odlatujem,
 I wśród obce szlaki zalatujem,
 Między obce gołębie bieluchne;
 Bogu wiedzieć, czy się wróci który,
 Gołębie nas może gdzie zadziobią."

Tu się dźwigną podróżować dalej,
 Niech Bóg raczy poszczęścić junakom;
 We dni siedem dosięgli Wyrowów,
 O niedzieli przed wschodem słońeczka.

Rano wstała Kapetan-dziewica,
 Przed jutrzenką i przed białym dzionkiem,
 Przed jutrzenką i przed służbą bożą,
 Wkoło grodu zmienia wszystkie straże.
 Za nią wlecze się jedwab' i szkarłat;
 Na niej lśni się i srebro i złoto,
 Nad nią leci ptaszę sokół siwy,
 Szerzy skrzydła; nad nią czyni chłodek,
 By jęj białe nie zczerniały liczka;
 A wszak jeszcze nie dogrzewa słońce.
 Okiem rzuci za wieżycę pierwszą,
 Z pierwszej bramy od górnego grodu,
 Potem spojrzy po drodze carowej;
 I dojrzała dwóch dobrych junaków.

Skoro tylko dojrzało ich dziewczę,
 Zaraz sobie tak o nich pomyśli:
 „Miły Boże! ot piękne junaki!
 Błogo matce, która ich rodziła,
 I siostrzycy, która ich chowała,
 Błogo družce, co ich będzie lubić!
 Owóż oni idą prosić o mnie:
 We zły czas ich wyprawiła matka,
 O niedzieli przed wschodem słońca,
 Zechce obu pozabijać Kawga,
 Postawi ich owdzie na strażnicy,
 By czuwali bez zmienienia straży,
 Bez odmiany pokąd starczy siły,
 I Wyrowów grodu bielutkiego."

Gdy dziewczyna tak sobie rozmyśla,
 Pod tę dobę dwa Jakszyce młodzi
 Bogu onę polecili w słowach:
 „Boża pomoc Kapetan-dziewico!"

Ręką skinie, onym się pokłoni,
 I zaraz im pięknie odpowiada:

„Szczęść wam Boże dwa dobre junaki.”

Pytała ich Kapetan-dziewczyna:

„Droga bracio, dwa dobre junaki,
Odkądęście i z którego grodu,
Jakiegoście rodu i plemienia,
Gdzieście wyszli i co zamýślacie?”

Tu się ozwiesz Jakszycu Szczepanie:

„Droga siostró Kapetan-dziewico!
Gdy się pytasz to ci prawdę wyznam,
Mego miana ukrywać ci nie chcę:
Myśmy z miasta Białogrodu cnego,
A z plemienia dwa Jakszyce młodzi;
Myśmy przyszli do grodu waszego,
Do twojego brata Radosawa,
(Jestli Kawga Radosaw we dworze)?
By o ciebie u niego się prosić,
Dla braciszka Jakszyca Dymitra.”

Odpowiada Kapetan-dziewica:

„Bracio moja, dwa Jakszyce młodzi,
Jest we dworze Kawga Radosawa,
Jest we dworze, gdzieżby go nie było!
Na niego się niebo zagniewało,
Nad nim jasne zmroczyło się słońce,
Pod nim się już ziemia rozstała,
Matka po nim czarno się nosiła,
A ja siostra bratam żalowała;
Żona jego wdową się już zwała,
Przyszła do mnie z jękiem i strapieniem,
A odeszła z gniewem, nawet złością!
Nie chodźcie tu moi bracia mili,
Obudwu was zachce zgubić Kawga.
Komużeście zostawili matkę!?
Bracio moja, dwa Jakszyce młodzi,
Prosi o mnie trzydziestu i czterech,
Wszystko wielkie pany i banowie,
I wielmożni książęcy synowie,
Wszystkich srogi pozabijał Kawga.
Między niemi mnogo jedynaczków,
Co w sieroctwie matki porzucili,
Biedujące i smutno płaczące,
Bez swych synów, siwych swych sokółców!
Przeklinają Kapetan-dziewczynę,
Przeklętego Kawgę Radosawa.
Lepiejby dla naszej było matki,
Gdyby zimny kamień porzuciła,
Niżli że mnie dziewczę porodziła!
A któryby bracio podrzucali,
Nie jedenby wyrzekł bracia drodzy:

„Boży spokój owéj staréj duszy!
 Która owy kamień wymiecila,
 Ze się bawim nim młodzi junacy,
 Niżeli mnie porodziła dziewczkę,
 A przezemnie zginie tyle młodził
 Ci i matkę i mnie przeklinają,
 Przeklętego Kawgę Radosawa.
 Posłuchajcie moja bracio droga
 I nie chodźcie k' Kawdze Radosawu,
 Wasby obu zgubił srogi Kawga,
 I na owéj bramieby umieścić.”

Na to rzecze młody Jakszyc Szczepan:

„Droga siostró Kapetan-dziewico,
 My idziemy do dworu waszego,
 I o ciebie Kawgi prosić będziem.
 Albo prosić, albo i zażądać,
 Albo unieść, albo li téż zginać,
 Alboć siostró okupić pieniędzmi.”

Gdy to słyszy Kapetan-dziewczyna,
 Do nich rzecze tak, piękniemi słowy:
 „Mili bracia, dwa Jakszyce młodzi,
 O nie chodźcie przez Boga żywego!
 Obudwu was pozabija Kawga.
 Jest tu u mnie dziewięć miłych braci,
 Wszyscy dziewięć są wielkiemi bany,
 A najstarszy Kawga Radosawa,
 Najstarszy jest carskim seraskierem:
 A u Kawgi konie jako smoki,
 A na koniach niby smoki słudzy;
 U Kawgi są charty chyżolotne,
 Sześć tysięcy zbrojnego żołnierza,
 Niewybranych dwanaście tysięcy,
 Coby Kawdze do pomocy byli!
 Jabym poszła z wami bracio droga,
 Gdybym była wolną gniewu Kawgi:
 Za nami się w pogoń zaraz puszcza.”

Na to znowu mówi Jakszyc Szczepan:

„Droga siostró Kapetan-dziewico,
 Suknię podwiń, jedwabne rękawy,
 A obejmij konika mego,
 Bądźto mego, bądź też brata mego,
 Czy to Zdrala, czyli téż Żerawa,
 I pobieźmy wprost do Białogrodu:
 O nas Kawga i wiedzieć nie będzie,
 Cóż dopiero by nas zechciał ścigać.”

Myśli ona, a myśli wszelako,
 Wszystkie myśli na jedno pomyśli,
 Zwija suknię, jedwabne rękawy,

A podwija suknię po kolana,
I obima konika Szczepana.

Pochwycił ją bracio Jakszyc Szczepan;
Więc ją mieści za sobą na koniu,
Po dwakroć ją swym pasem opasał,
Po trzeci raz od szabli rzemieniem.
Więc się puszcza przez pola przez równe,
Jako gwiazda po niebiosach jasnych.
Lito (1) piszczy, ptaszę sokół siwy.
I uderza po twarzyczce skrzydłem,
Potém nazad ku Wyrowom wraca;
Prawie leci ku dworowi Kawgi,
A przed dworem czterech jest wojaków
Z gołą szablą przede dworem stoją,
A czuwają przed Turkiem na straży.

Jeszcze Kawga w poduszkach zasypia,
Gdy spostrzeże czterech tych żołnierzy,
Ze chce sokół siwy we dwór wlecieć,
Ode dworu otwierają wrota,
Siwy sokół wlatuje do dworu,
Lito piszczy jako żmija luta,
Bije Kawgę po twarzy swém skrzydłem,
Prawém skrzydłem po obliczu lewém,
A Kawga się zerwie wraz ze spania,
Skoczy Kawga jakoby w obłędzie;
Lecz spamiętał się we swoim gniewie,
Rychło puszcza charty szybkołowcze,
A za niemi konie swoje smocze,
A na koniach smocze swoje sługi.
Potém zbiera dziewięć miłych braci
I rozpocznie wielkie swe ściganie.
Gdy już byli w środku góry czarnej,
Słysząc głuchy po gościńcu tętent,
I odgłosy po wysokich górach.
Gęste mgły się i prochy dźwigają,
A ze strachu jedynie przed Kawgą.
Wtedy mówić pocznie Jakszyc Szczepan
„Miły Boże, we wszem Tobie chwala!
Ażaliż grzmi, czy się ziemia trzęsie?
Czyliż bije morze tak o skały?
Czy się biją gdzie na górach Wile?
Czy to inne boskie jakie gromy?”
Odpowiada Kapetan-dziewczynna

(1) Lito, zamiast litośnie, żałośnie przeraźliwie, wyraz dodziśdnia w ustach ludu używany, dawniej i w pospolitej mowie; od niego pochodzi luty t. j. srogi, przejmujący.

„Droga bracio, dwa Jakszyce młodzi,
 To nie gromy, ani ziemi trzęsy,
 Toć nie bije morze tak o skały,
 Ni się biją po górach gdzieś Wile;
 Lecz to Kawga za nami w pogoni,
 Toć jest wielkim przede Kawgą strachem!
 Toć już iście doścignie nas Kawga.
 Wszystko troje chce nas zgubić młode,
 Odniesie nas nazad do Wyrowów,
 Postawi nas w grodzie na wieżycy,
 Aby czuwać bez odmiany straży.”

Na to znowu rzecze Jakszyc Dymitr:

„O mój bracie Jakszycu Szczepanie!
 Oj Szczepanie mój sokole siwy!
 Oj Szczepanie moje oczy czarne!
 Oj Szczepanie, moja trwogo żywa!
 Wzdądzemy cię usłuchali zawsze,
 Jeszcze i dziś usłuchajmyż siebie.
 Dodać koniom cizmy i ostrogi,
 Ty Zdrałowi, a ja Żerawowi,
 Byśmy rychlój przed się pogonili.
 Przy gościńcu dopadniemy karczmy,
 A przed karczmą karczmareczkę Mareę;
 Na oknie ma koralowe krosno,
 A na krośnie sarajewskie płótno,
 A w jój ręce igła jest ze złota,
 A w téj igle carogrodzkie złoto,
 Którą młoda wyszywa rękawy:
 Jam ją kiedyś wybawił z niewoli,
 Ona ze mną w Bogu pobratyma,
 W wielkim Bogu i świętym Iwanie!
 Ja ją chcę dziś w Bogu posiostrzeń (1),
 Niech nas schowa braci i dziewczynę,
 Przed okrutnym gniewem Kawgi złęgo.”

Gdy się bracia posłuchali pięknie,
 Bódlszy konie cizmą i ostrogą,
 Szczepan Zdrałę, a Dymitr Żerawa;
 I pobiegli naprzód jak najchyzój,
 I znaleźli gościniec już carski,
 A przy drodze kamienną gospodę.
 A tuż przed nią karczmareczkę Mareę;
 Ona szyje Turczynom rękawy,
 Rękawyto z Trawnika Wezyra.
 Dymitr ją wnet bożém słowém wita,
 Ona jego pozdrowienie przyjmie:
 „Pozdrowion bądź Jakszycu Dymitrze!”
 Na co znowu rzecze Jakszyc Dymitr:

(1) Zobacz przypisek 1 do królewicza Marka.

„Droga siostró karczmareczko młoda,
Z Bogiem siostró i świętym Iwanem!
Tyś się w Bogu pobraciła ze mną.
Dziś mi nieco dla braterstwa uczyn,
Bądź nam dzisiaj pomocną w niedoli,
Schroń u siebie braci i dziewczynę,
Przed Kawgi gniewem strasznie srogim.”

Kiedy Mara rozważyła słowa,
Chyżo skoczy na nogi lekuchne,
Na ziem puści koralowe krosno,
Potém bierze dziewięcioro kluczy,
I otwiera dziewięciorgie wrota,
I zamyka braci i dziewicę.
Za niemi drzwi wnet pozawierała,
Zawierała dziewięciorgie wrota,
I dziesiątą bramę dubrownicką,
W której zaś jest zamek od pola,
A jój słupy z kamienia, marmuru;
Potém wchodzi na górę w gospodzie,
Tam nałała do dwóch czaszy wina,
I znosi je do gospody białej
I po stołach porozlewa wina;
Poczém niesie przed gospodę białą,
Niemi bije o kamień studzienny,
I rozbiła dwie aż czary złote.
Swoją jasną kosę rozplątywa,
Swoje białe poszpeciła lice,
Ze swój woli jakoby z przygody,
Głos dobywa jako kukuleczka,
Uwija się jako jaskółeczka,
Ze swawoli jak z przykrości wielkiej!
Góra cała jój głosem rozlega.

Pod tę dobę jest Kawga Radosaw,
„Boża pomoc karczmareczko młoda!”
Ręką skinie, poczém mu się skłoni,
„Bądź pozdrowion rycerzu nieznany!”
Na co rzecze Kawga Radosawa:
„Droga siostró karczmareczko młoda,
Nie byli tu jacy junakowie,
Coby z sobą prowadzili dziewczkę?
Wiészli siostró, z którego są grodu?
Jakiego są rodu lub plemienia?
I jako się zowią po imieniu?”

Ręką skinie, poczém się pokłoni:
„Hospodarze, Delijo (1) nieznany,
Znam ich bracie, a któzby ich nie znał?

(1) Dzielny, rycerz, bohater.

Widziałam ich, nie ujrzy ich słońce!
 Nad niemi się niebo niech roztworzy!
 Bodaj dla nich zmroczyło się słońce!
 Z Białogrodu miasta sąć sławnego,
 A są z rodu dwa Jakszyce młodzi.
 Oni tędy przewiedli dziewicę,
 U mnie siedli, aby spożyć obiad.
 Najedli się i napili wina,
 I wielką mi szkodę uczynili;
 Rozbili mi dwa puhały złote,
 Rozleli mi ot! po stołach wino,
 Rozbili mi koralowe krosno,
 Podarli mi na krosienkach płótno,
 Poplątali carodgrodzkie złoto,
 Którém biedna, wyszywałam rękaw,
 I to rękaw wezyra z Trawnika.
 Cóż ja biedna teraz zrobię z sobą,
 U Turczyzna zostać niewolnicą,
 Niewolnicą aż do końca życia!"

Usty kleci, a w sercu pomyśli,
 „Nie daj Boże, ni Boga-rodzico!
 Niechaj braciom powiedzie się snadno,
 Zdrów bądź bracie Jakszycu Dymitrze,
 I miluj swą Kapetan-dziewicę.”

Ale mówi Kawga Radosawa,
 „Droga siostró karczmareczko luba,
 Nie przeklinaj przyjaciela mego,
 Przyjaciela Jakszyca Szczepana,
 Zięcia mego Jakszyca Dymitra.
 Żywiłem lat ośmnaście siostrę,
 Żywił siostrę i pieściłem lubą,
 Z miłości jój dałem kapetaństwo,
 Ztąd się zowie Kapetan-dziewica;
 Prosi o nią trzydziestu i czterech,
 (Wszystko wielcy panowie i bany),
 Ja nikomu nie chciałem jój oddać,
 Ozdobiłem Wyrowy dłań białe,
 Nie bazyliką ni rumianą różą,
 Lecz głowami proszących się o nią,
 Dla chłopięcia Jakszyca Dymitra,
 A i tego nie wie biedny chłopiec,
 Że w południe wykradziono dziewczę,
 Jako ów wilk, co jagnię pochwyci,
 O północy unosi owieczkę.
 Powiedz siostró, coć szkoda kosztuje,
 Ja ci wszystką szkodę twą oplacę.”

Ręce spuści, jemu się pokłoni;
 „Panie możny nieznany rycerzu!

Dwa puhary, trzy setki dukatów,
 A oprócz tego koralowe krosno,
 A na krośnie sarajewskie płótno,
 To wyniesie trzy setki dukatów;
 A i w ręce igła cała złota,
 A w téj igle carogrodzkie złoto,
 I to warté trzy setki dukatów;
 Za gościnę sto dukatów znaczę,
 Jedno z drugim tysiąc jest dukatów."

Kiedy Kawga rozważył te słowa,
 To się ręką maca po kieszeni,
 I dobywa trzy setki dukatów.

„Na-ci siostró te trzysta dukatów,
 Tem ci płacę dwa puhary złote."

I maca się po kieszeni lewój,
 Poczém dobył trzy setki dukatów:

„Na-ci siostró te trzysta dukatów,
 Tem ci płacę koralowe krosno,

I na krośnie sarajewskie płótno."

I maca ową po raz drugi kieszeń,
 Poczém dobył trzy setki dukatów:

„Na ci siostró karczmareczko młoda,
 Tem ci płacę twoją igłę złotą,

I w téj igle carogrodzkie złoto,

Byś niebogo nie służyła Turkom,

Za żywota mego i tych braci."

Sięgnie znowu do swojej kieszeni,

Z niéj dobywa secinę dukatów,

I tém płaci za ową gościnę.

Poczém do niéj tak ozwie się Kawga:

„Droga siostró karczmareczko młoda!

Nie klnijże mi przyjaciela mego,

Przyjaciela Jakszyca Szczepana,

Zięcia mego Jakszyca Dymitra;

Niechaj oba zdrowi dla mnie będą,

Niech kochają Kapetan-dziewczynę."

To wyrzekłszy do dworu się wraca.

Kiedy Kawga trochę się oddalił,

Mara skoczy na nogi leciuchno,

Poczém bierze dziewięcioro kluczy,

I otworzy dziewięciorgie wrota;

I dziesiątą bramę dubrownicką,

Która cała jest ze stali twardój,

A jéj słupy z marmuru, kamienia.

Wyprowadza braci i dziewczynę,

Posadzi ich wśród gospody białej,

Wynosi im wina i rakii (1),

(1) Wódka.

I łakotki jako panów godne.
 Więc siadają bracia do biesiady,
 Godowali, napili się dobrze.
 Na odchodném siostrze darowali:
 Bracio Szczepan trzy setki dukatów,
 Bracio Dymitr trzy setki dukatów,
 Zapłacili dwa puhary złote,
 Zapłacili koralowe krosno,
 A na krośnie sarajewskie płótno.
 I pomaca kieszeń Jakszyc Szczepan,
 Z niej dobywa trzy setki dukatów:
 Oplaca jój igłę całą złotą,
 A w téj igle carogrodzkie złoto.
 I sięgnie znów Jakszyc Dymitr w kieszeń,
 Więc dobywa trzy setki dukatów;
 Tém oplaca w gospodzie przyjęcie.
 Poczém rzecze Jakszyc Dymitr młody:
 „Droga siostro karczmarczko miła!
 Z Bogiem ostaj niech Bóg będzie z Tobą,
 Nie miéj siostro wcale żalu do mnie;
 Jam ci siostro dopomógł w złéj doli,
 Gdyś się ze mną w Bogu pobraciła;
 Ja znów ciebie dzisiaj posiostrzyłem,
 W wielkim Bogu i świętym Iwanie,
 Gdym się właśnie w niedoli znajdował,
 Teraz idziem do dworu białego,
 Ty mi zostań zdrową i wesołą.”

Gdy się pięknie rozłączyli z sobą,
 Puszcza ją się z Bogiem w podróż dalszą.
 Kiedy doszli k' miastu Białogrodu,
 Wszedłszy we dwór, zaraz sobie siędą:
 Oto siada Jakszyc Dymitr młody,
 Oto siada, drobny liścik pisze,
 Po wszech panach po wszech grodach rzędem,
 I wzywa ich na swoje wesele:
 W kumy wzywa króla aż z Budyna,
 Na starostę Jania bogatego,
 Aże z miasta Mitrowic pięknego.
 A Wojwodę ze Sibiria Janka,
 A Dziewierza królewicza Marka,
 Od Prylipu, od białego dwora.
 Barjaktara-Zmaj-Ogniiena-Wuka,
 Aż z małego miasta Kupinowa (1).

(1) Kupinowo, po madyarsku „Kewlpen” wieś i zamek w Srem-
 akiem (Syrnia).

A w ogóle do tysiąca swatów (1),
 Gdy się swaty kolejno zjechali,
 Wtedy wieńczy brata i Snaszycę (2),
 Podejmuje gości dni piętnaście;
 Poczém swata każdego obdarzył:
 Tego suknią, tamtego koszulą,
 Daje stólek kumowi ze złota (3),
 Na którym jest zmija przeplatana,
 Dźwigająca swą głowę wysoko,
 W jój zaś zębach bercen (4) kamień drogi,
 A przy którym wieczerzać jest widno,

(1) Cały ten ustęp wyjaśniamy przypisami z dzieła „Narodowe pieśni serbskie” przekładu Romana Zamarskiego, Warszawa 1853 r. Małżeństwo u Serbów jakkolwiek często w skutek osobistego wyboru zawierane, w powszechności uważa się więcej za akt rodzinny, niżeli osobisty, Nieraz bez widzenia się młodych zobopólni rodzice umawiają je samowolnie. Zmówienie dziewczyny nie obejdzie się nigdy bez podarunku ze strony proszącej: jestto niby kupno, przez które, tak użyteczna dla domu uroda gospodyni się nabywa. W czas wyznaczony pan-młody strojno i zbrojno przybywa z licznymi towarzyszami, którzy noszą nazwę *swatów*, do domu narzeczonej, gdzie ją bracia jój w ręce *dziewierza* oddają. Wesele odprawia się dopięro za przybyciem do domu nowożeńca, gdzie pannę-młodą przyjmują siostry jego, lub żony braci. Oprócz *dziewierza*, *kuma-weselnego* i *czausza* (woźnego a w późniejszych czasach zwykle razem i śmieszka), nieodzownymi przy weselu osobami są jeszcze: *starosta* (starojko), ładu w drużynie doglądający, *przykumek* czyli *chorąży* (barjaktar) proporzec przed orszakiem niosący i *dudarz*; *swatki* zwane „jendzibule”, towarzyszą pannie-młodój w niektórych tylko okolicach, a w Serbii i Bośni tylko w miastach.

Kum weselny czyli świadek (kum wienczany) jest jedną z głównych godności przy serbskich zaślubinach. Zwykle piastuje ją ojciec chrzestny pana-młodego; w braku zaś jego nikt, komukolwiek w imię Boga i św. Jana ofiarowaną będzie, odrzucić jój bez grzechu nie może. Kumostwo takie uważa się za tak ważne i święte pokrewieństwo duchowne, jak samo chrzestne ojcostwo.

Dziewierz, tak po staropolsku jako i po serbsku (Dziewier) znaczy właściwie: brat męża, u Serbów oznacza się także nazwą tą urząd weselny zwyczajnie przez brata nowożeńca, a w niedostatku tegoż przez najbliższego krewnego, lub przyjaciela sprawiany. Odbiera on narzeczoną w jój domu, przeprowadza i opiekuje się nią w drodze aż do chwili oddania jój w ręce męża. Narzeczona w stosunku do *dziewierza* nazywa się po serbsku: *snacha*, *snaszyca* (właściwie synowa); którąto nazwę, w braku odpowiedniej polskiej, zatrzymujemy.

(2) Powiedzieliśmy już, że u Serbów zamiast pierścieni wymieniają wieńce przy ślubie.

(3) Podług zwyczaju wschodniego gościom weselnym rozdają dary.

(4) Wyraz turecki.

Ej on się blyszczy, jako jasne słońce.
 Staroście dał koszulę ze złota,
 I daje mu całą srebrną szatę.
 A Wojwodzie kopią kostajnicką,
 Na której jest jabłko całe złote,
 A w tém jabłku, alem, kamień drogi,
 Przy którym jest widno podróżować,
 O północy jako i w południe.
 A družbowi królewiczu Marku
 Podarował szablę Icagryją,
 Aby się miał czém pochwalić Marko,
 Pośród druhów, tam gdzie pije wino.
 Tak więc swaci obdarzeni byli,
 Poczém onych odprowadzą pięknie.
 Mało potém czasu upłynęło,
 Rano wstali dwa Jakszyce młodzi,
 Z piérwszym brzaskiem, a w niedzielę świętą,
 Aby nowéj pani szczęścia życzyć.
 Zaraz widzisz dziwy nadzwyczajne!
 Okiem rzuci Jakszyc Dymitryja,
 A z czardaka (1) wysokiego dworu,
 Okiem rzuci na pole Wraczara.
 Cały Wraczar we mgłę się przyodział;
 A we mgle téj Kawga Radosawa,
 A za nim jest dziewięć miłych braci,
 Za nim stara na wózczech matka,
 Za niemi są charty chyzolotne,
 A za niemi konie jako smoki,
 Na tych koniach jako smoki sładzy,
 Sześć tysięcy wybornego wojska!
 Skoro tylko onych Dymitr dojrzał,
 Zaraz do nich Dymitr radował się,
 Potém schodzi na dół ze czardaka,
 Potém z bratem za ręce się wziąwszy,
 Oba schodzą ku bramie żelaznej;
 A za niemi dwie kobiety młode,
 Obiedwie się po pod ręce wzięły,
 A za niemi Jakszycowa Róza.
 Białe nakrzyż założyła ręce,
 I pod bramą na gości czekali.
 Występuje naprzód Jakszyc Dymitr,
 Na spotkanie Kawgi Radosawa.
 Powitawszy, wnet konia pochwytą,
 Nie da mu się Kawga nawet spojrzeć,
 Cóż dopiéro konia przytrzymywać,
 Z wzrokiem groźnym, gniewnie tak zagada:
 „Idź precz z oczu niecny pijanico,

(1). Komnata.

Pijanico i koński złodzieju;
 Tyś mi ukradł o południu dziewczkę,
 Cóż dopiero konia mego z paszy,
 O północy, gdy nie widzą ludzie?"

Lecz panowie mądrze pogadali,
 Ten rzucił owo, tamten co innego,
 Ten to widzi, a tamten nie dojrzy.
 Więc z koników dobrych zeskoczyli,
 W miodne usta się pocałowali,
 Po bratersku pięknie pozdrowili,
 Poczém w białe pochwycili ręce,
 Do pańskich się dworów odprowadzą,
 Słudzy konie, prowadzą do stajni,
 Dymitr wiezie gości do czardaku.
 Częstoje ich przez całutki miesiąc,
 Na odchodnem siostrę obdarzono.
 Kawga siostrze burmę podarował,
 Ze szczerego wyrobioną złota,
 Bracia dają burmy pozłacane.
 Znow brat Kawga sukienkę z jedwabiu,
 Wyszywaną caluteńką złotem;
 Bracia dają jedwabne sukienki,
 Zaś brat Kawga sukienkę od złota,
 Ani tkaną, ani téż przedzioną,
 Lecz na piersiach dziwnie wyplataną.
 Bracia dają koszulę z jedwabiu,
 Bracio Kawga jabłuszko ze złota,
 Które było w Wenecyi kowane,
 Które warte secinę dukatów.
 Bracia dają ze srebra jabłuszko,
 Bracio Kawga siostrze podarował,
 Namiot biały robiony z jedwabiu,
 Na którym są krzyżyki ze złota;
 I daje jój płaszczyk pstro wyszyty;
 Z miłości jój daje Kapetaństwo,
 By się zwała Kapetanem-panią,
 U Dymitra swego gospodarza;
 Jako wprzódy i u brata była.
 Na odchodnem pięknie się zegnali:
 „Z Bogiem zostań, Jakszycu Dymitrze!
 Zdrów w pokoju kochaj moją siostrę,
 Gdy u ciebie zabraknie pieniędzy,
 Przyjdź do brata, a dostaniesz bogactw.”
 Poczém w drogę z Bogiem się puścili,
 I on idzie ku Wyrowom białym,
 I brat siostrę odwiedzał dość często,
 I listami pozdrawiał serdecznie.

RYSZLIJANIN WUK I DOŻA WENECKI.

A co tam lśni się w jutrzeńki ranku?
 Zdali-to lśnić się miesiączek jasny?
 Zdali-to lśnić się słońce na wschodzie?
 Zdająż się bielić na Prołomie śniegi?
 Zdająż się bielić pogorskie Wile? (1)
 To nie miesiąc moja bracio droga,
 Jeżeli miesiąc byłby on na niebie;
 Jeżeli słońko na wschodzieby było;
 Jeżeli śniegi dawnoby stopniały,
 Jeżeli Wile po górachby były.
 Wino piją ot! dwaj arambasze (2):
 Jeden z nich jest Bogaticzów Sima,
 Tym drugim zaś jest Wuk Ryszlijanin,
 Na kraju morza, ostrowie morskim
 Pije druhów ośmdziesiąt osobno.
 A znowu dwaj pobratymce razem,
 Nie piją go czém się pije wino,
 Lecz ledzieniem (3) aż dwunasto-okim.
 Wino pili całe dwa dni białe,
 Dwa dni białe i dwie nocy ciemne;
 Na nich błyszczą jedwab' i szkarłaty,
 Czyste srebro, jak i szczere złoto,
 Drobne perły i kamienie drogie,
 A to łyska jako jare słońko,
 Kiedy trzeci już zaświtał dzionek,
 Trochę zdrzymnął się Bogaticz Sima.
 Krótko drzymiąc, dziwny sen uwidział,
 I prawicą za rękojeść chwycił;
 Tego się Wuk Ryszlijanin uląkł,
 I za rękę chwyta brata Sime:
 „Bóg mi z tobą pobratymi Simo,
 Odkąd dzielne zapijamy wino,
 Nigdyśmy się z wina nie pośpili,
 A temu już lat dwanaście pewno,
 Kiedyż krzywdę sobiem uczynili;
 Nie deptały nogi chleba, soli.
 Święty krzyżu, którym się zegnamy,
 Kiedyż nami poswarka miotała,
 A dzisiaj chcesz i zamącisz klóunię?”
 Tutaj Sima ocknie się z podrzymki,

- (1) Wila odpowiada pojęciu o naszych rusalkach i świteziankach.
 (2) Dowódczy hajduków mołojców.
 (3) Ledzień, rodzaj wielkiej wazy.

Kiedy Sima ocknął się ze spania,
 Wtedy Sima Bogaticz przemówił;
 „Pobratanie Ryszlijanie Wuku,
 Mój sokole, w Bogu pobratymco!
 Dwanaście lat już od tego czasu,
 Jak mój drogi bracie, zgodnie chodzimy,
 Krzywd jeden drugiemu nie czyni,
 Ni-to w srebrze, ani w szczerém złocie,
 Tém mniej jeszcze w szkarłatach jedwabiu,
 A kiedyż nas sprzeczka poróżniła;
 Soli, chleba nogi nie kaziły,
 Święty krzyżu, którym się znaczymy,
 Odkąd dzielne zapijamy wino,
 Jeszczem nigdy nie drzymał przy winie,
 Do dzisiaj dnia do onój soboty.
 Krótko drzymiąc dziwaczny sen miałem,
 A śpiąc takie widzenie w śnie miałem:
 Jako łódź się k'nam od morza zbliża,
 Którój maszt był ze samego złota;
 A jój żagle od srebra litego,
 A z jedwabiu zielonego liny;
 Pięćset było na łodzi żołnierza.
 A stół złoty stał pomiędzy niemi,
 Na stole zaś trzy kamienie drogie,
 Które lśnią się jako słońko jasne,
 Wkoło niego drużyna wieczerza.
 Nas opadli, bracie tu siedzących,
 Naszych bracie druhów mordowali,
 Nas obydwóch żywcem pochwycili,
 Zabrali nam jedwab' i szkarłaty,
 Czyste srebro jak i szczerę złoto,
 Drobne perły i kamienie drogie;
 Zostawili nas w cieńkiej koszuli,
 W tył nam wolne powiązali ręce,
 Okręcili stalowemi struny,
 Od łokci aż do paznokci białych,
 Aż czarna krew z za paznokci trysła.
 Przywiedli nas ku morzu do łodzi,
 Uwięzili nas w Wenecką krainę;
 A z jak daleka nas król zobaczył,
 Ztamtąd się zaraz nami radował.”
 Na to zagadał Ryszlijanin Wuk:
 „ Sen mara, Pan Bóg wiara! bracie mój!
 Możesz jako źle się był położył,
 Pewnieś także coś smutnego myślał.
 We śnie przyszło, snem tobie uciecze,
 Wszakże Włochy jako my hajducy:
 Wypij winka, a nie bój się Włochów.”

Bają sobie tak dzielni mołojce,
 Aż galera przybija od morza;
 Którój maszt był ze samego złota,
 A jój żagle od srebra litego,
 A z jedwabiu zielonego liny;
 Na galerze pięć sotni żołnierza.
 Między niemi jest stół cały złoty,
 Na stole zaś trzy kamienie drogie,
 Które lśnią się jako jare słońce,
 Wkoło niego družyna wieczerza.
 Gdy stanęli na ziemicy czarnej,
 Na mołojców napad uczynili,
 Ośmdziesiąt druhów wygubili,
 Jch obydwóch pochwycili żywcem;
 Pochwycili obu arambaszów.
 Zabrali im jedwab' i szkarłaty,
 Czyste srebro jak i szczere złoto,
 Drobnie perły i kamienie drogie;
 Zostawili ich w cieńkiej koszuli,
 Powiązali w tył obydwóm ręce,
 Od łokci aż do paznokci białych,
 Struną lutą, do tego stalową;
 Aż czarna krew z za paznokci trysła.
 Przywiedli ich ku morzu do łodzi,
 Uwięzili ich w Wenecką krainę.

A z jak daleka król ich zobaczył,
 Wraz na spotkanie onych się kwapi,
 Białe z pętów uwalnia ich ręce,
 Potém znowu ściska im król rękę,
 Wiedzie k' dworu swojemu pańsiemu,
 O wojenny wypytuje żywot,
 Częstuje ich winem i rakiją (1),
 Do rakii miesza małmazyą (2),
 A do wina bendzielukę (3) sypie,
 Aż mołojcy potracili zmysły,
 Wtedy biegłych przyzwał dwóch kowali,
 Którzy skuli arambaszów obu;
 Nogi wiążą w potrójne kajdany,
 Z tych trzydzieści oków każde ważą,
 Zakuwają, zaklinają srogo,
 Nad zmijowym nakadzają jadem;
 I mołojców dzielnych grożą głowom:
 „Niechaj pęta aż dotąd nie spaǳną,
 Pokąd nogi nie zgniją hajdukom.”
 Ręce więżą potrójnemi pęty,
 Każde pęto okropnie jest ciężkie.

(1) Rakija, wódka. (2) Wino słodkie. (3) Rodzaj opium.

Bo trzydzieści oków każde waży,
 A obruza ściąga znowu szyję,
 Na czterdzieści funtów znowu ciężka,
 Nad żmijowym jadem nakadzają,
 Groząc srodze głowom junakowym:
 „By się pęta dotąd nie rozkuły,
 Pokąd gardło nie zgnije hajduckie.”

Prowadzą ich na dno do ciemnicy,
 Do ciemnicy króla Weneckiego,
 W ciemnicy aż po kolana woda,
 I aż po pas mołojców kości;
 Po niej płyną jaszczurki i żmije,
 Żmije piją, a jaszczurki gryzą,
 Marmurowy kamień w nogi gniecie,
 Zimne na wskroś dojmuje żelazo.

Nie widzieli słońca ni miesiąca,
 W dziewięciu, mój pobratynie, leciech!
 A gdy już na półdziesiąta było,
 I w łacińskie święto Zmartwychwstania,
 Gdy uderzą we dzwony na jutrznią,
 Na godzinki i na liturgiją,
 Idą Włosi do kościoła wszyscy,
 Idzie z niemi i sam także Doża,
 Idzie głośnie, państwo całe Włoskie,
 Na mszą ranną i na Ewangelią.
 Wtedy się biedził Wuk Ryszlijanin,
 W łacińskie piękne Wielkanocne święto,

„O na Boga! miłościwy Panie!
 Albo nas puść, albo daj gdzieindziej,
 Męczeni być dłużej nie możemy!
 Toć ciemnica pusta i nieznośna,
 Nawet okna nigdzie do niej nie ma;
 Dokuczają nam jaszczurki, żmije,
 Żmije ssą a kásają jaszczurki:
 Marmurowy kamień w nogi gniecie,
 Zimne na wskroś dojmuje żelazo;
 Kogoś nawet później od nas zawarł,
 Tegoś dawno już wypuścić kazał,
 Na nas tylko niebaczny, a gniewny;
 Albo nas puść, albo daj gdzieindziej,
 Więzieni być więcej nie możemy.”

Odpowiada jemu król Wenecki:
 „Dziecię moje Ryszlijanie Wuku!
 Zechcesz-li dać, czego ja zażądam?
 To cię puszcze z więzienia ciemnego.”

Odrzecz na to Wuk Ryszlijanin:
 „Chętnie ci dam a czemużbym nie chciał?
 Tylko mnie puść z ciemnicy przekłetej.”

Na to znowu powiada król Włoski;
 „Dziecię moje, Ryszlijanie Wuku!
 Zechcesz-li dać dwa dzielne rumaki?
 Podkuj synu, je srebrem i złotem,
 Od kopyt aż po pęcinę oba.
 Srebrném siodłem, osiodłaj je pięknie,
 A złotem ich poprzeplataj grzywy,
 Uzdy daj im całe pozłacane,
 Pokryj synu je sukmem od uszu,
 Od uszu aż po kolana sukmem,
 Od kolan aż do kopyt, kutasy,
 Każdy kutas od trzech funtów złota,
 Przyciągnij je poczwórnym popręgiem,
 Piąty cały z tkanego jedwabiu,
 Dasz też okup dwunasto-brzemienny,
 Czystego srebra, szczerego złota.”

Odrzecz mu na to Wuk Ryszlijanin:
 „Włoski królu, miłościwy Panie!
 Chętnie ci dam, a czemużbym nie chciał,
 Tylko mnie puść z ciemnicy przekłętój,
 Niechże wyjdę, a przyniosę okup.”

Temi słowy odrzecz król Włoski:
 „Dziecię moje Ryszlijanie Wuku!
 Synu! kogoż mi zostawisz w zakład,
 Gdy odejdiesz do swojego dworu,
 Do dom idziesz, aby przynieść okup?”

Znowu na to Wuk Ryszlijanin rzecze:
 „Posłuchaj mnie miłościwy królu!
 Za zakład ci stawię Boga w niebie,
 I braciszka Bogaticza Sime;
 Niechaj siedzi, pokąd ja nie wrócę,
 Aż nie wrócę a przyniosę okup.
 Oh! na Boga miłościwy Panie!
 Gdzieś u wilka widział kiedy chaty?
 A gdzie jaka jest chata hajduka?
 Okup leży na Prołomskiej górze,
 Puszczajże mnie a przyniosę okup.”

Ale króla spotkało nieszczęście,
 Okpił on się, ugryzła go żmija:
 Tedy otwarł przekłętą ciemnicę,
 I wywiódł zeń Ryszlijana Wuka,
 Z niego zwłóczy mnogo zimnych kajdan;
 Z niego zwłóczy, a na Sime kładzie.
 Cierpi biędny Bogaticzów Sima,
 Za swojego brata i za siebie.
 Kiedy się Wuk oswobodził z więzów,
 Djabeł jemu nie daje spokoju;
 Nie zechciał Wuk dalej podróżować,

Ale się Wuk wkoło miasta włóczył,
 Aż zagrabił dwóch królewskich synów:
 Jeden Jerko, a drugi Matija.
 Jerkowi trzy prawie lata było,
 Matija zaś liczył siedm wiosen,
 Obudwóch do torby sobie wsadził,
 Potém sobie na ramię założył.
 Z nimi bieży ku Prołomskiej górze,
 Bieży całe Wuk, dwa dzionki białe,
 Dwa białe i dwie nocy ciemne,
 Zanim dosiagnął prołomskiego szczytu.
 Tutaj stanął Wuk, aby wypocząć,
 Owdzie nocleg, aby sobie naleźć.

Tam w jaskini przepędzili nockę;
 Umieścił téż dobrze chłopców w łożku:
 Na gałazkach trzech z dębiny suchéj,
 Do tych wewnątrz ponabijał gwoździe,
 Ziemię jedzą, nią się pożywiają.

Wreszcie siada brat Wuk Ryszlijanin,
 Nagle usiadł, krótki liścik pisze;
 Nie trzeba mu pióra ni czernidla,
 Bo on swoim napisze nadziakiem (1),
 Wszystko w twardej korze czerowiny.
 A jakież mu drobne słowa pisze?

„Posłuchaj mnie miłościwy królu!
 Poślijże mi Bogaticza Sime,
 Do niedzieli, która piérwsza idzie,
 Daj mu haracz z dwunastu brzemieni,
 Czystego srebra, szczérego złota,
 Przewodników przydaj téż dwunastu,
 Coby Sime do gór mi przywiedli:
 Nie zechceszli tego mi uczynić,
 Do niedzieli, co najpiérwsza idzie,
 Zabiję sam obu twoich synów:
 Jednego Jerka, drugiego Matiję,
 Obydwóch ci zgubię młodzieniaszków,
 We dwa ognie położywszy żywo,
 Zgorzeje ci Jerko i Matija,
 Wielką zasię żalóść ci uczynię.
 Chcesz dać haracz dwunasto-brzemienny?
 Miękkie pierze i jedwab' u ciebie,
 U mnie tylko chruścina jest sucha;
 Miasto twoje jedwabie chruścina,
 Z wewnątrz dużo powbijałem gwoździ:
 Toć jest królu miasto twoje pierze,

(1) Rodzaj pugiuału, to samo co kindzał.

Ziemię jedzą miasto chleba twego!
 Jeżeli tego uczynić nie zechcesz,
 Nie myśl sobie, żeć się kiedy wrócą”.

Posłał pismo w wenecką krainę
 A na ręce króla łacińskiego.
 Doszła kora do Wenecyi białej,
 Prawie w ręce króla Mletackiego (1).
 Przededworem właśnie jest król włoski,
 Bez dzielnego przy boku oręza;
 A skoro król tylko list oglądnał,
 I gdy widzi, co mu pismo każe,
 Uderzy się ręką po kolanach,
 Czysty szkarłat pęka na kolanie,
 Na rękawie rwie się szczere złoto,
 Wszystko z bólu łacińskiego króla:

„Ach! biada mi mój ty miły Boże!
 Ach! mój Jerko, mój Matija luby,
 Biada dziatki żalściw wasz ojciec!
 Radziejym was swemi oczy ujrzał,
 Niżli jare na niebiosach słońce,
 Coś uczynił Ryszlijanie Wuku!
 Ach pošlij mi dwa sokoły siwe,
 Oddam tobie pobratyma twego,
 Pobratyma Bogaticza Simę;
 Pośleć okup dwunasto-brzemienny,
 Czystego srebra, szczerego złota,
 Do niedzieli co się najpierw zbliży”.

Takto król sam ze sobą rozprawiał.
 Tedy bierze od ciemnicy klucze
 Wyprowadza Bogaticza Simę!
 „Ach, jakiś ty Bogaticzu Simo!
 Brudne błoto go zeszkaradziło:
 A paznokcie, żebyś orał niemi,
 Rusa kosa, na plecy mu spada,
 Brodę ściele, kosą się przykrywa”.

Król przywołał trzech biegłych golarzów,
 Jeden myje, drugi brodę goli,
 I rusa mu kosę zaraz strzyże,
 A trzeci mu paznokcie obcina:
 Umywają go wodą i mydłem.
 Przecie Simę z brudu oczyszczono,
 Dają jemu gacie i koszulę,
 Czyste z cienkiej przedziny, jedwabne,
 I prowadzą Simę na dwór króla.
 A kiedy go król Wenecki ujrzał,

(1) Weneckiego, (Mletak, Wenecya).

Sadza Simę poza swoim stołem,
Przynosi mu wina i rakii,
Na każdą noc jagniątko daje,
I białego chleba pieczonego,
I po konwie najczystszej rakii;
Po dwa wiadra czerwonego wina:
Częstuje go w wszystkie dni tygodnia.

Kiedy sobie Sima podpił wina,
Widzi, jak się z wina tuczy szyja,
Rakii skutki na cienkich są rękach,
Widzi, jak mu ramiona tłuścieją.
Chojnie go król obdarował jeszcze,
Dał mu okup z dwunastu brzemieni,
Przewodników dał mu też dwunastu,
Na odchodnym tak go upominał:
„Idźże synu, a odejź w czas dobry!
Pozdrów mi tam Ryszlijana Wuka,
Iście z niego jam sobie żartował,
A on mi tego za żart nie bierze,
Na prawdę swar z nami myśli wszczynać,
A łatwo jest rozpocząć poswarę,
Lecz nie łatwo onę jest uśmierzyć.
Idź więc prędko, byś się nie opóźnił,
Byś na czas tam do Wuka doszedł,
Aby się wuk na mnie nie rozsierdził;
A kiedyby wam nie stało bogactw,
Do mnie przyjdźcie, ja wam dam najchętniej,
Kiedy chcecie zażądajcie bogactw,
Poślijcie mi jeno obu synków!”

Dał mu haracz, pozbywa się wroga
Ze swojego dworu królewskiego.
A więc Sima w drogę się zabiera,
I dwudziestu łacinników wodzi,
Dwa dni białe i dwie nocy ciemne,
Przez wysoką przez Prołomską górę.
Kiedy byli w trzeci już jaskini,
Wówczas rzecze Bogaticzow Sima:
„Hejże chłopcy, moi przewodnicy,
Czyby trochę niemożna zaśpiewać?”

Odpowiada dwudziestu łacinców:
„A wolno ci, sierocino miły,
(Włosi zaś są łakomi na pieśni,
Jako wilcy na jagnięta młode),
No, zaśpiewaj, to nas rozweselisz”.

Tedy nuci Bogaticzów Sima;
Więc zanuci, cieżko pośpiewuje,
Śpiewa Sima jako sokół siwy,
A we śpiewie jasno wypowiada:

„Gdzie ty siedzisz mój sokole siwy?
 Łabędzie już górę przeleciały,
 Pod skrzydłami dukaty przyniosły,
 Przed niemi twój orzeł siwy leci,
 Szerzy skrzydła, aby im chłód sprawił;
 Szuka miejsca, gdzieby się ochłodzić”.

Sima śpiewa, a Wuk odśpiewuje:

„Otóż jestem, mój sokole siwy,
 Otóż jestem za trzecią jodelką”.

Przynosi mu dwa miecze błyszczące,
 Jeden sobie, drugi bratu swemu:
 Każdy warta secinę dukatów.
 Kiedy bracia miecze pochwycili,
 Chwycą miecze i dalej do bitki.
 Wtedy przemówił Wuk Ryszlijanin:
 „Napaść bracie, by to naszym było”
 Wymordowali dwudziestu Włochów,
 Wzięli haracz dwunasto-brzemienny,
 Czystego srebra, szczerego złota.

Gdy się bracia znowu увидzieli,
 Przy miodzie się w usta całowali,
 O zdrowie się bracia zapytali,
 I tak począł Ryszlijanin Wuk:
 „O mój bracie, Bogaticzu Simo!
 Gdy Bóg dał i szczęście dopisało,
 Że się bracie na oczy widzimy,
 Nuże bracie, znow się poznać damy,
 Swemi mieczmi ścieżki przemierzmy,
 I miejsca znów stare odwiedzimy,
 I noclegi gdzieśmy spoczywali.”

Jak nie machnie mieczem w swój prawicy,
 A że zabił obu synów króla,
 Jednego Jerkę, drugiego Matiję;
 Położył ich we dwa ognie żywcem,
 Oba syny królewskie zgorzały.

Znowu siada, i drugi list pisze,
 I pozdrawia króla Wenecyi:
 „Posłuchaj mnie miłościwy królu!
 Myślisz królu że ci dzieci oddam?
 Żaden domu twego już nie ujrzy,
 Obydwóch ci sam zgubiłem królu,
 We dwa ognie położyłem żywo,
 Młodzieniaszki obadwa zgorzały.
 A coś żądał po mnie dwóch rumaków,
 Toć są królu, twoje oba syny,
 Jeden Jerko a drugi Matija;
 A com zabił ci dwunastu Włochów,
 Toć jest królu osmdziesiąt druchów.

Daleś haracz dwunasto-brzemienny,
 Tymś królu stratę nam zapłacił,
 I to stratę, aże lat dziewięciu,
 Owoż i na pół dziesiąta będzie”.
 Idzie Korą w wenecką krainę,
 Idą w góry, hajduki, zielone:
 Miły Boże we wszem Tobie chwała!
 Ile dymów jest w Bośni całej,
 Tyle Wuka jest wszędy noclegów!
 Swemi mieczmi ścieżki przemierzyli,
 I noclegi stare ponowili,
 I miejsca, gdzie stawali niekiedy,
 Również gościny, gdzie wieszczali;
 Miły Boże we wszem Tobie chwała!
 Pod jodłami zapijali winko,
 Po drogach zaś rozbijali Turków;
 Niech się śpiewa, niech się opowiada,
 I mołojce dzielni wspominają,
 Jako szczęsne w roku dzionki Boże!

JANKOWICZ STOJAN I ŚMILIANICZ ILIJA (1).

Wino piją dwa dobre junaki,
 W grodzie małym a sławnym Kotarze:
 Jeden z onych jest Jankowicz Stojan,
 A ten drugi Smilianicz Ilija.
 Kiedy młodzi napili się wina,
 Wtedy mówi Smilianicz Ilija:
 „O mój bracie, Jankowicz Stojanie!
 Możnym jesteś i wszędy w powadze,
 A czemuż się ty jako nie żenisz?
 Każdyby dał za ciebie dziewczynę”.
 Na to rzecze tak Jankowicz Stojan:
 „Pobratymie Smilianicz Ilijo!
 Świętym ja się ślubem zobowiązałem,
 Że serbskimi nigdy nie poślubię,

(1) Jankowicz Stojan odznaczał się w bojach, które Wenecyanie z Turkami w XVII stuleciu wiodli, tak że go rzeczpospolita szlachectwem obdarzywszy, rządząca obwodu zadarskiego (Zara) mianowała.

Potomkowie jego żyją w Zadarze (Zara), używając u Włochów tytułu „conte”.

(Gdybym sobie wziął był już Serbiankę,
Byłbym już miał rodzinę dotychczas);
Ale ja chcę turecką dziewczynę,
A jej imię Atlagicza Zlatka,
Którój promień słoneczny nie widział,
Ani jasny księżyczek oświecił”.

Gdy to słyszy Smilianicz Ilija,
Stojanowi zaraz odpowiada:
„Ej nie plótlbyś drogi pobratymie,
Boć zaprawdę, próżne to gadanie;
A wiesz kto są Atlagicze Zlatki:
Dziewięć braci, dziewięć smoków żywych,
A dziesiąty Osman-Aga stary!
Pierwój oni straciliby głowy,
Nimby Zlatkę za ciebie wydali;
Wiesz-li bracie, jakie w Liwnie (1) bramy?
Oj nie łatwo unieść ztamtąd Zlatkę,
Bez głów martwych i bez krwi przelania,
I bez serbskich napadów zaciętych”.

To nie było Stojanowi miłem,
Rozsierdził się Jankowiczów Stojan.
I wnet stanął na nogi leciutko,
I odchodzi ku białemu dworowi,
Poczem idzie na górę do izby.
Jedwab' zdejmie, aksamit przywdziewa,
A na głowę wziął jedwabny kołpak,
Za kołpakiem dziewięć jest czóleczek,
Wszystkie dziewięć z czystego są złota,
Każde warta secinę dukatów;
Za kołpakiem trzydzieści frandzelek.
I one są ze złota czystego.
Poczem przypiął szablę damascenkę,
A która jest w Syryi kowana,
A jej niczem opłacić się nie da.

Więc się spuszcza z wysokiej czardaki;
Wszystkie schody szabla przeliczyła,
Poczem zaraz do stajenki wchodzi:
Wyprowadza konika wronego,
Krótkiej szyi a szerokiej piersi,
Grzywa jego do kopyt aż sięga,
Okrywa go sukniem aż do kolan,
A ze spodu czerwonym jedwabiem,
Ten zaś jedwab' kończy się u strzemion.
Strzemiona są przeplatane złotem;
A ze spodu perły i kamienie,
A po rogach ze srebra wyszycia,

(1) *Liwno* miasto w Hercegowinie.

Na trzech miejscach drogie są kamienie,
 A na karku drobne dzindzuwice (1),
 Jakie dziewczki koło szyi noszą.
 Uzdę chwyta, na niego się wspina,
 Potém w drogę z Panem Bogiem jedzie,
 Prostą drogą do Liwna białego.

Kiedy Stojan w połowie był drogi,
 Z strony Liwna huk działowy słyszy,
 Przyczém strzały z małych dzewerdanów (2).
 Zasmucił się Jankowiczów Stojan,
 I tak sobie pocznie nad tém myśleć:
 „Uczynilem dla się ślub nie mądry,
 Teraz głupiec mogę stracić głowę!”

Kiedy Stojan tak sobie rozmyśla,
 Wielkie jego szczęście napotkało,
 Spotyka go Turek na bułanku.
 Stojan jego Bogiem zaraz wita,
 A Turek mu pięknie odpowiada:
 „Bóg pomagaj! Koliczu chorąży!”
 Jego pyta się Jankowicz Stojan:
 „Z Bogiem bracie, dzielny nieznajomy,
 Nie zechcesz ty prawdy mi powiedzieć,
 Gdy się ciebie zapytywać będę?”
 Turek na to z konika bułana:

„Tak zaprawdę, Koliczu chorąży,
 Czystą prawdę, byśmy zdrowi byli”.

Wtedy rzecze Jankowiczów Stojan:
 „Wiesz-li bracie, dzielny nieznajomy,
 Czemu huczą w Liwnie działa groźne,
 Czemu słyhać małe dzewerdany?”

Na co jemu Turek odpowiada:
 „Osman-Aga żeni swego syna,
 Swego syna i to najmłodszego;
 Dlatego to w Liwnie tak grzmiały działa,
 I dlatego słyhać dzewerdany”.

Jeszcze go raz Stojan się zapytał:

„Oj na Boga! Turku na bułanku,
 Są-li w Liwnie otworzone wrota,
 Są-li w domu Lijewnianie Turcy,
 Co trzymają czaty na Kaura?”

„Pospiesz konia, Koliczu chorąży,
 Boć są w Liwnie otworzone bramy,
 I w domu są czatownicy Turcy”.

(1) *Dzindzuwice*, ozdoba z koralu, pereł i różnych świecideł, noszona przez kobiety we włosach albo na szyi.

(2) *Dzewerdan*, strzelba podobna do karabina.

To wyrzekłszy, z koniem się obrócił,
 I szerokiemi polem w dal się puścił.
 Stojan bodnął wronka grzywiastego,
 I wprost zmierza ku Liwnu białemu.
 Kiedy Stojan dotarł już do Liwna,
 Patrzą się nań Lijewnianie Turcy,
 Ale jego wcale nie poznali,
 Myśląc ciągle, że Kolicz chorąży.
 Gdy go zoczy Osman-Aga stary,
 Temi zaczął przemawiać doń słowy:
 „Dobrześ doszedł Koliczu chorąży!
 Kiedy takie losy cię przyniosły,
 Prawie dzisiaj na owo wesele,
 Zsiadaj z konia, wypijemy wina”.
 Ale na to Stojan odpowiada:
 „Dziękuję Ago, za twe powitanie,
 Nie przyszedłem, aby tu pić wino,
 Alem przybył, by wypatrzeć dziewczkę,
 Czy dziewczę, czyli też już wdowę”.
 Tańczy koła trzy przed Agi dworem,
 A więc stary powiada mu Aga:
 „Wnijdźże, synu, w koło tych tanecznic,
 A którą sobie wybierzesz dziewczkę,
 Na proroka, ona będzie twoją”.
 Stojanowi miłym to już było,
 Więc kolejno wszystkie koła przejrzał,
 I gdy przyszedł k'kołu panińskiemu,
 Które wodzi Atlagicza Zlatka,
 Biejąc kołem jako wichler górny:
 Stojan przy niej w kole zaraz stanął,
 W swoją rękę Zlatki rękę chwyta,
 Poczem bieży w kole dziewcząt hożych.
 Staje nogą na pantoflu Zlatki,
 Ona milczy i słowa nie powie.
 Jeszcze Stojan spokoju nie daje,
 Ale prawym dotyka się wąsem,
 Prawym wąsem po liczku jej lewem,
 Uśmiecha się Atlagicza Zlatka.
 Gdy to widzi Jankowiczów Stojan,
 Uradowan tak się do niej ozwie:
 „Pójdiesz za mnie o dziewico droga!”
 Na co Zlatka jemu odpowiada:
 „Uspokój się Koliczu chorąży,
 Ja za Turka wcale iść nie myślę,
 Ale pójdę ja dziewczica młoda
 Za Serbina Jankowicz-Stojana”.
 „Cyt! nieszczęsna Atlagicza Zlatko!
 Jakżebyś ty za Stojana poszła?

Za Turczynów największego wroga?
 Który Turkom nie ustąpi z drogi,
 Który gnębi bez litości Turków,
 Który niegdyś spalił sławne Liwno,
 A zaś z Liwna zabrał niewolniki”.

Powiada mu Atlagicza Zlatka:

„Choć on wrogiem rzeczywiście Turków,
 Chociaż Turkom nie uchodzi z drogi,
 Chociaż gnębi bez litości Turków,
 Chociaż sławne spalił niegdyś Liwno,
 A zaś z Liwna niewolniki zabrał:
 Nigdy ojca mojego nie skrzywdził,
 Ani ojca, ani moich braci!
 Jeszcze ongi przyobiegał ojciec.
 Że mnie odda Jankowicz Stojanu,
 Jemu było na piętnaście latek,
 Ja zaś miałam wtedy siódmy roczek”.

Zapytuje Jankowiczów Stojan:

„Oj na Boga, Atlagicza Zlatko!
 Poznałabyś Jankowicz-Stojana?”

„Poznałabym, gdybym go ujrzała,
 Ma on ranę na prawém ramieniu;
 Ranił jego niegodziwy Turek,
 Skarż go Boże, woda go uniesie!
 Niechaj cierpi przez dziewięć lat całych!
 Niechaj kości trawą mu porosną!
 Ze żywego niech opada ciało!”

Gdy to słyszy Jankowiczów Stojan,
 Sercu swemu podolać nie może,
 Więc rozplata wstążki na ramieniu.
 Zlatka widzi ranę na ramieniu.
 Wnet opuszcza owo dziwne koło,
 Za nią zaraz Jankowiczów Stojan.
 Poczém Stojan rozmowę zaczyna:

„Powiedz jaki obyczaj tu macie,
 By mnie poznać nie mogli Turczyni;
 Co mam czynić, aby się nie zdradzić?”

Mówi jemu Atlagicza Zlatka:

„Podprowadzisz konika w gęstwinę,
 A ja pójdę na górę do komnat,
 Aby przywdziać co najlepsze szaty;
 Turcy ciebie wezwą na wieczerzę,
 I mój ojciec wezwieć na wieczerzę,
 Ale ty mu pięknie podziękujesz:
 „Dziękuję Ago, za twoją gościnę,
 Nie mogę dziś z tobą powieczerać,
 Bo tańczyłem z prześliczną dziewczcą;
 Więc mnie srodze rozboleła głowa”.

Wszystko czyni Jankowiczów Stojan,
 Wszystko czyni, jako rzekła Zlatka,
 Wyprowadza tuczego konika,
 Z podedworu Osmana starego,
 Za wieczerzę Turkom podziękował,
 Bowiem czekał, aż się zbierze Zlatka.

Gdy się dziewczę tureckie zebrało,
 Stojan z wronkiem podjeżdża pod czardak,
 Poczém podniósł Atlagiczę Zlatkę,
 Którą wsadził za siebie na konia;
 Opasał ją uzdą i tkanicą,
 Bodzie swego wronego konika,
 Dolatuje ku liwniańskim wrotom;
 Potém zlekka chwyta za swój palcat,
 I uderza we liwniańską bramę,
 Zapisuje imię i przezwisko.
 Gdy widzieli liwniańscy Turczyni,
 Że to nie jest Kolicz ich chorąży,
 Porwawszy się, w pogoń się gotują,
 By pochwyć Jankowicz-Stojana.
 Ale mówi Osman-Aga stary:

„O nie chodźcie moje dzieci drogie,
 Niech ją uniósł, on się nam zostanie,
 Dawno jemu dziewczę obiecałem”.

Ledwo Stojan do Kotoru doszedł,
 Liścik pisze starowinka matka,
 Córce swojej Atlagiczy Zlatce:

„Córko moja Atlagicza Zlatko!
 Nie ochrzcij się moja córko miła,
 Ni się powaśń z Dynem i Imanem,
 Cobyś córko utraciła głowę!”
 Zlatka onęj pięknie odpisuje:

„Nie mów próżno, moja stara matko,
 Byś wiedziała, jako Serb całuje,
 Tobys mego zostawiła ojca,
 A choć stara poszłabyś za Serba.
 Serb całuje, skoro się przebudzi!”

HAJDUK NOWAK I DZIEWCZYNA.

Wiernie służy Pejk-Ibrahim panu,
 Wiernie służy u cara Turskiego (1),

(1) T. j. tureckiego wedle dawnéj polszczyzny.

A u cara jest pańska dziewczyna:
 Car ją chowa, by ją wziąć dla siebie,
 Car ją chce mieć, a dziewczę go nie chce.
 Piętnaście ją dla siebie lat żywi.

Gdy dziewczynie wszystko już obmierzło,
 Wtedy wzywa Peik-Ibrahima,
 I do niego przemówi w te słowa:
 „Wierny sługo Peik-Ibrahimie!
 Skradnij konie i carskiego mienia,
 I uchodźmy w góry wnet Kopajne (1);
 Jest tam gdzieś moja ojcowizna,
 Ojcowizna stara podziadowska.”

Tego Turczyn zaledwo doczekał,
 Kradnie konie i carski dobytek,
 Poczém biegną w góry wnet Kopajne,
 Noc przespali w górach Kopajnach,
 Na Kopajnie pod zieloną jodłą.
 Gdy nazajutrz biały dzień zaświtał,
 Śniegi spadły i drugie padają.
 Srodze krasną przeklina dziewczynę,
 Srodze onę klnie Peik-Ibrahim:
 „Oj dziewczyno, bodaj cię Bóg skarał!
 Czemużeś mnie oderwała caru?
 Ja u cara mogłem żyć szczęśliwie,
 Carby z piękną ożenił mnie dziewczką,
 Z lepszą z rodu pańskiego dziewczyną.”

Lecz mu rzecze tak piękna dziewczica:
 (Bo ją słowa sromotne dotknęły).
 „Wierny sługo Peik-Ibrahimie,
 Jeśli zimno dojmuje ci bardzo,
 Wrone konie popętaj w żelaza,
 Popędź konie w zielone tam krzaki:
 I połóż się na jedwabnej szacie,
 Bym cię płaszczem pstrokatym nakryła.”

Kiedy Turczyn rozważył te słowa,
 Wrone konie popętał w żelaza,
 Pędź konie w zieleniste krzaki,
 I kładzie się na jedwabnej szacie;
 Ona płaszczem przykryła go swoim.

Zasnął Turek, jako jagnię ciche,
 Ona z pasa dobywa wnet noża,
 I zabija Peik-Ibrahima,
 Poczém sama noc całą przespala,
 Na Kopajnie pod jodłą zieloną.
 Gdy nazajutrz zaświtał dzień biały,
 Pięknie, jasne zaświeciło słońce,
 Więc się w drogę puszcza dalej dziewczę:

(1) Kopajenia, góra blisko Kosowa.

Ona siada na dobrego konia,
 Poczém się pnie na górę Kopajną,
 A z Kopajny pogląda poniżej,
 I tak sobie zaczyna rozmyślać:
 „Miły Boże, co i jak mam począć!
 Nazad nie śmiem, a naprzód nie umiem,
 Chociażby się i nazad powrócić,
 Szkodę-m wielką uczyniła caru:
 Skradłam konie i carski dobytek,
 I odwiodłam sługę najlepszego,
 Odwiodłam go i zgubiłam jego,
 Idę na przód, dziej się wola Boża.”

Kopaj przeszła, do Kosowa schodzi.
 Kosów przeszła, do Zweczanu wchodzi.
 Zweczan przeszła, do Rogoźnia wnijdzie,
 Za Rogoźniem do Prisztina wchodzi;
 We Prisztinu przenocowała się
 U jednego dobrego gospodarza:
 Gospodarz jój konika napoił,
 I dobrym go nakarmił obrokiem.
 Nawet dzionka nie czeka białego,
 Po nocy się dźwigła podróżować;
 Ona zaczęła wypiewywać cienko.
 Wśród Kaczanów (1) starych Nowakowych,
 Posłyszał ją hajduk Nowak stary,
 Więc wzywa obu Nowakowiczów,
 Jeden jest Grujo, drugi Tatmir,
 Równie brata Deli-Radziwoja:
 „Powychodźcie moje dzieci drogic,
 I obaczcie, kto to w nocy śpiewa,
 Czy to Wila, czyli téż dziewczyna,—
 Pod szator (2) mi ją przyprowadzicie,
 A jeżeli to jaki włóczęga,
 Od niego mi szatę przyniesiecie;
 I sami go prócz tego ukarżcie,
 Niech nie śpiewa nocą gdzieś po górach,
 Niech nie płoszy naszych tu włóczęgów,”
 I wybiegnie trzech dzielnych junaków (3),
 Pod dziewczyną konia uchwycili:
 „Stańże!—Ktoś ty, co po nocy śpiewasz?”

(1) Kaczany, wieś, siedziba hajduka Nowaka.

(2) Szator, szatra, szałas, namiot, stanowisko, obóz naprędce rozłożony. Wyraz znany u naszego ludu górskiego, przyswojony przez Cyganów.

(3) „Junak” dosłownie chłopiec, mężczyzna, odpowiada ukraińskiemu „mołojec.” Przymiotnik „junacki, junaczy” ma znaczenie dzielny, mężny.

Czyś ty Wila, czyli téż dziewczyna,
 Pod szalas się wzywa staryeszina (1);
 A jeżeliś ty jakim włóczęgą,
 Hańba ojcu, równie matce twojej!
 Czemu śpiewasz po nocy po górach?
 Czemu płoszysz nasze tu włóczęgi?"

Piękne dziewczę ze łzami tak rzecze:

„Jam nie Wila, moja bracio droga,
 Lecz żalosciwa pańska dziewczyna.
 Jak na imię waszemu staroście?"

„Pójdźże z nami! przecz o imię pytasz?"
 Odprowadzą pod szalas dziewczynę,
 A dziewczyna żalosciwie mówi:

„Miły Boże, we wszem Tobie chwała!
 Żem się młoda, dostała pod szalas!"
 Patrzy Grujo na piękną dziewczynę,
 Poczém mówi Nowakowicz Grujo:
 „Dobry ojcze, wzdyć piękna dziewczyna!
 Dawno szukasz dla mnie narzeczonej,
 Otóż, ojcze, to dla mnie dziewczyna."

Odrzecze mu hajduk Nowak stary:

„O mój Grujo, o mój synu drogi!
 Oj zaprawdę pańska to dziewczyna,
 Lecz tu niéma ni popa, ni kuma,
 Białej cerkwi, gdziebyś ją poślubił."

Gdy to słyszają dwa Nowakowicze,
 Dźwigają się na nogi lekuchne,
 Wnet znachodzą i popa i kuma,
 Białą cerkiew, gdzieby się zaślubić.
 Pokąd jeszcze nie staną k'oltarzu,
 Dotąd niebo czyste, jasne było;
 Gdy młodzieńce stali ku wieńczeniu (2),
 Nadciągnęła chmura sroga, sina:
 Z chmury strzelą dwa gromy straszliwe,
 Ze dwu gromów dwa dószcze wraz krwawe;
 Podają im czasę poświęconą,
 Dla nich krwią się napełniła cała:
 I świecący oba wraz poślepli,
 I dziakowie czterej poniemieli,
 Sam pozostał samouki dziaczek,
 Co się uczył sam z książek mądrości.
 Listy pisze samoucze dziaczę,

(1) Staryeszina, starosta, głowa całej rodziny, który całym domem, a niekiedy i całą wsią władnie, wedle obyczaju starodawnych Słowian.

(2) Wedle tamtejszego zwyczaju, nowożeńcom zamiast pierścieni ślubnych odmienają wieńce.

On je posłał do Kaczanów starych:
 „Spiesz Nowaku, bo cud oglądamy,
 Co Gruja i twę synową spotkał.
 Pokąd jeszcze obrząd się nie zaczął,
 Dotąd niebo czyste, jasne było;
 Gdy młodzieńcy staną przy ołtarzu,
 Nadsięgnęła chmura straszna, sina,
 Z chmury padną dwa gromy straszliwe,
 Ze dwu gromów dwa deszcze krwią luną;
 Podano im czasę poświęconą,
 Dla nich się krwią napełniła cała;
 Odebrała wzrok świecącym obu
 Przyczém dziaków czterech oniemiało.”

Kiedy Nowak pismo to obejrzał,
 Wraz się zbiera do cerkwi do białej,
 Poczém bierze dziewicę tę piękną,
 I bierze ją za prawą, za rękę;
 Prowadzi ją przed bielutką cerkiew,
 Wreszcie rzeknie hajduk Nowak stary:
 „Oj dziewczyno moje dziecię drogie!
 Powiedz prawdę; bogdajś zdrowa była,
 Jakiegoś ty rodu i plemienia.

Jak się mienisz, jakie tve nazwisko,
 Czyś przypadkiem nie z naszego rodu!”

Łezki roniąc, dziewica tak rzecze:
 „Nie jestem ja Wilą, drogi ojcze,
 Ale pańską nieszczęsną dziewczyną.
 Może wiecie, i w pamięci macie,
 Kiedy Turcy Orid (1) ujarzmili,
 Nowakowe dwory popalili,
 Nowakowe i Radziwojowe;
 Mnie dziecięciem w jassyr także wzięli,
 W złotój jeszcze kolebce w pieluchach,
 Wezyrowi tureckiemu dali.
 On mnie żywił przez siedm lat całych,
 Od siedmiu mnie carowi darował.
 Car mnie żywił do piętnastu latek,
 Car mnie żywił, aby wziąć dla siebie:
 A ja ojcze za Turka iść nie chcę,
 Bo mi na myśl przyszła moja matka,—
 Mam i stryja Deli-Radziwoja,
 I dwóch braci: Gruja, Tatomira:
 Matka moja, to górską jest Wila,—
 Tu więc przyszłam, aby ich obaczyć.”

(1) Orid, Ochrid, miasto leżące w pobliżu jeziora téjże nazwy, w ziemi Albańskiej.

Kiedy Nowak rzecz tę wyrozumiał,
 Łzami zrosił junackie swe lica:
 „Tyś to Jelo, ostatnie me dziecię!
 Tyś Jelo, żywa strato moja!
 Małom ojciec nie zatracił duszy,
 Małom nie wziął córki za synową,
 Małom brata z siostrą nie pozenił.
 Przystąp Grujo, przystąp Tatomirze.
 Oto wasza siostrzyczka Jelica.”

Bracia tego ledwo doczekali,
 A o niej już dawno zapomnieli.
 Łzy wyronią na swe białe lica,
 Onęj proszą, by im przebaczyła,
 A najwięcej Grujo bracio (1) młody:
 „Wybaczże mi, moja siostro droga!
 Wybaczże mi, i daj odpuszczenie!
 Żem się z tobą chciał zaślubić siostro,
 Bom ja ciebie siostro wcale nie znał!”

Ledwo tego bracia doczekali,
 Wodzili ją po górach zielonych,
 Wodzili ją cały rok po górach;
 Gdy nastaje potem rok już drugi,
 Bracia siostrę odprowadzą pięknie,
 Do Aradu, do wielkiego grodu,
 Do białego domu Dizdaricza,
 Między miłych dwunastu bratunków.

Odtąd dużo przyjaciół zyskali,
 Jedni chodzą do drugich w gościę,
 Listami się pozdrawiają pięknie,
 Jako drudzy szanowani, szczęśni.

MIJAT HAJDUK I KOMNEN CHORAŻY.

Wino pije trzydziestu hajduków
 Na Kunorze, na wysokości górze;
 Między niemi dwaj arambaszowie:
 Jeden z nich jest Tomiczów Mijata,
 Od Konicy we Hercogowinie;
 A drugi z nich jest Komnen chorąży
 Od Katora (2), od grodu krwawego,

(1) Wyraz „bracio” do dzisiaj używanym jest na Rusi zamiast „brat.”

(2) Cattaro.

Gdy się bracia napili już wina,
 Więc im winko wystąpi na lica,
 Jasne lica jak czerwone winko.
 Wtedy mówi tak Tomiczów Mijat:
 „Moja bracio trzydziestu hajduków,
 Jako siwych sokołów trzydzieści!
 Alboż matka nie rodzi junaka,
 A siostrzyca brata odchowała,
 Bez kolebki na prawej swój ręce,
 Mężkim jego opasała pasem,
 I junackim wołała nań głosem.
 Do mnie jego wyprawiła w czaty,
 By czatował ze mną wraz po górach?
 Jeszczem ja się junak nie ożenił,
 A przecieżbym się już rad ożenić,
 Za młodości i swego junactwa,
 Z piękną siostrą Osmana Dizdara,
 Od granicy tureckiej z Udbiny;
 Bądź co bądź z nią ożenić się muszę,
 Albo nigdy ożenić się nie chcę.
 Kto mi pójdzie do turskiej Udbiny,
 I przywiedzie Ajkunę dziewicę,
 Piękną siostrę Osmana Dizdara,
 To dam jemu trzy brzemienie złota,
 Cudnych bogactw, mięciutkich dukatów!
 I trzy muły, coby niosły brzemię;
 Niech ominie góry i wierzchołki,
 A niech idzie u morza targować!”

Wszystkie druchy nie rzekną i słowa,
 Poglądają na zieloną trawę:
 Jako rośnie trawa po równinach,
 Jako piersi u młodej dziewczyny.
 Jeden patrzy na jodłę zieloną,
 Jako swoje gałęzie roztacza,
 Jako plecy u dzielnego chłopca;
 Kto jest junak, na oręż pogląda.
 Ot! widzicie Komnen to chorąży!
 On tak mówi pobratymcy swemu:
 „Pobratymie, Tomiczu Mijacie!
 Jest-li prawdą, coś nam wprzód obiecał,
 Za Turkinę piękną tę dziewczynę?
 Obiecałeś trzy brzemiona bogactw,
 I trzy muły, coby niosły brzemię?
 Odpowiada jemu Tomicz Mijat:
 „Tak zaiste w Bogu pobratymco!”

Gdy to słyszy Komnen cny chorąży,
 Skoczy hajduk na nogi hajduckie,
 I pogoni na górę zieloną,

W prawo idzie ku Wysokiej Ścienie,
 Zwleka suknie, w inne się przebiera:
 Hajduk zrzuca hajduckie odzienie,
 I tureckie szaty na się bierze,
 Jakie noszą pograniczni Turcy;
 Po turecku szablę przypasuje,
 I dosiada swojego rumaka.
 Zbiega na dół, ze zielonej góry,
 Jako jelen, co mu roczek jeden;
 Poczém bieży od jodły do jodły,
 Aż wybiegnie z lasa zielonego,
 I wstępuje na pola Udbińskie.
 Pod Udbinę potém ciągle idzie.
 Do Udbiny hajduk wreszcie doszedł,
 Aż ku wieży Osmana Dizdara.
 Prosto idzie do bielutkiej wieży,
 A na wieży Osman Dizdar siedzi,
 Wkoło niego trzydziestu Turczynów;
 Turcy piją wino i gorzałkę:
 Owych hajduk po turecku wita.

Dobrze pokłon przyjęli Turczyni;
 Pomykają się jeden k'drugiemu,
 Miejsce jemu przy Osmanie czynią;
 Dali jemu trzydzieści czasz wina:
 „Ożdeldija, dobrze ześ tu przyszedł!”

Hajduk popił, nie zmaczawszy wąsów!
 Spojrzy na się trzydziestu Turczynów:
 „Boże miły! cudnego junaka”.

Wtedy na to rzecze Osman Dizdar:
 „Oj na Boga, młody Ukraincze! (1)
 A zkądżeś ty i z którego grodu?
 I jakże się po imieniu zowiesz?”

A hajduk się mieni być zdaleka,
 Od Barata od grodu białego,
 Wiernym sługą Muja Barackiego,
 „Pan wielmożny Mujo mnie tu posłał,
 A do ciebie Osmanie Dizdarze.
 Wziąwszy czaty na górze zielonej,
 Ujrzełiśmy na górze hajduków,
 Ujrzełiśmy hajduków trzydziestu,
 A przed niemi dwóch wraz arambaszów;
 Z których jeden Tomiczów Mijata
 Od Konica ze Hercegowiny;
 A zaś drugim Komnen jest chorąży,
 Od Kotara ze grodu krwawego.
 Zbieraj szaty Osmanie Dizdarzel

(1) Tojest nad granicą mieszkający (u krańca, u kraja).

I ścigajmy, po górze duszmani (1).
 Ich ścigajmy i nie oszczędzajmy!"
 Gdy to słyszy Osman Dizdar Turek,
 Poklepie go ręką po ramieniu:
 „Be aferim! o mój wierny sługo!”
 Wnet mu wina trzydzieści czas dają,
 Kiedy hajduk napił się już winą
 Z okna zaraz wychylać się pocznie,
 Aby na dół spojrzeć z wieży białej,
 A pod wieżą na koło dziewczątek,
 W tém zaś kole trzydzieści jest dziewic,
 Wszystko siostry tureckich władarzy (2),
 I Ajkuna najpiękniejsza z dziewic.
 Śliczna siostra Osmana Dizdara,
 Co za dziewczę! jak mu w oko wpadła!
 A w jakim to odzieniu czarowném!
 Jedna głowa i aż trzy kędziory,
 A brwi jakie, morskie pijawice,
 Czarne oczy, ach! to morskie tarnkil
 A jój rzęsy, skrzydełka jaskółcze;
 Dwie jagody, dwie róże rumiane,
 Białe zęby, dwa rzędy perełek;
 A jój usta, istna cukrownica,
 A jakie są u Turczynki usta!?
 One słodsze od cukierków wszystkich!
 Jedne uszy, a troje zausznic,
 Jedna szyja, a trzy naszymi,
 Jeden dżerdan (3) z bielutkich perełek,
 A zaś drugi z czerwonych koralu,
 A ten trzeci z miękkich jest dukatów;
 Ow zaś łańcuch z perełek bielutkich
 Spadał onój na bieluchny gorsik,
 Białe perły i bielutkie piersi;
 Te piękności zgadzają się z sobą!
 Ten zaś, co jest z czerwonych koralu,
 To jój spadał, aż na samą szyję:
 Szyja biała, a czerwony koral,
 Ach to piękność! jedna z drugą w zgodzie!
 A zaś łańcuch z mięciutkich dukatów
 Spływa onój na same ramiona,
 Sprawia szelest w zetknięciu z sobą!
 Jedne plecy, a potrójne szaty,
 Jedno serce, trzy pasy ze złota,

(1) Turecka nazwa włóczących się lisiduków.

(2) Starodawna słowiańska nazwa piastujących godności, tutaj oznacza w ogóle panów. (3) Łańcuch.

A na nogach przepyszne pantofle,
 A na biodrach prześliczne spodnie,
 Ach jak piękne są spodnie onej!
 Morskiemi je myszami podszyła,
 Gdzie spadają, by ją nie tłoczyły.
 A jakże są pięknie wyszywane,
 Wyszyła tam chytre liszki, ptaki,
 I zające kuse, te nicponie.

Wysoka jest, jako sosna leśna,
 A cieniutka, jako pręcik gibki.
 Gdy się śmieje, to jak słońce grzeje,
 Kiedy mówi, gołąbków gruchanie,
 A gdy tańczy, to jelenie ruchy!
 Bieży kołem, jako wichur górny.

Gdy ją ujrzał z góry hajduk młody,
 Trzechletnia go pochwyci zimnica.
 Pocznie dzwonić blaszkami na piersi,
 Od wielkiego junak przerażenia.
 Skoczy hajduk na nogi junackie
 Czapkę zdjawszy, do ziemi się skłania,
 I tak prosi Osmana Dizdara:

„O Oskanie, drogi gospodarze!
 Jest-li wolno, choć trochę zatańczyć,
 Zatańcować w kole dziewcząt krasnych?”
 Odpowiada na to Osman Dizdar:

„Jest ci wolno, o mój wierny sługo!
 Weź się do tej, która ci jest miłą,
 Nawet do méj Ajkuny gdy zechcesz!
 Baw się dobrze, rękami nic nie rób,
 Bobyś łatwo mógł postradać głowę”.

Kiedy hajduk posłyszał te słowa,
 Bierze w rękę swoją małą strzelbę,
 Bieży na dół, z owéj białej wieży;
 A tak lekko poskakiwał na dół,
 Że aż za nim drobne lecały schody,
 I opada z wieży dużo wapna,
 Cała wieża, od spodu się trzęsie!
 A gdy zeszedł na dwór marmurowy,
 Pod wieżę więc postawił swą strzelbę,
 Przy Ajkunie stanął zaraz w kole,
 Lecz mu djabeł spokoju nie daje.
 Gdzie jest szczęście, tam jest i nieszczęście:
 On ją ścisną, ręką za jéj rączkę,
 I staje jéj nogą na pantoflu.
 Gniewnie spojrz na niego dziewczyna,
 I tak mówi k'niemu głosem gromkim:
 „Oj hajduku, ciebie Pan Bóg skarże!
 Któryż ciebie djabeł do nas przyniósł,

I pod więzę mojego braciszka?
 A choćbyś miał i sokole skrzydła,
 Toby przecież pióra cię nie wzniosły,
 A cóż mówić, o twój głowie chłopcze!"
 Zastraszył się Komnen cny chorąży.
 I tak rzecze do Ajkuny dziewczki:

„O Ajkuno niech cię zmija uzre!
 Co mnie ty chrzczisz, sama się wprzód ochrzcij! (1)
 Wzdyć nie jestem Komneną chorążym,
 Ale sługą z grodu barackiego,
 Wiernym sługą Muja Barackiego".
 Gniewnie patrzy na niego dziewczyna,
 Gromko jemu zaraz odpowiada:

„Oj nie plótlbyś, mój Komnenie miły!
 Gdy mi wtedy siedm latek było,
 Przebiegałeś Likę i Udbinę,
 Aż trzy kupy wzięłeś niewolnika,
 Przez Udbinę niewolników gnałeś;
 Dobrze sobie ciebie przypominam,
 A to ze brwi i dzieinego wása".

Gdy to Komnen usłyszał chorąży,
 I tam i sam w kole się obrócił,
 Póki z koła nie odciągnął dziewczki,
 Pocałował trzy lub cztery razy;
 A tak słodko ucałował dziewczę,
 Że aż jój się twarz zarumieniła:
 Wnet ją bierze na plecy junackie.
 Lewą ręką, ręce zawiązuje,
 A zaś w prawą strzelbę swoją chwyta,
 Grzbiet pokazał i uciekać począł
 Po Udbińskim, po polu szerokiém.
 Wszczyna się krzyk pośród młodych dziewcząt,
 Wszystkich panów tureckich siostrzyczek:

„Gdzieś ty biédny Osmanie Dizdarze!
 Tutaj hajduk młody przyszedł z góry,
 Jemu Komnen chorąży na imię;
 Uniósł twoją Ajkunę dziewicę,
 Poniósł onę ku góróm zielonym!"

Gdy te słowa słyszy Osman Dizdar,
 Wnet zwoluje janczarów tureckich:

„Dalej w góry Turcy janczarowie!
 Doścignijmy tego poganina!"
 Wszak są Turcy jako górskie wilki,
 Dosiadają koników swych rączych.
 Lecz nim Turcy koników dosiedli,

(1) Zam. nazywasz chrześcianinem.

To już hajduk pole owe przebiegł;
 A nim Turcy do pola dotarli,
 Jużci hajduk na górach zielonych
 Dopadł góry i lasów zielonych.
 A to pole rycerza Komnena;
 I dosiada konika dzielnego.

Kiedy dopadł gór swoich zielonych,
 Tam ze swojej wystrzelił w mig strzelby.
 Zaraz ona ogień zapuściła:

Góra jęczy i lasy aż huczą,
 Z góry zaraz listki polatują,
 A po ziemi trawa wszędy legnie.

To posłyszają na górze hajdudy
 Wnet poznali strzelbę Komnenową.

Tedy mówi Tomiczów Mijata:

„Moi bracia trzydziestu hajduków!
 Jako siwych sokołów trzydzieści!
 Słyszycie-li strzelbę Komnenową?
 Komnen iście jest w niedoli srogiej;
 Może junak postradać swą głowę,
 Pewno zdobył wielką ilość bogactw.
 A więc na koń moja bracie droga!”

Hajdudy są jako głodni wilcy,
 Na nogach swych przyciągną obuwia,
 Zaraz swoje pochwytają strzelby,
 Przeskakują ścieżki i przeszkody,
 Aż dopadli gościńca górskiego;
 Mimo siebie puscili Komnena,
 W odległości Turków dopatrzyli.

Wtedy mówi Tomiczów Mijata:

„Moi bracia trzydziestu hajduków!
 Oto idzie trzydziestu Turczynów,
 A przed nimi Osman Dizdar jedzie!
 Wy uderzcie każdy na Turczyzna,
 Ja na siebie biorę sam Osmana”.

Hajdudy się bracia na to godzą,
 I na takie słowa rozstępują,
 Swoje tarcze pod jodły rozstawiają,
 Za którymi swoje piersi chronią,
 Poczem swoje wymierzają strzelby.

Ot! widzicie Tomicza Mijata!
 Jako z swojej strzelby nośnej mierzy:

„Strzelbo moja nie bładź mi niewierną!
 Nie dostań się w wroga mego ręce!
 Nie zawieźdź mię dzisiaj moja strzelbo,
 O oko cię ani prosić nie chce”.

Strzelba zaraz wysypała ogień,
 I Turczyna dobrze ugodziła,
 W samo czoło między oczu dwoje;
 Rozdarła mu czoło aż we czworo,
 Do ramienia oderwała głowę:
 Bo ta strzelba jest wszystko niszcząca,
 W niej się zmieści cały aż funt prochu,
 I trzydzieści z srebra lanych kulek;
 Gdy uderzy, lekarza nie szukaj!
 Od hajduckich, od trzydziestu strzałów,
 Pada martwych trzydziestu Turczynów!
 A hajducy jako głodne wilki,
 Wskoczywszy z za góry zielonój,
 Łupy biorą z Turczynów nieżywych,
 Po nich lśniące zbierają oręże.
 Powracają do Kunorskich wzgórzy,
 A na górach znajdują Komnena,
 Gdzie był doniósł turecką dziewczynę.
 Gdy się zeszli oba pobratymcy,
 Ścisli ręce, w twarze się całują,
 O junackie pytają się zdrowie.
 Daje Komnen Ajkunę dziewczynę,
 Pobratymcy Tomiezu Mijatu:
 Mijat jemu trzy brzemiona bogactw,
 Cudnych bogactw, z mięciutkich dukatów,
 I trzy muły coby niosły brzemię.
 Wtedy widzieć Komnena z chorągwią!
 Posłał dary do Kotoru grodu,
 Siostrzeńcowi wojewodzie Jowicy,
 By umocnił wały swe Koterskie.
 Komnen nie wie jak się obejść złotem,
 Ale za to dobrze strzelać umie.

SMAIL-AGA I WŁADYKA CZARNOGÓRSKI (*).

Jeszcze ranne nie zabłysły zorze,
 Ni jutrzienka pokazała lica,
 A o dzionku i wspomnienia niéma;
 Otwiera się na zanku bramica,

(*) Bój opiewany w niniejszej pieśni odbył się rzeczywiście przed kilkoma laty z Turkami za dzisiejszego Władyki Czarnogórskiego. i żywo tkwi w pamięci tutejszych mieszkańców.

Główne osoby tego poematu, jak mi powiadano, do dziś dnia żyją.

Tudzież biała Malowicza wieża.
 Gdy się chłopię raniutko zerwało,
 Owóz go masz przy stoliku jego:
 Zaraz chwyta atrament i papier,
 Poczém pisze drobniuteńko liścik,
 Który pośle Czengicz-Smail-Adze,
 I tak jemu w tym liściku pisze:
 „Hospodarze, Czengicz-Smail-Ago!
 Cały ci się Drobniak (1) pobuntował;
 Ze Drobniaka trzy bany drobniackie,
 Od Tuszyna Cerowicz Nowica,
 Z Maliskii Damjanowicz Mirko,
 Od Petnicy Karadzicza Szule;
 Często chodzą na pola Cetińskie,
 I na ciebie płaczą, hospodara.
 Gdy ty przyjdiesz do równych drobniaków,
 By wybierać grosze i haracze,
 Wtedy myślą na ciebie uderzyć!
 Wtedy tobie odsiekną wnet głowę,
 I odniosą na Cetińskie równie.”

Kiedy Smajla pismo to odebrał,
 Kiedy widzi, co mu pismo mówi,
 To się ozwie słowami takimi:
 „O mój Dziuko, o mój wierny sługo!
 Mocnoś ty mi krew moję rozpalił,
 I ogromnie serce rozzarzyłeś!”

Rzuci Smajla Malowicza pismo,
 Poczém rychło drugi liścik pisze,
 Ten posyła grodu Nikszyckiemu.
 A na ręce Achmeta Banka:

„O Achmecie, o mój wierny sługo!
 Ty mi zgromadź Nikszycy junaków,
 Wszystko Turki, a nie Kauriny,
 Wszystkich, którzy gotowi do wojny.”

Gdy Achmeta pismo owo doszło,
 Kiedy widział, co mu pismo mówi,
 Chwyta zaraz za porzecz główny,
 Zatyka go w ścianę marmurową,
 I wypali z działa największego.
 Silne k'niemu zgromadza się wojsko.
 A będzie z pięć tysięcy koników,
 A piechoty?!—Któżby ją policzył.
 Z onych pięciu tysięcy żołnierza
 Wybrał sobie sześć sotni mołojców,
 Ode złego ojca, gorszej matki,

(1) Drobniak: okolica na pograniczu pomiędzy Czernogorą a Hercegowiną.

Którym nie żał utracić swęj głowy,
 Ani w boju pożałować prochu,
 Ani głowy odsiec chrześciańskięj.
 Poczęm w drogę z niemi się wyprawia,
 Więć udaje się przez Piwę równą,
 Aż ku Gacku zaszedł przestronnemu,
 Poprzed białą Smailowa wieżę,
 Aż przed wieżę Czengicz-Smail-Agi.
 Tu ich Smajo pięknie zaraz wita,
 Tu nocują, i dobrze im było.

Ej! bys widział trzech banów drobniaekich,
 Od Tuszyna, Cerowic, Nowicę,
 A z Maliski Damjanowicę Mirka,
 Od Petnicy Karadzicza Szulę;
 Jako swoje konie okroczyli,
 Wyjeżdżali z równego Drobniaka,
 I z Moraczu dolnego, górnego,
 Aż do pola Cetińskiego doszli,
 Przed białą Władykową wieżę.
 I tu naszli króla Czarnogórców,
 Bożęj jemu pomocy wzywali.
 Dobrze onych słowa dla się przyjął,
 W swęj osobie Petrowicz Władyka:
 „Dobrze doszli trzej bany drobniaekie!
 Na co rzecze Cerowic Nowica:

„O Władyko, Czarnogórski królu!
 Co my znosim, znosić nie możemy;
 Owo ziemia ścierpieć już nie może
 Tych ucisków i takich bezprawiów,
 A najgłównięj Czengicz-Smail-Agi!
 Kiedy przyjdzie do Drobniaków równych,
 By wybierać grosze i haracze;
 On nie zbiera groszy i haraczy,
 Lecz oddziela owce od jagniątek,
 I cielątka tuczne ode krówek;
 I zagania wszystkie woły nasze,
 A onećto nasze żywiciełę,
 I na tęp mu jeszcze jest nie dosyć:
 On ci pošle Rustanbega syna,
 On go pošle do równych Drobniaków,
 By wybierał grosze i haracze;
 Wszak nie zbiera groszy i haraczy,
 Lecz całuje drobniaekie dziewczęta,
 I niewiasty niedawno zamężne,
 I to w oczach młodzieży drobniaekięj;
 I nie żał mu zabić chrześciauina.

Na co rzecze Damjanowicz Mirko:
 „Gospodynie, Petrowicz, Władyko!

Zechcijże nam wydać pozwolenie;
 Kiedy przyjdzie Czengicz-Smail-Aga,
 Kiedy przyjdzie do Drobniackich równin,
 By wybierać grosze i haracze,
 Wtedy jeno dozwolić nam raczysz,
 Byśmy siłą nań uderzyć mogli,
 Byśmy jemu odrabali głowę,
 I odnieśli do Cetyni równej,
 I rzucili głowę w wały grodu:
 Niech się dziwią młodzi Czarnogórcy,
 Niechaj widzą i mali i wielcy!"

Począł mówi Petrowicz Władyka:
 „Łudzicie się trzej bany drobniackie,
 Łudzicie się i głupio mówicie!
 Wzdycyby Turcy pisma wyprawili,
 Wzdycyby listy Hasan-Bej rozesłał
 Do białego, do Stambułu grodu,
 A na ręce cara potężnego;
 Car napisze do ziemi Rossyjskiej,
 Do onego grodu, Piotrogradu,
 Wzdycyby Turcy pisma rozsyłali,
 Rozsyłali w cztery świata strony:
 Ja się boję korony utracić!"

Odpowie mu Cerowie Nowica:
 „Miłościwy Czarnogórski królu!
 Musisz wiedzieć, musisz i pamiętać:
 Kiedy liczne narzekały matki,
 A kochanki czarno się stroiły,
 Po tym strasznym pod Grachową hoju.
 Pozabijał Czengicz-Smail-Aga,
 Pomordował mnogo Czarnogórców!
 A i ciebie nie mało zasmucił.
 Dziewięć braci, dziewięć Petrowiczów,
 I Michała, brata najstarszego,
 Tamto wszystkich tobie Aga zgubił!"

Gdy to słyszy Petrowicz Władyka,
 (W sercu mu się rany odnowiły),
 Więc się ozwie takowemi słowy:
 Czyto matka nie rodzi junaka?
 Czemuż jego ze mną połączyła, —
 Aniz siostra brata nie chowała?
 Aby Adze połamał on szyki!
 Aby jemu odsiekl także głowę,
 A którą na Cetynię odniósł,
 I postawił na wale grodowym!
 Zaklinam się i przysięgam jemu,
 Że ja jemu budowlę wystawię
 Wedle siebie, jakoby u siebie."

Zakleły się trzy bany drobniackie,
 Zakleli się i przysięgli wiare,
 Że mu szyki połamią niechybnie,
 Gdy przybędzie do Drobniaków równych,
 Ku białemu Malowicza domu.
 Zakleli się na Piotra świętego,
 Puścili się bracia w dalszą drogę,
 I odeszli ze Drobniackich równin,
 Do białego do Nowicy domu.
 Tu mi bujne popijali wino,
 Tak zaś mówi Cerowicz Nowica:
 „Oba bracia, oba pobratymy!
 Przysięgliśmy na Piotra świętego,
 Jeśli przyjdzie Czengicz-Smail-Aga,
 Jeśli przyjdzie k'Malowicza wieży,
 To my Adze zawiążemy oczy!”

Kiedy jeszcze ciągle rozmawiają.
 Słysząc szepty po równych Drobniakach,
 Że tam przybył Czengicz-Smail-Aga,
 Do białego Malowicza domu.
 Tubyś widział Karadziecza Szulę,
 Jako począł mówić ów Nowica,
 Aby chodził na nowe wycieczki,
 By zgromadzić Czarnogórską młodzież,
 Że sam pójdzie k'Malowicza wieży:
 Gdyby Bóg i szczęście dopisało,
 Gdyby Smaila udało się zdurzyć!
 Wyprowadzić na górną Meczilę,
 Gdzie są doły zdradzieckie oddawna,
 Z poza których dobrze jest uderzać.
 A zaś przeszkód, jest prawie bez liku,
 „A jeśliby miał mnie zgubić Smail,
 Pomściecie mnie, jeśli Boga znacie!”

Zakleli się oba pobratymy,
 Jeśliby miał zgubić jego Smail,
 Że gotowi się za niego pomścić!
 Idzie Szule k'Malowicza wieży,
 A kiedy się zbliżał już ku wieży,
 Zaraz Turcy, Szulę uwidzieli,
 Poczém mówią Turcy tak do siebie:
 „Alah, Alah, tobie Boże chwała!
 Ześmy dzisiaj Szulę dopatrzyli;
 Co z nim pocznie Czengicz-Smail-Aga?
 Jaką przecie śmierć on jemu zada?”

W téjże chwili Karadzieczów Szula,
 Zaraz Turkom dnia dobrego życzy,
 A Turczyni dobrze to przyjęli.
 Wchodzi Szula na wieżycę białą,

Tu mi naszedł Czengicz-Smail-Agę,
 Obok niego Malowicza, Dziukę,
 Jak się skarżył na biedne Drobniaki.

Kiedy Smail zobaczył tu Szulę,
 Temi słowy zaczął doń przemawiać:
 „Gdzieś ty Szulo? prawdziwy siepaczu!
 Gdzie są twoi oba pobratymy?”

Na co zaraz rzekł Karadzicz Szula:
 „Panie możny, Czengicz-Smail-Ago
 Ja nie jestem wcale żaden siepacz,
 Obok ciebie zaraz siepacz-stoi,
 Który kłamie na biedne Drobniaki.”

Na co znowu Czengicz-Smail-Aga:
 „Gdzie są twoje oba pobratymy?”
 Zręcznie kłamie Karadzicza Szule:
 „Oni poszli do Drobniackich równin,
 Oni ciebie pięknie pozdrowili;
 Nazbierają groszy i haraczy,
 I przyniosą na górną Meczilę;
 I dowiozą pięknych tobie dziewcząt,
 Byś je ścisnął, Czengicz-Smail-Ago,
 I to w oczach Drobniackiej młodzieży:
 Niechaj widzą i młodzi i starzy,
 Jak miłuje Czengicz-Smail-Aga.”

To Smajowi bardzo miłym było,
 Myślał bowiem, że to wszystko prawda,
 Więc przyzywa Achmeta Banka:
 „O Achmecie, o mój wierny sługo!
 Przyprowadź mi tuczego deresza,
 Byśmy wyszli na górną Meczilę,
 Tam wybierać grosze i haracze;
 Ale jeśli prawdą to nie będzie,
 I jeśli mnie Szula okpił zdradno,
 Ręką moją odrąbnę mu głowę!”

Gdy to słyszy sześć sotni mołojców,
 Każdy dosiadł pięknego deresza,
 I na siodle zgrabnie się sadowi.
 Wtedy mówi Karadziczów Szula,
 Aby mu trzy dali sotnie druhów,
 A na druha po dobrej opończy,
 Każdemu też na naboje torbę,
 Że więc pójdzie przez górę Otreską,
 By obejrzeć wszystkie skrycia ciemne,
 Aby wpadli na drużstwo hajducy,
 By na Smaja uderzyć nie mogli!
 A boją się, by nie stracić głowy.

Więc mu dali trzy sotnie mołojców.
 A on z nimi w drogę się wybiera,

I puszcza się szerokim gościńcem,
 Wprowadzając na doły zdradzieckie,
 A gdzie ziemia krwi ludzkiej jest chciwa,
 A zaś orły mięsa junackiego.
 Wokoło nich marmurów przemnego,
 Gdzie je byli starzy porzucali;
 Tam zaś idzie Szula je odnowić,
 Miły Boże, we wszem Tobie chwala!—
 Gdybyś widział Musę Kapetana,
 Od Krzywosza grodu małego,
 Jak ciasne pozajmował doły;
 Pozajmował na wsze cztery strony;
 Wkoło Musy do dwustu drożyny:
 Obok niego Czengiczów Nowica,
 Arambasza Damjanowicz Mirko.
 Życzył sobie zaś Musa Kapetan,
 Aby Smaja głowę swą położył.
 Pod tę dobę Czengicz-Smail-Aga,
 Na dereszu swoim lekkonogim:
 „A jakież on! zawyły wnet wilki—
 Chociażby miał oczy sokołowe,
 Nie może się junak mu napatrzeć!
 Za nim jedzie sześć sotni mołojców.
 Od głośnego grodu Trzebińskiego,
 Puszka z jodły wystrzeli zielonej,
 Właśnie puszka Musy Kapetana,
 I zabija Jankowicz, Osmana;
 Miły Boże, cudów nadzwyczajnych!
 Tu zobaczysz wielką biedę ludzką:
 Z przodu, z tyłu, zaczęła się walka!
 Działek dwieście wystrzeliło razem,
 Pada zarazem dwie seciny Turków,
 Błysnie, huknie, krwi strumienie płyną:
 Odbiegają konie bez junaków.
 A mołojce bez koników wronych!
 Pada ciemność od nieba do ziemi,
 A brat brata i poznać nie może.
 Wśród tak wiele prochu i ołowiu,
 Boga prosi Cerowicz Nowica:
 Aby od gór powiewał wiaterek,
 By rozegnał ciemności z Petrowa,
 Boga prasi, to Go i ubłagał.
 Wisje zaraz miły wietrzyk z góry,
 Ciemno znika na górze Petrowej.
 Gdy mu się więc dało okiem przejrzeć,
 Wielki Boże, cudów nadzwyczajnych!
 Potokami płynęła krew czarna;
 W każdym krzaku walają się głowy,

Wszystkie głowy bez swoich kadłubów,
 Z chmary Turków nikt się nie pozostał,
 Jeden tylko Achmet Bank uszedł
 Ujeżdżając na swojej kobyle;
 Aniby go Wile dopędziły!
 A tuż za nim Czengicz-Smail-Aga,
 Lecz go dola nieszczęsna spotkała,
 Strzeli nagle puszką Ryszliana,
 Ominęła Damjanowicz-Mirka,
 Smail-Agi konika trafiła,
 Dwie koniowi nogi połamała;
 Pada deresz na zieloną trawę.
 Nagle jego junak dościguje,
 Przeskoczy go trzy lub cztery razy,
 Jako sokół orła potężnego.

Wtedy mowi Czengicz-Smail-Aga:
 „Bogiem bracie, Damjanowicz, Mirko!
 Nie odcinajże mi rusėj głowy,
 Weź dla siebie te trzysta dukatów!”

„Nic zaiste, choćbys mi gród dawał,
 Choćby to był biały gród Nikrzycki!”

Rozegrzało się serce w junaku.
 Zaraz szablę dobywa swą ostrą.
 Tak go lekko szabelką uderzył,
 Że go na dwie połowy rozplątał;
 Smail Adze odcina wnet głowę,
 Onę wetknął do końskiej torbicy.
 Poczém junak krzepko się podźwignie,
 I zbliża się do swojej drużyny;
 Gdy się zacznie drużyna obliczać,
 Wyginęło do trzydziestu druhów.
 Teraz głowy przerzucać poczęli,
 Wszystkie rzędem biedne postavili,
 Naliczyli ich prawie trzydzieści,
 Oprócz jednej, której niema śladu;
 Więc się wzięli do przejrzenia liców
 Z wąsem czarnym i rusemi włosy;
 Wszystkich braci rzędem poznawali,
 Lecz nie znaleźć głowy chorążego:
 Niema po nim ni śladu ni głosu
 I niema między towarzystwem!—
 Wszystko płacze i wszystko narzeka!
 Niema głowy, a i trupa niema,
 Po junaku Markiszu chorążym!

Gdybys widział Damjanowicz Mirka,
 Jak on bieży przez górę Petrową!
 I jak na téj gorze czegoś woła!
 Oto wzywa swoich pobratymow!

Skoczy Mirko jako jelen lekki,
 I przybiega k'Markicz chorążemu;
 Kiedy ujrzał Markicz chorążego,
 Wnet mu gorzkie łzy po twarzy płyną;
 Ręki lewój niéma, bo odcięta;—
 Gdy się zbliżył junak do Markicza,
 Na Markiczu ran ośmnaście ujrzał.

Tu przemówi Damjanowicz-Mirko:
 „Są-li rany bracie, tve śmiertelne?
 Może téż są i do wyleczenia!”

Na to rzecze wnet Markicz chorąży:
 „Bóg to sam wié, czy ja to przeżyję!
 Mirko jemu rany obwiązuje,
 Poczém bierze na plecy jnnackie,
 I zanosi do swojej drużyny;
 Tu go wsadzą na siodełko zgrabne,
 I zaraz się drużyna podźwięła,
 I zabiera po Turkach bogactwa;
 Puszczają się k'równinie Cetińskiéj,
 Każdy niesie głowę po junaku;
 Damjanowicz trzy głowy junackie.
 Zbliżają się do swojego króla,
 Po imieniu Petrowicz, Władyki.
 Gdy on widzi Smail-Agi głowę,
 Gdy ją widzi Petrowicz Władyka,
 Temi słowy do junaków rzecze:
 „Oj junacze! Damjanowicz, Mirko!
 Oj junaku, o ty Kapetanie!
 Wystawię ci przepyszny budynek
 Obok siebie, jakoby u siebie!
 Iście taki Cerowicz, Nowicy,
 Junakowi Karadzicza Szuli.”

Potém szczerze król ich obdarował:
 Jednemu dał obszerną posiadłość,
 A drugiemu chlubne kapetaństwo,
 A trzeciemu województwo korzystne,
 Zaś głowami ozdabiają rowy.
 Powychodzą i młodzi i starzy,
 By podziwiać sławetne junaetwo!
 Tambyś widział Petrowieza króla,
 Jakie świetne wyprawia zabawy:
 Pięćset razy z dział wypalić kazał:
 Poczém swoje złote stoły stawia,
 I kolejno junaków posadza,
 Częstuje ich chlebem bieluteńkim,
 Jagniętami na palec tłustemi
 I otwiera swoje sklepy chłodne,

Każę przynieść rumianego wina,
Tam ich poi prawie cały tydzień.
Sam im służy cny król Czarnogórski!
Raduje się Czarnogórska ziemia,
Weselą się i młodzi i starzy,
A najwięcej cały Drobniak równy,
Gdzie już niema tych szkodników srogich,
Gdzie nie widać Czengicz-Smail-Agi.

Tak to było, moja bracio miła!
Tak to było, tak się też wspomina,
Jako w roku dzień świętego Jura!



STARY WOJAK.

RZECZ PRAWDZIWA.

Patrząc na zgarbionego staruszka wychudłego, ale pomimo ośmiu krzyżyków jakie na nim ciążyły mogły, dość jeszcze czerstwego, który się kręcił, a prawdę mówiąc więcej się na miejscu obracał w usługach generała R.... zawsze brała mnie ciekawość zapytania generała o historią tego człowieka; tym więcej, że z nim rozmaite koleje, kampanie i wędrówki przechodził.

Eliasz był małomówny, trochę nawet ponury w obejściu, w odpowiedziach przebijały się w nim obywatelskie nawyki, ale pilność, wierność nieposzlakowana, odznaczały jego usługi i zjednały mu pewien rodzaj szacunku, jaki charakter człowieka w każdym stanie wyrobić sobie może. Za próg domu nie wychodził i zawsze można go było zastać z założonemi na nos okularami, czytającego Heroinę chrześcijańską, na której pomrukiwał swe pacierze. Odwiedzającego, jeżeli generała w domu nie było, zbywał krótką odpowiedzią i starannie drzwi za nim zamykał, niezawijając rozmowy, z kądby go można było wyciągnąć na słowo i wypytać, co też widział, jaki miał pogląd na wypadki w ówczesnej epoce zaszły. Wszakże każdy żołnierz

z owych czasów wyniósł swą historią, anegdoty, zabawne często farsy, które zebranój pod domowym dachem rodzinie, lub gdzie na kiermaszu popijając, słuchaczom swym opowiadał. Przyboczny świadek tak znakomitego wojskowego jakim był generał R.... którego pierś kilka krzyżów zdobyło, a kresy na twarzy i otwierające się w starości rany, świadczyły najlepiej że się dość prochu nawąchał i z kulami widział; taki świadek musiał się na wiele rzeczy napatrzeć, dużo przejść niebezpieczeństw i trudów, i więcej jeszcze od swego pana ucierpieć. Ale trudno od niego dowiedzieć się było szczegółów, a generał zapytany, jak dawno Eliasza zostawał, odpowiadał: że go zastał sierżantem w legionach i odtąd nie rozłączali się z sobą. Rzeczywiście patrząc na ich pochylone wiekiem postacie, i na poorażone oblicza; na ten stosunek dochowany tak długo między panem a sługą, co ich wzajemnego charakteru jawnym było dowodem, tém więcej czułem dla nich szacunku, im bardziej przykłady podobne stają się rzadsze. Lecz jeżeli Eliasza mało był mówiący, to i generał niebardzo do rozmowy był pochopny. „Starzy” mawiał, „powtarzać się zwykli i zapominają kiedy byli młodzi, jak ich stare gaduły nudzili; a to co w mém życiu zajmującego uznałem, to dla życzliwych mi osób w wspomnieniach mych zostawię.”

Robiłem mu uwagi, że historia takiego męża, o którym w buletynach wielkiej armii dość często wspominało, powinna być ludziom, a szczególnież téż rodakom chlubiącym się jego imieniem, bliżej znaną.

Nie dał się atoli przekonać, i widać było, że marszczył czoło ile razy przyszło mu mówić o téj epoce, która była polem jego tryumfów i zasług.

Oddawna osiedlił się w wiejskiej, prześlicznie przez siebie urządzonej majętności, żył skromnie, zbierał pieniądze, rachował się bardzo skrupulatnie, jednakże wiele dobrego świadczył; sąsiadom był użytecznym

przychodząc im w pomoc w każdej potrzebie, ale nie biorąc od nikogo procentu: niechże mu kto na termin do godziny nie dotrzymał, już na zawsze kredyt utracił. „Akuratność, mawiał, jest charakterem człowieka; rzadkie bardzo wypadki wymawiać mogą, ale o nich rzetelność prawdziwa uprzedzać każe,” i lubo jego klientom ta surowa lecz sprawiedliwa zasada zdawała się dziwactwem, dlatego jednak powszechnie go lubiono i poważano.

I Eliasz nie był bez grosza: oszczędny, nie niepijący nad wodę, dusił grosze odmawiając ich kołaczącym do niego lub trafiającym przez służbę do pana. Interesantów sucho pozbywał, że sam nie ma, a w interesa pańskie mieszać się nie może. Co jedynie zarzucić można było Eliaszowi, to jego sknerstwo i chciwość, jaką okazywał dla pieniędzy, i ztąd pozwoliłem raz sobie zrobić mu uwagę, na co chowa i dla kogo zbiera? A że miałem pewne u niego względy, i co najwięcej, że mnie interesownym nie widział, tak mi się wytłumaczył:

— Zle mnie pan sądzisz, uważając żeś chciwy; pieniądz o tyle jest miły, o ile potrzebom człowieka użyteczny. Mnie niczego niepotrzeba: mam wszystko z łaski mojego dowódcy, zapłacony jestem regularnie, więcej może niżem wart za moje stare usługi; ale kiedy obejść się można, czemu nie oszczędzić i po śmierci nie zapomnieć o drugich. Aby dobrze zrobić zawsze jest czas, i później ludzie wspomną i za grzeszną duszę się pomodlą.

Odpowiedziałem z uśmiechem: iż żyjąc tak długo w wojsku niezonatym, musiał dużo nabroić, i grzechów takich mieć dosyć. Chciałem z téj strony zaczepić jego miłe wspomnienia i doprowadzić do zwierzeń, do których mnie pewna ciekawość ciągnęła: ale on skrzywił się, westchnął i nic nie odpowiedział.

W rzeczy samej było to dość szczególne, iżby pan ze służbą doczekali się późnej starości, nie pomyślawszy

w młodszych latach o związkach małżeńskich, kiedy starość jedne tylko rodzinne związki ostodzić i uprzyjemnić może.

Generał gdy był w dobrym humorze i w tej kwestyi zaczepiony został, wyznał szczerze, że z całego serca żałuje że się nie ożenił, ale że mu się zdawało, iż czas będzie o tém pomyśleć; tak zwlekał, aż się obejrzał że zapóźno; a z siwym włosem myśleć o żonie tak samo, jak zasiewać w listopadzie. Na Eliaszu zapytanie w tym rodzaju przykre sprawiało wrażenie.

Przyjechałem do generała w grudniu 183... a kilka mil w śnieżystą zadymkę po ostrój grudzie tak mię zmęczyły, jak dawno nie pamiętam. Zastałem zacnego starca przed kominkiem czytającego świeżo mu nadestane Pamiętniki Gourgaud i Montholona, pisane pod okiem nieśmiertelnego wygnańca; przyjął mnie serdecznie, nigdy go w tak brylantowym nie widziałem humorze i niesłychanie mi był wdzięczny, że go w taką porę odwiedzam, tém więcój, że miał sposobność pomówić o dziele, co go tyle zajęło, iż wpadł w entuzjazm dla wierności opowiadania, gładkiego stylu i wojskowego charakteru, z jakim genialny autor przedstawiał bitwy i politykę owój wielkiej epoki. Właśnie w chwili mego przybycia generał był w opisie wyprawy hiszpańskiej, tego najkrwawszego ze wszystkich dramatu. Przebaczał nawet narodową stronność, że przyznając wielkie dzieła oręza Francuzom, niezamieszczeni byli Polacy, którzy w tym straszliwym epizodzie tak wielki udział mieli. Od samego początku opisu ekspedycya hiszpańska uważaną była za jeden z najniesprawiedliwszych czynów polityki cesarskiej, i jak późniejsze okazały następstwa, Pirenee przygotowały św. Helenę. W trakcie tych zajmujących ustępów i zapału generała, z czém występować nie miał zwyczaju, a co tém więcój poświadczało, iż co opowiadał było tak prawdziwe i czyste jak jego dusza, Eliasz wniósł zapleśniałą butelkę, którą zziębnięty i drogą zmęczony, z tém

większém powitałem zadowoleniem. Ale gdy Eliasz usłyszał nazwiska miejsc mu znanych jak Samossierra, Saragossa, Bajlen i t. p. widocznie się zmieszał i o mało co szacowny i pokrzepiający przybór nie wypadł mu z ręki. Postrzegł to i generał, poklepał go po ramieniu, uśmiechnął się, i nalawszy kieliszek, starego sługę poczęstował. „Dobre i smutne to były czasy,” westchnął Eliasz.

— *Passato comme un stanto*—odpowiedział generał, a Eliasz wyszedł z widoczném wzruszeniem. Generał także się zachmurzył, a ta ogólnie rzucona między nimi rozmowa coraz mię bardziej zajmować zaczęła.

— Niedarmo—przerwał generał chwilowe milczenie—tak dawno z sobą jesteśmy: rozumiemy się na wyłot, a mój Eliasz w dobrój był szkole.

— Odbywał kampanie z panem generałem?—zapytałem—służył w wojsku czy też zawsze na straży butelek zostawał?

— I owszem: był to jeden z bardzo walecznych żołnierzy, odznaczał się dzielnie, i jeżeli na starość więcej jako przyjaciel niż jako sługa u mnie zostaje, mam też wzgląd na jego szczere do siebie przywiązanie i na uczciwość z jaką się zawsze prowadził.

— I jakże się stało—zapytałem zdziwiony—że taki człowiek nie wyrobił sobie w wojsku karyery?

— Młodość daje wiele, kiedy się umie ją prowadzić, ale odbiera z lichwą, skoro się jęj raz przekroczyć dozwoli: krok fałszywy zrzuca z drogi i często jedną chwilę błędu, całym życiem opłacić nie można. Eliasz może być przykładem, jak w młodym wszystko działa, i to co się w początku zyska, na jeden raz stracić można. Piękną jest młodość silna zdrowiem, myślą i wolą: za ledwie co przedsięwzięmie, zaraz w czyn wprowadza; ale rzadko wytrwała, mało cierpliwa, przy swych namiętnościach wrzających. byle się raz pośliznęła, już jęj się dźwignąć trudno. Sercem i szablą

byliśmy towarzyszami na jedném polu: wypadki następowały jedne po drugich, nasze ułany stały się głośne w wielkich dramatach wojennych, które całą Europę wstrząsnęły. Nerozdzieleni z sobą, patrzyliśmy na siebie, czy który żyje i czy krew na którym nie płynie. Gdym przybył do legionów, Eliasza miał rok służby przedemną, a że dzielnie się sprawiał, nazywano go w pułku zuchem Mazurów. Sliczny téżto był żołnierz z niego! Zbudowany jak go teraz jeszcze widzisz silnie, zaczął męźnić w obozie. Przystojny więć jak mężczyźnie potrzeba, pojętny, z szaloną do języków łatwością, których się nauczyłszy tak dokładnie wymawiał, jakby tam był zrodzony, odważny, niczém się niezrażający, wszystko mu było podobne i nietrudne, a przytém wstrzeźliwy, skromny, prawości rzadkiej, pełnił służbę z całym poświęceniem i zamiłowaniem swego stanu. Pochodząc z jednéj okolicy i jak to mówią z jednego gniazda, przywiązaliśmy się do siebie i dawne koleżeńskie rachunki mamy z sobą.

Prosiłem generała o udzielenie mi historyi Eliasza, którego postać w obec epoki i tak chlubnego świadectwa generała, nabyła szacunku i interesu.

— Przerzekłem—odpowiedział generał—zachować tajemnicę, którą tobie jako przyjacielowi powierzam dlatego tylko, że mam sposobność dać ci poznać wielkość duszy Eliasza i zarazem okazać, jak dalece człowiek winien czuwać nad sobą, aby się utrzymać i w obranej drodze nie zbłądzić: jedna tylko prośba, że to poufne zwierzenie zatrzymasz przy sobie aż do naszej śmierci.

Oświadczyłem generałowi całą mą wdzięczność za położone we mnie zaufanie, i że święcie tajemnicy wedle jego żądania dochowam. Zaczny weteran ze zwykłym sobie wdziękiem opowiadania, tak dalej rzecz prowadził:

— Od czasu poznania się z Eliaszem i wejścia z nim w bliższe stosunki, los wojny nie bez wzajemnego żalu

rozdzielał nas z sobą: on poszedł do Hiszpanii, ja do Niemiec. Po bitwie pod Ejlau, gdzie ciężko byłem ranny, odesłano mię do Francyi, zkąd po zupełnym wyzdrowieniu otrzymałem przeznaczenie napowrót do Hiszpanii, gdzie z Eliaszem powtórnie znaleźliśmy się razem w pułku walecznego pułkownika Koz... Wspominałem ci o jego szczególniej do języków łatwości: tą razą posłużyła mu miłość w córce Alkady, gdzie stojąc przeszło pół roku na kwaterze tak się wprawił w tameczny dyalekt, trablał gangozo, jak Hiszpanie nazywają, że go od rodowitego Baska ani można było odróżnić. Niepodobna mieć wyobrażenia, ani żaden opis oddać nie jest w stanie, czém była kampania hiszpańska. Księża ogromnie zfanatyzowali lud, wystawiając nas jako niewiernych bezbożników z piekła na ich ziemię zesłanych i zapewniając wieki odpustu za głowę każdego z potępieńców. Trzeba téż było mieć się na baczności: na każdym kroku ludzie ginęli nam w oczach, a szczególniej w wąwozach gdzie trójkami przejść nie można było, i pojedynczo maszerować należało. Gdzie krzaki lub rozdół, tam pewna zasadzka: strzelą kilka razy, ubiją kilku ludzi, a pójść w pogoń za nimi ani śladu człowieka. W obozie ani na chwilę nie można było pozostać bezpiecznym, a w nocy placówki musiały być zwiększane, co przy ciągłych marszach i furazowaniu niestychanie żołnierzy naszych męczyło.

Staliśmy właśnie na noclegu po jednej z takich wycieczek, uganiając się za zuchwałym kabecyllą, który bardzo nam dokuczał i w górach się trzymał; w dzień ani wiedzieć gdzie się chował, a w nocy zręcznie podkradał się pod obóz i placówki często nam sprzątał. Polowaliśmy téż na niego dość długo; pierwsze straże miały rozkaz za dostrzeżeniem najmniejszego ruchu, dawać ognia na hasło, aby mieć się w pogotowiu do obrony. Zmordowani całodziennym trudem żołnierze moi spali jak zabici, gdy wtém wystrzał z posterunku wszy-

stkich przebudził: każdy za broń, do konia, gdy zdaleka dał się słyszeć odgłos, „swój” i tętent koni, poczem poznaliśmy, że jadą z rozkazem, jak zwykle posyłano po kilku ludzi dla pewności. Placówka spełniła swą powinność, a my ujrzelśmy żandarmów francuzkich jadących z rozkazem, abym w chwili odebrania go, z wachmistrem Eliaszem stawił się i natychmiast głównodowodzącemu zameldował. Gdym Eliasza przywołać kazał i oświadczyłem mu, iż się ze mną do głównej kwatery udaje, trzeba było widzieć żołnierskie sympaty, z jakimi go żegnano, winszując awansu: drudzy zaś ściskali go z czułością przepowiadając, iż zapewne do żandarmów przeniesionym zostanie. Żandarmy, był to wybór ludzi: pilni, czynni, niezmordowani, czuwali ciągle nad porządkiem i bezpieczeństwem armii; w nocy widzieli jak koty i ze swemi ciężkimi końmi drapali się po górach jak antylopy: prawdziwie można powiedzieć, że takiej zręczności, przytomności umysłu i przenikliwości nie zrównać nie mogło. Wielka wprawa ciągle czynnego życia, wytrwałość żelazna, pilność, trafność uchwycenia każdego wypadku, przewyciężenia wszelkich trudności—nadmierzajne. Mało które wojsko doborem podobnych ludzi poszczycić się mogło. Za ledwie stanąłem w głównej kwaterze, oficer służbowy wprowadził mię do marszałka Suchet głównie dowodzącego armią czynną w Hiszpanii. Fizyognomia zimna, ponura, bez zajęcia, wyrażała wolę spełnienia tego, co chciał bez żadnych uwag, ani trudności, i znanym téż był z tego, że gdyby szło o życie, co powiedział, rozkazał, święcie wykonane być musiało. Nie znał uprzejmości, nie wdawał się w rozmowę, odrazu przystępował do rzeczy, i temu postępowaniu, téj karności aż do zbytku posuniętej, przypisać należało, żeśmy potrafili trzymać się w Hiszpani, przerzucając się z polowej kampanii na partyzantkę, jak tego okoliczności i położenie rzeczy wymagało.

— Doniesiono mi—rzekł do mnie ani głową kiwnąwszy—że w twym oddziale masz żołnierza, który mówi po hiszpańsku językiem prowincyjalnym, jaki mi właśnie jest potrzebny.

— Tak, panie marszałku: sierżant mój doskonale mówi tym językiem i rozmawia z jeńcami, którzy pienia się ze złości, biorąc go za rodowitego Hiszpana, który przeszedł w służbę naszą.

— Dawno służy, jakie sprawowanie, roztropny, odważny?

— Dwanaście lat służby—odrzekłem—trzy kampanie, męstwo lwa, pojętność rzadka, sprawowanie wzorowe!

— Odpowiadasz za niego w razie użycia go do potrzebnych w dzisiejszych okolicznościach poleceń?

— Tak p. marszałku: biorę odpowiedzialność, że wszystkiego dopełni co tylko z honorem żołnierza jest zgodne.

Marszałek spojrział na mnie znacząco, brwi nasunął i sucho wyrzekł:— Jak kto rozumie powinność żołnierza; a później ostro dodał:—dobrze, niech zostanie, wracaj do komendy bo zrana jeszcze nowe otrzymacie rozkazy.

Wychodząc od marszałka, kazałem podać konia, nie mając chwili pożegnać mego towarzysza, który otoczony służbowymi oficerami widzieć się ze mną nie zdążył.

Wróciłem na me stanowisko eskortowany podobnie jak tam jechałem, ale smutny z rozstania się z mym dzielnym wachmistrzem, który mi był prawą ręką w méj komendzie; tém więcej, iż marszałek niepróżno dowiedziawszy się o nim, że mówi po hiszpańsku przywołać go kazał: z kąd można było się domyślać, iż go do ułożonego naprzód planu użyje. Naturalnie szło tu o tajemniczą wysyłkę, którejby się żaden Hiszpan za wszelką cenę nie podjął; bo trzeba przyznać

Hiszpanom, że jakkolwiek chciwi na pieniądze, za skarby świata do przełamania postu i zdrady swoich skłonić się nie dadzą. Żałowałem serdecznie mego towarzysza, nie dlatego abym nie był przekonany, iż wypełni z poświęceniem poruczoną mu missyą, która w użyteczności swój często armią ocala i nieraz więcej od ważnej bitwy znaczy; ale żem widział niebezpieczeństwa do podobnego przedsięwzięcia przywiązane, zwłaszcza w kraju, trzęsącym się podejrzliwością i zemstą. W wojsku, wśród przeważnych okoliczności, kiedy kto występuje z szeregów, aby powziąć na nieprzyjaciela wiadomość do ogólnego ruchu potrzebną, bez osobistego w tém interesu, ani widoku: to jest poświęcenie często więcej znaczące od uderzenia na armaty.

Tymczasem wypadki szybko następowały po sobie; w bitwach łatwo się zapomina o tych, których się przed chwilą widziało. Nas rzucano z miejsca na miejsce wśród gradu ciągłego ognia, zasadzki i ubytku w szeregach, który przybywającymi z rezerw, o ile można było, zapełniał się. Żołnierze moi pełni byli zapału, niezmordowanej wytrwałości; a czém jest moc ducha i siła woli, to żołnierz najlepiej okazać może, kiedy reprezentuje zarazem odwagę wojskową i bohaterstwo cywilne. Zmęczeni, niezsiadający prawie z koni, poczciwe te wiarusy zdawali się przy braku żywności i spoczynku upadać nieraz ze znużenia i trudów, a dlatego byle trębacz dał się słyszeć, zaraz na konia, za broń i w marsz dalej. Nie dziw więc, że wśród takiego ruchliwego życia lubiony i kochany powszechnie Elias, wyszedł zupełnie z pamięci: jam tylko nieraz szczerze za nim westchnął, wspomniawszy, że go gdzie na drzewie kruki objadają. Staliśmy wówczas koło Grenady, w téj prześlicznej okolicy, jakiej drugiej znaleźć trudno: cała piękność natury i wzniosłość sztuki rzuciły w te miejsca bogactwa swoje. Grenada jestto jeden z najpyszniejszych pomników starożytności.

Gdy królowie katoliccy w 1442 r. opanowali to miasto, miało ono trzy mile obwodu, 1,030 wież broniły jego wałów, zamykających 400,000 mieszkańców. Albajzym i Alhambra fortece mieściły każda z nich po 40,000 załogi. Grenada zbudowana w półkole na dwóch wzgórzach u spodu, z których płyną nieskończone strumienie źródlanej wody, tak rzadkiej w innych częściach palącej skwarem słonecznym Andaluzji, uprawia ziemię, użyznia okolice obfite w nieporównane urodzaje zboża, warzywa i owoców. Albajzym jest tylko przedmieściem przedzielającym miasto wałem fortyfikacyjnym. Alhambra dawna stolica królów maurytańskich, zniszczoną została dla otworzenia placu przed nowym zamkiem, który Karol I-szy postawić kazał. Odszukują teraz przepysznych szczątków okazałości Maurów, ich zbytku, wysokiego gustu, wytwornej wystawności i genialnych pomysłów ich artystów. Do stojącego w ruinach zamku wchodzi się dziedzińcem kwadratowym, tworzącym kwadrat długi, otoczony galerią podpieraną kolumnami z białego marmuru. Kolumny te, po dwie i trzy z sobą złączone z szczególnym gustem, wyniesione są z lekkością i cudownym wdziękiem. Mury pokryte ozdobami arabesków, malowideł i złocień, z rzadką wykończoną delikatnością. Dwie kopuły nader wytworne wychodzą z wewnątrz dwóch załamek kwadratu, przy którym wodotryski donoszą wodę do obszernego bassenu, zajmującego środek dziedzińca: ten bassen nabył historycznej pamiątki ztąd, że Boabil ostatni król Grenady kazał przy nim ściąć trzydziestu sześciu wojowników z pokolenia Abenzerragów. W zamku sklepienia, sufity, odrzwi są złoczone, w innych salach inkrustowane marmurem, jaspisem, porfirem: wszystko pokryte hieroglificznymi napisami z mozaiki. Prześliczną płaszczyznę pokrywa przy Soto de Roma gaj z wiązów, białych topoli i jesionów, za którymi idą aleje i klomby drzew morwy, fig, pomarańczy

i oliwy. Słowem jestto raj na ziemi, o którym św. Ireneusz powiedział, że przeznaczony dla ludzi dobrej woli. Zboczyłem od rzeczy dając szkic Grenady, która z wielu względów została mi w pamięci; powracam więc do naszego opowiadania odnoszącego się do losów Eliasza.

Wojna stawiała się coraz bardziej morderczą: nie oszczędzali jedni drugich. Gniew, zemsta, wściekłość żołnierzy przeciw księżom, którzy z krzyżem i z bronią w ręku szli na czele band uzbrojonych od stóp do głowy, były bez granic. Pomimo całej surowości, karność utrzymać się nie dała: ksiądz jak się dostał w ręce żołnierzy, rozdierano go z tygrysią wściekłością, obierano klasztory z bogactw wiekami i pobożnością narodu nagromadzonych, nie szanowano niczego: złoto, kosztowności, brylanty walały się w piasku i w błocie, nikt nie przywiązywał wartości do rzeczy, kiedy co chwila życie było na włosku. Tylko krew wroga wyciśnięta z żył jego z rodzajem wymyślonej męczarni, walające się po drogach trupy poszarpane, lub przy tlejących ogniskach spieczone przez gerylasów, szkielety na szubienicach od wiatrów poczernione, to był widok nieporównanej zjadłości ludzi, z których jedni za swą niepodległość, drudzy za honor swego oręża walczyli. Kilka miesięcy upłynęło od rozstania się z Eliaszem: położenie nasze było krytyczne, zwiększone podaniem się Duponta, który ścieśniony w wąwozach, wycieńczony codziennym ubytkiem ludzi i koni, napadany ze wszystkich stron od gerylasów, którzy w dzień i w nocy pokoju mu nie dali, a bronić się nie mógł; gdy niepodobna mu było dłużej się trzymać, a o posiłkach ani myśleć, kiedy na innych punktach trzeba się było pilnować, skoro mu przytém żywności i wody zabrakło: Dupont, jeden z walecznych generałów z dwudziestotysięcznym korpusem musiał się oddać w ręce Castanosa, późniejszego księcia Bajien. Ale i w tym nieszczę-

śliwym wypadku muszę ci powiedzieć jeden ustęp przynoszący zaszczyt naszym chorągwiom. Pułk nasz liniowy, nie wymieniam który, znajdował się w korpusie Duponta. Skoro na zebranej u dowodzącego generała radzie postanowioném zostało poddanie się, pułkownik tego pułku K... z oficerem przebija się i cudem dostaje do kwatery marszałka Suchet, piérwszy go zawiadamiając o téj straszliwój katastrofie. Suchet lubił pułkownika, a szczególnie téż marszałkowa w ścisłej z jego żoną zostawała przyjaźni. Gdy mu pułkownik całe położenie opowiedział, marszałek dotkliwie przyjąwszy tę wiadomość, nie mógł wyjść z zadziwienia, jakim sposobem pułkownik ze środka nieprzyjaciół wokoło stojących mógł się wydostać, i właśnie układał rapport do cesarza, donosząc o tym niestęchanym w armii francuzkiej wypadku, i nie pomijając pułkownika, który straszliwemu takiemu nieprzyjacielowi ująć potrafił. Ale jakież było obydwóch zdziwienie, gdy w téj chwili dały się słyszeć bębny i defilujące przed główną kwaterą dwa bataliony z tego samego pułku, którym dowodził pułkownik: major z kilką oficerami przeprowadzili przez ogień nieprzyjacielski te bataliony, które się do swych orłów dostały. Nie zmniejszało to mężstwa pułkownika, ale tak to wziął do serca, iż wkrótce potém postanowiwszy zginąć w jednéj z potyczek, bijąc się jak lew na czele tychże samych batalionów, padł trupem, zostawiając po sobie pamięć mężnego i zasłużonego żołnierza.

W takichto byliśmy przeprawach, w tak okropnych trudnościach, kiedy dla odpoczynku stojąc w oznaczonym punkcie, żołnierze rozsiedłali konie i dali się nam widzieć żandarmy prowadzący wózek mułem zaprzężony, a w nim wyżółtkiego i wychudłego człowieka. Zapewne nowa egzekucya pomyślałem: przyśyłają dla formalności; a takie wypadki tak były częste, iż to była najsmutniejsza służba, jaką należało wypełnić. Alem ostupiał gdy ten przybysz z tam-

tego świata, poznawszy mnie siedzącego przy ognisku z żołnierzami jeść gotującymi, rzuca mi się na szyję, całuje po rękach i stłumionym głosem jakby z pod ziemi przemawia: „jeszcze cię oglądam, prosiłem Boga, aby mi nie dał umrzeć bez pożegnania się z tobą.” Poznaje mojego Eliasza, ale w jakimże stanie? Trudno było dowiedzieć się co więcej od niego, bo ze wzruszenia wycieńczony niemocą, stracił przytomność, i przyćmionym wzrokiem wokoło siebie spoglądał. Eskortujący żandarmy zażądali pokwitowania na odbiór dostawionego człowieka, i pisma, jakie mi przy nim doręczyli. Z tém większą skwapliwością dopełniłem ich żądania, żem pragnął zająć się stanem Eliasza, wymagającym prędkiej i skutecznej pomocy. Rozkaz mi przywieziony z głównego sztabu jak zwykle był służbowy następującej osnowy:

„Wachmistrz M. z pułku ułanów wraca w stopniu oficera do tegoż pułku. Stan jego zdrowia wymaga odpoczynku: dla braku ambulansu w głównej kwaterze odsyła się do pułku z poleceniem, aby o ile można w obecném położeniu udzielić mu potrzebnej pomocy.”

Byłato wprawdzie czeza formalność, bo rannych i chorych trzeba było nieraz rzucać na pastwę nieprzyjaciela. Postąłem natychmiast po naszego doktora, który zupełnie o Eliaszu zapomniał, że był kiedy na świecie, a widząc człowieka tak wycieńczonych sił, obojętnie rzekł do mnie: „On żyć nie może; potrzebaby wielkiego starania i spokojności, a to niepodobne: ranni coraz więcej przybywają, a ambulansów i środków lekarskich coraz większy brak czuć się daje. Czego chcą po nas, przysyłając nam z głównej kwatery chorych, dla których miejsca niéma? Puścić go niech rusza.”

— Doktorze!—zawołałem ostro—to nasz poczciwy Eliasz, którego tyle kochałeś: ratuj go tym więcej, że za niego w głównej kwaterze odpowiedzialnym być możesz.

— A! to Eliasz—zimno odpowiedział doktor—a póź mu poradzę i za co mam być za niego odpowiedzialny? Sędzia za sprawę, doktor za pacyenta, nie odpowiadają nigdy.

— Ale on mnie osobiście obchodzi: jest to mój przyjaciel i towarzysz—zawołałem ze złością oburzony tą obojętnością doktora.

— A cóż mu się stało, że tak wysechtł—z równie suchą miną mówił doktor—czy wrócił z niewoli? Ci Hiszpanie znają się na kuchni: jeżeli nie upieką, to uwędzą. Zobaczą, niech poleży: pokrzepić go kieliszkiem xeresu. Do jutra jeżeli będzie mógł wstać, da się widzieć czy co z niego będzie.

Na szczęście nasz postój w miejscu trwał dni kilka; wziąłem go do siebie, odstąpiłem postania, kazałem przygotować kąpiel i czystą bieliznę, a po kilku godzinach wypoczynku snem orzeźwiony, uśmiechnął się, gdy mnie przy sobie zobaczył.

— Dzięki Bogu, czuję się lepiej—przemówił do mnie—kiedy jeszcze jestem między swemi; ale nadzwyczaj osłabiony, piersi mnie boją, mówić ciężko.

Powoli jednak zaczął przychodzić do lepszej cery, a silna budowa, młodość i ta wewnętrzna uciecha, jakiej się doznaje kiedy się między życzliwymi sobie znajduje, z każdym dniem sił mu dodawały. W miarę polepszania się jego zdrowia, zaspokajał ciekawość moją opowiadaniem wypadku, który dowiódł wielkości charakteru Eliasza, a w skutkach swoich odebrał mu zdrowie i niezdolnym do służby wojskowej uczynił. Możesz być przekonany, że wszystko co w tym opisie znajdziesz jest czyste i niczem nie przesadzone: bądź pewien, że dobry żołnierz nigdy nie kłamie. Generał poszedł do biurka, dobył książki, w której ciekawsze zdarzenia były zapisane i na zagiętej kartce noszącej tytuł „opis Eliasza z jego wyprawy w Hiszpani”, dał mi odczytać.

— Komunikuję ci—dodał generał—ten opis poufny; jak skończysz, co dalej zasztę dopowiem.

„Zaledwie opuściles kochany szefie główną kwaterę, stanąłem frontem przed marszałkiem, który mię przenikliwie wzrokiem zmierzyszy, zapytał, czy dokładnie mówię po hiszpańsku, abym się swą mową nie zdradził. Dla odbycia próby sprowadzono Baska, służącego w głównej kwaterze za tłumacza. Probował on mnie różnemi dyalektami, jakimi mówią w Hiszpanii, i zapewnił, że tak mówię, jakbym się w tym kraju urodził; poczem marszałek kazał mu odejść i przystąpiwszy do mnie rzekł:—„Masz bardzo ważne zlecenie do spełnienia, usługi twoje są potrzebne dla dobra armii; jeżeli ci się powiedzie, znaczyć to będzie jak bitwę wygraną.”

— Panie marszałku—chciałem mówić, ale ten mi odezwać się nie dał: „Posyłam cię z ważnem zleceniem: komunikacye nasze są przecięte, nic na piśmie dać nie mogę, aby się nie dostało w ręce nieprzyjaciela i nie zdradziło dalszych planów, tylko ustne zniesienie się jest możliwe. Uważaj więc dobrze o co idzie. Książę d’Abrantes dowodzi obecnie w Portugalii: komunikacya nasza tém więcej jest potrzebną, iżby Anglikom zrobić dywersyą, i żeby wyszedł ze swych stanowisk dla połączenia się ze mną. Rozkazy żadną drogą dojsć do niego nie mogą, bo na lądzie i na morzu jesteśmy ściśnieni; idź, pospieszaj co prędzej i powiedz o tém księciu d’Abrantes, a on sam uzna konieczność tego ruchu, który wykonałby bez odnoszenia się do rozkazów, gdybyśmy mogli mieć jakie relacye z sobą. Idzie tylko o szybkość i nagłość; byles się dostał na granicę portugalską, tam już pewniejszym widzenia się z księciem być możesz. Pamiętaj młody człowieku, spraw się dobrze, masz pole okazania się: cesarz wie dzieć o tém będzie.” Pozwoliłem sobie zrobić tę uwagę, iż pomijając wszelkie niebezpieczeństwa, jakie mię

czekać mogą, a które są niczém, gdy się dostanę do Portugalii, czy ksiązę d'Abrantes zechce uwierzyć, iż z podobném zleceniem do niego przychodzę. Marszałek skrzywił się i z gniewem odparł: „On sam nie powinienby sobie dać przypominać, gdyby był więcej przedsiębiorczy: granica portugalska jest ściśle obsadzona, on prędzej powinienby otworzyć sobie komunikacją ze mną. Gdyby nie było trudności mój wybór nie padłby na ciebie, ale znajomość miejscowego języka, ułatwia ci wiele, a zręczność i konduita poświadczona przez twego dowodzcę, są mi rękojmią iż się dobrze sprawisz.” W tych słowach kiwnął głową, wsunął mi w rękę rulonik ze złotem na drogę i z uśmiechem co mu się rzadko kiedy zdarzył, dodał: „idź w Imię Boże, milcz, miej ufność i nadzieję”.

Ostąpiąłem wychodząc od marszałka: wszystko tak się działo nagle jak we śnie, i myśli zebrać nie byłem w stanie; czułem całą ważność powierzonego mi zlecenia i oddałbym me życie, iżby się powiodło. Ale wzięwszy na zimniejszą rozwagę kilkanaście mil do granicy przebranemu nawet jak przejść, kiedy wszyscy Hiszpanie co zdatniejsi powołani byli do służby; po miastach tylko władze konieczne mieściły się, wioski częściami spalone, które ocalały stały puste, kobiety z dziećmi puciekały w góry i lasy, a w końcu Hiszpanie z natury swój łatwowierni w tém tylko co im ksiądz przykaże, nie wierzą nikomu i własnego brata mają w podejrzeniu. Wszakże znał te trudności i marszałek, i wysyłając mnie na szczęśliwy jedynie wypadek rachował.

W nieszczęściu i w trudném położeniu przychodzi nieraz nadzieja, co pokrzepia i ducha dodaje. Przypomniałem sobie, iż mam z sobą świadectwo Alkady, w którego córce się kochałem, iż pochodzę z tego miejsca, jestem Hiszpanem noszącym to samo co on nazwisko. Pocziwy ten człowiek w téj pewności, że się z jego córką ożenię dał mi to świadectwo, zachęca-

jąc: iżbym służbę porzucił i do niego, jak wracać będę, świadectwo to posłuży mi do przejścia przez kraj. Pomyslałem więc, iż w ostatnim razie gdyby przed jaką władzą stanąć przyszło, ta odniosłaby się do Alkady po sprawdzenie świadectwa, a na niego mogłem rachować iż on mi szczerze pomoże. Te na najgorszy wypadek układałem plany, gdyby wszelkie me poświęcenia do wykonania méj missyi pokazały się niepodobne. Dla uniknięcia ciekawości obecnych, oficer w tajemniczony jak widać było w rolę mi daną, lubo może o skutkach jój nie wiedział, wsiadłszy ze mną na koń i jak zwykle z żandarmem do ostatnich przeprowadził placówek, a gdyśmy się na otwartém polu znaleźli, dał mi zawiniątko z przeszarżaném ubraniem miejscowego wieśniaka, pod którym wysyłkę mą odbywać miałem, sam ścisnął mi rękę, z czułością pożegnał: „wracaj szczęśliwie, wiem jakie robisz poświęcenie, znajdziesz zawsze kolegów całym sercem ci życzliwych”. Po odjeździe mych towarzyszy broni, zostałem sam w czystém polu i téj chwili nigdy w życiu mém nie zapomnę, bo téż była stanowczą: z nią straciłem urok nadziei i swobody, a chociaż nic się bez woli Bożej nie dzieje i człowiek przed nią ugiąć się musi, rzecz niepojęta, jakimi to nigdy nieprzewidzianymi drogami przychodzi.

Noc była ciemna, ponura, wilgotna, ale spokojna: milcząca jak w grobie. Księżyc chmurami zasuty niekiedy na krótko się pokazał i krył w obłokach, i tę żałobną ciszę przerywał czasami odgłos stojących za mną posterunków, do których me ciężkie łączyłem westchnienia. Pierwszy raz w życiu dreszcz mię przejął i taka ogarnęła trwoga, jakiej nigdy nie znałem; wśród majestatu tego obrazu wieczności sam bez pomocy nie czując serca, które biłoby dla mnie, rzucony na los między ludzi i miejsca, dokąd jednym językiem zbliżyć się mogłem, wśród niebezpieczeństw czyhających mię na każdym kroku, padłem na kolana

wznosząc me modły ku Temu, bez którego woli włos z głowy nie spadnie. Modlitwa jest jedyną pociechą, jaką się w każdym zdarzeniu odnosi: wzruszenie ulżyło méj duszy. Czémże jest nieudolność ludzka przed potężną wolą, która chciała abym nie na polu sławy wśród towarzyszy moich głowę mą położył, ale w wyprawie, o której mi się nigdy zamarzyć nie mogło czekał przeznaczenia, cudem jedynie powieść się mogącego. Zbyt ezarne i smutne myśli kręciły się w méj głowie kiedy szarzeń zaczynało i jutrzienka zapowiadała przyjscie dnia oświecającego drogi dla zbłąkanych i niewiadomych. Rozstanie się z mundurem moim było mi nadto bolesne, niepewność czy do niego powrócę jeszcze mocniej uciskała mą duszę; ale w ciemności nocy można było jeszcze w nim się trzymać, dzień nadchodzący kazał się zastosować do obecnego położenia. Wziąwszy na siebie moje przybory puściłem się na oślep przez pole, na którym rozeznac się już dająca ścieżka wiodła w góry. Drapiąc się o ile można było ku wysokości, dostałem się na pochyłość, przy której dało się widzieć światółko porzucone zapewne przez koczującego mieszkańca: dążyłem ku niemu z tą radością, jaką opuszczonemu ślad ludzkiej stopy daje; ale idąc bliżej poznać mogłem siedzącego człowieka do którego przystąpiwszy: Buenos dias (dzień dobry) przemówiłem. Nellabida sen Dios, (Bogu niech będzie chwala—odpowiedział i do wypoczynku zaprosił. Byłto chudy, wynędzniały wieśniak, którego widać zjawienie się moje mało obeszło: nic nie miał do stracenia, niczego się nie lękał. Powiedziałem mu: „gdyśmy się znaleźli, możemy dalej drogę odbywać, jeżeli w jedną idzie stronę”. „A ty dokąd idziesz, czém się trudnisz—odpowiedział—mnie chleba potrzebny, to w dzień idę na zarobek do miasta przed nami stojącego, a na noc gdzie Bóg da. Kawatek ziemi służy za łóżko, w mieście nie dadzą przeocować nikomu, bo się boją, aby im kto czego nie zabrał, a pilnować nie ma komu;

czegośmy się téżto doczekali! Lecz ty młody jeszcze, że w wojsku nie jesteś, to coś dziwnego, kiedy mnie dwóch moich chłopaków, co na mnie starego pracowali wzięto, i do tego czasu może świętą ziemię gryzą". W tych słowach tży mu się z oczu puściły, mnie się go żal zrobiło. „Ja—odpowiedziałem przytomnie—nie chcę czekać aż mnie wezmą i sam idę zaciągnąć się do armii stojącej nad portugalską granicą. Dotąd miałem matkę, którą żywić musiałem; ale teraz Bóg mi ją zabrał, zostawiła mi kilka groszy, idę do wojska bronić naszego kraju i króla: w wojsku także źle być bez grosza.” „A daleko ztąd do granicy?” „Podobno ze 30 legas, takto mówią, bo ja nigdzie ztąd się nie ruszałem”.

„Możesz pójść ze mną, dam ci zarobek póki jeszcze grosz w kieszeni się świeci.” To mówiąc dobyłem pół onza w złocie: ten wziął w rękę, uśmiechnął się, i po chwili oddał: „my biedaki, prości ludzie, złota nie widzimy, bo to mamona wiodąca na pokuszenie, a gdyby się mieć któremu zdarzyło, oddajemy na ofiarę. Pójść z tobą nie mogę, lecz wstąpił do miasteczka, posilisz się i idź w swą drogę. Usted con Dios sleeve usted feliz viade” (idź z Bogiem, szczęśliwej drogi).

Poszliśmy z nim razem, i niedługo gdy on w drodze różaniec przebierał i pacierze swe odmawiał, ukazały się nam na dolinie sterczące wieże przy kilkunastu lichych domach, jak dęby rozłożyste przy kartowatych krzakach. Na drodze wiodącej do tego nibyto miasteczka siedział w czarnym szerokim kapturze zakonnik przed stołem, zastawionym woskowymi figurkami i rozmaitemi wizerunkami, które przechodzącym udzielał. Położyłem mu parę sztuk drobnej monety: ten głowę mi uścisnawszy zaprosił do klasztoru, gdzie jak mówił, czekać mię miało błogostawieństwo i posiłek. Klasztor, gmach dwupiętrowy, zamykał dziedziniec, w środku którego stał kościół architektury gotyckiej. Kraty żelazne dookoła, czarne postacie zakapturzonych za-

konników, na których obliczach widać było byt dobry, mury ciemne, miejsce ponure, wszystko to nie siedli-
 skiem ludzi poświęconych Bogu, ale raczej tętnęło
 Eskuriałem, gdzie Filip II na wstępie umieścić kazał na-
 pis, *Terribile est iste locus*. Zakonnik, który jak
 się domyślać można było czuwał na straży przed mia-
 stem, i miał rozkaz przybywających sprowadzać do
 klasztoru, zapowiedział mi, że się udamy do przełożo-
 nego, arcy pobożnego człowieka, który niejednemu
 drogę zbawienia otworzył. Usposobiłem się na wszy-
 stko cokolwiek tam inkwizycją trącić mogło, a świa-
 dectwo Alkady dające mi śmiałość w tłumaczeniu się,
 robiło mi otuchę, że mię za nic pociągnąć, ani nic za-
 rzucić nie zdołają, ale owszem że z powołania swego
 obejdą się po chrześcijańsku i dalej puszczą. Skromną
 celą przełożonego były dwie izby duże, obszerne i ubo-
 czna komnata; w pierwszej stał duży stół suknem okry-
 ty, krucifiks i różne utensylia kancelaryjne oznaczające
 urząd, który dla bezpieczeństwa w klasztorze mieścić
 się musiał; w drugiej, przy innym stole siedział mnich
 gruby, łysy, opasty, z niskim niepokalnym człowie-
 kiem mieniącym się miejscowym Alkadą, i obadwa
 z garncowego dzbana spełniali poranne *lavabo*. Skoro
 nas wchodzących ujrzeni, wstali z miejsca słuchając
 zakonnika zdającego im sprawę o nas przybywających
 do miasta i szczególnie zachwalającego moję pobo-
 żność, że nie szczędził ofiary na światło. Przełożony
 wprzód nas przeżegnał, a jego towarzysz wskazał
 nam pierwszą izbę, w której mieliśmy czekać, i gdzie
 po krótkiej z przełożonym naradzie wszedł z urzędo-
 wą postawą.

— Como se slama usted? (jak się nazywasz),
 gdzie idziesz, świadectwo?

Odpowiedziałem mu w krótkości kładąc na stół
 świadectwo mego Alkady, oznajmiając zarazem, iż uda-
 je się do armii portugalskiej w celu zaciągnięcia się do
 wojska.

— *Molto onot poco contante*, dużo słów, mało przekonania; świadectwo niedostateczne; Alkada twój powinien być wiedzieć, że wedle obowiązujących dziś przepisów, przez władzę wojskową potwierdzone być powinno.

— Wszakże jam temu nie winny, jeżeli Alkada uchybił—odpowiedziałem zmieszany argumentem niweczającym cały mój urzędowy dowód.

— Winny, czy niewinny, postąpione tak być musi jak przepisy mieć chcą, za wykonanie których odpowiedzialny jestem.

Widziałem, iż nie było co tłumaczyć się dalej w obec tej urzędowej postaci, której w obrębie swoim zdawało się iż reprezentuje władzę katolickiego króla, w którego państwach słońce kiedyś nie zachodziło.

Przystąpiwszy więc do mnie zaczął od pytania, co mam przy sobie żebym okazał, jako ścisłej podlegający rewizyi; a spostrzegłszy dość znaczną ilość złota, którą prawdę mówiąc marszałek dając mi jak na skromnego wieśniaka przesadził, „*per Dios immortales*, zawołał, złoto, którego tyle na cały rok nie mam, a to bratku na wieśniaka jak ty się nim mienisz, niepodobne: z kąd wzięteś, w tém jest coś nieczystego.”

— To złoto—odpowiedziałem śmiało, widząc iż w tém jest najważniejszy punkt mego potępienia—dał mi ten sam Alkada, którego córka tak się we mnie zakochała, iż chociaż w nierówności stanu, miałem się z nią żenić; nie wiem zamiarów Alkady, może mi dał na to, abym poszedł teraz do wojska i więcej nie wracał.

— A! co tego nie było jeszcze w Hiszpanii, aby córka Alkady oddała rękę prostemu wieśniakowi: albo ty kłamiesz, albo twój Alkada waryat. Prawda musi wyjść na wierzch. Pieniądze znalezione przy tobie są czynem przeciw tobie świadczącym, i ścisłe dochodzenie przedsięwzięte być musi.

Na odgłos złota zerwał się w drugiej izbie dopijający przełożony: „Santa Mater providissima—zawołał z tą chciwością, jaka mu się w oczach iskrzyła—dla ubogiego naszego klasztoru pomoc zstana, gdy wedle prawa cokolwiek przy człowieku pod zarzutem będącym znajdzie się, staje się własnością miejsca; a że klasztor nasz mieści w sobie władzę, przeło i pieniądze do nas należą.

Nie wiem co się tam stało, i jaki podział między władzą a miejscem nastąpił; mnie sprowadzono do brudnej celi o jedném wązkiem zakratowaném okienku, gdzie trochę w kącie porzuconej słomy, całe sprzęty składało. Zmordowany bezsennie przepędzoną nocą, rzuciłem się na to postanie obojętnie na wszystko co się z tego wywiąże, i tak mocno zasnąłem, iż dopiero z południa stróż mnie przebudził, abym wstał do przyniesionego mi obiadu.

Nie ma nic okropniejszego nad przebudzenie się w nieszczęściu: sen chociaż czasem czarne po głowie wije marzenia, niczém jest w porównaniu, kiedy przebudzonemu bolesna rzeczywistość na jawie się okaże. Posiłek mój złożony z supy krajowej olla podrida i trochę bobu, zaprawnego oliwą, smakował mi tyle, ile zgłodniałemu było potrzebne. Nazajutrz z rana stanęła warta przed mą celą i niedługo wszedł Alkada z całą uprzejmością odzywając się do mnie:

„Co tylko można było tom ci uczynić: musiałem wypełnić mą powinność, bo wyraźnie mamy zagrożone odanie pod sąd wojskowy, gdybyśmy kogo bez formalnego przepuścili świadectwa, i to sam dowódzca w tych stronach Castanos wiedzieć o tém musi. Zamilczałem w raporcie o znalezionych przy tobie pieniądzech, które stanowiąby przeciw tobie ważne corpus delicti, jak równie twe zeznanie, że się do portugalskiej armii udajesz. Miasteczko, z którego masz świadectwo od Alcadego, od dwóch miesięcy jest w tyle armii: którądy mogłeś się więc tu dostać? Zastanów się, bo tu jest coś

wiele podejrzanego, i Alkada który ci dał to świadectwo może być do wielkiej odpowiedzialności pociągnięty. Rzecz bardzo zawikłana, do mnie należy odejść cię do komendy, a tam wiedzieć będą co zrobić. Daj ci Boże wybrnąć z tego, będziesz miał ciężką przeprawę, bo Castanos ścisnął wszystko żelazną ręką i wszędzie sam chce być czynnym: Feliz Viage." Tém mnie pożegnał i z raportem oddał dozorcóm, którzy do pierwszych wart odprowadzić mię mieli. Wszakże przykazał im łagodne obchodzenie i wypoczynek gdziebym zażądał.

Przyznać potrzeba Hiszpanóm, że w wojnie z Francuzami okazali nadzwyczajną energią, dowiedli czém może być naród jedną myślą i dążnością ożywiony. Przemagał tam wprawdzie żywioł religijny, zwłaszcza po świeżo w pamięci pozostałych wypadkach rewolucyi francuzkiej, która wstrząsnęła kościoły i władzę duchowną zuchwale zdeptała. Położenie téż miejsca w kraju górzystym, poprzerzynanym wąwozami, pomagało bardzo wiele partyzanckiej wojnie, którą gerylasy zebrani naprędce z nowozaciężnego ochotnika z lepszym prowadzili skutkiem, niż kampanią otwartą wojska liniowe. Administracya, finanse musiały być w nieładzie i rozprzężeniu, ale co najwięcej w podobnych wypadkach jest pożyteczne, to w najwyższym urzędzili stopniu, to jest siłę broni, że wszyscy co tylko byli zdolni stanąć w szeregi, szybko organizować się musieli; powtóre, policyą oddano w ręce dowódców wojskowych tak ściśle, że bez ich wiadomości ptak nie mógł przelecieć. Francuzi niewiele sobie z początku robili z téj kampanii: zdawało im się, że orty francuzkie zaledwie się pokażą, odrazu zwyciężą to wojsko, które od lat wielu nie miało wprawy do wielkich bitew, i zniewolą dla siebie naród zniechęcony wszechwładnym naciskiem duchowieństwa, i przywilejami odbierającemi mu całe polityczne i material-

ne istnienie; nie mogli być dobrze uwiadomieni co do stosunków miejscowych, ani też sami wiedzieli co się wewnątrz kraju dzieje, gdy ich wyściancy nie wracali i dostawszy się w ręce Hiszpanów, padali ofiarą naj-sroższych męczarni. Zapewne możliwość powiedzenia się méj missyi mogła się gruntować na znajomości języka, i na pozorach tamtejszego wieśniactwa, a wśród cisnących okoliczności była koniecznością mogącą wywołać zmianę wypadków; lecz policya wszędzie i w każdym kraju ma podwójne oczy i subtelniej widzi zwykłego człowieka.

Po dwudniowej méj podróży o samych sucharach odbywanéj, ujrzałem pierwsze posterunki gerylasów. Przyzwyczajony do widoku regularnego wojska, coś dzikiego i więcej rozbójniczego przedstawiło mi się w tych ludziach: czarni, ogorzali, zarosli, fizyonomii wschodniéj, obdarci, z przewieszoną strzelbą i torbą, z siekierą lub oszczepem, wyglądali jak bandyci, a przecież ile tam serca i poświęcenia dla sprawy, której bronili! Dowódzca, któremu mię oddano z papierami przez Alkadego nadesłanemi, niczém się od swych podkomendnych nie różnił: nagniewał się, narzucał, że go takimi interesami zatrudniają i gdy dozorczy moi żądali pokwitowania, aby się mieli czém przed Alkadą usprawiedliwić, on widać pisać nieumiejący:

— Idźcie do tysiąc katów—krzyknął ze złością— Alkadowie są na to aby pisać, my zaś aby się bić. Co ten chłopak zawinił że go jak draba prowadzą; biuro-wiec nie poznał się na nim, zostanie z nami, damy mu broń i dalej na tych psów Francuzów, których popieczemy jak szpaki: wszakże masz ochotę i będziesz z nami?

Na potwierdzającą odpowiedź poklepał mię po ramieniu:— dobrze—rzekł—dostań się tylko do mnie, bo u mnie idzie jak w zegarku. Francuzi tego rąbią i strzelają, ale i my potrafimy dać im się we znaki.

Prosty, ale otwarty ten człowiek kazał mi podać kawał pieczonego barana, czosnku i czarę araku. Pierwszy ten wstęp mój wojskowy zdawał się trącić tą prostodusznością, której odpłacić nie mogłem, ale kłamanym zapałem należało mi pokrywać zupełnie przeciwne uczucia.

— Udasz się ze mną do głównej kwatery, bo naczelnie dowodzący każdego ochotnika wprzód sam widzieć musi, poczem wrócisz do mnie jak do domu. Ja z moimi żołnierzami nie robię różnicy: chcę być im równy, ale w służbie jestem djabeł i z tego mię oni znają.

Wziąwszy mię z sobą poszliśmy linią koczujących mass, z których jedni trzymając konie za cugle, spali na piasku, drudzy w kółka zebrani rozmawiali, śmieli się i swawolili. Przechodziliśmy jak znajomi, i mało kto na nas spojrzał. Nareszcie ruch na placu, regularne kompanie piesze, oficerowie w mundurach, broń w kozły ustawiona, warty i straże oznajmiły główną kwaterę, mieszczącą się w starym zamku, z którego puszczyki uciekły, aby drapieźniejszym od siebie stworzeniom dać miejsce. W pierwszym pokoju, do którego wszedłem z moim dowódcą, kancelarya expedyowała rozmaite rozkazy i postanowienia idące pod karą śmierci. Część ta wykonawcza służby jak u dobrego myśliwca pies bez wiatru i słuchu być nie może, tak też i tam co otaczało takiego myśliwca było już wprawne po jego myśli. Byłem dla nich zwierzyną o której gatunku przekonać się mieli: jeden z tych ludzi których natura szczególnie usposabia dając im wzrok sokoła, chytróść lisa, elastyczność i czujność kota, zmyślność wyżłą, a co do serca, niewiadomo jakie jest, ale zapewne nieludzkie, spojrzał na świadectwo, rzucił na mnie okiem i tonem różniącym się woale od kamrackiego z jakim mię przyjął mój rubaszny oficer, chcący mi szczerze dopomódz:

— Jego excellencya — odezwał się — musi w tém decydować: niezadługo wróci.

Jakoż nie wyszło kwadransu, szmer się zrobił na dziedzińcu i wszedł otoczony służbowemi oficerami generał Castanos. Byłto wówczas człowiek około 40 lat mieć mogący, wysoki, szczupły, twarzy ściągłej oliwkowej, orlego nosa, włosów rudawych, oczu czarnych palących jak dwie iskry, chmurny, ponury, i trzeba przyznać, że na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie. Natychmiast tenże sam co nas przyjął przedstawił mu rapport, świadectwo i na mnie wskazał. Oficer pocziwiec co mnie przyprowadził, stał wyprostowany czekając rozkazu.

— Co to za świadectwo? — zawołał generał — jakto Alkada nie wie, że się nikomu nie wydaje bez zatwierdzenia władzy wojskowej; co oni sobie myślą? Téj chwili oddać go pod sąd: moje rozkazy święcie wykonane być muszą.

I przystąpiwszy do mnie tak swój wzrok przenikliwy wlepił we mnie, jakby mię wskroś chciał prześzyć; ja chociaż w duchu zmieszany, patrzałem mu w oczy śmiało, czując, że to jest chwila stanowcza. Ale generał nie zmieniając głosu — to nie Hiszpan — zawołał — on nic w sobie hiszpańskiego nie ma; to szpieg francuzki, wyuczył się języka i przyszedł nas podglądać. — Zbliżył się do mnie, wykręcił twarz ku swojej — płaszku, wyśpiewasz ty nam coś ty za jeden: te heretyki biorą się na sposoby i każą się swoim uczyć języka, myśląc, że nas tém w pole wyprowadzą; lecz jużesmy im kilku odesłali podobnych, nie do nich, ale do wieczności. — Tak rozmawiając, oczy mu się zaiskrzyły, nogą w ziemię z gniewem uderzywszy, obrócił się do oficera z którym przyszedłem, a który stał wybladły, słowa wymówić nie śmiejąc.

— To wy osły — krzyknął — zmuszacie mnie, że sam wszystkiem trudnić się muszę i w każdą rzecz wejrzeć.

Gdyby tak się nie działo, przyjęlibyście byle kogo, kto-
by wam powiedział że chce służyć u nas: niedługo,
toby nam Francuzi naprowadzili swych łotrów, którzy
przy pierwszej sposobności uciekliby do nich i wszy-
stko co się dzieje u nas im donieśli. Nie! ja to wy-
tępie, ja co każę, chcę żeby tak było. Zmienić mi za-
raz dowództwo pierwszej warty, tego ochotnika—wy-
mawiał to zgrzytając zębami—zaprowadzić do klatki,
nauczę go śpiewać — domawiając tych słów pięścią
pogroził.

Mój wyrok więc był postanowiony, śmierć stanęła
mi przed oczy, westchnąłem do Boga prosząc o dodanie
sił do zniesienia męczarni, jakich spodziewać się mo-
głem. Wtrącony w podziemia wilgotnych lochów, com
wycierpiał, com przebył i jak to trwać długo mogło, tego
żaden opis nie odda: lepiej zostawić ludzkość w prze-
konaniu, że ludzie nie posunęli się tak daleko w wy-
myślaniu męczenia drugich; dość tylko powiedzieć, że
całą historią pomysłów w tym rodzaju inkwizycyi św.
na mnie wykonano, a gdym znalazł w sobie tyle potę-
gi ducha iż słowa na mnie wycisnąć nie mogli, opra-
wcy moi zdawali się łagodnieć, i o uszy me obita się
rozmowa: iż kiedy Alkada nietylko świadectwo po-
twierdził, ale metrykę nadesłał, czego swego męczą,
biorąc mnie za Francuza, jakby to Hiszpanowi innéj
twarzy mieć nie można było. Uczucie wdzięczności
dla nieocenionego Alkady, który dawszy mi raz świa-
dectwo w innym zupełnie celu, musiał się starać jego
ważność wszelkimi sposobami utrzymać, i poświęcał
siebie dla ratowania nas obu, pokrzepiło wyczerpane
me siły uwielbieniem najpierwéj téj cudownéj Opatrzno-
ści, która w przepaści pogrążonemu człowiekowi rękę
podaje, i obmyśla naprzód środki ratować go mo-
gące. Wyniszczony całkowicie na siłach z niewymo-
wnym bolem piersi, zniszczonych częstemi krwotoka-
mi, leżałem jak nieżywy, ale przytomności nie straci-
łem, i jak się pokazało, kiedy nic ze mnie wymęczyć

nie mogli, widząc mnie już dogorywającego, probowali ostatecznie czy się czego nie dowiedzą, bo im nie szło o osobę, tylko o cel w jakim wystanym mnie być podejrzewali. Pewnego rana wszedł do mego lochu w ubraniu doktora francuzkiego, człowiek niemłody, z drugim, który się zdawał być jego pomocnikiem i zbliżywszy się do mnie leżącego na ziemi w okropnych cierpieniach, wziął za puls, obejrzał piersi, i do swego kolegi przemówił:

— Najpierw trzeba się starać, żeby go przenieść z tego obrzydłego miejsca: jakież on nieszczęśliwy! Tu cię boli—rzekł przyciskając mi piersi; krzyknąłem z bólu, ale zaraz na myśl mi przyszło, że to jest cel podstępny. „Szkoda że nie rozumié, dodał, toby mógł powiedzieć symptomata choroby, ale tak na ślepo trudno mu co radzić: możnaby go jeszcze ratować.” Jam się nic nie odzywał, chociaż rozumiałem jak najlepiej.

— Przy straszliwych mękach jakie na nim odbyto—odezwał się drugi—to i tak szczególnie że wytrzymał; dostałoby się i nam podobnie, gdybyśmy nie byli jeńcami. Ponieważ swoich doktorów nie mają, przedewszystkiém trzeba go ztąd wynieść i dać pomoc cierpiącemu należną. Ale za co oni go tak męczyli?

— A, naturalnie—odpowiedział pierwszy—inaczej traktują tych, których mają w podejrzeniu. Co się stało już my nie poradzim, trzeba go ratować jak można.

To mówiąc wyszli, a jam pomyślał sobie: Judasze przyszli jeszcze probować czy z gasnącej już duszy czego nie wydobędą i głosu mego w swój mowie nie usłyszą: oni jeżeli są prawdziwie jeńcami, po to przyszli, aby zasłużyć się wspólnym wrogom i oddać mnie na ich domęczenie. Ludzie co w imieniu litości i miłosierdzia skryte mają zamiary: gorsi są od zbrodniarzy, bo ich prawo nie dochodzi tylko Bóg dosięga i karze.

Nie wiem czy za ich staraniem przeniesiono mię w niespełna godzinę do widnej i obszernej stancyi,

gdzie stało łóżko, na którym mię umieszczono. W kącie siedział człowiek z brodą zarostą, miłej i charakterystycznej postawy, dość jeszcze młody i całkiem żołnierskiego układu.

— Bodaj was kroćset wzięto — czystym polskim przemówił językiem — znowu mi jakieś bydlę nieme przynoszą; trzeba zapomnieć mówić w tej przeklętej niewoli, zkądbym i ja do swoich nie wrócił, żeby Francuzi trzy razy więcej tych gałganów u siebie nie mieli. Do sto tysięcy piorunów, czemu też nas prędkiej nie wymienia, i Bóg też nie chce pocieszyć i nie zesła towarzysza Polaka, żeby z nim o swym rodzinnym kraju pomówić. Każda niedola w towarzystwie znośniejsza.

Przyznam się, iż zaledwo serce nie wyskoczyło mi z radości, słysząc ojczystą mowę, która się obita o uszy i duszę moję. Musiałem się wszakże miarkować i być ostrożnym żeby się nie odezwać, i chociaż w wyrazie twarzy mego towarzysza przebijała się szczerłość narodowa, okoliczności tak nieraz się złożą, iż człowiek nie czuje dość w sobie siły, aby się im oprzeć i mimowolnie pod ich naciskiem upada. Doktor przepisał mi lekarstwa, w nocy dostałem gorączki i prosiłem mego towarzysza o podanie wody, ale zawsze po hiszpańsku; ten przyszedł do mnie i na ucho, żeby stojąca za drzwiami warta nie słyszała, odezwał się: — powiedz co chcesz, przemów do mnie, zrozumiemy się: ty udajesz Hiszpana, ale nim nie jesteś; Francuzem także nie, bo Francuz żywy da się zabić, ale długich cierpień nie zniesie; przemów! jesteśmy braćmi i sercem i nieszczęściem: nie udawajmy przed sobą.” Byłem jak posąg, i udałem że słowa nie rozumiem; aż ten rozgniewany, zerwał się z łóżka, kłął co mu do gęby przyszło, i z gniewem wyrzekł: „niech cię szatan porwie, co za rogata dusza: sam diabeł nic się nie dowie. Zaraz jutro przekwaterować mię ztąd muszą, bo dozorczą chorych być nie myślę.”

— Jakaż to bohaterka energia—dał się słyszeć za drzwiami głos Francuza doktora, rozmawiającego z towarzyszem swoim. Nazajutrz znikł mój towarzysz i już go więcej nie widziałem, ale z rana wszedł do mnie płaszczem wojskowym obwinięty, kto? zapewne rzecz nie do uwierzenia, generał Castanos, co mnie tyle namęczył, i na wieczne cierpienia skazał.

— Poznajesz mnie—rzekł tym żołnierskim tonem, który ma wdzięk szczeroci, i nie tchnie obłudą. Co za cel tych niespodzianych odwiedzin, pomyślałem w duchu: czy osobiście chce się przekonać o stanie moim, czy też jeszcze dowiedzieć się czego myśli.

— Umierający—rzekłem—widzi przed sobą generała Castanos.

— Przekonałem się—rzekł do mnie—że masz charakter, który zwrócił mą uwagę: ludzie tacy szanować się każą. Wiem żeś nie Hiszpan, zawierz memu słowu, że ci ani włos z głowy nie spadnie; mężstwo jest wszędzie jak na polu bitwy: powiedz tylko z czém wystany byłeś?

— Nie wiem o niczém, p. generale—odpowiedziałem—ani za co byłem karany.

— Słuchaj! doktor zdał mi raport, że przyjdiesz do siebie, byleś miał spoczynek i świeże powietrze; odeślę cię do jednego z tutejszych magnatów, gdzie będziesz jak w domu; to pismo, które ci daję, może ci być potrzebne: Castanos umie karać i być szlachetnym.

Podziękowałem generałowi za niespodziewaną tak wielką dla mnie łaskę.—Bądź dobrej myśli—rzekł—ufaj Bogu, szkoda cię, żebyś miał się poniewierać. Jeśli kiedy w czém będziesz potrzebował, wprost się do mnie udaj.

Zostawił mi pismo ze swym podpisem w tych wyrazach: „Służę właścicielowi niniejszego do wstępu każdego czasu do mnie.”

Podziwiałem ten charakter dumny, srogi, zniżający się teraz aż do odwiedzenia prostego człowieka

jakim mu się przedstawiłem, i z kąd mu przyszła ta łagodność, której w całym swym usposobieniu mieć się nie zdawał.

Tego samego dnia jeszcze na wygodnym ambulansie przewieziony zostałem o kilka legas do wiejskiego zamku, gdzie pod protekcyą córek gospodarza i dodanego mi doktora angielskiego uczułem wstępujące życie. Zacząłem już na świat wychodzić, i świeże powietrze dobroczynny mi wpływ przyniosło. Wypadek zmienił me położenie: od dwóch dni nie widziałem doktora, ani mych anielskich opiekunek; ludzi nawet co się zwykle na dziedzińcu kręcili nie widać było. Nadszedł oddział francuzki, od którego dowiedziałem się o zmianie Sucheta, którego Soult zastąpił; dowódca oświadczył mi, że mię z sobą weźmie i do sztabu odeśle, z kąd jak wiadomo do was się dostałem.”

Skończywszy ten opis oddałem generałowi zajętemu czytaniem zaczętego przez siebie dzieła.

—Generale!—zawołałem z uniesieniem—i ten człowiek kończy na służbie u ciebie?

—Bądź cierpliwy, chcę się wytłumaczyć i tobie powierzyć dalszą tajemnicę, której nie opowiesz aż po mojej śmierci. Powiedziałem ci z początku, że człowiek który zapracuje z młodości na swą chlubę i pożytek dla siebie, pilnować powinien tego jako skarbu z którego jedna naruszona cząsteczka, wszystko co urobione, zacierą. Jeżeli cię tak wypadki Eliasza zajęły, winienem ci o nim dokończyć. Zwolna zaczął on przychodzić do siebie, ale dawnego zdrowia nigdy już nie odzyskał: nie zdał się do służby, a zapowiedziany w rozkazie awans na oficera pomimo licznej korespondencyi nie nadszedł i żołd nie inny jak dawniej pobierał, go dochodził; ze zmianą głównego dowódcy zapomniano o nim, jak to zwykle bywa, i za swe poświęcenie nadludzkie otrzymał w nagrodzie zniszczone zdrowie i stracone widoki. Przy mnie więc pozostał jako towarzysz, z którym dalsze me wypadki były złączone. Przy błędną gwiaz-

dzie olbrzyma, wszyscy co go otaczali, zmaleli. Dowódcy francuzcy w Hiszpanii nie umieli sobie radzić bez swego wielkiego przewodnika, tym bardziej, że coraz zmniejszały się ich siły, bo wojska liniowe odsyłało do głównej armii, a na ich miejsce wstępowali nowo-zacieężni. Pożar zaczął się we wszystkich okazywać stronach: dwory, których książęta w absolutnej władzy cesarz odmieniał, jak prefektów w departamentach, ludy zniechęcone narzuconemi sobie obcemi rządami, wszystko to głowę podniosło na odgłos, że lew na śniegach Kaługi i lodach Berezyny śmiertelnie ugodzonym został, i że przyszła pora uderzyć na niego, aby odzyskać co w swym pochodzie z jednego końca Europy na drugi, do siebie zagarnął. Nasz pułk otrzymał rozkaz udania się do Genuy dla pilnowania brzegów zagrożonych wylądowaniem Anglików. Marsz był nagły, forso-wnie musieliśmy spieszyć na swe stanowisko. Z Hiszpanii wiele można było bogactw bez zdzierstw i zaborów wyprowadzić, ale przeniesić ich i mieć bezpieczne u siebie, to jedynie nadzwyczajnym stać się mogło wypadkiem. Zebrałem moje zasoby i kosztowności dość znamienitą mające wartość, i wzięwszy z sobą tylko to co wziąć można było, wszystko na jedenastu upakowawszy mułach, zleciłem Eliaszkowi, aby skoro upatrzy sposobność, za nami się udał. Było to rzucić wszystko na los szczęścia, ale gdzie jest jeden tylko środek, wybierać nie można. Eliasz znał język: sumienny, prawy, roztropny przytém, z młodości oszczędny, w niczem nie namiętny, jeżeli ten nie doprowadzi méj fortuny, to już nie jego w tém wino. W Genuy staliśmy krótko, przerzucono nas w różne strony, gdzie tylko ku brzegom zmierzają flaga angielska i okazywało się podobieństwo że wylądować mogą. Nareszcie zmieniono nas w służbie, otrzymaliśmy przeznaczenie na dłuższą konsystencją do Rzymu, gdzie stronnictwa zaczęły się burzyć a zład na bacznosci mieć się należało. Do niepowodzeń ogól-

nych wkradła się biéda w wojsku, żołd w połowie i to nieregularnie dochodził, drożyzna ogromna, każdy żył tém co wyniósł z Hiszpanii, ale i to wyszło, bo jedni brali od drugich. Biéda w wojsku chociaż dokuczy, bo złe wszędzie ma swé prawo, łatwiej dlatego się znosi że jeden drugiemu czém może pomaga, byle czém się obejdzie, i tak dalej się ciągnie wpośród wesołości dobrego humoru i zawsze różowych nadziei. Przyznać téż potrzeba naszym żołnierzom, że nigdy narzekania pomiędzy nimi, ani nieukontentowania dostrzedz się nie dało; zawsze ten sam porządek w służbie, ta czystość i dbałość około siebie i konia, jak zawsze, i ten sam uśmiech na twarzy. Mnie jednemu Eliasza stawał w myśli; gdyby mię doszedł powierzony mu transport i gdybym szczęśliwie do kraju powrócił, byłby to już chleb na starość: ale oprócz tego szło mi i o samego Eliasza, który na nowe mógł być narażony niebezpieczeństwa. Przystém obecne położenie coraz dokuczliwszém się stawało, a o wyprawie Eliasza wszyscy w pułku wiedzieli, powrot przeto jego był częstym pomiędzy kolegami przedmiotem pogadanek: jedni optymiści oczekiwali go co chwila tłumacząc, że półwysep był spokojniejszy i komunikacye łatwiejsze: Eliasza mając głowę nie dla kształtu, mówili, potrafi się z trudności wydobyć; drudzy żartowali z nich mówiąc: że Mahomet gdyby czekał na przysunięcie się góry do siebie, toby to prędzej nastąpiło, niż żeby Eliasz ze swą karawaną powrócił. Sam nakoniec zacząłem tracić nadzieję i ten stoicyzm, który w wojsku praktycznie się rozwija, wziął górę nademną. W Rzymie jak wszędzie, gdzie się nie ma mieszkańców za sobą, konsystencya była smutną i nudną; sami między sobą rozrywaliśmy się i wzajemne kłopoty cieszyli; jeżeli wypadło udać się na przechadzkę, to w kilku wychodziliśmy za miasto, zawsze z myślą spotkania się z Eliaszem. Z każdym dniem spodziewaliśmy się zmiany naszej konsystencyi

i powołania do armii zbierającej się na nowo, która później wystąpiła w kampanii saskiej; wymarsz nasz podtrzymywała jedynie potrzeba trzymania na wodzy coraz niepokojących się umysłów tak w Rzymie, jak na prowincyach. Wyjście z Rzymu zacierało całą nadzieję zobaczenia się kiedy z Eliaszem, bo wśród okoliczności i wypadków, jakie nastąpić mogły, wyrastały coraz większe trudności i zawikłania. W tych ciągłych niepewnościach, z których każdy dzień smutną przedstawiał prawdę, po uciśnionej myślimi nocy, zasnąłem mocno, gdy kołatanie do drzwi dość silne, ze snu mię ocknęło: otwieram, nieba! jakież widok? Eliasz jak zawsze blady, zmęczony, na siłach upadły, to on! Ale przemówić mi nie dał, rzuca się na mnie i z uniesieniem woła; „jest wszystko! przybywam szczęśliwie.” Uczucie radości jest często tak silne jak smutku, ale to ma do siebie, że nietyle się w radość ufa, a smutkowi odrazu wierzy. Zostawałem pod wpływem szczególnego wzruszenia, nie mając dość siły pomożenia Eliaszowi w uwolnieniu mułów z ciężaru, jaki na sobie dźwigały. Dopiero jak wszystkie paki znalazły się w méj kwaterze, uczułem, że jestem w posiadaniu tego, co za stracone miałem; Eliaszowi wydzieliłem część z tego dość znaczną, ale ten skrzywił się i z niechęcią rzekł:

— Poniżasz mię panie, co się za me usługi nie godzi; dla nagrody nic nie robię, mam jej dosyć w mojem przekonaniu.

Zaciągnąłem dług wdzięczności dla Eliasza; dług który ocenić się nie da, a który oddać w razie danym pierwszym jest obowiązkiem. Wieść o powrocie Eliasza przeleciała między kolegami lotem błyskawicy, zbiegli się winszując, wychwalając kolegę, i jak się ma rozumieć żądając w końcu pewnego forszusu, którego nie można było odmówić. Postój nasz w Rzymie wypadł dłużej, niżeliśmy się spodziewali. Eliasz nie mógł pełnić służby w wojsku, ale był zdrowszy, rze-

zwiejszy, i powoli wracała mu wesołość, którą odznaczać się zwykło towarzystwo wojskowe. Ale raptem nagła zaszła w nim zmiana: zrobił się zamyślony, ponury, unikał ludzi, po kilka dni w domu nie bywał, a mnie się zdawało, że za każdą jego bytnością po parę sztuk złota mi brakuje. Pytałem go o przyczynę tego stanu, który tak był uderzającym i nienaturalnym, iż wszystkich zadziwił; odpowiedział mi, że jest cierpiącym, że mu się życie sprzykrzyło, że chciałby żadnych z ludźmi nie mieć stosunków i że byłoby jego szczęściem, gdyby o nim zapomniano zupełnie: słowem, wpadł w takie usposobienie, które mnie i kapitana L... pocziwego kolebę, a jemu z serca życzliwego, mocno niepokoić zaczęło. Ale gdy widocznie ubywało mi pieniędzy, zwierzyłem się z tém kapitanowi, oświadczając, iż Eliasza ani na chwilę posądzać nie można, mnie jednak giną pieniądze.

— A przecież—odrzekł kapitan—nie dzieje się to niewidomą ręką: musi być taka co bierze. Eliasza jest w stanie niezwykłym, coś nadzwyczajnego zaszło, z czém nie śmie się nam zwierzyć, a widać że go koszłować musi.

— Proszę cię kapitanie—odpowiedziałem—gdyby tak było, czyż nie ma prawa odwołać się do mnie, który mu wszystko winienem, a nie żeby nieskażone dotąd swe imię plamił czynem niegodnym uczciwego człowieka.

— Prawda, ale ludzie się zmieniają, stają się inni: mi jakieśmy ich znali: fałszywe wyobrażenie weźmie górę nad uczuciem i dlatego téż błądzimy, żeśmy ludzie.

Miał racją w tym wypadku pocziwy kapitan. Przekonawszy się dowodnie, że pieniądze potrochu, ale mi giną, czekałem na Eliasza, iżby go wprzód wypytać o powód zbyt widocznie uderzającej w całym jego charakterze zmiany.

— Słuchaj—rzekłem do niego po zwykłym przywitaniu—twój stan jest nienaturalny, twoje postępowanie

nie względem mnie, przed którym jako najlepszym przyjaciąłem nicbyś skrytego mieć nie powinien, nietyłem mnie zadziwia, ile niepokoi: możesz mi ufać i szczerze wyznać, co się dzieje z tobą.

— Chcesz tego—odrzekł zmieszany, prawie od zmysłów odchodząc—dowiedz się, że bardzo nieszczęśliwy, że oszalał, splamił się, zbezczescił, nie umiem być panem siebie: męczarnie Castanosa, jakie wytrzymałem niczém są w porównaniu z tém, co teraz cierpię. Kocham Franceskę, kocham więcej niż kochać wolno, bo dla niej wyrzekłem się méj godności, zaparłem siebie, nie widzę, nie czuję tylko jój oczami i jój uśmiechem. Ona jest cudowną, jam szaleniec, każde spojrzenie gdyby krwią moją okupić chciała, oddałbym jój chętnie.

— Eliasz—zawołałem widząc, że wpada w zapał obłąkanego—człowiek jak ty, z takim charakterem jak tego dałeś dowody miążzeby upaść tak nisko, żeby się więcej niż do błędu posunął.

— Prawda—żywo zawołał—jestem zgubiony, niewart ciebie, ani względności twój; wiem, żebyś mi nie odmówił, gdybym ci powiedział, że potrzebuję; ale obawiałem się twych uwag, abyś mię od mego nie odwracał celu. Dopuszcitem się okradać ciebie, przyznaj czy to na mnie podobne, ale złąd mierz miarę, jak dalece moje szaleństwo przemogło. Franceska jest biedną, chodzi na lekcję opery, bo głos ma prześliczny, lubi namiętnie ubierać się i świecić błyskotkami; kiedy jój przyniosę jaki strój lub kamyk świecący, poda mi rękę i uśmiechnie się, a za ten wdzięk duszę mą oddam: strojów, błyskotek dla méj Franceski potrzeba, bo ona to lubi i uśmiechem nagradza.

Widziałem, że zgubiony i że w takich razach rady nie pomogą, ale raczej trafiając w słabość, prędzej się na rozsądek naprowadza.

— Kochany Eliaszu—rzekłem łagodnie—radzić ci nie umiem, bo wiem żebyś nie usłuchał; miłość twoja musi być wielką, kiedyś się aż dla niej zapomniat; ale jeżeli myślisz, że ona cię nie tylko dla kamyków i strojów kocha i że cię uszczęśliwić może, żeń się: do mnie należy byt twój ustalić. Pozwól jednak zrobić uwagę przyjacielowi, że kobieta próżna co świecida uśmiechem odplaca, szczęścia nie przyniesie.

— Szczęścia!—zawołał z uczuciem z głębi duszy pochodzącem—niema dla mnie jak ona: jej spojrzenie to moje szczęście. Jeżeli posiadać ją będę, tobie szlachetny dobroczyńco zawdzięczę więcej niż życie: ty mi dajesz terażniejszość, Bóg da przyszłość. Od poznania Franceski jestem szczęśliwy: ona mi przywróciła zdrowie, a co się w mój duszy dzieje, tego sam nie wiem, ani nikt nie pozna.

Żal mi szczerze było Eliasza patrząc na ten szat, jak mi się zdawało źle skierowanej miłości, ale winienem mu był dopomódz, aby ta jego miłość skończyła się małżeństwem i żeby wprzód umówili się o ustaleniu swego losu, w czém rodzice lub krewni mogliby rozrządzać i stosownie obmyśleć.

— Franceska—rzekł Eliasz—niema nikogo ze swoich, nie zna nawet swego pochodzenia; od dzieciństwa wychowana jest w Rzymie, przy ubogiej kobiecie, która umierając poleciła ją staremu nauczycielowi śpiewu i ten ją do opery posyła, i co może na utrzymanie dostarcza.

— Jakież masz dalsze widoki? Jeżeli się ożenisz, potrzeba, żebyś co przedsięwziął: może Franceska zechce w naszym osiąść kraju?

— A broń Boże—odpowiedział—ona tak przywiązana do Rzymu, jak do teatralnej deski: za nią przepada. Zrób mi jedną jeszcze łaskę, poznaj ją, pójdziemy do niej, będzie uprzedzoną i wdzięczną. Mieszka skromnie, ale czysto, jak Włoszki nie umieją.

Nazajutrz umówiliśmy się z kapitanem, iż odwiedzimy czarodziejkę Eliasza. W rzeczy samej Francuska była prześliczną; żaden artysta nie odda podobnej regularności rysów, wyrazu oczu, wdzięku postawy i ruchów: słowem, nie można się było dziwić, że Eliasz dla niej oszalał. Bez żadnej przytém przesady zdawała się nie wiedzieć, że jest tak piękną; lubiła się stroić i świecić kamykami, ale to szesnastoletniej dziewczynie zwykło się zawsze podobać i być ponętne. Niewinność i smutek przebijały na jój czole, blask niebieskich oczu, czarną brwią powleczonych, błyszczał bystrością pojęcia i głębokiego czucia; postać szlachetna, wysmukła, miała w sobie coś zajmującego i przy całym ubóstwie umiała okazać iż wie co się kobiecie należy. Przyjęła nas z radością, jakby dawno sobie znajomych; mówiła bez uniesienia tak rozsądnie jak na jój wiek i doświadczenie nie można się było spodziewać. Wyznała o Eliaszu, że go kocha, poznawszy jego charakter i sposób myślenia, bo to jest pierwszą, dodała, rękojmnią wierności szlachetnej przyjaźni. Nie tajiła się się z tém, że lubi stroje i świecidła, bo była młodą i kobietą, ale nigdyby od niego nic nie przyjęła, gdyby ją o to nie prosił i nie zapewniał, że mu to największą przyjemność sprawia. Na uczczenie nasze zaśpiewała nam cudownie, a głos jój czysty, silny, przy takiém zamiłowaniu jakie miała do sceny, mógł ją doprowadzić na znakomitą artystkę. „Kocham niebo, mówiła do nas, kocham ludzi i świat cały, ale po Bogu nic dla mnie niema nad teatr.” Eliasz wyznania tego nie słyszał, lecz podobne usposobienie nie tchnęło zamiłowaniem domu i obowiązków, w jakie wejść miała. Wyszliśmy z tém przekonaniem, że to jest kobieta co może owładnąć, lecz nie uszczęśliwić. . Wszakże gdy ani wpływ żaden, ani rady nie odniosłyby na Eliaszu żadnego skutku, a oboje do ustalenia swój przyszłości wzdychali, wyznaczyłem z doprowadzonej mi przez Eliasza fortuny parę tysięcy

dukatów, za które miał kupić willę z winnicą. Wziął uwolnienie od służby wojskowej, do której się zawsze liczył, i los potoczył dwoje istot nie dla siebie stworzonych.

Wkrótce też wyszliśmy z Rzymu. Było to już na schyłku kolosalnego w dziejach dramatu. Jeszcze kilka wysień genjuszu, wiele poświęceń i krwi bohaterów godnych pióra Plutarcha, ale to wszystko zmienić nie mogło woli, która od początku świata wedle założenia swego podwyższa doliny i góry równa. Widnokrąg polityczny po długich burzach zaczął się rozjaśniać, nastąpił pokój, po którym wróciliśmy do kraju. Porzuciłem służbę, której całą młodość i trudy poświęciłem i kupiwszy tę wioskę, grzebię w roli i upiększam ją. Kilka lat minęło od rozłączenia się naszego w Rzymie z Eliaszem: nie wróżyłem nic dobrego temu małżeństwu będąc zawsze tego przekonania, że kobieta oddana światu nigdy się do swych rodzinnych obowiązków nie przywiąże. Myślałem często o Eliaszu jak mu się powodzi, i właśnie przed tym samym siedziałam kominkiem, gdzie mnie zastałeś, kiedy nad wszelkie spodziewanie objawiła mi się jego postać. Poznałem go odrazu, domyślając się co zaszło; on z płaczem rzucił się do mnie, prosząc abyśmy więcej nie rozłączali się z sobą. Krótko ci dokończę ten ostatni ustęp z jego życia. Póty zgody i spokoju w domu, póki nie wyczerpały się fundusze, które ostrożnie na przyzwoite i uczciwe życie wystarczyć mogły. Po kilku leciach pożycia, Franceska dopięła celu swych życzeń: zyskała oklaski na scenie, i następnie zabrawszy syna, którego z sobą mieli, z jakimś Anglikiem uciekła. On biedował zagranicą, aż nareszcie zebrał resztę jaka mu została, do swoich powrócił, a dowiedziawszy się że żyję i w tej okolicy zostaję, do mnie się dostał i odtąd jak w młodości rozłączały nas rozmaite wypadki, tak na starość śmierć tylko jedna nas rozdzieli. On przeszedł

wiele: nieszczęście uwzięto się aby go prześladować, ale wierzaj mi, że to człowiek wyższego charakteru i usposobienia. Jeżeli słabym okazał się dla miłości, widzieliśmy pierwszych bohaterów, którzy dla téj broni mężstwa znaleźć nie umieli. Przeżyliśmy niemały czas z sobą, starcy obadwa żyjemy we wzajemnych dla siebie uczuciach, póki godzina dla którego nie wybije. Niestety! wkrótce ta godzina wybiła dla powszechnie szanowanego generała R.... Opłakaliśmy go w naszej okolicy jako męża zasługi i cnót obywatelskich. Eliasz szedł smutny za trumną, a gdy go wziętem za rękę, widząc co cierpieć musi, „po starszeństwie idziemy,” rzekł z żałością, „ale tą razą śmierć nie powinna była trzymać się porządku: on potrzebniejszy był ludziom, którym dobrze czynił.” Eliasz nie wyszedł więcéj z klasztoru przy którym pochowane zostały na cmentarzu zwłoki czcigodnego generała R..... Widziano go codziennie modlącego się na grobie swego dobroczyńcy, a gdy nie pokazywał się więcéj, domyślano się, że i on poszedł szczęśliwsze zamieszkać krainy. Jakoż w rok po generale zgasł i pocziwy Eliasz. W testamencie zostawił błogostawieństwo dla syna, który spodziewał się że jest na świecie i że o nim się dowie. Część zaś swego majątku, jaki z oszczędności uzbierał, zapisał dla instytucji dziewcząt, które, jak się wyraził, przeznaczone z czasem do zapewnienia szczęścia rodziny i domu, winny wiedzieć z dzieciństwa że co Bóg dał, na tém przestać, i z Jego wolą zgadzać się potrzeba; że próżność w kobiecie jest przewodnikiem zepsucia wiodącym do zguby, i że wszelka praca, każdy zarobek jest godziwy i użyteczny, którego nie trzeba przed ludźmi się wstydzic, a przed Bogiem odpowiadać.

O KLASYFIKACYI HYPOTEK,

JAKO TÉŻ PRAW HYPOTEKOWANYCH W OGÓLNOŚCI (*).

Druga bardzo ważna kwestya, która się ze związku hypotecznego różnych dóbr jednemi i temiż samemi długami obciążonych wywiązuje, tyczy się zasad klasyfikacyi hypotek. Z mocy art. 4 prawa o przywilejach i hypotekach z d. 1/13 czerwca 1825 r. pierwszeństwo do zupełnego zaspokojenia należności nadają przywileje i hypoteki: lecz tu nie idzie o pierwszeństwo przywilejów przed hypotekami, tylko o pierwszeństwo i stosunek hypotek, a mianowicie długów hypotecznych, z których jedne podwójnie lub potrójnie, inne pojedynczo na różnych dobrach jednego dziedzica się rozciągają.

Przepisy ustaw hypotecznych z r. 1818 i 1825 o pierwszeństwie praw rzeczowych mają jedynie na celu pierwszeństwo tychże praw, o ile na jednej i téjże sa-

(*) Podając w roku przeszłym do Biblioteki Warszaw. rozprawę „O potrzebie i warunkach ustawy wieczysto-dzierżawnej, nadmieniałem, iż to jest wyjątek z dzieła O systemacie hypotecznym później ogłosić się mającego. Wydanie tego dzieła, acz gotowego, lubo nie pod tytułem o systemacie hypotecznym, tylko pod tytułem: *Obraz wykazu hypotecznego*, z powodu braku czasu i innych zatrudnień doznaje zwłok; a nadto niektóre rozdziały postanowiłem z obrazu *usunąć* i osobno wydrukować, dlatego, że wykraczają poza obręb i pojęcie obrazu wykazu hypotecznego.

Do tego rodzaju rozdziałów należy i niniejszy pod napisem o klasyfikacyi hypotek i o klasyfikacyi praw hypotekowanych w ogólności.

Autor.

miej nieruchomości są zahypotekowane. W tym względzie proste służą zasady, a mianowicie, że pierwszeństwo hypotek do zaspokojenia zupełnego przed innemi hypotekami, zależy od *pierwszeństwa wpisu*, a między wpisami dnia jednego, od *porządku numerów*, (czyli od pierwszeństwa godzin, chwil jednego dnia). Gdyby zaś w jednym dniu kilka aktów *razem* (?) do wpisu podano, w takim przypadku pierwszeństwo zależy od tego, który akt ma wcześniejszą datę; gdyby wszakże i daty aktów były jednocześnie, w takim przypadku różnym długom równe służy pierwszeństwo do stosunkowego zaspokojenia. Art. 12 ustawy z r. 1818; analogia z art. 3 ustawy z roku 1825 i art. 8 téjże ustawy na końcu.

Lecz we względzie pierwszeństwa lub stosunkowości do zaspokojenia różnych długów jednego dziedzica, które na różnych jego dobrach, oddzielne księgi hypoteczne mających, pojedynczo na jednych dobrach, lub na dwojgu lub na trojgu lub nawet na kilkorgu dobrach są zahypotekowane, ustawy powyższe nie wyrzekły, ani téż żadnych zasad do analogii nie dostarczają.

Przypuśćmy, że na różnych dobrach, do jednego dziedzica należących, oddzielne księgi hypoteczne mających, w jednej albo w różnych guberniach pod różnemi trybunałami położonych, znajdują się następujące hypoteki umowne lub prawne lub sądowe, a w szczególności na dobrach:

	A.	B.	C.
pod Nr. 1.	30,000 Piotra;	40,000 Pawła;	50,000 Jana.
pod Nr. 2.	50,000 Jana;	30,000 Piotra;	60,000 Stanisł.
pod Nr. 3.	60,000 Stanisł.;	50,000 Jana;	40,000 Pawła.
pod Nr. 4.	80,000 Kazim.;	80,000 Józefa;	100,000 Anton.

Nie powinno to obudzić zadziwienia, że każdy z ostanich wierzycieli wypożyczył tak znaczny kapitał; bo słusznie mniemał, że wierzytelności poprzednio zahypotekowane, z innych dóbr zaspokojonemi będą.

Gdyby w takim stanie hipotecznym dóbr, tylko jedne z tych dóbr na subhastacyą wystawionemi były, natenczas klasyfikacya długów według zasad pierwszeństwa hipotecznego, powyżej wyłuszczonej, żadnej nie wywoływałaby wątpliwości prawnej: lecz różne dobra jednego dziedzica długami przeciążone, najczęściej jednocześnie zajętemi i na publiczną sprzedaż wystawionemi bywają.

Sprzedaż oddzielnie co do każdego dóbr nastąpić musi, w celu otrzymania osobnego szacunku co do każdego dóbr, na zaspokojenie hipotek według ustanowionego prawa pierwszeństwa; atoli ogół szacunku wszystkich dóbr subhastowanych nader często nie wystarcza na zaspokojenie wszystkich długów i innych praw rzeczowych hipotekowanych albo ostrzeżonych.

Dajmy na to, że powyższe troje dóbr, w jednej gubernii położone, jednocześnie zajętemi i razem w jednym dniu lub w następnych po sobie terminach sprzedanemi zostały, wedle przypuszczalnego szacunku, dobra A za 90,000, dobra B za 100,000, dobra C za 120,000.

Ogół długów z wszystkich dóbr wynosi 440,000; ogół zaś szacunku 320,000; niedostaje więc 120,000 na zaspokojenie wszystkich hipotek.

W tym stanie rzeczy, nie spuszczać z uwagi, że między trojgiem dóbr zachodzi *łącznieść i wzajemność hipoteczna* przez to, że niektóre hipoteki rozciągają się do dwojga lub trojga dóbr, nasuwa się samo z siebie pytanie abstrakcyjne, czy klasyfikacya szacunku oddzielnie i bezwzględnie co do każdego dóbr nastąpić powinna, czy też nie należałoby sporządzić jednego wspólnego planu klasyfikacyjnego w trzech oddziałach, uwzględniającego pierwszeństwo i zaspokojenie hipotek, nie tylko podług stanowionych zasad pierwszeństwa hipotek do jednej li nieruchomości zastosowanych; lecz oraz podług łącznieści i wzajemności hipotek, jaka między

różnemi dobrami, z powodu że na nich jedne i też same hypoteki się rozciągają, zachodzi.

W pierwszym przypadku, gdyby oddzielne klasyfikacye co do każdego dóbr były sporządzonemi, bez względu na zachodzącą między dobrami wspólność lub łączność niektórych hypotek, skutki klasyfikacyi nader różne i sprzeczne, zawisłyby jedynie od *przypadkowego* porządku lub kolei przedsiębrania klasyfikacyi co do jednych lub drugich dóbr.

Klasyfikacye co do trojga dóbr A, B i C pod względem kolei dopuszcza sześć odmiennych kategorii następujących w tym sposobie.

	Dobra	Dobra	Dobra
1.	A.	B.	C.
2.	A.	C.	B.
3.	B.	C.	A.
4.	B.	A.	C.
5.	C.	A.	B.
6.	C.	B.	A.

Odnośnie do przypuszczonego wyżej stanu długów hypotecznych, oraz przypuszczonego szacunku każdego z trojga dóbr, *Kazimierz* w kategorii 1 i 2 straciłby całe swe 80,000, przeciwnie w 3 i 6 otrzymałby całe 80,000, zaś w 4 straciłby 60,000, a wziąłby 20,000 i znowu przeciwnie *ad* 5 wziąłby 60,000, a straciłby 20,000; następnie *Józef* w 2 i 5 wziąłby 80,000; przeciwnie w 3 i 4 straciłby 80,000, zaś w 1 wziąłby 70,000, a straciłby 10,000, w 6 wziąłby 50,000, a straciłby 30,000; nakoniec *Antoni* w 5 i 6 straciłby całe 100,000, przeciwnie w 4 wziąłby całe 100,000, zaś w 1, wziąłby 70,000, a straciłby 30,000; toż samo odwrotnie w 2, nakoniec w 3 wziąłby 40,000, a straciłby 60,000.

W drugim przypadku, gdyby w wspólnym i związkowym planie klasyfikacyjnym co do wszystkich trojga dóbr wydzielono na rzecz łącznych hypotek stosunkowe spłaty w miarę ich wysokości i szacunku każdego

dóbr, ostateczny wypadek klasyfikacyjny byłby następujący.

Każdy z pierwszych wierzycieli, a mianowicie Piotr, Paweł, Jan, Stanisław, otrzymałby całą swoją wierzytelność, wszyscy razem w ogólnej summie 180,000 złp., z pozostałej zaś reszty szacunku w ilości 140,000 złp. każdy z ostatnich wierzycieli, a mianowicie Kazimierz wziąłby 36,723 złp. 6³/₇ gr., Józef wziąłby 57,182 złp. 1²²/₂₃ gr., nakoniec Antoni wziąłby 46,094 złp. 21⁵/₈ gr., co uczyni razem 140,000 złp.

Trudno zaiste na pierwszy rzut oka roztrzygnąć, który z dwóch danych systematów klasyfikacyjnych, pobudkom i założeniom żywotnym instytucji hipotecznej ściślej odpowiada: to wszakże nader widoczna, że owa nadzwyczajna sprzeczność i przypadkowość w ostatecznych skutkach klasyfikacji bezwiązkowych, od pojęć i zasad sprawiedliwości odbiega; że się zupełnie mija z przezornością i dobitnością prawa stanowionego, i że tak różne a sprzeczne skutki klasyfikacji oddzielnych, będą owocem przemyślności i podstępnych zabiegów stron, oraz dowolności trybunałów lub nawet sędziego klasyfikacyjnego kierującego.

Antoni pożyczył dziedzicowi trojga dóbr A, B i C 100,000 i poprzestał na hipotece dóbr C, w tej pewnej nadziei, że poprzedzający trzej wierzyciele odbiorą swe należności w całości, lub w większej, lub w znacznej części z dóbr A i B, a nie przewidział i nie mógł przewidzieć, że po zajęciu wszystkich trojga dóbr na substaecyę, sprzedaż i klasyfikacyę co do dóbr C przed sprzedażą i klasyfikacyą co do dóbr A i B nastąpi, skutkiem czego Antoni całe swe 100,000 stracił.

Toż samo da się powiedzieć w odwrotnych przypadkach, o wierzycielach Kazimierzu i Józefie, z których każdy mając po 80,000, pierwszy na dobrach A, drugi na dobrach B, może je w całości stracić lub otrzy-

mać, w miarę przedsięwzięcia wprzód klasyfikacyi co do tych lub co do innych dóbr.

Możnaby tu wprawdzie wierzycielom najniższe hypoteki mającym, zarzucić nieprzezorność lub nie dopilnowanie, lub narażenie się na szkodę przez własną winę; lecz wszystkie te zarzuty łatwo zbijać się dają oczywistym niedostatkami zasad prawnych hypotecznych co do sposobu i porządku zaspokojenia podwójnych lub potrójnych lub wielokrotnych hypotek jednej i téjże samej wierzytelności lub należności: bo ustawa hypoteczna kładąc nazbyt małą tamę możliwości pomnożenia hypotek, co do jednego i tegoż samego długu, bądź to na skutek umowy stron, bądź to na skutek ostrzeżeń, powinna była przepisać zasady i prawidła stosunkowego zaspokojenia takich hypotek z dóbr niemi obciążonych, albo téż wyraźnie postanowić, że w razie zaciągnięcia hypotek co do jednego długu na kilku dobrach jednego dziedzica i dłużnika, wierzyciel obowiązany będzie jedną z nich podać za główną, inne zaś tylko za pomocnicze, i że różnica ta pociągnie za sobą samém przez się prawem, *ipso jure* obowiązek zrealizowania wprzód hypoteki głównej, nimby się przystąpiło do zrealizowania hypotek pomocniczych.

Przez to, albo przez ustanowienie innéj, duchowi ustaw hypotecznych obowiązujących odpowiedniéj zasady, zapobiegłoby się złudzeniom wierzycieli lub osób trzecich, jako téż podstępnyim zabiegom stron i dowolności prawnictwa wykonawczego.

Ustałaby nadto przypadkowość i niepewność skutków klasyfikacyi, niedostatkami prawa stanowionego wywoływana.

Téż same zasady należałoby zastosować do dóbr subhastowanych pod różnymi trybunałami położonych.

Rozbiór ten naprowadza na zastanowienie się w ogólności nad systematem klasyfikacyi względem

wszelkiego rodzaju praw rzeczowych do działu IV i działu III wchodzących.

O klasyfikacyi *de l'ordre* traktuje kodex procedury cywilnej od art. 749 do art. 779, kodex zaś cywilny o niej wspomina w końcu tytułu o przymuszoném wywłaszczeniu *de l'expropriation forcée* w art. 2218 w słowach: „Porządek i rozdział szacunku za nieruchomości oraz sposób postępowania w téj mierze, przepisane są ustawami proceduralnemi „*L'ordre et la distribution du prix des immeubles et la manière d'y procéder, sont réglés par les lois sur la procédure*”.

Tymczasem w kodexie procedury cywilnej tylko forma postępowania jest przepisana, a chociaż artykuł 755, wyraża się „że po przyjęciu podań od zgłaszających się wierzycieli, ma być sporządzonym plan klasyfikacyjny *l'état de collocation*, jednakże podług jakich zasad prawa materialnego to nastąpić powinno, o tém żadnej nie masz wzmianki.

Zasady te czerpać należy w tytule kodexu cywilnego o przywilejach i hypotekach, niemniej w całym ogóle kodexu cywilnego; lecz w miejsce tegoż tytułu, w miejsce systematu hypotecznego francuzkiego, podstawionym został przez ustawę hypoteczną z r. 1818 oraz przez prawo o przywilejach i hypotekach z r. 1825, inny zupełnie systemat hypoteczny.

Otóż w obliczu obu systematów hypotecznych francuzkiego i polskiego, obok nawału tyłu pewnych lub ukrytych wątpliwości prawnych, narzuca się uwaga o zachodzącym niedostatku wyraźnie stanowionych przepisów prawa, zwłaszcza, iż przy wątpliwościach bezpośrednio z samego prawa francuzkiego lub z samego prawa hypotecznego polskiego wynikających, nowe wyrosły wątpliwości i kwestye z krzyżowania się zasad kodexowych z zasadami nowego prawa hypotecznego.

Niedostatek ten, wprawdzie, kodex procedury cywilnej w artykule 697 zastąpił przepisem ułożenia i ogłoszenia w każdym szczególnym wypadku publicznej dóbr nieruchomości sprzedaży, pewnych warunków licytacyjnych.

Środek ten atoli w zwyczajnych subhastacjach jest i uciążliwym, i częstokroć nie zapewnia takich skutków prawnych, jakie w ogólności prawodawstwo cywilne na widoku mieć powinno: gdyż najczęściej wierzyciele hipoteczni spory o istotę warunków licytacyjnych przez wszystkie instancje sądowe przewieść są zniewoleni, albo téż ułożone ostatecznie warunki licytacyjne barwą pozorną prawności i uwzględnienia równego wszystkich stron lub okoliczności pokryte, albo nawet z powodu nieprzewidzianego zbiegu i oddziaływania rozmaitych punktów prawnych, w ostatecznym skutku swoim nie mogąc być zgłębnieni, częstokroć tych lub innych wierzycieli albo użytkowników prawa rzeczowego, albo wywłaszczonego dłużnika, albo nowego nabywcę dóbr na nieprzewidzianą i niepowetowaną szkodę narażają.

Lecz nadto, odkąd zaprowadzonóm jest Towarzystwo Kredytowe Ziemskie ustawą z dnia $\frac{1}{13}$ czerwca 1825 r., i ku jego powodzeniu przepisany jest *skrótowy sposób postępowania sprzedaży publicznej dóbr zalegających w opłacie rat towarzystwa kredytowego, warunki licytacyjne* ograniczają się na punktach wytkniętych w artykule 91 powołanej ustawy, nie zaradzając wszystkim kwestyom, jakie po sprzedaży dóbr, z powodu rozmaitości praw rzeczowych dobrom towarzyszących, wynikać mogą.

Otóż w sprzedaży dóbr przez Towarzystwo Kredytowe, niedostateczność warunków licytacyjnych pozostawioną jest niedostatnim przepisom prawa hipotecznego, a tém samém dowolności zdań prawniczych albo téż w rzeczy samej trudnym wnioskowaniom, według różnych przepisów lub zasad prawa.

Wprawdzie przemiana systematu hipotecznego francuzkiego na systemat hipoteczny polski usunęła, niektóre stanowcze trudności porządku klasyfikacyjnego francuzkiego, lecz kombinacya teoretyczna rozmaitych zasad z kodexów cywilnego, proceduralnego, handlowego; z ustawy hipotecznój z r. 1818; z prawa o przywilejach i hipotekach z r. 1825; z postanowienia o wydzierzawieniu exekucyjnym z r. 1823, i z innych odnosnych przepisów; pozostawia nazbyt wielką niepewność lub dowolność w rozwiązywaniu ostatecznym wydarzających się zawitych stosunków lub kwestyj prawnych.

Dla utorowania więc drogi, bądź do stałej jurisperudencyi, bądź do prawodawczych uzupełnień systematu klasyfikacyjnego różnych praw rzeczowych dobra obciążyc mogących, bliżej w materyą tę wniknąć przychodzi.

Przepisy bezpośrednie do uzasadnienia systematu klasyfikacyjnego, zachodzą się w artykułach 11, 12, (13) 40, i 41 z r. 1818 i w prawie z r. 1825 o przywilejach i hipotekach: niemniej w kodexie procedury cywilnej o uporządkowaniu *de l'ordre* w artykułach 774, 759, 767.

Lecz przepisy te nie ogarnawszy ogółu systematu nowego hipotecznego, są niedostateczne do rozwiązania nastęrczających się kwestyj; gdyż po przemianie wszelkich praw poza obrębem porządku hipotecznego zachodzących, na *osobiste*, przy nadaniu onymże cechy prawa rzeczowego, dopiero na mocy i od daty jawnego wpisu hipotecznego, niemniej po ustanowieniu obowiązku objawienia hipotecznego wszelkiego rodzaju praw rzeczowych tak bezpośrednich jak pośrednich, jedyna zasada „iż prócz przywilejów na dobrach nieruchomych, którym pierwszeństwo bez rzeczywistego wpisu przed wszelkimi wpisanemi hipotekami przyznano, *pierwszeństwo prawa rzeczowego zależeć będzie od pierwszeń-*

stwa wpisu" nawodzi na prosty wniosek, jakoby wszelkie bez różnicy prawa rzeczowe hipotekowane, porządkowi klasyfikacyjnemu uległy a tém samym na szacunku z publicznej sprzedaży dóbr osiągniętym pomieszczone być powinny, pod skutkami w artykułach 774, 759 i 767 kodexu procedury cywilnej zastrzeżonemi, iż wszelkie hipoteki tak zaspokojone jak spadłe, z wykazu hipotecznego wykreślonemi zostaną.

Lecz takowym przepisom ustawy hipotecznej i prostym z niej wypływającym wnioskom, sprzeciwia się najprzód pierwotna natura praw rzeczowych bezpośrednich, która pomimo jej zniesienia, jak się rzekło, artykułem 11, wykonaniu ustanowionego względem nich artykułem 12 pierwszeństwa hipotecznego, samodzielny opór stawia; sprzeciwia się następnie *moć*, jaka tymże prawom z kodexu cywilnego służy.

Albowiem prawa rzeczowe bezpośrednie, które z natury, istoty i celu swojego bezpośrednio do gruntów służbowych są przywiązane; które w prawie rzymskiem *jura vel servitutes praediorum rusticorum vel urbanorum* się nazywają, które kodex cywilny francuzki, w artykułach od 637 do 710, dzieląc je na trzy gatunki, nazywa służebnościami, to z naturalnego położenia sąsiednich dziedzin wynikającemi, to samym prawem lub czynem człowieka ustanowionemi; których byt prawny, według tegoż kodexu wcale od systematu hipotecznego nie zależał i objawienia lub wpisu hipotecznego nie wymagał; które podług *innych zasad, mocniejszych* od prawa hipotecznego jako wcielonej części ogólnego prawa cywilnego, powstały, istniały lub ginęły: tento rodzaj praw rzeczowych bezpośrednich, pomimo poddania go przez nowy systemat hipoteczny i jawnym wpisom i pierwszeństwu według daty wpisu, do uporządkowania klasyfikacyjnego, do ewaluacji lub spłaty z szacunku licytacyjnego dóbr pociągany być nie może.

I choćby w rzeczy samój służebności czynem człowieka, *par le fait de l'homme*, ustanowione a mianowicie powszechniejsze w kraju służebności *wolnego pastwiska* i *wolnego wrębu* ogólną wartość dóbr służebnych uszczuplały lub rozciągnęły i swobodę gospodarowania i użytkowania ścieśniały, jednakże nabywca dóbr uważanym być powinien za nabywającego dobra nietylko za postą pionym najwyżej szacunek, lecz oraz *dotatkowo* za ponoszeniem służebności tych, o ile w wykazie hipotecznym są objawione.

W tém miejscu następuje się rozbiór i tłumaczenie artykułu 45 ustawy hipotecznej z r. 1818 stanowiącego: „że służebności *wolnego pastwiska* i *wolnego wrębu* hipotecznie wpisanemi być powinny; że inne służebności gruntowe choćby niewpisane, mocy swój nie tracą; że wszelako na przyszłość każde umorzenie istniejących służebności i każde ustanowienie nowych lub tychże umorzenie jakiegokolwiek rodzaju oneby były, hipotecznie objawioném być powinno”.

Rozporządzenie to, ściśle tylko do służebności czynem człowieka ustanowionych, i do służebności *naturalnych* i *prawnych* których sposób wykonywania, poza obręb przypuszczeń stanowionego prawa, przez układ stron lub przez trzydziestoletnią używalność ustanowionym został, rozciągniętym być może; gdyż co się dotyczy służebności wynikających z naturalnego położenia dziedzin sąsiednich, czyli służebności *naturalnych* oraz tych które samém prawem są ustanowione czyli *prawnych*: takowe większą mają moc prawną nad wszelki systemat i objawienie hipoteczne; powstają, istnieją *w każdym czasie* samém przez się prawem, *ipso jure*; należą bez względu na to, czy są lub nie są do hipoteki wpisanemi, do *stałego niezmiennego porządku ekonomicznego krajowego*, który osobnego zabezpieczenia, objawienia i wpisania hipotecznego wcale nie potrzebuje; a nawet co większa

służebności naturalne i prawne, po ich ustaniu, byleby przedawnienie 30-letnie nie mogło być domniemywaném, ożywiają na nowo, kiedy się przewidziany w artykułach od 640 do 685 kodexu cywilnego stan rzeczy przywraca. Art. 704. Kod. cywil.

Jeżeliby zaś uważano, iż powołany artykuł 45 ustawy hypot. objął i służebności naturalne i prawne, w takim przypadku wyznać przychodzi, iż ustawa hypoteczna w rozwijaniu się swoim wewnętrzném za daleko posunawszy się, zbytecznie i niepotrzebnie służebności naturalne i prawne pod porządek hypoteczny podciągnęła

Tego rodzaju służebności gruntowe każdy trzeci nabywca dóbr, bezwarunkowo i bezwzględnie na stan wykazu hypotecznego, uznać i ponosić jest obowiązany.

Z postrzeżeniami powyższemi łączy się pytanie: czy służebności, które się w prawie rzymskiém *servitutes personarum vel hominum* zowią, których wszelako kodex cywilny francuzki do rzędu ani nazwy służebności nie policzył, a mianowicie *usufruit* użytkowanie, zwykle dożywociem zwane, *usage* używanie i *habitation* mieszkanie, uporządkowaniu klasyfikacyjnemu, a tém samym pomieszczeniu na szacunku z publicznej sprzedaży dóbr osiągniętym ulegają, lub czyli oprócz tegoż szacunku, dodatkowym pozostaną ciężarem nowego nabywcy dóbr aż do ich wygaśnięcia, według artykułów od 617 do 624 Kod. Cywil.

Pytania tego nowe prawodawstwo hypoteczne nigdzie nie rozwiązuje; wykrywa się owszem brak związku między zasadami powoływanych dopiero artykułów kodexowych a zasadą artykułu 12 ustawy hypotecznej, gdyż podług artykułów kodexowych użytkowanie, dożywocie, używanie lub mieszkanie nie kończy się przez *subhastacyą* dóbr, zaś podług artykułów 11 i 12, pociągających prawa rzeczowe hypotekowane, a tém samym

i służebności pewnym osobom dożywotnie lub do pewnego kresu posługujące pod zasadę, moc i skutki pierwszeństwa hipotecznego, przewidzianém jest ich ukończenie mocą subhastacyi, adjudykacyi i klasyfikacyi, a to przez pomieszczenie ich według daty wpisu na szacunku z subhastacyi dóbr osiągniętym; zasada bowiem pierwszeństwa hipotecznego nie nadaje prawu hipotekowanemu niewzruszalności lub wieczystości, nie zawiera w sobie mocy zachowawczej praw hipotekowanych; ustanowioną jest owszem ku ich zniszczeniu i wykreśleniu z wykazu hipotecznego.

Możnaby wprawdzie w duchu powoływanych artykułów kodexowych w związku z artykułem 12 ust. hyp. utrzymywać, że służebności osobom posługujące, polegając z natury swój na bezpośredniém z dóbr służebnych użytkowaniu, o ile wszelkie inne długi lub należności hipotekowane poprzedzają, za niewzruszalne aż do swego właściwego kresu uważanemi być powinny; lecz w wypadkach zetknięcia się służebności tych z innymi hipotekami a mianowicie, jeżeli dobra po poprzedniém ich obciążeniu innymi długami, dopiero później dożywociem lub używaniem lub mieszkaniem obciążonemi zostały, albo jeżeli dożywotnik *ustąpił pierwszeństwa* towarzystwu kredytowemu ziemskiemu, towarzystwo zaś to, nie odbierając rat kredytowych, wystawiło dobra na sprzedaż publiczną według zwykłych swych warunków licytacyjnych, które o innych skutkach sprzedaży nie mówią; czy w takich wypadkach nowo-nabywca dóbr, może być *prawnie i słusznie* uważanym za nabywającego dobra nie tylko za szacunek najwyżej postąpiony, lecz i dodatkowo z niewzruszalnym ciężarem dożywocia? czy wierzyciele a nawet późniejsi od dożywocia, nie mogą żądać kolejnego rozdziału szacunku licytacyjnego stosownie do artykułów 11 i 12 ustawy hipotecznej?

Wszakże dożywotnik, ustąpiwszy pierwszeństwo towarzystwu kredytowemu ziemskiemu, tém samém poddał się zasadzie i skutkom pierwszeństwa hipotecznego; wszakże użytkownik służebności wpośród wcześniejszych i późniejszych wierzycieli hipotecznie umieszczony, nie może wyłamywać się z pod mocy porządku hipotecznego ustawą hipoteczną przewidzianego?

I nabywcy dóbr mocą adjudykacyi, nie może być poczytaną chęć nabycia dóbr i za postąpiony najwyżej szacunek i dodatkowo pod obowiązkiem ponoszenia służebności dożywocia.

Wypadałoby więc ażeby prawodawstwo potrzebny między kodexem cywilnym a ustawą hipoteczną związek skojarzyło, przez wyraźny przepis: czy w ogólności lub w których przypadkach służebności osobom posługujące, zasadam pierwszeństwa hipotecznego i uporządkowania klasyfikacyjnego ulegać mają; niemniej podług jakich zasad wynalezioną być powinna kapitałna ich wartość w stosunku do niepewnego kresu ich ustania według zasad kodexowych.

Lecz podobnych uzupełnień prawodawczych wymagają i dalsze do porządku klasyfikacyjnego odnoszące się wypadki.

Ustawa hipoteczna w artykule 44 wyraża się w tym sposobie.

„pod wyrazem *ciężary wieczyste* rozumieją się *opłaty, daniny lub obowiązki stałe*, na szczególnych tytułach polegające, które w księdze hipotecznej jako *długi* się umieszczają.”

Być może, iż wysłowienie to sprzągając z sobą sprzeczne pojęcia *ciężarów wieczystych z długami*, miało na celu nadać tak zwanym opłatom, daninom lub obowiązkom stałym, acz pod ogólną nazwą ciężarów wieczystych zebranych piętno długów zwyczajnych, które z istoty swojej są przemijającymi.

W tym duchu przynajmniej pojęła je ustawa o towarzystwie kredytowym ziemskim w art. 91 stanowiąc o warunkach sprzedaży publicznej dóbr zalegających w opłacie rat kredytowych, i zastrzegając „iż nowonabywca przyjmie obowiązek zaspokojenia wszelkich należności do gruntu przywiązanych artykułem 41 ustawy hipotecznej wyszczególnionych, tudzież ciężarów wieczystych w myśl artykułu 44 téjże ustawy, o ile te pierwszeństwo przed towarzystwem mają, wynoszących sumę N.

Z jednej więc strony zamieszczenie ciężarów wieczystych pod napisem długów, z drugiej przypuszczenie możliwości zamienienia ciężarów wieczystych w drodze sprzedaży publicznej dóbr na pewną sumę pieniężną, nawodzi na wypływające ztąd następstwo, iż tak zwane ciężary wieczyste, podobnie jak zwyczajne długi do porządku klasyfikacyjnego i zamieszczenia na szacunku licytacyjnym oraz wykreślenia z wykazu hipotecznego należą.

Jakoż w rzeczy samej domniemane w art. 44 *opłaty, daniny* lub obowiązki stałe, nie są ciężarami wieczystymi, a nawet co większa w epoce uchwalenia ustawy hipotecznej z r. 1818 nie było, w duchu żywotnych zasad kodexu cywilnego francuzkiego żadnych praw rzeczowych, któreby piętno *prawne* wieczystości na sobie nosiły.

Dopiero późniejsze prawo sejmowe z d. $\frac{1}{13}$ czerwca 1825 r. zmianę artykułu 530 kodexu cywil. w tém brzmieniu stanowiąc „iż artykuł ten nie ma się stosować do dzierżaw i czynszów wieczystych, jeżeli warunek wykupna wyraźnie nie był zastrzeżonym” ustanowiło pojęcie prawne ciężarów rzeczowych wieczystych i ustaliło tym sposobem różnicę tego rodzaju ciężarów od innych ciężarów rzeczowych, które wprawdzie stałemi być mogą, lecz bynajmniej nie są wieczystymi.

Otóż cecha prawna wieczystości jakiego prawa rzeczowego polega jedynie na niemożności jego wykupienia, czyli na niemożności prawnej spłacenia go kapitałem, i dlatego z mocy powołanego nowego prawa z r. 1825 w związku z artykułami 530 i 1911 kodexu cywil. tylko dzierżawy lub czynsze lub kanon wieczyste ustanowione są prawami lub ciężarami wieczystymi; owe zaś *opłaty, daniny lub obowiązki stałe*, które w art. 44 pod niewłaściwą nazwą ciężarów wieczystych do rzędu zwyczajnych długów są policzone, w istocie niczém innym nie są tylko należnościami, które kodex cywilny francuzki pod ogólną nazwą *rentes* objął.

Należności te uważane ze strony obowiązane go do ich uiszczenia, są wypłatami terminowemi w pewnych ilościach pieniężnych; ze strony zaś pobierającego wpływem, przychodem, dochodem, intratą, albo w ogólności w stosunku do obudwóch tak obowiązane go jak pobierającego *procentem ustanowionym od przypuszczalnego kapitału*.

Możnaby je ogólnie nazwać należnościami procentowemi. Kodex cywilny francuzki w artykule 1910 dzieli je na *rentes en viager* czyli *viagères*, wypłaty dożywotne, i na *rentes en perpétuel* czyli *à perpétuité* wypłaty wieczyste. Lubo ostatnie wedle artykułu 1911 kod. cywil. nie są w istocie wieczystemi, jednakże w przypadku sprzedaży dóbr niemi obciążonych, przez subhastację tak artykuł 1911 w ustępie 2-m stanowiący, iż wykup może być wzbronionym aż do lat 10-ciu jak art. 1979 zastrzegający, iż uiszciciel wypłaty dożywotniej obowiązany jest czynić wypłatę przez całe życie osoby lub osób którym służy, mógłby nieprzełamana stanowić przeszkodę w usunięciu i wykreśleniu z wykazu hipotecznego na mocy uporządkowania klasyfikacyjnego; chyba by uważano, iż podpadają pod późniejszy przepis

artykułu 44 ustawy hipotecznej, policzający opłaty lub obowiązki stałe do kategorii długów.

W żadnym wszakże przypadku, wbrew temuż przepisowi, nie mógłby być narzuconym nowonabywcy dóbr obowiązek ponoszenia wypłat *pieniężnych stałych*, dożywotnich lub wieczystymi zwanych nad postąpiony najwyżej szacunek licytacyjny, chociażby nawet wypłaty te pieniężne, wedle daty wpisu hipotecznego wszystkie inne hipoteki poprzedzały: gdyż nietylko według powszechnych wyobrażeń lecz i według ducha i celów prawa cywilnego, hipotecznego i proceduralnego przypuszcza się i przypuszczać należy, iż dobra w drodze subhastacyi mocą wyroku adjukacyjnego nabywane, nabywają się za sam szacunek licytacyjny najwyżej postąpiony bez innych uciążliwości; obok zaś takiego przypuszczenia czyli domniemania powszechnego z duchem ogólnego prawa zgodnego wystawa warunków licytacyjnych bez wyraźnego i szczególnego zastrzeżenia, iż nad szacunek ten nowonabywca dóbr ma być jeszcze obowiązany dodatkowo do ponoszenia stałych lub dożywotnich lub jako-wieczystych należności na rzecz osób prywatnych lub zakładów publicznych, osłania nowonabywcę najzupełniej, bo pod rękojmią wiary publicznej, od możliwości narzucania mu obowiązku ponoszenia tego rodzaju ciężarów za obrębem szacunku za dobra postąpionego.

Te więc należności czyli ogólnie wszelkie wypłaty dożywotnie lub do pewnego kresu lub wypadku wyznaczone, albo procenta lub opłaty stałe pod inną nazwą, rocznie, w pewnych terminach i w pewnych ilościach pieniężnych uiszczane, które zwykle w dziale III wykazu hipotecznego się zapisują, za ulegające uporządkowaniu klasyfikacyjnemu szacunku z sprzedaży dóbr osiągniętego, uważanemi być powinny.

Wszelako i co do sposobu pomieszczenia na szacunku licytacyjnym rozmaitych praw rzeczowych tak tych, które są lub mogą być liczebnie oznaczonemi, jak i tych, które in quali et quanto jeszcze nie są ustanowionemi, albo które są warunkowemi; co do sposobu oczyszczania przysądzonych przez adjukacją dóbr z różnych i rozmaitych praw tych rzeczowych, podobnież w nowym systemacie hipotecznym nie masz dostatecznego ujęcia prawnego, a skutkiem tego publiczni nabywcy dóbr, pomimo nabycia swego pod rękojmią wiary publicznej wpłatani będą w długoletnie processa, w których według okoliczności i wypadków niczém nieprzeniknionych, bądź sami, bądź wierzyciele hipoteczni na niepowetowane szkody narażeni bywają.

W ogólności więc uważać się daje, że właśnie w materji, która w napisie swoim *l'ordre*, porządek zapowiada, wielka niepewność panuje, i że systemat hipoteczny, daleki od istotnego celu swojego w zapewnieniu nietylko formalnego lecz i rzeczywistego bezpieczeństwa i skutku, wiele jeszcze wyraźnych popraw i uzupełnień w wielu względach wymaga.

August Heylman.



KONSTANTY ŚWIDZIŃSKI

I JEGO WIECZYSTA FUNDACYA.

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

Kilka słów wstępu.

Dziedzic Sulgostowa w dawniejszém Opoczyńskim, znany już dawno całemu narodowi z zamiłowania, z jakim gromadził skarby literatury polskiej, Konstanty Świdziński, umierając zrobił w tych czasach dla dobra ogólnego jedną z największych fundacyj, o jakich u nas kiedykolwiek słyszano: bo cały swój majątek, kapitały i obszerne dobra, zapisał na wieczyste utrzymanie biblioteki, którą całe życie swoje z nadludzkimi wysiłkami zbierał, porządkował i dopełniał. Mówimy, że zapisał obszerne dobra, bo u nas, gdzie już tak wielkich majątków nie ma, klucz Sulgostowski z kilkunastą wsiami i miasteczkiem parafialném Klwowem, już do pańskiej należy fortuny. W istocie sam Konstanty Świdziński pochodzeniem swoim należał do téj liczby rodzin naszych z nazwiskiem senatorskiem i historyczném, które nam z czasów rzeczypospolitej jako pamiątka po świetniejszych niegdyś czasach zostały. Jego nazwisku dostatecznie odpowiadał majątek.

Fundacya, o której mówimy, jest takiego rodzaju, że ściąga na siebie oczy całego narodu. Widzieliśmy w publiczności naszej to niezmiernie zajęcie, jakie sprawiły pierwsze o niej zaleciałe do Warszawy wiadomości z Kijowa; widzieliśmy potem drugie z kolei, większe jeszcze publiczności naszej zajęcie się tą fundacyą, skoro pisma nasze zaczęły drukować testament, kodycyll, list Świdzińskiego do margrabiego Wielopolskiego, wszystkie te akta urzędowe obejmujące w sobie historią biblioteki, majątek jój i przyszłe urządzenia, do jakich głównie tylko zakreślał plany przenajzaczniejszy założyciel; wykonanie woli swój i rozwinięcie szczegółów zostawiając mianowanym przez siebie osobom. Troszczył się Świdziński przed śmiercią o swoją bibliotekę, tak jak troszczy się ojciec o swoje dziecię najukochańsze, które pozostawia sierotą, więc i opiekunów mu wyznaczał i sumienie wykonawców swoich zobowiązywał. Kiedy sam czuwać nie mógł nad własnym dziełem, staranie nad nim zlecał ludziom, w których bezwarunkowo położył zaufanie, bo polegał na ich charakterze i obywatelstwie. Zdaje się, że niepotrzebnie nawet tak bardzo troszczył się Świdziński o przyszłe losy swojej biblioteki. Fundusz był czysto jego własny, więc zapis na bibliotekę nie obciążał nikogo, ani właściciela któremu tytuł własności przekazywał, ani kuratorów, którym rządy biblioteki oddawał, a tu już nie obywatelstwa, nie żadnych poświęceń, ale prostego uczucia sprawiedliwości i powinności było potrzeba, żeby wolę jego wszyscy święcie uszanowali. I Świdziński nie zawiedzie się, mamy nadzieję, na wykonawcach.

Fundacya Świdzińskiego oddana jest całkiem na pożytek oświecenia narodowego. Dzieje współczesnej nam epoki zapiszą jego imię i następnym, najdalszym je przekażą pokoleniom. Godzien tego wieków uczczenia nasz założyciel: godzien, bo dobroczyńcą został oświaty i spełnił swoje powinność, jaką miał względem kraju. Gdy przodkowie jego rządy i orężem służyli ojczyźnie, dzisiaj, potomek senatorów, służył krajowi wedle serca, wysileniem, poświęceniem się, trudem całego żywota; służył jój czém stało. Jeżeli miał inne jakie zasługi, wszystkie

zblakną przy jasności tego wiekopomnego czynu fundacyi biblioteki. Ileto mamy w kraju, dzisiaj nawet po tylu już klęskach i wojnach, zbiorów książek i starożytności! a przecież sława ich nie otacza, a właściciele zbiorów do ludzi, któremi się naród chlubi, nie liczym. Prosta odpowiedź dlaczego? Skarby prywatnie zbierane albo leżą bez użytku, albo tylko prywatnym służą i żadnego wpływu nie wywierają ani na kierunek, ani na rozszerzenie się literatury i nauki. Publiczność, przystępność naukowych zbiorów, stanowi całą ich wartość i zasługę: sąto albowiem otwarte i świecące ogniska narodowego światła, gdy przeciwnie biblioteki zamknięte przed ciekawym okiem i rozumem uczonych, sąto ogniska wygasłe: a jeżeli świecą, to są jako próchno.

Dzieje nasze niewiele zapiszą tych pięknych imion zasługi i pracy, które się na tém polu oświaty narodowej chlubnie odznaczyły takimi fundacyami, jaka jest Świdzińskiego. Najznakomitsze tutaj nazwisko będzie uczonego Józefa Jędrzeja Załuskiego biskupa kijowskiego, któremu wyłącznie należy się sława założenia pierwszej publicznej biblioteki w Polsce. Mógł zapewne większemi środkami rozporządzać Załuski jak Świdziński, lubo obadwaj mieli równą miłość do zbierania książek. Załuski i z domu samego możny, miał jeszcze na zawołanie swoje dochody kilku posażnych opactw polskich i francuzkich, i miał także stanowisko w rzeczypospolitej w duchowienstwie, które mu bardzo ułatwiało zbieranie: jako biskup np. wchodził wszędzie do klasztorów, jako senator do dworków szlacheckich; miał do tego brata biskupem krakowskim, który książęce posiadał dochody, a pomagał mu z serca; toż samo miał ogromną rodzinę, która po wszystkich stronach Polski rozrzucona, o zapale jego do zbierania książek pamiętała; umiał zresztą żyć tylko chlebem i wodą, żeby oszczędzić grosze na książki. Do tego Załuski pierwszy w Polsce zbierał. To wszystko przyczyniło się cudownie ku temu, że Załuski dźwignął gmach jeden z najokazalszych, *erexit monumentum*: jedynąto fundacyą jaka stanęła jeszcze za rzeczypospolitej. W pó-

zniejszych już czasach Józef Maksymilian Ossoliński wznosił wielki gmach oświaty narodowej we Lwowie; byłto zakład tém ważniejszy, że połączony z rodzajem towarzystwa naukowego: miał pomiędzy innemi w zadaniu swoim czynnie popierać literaturę, wydawać pismo literackie i drukować ważne dzieła. Trzeci podobny zakład stanął w Poznaniu wielkim nakładem Edwarda Raczyńskiego. W tych dniach powstaje czwarty nowy tego rodzaju zakład w Wilnie przy komissyi archeograficznej tamże założonej, któryśmy winni obywatelskiej gorliwości Eustachego Tyszkiewicza. Najznakomitsze zakłady, bo już na publiczny oddane użytek i dla wszystkich są otwarte, a do tego w miastach, które z położenia swojego i z historyi są, albo były stolicami różnych narodowości polskich i nawet niegdyś narodów. Nie wspominaliśmy tutaj nic o bibliotekach rządowych, których mieliśmy i mamy bogatych kilka, np. o bibliotece publicznej w Warszawie (dziś Okręgu Naukowego) o bibliotece Towarzystwa przyjaciół nauk lub Uniwersytetu Jagiellońskiego i t. d.

Mamy i prywatne znakomite biblioteki, które już położyły swoje zasługi dla literatury. Najgłośniejszą z nich była w swoim czasie Porycka, z której niezmiernych bogactw, ogromne tomy erudycyi swojej wypisywał Czacki. Biblioteka Puławska Czartoryskich urządziła w swoim czasie wydawnictwo dzieł: kilka znakomitych utworów z niej wyszło, nawet kilka ważnych materiałów historycznych; gdyby nie wypadki krajowe, do dziś dnia zapewne dzieła wydawnictwa Puławskiego złożyłyby osobną bibliotekę. Dzisiaj powszechną zwraca na siebie uwagę biblioteka kurnicka Tytusa Działyńskiego: wychodzą z niej dzieła tak znakomite powagą i treścią, że nakładów tych z niczem innem w literaturze naszej porównać nie można. Raczyński wiele robił na drodze wydawnictwa, ale więcej jeszcze robi Działyński. Tu już najszlachetniejsze poświęcenie się i miłość dobra ogólnego przewodniczą w sprawie szlachetnie podjętej i szlachetnie prowadzonej. Jedno wydanie aktów Tomickiego mogłoby unieśmiertelnić wydawcę, jedno wydanie

Długoszowego dzieła: *Lites ac res gestae inter Polonos et ordinem Cruciferorum*; a tutaj tyle innych dla nauki i dla oświaty wielkich dobrodziejstw! Uczonym znaną też jest biblioteka Tarnowskich w Dzikowie, w której pomiędzy innymi gościł i wiele nieznanych bliżej światu uczonemu, znalazł dzieł Wacław Maciejowski. Biblioteka szczorsowska Chreptowiczów mało w ogóle znajoma, posiada też swoje acz maluteczkie zasługi: wydano z niej pamiętniki Samuela Maszkiewicza i kilkadziesiąt listów różnych osób historycznych w Wizerunkach wileńskich. O rzadkościach niegdyś biblioteki piotrowickiej Koźmianów (pod Lublinem) dziś sprzedanej Branickim, wiemy także cokolwiek z pism poznańskich. Nie zasłużyła się jeszcze niczem względem kraju, dla uczonych nawet niebardzo dostępna albo wcale niedostępna. Z większych bibliotek podobno bardzo bogata Ordynacyi Zamojskiej w Warszawie i wilanowska, którą kiedyś przypominał światu Hippolit Kownacki. Dalej horodecka Urbanowskiego, który także podobno z namietnością zbierał rzadkości i nagromadził ich wiele, a z której wiele spisanych bibliograficznych rzadkości, spłynęło do dzieł Jochera. O mniejszych bibliotekach nie ma co mówić. Dzisiaj w tej chwili dochodzą nas wieści, że majętny dziedzic w Galicyi Wiktor Baworowski postanowił także wznieść bibliotekę jako zakład naukowy. Byłby to fakt pocieszający, któryby dowodził, że bierzemy się seryo do nauki. Dotychczasowym usiłowaniam nie wiodło się; dzisiaj kiedy zdaje się namietności cokolwiek przychyliły, kiedy doświadczeniem staliśmy się mędrszemi, kiedy pracować sami musimy nad sobą, takie jednakowe dwa fakta a jednocześnie prawie przypadłe, jakimi są: fundacya Świdzińskiego i zapowiedziana fundacya Baworowskiego słusznie raduje wszystkich ludzi myślących. Bo i Świdzińskiego zakład ma być zakładem naukowym w rodzaju muzeum Ossolińskiego we Lwowie: nie tylko albowiem nasza biblioteka ma być składem księzek i służyć użytkowi publicznemu, ale ma się trudnić wydawnictwem na szerszą skalę materiałów historycznych, do czego położył już zasadę sam Świdziński, zbiorami swojemi

służąc komissyi archeograficznej w Kijowie, która z nich wiele ogłosiła w swoich pamiętnikach.

Miara praktyczności takich zakładów naukowych jakimi są prywatne biblioteki, miara zatém wartości ich bezwarunkowej, od dwóch wyłącznie okoliczności zależy. Błogosławiony kraj, który ma dużo takich zakładów naukowych, niby towarzystw pracujących dla światła narodu. Sam goły fakt ustanowienia takiej biblioteki będzie zawsze, sam w sobie wzięty, niepowszedniem dla kraju dobrodziejstwem; ale powiększy założyciel to swoje dobrodziejstwo, skoro funduszem bogatym zakład naukowy opatrzy: im więcej funduszu, tém więcej ze strony jego zasługi, bo tém większe pole otworzy się działalności ludzi powołanych do pracy w zakładzie. W ogóle żadna biblioteka nie obejdzie się bez pewnego funduszu, przeznaczonego bodajby tylko dla utrzymania uczonych strażników, którzy jęj pilnują, a pracy tęg zechcą się wyłącznie poświęcić: otóż jeżeli założyciel nadając dziełu swojemu fundusz tak bogaty, że z reszty pozostałej od koniecznych rozchodów, będzie mógł wskazać bibliotece jakiś cel, ku któremu chce, żeby pracę swoją skierowała i cel ten jęj wskaże rozporządzeniem swoim, jeżeli dzieła swojego nie robi bierną, ale czynną istotą: miara praktyczności jego zakładu zależeć zawsze będzie i od wysokości funduszu. Jest jeszcze i drugi warunek bardzo ważny. Biblioteka tém ważniejsza będzie zajmowała stanowisko, tém więcej się odznaczy w dziejach oświaty, im na większą ludność wpływać będzie, im większej liczbie czytelników stanie otworem; z tego wypływa, że połowę, jeżeli nie więcej jak połowę, wartości swojej tracą te biblioteki, które się mieszczą po wsiach lub małych miasteczkach. Prywatnym zresztą bibliotekom gdzież nie bawić, jak na wsi lub w miasteczku? Ale kto zakład naukowy funduje, powinien głównie baczyć i na ten drugi warunek i bibliotekę osadzić w mieście wielkiem i ludnem. Im większe i ludniejsze, tém lepiej odpowiadać będzie celowi, bo naturalnie w miastach wielkich zbiera się najwięcej intelli-

gencji, najwięcej ludzi przestających z książką, a lubiących się poświęcać wszelkiego rodzaju badaniom naukowym.

Konstanty Świdziński miał na to wszystko wzgląd i nie można lepiej, jak uposażył, jak urządził swoją bibliotekę. Przeznaczył jej naprzód cały swój majątek, jak powiedzieliśmy, więc nie sam niemy zostawił zbiór książek i starożytności, ale dał mu środki do pożytecznego, najpożyteczniejszego działania, nie na dziś lub na jutro, ale na wieki; dopóki zakład jego naukowy trwać będzie, dopóty i wpływ tego zakładu rozwijać się ma, dobroczynny i wspaniały. Sam założyciel za życia swego mianował członka redaktora biblioteki, resztę zostawił czasowi i okolicznościom. Wreszcie chciał Świdziński żeby zakład jego stanął w Warszawie. Dotąd miastu naszemu brakowało na zakładzie naukowym takiego rodzaju, jakim się słusznie pochwalić mogą przed nami, daleko mniejsze miasta: Lwów, Poznań, Wilno i Kraków. Wreszcie zakład naukowy biblioteczny, nigdzie indziej, tylko w naszym mieście stanąć był powinien. Świdziński był obywatelem królestwa Polskiego, więc ubogacał bardzo naturalnie królestwo i jego miasto główne jako największe tutejszego kraju: wszystkie inne widoki miały służyć temu celowi. Dlatego i zapis biblioteki Wielopolskim jest tylko formą. Tytuł własności i nadzór nad biblioteką jaki płynie z tego tytułu, należą do Wielopolskich:—własność sama zaś jest publiczna.

Biografia zatem Świdzińskiego należy się krajowi. Skończył on już, dziedzic zacy Sulgostowa, zawód swój ziemski, zawód nieśmiertelnym ostatniem dziełem znakomity i ztąd każdy się z ciekawością dopytuje: kto zacy był, co robił, i jak robił przez całe życie swoje Świdziński? Naród cały policzył Świdzińskiego do swoich znakomitości społecznych. Nam osobiście więc teraz życie jego kreślić a kreślić, bo podwójne mamy do tego wezwanie i prawo: raz jako członek tego społeczeństwa i tego kraju, winniśmy mu pamięć jako inni, a powtóre jako jeden z ludzi, na którego los chlubny padł, bo wybór Świdzińskiego. Związani jesteśmy z jego biblioteką i z jego myślami już na całe życie; nie zastęgom bowiem własnym winniśmy ten wy-

bór, ale dobremu założyciela sercu, co z pewnym pobłażaniem spoglądało na prace nasze i krzątanie się około nauki, którą on, zacny obywatel, kochał także z całych sił swoich. Chlubnym wezwaniem, które do najdroższych wspomnień naszych osobistych należć będzie, czemuż się odwdzięczyć?—oto kilka następnych słów o żywocie znakomitego człowieka.

I. Rodzina Świdzińskich.

Naprzód powiemy słów kilka o rodzinie, z której zacny dobrodziej oświaty narodowej pochodził.

Świdzińscy herbu Półkozic oddawna mieszkali w województwie rawskim, rodzina więc ich mazowiecka; w rawskim też ciągle różne urzędy ziemskie piastują, począwszy od połowy XVI wieku. Gniazdem ich rodzinnym wieś Świdno, która podług dzisiejszego podziału, leży w okręgu Czerskim, w parafii michałowickiej. Świdno to jeszcze pod koniec wieku XVII było własnością rodziny. Wawrzyniec Świdziński albowiem, starzec blisko ośmdziesięcioletni, jeszcze się chował w Michałowicach w roku 1648, a żona Katarzyna Załuska w kościele parafialnym postawiła mu pomnik. Ziemia rawska dała ojczyźnie polskiej niewiele zasłużonych, głośnych w historyi rodzin: z niej jednakże wyszli Trzcinińscy, Radziejowscy, Załuscy, Krosnowscy i Świdzińscy.

Świdzińscy, jako szlachta polska, byli to ludzie nie tylko sejmowi, ale i wojenni. Pod Chocimem trzech braci rodzonych zginęło, rotmistrz, porucznik i towarzyszy: wszyscy służyli razem w jednej chorągwi, wszyscy razem za ojczyznę polegli. Zasługi Świdzińskich długo były nie głośne, chociaż poczciwe. Dopiero za czasów pierwszego Sasa jeden z nich wszedł do senatu i wynurzył się z łona szlachty na jej czoło. Był to Wawrzyniec naprzód stolnik rawski i sędzia grodzki. Niesiecki nazywano go później kasztelanem sochaczewskim, ale zdaje się że mylnie,

bo w naszych spisach senatorskich, które układamy, nie ma wcale miejsca w tym czasie, w którym podaje Niesiecki, na Świdzińskiego w Sochaczewie. Był on rzeczywiście kasztelanem gostyńskim i jako o takim znaleźliśmy nawet wzmiankę w sygillach metryki koronnej. Umarł w roku 1725. Od niego można już prowadzić niczém nieprzerwaną linię genealogiczną rodziny.

Wawrzyniec ten miał córkę Katarzynę, która była jedną z ostatnich ksieni panien Brygidek w Warszawie. W czasie wizyty biskupa Okęckiego w r. 1780 odbytej, miała lat życia 79, profesyi lat 64, ksienią zaś była od lat 11 (od 1769). Dla niej kasztelanowa gostyńska, z Grzybowskich Świdzińska, wiadać matka, zapisywała w roku 1725, w grodzie rawskim na Suszy dwa tysiące posagu, który potem wsiąknął w ogólny majątek Brygidek. Oprócz niej miał kasztelan trzech synów: pierwszy z nich Jan stolnik rawski i sędzia grodzki piotrkowski był deputatem na trybunał koronny w roku 1728; trzeci zaś Marcin naprzód cześnik, potem podkomorzy rawski (od r. 1750). Jan umarł już w r. 1734, Marcin zaś skończył życie w pierwszych latach panowania Stanisława Augusta: obadwaj zostawili synów, którzy nas mniej obchodzą, bo się niczém nie odznaczyli, lubo sprawiali różne ziemskie urzędy w radomskim i rawskim, a jeden z nich był Jezuitą. Więcej nas za to obchodzi drugi syn kasztelana gostyńskiego Stanisław, pierwsza historyczna rodziny Świdzińskich postać, rodzony pradziad nieśmiertelnego założyciela muzeum.

Stanisław Świdziński urodził się około czasu wyprawy wiedeńskiej króla Jana; wszedłszy do wojska koronnego został po wielu latach pułkownikiem i wreszcie regimentarzem partyi ukraińskiej, przez co się znakomicie wslawił na kresach, bo się gorliwie całe życie swoje uganiał na stepach za hajdamakami „a członki swoje wędząc na stepowym wietrze,” przywykł tak wreszcie do téj podjazdowej wojny i do niepokoju z dnia na dzień, że zawsze z radością się wyrwał i złona

sejmów i z domowego zacisza, aby tylko pobujać po tęsknej Ukrainie.

Otrzymał też w nagrodę wiele mniejszych królewskich włości po różnych stronach Rzeczypospolitej i w różnych czasach: dostał wieś Wilków w ziemi sochaczewskiej, dwa wójtostwa, jedno gólabiowskie pod Sandomierzem (1730), a drugie w Rawie ze wsiami Komorowem i Pulinem, dzierżawę jakąś w Halickiem (1729), dalej grunt warcabowski opustoszały w Radomiu (1731); dostał wieś Klwatkę w Sandomierskiem z częściami w Małęczynie i w Myśliszewicach.

W dawnych czasach znano go pospolicie za rzeczypospolitej jako starostę braclawskiego, bo jako starosta braclawski najwięcej się wstawiał i najwięcej dokazywał na pograniczu. Miał dlatego i drugie sąsiedzkie starostwo lityńskie na Podolu. Kiedy wreszcie po długiej a pamiętnej dobrze dla ojczyzny służbie na kresach, Świdziński postarał się wkrótce o przywilej na starostwo radomskie (mianowany 15 kwietnia 1730 r.) był to już znak oczywisty, że regimentarz chciał przybliżyć się do rodzinnych włości, żeby upatrzawszy stosowną chwilę, mógł wreszcie kiedy spocząć po trudach niespokojnego żywota. W istocie wtedy dopiero ożenił się z Maryanną Dziulanką wdową po Brzuchowskim strażniku koronnym, którego brat rodzony ostatni z domu, umarł w Lunevillu koniuszym u króla Leszczyńskiego. Wesele odprawił dosyć głośno (w końcu marca 1731 r. w Odrzywole) i zaczął już więcej brać udziału w życiu politycznym narodu. Wszystkie jego dobra w stronach pobliskich stolicy leżały: Odrzywól, Klwów i Sulgostów, który przez żonę pierwszy Stanisław nabył na własność, po wygasłej oddawna linii Duninów ze Skrzynna Sulgostowskich, i w którym on także podobno wybudował w części wspaniały pałac, bo śmierć dokończyć mu przedsięwziętej roboty nie pozwoliła.

Poselstwa sejmowe już brał wtedy od rawskiej szlachty (1730), chociaż nie porzucił jeszcze Podola i wojska. Regimentarz ukraiński więc znajdował się jeszcze na kole jeneralnym pod

Lwowem (10 lipca 1732). Podolanin marszałkował więc jeszcze sejmikowi poselskiemu w Braclawiu, ostatecznie za króla pierwszego Sasa (w grudniu 1732) i obrany na niego posłem, postował też z braclawskiego na konwokacyą, ale na elekcji Leśzczyńskiego nie widać go wcale, lubo należał do tego stronnictwa, które króla wygnańca na tron prowadziło.

Dowiół przywiązania do pana czynem, bo kiedy Braclawskie związało się w konfederacyą w obronie praw Stanisława, Świdziński przyjął łaskę i marszałkował współziemianom: to mu dało prawo zasiadania w Radzie generalności Dzikowskiej, od której do boku króla został wyznaczony (w listopadzie 1734). Później, kiedy wszyscy uznali Augusta III i Świdziński z kolei go uznał, czemu król nie był niewdzięczny, bo dał mu takie stanowisko w Rzeczypospolitej, jakiego jeszcze nie miał dotąd żaden ze Świdzińskich. Mianował go wojewodą braclawskim (28 lutego 1739), a na kilka dni przed tém trzymał mu syna do chrztu z żoną swoją Królową Maryą Józefą w kaplicy pałacowej w Warszawie, w obec wielu znakomitych gości (24 lutego). W kilka czasów dał mu król order Orła Białego (3 sierpnia 1742.), a wreszcie przeniósł na wyższe krzesło w senacie, to jest na województwo rawskie (9 listopada 1754): krzesło wprawdzie o pięć tylko stopni od poprzedniego było wyższe, ale przeniósł Świdzińskiego wpośród najdawniej znajome serca i stosunki, na polach rodzinnych go sadowiło, trudno więc nie było w tém uznać łaski i delikatności królewskiej.

Niedługo cieszył się żoną Świdziński. Maryanna Dziulancka żyła z nim tylko lat sześć, umarła z połogu w roku 1737; ale osierociał później małżonek doczekał się mimo to najrzadszego familijnego szczęścia i najczulszej pociechy ze swoich dzieci. Później stosunki pokrewieństwa związały go blisko z samym królem: zaszczyt więc, który nie łatwo któremu z dawnych panów dostawał się w udziale, jego własnio spotkał. Miał naprzód dwie córki wojewoda, takie córki, jakichby mu każdy pozazdrościł: jedna Bona zawarła małżeńskie śluby z Kazimierzem Granowskim, druga Maryanna z Lanckorońskim. Ma-

ryanna była to owa sławna kasztelanowa połaniecka, postać typowa, stworzona umyślnie dla legendy pobożnej, wzór żywy dawnych cnót, który osobiście jeszcze znało ostatnie przed nami pokolenie, a my go znamy z podania. Warszawa patrzyła niegdyś ze spółczuciem na te dwie siostry i na trzecią jeszcze księżnę Sanguszkową marszałkową wielką litewską, która w tym sojuszu cnoty i pracy, rej prowadziła jako najstarsza wiekiem, i na czwartą jeszcze córkę téj księżny, panią Bielińską. Bywało po całych dniach i porankach obiedwie owdowiałe siostry Granowska i Lanckorońska, ubogie jak na niewiasty wysokiego świata, (Granowska nic nie miała, bo straciła wszystko w konfederacyi barskiej) pracują u siebie, a wieczorami u księżnej się schodzą, znosząc owoce swéj pracy, myśląc o miłosierdziu. Na tych świetnych zebraniach bywał król Stanisław August, ambasadorowie i świat piękny; a chociaż Warszawa wrzała życiem i brudem, tutaj te pobożne pokutnice, te siostry miłosierdzia choć nie w zakonnej sukni, przykładem swoim uczyły pokory i moralności, wstrzymywały potok rozuzdanego zepsucia. Trzy młodsze stanowiły *trójcę, święte panie*, jak mówiono powszechnie w Warszawie. Z synów wojewody, starszy Michał mieszkał zwykle w Sulgostowie, Ignacy zaś starosta lityński, w Nowem-Mieście nad Pilicą. Michał, który ożenił się z Barbarą Krasieńską, starościanką nowomiejską (25 lutego 1759) został niedługo szwagrem księżnej Karolowej Kurlandzkiej. Księżna odtąd często i długo przesiadywała w Sulgostowie, u rodzonej siostry; zjeżdżały wtedy do niej pani Granowska i Lanckorońska, a stary wojewoda z czujnością osłaniał młodą latorośl szlacheckiej rodziny, przesadzoną pod klimat królewskiego blasku. Świdziński przyjmował nawet w Sulgostowie samego królewicza Karola, licząc chwilę tę, kiedy księżę stanął pod jego dachem, do najszcześniejszych chwil swojego życia. Zaszczyt ten czuła i cała rodzina wojewody aż do najpóźniejszych potomków, bo aż do naszego Konstantego założyciela Muzeum. I on w testamencie polecił panu Hadziewiczowi, żeby zrobił obraz familijny przedstawiający przyjęcie w Sulgostowie gościa

królewskiego, przeznaczając obraz ten do Muzeum. Stary wojewoda już wtedy był niczém w rzeczypospolitéj i żył tylko pamięcią dawnych czynów. Urzędy, godności i starostwa synowi i zięciowi porozdawał, złożył nawet województwo rawskie (w początkach r. 1757) i spokojnie bez trosk siedział już w Sulgostowie. Zachował sobie do śmierci jedynie rotmistrzostwo w chorągwi pancernéj, które kiedyś wziął po oboźnym Ożarowskim (1 maja 1741). Cały poświęcił się rodzinie i majątkowi. Raz na jarmarki (1742), drugi raz na targi (1750) wyrabiał przywilég od króla dla miasta Kłwowa. Wreszcie syty lat i zasług, w Sulgostowie w pośród poddanych swoich zakończył życie mając lat wieku 77 (7 listopada 1761): pochowany w miasteczku Kłwowie w dobrach rodzinnych.

II. Dziad i ojciec.

Michała Świdzińskiego, ojciec wyposażył naprzód starostwem lityńskim na Podolu, a zięcia Granowskiego grodem radomskim w Małéj Polsce. Wojewodzie ze szwagrem nie długo się pomieniali na te królewszczyzny; już w r. 1754 (17 grudnia) Granowski wyrobił na to zezwolenie królewskie, ale może dla małoletności Michała tak prędko do skutku zamiana nie przyszła: może i dlatego, że Granowski wyczekiwał krzesła. Wreszcie kiedy się na spokojność zupełnie usunął stary Świdziński, zięć wziął po nim województwo, a syn po zięciu starostwo. Michał wjechał na gród radomski dnia 2 stycznia 1758, i zaraz tego jeszcze roku spotkała go dwa razy łaska królewska. Został szambelanem (8 listop.), a w miesiąc później pułkownikiem wojsk koronnych (7 grudnia). Za króla Stanisława już przesiadł się do senatu, ale wprzód musiał zdać starostwo radomskie (2 maja 1772). Były tutaj znowu układy pomiędzy rodzinami. Do starostwa poszedł jeden Potkański, za to drugi ustąpił Michałowi kasztelanii.

Mianowany albowiem Świdziński kasztelanem radomskim (13 maja 1772) już do śmierci swojej na tém krześle zasiadał. Mieszkał z żoną swoją ciągle w Sulgostowie.

Miał wiele dzieci z Krasieńskiej, bo dwóch synów i aż sześć córek. Najstarsza Aniela młodziutko poszła za mąż za starca Michała Szymanowskiego starostę wyszogrodzkiego. Wspominamy tutaj dlatego, że wdzięczna postać pani starościny rymuje bardzo składnie z innymi kobiecemi znakomitościami rodziny Świdzińskich, i co jeszcze, że ten urok w jakim widzieliśmy i panią Granowską i kasztelanową połaniecką, jak teraz urok dla starościny wyszogrodzkiej jest dziełem jednej wyłącznie osoby, to jest Klementyny Tańskiej, która w Rozrywkach najwięcej nam przechowała szczegółów o życiu tych dwojga sióstr i trzeciej synowicy. Nieodżałowana Klementyna wzrosła prawie w domu Szymanowskich: jej pierwsze spojrzenie na świat, jej uczucia tam się zrodziły. W Izdebnie, Wyczulkach i Guzowie za życia jeszcze ojca, spływały młodociane lata Klementyny wśród festynów, zabaw i różnych niespodzianek przyjacielskich. W Izdebnie na teatrze amatorskim nieraz odgrywano sztuki Tańskiego; potem już najstarsza córka starościny, ta sama co za czasów Księstwa Warszawskiego poszła za generała Piotra barona Galicheta, została opiekunką Tańskiej. Inne rodzeństwo starościny składały siostry: Franciszka Kuszłowa, Maryanna Jabłonowska, Zofia i Marya Karczewskie; Krystyna była panną. Bracia zaś nazywali się: starszy Jan, młodszy Kajetan.

Jan osiadł w Galicyi i tam się ożenił z Ludwiką Jabłonowską siostrą szwagra swego. Wprzód pobierał edukacyą u kadetów, i wtedyto przełożył z Jaquela dziejów powszechnych Krótkie zebranie historyi moskiewskiej; rękopism znajduje się do dziśdnia w muzeum Świdzińskiego.

Drugi brat Kajetan pozostał w kraju polskim, który potem również zaczęto nazywać Galicyą. Tymczasem ojciec, Michał Świdziński, umarł przed samém zaczęciem sejmu czteroletniego (17 sierpnia 1788), w rok później poszła za nim i żona do lepszego życia (8 września 1789). W przeciągu

między jedną a drugą śmiercią zakończył także ziemski swój zawód starosta wyszogrodzki (15 sierpnia 1789).

Kajetan Świdziński ojciec Konstantego ożenił się z bogatą dziedziczką Felicyaną Hadziewiczówną, córką Piotra. Dziad ten po kądzieli założyciela muzeum służył w kawaleryi narodowej. Był flügel-adjutantem królewskim, dalej vice-komendantem pierwszej brygady ukraińskiej w kawaleryi, wreszcie za nową organizacją wojsk, brygadierem w dywizyi małopolskiej. Kiedy stał z oddziałem swoim w Sandomierzu, bywał na examinach szkół, w Radomiu potem pamiętne są jego assamble i obiady. Wództo był wesoly i bogaty. Po żonie swojej Charłęskiej, potomce rodu niegdyś znakomitego, a czysto ruskiego, wziął obszerne dobra na Ukrainie, i całe paki archiwów, do których pewnie całe życie nie zaglądał. Hadziewicz wczesnie zszedł z pola, bo w roku 1793 zaraz po wybuchu konfederacyi targowickiej wziął dymissyą z wojska z rangą generała majora (Metr. księ. 415). Właśnie podówczas rodził się Konstanty.

III. Życie Konstantego.

Konstanty Świdziński urodził się w zamku sulgostowskim d. 17 października 1793 roku; miał zaledwie cztery lata, kiedy go odumarała matka (25 listopada 1797). Zostawszy sierotą Konstanty, dziecinne lata swoje przepędził w Stariej Wsi w Galicyi u stryja Jana Świdzińskiego, którego pierwsza żona, jak mówiliśmy już, Ludwika Jabłonowska, zastąpiła dziecku troskliwością swoją i staraniami miejsce matki. Znalazła się tam w okolicy i zacna kasztelanowa polaniecka. Bywał często u téj matrony a rodzonej siostry dziada swojego mały Świdziński, i powoli przywykał do tych poważnych typów z przeszłości, co go do tak gorącego zamiłowania nauki i historyi potem przywiodło. Podrósłszy w domu już ojca, zaczął pracować nad sobą, uczył się języka francuzkiego,

mitologii i dziejów starożytnych; kiedy nauczyciele domowi już nie starczyli potrzebom dziecka, ojciec postarał się o prawdziwie uczonego człowieka i sprowadził go do Sulgostowa. Szło o gruntowność, a zwłaszcza o dobre początki języków starożytnych. Do tego nikt się tak nie nadał jak Niemiec, i ztąd Kajetan Świdziński wybrał dla syna aż profesora liceum warszawskiego pana Lindau. Rok niespełna bawił na wsi professor, ale w ciągu tego czasu tak dobrze wyuczył Konstantego po łacinie, że mógł sam uczeń czytać bez niczyjjej pomocy Korneliusza Neposa, Salustyusza i Owidego. Postęp był tem widoczniejszy, że przedtém uczeń ani słóweczka czytać prawie nie umiał po łacinie. Professor wywarł swój wpływ na młody umysł, to jest zapalił go żądzą poświęcenia się filologii starożytnej. Młody Świdziński żył tylko podówczas łaciną i greczyzną. Nie oddał się w późniejszym życiu swoim badaniom około starożytności, ale zawsze wyznawał z wdzięcznością, że co tylko umieć po łacinie, to winien Lindauowi i jego doskonałym początkom.

Odjeżdżając z Sulgostowa professor dał jeszcze ostatnią, ale dobrą radę swojemu uczniowi: kazał mu przenieść się do Warszawy i chodzić do liceum. Szkoła ta pięknie podówczas na horyzoncie edukacji publicznej wschodziła i rozwijała się. Wchodziło to i w widoki ojca tém bardziej, że właśnie podówczas zawiązało się Księstwo Warszawskie i w dawniej stolicy Rzplitej dużo było ruchu, dużo życia i wojennej wrzawy.

W roku 1808 więc zapisany został młody Świdziński do liceum prosto do klasy czwartej. Ojciec polecił go pod bliższy nadzor, rektorowi Lindemu. Miał tutaj za nauczycieli języka i literatury ojczystej Konstantego Wolskiego niezbyt głośnego w owym nawet czasie piśmiennictwa, ale za to człowieka sumiennego i gruntownie obeznanego ze swoją rzeczą; języka niemieckiego i geografii uczył go professor Beicht, matematyki i fizyki professor paryzki Huisson, języków starożytnych i historii dawniej Feliks Bentkowski, mitologii i prozodii łacińskiej uczoney Stefaziusz. Pod ich kierunkiem w roku 1809 przeszedł

z pochwałą do klasy 5tej, a w roku 1810 do 6tej. W ostatnim roku pobytu swojego w szkołach, z największym zapalem oddał się literaturze ojczystej i łacińskiej, jak gdyby przewidywał, że przyjdzie mu się niedługo oko w oko ciągle widywać z muzami łacińsko-polskimi. Czytał ciągle Cicerona de Officiis, Wirgiliusza trzy pierwsze księgi Enejdy, Liwiusza również trzy pierwsze księgi, a po polsku czytał niezmiernie wiele. Głównie tutaj kierowali jego zajęciami Linde i Bentkowski. Dla Lindego też w biografii swojej, którą każdy wychodzący podówczas ze szkół młodzieniec po łacinie napisać musiał, żeby jaka pamiątka po nim pozostała wydrukowana w programacie szkolnym, Świdziński nie ma słów swojej wdzięczności. Nietylko w naukach, ale i w moralności i w obyczajach, postęp swój jemu głównie przypisuje. Nic dziwnego: mógł bardzo Linde wyrzec wpływ przeważny na młodego ucznia, kiedy go miał u siebie na stancyi i nad każdym krokiem jego osobiście czuwał.

Drugi rok klasy szóstej (1811—12) był już tylko powolnym wykończeniem budowy. Na przejściu do tego roku Świdziński otrzymał nagrodę publiczną. Wreszcie w roku 1812 mając lat 19 życia, złożył examen dojrzałości.

Umysły bogatszej i z historycznymi nazwiskami młodzieży polskiej, z ochotą się wtedy skłaniały ku drodze służby dyplomatycznej. Był to zawód, który jako i rycerski prowadził prosto do najwyższej godności, a młodzieży naszej o tyle pochlebiał, że otwierały się obszerne widoki dla kraju. Ojciec Konstantego chciał, by i syn poszedł po drodze dyplomatycznej, dlatego odrywając go od literatury i starożytności, wołał mu świat nowy ukazać. Postanowił go tedy wysłać na uniwersytet gdzie za granicę, do Lipska albo do Getyngi, na wydział nauk kameralnych i dyplomatycznych. Oczekując tego Konstanty pisał ów łaciński obowiązkowy swój życiorys. Z nim dwóch tylko innych uczniów zegnało liceum. Na rok przed nim rzucił tak samo szkołę Teodor Morawski.

Ale nie czas było wybierać się za granicę do akademii, kiedy w kraju najokropniejsza srozała wojna. Konstanty udał

się na wieś do ojca i przy nim osiadł, oczekując spokojności po burzy. Ojciec, który już podówczas wstąpił w drugie związki małżeńskie z Izabellą Szymańską, wypuścił mu tymczasem w dzierżawę jedną wieś z klucza sulgostowskiego, tojest Drażno: tak gospodarując, dwa lata młody Świdziński przepędził na wsi, aż się zbliżyła z nienacka śmierć ojca (1814). Objął po nim natychmiast cały majątek niegdyś wojewody rawskiego, tojest miasteczko Klwów i wsie: Sulgostów, Drażno, Jelonek, Lipowe, Zapole, Brzyski, Borową Wołę, Klwowską Wołę i Sulgostowską Wólkę, majątek milionowy w długach. Jednocześnie młodszy i ruchliwszy jak ojciec, upomniał się i o majątek macierzysty na Ukrainie; był jego wyłącznym właścicielem, bo po Hadziewiczównie on jeden tylko pozostał dziedzicem: była wprawdzie druga rodzona siostra, ale umarła. Rozpoczął więc proces z księżną Cecylią z Morzkowskich Radziwiłłową. Szło tutaj o miasteczko Charłeskich, Chodorków na Ukrainie i o wsie, które do tego miasteczka należały, tojest: o Pustelniki, Jeziora, Byków, Zapadnię i Skoczyska.

Zostawszy obywatelem kraju, wśród procesów i sejmików, naprzód stracił czas stosowny do uniwersytetu, a potem i sama myśl o dyplomacyi z głowy prędko mu wywietrzała. Za królestwa Polskiego niepotrzeba już było wcale dyplomacyi, ale pracy.

I wziął się zaraz Świdziński gorąco do pracy. Dawna strona zabrzęczała w sercu. Miłość literatury i książek powróciła. Świdziński zaczyna być zbieraczem, wertuje Bentkowskiego, poszukuje rzadkości i skupuje wszystkie jakie napotka i cieszy się niemi; do Sulgostowa je znosi, i tak powoli, powoli, własnymi rękami buduje swoje muzeum, wznosi sobie pomnik niepożytej zasługi. Dziwna rzecz, jakto dawno zaczął Świdziński swoje wyprawy i prace! Te pierwsze kroki jego prawie niewidzialne, niedojrzane. Kiedy się zbieranie na próbę, a kiedy na dobre zaczęło? tego nikt z nas z pewnością nie wskaże; ale to fakt niezawodny, że już w czasach bardzo dawnych, bo przed 40 laty, około roku 1818, już Świdziński jako

zbieracz i jako bibliofil powszechnie znany jest w kraju, to jest znany jest wszystkim uczonym polskim (wtedy albowiem literatura zajmowała li tylko uczonych, którzy jedynie i czytelnikami książek byli).

Już tedy w roku 1818 Świdziński dobrze się krząta i biega po wszystkich stronach za książkami, a ten i ów rzecz mu ciekawą podaruje, a ten i ów ułatwia mu nabycie jakiego dzieła. Zna go już i Wołyń i ksiądz Osiński w Krzemieńcu, Lelewel i Samuel Bandtkie cieszą się i ręce zacierają z radości, że młodzież się bierze gorąco do pracy, bo jednocześnie i Tytus Działyński w Poznańskim zaczyna swoje wyprawy. Już i w Towarzystwie Przyjaciół nauk wspomniano prawie urzędowo o bibliotece sulgostowskiej. Już Lelewel nie jedną rzecz nieznaną od Świdzińskiego dostał. Dlatego pisze mu na wieczną pamiątkę pochwałę w swoich księgach bibliograficznych (tom I, str. 161). „Zjawilo się miłośnictwo książek. Bentkowski był skazówką do szukania, Świdziński stał się wzorem do naśladowania; niezmordowane jego poszukiwania i szczęśliwe wyszukiwania podziwienie wzbudzają. Trudno, żeby w tak krótkim czasie takie zgromadzić skarby. Nie jedną książkę ze zbiorów Świdzińskiego przyszło mi w pierwszym tomie wspomnieć, nie jedna w tym drugim i następnym nadmieni się.” W drugim miejscu o Świdzińskim znowu powtarza: „posiadający wielkie nadzwyczajności bibliograficzne Konstanty Świdziński ubogacał notaty moje, jako dalsza niniejszego pisma osnowa oświeci. Wspomnieć mi jego imię wypada, który mi w różnych rzeczach pomoc przynosił, siebie i swoich skarbów z przykłądną gorliwością udzielając.”

Ze wzrostem zbiorów naukowych, przy coraz większém poszukiwaniu książek znajdowały się przypadkiem różne rękopisma, mnożyły się odkrycia. Oprócz jednego nikt się tak bardzo nauką historyczną podówczas u nas nie zajmował, nikt nie był w stanie ocenić tego co zrobiono, chyba ci sami bibliofilowie, którzy książek poszukiwali i ten jeden uczony,

który jednak całe grono światłych badaczy zastępował. Czasami odkrycie miało nieco rozleglejszy rozgłos dla pewnych przyczyn. Zdarzyło się raz np., że Świdziński w Radomiu znalazł rękopism praw (1822), które dla miast polskich z rozkazu króla Zygmunta Starego wygotował kanonik poznański Maciej Śliwnicki. Prawo narodowe było u nas tak zaniedbane jak i historia. Chociaż prawo polskie wykładało się na uniwersytecie, możeby kto z łatwością wyliczył celniejszych u nas żyjących prawników francuzkich, znających tekst i duch prawa obowiązującego obecnie w Królestwie, jak prawo staropolskie. Ale mimo to zawsze odkrycie Świdzińskiego było przyjęte z nadzwyczajnym zajęciem. Bibliofil nasz posiadał w rękach swoich oryginał: rzecz niezmiernie ważną. Sam fakt rzucił znakomite a nowe zupełnie światło na postać mądrego króla. Jan Wincenty Bandtkie zdjął zaraz kopią z oryginału, napisał o Śliwnickim i o jego prawodawstwie rozprawę, którą czytał na jednym z publicznych posiedzeń uniwersytetu. Na tém się tedy całe owe wielkie zajęcie skończyło, chociaż to w niczem zasługi Świdzińskiego nie zmniejsza.

Ale zostawiwszy go pracom literackim, niechaj zbiera dla swojej zasługi i pociechy nauki: czas nam zobaczyć Świdzińskiego na innej drodze, na polu zasług obywatelskich. Do zbierania książek nęciło go samo serce, tutaj zaś nietylko serce, ale i stanowisko, ale i położenie towarzyskie wśród spółziemian.

Jużto jak się należało zacnemu obywatelowi, nie pominął żadnych zjazdów ani zgromadzeń politycznych. Dał mu Pan Bóg zdolność polityczną i dar wymowy, był ścisły w swoim rozumowaniu, a ozdobny w wystąpieniu. Pierwszą polityczną mowę swoją miał na cześć Kościuszki w Opocznie. Szlachta zjechała się na sejmik do miasta, w którym miała obierać posła i dwóch radców wojewódzkich. Kiedy skończyły się obrady wyszło nabożeństwo za Kościuszkę (25, 26 października 1817); po kazaniu, wystąpił z mową Konstanty Świdziński.

W pięć lat potem w roku 1822 był już młody dziedzic Sulgostowa marszałkiem sejmiku Opoczyńskiego i obrany na nim został radcą obywatelskim województwa sandomierskiego.

W roku 1824 obrany powtórnie tymże radcą obywatelskim.

Rok dopiero 1826 uwieńczył najpiękniejsze nadzieje Świdzińskiego. Piastował albowiem wtedy po drugi raz łaskę na sejmiku Opoczyńskim, na którym stanął razem i radcą obywatelskim i posłem szydłowieckim na sejm. Według konstytucyi królestwa, sejm odbywał się jeden co dwa lata, a każdy poseł reprezentował swoich spółziemian przez trzy sejmy; podług tego wypadło, że Świdziński obradować wraz z innemi będzie w latach sejmowych 1826, 1828 i 1830.

Ale sejmów w tych dwóch pierwszych latach nie było, zebrał się dopiero w roku 1830. Przed nim na sejmiku powiatowym trzeci raz Świdziński piastował łaskę; kiedy się zaś sejm zebrał w Warszawie, poseł nasz obrany został zaraz na drugiem posiedzeniu w izbie komissarzem do komissyi praw cywilnych i kryminalnych (29 maja 1830). Innych jego czynności i mów z owego czasu, ciekawy szukać musi po dyaryuszach sejmowych,

Był potem Świdziński zastępcą członka komissyi umorzenia długu krajowego, znowu zasiadał w komissyi praw cywilnych i kryminalnych, a mianowicie w téj części, która się komissją organiczną nazywała.

W kwestyi żywotnej uwłaszczenia włościan, podnosił także Świdziński swój głos i nawet już pewne plany ułożył do reorganizacyi tych stosunków pomiędzy dworem a rolnikami. Wypadki krajowe przeszkodziły, że plany te nie weszły w swoim czasie w wykonanie. Miał wybierać gospodarzy, i rozdawać pomiędzy nich na własność w dobrach Sulgostowskich, każdemu po 10 morgów miary nowo-polskiej, zastrzegając, że z morgi nigdy więcej nie policzy nad dwa złote czynszu. Po gospodarzu wdowa jego i dzieci przychodziły prawem naturalnem do spadku. Oprócz gruntu, dziedzic obiecywał każdemu włościani-

nowi pomoc w materiałach i robociznie do postawienia domu i zabudowań gospodarskich, albo w zamian za tę pomoc, ofiarował dawać każdemu za ten cel po złotych 200. Dobroczynność Świdzińskiego rozciągała się nietylko do włościan Sulgostowskich; nie odbiegał uposażenia i obcych za czynsz, ale Sulgostowscy mieli bliższe prawo, obcym zaś obiecywał po 5 morgów i po złotych 100 zapomogi na zabudowanie.

Po roku 1831 Świdziński wyjechał za granicę; po największej części czas ten przesiadywał w Krakowie, które to miasto ostatni raz zwiedzał. Poświęcił się odtąd całkiem swoim zbiorom naukowym, do nich tęsknił, do nich postanowił przelać całe swoje życie. Podał prośbę o amnestyą i wolny powrót do kraju. Tego żądały jego osobiste stosunki i położenie majątkowe dosyć zaszargane. Oczekując amnestyi, z podwójną namiętnością w Krakowie zbierał nabytki i tam też najwięcej zawsze powinienby każdy ich znaleźć. Zrobił w tedy podobno wycieczkę i w Poznańskie, gdzie także zbierał. Od tego czasu Świdziński, wędrówki swoje po ziemi polskiej znaczy bibliotekami. Oprócz jednej głównej w Sulgostowie, założył jeszcze dwie podrzędne, które się kiedyś z całością złączały. Nie byłyto osobne biblioteki, ale raczej oddziały Sulgostowskiej. Krakowski oddział zostawił w Krakowie pod bliższym nadzorem Pawła Popiela, poznański zaś pod okiem Edwarda Raczyńskiego, a raczej pod nadzorem Józefa Łukaszevicza. Z wielką szkodą dla całości biblioteki, innych tych swoich księgo-zbiorów nie mógł zaraz przenieść do królestwa, bo pierwój o ustaleniu własnego losu myśleć musiał, jak o losie swoich książek; zresztą przeniesienie takie na razie, bez potrzebnych przygotowań i stosownych ze strony władzy ułatwień, wiele robi nieprzyjemności i kłopotu.

Kiedy amnestya nadeszła, Konstanty Świdziński powrócił do królestwa we wrześniu 1833 r., ale nie zatrzymując się już w Warszawie, prosto ruszył na Ukrainę, gdzie go powoływały stare sprawy majątkowe. Zamieszkał w Motyżynie u powinowatego swego Szymanowskiego, marszałka kijowskie-

go, zacnego bardzo człowieka i tu był szczęśliw, że wygrał przecie ów macierzysty majątek, o którego posiadanie od lat kilkunastu przeszło rozpoczął przewód prawny (1834). Majątek Chodorkowski natychmiast mu zwrócono (w powiecie skwiskim). Wygrał sprawę z moźnym, silnym przeciwnikiem. Dla kogo innego ten sam proces wystarczyłby na zajęcie całego życia, kto inny upadłby pod tym nawalem pracy i wysilenia, ale Świdziński krwią a trudem dorabiał się majątku, bo myślał go poświęcić dla dobra ogólnego.

Od tego czasu kamieniem zasiadł Świdziński na Ukrainie, raz go tylko widział Sulgostów. Byłoto w roku 1837, kiedy jeszcze pełen życia i młodości zwiedzał rodzinne strony, ale od roku następnego (1838) wróciwszy na Ukrainę, do śmierci już tam zostawał. Poznał się bliżej z całym domem Rulikowskich, który z ziemi Chełmskiej przeszczepiwszy się pod koniec zeszłego wieku na Ukrainę, liczne tam puścił odrośle. Stary Józef Rulikowski dawniej marszałek powiatu wasilkowskiego, a dziedzie Motowidłowszczyzny, autor pamiętników, był patryarchą Rulikowskich na Ukrainie. Z dwóch małżeństw wielu zostawił synów, z tych jeden Faustyn po ojcu marszałek wasilkowski ożeniony był z Anną Charłęską, a drugi młodszy Wacław miał za sobą drugą Charłęską Anastazyą. Te stosunki podwójnego spokrewnienia się ze Świdzińskim wpłynęły przeważnie na dalsze jego życie domowe. Był to i pod tym względem szlachcic polski w całym znaczeniu tego wyrazu: krew i stosunki rodzinne tyle mu znaczyło, co herby. On sam po Charleńskiej babce brał spadek w Chodorkowszczyźnie, zatem niepodobieństwo było nie zbliżyć się do Rulikowskich, tak blisko połączonych z Charłęskimi. W każdym razie po szlachecku uważałby ich za swoich; a teraz tém bardziej kiedy bliższej rodziny nigdzie około siebie nie miał. Postanowił się już albowiem wcale nie żenić; lata marcowe spiynęły, a namiętność zbierania ksiąg tak wzrosła, że już chyba téj jednej, mógł Świdziński wyłączną miłość swoje ślubować. Poświęciwszy się na męczennika nauki, sprawiedliwie robił że nie szukał żony. Żonaby go nie pojęła, a potem je-

dno poświęcenie się ciągnęło za sobą drugie: zbierając bibliotekę trzeba ją było uposażyć, a w takim razie już nie dzieci, ale księgozbiory winny były brać po Świdzińskim spadek. Oprócz Rulikowskich nie miał zresztą Świdziński tak bardzo blizkich krewnych, którzyby jego wsparcia potrzebowali. Miał wprawdzie dwóch braci przyrodnych z drugiego małżeństwa ojca: jeden z nich Ludwik tułał się gdzieś po Hiszpanii. Tego sprowadził do królestwa i dał mu sposób do życia w Sulgostowie, z młodszym zaś bratem całe życie mało miał stosunków. Działy majątkowe po ojcu między bracią już dawno dokonane były, więc mógł bez kłopotu Konstanty Świdziński myśleć wyłącznie o swoich zbiorach i o ich ciągłym powiększaniu.

Do Rulikowskich ciągnęły też naszego bibliofila nietylko stosunki serca, nietylko sama konieczność znalezienia rodziny i domowego ogniska; pociągały Świdzińskiego ku nim i potrzeby umysłowe. Stary ojciec pamiętał dużo i rozповідаł o przeszłości, spisywał nawet swoje pamiętniki, a Świdziński lubił takich opowiadań słuchać: nieraz wyciągał tego i owego na słówko, a w wolnej chwili spisywał to co słyszał. Wacław syn był zawołanym heraldykiem, pamięć niezmierna, zamiłowanie do szperań w nim były ogromne; stosunki rodzin, powinowactwa, stopnie pokrewieństwa, nikt tak doskonale tego wszystkiego nie pamiętał, tak nie wyszperał jak Wacław Rulikowski. Taki człowiek był nieoceniony dla Świdzińskiego przy robieniu uczonych poszukiwań. Nareszcie najmłodszy syn rodziny, wziął się nawet do pióra i już nie na sposób ojca zaczął czynić poszukiwania około historii miejscowości różnych okolic Ukrainy, aż powoli uprządkł plan do znakomitego dzieła: jak Lipiński i Baliński opisywali województwami starożytną Polskę, tak Edward Rulikowski postanowił powiatami opisać historycznie starożytną Ukrainę. Mamy już w druku zaczątek téj niezmiernie ważnej pracy i zaczątek niezmiernie szczęśliwy.

Otóż sprzedawszy Chodorkowszczyznę, Świdziński nasz przeniósł się ostatecznie w roku 1848 na mieszkanie do wsi Paszkówki, własności Wacława Rulikowskiego w powiecie

kijowskim. Miał tutaj w dworcu zamożnego krewnego a gospodarza, oddzielne swoje komnaty. Przez lat siedm w Paszkówce była stała siedziba bibliofila i główny jego skład książek. Ale nie zasiedziało się w domu Świdzińskiego, jeździł raz wraz tam i napowrót, a najwięcej, najdłużej przemieszkował w Kijowie. W Paszkówce tylko wypoczywał po trudach. Michał Grabowski opowiada, że ile razy jechał do Kijowa, tyle razy spodziewał się tam zastać Świdzińskiego i nadzieja nigdy go nie omyliła. Uczony nasz bibliograf przyzwyczał się do brzegów Dniepru, do kopuł i wieżyc kijowskich; naprzód biblioteki klasztorne tutaj go pociągały, a potem zbliżywszy się do ludzi, poznawszy tych i owych, spokrewniwszy się z nimi duchem, przyzwyczał się powoli i do ludzi. W tych stronach znalazł drugą ziemską ojczyznę i do nadwiślańskiej już nie tęsknił.

Świdziński zasoby umysłowe miasta i prowincyi znał, interesował się nimi, i nie był bez wpływu na nie: z tego względu stał się nierozdzieloną częścią miejscowego duchowego żywota. Piękno była epoka literatury naszej, przed ostatniem świetnym rozkwitem się; wypadki krajowe przydusiły jej tchnienie, ale choć życie na powierzchni zamarło, wrzało we wnętrzu i wreszcie zbudziło się, zwiastując zupełnie nową epokę.

Rok 1840 za kres tutaj wziąć można. Piękne talenta okazały się światu literackiemu, wszystko nowe i nieznanne; zaledwie kilka osób jak Michał Grabowski podaniami swojemi w nieco dawniejsze pociągnęli czasy. Otóż w owych to czasach, które się jeszcze nie stały, chociaż stać się miały niedługo, na osobnym pogórzcu wznosiła się w Kijowie, „nasza katolicka oaza”, jak ją nazywa Michał Grabowski. Ksiądz Hołowiński wtedy skromny jeszcze professor uniwersytetu, wokoło siebie zaczął gromadzić kółko wybranych: każdej niedzieli, każdego święta, schodzili się do niego po mszy znajomi, nawet kobiety, i łączyli się, jakto ślicznie mówi Michał Grabowski, w poufnej i serdecznej rozmowie, jak niedawno we wspólnej modlitwie.

Bywały i wieczorne zebrania. Duch gospodarza, jego rozum i nauka, jego nienaśladowana wesołość i prostota, napępiały te dwa pokoje, które zajmował. Domek mały, ale drzwi i ściany swoje wtedy zwykle rozszerzał dla drogich gości. Piękneto było towarzystwo, które składali: Świdziński, Gustaw Olizar, ksiądz Wiktor Ożarowski, Tomasz Potocki, Henryk Lubomirski, Alexander Przedziecki, Kraszewski, Gierman Hołowiński, Michał Grabowski, Micowski, autor Listopada i t. d.

Ten ruch, to życie, które się zapalało naokoło księdza Hołowińskiego natchnęły naszego bibliofila. Jużto mu właściwie nigdy pióra do ręki brać nie wypadalo: inny był jego zawód, inne posłannictwo. Miał on rodzić życie, przyspieszać życie, wpływać na wegetacyą, grunt użyzniać i podlewać, ale sam nie miał zbierać. A jednak zapomniał się i naprawdę chciał zostać literatem. Ksiądz Hołowiński uprzął wtedy w głowie swojej śliczny plan wydania ojców kościoła po polsku; chciał literaturę i towarzystwo spławić w myślach katolickich, w źródle życia. Skrzętnie owi wśród oazy spoczywający pod chłodem życia przyjaciele, rozebrali pomiędzy siebie różne dzieła do przekładu. Dostało się Świdzińskiemu kawał pracy w udziale (1841). Odtąd przesiadywał nad śś. ojcami, tłumaczył ich i wertował. Z tych przekładów podobno nawet jedno kazanie ś. Cypryana drukował w Pielgrzymie. Zwolennik dawniej szkoły, z pedanteryą ubiegał się Świdziński o czystość języka i o poprawność wyrażenia i dopiął celu: polszczyzna jego była piękna. Odczytywał nieraz te swoje przekłady na oazie; nudziłoto dosyć słuchaczów, bo naprzód kazania aczkolwiek wyborne nie miały w sobie żadnego czasowego interesu i mogły wybornie rozmyślaniom tylko posługiwać; a powtóre Świdziński jeżeli co czytał, to z nadzwyczajną extazą. Zapal niedługo przeszedł, a kazania ś. Cypryana spoczęły w tece.

Nie to było pole, na którym miał się Świdziński dorabiać zasług w literaturze. Ulotne jego uwagi i notaty były nieocenione.

Spisywał swoje spostrzeżenia z powodu rozmaitych książek i broszur, i jakie nabywał i z powodu rozmaitych zdarzeń, jakich bywał świadkiem. Co tylko ciekawego postyszał, to zawsze również regularnie sobie spisywał na kartkach. Notat bibliograficznych niezmiernie wiele zostawił, materiałów do pamiętników domowych niezmiernie wiele zgromadził; w każdym starcu widząc pomnik przeszłości, starał się go zupełnie zbadać, żeby już nikomu innemu nie zostało. Sławne były jego śledztwa, które prowadził z ludzi tych zwłaszcza, coto widzieli dawne czasy i dawne postaci: gotów był bez delikatności na śmierć wszystkich zamęczyć, aby tylko dla swojej namiętności znaleźć jakieś uspokojenie. Michał Grabowski opowiada, że w jego obecności śledztwo takie ciągnął to z pułkownika Poniatowskiego, to z oboźnego Prozora. Po drodze jadąc zatrzymywał się i jeżeli gdzie przypadkiem jaki zamek gościany napotkał, wtedy zjeżdżał w odwiedzinę i wypytywał się i badał jakby jaki sędzia kryminalny. W spostrzeżeniach zaś własnych Świdzińskiego uderza zawsze treść i pogląd.

Notaty te, spostrzeżenia i poglądy, wypełniały świat, jaki sobie Świdziński stworzył. Wszystko co było stare, co pleśnią wieków wyszlachetniało, wszystko to nabywał: książki, monety, obrazy. Ztąd bardzo popularną postacią był w Kijowie. Mnóżąc coraz bardziej koło znajomości swoich, zbliżył się do mniichów i do malarzy obrazów świętych, czyli ikonopisców i do rzeźbiarzy na cyprysie, do przekupniów starożytności i do wszystkich oryginałów kijowskich, którzy jaką taką osobliwość mieli do zbycia. Niektórym z nich stawał się codziennym patronem, opiekunem i przyjacielem. Ztąd kiedy bawił w Kijowie, mieszkanie jego bywało jakby w oblężeniu. Nikt tak w życiu zbierać nie umiał jak Świdziński. Urządził swoją policję po wszystkich trzech prowincjach i po dalszych nawet stronach. Wiedział co gdzie jest i u kogo, zapisywał to sobie, a o nabytkach nowych dzień i noc myślał. Wyczekiwał zawsze stosownych okoliczności, bo nibzawsze dało się zrobić pieniędzmi, ale

na co już zaostrzył swój apetyt, tego dostał po roku, po dwóch, po dziesięciu, przez tego lub owego, tym lub owym sposobem, bo genialny był na środki: wyprosił, wyzebrał, wynudził a dostał. Jeżeli co już bystrego oka jego uszło, to musiało być albo doskonale zachowane, albo jaki harpagon, chyba skarby swoje tak dusił, że nawet wieść o nich nie krążyła na świecie. Czego nie mógł dostać, przepisał: i tak np. całe archiwum Piasoczyńskich w kopiach wsiąknęło do jego biblioteki. Pośrednikiem pomiędzy nim a tą masą przekupniów był sekretarz jego Balach, rusin z rodu, a nawet mieszczanin kijowski. Jeru się wielka też należy zasługa w zgromadzaniu skarbów umysłowych. Za jego pomocą Świdziński trafił na ślady osobnej szkoły artystów polskich w Kijowie w XVII wieku, ocalił szczęty ich sztycharstwa i zbogacił tym niespodziewanym przyrostkiem historią naszej sztuki. Dużo innych podobnych odkryć spoczywa i w samej bibliotece i w notatach Świdzińskiego. Bogactw tych nawet nader przybliżonym sposobem ocenić nie można przed skatalogowaniem. Spisywał wprawdzie sam Świdziński katalog, ale to było na prędce od ręki, nie zaś porządnie, jakby tego potrzeba nauki i samo dobro biblioteki wymagały. Właściciel więc notował sobie na tych spisach co ma, dla swojej prywatnej wiadomości, nie troszcząc się o nic więcej. Porządkowaniem jednak tych zbiorów zajmował się i Edward Rulikowski, który szczególnie sam nawet zbogacił tę część zbioru, która się odnosi do historyi prowincyj ruskich. Żadna biblioteka w Polsce nie jest i nie była nigdy tak bogatą pod tym ostatnim względem, jak biblioteka Świdzińskiego. Rulikowski przejrzał także i skatalogował archiwum lipowieckie Rosciszewskich.

Nie samém zbieraniem skarbów przeszłości wzbudzał Świdziński szlachetniejsze naukowe życie; był to człowiek jeszcze nieustanniej troskliwości o wszystko, co się ogólnej rzeczy tyczyło, był to człowiek gotów służyć jej z wysileniem się wszelkimi możliwymi środkami. Człowiek publiczny w całym znaczeniu tego wyrazu czuł, że spełnia pracą i poświęceniem się powinność świętą względem swojej społeczności. Z każdym pi-

szącym rad się był zbliżyć, o każdej pracy literackiej rad się był dowiedzieć, a niósł jej w razie potrzeby wsparcie i zdrową radę. Ztąd choć żadnego dzieła nie wydał, ale z dziejów literatury z owjej chwili wyłączyć go w żaden sposób nie można. Z początku sympatyczniejsze znalazł ucho, potem znalazły się kwasy i niechęci, bo niebardzo w jego literacką przystępność wierzone. Ale mimo to, Świdziński stworzony tutaj był na pośrednika, zapoznawał z sobą literatów, stosunki wszelkie ich ułatwiał; paliło go coś i niespokojny był dopóty, dopóki zwaśnionych braci pióra nie pogodził. Pięknie też o nim z tego powodu odzywa się Michał Grabowski: „Świdziński, mówi, był użyteczną bardzo spojnią wszystkich w ruchu umysłowym uczestniczących, o ruch ten dbających, ruch ten mogących czemśkolwiek wzmódz i podnieść.” Jeżeli potrzeba było komu materyalnej pomocy, dzieło rozprzedać, prenumeratę rozdać, nikt tego lepiej nie potrafił, jak Świdziński. On głównie w kijowskich stronach popierał wydawanie Album Wileńskiego. Marszałkowie i obywatele nietylko bilety prenumeracyjne brać, ale i rozrzucać pomiędzy swoich musieli. Pod tym względem był nawet Świdziński wymagającym. Znano go powszechnie z excentryczności, gotów był za obojętność naukową wykrzyzczyć publicznie, i biada temu, kto kupował jakieś przedmioty zbytku, a ociągał się kupić np. malowidło jakie, które nasz mecenas protegował. Jednym słowem nietylko ustami, ale i czynem silnie wspierał Świdziński literaturę polską i sztukę. Tak więc nietylko dla przeszłości pracował, ale i dla przyszłości zasiewał. Anegdota z tego powodu krąży o nim dużo; bo jeżeli co kto z nim wskórał, nie wskórał nigdy jak rzecz chodziła o książkę, o jaką sprawę uczoną, o jakie przedsięwzięcie literackie, o jaki dobry uczynek.

A pamięć miał niezmierną. Posiadał nadzwyczaj obszerne wiadomości w bibliografii tak polskiej jak i obcej, co zresztą nie dziwnego: urodził się na bibliografa, a bibliograf musi mieć drobiazgową pamięć, większą od historyka nawet, bo się zwykle czepia szczegółów, dostrzega ich wzajemnego stosunku, je-dnym rzutem oka ocenia ich położenie i wagę. Krom tego,

wiadomości jego i w innych gałęziach nauki, w historii, w poezji, w teologii nawet, były obszerne, zdumiewające. Znał i lubił sztuki, muzyki był wielkim znawcą i miłośnikiem: na malarstwie znał się jak artysta i poznawał zaraz styl i cenę obrazu, domyślał się często autora, wytłumaczył piękności. Znał dobrze kraj cały i wszystkie jego wielkości, to osobiście, to z innych względów. Zasiadał w miejscu, w którym robiła się historia i głos tam dawał: ztąd wiedział wiele rzeczy nie wszystkim wiadomych i ztąd pamiętniki jego byłyby niezmiernie ciekawe, gdyby je kiedy napisał. Ludzi oceniał trafnie i bez pochlebstwa, malował ich takimi jakimi byli. Czytał dużo, ale pamiętał to co przypadało jego wyobrażeniom lub to co dopełniało jego bibliograficznych wiadomości: reszta ulatywała gdzieś w powietrze. Dla bibliografii był jedyny: tutaj widocznym sposobem coraz się więcej rozszerzał zakres jego wiadomości. W ostatnich latach rozmiłowawszy się nazbyt w numizmatyce, przeszedł poza sferę monet polskich, dotknął się monet tatarskich i staro greckich z kolonii nadeuxyńskich, ztąd obeznał się z numizmatyką wschodnią i w krótkim czasie mógł już krytykować specjalne w tym przedmiocie prace. Napisał nawet małą rozprawkę o monetach hanów Kapczaku czyli złotój hordy, ze znamionami i nazwiskiem wielkiego księcia litewskiego Witolda i podobno Kazimierza. Znalazł albowiem w zbiorze swoim monety, na których dostrzegł znamion niezrozumiałych, rzucił więc pierwsze domysły, że to są monety tatarskie z czasów hołdownictwa hordy Litwie: domysł ten popiera prawdo-podobnymi wnioskami. Rozprawkę tę obecnie posiadamy. Niewielka, ale treścią swoją ważna.

Człowiek prawy, nie patrzył na żadne stosunki, a śmiało prawdę mówił: zawstydział nicraz publicznie, oburzał się na każdy czyn nieszlachetny. Świdziński nie rozumiał co to jest narazić się komu dla prywaty. Ztąd lekkie umysły i dowcipne salonowe głowy, kryły się przed nim z niechęcią: ale Świdziński szczególnie chłostą był dla pół-mędrków i próżniaków.

Literaturze czynnie mógł Świdziński służyć tylko wydawnictwem. Okoliczności tak się złożyły, że wprzódby zanim

jeszcze pomyślał o drukowaniu zabytków historycznych na własną rękę, wydawać zaczął chociaż przez pośrednictwo drugih. W Kijowie zawiązała się komissya archeograficzna dla poszukiwań uczonych. Komissya ta złożona po większej części z uczonych miejscowych, z professorów uniwersytetu, wielu obywateli ukraińsko-wołyńsko-podolskich powołała do swego grona, jako członków: jedni służyć jej mogli radą i nauką, drudzy dostarczaniem materyałów: o środki nie chodziło, bo miała je komissya pod ręką. Naturalnie pomiędzy innemi zaproszony był na członka komissyi nasz Świdziński, o którego zasobach naukowych i skarbach cały świat wiedział. Kiedy komissya przystępowała do wydawania pamiętników, nie zawiodła się na Świdzińskim, który z bogatych zbiorów swoich, najciekawsze, najwięcej ważne listy osób historycznych, do drukowania jej powierzył. Rozpisaliśmy się kiedyś w Bibliotece Warszawskiej obszernie o wielkiej wadze naukowej tych listów (czerw. 1855). Same są to oryginały, a objaśniają stosunki wojen kozackich Chmielnickiego. Żadne jeszcze źródło nie rozświeciło tak znakomicie owych wojen, co te listy. Spora ich massa w trzech tomach się uzbierała. Nowe fakta, nowe postaci ukazały się, pogląd historyka mógł się sprostować i wyjaśnić. Dla uzupełnienia całości, M. Grabowski i baron Chaudoir, sąsiad Świdzińskiego a także zapalony bibliofil i numizmatyk, różnych ciekawości dostarczyli i utworzył się z tego wszystkiego materyał wielkiej wagi, największej wagi, dla dziejów epoki Jana Kazimierza. Listy te wychodziły w ogromnych tomach w oryginale polskim obok razem z tłumaczeniem rosyjskim, razem też obok innych materyałów. Wydanie wcale nie było ekonomiczne, można było to wszystko w daleko zmniejszonej objętości pomieścić, a Świdzińskiemu się chciało, żeby wydanie zrobić dostępne dla nauki. Za jedyny więc warunek spółudziału swego w tym przedmiocie położył ten, żeby mu osobno tekst polski listów odbijano. Takim sposobem powstała książka bez tytułu, bo nieskończona jeszcze, która na okładkach nazywa się: „Oddział trzeci, materyały dla historyi dziejów Małej Rosyi” (listy Świ-

dzińskiego w pamiętnikach jeden tylko oddział stanowiły, z kolei trzeci, ale liczbę należało opuścić w tytule polskim, bo jest bez znaczenia). Druk sążnisty, ogromny, potem mniejszy, zawiera podług tomów z których odbity w polskiem wydaniu str. 73 i 130. Z tomu trzeciego pamiętników odbitek nie znamy. Miał Świdziński około tego wydania dużo kłopotów.

Drugą ważną jego publikacją w Pamiętnikach rozpoczętą, są akta dyplomatyczne dotyczące stosunków Polski z Rosyją. Tego materiału historycznego wcale nie znamy, dlatego o jego treści i znaczeniu nic nie umiemy powiedzieć. Świdziński także zawarował oddzielne wydanie tekstu polskiego, ale śmierć jego zapewne rzecz przerwała. Akta te w oryginałach powierzył Michałowi Grabowskiemu obożny litewski Prozor, ale Świdzińskiego w tém cała zasługa, że ogłoszone drukiem być miały. Akta te stanowiły już prawie jego własność. Nabywał nieraz różnych rękopismów pożyczaniem pieniędzy ludziom, którzy pomniki jakie posiadali, potem brał bez ceremonii w długu to, na co już dawno zagiął parol. Tak się podobno stało i z temi aktami dyplomatycznymi.

Redakcją takich materiałów polskich w wydaniach komisji kijowskiej i przekładem ich trudnił się zwykle profesor uniwersytetu Iwaniszew, wydawca ciekawych materiałów o kniaziu Kurbskim a potem pan Selin. To zbliżyło Świdzińskiego do uczonych Rosyan. Naturalny to był dosyć pociąg; uczony nasz bibliofil albowiem cokolwiek panslawista, rad był okoliczności, że sam osobiście mógł objaśniać uczonym profesorom, niezawsze im jasne stosunki dawniej Polski i jej rządu. Mają nas powszechnie w Europie za anarchistów, patrzą na skutki i na objawy zbyt głośnie naszego życia, ale nie rozumieją wewnętrznej walki, która w łonie polskiem pracowała. Zadziwi się kiedyś Europa skoro się przekona, że wśród tego na pozór nieładu za Rzplitej, wiele było pomiędzy szlachtą polską zasady zachowawczej. Świdziński stawał się teraz z kolei profesorem, chociaż zawsze w tych stosunkach było więcej polityki jak rzeczywistego społecznia. Selin zaochocony rozmowa-

mi z nim pragnął poznać literaturę polską i nauczył się w istocie naszego języka, potem nawet celniejsze arcydzieła naszej poezji tłumaczył i nawet wykladał je w uniwersytecie. Pochlebiali to narodowej dumie naszego bibliofila, który z kolei zaznajamiał Selina z każdym nowo wyrastającym kwiatkiem naszej literatury i poezji. Pod koniec życia poróżnił się z Selinem Świdziński o wydanie aktów Prozorowskich. Professor zajęty zbyt różnorodną pracą, nie mógł wypieszyć tak prędko druku jak tego żądał Świdziński, który co prędzej dzieło skończone chciał widzieć. W tém sławianofilstwie najwięcej utwierdzał Świdzińskiego Michał Grabowski, ale obaj różnili się w téj mierze poglądem; Grabowski przyjmował rzecz serio, wyłącznie: u Świdzińskiego zaś wyobrażenia te były środkiem, nie celem.

(Dokończenie nastąpi).



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wystawa fotograficzna.— Poezye Michała Anioła.—Fiammina, komedya we czterech aktach pana Mario Uchard.—Wiadomości literackie.

Wystawa fotograficzna, na której prócz francuzkich zgromadzono utwory niemieckie, angielskie, szwajcarskie i belgijskie, liczy się teraz do rzeczy godnych widzenia w Paryżu. Począwszy od pierwszych probek Daguerra, otrzymanych w 1827 roku, aż do wybornych fotografii Baldersa i Nadara, roztoczono tu cały łańcuch każdodziennego postępu téj sztuki, należącój do najciekawszych wynalazków naszego wieku. Mówimy sztuki, bo cóżkolwiekby powiedziano w tym przedmiocie, niepodobna fotografii na tym stopniu, na jakim dziś stoi, do rzędu rzemiosł policzyć.

Przyzna to każdy, kto widział wystawę, o której mowa. Najmniej wprawne oko dopatrzy tu różnicy pomiędzy utworami rozmaitych narodów, które równie jak obrazy olejne, dzielą się na szkoty i mają swój odrębny charakter. Fotografie angielskie są jakby wydartymi karikami z Keapseak'ow lub ozdobnych książek of beauties; natura jest tu jakaś wymuskana, nadobnie wymuszona, konwencyjonalnie sztywna, zwierzęta zdają się nie z natury, ale z obrazów Landseer'a kopiowane; pejzaże przypominają krajobrazy Collow'a

i Wyld'a, któreśmy widzieli na wystawie powszechnéj sceny rodzinne rzekłbyś że układał Mulready.

Rzecz prosta, powiecie, że reprodukcya Anglii lub Anglika musi mieć cechę angielską; zapewne, ale to dziwna, że taką samą fizyonomią zachowują fotografie zdjęte przez Anglików w Grecyi lub Egipcie, wedle zupełnie innych wzorów. Fotograf angielski ma właściwy sobie sposób ustawiania modelów, właściwe stanowisko zapatrywania się na widoki i oświetlenia ich, po którym zawsze i wszędzie poznać go można. Podobni sobie w gruncie, fotografowie Wielkiej Brytanii dzielą się na trzy rodzaje: piérwszy najliczniejszy Bayronistów, ugania się za jaskrawym efektem; drugi Rafaelistów w guście Millais'a, modeluje się na stare wzory; trzeci najniesmaczniejszy, Bibliistów, każdy naturalny obrazek na wzór patronów przerysowanych z Raju Utraconego manieruje.

Fotografowie niemieccy, przeciwnie, zakochani w naturze, malują ją bez pośrednictwa poematów; przedstawiając sceny życia, z książek biorą tyle tylko, ile potrzeba do nadania im pewnej germańskiej dozy sentymentalizmu. Fotografowane obrazki rodzajowe niemieckie, są najdokładniéjszém odbiciem narodowego charakteru. Natchnionego bohatera otacza tu niechybnie świetny orszak wyszorowanych rondli i cały szereg porządnie ustawionych naczyń kuchennych, ubóstwiany poeta musi być ozdobiony orderem, a Wertherowska Charlota przy świetle księżyca pośród róż i niezapominajek, robi pończochę, albo chléb dla dzieci smaruje. Odbicia bywają zwykle nieco rozmazane, mgliste, blado-łagodne i bezkolorowe, jak freski malarzy niemieckich.

U Włochów dominuje miłość pomników, obrazów i posągów. Fotograf włoski prawie wyłącznie sztuką zajęty, uważa mało na naturę, nad której magiczne

efekta przekłada piękność linii. Dziełom jego, jak włoskim obrazom, zbywa na półcieniu; kontury mocne, wiele światła i wielka jasność wykonania: oto zwykłe zalety fotografii włoskich.

Belgi i Szwajcarowie, jak zawsze, niezręcznie naśladowują Francuzów.

W fotografiach francuzkich wielka panuje różnorodność: ilu fotografów, tyle tu odrębnych rodzajów: każdy działa wedle własnego natchnienia, na własny ideał się modeluje. Fotografowie paryżcy doprowadzili sztukę swoją tak wysoko, że już dziś jak malarze dzielą się na rysowników i kolorystów. Pierwszym chodzi przede wszystkim o kontur, odznaczają go więc wyraźnie, unikając starannie wszelkiej dwuznaczności lub niepewności. Są to fotografowie klasycy, wielbiciel szkoły Ingra. Drudzy ubiegają się tylko o grę światła, skupiają je zazwyczaj w jeden przedmiot a zaciemniają resztę na wzór Rembrandtowskich obrazów. Ci wielbiciel światła, należą do szkoły romantycznej: ideałem ich Delacroix. Jest jeszcze rodzaj trzeci fotografów niedbających ani o rysunek, ani o kolor; nad jeden i drugi przekładają oni mglistą przezroczystość Hamona i umyślnie roztapiając we mgle przedmioty, czynią je podobnymi do samego widziadła.

Tu znowu kto zarzuci, że wszystkie te różnice reprodukcji, wynikają z przyczyn czysto materialnych, mechanicznych, z rozmaitego użycia czynników chemicznych, gatunku materiału na którym odbiły się przedmioty, ilości czasu na odbicie użytego, dłuższego lub krótszego moczenia odbitego obrazu, i tym podobnych rzeczy; zapewne, wszystko to wpływa na charakter fotografii, ale głównie zależy on od gustu artysty, od stanowiska z jakiego zapatruje się na przedmiot, od jego wyboru, ułożenia, oświetlenia, a mianowicie od ilości ducha jaką weń włoży.... bo powtarzamy, prócz zręczności preparatorskiej i scyentyficznych wiadomo-

ści niezbędnych do zrobienia fotografii, fotograf wywiera nań wpływ moralny, wkłada w nią cząstkę siebie samego, która nadaje indywidualność. Najlepszym tego dowodem, że tenże sam wzór kopiowany przez Nadara i Mayera, zupełnie inaczej się przedstawia. Fotografowie równie jak malarze miewają dnie zmęczenia czy upadku, w których im się żadne odbicie nie udaje, jak znów mają chwile, w których im z łatwością najtrudniejsze przychodzą dzieła. Pokazuje się więc, że do téj tak zwanej mechanicznej pracy, potrzeba, nie powiem tyleż, ale zawsze potrzeba natchnienia, tak dobrze jak do wymalowania obrazu, albo napisania poematu.

Zanotowawszy na wstępie myśli, które nastreczają się każdemu zwiedzającemu wystawę fotograficzną, przystępujemy do jój przeglądu.

Pomijając pod każdym względem niższe próby innych narodów, zajmiemy się tylko obejrzeniem ważniejszych fotografii francuzkich. Ale od czegoż tu zacząć? Tylu ludzi zręcznych, tylu artystów, amatorów na ten zbiór się składało i domaga się słusznie uwagi widza, że nie mogąc się zająć wszystkimi, nie wiadomo komu dać pierwszeństwo. W takim będąc położeniu najlepiej iść za przykładem profanów, którzy w galerii kierują się wedle rozmiarów obrazu. Idźmy więc tą razą za nimi, tém śmieiej, iż rozmiary nie będące zaletą obrazu olejnego, są wielką zaletą fotografii, której wzrost, że tak powiem moralny, o wiele wzrost fizyczny poprzedził.

W téj ważnej kwestyi, kwestyi rozmiarów, która niestety przedstawiła trudności tak pod względem sporządzenia maszyny, jako i szczęśliwego uchwycenia tak wielkiej żywej przestrzeni, do najwyższych doszli dotąd rezultatów panowie: Bisson i Balders. Wielkie na trzy metry, mistrzowsko wykonane Panoramy Paryża, pierwszego, widoki Luwru i sceny z po-

wodzi Lyonńskiej, drugiego, są ostatniem słowem paryzkiej wystawy fotograficznej 1857 roku.

Trudno pojąć coś wyborniejszego w swoim rodzaju, jak widok starego Luwru Baldersa; cały żłobiony jak brabancka koronka, imponujący jak niegdyś majestat królewski, czarny jak zbrodniarz, obraz ten najróżnorodniejsze nasuwa myśli: to przywodzi na pamięć czasy zamitowania sztuki, w których Franciszek I fundator Luwru, ścisnął dłoń Benvenuta zowiąc go przyjacielem; to znowu stawia przed oczy miniony urok tronu; to zdaje się opowiadać intrygi i rozpustę, których był świadkiem; to szeptać fatalne kombinacje poczętej w tonie swoim zbrodni, co wyrosłszy na czyn w ciemnych jego komnatach, wyleciała z pałacu w noc ś. Bartłomieja i cały Paryż krwią niewinnych zbroczyła.

Dwie tychże rozmiarów fotografie jasne i świeże przedstawiają w całej swój okazałości dwa nowe bezhistoryczne pawilony Luwru. Obok tych królewskich splendorów zawieszono widoki zdjęte w czasie powodzi lyonńskiej. Obrazy te przedstawiające najrozpaczliwsze sceny: topiących się ludzi, walące się domy, płynące na wezbranych nurtach trupy i wszelki dobytek, a oświecone najpiękniejszym słońcem i kąpiące się w rozkosznym powietrzu, rażą dziwnym kontrastem. Prawda, że słońce równie jasnym i obojętnym okiem spogląda na pomyślność i na zaturę ludzką; że promienie jego jednako oświecają przepyszne gmachy i nędzne lepianki, ale jednak artysta mógł być bez ubliżenia prawdzie zaciemnić nieco niebo nad lyonńskim potopem: wszakżeż zadaniem sztuki doławiać się w naturze harmonii.

W robieniu portretów najbieglejszemi okazali się panowie: Nadar i Le Graz. Fotografie ich wyzwolone ze wszystkiego co rzemiosłem trąci, doszły już prawie do „splendoru prawdy,” którego żadna chemiczna ani mechaniczna procedura nie dosięgnie. Nadar uznany

królem expozycji, wystawił przepyszne wizerunki znakomitości paryżkich płci obojg: w galerji jego można poznać wszystkich sławnych autorów i autorki, artystów i artystki, wszystkie osoby słynące z piękności, talentu, znaczenia lub dostatków: słowem wszystkich ulubieńców fortuny. Każdy z tych portretów wykończony, a nie wymuskany, uderzający dziwną siłą i podobieństwem, wydaje się jak aquatinta zdjęta z arcydzieł Reynold'a lub Tyciana.

Le Graz prócz portretów wystawił widoki morskie. Próby te, w których artysta zdołał uchwycić dwa najruchliwsze w naturze przedmioty: fale morza i obłoki, są może najgodniejsze podziwienia z wystawionych utworów.

Pan Tournachon dał fotografie zwierząt, które zeszłego roku z polecenia ministra rolnictwa zjął na powszechnej wystawie rolniczej w Paryżu. Woły podolskie, które jak to donosiliśmy w swoim czasie, najwięcej zajęły publiczność lutejszą, niemniej są teraz podziwiane na portretach. Album zwierząt pana Tournachon składa się z przeszło stu kartek. Pasterze towarzyszący trzodom, zostali także uwiecznieni w swych narodowych strojach, nie wyłączaając Maćka pana Ostaszewskiego.

Pan Disdéri wystawił zbiór fotografii zdjętych z obrazów olejnych, znajdujących się na ostatniej wystawie. Z próbek tych pokazuje się, że nie każde malowidło da się szczęśliwie przenieść na papier. Zauważaliśmy, iż tylko dzieła sławnych rysowników jak Ingra, Cognieta, Scheffera i t. p. odbiły się wyraźnie, i nie prawie z piękności swój nie utraciły; przeciwnie wszystkie obrazy odznaczające się miękkością pędzla, jak Hamona, Jalaberta, Belleta i t. p. zamazane, w odbiciu zbrzydły do niepoznania.

Panowie Gerotherwold i Tanners, dwaj wynalazcy sposobu powiększania, za pomocą którego otrzy-

mują z małych wzorów portrety naturalnej wielkości, podali jako rezultat usiłowań swoich, fotografią Rafaelowskiej Madony z welonem. Kopia tej samej wielkości co oryginał, jakkolwiek wykonana bardzo blado i delikatnie, daleką jest od doskonałości. Wynalazek powiększania ma zapewne przyszłość, ale na tym stopniu, na którym dzisiaj się znajduje, tylko jako nowość zajmować może.

Wynalazek już bardzo rozpowszechniony, stereoskop, niepoślednie zajmował miejsce na wystawie. Jest to jak wiadomo narzędzie mające formę teatralnej podwójnej lornetki, za której szklami ustawione dwie fotografie przedstawiające tenże sam przedmiot, czynią patrzącemu zupełne wrażenie prawdy. Tak zwane widoki stereoskopiczne, od których bliżniej dokładności zależy większe lub mniejsze złudzenie optyczne, były nader liczne. Obrazki tego rodzaju pana Ferrier, odznaczające się doskonałością wykonania i doбором przedmiotów, pozyskały palmę pierwszeństwa.

Do bardzo ważnych wynalazków policzyć należy odkrycie pp. Davanne i Girard. Znaleźli oni sposób ożywiania zblakłych fotografii: za pomocą środków chemicznych przyprowadzają w mgnieniu oka zupełnie zatarte odbicia do ich pierwotnego stanu. Jeżeli tenże sposób działający tak zbawiennie na świeże, bo zaledwie piętnastoletnie fotografie, da się zastosować do starszych; jeżeli za pomocą jego będzie można odżywiać odbicia w kilkadziesiąt czy kilkaset lat po ich wykonaniu: wynalazek, o którym mowa, dający fotografii żywot wieczny, będzie ukoronowaniem wynalazku Daguerra.

Nie dowierzając wszechmocności nowego odkrycia, inni wynalazcy rzucili się do wyszukiwania środków, z których pomocą możnaby przenosić fotografie na metal lub kamień. Z pomiędzy wielu dwom się poszczęściło: Poitevin wynalazł foto-litografię; Lemercier

lito-fotografią. Obadwa te sposoby, o ileśmy się przekonali mogli z wystawionych próbek, w rezultacie nie różnią się od siebie wcale. Jakkolwiek ryciny tych panów zasługują na uwagę, mianowicie przez wzgląd na przyszłość jaką mieć mogą, zawiłka różnica istnieje dotąd pomiędzy ich litografią a fotografią, którą przedstawić chcieli, ażeby kwestyą przenoszenia fotografii na kamień za rozstrzygniętą uważać. Pragnąc rychłego rozwiązania tego zadania, sławny protektor sztuk pięknych książę de Luynes złożył w ręce towarzystwa fotograficznego paryzkiego 8,000 franków, które przeznaczył jako nagrodę odkrycia sposobu reprodukcji fotografii sztychem, drukiem albo litografią.

Jeszcze w kolébce będący wynalazek p. Bacquerel, zwrócił na siebie uwagę powszechną. Pan Bacquerel jest na drodze urzeczywistnienia dotąd za niepodobne uważanego przedsięwzięcia fotograficznej reprodukcji kolorów. Widzieliśmy już widma słoneczne przytwierdzone przez niego na blasze. Widma te, gdyż inaczéj prób Bacquerela nazwać nie można, będące syntezą wszystkich fenomenów światła, każą się spodziewać rychłego postępu. Zdjęte z kolorowanych wzorów tymże sposobem fotografie, zatrzymały wyraźnie kolor czerwony, zielony i niebieski. Największą wadą tych kolorowych próbek jest ta, iż są widzialne tylko przy świecy.

Towarzystwo fotograficzne paryzkie podjęło chętnie wynalazek Bacquerela i wszelkimi siłami do rozwinięcia go pomaga. Nie zbywa wynalazcy ani na uczonych doradcach, ani na środkach materialnych. Towarzystwo bowiem prócz fotografów z profesyi, liczy w swém gronie mnóstwo możnych amatorów, którzy prace swoje także dali na wystawę. Fotografie dokonane przez hrabiego Aguado, vice-hrabiego Vigier, i Pawła Périer odznaczały się znakomitym smakiem.

Widoków architektonicznych wystawiono najwięcej; prócz nich były próbki wszystkiego co tylko zrobić może fotografia, a cóż-bo nie robi? Peizaże, pomniki, panoramy, obrazy, posągi, płaskorzeźby, naturę martwą, portrety, zwierzęta, drzewa i kwiaty, świat widomy i świat mikroskopiczny, co się widzi i co się nie widzi, wszystko kopiuje wiernie słońce, sprowadzone do skromnej funkcji litografa.

Utrzymywano nieraz, że fotografia szkodzi sztuce i poniża ją. Twierdzenie to zupełnie mylne nam się wydaje. Fotografia zdaniem naszym nie tylko nie jest nieprzyjaciółką, ale jest najniższą służebnicą sztuki: zbiera dla niej notatki, wypracowuje z natury wzory, podejmuje się za nią wszelkiej mozolnej i nudnej pracy; z pudełkiem na plecach przebiega góry i doliny, pustynie i stolice, stary i nowy świat, chwytając każdy piękny krajobraz, każdy pomnik ciekawy, każdą ruinę opowiadającą dzieje przeszłości. Wróciwszy z podróży, przynosi peizażyście malownicze grupy drzew, sylwetki skał dziwnych, przezroczyście jeziora, spienione wodospady, chaty napotkane gdzieś w górach, przynosi mu nawet całe archipelagi chmur wraz z grą światła w lot pochwycone. Architekt otrzyma od niej w podarunku przepyszne gmachy, przekroje, perspektywy, których tak wiernie nie odda najbiegłyjszy rysownik, egipskie i greckie świątynie, gotyckie katedry, tryumfalne łuki, meczety i parthenony: słowem Ateny, Rzym, Kair i Stambuł. Malarzowi obrazów historycznych dostarczy wiernych typów wszelkiej rasy, ubiorów, zbroi, broni, puharów, klejnotów i t. d., których robota zabrałaby malarzowi wiele czasu, a nie była ani w części tak dokładna. Dla erudyta nakoniec przepisze bez omyłki całe szpalty hieroglifów, bo ona umie wszystkie języki, czyta biegle, wszystko widzi i wszystko chwyta, owa fotografia, którą ludzie tak nieczłusznie idiotką okrzyknęli.

Paryzki dwutygodnik *l'Artiste*, w braku miejscowych nowin, ogłosił zajmujący artykuł o pismach Michała Anioła. Niektóre z przytoczonych w nim poezyi mistrza, wyrażają jasno pojęcia jego o sztuce, nadto rzucają żywe światło na umysł i serce twórcy Sądu ostatecznego.

Michał Anioł jako poeta mało jest znany światu; z pism jego rozpowszechnił się tylko czterowiersz wywołany wierszykiem, który Strozzi na sławnym posągu *No cy* napisał:

„*Noc, którą widzisz oddaną tu snowi,
Anioł z twardego wyciosał kamienia;
Śpi, a więc żyje, żyje bez wątpienia:
Jeśli nie wierzysz, zbudź ją, to przemówi*”.

Na to mu artysta w imieniu statuy odpowiedział:

„*Miło mi spać, a milój jeszcze być kamieniem,
Dopóki trwają zbrodnie, fałsz rządzi sumieniem.
Wtedy nie czuć, nie widzieć, jedna dola błoga.
Więc przechodniu mów cicho: nie budź mnie, na Boga!*” •

Prócz téj improwizacyi, która przez swą wyrazistą zwięzłość pozostając w pamięci, sławną się stała, inne utwory poetyczne Michała Anioła niemniej na uwagę zasługują. Pominąwszy ich niezaprzeczoną wartość literacką, są one ważne z dwóch względów: naprzód dlatego, że rozświecają do dna głębie jednego z najpotężniejszych geniuszów jakich wydała ziemia; powtóre, iż zapoznawają niemal osobiście czytelnika z wielbionym artystą i pokazują, że serce jego dorównywało geniuszowi.

Poezye Michała Anioła po raz pierwszy zestały ogłoszone drukiem we Florencyi przez siostrzeńca autora, Michel-Agnolo-Buonarroti, dość znanego we Włoszech literata. Pierwsza ta edycya w 4ce, wydana w listopadzie 1622 roku, jest dedykowana kardynałowi Maffeo-Barberini, i poprzedzona znakomitą przedmową, w której siostrzeniec wydawca motywuje swoje uwiel-

bienie dla wierszy wuja, oraz czyni uwagi nad ówczesnym stanem literatury i obyczajów, które, mówiąc nawiasem, żywcem do dzisiejszego zastosować się dadzą. Po przedmowie następuje nota zaręczająca autentyczność textu; wydawcy porównywali go z oryginalnym manuskrytem znajdującym się w bibliotece watykańskiej, a napisanym własną ręką autora.

W roku 1726 wyszła we Florencyi druga edycja w dwunastce, powiększona małoważnemi rozprawami pp. Varchi i Guiducci. Trzecią nakoniec edycją poezyi Michała Anioła, w trzech tomach, wydał w Paryżu 1820 roku Biagioli, wraz z dziełami Petrarcki.

Z wymienionych edycji, dwie pierwsze rzadkie są nawet we Włoszech; trzecia dość rozpowszechniona we Francyi, mało znajduje sumiennych czytelników pomiędzy cudzoziemcami, z powodu trudności języka i komplikacyi formy, która niemniej jest zawita w piśmie, jak w obrazach wielkiego artysty.

Poezye Michała Anioła zupełnie różne od utworów ówczesnych włoskich poetów, którzy opiewali błękit ojczystego nieba, woń swoich kwiatów, szmer wodotrysków, blask księżyca i t. p. mają kierunek inny, i daleko głębsze zawierają myśli. Jakkolwiek większą część swoich wierszy pisał już w dojrzałym wieku, natchnienie poetyczne ocknęło się w nim wczesnie. Jeszcze w szkołach najmilszą jego księgą była Boska Komedia; nie rozłączał się z nią nigdy, w klasie czytał ją w każdój wolnej od nauki chwili, na przechadzce wołał patrzeć w dantejskie niż we włoskie niebo, a nocy, które koledzy na spaniu lub hulance trawili, on spędzał w dantejskiem piekle, studyjąc wzory z których później straszny obraz Sądu Ostatecznego ułożył.

Złączony przyjaźnią z najznakomitszą młodzieżą swego kraju, kolega młodych Medyceuszów, uczeń najpierwszych professorów i artystów swego czasu, Michał Anioł rozwijał się wszechstronnie: był równie bie-

głym malarzem, rzeźbiarzem, architektem, matematykiem i poetą. Później, wedle okoliczności, wedle potrzeb ojczyzny, lub wymogów wieku, na czas, jeden zawód obierał i poświęcał mu się wyłącznie. Tylko poezya była zawsze nierozłączną towarzyszką i powiernicą jego; jój jednęj powierzał poważne swe myśli o sztuce, swoją miłość, tęsknoty i smutki, nawet omdlenia ducha przed nią nie tait, i wypowiadał wszystko, nawet najpodlejsze uczucie serca:—zawiść. Być wielkim poetą, wydawało mu się szczytem chwały do jakiej wznieść się może śmiertelnik; na szczycie tym stał, wedle niego, Dante, jedyny człowiek, któremu Anioł zazdrościł. To pojęcie i to uczucie jasno wyraził w następującym sonecie do autora Boskiej Komedyi:

„Ze świata tego zstąpił w straszliwe ciemności,
Zwiedził piekło, z kąd myślą w niebiosą porwany
Wzbił się, gdzie szczyt: tam poznał Pana nad Pany
I ludziom odblask boskich ukazał światłości.

Meteor enoty, której promienie przeczyste
Do nadziemskich tajemnic będą ludzi wiodły,
Dostał zwykłą nagrodę, jako naród pouiy
Darzy tych, w których sercu prawdy wiekuiste.

Dante widział swe prace zapoznane, w zmroku,
I wielkie serce jego pogardziło tłumem,
Na który prawi tylko nie wywrą uroku.

Ach! czemuż Bóg mi nie dał geniuszu Danta!
Za wygnanie, katusze i męczeństwo jego,
Oddałbym wszystką rozkosz i hołd świata tego”.

Jak wysokie było uwielbienie Michała Anioła dla poezyi, dowodzi także następujący sonet, napisany do malarza Vasari, autora Życia Malarzy:

„Jeżeli przez formę i kolor postawieś sztukę na
równi z naturą, a nawet zaćmieś ją, uwydatniając jój
piękność oku: to teraz, kiedy szlachetniejsze rozpoczy-
nasz dzieło, dzieło pisania, tworząc jak ona, wydrzesz
jój resztę wartości”.

Sonetów takich w których Michał Anioł stawia poezją wyżej niż wszystkie sztuki plastyczne, najwięcej naliczyć można w zbiorze jego wierszy. Miłość poezyi zdaje się malarzowi co chwila pędzić z ręki wytrącać. Schylając czoło przed królową sztuki, Anioł wyznaje z pokorą, że dlatego tylko jest malarzem i rzeźbiarzem, że nie jest dość wielki, żeby był poetą.

Najważniejszy wydał nam się wiersz, w którym artysta swoje pojęcie sztuki objawia. Tłumaczymy go dosłownie, nie chodzi nam bowiem o uchwycenie piękności wiersza, ale raczej o wierne oddanie myśli:

„Za przewodnika w mém powołaniu, od urodzenia Piękno mi było dane: Piękno, które w dwóch sztukach służy mi jako lampa i zwierciadło. Kto inaczej sądzi jest w błędzie. Tylko Piękno zdolne jest podnieść wzrok do wysokości do której dążę, ucząc się żłobić i malować. Zuchwały lub szalony jest każdy co mniema, że zmysłem ludzkim można stworzyć ów typ piękności co porusza i umysł w niebo porywa. Od ziemi do nieba nie przerzucają się słabe oczy nasze; wzrok ludzki nie sięga tam, gdzie wznieść się bez Łaski niepodobna”.

Tak więc wedle teoryi Michała Anioła, teoryi kilkakrotnie i dobitnie wyrażonej, typ piękna nie należy do rzędu rzeczy które się czuje; piękno istniejące w sferach wyższych, udziela się ludzkiej inteligencji przez objawienie. Piękno nie było dane, mówi, człowiek nie może go poczuć ani wyrazić bez pomocy Łaski. Kto inaczej sądzi, jest w błędzie.

Powyższe pojmowanie sztuki różne zapewne od dzisiejszych pojęć tak zwanych artystów, było i będzie wspólne wszystkim wielkim sztukmistrzom. Tylko wyrazi się zmieniły: rzecz pozostała ta sama. To, co dziś zowią natchnieniem, twórca Sądu Ostatecznego

zwał Łaską. Po wszystkie czasy czuli to wielcy artyści i wzywali pomocy wyższej istoty; po wszystkie czasy czuł poeta że jest tylko lirą z której technienie Boże wywołuje dźwięki. Homer kiedy woła: „Muzo! śpiewaj gniew Achillesa” jest równie prawowierny jak Michał Anioł wzywający Łaski u stóp posągu Mojżesza.

Po tém wyznaniu wiary w pomoc cudowną, Anioł schodzi na ziemię i teorią swoją wciela; powiada, że człowiek nie może się zupełnie oderwać od siebie samego, że musi być koniecznie swoim wzorem, że to jest typ drugi, niższy, ale potrzebny, który artysta powinien podnosić do ideału. Że jednak, choćby najwyższym był ten ideał, indywidualność artysty zawsze w dziełach jego się odbija. Myśl tę wyraża w dwóch następujących sonetach, pisanych, jak się zdaje, pod wpływem cierpień miłosnych.

„Ponieważ najczęściej bywa, iż żłobiąc czyjaś postać, do siebie ją podobną czynimy: ja nieraz siebie z kamienia wykuwam bezecnym.... napótł martwym.... słowem takim, jakim ona mnie uczyniła. Próżnobym twierdził, że ten marmur na jój wzór wycięty, do niej jest podobny, kiedy rzeczywiście, swoją tylko marną osobę w nim przedstawiłem. Jeżeli jednak zadaniem sztuki wyrażać i dawać życie Pięknu: ona powinnaby mnie uszczęśliwić, żebym ją mógł odtworzyć piękną”.

.....„Jeżeli wesole serce czyni twarz miłą, a smutne ją oszpeca; jeżeli mam oczy zdolne odróżnić w mój gwieździe boską od ziemskiej piękności: ta najpiękniejsza dręcząc mnie, źle czyni. Bo jeśli w naturze człowieka malować siebie samego i w dziełach swoich własne czucie wyrażać, jakżeż ją odmaluję, jeżeli mnie pozostawi w rozpacz? Ach! raczej niech mnie pocieszy, a zrobię ją piękną jak niebo!”

Zdaje się, że te miłosne strofy, tak dziwnie brzmiące w twardych ustach Michała Anioła, były pisane pod

wrażeniem poezyi Petrarki, którego jasne, słodkie i przeczyste pienia, tak ukoły wiecznie niespokojną, dziką duszę ponurego mistrza, że na chwilę przestał być sobą, i miłszym wrażeniom przystąpić do serca dozwolił. Ale znać, były to tylko krótkie chwile zapomnienia. Herkules wnet powstaje od nóg Omfalii, i znów z podwojonym zapałem goni swój ideał nieśmiertelny... W śmiertelnój kocha tylko odzwierciedlenie niebieskiego piękna, w kochance nie widzi już kobiety, ale ideę, i przemawia doń jak Dante do wiodącej go do nieba Beatryczy:

„Pani, byćże to może, ależ widzimy to sami, że posąg z niesfornego wykuty kamienia żyje dłużej od wzoru i od twórcy swego. Przyczyna ustaje przed skutkiem. Sztuka zwycięża naturę. Wiem o tém dobrze, ja, którego najdroższą kochanką rzeźba. Dzieła moje tryskają życiem, a mnie już sił braknie. Jednak, zanim odejdę, nas dwojga uwiecznić mogę. Wolisz marmur czy kolor? wybieraj. Dam mojej miłości twarz twoją, żeby w tysiąc lat po naszej śmierci wiedzieli ludzie jak byłaś piękną, i czy miałem śmiałość cię kochać?”

Tęż samą myśl jeszcze dobitniej wypowiada następujący sonet:

„Jakże potężny jest umysł mężki, silny, twardy, zdrowy, ów sztukmistrz prawdziwy, który oddaje zarazem formę i ruch, wlewa życie w zgromadzone części, i z wosku, ziemi, lub kamienia buduje postać ludzką.

„Jeżeli później czas niszczyciel, czas nieubłagany i brutalny ją skruszy; piękność, która w niej była, ulatuje, odradza się w pamięci i tam trwa na wieki.

„Tak twoja piękność, zestana przez Przedwiecznego artystę na dowód co może dać niebo ziemi ku ozdobie, zniszczona czasem, żyć będzie we snach moich, pełna owego Piękna, którego nie zmieniają lata”.

Piękno niezmiennie, absolutne, odbite w stworzeniu, i odkryte oczom ludzkim przez tego, który człowieka na podobieństwo swoje stworzył, jest ideałem Michała Anioła, a najpierwszą ze sztuk plastycznych jest, wedle niego, ta, która zatrzymuje ten odbłysek, wlewa tchnienie Boże w materią trwałą, i tym sposobem uwiecznia je w ludzkiej pamięci.

Taka jest myśl tych dwóch ostatnich sonetów, które zdają nam się być dopełnieniem estetycznej teorii Michała Anioła; teorii ulegającej zapewne dyskusji, ale mimo pozornych sprzeczności, bardzo konsekwentnej. Bo jeżeli powiedział wyżej, że pierwowzór piękna nie należy do rzędu rzeczy, które człowiek czuje, nie jest zmysłem ludzkim, a jeżeli go spostrzega w rysach ukochanej kobiety, to tylko dzięki tej łasce, przez którą absolutne, Boskie Piękno było mu objawione.

Przybył Paryżowi jeden więcej dramaturg, pan Mario Uchard, którego pierwsze wystąpienie na polu literackim, wielkiem uwieńczone zostało powodzeniem: powodzeniem tém większém, że młody autor nie protektorom ani kolegom, nie intrydze ani reklamie, ale własnemu talentowi go zawdzięcza. Dawno nie widziano w Théâtre-Français, gdzie zazwyczaj prócz starych, same wyrafinowane, brylantowo-lodowate przedstawiają sztuki: dawno nie widziano, mówię, tak gorącego i rzeźwonego utworu jak Fiammina. Znać, że pan Mario nie stąpił pióra na piśmiennictwie obowiązkowém, codzienném, które koniecznie autora w rzemieślnika przemienić musi; znać, że nie ubezwładnił umysłu zmuszając go do peryodycznej twórczości, nie wystudził serca pojąc go truczynami, które szatan zwykł ku obudzeniu kłamliwego czucia podsuwać: słowem, znać że Fiamminy nie pisał żaden z paryzkich literatów, ale człowiek z duszą i sercem.

Kto ma rzeczywiście co powiedzieć ludziom, temu o formę nie trudno. Młody nieliterat, że posiada czucie i natchnienie, nie znając prawideł ani przepisów, znalazł odrazu skarby, których literaci z professyi nieraz daremnie przez całe życie szukają: to jest pomysł nowy, udatną formę, a mianowicie ów talizman, któremu nie oprzeć się nie może, zapał, trafiający do serca jak strzała.

Fiammina napisana, jak to mówią, jednym tchem, nosi rzadką dziś cechę improwizacyi, i dlatego tak silne sprawia wrażenie. Sceny zazwyczaj tak mozolnie zlepiane, z taką pracą zszywane przez młodych dramaturgów, w komedyi pana Uchard wypływają z siebie naturalnie: druga jest tak koniecznym następstwem pierwszej, że ich rozłączyć niepodobna. Zład owa całość piękna, której nie zastąpią ani koncepta, którymi się sztukują krótkiego oddechu autorowie, ani najzręczniejsza mozajka, zawsze nieco ubiór arlekina przypominająca.

Podniesiona kurtyna odśłania na wstępie miły kątek rodzinny, gdzie ojciec połączony z synem miłością prawdziwą, myśli i czucia w pracy jednoczy. Ojciec jest malarzem, syn poetą. W pierwszej zaraz scenie uderza nader przyjemny ton rozmowy tych dwóch ludzi: delikatny, subtelny a niewymuszony: ten, w którym ojcowska powaga nie krępuje serdecznych wybuchów młodzieńca, a poufałość syna nie wyklucza należnego ojcu uszanowania. Tak wysokie zrozumienie stosunku w naszych czasach dziwnie sponiewieranego we Francyi, dobrze usposabia słuchaczy, i odrazu jedna autorowi sympatyą wszystkich dusz prawych.

Pan Mario w Danielu Lambert uosabia ideał ojca. Przed dwudziestu laty kształćąc się w Rzymie, pokochał on i poślubił śpiewaczkę Włoszkę. Henryk był owocem tego związku, ale nie miał matki w istocie. W kilka miesięcy po jego urodzeniu, młoda niewiasta znudzona

spokojném szczęściem rodzinném porzuciła dom męża i kolébkę dziecięcia. Szczęście uciekło, ale zostawiła zakład. Daniel pocieszył się niedługo: nie ma czasu płakać w obec obowiązku. Opuszczony mąż począł seryo pojmwować życie: będąc ojcem stał się matką swego syna. Wyniańczył go, wychował i wykształcił; teraz patrzy nań z dumą, gdyż sam dokonał dzieła, które zazwyczaj dwoje ludzi wypełnia: z dziecka zrobił człowieka.

Tyle poświęceń, tyle pracy i tyle wytrwałej miłości ocenił Bóg i nagrodił, zsyłając na dom opuszczony nowy promień szczęścia, który niedługo wszystkie jego zakątki rozjaśni. Henryk kocha Laurę, córkę przyjaciela swego ojca, której portret tenże właśnie maluje, zatwierdzając uśmiechem szepty dwojga kochanków. Scenę tę zamkniętą w pracowni malarza, najwłaściwiej porównać można do ślicznego obrazka, na którym dwoje zakochanych dzieci w cichym przybytku pracy igra pod bokiem sędziwego starca.

Zatrudnienie ojca artysty i szczebiotanie młodej pary przerywa przybycie pana Duchâteau, ojca Laury, zakochanego w włoskiej muzyce diletanta, który wpada zadyszany, chcąc co prędzej oznajmić przyjacielowi ważną nowinę, iż sławna śpiewaczka włoska Fiammina jest w Paryżu i ma wystąpić jutro w Normie. Daniel usłyszawszy to nazwisko, blednie i spogląda niespokojny na syna.

Zawiązany dramat rozwija się szybko. Do pracowni przybywa niebawem magnat angielski lord Dudley i prosi artysty, żeby mu z miniatury portret olejny wymalował. Daniel podejmuje się chętnie, ale zaledwie rzucił okiem na podany sobie medalion, oddaje go właścicielowi przepraszając, że żądaniu jego zadość uczynić nie może.

Po odejściu lorda badany przez syna o powód tej odmowy, ojciec otwiera mu zbolełe serce i pierwszy

raz powierza swe domowe nieszczęścia. Henryk dowiaduje się, że matka, za której duszę się modlił, żyje, że owa zmarła, której pieśczęt śmierć go pozbawiła, za której miłością tęsknił jak za najwyższym dobrem tej ziemi, kwitnie życiem, błyszczący talentem, upaja się poklaskiem tłumu: że nią jest sławna śpiewaczka Fiammina. Daniel odkrywając synowi tę tajemnicę, śledzi bacznie wrażenie, jakie na nim sprawi; lęka się żeby nagłe zjawienie się kobiety, przez którą tyle wycierpiał, nie było powodem nowych dla niego męczarni; drży, żeby mu nie wydarła drugi raz szczęścia, nie pozbawiła synowskiego przywiązania, które jest teraz jedynym jego skarbem na świecie. Ale Henryk wychodzi zwycięzko z tej próby: stanowczo i stale oświadcza, że ma tylko ojca, jego kocha i wielbi, a matki, która takiego ojca skrzywdziła, nie zna. Poczucie obowiązku silniejsze w młodym sercu nad sam głos natury jest moralną nauką pierwszego aktu.

Drugi akt przenosi nas do salonu pana Duchâteau, który w liczonym gronie gości obchodzi swoje imieniny. Daniel korzystając z dobrego usposobienia przyjaciela prosi go o rękę córki dla syna i oznajmia mu zarazem, że Fiammina jest matką Henryka a jego żoną: co trochę ambarasuje diletanta, ponieważ mniemając, że śpiewaczka jest żoną lorda, zaprosił ich na tę ucztę rodzinną.

Podczas tej rozmowy wchodzi oparta na ramieniu lorda, Fiammina. Piękna, pełna gracyi, dumna wczorajszym sukcesem, ciągnąc niedbale czarne koronki i atłasy, stąpa jak królowa nocy w gwieździstym diademie. Tłum rozstępuje się przed nią, ona darzy uśmiechem jednych, drugich spojrzeniem, innych ukłonem, z ową pewnością siebie, właściwą wielkim damom i teatralnym królowom. Wtém służący oznajmia Henryka Lambert: Fiammina blednie, upuszcza bukiet, i cała drżąca jak zbrodniarz przed sędzią swoim, staje przed synem, który ją mierzy zimnym wejrzeniem smutku.

Dramatyczność téj sceny powiększa rozchodząca się pogłoska o pojedynku. Mówią, że Henryk wyzwiał kogoś na wczorajszej reprezentacji włoskiej, że ma się strzelać o Włoszkę, podobno na śmierć. Daniel pyta syna coto znaczy; ten wyznaje mu, iż zwabiony wczoraj do teatru bolesną ciekawością, usłyszał jak ktoś obok niego mówił: że Fiammina jest kochanką lorda Dudleya. Uniesiony gniewem wyzwiał go na pojedynek, ale wyzwany dowiedziawszy się z kim ma do czynienia, przeprosił go; więc pyta ojca jak sobie postąpić w tym razie? Ojciec zakazuje mu się bić. Rozłączenie, mówi mu, stawia nieprzebytą przepaść pomiędzy temi co zostają, a tą co odchodzi: solidarność niknie, wszystkie węzły się rozrywają. Niech upada, niech się kała, niech się podli, niech ginie: między nią a nami nie ma nic wspólnego!

Straszny jest ten wyrok, który człowiek co spełnił święcie swe obowiązki wydaje na tę, która ich nie dopełniła; straszna ta klątwa, co jak góra lodu staje pomiędzy instynktowo garnącym się do matki synem, a matką, w której sercu obudziło się uczucie macierzyńskie. Ojciec długo przemawia do syna w ten sposób, rozwijając wznioste teorye obowiązku; Henryk słucha ich z uwielbieniem, ale zachwiany błagalnym wejrzeniem matki, już nie jest zdolny woli ojca zadość uczynić: słucha go roztargniony, a w duchu inny zamiar żywi. Na cóż się przydadzą najoczywistsze prawdy, najszczytniejsze rozumowania, skoro naturalne, wrodzone uczucie sercem zawładnie? Los ich zawsze jeden: przebrzmiewają bez echa.

Widząc tę, która mu dała życie zawieszoną na ramieniu obcego mężczyzny, Henryk zapomina rad ojca; wstydem płonąca twarz matki, poufalskość lorda, który zdaje się o niczem nie wiedzieć, wszystkę krew w nim burzą: każde słowo cudzoziemca boli go lub rani, nawet zimna grzeczność jego zdaje się potwierdzać

podejrzanie. Nie mogąc znieść dłużej tego widoku, Henryk drżącym od gniewu głosem żąda od lorda posłuchania na jutro. Zapadająca zastona zostawia widzów w oczekiwaniu najsmutniejszych wypadków.

W trzecim akcie następuje spowiedź Fiamminy: niepodobna było prawdziwiej odmalować cierpień zbłąkanéj duszy. Rzecz godna uwagi, że autor wykazując cały szereg nieszczęść spadających na wiarotomną, nie przedstawia jéj wcale jako awanturnicy: nie potrzebował aż tak jéj poniżyć, żeby pokazać, że upadła. Do winy matki opuszczającéj syna dorzucać inne winy, słusznie za zbytne uważał. Przeciwnie, chodziło mu o pokazanie, że kobieta, która dziecko własne porzuci, najprzykładniejszém życiem z téj zbrodni się nie oczyści.

Fiammina opowiada przyjaciółce, że zrywając familijne węzły, uległa wrodzonéj artystom żądzy wrażeń i wolności, że zaledwie ujrzała się samotną na świecie, strach ją zdjął, ale wrócić już nie można było. Wtedy czując, że ginie, jak tonący chwytający się hrzytwy, przyjęła miłość Dudleya; ale ten nowy występek nie powrócił jéj nazawsze utraconego szczęścia, bo chociaż lord otoczył ją wszystkiém co dać może najtkliwsze przywiązanie i dostatki, nie zdołał uspić wyrzutów sumienia trujących każdą chwilę. Błąd, który zrazu wydawał jéj się tylko lekkomyślnością, z czasem wyrósł w sumieniu na zbrodnią, której żadna pokuta nie zmyje. W takim usposobieniu duszy po dwudziestu latach rozstania, ujrzała syna, którego przywiązania nie warta, a którego kocha nad wszystko.

W końcu téj rozmowy przychodzi Henryk na umówioną z lordem konferencyą. Tu następuje scena przesłiczna: matka piérwszy raz w życiu sam na sam z synem, nie śmie nań podnieść oczu; wyszukuje pozorów, żeby móz dłoń jego uścisnąć. We własném przekonaniu podlejsza od ulicznój nędznicy, nie śmie się zbliżyć,

nie śmie dotknąć téj pięknej głowy, którą Bóg dozwolił jéj pod sercem nosić, a którą ona potem od piersi odpełnęła nieszczemnie. Złamana boleń, mdlejąca, już ma się rzucić do nóg młodzieńca, na którego ustach drży przebaczenie, a z ocz tryska łza miłości, kiedy drzwi się otwierają, i jak podmuch północnego wiatru, wchodzi Anglik, za którego zbliżeniem roztopiony gorącym tchnieniem uczucia lód, na nowo pomiędzy matką a synem zamarza.

Niepodobna wystawić bolesnego efektu téj aparycji, gdyż polega cała na grze twarzy, postawie i wymowném milczeniu. Ale właśnie to skąpstwo słów, to skupienie uczuć niesparodyowanych deklamacją, nie rozwodnionych łzami, nadaje jéj przerażającą cechę prawdy.

Tając uporczywie powód swój urazy, Henryk wyzywa lorda Dudleya; Anglik nie mogąc rozwiązać zagadki, mniema, że młodzieniec jest jego rywalem. Na to przypuszczenie Henryk się oburza, oświadcza, że jest synem Fiamminy, i jeżeli Dudley wyzwania jego nie przyjmie, zmusi go do tego obelgą publiczną. Szlachetny lord wzdryga się na samą myśl przelania krwi syna kobiety, którą kocha; ażeby zapobiedz nieszczęsnemu spotkaniu, postanawia udać się do Dapiela. Ze swój strony Fiammina postyszawszy o zajściu Henryka we włoskim teatrze, chcąc odwrócić niebezpieczeństwo, biegnie także do ojca swego syna. Tak więc niewierna żona i kochanek schodzą się przypadkiem u znieważonego męża, swego naturalnego sędziego.

Rozwiązanie jest rzeczywiście sądem. Daniel błagając żonę przyjmuje obojętnie; na uniesienia jéj odpowiada z nieubłaganą logiką człowieka obowiązku: „Jakiem prawem, mówi jéj, troszczysz się o syna, któregoś porzuciła przed dwudziestą laty, a który dziś może przez ciebie zginie? Zła matko, szatanie domo-

wego ogniska, na to więc powracasz, żebyś do zbrodni swoich dorzuciła dzieciobójstwo?"

Fiammina zamiast odpowiedzi, chce uściskać wchodzącego syna, wyciąga ku niemu ręce, ale Henryk pada w objęcia ojca. Obecność syna jeszcze solenniejszym czyni ten proces domowy. Daniel biorąc na świadka Henryka, rozkazuje żonie, żeby powiedziała jakie są jego winy względem niej? Fiammina odpowiada łkaniem. Wtedy ojciec mówi synowi, żeby wybierał między nią a nim: każe mu iść albo za pociąganiem serca, albo za głosem sumienia. Odpowiedź Henryka ma stanowić o losie rodziny; zajęcie dochodzi do najwyższego stopnia: cały teatr wstrzymując oddech, czeka rozwiązania.... Kiedy wtém znowu wchodzi Anglik, i trzy te dusze krewne, które byłyby może za chwilę stopniały w jednym uścisku, rozerwane boleśnie przybyciem obcego, zamiast się zgodzić, poczynają sobie wyrzucać wzajemnie zadane rany. Fiammina dowiadyje się, że pan Duchâteau z powodu jęj stosunku z Dudleyem, na połączenie Laury z Henrykiem nie zezwala. Wtedy uczucie macierzyńskie przeważa w niej wszystkie inne; Bóg dał jęj możność okupienia winy, dając sposobność poświęcenia się dla szczęścia tęg rodziny, którą opuszczając zlamala. Żegna więc na zawsze Dudleya, zrywa ze światem, i resztę życia postanawia w ścisłym przepędzić ukryciu. Wskazawszy się na śmierć moralną, Fiammina odbiera zaraz nagrodę swęgo czynu, bo unosi z sobą miłość syna i przebaczenie męża.

Na tęg ofierze wyciskającęj tzy dobroczynne, kończy się ten dramat pełen najuczciwszych dążeń, tak prawdziwy i prosty, iż przestaje być sztuką, i przepływa przez scenę jak prąd rzeczywistego życia. Nie dostrzecz tu ani jednę z używanych dla efektu niespodzianek, żadnę konwencyonalności sceniczną, żadnego nadto mocnego podcieniowania. Całą sztuką autora

było prawdziwe rozwinięcie prawdziwej myśli, i śmiałe doprowadzenie jej do ostatecznej konkluzji: efekt wypłynął sam przez się z doskonałej proporcji, w jakiej pozostają osoby i wypadki. Jednym z głównych powodów sztuki jest dobór szlachetnych uczuć w grę wprowadzonych. Wszystkie osoby są mniej-więcej sympatyczne, każda z nich zostawia w umyśle miłe wspomnienie. Ojciec twardy jak stal, kiedy chodzi o obowiązek, a dla syna miękki jak kobieta; syn łączący w sobie wszystkie wznioste i godne naśladowania przymioty; Anglik uosabiający wszystkie zalety swego narodu: nawet ta kobieta, co błędy swoje tak głęboko czuje i tak szlachetnie się poświęca — wszystko to dusze niepoślednie, których dzieje na zawsze pozostają w pamięci, jak nauki, do których własnem dochodzimy doświadczeniem, i mogą wpłynąć zbawiennie na niejedno zbyt nagłe postanowienie, którego żałujemy po niewczasie.

Proudhon wydał trzecią powiększoną edycją nader śmiałego dzieła pod tytułem: Manuel du Spéculateur à la Bours. Pierwsze dwie edycje wyszły bez podpisu autora; w przedmowie do trzeciej, sławny publicysta tłumaczy, czemu uznał za stosowne tą razą imię swoje podpisać. W dwóch pierwszych wydaniach tyle tylko dotknął ekonomii politycznej ile potrzeba było koniecznie do ocenienia spekulacyi czy jako siły produkcyjnej, czy operacyi bursowej: nic tam nie było za co autor przed publicznością odpowiadać winien. Teraz pod naciskiem okoliczności, był, powiada, zmuszony „do głębszego rozbioru interesów, ocenienia czynów, wykazania ich przyczyn, określenia położeń, obrachowania dążności wedle względów ekonomii i prawa”. Z tych powodów czuł się obowiązany do wystąpienia jawnego.

Dzieło to jest więc daleko ważniejsze niżby z tytułu sądzić można. Nie jest to prosty manuel, czyli książka w której znajdują się objaśnienia kursu papierów, operacji giełdowych; ale ocenienie wszystkich czynności bursowych, ruchu którego ona jest ogniskiem, i działania jej na społeczeństwo. Czém się stał naród francuzki pod wpływem faktów ekonomicznych, których organem bursa?—oto pytanie, jakie stawia i rozwiązuje Proudhon z właściwą sobie genialną bystrością poglądu i bezprzykładną pod obecnym rządem wolnomyślnością.

— Eugeniusz Maron napisał książkę pod napisem: *Histoire littéraire de la Révolution*. Książka dzieli się na dwie części: *Constituante* i *Législative*. Autor założył sobie wykazać wpływ idei na czyny i oddziaływanie czynów na idee, podczas strasznych kataklizmów, które wstrząsały Francją pod koniec zeszłego wieku. Pełen entuzjazmu dla rewolucyi 89 roku, pan Maron mniema, że aby dobrze ruch ten zrozumieć, nie dość znać fakta, potrzeba jeszcze znać słowa i pisma, które są komentarzami wypadków. Autor powiada w przedmowie, iż wydaje mu się nader pożytecznym śledzić w chwili obecnej śladów myśli rewolucyjnej pośród zamieszek, w których zdaje się ginąć czasami. „Nie wątpię, dodaje w końcu, że z namysłem zdołam uwydatnić charakter powszechny plodów literatury rewolucyjnej, często zupełnie różnych na pozór, ale w gruncie związanych ściśle z wielkim ruchem politycznym”. W przedmiocie tylokrotnie opracowanym przez zdolnych a nawet genialnych pisarzy, trudno powiedzieć coś nowego: mimo to książka Marona zawiera wiele spostrzeżeń trafnych, a jako wykazanie ogromnego wpływu myśli na czyny, jest bardzo nauczająca.

— Jeden z najznakomitszych pisarzy francuzkich, pan Ernest Renan, wydał filozoficzno-religijną książkę: *Recherches d'histoire religieuse*.—Jules Simon,

autor *Obowiązku i Religii Naturalnej*, napisał nowe dzieło pod tytułem: *La liberté de Conscience*. Pan Caro w tymże duchu wydał: *Etudes morales sur le temps présent*. Edgard Quinet ogłosił wszystkie swe prace w 16 tomach.

— Wyszedł pierwszy poszyt *Revue Franco-Slave, Recueil international*. Nowy ten przegląd składa się z artykułów tłumaczonych z przeglądów rosyjskich, polskich, czeskich, serbskich, i artykułów oryginalnych. Redaktor oświadcza na wstępie, że celem pisma tego dać poznać Francyi narody słowiańskie, i sąd tychże o Francyi. Pierwszy poszyt zawiera następane artykuły: Galaszowa, O Katarzynie II i wpływie oświaty francuzkiej na Rosyją, (z rosyjskiego).—Słomczewskiego: O Macaulayu (z Dodatku do Czasu).—Barona Bode: O Persyi nadkaspjskiej.—Ignacego Chodźki: Dom mego Dziadka (z Obrazów litewskich).—Ewy Felińskiej: Podróż wygnanej na Sybir.—Hrabiego Orłowa: O organizacji wojennej Prus w roku 1806. W dalszych poszytach znajdować się mają wedle programu: Pamiętniki księżniczki Daszkow.—Nowe koleje żelazne rosyjskie.—Literatura Polska za granicą.—O rozmaitych sposobach wychowania w Rosyi: wychowanie francuzkie i narodowe.

Prócz powyższego przeglądu, pojawiło się jeszcze kilka nowych: *Revue Espagnole et Portugaise*, zajmuje się krajem własnym; *Aliance littéraire*, Anglią i Francją; *Revue Philosophique et Religieuse*, Saint-Symonizmem.

— Wyszły cztery pierwsze poszyty dzieła Alberta Sowińskiego: *Historja muzyki polskiej*; zawiera ją wstęp i początkowe litery słownika nowych muzyków. Na wstępie autor dowodzi, że muzyka przyszła do nas z Czech. Dalej dowiadujemy się od niego, że

pieśń do Boga-Rodzicy jest układu św. Wojciecha; że wszystkie pieśni nabożne w XIV wieku komponowali w Polsce księża, pomiędzy którymi najstawniejszymi kompozytorami byli: ksiądz Witowski i biskup poznański Łodzia. Pan Sowiński uważa ich za ojców kościelnej muzyki polskiej. W XVI wieku muzyka włoska wzięła górę nad narodową, która za Wazów zupełnie upadła. Odrodzenie jej datuje od panowania Stanisława Augusta, dzięki płodom nowych kompozytorów narodowych, jak Elsner, Kozłowski, Kurpiński i t. d.

Dzieło Sowińskiego pisane dobrą francuzczyzną, pełne sumiennych studyów i nauczających szczegółów, nietylko Polaków, ale i cudzoziemców zajmuje.



O POEZJI WŁOSKIÉJ W ŚREDNICH WIEKACH

JAKO ŹRÓDLE DO

BOSKIÉJ KOMEDYI DANTA.

PRZEKŁAD

z *A. Fryderyka Ozanama.*

II.

ŚWIĘTY FRANCISZEK (*).

Poezja włoska, jak każda poezja z dwoistego wypływa źródła: zmysłowego i religijnego. Obadwa te źródła zbiegają się niekiedy w jeden strumień, wszakże ich wody nigdy się tak ściśle nie łączą, aby ich nie można było rozróżnić przy teraźniejszym poglądzie.

Na końcu XII wieku, w Sycylii, w pośród czarów przyrody ozłoconych promieniem południowego słońca, u ludu, w któ-

(*) Do téj pracy służyły mi następujące źródła: naprzód pisma samego Św. Franciszka, *Opera Sancti Francisci*; powtóre trzy biografie świętego: 1. Żywot tego opisany we dwa lata po skonie, przez Tomasza z Celano. 2. Dopelnienie téjże biografii, przez trzech uczniów świętego, którym polecono zredagować ją na nowo. 3. Żywot Św. Franciszka nakreślony później przez Św. Bonawenturę, według żyjących jeszcze podań i licznych dokumentów. Zobacz także Wadding'a *Annales Minorum* tom 1.; Chavin z Malan, *Histoire de St. François d'Assise*. Guerres nakreślił także wiele uczonych i pięknych stronnice o Św. Franciszku z Asyżu *trubadurze*.

rego żyłach płynie krew starożytnych Greków, połączona z arabską, u ludu niepokonanego w uczuciach miłości i zemsty, widzimy ślad najpierwszych włoskich wierszy. Nowa ta sztuka zakwitła na dworze Fryderyka II, wielkiego lecz zepsutego monarchy, który przez pół wieku zdumiewał Europę, geniuszem swym i bezbożnością, a trwogą napełniał kościoły. Obdarzony czynnym umysłem dzielił on czas między rozpustne zabawy, a posiedzenia akademickie, w gronie uczonych Arabów, trubadurów i kuglarzy. Sam nawet tworzył pieśni w harmonijném narzeczu swego ludu. Kanclerz jego Piotr z Vignes, tudzież dwaj synowie Enzo i Manfred, poszli za nim w ślady. I niebawem od Palermo do Messyny, brzmiały tylko niebezpieczne dźwięki światowych pieśni, łączące w sobie zalotność prowanska z południowym zapałem Wschodu. Tam wytrysnęło obite, lecz niezbyt czyste źródło, z którego czerpał Bokacyusz, a za nim twórcy pasterskich komedyj i dramatów, starego włoskiego teatru. Ztamtąd wzięła początek owa miękka i rozkośzna literatura, która w końcu zniewieściła umysły i zwałiła ducha, ucząc młodzież włoską trawić życie u stóp uroczych dam, z przepomnieniem własnej ojczyzny i swobód.

Ale szczęściem dla Włoch, poezya religijna popłynęła także bystrym potokiem po tej klassycznej ziemi, zaczawszy od Boskiej Komedyi, kończąc na Jerozolimie wyzwolonej i pieśniach Manzonięgo. Nie wszyscy jednak wiedzą z jakiej wysokości spłynął on wspaniały strumień. Znane są wprawdzie nazwiska kilku Toskańczyków, o których Dante ze czcią wspomina, zowiąc ich poprzednikami i mistrzami swemi; ależ ani mądrość słynnych nauką *Brunetto Latini* i *Guido Cavalcanti*, ani platonizm *Guido Guinicelli*, ani pobożność *Guittone z Arezzo*, nie zdołają nam usprawiedliwić tego religijnego zapału, który wytryska z piętnastu tysięcy wierszy piekła, czysca i raj. Trzeba więc sięgnąć wyżej i szukać w innej stronie Włoch, tego samego, cośmy przelotnie dostrzegli w Sycylii, to jest zgromadzenia ludzi natchnionych pod mistrzem potężnego słowa, trzeba szukać wielkich przyczyn, z których wypływają wielkie następstwa.

Jadąc z Rzymu ku północy, pominąwszy szorokie bagniska i pola rzymskie, przebywszy Tyber powyżej Civita-Castellana, wjeżdżamy w kraj górzysty wznoszący się coraz wyżej, jakby amfiteatr, od brzegów Tybru aż do Apenińskich kraterów. Ta okolica ustronna, malownicza i zdrowa, zowie się Ombryą; przypomina nieco Alpy, wielką liczbą strumieni, parowów i hucznych wodospadów. Ale klimat tej okolicy rozpuszcza śniegi na wyżynach gór, a sprzyjając roślinności, obok dębów i świerków, daje wzrost drzewom oliwnym i winnej latorośli. Przyroda wzniosła i łagodna zarazem, budzi uwielbienie, a nie przeraża trwogą. Jeśli wszystko przemawia tu o potędze Stwórcy, wszystko niemniej ogłasza nieprzebraną Jego dobroć. Ręka ludzka, niczem nie skaziła tego wspaniałego obrazu. Odwieczne miasta, jak Nari, Terni, Amelia, Spoleto, zawieszane na urwiskach skał, lub rozestane w pośród dolin, obwarowane murami, pełne klasycznych lub religijnych pamiątek, pielęgnują z chlubą, relikwie świętych mężów, lub dzieła wielkich artystów, których były kołyską. Każdy niemal stromy wierzchołek góry, kryje jaką odludną pustelnią, uświęconą podaniem, do której pobożne odbywają dotąd pielgrzymki. W pośrodku tej okolicy otwiera się szersza nad inne dolina: widnokrąg tu rozleglejszy, góry w nadobniejsze rysują się kształty, a bystre potoki spływając z nich, żywią ziemię starannie uprawioną. Dwie bramy wiodą do tego ziemskiego raju pod strażą dwóch odwiecznych miast: Peruzy od północy i Foligno od południa. Na zachód leży małe miasteczko Bevagna, gdzie urodził się Propercusz, śpiewak tkliwych światowych pieśni; od wschodu zaś, na małej wyniosłości, panuje ponad krajobrazem miasto Assyz, kędy była kolebka śpiewaka czystszej i wznioślejszej miłości.

Nie dosyć, aby okolica piękną była i bujną, trzeba jeszcze, aby wypadki zewnętrzne, przygotowały ją poprzednio, do wydania wielkich ludzi. Nie brakło włoskiej krainie tego przygotowania, w końcu XII wieku. Skończyła się właśnie chlubnie, pod przewodnictwem Aleksandra III, powtórna walka duchowienstwa z cesarstwem. Włochy pozyskały swobodę, po-

tege, chwałę, słowem wszystko, co dźwiga i porusza ludy, co nadaje natchnienie, potrzebę i prawo unieśmiertelnienia się wieczno-trwałemi pomnikami. Wszystkie sztuki ocknęły się nagle. Słowo miało służyć wyobrażeniom religijnym i politycznym równie wytrwale i dzielnie, jak żelazo posługiwało im w czasach stuletniej walki. Duch kierujący sercem i umysłem ogółu, musiał zatem przyodziać się, nie w narzecze uczonych, ale raczej w dźwięki narodowej mowy, a utwierdziwszy posady narodu, musiał stworzyć mu literaturę. Popęd był już zewnątrz nadany: Francya miała poezją, której dźwięki przedarłszy się przez Alpy krążyły po pałacach książąt i po rynkach miejskich (1). Jeżeli można było wiele zarzucić owym wzorom, jeżeli zmyślenia Truwerów i swawolne pieśni trubadurów (sirventes) kaziły myśl, i bezrządnym zapalem ogarniały wyobraźnię, pojawiły się z drugiej strony, pobożne pienia, jak Rambaud z Vaqueiras, tudzież bohaterskie opisy wypraw Karola Wielkiego i śmierci Rolanda, godne chrześcijańskiego natchnienia.

Jakkolwiek ruch polityczny i literacki, najwyraźniej objawił się w miastach Lombardyi, które najczynniej podtrzymywały wojnę i zbierały najpierwsze owoce pokoju, ależ i miasta Ombryi, nie ostatnie podjęły chorągiew papieżstwa i wolności. Korzystając z dokonanego zwycięstwa poczęły równie z innymi organizować się wewnątrz, uznały własną niepodległość, wznosiły mury, zaciągały siły zbrojne. Miasteczko Assyz, miało także swoje rycerstwo i swoją milicją, którą wysyłało przeciw Peruzie: miało również i osiadłych kupców, którzy przedzierając się poza Alpy, przynosili z obcych krajów pieniądze, a co więcej słabe promienie światła. Ztądto handlarz sukniem, niejaki Piotr Bernadon, odwiedziwszy Francją w 1182 roku,

(1) W początkach XII wieku Donizo, który pisał wierszem historją hrabiny Matyldy, znalazł francuzkie bohaterskie romanse:

„Francorum prosa sunt edita bella sonora.“ O wędrówkach prowanczkich trubadurów po Włoszech, patrz Historją poezji prowanckiej przez Fauriela t. II, i trzy artykuły ogłoszone przez tegoż uczonego w dziele p. n. Bibliothèque de l'Ecole des Chartes t. III, IV.

gdy za powrotem do domu zastał nowo-narodzonego syna, nazwał go Franciszkiem, na pamiątkę kraju, w którym nie małe odniósł korzyści. Nieznany kupiec nie zgadywał, że to imię jego wymyśli, noszoném będzie przez królów, a co więcej, stanie się chlubą kościoła (1).

Młody Franciszek powierzony zawczasu na wychowanie księżom od św. Jerzego, otrzymał od nich pierwsze zasady świeckich nauk. Wystawiano go wielokrotnie człowiekiem prostym, bez umysłowego wykształcenia; i on sam takim się odmalował. Z pierwotnych nauk, pozostało mu jednak wielkie zamiłowanie umysłowych ćwiczeń, niemniej tyle znajomości łaciny, że mógł bez mozół rozumieć księgi święte. Miłości nauk nie zapierał się nigdy: posuwał ją tak daleko, że gdy na ziemi dostrzegł zapisany jaki papier, podnosił go starannie z obawy, aby kto nie zdeptał imienia Zbawiciela, lub jakiego ustępu z rzeczy świętych. A gdy jeden z uczniów zapytywał go, czemu z taką czcią podnosi i pisma pogańskie: „Dlatego, synu, odrzekł Franciszek, bo widzę w nich zgłoski, z których się składa chwalebne imię Boga: a dopełniając swęj myśli dodał: „Cokolwiek jest dobrego w tych pismach, nie należy, ani do pogaństwa, ani do ludzkości, ale tylko do Boga, który jest sprawcą wszelkiego dobra” (2). Jakoż w rzeczy samęj czemu są pomniki literatury, tak świętej, jak i świeckiej? oto zgłoskami, ktoremi Bóg wypisuje Imię swoje w umysłach ludzkich, jak je wypisał gwiazdami na sklepieniach nieba.

Wykształcenie umysłowe św. Franciszka, nie tyle opierało się na naukach klassycznych, ile raczej na francuzkim języku,

(1) *Vita a tribus sociis*, cap. 1. 4: „Quodam tempore, guerra inter Perusium et Assisium exeunte, captus es Franciscus, cum multis suis concivibus.” *Ibid.* II. „Johannes prius vocatus est a matre; a patre vero tum redeunte a Francia, in cujus absentia natus erat, Franciscus postmodum nominatus.

(2) Thomas de Celano X: „Fili, literae sunt ex quibus componitur gloriosissimum Dei nomen. Bonum quaeque, quod ibi est, non pertinet ad paganos, neque ad aliquos homines, sed ad solum Deum, cujus est bonum.”

uwazanym już we Włoszech, „za najśladzsy ze wszystkich, który strzegł podań rycerskich, łagodzących szorstkość średnio-wiekową.” Miał ś. Franciszek tajemną skłoność do kraju francuzkiego, któremu winien był imię; lubił jego język, a jakkolwiek nie mówił nim biegle, używał go przecież w rozmowach z braćmi. Lasy okoliczne powtarzały odgłos francuzkiej jego pieśni, a w pierwszych czasach pokuty, widywano go jak zebrzał po francuzku, na wschodach św. Piotra w Rzymie, również gdy pracował nad odbudowaniem kościoła św. Damiana, prosił przechodzących po francuzku, aby przyczynili się do podźwignienia Bożego domu. Język i poezya francuzka przystały mu do myśli, bo czuł w nich odbicie szlachetnych i tkliwych uczuć. Był on duszą tworzących się podówczas stowarzyszeń, (tak w mieście Assyzie, jak i w całej włoskiej ziemi) nazywanych *Corti*. Stowarzyszenia te rozpowszechniały romantyczne obyczaje Prowansalów. Częstoć młodzi towarzysze Franciszka, zachwyceni piękną jego postawą i szlachetnością układu, obierali go za wodza uciesznych swych zabaw. Kiedy strojny bogato, z laską dowódcy w rękę, otoczony orszakami przyjaciół, przy pochodniach i pieśni co dnia z drugimi przebiegał ulicę miasta, lud przyglądał mu się ciekawie, i nazwał go najpiękniejszym kwiatem młodzieży (1).

On sam słuchał z upodobaniem, wieszczb pochlebnych, jakich mu nie szczędzono. Syn niezamożnego kucpa, trwonił

(1) *Vita a tribus sociis* t. 1. 10: „Stans in gradibus ecclesiae cum aliis pauperibus eleemosinam gallice postulabat, quia libenter lingua gallica loquebatur, licet ea recte nesciret.“ 11: „Vir sanctus alta et clara voce laudes Domini gallice cantans.“ Cf. *Vita a sancto Bonaventura*, cap. II Thomas de Celano, cap. III. *Vita a tribus sociis* cap. 1 „Liberatior et hilarior, datus jocis et cantibus, civitatem Assisii, die noctuque circumiens... ut filius magni principis videretur. A sociis suis eligitur in Dominum, ut secundum voluntatem suam faceret expensas. Fecit ergo sumptuosam comestionem parari, sicut multotiens fecerat. Cumque refecti de domo exissent, sociique simul eum praecederent, euntes per civitatem cantando, ipse, portans in manu baculum, quasi dominus, parum retroibat post illos.“ Vadding, *Annales Minorum*, 1: „Cives Assisiatas eum vocabant juvenum florem.“

pieniądze nad miarę, w przekonaniu, że kiedyś zostanie wielkim panem. Marzył o najdziwniejszych przygodach, jakich nawet nie wymarzyły rycerskie pieśni. Postanowił z orężem w rękę zdobyć sobie świetne stanowisko, i w tym celu zaciągnął się do orszaku Gautier'a z Brienne, który szedł walczyć przeciw Fryderykowi II o piękną sycylijską koronę. W owymto czasie, miał Franciszek sen tajemniczy: ujrzał się wpośród wspianego pałacu, sale pełne były broni i bogatych rzędów, lśniącego złotem, tarcze połyskiwały na ścianach. „Czyżżeto pałac?” zapytał. Odpowiedziano mu, że posiadzie go kiedyś z towarzyszami swemi. W późniejszych czasach nie przepomniał tego sam, gorliwy sługa Boży. Poznał w nim ostrzeżenie niebios; mniemał, iż spełnił jego znaczenie, zakładając zakon Braci mniejszych, który w jego oczach, był także zakonem błędnych rycerzy, ustanowionym, jak i światowe owczesne rycerstwo, na powetowanie ludzkich krzywd i obronę słabych. To porównanie dziwnie mu przypadło do myśli, a gdy chciał pochwalić miłych uczniów, za gorliwość i świętość życia: „Oto są, mówił, moi Palladynowie, okrągłego stołu.” Jak każdy prawy rycerz poszedł i on na krucyatę. R. 1220 popłynął za morze, połączył się z zastępami chrześcian pod Damiettą; śmielszy od tych wszystkich, okutych zbroją harcowników, przedarł się aż do sultana Egiptu; głosił publicznie zasady wiary, i wyzwał kapłanów Mahometa na ogniową próbę. Wreszcie pożegnany ze czcią przez niewiernych, zostawił w świętych miejscach garstkę wiernych swoich, którzy przyjąwszy nazwę Ojców św. ziemi, pozostali w niej dotąd, jako stróże św. grobu i miecza Godfreda. Potém cośmy powiedzieli, nie ma dziwu, że biografowie św. Franciszka przyznają mu rycerską chwałę, i że św. Bonawentura kończąc opis żywota i walk mistrza swego woła: „A teraz waleczni rycerze Chrystusa przywdziejcie zbroję tego niewidzialnego wodza, który rozprószy nieprzyjaciół waszych. Rozwińcie chorągiew tego najwyższego króla: na jój widok odżyje dzielność walecznych rycerzy Pańskich. Spełniło się już pro-

roczne widzenie, według którego ty wodzu Chrystusowego rycerstwa, miałeś przyoblec niebieską zbroję (1).“

Ale ponieważ każdy prawy rycerz, musiał służyć pani swojej myśli i św. Franciszek obrał ją także sobie. Jakoż w rzeczy samej, gdy wkrótce po nawróceniu, przyjaciele widząc go pogrążonego w myślach pytali czy pragnie poślubić małżonkę: „Tak jest, odpowiedział, chcę obrać oblubienicę, najszlachetniejszą, najbogatszą, najpiękniejszą, jakiej dotąd świat nie zna.” W ten sposób określał ubóstwo, które miało stać się dlań ideałem wszelkiej doskonałości; wzorem najwyższej, moralnej piękności. Lubił uosabiać tę cnotę, według geniuszu symbolicznego swego czasu, wyobrażał ją sobie, jako córę niebios, panią swych myśli, oblubienicę, lub małżonkę. Przyznawał jej potęgę, jaką trubadurów przyznawali opiewanym przez siebie niewiastom: moc oswobodzenia zakochanej duszy, z myśli i skłonności ziemskich, i podniesienia jej do uczestnictwa z aniołami. Ale gdy u trubadurów te platoniczne uczucia, były prostą grą wyobraźni, niewidzialna oblubienica św. Franciszka, dobywała mu z serca szczery i szczytny głos uwielbienia. Weźmy wszystkich poetów średniowiekowych, nigdzie nie znajdziemy równie śmielszej, gorętszej pieśni, jak ta modlitwa pokutnika z Assyżu.

„Panie! miej litość nademną i oblubienicą moją, świętym ubóstwem. Widzisz ją Panie, ona siedzi na śmietniku, choć jest królową cnot wszystkich. Żali się, że przyjaciele nią

(1) Vita a tribus sociis 11. „Scio me magnum principem futurum”. Thomas de Celano: „Videbatur ei namque domum totam habere plenam militaribus armis, sellis scilicet, clypeis, lanceis et caeteris apparatus... responsum ei haec arma sua fore militumque suorum.” *Vita a tribus sociis* 1. Vita a sancto Bonaventura, 1. *Opera Sancti Francisci*. S. Bonaventura: XIII. „Eia nunc, strenuissime miles Christi, ipsius fer arma invictissime ducis... Impleta est prima visio quam vidisti, videlicet quod, dux in militia Christi futurus, armis deberes coelestibus signoque crucis insignibus decorari.” Te myśli tak są wspólne uczniom Św. Franciszka, że w 1687 roku, franciszkanin hiszpański Gabryel de Mata wydał poemat p. n. *El caballero Assisio en el vocimiento, vida e muerte del serafico padre San Francisco, en octava rima*. V. Chavin de Malan str. 16 w dodatku.

wzgardzili i zmienili się w zawziętych wrogów. Pomnij Panie, żeś zestąpił z dziedziny aniołów, ażeby ją zaślubić i mieć z niej niezliczoną moc doskonałych synów.

„Ona to przyjęła Cię w stajence i żłobie, a towarzysząc Ci przez cały ciąg żywota, baczyła nad tém, abyś nie miał gdzie położyć uznojonéj głowy. Gdy rozpoczęłeś walkę o nasze odkupienie, ona Cię wiernie słoniła tarczą swoją, a gdy stworzeni uczenie zbiegli z pola, ona jedna została przy Twoim boku.

„Nakoniec gdy matka Twoja, która wszakże była z Tobą do końca, i brała udział w wszelkich boleściach Twoich, gdy matka nawet Twoja, dla wysokości krzyża, nie mogła podnieść się ku Tobie: wtedy ubóstwo, ta święta oblubienica Twoja, przygarnęła Cię jeszcze w objęcia. Ona nie chciała, aby krzyż Twój wyrzeźbiony był sztucznie, aby gwoździe były gładkie, lśniące i w dostatecznej liczbie. Przygotowała ich trzy tylko twardych, nieokrzęsanych, wnikając w myśl Twojéj męki. A gdy Ty Panie umierałeś z pragnienia, za jéj sprawą odmówiono Ci kropli wody; nakoniec, oddałeś ducha w objęciu téj wiernéj małżonki. O! i któżby nie umiłował ubóstwa, nade wszystko na świecie!” (1)

Jeżeli właściwie było nosić barwy szlachetnéj pani, i chlubnie położyć za nią życie; niemniej było zaszczytne, umieć pieśnią wysławiać jéj wdzięki. Nic nie brakło do światowego wychowania młodego panicza, skoro umiał składać wiersze, i śpiewać je z towarzyszeniem lutni. Franciszek rad się oddawał tego rodzaju rozrywkom. Lubił muzykę, a biografowie chwałą dźwięk jego czystego, giętkiego i silnego głosu. W czasach młodości, brzmiały ulice Assyżu, od wesolych jego zwrotek. Po nawróceniu, odgłos pustyni przywtażał jego świętym

(1) *Vita a tribus sociis* 1. „Forsan uxorem accipere cogitasti? Verum dixistis, quia nobiliorem et ditiozem et pulchriorem sponsam quam unquam videritis, accipere cogitavi. Et desiderunt eum.” Thomas de Celano, 1. Ś. Bonawentura VII: „In privilegio Pauperitatis, quam modo matrem, modo sponsam, modo dominam nominare solebat.” Pochwała ubóstwa, *Fioretti di san Francisco* cap. 13. Modlitwa ś. Franciszka za święte ubóstwo, *Opera Sancti Francisci*.

hymnom. Raz wieczorem, przejęty do łez śpiewem słowika, uczuł dziwne natchnienie i zapragnął odpowiadać mu pieśnią; i długo w noc, wspólnie ze słowikiem opiewał Bożą chwałę: legenda dodaje, że Franciszek uczuł pierwszy znużenie i chwalił ptaszynę, iż go pokonała. Nigdy w czasach najcięższej pokuty za obłąkania młodości, w chwilach największej wzdargy ku wszelkim uciechom ziemskim, nie myślał potępiać, téj uroczystej sztuki, którą liczył do niebiańskich rozkoszy. Mówią, że w końcu, gdy upadał na ciele pod trudami żywota ten człowiek oderwany od wszelkich ziemskich pociech, pragnął zasłyszec' nieco muzyki, aby zbudzić jak mówił radość w znękanym umyśle. A ponieważ reguła nie pozwalała, aby święty zakonnik, mógł zwyczajnym sposobem zakosztować téj uciechy, aniołowie umyślili spełnić jego chęci. Następnój nocy, gdy czuwał na rozmyślaniu, usłyszał nagle dźwięk lutni, czysty i pełen słodyczy. Nie było widać nikogo, ale po dźwiękach, zbliżających się i oddalających naprzemiany, czuć było, że tajemniczy muzyk przechadza się pod oknami. Święty zachwycony w Bogu, tak był przejęty słodyczą tych tonów, że mniemał chwilę, iż przeszedł do lepszego żywota (1).

Syn kupca z Assyżu odebrał więc ukształcenie właściwe ówczesnym poetom, albowiem poeci za tych burzliwych czasów, nie wyrabiali się w szkole: muza nawiedzała ich wśród przygód rycerskiego życia, w pośród bitew i turniejów. Często jak Wolfram z Eschenbach, ci wymowni ludzie, czytać nawet nie umieli. Źródłem ich natchnienia były zasłyszane romanse i pieśni, lecz przedewszystkiém miłość była ich mistrzem. I téj stanowczej cechy nie brakło powołaniu św. Franciszka; jedno, że zamiast płomienistój wyobraźni, podnieconój czytaniem i wspomnieniami, świętsza miłość rozplomieniła jego serce.

(1) Thomas de Calano, IX. „Vox ejus. vox vehemens, vox dulcis, vox clara, voxque sonora.“ S. Bonaventura V. „Repente insonuit citharra quaedam harmoniae mirabilis et suavissimae melodiae non videbatur aliquis; sed transitum et reditum citharaedi, ipsa hinc inde auditus voluntas innuebat.“ Patrz także Fioretti di S. Francisco.

Franciszek kończył zaledwie dwudziesty czwarty rok życia, gdy nagle zapadł w długą chorobę. Powracając zwolna do zdrowia, kiedy raz dla nabrania siły, wyszedł wsparty na kij, i z wysokich tarrassów Assyżu poglądał na okoliczne doliny, uczuł, że ani barwa wiosenna pól, ani harmonijna świeżość krajobrazu, nie wywierały żadnego wpływu na jego duszę. Dziwił się takięj zmianie, wzgardził sam sobą i odtąd w coraz większej miał nienawiści wszystko, co dawniej lubował na świecie (1). Czuł niepojętą nudę poprzedzającą zwykle wybuch wielkich namiętności. Daremnie młodzian, chcąc się przed nią uchronić, rozpoczynał znowu gwarliwe życie z przyjaciółmi, daremnie rzucał się myślą w zgiełk wojny i rycerskie przygody. Nocne sny wzywały go do nowego życia, którego jeszcze nie pojmował: dziwny popęd wiódł go do samotności. Często króć zwracał kroki ku poblizkięj jaskini, a zostawiając przyjaciół u wnijscia, wchodził w głąb sam jeden, pod pozorem szukania skarbów. Tam długo trawił godziny w niewypowiedzianej trwodze umysłu, niepokoiony nawalem myśli i wyrzutów. Czuł on w sercu, że nie znajdzie spoczynku, dopóki nie spełni czegoś nieznanego dotąd, ale przechodzącego ludzkie siły. I prosił Boga, aby mu wskazał drogę, i wstawał od modlitwy tak złamany i wysilony znojem ducha, że przyjaciele ledwie poznawali w nim dawnego towarzysza. Jednego dnia, gdy trwał długo na modlitwie, zdało mu się, że widzi przed sobą krzyż kalwaryjski i przybitego na nim Zbawiciela. Na ten widok mówi biograf, dusza stopiła się w nim, a męka Chrystusowa tak głęboko wniknęła w jego wnętrze, tak przejęła go do śpiku kości, że odtąd nie mógł pomyśleć o nięj bez wielkięj boleści. Spotykano go jak błakał się po okolicy, cały zalany łzami, jęcząc i lkając; a gdy go pytano co mu jest, odpowiadał: „O! ja opla-

(1) Thomas de Celano 1: „Cumque jam paululum respirasset, et baculo sustentatus, causa recuperandae sanitatis, coepisset huc atque illuc per demicilium ambulare, die quodam foras exivit, et circa adjacentem planitiem coepit curiosus intueri; sed pulchritudo agrorum, amoenitas, et quidquid visu pulchrum est in valle, non potuit enim delectare.”

kuję mękę, Chrystusa mego Pana, dla miłości Jego powinienbym bez sromu obiegać świat we łzach i żalobie” (1).

Takato miłość miała napelnić żywot św. Franciszka, taka iskra miała wskrzesić utajony jego geniusz. Zapyta może kto, czyli taka miłość, która tworzy pustelników i zapełnia klasztory, zdola natchnąć poetę potęgą swoją? Prawda, że starożytność pogańska nic podobnego nie miała. Starożytność mogła poznać Boga, ależ go nigdy nie umiała kochać. Spójrzjmy za to w czasy chrześcijańskie, widzimy jak miłość staje się panią świata: onato pokonała pogaństwo w cyrkach i na stosach płomieni, ona ucywilizowała nowe ludy, podała im krzyż w dłonie i stworzyła bohaterów, jakich nie opiewały Epopeje starożytności. Ona stała się pochodnią szkół; pod jój ożywym płomieniem odżyły nauki w wiekach barbarzyństwa. O! i któż zwątpi o jój wpływie na umysły, pomnąc że natchnęła wszystkich ludzi sława, od św. Pawła i Augustyna, aż do Bossueta, że natchnęła Dawidowi jego psalmy, kościołowi jego hymny, to jest najszczytniejsze pienia, jakie głos ludzki wyśpiewał, na ukojenie ziemskiej tęsknoty.

Podczas gdy pokutnik z Assyżu rozmyślając o krzyżu Pańskim, uczył się miłości Boga, uczył zarazem głęboką miłość ku ludzkości, owój ludzkości, ukrzyżowanej, cierpiącej, ogołoconej z ziemskiej pociechy. Odtąd nie znalazł chwili spokoju, aż dnia jednego w obec biskupa zrzucił z siebie świetny strój, a przywdział płaszcz żebraczy. Dawni znajomi widząc go, jak chodził bosy, półnagi, po ulicach tego miasta, którego był ozdobą i chlubą, biorąc go za szaleńca, rzucali nań kamieniami i błotem; on jednak czyniąc się maluczkiem, zakładając nowy zakon ubożuchnych braci, czcił tém samém stan ubóstwa, tak powszechny na ziemi, a mimo to taką otoczony pogardą. Usiłował dowieść, że w nim człowiek znajdzie pokój, godność i szczęśliwość wyższą. Tym sposobem koł zawiści biednych,

(1) *Vita a tribus sociis* 1: „Plango passionem Domini mei Jesu Christi, pro quo non deberem verecundari alia voce ire plangendo per tectum mundum.” Św. Bonawentura IX.

godził ich w duchu z bogaczami i szczęśliwemi świata. Pokramiał tę odwieczną walkę, wydziedziczonych członków społeczeństwa z uposażonemi w ziemskie dary, i tém samém wzmacniał zachwiane węzły bratniej chrześcijańskiej rodziny: słowem polityka tego szaleńca, dziwnie była głęboką. Sprawiedliwie znać przepowiedział sobie, że zostanie możnym władcą: albowiem gdy Platon nie znalazł pięćdziesięciu rodzin ku urzeczywistnieniu idealnej swojej rzeczypospolitej, sługa Boży w przeciągu lat jedenastu, liczył zastęp złożony z pięciu tysięcy ludzi, wciągnięty jego wzorem w żywot walki i poświęcenia. Ale ów żywot twardy i pełen znoju był niemniej swobodnym i poetycznym: cóż bowiem najwięcej krępuje ludzką wolność?—trwoga; a ponieważ wszelka trwoga ściąga się wyłącznie do cierpienia, ten więc, który cierpienie uczynił szczęściem i chwałą nie znał trwogi i musiał być swobodnym. Uwolniony z wszelkiej zależności, z wszelkich podrzędnych obowiązków, żył Franciszek, w rozpamiętywaniu nieśmiertelnych prawd, w ustawicznej ofierze podnoszącej władze jego ducha, żył na łonie przyrody, która małym i prostaczkom, najwyższe odsłania cuda. Błąkał się, zebrał, karmił się cudzym chlebem, jak Homer, jak Dante, jak Tasso i Kamoens, jak wszyscy biedni ziemi do nieśmiertelnej preznaczeni chwały, którym Bóg nie daje, ani dachu, ani spoczynku na tym świecie, a których jako wierne sługi swoje rozsyła między ludzi, aby im byli nauką i pocieszeniem (1).

Najwydatniejszą cechą braterstwa istniejącego pomiędzy św. Franciszkiem, a wspomnionemi geniuszami, była miłość przyrody: miłość przyrody jest właściwością wszelkiej na ziemi poezji. Każdy trubadur czczył pieśnią piękny miesiąc maj, barwę kwiatów, śpiew ptastwa i gwar strumieni w lesie. Ale widząc powtarzane przez wszystkich obrazy, w jednym szyku i w jednych niemal słowach poznajemy, że nie tyle szło tu o wyrażenie uczucia, ile raczej o zadosyćuczynienie wymaganiom formy literackiej. Bo też nie tak łatwo, jakby się komu

(1) Święty Bonawentura VII, VIII.

zdało, ukochać przyrodę, w całym znaczeniu tego słowa. Trzeba na to wyjść niejako z samego siebie, rozważać świat zewnętrzny bez samolubstwa, a z poszanowaniem szukać w nim nie uciechy, ale raczej nauki. To też chrześcijaństwo tylokrotnie posądzony o zdeptanie przyrody, sam tylko wskazał człowiekowi, jak ją ma uczcić i prawdziwą ukochać miłością, wskazując jej myśl Bożą, która jej przewodniczy, wspiera ją i uświęca. Przy owémto świetle Franciszek rozważał cud stworzenia, przebiegał myślą jego szczeble, szukając wszędzie śladu Boga, w wszelkiej piękności stworzonej widział Tego, który jest najwyższą pięknoscią. Nie gardził i najdrobniejszym i najbardziej ponizonym tworem Bożej ręki, a pomnąc na wspólny początek i na wspólnego Ojca, maluczkie nawet istoty, bratniem miłował uczuciem. Żyjąc w zgodzie z sobą i otaczającym go światem, powrócony do pierwotnej niewinności i prostoty, czuł serce przepelnione miłością nietylko ku ludziom, ale i ku wszelkiemu stworzeniu, które pełza i chodzi po ziemi, albowi buja w powietrzu; kochał skały i lasy, niwy zasłane zbożem, pagórki zwieńczone winnicami, kochał zielone łąki i ogrody, rzeźwiące strumienie i ogień i powietrze, wzywał wszystko co żyje, aby pozostało bez skazy, aby wielbiło Boga, aby służyło ku Jego chwale. Tam, gdzie oczy drugich widziały tylko znikomą pięknosć, on obdarzony wyższym wzrokiem, dopatrywał nieśmiertelny związek, pomiędzy światem zmysłowym, a światem ducha, pomiędzy tajnikami stworzenia, a tajemnicą wiary. Tak więc ilekroć wielbiąc uroczy wdzięk kwiatów, napawał się ich wonią, tylekroć myślał o mistycznym kwiecie wykwitłym ze szczepu Jessego. A gdy widział wiele razem kwiatów, na łące lub w lesie, mówił im o Bogu, jakby go pojąć mogły. Trawił całe godziny na przyglądaniu się pracy niez mordowanych pszczołek, i sam jakkolwiek ubogi, dokładał wina i miodu do ula, aby nie zmarniały od zimowego chłodu. Wystawiał na wzór uczniom swoim czynność jaskółek i niewinność synogarlic. Nic jednak nie zrówna miłości jego ku barankom, które mu przypominały ubóstwo i pokorę Zbawiciela. Legenda wspo-

mina jak pielgrzymując raz z braciszkiem zakonu, w okolicach Ankony, spotkał człowieka niosącego dwoje jagniąt uwiązanych na powrozie. Błogosławiony Franciszek usłyszawszy ich beczenie, uczuł żal niewypowiedziany, a zbliżając się do tego człowieka zapytał: „czemu dręczysz moich biednych braci, czemuś te niewinne baranki takim skrępował powrozem?” Właściciel odpowiedział, że nagłą przyciśnięty potrzebą niesie je na targ do miasta, kędy sprzeda je rzeźnikom. „Niechże cię Bóg uchroni od tego, zawołał święty, weź oto mój płaszcz, a daruj mi te baranki”. Ugoda stanęła, właściciel baranków wziął płaszcz, którym pobożny jakiś chrześcianin tego poranku, obdarzył był świętego. Ale św. Franciszek wzięwszy baranki na ręce, sam nie wiedział, co czynić ma z niemi, aż po chwilowej naradzie z towarzyszem, oddał je nieznanemu, zaklinając go, aby ich nigdy nie sprzedawał i nie czynił im krzywdy, ale je żywił i hodował je starannie;” Prześliczna to opowieść i nie wiedzieć co w niej godniejsze uwielbienia, czy tkliwa słabość świętego dla niewinnych baranków, czy ufność jego położona w nieznanym ich właścicielu (1).

Jeżeli Franciszek niewinnością i prostotą wrócił niejako do pierwotnego stanu Adama, gdy pierwszy ten ojciec widząc stworzenia ziemskie w świetle Bożem, ukochał je braterską miłością, i stworzenia wszelkie ze swój strony, okazywały świętemu takie posłuszeństwo, jak niegdyś pierwszemu człowiekowi w raju. Rzecz godna zaprawdę uwagi, iż wielu świętych odrodziwszy się w duchu, zdołało odzyskać utraconą przez

(1) Thomas de Celano, IX; Św. Bonawentura VIII: „Consideratione quoque primae originis, omnium abundantiori pietate repletus, creaturas quantumlibet parvas fratris vel sororis appellabat nominibus. „Id. IX. „Exultat in cunctis operibus manum Domini, et per jucunditatis specula in vivificam consurgebat rationem et causam. Contemplabatur in pulchris pulcherrimum et per impressa, rebus vestigia prosequabatur ubique dilectum, de omnibus sibi scalam faciens in eum, qui est desiderabilis totus... Pietas... que ipsum per devotionem sursum agebat in Deum, per compassionem transformabat in Christum, per condescensionem inclinabat ad proximum, et per universalem consiliationem, ad singula refigurabat ad innocentiae statum.

grzech władzę nad przyrodą. Lwy i kruki posługiwały ojcom Tebajdy, święty Gall rozkazywał alpejskim niedźwiedziom; gdy św. Kolomban przechodził las w Luxueil, ptastwo ulatało mu ponad głową, a wiewiórki zeskakiwały z drzew i siadały mu na rękę. Żywot św. Franciszka pełen jest cudów tego rodzaju, stwierdzonych naoczniemi świadectwy. Wytłumaczyć je można, albo potęgą miłości, która prędzej lub później wywołać musi wzajemną miłość; albowi temu, że w obec prawdziwych sług Bożych, zwierzęta nie znają instynktowej trwogi, jaką budzi w nich złość i skażenie ludzkie. Gdy pokutnik z Assyżu, złamany postem i czuwaniem, opuszczał celę i pojawiał się na dolinie Ombryi, gdy na tém poźółkłym i wychudłym obliczu, nie pozostało nic prawie ziemskiego: zwierzęta widząc wyciśnięte na nim piętno Boże, otaczały świętego i służyły mu rade. Zające i bażanty chroniły się w fałdy jego sukni; gdy przechodząc koło pastwnika, według zwyczaju witał owieczki jako siostry, one, jak mówi podanie, podnosiły głowę i biegly za nim z wielkiem podziwieniem pasterzy. Sam święty pustelnik, długo pozbawiony miłego widoku ludzi, rad był ze współczucia, jakie mu okazywały niewinne stworzenia Boże: raz gdy wstąpił na szczyt góry Alwernii na modlitwę, wielkie stado ptastwa, okrążyło go trzepocząc skrzydłami z radości; wtedy święty rzekł do towarzysza: „Widzę iż taka już wola Boża, abyśmy tu zostali, skoro ptastwo niebieskie tak uradowane z naszego tu przybycia.” Nie byłoby końca, gdybyśmy powtarzać chcieli naiwne opowieści współczesnych; przytoczmy tylko ostatni przykład świadczący wymownie o wyższej władzy św. Franciszka, mocą której umiał wszystko poruszyć i natchnąć życiem. Gdy obchodził Włochy, ze słowem o Bogu na ustach przechodząc raz doliną Spoleto niedaleko Bevagna, ujrzał na boku niezliczone mnóstwo ptaków, mianowicie: wróbli, wron i gołębi. Widząc je błogosławiony sługa Boży, przejęty miłością ku bezrozumnym nawet stworzeniom, pobiegł ku nim, pozostawiając za sobą towarzyszków podróży. W miarę jak się zbliżał, spostrzegł, że i ptastwo wstrzymywało swój polot jakby

oczekując na niego. Ukłonił im się według zwyczaju, a widząc z radością że nie pierzchnęły przed nim, prosił ich uprzejmie, aby posłuchały Bożego słowa. I rzekł: „bracia, miłe ptaszęta, braciszkanie moi, jakże wy musicie kochać i czcić naszego Stwórcę? Ono odział was puchem, dał wam skrzydła do lotu; uszlachetnił was pomiędzy tworam i rąk swoich, dozwala wam bowiem czystym w górnych przestrzeniach oddychać powietrzem; nie każe wam siać, ani orać, ale sam żywi was i rządzi wami, jak Ojciec!” Na te słowa, według jego własnego i towarzyszków świadectwa, ptaszęta trzepocząc skrzydłami dotykały świętego i siadały mu na sukni: nakoniec pobłogosławił je, przeżegnał znakiem krzyża św. i dozwolił im odlecieć. Poczém błogosławiony pełen pociechy, poszedł z uczniami w dalszą drogę; ale ponieważ skutkiem łaski, napelniony był świętą prostotą, wyrzucał sobie, że dotąd przepominał drobnych ptasząt, które tak rade słuchały Bożego słowa (1).

Nie godzi się lekce ważyć owęj naiwnęj przyjaźni świętego Franciszka, ku gołębiom i barankom: dowód w tém, jak ukochał wszystko, co biędne, słabe i maluczkie. Ów zbytek miłości wielce budującym był w kraju, gdzie podówczas kochać nawet zapomniano. W owych średniowiecznych Włoszech, które wyniszczały się uporczywą nienawiścią i nieposkromionym duchem wojny, św. Franciszek wymowny dawał przykład zapamiętałym współziomkom, posuwając tak dalece miłość stworzenia, że usuwał z drogi swojej pełzające robaczki, z obawy aby ich nie zdeptał; że ocalał baranki od rzezi. A byłyto czasy, gdy Włochy jęczały pod okrucieństwem Fryderyka II i następcy jego Ekcelina srogiego; w czasie, który był świadkiem męczeństwa Ugolina i Sycylijskich niesporów. Ten człowiek tak

(1) Święty Bonawentura, VII, VIII, IX, XII; Thomas de Celano VII: „Cum esset autem, simplex gratia, non natura, coepit se negligentiae incusare, quod olim non praedicaverit avibus, postquam audierant cum tanta reverentia verbum Dei.” Cf. *Vita sancti Galli*, *Vita sancti Columbani*, auctore Jona Bobbiensi apud Pertz. *Monumenta Germaniae historica*, tom II.

prosty, co rad przemawiał do ptasząt i kwiatów, głosił także słowo Boże Gwelfom i Gibelinom, a w obec zgromadzonego ludu na rynkach Padwy, Brescia, Kremony i Bolonii, rozpoczynał zwykle mowę, pobożnym życzeniem pokoju. Potem wzywał ludy, aby koily wzajemne nienawiści i jednały się spolem. A według świadectw ówczesnych kronik, wielu z tych, co najzapalczywiej pragnęli krwi bratniej, poruszeni jego słowem, ścisli się szczerze, zaprzysięgając sobie miłość i zgodę. Tak więc św. Franciszek z Assyżu, wydaje się być Orfeuszem średnich wieków, zwalcza albowiem srogość dzikich zwierząt i sroższą jeszcze zawziętość ludzką. Nie dziw, że głos jego poruszał wilki apenińskie, kiedy rozbrajał nieposkromioną wściekłość Włochow.

Serce tak gorące nie mogło się wylać dostatecznie w kanonizacyjnej wymowie; ta bowiem nie wychodzi z obrębu prozy, a proza jakkolwiek wymowna, zawsze jest głosem rozumu. Gdy rozum odda prawdę jak ją pojmuje, w formie jasnej a dosadnej, dosyć mu już na tém; lecz dla wyrażenia miłości nie wystarcza to jeszcze: ona musi w uroczej i żywotnej mowie oddać piękność, jaką się zachwyca: miłość jest niespokojna, nic ją nie zadowoli, ale też nic jej nie odstręczy; dodaje ona słowu rytm i śpiew, jakby dwa skrzydła, któremi porywa je w nieskończoność. Święty Franciszek widział jak kościół czci poezją, wskazując w obrzędach swoich miejsce u stóp ołtarzy, podczas, gdy wymowie, podrzędniejsze na ambonie nadaje stanowisko, mieszcząc je bliżej drzwi wchodowych i tłumy. Czuł wreszcie sam, że słowo zwyczajnie nie zdoła wyrazić wszystkiego, co tleje w głębi duszy. Gdy Imię Zbawiciela Jezusa zbiegło mu na usta, nie mogło przez nie wypłynąć: głos mu drzał (według wyrażenia św. Bonawentury) jakby słyszał wewnętrzną niepochwyconą jakąś melodyą. Ta jednak melodya, która go długo ściagała, musiała w końcu wypłynąć nową pieśnią: zważmy oto, co mówią współcześni Franciszka świętego.

W ośmnastym roku pokuty, sługa Boży przepędziwszy czterdzieści nocy na czuwaniu, miał zachwycenie, poczem

wezwał brata Leonarda, aby wziął pióro i pisał. Wtedy wyśpiewał pieśń o słońcu (de lo frate Sole). Zaimprovizowawszy ją, prosił brata Pacyfika, znanego jako poetę, aby powiązał słowa w dokładniejszy rytm, a braciom polecił, aby ją codziennie z pamięci powtarzali. (1)

Tak brzmią słowa pieśni:

„Najwyższy, wszechpotężny i dobry Panie, Tobie chwała, cześć i wszelkie błogosławieństwo. Tobie należą one jedynie, a żaden człowiek nie godzien wymówić Imienia Twego.

„Niech będzie pochwalony Bóg Pan mój, za wszystkie stworzenia, a szczególnie za brata naszego słońce, które, daje nam dzień i światło, które promienieje tak wspaniałym blaskiem i daje świadectwo o Tobie mój Boże.

„Bądź pochwalony Panie za naszą siostrę lunę (księżyc) (per sol luna) i za gwiazdy. Tyś je stworzył na niebie tak piękne i czyste.

„Bądź pochwalony Panie, za brata mojego, wiatr, powietrze i chmury, za pogodę i burze: niemi bowiem utrzymujesz wszelkie stworzenia.

„Bądź pozdrowiony Panie, za siostrę naszą wodę, tak pożyteczną, ubogą, szacowną i czystą.

„Bądź pozdrowiony Panie za brata naszego ogień: nimto oświecasz noc, on tak piękny, tak przyjemny ludzkiemu oku, tak niepokonany i silny!

„Bądź pozdrowiony Panie, za matkę naszą ziemię, która nas utrzymuje, żywi, która wydaje wszelkie owoce, różnobarwne kwiaty i zioła!”

Wkrótce potem wielki spór wszczął się między biskupem Assyżu, a magistratem miejskim. Biskup rzucił klątwę: magistrat wyłączył biskupa z pod prawa i zabronił wszelkich związków z nim i jego stronnikami. Św. Franciszek zasmucony

(1) Wadding, Annales ad annum 1224 Bartholomaeus Pisanus. *Liber conformitatum*. Pars II fol. 2 edycja medycłańska 1510. Jest tam rozprawa p. Affo, o autentyczności poezyi Św. Franciszka. Cytuje ją Tiraboschi.

takim zatargiem żalił się, że nikt nie chce pośredniczyć w przywróceniu zgody. Dodał więc do pieśni wiersz następujący:

„Bądź pochwalony Panie, za tych wszystkich, którzy przebaczą dla miłości Twojej i którzy znoszą cierpliwie ucisk i poniżenie. Szczęśliwi, którzy wytrwają w pokoju, albowiem Najwyższy uwieńczy ich chwałą.”

Potém rozkazał uczniom, aby poszli śmiało do naczelników miasta i prosili ich o stawienie się przed biskupem. Tam uczniowie na dwa głosy, mieli zaśpiewać nową dodaną zwrotkę. I tak się też stało: a na dźwięk pieśni, którą Bóg uświęcił mocą tajemnej łaski, przeciwnicy przejęci wyrzutem, uścisnęli się i przeprosili wzajemnie.

Następnie gdy mu radzono przenieść się do Foligno, aby zmianą miejsca pokrzepić stargane zdrowie, uczuł cokolwiek ulgi; ale wkrótce miał objawienie, że cierpieć jeszcze będzie dwa lata, poczem otrzyma spoczynek wieczny: uniesiony radością, dodał następującą zwrotkę i nią zakończył pieśń całą:

„Bądź pozdrowiony Panie, za siostrę naszą, śmierć ciała, której żaden człowiek żyjący ujść nie może. Biada temu kto umiera w grzechu śmiertelnym! Szczęśliwi ci, co w godzinę śmierci, zgadzają się ze świętą wolą Twoją, albowiem wtóra śmierć, nie przyniesie im szkody!

„Chwalcie i błogosławcie Pana, nieście Mu dzięki i służcie Mu z wielką pokorą i poddaniem.” (1)

O téj pieśni pierwszy wspomniał Bartłomiej z Pizy, w księdze pisanéj 1385 roku, w sto sześćdziesiąt lat po zejściu świętego a jednak pieśń ta jest bez zaprzeczenia autentyczną. Ów sposób tworzenia po części, pod natchnieniem serca, stosownie do chwilowej potrzeby, przypomina zupełnie rodzaj pisania

(1) Tekst poematu, przedstawia rodzaj prozy rymowanej; dajemy tu urywek:

Altissimo, omnipotente, bon Signore:

Tue son le laude, la gloria, lo honore,

E ogni benedictione...

Laudato sia mio signore, per suora luna e per le stelle,

In quale in cielo, le hai formate chiare e belle....

wielkich poetów jak Dante i Kamoens, którzy w długich wędrówkach, na wygnaniu, nosili przy sobie poczęte dzieło i dodawali do niego z dnia na dzień, pod świeżem wrażeniem, słowo boleści, lub nadziei. Poemat św. Franciszka, bardzo jest krótki, a jednak w pełni odbija w nim jego dusza. Widzimy tu bratnią miłość świętego ku wszelkiemu stworzeniu, miłosierdzie, które narażało tak skromnego i pokornego człowieka na polityczne spory, nakoniec miłość nieskończoną, jaką powodowany szukał naprzód Boga w przyrodzie, służył mu w ludzkości, nakoniec pragnął połączyć się z nim w śmierci. Wieje tu, niby tchnienie raju ziemskiego, czarowny powiew Ombryi, kędy niebo tak cudnie jest uzłoczone, a ziemia tak pełna kwiatów. Język zachował całą prostotę rodzącej się mowy: rytm dowodzi nieświadomości poetycznej formy. Niekiedy rym zastąpiony jest podobieństwem dźwięku, niekiedy zaś pojawia się dopiero ku końcowi zwrotki. Trudno tam dopatrzeć wymaganych warunków lyricznej formy. Jest to niejako wykrzyk, ale pierwszy wykrzyk rodzącej się poezyi, który niebawem zabrzmie głośniej, aż w końcu, rozlegnie się szeroko po świecie.

Nie takim jest charakter innego poematu, przyznawanego Franciszkowi św. przez Bernarda z Sienny. Bernard żył o wiek cały później, po błogosławionym założycielu, ale od lat najmłodszych zaciągnięty pod chorągiew zakonu Franciszkanów, może być uważanym za wiernego dziejopisa pozostałych w nim podań. Wspomniony poemat podzielony na dziesięć siedmiowierszowych strof, nader prostej budowy, z równą liczbą zgłosek w każdym wierszu, rymowany staranniej, musiał być bieglą poprawiony ręką. Może uczeń który, przyprowadził do ładu improwizacją mistrza. W duchu jednak utworu, przebija śmiałość geniuszu św. Franciszka, zwykła jego treściwość, nakoniec głębokie wrażenie z wielkiego odebrane wypadku, który osobę Jego cudownem naznaczył piętnem. Mówimy tu o owem zachwyceniu świętego, kiedy sługa Boży modląc się na górze Alwernii, ujrzał zstępującą z wysokości nieba, postać o sześciu skrzydłach przybitą do krzyża. A gdy w rozmyślanu nad tem,

czuł niewysłowioną pociechę: wtedy ręce jego i nogi przebite zostały na wylot. Kto nie wierzy w nadzwyczajność, może zaprzeczyć faktu, ale nie zatrze niezliczonych świadectw, potwierdzonych przysięgą sądową, nie zniszczy obrazów Giotta, które uwieczniły pamięć cudu; ani wreszcie zaprzeczy istności poematu, utworzonego znać w płomieniach niebieskiego zachwycenia (1).

„Miłość pogrzyła mnie w ognisko, w ognisko probiercze, w probiercze ognisko miłości.

„Mój nowy oblubieniec, miłujący Baranek oddał mi pierś-cień ślubny, a potem wtrąciwszy mnie do więzienia, uderzył mnie ostrzem miecza i rozdarł mi serce na dwoje.

„Rozdarł mi serce, a ciało moje upadło na ziemię. Strzały wyrzucone z łuku miłości, raniły mnie pocałunkiem. Z pokoju uczynił wojnę, umieram od lubości.

„Umieram od lubości, nie dziwujcie się temu. Płomien-na miłością włócznia, zadała mi te ciosy. Długieźto żelazo, a szerokie na sto sążni, przeniknęło mnie całego do głębi.

„Potem groty padały jak grad, a jam był prawie konający. I ująłem puklerz w rękę, ale ciosy tak były natarczywe, że nie mogłem zasłonić od nich nie mogłem. Poszarpały mi ciało, tak silna miotła niemi ręka.

„Tak silnie miotła niemi, że nie zdążyłem odbijać ciosów, a pragnąc ująć śmierci wołałem na cały głos: „przekraczasz prawo boju! ale on wymierzył na nowo w pierś moją i nowymi obsypywał mnie pociski.

„Pociski, które miotał z kamieni były i ołowiu, każdy z nich tysiące ważył funtów, a tak gęstym sypał je gradem, że nie mogłem ich policzyć. Żaden nie ochybił mej piersi.

„Nigdy on mnie nie chybił, tak pewną była jego ręka. Leżałem na ziemi bezwładny. Ciało miałem poszarpane i martwy byłem jak umarły.

(1) Święty Bernard, *Opera* tom IV, kazanie 4. Cf. Bolland t. II oct., p. 1003.

„Umarły nie prawdziwą śmiercią, ale zbytkiem radości. A potem biorąc na nowo moc nad ciałem uczułem się tak silnym, że mogłem iść w ślad za przewodnikiem, który mnie wiódł na niebieski dworzec.

„Gdy przyszedł do siebie uzbroiłem się natychmiast, i rozpocząłem walkę z Chrystusem; wkroczyłem w Jego dziedzinę spotkałem Go, wyzwalem do boju i pomściłem się wreszcie.

„Dokonawszy zemsty zawarłem z nim przymierze, albowiem od początku Chrystus kochał mnie prawdziwą miłością. Teraz serce moje zdolnym jest uczuć pociechę Chrystusową.

„Miłość pograżyła mnie w ognisko, w ognisko probiercze, w probiercze ognisko miłości” (1).

Zapewne, że to co zaszło między Bogiem a św. Franciszkiem na górze Alwernii, nie da się wypowiedzieć ludzkim słowem; ale gdy święty zstępując z nowego Synai, pieśnią liryczną wyśpiewał swój zachwyt, nie ma dziwu, że zwykły zwrot jego umysłu i świetna barwa wyobraźni, odbiły w natchnionem jego słowie. Poznajemy tu burzliwego młodziana z Assyżu, który porzucił Gantier'a z Brienne, aby zostać błędnym rycerzem miłości Bożej. Poznajemy go, kiedy wyraża uniesienie swoje, jakoby szturm wojenny a polot ku niebu, jakby wtargnięcie w Chrystusową dziedzinę.

Święty Bernard z Sienny, przytacza ostatnią pieśń, nierównie szerszych rozmiarów, bo złożoną z trzystu sześćdziesięciu wierszy podzieloną na strofy dziesięcio-wierszowe, umiejętnie ozdobioną rymami. Są to już cechy późniejszego pochodzenia. Wreszcie tenże sam poemat przyznawano i błogosławionemu Jacopone z Todi zmarłemu 1306 roku, w chwili, gdy poezya włoska, ogrzana słońcem XIII wieku, dojrzałe już wydawała owoce. Wreszcie nie widzimy tu już zwięzłości i prostoty, cechujących utwory Franciszka św. Wszakże łącząc w jeden

(1) In foco l'amor mi mise.

Znajdujemy poemat ten, pomiędzy dziełami Jacopona z Todi lib. VII c. VI, ale nie widzimy w tekście samym powodu, czemuby wbrew podaniu zaprzeczać utworu tego Franciszka św. świętemu.

węzeł podania, możnaby przypuścić, że błogosławiony pokutnik z Todi, przerobił i rozszerzył według ducha swego wieku myśl prostą a wielką, którą wziął z jakiejś stariej pieśni św. Franciszka, jak czynią uczniowie słynnego muzyka, gdy w rozmaitych przemianach tonów, powtarzają ulubiony temat mistrza swego. Posuwając dalej to przypuszczenie, możnaby znaleźć pierwotny temat w następującym dyalogu który odłączamy od poematu (1).

Dusza czyli św. Franciszek. „Niechaj nikt mnie nie napomina, jeżeli miłość nada mi pozór szaleńca. Żadne serce nie ucaleje w obec takiej miłości. Niebo albowiem i ziemia, wołają na mnie i powtarzają mi na głos; i wszystkie stworzenia, które winienem miłować mówią mi ukochaj miłość! Ona stworzyła nas, aby cię przygarnąć do siebie!”

Chrystus. „Jeżeli mnie miłujesz, przyprowadź twą miłość do ładu. Cnota spoczywa jedno w porządku; a wszelkie istoty jakim stworzył, stworzyłem według liczby i miary, wszystkie urządziłem stosownie do ostatecznego ich celu... Czemuż więc przez zbytek miłości, wpadłaś w szaleństwo duszo chrześcijańska? Wybiegłaś z pod praw porządku, a zapamiętaj twój nie zna wędzidla!”

Dusza czyli św. Franciszek. „O Chryste! Ty mi zabrałeś serce, a mówisz abym powrócił ład duszy mojej? Ty sam nie umiałeś obronić się miłości! Miłość przywiodła cię z niebios na ziemię; stałeś się tak maluczki, że chodziłeś po świecie, jakoby człowiek wzgardzony! Nie żądałeś ani dachu ani kęsa ziemi, ale ubóstwo jedno, aby nas niemiem z bogacić. Tak w życiu jako i w śmierci, okazałeś jedno miłość bez miary, wiecznie rozdierającą Twoje serce!”

„Częstokroć chodziłeś po ziemi, jakoby człowiek upojony: miłość wiodła cię niby niewolnika. We wszystkiem okazywa-

(1) *Święty Bernardyn Opera.* t. IV, kazanie X. W. Jacopone, t. VI c. XVI. Mowa tu o pieśni zaczynającej się w te słowa:

Amor di caritate
Perchè m' hai si ferito?
Lo cor tutto partito,
E arde per amore.

Jeś miłość, nie pomnąc nigdy na siebie. A jeśli milczałeś, jeśli nie szukałeś tłumaczenia przed Pilatem, to dlatego jedno, aby dokonać zbawienia naszego, na krzyżu, który wzniosła ci miłość!”

Gdyby nawet przytoczone trzy poemata, były całkowicie utworem Franciszka świętego, rzekłby kto, że tak małe dzieła, źle odpowiadają długim przygotowaniom, że to niewiele w ciągu tak pełnego żywota, wydać zbiór z pięciuset wierszy złożony. Wszakże jeżeli sługa Boży, czekał aż ośmnastego roku nawrócenia swego, aby pozwolić duszy rozplynać się w pieśni, nie można się dziwić małej liczbie jego utworów. Święty Franciszek, żył potem zaledwie dwa lata, przeżył je wśród ciągłego ducha zachwyty, acz w niewysłowionych mękach ciała. Nakoniec 4 października 1226 roku czując się blizkim skonu, kazał uczniom poraz ostatni zaśpiewać chórem pieśń o słońcu i oddał Bogu ducha. Ależ to zwykły przywilej świętych i poetów, że śmierć, nawet na ziemi, otwiera im nowe życie. Podczas gdy tłum oplakuje ich łzami, zmarli wzrastają w chwałę, wzruszają świat w posadach. Ich słowa, ich czyny przechodzą od wieku do wieku; jedną im uczniów, tłumaczy i naśladowców; tak że chcąc ich ocenić sprawiedliwie należałoby im przyznać nie tylko stworzone przez nich dzieła, ale niemniej i te, do których stali się podniętą.

Posłannictwo poetyczne św. Franciszka, przyémione, że tak powiem, czynami jego żywota, najświetniej dopiero zajaśniało w wiek cały po jego zejściu. Sam nazaczył sobie grobowiec, na wzgórku sterczącym ze wschodniej strony Assyżu, gdzie zwykle tracono winowajców, od czego miejsce to nazwano „piekielném wzgórzem.” Ale zaledwie że go złożono w grobie, niepojęta moc, jakby wstrząsając ziemię do głębi, jąta poruszać umysły. Papiész Grzegoż IX umieścił zmarłego w liczbie świętych i postanowił, że miejsce jego spoczynku zwane odtąd będzie „rajskim pagórkim.” Odtąd poczęto składać najwyższe hołdy, temu ubożuchnemu w Panu: ludy pomnąc na jego miłość pragnęły oddać mu z lichwą, to, co on dla nich

opuścił. A ponieważ nie miał ani dachu, ani sługi, zbudowano mu pyszny gmach, niby czarodziejski pałac, o jakim śnił w młodości; a w służbę jego weszli najsłynniejsi pracownicy w sztuce chrześcijańskiej. Katolicyzm zwykle czei swoich świętych, mieszcząc ich relikwie w oltarzu kościoła, ozdobił jego imieniem. Dla ubogiego pustelnika z Assyżu, wykuto naprzód głęboką pieczarę w skale, aby uchronić ciało od kradzieży relikwii, tak pospolitej w średnich wiekach. Na grobie zbudowano niższą bazylikę, na przyjęcie tłumów pielgrzymów, a ponad tą dopiero wzniesiono drugą, która jakby strzelista modlitwa wybiegła łukami ku niebu. Architekt północny Jakób Niemiec, zbudował ten podwójny przybytek; połączył w nim całą piękność sztuki gotyckiej z tradycyjnym symbolizmem chrześcijańskim. Z bazyliki niższej utworzył mocną nawę, bez ozdób, z arkadami pochyłymi ku sklepieniom i z otworami przepuszczającymi słabe za ledwie światło, jakby dla przypomnienia pokutnego żywota św. Franciszka na ziemi. Kościół za to górny, z lżejszych wzniesiony murów, o śmiałych sklepieniach, z długimi oknami, przez które wpływa strumień światła, przedstawia nam zgodnie z myślą artysty, pełen chwały żywot św. Franciszka w niebie. Plan gmachu przypomina krzyż Zbawiciela, ściany dano z białego marmuru na pamiątkę niepokalanej dziewicy, a dwanaście wieżyczek z czerwonego marmuru po obu bokach, wzniesione są na cześć dwunastu apostołów. Dzwonnica zakończona była strzałą, której wysokość trwogą przerażała następne pokolenia. Zniesiono ją, niemniej jednak imię Jakóba Niemca pozostało w nie-maliej sławie, a potomność uczciła go jako mistrza wielkiego Arnolfa, który później zbudował dwa najsłynniejsze florenckie gmachy i nową otworzył epokę w historii architektury (1).

Ale ludzie średnich wieków, nie przestawali na wznoszeniu kamiennych budowli; potrzeba im było, aby kamienie prze-

(1) Vasari, *Vita d'Arnolfo* Petrus Rudolphus *Historia seraphicæ religionis*, lib. 11 p. 247. Descrizione del santuario Assisi. Assisi 1835 r.

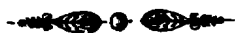
mówiły do oczu, a przemówiły mową malarstwa, najlepiej zrozumiałą od nieświadomych prostaczków: trzeba było, aby niebo objawiło się w zmysłowej formie, aby aniołowie i święci, w żywotnych przedstawieni obrazach mogli pocieszać i nauczać zgromadzone ludy. Sklepienia obudwóch bazylik Assyżu pokrywa lazur zasiany w złote gwiazdy. Na ścianach przedstawione są tajemnice obudwóch zakonów, a żywot św. Franciszka, następuje zaraz po księdze bożych objawień. Ale w miarę jak artyści, powołani w celu ozdobienia kościoła freskami, przystępowali do cudownego grobu, czuli się ożywieni nowym duchem. Poczęli oni pojmować ideał czystszy żywotniejszy nad stare wzory bizantyjskie, które miały wprawdzie właściwą sobie wielkość, ale od ośmiu wieków, coraz bardziej chyliły się do upadku. Bazylika Assyżu stała się kolebką odrodzenia i oglądała pierwotny jego postęp. Tamto Guido z Sienny i Giunto z Pizy, oderwali się pomału od mistrzów greckich, zmięczyli ich ostre zarysy i porzucili starożytną sztywność. Cimabue nastąpił po nich. Przedstawił on całą historią świętą, w długiej seryi obrazów, zdobiących kościół wyższy, które czas znacznie już uszkodził. Wszakże przeciąg sześciuset lat, nie przyćmił blasku cudownej głowy Chrystusa, Najświętszej Panny i świętego Jana, wyobrażonych w pośrodku sklepienia, ani obrazów czterech wielkich doktorów kościoła, w których majestatyczność bizantyjska jednoczy się już z wdziękiem życia i nieśmiertelnej młodości. Nakoniec zjawił się Giotto, a dziełem jego jest tryumf św. Franciszka, oddany w czterech obrazach pod sklepieniem wieńczącym ołtarz dolnego kościoła. Nic piękniejszego nad te słynne freski. Najcudniejszy z nich przedstawia zaślubienie sługi bożego ze świętym ubóstwem. Ubóstwo uosobione jest w postaci niewiasty dziwnie pięknej, ale z wychudłym obliczem i w podartych szatach. Pies czeka na nią, dwoje dzieci zarzuca ją kamieniami, a cierniem uściela jej drogę. Ona jednak spokojna i wesola, podaje rękę Franciszkowi świętemu. Chrystus sam błogosławi oblubieńcom, a w obłokach jawi się Przedwieczny, otoczony gronem aniołów, jakby

ziemia i niebo uczestniczyły pospołu, w zaślubinach dwojga nędzarzy. Nic tu już nie przypomina szkoły greckiej: wszystko tu nowe, swobodne, natchnione. Uczniowie Giotta, powołani do kończenia dzieła: Cavallini, Taddeo Gaddi, Puccio, Capanna, szli niemniej drogą postępu. Wśród różnaitości kompozycyj, jedność wiary, jaśnieje w ich utworach. Patrząc na cūdne oblicze N. Maryi Panny, w obrazach Zwiastowania i Narodzenia, lub na wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa, w gronie aniołów płaczących pod krzyżem i zbierających krew Boską w złote czary, ktokolwiek ma serce, uczuje lżę na oku, uklęknie pokornie, uderzy pierś ze skruczą, jak owe ubogie niewiasty, i prości pastuszkowie, którzy modlą się tak gorąco u stóp żłobu i krzyża. Wtedy dopiero czujemy, że św. Franciszek jest prawdziwym mistrzem nowėj szkoły wykołysanej w Assyżu, czujemy, że on sam tchnął w nią taki zapal i siłę; rozumiemy nakoniec, jakim sposobem Giotto powrócił ztamtąd uzdolniony do rozpoczęcia tego apostołstwa sztuki, którém po wieki zasłynął; pojmiemy, jak wędrując z Pizy do Padwy, z Padwy do Neapolu i Awinionu, pozostawił w każdym mieście nietylko wiekowe arcydzieła, ale nadto niezliczone zastępy uczniów, którzy idąc w jego ślady, a częstokroć prześcigając mistrza, mieli otworzyć Włochom nowe powołanie, ostatnie pole ich niepożytėj sławy (1).

Natchnienie religijne stworzywszy tak płodną szkołę malarstwa i architektury, musiało się wyrazić i potęgą słowa. Zbadaliśmy z umysłu tajemnicę odrodzenia sztuki, albowiem spostrzegamy tu zapowiednie znaki wielkiego okresu literatury. Gdy widzimy naród, jak dobywa kamienie z łona ziemi, układa je w kolumny, łuki i wieżyce, jak pokrywa mury swych gmachów obrazami i mozajkami, nie zostawując próżnego miejsca, którego by nie przyozdobił postaciami świętych i go-

(1) Vasari, Vita di Cimabue, Vita di Giotto etc. Descrizione del Sanctuario d'Assisi. Nie przepominajmy także Buffalmano, Giottino Szymona Memmi, którzy pracowali w kaplicach kościoła niższego.

dłami religijnemi, mamy prawo sądzić, że w piersi tego narodu, gra myśl wielka, która uwydatnia się naprzód w symbolach architektury: następnie wyraża się jaśniej w żywotnych zarysach pędzla, aż nakoniec najwydatniej i najzupełniej zdoła się odbić w słowie. W ślad za wielkimi artystami co tak długim orszakiem, przesunęli się przed naszemi oczyma, ujrzymy jak z wysokości Assyżu, zestąpi cała plejada poetów.



KRONIKA LITERACKA.

Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego. Skreślił Józef Przyborowski nauczyciel przy gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Poznań. Nakładem księgarzni J. K. Żupańskiego. 1857. (W 8-ce. Str. IV i 212).

Wydanie krytyczne naszych starożytnych poetów, dawno pożądane i wyglądane z utęsknieniem, zaczyna przychodzić do skutku. Po tandeciarskich edycjach klasyków polskich lipskich, w samą porę występuje zasłużony dobrze literaturze naszej, księgarz poznański J. K. Żupański, z wydaniem poetów dawnych. Już mamy *Miaskowskiego* poezye z życiorysem prof. Rymarkiewicza; teraz prof. Przyborowski, dając nam wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego, zapowiada wydanie krytyczne wszystkich pism wieszczą z Czarnogolasu: zwanego długo księciem polskim poetów. Nie licząc dawniejszych edycji pism Kochanowskiego mieliśmy w r. 1767 wydanie Fr. Bohomolca; T. Mostowskiego w Wyborze pisarzy polskich 1803 r; przedruk wrocławski w 2-ch tomach 1825, w ostatku w 10 lat później najgorsze wydanie J. N. Bobrowicza.

Wiemy, że od lat wielu w Warszawie, jeden ze znanych z nauki literatów pracuje nad staranném i krytyczném wydaniem pism Jana Kochanowskiego: ale nic dotąd nie czytaliśmy ani z życiorysu wielkiego poety, ani wiemy jak przygotował to wydanie. Księgarz Żupański po ogłoszeniu Rytnów Miaskowskiego, oddał w opiekę prof. Przyborowskiemu nowe wydanie poezyi zie-

mianina z Czarnogolasu. Że oddał je w ręce sumienne i umiejętne, mamy dowód w ogłoszonej, o której mamy mówić pracy (1).

Prof. Przyborowski rozprawę swoją podzielił na cztery części: 1) Życie Jana Kochanowskiego. 2) Wiadomość bibliograficzna o różnych wydaniach pism jego. 3) Fraszki pod względem oryginalności. 4) Język Jana Kochanowskiego. Każda część stanowi oddzielne studjum: połączone razem, dają najdokładniejszą wiadomość o życiu i pismach naszego poety.

Co do życiorysu Jana Kochanowskiego, znajdujemy ważne sprostowania tak co do jego rodziny, jak daty urodzenia, wyjazdu do Włoch, powrotu do kraju, przebywaniu na dworze Zygmunta Augusta, stałego osiedlenia się w Czarnymlesie i oddania wyłącznie pracom naukowym i około roli. Tu mamy wyjaśnienie, że głośny tłumacz Jerozolimy Wyzwolonéj Tassa, Piotr Kochanowski był naszego Jana nie bratem, ale synowcem. Nie znajduję nawet dowodów pewnych, czy tłumacz Enejdy był rzeczywiście rodzonym bratem Czarnoleskiego śpiewaka. Jest pewna data rok 1530, w którym się urodził z ojca Jana i Anny z Białaczowskich, gdy zamieszkali w Sycynie, powiecie radomskim. Nie dały się wyśledzić szczegóły pierwszych lat jego młodocianych, gdzie pobierał pierwsze nauki. Wiadomo, że Szymon Starowolski podał życiorys naszego poety w dziele: „Scriptorum Polonicorum Hecatontas. Vratisl. 1734 r. ale niedokładny. Po nim następnie wszyscy z tego dość mętnego czerpali źródła, i ztąd mnożyły się w najpoważniejszych dziełach błędy. Wytyka je prof. Przyborowski, i krytycznie jedne zbija, inne rozjaśnia. Czytając tę sumienną pracę zacnego profesora, widzimy jak pilnie studyował pisma Kochanowskiego, z jaką oględnością przeziera wszystkie wydania, z jak niezmordowanym trudem porównywa je, wskazuje zmiany a nawet błędy druku, i niedbałe edycje coraz późniejsze. Zgoryczał naszemu poecie chleb dworski, zawiedziony w nadziejach młodzieńczych porzucił go bez żalu, a przypatrzywszy się bliżej ostatniemu Jagiellończykowi, nie miał dla niego żadnego współczucia: jak znowu już osiadłszy w Czarnymle-

(1) Prof. Rymarkiewicz wydawca Miaskowskiego, studyował ten sam przedmiot: „Lutnia Jana Kochanowskiego, przyczynek literacki do piśmiennictwa Zygmunto-wskich czasów:” odczytany w gronie koła towarzyskiego, 2 lutego b. r., i wydrukowany w czterech numerach Gazety Poznańskiej 46—50. Prof. Przyborowski znać nie znał téj pracy, bo nigdzie o niéj w swojej „wiadomości” nie wspomniał.

się, gorącą sympatyzował z dzielnym Stefanem Batorym. Tę uwagę, a przez siebie wydobył z pism Jana Kochanowskiego prof. Przyborowski umacnia i popiera dowodami. „Po rozpatrzeniu się sumienném (pisze) w położeniu poety podczas życia dworskiego, pojmiemy, czém się działo, że wieszcz, ile razy mu przyszło mówić czyto wręcz do Augusta, czy o Auguście, przybiera ton uroczysto-obojętny, odważając każde niemal słowo, i ziębiąc na wskroś nic nieznaczącymi frazesami: pojmiemy, czém się działo, że wieszcz czujący do siebie prawo przemawiania imieniem całego narodu, nie uronił ani jednej łzy na grobie ostatniego Jagiellończyka: ztąd naostatek wytłumaczyć się dadzą wyraźne przymówki Zygmuntovi Augustowi etc.”. Musimy zaprotestować przeciw temu zapatrywaniu się autora: bo jeden wiersz z elegii łacińskiej (III—2) i ogólnik rzucony we Fraszkach (fraszka II księga I) nie są takimi dowodami, na których poważnie krytyka wesprzeć się może. Nie znamy szczegółów życia poety, nie wiemy wprawdzie dlaczego, jak później Karpiński, nie płakał na grobie ostatniego Jagiellończyka, na co zwraca uwagę swoją prof. Przyborowski, ale zachodzi pytanie, czy w owe jeszcze świetne czasy, śmierć Zygmunta Augusta była tak wielką klęską dla Rzeczypospolitej, stojącej krzepko w całej potędze i czy był powód, jak dla Karpińskiego, we dwa wieki z górą później płakania nad jego grobem. My w dziełach Jana Kochanowskiego, mocniejsze a zupełnie przeciwne znajdujemy dowody. Wszakżeż przypisał jeden z większych utworów: „Sątyr” Zygmuntovi Augustowi, zaczynając przedmowę od owego pięknego wiersza:

„Panie mój! to największy tytuł u swobodnych”.

Wszakże już, jak sam prof. Przyborowski domyśla się, porzuciwszy dwór (str. 34) będąc ziemianinem i mieszkając w Czarnolesiu, zjechał dobrowolnie do Lublina, aby być obecnym złożenia hołdu Augustowi, który tak pięknie w swoim *Proporcu* opisał. W nimto czytamy następny ustęp, który wcale nie jest obojętny.

Kiedy na zakończenie dnia uroczystego, bawiono się *biesiadą, tańcami i dźwiękiem lutni mitej*:

„Aleś ty wielki królu! wtenczas o biesiady
Mało dbał: i owszem-eś pilnie szukał rady,
Jakobyś przywiódł w jedność dwa wielkie narody,
Życząc Litwie i Polsce wiekuiestęj zgody.
Na co przodkowie twoi, acz grunt założyli,
Ale tobie twoją część przedsię zostawili.

Bo co waży pargamin i gęste pieczęci
 Przy piśmie zawieszono, jeśli nie masz chęci?
 Co tedy prawem inszy, co nas przysięgami
 Wiązali, ty nas sercem zepnij i myślami.
 A niechaj już *Unii* w skrzyniach nie chowamy,
 Ale ją w pewny zamek do serca podamy.
 Gdzie jęj ani mól ruszy, ani pleśń dosięże,
 Ani wiek wszystkokrotny starością doleże:
 Ale synom od ojców przez ręce podana,
 Nieogarnjone lata przetrwa niestargana.
 A przypatrując się ja twój dzielności i tój
 Chęci, którą masz przeciw rzeczypospolitėj,
 Mam zupełną nadzieję, że w ten cel uderzysz,
 Łaski Pańskiėj wzywając, do którego mierzysz:
 Ku czemu droga tobie, królu, tym łatwiejsza,
 Im rzecz, którą podajesz, sama jest ważniejsza” (1).

Ustęp ten najlepiej objaśni, jak mało ma prawdy domysł autora, o obojętności naszego poety dla ostatniego Jagiellończyka. Zalecamy do uważnego odczytania ten jakkolwiek mało charakterystyczny, ale bogaty w nowe szczegóły życiorys naszego poety. Kto kiedy podejmował studia tego rodzaju, ten potrafi ocenić całą pracę i mozoł autora *Wiadomości*, gdy odczyta jego część drugą *bibliograficzną*, w której objaśnia nas o wydaniach pism Jana Kochanowskiego, już za jego życia, już po zgonie drukiem ogłoszonych. Z największą ścisłością podaje nam wszystkie edycye jak szły w porządku chronologicznym, opisuje najdokładniej każde wydanie; porównywa je i bada najlżejsze zmiany; prostuje błędy M. Wiszniewskiego i W. A. Maciejowskiego i podaje pewniejsze data i wiadomości co do najpiérwszych edycyi. W części III „Fraszki Kochanowskiego pod względem oryginalności”, wykazuje autor w czém korzystał z literatury starożytnėj greckiej i łacińskiej, i zaraz dowodami popiera, kładąc już oryginalne texta tak piérwsze lub drugie, już wskazując dokładnie z jakich autorów myśl poczerpywał, albo całkowicie tłumaczył.

„Tym (pisze autor), którzy plody jego krytycznie, a nie jak dotąd po amatorsku, roztrząsać będą chcieli, trzeba będzie przede wszystkim jak najdokładniej wykazać stosunek jego plodów do wzorów starożytnych. Wiadomo, że już tu i owdzie mimochodem wskazywano wzory pojedynczych utworów Kochanow-

(1) Jan Kochanowski. Kraków. W drukarni Andrzeja Piotrkow. 1617. Str. 174.

skiego: a wszakże nikt dotychczas nie zajął się szczegółowem wykryciem związku, w jakim stoją utwory Jana do pisarzy starożytnych. Byli nawet tacy, którzy lękając się, aby odemknąwszy zasłonę, nie zniszczyli uroku, jakim jaśnieje w oddali wieszcz czarnoleski, durzyli i samych siebie i czytelników, wmawiając w nich, że wszystko, a przynajmniej prawie wszystko w Kochanowskim jest swojskiem, ojczyście i narodowem”.

Z całym zasobem nauki i erudycyi, wykazał nam prof. Przyborowski stronę naśladowczą Fraszek Kochanowskiego: ale tu musimy wymówić mu jednostronność zapatrywania się. Właśnie gdy tę stronę odkrył poeta, należało mu wykazać co zostało oryginalnego, a przecież miał obszerne pole potemu, i należało to pamięci Kochanowskiego. Tymczasem z całego sprawozdania, to przekonanie na czytelnika spływa, że nic w nich nie ma, coby nam malować mogło jego myśl, uczucie; co mogłoby dodać choć jeden rys do tego żywota cichego w ustroni Czarnolesia. A przecież nie zaprzeczy nam szanowny autor, że w owych tak naśladowczych jak mówi *fraszkach*, dużo jest szczegółów nie wziętych wcale ze starożytnej literatury, nienaśladowanych, ale wprost to dotyczących osobistości poety, to jego przyjaciół, wreszcie i postaci historycznych, jak zdarzeń i krajowych. Godziłoby się dodać i tę stronę w paralelli, a studyum to, nicby do życzenia wtedy nie zostawiało.

Pięćdziesięciu sześciu Fraszek w trzech księgach Jana Kochanowskiego, wykazał p. Przyborowski źródła: czyto że były tłumaczone, czy naśladowane. My po przejrzeniu najściślejszém znaleźliśmy osmdziesiąt niewątpliwie oryginalnych, już miejscowych, już osobistości samego poety dotyczących. Skromny Kochanowski dziękuje Andrzejowi Trzycieskiemu, że go upoił, przez co w nim: „niespokojne troski uspokoił”. Mikołaj Mielecki podpaja znowu naszego pieśniarza: a on mu za to takim wierszem dziękuje:

Na swe złeś mię spoił mój dobry starosta!
 Bo czegoś snadź nie wiedział, toć opowiem zprosta.
 Mniemasz ty, że ja tobie kłaniam się dlatego,
 I żeś syn wojewody nie wiem tam jakiego!
 Abo że się masz dobrze, a złota na tobie,
 I na tych dosyć widzę, które masz przy scbie.
 Fraszka u mnie twe herby i wsi pełne kmieci:
 Hańba (mówią Grekowie) bohaterskie dzieci!
 A pieniądze takie są, że je i złi mają,
 I co wiedzieć jako ich drudzy używają.

Ale wiesz co mię trzyma i garnie ku tobie?
 A coć Bóg dał z łaski swój, tém szafujesz bacznie,
 Służąc panu i rzeczypospolitėj znacznie.
 Chudemi nie brakujesz, 'ale kto cnotliwy
 W jakimkolwiek bądź pierzu, temuś ty chętny.
 To jest grunt, insze rzeczy, których się chwytają
 Ludzie prości, jako dym, wiatry roznaszają.

Możeż co dobitniej charakteryzować Kochanowskiego, jak
 w tychże Fraszkach napis: *Na dom w Czarnolesie*:

„Panie! to moja praca, a zdarzenie Twoje:
 Raczysz błogosławieństwo dać do końca swoje.
 Inszy niechaj pałace marmurowe mają,
 I szczerym złotogłowem ściany obijają,
 Ja, Panie, niechaj mieszkam w tym gnieździe ojczystém,
 A ty mię zdrowiem opatrz i sumieniem czystém,
 Pozywieniem ucziwém, ludzką życzliwością,
 Obyczajmi znośnemi, nie przykrą starością”.

Niestety! nie doczekał się starości! Fraszki jego uwieczniły
 pamięć owėj historycznej lipy naszego wieszczą (księga 2-ga, fra-
 szka 5-ta), Bekwarka lutnistę, Gąskę trefnisią, sławny most war-
 szawski zaczęty przez Zygmunta Augusta a skończony przez An-
 nę Jagiellonkę: uwiecznił pamięć po krwawej bitwie Sokal-
 skich mogił: a ileżto imion nam nie przekazał? Przejrzyjmy tyl-
 ko: Mikołaja Firleja, Łazickiego, Barzy, Siennickiego, Mikołaja
 Mieleckiego, Wojciecha Kryskiego, Jędrzeja Żeliszawskiego,
 Kroczewskiego, Stanisława Strusa, Josta Glaca, Stępowskie-
 go, Wysockiego, Męglewskiego, Bzickiego kasztelana chełmskie-
 go, Jędrzeja Patrycego, Chmielowskiego, Porębskiego, Mikołaja
 Trzebuchowskiego, doktorów: Fontany, Adryana, Montana; An-
 drzeja Trzycieskiego, Stanisława Zaklikę, Dorotę z Michowa je-
 go małżonkę, Grzegorza Podlódowskiego, Wacława Ostroroga,
 Michała Radziwiłła, Adama Konarskiego, Muszyńskiego starostę;
 Mikołaja Wolskiego i t. d. Małożto dowodów, że wśród na-
 śladownictwa wzorów z literatury starożytnej, jakie we Fraszkach
 doszedł p. Przyborowski, jest i strona właśnie oryginalna, naro-
 dowa: téj pominąć się nie godzi i nie należy. Tu głębiej wni-
 kający badacz, znajdzie szczegóły do z bogacenia życiorysu Jana
 Kochanowskiego, i skreślenia wydatniejszej charakterystyki wiel-
 kiego poety. Pisma jego malują właśnie (a do tych należą
 wszystkie oryginalne Kochanowskiego utwory) jego charakter,
 i myśl zacną i szlachetną widomie ukazują. Wprawdzie zasilał
 się nieco i z téj strony prof. Przyborowski, ale żałujemy, że

przedmiotu tego w zupełności nie wyczerpnął, przez co artystycznie nie podniósł nam i nie ożywił z martwych postaci śpiewaka Czarnoleskiego.

W części IV: „Kilka słów o języku Jana Kochanowskiego” zwraca uwagę prof. Przyborowski, jak wielką znalazł różnicę pod względem języka pomiędzy pierwszemi utworami tego poety a ostatniemi, do których liczy cudny przekład *Psalmów Dawida*. Te, słusznie uważa zaprawdę, jako *godne uwagi* każdego „ktokolwiek nie jest obojętnym na płody złotego wieku” i dziwi się nie bez zasady, że dotąd nikomu nie przyszło na myśl przysposobić wydanie ozdobne Psalterza a przystępne, jakiego oczekiwało się już niejedno dzieło innych ulubionych wieszczów naszych. Uwagi filologiczne nad językiem Kochanowskiego, które powinny zwrócić baczenie naszych grammatyków, pisane ze znakomitą znajomością rzeczy i nauką, zakończają obszerny ten ustęp i zamykają całość rozprawy prof. Przyborowskiego.

Dodać tu musimy, że autor wykazawszy wzory Fraszek, zarazem dołączył ważną wskazówkę, z kąd myśl brał Kochanowski tak do większych swoich utworów, jak naśladował lub tłumaczył pieśni (str. 174—175).

W całym toku rozprawy odbija pewna cierpkość i lekceważenie prac swoich poprzedników, którzy pisali o Janie Kochanowskim. Ta strona musi być wydatna, kiedy uderzyła samego autora, i z niej się w *przedmowie* tłumaczy. „Karczowałem (pisze) pole nietknięte prawie: co krok trzeba było zbijać mylne dotychczasowe mniemania, a ztąd zakradł się do méj pracy, mimo méj chęci, miejscami ton polemiczny, który radbym usprawiedliwił zaręczeniem, że nie powodowały mną żadne niechęci osobiste, lecz li tylko miłość prawdy. Wszakże lepiej podobno w dobrej wierze powiedzieć prawdę, aniżeli milczeniem uświęcać usterki, lub co gorsza, schlebiać wbrew przekonaniu, i palić kadzidła na ołtarzach, w ostatnich czasach tak gęsto stawianych przez wzajemnych wielbicieli”. Pomimo tego radziłyśmy, ażeby niektóre więcej zbyt ironiczne ustępy opuścić.

Mając więc już rękojmią pewną krytycznego wydania pism Jana Kochanowskiego, zwracamy uwagę przyszłego wydawcy, aby wierny wizerunek poety nam załączył. Popiersie bowiem, które w zbiorach swych zachowywał król Stanisław August, i z niego zrobiono sztych do wydania Mostowskiego, okazało się że jest wizerunkiem Piotra Kochanowskiego, tłumacza *Jerozolimy Wyzwolonéj*. Później wydany ze zbiorów kasztelana

Kochanowskiego, podparty i w zamyśleniu będący Jan Kochanowski, nie ma autentyczności: ale jest na grobowcu tego poety popiersie wierne, z którego dokładny odlew posiada znakomity nasz malarz Alexander Lesser: z niego przeto może korzystać wydawca, aby upowszechnić prawdziwy wizerunek naszego wiejsza czarnoleskiego.

K. Wł. Wójcicki.

Warszawa, d. 23 marca 1857 r.

Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich, przez ks. Ludwika Łętowskiego biskupa Joppejskiego, dziekana katedr. krakow. W Krakowie w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego. 4 tomy. 1852 r.

Zapowiedziany świeżo (w Bibl. Warsz. z m. listop. r. p.) *Opis katedry krakowskiej* przez autora *Katalogu biskupów krak.* zwraca słusznie uwagę na pracę i zasługi uczonego pisarza, który nas niedawno dziełem znakomitým we względzie dziejów krajowych i biografii obdarzył. Niewiele dotąd mówiono o *Katalogu biskupów*, bo dzieło to nie może iść do miary z temi ulotnemi efemerydami, które się dziś czytają i sądzą. Atoli częste z niego cytacye, napotykané w dziełach głębszej nauki, okazują, że przeszło już na użytek powszechny, i wydało pierwsze swoje plony.

Od czasów Trzebieckiego, przy którym Starowolski położył swoje pióro, biskupi krakowscy nie mieli żadnego wyłącznego dziejopisa. Co autorowie późniejsi, nie wyjmując Rzepnickiego, częściowo o nich podali, to uważać można za pomocnicze źródła i monografie, które poza drugą połowę XVIII wieku nie wiele przesiegają. Autor *Katalogu*, odświeżywszy ślady swoich poprzedników, zgromadził i uzupełnił ich zbiory, i połączeniem dawnych z nowemi dziejów, aż do kresu obecnej epoki, przedstawił jedną historyczną i rzadnie ułożoną całość. Z Długosza wziął ducha dziejowego pogląda i miłość prawdy; od Kromera i Łubieńskiego pożytył umiarkowania; w Starowolskim znalazł wzór skrętności i czułości dla rodowych pamiątek; z rapsodycznych zapisów Niesieckiego zaczerpnął nieco powieściowej barwy, przywiązania do legend i domowych tradycyj. Opisał żywoty biskupów, prałatów i kanoników krakowskich, a w nich

dziewięciowiekowe zasługi duchowieństwa dla kraju i kościoła, przedstawiwszy w swoich badaniach naukę ważną i budującą, która wskazuje cel autora wzniosły, moralny. Do złożenia takiej historyi stanęła w obec cała niemal historia narodu: w ciągu bowiem dziewięciu wieków (jak sam autor powiada) nie było żadnej ważniejszej sprawy, któraby nie oparła się o którego z biskupów lub prałatów krakowskich; a co tylko było ludzi znakomitych w stanie duchownym, wszyscy prawie zasiadali w stallach kanonicznych albo na stolicy biskupiej w Krakowie. Za ważnością więc dzieła mówi przedewszystkiém ważność przedmiotu, i godzi się do niego zastosować, co autor w inném znaczeniu powiedział: że *Katalog biskupów krakowskich jest monumentem, przy którym stanąć można z uszanowaniem.*

Jako Katalog, dzieło to odpowiada swemu celowi; ale że jest więcej niż Katalogiem, każe poniekąd żałować, że autor odstąpił od swój myśli pierwotnej, ułożenia historyi kapituły krakowskiej: mielibyśmy wydatniejszy obraz dziejów kościoła polskiego, wprawdzie ograniczony jedną tylko dyecezyą, ale obszernego znaczenia, o ile biskupstwo krakowskie swoim wpływem, działaniem i powagą górowało nad innemi duchownymi w Polsce stolicami. Pod skromną nazwą Katalogu założył przecież autor piérwszą podwalinę do téj budowy; katedrę starożytną Zbigniewów i Stanisławów ukazał na téj próżni, która zdawna razila oko, wśród stawionych dokoła pomników biskupom i arcybiskupom innych stolic polskich; i imię swoje zapisał pocześnie obok Długoszków, Łubieńskich, Starowolskich i Rzepnickich.

Zwracając uwagę na źródła historyczne, spotykamy tu przedewszystkiém *Akta i archiwum kapituły krakowskiej*, których *Katalog biskupów* ważném i nader ciekawém jest sprawozdaniem. Składają je bulle i dyplomata papieżów, książąt i królów polskich; księgi przywilejów, odpisy synodów, wizyty archidyakonów, dokumenta dotyczące się uposażenia biskupów i kapituły, (między innemi sławny ów rękopis *liber beneficiorum*) *acta actorum*, kędy masz zapisywane (od r. 1430) posiedzenia kapitulne, wstępy na stolicę biskupów, obiory administratorów, installacye prałatów i kanoników, delegacye na sejmy, sejmiki i trybunały, wreszcie koronacye królów i pogrzeby, a niekiedy ważniejsze wydarzenia i przygody.

Nie małą przysługą dla badaczów rzeczy krajowych i historyków są wyniesione z tych źródeł spisy dyplomatów, które autor chronologicznie przy żywotach biskupów pozamieszczał. Dawnością swoją sięgają one połowy XII wieku. Przywileje du-

chowienstwa, zwłaszcza z XIII i XIV wieku pokazują, jak pod rozdrobnionemi Piastami urabiały się pierwsze kraju swobody, prawa i zwyczaje. „*Biskupi kolysali to dziecko. Pod opieką stolicy ś. i przy zabiegłości biskupów o dobro poddanych, kształcił się rozum publiczny i pojęcie sprawiedliwości, która potem mogła wziąć w kluby to rycerskie plemię na koniu, co nad miecz inną nie uznawało władzy. Badacz prawodawstwa i obyczajów krajowych znajdzie tu ważne wskazówki; byle skrzętności duchowienstwa za swobodami kościoła nie brał za to, czém przywileje stały się w czasach późniejszych. Bowiem one swobody, wytargowane mocą kluczków Piotrowych na tych wiekach gwałtów i bezprawia, były jutrzienką lepszej doby dla całego kraju.*” W dyplomatach wieku XV widać zetknięcie się coraz częstsze władzy świeckiej z duchowną. Kościołowi uchodzi z rąk panowanie doczesne. Biskupi, którzy pod Piastami byli ojcami narodu, stają się tylko doradcami u Jagiellonów. Powaga ich duchowna i hierarchiczna upada, odkąd przechodzą w służbę dworską. Około środka XVI wieku kończy się ta wyłączna rzecz z dyplomatach, które już coraz rzadziej napotyamy.

Nie widzieć tu pomników do historii prawa kościelnego, i co mieściłoby mogła *jurisdictio fori interni*. W XIII wieku spisywano już jak wiemy wyroki w kształcie dyplomatów: ważne to źródła do wybadania, w jaki sposób na prawa polskie wpływały kościelne kanony.

Podobny brak daje się uczuć i pod względem synodów, których archiwum miejscowe ledwo kilka odpisów posiada. Ważna mimo tego i na swoim miejscu jest wiadomość o nich (umieszczona w wstępie do t. I), pokąd niedostaje nam zbioru i dokładnej historii ustaw synodalnych polskich, zwłaszcza z epoki Piastów, które nigdy drukowane nie były. Do tych, które tu autor pozbiierał z Załuskiego, Starowolskiego i rozsypanych tu, owdzie po dziełach nowszych wzmianek, możnaby przydać znacznie z Długosza, Friesego, Damalewicza, Rzepnickiego, tudzież Stenzla, Rittera, do czego ułatwił już poniekąd drogę Jabczyński.

W zbiorze dzieł i rękopismów archiwalnych, zwracają uwagę: *Żywoty biskupów krakowskich, roczniki, kalendarze i katalogi*, z których dwa ważne zabytki autor w dziele swoim drukiem ogłosił. Tu znalazły się owe *desiderata*, kędy autor trafiając w ślady Długoszowe, wszedł w zawód historyczny z Starowol-

skim, który wypisywał głównie z katalogów, żywiąc się zwłaszcza jednym z nich aż po Tomickiego.

Po aktach i archiwum kapituły, służyły autorowi ku pomocy Kroniki i Herbarze. Złożone tam skarby *in crudo* nasuwały uwagi krytyczne, lecz mało z nimi autor zadawać się chciał w polemikę i nie mógł już bowiem mieć téj pomocy, jaką znajdowali dawniejsi w rozmaitych zabytkach, wyciąganych z kościołów i klasztorów, czego w samym Paprockim liczne napotykamy ślady. Od schyłku XV wieku rozstając się z Długoszem, pozostać przyszło autorowi niemal samemu, acz w mnogim towarzystwie zbieraczy i dopisywaczów, jakimi byli: Damalewicz, Skrobiszewski, Freter, Łubieński, Naramowski, Piechocki, Rzepnicki, Bużeński, pośród których przedzierać się trzeba było przez śliskie ścieżki i ubocza, torując sobie drogę, i kierując się w niej światłem własnych postrzeżeń i sądów. Żaden bowiem z pomienionych pisarzy pewnego nie poręczał przewodnictwa: dosyć tu przytoczyć Łubieńskiego, o którym powiada Wiszniewski (rzeczywiście jest to zdanie Brauna), że przerabiając Długosza, więcej jeszcze pozaciera ślady historyczne. Nastreęczały się przytém rozmaite dzieła pomocnicze i monografie, z kąd powoływane tu, owdzie świadectwa i cytacye dowodzą, że nie uszło uwagi autora żadne z wiadomszych i przystępniejszych źródeł, między któremi chyba jednego Kassjana Korczyńskiego brakuje. Prócz ksiąg i wszelkiego rodzaju zabytków piśmiennych, badał autor z równą skrzętnością pomniki miejscowe i nagrobki; zbierał powieści i tradycye. Najmniej jednak korzystał z mów pogrzebowych i panegirików, spotykając się z niemi jak widać tylko dorywczo, gdy te, jakkolwiek pozostałe w wielkiej liczbie są u nas dotąd magazynem bez ładu.

Pogląd na krónikarstwo polskie z epoki Piastów uzasadnił wnioski, które kierowały piórem autora w kreśleniu dziejów i szczegółowych obrazów téj epoki. Duchowieństwo dąży do władzy i przewagi, początkowo mając na celu wyłącznie widoki kościoła i hierarchii; następnie wpływa do spraw politycznych, i usiłuje zrównoważyć władze panujących. Rycerstwo wiąże się w stan społeczny, a z nabytkiem przywilejów urasta w swobody, ścieląc podstawę przyszłej stanu swego niepodległości.

Charakterystyka dziejów późniejszych polegała równie na wyrozumowaniu stosunków kościoła do narodu i rządu, które się w epoce Jagiellonów znacznie zmieniają. Władza świecka wyznacza biskupów, albo kapituły wybierają ich na zalecenie

z góry. wychodzą bulle papieżkie na przenoszenie ich z stolicy na stolicę; potrzebną staje się sankcyja królewska, czyli to zakładają prebendy, czy podnoszą altarye, czy nadają wreszcie dzieściny. W miarę ukrócenia powagi duchownej, szlachta przychodzi do władzy i sięga do praw majestatu. Biskupom wypowiedziane jest posłuszeństwo duchowne: broń ich, kłątwa i interdikt, schowana jak miecz u pochwy tępieje. Świecą oni osobistą jeszcze godnością, ale tylko jako ludzie wielcy, nie jak książęta kościelni. W walce z reformą wspierają przeciw kraj i przedłużają narodowi na dwa wieki bytu, gdy nie kościół ale władza jego doczesna złożyła swoje berło.

Panuje w tém dziele jedna myśl główna, jedna prawda wydobyta z dziejów krajowych, która stanowi jakby cel istotny i zadanie autora, a ztąd wszystkę treść historyczną i osnowę rzeczy jedną pociąga barwą. Jestto ten, że tak powiem rachunek sumienia, do którego autor powołuje cały żywot przeszłości, mierzy według niego siły społeczne i wszystkie sądzi sprawy. Dość przeczytać żywot Przemiankowskiego, w którym autor (na wzór Długosza) chce widzieć tylko biskupa, gdy inni zapatrują się nań jak na możnowładcę pod mitrą duchowną. Podstawę politycznej równie, jak moralnej budowy odnosi głównie do wiary, która (mówi) kupiła nas do gromady w naród jeden, kędy stało wszystko na jednocie i miłości. Tę zasadę przyjętą historycznie i w duchu chrześcijaństwa przeprowadza autor przez całe pasmo dziejowe, upuszczając jakby z góry światło na pojedyncze obrazy i charaktery.

Na heroicznój śmierci ś. Stanisława kończy się samowładza Piastów, a poczyna nowe dzieło w wewnętrznej polityce narodu, które potrzebowało dwóch wieków. aby urosło na swobody określone prawem pod Jagiellonami. Występują tu Gedeon, Pełka, a za nim szereg biskupów, którzy swém światłem, powagą i gorliwością obywatelską wpływali na sprawy krajowe. W rozerwaniu dziedziny Piastów pod następcami Bolesława Krzyw. na osobne dzielnice, oni tulą ją pod swoje skrzydła i skupiają do jedności, oczekując na przyjście Łokietka. Na Przemiankowskim uczymy się, czém byli za jego czasów panowie świeccy i co za ucisk ludu pod oném prawem księżęcém, gnanego (jak mówi autor) do wszystkich służebstw, którym nie było prawie końca. Życie tego biskupa należy do jego wieku: nie uchodzi téż w obrazie autora katalogu za zjawisko pojedyncze, chociaż pod godnością biskupią nieco więcej w oczy uderza. Paweł Prze-

miankowski i Zawisza, sąto *egzemplarze wieków grubych*: Dąbski już nowe zwiastuje czasy.

Klątwą Bodzanty pieczętuje autor ostatnią kartę dziejów Piastowych, przywołując uwagę Długosza, że jak dla zabójstwa Bolesławowego rozsypał się ich tron w kawałki, tak ze śmiercią Baryczki przeszła ich korona po kądzieli w obce ręce.

Zbigniew stojący na zwrocie nowój epoki, ściąga przed innemi uwagę swą kolosalną postacią, której autor znać przypatrzył się dobrze, gdy sromać się kazał dzisiejszemu wiekowi, że po wizerunek takiego męża chodzić trzeba było do dzieł Długosza, Bielskiego, Starowolskiego i Niesieckiego. (Nie mieliśmy jeszcze naówczas *żywota Zbigniewa Oleśnickiego* przez autora *Wieku Skargi*). Nie dziw (mówi), jeśli trzem królom przywodził, *bo to nie on, ale cnota jego; o którą nie pytaj, w helmie była czy pod infułą?* „Byli wtenczas mężowie do rady i do korda: ale nie było człowieka, coby równał się jemu wielkością serca. On nauczył Jagiellów panować na tronie, co siedzieli wprzód na koniu z kołczanem w rękę. Nie było nadeń gorliwszego obrońcy wiary katolickiej i swobód kościoła, ani większego miłośnika kraju i sprawiedliwości.” Według takiego pojęcia skreślony poraz pierwszy życiorys Zbigniewa do najlepiej*wypracowanych należy.

Rozpisał się autor szeroko o Gruszczyńskim, idąc za Długoszem, jako świadkiem naocznym jego sprawy głośnej gorszącemi przykłady w całym kraju. Jest w tej historii wiele ciekawego i nauczającego, patrzymy tu bowiem na ludzi i ich obyczaje cztery wieki wstecz. Od Wysza do Gruszczyńskiego i jego współzawodników, ileż biskupi stracili na przywilejach dawnych i powadze, gdy zwłaszcza zabrakło już między nimi Oleśnickich!

Tomicki, Chojeński, Maciejowski, odmienny przedstawiają już obraz biskupów podnoszących się nad wiek swój nie tak powagą kościoła, którą wyobrażać mieli, jak raczej wielkością osobistych przymiotów, jako pasterze duchowni, mężowie stanu, kanclerze, uczeni i mecenas. Z tego stanowiska skreślony żywot Tomickiego wskazuje wzór najpiękniejszy owych starych biskupów, na jakich już późniejsze czasy się nie zdobyły, a razem wspaniałą jest pochwałą Zygmuntońskiego wieku. „Ludzie tacy (mówi autor) nie wykwitali pojedynczo, ale wzrastali z całym wiekiem swoim. Każdy temu peryod historyczny miał swoich osobliwych ludzi, po których mierzysz byt i sławę narodową. Nie mogło być Tomickiego w ostatnich czasach, gdyżby on był zginął przy drugich. Sam jeden człowiek nie sprosta całemu pokoleniu swemu, i temuto ludzie

niepospolite uchodzili niepoznanymi w wiekach nikczemnych, a w wiekach zacnych wychodzili do góry, bo znajdowali porękę dla siebie. Jest w Tomickim senator i biskup, ale tyle potrafił zespolic w sobie te dwie godności, iż stawil nam zupełny obraz biskupa polskiego, jakimi oni byli swego czasu. Powuga nie wzrastala z dostatków, tylko dostatki szły jój w pomoc. Bylto dostatek krajowy złożony w najwierniejsze ręce. Przypatrzmy się Tomickiemu (a nie taki on jeden): buduje zamki, stawia kościoły, zakłada szpitale i szkoły, podnosi wsie, ratuje upadłe rodziny, wspiera nauki, płaci uczonych. Chowa dwór w okazałości, bo wie, że dostatek biskupa i kanclerza chlubą był narodu. Wstydzilaby się była Polska widzieć go pieszo, to jest chudego, dopóki miała czucie godności i wielkości swojej. Bogactwa Tomickiego były bogactwem wdów i sierót, ubogich kapłanów, młodzi uczącój się po szkołach, bogactwem krajowém, przy którém podejmował odległe i mnogie poselstwa, jeździł z sejmów na sejmy, stawiał zbrojnych ludzi w potrzebie” i t. d.

Żywot Gamrata napisany z wielką oględnością, wskazuje na zaletę autora to rozsądne pomiarkowanie, co nie dozwalało mu być skorym w wymierzaniu potępiających wyroków na ludzi, za którymi dało się co postawić ze świadectw społecznych. Tém samém wiedziony pomiarkowaniem, przepuścił nieco obojętnie Padniewskiemu, na którym ciężał zarzut nie już *folgowania* ale sprzyjania różnowiercom. Zastanawiają (w życiu Sam. Maciejowskiego str. 118) powołane *Elogia* Padniewskiego, które jak wiemy zaginać miały, i w Paprockim tylko pozostały niektóre z nich wyciągi. W opisie kardynała Jerzego Radziwiłła nie przestał autor na zestawieniu różniących się o nim podań, ani na ogólnej pochwalę Starowolskiego; przyczynę rzuconych na młodość jego potwarzy wytłumaczył znajomą sobie historją Radziwiłłów i szczegóły niektóre poprostował. Myszkowski, Zadzik, obadwaj Maciejowscy (wyznajmy) godni byli wspanialszego pomnika. Z życia Tylickiego, światłego mecenasa, nauczającą wyprowadził autor uwagę: że Włochy i Niemcy nie robiły u nas ludzi, gdzie naukę (mówi) kupić można było, ale rozumus nie kupił. „Tylickiemu więc nie przygana za to, że nie był w Padwie, w Paryżu lub Lipsku, ale pochwała raczej, iż z krajowych szkół urósł na godnego kanclerza i biskupa.” Życiorys Trzebickiego (nieco pospiesznie kreślony) smutny już przedstawia obraz epoki, w którój wszystko, co naród miał na swoję zaletę, przyswiecało już upadkowi. „Z ostatnią kroplą krwi Jagiellów, odrodzonej na Wazach spadkobiercach korony Piastowej, gasła ta lampa po ośmiu wiekach

życia. Mogli być ludzie pod Sobieskim, jak Olszewski, jak Władysław Łubieński, cnotliwi i pobożni, ale nie jak Zbigniew Oleśnicki lub Tomicki, bo łono matki już było wyschło, i nie karmiło pokolenia, od któregoby oni urosć mogli. Jakby dyagonalną linią, widziałeś u nas upadek wielkich mężów od lat stu, wyradzających się do odpowiednich sobie figur. Miał Zygmunt III jeszcze ludzi, miał ich Jan Kazimierz: od Sobieskiego żyjemy już tylko sławą przodków.”

Pod Szaniawskim biskupem dodaje wymowny autor: „Naroddy mają postannictwo, i wydają z siebie ludzi do niego: ale wiecznego postannictwa nie mają. Był Andrzej Załuski, był Olszewski, był Trzebicki, ludzie niepospolici: ale do człowieka wielkiego nie było już pola. Przy zachodzie słońca wszystko się chowa, sama wielkość.”

Pięknie zamyka autor rzecz swoje życiorysami Sołtyka i Woronicza, z których ostatni, pisany, z pamięci, jest świadectwem żyjącem: obadwa godne pióra Plutarcha. Dwojaki względ zwraca autor na ludzi, których skreśla obrazy: zważa w nich pobożność i naukę. Pierwsza, za główną uważana cnotę, powiodła go do starannego opisywania wszelkich spraw i zasług, jakimi odznaczała się większa część biskupów w kościele i życiu społeczném. Zład owe szczegóły dotyczące się ich charakteru i obyczajów, a zwłaszcza gorliwości pasterskiej, w pomnożeniu dotacy i ozdób kościelnych, które dla wielu czytelników, szukających czego innego w tém dziele, zdawać się mogą niekiedy drobne i małoznaczne. Odznaczają się pod tym względem żywoty Kadłubka, Prandoty, Zadzika, a wyżej nad nimi stoi żywot Św. Stanisława, którego znaczenie polityczne tém piękniej odbija przy cnotach pobożnego kapłana i apostoła. Autor znalazł tu pole do podniesienia uczonój walki przeciw nowoczesnym restauratorom naszej historyi, którzy dla popisu własnego radzi w niej wywracają wszystko, co tylko jest urocze i wielkie. Straciliśmy już w ten sposób niewinną i świątobliwą Jadwigę, na którą trzy wieki przeszło poglądało jak na ideał najpiękniejszej cnoty; trzeba było równie pokalać wieniec św. patrona i męczennika, aby przysłużyć się dziejom paradoxami obcych oszczerców, o jego przeniecierstwie i zdradziectwie kraju.

Pod względem nauki, którą autor mieni drugą z cnót istotnych kapłana, miał sposobność w dziele swoim rozwieść się o pracach i talentach tylu znakomitych biskupów i prałatów, którzy w dziejach piśmiennictwa zaszczytne pozyskali miejsca, jak Długosz, Hozyusz. Kromer, i w. i. Jakoż wymierzając każdemu

z nich zasłużone pochwały, ocenia w szczególności ich znaczenie, wpływ na oświatę krajową, i prace, jakimi się w narodzie swym zalecili. Żałować jednak należy, że prac tych z naukowej strony mało dotyka, wskazówki bibliograficzne pobieżnie tylko natrąca, a całkiem prawie omija krytykę literacką, z tém większą szkodą dla czytelnika, że w poglądach swoich odznaczając się rzadką oryginalnością, dał na wielu miejscach dowody trafnego i nader umiejętnego w rzeczach naukowych sądu. Przytoczymy tu jedno tylko zdanie o Woroniczu, którego zalety, jako kaznodziei i piewcy narodowego, szczęśliwie i wymownie w tych wyrazach określił:

„O kazaniach czyli naukach parafialnych tyle rzekę: Chleb to Boży, łamany prawdziwie ręką pasterza, w prostocie serca, i do potrzeby ludu ubogiego. Słowa nie górne ale rzetelne, jak przystoi na opowiadacza nauki Chrystusowej, aby trafiały do serca i wyrozumienia ludzi dobrej woli. Pociecha i nauka słuchającym, umocnienie skromnym i cnotliwym, radość i wesele ludziom cichym i łagodnym, którzy nie dla rozumu ciekawego szukają Boga, ale służą jemu pocziwemi uczynkami swemi, i miłują Go, chowając zakon jego święty. Sama i jedna filozofia Boża, religia dla całego świata i prawidła dla całego rodu ludzkiego, zbudowana do pojęcia ubogich i bogatych, oparta na miłości bliźniego, wskazująca cel i koniec człowieka, a zatém zaspokajająca wszystkie tęsknoty i potrzeby jego. Taką Woronicz ludkowi opowiadał. Był on mówca i wielki mówca, bo lepszy dla ludu wiejskiego i prostaczków, niż dla bogaczy tego świata, w czém naśladował mistrza Niebieskiego. Gdy mówił w stolicy, a słuchali go tak zwani wiecy tego świata, porywał go duch wieszczca, i unosił poza granicę prostoty ewangelicznej. Dlatego gdy się zniżał, czuł i poruszał a gdy górował, zadziwiał, ale to nie szło do serca. W kazaniach swoich czyli naukach parafialnych większy on jest, niż gdy mówił z nad trumny generała ziem podolskich, lub księżny Lubomirskiej marszałkowej. Przy poświęceniu Orłów wszystko mówiło za niego: ale mówić do szlachty liwskiej lub do chłopków Kazimierskich, na to potrzeba pełnego serca prawd najświętszych, a te on miał nie pomалу. W kazaniach wiejskich, téż swoich, mówił do nas wszystkich, a w mowach swoich przygodnych dla sławy swojej. Nie było w tém jego winy ani próżności, tylko ta siła umysłowa, która gnała go, gdy raz popuścił jój wodze.”

„Pisma Woronicza nie zginą (mowa jest dalej o poezjach jego). Nie należą one do żadnej epoki, np. do Księstwa Warszawskiego, lub do czasów Poniatowskiego króla. Człowiek ten sam sobie był wiekiem: ani naśladował, ani współubiegał się z kimkolwiek bądź. Myśl jego była litą polską, i takie też wyślowienie jego. Każdego poetę porównasz jednego do drugiego: ale jego nie masz porównać do kogo. Są poezye jego jak wody królowej rzek naszych, co płynie od koryta do koryta, pełno i równo; a ty się patrzysz i patrzysz z brzegu, i napatrzeć nie możesz. Są poezye jego jako dźwięk arfy Dawidowej, co ochładzało zbolełe serce Saulowe; a ktokolwiek bądź go się nasłuchuje, odchodzi lepszym, jak spotkałby się z obliczem poczciwego człowieka. Są poezye jego swojskie zupełnie: śpiewasz je w kościele, i czytasz w domu, lecz nie przełożysz na język obcy: bo myśl można oddać mową obcą, ale nie ten urok słów, którego on był mistrzem. Z wierszami Woronicza jest to, co z księgami Herodota, to jest przełożywszy będziesz miał historią, ale nie dziewięć Muz jego.”

Cóż można powiedzieć więcej, albo trafnej i piękniej, na ocenienie takiego mówcy i poety? Ażaliż autor [nie pojął i nie uznał głęboko Woronicza?

Nie pójdziem do szczegółów, dla wykazania, ile praca tego pisarza przyłożyła się do rozprzestrzenienia dziejowych wiadomości naszych i w ogóle historycznej wiedzy. Że nie pisał bez krytyki, okazuje to sama oględność w zestawieniu świadectw, mnogich liczbą, a różniących się częstokroć między sobą, które autor bada uważnie i porównywa, nie przestając ślepo na żadnej powadze, wyjąwszy gdzie do niej ostatecznie uciec się wypada. Niema w nim tych, co w Damalewiczu, próżnych amplifikacji, niema ogólników wątpliwych jak w Łubieńskim: raczej przyznasz mu Rzepnickiego cnotę, że odświeża i uprzystępnia wiadomości w dziełach dawnych i już rzadkich zawarte. Nasuwało się zaraz na wstępie ważne a trudne pytanie o dawności biskupstwa krakowskiego, i zagadka historyczna co do pierwszego arcybiskupstwa. Nic było po temu środka, do rozcięcia tego gordyjskiego węzła, gdy ani miejscowe, ani rzymskie (jak z Przeddzieckiego wiemy) archiwa niczego w tej mierze nie dostarczają. Mimo tego wszedł autor krytycznie w rozbiór badań i rozumowań swoich poprzedników; startł się uczonem piórem z Naruszewiczem, a chociaż nie zdołał z zamętu całkowitej wymotać prawdy, przecież nachylił znacznie wątpliwości skalę ku jednej stronie. Co

bowiem pod tym względem z dzieł dawnych i nowszych wydobyc można, jest to jak wiemy mieszanina rozmaitych podań i wniosków, poważnych lecz mało udowodnionych w Długoszu, niedostatecznych w Łubińskim, ciemnych i bezkrytycznych w Baroniuszu, a jednostronnych i podejrzliwych w cudzoziemskim Dytmarze. Domysły Naruszewicza o założeniu katedr biskupich w szczególności, z których jedno zdało mu się odnieść do epoki Chrobrego, drugie do jego następcy, wypadło koniecznie pogodzić z utrzymującą się od wieków tradycją o biskupstwach i arcybiskupstwach, ustanowionych od Mieczysława I, w której tkwi jakażkolwiek wiadomość o pierwiastkach kościoła polskiego. Autor Katalogu w swych wnioskach odniósł je prawdopodobnie do wieku X. Ciekawa i poraz piérwszy skreślona Historia katedry i dyecezyi krakowskiej, chociaż w nader szczupłych zakresach, ważnym jest przyczynkiem do dziejów kościoła. Szkoda, że w uwagach do tego przedmiotu odnoszących się, które czytamy w wstępie do tomu I, autor nie wychylił się poza obręb wieku Zygmuntońskiego. Nagradza to z inąd szerokim poglądem na reformę religijną, stanowiącą część najważniejszą historyi tego wieku. Cóż mówić o Katalogu prałatów i kanoników, z którym przybyło do tysiąca imion nieobojętnego znaczenia dla dziejów krajowych i historyi literatury?

Wiedząc autor, jak wielka przerwa pomiędzy nim, a ostatnim z jego poprzedników, może i przewidując, że nie prędko kto zajrzy do tych składów piśmiennych, które on z taką pracą przewartował, a które może i los podobny spotkać, jakiemu znaczna ich część uległa; wypisywał starannie, cokolwiek ważniejszego natrafił do dziejów kościoła i narodu. Ztąd owe szczegóły historyczne, zapiski i wycieczki uczone, miejscami zbaczające od przedmiotu, niemniej jednak pożądane i szacowne. Takiem jest (w życiu Jana Konarskiego, które autor niemal w całości wypisał z katalogu zachowanego w archiwum kapituły krak.), podanie o zwycięstwie pod Orszą; niemniej, (wyjęta z tegoż archiwum) wiadomość o cechach, o ustanowieniu cenzury na księgi duchowne, o inkwizycyi w Polsce, opisanie sprawy Toruńskiej z r. 1724 i t. p. Nie można tu wreszcie pominąć własnych uwag autora, z którymi się na wielu miejscach rozpiisał: o stanie nauk i oświaty krajowej, o Akademii krak. i jej zatargach z Jezuitami, o polemice prowadzonej z zwolennikami reformy, uderzają zwłaszcza piękne pomysły dziejowe w życiorysach Rzeszowskiego, Tomio-

kiego, Trzebiickiej i Szaniawskiego. Zbyteczne jednak zdają nam się owe częste apologie za Jezuitami, których zasłudze nikt nie przeczy, pokąd nie spełnili swój głównej missyi w potłumieniu reformy. Od tego, co poza jej obrębem działali na szkodę kraju, nie obroni ich ani słabość narodu, który mógł poddać się przewadze wszechstronnej jednego zakonnego grona, ani płynące od obcych zepsucie smaku w naukach, którego z tej miary Jezuitom wyłącznie przypisywać nie można, ani pojedyncze przykłady światła i patriotyzmu, w epoce Balsamów, Bohomolców i Naruszewiczów, bo wtedy Jezuita nie byli już samemi sobą: i nie z ich żywiołu zapewne wypłynęła reforma Konarskiego, która odjęła im głos, podobnie jak oni odjęli go wprzód dwom świeckim akademiom.

Nieobojetną częścią życiorysów autorów są powiastki i anegdoty, gdzie indziej nader piękne i ciekawe, które on z dziejów życia domowego, niekiedy z krążących jeszcze między żyjącymi podań zbierał, i kreślone przez siebie charaktery i fizjonomie starannie niemi uzupełniał. Taką jest między innymi powiastka o garnuszkach Szaniawskiego, tradycya wyniesiona z domu Łętowskich; taką anegdota o Małachowskim biskupie, zasłyszana przez samego autora. Tu należy wzmianka o legendach, obficie i z szczególnym upodobaniem w tém dziele nagromadzonych, o których sam autor pięknie w ten sposób się wyraża „*Legendy są szacownym pomnikiem prostoty i rozumu naszych ojców. Gdy prawa były słabe, legendy nabożne trzymały umysły na wodzy i prowadziły do bojaźni Pańskiej. Nie uczono tego po kościołach, ale rosły jak fiołki za kościołem po cmentarzu. Mają one i dziś swój urok dla serc prawych i czystych.*” Są niektóre pełne historycznego znaczenia: jak np. legenda w życiu Przemiankowskiego, o rozmowie jego z wilczą potworą, nastęrczająca domysł, nie była-li to podobna naprawa ku powściągnięciu nadużyć biskupa, jakiej mało co pierwój użył Gedeon za Mieczysława? Długosz, Bielski, Starowolski, Niesiecki, nawet Skarga w swoich żywotach, zapisywali podobne legendy, a miał ich najwięcej wiek XVII. (W Siejkowskim i Nowowiejskim, każdy niemal Dominikan po śmierci przychodzi na rozmowę do jednego z braciszków). Były bezwątpienia w duchu dawnych czasów: do naszych mniej przystają.

Ma pióro autora Katalogu niezaprzeczone zalety, między którymi ta najcelniejsza, że w zdaniach i pomysłach swoich wszędzie jest oryginalny. Nie trzyma on się niewolniczo cudzych

sądów, ale ma własny rzut oka, często uderzający wielką trafnością, a nawet własny swój styl i język. O języku tego pisarza należy sądzić uważnie. Wiek XVI z języka ludowego kształcił i urabiał język piśmienny: autor Katalogu język dzisiejszych pisarzy cofać chce i nawracać do języka ludowego. Wówczas ścierano z niego barwę tak zwaną gminności i prostoty; autor Katalogu naodwrot, polor i ogładę miejską ściera z umysłu, i obnaża mowę do form prostych i gminnych. Nie jestto w rzeczy samej ani język Zygmuntowskich czasów, ani język dzisiejszy piśmienny: raczej ludowy, albo właściwiej mówiąc, jego naśladowanie. Ta skłonność instynktowa do zwracania mowy ojczystej ku kolebce jej pierwotnej bezwzorowości i prostoty kto wie, nie jest-li przecuciem nowej epoki?

Inna rzecz co do stylu. Trafnie powiedział któryś z pisarzy (podobno Buffon), że *styl jestto sam człowiek, i wtedy najlepszy, gdy nie jest naśladowany i cudzy*. Styl autora Katalogu ma odrębne od wszystkich znamiona. Wyrobił go pisarz ten wyłącznie dla siebie: w całym piśmiennictwie nie znalazłbyś pewnie jego wzoru. Nie odwołujemy się z nim do sądu stylistów i znawców; ale jeśli godzi się oceniać go według wrażeń, jakie sprawia na nieuprzedzonym i nieco z nim oswojonym czytelniku, przyznać należy, że w swój szczerocie i naturalności ma jakiś wdzięk ujmujący, który bywa urokiem i tajemnicą prawdziwego tylko talentu. Są miejsca w Katalogu biskupów, których naczytać się nie można, chociaż nie dostrzeżesz w nich żadnego kunsztu pisarskiego, żadnych uczonych i wzorowo układanych kształtów, chyba umyślnie zaniedbanie.

Pięknie o języku polskim i sposobie pisania wyraził się sam autor, ktorego tu słowa przytaczamy: „*Rozum narodu chowa się w język, a tykać się go, jestto występować na jego majestat, i napaść czynić na własność wspólną i najświętszą.*” „*Piękność mowy jest na logicznym szyku wyrazów, i na zdrowém rozumieniu tych wyrazów, z czego urasta ona mowa stateczna i wdzięczna, tak jak myśl i dusza człowieka poczciwego. Nie myślimy słowami wykrećanemi, ani myśli nasze są zadaniem do odgadywania, przy normalnym stanie duszy i rozumu. Ojcowie nasi zbudowali sobie pomnik piękny w przesłicznej mowie. Czyta się ich, jakby rozmawiało się z ojcami swemi.*”

Tyle o *Katalogu biskupów krakowskich*, książce szacownej, która w ręku wszystkich miłośników nauk, a osobliwie duchownych, znajdować się powinna. Nie jest zapewne dzieło to bez

usterków. Uczuwa się w niém niekiedy brak należnego wyboru, a częściej porządku w zapisywaniu zdarzeń; dostrzegają się miejscami sprzeczności w datach historycznych. Są, którym pogląd dziejowy autora zdaje się jednostronnym, a za wadę zwykłą położycyby można częste powtarzania się w myślach i wyrażeniach. Ale któreż dzieło, a zwłaszcza naukowe, od skaz podobnych mogło być kiedy wolne? *Ubi plura nitent, non ego paucis offendar maculis.*

Nie wspomnieliśmy tu o samém sprawozdaniu autora, o tych zwłaszcza utyskach, w których podobało się autorowi (na końcu przedmowy do tomu I) osobiste uczucia swoje otworzyć przed czytelnikiem. Każda wyższa zasługa jest męczeństwem: przeto przywiedziemy mu ten wiersz znanego poety, który podobno większa część zacnych i zasłużonych mężów może zastosować do siebie:

Nasz to obyczaj: cierń w życia przeciągu
Kładź wam na głowy, kwiat aż na posągu!

Kończąc te krótkie uwagi, odzywamy się do szanownego autora z tą powszechną prośbą i życzeniem, aby zapowiedziany *Opis katedry krakowskiej*, na który z utęsknieniem oczekujemy, starał się jak najrychleń wydać na widok publiczny. Będzie to zaszczytne i godne prac jego uwieńczenie; pomnik wiekotrwały, który znaczeniem swoim i powagą, jak nieplonnie po nauce i zdolnościach autora Katalogu`tuszmy, odpowie przedmiotowi takiej wielkości. Dotąd bowiem, w zwiedzeniu tego ojczystego Panteonu, obywamy się posługą ladajakich tłumaczów i czyczernów, niepowołanych do pióra i dających (jak np. w *Pamiętce z Krakowa*) opisy zimne i niedokładne, przy których ani urośniesz na duchu, ani z przybytku tylu wielkich pamiętek wyniesiesz pociechy i zbudowania.

CZAS DODATEK MIESIĘCZNY za miesiąc luty obejmuje: dalszy ciąg Ignacego Domejki: Czteromiesięczną podróż z Paryża do Chili w r. 1838: pełna ciekawych szczegółów i obrazów z życia marynarzy.—Opis towarzystwa płynącego, zwyczajnie na okręcie, rozmaite postacie dobitnie odmalowane w ciągłym zajęciu utrzymują czytelnika. Część ta podróży Domejki, zakończy się przybyciem do przylądka *Nero* niedaleko zatoki Rio Ja-

neiro.—Ciąg 2ⁱ Negocyacyi ze Szwecyą o pokój 1651—1653, przez B. Kamińskiego.—Białe kwiaty, fantazyą Cypryana Norwida.—Ustęp z Wita Stwosza, poematu Wincentego Pola, obejmuje rozmowę Stwosza z wnuczką. Przywiedziem tu mały ustęp, gdy Stwosz w Norymberdze osiadły wspomina o mieście swoim rodzinném.

„Czarna mię dola w te kraje zaniósła,
 Żal mi cię wnuko żeś tutaj wyrosła!
 Jam się urodził w Polsce i w Krakowie,
 I z tchnień ojezyny brałem wielkie zdrowie;
 Tyś nie zaznała już onego miasta,
 Co się nad Wisłą w równinie rozrasta,
 Jako mój naród jest rycerz orężny,
 Tak twierdzą jego, jest ów gród potężny:
 Bo jest w ogniwa mnogich baszt ujęty,
 Floryańską bramą jako pierścień spięty:
 A wielce rządny i bardzo ozdobny;
 A kształtem dziwnie do orła podobny:
 Bo orła głowa, to zamek w Koronie,
 Szyja i nogi, to grodu ulice,
 A piersi, rynek strojny w *Sukiennice*,
 A bujne skrzydła rzucił na dwie stronie,
 I srebrne puchy tak nastrzępił srogo,
 Że mu się ludzie wydziwić nie mogą.
 Inni znów dzieją, że ów Kraków stary,
 Ozdobnej lutni przypada do miary,
 Na której Pan Bóg sam nawiązał strony,
 Aby grał światu jako lutnia wcale,
 Bo te kościoły niby pieśni tony,
 Co przyświadczają wielkiej Jego chwale.
 Inni znów dzieją, że ten gród ozdobny
 Do rycerskiego łuku jest podobny,
 A naród jego to niby cięciwa,
 W ręku rycerskim, jako strona żywa!
 Jak Orzeł hasłem jest polskiej korony,
 Jak lutnia Pana na niebiesiech chwali,
 Tak téż jest rządnie i gród postrojony,
 Tak chwałą Pana i wielcy i mali.”

Lucyan Siemieński w *przeglądzie piśmiennictwa*: zwraca uwagę na tłumaczenia poetycznych pomników literatury starożytnej mówi o trudnościach w doskonałym odwzorowaniu oryginału: gdyż różnica cywilizacyi i ducha języków stawia nieprzełomne zapory tłumaczom.

„Pomimo najlepszych studyów (słowa L. Siemieńskiego) z wszelkiém tłumaczeniem dzieje się to samo, co z operacyą che-

miczną, w czasie której ulatnia się treść ciał poddanych analizie. Nigdy też sztuka tłumacza nie może zapobiedz, aby się nie ulotniła i nie zwietrzała najistotniejsza cząstka oryginału: przybliżenie tylko może być większe lub mniejsze, i w tém cała zasługa, aby jak najbliżej zetknąć się z oryginałem. Przekalkowanie samych słów, choćby w porządku jak idą po sobie w tekście, nie daje bynajmniej zadawalniających wypadków: owszem ten rodzaj niewolniczego tłumaczenia, okupywany bywa kosztem i dobrego smaku, i harmonii, i natury języka, którym się tłumaczy: tak dalece, że czytając podobny przekład, tyle się zeń korzysta, ile z samego oryginału, kiedy go się nie rozumie. Uważałem, porównywając różne przekłady Homera, że nasz język ma niezmierną wyższość nad innemi do oddania wszelkich cudownych własności pierwotworu greckiego, a to z téj przyczyny, że podobnie jak język grecki jest malowniczy, pierwotny, prosty w swoich wyrażeniach, a przytém jakby stworzony na oddanie kształtów i barw; tak i nasz, lubo nie w tym stopniu, ale bardzo przybliżenie, posiada te same przymioty, zwłaszcza odkąd zrzucił ze siebie pęta frazeologii, i zaczerpnął téj naturalnej swobody i malowniczości, jaka znamionuje pieśń gminną lub powieść. Każdy język urobiony na szkolnej loice i retoryce, rozumujący i metafizyczny, mający zdolność oddawania odcieniów myśli, a nie zewnętrzną stronę rzeczy, nigdy nie podola Homerowi, i jeśli się porwie nań, przegra sprawę, jak ją przegrali bez apelacyi *Cesarotti*, *Pope*, *Bignan*, nasz *Dmochowski* i tylu innych, co mimo zdolności pisarskich, minęli się z oryginałem.

„Niektórzy przyjmują za zasadę, że tylko ta epoka zdolną jest przekładać jakiego starożytnego autora, która zostaje w analogii z tą epoką w jakiej żył ów autor: lecz w dziejach ludzkości trudno znaleźć dwie epoki, kropla w krople podobne sobie, zwłaszcza że różnica narodowości i wyobrażeń religijnych zawsze będzie niezmierna. Mimo tego, w tém cokolwiek prawdy, gdy przekłady Biblii i Homera dokonane w wiekach czerstwiejszej i prostszej wiary, rycerskości i śmiałych przedsięwzięć, mają dziś dla nas jakąś woń starożytną, jakąś wielkość w prostocie a w samém słowie zwięzłą moc, i coś tak wyrazistego, że nowszy pisarz może i płynniej i wdzięczniej i głębiej to samo powiedzieć, ale sposób jego powiedzenia niezawsze potrafi tak uwydatnić kształty zmysłowe, ani tak je narzucić barwami, jak to miały robić wieki mniej wykwintnej cywilizacyi. W niewyrobionych językach było coś co miało analogią z homeryczną

lub biblijną prostotą. Na dowód weźmy jeden ustęp z Iliady przełożony przez Jana Kochanowskiego: o ileż on bliższy swego wzoru od późniejszych z przeszłego wieku tłumaczeń! Jeżeli czego żałować, to że Kochanowski nie dokonał całego przekładu Iliady, nie już rymem, bo ten widocznie mu zawadzał i plątał potoczność opowiadania, ale wierszem białym użytym tak szczęśliwie i wzorowo w *Odprawie posłów*. Spokój, powaga, zwięzłość i dosadność słowa, a nadewszytko to odgadnięcie greckiego ducha, którym Kochanowski wyprzedził wszystkich nowożytnych pisarzy, co go odgadnąć usiłowali: zgoła te nieoszacowane w tłumaczu przymioty, mogły przyczynić się do prawdziwego wzbogacenia naszej literatury przekładem, którymby równego nie znalazł w żadnym języku. Kochanowski, prawdziwy twórca poetycznego naszego kodexu, miał już przeczucie pieśni gminnej, jak tego ślad zostawił w święto-Jańskiej sobótce: był więc w części panem tajemnicy, odsłaniającej mu zagadkę wieków Iliady i Odyssei. Rzecz dowiedziona, iż sam język książkowy, czyli taki jakim go robią ciała akademiczne, lub szkolna retoryka, lub nareszcie wykwintne wymagania wyższych towarzystw dworskich, nigdy niepodoła tej swobodnej prostocie cechującej zazwyczaj wszystkie utwory młodzieńczości narodów: nie podoła tym epopejom religijnym, bohaterским, jak biblijne ustępy, jak Edda, poemata homeryczne i t. p.

Dzisiejszy nasz język, ile stracił na zwięzłości, barwności i tej mężkiej energii, będących własnością pisarzy Zygmunto-wskich, tyle znowu zyskał na giętkości, dającej się użyć do każdego przedmiotu: bogaty w cieniujące wyrażenia, zdolnym się staje do oddania wszelkiej myśli lub obrazu, a i prostym być umie, przez przyswojenie sobie form i wyrażen i toków mowy, pieśni i powieści gminnej. Władając nim, czyli będąc panem starego naszego języka i nowego żywiołu, można się już łatwiej pokusić o przelanie na polskie tych nieśmiertelnych wzorów, które zawsze będą wszystkich tłumaczy przyprawiać o rozpacz". Przystępuje następnie L. Siemieński do przekładów ze starożytnej literatury, jakie się od lat kilku u nas pojawiły.

„Choć to nie zastanowiło dzisiejszych krytyków, co z wyzyn swoich ledwo półgębkiem raczą uwzględniać tłumaczenia choćby najklassycyjszych autorów, postrzegamy nieśmiały jeszcze, lecz dość już wyraźny przekłon ku studjom starożytnym, szczególnież greckim, co choć niepostrzeżenie i nie gwał-

townie, zawsze jednak niepomału przyłożą się do nadania płodom wyobraźni owego stępla nie tak łatwo ścierającego się w steku pospolitości. Ostatnich kilka lat przyniosło nam wcale niezłe przekłady Sofoklesowych trajedyi przez Kazimierza Kaszewskiego. Tłumacz użył rymu, i w tém dowiódł, że szczerze myślał o wykonaniu artystycznego przekładu: lubo z drugiej strony, wiersz jego nie ma jeszcze téj gibkości, styl téj mocy i malowniczości, aby zupełnie wypowiedał myśl oryginału z właściwą mu precyzją, a razem żeby te zabytki oddawał z ową starożytną śniedzią, nadającą świeżemu przekładowi pewną oryginalność, a co tylko potrafi poeta umiejący wcielić w siebie ducha, jak nieraz ukrywa się pod zmartwiałą formą, lub zwietrzałym słowem.

„Małeckiego *Elektra* ma wiele wartości pod względem filologicznym: zaleca się wiernością, ależ właśnie to zbytne trzymanie się oryginału, odjęło przekładowi jasność i wdzięk. Tłumacz nie szukał w toku polskich wyrażen się szczęśliwego oddania myśli textu greckiego, ale szedł posłuszny za nim. Obrany w przekładzie miarowy wiersz zdał mu się być łatwiejszym do ścisłego odwzorowania oryginału, a tymczasem podejrzana ta, a zawsze monotonna miarowość popsula potoczystość dykcji, i ledwo nie zdefigurowała Sofokla. Wszystko to są próby wielce zaszczytne i wielkiej ceny, bo łamią te lody jakie nas dzielą od starożytnych, bo przygotowują język i formy za pomocą których zostaną kiedyś przyswojeni naszej literaturze, nie wątpię, lepiej i prawdziwiej, niż ich przyswoić sobie umieli sami Niemcy, służący dotąd tłumaczom naszym za wskazówkę w sposobie, w jakim wykonywać się mają przekłady klasyków. Najświeżej ogłoszone tłumaczenie Eschylesowego Agamemnona przez Węclewskiego, ma już wybitniejsze zalety: wiersz biały nie bez szczęśliwych zwrotów i trafnych wyrażen, pozwala czytelnikowi dopatrzeć tych piękności, jakie się mieszczą w Eschylu: lubo nie powiem, żeby sposób oddania myśli i obrazów, nic już do życzenia nie pozostawiał: brakuje tych dotknięć mistrzowskich, co jedném słowem, jednym zwrotem ozywiają cały obraz, a przecież w *Crastei*, a szczególnie w Agamemnonie, pełno jest miejsc porywających poezją. Tłumacz w chórach, których Eschylesowe trajedye mają najwięcej, i to olbrzymich lirycznych piękności, widział potrzebę uciec się do rymu, jakby téj samej potrzeby nie było, i w części czysto dramatycznej? Wszakże tak w wierszu jaki obraz, jak w rymach

które rozproszył, niepodobna dopatrzeć się, ani muzykalnej harmonii, bez której nie ma poezji lirycznej, ani jakiego sensu, bez którego znowu nie być nie powinno. Prawda, że chóry Eschylozowe są ciemne, teksty poszarpane tysiącami lat, przeskoki gwałtowne, metafory niespodziane, ale dlatego w przepolszczeniu wypadło nadać temu szyk zrozumialszy, bo myśli zawsze dopatrzeć można, a dopatrzywszy, oddać przystępniejszym tokiem”.

Zakończa swój *Przegląd piśmiennictwa* rozbiorem hymnów kościelnych, tłumaczonych przez metropolitę Hołowińskiego (Kraków 1856 r.).

„Hymny te (pisze) opiewające chwałę Boga i świętych Pańskich, złączone ściśle z liturgią kościoła rzymskiego, nigdy nie przestaną rozlegać się w przybytkach poświęconych chwale bożej, bo, jak mówi stare łacińskie przysłowie: qui cantat bis orat. Nietylko są one częścią integralną liturgii, ale będąc utworami wielkich ojców kościoła i świętych, przez to samo wzbudzają to poszanowanie, jakie wierni mają dla świętego słowa. Niemniej uważane pod względem poetyckiej, literackiej ich wartości, przedstawiają się nam jako jedyny skarbiec liryki chrześcijańskiej. Po wykwintnym artyzmie pogańskich poetów, zjawia się ta prosta pieśń, złożona wcale nie klasyczną łaciną, gwałcąca prozodyą, używająca nawet rymu: pieśń tak biedna, tak pogardzona w swojej zewnętrznej postaci, jak który z niewolników przywleczonych z nad Dunaju, co nawet nie jest człowiekiem w oczach każdego z tych purpurowych poetów uwieńczonych różami, co w kole biesiadników spitych maszykiem lub falernem filozofują nad życiem, które im ucieka. Biedna pieśń! Plunąłby na nią autor listu do Pizonów, jak na niezgrabnego niewolnika coby mu stłukł dzban etruski: ale podnosząca upadających pod cierpieniem, ale rozszerzająca horyzonty życia po granice wieczności. W chrześcijańskiej poezji rzecz można, nie było żadnego przejścia, bo co ten duch zaraz w początkach owiał, przybierało formę znikomą, lachman zebraczy, pod którym rosła myśl ofiary, uczucie nieskończoności, wiara w nieprzemienną prawdę. To już się stało cechą nieodłączną od poezji chrześcijańskiej, nowożytniej, która odzywając się do prostaczków, nie mogła być wykwintną, bogatą w ozdoby, nastrzępioną erudycją. Ztąd i hymny kościelne możnaby nazwać rodzajem poezji gminnej, z tą różnicą, że

się odzywały nie właściwym każdemu narodowi językiem, ale językiem powszechnym, słowami kościoła". Uważa przeto prostotę jako główny warunek tłumacza tego rodzaju zabytków. „Ks. Hołowiński, szczęśliwie wyszedł w wielu hymnach z tej próby, lecz w ogóle dał przykład więcej kunsztowny, niż tego rodzaju liryka znosi; przekład, który może zachwycić każdego wykształconego czytelnika, ale nie wiem czy potrafi te dawniejsze przekłady wyrugować, jakie się mieszczą w naszych śpiewnikach, przekłady proste jak kantyczki, źle rymowane, bez wdzięku stylu, ale jakos odpowiedniejsze duchowi nabożeństwa". I te zdanie swoje popiera przykładem.

Powieść: *Derwisz trzeci* tłumaczona przez Alexandra Chodźkę, zajmuje tak treścią swoją oryginalną, jak właściwą barwą, i wybornym przekładem. Kończy ten zeszyt *Fakt i prawo* p. Maurycego Manna; Kronika obejmująca korespondoncyę z Krakowa, Lwowa, i kilku stolic europejskich.

„Starodawne prawa polskiego pomniki poprzedzone wywodem historyczno-krytycznym tak zwanego prawodawstwa Wiślickiego Kazimierza Wielkiego, w texcie ze starych rękopism krytycznie dobranym, wydał Antoni Zygmunt Helcel. Tom 1. Nakładem księgarni Gustawa Sennewalda w Warszawie 1856. Czcionkami drukarni C. K. uniwersytetu w Krakowie. (W 4ce. Stron. CCLVII i 428; kart 4 tytułu i spisu rzeczy).

Dzieło to, które jako pomnik literatury polskiej w późne wieki przejdzie, zająć musi zarówno prawnika jak i badacza ojczystych dziejów. Na próbę stylu historycznego, podamy tu ustęp z rozdziału VIII: „O zawodzie rządów i prawodawstwa Kazimierza Wielkiego.”

„Nie w błogim stanie zostawił kraj młodemu dziedzicowi swemu umierający dzielny Władysław Łokietek. Pod wskrzeszoną królewskiej godności koroną. połączył wprawdzie ten monarcha długo rozdzielone dzielnice Małej i Wielkiej Polski; lecz ślady dwuwiekowego niemał rozdziału pozostały jeszcze i w wielu publicznych instytucjach prowincyi, i co gorsza, w odosobniają-

cych się dążnościach obywatelstwa. Szląsk pod swemi wyrodowicznemi książętami, de facto odpadł do Czech jak lenno. Mazowsze pod innymi znów Piastami stało osobno, częścią również Czechom hołdując, częścią dręczone i korne pod przemocą krzyżaków. Przez tenże zbrojny zakon ovladnione Kujawy, widziały swych książąt chroniących się daleko pod bok skolatanego Łokietka; a Pomorza losy zaczęły już wtedy przez zabór krzyżaków przechodzić w zakres dziedzin przekazanych ostatecznie rozwinięciu się tryumfującego germanizmu. Zacięty a potężny Luxemburezyk, nie mogąc uiszczyć powziętej myśli dzierżenia polskiego berła obok czeskiego, jakby zły geniusz Polski, nie przestał nigdy prześladować jej jawnym bojem, lub nienawistną a pełną bezwstydnego fałszu intrygą. Na zgubę kraju, którego królem się pisał, spoił się z teutońskim zakonem, nie swemi Polski ziemiami frymarczył na jego korzyść; na jego korzyść w brew jawnej prawdzie orzekał rozjemcze warunki traktatów; na jego korzyść roznosił po Polsce mordy i ogień. Zakon krzyżowy przez Łokietkowego dziada dla straży granic polskich wprowadzony i pielęgnowany, za wnuka już był głównym pognębecą kraju, a na chwilę nawet potęgą dyktującą Polsce warunki. Rozsiadłszy się na dobre w rozległych Polski ziemiach Prus, Pomorza, i Kujaw, przy końcu panowania Łokietka hufce mnisze zajęły niemal całą Wielkopolskę, a wyszedłszy z niej, zostawiły w krwią zbryzganą pustkę, czarne tylko zgłuszcza powszechnój pożogi. W domiar niedoli, widziała ówczesna Polska klęskę swą największą, ohydłą matkobójczą zdradę Szamotułskiego i jego wielkopolskiej partyi.

Takiemto brzemieniem nieszczęść zewsząd przywaloną krainę objął w dziedzictwie po ojcu młody Kazimierz: a przytém wycieńczony skarb ze szczerem, zwątloną władzę i sprawiedliwość miejscowych rządów i sądów, wyniszczoną ziemię, wynędzony lud, znękaną, zwaśnioną w swych partyach, i nieufającą sobie wzajem szlachtę i panów. Jedynym zapasem materialnej siły do pokonania takiej powodzi złego, była pomoc przyjaznych Węgier i zsojuszonej do czasu Litwy; jedynem źródłem siły moralnej był patryotyzm szczerzy ziem kilku i zapal całego dochowienia. Podniecała też ducha zańczy, jawne eboć niestety zbyt późna cześć dla konającego wśród niedoli kraju króla starca, który całe swe życie na szermierstwie z przeciwnymi losami przetrwał.

Przeciwno grożącemu zewsząd naraz jeden niebezpieczeństwu były takie siły kraju i króla kruchym tylko jak trzcina orężem. Nie o pomście i wetowaniu wszystkich krzywd doznanych, lecz o unikaniu nowych, myśleć wypadało naprzód. Tak dyktował polityczny rozsądek, który w nowym królu wzmocnił zapasy siły moralnej. Całe jego panowanie przedstawia obraz powolnego lecz pewnego i skutecznego odzyskania strat i odbudowywania dawniej potęgi państwa. Umiał czekać na porę korzystniejszą, a potem mądrze i rączo działał przy każdej zdarzonej okoliczności; rzekał się tego, za czém gonić bez narażenia na zgubę kraju nie było już warto, a szukał nowych nierównie więcej obiecujących na przyszłość i łatwiejszych w samym osiągnięciu korzyści; przezornie wczesne środki przygotowywał do celów odkładanych na późno; był ostrożnym nawet ze sprzymierzeńcami, uprzejmym nawet z nieprzyjaciółmi; łagodnym dla kornych, srogim dla butnych poddanych, baczny na wszystko i zawsze.

Trzeba było przedewszystkiém uwolnić sobie gardło z pod dławiącej żelaznej ręki krzyżaków i odsunąć stanowczo niebezpieczne króla czeskiego roszczenia do polskiej korony. W tym celu przedłużono zrazu zawieszenie broni, a następnie zawarto traktat Wyszogrodzki, i Kazimierz rzekł się autentycznie praw swój korony do Słazka, który dla Polski już tylko mógł być zgangrenowanym członkiem ciała z resztą zdrowego; lecz zyskał natomiast zrzeczenie się Jana Luxemburczyka wspomnianych jego roszczeń. Z Czechami i Węgrami zawarłszy ligę zaczepną i odporną przeciw cesarzowi Ludwikowi i Albertowi Rakuskiemu, zobojętnił tém samym najniebezpieczniejszy przeciw sobie sojusz czeskiego króla z krzyżakami. Zdając się na sąd arbitralny królów Czech i Węgier w sprawie krzyżackiej, musiał wprowadzić przyjąć twarde warunki zostawienia krzyżakom Pomorza i ziemi Michałowskiej; lecz zyskał przynajmniej uroczyście zawarowany zwrot Kujaw i Dobrzynia, i otworzył sobie pole do długo tentowanych innych środków, aby na drodze negocyacji i wyroków Rzymu, straty Pomorskie odzyskał. Dopiero gdy wszystkie środki chybiły, odstąpił tych prowincyj krzyżakom traktatem Kaliskoinowrocławskim, lecz snadź tylko jako lenna, z nadzieją późniejszego onegoż odzyskania (1).

(1) Niedawno wydane przez hr. Działyńskiego obszerne akta długiego sporu Polski z krzyżakami, nauczają nas dziś dokładniej, że znany nam dotąd urzędowy spiszek traktatu kaliskiego, nie jest rzeczywiście do-

Kroków gwałtownych i rączych nie dozwala królowi wątpliwa z Janem czeskim zgoda, która rzeczywiście znów się wkrótce w otwartą wojnę zmienić musiała, i przywieźdź za to Kazimierza do ligi raczej z cesarzem. Lecz co większa, zwrócona uwaga króla na nabytek ważniejszego i bliższego dziedzictwa Rusi po zgonie mazowieckiego księcia Bolesława Trojdenowicza, wzbraniała mu wplątać się w niebezpieczniejsze o Pomorze zachody. Nie była też korzystną dla zaspokojenia krain niepewność następstwa na tron polski po królu próżno oczekującym mężkiej płci potomka. W miejsce nieprzyjaźni Jana Luxemburczyka, którą śmierć jego dopiero rzeczywiście umorzyła, nastąpiły właśnie z Brandeburskim margrabią, przeciw któremu właśnie z Karolem IV cesarzem synem owego Jana, łączyć się i sojuszyć wypadło. Należało też od ziem Mazowsza usunąć roszczenia cesarza, i nowemi węzłami ściślej tę obszerną krainę związać z losami macierzyńskiego państwa. Ztąd wypłynęło zawarowanie następstwa na tron polski węgierskiemu pokrewnemu księżęciu w uroczystych dwukrotnych umowach, za którym poszła stanowcza pomoc węgierska w wojowaniu Rusi i Litwy, a przyznanie uroczyste Polsce tej znakomitej krainy. Ztąd z Karolem IV zawarto traktat w Namysłowie, w Budzie i w Pradze, gdzie cesarz obiecał nawet pomoc ewentualnie przeciw krzyżakom i Brandeburom. Ztąd bezpośrednio owładnięcie Księstwa Płockiego a później uroczyste homagium Ziemowita księcia na całej reszcie Mazowsza, uznającego swą zawisłość od Korony. W odzyskanych Kujawach i Dobrzyniu, w przymocowanym Mazowszu i poskromionem brandeburskiem pograniczu, odżyła więc dawna potęga państwa Polskiego. W odziedziczonej i zawładnionej nie bez długich bojów Rusi, powetował się sownie ubytek Pomorza. W zabezpieczeniu następstwa tronu, i najściślejszych a zawsze zbawiennych związków z Węgrami, tudzież w utwierdzeniu zgody i przychylności ze strony Karola IV było obfite wynagrodzenie za odstąpienie nominalnych już niemal tylko praw zwierzchnictwa nad Szlązkiem. Bez wywołania burzy gro-

kładnym i kompletnym dokumentem ugody. Razi w nim brak warunków wiążących zakon, o których przecież jest ogólna wzmianka. Zeznania świadków o zależności lenniczej odstąpionych ziem krzyżakom, które już Naruszewicz przytaczał, są bardzo ważne. Cb. „Lites” etc. t. II fol: 42, 126, 135, 136, 145, 146, 163, 170, 173, 177. 218, 231, 248, 293, 310.

zając całości a nawet istnieniu Państwa w początkach panowania, przywiódł je Kazimierz do stanu tej potęgi i poważania w Europie, jakiego od dawnych wieków nie miało. Objawem tego najlepszym był ów świetny w roku 1363 w Krakowie cesarza, czterech królów, i pięciu możnych książąt kongres, na którym za naleganiem papieża, Kazimierz był rozjemcą sporów cesarza z węgierskim królem, i na którym nie o polskich sprawach traktowano, lecz o sprawach tak pojedynczych państw obcych, jako też ogólnego interesu Europy przeciw grożącej nawaie Turków. Już wtedy zakon krzyżaków nie był potężniejszym od Polski: a dlatego skorszym był naprzód do uregulowania granic Kujaw od Pomorza; a następnie z milczeniem patrzył na wzmacnianie się przewagi króla w sąsiednim Mazowszu, i na bezpośrednie jego objęcie dzielnicy kujawskiej Władysława Białego księcia na Gniewkowie i Bydgoszczy. Przyjmował mistrzowskiem ze czcią króla w Malborgu, choć mu nie mogły być tajemni wczesne i przezorne jego układy z cesarzem Karolem o pomoc w wojnie rekuperacyjnej przeciw krzyżakom.

Rzeczywiście, tak te układy dwakroć ponawiane, jak też przybranie na nowo w tytułach i pieczęciach królewskich nazwy księcia i dziedzica Pomorskiego, objawiały dalszy Kazimierza zamiar odzyskania nawet mocą oręża, odstąpionych krzyżakom niegdys z musu prowincyj. Król i kraj już był do tego gotowym: tak iż świadek współczesny opowiadał, iż gdyby Kazimierza życie o rok się jeszcze było przedłużyło, byłby orężem sięgnął po to, co państwu za czasów ojca wyrwano (1).

Do tego nowego rozmnożenia się Polski, nie przyczyniły się ani skarby obce, ani obcy przyjazny oręż. Siły państwa w kraju same się wzmogły przez mądre wewnętrzne reformy. Rzuć dziś po dawniej Polsce okiem, a między ruinami starych murów grodowych, które spostrzeżesz, większą połowę naliczysz Kazimierza ręką dźwiganych. Ujrzysz jego dzieła w wspaniałych świątyniach, pałacach, ratuszach i składach handlowych w każdym znacniejszym mieście. Pod nimto bogactwami swemi zasłynęły w miastach Wierzyńki; on pierwszy wskrzesił matkę oświaty polskiej, tę tak zwaną „nauk przemożnych perłę”, krakowską wszechnicę. On urządził królewskich dóbr ekonomia i bogate soli i srebra żupy, on poprawił monetę i zreformo-

(1) Ob: Świadcetwo marszałka koronnego Zbigniewa, w dziele „Lites” t. II fol: 259.

wał system mencienny: on w latach urodzaju gromadził zboża w składach, by w latach gorszych, spichrze publiczności otwierał: on torował i przywilejami warował najważniejsze trakty handlowe: on w ryzę wprawił powinności starostów i rządców, i umiał surowemi karami utrzymać karność najprzemożniejszych baronów: on prawa tautońskiego urządził jurysdykcyę, przeczynał autentyki ksiąg Magdeburckich, i ściaęnął do kraju wywozione przedtęm do Niemiec apelacye kosztowne. Takie dokumentami udowodnione fakta, już nie na domysł, lecz jawnie i rzeczywiście wykazują Kazimierza przemożny reformacyjny geniusz; i uznala to blizka nawet po nim potomność, która zaprawdę nie dla wojennych jego czynów nazwała go Wielkim. Nieodmawiajmyż mu więc tego najwidocześniejszego w nim charakteru, który w tak plastyczną piękną jedność łączy czyny jego z widocznymi w dziejach skutkami o osobę jego, z blaskiem chwały i potęgi, w jakim Polska pod nim stanęła.

Nie dziw więc, że w paśmie działań takiego jak Kazimierz króla, na jaw występuje w jasnych kolorach prawodawcze jego działanie.

Jego pojedynczych instytucyi i reform w kraju, pozostały pojedyncze wyraźne na piśmie świadectwa. Tak wielki bowiem zastał zamęt, i tak silnie czuł potrzebę stanowczego ustalenia ładu, iż nie mógł być poprzestać na potocznie dawanych rozporządzeniach. Tęm bardziej więc naglił zaś czas i okoliczności, do ustalenia prawa krajowego w formę jawniejszą i pewniejszą pisanych statutów. Przy przywróceniu ładu, bezpieczeństwa, i zamożności w kraju, taki jak Kazimierz restaurator państwa, musiał i praw dawniejszych reformę podjąć, a taka reforma, bez pisanego prawa już w owęj dobie obyć się nie mogła. Za czasów pierwszego budownika państwa Polskiego, Bolesława Wielkiego, Statut pisany byłby był niczém: króla dzielnego osoba musiała wtedy być żywym statutem. Przeciwnie, za czasów naprawiciela Polski, Kazimierza Wielkiego, w statucie pisanym król sam żyć musiał:"

Nakład cały składa się z 590 exemplarzy: cena rsr. 9 czyli złp. 60; co zważając na tak szczupłą liczbę odbitych exemplarzy, a wielkość księgi, bo obejmującej do 80 arkuszy ścisłego i sumiennego druku, nie uważamy jęj za wygórowaną, raczej za wiele umiarkowaną. Na tytule wyrażono, że to tom pierwszy: ale wydane *Pomniki* stanowią same w sobie zupełną całość. Księga wydana dzieli się na dwie części. Część pierwsza obejmuje: hi-

storyczno-krytyczny wywód tak zwanego Wislickiego prawodawstwa Kazimierza Wielkiego. Rozdziały I. Wstęp: o zamiarze i stanowisku dzieła. II. O rękopiśmiennych dawnych zabytkach Statutów staropolskich. III. Mniemania, jakie były dotychczas o pochodzeniu statutów Kazimierza W. IV. Krytyka badań i zdań Lelewela. V. Krytyka badań i zdań bezimiennego autora „*przyczynku*.” (Jestto rozbiór rozprawy Romualda Hubego umieszczonej w Bibliotece Warsz.). VI. Nowy krytyczny rozkład pospolitego tekstu statutów Kazimierza Wielkiego. VII. Historyczne dochodzenie daty każdego ze czterech rozłożonych statutów. VIII. O zawodzie rządów i prawodawstwa Kazimierza Wielkiego. IX. O statutów Kazimierza W. późniejszych układach i zwodach, tudzież o naukowém ściąganiu ich treści w summy. Część druga obejmuje tekst źródeł w 5 ustępach. 1. Ustawodawstwo Kazimierza W. 2. Sądowa praktyka prawa przy końcu XIV wieku. 3. Statuta i uchwały Mazowieckie. 4. Władysława Jagielly statut Wartski. 5. Ustawodawstwo kościoła polskiego.



ROZMAIŃCI.

POCZĄTEK IKONOGRAFII NASZEJ.

W spisie małego zbioru rycin i obrazków w odciskach z blach miedzianych, które przedstawiają wizerunki królów polskich i znakomitych mężów; tudzież ŚŚ. Patronów naszych i błog. Polaków. Dodane są prace rytowników naszych i inne tu należące przedmioty.

(Ciąg dalszy).

WIZERUNKI PANA JEZUSA W KRAJU POLSKIM

laskami słynące ().*

Wizerunek obrazu Pana Jezusa krzyż niosącego w kościele lwowskim OO. Karmelitów bosych w Polsce.—*Ignatus Verchest Cath. sc. A. V.*—Wys. c. 6.

Effigies miraculosa Christi Dni. sub cruce tertio lapsi, in Calvaria Zebrzydoviana etc.—Wys. c. 10.

Effigies Imaginis Crucifixi Domini etc. in Eccl. paroch. Kobylanka Diocesis Crac.—*Gotfr. Eichler del.*—*Em. Eichler sc. A. V.*—Wys. c. 12.

Tegoż obrazu mniejsze odciski jako to: *Langer Oppav.*—*Klauber sc. A. V.*—i inych pięć bez nazwiska rytowników.

Pan Jezus na krzyżu, podpis: Amor meus Crucifixus est.—*Sc. a Berdyczew 1805 a.*

Prawdziwy wizerunek ukrzyż. Pana Jezusa w kollegiatio warszawskiej in 8.—Jest i inny, odmienny od tego.

Najśw. Jezusa Chrystusa i Maryi matki jego cud. obraz etc. w konwencie OO. Reformatów w Krakowie.—*K. Janowski del.* (Nie ma tego malarza w dziele: *Słownik Malarzów etc.*).—*Fr. Schaur sc. Viennae.*—Wys. c. 6.

Devotissima Jesu Christi imago etc. in Conv. PP. Reform. Cracoviae.—*Joh. Jac. Brouner sc. Thoruniae.*—Wizerunek ten był wiele razy rytowany w małym formacie. Jan Surmacki robił go dwa razy, M. Surmacki, Królikowski, Spindler, Stachowicz.

(*) W dziele: *Rytownictwo polskie, jest wiele obrazów cudownych w Polsce.*

Prawdziwy wizerunek obrazu Pana Jezusa w cerkwi parochialnej Boremelskiej na Wołyniu.—Drzeworyt illumin. wys. c. 10.

Vera effigies imaginis Crucifixi Dni. in Eccl. PP. Carmelit. Sis. Milatini etc.—*Ignatius Vorhelst sc. Aug. Vind.* in 8.—Tegoż obrazu odcisków różnych siedm.

Prawdziwe wyobrazenie obrazu Pana Jezusa, Maryi i Józefa św. w kościele Miedniowickim etc.—*Mam wyd.* in folio, in 4-to i in 8.

Prawdziwe wyobrazenie Pana Jezusa etc. w Dederkołach na Wołyniu.—*Rys. Konstanty Ref.*—in 8.

Pan Jezus ukrzyżowany, w wielkim ołtarzu Kat. Krak.—*Do-labella pinx. Sontag del. Cracov.*—*Schuler sculp.*—in 8.

WIZERUNKI CUDOWNE NAJŚW. MARYI PANNY W POLSCE.

Effigies B. V. Mariae in Eccl. PP. Carmelitarum disc. *Berdyczoviae.* miraculis clarissima.—U dołu widok fortecy Berdyczewskiej, a wierzchu napis: *Sicut turris David.* etc.

Są i inne wydania tego obrazka, jakoto. *Verhelst Cath. fratres del. et sculp. Aug. Vind.*—*Ignatius Vehelst del. et sculp.*—*G. B. Göz. fec. Aug. Vind.*—*G. B. Göz. del. et exc.*—Licząc z litografiami posiadam odmian jedenaście różnej wielkości.

Wyrażenie Najśw. Maryi Panny w cud. obrazie *Boruńskim.* *I. F. Rein sc. Aug. Vind.* in 12.

Effigies B. Virg. Mariae apud PP. Bazilianos ad Cathedram *Chelmensem* verid. in Regno Poloniae etc. *Vinc. Leder inv.*—in 4 male.

Tegoż obrazka dwie odmiany mniejszego formatu.

Effigies B. Virginis Mariae apud PP. Bazilianos ad Cathedram *Chotinensem* residentes etc.—*Baltzer sc.*

Wizerunek obrazu N. P. Maryi w *Czernichowie* łask. słynącego w cerkwi paroch. ruskiej.—U dołu: Wizyta gen. cerkwi czernich. pr. X. Mik. Skorodyńskiego bisk. lwowskiego.—Wys. c. 14.

Obrazków Najśw. Panny *Częstochowskiej*, zbiór mój posiada przeszło 130 odmian, tak na miedzi, jak na kamieniu rytych. Są różnej wielkości i przez różnych robotników, tak naszych jak obcych, z podp. polskimi, łacińskimi i niemieckimi.—Są na takowych imiona rytowników jak np. *P. N. Fuhrman sc. Viennae.* *Joh. Marc. Will exc. A. V.*—*München b. Dreindl.*—*Wenzl Langhammer in Hohenelbe.*—*Seb. Langer sc. Oppaviae,* na atlasie.—*Z Mich Langer sc. et exc. Oppaviae.*—*Prag 6. Hofman.*—*Jos. Ditrich Grulich bey Katzen.*—Obraz N. Panny *Częstochowskiej* jest czczony w *Klosterneuburgu* za *Wiedniem*, w *Topolnie* i *Uchaniach*.

Dzieło niem. pod tyt. *Gnad u. Wundervolle Grosamen etc.* r. 1750, zdobią 15 rycin, a niemal na każdej jest małej wizerunek N. Panny Częstochowskiej.

Obraz Najśw. Maryi Panny cudami słynący od r. 1675 w *Dzikowie etc. Jos. Erazm. Belling Cath. sc. Aug. Vind. in 4.*

Tegoż obrazu inna rycina: *Klauber sc. A. V. in 4*,—oraz dwie odmienne mniejszego kształtu.

Najśw. Panny *Gidelskiej* zbiór mój ma 13 odmian, w małych formatach lecz lichego wyrobu.

Wizerunek obrazu N. Maryi Panny w kościele *Hyżyńskim* Dyec. Przemyśl.—in 12ka.

Imago B. V. Mariae cum sponso suo Josepho ducentis Jesum in Eccl. Colleg. *Calissiensi. Coronata Romae 1783. Joh. Baltzer sc. P.*—in 8.

Wizerunek N. P. Maryi w r. 1641 do kościoła OO. Bernardynów w Kalwaryi Zebrzyd. wprowadzony.—Jest przy dziełku: *Prowiant podróżny Dróg męki Chrystusowej na górze Kalw. Zebrzyd. r. 1702 in 8ka.*

Zazraczni obraz Pany Mariae w hrobie zasnutyi na *Kalwaryi Zebrzydowskiej* pod Lanc—koroną.—*Bej Wenzel Langhamer in Hohenelle. in folio.*

Obraz Najśw. Panny Maryi w kościele OO. Karmelitów d. obs. w *Kochawinie* pow. Żydaczewskim etc. in 8.

Imago B. V. miraculosa ad *Cracoviae S. Franciscum.*—in 8vo.

Obraz P. Mariej Pocieszenia na *Kaźmierzu* przy *Krakowie* u OO. Augustynianów etc.—U dołu długi napis.—in 4to.

Diva Virgo Carmelitana *Cracoviae in Arenis*, miraculis in Regno Poloniae celeberrima etc.—Rycina cało-arkuszowa.

Wizerunek Matki Najśw. w kościele OO. Karmelitów d. o. na *Piasku* etc.—in 8ka.

Imago miraculosa Bsm. V. Mariae *Cracoviae in Arenis*. Napis u góry: *Sum Mater et decor Carmeli.*—in 8ka.

Obraz Najśw. Maryi Panny *Piaskowej* u OO. Karmelitów przy *Krakowie* etc. J. F. R.—in 8ka.

B. V. Maria in Eccl. PP. Carmelitarum a obs. *Cracoviae in arenis miraculis clariss.*—*Alexius Giardoni del. et sc. Romae 1765.*—Wys. c. 14.

Wizerunek Matki Najśw. w kościele OO. Karmelitów d. c. na *Piasku* w m. st. *Krakowie* etc.—*Innocenti Alexandri se.*—wys. c. 6.

Innych jeszcze wizerunków tejże Bogarodzicy, różnych 5, na miedzi i kamieniu rytých.

Obraz Najśw. Maryi Panny *Różańcowej* etc. w kaplicy OO. Dominikanów w *Krakowie* cudami słynący.—*Jos. Erazm Belling Cath. sc. excud. Aug. Vind.*—Wys. c. 7 i pół.

Inne wydanie tegoż rytownika C. G. P. S. R. M. form. młziej.

Prawdziwy wizerunek Matki Najśw. w kościele OO. Franciszkanów w *Krośnie* A. 1760.—in 8ka.

Przedziwnej piękności i wdzięczności obraz Najśw. Panny Maryi w *Lewiczyńie* w Mazowszu etc.—Rycina arkuszowa, napisami i bogatą ornamentyką otoczona.

Wizerunek prawdziwy obrazu cud. Matki Bożej w kościele *Lubelskim* Ducha Ś. etc.—Z widokiem m. *Lublina*—wys. c. 13 i pół.

Imago Mariae V. in Eccl. *Luceor.* Fr. Ord. Praedicat. coronata. Wys. c. 12.

Effigies imaginis Beate Virginis Mariae in Eccles. *Ląkowiensi* PP. Ord. S. Francisci Ref. in Prussia Polona.—*Car. Grandi del. et scul. Romae.*—Wys. c. 9 i pół.

Tenże obrazek z podpisem polskim, bez nazw. ryto. Wys. c. 9.

Effigies imaginis B. Virginis Mariae in Eccl. *Ląkowiensi* PP. Ord. S. Francisci. Ref. etc.—in 8.

Prawdziwy wizerunek obrazu Najśw. Maryi Panny *Lopatynskiej* wielkimi łaskami słynącej, in 8.

Najśw. Panna Marya w kościele *Luckim* OO. Dominikanów in 8 i in 12: 2 wizerunki.

Przenajśw. Marya Panna *Mirowska*, łaskami słynąca w koś. OO. Reformatów na *Mirowie*.—*Mansfeld sc. Viennae*—in 8.

Prawdz. wizerunek Najśw. Maryi Panny etc. w kościele farnym *Myslemickiem* (tak), Diec. Krak. etc.—in 4.

Effigies S. Mariae *Poczajowiensis* in Eccl. ord. S. Basilii magni PP. Provinciae Poloniae etc.—W pośród napisu herb *Pilawa. Petri Bombelli inv. Romae.*—Wys. c. 12.

Vera effigies B. V. Mariae *Poczajowiensis* in Eccl. PP. *Basilianorum*, coronata A. 1773.

Tegoż obrazu ośm różnych wydań, pomn. formatu. a jeden z nap. ruskim, ryt. w *Poczajowie*, wys. c. 12.

Statua N. P. Maryi cudami słynąca, z *Węgier* podczas wojny przeniesiona w *Podgórze* w powiat. B. (Reszta napisu zatarta)—in 8.

Wizerunek cudownego obrazu na górze świętej *Różańcowej* w *Podkamieniu*.—*Jos. Erasm Belling Cath. sc. excud. Aug. Vind.*—in 8.

Thaumaturga imago B. V. Mariae in monte Sancti *Bosarii* Ord. Pred.—Małe 4to.—Jeszcze dwie odmiany tego obrazka w kształcie stopy ludzkiej, z napisem naokoło:

Vera effigies imaginis miraculosae B. V. M. *Posnaniensis* in 4to.

Obraz Panny Najśw. Kamiennój w *Przemysłu* cudami słynącej, od *Jacka Św.* z *Kijowa* wyniesiony.—in 12.

Effigies de alabastro B. V. M. in Eccl. *Przemysl.* a. S. *Hyacintho* etc. czterowiersz łaciński.—in 8.

Obraz *Niepokal.* Najśw. Maryi w kościele OO. *Franciszkańców* w *Przemysłu* etc.—*Zaballi sc. Romae 1767.*—wys. c. 12.

Obraz Najśw. Panny Maryi w *Skapem* u OO. *Bernardynów* etc. in 8.

Inne odmienne wydania tegoż, in 12.

Mater magna *Topolnensis*. Obraz N. P. Częstochowskiéj z widokiem Topolna, in 8.

N. Marya Panna *Trocka, Sc. Vilnae*, in 8.

Obraz cudowny P. najświętszój Maryi *Tuchowskiéj*, który jest przy zakonnikach Tynieckich, reguły ś. ojca Benedykta, małe 4to.

Inne wydanie tegoż obrazu z widokiem miasteczka i rzeki z nap. *Biała fluvius*, małe 4to.

Obraz najśw. Maryi Panny w kościele OO. Karmelitów trzewicz. w *Warszawie* na Lesznie. Wys. c. 9.

Obraz cudowny najśw. Maryi Panny w kościele OO. Bonifratrów ś. Krzyża w *Wilnie*. *Rysował* (nazw. wytarte). *Grawirował* (toż samo). Wys. c. 11.

Istotne wyrażenie obrazu najśw. Maryi Panny w *Wilnie* na bramie *Ostrój* etc., in 8vo.

S. Maria *Włoszczywiensis* cum s. Joachim. Joseph. Orate pro nobis. in 8vo.

Obraz najśw. Maryi Panny cudami sławnéj w *Żurominie* w kościele OO. Reformatów, in 4to.

Tenże obrazek mniejszy, in 8vo.

Obraz najśw. Panny *del Pascolo* w *Żyrowicach* przy *Słominie* w Litwie, z nap. naokoło słowiańskim. U dołu napis włoski, a do tego należy na osobnym półarkuszu sonet włoski Maryi *Fulvii Bertocchi*. Wys. c. 11 i pół.

Matka bolesna najśw. Panna Marya. Napisał W. X. Marcin *Hincza* S. J. r. 1665. *Gedani Joan. Benzheimer sculp.* Wys. cali 11 i pół.

ŚŚ. PATRONOWIE POLSCY I BŁOG. POLACY.

Vera effigies Annae divinissimae Thaumaturgae, loci sub *Przyrowia* in *Eccl. Fr. min. S. Francisci*, in 8vo maj.

Obraz ś. Anny w kościele XX. Bernardynów w *Przyrowie*, in 8vo.

V. P. Andreas Bobola S. J. minimus Apostolorum. *Klauber Cath. sc. et exc. A. V.* in 8vo.

V. P. Andreas Bobola Soc. Jesu. Rytowany w *Rzymie*, in folio. Tenże in 8vo. *Birckhard sc. Pragae*. Różnych wydań trzy, in 8vo.

Ś. Isajas Boner Aug. S. T. D. *Laetabitur deserta et in via* etc., in 8vo.

S. Bonifacius Martyr. *cujus ossa SS. Czerniakoviae*, in 8vo.

*

*

*

S. Joannes Cantius Polonus, Presbyter secularis etc. *Pozzi inv. Pozzi del. et scul. Romae 1767*. Wys. c. 22.

S. Joannes Cantius Polonus, in universitate Cracov. S. Th. Doctor et Professor publicus etc. Wys. c. 11 i pół.

B. Joannes Cantius S. T. D. Acad. Crac. Ob. 24 Dec. 1473 ex transumpto veteri autographo depicto Cracoviae etc. Wys. c. 10.

B. Joannes Cant. offer. Jesu et Mariae cor et animam meam etc. Wys. c. 9.

S. Joannes Cantius Presbyter secular. et in Alma universitate Cracov. S. Th. Doctor etc. A. *Zaballi sculp.* Wys. c. 7 i pół.

B. Joannes Cantius Polonus etc. A. D. 1746. *Eq. Marcus Benefial. inv. del. Hieron. Rosti, sculp.*, in 4to.

Inny odcisk téjże blachy, tylko z poprawą r. 1753.

Sanctus Joannes Cantius Polonus etc. *L. Capponi scul. Bononiae* 1759, in 4to.

Sanctus Joannes Cantius Polonus etc. *S. Monosilio inv. A. Campanello sc.*, in 4to.

Sanctus Joannes Cantius Polonus etc. *M. Carloni fecit*, in 4to.

Beatus Joannes Cantius Polonus etc., in 4to.

Tenże S. czterowersz. *Te medicum pestis etc. M. Ang. Farinari F.*, in 4to.

S. Joannes Cantius Polonus etc. *Coronavit illum Mater sua. Cant. 2. Klauber Cath. sc. et exc. A. V.* in 8vo.

B. Dr. Joannes Cantius. *Quid mihi est in coelo? 577 M. Engelbrecht exc. A. V.*, in 8vo.

Inne wydanie téjże ryciny: *Quid mihi est coelo? (tak)*, in 8vo.

* * *

S. Casimirus. *Casimiri Regis Poloniae Princeps. O quam pulchra est casta generatio! etc. C. P. S. C. M. Mart. Engelbrecht exc. A. V.* Wys. c. 11.

S. Casimirus Poloniae et Lithuaniae Princeps, electus Hungarorum Rex etc. *M. Haye excud. Aegid. Ruchalle fec.*, format półlarkuszowy.

S. Casimirus, Reg. Pol. Princeps. *N. 59 Endres.* Wys. c. 10 i pół.

S. Casimirus Rex *(tak)*. *Joan. Mich. Motz exc. A. V.*, in 8vo.

St. Casimirus de Pologne, in 8vo.

Sanctus Casimirus Poloniae Princeps, in 8vo.

Tenże ś., rycinka in 12.

* * *

B. ojciec Rafał Chyliński zakonu ś. Franciszka kapłan etc. *takiz podpis obok w jez. niem.* Wys. c. 12.

V. S. D. Raphael Chyliński Ord. min. Conv. *Napis u góry: Cum videris nudum, operi eam. Franc. Smuglewicz del. secund. Bianchi sculp. Romae*, in 8vo.

Tenże wizerunek w odm. kształcie rytowany. *Franc. Smuglewicz del. secund. Bianchi sculp. Romae*, in 8vo.

Wieleb. Sługa Boży O. Rafał Chyliński Franciszkan, zasnął w Panu r. 1741. *Secondo Bianchi Romae* 1728, in 12.

W. St. B. Rafał Chyliński zakonu braci mniej konwentalnych ksiądz exorcysta etc. *C. Winckler sc. Viennae*, małe 4to.

Ven. Serv. Dei Raphael Chyliński Ord. min. Conv. etc. *Klauber sc. Aug. Vind. 1778*, in 8vo.

S. D. B. Raphael Chyliński Ord. min. Conv., in 8vo.

* * *

Ś. Jacek. Wys. c. 10.

S. Hycinthus Ord. Praed. 126 *Joh. Andr. Pfeffel jr. sc. et exc. A. V.*, in 8vo.

S. Hycinthus C. P. S. C. M.—319,—*Mart. Engelbrecht exc. A. V.*, in 8vo.

S. Gyacinto Conf. dell' ord. di Predicatori. *Roma da A. Barezzi inc.*, mała rycinka.

* * *

Ś. Jadwigi księżnej polskiej, żony Henryka księcia pol. i szlązk., potem zakonnicy w klasztorze Trzebnickim, różnych obrazków 11, różnej wielkości.

Vera effigies beati Joannis de Dukla, Ord. min. S. Francisci etc., małe in 4to.

B. Joannes de Dukla (*tak*) Conf. Ord. min. obs., in 4to.

B. Jolenta królowna węgierska, bł. Kunegundy siostra, Bolesława Pobożnego żona etc. *J. Winckler sc. Viennae*, in 12.

Żywy obraz ś. Józefa, ojca mniemanego Jezusa etc., w kościele poznańskim Karm. bosych, in 4to.

Imago gratiosa in Ecclesia Carm. discalceatorum Cracovien. (Ś. Józef piastujący Pana Jezusa). *J. E. Bellinz Cath. A. V.* in 8.

B. Kunegunda. *Stalstich von Carl Majer in Nürnberg*, in 8vo.

B. Ladislaus de Gielaiovio, sacerdos Ord. min. obs. Obiit a. 1505, in 4to.

V. P. Albertus Męciński senatorio Regni ordine, Polonus S. I. etc. U góry napis: Lublini a. 1737. cujus Epacta XXVIII, in 4to.

B. Michael Giedroyc Dux Lituaniae etc., in 12.

B. B. Sadoc et Socii XLVIII Sandomirienses Ord. Praedo, quos Christus Martyrum Catalogo viventes inscripsit etc. *Nic. Onesti inv. et del. Alexan. Mochetti sculp.* Wys. c. 9 i pół.

B. Sadoch Polonus, Provinciae Hungariae co-apostolus, Prior Sandomir. *Klauber sc. A. V.*, in 8vo.

Tenże sam, rycina pośledniejsza, in 8vo.

Błogosł. Salomea panna, córka Leszka V króla polskiego etc. Wys. c. 11.

Wizerunek téjże ś., dedykowany Salomei na Żywcu i Pieskowej skale Wielopolskiej etc., przez Fel. Szyszczyńskiego. *Francesco Mazzoni sculp.* Wys. c. 11.

Ośmnaście rycin z dzieła: Kwiecie żywota błog. Salomei etc. przez ks. Piskorskiego r. 1734, in 4to. Praca zdaje się krajowca.

* * *

S. Stanislaus. *Prag b. W. Hofman N. 191. Wys. c. 11.*

S. Stanislaus Episc. Cracoviensis et Martyr, Regni et Eccl. Regiae Polonorum in urbe Patronus. *Car. Grandi sc. Romae 1750. Wys. c. 10 i pół.*

Drzeworyt z nap.: Święty Stanisławie, tyś u Boga w sławie. Biskupie krakowski, módl się za lud polski, in 8vo.

S. Stanislaus Ep. M. U dołu 6 wiersz: z Piotra Damiana, in 8vo.

S. Stanislaus Martyr, Episcopus Cracoviensis. Natus a. 1030 etc., in 8vo.

* * *

S. Stanislaus Kostka Soc. Jesu Novitius. W postawie leżący. *G. Mochetti del. e incise Wys. c. 6, szer, c. 8 i pół.*

S. Stanislao Kostka della Compagnia di Gesu. *Minardi inv. e dis. Lod. Ferreti inc., in 8vo maj.*

S. Stanislaus Kostka Soc. Jesu. Senatorio gente ortus in Polonia etc. *N. Pomarancio pinx. in 12.*

S. Stanislaus Kostka S. J. S. *Baltzer sc. et exc. Pragae et Lissae, in 12.*

Różnych wizerunków jego pomniejszych ma mój zbiór 49, w różnych miastach niemieckich i we Włoszech rytowanych.

* * *

S. Stanislaus Casimirianus. Czterowiersz. Atlas sustentet pondus etc. *Wys. c. 10.*

Tenże ś. Czterowiersz.: Anielskiej znak czystości etc. in 4to. Tenże; napis u góry: *Par arbori fructus. Wys. c. 8 i pół.*

* * *

Effigies Ven. Servi Dei Patris Casimiri Wyszyński, Clericorum Marianorum etc. *J. C. Winckler fec. Viennae, in 8vo.* Inne wydanie, lecz tego samego rytownika, in 8vo.

* * *

Ś. Wojciecha biskupa, jest wielka liczba obrazków, najwięcej w Pradze rytowanych, których i w moim zbiorze nie brakuje.

Venerabiles Servi Dei Norbertus, Hypolitus, Anselmus et Eustachius Ord. S. Joannis de Deo etc. A. 1656 ab Haereticis Ungaris, Snaecis, Moscis, qui Varsoviae, Lublini, Lovicii ad mortem acti etc. *Joseph, Balzani inventor pinxit. Joannes Fabri scul. Bononiae. Wys. c. 11.*

Wyobrażenie śś. 10,000 męczenników żołnierzy etc. Król polski Kazimierz wielki zwyciężywszy nieprzyjaciela w dzień śś. MM. pod ich tytułem fundował kościół w Niepołomicach r. 1358. *Wys. c. 9.*

WIDOKI MIAST, GMACHÓW etc.

Widok kościoła Częstochowskiego bez napisu. Wys. c. 5 i pół, szer. c. 6.

Das weste Kloster Czenstochov. mit dem wunderthätigem Bildnisse U. L. Frauen. *G. Bodenehr fec. et exc. A. V.* Wys. c. 6, szer. c. 10 i pół.

Ruiny zamku Firlejów w Dąbrowicy pod Lublinem r. 1818. Mała rycinka.

Janowiec zamek nad Wisłą, przez Karola Gustawa króla szwedz. zdobyty. *Mickiewicz del. Grüner sc. Viennae.* Mały format.

Cracovie. A Paris cher Jean. etc. Wielka arkuszowa rycina kolorami. Wys. c. 13.

Cracau. die Hauptstadt in Polen. Napisy łacińskie i niem. np. *Damnum unius, alterius commodum* i t. p. Wys. c. 4, szer. c. 12.

Mały widoczek Krakowa. *Mich. Stachowicz del. Seb. Langer sc. Viennae.*

Widok miasta Krakowa. Jestto tak zwane Kundschaft cechów rzem. U wierzchu oko Opatrzności. Wys. c. 12, szer. c. 16 i pół.

Trzy mogiły krakowskie: Krakus, Wanda i Kościuszko. *G. Batta Biasion in Lemberg.* Wys. c. 5 i pół, szer. c. 8 i pół.

Projekt pomnika, który miał być postawiony w rynku krak. na pamiątkę r. 1809, lecz do tego nie przyszło. *Seb. Comes Sierakowski inv.* Wys. c. 10, szer. c. 19.

Widok Krzeszowic. *Mich. Stachowicz del. Cracoviae. Rosmae-sler fec. Dresdae.*

Widok Lwowa. Odsyłacze i objaśn.: w języku niem. Wys. c. 5, szer. c. 16.

Ansicht von Lemberg. Blaschke sc., in 8vo obi.

Six Vues de la vallée de Pieskowa skała. Dedié a Mr. le Cte. Ign. Wielopolski p. Aug. Reichel.

Świątynia Sybilli w Puławach. Rycina z dzieła pod tyt. *Sybilla poema, in 4to.*

Rycina: Zdobycie Sandomierza d. 18 czerwca r. 1809, przez wojska ces. austr. Napis u góry w jęz. niem. Wys. c. 5 i pół, szer. c. 9 i pół.

Warschau. Widok Warszawy od strony Pragi na małym arkuszu. *J. P. Wolfs Erben in Nürnberg.*

Mały widoczek Warszawy. N. 383. *Nürnberg bei G. N.* reszta nap. odcięta.

Varsovie. Mały widoczek, ryc. z słownika Trotza. *Bernigeroth del. et fec. 1743.*

Widoki dwa Warszawy, tak zwane Kundschafty, każdy odmiennie rytowany, cały arkusz.

Planta miasta Warszawy z przedmieściami r. 1779. *Major Hennequin del. Varsavie M. Keyl sc. Dresdae. Wys. c. 12, sz. tyleż.*

Plan de la Ville de Warschau. Grundriss von Warschau 1796. *D. F. Sotzman del. C. C. Jättinig. sculp. Wys. c. 6, szer. tyleż.*

Plan de Varsovie, levé par ordre de S. Ex. le Cte. Bieliński par Rizzi Zannoni 1772. *Gravé p. Chalmandrien. Wys. c. 9 i pół, szer. c. 15.*

Widok salin wielickich w trzech piętrach podziemnych. (Przerys z dawniej większej ryciny). *M. Stachowicz del. Langer sc.*

Posnania in Polen. *Animos nil dirimit.*

Sandomiria in Polen. *Curiosus accepto damno quiescit.*

Biez in Polen. *Nec tarde nimis, nec nimis celeriter.*

Crosno in Polen, *Uxori aliqnid comedendum.*

Crosno. Mały widoczek miasta obwiedzonego murem. *Wys. c. 4.*

Cztery ryciny ze zbioru widoków miast europejskich. Z napisami jak wyżej przy Krakowie.

Zamość szturmem przez wojsko polskie zdobyty r. 1809. *M. Stachowicz del. Langer sc., in 8vo.*

Cieplice w Szkle. *Thermae Szklenentes, in 4to.*

Puławy. *Bruder ad Nat. del P. Richter, sc., in 8vo.*

Cztery plany czyli wizerunki Żupy wielickiej, w formacie wielk. arkusza. *Marcin German Geometra mensuravit. Guilielmus Hondius Hagae. Batavus sculpsit. C. G. et P. S. R. M. Poloniae et Sueciae 1645.*

UBIORY KRAJOWE.

Pięć jednakich dawnych rycin: 1. Ein Polnisch armirter Edelman. *Cas. Luyken fec.* 2. Ein Polnischer Bauer. 3. Polnischer Heyduck. 4. Einer von den Freibentern, des Carpatischen Gebirgs, die man Corallen nennt. 5. Ein Polnischer Jud. *Wys. c. 11.*

La Garde noble Galicienne en gala a pied. *Dessiné et gravé p. C. Schütz 1782. Wys. c. 9.*

Szlachcic polski. Noble Polonais. *Norblin del. Debucourt. sc.*

Patron polski. Avocat Polonais. *Norblin del. P. L. Debucourt. sc.*

Dwanaście ubiorów włościan krakowskich. *Stachowicz del. Langer sc. Małe rycinki kolor.*

Bartłomiej Brozda wójt łobzowski. *M. Stachowicz del. w Krakowie. Langer sc., in 8vo.*

Gwardya narodowa krak. (Rycina arkuszowa staraniem śp. hr. Józefa Krasińskiego, który ją organizował r. 1810).

Pięć rycinek małych, ubiory wojska polskiego z czasów księstwa Warszawskiego. *M. Stachowicz del. Langer sc. kolorami.*

Mała rycinka: Paysan de Pawłow de 1767, jusqu'a 1795.

C. Antonini gr.

Ubiory teatralne, w dziełach dram. Lud. Dmuszewskiego, jakoto: Dmuszewski, Dmuszewska, Żółkowski, Kudlicz. *Sontag del. Gonta. Horejko*, z dramy: Hajdamacy na Ukrainie. *Une femme de Cracovie*, in 8vo.

ROZMAITOŚCI.

Bitwa w Szlązku pod Wrocławiem r. 1210 (na Psiém polu): wygrana przez Bolesława Krzywoustego etc. *Del. M. Stachowicz Cracoviae. Sculp. Viennae. Wys. c. 18, szer. c. 26.*

Zwycięstwo Jana Zamoyskiego, hetm. w. kor. odniesione nad Maksymilianem arcyksiążęciem austr. *Del. M. Stachowicz sc. Viennae. Wielkość takąż.*

Abbildung der Haupt und Residentz-Stadt Wien, wie es vom Türkischen Gross-Wesier belagert worden. Rycina arkuszowa, na której niosące odsiecz wojska polskie zaledwo po maleńkiej chorągwi z herbem polskim rozpoznać można.

Vorstellung der verfluchten Unternehmung wider lhro maj. König in Pohlen etc. Rycina ark. z obszernym opisem zasadzki i uwięzienia króla Stan. Aug. przez konfederatów barskich r. 1771. *Joh. Martin Will exc. Aug. Vind.*

Piękna rycina z nap. Abolition du servage par l'Institution du cens général, par S. A. le Prince Stanislas Poniatowski l'an. 1777. *Angelica Kaufman dip. Tomasso Minardi dis. Pietro Bettelini inv. Wys. c. 9.*

Taż rycina z podpisem polskim: Uwolnienie od poddaństwa etc. *Bart. Pinelli inc. Wys. c. 9.*

La situation de la Pologne en MDCCLXXIII. Takież napis w jęz. niem. *J. E. Nilson fec. et exc. A. V. Wys. c. 11.*

The Troelfth cake. Le gateau des Rois. *Erimeln sc. se trouve a Paris chez le Mire. Wys. c. 10 i pół.*

Genauere Abbildung des sogenannten Englischer Grusses etc. von einem Nürnberger Künstler Veit Stoss a. 1518. *Gez. von J. Simon Sievers 1826. Wys. c. 10.*

Louis François de Bourbon Prince de Conty. *J. C. S. sc. (Był kandydatem do tronu polsk.), in 8vo.*

Rycina według rys. Fr. Smuglewicza, o której w Bibliotece warsz. m. paźdz. r. 1855.

Sejm: ustawodawczy r. 1791. Podpis: Sławie króla i narodu z rewolucyi d. 3 maja 1791, poświęca Gustaw Taubert. *G. Taubert inv. et del. J. F. Bolt sculp. Wys. c. 9.*

Rycina przedstawiająca piramidę, w środku jęz: wizerunek króla Stan. Aug., u dołu napis: Monumentum in felicem Revolutionem Regni Poloniae MDCCXCI. *Wys. c. 13.*

Rycina z nap. u góry: *Ab Artibus ad Leges*. Stosowne godła i napis: Ustawa rządu polskiego r. 1791 d. 3 maja. *Gestoch bei Löschenkohl in Wien*. Wys. c. 3.

Króla Władysława Łokietka monument w kościele kat. krak. *Joseph. Sontag del. G. Vogel sen. sc. Norimb.*

Pomnik z nap. Tu leży Henryk Jerzy Butzau, który króla Stan. Aug. etc. *S. Schroppe Comp. Berol. exc.*, in 4to.

1. Wejście wojsk polskich do Krakowa. 2. Zajęcie głów. odwachu. 3. Illuminacya w sukiennicach. *M. Stachowicz inv. et del. Langer sc.* Mały format.

Tytuł sztych. do dzieła: *Purpura zbawienna*, t. j. Męka Chrystusowa etc., in 4to.

Rycina z nap.: Tędy idę do mojej Marysi. Dedié a S. A. *Mad. la Princesse Czartoryska née Comtesse de Flemming. par Flore Comtesse de Kagenecki. Marie de Würtemberg del. Flore de Kageneck sc.* Wys. c. 6, szer. c. 8 i pół.

Otto Magnus de Stackelberg Ambassadeur de sa maj. Imperial auprès de sa maj. le Roi et la Republique de Pologne etc. *Marteaux pinx. C. J. Rasp. sc. Dresdae 1779. A. Varsovie chez Michel. Gröll et a Dresde chez le meme.* Wys. c. 12.

Bolesław Chrobry wjeżdża do zdobytego Kijowa przez bramę złotą. *G. Geissler del. Lips. G. Vogel sc. Norimb.*, in 8vo.

Fabricius Serbelloni Pöpstl. Nuntius in Königr. Polen, in 8vo.

Wizerunek Papieża Klemensa XIV. Czterow.: Oto Klemens, który swój umysł niewzruszony etc., in 8vo.

Cztery ryciny do sielanek Gawińskiego, Szymonowicza i Zimorowicza. *Eisen del. De Longueil sc.* in 8vo.

Starzec wysypujący pieniądze na miśc. In Museo s. Maj. Poloniae. *Nogari pinx. Felix Polanzani sculp.* 1744.

Wiel. Sługa Boża Marya Marg. a la Kok. (Napis długi polski, ale z okropnemi błędami języka), in 8vo.

Wiel. Panna Katarzyna Mecht. de Barre, fundatorka zakonnicy ustawicznej adoracyi najśw. Sakramentu. Czworowiersz: dziwnie zakryty Boże pod osobą chleba etc., in 12.

Wyrażenie ś. Wincentego Fer. w kościele W. X. Dominikanów Wajłowskich. *Fr. C. G. M. Ord. Pr. Wagner sc.*, in 8vo.

Tablica pawilonów polskich, jakich używano na okrętach, in 8vo.

Tarcza z herbem Polski i Litwy, w pośrodku Ciołek herbowy, u spodu na wstędze cyfra S. A. R. Wys. c. i1.

Herb Sołtyk, otoczony wieńcem infuł z herbami. U dołu trzy korony., herb kapituły krak. *Hic tumulata crevit gloria Cathedrae Crac. ab a. 966*, in folio.

Herb Szembek. *Praesulis acta cano.*, in folio.

Herb Rawicz. *Terribilem Virgo Bellatrix possidet Ursum*, in folio.

Prócz tych jest w mym zbiorze więcej herbów polskich, któremi w wieku XVII i XVIII ozdabiano ówczesne pisma panegyryczne, a sąto wyroby rylca krajowego.

RYCINY, WEDŁUG MALARZY NASZYCH.

Petrus Schenk Sculptor Amsteledamensis. Qui principum virorum et aere etc. *T. de Lubieniecki Eq. Polonus pinxit Berol.* 1700. Wys. c. 10.

Krajobraz z ruinami. *Theodorus de Lubieniecki inv. et fec. a. 1698. Jos. Frid. Leop. exc. A. V.* Wys. c. 7 i pół.

Simon Pellonterius potent. Borussiae Regis a Consiliis. *George Lisiewsky pinx. J. I. Haid sc. et exc. A. V.* Wys. c. 12.

Maria Elisabeth Linckin geb. Doeringin. *Peint par Lisiewski. Gravé par Boece.* Wys. c. 7 i pół.

Wizerunek w zbroi. *Luschewsky pinx. G. P. Busch sculp. Berolini 1716.* Wys. c. 12.

KORRESPONDENCYE.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Nie dla obrony *Franceski* z Rimini, ale dla prawdy winionem wyjaśnić kilka okoliczności i na kilka zarzutów odpowiedzieć szanownemu Recenzentowi mojego tłumaczenia.

W r. 1843 uczyłem się sam po włosku na książkach *Silvio Pellico*, a głównie na jego tragediach. Ucząc się, wiersze włoskie przekładałem na polskie jedynie dla własnej mojej korzyści. Kiedym skończył całą tragedya, zachęcano mnie, żebym ją oddał na teatr, a głównie nakłonił mnie do tego kroku, znany artysta *Józef Komorowski*, który zmuszony ciągle występować w sztukach francuzkich tegoczesnego smaku, rad był przedstawiać rolę więcej klassyczną: rad był jedném słowem tragedyi. W istocie tłumaczenie moje *Franceski* przedstawione było w październiku 1843 r. na Teatrze Wielkim w Warszawie. Kto może się przenieść myślą w uczucia młodego człowieka, który chciał takiego wystąpienia, ten dziwić się nie będzie póspiechowi mojemu.

Upłynęło lat czternaście i zjawila się u nas pani *Ristori*: zapomniałem już o *Francesce*. Wtém zachorował ktoś z trupy pani *Ristori*: tragedia jedna z programatem ogłoszonych, nie mogła być grana, i artystka postanowiła przedstawić na scenie naszą *Franceskę*. Postano-

wienie dnia jednego powzięte, nazajutrz zaraz miało być wykonane. Tak więc w ciągu jednej nocy, a raczej kilku godzin w nocy, wydrukowano zapomniane moje tłumaczenie, zamiast zwykłej treści sztuk grywanych u nas przez panią Ristori. Nieprawdziwém więc jest twierdzenie Recenzenta, że *Franczeska* moja leżała na warsztacie lat kilkanaście: w r. 1843 leżała miesiąc jeden, to prawda, ale nie więcéj.

Wiem doskonale o wadach mojego tłumaczenia, ale poprawić je tak łatwo, zwłaszcza po recenzji. Nicem sobie z téj pracy nie robił dawniej, nie robię i teraz. Wychodziła u nas pod owe czasy *Gazeta teatralna*, która dołączała co miesiąc dla prenumeratorów swoich, po jednej grywanej sztuce, i to stanowiło, nie pamiętam już dobrze tytułu, Bibliotekę teatralną, czy coś podobnego; proszono mnie, żebym pozwolił w téj bibliotece drukować *Franczeskę*--nie pozwoliłem.

Dzisiaj mam sobie z tego powodu dwie rzeczy do wyrzucenia: naprzód, żem nie dopilnował, by mojego nazwiska nie położono na tytule książki, czego zresztą uniknąć prawie niepodobna było, zważywszy na pośpiech druku; a powtóre, żem tłumaczeniem mojem zadał tyle pracy szanownemu Recenzentowi, który mógł czasu drogiego użyć daleko stosowniej i użyteczniej. *Franczeska* moja tłumaczona, ani oryginalna nie zasługiwała na to, nikt bowiem w Europie tragedyi Sylwiusza Pellico nie miał za arcydzieło, ale za mierność: bez gry artysty sztuka ta nigdy się nie ostoi.

Julian Bartoszewicz.

Warszawa, d. 22 kwietnia 1857 r.

List Augusta Bielowskiego do K. Wł. W.

Posyłam ci bardzo ciekawy dokument, z którego dowiecie się o właściwej przyczynie, dlaczego najznakomitszy nasz XV wieku historyk Długosz, oczekiwać musiał aż na konsyliarza rossyjskiego barona ab Huysen, który go w Lipsku wydał. Tekst łaciński przetłumaczcie na polski.

*Z księgi Relacyi czyli oblat 42
r. 1616.*

*Ex libro Relationum seu oblatorum
42, anni 1616.*

Dnia 7 stycznia zaciągniono do akt reskrypt Jego królewskiej mości bismiący, aby nie drukowano i nie sprzedawano książek przez Jana Długosza kanonika krakowskiego pisanych.

Feria sexta post festum sanctorum Trium Regum proxima.

Oblata literarum sacrae Regiae Majestatis ratione non imprimendorum neque vendendorum librorum a Joanne Długossio Canonico Cracoviensi conscriptorum.

Przed sąd i obecne akta grodzkie starościńskie krakowskie,

Ad officium et acta praesentia Casrensia Capitanealia Cracoviensia

przybył osobiście szlachetny Samuel Glinzicki, przedstawił temuż sądowi grodzkiemu starościńskiemu krakowskiemu reskrypt niżej wypisany Jego królewskiej mości, brzmiący, aby nie puszczano w obieg książek przez Jana Długosza pisanych, domagając się, aby reskrypt ten od króla pochodzący i własną Jego ręką podpisany, pieczęcią większą kancelaryi królewskiej opatrzoney, przez sąd grodzki starościński krakowski przyjętym i do akt zaciągnionym został. Sąd przekonawszy się naocznie, że reskrypt ten jest czysty, nienaruszony i zupełnie niepodejrzany, stosownie do woli wyżej wymienionego przedstawiającego, przyjął go i w aktach swych zapisać dozwolił. Reskryptu tego takie jest brzmienie.

Zygmunt III z Bożej łaski etc., król Polski, Wielki książę litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Żmudzki, Inlandzki, również król Szwedów, Gotów i Wandalów, wszem w obec i każdemu w szczególności jakiegokolwiek stanu, położenia, szczególnież zaś w urzędach grodzkich i cywilnych zostającym, a nam szczerze i wiernie miłym. Przedłożono nam przez niektórych panów Rady naszych, że tego roku wyszła na widok publiczny z prywatnej drukarni dobromilskiej książka historyi polskiej, przez zacnego Jana Długosza czyli Longina kanonika krakowskiego napisana, o której gdyśmy ją rozeznac polecili, doniesiono nam, że na samém czole ma ów nadpis nigdy dotąd w królestwie tém niewidziany i nieużywany, aby człowiek prywatny książkę taką o stanie rzeczypospolitój i o godności imienia polskiego traktującą, a dotąd przez przodków naszych, nie bez ważnych powodów, cichą niejako zgodą zabronioną, publi-

personaliter veniens nobilis Samuel Glinzicki, obtulit eidem officio praesenti Castrensi Capitaneali Cracoviensi literas infrascriptas sacrae Regiae Majestatis, ratione non extradendorum librorum per Joannem Długosz conscriptorum, emanatas et manu propria ejusdem Sacrae Regiae Majestatis subscriptas, et sigillo majoris Cancellariae Regni communitas; petens easdem per officium praesens Castrense Capitaneale Cracoviense a se suscipi et in acta praesentia inserere admitti. Quibus quidem literis officium praesens visis sanis et illaesis, ac omni suspicionis nota carentes, easdem ad affectationem praedicti offerentis suscepit, et in acta sua inscribere admisit. Quarum quidem literarum tenor sequitur talis.

Sigismundus III Dei gratia Rex Poloniae, Magnus Dux Lituaniae, Russiae, Prussiae, Masoviae, Samogitiae, Liuoniae, nec non Suevorum, Gottorum, Vandalorumque Rex Universis et singulis, quibuscumque status et conditionis hominibus, praesertim vero in Magistratu tam Castrensi, quam Civili constitutis sincere et fideliter nobis dilectis. Expositum est nobis a nonnullis Consiliariis nostris, prodiisse hoc ipso anno ex Typographia privata Dobromiliensi in lucem librum quemdam Historiae Polonicae, a venerabili quondam Joanne Długossio sive Longino, Canonico Cracoviensi conscriptum, quem cum cognoscere mandavissemus, relatum est nobis, prima fronte praeseferre illam inscriptionem, nunquam antea in Regno hoc visam et temere usurpatam, ut auctoritate privati hominis libri ejusmodi, qui statum Republicae dignitatemque nominis Poloniae concernunt, et hactenus, non absque gravi judicio majorum nostrorum,

cznie wydawał. Dlatego, ponieważ ową książką wielu w królestwie naszym obrażonych jest, ponieważ z korzyścią Rzeczypospolitej będzie, aby tego co się nam należy prywatny człowiek sobie nie przywłaszczał, wzywamy szczerze i wiernie miłych nam poddanych i polecamy im, aby tę książkę gdziekolwiekby ją znaleźli, przytrzymywali i nie pozwalali publicznie jej pokazywać lub sprzedawać. Niech to czynią z obowiązku urzędu i dla łaski Naszej.

Dan w Warszawie, 20 grudnia roku Pańskiego 1615, a panowania Naszego polskiego 28, szwedzkiego 22.

Zygmunt król.

tacito quasi consensu improbatifuerint, publice proponerentur. Quare cum ejusmodi scriptis multi in Regno nostro offendantur, cum Reipublicae expediat, ne privatae personae id, quod nostrae Majestati debetur, sibi usurpent; hortamur sincere et fideliter dilectos, eisdemque mandamus, ut ejusmodi libros, ubicumque reperti fuerint, aresto subiiciantur, neque eos publice proponi vel venundari sinant. Facturi id ipsum pro debito officii, gratiaque nostra.

Datum Varsoviae, die 20 mensis Decembris, anno Domini 1615 Regnorum nostrorum Poloniae 28, Sueciae 22 anni.

Sigismundus Rex.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

O wyrabianiu fabrycznym metalu glinu (aluminium), przez pp. S. C. Deville, Rousseau i Morin. Lubo już kilka razy w niniejszym piśmie podawano wiadomości o metalu glinie, nie wahały się jednak dodać do nich i niniejszą, jako dowód, że metal ten ze względu na swe otrzymywanie, z dziedziny nauki wejść już może w sferę zastosowań, do jakich w skutku swych szczególnych własności jest zdolny.

W październiku 1856 r. p. Dumas przedstawił Akademii umiejętności paryżkiej, kilka kilogramów glinu (metal) otrzymanego sposobem fabrycznym, tak łatwym, że już prości robotnicy metal ten wydobywać mogą. Tak więc (słowa są trzech powyższych autorów), nauka już zrobiła swoje, teraz zaś kolej przychodzi na przemysł.

Wprawdzie sposoby fabryczne mało z pozoru się różnią od używanych na początkach poszukiwań we względzie tego metalu; bo i tu potrzeba otrzymać chlorek glinu, i rozłożyć go sodem; ale przygotowanie tych ostatnich dwóch ciał i przyrządów potrzebne, tak zostały uproszczone, że z obrębu pracowni chemicznych przejąć je mogą fabryki.

Jeśli glin otrzymuje się z alunu amoniakalnego, potrzeba niniejszą sól rozłożyć w piecu rewerberowym, a wtedy już z łatwością w chlorek zmieniona być może. Przekonano się nawet, że ten chlorek może być otrzymany bezpośrednio z kaolina, a nawet z glinki.

Ale nie tu jeszcze koniec; chlorek glinu przy robocie z nim na większą stopę, przedstawia pewne trudności; bo gdy zmieni się w parę, zgęszcza się raptownie w kryształy podobne do śniegu, które w właściwych komorach, mechanicznymi środkami ze ścian ich zdrapywane być muszą; ztąd zaś wypływa: 1° strata chlorku, bo ciało to nie jest w zupełności zgęszczone; 2° obawa o zdrowie robotników, którzyby parą tego przetworu oddychali; 3° zwiększenie się kosztów z powodu przerw w robocie.

Wystawiając na działanie chloru już nie glinę połączoną z węglem, ale mieszaninę glinki, soli kuchennej i węgla; otrzymuje się chlorek podwójny glinu i sodu lotny, przechodzący w ciecz, a krzepnący za oziębieniem. Przy otrzymywaniu tego ciała nie ma żadnych przerw i trudności, a cały zachód polega na przyrządzeniu do wydobywania chloru, odnowieniu mieszanin, ich rozkładzie i zmienianiu umieszczonych w końcu oziębiacza garnków glinianych, w których się tworzą bryły chlorku podwójnego, tam bez przerwy ściekającego.

Robota więc przybrała cechę fabryczną.

Ten sam zachodzi przypadek i pod względem wydobywania sodu. Metal ten otrzymywany sposobem pp. Gay-Lussac'a i Thenard'a, przed dwudziestą laty płacił się 7 franków za gram; ponieważ zaś potrzeba go najmniej 3 kilogramy dla zrobienia 1 kilograma glinu; więc kosztowałoby wtedy wydobyć 1 kilograma glinu 21000 franków. Dzisiaj koszt utrzymania sodu nie przechodzi 7 franków na kilogramie, bo samo wydobyć tego pierwiastku, łatwiejsze jest niż fosforu i porównane być może do wytapiania cynku; tak zaś prosto się skutecznia, że osoby które znały dawniejsze trudności, wyjść z podziwienia nie mogą, widząc je w zupełności usuniętymi. Przy wyłączaniu sodu z węglanu sody zmieszanego z węglem i kredą, tyle się wydobywa metalu, ile rachunek pokazuje; a robota jest tak łatwa, że dawniejsze kosztowne butelki żelazne dotychczas do powyższego celu używane, zastąpić można rurami piecowymi pospajanymi.

W skutku pracowitych i kosztownych poszukiwań, okazało się: że można dziś użyć pieca rewerberowego do wspólnego wyprażania chlorku podwójnego z sodem; wyprażanie zaś to w ten sposób się odbywa, iż najmniejszego nie ma niebezpieczeństwa przy zastosowaniu go na większą skalę. Metal w tyglu otrzymuje się, w blaszkach, kulkach, lub też w proszku; od soli zaś kuchennej oddzielić go można albo sposobami mechanicznymi albo wodą.

Cena tak otrzymanego glinu bez względu na przypadkowe okoliczności, nie wynosiłaby 100 franków za kilogr. (b. 2 fun. 14½ łóta); co zresztą łatwo sprawdzić książkami fabrycznymi.

Cena soli kuchennej zwiększa znacznie koszta otrzymywania glinu, chociaż z wypadków wydobytych z pieców rewerberowych, znaczna część jęj zostanie odzyskana.

Wreszcie powtorzyć tu wypada, że otrzymywanie glinu skutecznia się dziś sposobami prostemi, łatwemi, nie wymagającymi oka chemika, tylko prostego rzemieślnika. Zakład sprawozdawców wydaje dziennie 2 kilogramy glinu, a stosunek ten zwiększyć można, pomnażając liczbę przyrządów. W ten sposób p. S. C. Deville widzi zadanie swoje jako chemika ukończone, bo przedmiot sam już przeszedł na pole przemysłu.

* *Saletrany w wodach studziennych paryzkich.* Z rozprawy wtym celu p. Boussingault, przytaczamy następujący ciekawy i ważny wyjątek.

„Znaczny stosunek saletranów znalezionych w wodach studziennych Paryża, pochodzi bez wątpienia ze zmian ciał organicznych, któremi ziemia jest napojona: ztąd powietrze i woda które na utrzymanie życia tak wielki wpływ wywierają, muszą przez to być mocno zanieczyszczone. W inném miejscu okazałem, że woda z deszczu w wielkiém mieście zebrana, zawiera w sobie daleko więcej amonii i ciał organicznych z łatwością gnić mogących, niż woda ze wsi od miast znacznie oddalonych. Dzisiaj utrzymuję, iż woda studzienna przechodząc przez ziemię podobną do ziemi saletrarni; zanieczyszczona jest koniecznie ciałami szkodliwemi. Jest to więc prawdą, że ludność nagromadzona, nosi już w sobie zarody niezdrowia.

„W Paryżu z powodów geologicznych, wody ze studni nie piją, a nawet nie używają jęj do gotowania pokarmów; ztąd sądzićby można, że ludność niczego z tęj strony nie potrzebuje się obawiać; ale to jest błędem, bo każdy mieszkaniec spożywa zawsze daną ilość ciał pewną objętością powyższej wody rozrobionych: tak np. piekarze nie używają wody innęj do swego pieczywa i. t. p.

„Tysiąc kilogramów mąki, dla zmienienia jęj na chleb, wymagają 617 kwart (litrów) wody; z tego otrzymuje się 1375 kilogramów chleba, który zawiera w sobie wszystkie ciała rozpuszczalne z 617 kwart wody. W jednym więc kilogramie chleba znajduje się to, co było w 45 centilitrach wody studziennęj. Zobaczymy teraz ile ta woda ma saletranów. Woda studzienna pe-

wniej piekarni zawierała w kwarcie $0^{\text{gram}},51$ saletranu potażu, a jednak jest to woda najmniej nasycona solami. Kilogram chleba z tą wodą, ma przeto w sobie saletranu $0^{\text{gram}},14$. Inne wody w tej ilości jeszcze więcej mają saletry, bo w kilogramie chleba bywa do 1 grama tej soli.

„Wprawdzie saletrany w takowych ilościach zapewne nie są szkodliwe, ale tu idzie o co innego, to jest, iż bytność ich w chlebie wskazuje, że z wodą mają związek ciała żywotne gnijące, np. ścieki kuchenne, lub co jeszcze gorzej a zdarza się pospoliciiej, ścieki z wychodków.

„Już w r. 1852 nastawałem w gronie Akademii aby nieużywać wody studziennej do rzeczy pokarmowych, a dziś jak mnie dochodzą wieści, niektóre zakłady, do zaczyniania chleba zaczęły używać wody z Sekwany.”

Z powodu uwagi p. Pelouze, że tworzenie się saletranów ma swoje granice, bo te sole nikną pod wpływem ciał zwierzęcych gnijących; bytność saletranów w wodzie, o tyle tylko zdaje się na uwagę zasługiwać, że przekona o związku ze studnią kloak, lub innych składów nieczystości.

J. B...a.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1856.

64. Adaś. Opowiadanie pseudonyma. 12-ka. Wilno. 1856. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 136.

65. Historia Wymowy w Polsce. Napisał Karol Mecherzyński. Tom I. W Krakowie. 1856. W 8-ce. Nakładem autora. W drukarni Czasu. Str. XVI i 641.

66. Jedynak. Powieść. Napisał Andrzej Janowicz (Z godłem)

Trzeba ci przejść przez ogień i wodę,
Abyś się dostał na miejsce ochłody.

Psalm LXV. 12.

12-ka. Kijów. 1856. W drukarni uniwersyteckiej, nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Napis i przypis. kart 3 i str. 155.

67. Pamiętniki z życia Ewy Felińskiej. (Na okładce dodane: autorki Wspomnień z podróży do Syberyi, pobytu w Berezowie i w Saratowie). 12-ka. 3 tomy. Wilno 1856. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Tom I, str. 467. T. II. 436. T. III. 444.

68. Posiedzenia wiejskie we IV-ch niedzielach wydał February Luty. 16-ka. Wilno. 1856. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 135.

69. Przechadzki po Wilnie i jego okolicach przez Jana ze Sliwina. (Adama Kirkora). Wilno. Drukarnia A. Marcinowskiego. 1856. W 8-ce str. 225. Z widokiem Wilna, litografia petersburska.

1857.

13. Ekonomowa (.). Powiastka przez Michała Jezierskiego. (Na okładce: Pisma... tom II.). 12-ka. Kijów. 1857. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Napisów i przypis. (Oficyalistom gubernij: kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej) kart 3 i str. 211.

14. Galerya Nieświeżska portretów Radziwiłłowskich, opisana historycznie przez Edwarda Kotłubeja. Z drzeworytami Michała Starkmana. 8-ka wielka. Wilno. 1857. (Na okładce dodano: zeszyt pierwszy). Druk A. Marcinowskiego. Str. 72. (Całe dzieło składać się będzie z 6 zeszytów, od 35—40 ark. druku. Przedpłata w Wilnie wynosi rsr. 7 kop. 50).

15. Irena powieść przez Paulinę Wilkońską. Poznań. Nakładem Ludwika Merzbacha. 1857. Dwa tomy. W 12. Część I, str. 278. Część 2, str. 242. W drukarni L. Merzbacha.

16. Kometa czyli mniemany koniec świata. Książeczka dla wszystkich przez Fr. Henryka Lewestama. Cena kop. sr. 20. Warszawa. Nakładem W. Rafalskiego. 1857. W 16-ce. W drukarni braci Hindemith. Str. 39.

17. List pasterski Benjamina Szymańskiego z Bożej i św. Stolicy Apostolskiej łaski Biskupa Podlaskiego, z powodu objęcia rządów swęj diecezji wydany. Warszawa. W drukarni Józefa Unger. 1857. w 8-ce str. 94.

18. Nauczycielka. Powieść z tegoczesnych obrazów społecznych F. S. Dmochowskiego. Warszawa. W drukarni J. Jaworskiego. 1857. W 8-ce str. 348.

19. Niewola u Szamyla rodzin księcia Orbeliani i księcia Czawczawadze. 1854—1855. Skreślił z opowiadania náocznych świadków E. Werderewski. Tłumaczył z rossyjskiego Józef Lewkowicz (z mapą téj części Kaukazu, w której się rzecz dzieła). 12-ka. 3 tomy (we 2-ch). Kijów. 1857. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Tom I napis. przypis. i przedmowy kart 6 i str. 189. T. II, 175., T. III, str. 126.

20. Powrót z pod Berezyny. Opowiadanie ś. p. Antoniego hr. Lanckorońskiego, przez Dra T. Triplina. Wilno. Nakładem księgarni P. F. Rubena Rafałowicza. 1857. W 12-ce, czcionkami A. Marcinowskiego. Str. 238. Rsr. 1 kop. 35.

21. Przygody starego żołnierza z dziesiątego pułku Księstwa Warszawskiego, według ustnego opowiadania zebrał i skreślił Szymon Baranowski. Lipsk. Nakładem księgarni zagranicznej. (Librairie étrangère) 1857. W 12-ce. Drukiem F. A. Brockhousa w Lipsku. Str. 107.

22. Rocznik Urzędowy, obejmujący spis naczelných władz Cesarstwa oraz wszystkich władz i urzędników Królestwa Polskiego na rok 1857. Warszawa. W drukarni S. Orgelbranda. W 12-ce, str. 791.—Genealogii monarchów i książąt panujących zagranicznych 46.—Skorowidza alfabetycznego str. C i 10 kartek spisu rzeczy.

23. Stara osa. Kilka rysów towarzyskich skreślił Alexander Nie-wiarowski. Warszawa. Nakładem Karola Bernsteina księgarza. 1857. W 18-ce str. III i 211. W drukarni J. Jaworskiego.

24. Warszawa i Warszawianie, szkice towarzyskie i obyczajowe. Przez Antoniego Wieniarskiego. Serya piérwsza. Tomów dwa. Warszawa. Nakładem Karola Bernsteina księgarza. 1857. W 12-ce. W drukarni J. Jaworskiego. Tom I stron. 236. Tom 2-gi stron. 199.

25. Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego skreślił Józef Przyborowski, nauczyciel przy gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Poznań. Nakładem księgarni Jana Konstantego Żupańskiego. 1857. W 8-ce str. IV i 212. Poznań, czcionkami M. Zoerna.

26. Zasady Agronomii przez hr. de Gasparin członka akademii nauk, towarzystwa Rolniczego centralnego we Francyi i t. d. Przetłumaczył z francuzkiego T. 8-ka. Warszawa. 1857. Nakładem Henryka Natanson (druk Gazety Codziennéj). Napisów i rejestru kart 4 i str. 256. Rsr. 1 kop. 35.

DONIESIENIA LITERACKIE.

WARSZAWA.

Z drukarni Józefa Unger wyszedł: „List pasterski Benjamina Szymańskiego z Bożej i ś. Stolicy apostolskiej łaski biskupa podlaskiego, z powodu objęcia rządów swęj dyecezyi wydany.“ Piękny a rzewny jest początek tego listu, który tu przywiedziemy:

„Starzec pochylony wiekiem, zakonnik biednego zgromadzenia, w którym już połowę stulecia spędziłem, z tajemnych wyroków Wszchemogącego Boga, zostaliśmy wydobyćci z naszej nicości, z zacisza ubogięj celi wywiedzeni i wyniesieni niespodzianie na godność pasterską, postawieni na czele dyecezyi tutejszëj, odbierając w zarząd i pieczę, was, najdroższa nam od tęg chwili owczarnio Pańska! Kiedy po trudach i pracach zakonnych spełniwszy usługi nasze do końca, pozostawało nam, usunąwszy się od wszystkiego zwrócić uwagę tylko na siebie i zająć się sprawą własnego zbawienia, *a czekając czasu rozwiązania swego* (2 Tym. IV, 6), resztę chwil życia dozwolonych łaskawie od Boga, na rozmyślaniu rzeczy wiecznych przepędzić: wtenczas spodobało się Bogu nową nas jeszcze pracą obarczyć, *aby jako dał młodości mojęj, tak aby i starość moja* (Deut. XXXIII, 25) w trudach i pracach spędzoną była.“ List ten obejmuje str. 94, w 8ce wielkięj, zakończony bullą papieżką.

— Równocześnie otrzymamy dwa zbiory portretów królów polskich. Jeden przygotował znany prof. Piwarski i ogłosi w „Kramie malowniczym warszawskim,“ w osobnym oddziale. Zbiór prof. Piwarskiego da nam w wiernym przerysie wizerunki królów polskich podług portretów pędzla Bacciarellego, które zdobiły jeden z pokoi zamku warszawskiego. Wiadomo, jak malował nadworny malarz króla Stanisława Augusta te portrety. Zebrane starę obrazy z różnych miejsc porównywał z sobą wizerunki królów, i zgodnie ze zdaniem Stanisława Poniatowskiego, brał z nich te, które zdawały się mieć cechę największëj wiarogodności: następnie dobierał z żyjących osób postać podobną, i z nięj wlewał życie w martwe wizerunki starych portretów. Takim sposobem powstał zbiór popiersi królów polskich osadzony w ścianach jednego pokoju w zamku warszawskim. Drugi zbiór portretów przygotowywa nasz znany artysta Aleksander Lesser: te odbijać będzie w litografii „Peq’a“ et comp., która je swoim nakładem wyda wraz z tekstem. O wykonaniu artystyczném i odbiciu mamy pewną rękojmią; co do tekstu, musi go bardzo zdolne pióro podjąć, i znające dobrze dzieje narodowe: bo to niełatwe zadanie. Nie wiemy z pewnością, kto się tej pracy podjął, i jak ją sumiennie wykona. P. Lesser rysował kilka portretów królów polskich z grobowców na Wawelu, inne zbierał ze starych i autentycznych obrazów i miniatur: najdawniejsze piastowskie postacie są najtrudniejszém zadaniem w tęg wydaniu.

— Pomienionego prof. Jana Felixa Piwarskiego wyszła część III „Kramu malowniczego warszawskiego“ i obejmuje: 1. Wizerunek Dra

Jana Siostrzyńskiego nauczyciela Instytutu głuchoniemych, założyciela pierwszej litografii w Warszawie, z krótką biografią. Obszerny życiorys tego męża podaliśmy w naszym piśmie skreślony przez p. Jenike. 2. Kobziar z Zawoja (pod Babią górą) w Karpatach, Jędrzej Pietraszek, w całej figurze, przygrywający na kobzie góralskiej. Piękna to postać, a znana całej Warszawie, bo rok rocznie zjawia się w jej murach, znajduje zawsze wielkie współczucie i chętnie przyjęcie. Artysta umieścił go stojącego w przedsionku Gdańskiej Piwnicy w Warszawie, a w pobliżu za nim, dwóch katarynkarzy, którzy swemi maszynkami starają się zgłuszyć tony kobzy góralskiej. Wymowne przypomnienie pamiętnych słów śpiewaka Wiesława, co w żałości, po coraz rzadszej drużynie wiejskich grajków, przeklinał katarynki, owe z Niemcami przybyłe samograjki, które muzyce ludowej, narodowej, dotkliwie ciosy po wsiach nawet naszych zadały. 3. „Stanisław Radwan Służewski, dawny towarzysz kawalerii narodowej z epoki Stanisława Augusta. Urodzony r. 1757, chodzi zdrów w najlepsze 1856 r.” Jest to także dotąd żyjąca postać szanowna starego Polonusa, który doczekał okrągło lat sto życia w r. b., i jeszcze go wiek choć tak późny, nie zniedołężnił wcale. Polska-to prawdziwa postać (w całej figurze), jedyna już tylko w naszej stolicy, nosząca pas staroświecki, umiejętnie i po dawnemu założony. 4. Kolenda dla ubogich rozdawana w pierwszy dzień Bożego Narodzenia u XX. Missyonarzy w Warszawie. 5. Po uczcie dla ludu daniej w Warszawie na Ujazdowie dnia 7 września 1856 roku. 6. Kubuś się przeciera (rzecz podług Wilkońskiego) przedstawia Kubusia i dwóch żydów. Ostatni odbijany w cynkografii Banku Polskiego, poprzednie w zakładzie litograficznym M. Fajansa.

— Bibliografii krajowej wydawanej staraniem Igaacego Klukowskiego wyszedł zeszyt V, i oprócz katalogu książek polskich wydanych w r. 1856 i 1857, bibliografia starożytna w odcinku, obejmuje: kopię listów dwóch poślanych do cesarza tureckiego i króla perskiego, do króla hiszpańskiego Filipa: wydanie J. Januszowskiego 1586 r. Muzę gór wielickich (wierszem opis kopalń) z 1608 r. Broszurę M. Reja z 1543 r., w ostatku pieśń J. Ł. Olszowskiego bez litery R. Zamyka ten zeszyt: „Statut towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie.“

— W dniu 1 kwietnia r. b. odbył się obrzęd poświęcenia w kościele ks. Pijarów pomnika dla zgasłego przed piętnastu laty ś. p. Kajetana Kamińskiego. Hieronim Gołstomski obywatel powiatu czerskiego kosztował, jako wdzięczny uczeń na wzniesienie tego pomnika ku uczczeniu pamięci swego nauczyciela. W prawej ścianie kościoła pijarskiego już ten pomnik istnieje. Na wielkiej płycie czarnego marmuru krajowego te czytamy słowa.

„Ś. p. Kajetanowi Kamińskiemu (urodz. 2 stycznia 1758 zmarł. d. 4 marca 1842 r.) pełnemu czci, cnót i zasług mężowi, rektorowi konwiktu, prowincyałowi ks. Pijarów, niezrównanemu przewodnikowi młodzieży.

„Głaz czoigodnego męża położon pamięci,
Którego cnoty, wdzięczność w wielu sercach święci,
Co w szlachetnym zawodzie przez lat czereg długi
Kształceniem młodzi święte położyl zasługi;
Wskazując drogę szczęścia, w te wątle istoty

Wpajał miłość prawości i wiary i cnoty.
 Syt sławy i zasługi, w różnej wieku dobie,
 Wdzięczność swych wychowawców zamknął z sobą w grobie.
 Jeden z nich, gdy już wieku podeszłego dożył
 Tę, dobroczyńcy swemu, pamiątkę położył.

R. 1857.”

— Wierna kopia historyi legionów włoskich napisana przez Henryka Dąbrowskiego, przepisana za zezwoleniem jego przez jednego z towarzyszków broni, zanim ją złożył w bibliotece b. Towarzystwa Przyjaciół nauk, znalazła się w prywatnym zachowaniu. Dzieło to, jak wiadomo, pisane jest w języku francuzkim, a przeplatają je gdzieniegdzie dokumenta po włosku.

— Zeszyt XIII i XIV dzieła: „Wzory sztuki średniowiecznej,” wyszły z druku i obejmują: Z pontyfikału Erazma Ciołka: 1. koronacja króla Aleksandra Jagiellończyka. 2. Koronacja królowej. 3. Król ukoronowany siedzący na majestacie wpośród téjże katedry. 4. Hołd królowi składany. „W wieku XV i na początku XVI (pisze E. Rastawiecki w tekście objaśniającym ryciny) sztuka zdobienia ksiąg rękopiśmiennych pergaminowych malowaniami miniaturowymi, z niepospolitým odznaczeniem uprawianą była w Polsce, a zwłaszcza w stolicy kraju, w Krakowie. Wiele drogocennych tego rodzaju zabytków poszło już w niepowrotną zatrąę, czyto zniszczeniem czasu i niedbałości ludzkiej, czy zdarzonemi pożarami lub przygodami innemi. Z tych przecie, które pomyślniejszým zrządzeniem dochowały się u nas dotąd, a przeszedłszy do kilku krajowych zamożnych księżnic, szczególném stają się dziś onych ubogaceniem, powziąć można niepłonne przeświadczenie, jak dalece dawniej rodzaj ten sztuki malarskiej znamienicie był w kraju naszym rozwinięty, świetnego nawet dostąpił udoskonalenia. Tak z czasów krótkiego panowania króla Aleksandra, z samego przeto początku XVI wieku (r. 1501—1506) mamy dotąd dwie najwyższej wartości pergaminowe księgi, miniaturowymi malowaniami okazale przyozdobione. Jedną z nich jest zbiór ustaw i przywilejów cechowych miasta Krakowa, przez pisarza miejskiego Balcera Bema sporządzony, w księgozbiorze uniwersytetu krakowskiego przechowany, z którego wielce ciekawe obrazki poznać tu mamy z kolei oddzielnie; drugą, a ze względu na przepyszne jej malowania szanowniejszą jeszcze księgą jest tak zwany pontyfikat Ciołka z opisem koronacji króla Aleksandra.”

Rękopism ten był własnością Erazma Ciołka kanonika krakowskiego, potem biskupa plockiego, zmarłego 1522 r. w Rzymie; w następstwie czasów dostał się do biblioteki Załuskich, z kąd przeszedł do zbiorów Tadeusza Czackiego: obecnie znajduje się w jednym z zamożnych zbiorów w Poznańskim. Jeżeli pod względem sztuki zwracają uwagę cztery dane ryciny w tych zeszytach wzorów: nierównie zajmuje nas ich ważność pod względem ubiorów dawnych. W dwóch obrazkach szczególnież koronacji króla i siedzącego króla na majestacie, mamy najwięcej uwydatnione różnych stanów ubiory. Wdzięczni jesteśmy wydawcom, że w téj drugiej seryi zwrócili łacność głównie na danie nam tych drogocennych zabytków, które właściwie nasze starożytności objaśniają. Między temi główne zajmują miejsce ubiory dawne, dają

bowiem wielką pomoc naszym artystom-malarzom i powieściopisarzom historycznym, którzy ciągle się biedzą, w jakie szaty przystroić wybrane postacie. Wspomniany rękopis Bema jeszcze bogatszy da nam zasób: idzie tylko o to, aby szanowni wydawcy wszystko z tego rękopismu nam dali, co w jakimkolwiek bądź względzie objaśnić nas może co do ubiorów starożytnych; słyszeliśmy bowiem, że chcą wybór tylko z tego rękopismu podać: mybyśmy radzi, ażeby wszystkie miniaturowe malowidła rękopismu Bema, Wzory zawarły. Wydawnictwo tak kosztowne, któregoby żaden księgarz nie podjął, musi mieć głównie na celu użytek dla ogółu: a naglący jest brak u nas wiadomości dokładnych tak co do ubiorów, zbroi, jak szczegółów domowego życia przodków naszych. Publikacja Wzorów, w pierwszej seryi mniej na to zwracała uwagi; w drugiej już możemy ocenić tę piękną a użyteczną dążność, która musi zająć ogół. Powtarzamy prośbę naszą, aby wydawcy głównie zwrócili na to uwagę, a ważności dodadzą swemu wydawnictwu i w szerszém kole zniądają zasłużone współczucie.

— W handlu księgarskim widzimy już pewne reformy na korzyść czytelników: tanie wydania mnożą się coraz; księgarze uporni dotąd w utrzymywaniu nadzwyczaj cen wysokich zaczynają poznawać, że własna ich korzyść większa w obniżeniu cen dotąd utrzymywanych. Warszawscy nakładcy zaczęli tę reformę: wileńscy i B. M. Wolff w Petersburgu, trzymają się silnie dawnego stanowiska. Ostatni księgarz chociaż za *dane* pieniądze wydrukował „Pieśń o pułku Igora,” przekładu ks. Krasieńskiego niesłuchanie wysoką cenę nałożył na szczupłą broszurę. Teofil Glücksberg jakkolwiek tandeciarskie wydania ogłasza tak pod względem druku jak i najniegodziwszój korekty, dzieł niepośledniej nawet wartości pod względem literackim, z cen wysokich grósza dotąd nie opuścił. Zasadę, którą uważali księgarze za pewniejszą brania 15 groszy od arkusza druku, podnosili nieraz do złotego, a niektórzy aż do dwóch złotych, nawet około pół rubla. Mamy tego dowód w licznych broszurach Syrokomli. Młodsza generacja księgarzy poczuwa potrzebę zmian radykalnych w handlu księgarskim: świeży podamy tu przykład. Księgarz warszawski W. Rafalski zrobił ogłoszenie na Czytelnię bezpłatną dzieł polskich i francuzkich: warunki położył następujące. „Za przedpłatą jednego rubla srebrem miesięcznie, osoby z niej korzystające jeżeli przedpłatę takową uiszczać będą przez trzy miesiące bez przerwy, tém samém nabędą prawa do wybrania sobie w księgarni jego lub do sprowadzenia za jój pośrednictwem jakichkolwiek i w jakimkolwiek języku, książek za sumę rubli srebrem trzy, po cenie katalogowej (z wyjątkiem tylko książek szkolnych i pism periodycznych) tak, iż istotnie wspomniona czytelnia, za którą opłata uważać się będzie jedynie jako depozyt na kupno książek, w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu stanie się Czytelnią bezpłatną.”

Krok ten młodego księgarza obudził w całym cechu wcale szmer nieprzychylny, ale żaden nie śmiał się cdezwać publicznie z protestacją: oczywiście, że dotknął głównie tych tylko księgarzy, którzy z czytelnii swoich ciągnęli znakomity zarobek. Czy pójdą w ślad W. Rafalskiego, czas to pokaże: my musimy życzyć jak najpomysłniejszych skutków dla tego prawdziwie użytecznego pomysłu, a od 1 marca r. b. wpro-

wadzonego w życie. Czytelnicy nasi powinni wesprzeć jak najliczniej-
szym abonamentem to ważne dla nich przedsięwzięcie.

— Obywatel ziemski i literat Eustachy Marylski, idąc za danym przykładem dzieła: „Cmentarz powązkowski pod Warszawą,” zamierza opisać polskie cmentarze za granicą, a przede wszystkim największą liczbę rodaków pogrzebanych mający „Cmentarz drezdeński.” Już ryciny są prawie wszystkie przygotowane. Format i druk ma być zachowany taki, jaki jest w „Cmentarzu powązkowskim,” gdyż p. Marylski chce pracą swoją dopełnić niejako pomienione dzieło. Zwracamy uwagę szanownego ziomka, że powziąwszy tak piękną myśl, powinien ją w szerszych rozmiarach uzupełnić, dodaniem wspomnień o tych, co i gdzieindziej pochowani zostali. Z dwóch takich opisów cmentarzy wspomnianych, złożyłby się tom jeden objętości „Cmentarza powązkowskiego:” bo powątpiewamy, ażeby sam drezdeński wystarczył na księgę in 4-to, przeszło stronnic 260 obejmujący. Szesnaście rycin ma zdobić opis Cmentarza drezdeńskiego: więcej znalazłoby się pomników na cmentarzach Paryża. Czy spełni rzuconą tu myśl przez nas p. Marylski, czy ograniczy się tylko opisem Cmentarza drezdeńskiego, zawsze równe mieć będzie prawo do naszej wdzięczności, bo nie wątpimy, że wiele nieznanych postaci z ukrycia zapomnienia wyprowadzi: wiele da nam szczegółów nowych, które z bogacą karty dziejów narodowych. Wszelkiej pomocy i życzliwego współczucia może się spodziewać zacny obywatel czyto w udzialeniu potrzebnych wiadomości, czy nawet we spół-pracownictwie.

Za przykładem pomienionego dzieła, Adam Kirkor w „Przechadzkach swoich po Wilnie, dodał opis cmentarzy tego miasta, i podał życiorysy niektórych rodaków spoczywających na nich. Spodziewamy się, że tę pracę następnie uzupełni, bo co udzielił jest bardzo małą częścią całości, a godnej pióra troskliwego badacza.

Wydanie „Cmentarza powązkowskiego” składa się z 859 exemplarzy: z XII zeszytem kończy się wedle prospektu prenumerata. Obfitość materiałów zagnęła wydawcę, że tekst mający obejmować w 2 tomach arkuszy 48, powiększył o 18 arkuszy druku; gdy jednakże ważnych zasobów, rzucających niemało światła na ostatnie czasy, pomimo tego powiększenia, pomieścić nie zdołał, a wielu rodaków, którzy trwale na kartach dziejów naszych zapisali swe imiona, spoczywa i na innych cmentarzach: postanowił dodać tom trzeci, obejmujący dopełnienie Cmentarza powązkowskiego, i uzupełnienie życiorysami tak spoczywających w ziemi jak w katakumbach, a zarazem dołączyć opisy cmentarzy: Świętokrzyskiego, Pragskiego, przy ulicy Leszno, Willanova, Czerniakowa, Bielani i innych wyznań. Tym tomem zakończy swoją pracę, której lat dziesięć poświęcił. Znajdą się tu nieznanne dotąd wiadomości, które głównie czerpał tak z archiwów rządowych jak prywatnych, i z żywego słowa tradycyi. Tom ten wyjdzie równocześnie z XII zeszytem i oddzielnie nabytym być może.

— Księgarz Bernstein przygotowywa dalsze zeszyty: Klejnotów poezyi polskiej. Nakładem S. H. Merzbacha wyszły „Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego od roku 1786 do 1815, ogłoszone przez Henryka hr. Rzewuskiego w 5 tomach. Pierwszy ich ciąg ogłosił drukiem B. M. Wolff księgarz petersburski we 3 tomach: ośm więc tomów składać będzie zu-

pełną całość, lubo i każdy oddział stanowi odrębną całość. Spodziewać się możemy, że nowa ta praca autora „Listopada” znajdzie pokup. Wiele tu szczegółów jasno pokazuje, że z tych pamiętników czerpał autor zasoby tak do „Soplicy” jak i do „Listopada.” Pamiętniki B. Michałowskiego, w wielu ustępach mają wartość historyczną, i ta strona ich wartości da im niewątpliwie upowszechnienie.

— Allgemeine Bibliographie für Deutschland (N-r 10 z r. b.) obejmuje przekład rozprawy o „Zbytku” z dzieła K. Wł. Wójcickiego „Obrazy starodawne 1843 r.” którą wydano w tłumaczeniu niemieckim oddzielnie p. n. Luxus, „Eine polnische Volkssage.”

— Otrzymujemy z Galicyi wiadomość, że Seweryn Koszowski posiadacz rękopismów zgasłego poety Dominika Magnuszewskiego, zamierza ogłosić wszystkie jego prace w jednym zbiorze, tak z poezyi jak prozy, we czterech tomach. Należało się to oddawna pamięci znakomitego poety, i wdzięczni jesteśmy szanownemu wydawcy, że koszt i starania na tak piękne przedsięwzięcie podejmuje. Życiorys zmarłego poety napisał Leszek Borkowski, a chociaż wiele czerpał z umieszczonego przez K. Wł. Wójcickiego w Cmentarzu powązkowskim, uzupełnił go nowemi szczegółami. Wydanie to wielce zbogaci literaturę naszą dramatyczną, której się niemal wyłącznie oddawał Magnuszewski. W zbiorze tym, trzy wielkich rozmiarów znajdujemy dramatów historycznych: wyliczmy je chronologicznie jak były pisane: „Hieronim Radziejowski” w pięciu aktach wierszem, rozpoczęty jeszcze w Warszawie; „Władysław Biały” książę Gniewkowski, co wstrząsł na tronie królem Ludwikiem, a później spoczął na sen wieczny w Avignonie, i Barbara Radziwiłłówna już dawniej ogłoszona drukiem. Z dramatów jeszcze ujrzymy: Inkwizycyą Ś-tą, Rozbójnika salonowego, Kamilla i dwie komedye; przytém uwagi Magnuszewskiego nad dramatem; powieści prozą jak „Chrzest krwawy, Posiedzenie,” „Zemsta panny Ur szuli, Pacta conventa” i w. i. Zbiór drobnych poezyj zamknie zbiór cały. Z tego wyliczenia widzimy, ileto drogocennych utworów, jednego z wyższych talentów, zbogaci naszą literaturę. Nie powątpiewamy o sympatycznym przyjęciu téj publikacji, na którą oddawna oczekiwaliśmy. Życzyćby należało, ażeby trafny wizerunek zmarłego poety mógł być dołączony.

— Gazeta Warszawska w N-rze 83, mówiąc o Alexandre Fredro mylnie doniosła, że dramat „Obrona Olsztyna” tego pisarza drukowanym nie był. Scena ta dramatyczna znajduje się w piśmie zbiorowém wydaném przez W. Chłędowskiego we Lwowie 1830 r. p. n. „Haliczanin,” gdzie i więcej jest utworów Alexandra Fredry. Dowiadujemy się, że jedyny ten u nas komedyo-pisarz, obok którego nikt dojąd nie potrafił stanąć, napisał w r. 1854 nową pięć-aktową komedya p. n. „Wychowanka.” Żałować należy, że Fredro, ten najpotężniejszy talent dramatyczny, rzucił się na inne, mniej wdzięczne dla siebie pole. Z każdym rokiem komedye jego większej coraz nabierają wartości. Po wielu latach spoczynku, dopiero dowiadujem się o „Wychowance,” czyż jej nie ujrzymy drukiem upowszechnioną? Że siły ma do poważnego dramatu historycznego, okazał nam Fredro dowodnie w precudnie pięknej owéj scenie dramatycznej: „Obrona Olsztyna.”

-- W mieście powiatowém „Równym“ na Wołyniu, p. Stypułkowski miejscowy aptekarz, zbiera od lat 10 materiały do opisu Wołynia: zebrał już ich znakomity zasób, i wkrótce przystąpi do przygotowania opisu tej pięknej części kraju. PP. Karol Kaczkowski b. professor warszawskiego uniwersytetu wydziału lekarskiego i Kamiński, zajmują się opisem „Krzemieńca“ i sławnego jego zakładu naukowego, z którego tytuł światłych i znakomych wyszło rodaków: będzie to ważny przyczynek do dziejów oświaty narodowej i zakładów naukowych.

— J. I. Kraszewski pisze dla naszego pisma powieść p. n. „Staropolska miłość;“ Józef Korzeniowski zabiera się do napisania dramatu historycznego „Jana z Tęczyna.“ Przedmiot to godny autora Górali Karpackich i „Andrzeja Batorego:“ tym więcej, gdy w znaney powieści J. U. Niemcewicz niestrzymując się ściśle historii co do losów głównego bohatera, zostawił otwarte pole dla talentu dramatycznego. Nie wątpimy, że ze wszystkich najlepiej podoła J. Korzeniowski temu pięknemu zadaniu.

— Włodzimierz Stanisław hr. de Broel-Plater, znalazłszy w społecznym rękopiśmie księgi Jana Tarnowskiego o gotowości wojennej,łoży nakład na wydanie tego ciekawego pomnika, który się obecnie drukuje w Wilnie. Wiadomo, że księgi te były drukowane, i jeden exemplarz znajduje się w bibliotece hr. Tarnowskich w Dzikowie (w Galicyi), ale rzadkość niesłychana tego pomnika wielkiego wojownika, stawia go na równi z rzadkimi rękopismami. Wykład cały po polsku, oprócz wysokiej wartości dla polskiej strategii, będzie ciekawym i pod względem ojczyztego języka. Hr. Plater posiada bardzo zamożną bibliotekę w Dąbrowicy gubernii wołyńskiej, powiecie rowieńskim. Zawiera obecnie z górą 10,000 tomów: w tej liczbie dzieł polskich 2000 przeszło tomów, i obcych tyczących się Polski do 1000. W wydziale krajowym szczególną zwraca uwagę na siebie zbiór broszur historycznej treści, jakeimi rzadko który prywatny księgozbiór może się poszczycić. Pomiedzy polskimi dziełami są wielkie rzadkości, a wartość biblioteki tej podnosi zbiór znakomity rękopismów począwszy od wieku XVII. Przy gorliwem zanilowaniu nauk terazniejszego jej właściciela, który nie szczędzi ani kosztu, ani starań w celu jej wzrostu i pomnożenia, spodziewać się możemy, że wkrótce zrówna się doborem jako i ilością z najpierwszymi prywatnymi księgozbiorami naszego kraju. Bibliotekarzem jest F. Radwan Radziszewski, autor Słownika uczonych polskich, który od lat wielu ma w swym ręku S. Orgelbrand znany przedsiębiorczy wydawca, i ma go po uzupełnieniu przez autora ogłosić drukiem.

— Zygmunt Kaczkowski, który w ostatnich powieściach swoich ogłoszonych w naszych czasowych pismach (Stach z Kępy. — Starosta Hołobucki) nie okazał wcale tak rozgłośnego talentu, podał do druku ostatnie z opowiadań JM. Pana Nieczui p. n.: „Grób Nieczui“ powieść. Kronika nasza zapowiedziała także druk jego powieści „Anunciata.“

— W Gołęczynie w Wielkiem księstwie Poznańskim odkryto starożytne gr. by z popielnicami i różnymi przedmiotami z przedchrześcijańskich wieków. Dotąd odkryto trzy i znaleziono w urnach popioły z kośćmi i różne złote klejnoty, pierścienie, sprzączki, guziki i inne sprzęty niewiadomego użytku. Oczekujemy dokładniejszego opisu tych drogocennych zabytków.

— Znakomity nasz historyk Karol Szajnocha wykończył rozprawę większych rozmiarów p. n. Lechicki początek Polski, którą w późniejszych zeszytach naszego pisma ogłosimy drukiem. Z listu jaki otrzymaliśmy ze Lwowa, dowiadujemy się, że zasłużony ten badacz dotknięty został słabością oczu, która wytrąciła mu pióro z ręki: daj Boże nie na długo.

— Pisma nasze doniosły, że w dniu 13 lutego r. b. na teatrze szlacheckim w Żytomierzu, odegrano komedią J. Kraszewskiego: Portret. Zapal zebrałej publiczności był wielki: damy rzucały na scenę wiązanki kwiatów dla uczczenia autora, który nie był świadkiem tej serdecznej manifestacji. Po skończonem widowisku szlachta gubernii wołyńskiej udała się do domu naszego zacnego pisarza, aby mu oświadczyć wdzięczność swoją za przyjemność doznaną w przedstawieniu jego sztuki. Miło czytać opis takiego uczczenia zasłużonego autora, który tylą ważnemi pracami nacechowanemi prawdziwym talentem, literaturę naszą już zubożył i ubogaca ciągle.

— W Krakowie wybranego nowo prezesa Towarzystwa naukowego Fr. Wężyka, mają wyjść: „Pisma dramatyczne.“ Józef Czech księgarz i Walery Wielogłowski stojący na czele wydawnictwa dzieł katolickich, ogłosili na te pisma przedpłatę, z których dochód w połowie użyty zostanie na koszta druku, a w drugiej połowie jako pomnożenie składek na dom dla Towarzystwa naukowego krakowskiego. Pisma dramatyczne Fr. Wężyka mają wyjść w ośmiu zeszytach: pierwsze z nich poświęcone będą pracom dotąd nieznanym: czy znajdzie tu pomieszczenie wielki dramat „Bezkrólowie,“ nie wiemy. Plac na dom dla pomienionego Towarzystwa już zakupiono za 1500 złotych reńskich.

— W Poznaniu wyszło tłumaczenie na język polski wierszem z oryginału tragedji Szekspira: „Machbet,“ przez And. Edwarda Koźmiana.

— W Wilnie professor Michajłowski przełożył na język rossyjski Syrokomli: „Lirnika wioskowego.“ Waryant z pieśni gminnej i pieśni z królewskich lutnistów. Wkrótce ma ukończyć przekład poematu „Margier.“ Księgarz Ass już drugie ogłosił wydanie: „Dwóch gawęd,“ tegoż poety: „Spowiedź pana Korsaka“ i „Pan Marek w piekle.“

— Ks. Marcin Podgórski ogłosił: „Pięć szczodraczych kołęd,“ zebranych pod Leżajskiem w Korytówce w Galicyi. Podawszy do druku te ciekawe zabytki poezji ludowej, należące do najdawniejszych w rodzaju pieśni obrzędowych, wzywa i prosi, aby na ręce jego przesyłano lub w pismach ogłaszano kołędowe piosnki z różnych okolic kraju naszego. Ważność ich już oceniał dobrze Z. D. Chodakowski (Czarnocki), i w jednym z listów swoich do Łukasza Gołębiowskiego, znalezioną w Krakowskiem pieśń kołędową mu przestał. Wyrażną cechą bardzo odległych wieków nosi ona na sobie, czego dowodzi wspomniany Tur, rodzaj dzikiego wołu, oddawna w naszej ziemi zatracony. Wkrótce podamy w naszym piśmie ciekawy zbiór pieśni kołędowych z Podola. Wiele tego rodzaju zabytków jeszcze się zachowało pomiędzy Mazurami, Podlasianami, w sandomirskiem, krakowskiem i u Kurpi leśnych. Pragnąc należy, ażeby w tych okolicach zebrano je starannie i ogłoszono drukiem.

— Do Wieńca dla Stanisława Jachowicza, o którego zbieraniu jużesmy donieśli, sędziwy nestor Fr. Wężyk nadesłał wierszyk. Win-

centy Pot przyrzekł swój udział i temi słowy zakończył list pisany do zajmującego się tym zbiorem. „Komu Bóg włożył polskie słowo w usta, nie miałby odpuszczenia, gdyby się w dniu takim nie stawił po służbie.”

— W Rzymie w r. 1854 wyszło dzieło dotąd u nas nieznanne po polsku, p. n. „Ś. Bazylego ustawy, tudzież uwagi i nauki duchowne przez ks. Józefa Welamina Ruckiego zebrane. W drukarni collegium de propaganda fide. 1854, str. 178, w 8ce. ■

— Otrzymaliśmy z Lipska wydaną w r. z. tragedią w 5 aktach Fryd. Halma p n. „Szermierz z Rawenny. Znacomily ten dramatyczny utwór myślą i oddaniem, powszechne w całych Niemczech wzbudził wrażenie i długo się spierało o bezimiennego autora, który w końcu zniecierpliwiony tą kłótnią literacką sam wystąpił na jaw. Jestto hr. Fryderyk v. Münch-Belinghausen znany pod przybranym pseudonimem Halma. Nasz tłumacz F. A. z rękopismu, zanim w druk oryginalną podano, uskutecznił swój przekład, zachwycony wystawą Szermierza na teatrze Drezdeńskim, gdzie rodak nasz Bogumił Dawison tak wybornie oddawał rolę rozbestwionego w samej pieszczocie Kaliguli. Tłumacz w końcu swego wstępu pisze: „Gdyby mną sama miłość własna powodowała, lękałbym się pośpiechu, z jakim tę pracę dla niestracenia stosowności czasu wygotować musiałem, a umiejący po niemiecku nierównie lepiej zrobią, gdy rzeczoną sztukę (skoro z druku wyjdzie) w oryginale, a nie w tłumaczeniu mojem przeczytają.” I podpisał się jako „niegodny tłumacz bardzo pięknej i zajmującej tragedyi.”

Kraków. Skutkiem rozpoczętych na nowo czynności Towarzystwa naukowego, zaczynają się już drukować Roczniki towarzystwa w trzech oddziałach: nauk moralnych, przyrodniczych, archeologii i sztuk pięknych. Życzyćby należało (pisze Czas, dodatek miesięczny w zeszyte marcowym r. b.) aby towarzystwo wróciło do dawnego systemu praktykowanego w Warszawie i Krakowie, to jest, żeby taki rocznik zawierał tom jeden, nie zaś trzy oddzielne małe zeszyty: połączenie bowiem wszystkich rozpraw w jednym tomie pozwala od razu objąć ogół rocznych czynności naukowego ciała; gdy przeciwnie podział zeszytowy na materye, zniża poważne roczniki do zwykłych broszur. W wydawnictwie katolickiem wyszedł: „Miesiąc Maryi” poświęcony Najświętszej Pannie, przerobiony z włoskiego przez ks. Ignacego Hołowińskiego. Dostojny pasterz powiada w przedmowie: „tłumaczyłem z włoskiego tę książeczkę, lecz starałem się zastosować do kraju. Odmieniłem przeto niektóre medytacye: często dnie całe są moje wszystkie, a ułożyłem przykłady, które brałem ze śś. polskich, sądząc, jak Skarga powiada, że blizki a dawny przykład rychlej porusza ku naśladowaniu cnót i nabożeństwa starożytnego”. Wkrótce też wydawnictwo ogłosi kazania tegoż znamienitego kościelnego mówcy, które mają być kwiatem wymowy kaznodziejskiej. W drukarni Czasu wyszedł: „Przewodnik dla podróżujących do wód Szczawnickich, ułożony po polsku i po niemiecku przez I. W. Szalaja”. „Niewiasty ewangeliczne:” „Homilii X. Ventury de Raulica, przekład ks. Zygmunta Golian'a:” wyszło zeszytów cztery.

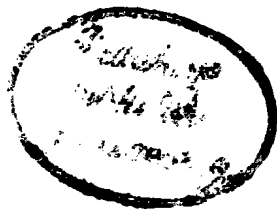
Lwów. Księgarz Jabłoński tłoczy siódmy zeszyt swego „Zbioru pisarzów” polskich, a zamierza z IX zeszytem tegoż rozpocząć wydawanie klasyków polskich, nieprzerywając pierwszego. Zbiór ten nowy

obejmie pisma znakomitych pisarzy albo dotąd drukiem nieogłoszone, albo znajdujące się w nader rzadkich egzemplarzach. Gdyby taką sobie obierali drogę inni wydawcy nasi, zyskałaby na tém literatura nasza, jeśli się pojawią te rzadkości; przeciwnie nie wiele ztąd korzyści, jeśli te same dzieła będą drukowane nieustannie, reszta zaś albo w zbiorach rękopismów się kryje i jest niedostępną, albo dla rzadkości exemplarzy mało komu znana. W drukarni Zakładu narodowego Ossolińskich rozpoczął się druk trzeciego tomu „Rysów dziejow polskich H. Schmitta”, który składać się będzie z 4 zeszytów, i obejmie przeciąg czasu od roku 1295 do 1495. We wstępie do tego tomu będzie zarys dziejów Prus i Litwy od czasów najdawniejszych, aż do połączenia się ich z Polską.

Sanok. W drukarni Pollaka wyszły dalsze zeszyty Biblioteki parafialnej dla ludu katolickiego wydawaną przez X. Załuskiego proboszcza brzozowskiego. W czterech ostatnich zeszytach mieści się: „Krzyż Chrystusów zbawienie, żywot i zmartwychwstanie nasze.” Jestto zbiór modlitw, nauk i pieśni religijnych starannie dobranych, mogących podnieść ducha religijnego nietylko w prostaczkach, ale i w ludziach wyższego stanu.

Przemyśl. „Biblioteki polskiej” wydawaną przez K. I. Turowskiego, a nakładem M. Dzikowskiego wyszedł trzeci zeszyt obejmujący dalszy ciąg dzieł Jana Kochanowskiego. Wydanie bardzo ozdobne i nadzwyczaj przystępne, gdy cały Kochanowski kosztować będzie 1 złr: 48 kr. wraz z ryciną. Sposób (mówi Czas dodatek z marca r. b.), jakim wydaje p. Turowski wiersze, odkąd przeniósł wydawnictwo z Sanoka do Przemyśla, zupełnie odpowiada wymaganiom typograficznym, kiedy w dawniejszych przedrukach sanockich, szczególnie w poezjach Brodzińskiego, tytuły niewyróżniają się od tekstu, i takie sprawiają wrażenie na czytelniku, jakby to był jakiś dramat, kiedy to są tylko urywkowe rymy.

Wiedeń. W drukarni uniwersyteckiej Zamarskiego wyszło nowe tłumaczenie „Fabioli” ozdobne drzeworytami. pięknie drukowane i najstaranniej tłumaczone. Jestto przekład pani Maryi Mochnackiej, jak dowiadujemy się z autografowanego listu samego kardynała Wisemana pisanego do autorki, w którymto liście upoważnia ją do podjęcia tego przekładu. Wstęp opatrzony jest przedmową wybornie skreśloną. W téjże drukarni wyszła broszurka p. n. „Do Wincentego Pola” zawierająca zbiór pochwalnych rymów na cześć jego ułożonych z powodu poematów: Mohorta, Wita Stwosza, Makowego ziarnka i Przygód B. Winnickiego: wiersz na makowe ziarnko ma najwięcej zalet.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Marzec, 1857.

Marzec 1857.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatorium Astronomiczném Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1g. 14^m. 45^s. 7 czyli w łuku 18°41'25",5 na

wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	dé- szczy	śnie- gu
1	756.36	757.11	757.44	759.85	+ 1.2	+ 1.2	+ 2.0	- 1.1	89.7	pochmurny	pochmurny	pr. pogod.	pogodny	PnZ.	PnZ.	Pn.	PnZ.		
2	761.64	762.50	762.94	765.43	- 2.3	- 0.5	+ 1.9	- 3.3	83.8	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnZ.	PnZ.	Pn.	-		
3	766.16	766.95	765.17	764.07	- 5.7	- 1.9	+ 0.9	- 2.3	85.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	-	PdZ.	PdZ.	Pd.		
4	760.43	758.46	753.77	749.60	- 5.7	- 0.5	+ 3.4	- 1.6	81.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	Pd.	PdZ.	PdZ.		
5	741.16	742.03	746.31	748.97	- 2.6	- 0.2	+ 2.0	- 0.5	86.2	pochmurny	śnieg	pochmurny	pogodny	Pd.	Z.	PnZ.	Z.		1.6
6	747.78	746.98	744.60	744.95	- 0.7	+ 1.0	+ 0.5	+ 0.4	96.0	pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	Z.	Z.	PdZ.	Z.		2.2
7	745.69	746.28	744.81	743.80	+ 1.2	+ 2.6	+ 3.2	+ 2.5	94.0	pochmurny	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	Z.	Z.	PdZ.	PdZ.	8.8	
8	742.72	742.76	741.10	740.27	+ 2.1	+ 4.3	+ 5.6	+ 2.1	89.5	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PdZ.	Pd.		
9	737.12	737.24	737.49	739.20	+ 1.0	+ 5.2	+ 4.0	+ 0.2	94.5	pochmurny	lek. pochm.	dészcz	pochmurny	Pd.	Pd.	PdZ.	Z.	5.8	
10	739.42	739.67	741.02	742.44	- 1.8	+ 1.0	+ 2.2	- 0.2	91.8	lek. zamg. ś.	lek. pochm.	lek. pochm.	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Z.		4.4
11	743.28	743.84	742.72	743.34	- 2.7	- 2.3	- 1.6	- 2.9	85.5	poch. śnieg	napół pog.	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Z.	-		2.8
12	741.65	741.99	742.20	742.43	- 4.2	- 3.3	- 2.1	- 2.3	87.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
13	741.67	741.37	741.28	743.08	- 2.3	- 0.6	- 1.5	- 3.3	87.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
14	745.33	746.25	747.51	748.02	- 3.3	- 0.6	- 0.2	- 1.4	89.8	poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PdZ.		2.4
15	748.55	748.07	746.20	744.60	- 4.4	- 1.6	+ 1.6	- 0.9	82.0	pogodny	pogodny	smugi	pochmurny	Pd.	PdW.	PdW.	PdW.		
16	746.85	748.70	751.00	753.70	+ 1.6	+ 3.0	+ 2.8	+ 2.1	92.2	poch. śnieg	napół pog.	poch. dész.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	2.0	8.0
17	756.30	757.66	758.55	760.41	- 0.5	+ 2.8	+ 7.0	+ 1.4	82.3	pogodny	lek. zamgl.	napół pog.	pogodny	-	Z.	Pn.	PdZ.		
18	762.57	764.06	764.78	766.64	- 0.5	+ 3.1	+ 4.3	+ 1.0	83.5	pochmurny	lek. pochm.	pogodny	pochmurny	-	Pd.	PdW.	PdW.		
19	769.13	770.56	770.57	771.59	- 1.9	- 3.3	- 1.7	- 5.0	76.0	pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	W.		
20	770.70	770.51	769.57	770.13	- 7.6	- 1.9	- 1.1	- 4.5	81.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	-	PdW.	PdW.	PdW.		
21	767.46	766.69	762.47	760.49	- 5.8	- 0.5	+ 2.7	+ 0.8	74.3	pogodny	pr. pogod.	pochmurny	pochmurny	W.	PdW.	W.	PdW.		
22	756.27	755.23	753.76	753.52	- 0.7	+ 0.4	+ 1.6	- 0.5	77.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
23	752.84	753.05	752.49	752.81	- 0.9	+ 0.9	+ 3.2	+ 0.8	86.8	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	PdW.	PdW.	PdW.		
24	751.70	751.36	749.24	748.06	+ 1.7	+ 3.3	+ 6.5	+ 3.3	75.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	W.	PdW.		
25	746.80	747.42	748.08	748.38	+ 3.1	+ 1.9	+ 2.7	+ 1.6	81.8	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
26	747.91	748.02	748.03	748.90	+ 1.0	+ 1.7	+ 2.4	- 0.0	82.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
27	748.93	749.85	750.21	750.73	- 0.6	+ 1.1	+ 1.4	- 0.4	91.8	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PnW.	PnW.		
28	749.95	750.41	749.99	750.74	- 0.5	+ 1.2	+ 3.2	- 0.8	89.2	pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	-		
29	750.54	751.96	750.52	750.78	- 0.3	+ 3.1	+ 2.9	+ 1.2	88.3	poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	-	PnW.	PnW.		2.0
30	749.16	749.04	747.15	746.69	- 0.0	+ 3.3	+ 4.2	+ 1.2	87.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	-	-	W.		
31	746.10	745.68	744.10	744.37	- 0.9	+ 4.6	+ 9.5	+ 4.8	75.0	pogodny	pr. pogod.	lek. pochm.	lek. pochm.	-	PdW.	PdW.	PdW.		
Śre.	751.360	751.636	751.130	751.548	- 1° 39'	+ 0° 92'	+ 2° 37'	- 0° 20'	85.4									16.6	23.4

	m.	e.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	751.419	27	9.100
Najwyżej barometr dochodził d. 19 o g. 10 w.	771.59	28	6.043
Najniżej — — d. 9 o g. 6 r.	737.12	27	2.762
Średnia zmiana dzienna barometru	3.792		1.681
Największa zmiana dzienna barometru d. 4—5 o g. 6 r.	19.27		8.542
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających	2.237		0.994
Średnia temperatura marca wynosi: i ta jest wyższa o od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających	+ 0°41 C. 0.03 „	+ „	0°33 R. 0.03 „
Największe ciepło było d. 31 o g. 4 w.	+ 0.38 „	+ „	0.39 „
Największe zimno — d. 20 o g. 6 r.	+ 9.5 „	+ „	7.60 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	— 7.6 „	— „	6.08 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 18—19 o g. 10 r.	1.766 „		1.413 „
Termometrograf wskazał:	6.4 „		5.12 „

Maximum: + 8°5 R. d. 31 po połud.
Minimum: — 6°2 „ d. 20 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 85.4, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 4.72 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.02 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 16.6 mil. czyli 7.36 lin. par.; z śniegu 23 4 mil. czyli 10.37 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 40.0 mil. czyli 17.73 lin. par. ilość ta wody jest o 0.93 lin. par. mniejsza od tej, jaka w marcu spada.

Dni pogodnych było 4, napół pogodnych 6, pochmurnych 21.

— deszczu 4 (d. 7, 9, 16, 25).

— śniegu 12 (d. 5, 6, 7, 9, 10, 11, 14, 16, 25, 27, 28, 29).

— gradu 2 (d. 7, 19).

Wichrów było 4 (3 PnZ., 1 W.).

Wiatrów mocnych 6 (5 PdW., 1 PnZ.).

Wiatr panujący Południowo-Wschodni.

Marzec r. b. był mniej pogodny niż zwykle; pomimo to dość suchy więcej w śnieg niż deszcz obfity, pod względem temperatury osobliwie w pierwszych dwudziestu dniach zmienny, w ostatnich dziewięciu ciepły, i zbliżał się do stanu normalnego. Najcieplejsze dni były d. 7, 8, 9, 16, 17, 18, 24, 25, 30, 31; najzimniejsze d. 3, 11, 12, 19, 20. Zmiany barometru osobliwie przy wichrach były znaczne. W dniach 10 i 16 śnieg spadł obficie, lecz ten skutkiem ciepła wkrótce stopniał. Pod względem stanu nieba marzec był mniej pogodny niż zwykle w stanie bowiem normalnym stosunek dni pogodnych do napółpogodnych i pochmurnych jest jak 4.5:8.7:17.8; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 4:6:21.

D. 22 lody górne na Wiśle od strony Warszawy ruszyły.

Wysokość wody na Wiśle największa stóp 11 cali 10 d. 30.

Najmniejsza stóp 4 cali 5 d. 1, 2, 3, 4.

FAUST.

TRAGEDYA GÖTHERGO.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO.

PRZEZ Z. Z.

PRZEDMOWA TŁUMACZA.

Druga połowa XVIII wieku zastała literaturę wszystkich prawie krajów Europy pod panowaniem gustu francuzkiego. Zgadzał się krytycy, że utwory imaginy, że malowidła wielkich namiętności i drobnych przywar, liryczne uniesienia i obserwacya życia w pewnych tylko, u Francuzów przyjętych formach przedstawione, czynią zażość i estetycznym pragnieniom ludzkiej natury, i wymaganiom publiczności na wysokim stopniu towarzyskiej ogłady stojącej; a na to nie zwracali uwagi, że wielcy poeci i prozaicy francuzcy mający być wzorem dla wszystkich literatur świata, byli pisarzami przeważnie narodowemi. Panowanie takich wyobrażeń i takiego gustu u nas w Polsce dostatecznie się tłumaczy przez stan polityczny, przez całą historią krajową wieku zeszłego i początków terażniejszego, bezpośrednio zaś przez tę okoliczność, że potrzeba literatury w najwyższej tylko klasie społeczeństwa była uczuwana, a ta najwyższa klasa

francuzczyzną przesiąkła. Z takiego stanowiska zapatrując się na całą epokę francuzkiego wpływu, powinniśmy, jak miemam, krytyka nasza i historia literatury zająć się jego dokładnym ocenieniem, mniejszą przywiązując wagę do estetycznych zasad, do uczuciowych upodobań i zapędów gustu, niż to właśnie miało miejsce w ciągu zaciętej polemiki między klasykami i romantykami: z kąd też pochodzi, że nas ta polemika niezupełnie oświeciła.

Powstanie przeciwko klassycyzmowi czyli gustowi francuzkiemu musiało prędzej czy później wszędzie nastąpić dla tych ogólnych przyczyn, że formy na obcym gruncie wyrobione im są wyłączenie, im ściślej oznaczone, tém niezdatniejsze do wyrażenia myśli swojskich, i że potrzeba literatury od wierzchołków społecznych do warstw niższych zstąpiła, nie licząc jeszcze rozmaitych innych jak w jakim kraju okoliczności, które takową reakcją przyspieszyły lub opóźniły. My, naprzykład, dla względów nierównie od literatury ważniejszych, długi czas nie wychodziliśmy z francuzkiej rutyny; nowy ruch w literaturze rozpoczął się u nas w tym samym prawie czasie, kiedy już wreszcie i Francuzi zaczęli się przekonywać, że nie można żyć wiecznie literaturą jednej epoki, i że naśladowanie jej wzorów, chociażby arcypięknych, z początku treściwe i zajmujące, schodzi z czasem do nudnej jednostajności i wszelką myśl oryginalną przytłumia. Ponieważ zaś panowanie klassycyzmu powszechne było i gust francuzki wspólną cechą tylu literatur: to nie dziwnego, że i obalenie tego panowania odbyło się wszędzie mocą pewnej liczby wspólnych potrzeb i popędów. Dowodem tego najpopuilarniejszym owe nazwy romantyzmu i romantyków, pod którymi się w całej Europie, nie wyłączając Francji, wojna przeciwko starym formom prowadziła. Nie idzie stąd jakoby każda literatura samodzielnie odnowiła się; bynajmniej: ale

rzeczą jest niezaprzeczoną, że wynaleziony przez Niemców romantyzm prędkiej czy później wszystkim do gustu przypadł i stanowi epokę w literaturze każdego kraju.

W istocie, ogólny zarzut przeciwko formom francuzkim był, jak wiadomo, ten, że jako obce i stare nie są wystarczające narodowym i nowoczesnym potrzebom, dążeniom, pomysłom. W szczególności zaś zarzucano klassycyzmowi, że krępuje imaginacją, ścieśnia zarazem znaczenie i wpływ literatury, wytykając jednej i drugiej nietylko pewne granice, ale i pewne drogi zdawna wydeptane, skutkiem czego literatura zamiast być wyrażeniem całego społeczeństwa, staje się tylko zabawą pewnej jego części i zatrudnieniem miernych talentów, godzących się chętnie z gotowemi formami. Dalej, że trzymając się uparcie na stanowisku ogłady towarzyskiej i przyzwoitości salonowej, nietylko tamuje postępy języka, ale co gorsza, nie dozwala wyjść na jaw jego bogactwom, których daremnie w salonach szukać. Następnie, że prowadzi do zaniedbania przeszłości krajowej, wając lekce wszelką działalność literacką epok poprzednich, jakoby nieoświeconych dobrym gustem; że nie umie robić żadnego użytku z żywiołów religijnych w narodzie, z podań gminnych, z oryginalności miejscowych. Że nareszcie główną przywiązuje wagę do zupełnie powierzchownej strony obrabiania imaginacyjnych tworów, do poprawności grammatycznej, do symetrii i tym podobnych drobiazgów, a nie umie ocenić głębokości pomysłów, szczerości uczuć, prawdziwości obrazów, świetności fantazyi i t. d.

Wszystkie te zarzuty jednakową prawie miały siłę w Niemczech i w Polsce i w każdym innym kraju, który, że tak powiem, stękał pod klassycznym jarzmem; wyliczywszy je choć nie w zupełności, przypominamy sobie dostatecznie chwalebna stronę romantycznego ruchu, ale nie mamy jeszcze szczerzej jego treści i prawdziwych kolorów. Uważany sam w sobie romantyzm był

mało co mniej dziwną od klassycyzmu jednostronnością, już gdy ogłaszał natchnienie i jakąś sercową bezpośredniość za wyłączny element twórczości, a przynajmniej zbyt mu przeważne znaczenie przypisywał, w nastrojeniu zaś indywidualném uznawał jedyne téjże twórczości prawo, to jest odrzucał poprostu wszelkie crite-rium formy; już téż gdy zapałem antagonizmu podniecany, wymyślał sobie i w teorye układał gusta zbyt jednobarwne a czasem potworne i nawet arbitralniejsze od klassycyzmu, bo to tylko za sobą mające, że się od niego bardzo oddalały. Tento antagonizm poduszczał nieraz do wątpienia o prawdach odwiecznych i do lekceważenia starożytnych literatur. Wiadoma rzecz, że po tryumfie z trudnością otrzymanym, zwycięzcy dopuszczają się zwykle nadużyć i wpadają w ostateczności przeciwne tym, które pokonali; że po odrzuceniu długo panujących wyobrażeń, nie łatwo przyjść do wyrobienia innych i zyskać dla nich powszechne uznanie: tak i tu wypadło. Wielkie talenta nowemi poszły drogami, co niekoniecznie dla literatury wystarcza; mniejsze nie zawsze potrafiły się ocenić i właściwy sobie tór wynaléźć: tłum rzuczał się tu i owdzie. Ztąd poszło, iż w ogólności pomimo swe piękne i szczerze ukochane hasła, romantyzm wydaje się dziś jakby jakaś siła bez właściwego wywarcia się, zapał bez dobrze wiadomego przedmiotu, pęd bez pewnego kierunku. Poruszył on i wyprowadził na pole literatury i dyskusyi krytycznej wszystko co poruszyć było można: a że się schodził z dążnościami i wypadkami bardzo wielkimi, z rezultatami wiekowych wpływów, więc śmielsze jeszcze i rozmaitsze jego rzuty i zjawiska, szybsze umysłów ogarnięcie. Imāginacya uwolniona z więzów staréj szkoły obiecywała sobie zdobycie niestychanych skarbów, odkrycie najcudowniejszych krain; zyskawszy wiele mniemała, że to daleko więcéj niż było w istocie. Gardząc rzeczami poziomemi pragniono ideałów rozma-

tego rodzaju; ubolewanie nad czasem obecnym pobudziło do zaciekania się w pomroce dziejów i ubarwiania dawnych postaci i scen; wstręt od wykwintności, swoboda uczuć zrodziła zamiłowanie wszystkiego co swoje, co rodzinne: zachwycał się romantyzm rycerstwem średniowiekowym i śpiewał ballady, zachwycał się podaniami i piosneczkami gminu, jego obyczajami i ubiorem; utrzymywał nawet, że lud ma prześliczną poezją i głęboką filozofią. Słuszną mając odrazę do francuzkiej bezbożności XVIII wieku, i do suchego, zaczynającego się już rozsypywać protestantyzmu; romantycy upatrywali poetyczność w katolickich instytucjach, dogmatach, obrzędach i zwyczajach, choć w ogólności katolikami nie byli; wynieśli kobietę do apoteozy, ale mimo woli zapewne, najfałszywsze rozszerzali wyobrażenia o jej przeznaczeniu. Uwielbiali godność duszy, prawość namiętności, chcieli wzniosłości uczuć wszędzie i zawsze, nad wszystko zaś stawiali poetyczne natchnienie.

W tych rozlicznych dążnościach, upodobaniach i pretensjach, wiele było rozumnego i pięknego, wiele także niedorzeczności, złudzeń zabawnych, a co gorsza, nader szkodliwych. Dość rzetelnym reprezentantem romantyzmu w ogóle jest nie jeden młodzieniec naszego czasu z ukształceniem, z imaginacją i szlachetnym sercem a niebardzo mocnymi zasadami, który wyemancypowawszy się z pod władzy domowej i szkolnej, cieszy się swobodą i występuje na świat z wielką wiarą w swe siły. Żadna sfera zawysoką dlań nie jest; głowę ma pełną twórczych pomysłów, nowych widoków. Zapala się do wszystkiego co piękne, co wzniosłe, chociaż niezawsze je umie rozeznąć i ocenić.

Czasem szczerze bywa przekonany że ma za nic życie, i gardzi ludźmi jako poziomemi istotami, które go nie rozumieją; ale tém niemniej pełen jest pragnień, łatwo przywiązujący się i otwarty. Wzdycha do ideału kobiety, ale to mu nie przeszkadza zakochać się

w pierwszej lepszej i Ignąć do zupełnie ziemskich uciech. Może być z niego niepospolitej wartości człowiek, tymczasem jego zaletą i wdziękiem jest młodość, zapał i szlachetne instynkta. To też najognistszy choć i niekompletny poetyczny manifest romantyzmu nosi tytuł: Ody do młodości.

Nie zgani mi czytelnik, że lubo ogólnemi tylko rysami usiłowałem mu fizyognomią romantyzmu przypomnieć, naszą głównie literaturę miałem na myśli, i charakterystyka powyższa do polskiego mianowicie romantyzmu przypada. W Niemczech, w drugiej połowie przeszłego jeszcze stulecia rozpoczęło się odrodzenie literatury, ruch nadzwyczajnie świetny i płodny, w ciągu którego mnóstwo rozmaitej siły i natury talentów wystąpiło. Z tych imiona Lessynga, Herdera, Göthego, Szyllera, Bürgera, Szległów nie są bez wątpienia obce tej nawet części czytającej publiczności, która się bezpośrednio z niemiecką literaturą nie zaznajomiła. Od owej epoki ta literatura stała się europejską, zaczęła wywierać wpływ na wszystkie strony i weszła nietylko do staranniejszej, literackiej, ale do ogólnej nawet edukacji u obcych. Charakter zaczynającego się od Lessynga peryodu nie daje się w kilku rysach, jak nasz romantyzm przedstawić: długie to i obfite dzieje, kilka, że tak rzekę, zwrotów obejmujące. Bo dawniejsza w Niemczech i nierównie szerszej niż u nas rozlana kultura umysłowa, wielka ludność i jej plemienne odmiany, różnaitość składu społeczeńskiego i działalności klass towarzyskich, życie naukowe, filozofia, kunszt narodowy, ciągłe z innemi krajami stosunki: wszystko to musiało nadać ruchowi owemu szerszą podstawę, większą moc i różnaitość, obfitsze przedmioty wywarcia się. Zresztą nazwa romantyzmu nie z początku się tam zjawiła: przybrana ona została w późniejszym czasie na oznaczenie pewnej dążności, czyli pewnej szkoły poetycznej w pierwszych latach tego już wieku. Wszakże pomimo

ogromnych różnic w rozmiarach, trwałości i ważności rezultatów, pomimo odmienności samego nawet charakteru spowodowaną przez wyżej wskazane okoliczności, jest niezaprzeczone, widoczne nawet podobieństwo pomiędzy odnowieniem się i w ogóle dążnościami literatury niemieckiej w wieku przeszłym, a naszym romantycznym w dwudziestych latach i następnych. Wszak nikt nie wątpi, że to ostatnie odbyło się w znacznej części z natchnień tamtego, choć tu jeszcze i wpływ angielski (Byrona, Walter-Scotta) policzyć należy. I tu i tam zaczęto od powstawania przeciwko francuzczyźnie, przeciwko monotonii i ciasności form, przeciwko wszystkiemu co konwencyjonalne, bezbarwne, kłamliwe względem uczuć i natury; odwołano się do narodowości, do prawdy życia, do prostoty, do praw imaginacji, do wyższości natury nad kunsztem. Tu i tam potępiono mierność, mozolne zastępowanie ubóstwa rzeczy przez powierzchowną gładkość, foremność; żądano twórczości, gienialnego rzutu, dzieł jednolitych, gdzieby pomysł przyrodzoną sobie formę bezpośrednio przybierał. Tu i tam dla uniknięcia gładkości lubiono wpaść w szorstkość; na przekór obczyźnie i pedantyzmowi wyszukiwano archaizmy i prowincjonalizmy; na przekór salonowości podobało się zaniedbanie, sentymentalność, dzikość, głębia, wulkaniczne wybuchy. Tylko że te nowe dążenia, teorye i gusta wystąpiły u nas od razu niemal, w krótkim przeciągu czasu, przy blasku wielkiej gwiazdy poetycznej, tłocząc się w pożyczanych częstokroć barwach; zaś w Niemczech przygotowane były zwolna, wynikały samodzielniej, w pewnym następstwie, jakoby organicznie rozwijały się, ucześnie były i na własnym gruncie zrozumialsze. A i tam przecież jeden z początkowych peryodów sławnej epoki odrodzenia literatury, nazwany został peryodem burzy i nawału (Sturm und Drang-Periode).

Ogłaszając tłumaczenie jednego z najznakomitszych tworców owój epoki, sędzę, że mi koniecznie wy-

padają wstęp powyższy uczynić; bo gdy rodowód naszego romantyzmu aż tam sięga i na wskazane podobieństwa uwaga czytających jest zwrócona: przystępniejszém więc będzie stanowisko z jakiego w naszej literaturze słynne arcy-dzieło Göthego, zdaniem mojem, ocenione być winno.

Göthe jest głównym reprezentantem najpiękniejszych czasów literatury niemieckiej. Utwory jego zwracały na siebie uwagę całego kraju, obudzały entuzjazm, nadawały kierunek i ton plejadzie młodych talentów. Wielkie zdolności poetyczne podwyższone przez wszechstronne ukształcenie naukowe, rzadki rozsądek i dar obserwacyi, już mu otwierały świetny zawód literacki; ale istnym koryfeuszem swojego narodu i wieku to go uczyniło, że obok żywego przyjmowania wszystkich wrażeń, sympatycznego wyrozumiewania i przyswajania sobie wszystkich rezultatów przeszłości, wszystkich nadziei, pragnień, wątpliwości i smutków współczesnych, potrafił on zarazem, mocą osobliwie gienialnej natury, odstrychnąć się od tego, co go na wskroś przejmowało, i przerobione w duszy swój idee, przecierpiane jej stany traktując jak pomysły sztuki, wyrażać je w poetycznych formach z energią, swobodą i wykończeniem mało komu dostępném. Delikatna i silna organizacya, nadzwyczajnie wrażliwa a niezemu opanować się nie dająca: złąd jakiś panteistyczny, możnaby powiedzieć, charakter Göthego, uważając całość jego pism. Nic tam szczególnie nie przeważa, ale wszystko co poruszało jego epokę znajdzie się niezawodnie, choć naturalnie, nie każdy pomysł w arcydzieło przeszedł.

Nie był Göthe wieszczem pewnych idei, któreby ostatecznie ukochał, nierozdzielnie z nimi się spoił, któreby mu nadały wydatność do uchwycenia łatwą; twórczość jego nie ograniczała się pewną sferą, pewnym zakresem zjawisk czy pomysłów, jak się to o ka-

żdym pœecie da powiedzieć, nie wyłączaając nawet Dan- tego i Szekspira. Dlatego téz nie byłoby zupełnie nie- dorzeczném twierdzenie, że to nie jest wcale wielki poeta; twierdzenie z którym rzeczywiście występowano, gdyby twory śmiało obok najcelniejszych produkcyi ja- kiejkolwiek literatury stanąć mogące, stanowczo tako- wego paradoxu nie zbijały. Tak jest, gdyby nie ogro- mne siły ducha zdolnego objąć tyle, gdyby nie idealna prawda w oddaniu przeprowadzonych przezeń zjawisk, gdyby nie kompozycya i styl: Gōthe byłby tylko ency- klopedyczną miernością, choć i ta nie jest wcale pospo- litą. Jak zaś sam on pojmował powołanie poety, wy- rozumieć to czytelnik z jednego ustępu w prologu do Fausta (poeta str. 666 i następ.) i z kilku miejsc same- go poematu. Zresztą jeżeli Gōthe w ogólności nie obu- dza w nas wyobrażenia jakie o tylu innych znakomitych poetach mieć zwykliśmy, wyobrażenia pewnej patetycz- ności, czy blasku i polotu górnego z niejakiem odcie- niem mizantropii, to może tém dokładniej reprezentu- je nam gieniusz swojego narodu.

W Fauście podniósł Gōthe do poetycznego wyra- żenia główne strony moralnego i umysłowego nieładu, który dziś jest normalnym, że tak rzekę, stanem naj- większej części Europy: wówczas do jasnego jeszcze przeświadczenia nie przyszedł, a początków jego aż w wieku XVI szukać należy. Nie tu miejsce do bada- nia jego przyczyn, oceniania charakteru i dotychcza- sowych skutków; ale to pewna, że w drugiej połowie XVIII wieku dawał się już Niemcom uczuć pod wszel- kiemi względami. Wyższe i badawcze umysły dosko- nale widziały całą czczość protestantyzmu; państwo nieskończenie rozdrobione bez żadnego było znaczenia w Europie; wszelkie życie polityczne wymarło; skład społeczeński i prawa w sprzeczności z wyobrażeniami ogółu oświeconych ludzi i stanem uobyczajenia; klasy

najwyższe zfrancuziate i względem niższych wyniosłe; literatura krajowa tłumiona obcym gustem, nauka popolicie od życia oddzielona: wszystko to wyrodziło jakiś stan niepokoju i niemocy zarazem; nieograniczone pragnienie lepszych rzeczy i niemożność wynalezienia dla tych pragnień pewnego punktu wyjścia w świecie rzeczywistym; budzące się uczucie wielkiej siły obok nieumiejętności wywarcia onejże gdzieindziej jak na polu imaginacyi; atmosfera dusząca i rozdrażniająca współcześnie, coś nakształt niespokojnych marzeń chorego. Dosyć to było naturalne w społeczeństwie rozdwojoném przez reformacyą, rozpadającém się w swych formach, gdzie nadto z okoliczności wynikło, że najlepsze siły były obrócone zbyt wyłączenie na uprawę umysłową, na zaciekania się filozoficzne mające ni-by prawdę odkryć śmiałemu rozumowi, a tymczasem oddalające go od rzeczywistego świata. Ta téż nam okoliczność objaśnia bezpośrednio, dlaczego tak wielkie wrzenie umysłów li tylko w literaturze się okazało u Niemców, gdy tymczasem gdzieindziej analogiczny stan społeczeństwa zrodził czyny, spowodził katastrofy polityczne wiekopomnego znaczenia.

Wątkiem poematu Göthego jest stare podanie ludu, i sam jego wybór świadczy już o artystowskim takcie poety. W istocie historia uczonego alchimisty, który znudzony nauką i z życiem sobie poradzić nie umiejąc, nic innego nie mógł wymyślić jak diabłu duszę zaprzedać, nie jestże trafną allegoryą skeptycyzmu, rozstrojenia społeczeńskiego, tęsknoty, gwałtownego miołania się rozumów obok niezdolności do czynów? Obmierzenia sobie stanu obecnego obok niemożności wydobyć się z niego w zakresie rzeczywistych położeń i stosunków? Mądry doktor bratający się z diabłem nie przypadaż wybornie do wysoko ucywilizowanej epoki, w której oświecone klasy Boga odrzucały, śmiały się z kościoła, a wierzyły w wywoływanie duchów, wierzyły

szalbiertwom Kagliostra i łgarstwom hrabiego de St. Germain?

Göthe wystawia nam Fausta zniechęconego bezowocnością naukowych dociekań, narzekającego na liche swe położenie w świecie. Faust posiada wszystkie umiejętności: jest rozumny i poetyczną obdarzony imaginacją, ma wielkie wyobrażenie o potędze swój myśli, o swoim gieniuszu; przyprowadza go więc do rozpaczy, że z takimi zasobami ani istoty rzeczy zbadać, ani fortuny sobie zrobić nie potrafił. Rzuca się więc do magii i zaczyna duchów wywoływać: ukazuje mu się duch życia czynnego, duch historii, potężny, pałający. Ale mędrzec nie czuje w sobie sił do pobratania się z takim energicznym gieniuszem: widać że potrafi tylko pragnąć i marzyć! To go ostatecznie martwi. Postanawia odebrać sobie życie, ale w chwili wykonania tego zamiaru cudny śpiew chóralny z sąsiedniego kościoła wśród nocy rozlegający się, rozczuła go, wspomnienia niewinności dziecięcej na pamięć przywołując, i od ostatniego kroku wstrzymuje. Wkrótce potem, ciągle niespokojnością żądz trapiiony, zabiera znajomość z pospolitego gatunku diabłem Mefistofešem. Bez żadnych szczególnych wysień szatańskiego dowcipu, Mefistofeles nakłania Fausta do ścisłego z sobą przymierza; obiecuje mu wesołe i rozkoszne życie. Zarozumiały filozof traktuje diabła z góry, okazuje zupełną wzgardę dla wszystkich jego wymysłów, ale po niejakiem wahaniu się, wymownych narzekaniach, rozpacznych uniesieniach, daje się namówić. Porzuca tedy professorski swój zawód i za pomocą czarów odmłodniony, puszcza się w świat z nowym przyjacielem. Wśród życia wcale różnego od dawniejszych cichych zatrudnień, spotyka Małgosię, młodziuchną mieszczkę cudnej urody, Dobra i niewinna, a nie bez imaginacyi dziewczyna łatwo daje sobie zawrócić głowę świetnemu kawalerowi, który z rycerską powierzchownością i ujmującym obej-

ściem łączy rozum, ukształcenie i czarującą wymowę. Faust kocha się w niej zapalenie, maluje swoją miłość kolorami dziwnego blasku, idealizuje ją, ma chwile skrupułów moralnych, kończy jednakże jak wielu pospolitych rozpustników. Ma się rozumieć, że Mefistofeles bardzo jest czynny w całej tej intrydze. Faust wprawdzie z wysokości swojego rozumnego człowieczeństwa ciągle diabłem pomiata, obrzydzenie mu swoje co chwila okazuje, mimo to jednak stosunków z nim nie zrywa, potrzebuje jego usług, ulega jego poduszczeniom, a nawet cynizm diabelski i uszczypliwe żarciki dosyć cierpliwie przenosi. Biedna Małgosia tymczasem nie może znieść swojego wstydu: w przystępie pomieszczenia i rozpaczy staje się dzieciobójczynią, i osadzona za to w więzieniu, śmiercią ma być ukarana. Te okropne katastrofy pozbawiają ją reszty rozsądku. Faust dowiedziawszy się o losie kochanki, przerażony jest i wzruszony do głębi; szlachetne jego serce czuje wówczas cały ogrom tego nieszczęścia. Dostaje się do więzienia i chce Małgosię uwolnić, ale ta, pomimo swojego stanu, ma tyle dobrego instynktu, że się stanowczo opiera kochankowi. W ostatniej chwili promień Bożej łaski w jej duszę zstępuje; głęboką skruchą przejęta, nadzieją przebaczenia podniesiona, odpycha poziome z losem pojednanie i woli z pokorą karę doczesną odnieść, dla oczyszczenia się z winy i lepszego życia za grobem. Faust, którym nie energia namiętności dawno już nasyconej, ale tylko dobroć serca i wyrzuty sumienia powodowały, nie umie ani oporu Małgosi przemódz, ani wznieść się tak wysoko jak ona. Mefistofeles przekłada mu niebezpieczeństwo i bezskuteczność dłuższego nalegania, wyciąga go z więzienia i obaj znikają. Taki koniec dramatu; rozwiązania właściwego nie ma.

Nie sądzę, ażebym miał w jakiegokolwiek mierze umniejszać dla czytających interes tego pięknego utworu, przytaczając, zresztą wcale niedokładnie, treść jego w przedmowie. Dlatego i o tyle tylko to uczyniłem, ażeby

wskazawszy główne motywy kompozycji, zwrócić uwagę na jej dobrze obmyślaną wierność względnie idei, jaką w niej autor artystowskim sposobem odtworzył, to jest, owego tragicznego zwiątania się umysłu w własnej pysze i niemocy, wśród których, to pokusami żądź wabiony, to wygórowanym nadęty spirytualizmem, aż do ubóstwienia siebie dochodzącym, w różne strony się rzuca i pomimo wszechstronne wykształcenie i wielkie swych sił uczucie, nie potrafi się wznieść do żadnej prawdziwie moralnej, czyli chrześcijańskiej wysokości. Mamy więc w Fauście poetyczne wyrażenie niedołężności rozumu, granic sobie zakreślić nieumiejącego, a zatem i wewnątrznie pogodzić się z życiem (to jest z ideą rzeczywistości w ogóle, a niekoniecznie z każdą daną sytuacją), gdy pogodzenie się, takowe tylko na gruncie wyraźnej, twierdzącej religijnej zasady nastąpić może.

Nie od rzeczy tu będzie uprzedzić łatwo przewidzieć się dający zarzut, że się, tak uważając, podsuwają jakoby Göthemu zamysły i cele moralne jakich on nie miał, że się z jego poematu wyciąga sens, którego on mu dać nie zamierzał. Tłumacz wie o tém dobrze, że Göthe był synem swojego wieku tak jak i jego Faust, że dalekim był od niego wszelki dydaktyzm, wszelkie nauczanie lub propagowanie swoich opinij w dziełach poetycznych; wie o tém, że zadaniem Göthego był tylko ideał, forma w wyższém znaczeniu tego słowa, kunszt poetycznego wyrażenia rzeczywistości, i ktokolwiek zechce dobrze wyrozumieć to, co się wyżej o naturze jego talentu powiedziało, nie znajdzie żadnej dowolności w pojmwaniu znaczenia Fausta jakie ma ten utwór sam w sobie. Do takiego zaś pojmwania tém większą przywiązuje wagę, że przez nie tylko idea poematu Göthego może wejść naturalnym sposobem w sferę naszych narodowych wyobrażeń i sam poemat stać się w naszej literaturze zrozumiałym. Moznaby więc nawet powiedzieć, po polsku sądząc, że to satyra na niedosta-

teczność ducha nowoczesnego: tak jest, ale satyra głęboka i sympatyczna, bo wyszła nie z zewnątrz, lecz z głębi samegoż ducha tego, z doświadczeń wewnętrznych wysokiego umysłu; bo nie szydząca lub strofująca, owszem pełna współczucia dla odmalowanych walk i boleści.

Co do idei swój ma prawo Faust nazywać się ojcem liczego pokolenia pomysłów poetycznych w sferze wewnętrznej dramatu duszy, w porządku filozoficznym i psychologicznym w ogóle; podobnie jak Werter jest pierwowzorem romantycznej analizy serca, idealnych miłości i exaltowanych spowiedzi; jak mistrzowski a mało u nas znany dramat Götz von Berlichingen był świetną inauguracją historycznego dramatu dzisiejszego, głównym jeżeli nawet nie pierwszym popędem do zamiłowania średniowiekowych rycerskich obrazów tak w romantyzmie wydatnego i głośnego, jak inne jeszcze dzieła Göthe'go różne wywołały dążności i upodobania szczególne. Nie bez interesu zaiste byłoby śledzenie w naszej naprzykład literaturze, rodowodu rozmaitych pomysłów, widoków, manier, pretensyj i aż do najdrobniejszych szczegółów, gdziebyśmy niezawodnie bardzo często do owych dzieł w końcu trafili. Faustowi pierwsze się między nimi miejsce należy jako najbogatszemu co do treści, najoryginalniejszemu co do formy. W tym ostatnim względzie znaczenie jego, a zwłaszcza wpływ tak na swoją jak i na odnawiające się obce literatury większy jest jeszcze, bezpośredniejszy niż w pierwszym. Swobodna, i rzecz można, od pomysłu nieoddzielna forma w jakiej ten poemat wystąpił, forma nie prawie wspólnego z dawnymi nie mająca, była niewypowiedzianie zwyciężką i poparciem nowych teoryj estetycznych; urzeczywistniła ideał poezji nowoczesnej, samodzielnej, bez żadnych konwencyonalnych ramek, wyrażenie swoje tylko z natchnienia, tylko z natury samegoż pomysłu czerpiącej. Jestto

szereg scen to dramatycznych, to lirycznych, przechodzących miejscami w obrazy, miejscami w dziwnie efektowe dyalogi między duszą i zjawiskami zewnętrznymi, a czasem i w najzupełniejszą fantasmagoryę, gdzie nam migają przed oczyma dzikie wymysły ludowych podań, pomieszane z satyrycznymi alluzjami do rzeczy współczesnych. Wszystko to ani jest podzielone, ani powiązane sposobami scenicznymi, ma przecież wewnętrzny między sobą związek, nie trudny nawet do uchwycenia. Nie można było nic stosowniejszego wynaleźć na wyrażenie téj idei niepokoju, nienasyconych pragnień, imaginacyjnych uniesień, złudzeń dobrowolnych i rzeczywistój niemocy, idei stanowiącej grunt dzieła, jak to już usiłowałem okazać. Nieład i dysharmonia pod warunkami ideału musiały i w formie wystąpić. Trudno wypowiedzieć ile rozmaitych elementów ta giętka forma objęła. Katastrofy psychologiczne i dramatyczne, polot myśli w niedościgłe sfery, obrazki życia codziennego rzucone w przelocie, wspiane malowidła rzeczywistości i widzenia fantastyczne w gminnej wyobraźni urojone, znalazły tu miejsce, wzajemnie swą wartość podwyższając. Poeta w najosobliwszy sposób zakończył swoje dzieło: nie dał dramatowi żadnego rozwiązania; ale to pozorne dziwactwo jest znowu dowodem doskonałego zmysłu poetycznego. Rozwiązania tu być nie mogło, bo go sama idea nie przypuszcza, bo go umysł niemiecki do dziś dnia w rzeczywistości nie wynalazł, wewnętrznych sprzeczności nie pogodził: wszelkie więc usiłowanie wynalezienia go w formie wyszłoby albo na popolitą naukę moralną, albo na jakąś excentryczność daleko niezrozumialszą od trafnie wymyślonego przerwania, od owych smutnych wołań pojednanój z Bogiem Małgosi (1).

(1) Najlepszym poparciem powyższego uważania rzeczy jest tak nazwana druga część Fausta, w której próbował sam Göthe odpowiedzieć

Dzisiaj zapewne nikogo już nie zdumiewa ani takie zmieszanie obrazów rzeczywistości i fantazyi, wysokiego liryzmu z zupełnie poziomemi zwrotami, ani w ogólności ów śmiały układ szydzący z wszelkiej symetrii, poemat bez właściwej intrygi i rozwiązania, ani nawet owo zakończenie jakby urwane, porzucające czytelnika wzruszonego do głębi: sąto już nabyte swobody, już się nawet zużyły. Najrozumniejsza krytyka mało dziś pyta o to, jakiego jest forma rodzaju, byleby idei odpowiadała; z klassycyzmu oddawna nikt się nie śmieje ani przeciw niemu walczy. Ależ trzeba było genialnych sił, ażeby to wyższe stanowisko zdobyć;

nibyto na pytania z piérwszej części wynikłe, uspokoić bolesne jój wrażenie, zadowolnić obrażone uczucie. Przechodzi tam Faust rozmaite dziwne awantury, gdzie bogata fantazyja poety to wywołuje jaskrawe średniowieczne sceny; to przez osobliwszy filozoficzno-mistyczny i czarodziejski obrót, zmiennie otwiera perspektywy uroczego świata greckiej mitologii i poezyi, po którym buja tak swobodnie, jakby to była przyrodzona jego sfera, i cudne stwarza allegorye: przesuwają się w nich systemy, wierzenia, ideały i dążności dawnych i nowych epok kultury, albo własne widoki i marzenia autora; symbole i tradycye starożytne, ludowe i mistyczne wymysły giermańsko-chrześcianańskie schodzą się i mieszają, to sprzeczne, to znów w jakiejś myśli wyższej harmonii. Z téj oryginalnej ekskursyi odbytej poza wszelkimi warunkami czasu i przestrzeni, z głębi wieków, z idealnych obszarów historii powszechnej umysłu ludzkiego, zstępuje Faust, którego czytelnik już odzwyczaił się za żywego człowieka uważać, znówu na ziemię, w średniowieczną epokę, wśród feudalnych w Niemczech rozruchów, gdzie przy czarodziejskich Mefistofelesa środkach, wielkie cesarzowi w poskromieniu buntowników wyświadcza usługi. Otrzymuje w nagrodę znaczną lenność, kraj nadbrzeżny, płaski, przez fale oceanu zalewany. Z wielką energią bierze się Faust do pracy, sprowadza osadników, wznosi tamy, pobudza do wszechstronnej czynności, i na starość, z wielką rozkoszą, z okien zamku swego spogląda na kwitnącą i przemyślną dokoła krainę. To owoc jego przedsiębiorczości i wytrwałości. Widok ten niewymownie go cieszy; exystencyja zdobywana siłą rozumu, woli, pracy, nieustającą w walce codzien wznawianą: zda mu się najgodniejszą czowieka rzeczą, konkluzją mądrości życia. Woła tedy zadowolniony nareszcie Faust: „chwile zatrzymaj się, jesteś tak piękna!” Przegrany więc zakład: Faust umiera natychmiast, Mefistofeles z chmarą diabłów po duszę jego przechodzi. Ale niespodziana interwencyja duchów dobrych anielskich pozbawia go oczekiwanej korzyści: mimo uporu i zuchwałości musi ustąpić niebieskiej sile. „Wydarto mi wielki, jedyny skarb, duszę wzniosłą,

trzeba było arcydzieła stwarzać dla niewątpliwego dowiedzenia, że mogą się znaleźć i że koniecznie są potrzebne nowe formy. Takie téż dzieła stanowią epokę w historii literatury; wysoko się tam wznoszą i zdala je widać i słusznie się ich sława rozchodzi.

Bardziej więc jeszcze, formę jego uważając, czy zechcemy tu rozumieć ogół środków do poetycznego wyrażenia idei użytych, czyli téż w szczególności sam układ zewnętrzny, niepodobna nie widzieć w Fauście najznakomitszego patryarchy nowoczesnej literatury, mianowicie téż romantyzmu, lubo Göthe, nad wszelką

która mi się w zakład oddała!" mówi diabeł z gniewem, szydząc z własnego głupstwa, że się wdał w taki interes i tyle sfatygował bez skutku. Ostatnia scena, (którą Göthe nienadługo przed śmiercią swoją napisał), jest rodzajem apoteozy Fausta. Przedstawia się nam coś nakształt nieba, czy téż progów do nieba; błogosławione istoty różnego stopnia szczęśliwości, chóry aniołów stan swój błogi opiewające; jest tam i oczyszczona z win ziemskich Małgosia, która do unoszącej się w górze Matki Boskiej za swoim niegdyś kochankiem, prośby zasyła. Tymczasem aniołowie z tryumfem wnoszą duszę Fausta; niebieskie chóry z wielką sympatją i respektem nawet ją przyjmują. Co takiego zrobił Faust, aby na to szczęście zasłużyć, jakim sposobem własne jego sumienie uspokoiło się i umysł wypogodził do tego stopnia, że mu żaden wyrzut nie ciąży, żaden go cień przeszłości nie zasępia: tego nie widzimy. Praca i walka codzienna z naturą, w czém Faust „ostatnią konkluzją mądrość” upatruje, jest zapewne wcale rozumną nauką i zbawienną reakcją przeciwko wyłącznie medytacyjnemu kierunkowi, przewadze wyobraźni i zaciekananiu się w abstrakcyę: ale jestże to rozwiązanie głębokich zagadnień pierwszej części? Stosunek umysłu do rzeczy transcendentalnych, uniesień uczuciowych do moralnych i społecznych prawd i obowiązków, godziwości pewnych wymagań ducha i osobistości ludzkiej, wszystko to bez odpowiedzi pozostało. Nie dziwi mię to bynajmniej, bo nie wierzę, żeby największy poeta mógł naprzód stworzyć prawdziwe wyrażenie idealne tego, co się jeszcze w rzeczywistości nie wyrobiło. W Niemczech niezliczone pisały się rozprawy i książki całe o téj drugiej części Fausta; filozoficzne i niefilozoficzne stronnictwa tłumaczyły ją po swjemu; ale jednostajnego, dla całej publiczności zrozumiałego znaczenia niéma. Utalentowany francuzki tłumacz Fausta Blaze, obszerną téż napisał o niej dyssertacyą, w której z najlepszą intencją jasnego rzeczy wytłumaczenia, pomimo zręczność, z jaką stara się lawirować po tym oceanie genialnych marzeń, nie wy dobył z jego głębi nic pewnego i z zupełną dla swego poety admiracyą, sam się do tego w połowie przyznaje,

jednostronność wyższy, nigdy romantykiem wyłącznym nie był. Wpływ tego utworu na rozmaite literatury pod względem formy, dałby się jak miemam, w sposób najoczywistszy wykazać; na naszą nie mniej od innych zapewne. Obznajmiony z nią nieco czytelnik będzie mógł sobie na każdej stronnicy Fausta coś przypomnieć, podobnie jak kiedy na stary portret spoglądając, przypominają się rysy znajomych wyobrazonego przodka potomków.

Prawda i to, że dopiero przytoczona okoliczność nieszczęśliwie się przyczyni do zainteresowania większej liczby. Tłumaczenie Fausta może nie w najsto-

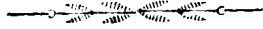
W istocie zabrał podobno Göthe ze sobą do grobu tajemnicę tę, że tak rzekę, epopei fantastycznej, której dał nazwę drugiej części Fausta przez szczególne zapewne przywiązanie do najznamienszego utworu swych lat młodych. Możliwość w niej upatrywać rodzaj poetycznych jego pamiętników; niektóre ważne momenta jego umysłowego życia reprodukowane w allegoryach i symbolach; w ogóle miemam, że poeta pisał to głównie dla siebie, mało dbając czy kto podąży za jego myślą w niedostępnych bujającą sferach, w dziwaczne osnutą formy. A zresztą czego nie zgruntowała niemiecka głębokość i subtelność, czego dowcip i przenikliwość francuzka nie wyświeciły, nad tém i my, bez żadnej już dla siebie ujmę, możemy sobie głowy nie łamać. Nie wieleby mię kosztowało przypisać własnej tylko nieudolności takie rzeczy pojmowanie, lecz oto opinia jednego z najznakomitszych poetów niemieckich naszego czasu: „Faust nigdy nie był dokończony, powiada Heine w liście swoim do p. Lumley (Revue des deux mondes, luty 1852), chyba żeby chcieć uważać za dokończenie takiego poematu owego drugiego Fausta, dzieło niedołożne w czterdzieści lat po tamtém zrodzone.” Nie widzę tedy coby był za pożytek z przekładu drugiej części Fausta na język polski, pomimo że są w niej ustępy prawdziwie piękne i mistrzowskiego wykończenia. Bo dodać jeszcze należy, że obok niezrozumiałości ogólnej myśli, taka tam mnogość niezrozumiałych na każdym kroku, zwłaszcza przez wprowadzenie mitologii, szczegółów, iż potrzebny byłby osobny mitologiczny słownik dla wskazania czytelnikowi choć przynajmniej drogi ku odgadnięciu tylu zagadek, nie mówiąc już o innych licznych objaśnieniach. Byłoby to zbyt pracowite czytanie; mało ktoby się u nas na nie odważył; ba! i prawdę powiedziawszy, cóż to za współczesna poezya, do której komentarza na każdej stronnicy potrzeba? Są wprawdzie i w właściwym Fauście miejsca niezrozumiałe dla dzisiejszego, polskiego zwłaszcza czytelnika; ale jest ich niewiele, związku z rzeczą główną nie mają, a nie mogąc być wytłumaczonymi pokrótce, niewarte są długich wywodów, w jakieby dla nich wdawać się potrzeba.

sowniejszą porę się zjawia; może najprzyjaźniejszy dla niego czas był wtedy właśnie, kiedy wrzała walka nowych w literaturze opinij ze starami. Byłoby się zapewne oszczędziło dużo młodzieńczego zapału marnie straconego na uwielbienie drobiazgów, rzadziutkich, że tak powiem roztworów oryginalnej farby, lub nie bardzo szczęśliwych jej naśladowań czy przypomnień, gdyby był pod ręką taki wzór nowej szkoły, którego w śmiałości nikt nie przewyższył, a mało mu kto w mistrzostwie wykonania dorównał. I gustby u nas w ogóle musiał na tém zyskać, gdyby talenta na oryginalne proby poetyczne mierniej wartości w owej epoce zużyte, obróciły się były do tłumaczeń głównych dzieł Szekspira, Göthego, Byrona i t. d., jak to później A. E. Odyniec co do angielskich osobliwie poetów przedsięwziął. (1) Ale nie brano się jakoś wówczas

(1) Nie mogę tu nie wspomnieć o przesliczném tłumaczeniu „Hermana i Doroty” przez A. Czajkowskiego, i o szacownych, lubo częstokroć chropowatym wierszem i obcemi wyrażeniami rażących przekładach Szekspira przez Kefalińskiego. Przekład mój był już na ukończeniu, kiedym się dowiedział o wyjściu tłumaczenia p. Walickiego. Myślałem zrazu, iż dla ubogiego naszego piśmiennictwa zanadto byłoby dwóch publikacyj w jednym przedmiocie, a powtóre zrażała mię sama myśl rywalizowania z drugimi, zwłaszcza téż, że zjawiały się poprzednio i współcześnie po różnych pismach wyjątki tłumaczeń Fausta innych jeszcze autorów, w téj liczbie i Aug. Bielowskiego bardzo dobrze przełożony prolog. Postanowiłem więc tłumaczenia swego nie wydawać i lat kilkanaście w tém postanowieniu przetrwałem. Z czasem atoli zmieniło się i moje widzenie rzeczy i same okoliczności. Pomimo tylu wyjątków żadne inne całkowite tłumaczenie Fausta oprócz p. Walickiego ogłoszone nie zostało; względem tego ostatniego wydanie méj pracy po latach tylu nie może się już nawet za współzawodnictwo uważać, a choćby wreszcie i tak było, to mniemam dziś, iż uczciwa i umiarkowana konkurencya użyteczna jest w literaturze tak jak i w innych sferach działalności ludzkiej. Przedmiot nowy i niebardzo łatwy nie wyczerpuje się zwykle od jednego razu; mamy tego liczne przykłady i w obcych literaturach i w naszej własnej. Nie występując więc z pretensją, aby przekład niniejszy poprzednika swego w zapomnienie podał, sędzę owszem, iż nowy dla tamtego obudzi interes, a porównania wywołując, zachęci ogół do bliższego oswojenia się z tłumaczonym utworem.

do tego, a nie moją jest rzeczą usposobienia działającego wtedy pokolenia tłumaczyć.

Jakkolwiekbydź, jeżeli myśli w niniejszej przedmowie wyłożone, trafią do przekonania publiczności, to praca moja nie będzie i dziś bez związku z literaturą ojczyzną.



DEDYKACYA.

Widzę was znowu, zamglone postacie,
Znajome niegdyś marzącemu oku;
Czyż mię i teraz oczarować macie?
Uczujeż serce moc tego uroku?
Wasz tłum się zbliża; już mię otaczacie
Dokoła wschodząc z ciemnego obłoku;
Wasza jest chwila! Pierś moję rozgrzewa
Czarowne tchnienie, które was owiewa.

Jakby podania nawpół zapomniane,
Powstają znowu w mojej wyobraźni
Drogie mi cienie, i szczęście doznane
W pierwszej miłości i w pierwszej przyjaźni;
I ból się wznawia, gdy mi zawikłane
Życia koleje snują się wyraźniej,
Gdy tylu zacnych wspomnę, którzy w chwili
Złudzeń szczęśliwych do grobu zstąpili.

Już się pieśniami cieszyć następnemi
Nie będą dusze, co pierwszych słuchały!
Próżno za braćmi oglądam się memi:
Pierwsze spółczucia odgłosy przebrzmiały!
Dziś przed tłumami śpiewam nieznanemi;
Trwożą mię nawet same ich pochwały!
Dawni słuchacze! jeżeli żyjecie,
To rozproszeni po szerokim świecie.

I znów ku duchów uroczej krainie
Dawno nieznanane czuję utęsknienie;
Pieśń moja w dźwiękach niewyraźnych ginie,
Cicha, jak arfy eolowej brzmienie;
Dreszcz mię przejmuje i łza za łzą płynie;
W surowém sercu błogie rozrzewnienie:
Wszystko obecne w myśli się zaciera
A to co znikło żywy kształt przybiera.

PROLOG NA TEATRZE.

DYREKTOR, POETA, AKTOR.

DYREKTOR.

Wy, coście ze mną rozliczne koleje
 Ciężkiego losu wytrwale dzielili,
 Powiedzcie mi téż, czy mozem w téj chwili
 Mieć jakąś lepszych powodzeń nadzieję?
 Tłumowi szczerze dogadzać wypada,
 Boć tłum to żyje i my żyjem z niego.
 Scena gotowa, widzę zewsząd biega
 I każdy sobie fetę zapowiada;
 Zasiedli wkoło, napelniona sala,
 Chcą się zachwycać i patrzą ciekawie.
 O wiem ja czém się ich umysł zniewala,
 A jednak jestem w największej obawie.
 Wprawdzie nie idzie im o arcydzieła,
 Ależ czytali książek co niemiara,
 Więc trzeba żeby treść nie była stara,
 A obok tego przyjemnie zajęła.
 Boć miło patrzeć jak ciekawa tłuszcza,
 Do naszej szopy szturm prawie przypuszcza,
 Chcąc gwałtem dopaść waziotkiego wchodu;
 I już z południa niecierpliwe massy
 Bójki staczają tłocząc się u kassy,
 Jak u piekarza sklepu w czasach głodu,
 I natarczywie biletów żądają,
 I w moment teatr napelnia się zgrają.
 Poeta tylko, poeta dziś umie
 Do tego stopnia wzniecić zapał w tłumie,
 W sercach tak różnych, w umysłach tak wielu:
 A więc na ciebie liczę, przyjacielu!

POETA.

Tylko o tłumach nie wspominaj wcale,
 Bo wrogiem natchnień ich widok natrętny;
 Skryj przed mym wzrokiem te burzliwe fale
 Co nas gwałtownie w wir unoszą mętny.
 Prowadź mię raczej w niebieskie ustronie,
 W jaki zakątek rajy na téj ziemi,
 Gdzie miłość, przyjaźń na swém słodkiem łonie
 Tworzą i kształcą rękami boskimi.

Ach, co się wówczas z piersi wyczerpało,
 Co drżące usta wydały nieśmiało,

Myśl czasem słaba a czasem szczęśliwa:
 Wszystko to chwili dziki pęd porywa.
 Często też długi szereg lat upłynie
 Nim w doskonalszej pieśń wyjdzie postaci;
 Co nagle błysnie, wkrótce blask utraci,
 Piękność dla czasów potomnych nie zginie.

AKTOR.

Co tam potomność! daremne gadanie!
 Gdybym naprzykład ja o niej chciał prawić,
 Cóż dla żyjących wówczas pozostanie?
 A ci chcą przecie i muszą się bawić,
 I mniemam zawsze, że u nich popłaca
 Cośkolwiek człeka dowcipnego praca.
 Ten kto istotnie piękny dar posiada,
 Płochości ludu wcale się nie boi;
 Im większe koło, tym śmielój on stoi
 I licznym tłumem pewniej jeszcze włada.
 A więc odważnie, jak mistrz chciój wystąpić:
 Rozwiń fantazją, pokaż umiejętność,
 Dowcip i czułość, rozum i namiętność,
 Ale pamiętaj i głupstwa nie skąpić.

DYREKTOR.

I bystrym ruchem wszystko to ożywić,
 Bo lud chce patrzeć, chce nasycić oczy:
 Gdy akcja zwawo na scenie się toczy.
 Gdy masz czém tłumy gapiące zadziwić,
 Odrazu wtedy wygrałeś już sprawę,
 Odrazu zyskasz przychylność i sławę.
 Na massy wpływaj massami:— w tém sztuka.
 Kto dużo daje, musi dać coś komu,
 Każdy sam zresztą coś sobie wyszuka
 I każdy kontent powróci do domu.
 A sztukę dawaj w sztuki pokrajana,
 Wszystkim rzecz taka do smaku przypadnie;
 Jak ją wymyślisz, tak i zrobisz snadnie:
 Bo choćbyś całość najpiękniej związana
 Zdołał utworzyć, to cóż się z nią zrobi?—
 Publiczność sama wnet ci ją rozdrobi.

POETA.

Rozumiem: wieszczą swobodne natchnienie
 Chcecie z rzemiosłem pogodzić obrzydłem;
 Jakichś partaczów liche gryzmolenie
 Dla was, jak widzę, stało się prawidłem.

DYREKTOR.

Taki mię zarzut wcale nie pokona:
 Kto chce coś zrobić, rzecz niezaprzeczona,
 Powinien wybrać najlepsze narzędzie.
 Pomyśl więc teraz i miej to na względzie
 Dla kogo piszesz, dla jakichto ludzi:
 Ten do teatru idzie, bo się nudzi,
 Tamten chce odbyć poprostu trawienie
 Po nazbyt sytnym obiedzie, a dalej
 Masz na największe nasze utrapienie
 Takich, co właśnie gazety czytali.
 Leci więc do nas roztargniona rzesza;
 Ciekawość tylko kroki ich przyspiesza;
 Damy chcą błysnąć strojem i wdziękami
 I choć niepłatne grają razem z nami.
 Cóż wam się marzy na Parnasu szczycie?
 Czy z pełnej sali może radość taka?
 Przypatrzcie im się zblizka, a ujrzycie
 W jednym zimnego, a w drugim prostaka.
 Ten strawi potem na kartach noc całą,
 Drugi ją może przepędzi w zamtuzie,
 I czy to warto i na co się zdało
 Dla takich widzów naprzykrzać się muzie?
 Tworzyć wciąż, dużo, to mi geniusz zdrowy;
 O to najgłośniej powinno ci chodzić,
 Tak abys ludziom pozawracał głowy,
 Bo nie potrafisz nigdy im dogodzić.
 Ależ co widzę! Co ta zmiana znaczy?
 Paroxyzm zachwycenia, czy rozpaczny?

POETA.

Jak od służalca śmiesz żądać odemnie
 Ażebym prawo najdroższe na świecie,
 Jakie natura nadała poecie,
 Prawo człowieka, miał przedać nikczemnie!
 Cóż jest ta siła, którą wieszcz zapala
 Serca i wszystko ku sobie zniewala?
 To są te pełne z piersi jego tony,
 Świat cały w sercu cudownie skupiony!
 Gdy wciąż natura zwija obojętnie
 Wieczną nić życia na wrzeciono swoje,
 Gdy wszelkich stworzeń pomieszane roje
 Dźwięczą bez ładu i toczą się mętnie:
 Któż owe tłumy ustawnie płynące
 Oddziela i ożywia i w rytmy je spleta,
 Kto jednostkę uświęca znamieniem wszechświata
 I umie z niej akkorda dobyć czorujące?

Kto małuje szalonych namiętności burze,
 Albo w dumania ciche pogrążony
 Późnego słońca żegna blask czerwony?
 Kto pod stopy kochance ściele wiosny róże?
 Kto ze skromnego wdzięku gałązki zielonej
 Stwarza wieniec zdobiący czoło bohatera?
 Kto bogów łączy i kto Olymp wspiera?
 Poeta—ludzkiej siły organ uświęcony!

AKTOR.

A to wybornie! Z taką dzielną siłą
 Rób interesa autorskie, tak samo,
 Jak gdyby ci naprzykład o miłość chodziło:
 Przypadkowe spotkanie z jakąś damą,
 Słodkie wrażenia i czule rozmowy....
 Szczęśliwość wzrasta, aż tu nagle zmiana,
 W miejsce rozkoszy boleść niesłychana,
 I nim się człek obejrzy, już romans gotowy!
 Otóż niech się w tym guście zjawi coś na scenie
 Szeroko narzucane i obficie,
 Bo wszyscy żyją, mało kto zna życie;
 Im więcej go tam będzie, tém większe wrażenie.
 Nie dużo światła na pstrém malowaniu,
 Wśród mnóstwa fałszu prawdy cokolwieczek:
 To jest, jak mniemam, najlepszy trunek
 Ku orzeźwieniu i ku zbudowaniu.
 I wtedy się do ciebie zbiegnie młodzież cała
 Cchiwa, uważna na wyrazy twoje,
 I wszelka czuła dusza będzie odkrywała
 Melancholijne w twoich dziełach zdroje.
 Bo raz się jedno, raz drugie poruszy
 I każdy ujrzy co sam nosi w duszy.
 Równie oni do płaczu i śmiechu gotowi,
 I zapal ich porywa i złudzenie nęci;
 Dojrzałemu nie łatwo dogodzisz mężowi,
 Ale ci nowicyusze zawsze są kontenci.

POETA.

To mi wróc wprzód moje młode lata,
 Kiedym sam także był nowym dla świata,
 A z piersi moich jak z podziemnych cieśni
 Zdrojem natchnione toczyły się pieśni;
 Gdy świat był dla mnie mgłą jeszcze owiany,
 I każdy pączek cuda obiecywał,
 Kiedym szczęśliwy i ludziom nieznany
 Tysiące kwiatów po dolinie zrywał.
 Nie miałem wówczas nic i dosyć miałem:
 Zapal dla prawdy wraz z złudzeń zapalem!

Te mi popędy wróć w całej ich sile,
 Szczęście głębokie, tęskne wśród swobody,
 Moc nienawiści i miłości młodej,
 Powróć mi powróć mój młodości chwile!

AKTOR.

Miałbyś jój prawo żałować, istotnie,
 Gdyby cię bitwa czekała zacięta,
 Albo też gdyby miluchne dziewczęta
 U twój się szyi wieszały zalotnie,
 Lub olimpijski wieniec wyścigowy
 Szybkością biegu zdobyć należało,
 Lub gdyby wreszcie przyszło ci do głowy
 Tańczyć i hulać szalenie noc całą.
 Ale gdy o to idzie, przyjacielu,
 Aby w struny uderzyć potężnie i godnie,
 I do rozumnie wytkniętego celu
 Powoli zmierzać bujając swobodnie:
 To już jest wasza rzecz, starcy-poeci.
 Za to należną cześć wam świat oddaje.
 Starość bynajmniej nie robi z nas dzieci
 Lecz prawdziwemi dziećmi nas zastaje.

DYREKTOR.

Wartoby dać już pokój téj rozmowie
 I do działania raczej się sposobić;
 Na komplementa sadzą się panowie
 A tu tymczasem możnaby coś zrobić:
 Co tu rozprawiać o usposobieniu.
 Ten kto poety imieniem się szczyci,
 Sam rozkazywać powinien natchnieniu;
 Wiecznie się chwiejąc nigdy go nie schwyci.
 Czego nam trzeba wiesz nadto dokładnie:
 Trunku mocnego coby szedł do głowy:
 Więc niechże będzie natychmiast gotowy:
 Nie zrobisz dzisiaj, jutro już przepadnie.
 Tu ani chwili nie trzeba się gapić,
 A dzielna wola umieć w mgnieniu oka
 Możliwość uczynku za kołnierz przycapić,
 I raz złapawszy mocno w garści dusi,
 I działa żwawo, bo wtedy już musi.
 Na naszej scenie niemieckiej, wszak wiecie,
 Każdy jak umieć próbuje potrosze,
 Więc dekoracyi, maszyn, co możecie
 I jak najwięcej, usilnie was proszę:
 Słońce i księżyc i gwiazdy i chmury,
 Wodę i ogień i skały i góry,

Wszystko co tylko na teatrze mamy,
 Wszystko to sypcie pełnemi garściami.
 Na kilku deskach w tym obrębie małym
 Niezmierny ogrom stworzenia pokażcie,
 I lećcie łotem najostroźniej śmiałym
 Z nieba przez ziemię w piekielne przepaście.

N O C.

(*Wysoka, wązka gotycka komnata*).

FAUST (*sam*).

Otóżem zbadał filozofią całą,
 Przeszedłem kursa praw i medycyny,
 I teologią—pewno za me winy—
 Z pracowitością głębiłem niemałą!
 Magistrem, ba! doktorem mię zrobili,
 A oto stoję jakby osieł jaki!
 Tylem dziś mądry co i w pierwszej chwili!
 Lat dziesięć za nos wodzę moje żaki
 I w tył i naprzód i prosto i krzywo
 I jedną tylko widzę rzecz prawdziwą:
 Że nic nie wiemy i wiedzieć nie możemy!
 Ach! myśl ta dla mnie jest zabójczym nożem!
 Wprawdzie rozsądek zdrowy mi zostaje
 Nad wszystkie popy, magistry, doktory.
 Śmieszają mię cześciej ich skrupuły i spory,
 Piekłem i djabłem straszyć się nie daję;
 Za to też żadna radość mię nie łudzi,
 Ani mi w głowie ta myśl nie postanie,
 Żem prawdę posiadał i mam powołanie
 Do nawracania i uczenia ludzi.
 A zresztą jestem człowiek bez imienia,
 Nie mam majątku, dostojęństw, znaczenia:
 Piesby ostatni nie wytrzymał dłużej!
 Dlatego się też do magii przykładam:
 Może mi przecie duch jaki usłuży,
 Że tajemnice od niego wybadam,
 Żebym nie musiał w pocie mego czoła
 Rozprawiać o tém, czego nie wiem zgola;
 Żebym raz poznał tę wewnętrzną ośnowę
 Co trzyma świata całego budowę;
 Żebym zasadę wiedział i przyczynę,
 A nie wyrazów z mudną plataninę.

Ileżto nocy, księżycu srebrzysty,
 Przy twojém świetle przesiedziałem marnie!
 Oby dziś pełni twój wzrok promienisty
 Widział ostatni raz moje męczarnie!
 Dotąd twą tęskną twarz mogłem widywać
 Tylko przez stopy ksiąg i pism foliały;
 Ach jakże pragnę w ciebie się wpatrywać
 W wolnej przestrzeni z szczytu dzikiej skały!
 Jak pragnę poczem duchów otoczony
 Bujać po górach, po przepaściach stąpać,
 Wśród twego blasku, na łące zielonój,
 Wolny i lekki w rosie twój się kapać!

Kiedyż się wyrwę z téj przeklętej dziury!
 Tutaj i niebios światło ukochane
 Zaledwie daje jakiś dzień ponury
 Przez wąskich okien szyby malowane.
 Tu, gdzie mię księgi i papiery tłoczą,
 Które kurz kryje i robaki toczą,
 Gdzie do sklepienia zawałają ściany
 Narzędzia, flaszki, słoje, futerały
 Z mnóstwem dziadowskich gratów pomieszane:
 Oto jest świat mój, to mi świat wspaniały!

I ty się pytasz czemu serce twoje
 Zdawna odwykło od żywego bicia,
 I czemu dziwne jakieś niepokoje
 Stłumiają w tobie wszelki popęd życia?
 I ty się dziwisz! gdy ciebie, niestety,
 Otacza, zamiast natury żyjącej,
 Tylko zgnilizna, tylko dym trujący,
 Tylko zwierzęce i ludzkie skielety!—

Uchodź coprędzej poza ciasne ściany!
 W dalekie pola! Ten tom tajemniczy
 Nostradamusa ręką napisany,
 Niech ci w odważnym biegu przewodniczy.
 Poznasz odwieczne ciało niebieskich ruchy.
 Gdy za mistrzynię naturę mieć będziesz,
 Poznasz świat duchów, ich mowę posiedziesz.
 Tu, marna praca, choć ci namysł suchy
 Odkrywa głosek czarownych użycie:
 Wszak się koło mnie znajdujecie duchy?
 Odpowiadajcie, jeżeli słyszycie!—

(Otwiera księgę i spostrzega znak makrokosmu).

Ach! jakże cudne tych rysów promienie!
 Jakiż to urok me zmysły czaruje!
 Krew płonie w żyłach; nowe życie czuję,
 Czuję młodego szczęścia uniesienie!

Czyliż to Boga palce ten znak nakreśliły
 Co tak wewnętrzne wrzenie we mnie uspokoił,
 Biedne me serce radością napoił,
 I dał mu jakiś popęd tajemniczy
 I odsłonił natury wiecznie czynne siły?
 Jestżem ja bóstwem kiedym tak szczęśliwy,
 Kiedy w tych jasnych rysach czytać umiem,
 Kiedy duszą oglądam przyrodzenia dziwy?
 Teraz dopiero mędrca te słowa rozumiem:
 „Świat duchów nie jest zamknięty przed wami,
 Ale wy myślą i uczuciem śpicie:
 Podnieś się uczniu śmiało piersiami,
 I ziemskość twoję zmyj w rumianym świetle!”

(Przypatruje się znakowi).

Jak się to świata całość związała!
 Jak jedno w drugim żyje i działa!
 Niebieskie siły wchodzą i schodzą,
 Złote ramiona ku sobie zwodzą,
 Skrzydeł swych wonią błogosławioną
 Od niebios w ziemi przenikają łono,
 Napęlniając harmonią cały gmach stworzenia!

Cudny widok oglądam... tak, cudną zagadkę!
 Bo czyliż zdolam objąć to niezmierne brzemie,
 Naturę, tę pierś wielką: wielką życia matkę
 Karmiącą niebo i ziemię!
 Jednak do niej zbolale serce bije we mnie:
 Świat żyje,—mamże ja cierpieć daremnie?

(Z niechęcią przewraca księgę i spostrzega znak ducha ziemi).

Jakież patrząc na znak ten doznaję odmiany!
 Duchu ziemi, tyś mi bliżej!
 Już czuję, moje siły idą wyżej,
 Już płonę, jakby nowym napojem zagrzany!
 Chciałbym się rzucić w wir ziemskiego życia,
 Poznać jego radości, troski i nadzieje,
 I czuję że wśród burzy nie struchleję,
 Ani wśród trzasku rozbicia.

Koło mnie jakieś zaćmienie:
 Skryło się światło księżyca
 I coraz słabiej lampa przyświeca!
 Co za dym!—widzę czerwone promienie
 Nad moją głową! jakiś powiew z góry
 Dreszczem na wskrósź mię przejmuje!
 Ha! to ty jesteś duchu upragniony,
 Jesteś przy mnie, już cię czuję!
 Ukaż mi się.
 Tak coś pierś moję rozdyma i ścisza,

I wszystkie zmysły się burzą
Przeczuwając nieznanne zjawiska!
Tobiem duszą oddany! Ach wystąp z ukrycia!
Muszę, muszę cię widzieć, choćby kosztem życia!

(bierze księgę i z uroczystością wymawia znak ducha. Duch ukazuje się w płomieniu).

DUCH.

Kto mię tu wzywa?

FAUST

(odwracając się).

O widmo złowrogie!

DUCH.

Użyłeś władzy potężnego godła;
Twoja mię żądza z méj sfery wywiodła,
I cóż?

FAUST.

Widoku twego znieść nie mogę!

DUCH.

Pragnąłeś długo mojego zjawienia,
Chciałeś ujrzeć me rysy i rozmawiać ze mną.
I wysłuchałem twój duszy pragnienia:
Jestem,—i jakąż to trwogę nikczemną
Znajduję w tobie! Gdzież jest twoja siła,
Gdzie pierś co sobie własny świat stworzyła,
I nosiła go w sobie i drżała radośnie,
Mysząc że kiedyś, nas, duchów dorosnie?
Tyżeś to Faust? Czy twój głos tak często słyszałem?
Tyżeś to do mnie z takim cisnął się zapalem?
Ty, który teraz mym tchem ogarniony
Drzysz nawskróś, robak trwożliwie skulony.

FAUST.

Mam drzeć przed jedną płomienną poczwara?
Ja, ja Faust jestem równy tobie, maro!

DUCH.

W falach żywota w czynów nawale
Bezustannie się przelewam
I w różne strony powiewam!
 Płód i zniszczenie,
 Morze wieczyste,
 Tkanie barwiste,
 Życia wrzenie,

Tak na czasu warsztacie huczającym wciąż tworzę,
Wciąż wyrabiam żywe szaty boże.

FAUST.

Duchu czynny, co cały świat napelniasz sobą,
Jakże blisko się czuję spokrewnionym z tobą!

DUCH.

Tyś podobny do ducha którego pojmujesz,
Nie do mnie. *(znika)*.

FAUST:

(przerażony).

Nie do ciebie?
A więc do kogóż?
Ja obraz bóstwa
I z tobą nawet równać się nie mogę?
(ktoś puka).

Bodajesz przepadł! daremna już rada:
Ach, za nic szczęścia mojego nadzieje:
W sferę mi duchów zimny nudziarz wpada
I cały świat widziadeł się rozwieje!

WAGNER

(w szlafroku i szlafmocy z lampą w ręku. Faust odwraca się z niechęcią).

Wybacz kolego, że przerwę na chwilę:
Słyszałem deklamacją: pewno dla zabawy
Czytałeś greckie wiersze, jeśli się nie myję.
Ach, i jabym w tym kunszcie potrzebował wprawy.
Maxyma to już nieraz powtarzana,
Że aktor może nauczyć plebana.

FAUST.

Zwłaszcza gdy pleban chce komedye grywać,
Jak to się może wydarza czasami.

WAGNER.

Ach, siedząc między czterema ścianami,
W święta jedynie mogąc lud widywać
I to jak gdyby przez szkło, gdzieś zdaleka,
Jakżeż tu wpływ wywierać na umysł człowieka!

FAUST.

Już tego pewno nie nauczą księgi,
Jeśli wymowa nie pochodzi z duszy,
Jeśli nie jest wypływem wewnętrznej potęgi
Która serca słuchaczy podbija i kruszy.

I cóż z całego waszego mozolu?
 Nędzne klęcenia i lata przy łacie!
 Chcecie płomienia, usilnie dmuchacie,
 Ale w cóż?—w kupę popiołu!
 Mogą się wam i dzieci i małpy dziwować,
 Kiedy ich podziw jest dla was tak miły,
 Lecz nie zdołacie nigdy nad sercem panować,
 Jeśli nie z serca wasze słowa pochodziły.—

WAGNER.

Głos, giest, wykład: tém mówca na wziętość zarabia.
 Wiem: trudności to dla mnie ciężkie do zwalczenia.

FAUST.

Nie bądź jak błazen, co dzwonekami zwabia,
 Chciéj rzetelnego szukać powodzenia;
 Zdrowy rozsądek i poczciwa rada
 Z niewielkim kunstem sama się wykłada.—
 Mając chęć szczerą uczyć pożytecznie
 Czyliż kwiecistym trzeba być koniecznie?
 A waszych kazań pstrocizna błyszcząca
 Która się u was krasomówstwem mieni,
 Jest tylko niepożywna i nużąca,
 Jak owe deszcze, co leją w jesieni.

WAGNER.

Ach mój ty Boże, wszystko to jest pięknie,
 Ależ kunszt długi, krótkie nasze życie!
 Trzeba się starać, uczyć pracowicie,
 Ledwie że głowa czasami nie pęknie.
 I jakże trudno przebywać te stopnie,
 Tę drogę, która do źródła prowadzi!
 Nim ją człek przejdzie, zanim celu dopnie
 Ażci i śmierć go nawpół drogi zgładzi!

FAUST.

Albożto trzeba szperać w pargaminie
 Tego świętego, zbawiennego zdroju?
 Daremnie pragniesz i szukasz napoju,
 Jeśli on z własnych piersi ci nie płynie.

WAGNER.

Przepraszam— ale to jest wzniosłe zatrudnienie,
 W duch czasów przeszłych pilne wlepić oko,
 I zgłębiać mędrców dawniejszych myślenie,
 I poznawać jak my dziś stoimy wysoko.

FAUST.

Strasznie wysoko!— aż pod niebiesami!
 Wierzaj kolego, że przeszłość sędziwa

Jest dla nas księgą z siedmią pieczęciami,
 I to co duchem czasu się nazywa
 Jest w gruncie rzeczy duchem kilku ludzi,
 W którym się czasu odbijały dzieje.—
 Jakież uczucie ich czytanie budzi?
 Człowiek się tylko lituje i śmieje!
 Jeden, dwa fakty i to obwinięte
 W czczą gadaninę, w drobiazgi bezpłodne,
 Do tego szumne morały przypięte—
 Sentencie maryonetek chyba godne!

WAGNER.

Ależ świat, ale serce i umysł człowieczy!
 Któżby to nie chciał poznać takich rzeczy?

FAUST.

Lecz cóż to dzisiaj znaczy ich poznanie?
 Kto jasnym wzrokiem umie spojrzeć na nie?
 Mała tych liczba co je rozumieli,
 I zamiast w głębi duszy kryć prawdę nieznaną,,
 Swe uczucia, swą wiedzę gminowi dać chcieli:
 Oddawna ich spalono lub ukrzyżowano.—
 Ale proszę darować: dość późna godzina;
 Musimy przerwać: pora wczasu użyć.

WAGNER.

Ach, kiedy kwestya tak ważna się wszczyną,
 Noc całą gotówbym oka nie zmrzyć.—
 Lecz jutro święto: będzie wolna chwilka,
 Możem się jeszcze lepiej porozumieć,
 Pozwolisz mi kolego, zrobić pytań kilka.
 Ja wprawdzie umiem wiele, lecz chcę wszystko umieć.
(odchodzi)

FAUST (*sam*).

Dla takiego téż tylko nadzieja nie ginie,
 Co gotów całe życie ślęczyć nad fraszkami;
 Skarbów pragnie i kopie chciwemi rękami,
 A kontent kiedy mu się choć glista nawinie.
 Czyż w sferze duchów mnie otaczających
 Mogły te ludzkie odezwać się dźwięki?
 Ale tym razem niech ci będą dzięki
 O najnędnniejszy z żyjących!
 Boś ty mię przecie wyrwał z osłupienia,
 W które wpadłem nieziemską krępowany siłą;
 Ach, to widziadło tak olbrzymie było!
 Czulem przy niém, iż jestem karlego plemienia,

Ja, obraz bóstwa, com marzył zuchwale,
 Żem do zwierciadła prawdy odwiecznej zbliżony,
 Że w niebieskiej światłości pograżam się fale,
 Nad wszystko ziemskie wzniesiony;
 Ja wyższy od aniołów, któremu się zdało,
 Że bogów twórcze przymioty posiadałem,
 Żem tajniki natury przejrzał myślą śmiałą,
 Jednym słowem rażony, jakże nizko spadłem!

Więc nie jestem ci równy! bo choć miałem władzę
 Ciebie, o duchu straszliwy, przywołać,
 Sił mi zabrakło, nie mogłem wydołać!
 W owę uroczystą chwilę
 Czulem tyle potęgi i niemocy tyle!
 A teraz z szczytu marzeń przez ciebie zepchnięty
 I znów rzucony w losu ludzkiego odmęty,
 Cóż pocznę i jakimi udami się drogami?
 Czyż mam iść za popędem owego natchnienia?
 Niestety! nasze czyny i nasze cierpienia
 Zarówno ciążą nad nami.

Myśli wzniosłe, któremi dusza się zapala
 Gasną obcemi żywioły tłumione,
 I jedno dobro w życiu przez nas osiągnięte
 Zaślepią nas i wyżej dążyć nie dozwala.
 Kwiat naszego jestestwa, szlachetne uczucia
 Więdną od trosk codziennych powolnego trucia.

Kiedy fantazyja skrzydłami śmialemi
 Pełna nadziei w wieczności utonie,
 Kiedy wszystkie radości wir czasu pochłonie:
 Jakże jój mało potrzeba na ziemi!
 Ale tuż za nią troska w serce się zakrada
 I tajemnych tam cierpień kolebkę zakłada,
 I kołyszając ją ciągle, wciąż truje nas niemi;
 Potrafi ona przybrać kilka masek razem:
 Umię się domem, żoną, dziećmi ukazywać,
 Znów straszyć ogniem, powietrzem, żelazem,
 I drżać trzeba przed nieszczęść dalekich obrazem
 I nigdy niedoznane straty oplakiwać.

Bóstwu nie jestem równy, a więc komu?
 Więc robakowi, który w prochu się pomiata
 I którego przechodzień depce i rozgniata.
 Czyż nie są prochem te wysokie ściany
 I te na pułkach uczone rupiecie,
 Tandeta która dusi mię i gniecie?

Czyliż się przez to uleczą me bole?
 Czegóż się z ksiąg tych dowiem? czy że szczęścia chciwy
 Człowiek dręczył się wiecznie na ziemskim padole,
 I że gdzieś czasem, jeden znalazł się szczęśliwy?
 Ty się na mnie wyszczerzasz czaszko nadpróchniała?
 I twój mózg nakształt mego przewracał się może;
 Myśl co pragnęła światła, pewnych dróg szukała,
 Widziała tylko pomrok i bezdroże.
 Nawet i narzędzia same
 Szydzą sobie teraz ze mnie:
 Z niemito oblegałem tajemniczą bramę,
 One miały być kluczem, ale nadaremnie!
 Nie da siebie natura zasłony pozbawić:
 Ciemna i pośród jasnego południa,
 Jeśli ci sama czego nie zechce objawić,
 Śruba, koło, sprężyna próżno cię zatrudnia!

Ty stary sprzęcie stoisz dla mnie bez użytku,
 Że cię ojciec, dziad może niegdyś używali;
 A ty się ciągle kopcisz, stary zwitku,
 Póki się na tym stole ta mdła lampa pali.
 Lepiej było mi stracić mą chudobę całą,
 Niż tu pod jój ciężarem liche pędzić życie!
 Kiedy ci się po ojcach co w spadku dostało,
 Bierz na to żebyś posiadał całkowicie.
 Co jest bezużytecznym—ciężarem się staje,
 A najlepsze użycie w tém co chwila daje.

Lecz czemuż wzrok mój ciągle w jedno miejsce wraca?
 Jakażto magnetyczna owój flaszki własność?
 Czemuż tak przyjemnego doznaję wrażenia,
 Jak wędrownik, gdy mu wśród nocnego błędzenia
 Niespodzianie zaświeci księżycowa jasność?
 Bądź pozdrowiona, o szacowna flaszo,
 Z uszanowaniem biore cię w me ręce,
 W tobie uwielbiam kunszt i mądrość naszą,
 W tobie usypiających nektarów siedlisko,
 W tobie śmiertelnych essencyi ognisko:
 Ty niezawodnie koniec położysz méj męce.
 Widzę cię, już się boleść moja zmniejsza,
 Biore cię, i już dusza spokojniejsza,
 Jój burzliwe wezbranie powoli opadło,
 I myślą przez ocean niezainierzony gonię:
 Podemną przezroczyście jego wód zwierciadło,
 Na nowych tam niebiosach nowa zorza płonie!

Oto już czeka mię rydwan ognisty,
 Na lekkich skrzydłach, i otom gotowy

Przelecieć na nim w świat piękniejszy, czysty,
 Wśród nowej sfery zacząć żywot nowy,
 Ów żywot szczytny, bez trosk i bez końca!...
 Robaku, czyż ci takie pragnienie przystało?
 Tak jest: lecz od ziemskiego, powabnego słońca
 Umiej odwrócić się śmiało!
 Nie lękaj się przestąpić tych fatalnych progów,
 Od których każdy z bojaźnią ucieka.
 Teraz czas jest pokazać, że godność człowieka
 Nie niższa od wielkości bogów!
 Puść się odważnie tą drożyną ciemną,
 Choć jój wnijsie otacza cała piekiel siła:
 Bez trwogi spojrzuj w tę otchłań tajemną,
 Którą dla własnej męki fantazyja stworzyła,
 Z spokojnym mężstwem umiej się w nią rzucić
 Chociażbyś miał na wieki w niwecz się obrócić.

Więc wynijdź ze starego futerału
 Piękny pucharze z czystego kryształu,
 Zapomniane lata długie;
 Częstoś błyszczał wśród ojców biesiadnego koła,
 Poważnych gości rozjaśniałeś czoła
 Z jednych rąk przechodząc w drugie.
 Ciebie artyści wyobrażnia płodna
 Dokoła misternemi okryła rzeźbami;
 Które musiał pijący objaśniać wierszami,
 A potem duszkiem wychylić cię do dna.
 Niejedna mi się wesola godzina
 Młodzieńczych biesiad żywo przypomina!

A teraz śmiercią nalewam twe brzegi:
 Nie będziesz dla mnie więcej dowcipu przedmiotem.
 Spełnię cię, lecz nie przejdiesz już w ręce kolegi
 Z wesołym wiersza obrotem!
 Raz ostatni osuszę twe wnętrze obszerne.
 Wyborny mój napitek i prędko durzący,
 Wypijam, niechto będzie toast uroczysty,
 Którym pozdrawiam ranek nadchodzący!
(przytyka czarę do ust).

ODGŁOS DZWONÓW I ŚPIEW CHÓROWY.

CHÓR ANIOŁÓW.

Chrystus zmartwychwstał!
 Już odkupione
 Win twoich brzemie;
 O grzeszne plemię.
 Tyś wybawione!

FAUST.

Coza poważne brzmienie, jakież pełne tony
 Od ust mych czarę śmierci odpychają?
 Czyż ten śpiew uroczysty, czy te głuche dzwony
 Już dnia wielkiego pierwszą chwilę oznajmiają?
 Głosicież, chóry owę pieśń wesela,
 Którą niegdyś na obchód nowego przymierza
 Przyszły śpiewać anioły na grób Zbawiciela?

CHÓR KOBIEC.

Myśmy go namaszczały
 Olejki wonnemi,
 Myśmy go obwijały
 Płótnami cienkiemi;
 Myśmy w grób głęboki
 Złożyły ciało jego,
 A oto znikły zwłoki.
 Pana naszego!

CHÓR ANIOŁÓW.

Chrystus zmartwychwstał!
 Błogosławiony,
 Kto na téj ziemi
 Żywot strapiony
 Przetrwał z nadzieją.

FAUST.

I czemuż wasza słodycz i potęga,
 Odgłosy niebios, aż do mnie tu sięga?
 Brzmiście tam wokoło, gdzie ludzi znajdziecie
 Miększych odemnie: brakuje mi wiary,
 A cud, to wiary ukochane dziecię.
 Już nie śmiem dzisiaj spoglądać w te strony,
 Zkąd brzmi wieść błoga cudownej ofiary;
 A przecież wieść ta znajomemi tony,
 Tak jak za młodu, słowami anioła
 Znowu od śmierci do życia mię woła.
 Wtedy modlitwy znałem rozkosz czystą,
 Znałem niebiańskiej miłości zapalę,
 I w dnia bożego ciszę uroczystą
 W mojem się sercu dzwony odbijały.
 Błogiej tęskności wiedziony urokiem,
 Jakże lubilem zwiedzać puszcze ciemną
 I patrzeć na świat łzami zlaném okiem!
 Wtedy świat nowy powstawał przedemną!
 Pobożne święta wiosennego dźwięki
 Zwiastować zwykły zabawy niewinne,

I teraz nawet wspomnienie dzieciinne
 Fatalny puchar wytrąca mi z ręki.
 O pieśni brzmijcie słowami świętymi:
 Łzę czuję w oku i wracam do ziemi!

CHÓR UCZNIÓW.

Opuścił ziemię
 Nasz nauczyciel,
 Świata Zbawiciel,
 Cieleśne brzemię
 Zrzucił już z siebie.
 Teraz króluje
 Z ojcem swym w niebie.
 My dla cierpienia
 I dla pragnienia,
 Na tym padole
 Pozostajemy!
 Mistrzu! twe szczęście
 Opłakujemy!

CHÓR ANIOŁÓW.

Chrystus zmartwychwstał!
 Z łona zniszczenia,
 Z mąk potępienia
 Was wydobywa!
 Dla miłujących,
 Boga chwających,
 Z bracią żyjących,
 Nadzieję mających,
 Żywota pragnących,
 Chrystus zmartwychwstał!

PRZED MIEJSKĄ BRAMĄ.

(Rozmaici spacerujący).

KILKU CZELADNIKÓW.

Dokąd tamtędy?

INNI.

My idziem do lasku.

TANCI.

A my się wybieramy do Kaskady.

JEDEN Z CZELADNIKÓW.

Miejsce niepiękne i zanadto wrzasku.

DRUGI.

Do młyna! posłuchajcie mojej rady.

DRUDZY.

No, a ty dokąd?

TRZECI.

Ja wolę iść z wami.

CZWARTY.

Wiecie? na folwark: piwo wyśmienite,
Śliczne dziewczęta.... Mówiąc między nami,
Można też i zaczepki znaleźć rozmaite....

PIĄTY.

Oj ty chwacie, chwacie!
Już cię jak widzę znowu świerzbi skóra.
Ja się zostaję jeśli tam iść macie.

SŁUŻĄCA.

O nie chcę, nie chcę, ja się wrócić wolę.

DRUGA.

On pewno czeka, tam, gdzie te topole.

PIERWSZA.

E, ja tam z tego fortuny nie zrobię:
I cóż ze czeka? Będzie szedł przy tobie,
Z tobą rozmawiać bezustanku będzie,
I z tobą jedną do tańca i wszędzie.
Dla ciebie dobrze, dla ciebie wesoło,
Ale ja przy was tak jak piąte koło.

DRUGA.

Pamiętasz tego? kłaniał nam się grzecznie
Przeszłej niedzieli: taki blondyn, suchy.
Będzie z nim razem.

STUDENT

(do kolegi).

A, co za dziewczuchy!
Trzeba się do nich przyczepić koniecznie:
Bo tegi tytoń, dobry kufel piwa
I dziewczka strojna:—to rozkosz prawdziwa!

PANNA.

Przystojne chłopcy; aż mi żal, mój Boże,
Ot za prostemi dziewczkami biegają:
Niby lepsza kompania znaleźć się nie może.

DRUGI STUDENT
(do pierwszego).

Nie leć tak; patrzno: w tyle, wzdłuż ulicy
Idą dwie.... ładne. I któż nam zabroni?
Jedna z nich mieszka w naszej kamienicy;
Powiem ci prawdę, że coś czuję do niej.
Ubrane ślicznie, przyzwoite, skromne....
Niechaj podejdą, ja im się przypomnę.

PIÉRSZY.

E, wiesz co, nie chcę! na tamte poluję:
Z temi zachodów, ceremonii wiele.
Ręka co codzień zamiata, szoruje,
Ta cię najlepiej popieści w niedzielę.

OBYWATEL.

Co do mnie, mnie się nie podoba wcale
Nasz nowy burmistrz: cóż miasto zyskało
Pod jego rządem?—pytam się sąsiada.
Zadziiera nosa zanadto zuchwale,
O posłuszeństwie strasznie dużo gada,
Podatków wiele, a korzyści mało.

ŻEBRAK (*śpiewa*).

Piękne panie, zacne pany,
Pełne twarze, ładne stroje,
Patrzcie na kalectwo moje,
Patrzcie na moje łachmany;
Niech żebrak darmo nie wzywa,
Błogosławion kto udziela.
Niechaj dzień ten, dzień wesela,
Dla mnie stanie się dniem żniwa.

DRUGI OBYWATEL.

W niedzielę, w święto siedząc przy kuflu spokojnie,
Nic mię tak nie zajmuje jak dyskurs o wojnie.
Kiedy daleko, tam gdzieś w Turezczyźnie
Różne się wojska biją między sobą....
Po piwie wracam wieczorną już dobą
I przypatruję się statków pstrociznie,
Na których nasze dobra i zapasy,
I szczerze-m kontent, że spokojne czasy.

TRZECI OBYWATEL.

To dobrze mówisz, kochany sąsiedzie:
 Mogą tam sobie jak chcą łby urywać,
 Batalie staczać, fortece zdobywać
 Niech tylko w domu po staremu będzie.

BABA

(do dwóch panien).

Ach aniołeczki, ach jakże ubrane!
 I któż się w takich buziach nie rozkocha!
 Tylko bez dumy, poczekajcie trocha:
 Czego pragniecie już ja wam dostanę.

JEDNA Z PANIEN

(do drugiej).

Prędzój Agato, bo ludzie spostrzegą...
 Wiesz że serdecznie tą jedzą się brzydzą,
 Chociaż mi raz pokazała przyszłego
 W nocy na święty Jędrzej... jak dziś widzę!

DRUGA.

I mnie mojego także, i w kryształce
 Po wojskowemu, z wielą kolegami;
 Odtąd wciąż szukam i śledzę oczami,
 Jednak dotychczas nie widzę go wcale.

ŻOŁNIERZE.

Mury zębate,
 Wysokie, twarde,
 Miasta bogate,
 Dziewczęta harde:
 Oto mi przynęta,
 Oto mi to życie!
 Miasta i dziewczęta
 Poddać się musicie!

Trąby słuchamy
 Dzielnego grania,
 Śmiało szukamy
 Śmierci spotkania.
 O miasta, dziewczęta
 Poddać się musicie!
 Oto mi przynęta
 Oto mi to życie!

FAUST i WAGNER.

FAUST.

Więzów lodowych rzeki się pozbyły
 Od ożywczego wiosny spojrzenia;
 Wszędzie się wkoło już zazielenia,
 I stara zima, opadła z siły,
 Wpóśród gór dzikich szuka schronienia.
 Ztamtąd pierzchając, jeszcze czasami
 Wysyła śniegu zasy pyłki,
 Co się po polu ciągną pasmami;
 Lecz słońce niszczy wszystko co białe:
 Chce wszędzie żywsze barwy rozlewać,
 Chce wszędzie życie i ruch rozsiewać.
 Jeszcze się z pączka kwiat nie wynurza,
 Za to świąteczne ludu ubiory:
 Odwróć się tylko i z tego wzgórza
 Spójrz na miasto, co za kolory,
 Co za pstrocizna wesoła, tłumnie
 Z téj ciemnej miejskiej bramy się wali!
 Dzień Zmartwychwstania obchodzą szumnie,
 Bo się i sami z grobów wyrwali:
 Z więzów przemysłu, z więzów roboty,
 Z trosk codziennego życia natłoku,
 Z domów i wąskich ulic ciasnoty,
 I z poważnego kościołów mroku
 Wyszli na światło, ochcą witać wiosnę,
 Spieszą przez łąki, pola, ogrody...
 Patrz tylko na te tłumy radosne,
 Spójrz na rzeki spokojne wody;
 Co się to po nich łodzi uwija
 Wesołym ludem aż przepelnionych:
 Teraz ostatnia właśnie odbija...
 Patrz, nawet z tamtych gór oddalonych
 Migają sukien barwy jaskrawe...
 Ach, wieś już czuje, już wiejską wrzawę,
 Szumny gwar wiejskich zabaw tu słychać;
 Swobodniej, wolniej można oddychać.

WAGNER.

Przechadzka z tobą, szanowny doktorze,
 Jest i przyjemną i naukową;
 Jednak zabawy wiejskie, przez to może
 Że czémś prostackim, że gminnością trącą,
 Żadnego dla mnie powabu nie mają.
 Razi mnie wszystko co nieokrzesane:

Te skoki, śpiewy, wrzaski pomieszane,
 Co się radością u nich nazywają,
 I te ich kręgle i te ich fujary
 Drapią mi uszy i nudzą bez miary.

WIEŚNIACY POD LIPĄ

(taniec i śpiew).

Pastuch do tańca gotowy,
 Kurta nowa i pas nowy:
 Chłopak aż miło!
 A pod lipą idzie żwawo,
 Każdy skacze w lewo, w prawo,
 Hejże hola, hejże hola!
 Już ciasno było.

Więc czémprędzej leci, pcha się,
 Aż szturchnął łokciem Joasię:
 Otóż go macie!
 Dziewucha na niego wpada:
 Ach ty niedźwiedziu, powiada
 Hejże hola, hejże hola!
 Ach ty waryacie!

A pod lipą idzie żwawo,
 Tańczą w lewo, tańczą w prawo,
 Pary migają;
 Aż się wszyscy pomęczyli,
 Za to razem jeszcze miléj,
 Hejże hola, hejże hola!
 Odpoczywają.

Nie tak blisko, bardzo proszę!
 O znam ja was jak złe grosze,
 Wy obłudniki!
 On sobie jednak pozwala,
 A z pod lipy słyhać zdala,
 Hejże hola, hejże hola!
 Śpiewy i smyki.

STARY WIEŚNIAK.

Ach! panie doktor, niech wam Bóg nagrodzi,
 Że przecież czasem jegomość uobrodziéj,
 Chociaż i taki wysoko uczony,
 Nie gardzi nami, zajrzy w nasze strony.
 Więc najpiękniejszy oto kufel stoi,
 Właśnie jak dla was; napitek w nim świeży;

Przyjmcie z rąk moich! życzę jak najszczerzej:
 Niechaj nietylko pragnienie ukoj,
 Ale co kropel zliczyć się tu może
 Niech wam lat tyle przybędzie, daj Boże!

FAUST.

Dzięki wam! Chętnie waszę radość dzielę.
 I piję do was zacni przyjaciele.

(gromadzą się koło niego).

STARY WIEŚNIAK.

W ten dzień wesoły jakże to nam miło,
 Że was tu możemy widzieć pośród siebie,
 Bo w owych czasach, gdy tak ciężko było,
 Kto nas ratował w ostatniej potrzebie?
 Nie jeden teraz stoi tutaj żywy
 Tylko przez ojca waszego staranie,
 (Racz mu dać wieczny odpoczynek, Panie)!
 On zniszczył plagę gorączki straszliwej
 Co nad tą piękną pastwiła się stroną.—
 Jegomość wówczas byłeś bardzo młody,
 Chodziłeś z ojcem do każdej zagrody,
 Gdzie byli chorzy;— trupów wynoszono
 Przy was. O ciężkie przetrwaliście próby!
 Bóg zbawca zbawców zachował od zguby.—

WSZYSCY.

Wiwat, niech żyje doktor nasz dobrodziej!
 Zbawca nasz! wiwat! niech go Bóg zachowa!

FAUST.

Jemu dziękujcie, bo jegoto siła
 Wszelkie zbawienie stwarza i posyła.
(odchodzi).

WAGNER.

O zacny mężu, jakążto roskoszą
 Musi być wdzięczny okrzyk tego tłumu!
 Szczęśliwi ci. co taki dank odnoszą
 Z swojej nauki i z swego rozumu!
 Wdzięczny cię ojciec dzieciom pokazuje,
 Na twe spotkanie wszyscy burmem spiczają,
 W wesołym skoku tancerz się wstrzymuje,
 Smyczek umilka, i pomiędzy rzeszą
 Wszystko, gdy mówisz, w milczeniu głębokiem;
 Potem wiwaty, radość niesiychana,
 Czapki do góry, niemal na kolana
 Upaść gotowi, jakby przed prorokiem.

FAUST.

Jeszcze dwa kroki:—ot na tym kamieniu
 Odpochnię sobie po naszym spacerze.
 Tu-m niegdyś często siadał w zamyśleniu,
 Pelen nadziei, mocny jeszcze w wierze;
 Chciałem postami, modlitwą gorącą
 I lzy rzewnymi u nieba wyblagać,
 By odwróciło zarazę niszczącą.
 O przyjacielu, gdybyś mógł w tej chwili
 Czytać w mém sercu! jakżeż te pochwały
 Dziwnie, szydlerczo w uszach moich brzmiały!
 Jakżeśmy mało na nie zasłużyli!
 Mój ojciec było pocziwy uczony,
 Co na natury tajemnicze życie
 Z właściwej sobie spoglądając strony,
 Nad jej zbadaniem śleczął pracowicie.
 Pilnych adeptów tłumem otoczony
 W laboratorium zamknięty, mozoły
 Z niemi podzielał, siedząc przy piecyku,
 I kombinując recepty bez liku
 Łączył i zlewał przeciwne żywioły.
 Tam z Lwem Czerwonym (1), z Śmiałym Zalotnikiem
 W ciepłej kąpieli Lilią zaślubiano;
 Potém oboje rozdętym płomykiem
 Z jednej sypialni do drugiej wpędzano;
 Potém upstrzona błyszczącą pozłotą
 Młoda królowa w szkle występowała:
 Otóż i leki. Chorych śmierć zmiatała,
 A kto wyzdrowiał, nie pytano o to.
 Takto przy naszych piekielnych miksturach,
 Daleko gorszych od saméj zarazy,
 Ginęła ludność w dolinach i górach;
 Sam je dawałem:—Boże! ileż razy
 Z rąk mych nieszczęsne ofiary padały!
 A jam je przeżył, by słyszeć pochwały.

WAGNER.

Wszak chciałeś pomódz? marli—trudna rada!
 Człowiek pocziwy dość robi, ja myślę,
 Jeśli naukę, tak jak ją posiada,
 Zastosowyywa sumiennie i ściśle.
 Więc próżny skrupuł: kunszt się doskonali;
 Jeżeli przeszłość błędy nam zostawia,
 To niechaj każdy co może poprawia:
 Nasi następcy pójdą jeszcze dalej.

(1) Średniowiekowa terminologia chemiczna.

FAUST.

Szczęśliwy ten, w kim nadzieja nie gaśnie
 Wybrnąć z chaosu, który niema granic!
 Czego nie wiemy trzebaby nam właśnie,
 A to, co wiemy, nie zda nam się na nic...
 Lecz dosyć tego, bo to próżna strata
 Psuć sobie smutkiem widok téj natury:
 Patrz, od wieczornéj jak pała purpury
 Ta zielonością okolona chata!
 Dzień już przeżyty; słońce po błękicie
 Spieszy gdzieindziej nowe budzić życie.
 Gdybym wzniesiony bystremi skrzydłami
 Mógł lecieć za niém po nieba przestrzeni,
 I w wiecznym blasku wieczornych promieni
 Widzieć świat cały pod memi stopami!
 Wzgórza złocistém światłem zapalone,
 Ciche doliny i rzek kręte biegi,
 I oceanu wody niezmierzone,
 I jego dzikie, malownicze brzegi!
 I niczém wtedy groźne gór gromady,
 Ciemne przepaści i grzbiety spadziste:
 Ja wciąż za słońcem, ja wciąż w jego ślady,
 Wciąż piję jego światło wiekuiste!
 Przedemną jasność, za mną nocy cienie,
 Nademną niebo, a podemną fale...
 O śnie czarowny, o Boskie marzenie!
 I czemuż ciało tak szczytnie, zuchwale
 Wzbić się nie może, jak się dusza wzbija?
 A przecież jestto coś w naszéj naturze
 Że nam się serce gdzieś w przestrzeń wyrывa,
 Kiedy nad nami, znikając w lasurze,
 Skowronek dźwięczną piosnkę swoją śpiewa,
 Gdy widzim orła wspaniałe krążenie
 Nad wierzchołkami sosen wyniosłemi,
 Gdy ponad równin i jezior przestrzenie
 Ciągną żórawie ku rodzinnej ziemi.

WAGNER.

Ja często w dziwnym bywam téż humorze,
 Lecz tak szczególnéj nie znałem tęsknoty:
 Las, pole prędko przesyćć mię może.
 Ptakow mię nigdy nie zajmują loty.
 Nierównie milsze umyśłu rozkosze,
 Gdy się od księgi do księgi przenoszę.
 Z karty na kartę oczyma przebiegam,
 Albo szacowny pargamin rozwinię.

Szczęśliwy, w późną za północ godzinę,
Długiej, zimowej nocy nie spostrzegam.

FAUST.

Jedno masz tylko pragnienie stateczne:
Obyś się nigdy nie poznał z innemi!
Lecz ach, w mej piersi dwie jakoby sprzeczne
Dusze mieszkają: jedna z nich do ziemi
Z całą się mocą miłości przyciska,
Uciechy życia żądzami pożera;
Druga gwałtownie z niego się wydziera
Do wielkich przodków wzniesłego siedliska.
Jeśli w obszarach nadziemskiej krainy
Światłe geniusze wszechwładnie rządzą,
O zstąpcie z waszej promiennej dziedziny,
Dajcie mi nowe i świetniejsze życie!
Gdybym posiadał jaki płaszcz skrzydlaty
Coby w dalekie nosił mię przestrzenie,
O! za najdroższe na świecie odzienie
I za królewskie nie dałbym go szaty.

WAGNER.

Ach! nie wywołuj dobrze znanęj zgrai
Duchów ciemności: ten tłum niebezpieczny,
Ludzkiego rodu nieprzyjaciel wieczny,
Pod złudną maską złość głęboką tai.
Duchy północy z ostremi zębami
Cisną się chciwie, pożrećby się rade;
Tam wschód niszczącą wysyła gromadę
Co się chce karmić twemi wnętrzościami;
I kiedy skwarne puszcze południowe
Buchają na cię płomiennemi ziewy,
Z zachodu pędzą gwałtowne wylewy
Ciebie i wszystko zatopić gotowe.
Chętnie ta zgraja na wezwanie leci,
I chętnie służy aby zgubić snadniej;
Udaje nieba dobroczynnych dzieci:
Pieszczota z wierzchu, a złośliwość na dnie.
Ależ wracajmy, bo się całkiem zciemni;
Powietrze chłodne, zimna mgła upada:
Teraz to w domu siedzieć najprzyjemniej.
Lecz cóż twe oko tak ciekawie bada?
Czemuś tak nagle stanął zadziwiony?

FAUST.

Widzisz? pies czarny skacze przez zagony.

Rzuć swoją łaskę, w wodę za nią skoczy;
Zgubisz rzecz jaką, lata, szuka wszędzie.

FAUST.

Tak, ani śladu ducha; urojenie!
Pudel uczony, którego ktoś zgubił.

WAGNER.

Zmyślny, uczony pies jestto stworzenie
Godne, by nawet człek mądry je lubił,
A ten istotnie wart jest twoich względów.

(wchodzą do miasta).

KOMNATA

(jak w scenie pierwszej).

FAUST

(wchodzi z pudłem).

Wróciłem z pola; noc już ciemna
Wszystko pokryła swą osłoną;
Obudza trwoga jój tajemna
Lepszą część duszy dniem uspioną.
Umilkło dzikich żądź wołanie,
Z pracą i wrzawą dnia całego;
Powraca cichość i dumanie,
Z niem miłość Boga i bliźniego.

Ciszéjże pudlu! nieznośne psisko!
Ciągłe mi biega, wacha i skrobie;
Poszedł ztąd zaraz! masz legowisko:
Ot tam za piecem postąłem tobie.
Ześ nas gorliwie bawił przez drogę
Biegając, skacząc, za to cię hojnie
Kudłaty gościu nakarmić mogę,
Ale się tylko sprawuj spokojnie.

I gdy się znów w tój ciasnej celi
Przyjazne lampy światło pałi,
To jakoś w piersiach mi weselej,
Zbołałe serce mniej się żali.
Przemawiać rozum znów zaczyna,
I głos nadziei się odzywa;
Dusza się życia dopomina,
Do źródeł życia się wyrывa.

Psie! leż mi cicho! Z uroczemi tony,
 Których harmonia duszę mi osładza,
 Twoje warczenie wcale się nie zgadza.
 Zwykłało przecież, że świat odurzony
 Śmieje się z tego, czego nie pojmuje,
 Na dobro szemrze i z pięknego szydzi,
 Bo tamto ćmi go, w tém zysku nie widzi:
 Czyż go ten pudel warcząc naśladowuje?

Ależ niestety, przy najlepszej woli
 Czuje, już z piersi pociecha nie płynie!
 Czemuż tak prędko źródło życia ginie
 I wewnątrz znowu od pragnienia boli?
 Mam ja w tém dużo doświadczenia;
 Może się jeszcze to złe uleczy:
 Uczmy się cenić nadziemskie rzeczy,
 Zwróćmy się szczerze do Objawienia.
 Oto Nowego Testamentu dzieje:
 W nich Objawienie najpiękniej jaśnieje.
 Dobrze natchnienie! A więc otworzę
 Nowy Testament i szczerze przejęty
 Miłością prawdy, oryginał święty
 Wiernie na język ojczysty przełożę.
(otwiera księgę).

Tu stoi: „na początku było słowo.”
 Otóż i trudność znajduję gotową:
 Czyliżby słowo mogło tyle znaczyć?
 Nie, nie, inaczej muszę wytłumaczyć.
 Trzeba rozumieć, jeśli się nie mylę,
 Tak: „na początku była myśl;” a przecie
 Warto się nad tém zastanowić chwilę:
 Czyżto myśl wszystko stworzyła na świecie?
 Duchowi tekstu nie lepiej odpowie
 Ten przekład: „na początku była siła”
 Ale gdy to chcę pisać, w mojej głowie
 Jeszcze się nowa wątpliwość zrodziła....
 Ha, wreszcie duch mój znaczenia docieka,
 Mam: „na początku był czyn” *(pisze).*

Ten znów szczeka!
 Przeklęty pudlu! jeśli ta komnata
 Ma służyć dla nas ku wspólnemu życiu,
 To dajże pokój szczekaniu i wyciu:
 Nie chcę takiego głośnego kamrata.
 Niechętnie gwałcę gościnności prawo,
 Ztémwszystkiem, kiedy nie można inaczej.
 Więc, drzwi otwarte, wynoszę się żwawo....

Ależ u licha! cóżto znowu znaczy?
 Czy mi się marzy, czy widzę na jawie:
 Mój pudel urósł we dwójnasób prawie,
 I coraz rośnie, wzdyma się i jeży....
 Ach, do jakiegoż podniósł się ogromu!
 Człowiek istotnie swym oczom nie wierzy;
 Cóżem za diabła sprowadził do domu!
 Okropny potwór! paszcza rozdziawiona,
 Iskrzące ślępie.... Oho! stara fraszka!
 Djabelski wylęg! znam cię: tego ptaszka
 Wnet wymacamy kluczem Salomona.

DUCHY

(zewnątrz).

Jeden siedzi tam zamknięty,
 Niechaj za nim nikt nie wbiega;
 Jako lis w sidła ujęty
 Zagrzął stary nasz kolega.
 Lecz bacznosc! na wszystkie strony
 Krążcie wciąż, latajcie społem,
 Latajcie górą i dołem,
 Może będzie uwolniony.
 Jeśli mu pomóż możecie,
 Więc niech się nie biedzi długo:
 Wszystkim nam on nieraz przecie
 Różną dogadzał usługą.

FAUST.

Bestyi téj naprzód na przywitanie
 Trzeba poczwórne rzucić zaklinanie:
 Salamandra niech jaśnieje,
 Undyna niechaj wiruje,
 Sylf niech się rozwieje,
 Kobold niech pracuje.
 Kto się zbratał z żywiołami,
 Komu dobrze są znajome
 Ich przymioty, ich potęga:
 Ten jest mistrzem nad duchami,
 Ten zwycięzko ich dosięga,
 Czczą go siły niewidome.
 Salamandro zgń w płomieniu!
 Undyno popłyn w strumieniu!
 Sylfie świeć blaskiem jaskrawym!
 Pomóż w domowej potrzebie!
 Incubus! Incubus!
 Wystąp ostatni; wyzywam ciebie!

Żadnego z czworga nie widać w potworze;
 Leży spokojnie i zębami zgrzyta.
 Chybiło jedno, więc drugie pomoże:
 Wnet cię mocniejsze zakłęcie przywita.

Jeżeliś piekiel postaniec
 Spojrz na te znaki,
 Na widok których truchleją
 Podziemne orszaki.

Oho! już mu się najeża szczecina:
 Ohydna poczwaro!
 Czy go przeczytasz
 Niestworzonego,
 Niewysłowionego,
 We wszystkich niebach czczonego,
 Włóczyńią przebitego?

Za piec się ciśnie i jak słoń wzdęty
 Chce się rozeprzeć aż do sklepienia....
 Teraz rzednieje. w dym się zamienia....
 Nie pnij się w górę, biesie przekłęty,
 Nie pnij się w górę, lecz przy nogach pana,
 Przy nogach mistrza połóż się potworze:
 Jeszczeż ci moja potęga nieznana?
 Jeszczeż nie widzisz, że nie darmo grozę?
 Słyszysz? nie czekaj większego zakłęcia!
 Słyszysz? nie czekaj potrójnego blasku!

(Dym opada. Mefistofeles występuje z za pieca w odzieniu wędrującego scholastyka).

MEFISTOFELES.

Jestem już, jestem! na co tyle wrzasku.

FAUST.

To taki pudel? coza maskarada:
 Student wędrowny! ha, kazus nie lada!

MEFISTOFELES.

Najniższy sługa uczonego męża,
 Co silnym kunsztem duchy przewycięża.

FAUST.

Jak się nazywasz?

MEFISTOFELES.

To za drobiazgowo
 Na tego, kto tak mało ceni „słowo,”
 I kto daleki od wszelkich pozorów,
 Badawczém okiem do gruntu dochodzi.

FAUST.

O mój mosanie, grunt takich potworów
Wprost od imienia zwykle się wywodzi.
Czyż w nazwie łotra, bluźniercy lub łgarza
Nie dość się jasno sama rzecz wyraża?
Któż tedy jesteś?

MEFISTOFELES.

Ja, cząsteczka mała
Siły, co złego pragnąc zawsze dobro działa.

FAUST.

Taka zagadka nie objaśnia rzeczy.

MEFISTOFELES.

Jestem więc duchem, który wiecznie przeczy,
I słusznie, bo cokolwiek do życia przychodzi
Najniezawodniej warte jest zniszczenia:
Niechże się lepiej nic wcale nie rodzi.
Ztąd wszystko co u waszego plemienia
Grzechem, zniszczeniem, złem się nazywa,
To moja sfera właściwa.

FAUST.

Powiedziałeś, żeś cząstka, a stoisz tu cały.

MEFISTOFELES.

Skromną ci tylko prawdę me usta wyznały,
Gdy człowiek będąc małą i głupią istotą
Ma się za coś całego; ale mniejsza o to:
Jam część części, co niegdyś, przed chwilą stworzenia
Była wszystkiem; jam cząstka przedwiekowej nocy,
Matki dumnego światła, które z całej mocy
Chce jój dziś przestrzeń wydrzeć. Lecz te wysilenia
Są próżne: bo to światło do ciał przywiązane,
Ciała zdobi i z ciał płynie,
Przez ciała może w biegu być wstrzymane:
Więc pewno wkrótce wraz z ciałami zginie.

FAUST.

No, teraz już pojmuje twoje zacne rzemiosło:
Gdy się na wielką skalę niszczyć nie udaje,
Więc dobrze i na małą?

MEFISTOFELES.

To prawda, wyznaje,
 Ale mi ono dotąd niewiele przyniosło.
 Ten lichy świat, źdźbło takie, rzecz zadziwiająca
 Jak się szczęśliwie zniszczeniu opiera!
 O to źdźbło cała moja sztuka się roztrąca;
 I fala je zalewa i ogień pożera,
 I trzęsienia i burze. Cóż? kończy się na tem
 Że wszystko tak jak było i świat zawsze światem.
 A ta przekłeta siła płodności zwierzęcej!
 Nic przeciw niej nie wskóra! I z kąd się to bierze!
 Rób co chcesz: niszczy, wytepiaj, najczęściej, najwięcej,
 Ciągłe nowe zasoby, ciągle życie świeże.
 Powietrze, ziemia, woda je rozwija
 I tysiące żywotnych pierwiastków wyradza;
 Susza, wilgoć i ciepło i zimno im sprzyja:
 To do szaleństwa niemal doprowadza!
 Gdyby nie płomień, moja dzielnica wybrana,
 Nicbym swojego nie miał już właściwie.

FAUST.

Więc ty śmiesz z drobną pięścią szatana,
 Co się bez skutku ściska złośliwie
 Wiecznej potędze wojnę wypowiadać?
 Śmiesz z jej twórczością walczyć debroczyzną!
 Chaosu dziwny synu! toć już inną
 Lepiejby było pracę sobie zadać.

MEFISTOFELES.

To prawda, trudno taką moc obalić,
 Lecz kiedyindziej o tém pogadamy:
 A teraz czybym nie mógł się oddalić?

FAUST.

Zbyteczna grzeczność: dosyć się już znamy.
 Chcesz to mię możesz czasami odwiedzać;
 A co do wyjścia, masz aż trzy wychody:
 Drzwi, okna, komin; czego tu uprzedzać?

MEFISTOFELES.

Tak, lecz dla pewnej małej przeskody
 Nie mogę wyjść ztąd: na progu są znaki.

FAUST.

A, pentagramma panu się sprzeciwia!
 No powiedzże mi, że też ptaszek taki

Mógł ją prześlepić? I to mię zadziwia,
 Że kiedy znak ten tak mocno odraża,
 To jakże wszedłeś?

MEFISTOFELES.

Hm, niech pan uważa,
 Że on tu nie jest dokładnie zrobiony;
 Bo właśnie tamten ką z zewnętrznej strony
 Otwarty trochę.

FAUST.

A, wpadłeś znienacka!
 Wybornie: więc cię teraz trzymać mogę.

MEFISTOFELES.

Pudel nie spostrzegł, że w progu zasadzka,
 Co będzie djabłu przecinała drogę.

FAUST.

A okno?

MEFISTOFELES.

Prawo nasze wyraźnie powiada:
 Żeby wychodząc, drogi trzymać się téj samój
 Którędy się wchodziło. Więc daremna rada:
 Przy wnijsciu mamy wybór; przy wyjściu nie mamy.

FAUST.

I w piekle prawa! To wcale przykładnie.
 A więc z panami może być umowa
 Prawnie zawarta, jeżeli wypadnie?

MEFISTOFELES.

Co się przyrzecze to się i dochowa:
 Najmniejsza miejsca nie znajdzie szykana;
 Lecz rzecz naprędce zrobić się nie może,
 Więc o tém w innój pomówimy porze.
 A zaś tym razem, proszę łaski pana,
 Najmocniej proszę: bądź już względny tyle,
 Pozwól mi wyjść ztąd.

FAUST.

Zostańno na chwilę:
 Ot chciałbym jeszcze żebyś mi powrózył.

MEFISTOFELES.

Ja zaraz wrócę i będę ci służył
 Dopóki zechcesz; o co będziesz pytał
 Szczerze odpowiem: ale na minutę
 Wypuść mię teraz.

FAUST.

Sameś tu zawitał;
Jam cię nie prosił: więc odbądź pokutę.
Kto diabła złapie, niech go dobrze trzyma,
Nieprędko on mu wpadnie po raz drugi.

MEFISTOFELES.

Ha, skoro tedy innéj rady niéma,
Więc gotów jestem na twoje usługi,
I żeby czas ten przyjemniej upływał
Będę ci różne sztuki pokazywał.

FAUST.

I owszem, byle tylko zajmowały:
Zgoda.

MEFISTOFELES.

O, pewnie i w rok życia cały
Tyle ci słodkich wrażeń nie napłynie
Przez wszystkie zmysły, ile w téj godzinie..
I jakie śpiewy usłyszysz urocze,
Jakie obrazy przed tobą rozłoczę,
To wcale próżne nie będą złudzenia:
I powonienie rozkoszą napoję,
I smak polehcę: całe czucie twoje
Najprawdziwszego dozna zachwycenia.
A przygotowań niepotrzeba wiele:
Jesteśmy razem! dalej przyjaciele!

DUCHY.

Niech się rozlecą
Mroczne sklepienia,
I gwiazd spojrzienia
Z pięknego szczytu,
Z niebios błękitu
Jaśniej zaświecą!

Oto zniknęły
Już ciemne chmury,
I ztamtąd z góry
Słońca złociste
I promieniste
Gwiazdy błysnęły!

I rajskich dzieci
Orszak uroczy
Z jasnemi oczy,
Z słodkiem wejrzeniem,

Z tęskném skinieniem
Po niebie leci;

I szat promiennych
Cudne przepaski
Skrywają laski,
Gaje skrywają,
W których kochankom
W dumaniach rzewnych
Chwile spływają.

Jak tu wesoło!
Lube ustronia!
Kwieciste błonia.
Wody szemrzące
I czarujące
Doliny wkoło;

Sady, winnice
Gdzie z gron soczystych
Tłokiem ciśnionych,
Soków spienionych
Słodkich, złocistych
Biegają krynice;
Płyną w strumieniach
Jasných, błyszczących,
Płyną po lśniących,
Drogich kamieniach,
Mijają w biegu
Wzgórza zielone
I rozszerzone
Szukają brzegu.

A lotne grono
Buja w przestworzu!
To w światła morzu
Promienném toną,
To znowu lecą
Na te ostrowy:
Co w lazurówój
Przestrzeni świecą.
Co się na fali
Cicho kołyszą.

Daléj i daléj...
Śmiertelni słyszą
Śpiew niezrównany,
I lekkie tany
Wzrok ich czarują.
Patrz jak swobodnie
Się rozlatują:
Jedni w kryształach

Błękitnym gina,
 Drudzy przez fale
 Wód jasnych płyną,
 A wszystko żyje,
 A wszystko krąży:
 I za daleką
 Gdzieś gwiazdą dąży...

Cudne krążenie,
 Dola szczęśliwa,
 Miłość prawdziwa,
 Błogie istnienie!

MEFISTOFELES.

Śpi.. a więc dosyć! O, grackie chłopaki,
 Bardzom wam wdzięczny za koncert taki.
 Śpi przewybornie, nie myśli się budzić,
 Trzeba go tylko sny pięknemi ludzić;
 Niechaj w rozkosznych marzeń oceanie
 Nurza się, tonie... He, mój mądry panie,
 Fryc jeszcze jesteś, ażebyś mógł sobie
 Z djabłem poradzić! Jednak ta figura
 Wyjść mi przeszkadza, sam tu nic nie zrobię:
 Przeciw tym czarom trzeba zębów szczura:
 Ktoreńś tu biega i wnet mię usłyszysz,
 Więc bacność! Władzca wszech szczurów i myszy,
 Wszy, pcheł i pluskiew, niniejszém poleca,
 Ażebyś wylazł natychmiast z pod pieca
 I te tu znaki wygryzł co do joty.
 Jesteś już! dobrze: bierz się do roboty.
 Ten kąś szczególnie... jeszcze parę razy...
 Ot tak! przecieżem wyrwał się z więzienia.
 No, bądź zdrów, bracie! Niech słodkie obrazy
 Myśl twą kołyszą we śnie:—do widzenia.
 (wychodzi).

FAUST

(obudzony).

Jeszcze złudzenie! znowu wszystko znika!
 Czekala cudów wrząca wyobraźnia;
 Cóż? sen mię djabła postacią rozdrażnia
 I pudel mi się wymyka!

KOMNATA*(jak w poprzedzającej scenie).*FAUST *sam.* *(Ktoś puka).*

FAUST.

A kto tam? znów się zaczynają schodzić.
Można!

MEFISTOFELES

(za drzwiami).

Ja.

FAUST.

Można!

MEFISTOFELES.

Jeszcze po raz trzeci

Toż samo.

FAUST.

Można!

MEFISTOFELES

(wchodzi).

Ślicznie! O! z Waszeci

Wyborny kamrat; łatwo nam się zgodzić.
Przyszedłem spędzić twój humor ponury;
Widzisz jak jestem wspaniale ubrany?
Patrz: czarny płaszczyk złotem haftowany,
Czarny kapelusz z koguciem pióry,
Ponsowy kaftan i u boku szpada!
Dzielnie wyglądam? Moja tedy rada,
Abyś przywdziawszy takie same stroje
Poszedł wraz ze mną; odetchnij też przecie;
Rzuć wszystkie nudy i frasunki twoje:
Ja ci pokażę jakto żyć na świecie.

FAUST.

Co ty pokażesz! Co mi z dworskiej mody!
W każdej mi sukni świat duszny i mały;
Życ zabawami, nadtom już dojrzały,
A żyć bez pragnień, nadtom jeszcze młody!

Czegóż się mogę od świata spodziewać?
 „Tego się wyrzec, bez tego obywać!”
 Dość się téj starój nasłuchałem pieśni,
 Co od kolebki do grobowej cieśni
 W uszach nam brzęczy o każdej godzinie,
 Nikogo z ludzi nigdy nie ominie.
 Ze wstrętem codzien otwieram powieki,
 I chciałbym nieraz płakać łzy rzewnemi
 Żem dnia doczekał, który za drugimi
 Przejdzie bez śladu i przejdzie na wieki,
 I ani jedną radością nie błysnie,
 Ani jednego nie spełni życzenia,
 Drobiazgiem bytu powszedniego ściśnie
 Własnej méj myśli bogate tworzenia.
 I dniem znękany, skoro noc zapadła
 Z trwożném uczuciem rzucam się na łoże;
 I tu spokoju duch znaleźć nie może:
 We śnie dziwaczne straszą mię widziadła.
 Prawda, że w piersiach święty ogień pała,
 Do głębi całą istotę przenika,
 Do najskrytszego duszy méj tajnika:
 Ale niestety, na zewnątrz nie działa!
 Nędzne istnienie! cięży mi nieznośnie,
 I śmiercým teraz przywitał radośnie.

MEFISTOFELES.

Niemiała ona kiedy zajrzy w oczy.

FAUST.

O, błogo temu, kogo śmierć zaskoczy
 Wśród wrzawy boju; komu na spotkanie
 Ozdobi czoło krwawemi wawrzyny,
 Lub po zawrotnym tańcu, niespodzianie
 W uściskach lubéj napadnie dziewczyny!
 O gdybym przed zjawiskiem tajemniczem,
 Gdybym przed ducha wielkiego obliczem
 Padł zachwyceniem, podziwem przejęty
 I w jednéj chwili skończył żywot marny!

MEFISTOFELES.

Jednak onegdaj, jakiś napój czarny
 Pozostał tutaj na stole nietknięty.

FAUST.

Szpiegowstwo ci się widzę podobało.

MEFISTOFELES.

Wszystkiego nie wiem: wiem jednak niemało.

FAUST.

Jeśli mię odgłos niegdyś sercu miły
 Od ostatniego wstrzymał przedsięwzięcia,
 Jeśli chwil błogich wspomnienia zbudziły
 Dawno uśpione resztki dum dziecięcia;
 A więc przeklinam wszystko to co mam
 Duszę obrazem fraszek czarujących,
 Co ją do tego padołu cierpiących
 Przykuwa marnych błyskotek więzami!
 Przeklinam naprzód wysokie mniemanie,
 Którém się umysł napawa przedwcześnie,
 I słodkich wrażeń trawiące działanie,
 Co wzburza zmysły na jawie i we śnie!
 Przeklinam marzeń wybujałe twory,
 Pragnienie sławy, zaszczytnéj pamięci,
 Bogactw i szczęścia ludzące pozory,
 Wszystko co nazwą własności nas nęcił
 Przeklinam blaski mamony zwodnicze,
 Czy to podnieca do wielkiego dzieła,
 Czy na zmysłowe wabiąc nas słodczye
 Miętko nam łożę próżniackie wyściela!
 Przeklinam wina wesołą burzliwość,
 Co w duszę balsam zapomnienia leje,
 Przeklinam miłość, wiarę i nadzieję,
 A nadewszystko, przeklinam cierpliwość!

 CHÓR DUCHÓW
 (niewidzialny).

O biada, biada!
 Zniszczyłeś sam
 Potężną dłońią
 Ten piękny świat:
 Chwieje się pada
 Ciosem pół-boga rażony!
 Świetnego gmachu
 Smutne zwaliska
 W nicość rozniesiem,
 I będziem rzewnie
 Plakać piękności straconej!
 O! synu ziemi
 Potężny duchem,
 Odbuduj ją
 W własnej swéj piersi;
 Nowe rozpocznij istnienie,
 Z myślą jaśniejszą,
 Z czołem pogodném,
 I pieśni nowe
 Zabrzmią na twe odmłodnienie!

MEFISTOFELES.

To moje mały. Słyszysz? Mądra rada:
 Że tę samotność porzucić wypada,
 Być czynnym, na świat wystąpić szeroki,
 Gdzie grają zmysły. płyną życia soki.
 Przestań samochcąc rozdrażniać twą ranę;
 Zaś towarzystwo, choć i źle dobrane,
 Tyle przynajmniej życia w tobie wzbudzi,
 Że się uczujesz człowiekiem wśród ludzi.
 Z tego co mówię wnosić nie należy,
 Że się masz tłoczyć między gawieź ciemną;
 Nie wielkim wprawdzie, ale gdybyś szczerzej
 Chciał mi zaufać, połączył się ze mną,
 Tysiąc rozrywek mógłbym ci nastreczyć.
 I zgodziłbyś się z światem niezadługo.
 Chcesz? jestem twoim towarzyszem, sługą.

FAUST.

I czemu za to mam ci się odwdzięczyć?

MEFISTOFELES.

Na to dość czasu; na co ci tak pilnie?

FAUST.

Nie: djabli są to wielcy egoiści;
 Gdy się tak kogo czepiają usilnie,
 To niezawodnie dla własnej korzyści.
 Takię przyjaźni wierzyć niebezpiecznie:
 Mów tedy jakie są warunki twoje?

MEFISTOFELES.

Dobrze, ponieważ chcesz wiedzieć koniecznie:
 Tu gorliwego znajdziesz sługę we mnie
 Wszędzie i zawsze i w każdej potrzebie,
 A gdy się zejdzem *tam*, więc ty wzajemnie
 Będiesz tém dla mnie, czém ja tu dla ciebie.

FAUST.

Czém ja tam będę, to mię nie obchodzi;
 Jak tylko świat ten raz przez ciebie zginie,
 To niech się sobie inny po nim rodzi;
 Lecz radość z *tego* tylko świata płynie,
 To słońce świeci nad moją tęsknotą,
 I jeśli od niej wolnym się uczynię,
 Niechaj się dzieje co chce, mniejsza o to!
 I wcale mię też ciekawość nie bierze
 Wiedzieć, czy będzie w przyszłości kochanie
 Albo nienawiść; i czy w owęj sferze
 Jest jeszcze górne i dolne mieszkanie.

MEFISTOFELES.

Więc o cóż idzie? przyrzekaj tém śmielój.
Zobaczysz zaraz co umiem i mogę;
Ja cię dopiero wywiodeę na drogę
I dam to, czego ludzie nie widzieli.

FAUST.

O nędzny djabie, cóż ty masz do dania!
Czyż ty lub tobie podobny docieka
Wzniosłości ducha i pragnień człowieka!
Masz jadło, które głodu nie odgania;
Masz złoto, które nigdy nie spoczywa,
Lecz jak merkuryusz leje się, rozdrabia;
Masz i grę, w którą nic się nie wygrywa;
Masz i dziewczynę. co oczkami zwabia,
A już z mych objęć mruga na sąsiada;
Masz ludzkiej sławy pięknego bałwana,
Co jak błyszczący meteor przepada.
Pokaż mi drzewa, któreby co rana
Nowym i świeżym liściem się zdożyły,
Pokaż mi owoc przed zerwaniem zgniły.

MEFISTOFELES.

To rzecz niewielka; takie rarytasy
Znajdą się: możesz zawsze w nie opływać;
Ależ pamiętaj: nadejdą te czasy
Gdzie ci się zechce spokojnie używać.

FAUST.

O, niechaj zginę, jeśli ci się uda
Mnie zadowolnić; jeśli mię omami
Spokojnej, cichej rozkoszy uluda,
Jeżeli spocznę nad jój przysmakami.
O zakład!

MEFISTOFELES.

Zgoda!

FAUST.

Więc stoi umowa!
Jeśli do chwili wyrzeknę te słowa:
„Zaczekaj, jesteś tak piękna”—przegrałem!
Koniec twój służby, moja się zaczyna.
Twój wtedy jestem i duszą i ciałem:
Niechaj ostatnia bije mi godzina,
Niech zegar staje, skazówka opadnie,
Niechaj mną nicość na wieki zawładnie,
Na wszystkim gotów!

MEFISTOFELES.

Lecz zanotuj sobie:
My nie zapomnim; usta wymówiły.

FAUST.

I macie prawo; wiem dobrze co robię:
Wiem że się nie odważam nad me siły.
Wszak i dotychczas byłem niewolnikiem,
Twoim czy czyim, zawsze niewolnikiem!

MEFISTOFELES.

Więc na dzisiejszą doktorską biesiadę
Stawię się wiernie do usług wacpana;
Lecz jeden jeszcze waruneczek kładę:
Ugoda nasza musi być pisana;
Tak, choć w krótkości, chociaż kilka wierszy,
Bo nie bez tego.

FAUST.

Widać po raz pierwszy
Masz do czynienia z mężem. Pedant stary!
Czyż mężkie słowo niegodne jest wiary?
Czyliż nie dosyć że ma wiecznie ciążyć
To jedno słowo nad moją istnieniem,
Że gdy świat naprzód nie przestaje dążyć,
Jam skrępowany własnym przyrzeczeniem?
Ależ ten przesąd to wrodzona wada,
I któż się od niej oswobodzić stara?
Szczęśliwy czyjś sercem szczerłość włada,
Żadna go nigdy nie boli ofiara.
A jednak pismo, herb na pergaminie
Jakowys postrach na wszystkich wywiera;
Widać, że słowo pod piórem umiera,
A wosk i skóra panują jedynie.
Cóż chcesz zły duchu? Czy mam na papierze,
Na pergaminie lub miedzi ślubować?
Czy piórem pisać, czy rylcem sztychować?

MEFISTOFELES.

Gaduła jesteś i próżnym zapalem
Wszystko przesadzasz: mieć czarne na białem
Nigdy nie szkodzi: co jasno to jasno.
I notabene, masz krewią swoją własną
Podpisać imię.

FAUST.

I na to przystanę.

MEFISTOFELES.

Bo krew ma swoje osobne przymioty.

FAUST.

Wcale daremne wszystkie te kłopoty;
 Przymierze nasze nie będzie zerwane;
 Wcale daremne, kiedy ci powiadam,
 Sam tego pragnę o co się zakładam.
 Znadto widzę piałem się do góry;
 Przyszło mi teraz z tobą się pobratać;
 Duch mną pogardził, i pocóż mi wzlatać?
 Zamknięte dla mnie tajniki natury,
 I pozrywały się rozmyślań nici;
 Dawnom się wyrzekł badań naukowych,
 Niech się przynajmniej w uciechach zmysłowych
 Wrząca namiętność nasyci.
 Mocy twych czarów wnet mi dasz dowody:
 Rzućmy się w czasu potok niewstrzymany,
 W wypadków wrzawę,—niechaj naprzemiany
 Rozkosze, bole, tryumfy, zawody
 Cieszą i trapią, byle nie spoczywać!

MEFISTOFELES.

Któż wam chce miarę lub cel ukazywać?
 Otwarta przestrzeń: możesz bujać śmiało.
 Radości życia w bystrym pędzie zrywać,
 Na mój pomocy nie będzie zbywało.
 Tylko nacieraj, tylko nie trać głowy.

FAUST.

Radości? O nich nie było tu mowy:
 Gorzkiej słodyczy i troski kojącej
 Chcę szukać życia porwany odmętym:
 Wolne od wiedzy chciwości dręczącej,
 Serce me odtąd nie będzie zamkniętym
 Dla żadnych cierpień: wszystko co na świecie
 Bolem się zowie, co ród ludzki gniecie,
 Znajdzie w niem miejsce; chcę osiągnąć szczytu
 I głębi życia; chcę w mój piersi zmierzyć
 Rozkosz i mękę człowieczego bytu.
 I moje istność rozwinąć, rozszerzyć
 Jak ludzkość wielka.

MEFISTOFELES.

O, wierzaj staremu,
 Który tysiące lat po świecie chodził,
 Że się dotychczas człowiek nie urodził,
 Coby potrafił wydołać wszystkiemu.
 Wszystko, jest tylko dla Boga stworzone,
 On tylko w blasku odwiecznym króluje;

Nasz ród w odwiecznych ciemnościach się snuje,
Wam, nawpół z cieniem światło przeznaczone.

FAUST.

Ja chcę jednakże.

MEFISTOFELES.

Bardzo wyśmienicie.

Jednej wszelako nie uważasz rzeczy,
Że kunszt jest długi, krótkie wasze życie:
Myślę, czy to cię z szalu nie uleczy.
Słuchaj, znajdź sobie jakiego poetę,
Niech ci się sady na pomysły świetne,
Niech wszystko wielkie, mądre i szlachetne,
Wszystko, co tylko stanowi zaletę,
W jednej osobie zbierze i wystawi:
Rącość jelenia, lwa siłę i śmiałość,
Zapał Południa, Północy wytrwałość;
Niechaj ci jeszcze ten sekret wyjawia,
Jak wielkość duszy z podstępem zjednoczyć,
Jak można przy młodości, przy zapale
Kochać się w jednym rozumnie i stale:
Takiego mistrza sambym pragnął zoczyć
I mikrokosmem nazwałbym go chętnie.

FAUST.

Wieniec ludzkości jest tedy marzeniem:
Więc cóż ja jestem?

MEFISTOFELES,

Ty? jesteś nic więcej
Jak to, co jesteś. Wsadź sobie na głowę
Perukę z loków tysiąca tysięcy,
A pod podeszwy wsadź korki łokciowe:
To koniec końców będziesz niczem więcej
Nad to, czem jesteś.

FAUST.

Czuję, żem daremnie
Skarby myślenia tak chciwie pożerał.
Stanąłem,—patrzę, i cóżem nabierał?
Czyż nowa siła powstała z nich we mnie?
Czy na włos jeden podniosły mię wyżej?
Czy niedościgłe widzę teraz bliżej?

MEFISTOFELES.

Otóżto właśnie widzisz wacpan życie
Tak, jak się ono widzi pospolicie:

Więc zanim jego radości ulecą,
 Trzeba to wszystko brać roztropniej nieco.
 Cóż do stu katów! jeśli twoje ciało,
 Bez żadnej kwestyi twojém się nazywa,
 To ztąd ja myślę wcale nie wypływa,
 Żeby to także twojém być nie miało,
 Czego używasz dla swojej uciechy.
 Jeśli naprzykład pięć koni posiadasz,
 Ich siły nie są-ż twojemi siłami?
 Wszak niemi jeździsz, wszakże niemi władasz,
 Jak gdybyś sam był z dwudziestą nogami?
 Do czego tutaj rozmyślenia służą?
 W świat, żwawo! ileś nżył, tyle w zysku.
 Ja ci powiadam, że kto myśli dużo,
 Jest jak to bydłę, które po lichém pastwisku
 Zły duch wciąż wodzi, a o kroków parę
 Na wszystkie strony bujna trawa rośnie.

FAUST.

Więc cóż my?

MEFISTOFELES.

Najprzód tę ciemną pieczarę
 Rzucamy, bo jak głupio, jak nieznośnie
 W podobnej dziurze kopcić się i ślęczyć,
 To wiesz już dawno: a więc precz z tą jamą,
 Precz z professorstwem: dość już siebie męczyć
 I tych chłopaków. Czyż to nie to samo,
 Co groch na ścianę rzucać bezustanku?
 Co najmędrszego wiesz, tego im przecie
 Nie powiesz, nie dowiedziesz za nic w świecie.
 Ba, jeden dawno czeka już na ganku.

FAUST.

Przyjmować teraz takie odwiedziny?
 Nie, niepodobna! nie chcę i nie mogę.

MEFISTOFELES.

Oh! ale żal mi biédnego chłopczyny.
 Przyszedł po rady... No, zostaw mi togę
 I biret: ku pociesze i zabawie
 Będę za ciebie przyjmował wizyty (*przebiera się*).
 Ha! ha! wiesz co, że kostium wyśmienity,
 I mnie do twarzy. Ja się w moment sprawię;
 Już spuść się na mnie, a sam idź tymczasem
 I do wesołej gotuj się podróży (*Faust wychodzi*).

MEFISTOFELES (*sam*).

Tak jest! wyszydź rozum i nauki,
 Te dwie podstawy człowieczej potęgi,
 Wierz tylko w djabła kuglarstwa i sztuki,
 Pozwól się zwabić w czarodziejskie kręgi:
 A jesteś moim niezawodnie!
 Taki już dostał mu się duch w udziale,
 Że tylko naprzód dąży bez wytchnienia,
 I w skwapliwego zapędzie dążenia
 Ziemskich radości nie chce widzieć wcale.
 Zawlokę ja go w życia bezdroża, zawieje,
 Wepchnę pomiędzy mierność i głupotę;
 Niechaj tam grzęźnie, stygnie i drętwieje;
 Będę podsycał w nim wieczną tęsknotę:
 Pokażę pokarm, tuż, tuż przed ustami,
 Ale go nie dam! daremne błaganie.
 Ten człowiek choćby się wdał z djablami,
 Zawsze zgubiłyby go obłąkania.

UCZEŃ (*wchodzi*).

Przybyłem tutaj przed czasem niedawnym;
 Przychodzę pełen upragnienia,
 Żeby się poznać z mężem sławnym,
 Którego każdy ze czcią wymienia.

MEFISTOFELES.

Dziękuję ci za grzeczność, przyjacielu;
 Widzisz człowieka, jak i innych wielu.
 A czyś się u nas rozpatrzył już może?

UCZEŃ.

Otóż to właśnie prosić chciałem:
 Racz mi dopomóż, panie profesorze!
 Bom ożywiony szczerym zapalem,
 A przytém grosz jest i młoda siła;
 Matka mię ledwie od siebie puściła,
 Lecz ja nauki pragnąłem stale.

MEFISTOFELES.

Toś téż i trafił doskonale.

UCZEŃ.

A prawdę mówiąc, bierze mię ochota
 Uciec napowrót: taka tu ciasnota!
 Nie podobają mi się te mury
 I sal sklepionych widok ponury.
 Ani drzew nigdzie, ani trawy!
 Wciąż korytarze, audyty, ławy!

Strasznie to jakoś zawraca mi głowę,
Ćmi wzrok...

MEFISTOFELES.

To tylko wrażenie chwilowe:
Przyzwyczajenia trzeba. Toć i dziecię
Piersi matki chwyta nie od razu przecie,
A potem nic mu miłszego nad ssanie:
Tak pierś mądrości za czasem się stanie
Dla ciebie źródłem największych słodczy.

UCZEŃ.

Nikt tego bardziej odemnie nie życzy.
Cisnę się do jej łona jak najszczerzej.

MEFISTOFELES.

Pierwsza rzecz obrać fakultet należy.
Do czegoż czujesz się usposobionym
Głównie?

UCZEŃ.

Ach! chciałbym być bardzo uczonym,
Wiedzieć to wszystko, co jest na tej ziemi
I w niebie, poznać natury skład cały.

MEFISTOFELES.

Toś sobie wybrał przedmiot doskonały;
Lecz trzeba, żeby prócz niego, innemi
Głowa rzeczami nie była zajęta.

UCZEŃ.

O, jak najchętniej wszystkiego się zrzeknę;
Chociaż zapewne, w niedzielę i święta
Dobrzeby było rozerwać się nieco,
A zwłaszcza latem, gdy dni są tak piękne.

MEFISTOFELES.

Umięj dni użyć, bo zbyt prędko lecą,
A nadewszystko naucz się porządku:
Z jego pomocą czas ci się udwoi.
Sądzę więc tedy, że ci dla początku
Przejsć przez Collegium logicum przystoi.
Tamto twój umysł metody nabierze,
Aby na przyszłość w naukowej sferze
Potrafił bacznie naprzód się pomykać,
Kretych a błędnych manowców unikać;
Tam on się w formy przyzwoite wtłoczy,
Z których już potem nigdy nie wyboczy;
Tamto się dowiesz, że coś pospolicie

Robił odrazu, poprostu, bez reguł,
 Tak jak naprzykład jedzenie lub picie,
 Że każdy życia codziennego szczegół,
 Prawideł potrzebuje nieodbicie.
 Luboć to prawda, że ludzkie umysły
 Z tkackim warsztatem podobieństwo mają:
 Tam od jednego gdzieś ruchu zawisły
 Tysiące nitek; ustawnie latają
 Bystre czółenka w tę i owę stronę,
 Snują się cicho wątki niezliczone
 Oddzielnie niby, a nie dojrzyysz potem
 Jak się utworzą za szybkim obrotem
 Tysiączne sploty. Wtém filozof wchodzi,
 I najobszerniej, najpiękniej dowodzi,
 Że tak być musi; dopióroż tłumaczy,
 Że pierwsze tak jest, a drugie inaczej;
 Trzecie więc w taki sposób się odbywa,
 A czwarte w taki: ztąd tedy wypływa,
 Że skoro tylko pierwszego nie będzie,
 To i drugiego także, i tak dalej.
 Szkolarze nad tém unoszą się wszędzie,
 Dotychczas jednak płótna nie utkali;
 Bo kto chce poznać, opisać rzecz żywą,
 Nasamprzód ducha z niej wygania;
 Dochodzi potem do cząstek poznania,
 Ale duchowe znikło już ogniwo!
Enchejresin naturae chemia to nazywa,
 Sama nie wiedząc że siebie wydrwiwa.

UCZEŃ.

Tego ja dobrze zrozumieć nie mogę.

MEFISTOFELES.

Dojdiesz powoli; ułatwi ci drogę
 Klasyfikacya i redukowanie.

UCZEŃ.

Tego już wcale nie rozumiem, panie.
 Słuchając, coraz tom głupszy, prawdziwie:
 Coś mi tak w głowie jak młyn jaki stuka.

MEFISTOFELES.

Po tamtym główny przedmiot niewątpliwie
 Jest metafizyki nauka.
 Masz w niej głębokie zbadać tajemnice,
 Takie, co jeszcze nikt rozumem zdrowym
 Dojść ich nie zdołał; takie jedném słowem,
 Co się nie mieszczą w ludzką mózgownicę.

Uda się zresztą czy nie uda zbadać,
 Będziesz o wszystkim mógł wspaniale gadać.
 Lecz to na przyszłość: a zaś w tém półroczu
 Piérwszego celu nie trza tracić z oczu.
 Pamiętaj zatem porządku pilnować:
 Pięć godzin na dzień; skoro dzwon uderzy,
 Trzeba niechybnie w sali się znajdować.
 Ma się rozumieć, że wprzód należy
 Umieć napamięć wykładane tema,
 Ażebyś wiedział co się tam wyklada,
 I że w wykładzie więcej sensu nie ma
 Nad to, co twoja książka ci powiada.
 Ty pisz jednakże nie zważając na to,
 Jakby za ducha świętego dyktata.

UCZEŃ.

Wiem, że to rzecz jest nieoszacowana,
 I w tém się nie dam wyprzedzić nikomu:
 Spokojnie sobie można iść do domu,
 Gdy cała lekcya w seksternie spisana.

MEFISTOFELES.

Więc cóż fakultet?

UCZEŃ.

Sam nie wiem prawdziwie
 Co tu wybierać. Prawo... żadnej chęci
 Nie mam do prawa.

MEFISTOFELES.

To ci się nie dziwię:
 Dziś ta nauka nieszczególnie nęci;
 Znam ja ją dobrze: nudna płatanina!
 Nasze ustawy i prawa rozliczne,
 Właśnie jak owe choroby dziedziczne,
 Idące spadkiem od ojca na syna,
 Po pokoleniach trapią pokolenia,
 Z miejsca na miejsce cicho się skradają:
 Co było mądrém w głupstwo się zamienia,
 A dobrodziejstwa plagami się stają.
 Ty cierp, żeś wnukiem! O prawach wrodzonych,
 Razem z człowiekiem na ten świat wniesionych,
 Nie ma i wzmianki (1).

(1) Ten ustęp, pełen goryczy nadzwyczajnej, nie będzie razit przesada, jeżeli czytelnik przypomni sobie, iż Faust pisany był w wieku zeszłym, w epoce, kiedy się jeszcze nie zanosilo w Niemczech na te wielkie reformy, które później przekształciły wszystkie stosunki prawne i społeczne.

UCZEŃ.

O! jakże szczęśliwy,
Komu mistrz taki zechce przewodniczyć!
Więc teologią?

MEFISTOFELES.

Że-ć drogi fałszywój
Nie chcę wskazywać, na to możesz liczyć.
A teologia, trudno wypowiedzieć
Jak jest błędnymi ścieżkami zdeptana,
Jak w niój z balsamem trucizna zmieszana,
I jak go ciężko wpośród niój wysledzić.
Jednę ci tylko dam radę zbawienną,
Niech raz na zawsze utkwi w twojój głowie:
Słuchaj jedného, i co mistrz twój powie,
Przyjmij za prawdę świętą i niezmienną.
A druga jeszcze rada niemniej zdrowa:
Pamiętaj głównie trzymać się za słowa,
A do pewności dojdiesz niezawodnie:
Są to najlepsze mądrości pochodnie.

UCZEŃ.

A wszakże słowa są to wyrażenia
Pojęć jakowychś?

MEFISTOFELES.

Tak jest, bezwątpienia;
Lecz zbyt się o to troszczyć, rzecz znów niekonieczna.
Ta głównie w słowach własność pożyteczna,
Że niemi myśli dadzą się zastąpić;
Powtóre, ze słów, byle ich nie skąpić,
Łatwo jest piękne teorye budować;
Słowami dzielnie można dysputować;
W słowa się zresztą wierzy snadnie:
Od słowa ani jota nie odpadnie.

UCZEŃ.

Jeszcze jedno: przepraszam, że z mojej przyczyny
Bezużytecznie czas twój tracisz, panie:
Otobym pragnął względem medycyny
Słyszeć w krótkości światło twoje zdanie.
W trzyletnim kursie czyż człowiek jest w stanie
Przebiedz z korzyścią tak rozległe pole!
Z pewną jednak skazówką łatwiej sobie radzić.

MEFISTOFELES

(do siebie).

Rzucę już chyba tę uczoną rolę:
Dość: trzeba po djablemu dalej rzecz prowadzić.

(głośno).

Ot, medycyny powiem ci sens cały:
Przejdiesz, zgruntujesz świat wielki i mały,
I, dasz im pokój; a te oba światy
Zostaną sobie jak były przed laty.
Próżno się głowa nad nauką sili:
Więcej niż można od niej się nie dowie,
Ale korzystać kto potrafi z chwili,
To mi dopiero człowiek co się zowie.
Jesteś naprzykład młody i przystojny:
Śmiałości nie zbraknie ci w potrzebie,
Więc o cóż idzie? Ufaj tylko w siebie,
O ufność drugich możesz być spokojny.
Głównie z płcią piękną umiej się kierować:
KobiECE wszystkie stękania i bole
W jednaki sposób dadzą się kurować,
O którym pewno nie dowiesz się w szkole;
A byleś tylko był dyskretnym nieco,
Rachuj bezpiecznie na łaskę kobiecą.
Lecz trzeba tytuł jakowys posiadać,
Żeby powagę zrazu sobie nadać,
Żeby w nie z góry wpoić przekonanie,
Że jesteś człowiek biegły niesłuchanie.
Dopieroż tedy skoro ci się zdarzy
Mieć do czynienia z powabną pacjentką,
Bierz się do tego odważnie i prędko,
O czym drugiemu ledwo że się marzy.
Wszak bicie pulsu musisz poznać przecie:
Umiejże czule ścisnąć rączkę białą;
Umiej wpół ująć namiętnie i śmiało,
Żeby zobaczyć czy może w gorsecie
Nie ciasno piersiom....

UCZEŃ.

A, to co innego;
To już lepiej wygląda: wie.n jak i dlaczego.

MEFISTOFELES.

Teorya, przyjacielu, zawsze bywa szarą,
A złote drzewo życia zawsze jest zielone.

UCZEŃ.

Wszystko dziś senną widzi mi się marą!
Gdyby mi później kiedy było dozwolone
Odwiedzić pana?

MEFISTOFELES.

Nie odmawiam wcale.

UCZEŃ.

Ostatnia prośba zanim się oddalę:
Oto mój sztambuch: czy mogę dostąpić
Tego zaszczytu?

MEFISTOFELES.

I owszem.

(pisze w sztambuchu i zwraca go).

UCZEŃ *(czyta)*.

Eritis sicut Deus scientes bonum et malum.

(składa książkę z uszanowaniem i skłoniwszy się, wychodzi).

MEFISTOFELES *(sam)*.

Wierz starój bajce węża kusiciela,
Od której wasze wszczęło się błąkanie,
A podobieństwo to do Stworzyciela
Kością ci w gardle kiedykolwiek stanie.

FAUST

(wchodzi).

Dokądże jedziem najprzód?

MEFISTOFELES.

Mniejsza o to:

Dokąd sam zechcesz; możemy być wszędzie.
Zobaczysz, jaki kurs wyborny będzie;
Przejdiesz go i z pożytkiem i z ochotą.

FAUST.

Ale podobno obok długiej brody
Brak mi lekkiego obejścia, swobody.
Chybi ta proba; coś dobrze to czuję,
Że nie potrafię znajdować się w świecie;
Przy drugich zawsze czegoś mi brakuje,
Jakieś uczucie niższości mię gniecie.

MEFISTOFELES.

Co ci brak, to nie trudne do nabycia;
Tylko sobie zaufaj:— w tém jest mądrość życia.

FAUST.

No, nie ma o czém dysputować dłużej:
Gdzież masz powóz i konie dla naszej podróży?

MEFISTOFELES.

Obejdzie się bez tego; tylko płaszcz szeroki
Rozwinę i eteru przygotuję nieco,
A wnet się skryjem pomiędzy obłoki,
I ptaki prędzój od nas nie polecą.
Zatém winszuję ci nowój karyery.

(Dalszy ciąg nastąpi).



KONSTANTY ŚWIDZIŃSKI

I JEGO WIECZYSTA FUNDACYA.

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

(Ciąg dalszy).

IV. Myśli o Bibliotece.

nie mogli się wszyscy nadziwić zdumiewającej czynności tego ruchliwego umysłu. Nikomu zapewne, mówi Michał Grabowski, nie ubiegło życie tak prędko jak jemu: zawsze czémś był namiętnie zajęty. I nie dziw, same różnorodne przedmioty, które zgromadzał z takim trudem i kosztem, wymagały ciągłego porządkowania, a to mu już wielką część życia zabierało. Kiedy spał? tego niewiedzano. Rano, wieczorem, w nocy, nadedniem, ostawiony świecami coś zawsze spisywał, coś czytał, coś poprawiał. Jak w domu tak i w podróży: nieraz po najgorszej drodze w najgorszą porę dostał się po wybojach do zimnej karczmy jakiej na nocleg, a kiedy zmęczeni towarzysze podróży rozgrzać się chcieli i posilić, sami niewiedząc czy żyją, Świdziński znowu ostawiał się świecami i pracował. Szczególne zdrowie sprzyjało temu szczególnemu poświęceniu się. Z wielką też wstrzemię-

zliwością i czystością życie utrzymywał, ztąd zawsze był i wesół i czerstwy. Zresztą tę samą czynność umysłu przy sprawach literackich, przeniósł i na ogrodnictwo, w którym się kochał i na różne domowe zatrudnienia, którym się z lubością oddawał. Michał Grabowski opowiada, że im przedmiot jego zajęć był drobniejszym, z tém większém zakłopotaniem się i żarliwością chodził naokoło niego. Jedne tylko obowiązki majątkowe odbywał po literacku, nie dlatego żeby nie dbał o majątek, owszem z całą troskliwością zabiegał o powiększenie posagu dla swojego ulubionego dziecka, dla biblioteki; ale już głowy żadnej nie miał do finansowości, równie jak wielu, jak prawie wszyscy uczeni lub naukowi ludzie, oddani ciągle szperaniom i książkom. Ztąd nawet nie znał całej wartości swojego złotego jabłka, owego Sulgostowa, który stanowi własność jego biblioteki.

Otóż ta myśl o bibliotece ciągle go niepokoiła. Nie żenił się dla niej, pozbawił się dla niej najdroższych związków serca: trzebaż przecie było coś zrobić z tą biblioteką, bo życie upływało, a śmierć mogła przyjść niespodzianie jako i przyszła.

Ale całe nieszczęście Świdzińskiego w tém leżało, że to nie był człowiek żelaznej woli, owszem ulegał często i bardzo często postronnym wpływom, chociaż tego do siebie nie przyznawał. Powodować nim mogli ludzie jak umieli, jak chcieli. Dzisiaj tak, jutro Świdziński myślał inaczej. Umysł to przy wszystkich swoich zaletach był nadzwyczaj bierny; była to niepospolita intelligencya, ale nie głęboka i nie samodzielna. Dlatego wahał się i niepewny był co miał z tą swoją biblioteką robić. Z początku sam jęj sprawy bieżące załatwiał, wreszcie podolać im nie mógł i potrzebował pomocy. Chciał ją uporządkować, katalogi spisać. Nastreczył mu ktoś do téj roboty Edwarda Nowakowskiego, młodego człowieka, który tylko co skończywszy Uniwersytet Kijowski, pragnął jakiego pomieszczenia. Wziął go do siebie Świdziński bez żadnych warunków, na czas jakiś, a że potem się to jakoś zaciągnęło, Nowakowski pozostał na zawsze przy Świdzińskim i wziął w nadzór całą jego bibliotekę.

Uposażenie jego było szczupłe, bo téż Świdziński na takie wydatki był zawsze bardzo drażliwy: nie żałował żadnych ofiar dla samej biblioteki, ale sobie i innym żałował. Ale dobrali się bardzo do siebie i właściciel i bibliotekarz: nie związani żadną umową, do końca życia pozostali w najlepszych, w serdecznych stosunkach. Świdziński nawet tak się przyzwyczaił do Nowakowskiego, że pragnął być po śmierci swojej jego dobroczyńcą.

Ponieważ celem głównym biblioteki Świdzińskiego, miało być wydawanie materyałów historycznych, zacny fundator już z góry kreślił plany, gdyż sam pragnął rozpocząć wydawnictwo na wielką skalę, naśladowując w tém przykład Raczyńskiego i Działyńskiego: chciał sam poruszyć koło maszyny, żeby już potem szła swobodnie. Może wydawnictwa komisji Kijowskiej poruszyły w nim oddawna już zbudzoną żądzę. Bądź co bądź najdroższém marzeniem Świdzińskiego zawsze było, postanowić zakład swój naukowy na wzór Ossolińskiego. Nietylko ułatwić uczonym poszukiwania, ale upowszechnić, głosić i rozrzucić w świat pozbierane rzadkości, o tém głównie myślał. Wszystkie nasze większe i mniejsze publiczne biblioteki, książki tylko uczonym dawały, w książki wzrastały; Świdziński zaś chciał swoją zrobić nieustanną redakcją, kuźnią nauki. Znalazła się pomiędzy papierami jego notatka, która pokazuje, że sam już postanowił zabrać się do wydawnictwa.

Przyszłą pracę rozdzielał na części. Chciał osobno wydawać pamiętniki, osobno zaś dyaryusze sejmowe, kroniki, żywoty, akta dyplomatyczne i tak nazwane przez się *acta publica*. Naturalnie dzieląc tak pracę na sześć ustępów, niewieleby wydał: ale mu chodziło tylko o początek. Co do pamiętników już wynotował nawet te, które naprzód miały dzieńne ujrzeć światło: byłyto pamiętniki zdaje się Janczara (wyraz nieczytelny, którego lepiej odcyfrować nie umieliśmy); dalej Orzelskiego, Jerlicza, Moszczeńskiego. Tak więc Świdziński pierwszy gotował się poznać naukę z temi ciekawemi zabytkami, do których ogłoszenia, aż kilku nakładców i autorów potrzeba było. Orzelskiego wydaje dziś Wolff, Jerlicza wydał także Wolff, dla

którego text przygotował Wójcicki, ale Świdziński miał w zbiorach swoich oryginał kroniczki, gdy Wójcicki swoją ogłosił ze złej kopii. Moszczeńskiego chorążego z bractwskiego pamiętniki niezmiernie ciekawe, czytaliśmy już poprzednio w Przyjacielu Ludu i ustępy w Dzienniku literackim Szajnochy. Jeden wydawca nie wiedział o drugim, a żaden o nazwisku autora: zwali go poprostu tylko wielkopolaninem, a myśmy sami doszli tego nazwiska, po treści pisma, kombinując rozmaite jego podania. W Przyjacielu Ludu daleko więcej było dochowanego textu jak w Dzienniku, ale mamy podejrzenie, że i ten text nie jest cały. Moszczeński należał do najcelniejszych rycerzy Targowicy, a w textcie dotąd ogłoszonym niema o tych czasach ani słówka. Pamiętnik jego z tego względu nadzwyczaj interesuje, że autor mając ciągle stosunki z panami rossyjskimi i generałami, którzy za Stanisława Augusta wielką rolę grali u nas, z nowój zupełnie strony, daje spojrzeć na ówczesne stosunki, pełen jest do tego charakterystycznych anegdot i faktów. Jakkolwiek bądź, trudno przeczyć że Świdziński wybierać umiał. Gdyby rozpoczął wydawnictwo, wielkieby obudził nadzieje. Miełbyśmy Raczyńskiego w poprawnym wydaniu, bo nasz biblioman świętą przejęty czią dla zabytków przeszłości, któreby ogłaszał, ogłaszałby je bez żadnej zmiany i poprawek, słowem bez każenia textu, na czém co krok można było złapać Raczyńskiego.

To były z resztą więcej rzeczy potoczne, więcej do czytania. Druga notatka wskazuje, że Świdziński myślał o kolosalnych pod względem naukowym wydaniach, o wydaniach z których jedno nieraz, zasługę stanowi.

Chciał drukować dyplomatarjusz, czyli jak go sam nazywa, zbiór dyplomatyczny krakowski; ku temu celowi myślał wyprosić u kapituły krakowskiój przywileje, jakie miała od XII wieku, tudzież chciał zrobić poszukiwania po klasztorach, magistracie, bibliotece uniwersyteckiej i po kościołach Rzplitej krakowskiój; zbiór ten miał się zamknąć z końcem XV wieku, a miał o ile możności, być kompletnym. W bibliotece swojej posiadał

Świdziński dosyć przywilejów, któreby do tego wydania posłużyć mogły, i ta może nawet obfitość posiadanych dyplomatycznych źródeł, ile że Raczyński także i tutaj dał przykład, na zamysł Świdzińskiego wpłynęła.

To znowu chciał dopełniać pracy Działyńskiego, i drukować wszelkie zabytki prawodawstwa litewskiego; zbiór ten był już nawet zupełnie przygotowany do wydania. Było tam zapewne najwięcej pracy Daniłowicza, bo po nim i po Waxmanie, całe zbiory nabył Świdziński rzeczy polskich, ruskich i słowiańskich. Gotów był nawet dla kompletu, powtórzyć wydanie Działyńskiego, to jest dopełnienie praw i nadań od roku 1387 do 1529, a potem dalszy ciąg ogłaszać, to jest prawa, szczegółowe urządzenia, zaczawszy od roku 1530 aż do 1566 i miał wydać drugą redakcyą Statutu litewskiego w trzech językach, redakcyę którą dopiero w dniach naszych sporządziło towarzystwo moskiewskie historyi i starożytności rossyjskich (we Wremniku, piśmie czasowém które wydaje, za rok 1856). Wreszcie zbiór ten miał uwieńczyć zabytkami prawodawstwa duchownego, któreby zawierało w sobie nadania królów dla stanu duchownego i statuta synodów polskich, myśl, nad urzeczywistnieniem której, wspólnie pracują aż trzej uczeni Helcel, Hube i ksiądz Mętlewicz.

Wszystkie te przecież piękne projekta skończyły się na niczem, ale myśl dręcząca Świdzińskiego, została i powracała uparta: co zrobić i jak urządzić bibliotekę? Chciał sam ją rozwinąć w zakład naukowy. Zakład ten poświęcał dla królestwa. Ztąd raz wraz wybierał się w podróż do Sulgostowa, żeby coś pewnego postanowić i nigdy na to zdecydować się nie mógł. Co roku regularnie brał paszport od wojennego generała gubernatora kijowskiego do królestwa, i co roku tak mu zeszło, że nie pojechał i nic nie zrobił; śmieli się wszyscy z téj jego chęci, z tego ciągłego wybierania się; uważali go nawet i nie bez pewnych powodów za manijaka: tym czasem co roku Świdziński brał paszport, nareszcie tak znudził w biurze gubernatora, że generał powiedział raz w przystępie złego humoru: „dać mu

paszport, ale z warunkiem, żeby koniecznie tą razą jechał: jeżeli teraz nie pojedzie nie dostanie już paszportu.” Ale mimo to groźby nie skutkowały. Już nawet zdawało się, że Świdziński szczerze coś myśli, bo wyprawił do Sulgostowa Nowakowskiego z pakami książek. Powoli, powoli, skarby swoje do królestwa przewozić zaczął. Już tutaj połowa jego duszy była: Sulgostów zapełniał się, Nowakowski nie rozpakowując książek, spisywał katalog ich dokładniejszy jak dotąd i przedmiotowy, a na Świdzińskiego czekał i nie doczekał się. Nieszczęście mieć chciało, że nasz uczony biblioman był taki ciężki z natury. Zaszкодził przez to wiele i sobie i bibliotece. Jużć lepiej żeby on sam urządził sprawy swojego zakładu, jak zamiast niego inni mniej gorliwi, mniej do tych skarbów przywiązani, mniej się na nich wreszcie znający.

Świdziński, jak mówiliśmy, chciał stworzyć życie naokoło swojej biblioteki, dlatego chciał ją już zdawna przyłączyć do jakiej ordynacji, żeby nie puścić na pastwę losów. Ordynacja rokuje jakąś trwałość instytucjom. Myślał dawno o Zamojskich, potem czas jakiś o Wielopolskich. Za czasów życia sejmowego, zbliżył się do Aleksandra margrabi Wielopolskiego, z którym dosyć sympatyzował; ale myśl o Zamojskich silniej się jakoś zagnieżdziła w jego umyśle. Obawiał się jednak losu bibliotek ordynackich. Zamojska nie stworzyła jednego uczonego, nie dorzuciła ani jednego faktu, do umysłowego życia narodu. Toż nieświeżka, która żyjąc przez wieki, jak malowniczko powiada Eustachy Iwanowski, wśród drzemki zamarła i jest dziś jako myt bajeczny we wspomnieniach polskich. Taka kolej, taki los biblioteki, przestraszał Świdzińskiego. Otóż jeżeli przyłączyć chciał swoje zbiory do jakiej ordynacji, to nie dlatego, żeby je strącić do kategorii wszelkich zbiorów i bibliotek ordynackich, gdyż biblioteka jego była biblioteką narodową i stanowiła muzeum imienia Świdzińskich: zacny człowiek, w zasłudze swojej sprawiedliwie szukał blasku dla swojego rodzinnego nazwiska, nie myślał tedy robić nowej biblioteki ordynackiej, nie przyłączał jej do tego lub cwego miejsca, ale chciał ją

mieć publiczną warszawską, pod dozorem, opieką i zarządem dziedzicznym ordynatów. Zapisywać chciał ludziom, którzyby się tak chlubnego spadkobierstwa po nim podjęli, sam tylko tytuł własności, bez żadnych zresztą dochodów; kłopoty i ciężar im chciał legować i zaszczyt nielada, nic więcej, a pewny był że przez gorliwość obywatelską, chętnie się tego ciężaru podejmą Zamojski czy Wielopolski. Fundusz cały święcie był biblioteczny, ordynatom zostawiał tylko dziedziczne kuratorstwo dóbr i zarządzanie częścią materyalną zakładu, stronę ściśle naukową i kuratoryą miał osobno urządzić. Ordynatom więc nie wolno było podług woli Świdzińskiego, biblioteki wcielać do dóbr, niewolno było zmieniać natury funduszu bibliotecznego, ale podarować im chciał Świdziński zaszczyt posiadania zakładu naukowego, który miał zastąpić bibliotekę uniwersytecką, uporządkowaną przez Lindego i Lelewela „dla dania naukowym pracom tak licznym w Warszawie i nieustannym”, nowych żywiołów.

Troszczył się wiele Świdziński i o zatwierdzenie rządowe. Chciałby urządzić publiczną czytelnię przy bibliotece, ale dla wielu trudności téj myśli się zrzekał; myślał téż wiele o formie w jakiej ustąpić ma swoich własności spadkobiercom, prostą li to darowizną stać się miało, czy jakim aktem urzędowym publicznym? Ta myśl go tak srodze zajmowała, że spać nie mógł. Nareszcie żeby ułatwić rzecz, gotów był na ostatnie poświęcenie się, za życia chciał zeznać akt darowizny czy sprzedaży. Wyrzekał się takim sposobem wszystkiego, sobie tylko zapewniał dochód pewien z majątku i wolne mieszkanie przy zbiorach aż do śmierci. Jak żył przy nich, tak chciał i umierać przy nich.

Okoliczności dziwnie jakoś ku temu posłużyły, że rozwiązanie to, którego się tak obawiał, nastąpiło niespodzianie i prędzej, zanim się tego wszyscy spodziewali, i dlatego na rozporządzeniach ostatnich Świdzińskiego znać pośpiech. O trudach całego życia, które ma kiedyś wydać swój owoc, dojrzałej i spokojniej się myśli. Ale téż niebezpieczeństwo było wielkie.

Państwu Rulikowskim, u których mieszkał w Paszkówce, umarło jednocześnie dwoje dzieci: Świdziński tak uczuł boleść

rodziców, że dostał gwałtownego krwotoku. Wyjechał zaraz do Kijowa na jesień, było to 25 sierpnia n. s. Ubytek krwi spowodził tak nazwaną chorobę Brajta, czyli przeistoczenie się krwi w części osadkowe, choroba to nie do uleczenia. Wyniszczał Świdziński i schudł, twarz jego była pargaminowej białości; przejeżdżał się jednak po mieście. Nadjechał wtedy do Kijowa starszy syn margrabiego Wielopolskiego; przypominały się Świdzińskiemu dawne stosunki i rozrzewnił się. 3 listopada dawał wieczór dla młodego Wielopolskiego i kilku znajomych. To go więcej zmęczyło, nazajutrz więc miał atak paraliżu, a potem zaczęło się jego okropne, więcej miesiąca przedłużające się konanie. Nie będziem opisywać tych chwil jego ostatnich, bo to lepiej zrobił naoczny świadek Michał Grabowski. Świdziński, jak całe życie był wahający się, niepewny, tak i teraz w rychłą śmierć swoje nie wierzył i dopiero w ostatecznej chwili, kiedy go ksiądz Godlewski, wikary kijowski, mąż apostolskiej cnoty namówił, wziął się do spisywania testamentu i urządzenia chociaż w główniejszych rysach losu biblioteki. Wielka szkoda, że to tak się stało, bo Świdziński powinien był sam napisać ustawę, powinien był wszystko tak przewidzieć w niej, żeby złej woli albo obojętności nie podawać karmu. Świdziński powinien był zostać pierwszym kuratorem swojej biblioteki.

W owymto czasie stanowczo się oświadczył za ordynacją pinczowską. Młody Wielopolski wpłynął na to, podał albowiem umierającemu pomiędzy innymi projekt, który czytaliśmy, a w którym oprócz wszelkich zapewnień co do ustalenia przyszłości i losu biblioteki, obiecywał ze strony ojca poświęcenie się jego zupełne dla zakładu, który miał stanąć w Warszawie a nawet obiecywał, że margrabia sam ma wolę i chęć dołożyć ze swego majątku co tylko będzie potrzeba, czyto dla kupna domu w Warszawie, czyto dla lepszego umieszczenia biblioteki. List ojca p. Wielopolskiego osobno do Świdzińskiego pisany, w których był wyrazach zapewnień, przyjaźni i obietnic. I rozjaśniły się lica zacnego umierającego starca, kiedy tyle znalazł

współczucia dla swojej myśli, tyle uznania dla trudów całego pocziwego żywota.

Margrabia bawił wtedy we Włoszech; przeprowadzono z nim stosowną oto wszystko korespondencyę. Zmieniono podług jego życzenia pojedyncze wyrazy, i wysłowienie w testamencie; ale mimo to Świdziński chciał jednak rękojmi. W przyjacielu swoim od lat dziecinnych, starym margrabi, pokładał „zaufanie bez granic, że jego nadziei nie zawiedzie, że trudów całego jego pocziwego żywota nie puści na marność”; ale mimo to lękał się o los swojej biblioteki po śmierci margrabiego, zresztą chciał ją otoczyć strażą ludzi naukowych, których samo bezinteresowne zajęcie się historią, jako potrzebą duszy, dawało mu dostateczną rękojmią, że czuwać będą nad całością jego skarbów. Chciał Świdziński że tak powiemy opiekę zewnętrzną nad swoim zakładem rozwinąć, t. j. dopełnić jej, opieką wewnętrzną naukową. Otóż do kuratoryi ekonomicznej dodawał kuratoryą uczoną, zupełnie tak samo jak Ossoliński. Bez takiej instytucyi zakład jego byłby nawet niepełny. Ordynat nie zawsze może, nie zawsze chce, niezawsze potrafi prowadzić stronę naukową zakładu, a najpiękniejsze nieraz cele założyciela, poszły w niwecz przez ten brak wyrozumiałej, stałej i przywiązanej do miejsca opieki. Nic więcéj, jak to rozporządzenie, nie świadczy o miłości Świdzińskiego dla zakładu. Podług niego dwaj pracownicy Alexander Przędziecki i Julian Bartoszewicz postawieni są za życia dzisiejszego margrabiego, doradcami i pomocnikami zakładu. Na wypadek ich śmierci, sam margrabia wyznacza im następców; ale gdyby margrabia umarł, stróżownicy ci dwaj, każdy za siebie, mianują kuratora, i tak dalej w najpóźniejsze czasy. Margrabia dzisiejszy ma rozwiązane ręce; ale po jego śmierci stróżownicy czyli kuratorowie, mają moc powoływać następców margrabiego, do odpowiedzialności przed prawo i opinię publiczną, jeśliby ku zaniedbaniu, skrzywieniu celów zakładu, lub uchowaj Boże, ku rozproszeniu jego, dążyli. Mianował téż Świdziński członka naukowego muzeum w osobie Edwarda Rulikowskiego, z pensją

roczną rubli srebrem 500, który ma z urzędu, póki żyje, zajmować się wydawaniem materyałów historycznych kosztem zakładu. Po jego śmierci, wybór członka naukowego do margrabięgo i obudwu kuratorów należy. Bibliotekarzem dożywotnim mianowany Nowakowski.

Zakład swój przezwał założyciel „Muzeum Polskie imienia Świdzińskich”. Chciał żeby pod takim urzędowém imieniem do potomności biblioteka przeszła. Osobnym kodycyłem polecił muzeum swoje czterdziestu dwóm uczonym, z któremi w dalszych lub bliższych zostawał stosunkach naukowych; księdzę zaś Godlewskiego, Michała Grabowskiego i Edwarda Rulikowskiego prosił, żeby posłali do wiadomości publicznej, jego rozporządzenie i ogłosili je w gazetach krakowskich, poznańskich i warszawskich. W istocie wszystkie gazety warszawskie wydrukowały w styczniu i lutym r. 1856 cały testament, kodycyllę i rozporządzenia Świdzińskiego. Za najpierwszą robotę i wydanie Muzeum polecił katalog, który jak najdokładniejszy miał zrobić Nowakowski, taki, żeby wszystkim potrzebom naukowym mógł wystarczyć. Po exemplarzu tego katalogu kazał przesłać każdemu z owych czterdziestu dwóch. Margrabiemu zlecił, żeby zaraz z kuratorami ułożył na wzór Ossolińskiego ustawę o Muzeum i także kazał ją drukiem ogłosić: jedném słowem zrobił wszystko, co mógł zrobić, dla ulubionego dzieła człowiek, który już żegna się z życiem.

V. Śmierć i spólczenie powszechne; nabożeństwa.

Umarł Świdziński w Kijowie dnia 11 grudnia 1855 r. w pół do siódmój wieczorem, w domu doktora Hirsza na ulicy Św. Zofii, w którym zwykle mieszkał. Żył lat 62 miesiąc jeden i dni 24. Do śmierci go prowadził ksiądz Godlewski.

Dni ostatnie jego poruszyły cały Kijów, z powodu wielkiej wagi rozporządzeń testamentowych. Nadjechał z królestwa Nowakowski, któremu znać dano, że jego debroczyńca w nie-

bezpieczeństwie. Była to wielka radość dla Świdzińskiego: bibliotekarz mógł być jeszcze świadkiem rozporządzeń umierającego, który robił wszystko z zupełną przytomnością umysłu. Jeszcze nie umarł, a już ustawne wieści, które podawały główne szczegóły testamentu i urzędnienia biblioteki, zaczęły krążyć po Warszawie. Nie wiedzano czy Świdziński żyje, i dlatego z wielką niecierpliwością oczekiwano wiadomości z Kijowa. Wieści były rozmaite; myliły się w tém i owém, ale nie myliły się w osobach. Nadbiegły potem inne potwierdzające, ale zawsze pewności nie było. Wiadomość jednak sama o rozporządzeniach testamentowych, niezmierne w naszym mieście wywołała wrażenie; każdy się zainteresował tą wiadomością. Byli ludzie co nigdy o Świdzińskim nie słyszeli, a teraz nazwisko jego powtarzali z uwielbieniem. Wreszcie nadeszła wiadomość pewna o nastą pionej śmierci. Pierwszy Kazimierz Władysław Wójcicki wystosował silną odezwę, wzywając wszystkich autorów, księgarzy i nakładców, żeby na ręce dwóch mianowanych kuratorów zakładu nadsyłali książki, ryciny i t. d. dla Muzeum, czując to, że powinnością ogółu jest zakład ten naukowy rozwijać i z bogacać; coby ujęło się darowizną książek, kosztów przyszłej bibliotece, która naturalnie kupowaćby je musiała, żeby w tyle nie pozostać, to zdawało się oszczędzone z kapitału narodowego i pracy. Eustachy Iwanowski napisał zatem rodzaj życiorysu zmarłego i drukował go w Gazecie Warszawskiej z dnia 24 stycznia 1856. W tydzień potem Dziennik Warszawski otrzymał od swego korespondenta z Żytomierza p. Jędrzeja Kwiatkowskiego kopią wszystkich rozporządzeń i zaraz je drukował; z Dziennika powtórzyli je wszyscy, z Dziennika wiadomość dostała się i za granicę.

Tymczasem w Kijowie pogrzebem zajął się natychmiast jeden z wyznaczonych w cesarstwie wykonawców testamentu, pan Erazm Michałowski. Umarł Św. we wtorek, pogrzeb zaś do kościoła parafialnego w Kijowie dopiero w piątek nastąpił, to jest czwartego dnia, bo musiano tramnę zrobić dla zmarłego miedzianą, ile że życzył sobie, by zwłoki jego przewieziono po

śmierci do królestwa i w grobach przodków złożono w Kłowie, miasteczku należącym do klucza Sulgostowskiego. Ekspertyza ciała w Kijowie nastąpiła więc w piątek wieczorem: prowadził zwłoki proboszcz miejscowy ks. prałat Bryng. Kijów dawno już takiego pogrzebu nie widział. Ulicę prowadzącą do kościoła z mieszkania, jakie ś. p. Świdziński zajmował, oświetlono całą lampami: zjazd obywatelski był niezmiernie liczny; młodzież akademicka w całym gronie swoim, przeprowadzeniu zwłok towarzyszyła. Kazanie w kościele powiedział ks. Godlewski: była to świetna improwizacja, porywająca, natchniona, bo też kapłan uczuł boleśnie stratę, jaką kraj poniósł w śmierci prawego męża. Nazajutrz w sobotę, po żałobnym, najwspanialszym, na jakie zdobyć się było można nabożeństwie, celebrowanym także przez ks. Brynga, nastąpiło przeniesienie zwłok do kaplicy na cmentarz. Ośm wiorst było do tego miejsca, jednak żywa dusza z tych, co umieli tej straty płakać, nie wyłączyła się od ostatniej posługi mężowi, który po sobie dobre dzieło na ziemi zostawiał, i jako najpiękniejszy spadek pokoleniom późnym myśl swoją i serce przekazywał. Przed wyprowadzeniem ciała, przemówił raz jeszcze w kościele ks. Dobszewicz, professor uniwersytetu Kijowskiego. Młodzież akademicka sama na barkach swoich poniosła ciało na cmentarz, jedni po drugich zmieniali się i w kościele i w processyi (15 grudnia).

Zwłokom towarzyszył natłok ludności całego Kijewa: znajdowali się na pogrzebie pomocnik kuratora okręgu Jozefowicz i kurator gimnazjum kijowskiego Erazm Michałowski, profesorowie uniwersytetu i nauczyciele gimnazyów.

Po załatwieniu potrzebnych formalności, Nowakowskiemu wydano ciało, żeby je przewiózł do królestwa. Zabrał i resztę książek i ruszył. Podróż naturalnie długa była i nużąca, ale wreszcie dnia 5 marca stanął na miejscu. Zwłoki złożono tymczasem w pałacu Sulgostowskim, gdzie aż do czasu uroczystego pogrzebu spoczywać miały. Urzędowo ołtarz przenośny i na nim odbywały się msze za zmarłego. Ale nie doczekały się te szanowne zwłoki pogrzebu: kazano zarządowi dóbr Sulgostow-

skich nagle wywieźć je do Klwowa. Wywieziono je bez księdza nawet, co lud wielce gorszyło; ale w drodze Bóg deszczem, jakby rosą niebieską zwłoki Świdzińskiego pokropił (10 kwietnia).

Tymczasem i pan Wielopolski powrócił z zagranicy w kwietniu. Exekutorowie w Cesarstwie nadesłali kapitały i testament, który zatwierdzony u nas, Kommissya Rządowa Sprawiedliwości do wykonania komu należy zleciła. Margrabia w trybunale radomskim zeznał, że przyjmuje zapis Świdzińskiego z dobrodziejstwem inwentarza (w kwiet.): wreszcie zjechał i do Warszawy. Jak należy odpis testamentu i własne zeznanie w trybunale, także w odpisie obudwu kuratorom zakładu nadesłał (w maju), poczem zaprosił ich na pogrzeb uroczysty do Klwowa: dzień miał później oznaczyć. Tymczasem za przyjazdem do Sulgostowa, znalazł proces, co zapewne przyczyną było zwłoki pogrzebu. Proces trwa jeszcze po dziś dzień, albowiem dwaj młodsi bracia Świdzińskiego, pokazali jakieś do majątku ojczystego pretensye. Proces ten może tylko opóźnia dzieło urządzenia biblioteki, ale rzeczy samój nie wstrzyma i wstrzymać nie może. I tak ciało zacnego założyciela Muzeum, dobroczyńcy oświaty narodowej, dotąd spoczywa w kościele Klwowskim bez pogrzebu. Ludzi wielkich i zasłużonych ocenia zwykle dopiero potomstwo; tutaj potomstwo jeden okrzyk hołdu i uwielbienia wydało i gotowe uposażować Świdzińskiego, a tymczasem nikt mu nie oddaje prostego chrześcijańskiego obowiązku. Świdziński umarł widocznie sierotą, biędnym i opuszczonym od świata całego, zapomnianym sierotą; najbliżsi nie pamiętają o nim, spadkobiercy nie pamiętają o nim, pamięta tylko o czci dla niego naród, któremu zakład swój naukowy na własność zapisał; pamięta tylko o nim skład cały Muzeum jak go ułożył i dlatego przypomina i kołacze o chrześcijański obowiązek.

Była przecież szlachetna dusza, której tego przypomnieć niepotrzeba było: Jan Kopczyński obywatel miasta Klwowa, ubolewał nad losem swojego niedys pana i dziedzica; zebrawszy prawie resztki swojej fortunki, która mu została po rozdziale chudoby pomiędzy dzieci, sprawił żałobne za duszę jego nabo-

żeństwo, o własnym koszcie w Nowem Mieście, u księży kapucynów (9 września). Katafalk był urządzony z wielkim przepychem, mnóstwo drzew, ogromnych cyprysów i t. d. rzucało cienie na kościół. Światła było co niemiara; wszyscy kapucyni wyszli ze świecami w rękach; jeden z krzyżem i całym chórem intonując, zakończyli wspaniałe rzeczywiście nabożeństwo, w czasie którego mowę żalobną powiedział ojciec Herkulan kapucyn, były akademik uniwersytetu krakowskiego z tekstu. „o wy wszyscy, którzy przechodzicie przez drogę, uważajcie a patrzcie, czy jest boleść jako boleść moja (z trenów Jeremiasza rozdz. 1).” Przykład dany nie pozostał bez naśladowania; mauluczcy ciałem pokazali się wielkimi na duchu, ku zawstydzeniu możnych: w Kłwowie albowiem w dwa tygodnie później (22 września) odbyło się drugie żalobne nabożeństwo za duszę ś. p. Świdzińskiego; sprawił je tą razą Jędrzej Boński były stangret zmarłego, który od lat 25 zostawał na służbie w dobrach sulgostowskich. Mowę miał tutaj ks. Nobis proboszcz kłwowski z tekstu Tomasza a Kempis: „któż o tobie wspomni po śmierci, któż za ciebie modlić się będzie?” Tekst bardzo stosowny tą razą. Mój Boże! a jednak ci wszyscy zacni ludzie szli jedynie za popędem serca, szli za pamiątką dobrodziejstw otrzymanych, i ani są w stanie domyśleć się jak wielkie dobrodziejstwo wyświadczył dla kraju całego, zacny ś. p. dziedzic Sulgostowa!

VII. Powierzchnowy opis muzeum Świdzińskich.

Na dobrą sprawę trzeba by teraz rozpisać się obszernie o tém, co się kryje w Muzeum. Własność to narodowa, więc nic dziwnego, że naród chciałby wiedzieć, co się w niej kryje, a nie dosyć mu na zapewnieniach uczonych mężów, że Świdziński zgromadził prawdziwe skarby. Na nieszczęście, dopóki dokładnego katalogu naukowego, jaki naprzód ukazać się ma w druku, z wydań biblioteki nie będzie, póty dokładnego wyobrażenia o tych skarbach nikt nie da; wyliczać bez wyjątku

wszystko, byłoby to za wiele, a wyliczać znowu to i owo prawie niepodobieństwo, bo człowiek zwłaszcza naukowy, znający się na rzeczy, byłby w położeniu owego potulnego zwierzątka z bajki Fredra, które mając podostatkiem paszy, samo nie wiedziało do czego się wziąć i umarło z głodu. Przecież na trud ten zdobyć się musim, i pokazując chociaż w części te skarby, kawałkować całość. Ale z góry uprzedzamy, że możemy pominąć rzeczy ważniejsze dla drobiazgów: taka tu strawy obfitość! Najbystrzejsze oko od razu zorientować się tutaj nie może.

Co do samej biblioteki naprzód. Ma Świdziński dużo inkunabułów: najdawniejsza księga jest *Johannis de Turrecremata Explanatio in psalterium, ad sanctissimum Pium II*, druk krakowski w arkuszu, Cracis, rok niepewny, ale mniej więcej 1460 — 9. Ma kalendarz wenecki z roku 1483; ma dzieła Marcina Polaka, jedno z roku 1484: *Sermones de tempore et sanctis*; drugie z roku 1486: *Margar. decreti* oba dwa wydane w Argentynie. Potem idą dzieła Mikołaja z Błonia i statuta kościelne prowincyi gnieźnieńskiej, oraz poznańskie, wrocławskie, krakowskie i konstytucye Kazimierza Jagiellończyka: wszystko drukowane. Ma mszały, różne psalterze, biblie różnych wyznań i sekt, drukowane w Polsce i po polsku. Jest dzieło Falimierza o ziołach z roku 1534: to będzie może najpierwsza książka polska w zbiorze Świdzińskiego. Zaczawszy od *żywołów filozofów*, z roku 1535, posiada muzeum nasze prawie wszystkie dzieła i wydania Bielskiego, potem Reja, potem rzadkość nadzwyczajną, to jest Panoszę Paprockiego z roku 1575, jako też inne dzieła tego pisarza; luźnych wierszyków, i poezyi Krzyckiego i mów biskupa Samuela jest dosyć. Są różne wydania klasyków łacińskich Nideckiego, dużo pism Reszki i luźnych biskupa Wereszczyńskiego kazań. Jest dzieło mniej znane Kopernika, wydane w roku 1542 *de latcribus triangularibus*. Od czasu jak się u nas rozwija literatura polemiczna, religijna i polityczna, mnoży się broszur i dziełek w naszej bibliotece; jest ich dużo z wieku XVI, więcej jeszcze z XVII i niesłychana moc

różnych a luźnych konstytucyi sejmowych, wotów, głosów, gazet, i projektów. Wrogi szkalują się i żrą jak wilki zacięte. Do dziejów kościoła ruskiego w Polsce nieocenione tutaj materyały; przebierać tak wiek XVII prawie niepodobienstwo, tyleby tutaj rzeczy wynotować przyszło. Maciejowski nie znał téj biblioteki Świdzińskiego i dlatego jesteśmy pewni, że do bogatęj w fakta jego książki o Piśmiennictwie, znalazłoby się i w naszej bibliotece dużo nowych rzeczy i wiele różnorodnej treści. Rzecz niestracona dla dziejów i literatury od roku 1650, którą autor ma wygotować. Ale sądзим, że do Piśmiennictwa choć już wydanego, potrzebaby porobić z naszej biblioteki dopełnienia.

Musim zanotować tutaj jeszcze rzadkie dziełko: o poselstwie ruskiem do papieża z roku 1476, które wydrukowano w roku 1605, i dzieło o synodzie wileńskim z roku 1509 także późnięj wydane: poselstwo to sprawiał i na synodzie potęm prezydował Józef Soltan z biskupa smoleńskiego metropolita kijowski: o synodzie samym pisał Kraszewski w swoim Wilnie, ale stronnie. Pism Smotryckiego i jego przeciwników dużo. W ogóle wiek XVII był epoką wielkiego życia duchownego na Rusi polskięj. Samo to wydanie i poselstwa i synodu w owym czasie dowodzi, że Ruś nietylko wyrabiała się, walczyła, ale rzucała okiem na swoje przeszłość, że zbierała skrzętnie materyały dla swojej historyi. W bibliotece Świdzińskiego na tę stronę przeszłości polskięj miano wzgląd przeważny. Staro-słowiański księgozbiór dosyć u nas bogaty. Ma i tutaj Świdziński rzadkość, t. j. inkunabuł z roku 1495, pod tytułem: „psalter sledowannaja” dzieło wydane w Cetynie w ćwiartce, zdaje się dar od Szafarzyka. Ma *Apostoła* Skoryny z roku 1525, ma ewangelie wydane w Zabłudowie z roku 1569 przez Piotra Timofiejewa, tegoż ewangelie wileńskie z roku 1575. ma psalmy Dawida wydane w Ostrogu z roku 1580, i samą *Biblią* ostrogską z roku 1581; ma wiele kazań luźnych słowiańskich, ma różne zawiety, skrzyżale, trebniki i dyoptry; ma listy pasterskie biskupów i dosyć rusko-polskich poezyj Łazarza Baranowicza. Są téż różne dzieła Galatowskiego, Gizela, Radziłowskiego, *słownik* Beryndy

z roku 1653 i t. d. Literaturo całkiem teologiczna; w XVII wieku jest ona materiałem historycznym; ale w XVIII już dziwi w Polsce. Naturalnie że druki są w Czerniechowie i w Kijowie; ale na przednieprzu, to już wygląda jakby zbytek innego wcale świata. Jednak drukują słowiańskie księgi jeszcze Lwów, Uniów i Poczajów; wreszcie pogasły wszystkie ogniska, ale Poczajów został na wyłomie, drukuje wciąż jeszcze cały wiek XVIII, nawet długo ciągnie tę pracę i w naszym wieku. Najwięcej z pod końca XVIII wieku spotykamy wydań biskupów z rodziny Szeptyckich, którzy przez kilka pokoleń siadali po ruskich stolicach. Wreszcie listy pasterskie Szeptyckich już pisane są po polsku, pieśni religijne wychodzą już w podwójnym tekście, książki od nabożeństwa wychodzą też po polsku i po rusku, ale i powierzchowność ich się zmienia: litery łacińskie zastąpiły tutaj dawne słowiańskie. W roku 1788 wyszła książka o lekarstwach końskich w Poczajowie; w niej tytuł, przedmowa i ostatni artykuł po polsku, reszta zaś po słowiańsku. W ogóle poczajowskich książek w Muzeum Świdzińskiego jest cała biblioteka i może nawet zbiór jego wydań poczajowskich będzie najzupełniejszy.

Powiedzieliśmy, że niezmiernie bogatą jest biblioteka w książki z wieku XVII i XVIII i dlatego nawet kilku szczegółów o tych skarbach nie damy: zauważym tylko, że w XVIII wieku moc tutaj jest broszur pierwszego dla historyi znaczenia. Wtedy reforma polityczna była w powietrzu; nie Czartoryscy tylko o niej myśleli, ale wszyscy, i ci ludzie nawet, którzyby dali się zabić za utrzymanie dawnego stanu rzeczy. Otóż projektów reformy wychodziło tysiące za Augusta III. Ważną jest rzeczą dla historyka śledzić ten objaw ducha publicznego. Drugi raz tak samo zadeszczyło się od broszur za sejmu wielkiego. I poza izbą każdy chciał mieć swój głos; dowodziło to naturalnie, że naród zbudził się z długiego uspienia, że chciał myśleć o swojej przyszłości, że radził sobie. Projekta reformy za Augusta III aczkolwiek liczne, zwiastowały niemcc ducha, który tworzyły sny różne a straszne, projekta za sejmu wielkiego dowo-

dziły już życia. Jeżeli ważna jest dla historyka, badać objawy niespokojnej o swój los przyszłości, ważniejsza jest i więcej nauczająca, badać już przejawy samego czującego się, silnego w sobie żywota. Biblioteka Świdzińskiego dla jednych i dla drugich badań obszerne otwiera pole; pod względem jednak broszur z czasów ostatnich, kto wie czy nie bogatszą jest od naszej biblioteki, księgozbiór Cypryana Walewskiego w Nowejwsi: znaleźliśmy go przed kilkunastą laty, a był już ważny pod tym względem, teraz zapewne znacznie przymnożyło się tam bogactw.

Biblioteka Świdzińskiego była głównie dla przeszłości, dla tego uboższą jest nierównie w dzieła bieżącego już stulecia. Nasz zacny biblioman jeżeli skupował jakie dzieła spólczesne, to najwięcej historyczne; były to jakby skazówki dla przyszłych badań ludzi powołanych do pracy w Muzeum. A wszakże i rubryka XIX wieku nie była tak bardzo pustą, jakby się po słowach naszych komu zdawało. Zawierała także jakie z kilka tysięcy numerów. Wiele z nich darowizną zapewne wpłynęło do biblioteki. Sam Świdziński księgozbiór swój oceniał cały na 30,000 przeszło woluminów.

Ale najpiękniejszym skarbem Muzeum jest oddział rękopisów, które z kolei wydawać się będą kosztem zakładu; pod tym względem biblioteka nasza najbogatszym zrówna, jeżeli ich nie przewyższy. Sądzić o tém można z pierwszego rzutu oka, cóż dopiero kiedy się wpatrzy bliżej w te niepojęte rozumem bogactwa? Życia jednego niestarczy, żeby to wszystko przeczytać i przeczytawszy należycie ocenić. Rękopisów foljałowych jest przeszło tysiąc, luźnych przeszło dwadzieścia tysięcy.

Całe archiwa rodzin tu wsiękły, całe zbiory uczonych. Mówiliśmy już o archiwum Charłeskich, Rościszewskich i Piasoczyńskich. Rościszewskich papiery są ważne z XVIII wieku. Był wtedy dziekanem kapituły kijowskiej ksiądz Kajetan Rościszewski, niegdyś szwagier Krasickiego, bo miał za sobą rodzoną jego siostrę. Otóż w jego archiwum przechowało się wiele oryginalnych listów biskupów: Sołtyka i Załuskiego, założyciela biblioteki warszawskiej. Dalej znaczna część archiwów Lubo-

mirskich do Muzeum naszego wsiękla, część archiwum Szczęsnego Potockiego, bo wiele rozkradli; całe archiwum Morzkowskiego z czasów Rzplitej chorążego podlaskiego, który na Ukrainie fortunę zrobił, a był geniuszem finansowym i wszystkich obywateli miał w swoim ręku. Dalej wsiękły do naszego Muzeum korespondencye sławnego dziwaka, poety i przyjaciela Drużbackiej, księcia Udalryka Radziwiłła. Naturalnie tutaj znalazło się całe archiwum sulgostowskie, to jest domów, do których niegdyś Sulgostów należał, a więc Duninów których gałąź jedna dziedzicząc wieś, Sulgostowskiemi się pisała. Jest tu i archiwum własne Świdzińskich ze Świdna, Świdniańskie, ale nie całe, i w niém znajdują się bogate korespondencye wojewody Rawskiego. Są tutaj papiery Rohozińskich, papiery wizytatorskie Wacława Borejki, ważne dla dziejów edukacji trzech prowincyj południowych. Borejko ten był teściem jednego z Rulikowskich. Ale ktoto wszystko wyliczy?

Zejdźmy do szczegółów. Ma Świdziński moc dyplomatów łacińskich i ruskich, lustracyi, autografów; moc wypisów Albertrandego z różnych włoskich bibliotek, moc wypisów z akt trybunalskich i różnych grodów, wszystkie rękopisma Daniłowicza; materyałów do opisów i historyi miast ruskich (Żytomierza, Owrucza i t. d.) niezmiernie wiele. Opisów Polski po włosku kilka. Ma kronikę Jana z Targowiska herbu Tarnawa biskupa przemyslskiego, wypadków od r. 1386 do 1491; kroniczka ta spisana jest własnoręcznie w języku łacińskim na ostatnich kartkach drukowanej księgi *fasciculus temporum* z roku 1478 na kartkach białych, których jest pięć arkuszowych, z własnoręcznemi zapisami biskupa. Ma Świdziński rękopism z wieku XVI, wielu poematów Krzyckiego, które ex confusa dispersione ktoś razem zebrał (księga o stronnicach 305). Inny rękopism oryginalny zawiera w sobie zdarzenia od roku 1559 do 1562 i w końcu obszerny dyaryusz sejmu piotrkowskiego z r. 1565. Jest arkuszy 56 listów Filona Kmity starosty orszańskiego do panów rad koronnych i litewskich 1573 i 1574. Są osobno dzieje r. 1586 i spis rzeczy wszy-

stkich pozostałych po śmierci króla Stefana. Jest wiele aktów rokoszowych z r. 1606, zacząwszy od zjazdu stężyckiego. Jest „proces sądowy Królestwa Polskiego od Thomasa Dreznera zebrany, na polski przez Jana Niezabitowskiego przełożony”. Na ten proces z tego względu zwróciliśmy uwagę, że wypracowany po polsku, w Moskwie 1608 roku. Są kopie listów królewicza Władysława do hetmana Krzysztofa Radziwiłła od r. 1611 do 1632, przepisane z archiwum Radziwiłłowskiego dla Onacewicza: listów wszystkich 74. Wiemy o innym zbiorze takichże listów królewicza, który posiada pan Wandelin Pusłowski w samych oryginałach i listy te podobno chce ogłosić drukiem. Do tegoż Krzysztofa Radziwiłła ma 96 listów króla Zygmunta nasza biblioteka (z r. 1618—26). Mamy sumaryusz ksiąg metryki wielkiej lit. na dobra rozdane przed unią, i insze listy od r. 1392 do 1553 zebrane wszystko przez Jana Chrapowickiego starostę Szumlińskiego i Jana Szadurskiego oboźnego inflanckiego 1747 (księga gruba w arkuszach i ma stronic 907). Wspomnim i o rzadkości jak u nas bibliograficznój. Jest pomiędzy innemi rękopismami w naszej bibliotece odpis dziełka hiszpańskiego pod tytułem: *Relacyon Diaria de las guerras tedidas entre Polacos y Turcas los annos 1620 y 1621. Dirigida al Serenissimo principe Don Carlos Infante de las Espanas per Mathias Titlewski Cavalero Polaco. En Madrid per Tomas Junti Impressor A. MDCXIII* (myłka: ma być 1623). Zabawna metamorfoza spotkała naszego Tytlewskiego w wieku XIX. Byłto Prusak rodem, opat lubieński. Król posłał go do Madrytu prosić o posiłki na wojnę chocimską. Nic tam nie sprawił, a tymczasem traktat zawarto, i po Europie rozszedł się rozgłos przeważnych zwycięstw oręża polskiego, które w istocie malutkie były, chociaż wielki sprawiły skutek. Nowina ta doszła Tytlewskiego jeszcze w Madrycie: otóż chcąc dać poznać Hiszpanom całą stratę sławy, jaką ponieśli gdy nie posiłkowali Polaków, nasz opat, przetłumaczył broszury które mu w ręce wpadły o téj wyprawie Teofila Szemberga (Kraków 1621), Jana Ostroroga (Poznań 1622) i wydał je po łaci-

nie pod tytułem: „Narratio de proeliis gestis inter Polonum et Turcam annis 1620 et 1621. Matrity 1623.” Dziełko hiszpańskie najprędzej będzie przerobieniem łacińskiej broszury. Teraz przy wydaniu tomu pierwszego kroniki Wieliczki wydano ów dyaryusz Tytlewskiego w przekładzie małopolskim. A kommissya niewiele myśląc, opata i dyplomatę pasowała przy tój okoliczności na kozaka i dziejopisarza. Czomber, który nam o tём zabawném zdarzeniu donosi, utyskuje z tego powodu: „potrzebaż, mówi, ażeby przeszło dwa wieki nieuważna potomność poczytała prałata za Zaporozca? Byłito takż prałaci, dodaje, ale innego gatunku, a do Madrytu, nie wiem, czy który kiedy zabłądził”.

Mamy w Muzeum naszym kodexów z wieku XIII i XIV nieprzejranych sztuk 15. Rękopism z XVI wieku „Kronika Długosza” oprawny w czerwony pargamin, obejmujący kart 234. Mamy Tomicianów tomy: 6-go koniec, 11-ty i 12-ty niecały, dalej tom 18 i 19-ty. Mamy rejestr listów i innych pism, jakotż materyi zamkniętych; sprowadzone wszystko z Włoch przez X. Ghigiottego, a znalezione u dziedziców Ludwika Monti sekretarza i agenta w Modenie i Zygmunta Augusta i królowej Bony. Są to rzeczy odnoszące się do historyi sławnych summ neapolitańskich. Mamy dalej wiele poselstw do Turek, jakoto: Droge do Carogrodu i Astrachanu, Jędrzeja Taranowskiego w r. 1569 (rękopism własną ręką skopiowany przez Lelewela w Warszawie w r. 1813). Dalej mamy poselstwo Gnińskiego wojewody chełmińskiego za króla Jana odbyte (1677 — 9): same oryginały. Mamy poselstwo Stanisława Chomętowskiego z r. 1712—14: są akta czynności rozgraniczenia między Rosyją a Portą, do czego od Polski był użyty Paweł Benoe instygator koronny, także poseł od Turek z r. 1740—3; wreszcie jest w Muzeum ostatnie poselstwo Rplitéj, odbyte do Stambułu przez Prota Potockiego, starostę szczyrzyckiego, oryginał w wielu miejscach uszkodzony, bez początku i końca, przytém brakuje niektórych kart środkowych. Mamy dyaryusze sejmowe: oprócz już wymienionych, sejmu grodzieńskie-

go, który się odbywał od 15 grudnia 1678 aż do 3 kwietnia 1679, oryginał z licznymi poprawami spisany po łacinie. Drugi oryginał mamy dyaryusza sejmu z r. 1718, i trzeci sejmu z r. 1724. Jest w ogóle do historyi czasów saskich wiele ciekawych rzeczy: jest naprzód dyaryusz zjazdu rokoszowego w Łowiczu z r. 1698, dalej jest zbiór różnych pism publicznych, tyjących się sprawy Sapiehów ze szlachtą, rękopism zebrany i ułożony przez Krzysztofa Zawiszę sławnego z owych czasów konfederata, starostę mińskiego, potem wojewodę, o którego odkrytych świeżo notatach pisaliśmy w Gazecie Codziennój, a które potomek wojewody obiecywał wydać na widok publiczny, ale słowa dotąd nie dotrzymał. Jest dalej „Interregnum po śmierci Augusta III”: ogromny foliał. Są własnoręczne pisma Stanisława Leszczyńskiego i spore tomy miscellaneów.

Dla biografów pożywy dużo. Mamy pisma publiczne tyjące się zawodu kardynała Radziejewskiego, a w nich listy papieżów, królów i różnych panów; również pisma jego własne, mianowicie z lat 1691—7. Listy Mizlera a Kolof do Udalryka Radziwiłła. Są pamiętniki niewiadomo czyje z lat 1694, 1696, 1697, 1700, 1701, 1702, w siedmiu aż tomach i t. d.

Do panowania Stanisława Augusta niezmiernój wagi są materiały. Jest zbiór listów dotyczących się wydania kodexu dyplomatycznego, w téj liczbie listów Antoniego Kossakowskiego sekretarza gabinetowego 28, Jacka Ogrodzkiego 17. Jest zbiór rapportów, aktów, listów, ordynansów, uniwersałów dotyczących się powiększój części wojskowości; wszystkiego w liczbie razem 351 aktów. Są projekta Tadeusza Sztejna komornika litewskiego, dotyczące urządzenia Rplitéj polskiej, podczas czteroletniego sejmu (oryginał). Jest niezmiernie wiele pieśni, tradycyi, dokumentów w kopiach i oryginałach o hajdamaczyźnie Bondarenki, do zebrania czego i objaśnienia, wiele się przyłożył Michał Grabowski. Są notaty z niewoli Tomasza Paryssy Zdanowskiego komornika granicznego kijowskiego, konsyliarza konfederacyi barskiej, spisywane w roku 1769, w Kazaniu, tudzież osobno rejestr Po-

laków konfederatów harskich znajdujących się podówczas w niewoli. Ważną rolę grał podówczas w Rplitéj ksiądz Michał Ossowski Jezuita, nauczyciel Prota Potockiego, tegi finansista. Mamy tutaj całą księgę jego notat i projektów spisywanych już około roku 1768, kiedy był jeszcze w seminaryum jezuickim w Poznaniu. Rękopisma Karpińskiego w trzech tomach po stronnic 584, 578, 366 w arkuszach, zawierają gazety i wiadomości o wypadkach politycznych od 22 maja 1792 do 29 grudnia 1793. Są listy księdza Józefa Olechowskiego sufragana krakowskiego, sławnego z kłótni swojej z biskupem Sołtykiem, z roku 1766—8. Jest zbiór cały prac publicznych Szczęsnego Czackiego podczaszego koron., jednego z najwybitniejszych reprezentantów epoki; rękopism jego własny, bo zawiera oryginały i wiele kopii ręką autora poprawionych; obejmuje zaś pisma od dnia 18 września 1766 do 6 sierpnia 1767. Jest protokół czynności rady nieustającej z lat 1782 i 1783. Są korespondencye metropolity Rostockiego i biskupa Cieciszowskiego; wreszcie pamiętnik Fryderyka Moszyńskiego opisujący zdarzenia z r. 1769, po francuzku, bez żadnego tytułu i podpisu, i pamiętniki Adama Moszczeńskiego, o których wspominaliśmy: są to rzeczy najwyższego wszystko interessu. Michał Grabowski opisał jeszcze sprawę Mozarowskich z kapitułą wileńską. Mozarowscy domagali się tytułu książąt, i po latach wielu sporów sąsiedzkich, Massalski biskup wileński gwałtem ich obrócił w poddanych.

Prowincya pruska Rplitéj zainteresuje się dziełem rękopismianém Grzegorza Hessa: *Rerum in Prussia gestarum libri*. Autor był urzędnikiem miejskim w Malbörgu; kiedy umarł, dzieło jego pogrobowe skończył syn Tomasz i doprowadził je aż do roku 1650, także urzędnik elbląski. Inne dzieło jest w Muzeum Tomasza Hessa poświęcone dziejom Prus od śmierci Stefana Batorego. Ma Świdziński także w osobnej księdze uchwały i postanowienia stanów pruskich na generałach od roku 1650 aż do 1735, *ad nostra usque tempora* mówi zbieracz tych uchwał, więc widzieć je żył w tym czasie. Mamy

dzieje czterech najcelniejszych pruskich szkół, spisane po łacinie 1662 przez Gotofreda Zameliusza, to jest gdańskiej, chełmińskiej, królewieckiej i elbląskiej, jakoteż komentarz filologiczno-historyczny tegoż autora w ogóle o szkołach pruskich.

Z materyałów do historyi rosyjskiej zauważyliśmy tylko w przelocie rękopism pod tytułem: *Ceremonie* na weselu Michała cara moskiewskiego; rękopism pięknie oprawny, pisany po słowiańsku na pergaminie, zawiera rysunków 66, kart 68, a na czele portret cara Michała. Dalej, a te rzeczy już i nas także dotyczą, jest 26 listów Naszczokina posła moskiewskiego do komisarzów polskich wyznaczonych o pokój: rzeczy to odnoszące się do dziejów rozejmu andruszowskiego (1669—70); wreszcie są zjazdy, opisy rozmów mianych między posłami polskimi a moskiewskimi w roku 1684. Dla dziejów Małorusi nieobojętne będą ukazy monarsze wysyłane z synodu do duchowieństwa zadnieprskiego z lat 1722—34. Jest ich aż 498. Jest z roku 1743 *projekt* praw małoruskich sporządzony przy Elżbiecie, do czego dołączony jest przegląd tego rękopismu, rozprawa sześć-arkuszowa Ignacego Daniłowicza. Są notaty z zapisek Szafonńskiego ściągające się do historyi Małéjrusi, obok także uwagi Daniłowicza. W tych dniach kommisya kijowska wydała dzieło Szafonńskiego; jestto rodzaj naszej starożytnéj Polski; autor żył za Katarzyny II. Polska niezmiernie wygrała przez ogłoszenie drukiem tego dzieła; pokazuje się na każdym kroku, że co tylko miała Ukraina z cywilizacyi, wszystko to miała jedynie i wyłącznie od Polski. Interesować téż będzie rękopism: *Rozhowory* w carstwie mętych meźdu generałom lejtnantom Joannom Rajnholdom von Patkulem i meźdu baronom Heorhom Henrykom von Herzau.

Dla historyi Warszawy nie będzie obojętną kronika klasztorna OO. Karmelitów bosych warszawskich od założenia z r. 1643 do 1718. Spisana jest po łacinie, na czele ma tytuł: *Liber fundationis Conventus Varsoviensis* w 4-ce kart 170.

Historyą kościoła ruskiego w Polsce obchodzą: *Colloquium* Lubelskie, dzieło z roku 1680 przez metropolitę Cyprya-

na Żochowskiego napisane. Dalej Mikołaja Radziwiłła Sierotki oryginalne bruliony listów dotyczące się najwięcej polityki w Polsce Cyrylla Lukarego archimandryty cerkwi alexandryjskiej z roku 1600 i 1601. Widać Sierotka z upodobaniem gromadził takie papiery.

Wspomnimy o pamiątkach literackich, które się kryją w Muzeum. Mamy redakcją oryginalną zagubioną textu polskiego, Pielgrzymki do ziemi świętej Radziwiłła Sierotki. Mamy na pergaminie książkę do nabożeństwa z XVII wieku pod tytułem: „Nowe zebranie modlitw z ksiąg rozmaitych przez mię Annę Mariamile (tak) Rudominównę Dusiacką Pacowę podskarbinę wielką Wielkiego księstwa litewskiego z harfi z szafarnie i z officium na cześć i na chwałę Panu Bogu w Trójcy świętej jedynemu i Najśw. Panny Maryi;” rękopism z r. 1675. Z nowszych czasów mamy listy Mickiewicza pisywane z Rosyi do Joanny z Rybinkich Zaleskiej, listy tegoż do Germana Hołowińskiego z Odessy i z Moskwy, zaś autograf wiersza: „Nieznajomój dalekiej nieznajomy daleki” napisanego dla Pauliny z Rybinkich Maszewskiej i t. d. Są listy Żegoty Onacewicza do Ignacego Daniłowicza w liczbie sztuk 20, przyczém rodowód Daniłowiczów; potem pisma Karpińskiego drukiem nieogłoszone, z których widać, że pan Franciszek był i politycznym pisarzem; jakoż podawał do sejmu 3 maja 1792 projekt o żydach, pisał uwagi swoje nad tém, czy sukcesya tronu, czy elekcyja królów dla Polski zbawienniejsza jest i późniejszy jego projekt podany Dymitremu Koszelowowi gubernatorowi grodzieńskolitewskiemu o poprawie obyczajów. Są listy jego i niektóre poezye i przestrogi pod błogosławieństwem dane wnuczce Katarzynie Kozierowskiej, po jój ślubie z Walentym Polanowskim starościcem ostrskim; jest dalej wyjątek z książki o dziejopisach polskich i wiadomość o Litwie z opowiadania Hieronima z Pragi, missyonarza z czasów Witołdowskich, zebrana i opisana przez Eneasza Sylwiusza. Są listy familiarne barona Bilefelta, które niemając co lepszego do roboty z francuzkiego przetłumaczył na polskie książkę Udalryk Radziwiłł

(w Gdańsku 1764). Jest projekt względem ulepszenia zabudowań i bytu włościan, rzecz dla gubernii wileńskiej, a mianowicie dla powiatu trockiego, w rękopisie własnoręcznym Michała Grabowskiego.

Biegąc po drodze pogubiliśmy kwiaty, zebraliśmy jedynie skromne kwiatki. Piszem to albowiem nie z obejrzenia, ale z relacji.

Muzeum Świdzińskiego składa się jeszcze z galerii obrazów. Daleko zapewne tej galerii do jakiego takiego znaczenia w historii sztuki, ale i tutaj trudno nie podziwiać szlachetnej myśli założyciela. Są to po większej części zabytki sztuki polskiej, portrety familijne wyrwane od zaguby ręką zacnego miłośnika przeszłości. Wartość tej galerii nieoznaczona, nie spisywano jej wcale dotąd, ale ilość wyniesie zawsze do 500 numerów. Założyciel chciał, żeby i o galerii pamiętano, a czas od czasu zbogacano ją w nowe zabytki, chociaż i tak jak jest sama w sobie ta galeria, może pięknie przyozdabiać ściany gmachu poświęconego dla zakładu.

Do Muzeum należy jeszcze gabinet numizmatyczny, szczupły w porównaniu do innych, i drugi gabinet starożytności. Świdziński nie tylko książki zbierał z upodobaniem, ale i zbroje, ryszunki, rzędy, ozdoby, zabytki strojów. Utworzył takim sposobem w Muzeum swoim nieustającą wystawę archeologiczną.

Nie możemy ocenić dokładnie wartości tych wszystkich ogromnych zbiorów. Trzeba przedmiot za przedmiotem przeglądać, a wtedy podaćby można chociaż przybliżoną wartość Muzeum Świdzińskiego: zebranie tych ksiąg, tych malowideł, tych rękopisów, tych zbroi, tych monet, miliony zapewne kosztowało. A zważywszy, że wartość każdego zbioru powiększa się w miarę jego wzrostu; zważywszy, że wtedy jako część całości uważany, każdy przedmiot zyskuje na wartości, i więcej może być ceniony jak wtedy kiedy kupiony był, choćby drogie pieniądze: łatwo przyjdziemy do wniosku, że war-

tość naukową naszego Muzeum podnieść można do ceny kilku, dwóch, trzech milionów złotych.

VII. Przyszłość Muzeum Świdzińskich.

Założyciel nisko ocenił swoje dobra sulgostowskie, miał ku temu swoje przyczyny osobiste, jak powiedzieliśmy; nie znał nawet dobrze swojego majątku. Spuszczał się w tém na ludzi. Dlatego wartość dóbr bibliotecznych oznaczył na pół miliona: ale oto więcej autentyczna i na gruncie czerpana wiadomość.

Dobra sulgostowskie składają się ze wsi Sulgostowa, Drażna, Lipowego, Borowej woli, Brzysek, Jelonka, Klwowskiéj woli, Sulgostowskiéj wolki, Zapola, Lipowego i miasta Klwowa.

I. Ludność 1769 dusz.

II. Rozległość pola . . . włók 123—17 m.

Łąki — 8.

Nie użytków — 11.

Lasu — 138.

Razem włók 280—17 m.

III. Wysiew: ozimowego korcy 432.

jarzyny. . — 296.

IV. Przychód z r. 185⁵/₆ brutto podług rachuby kassy wynosił złp. 120, 170, z których na intratę prócz lasu wypada 35,600 złp. nie licząc ciężaru Towarzystwa Kredytowego, który rocznie wynosi złp. 10,000, a który pokryty być może dochodem z lasu dotąd nieużywanym.

Fundusz ten starczy na wszystkie wymagania biblioteki. Na kupno domu lub zbudowanie, osobny założyciel przeznaczył kapitał; zresztą margrabia chciał się do tego sam przyłożyć, jeżeliby kapitałów na wystawienie domu brakowało. Mówiono nam poufnie, że możnaby w najgorszym razie sprzedać (ze 138

(w Gdańsku 1764). Jest projekt względem ulepszenia zabudowań i bytu włościan, rzecz dla gubernii wileńskiej, a mianowicie dla powiatu trockiego, w rękopisie własnoręcznym Michała Grabowskiego.

Biegając po drodze pogubiliśmy kwiaty, zebraliśmy jedynie skromne kwiatki. Piżem to albowiem nie z obojrzecia, ale z rełacyi.

Muzeum Świdzińskiego składa się jeszcze z galerii obrazów. Daleko zapewne téj galerii do jakiego takiego znaczenia w historyi sztuki, ale i tutaj trudno nie podziwiać szlachetnej myśli założyciela. Są to po większej części zabytki sztuki polskiej, portrety familijne wyrwane od zaguby ręką zanego miłośnika przeszłości. Wartość téj galerii nieoznaczona, nie spisywano jej wcale dotąd, ale ilość wyniesie zawsze do 500 numerów. Założyciel chciał, żeby i o galerii pamiętano, a czas od czasu zbogacano ją w nowe zabytki, chociaż i tak jak jest sama w sobie ta galeria, może pięknie przyozdabiać ściany gmachu poświęconego dla zakładu.

Do Muzeum należy jeszcze gabinet numizmatyczny, szczupły w porównaniu do innych, i drugi gabinet starożytności. Świdziński nietylko książki zbierał z upodobaniem, ale i zbroje, rynsztunki, rzędy, ozdoby, zabytki strojów. Utworzył takim sposobem w Muzeum swoim nieustającą wystawę archeologiczną.

Nie możemy ocenić dokładnie wartości tych wszystkich ogromnych zbiorów. Trzeba przedmiot za przedmiotem przeglądać, a wtedy podaćby można chociaż przybliżoną wartość Muzeum Świdzińskiego: zebranie tych ksiąg, tych malowideł, tych rękopisów, tych zbroi, tych monet, miliony zapewne kosztowało. A zważywszy, że wartość każdego zbioru powiększa się w miarę jego wzrostu; zważywszy, że wtedy jako część całości uważany, każdy przedmiot zyskuje na wartości, i więcej może być ceniony jak wtedy kiedy kupiony był, choćby za drogie pieniądze: łatwo przyjdziemy do wniosku, że war-

tość naukową naszego Muzeum podnieść można do ceny kilku, dwóch, trzech milionów złotych.

VII. Przyszłość Muzeum Świdzińskich.

Założyciel nisko ocenił swoje dobra sulgostowskie, miał ku temu swoje przyczyny osobiste, jak powiedzieliśmy; nie znał nawet dobrze swojego majątku. Spuszczał się w tém na ludzi. Dlatego wartość dóbr bibliotecznych oznaczył na pół miliona: ale oto więcej autentyczna i na gruncie czerpana wiadomość.

Dobra sulgostowskie składają się ze wsi Sulgostowa, Drążna, Lipowego, Borowej woli, Brzysek, Jelonka, Klwowskiej woli, Sulgostowskiej wolki, Zapola, Lipowego i miasta Klwowa.

I. Ludność 1769 dusz.

II. Rozległość pola . . . włók 123—17 m.

Łąki — 8.

Nie użytków — 11.

Lasu — 138.

Razem włók 280—17 m.

III. Wysiew: ozimowego korcy 432.

jarzyny. . — 296.

IV. Przychód z r. 185⁵/₆ brutto podług rachuby kassy wynosił złp. 120, 170, z których na intratę prócz lasu wypada 35,600 złp. nie licząc ciężaru Towarzystwa Kredytowego, który rocznie wynosi złp. 10,000, a który pokryty być może dochodem z lasu dotąd nieużywanym.

Fundusz ten starczy na wszystkie wymagania biblioteki. Na kupno domu lub zbudowanie, osobny założyciel przeznaczył kapitał; zresztą margrabia chciał się do tego sam przyłożyć, jeżeliby kapitałów na wystawienie domu brakowało. Mówiono nam poufnie, że możnaby w najgorszym razie sprzedać (ze 138

włók) lasu 38 włók: tu się włóka płaci po 12,000 złp. Byłby to znaczny kapitał a razem z pozostałemi funduszami wystarczyłby na zakupienie największego domu np. Załuskich; z reszty 100 morgów urządziłby się poręb po włóce jednej na rok każdy. Towarzystwo Kredytowe już wkrótce się wypłaci i nawet teraz można nowy wziąć zaciąg, jakto jeszcze sam Świdziński projektował.

Od 120,000 złp. przeszło dochodu brutto, było intraty do 36,000; fundusz ten powiększyłby się skutkiem oszczędności i lepszego zagospodarowania się. Rachujmy okrągło jednak tylko 40,000 dochodu. Dom biblioteczny w Warszawie sam się utrzyma i podatki zapłaci; członek naukowy muzeum kosztuje na rok 500 rubli, bibliotekarz mniej troszkę, rachujmy razem jedno w drugie rocznie złp. 7,000 co nigdy tyle nie wyniesie. Zresztą doskonale etat ułożyć można: będzie potrzeba jeszcze jednego bibliotekarza i kopiisty, więc w każdym razie 20,000 przeszło pozostanie na powiększanie Muzeum i na wydawnictwo; rachujmy po połowie na jedno i drugie, zostałyby się na wydawnictwo rocznego etatu złp. 10,000 przynajmniej. Summa to zapewne najmniejsza jaką przyjąć można, bo z drugiej połowy, mamy tego nadzieję, dużo się da oszczędzić, gdy autorowie, księgarze i nakładcy, dzieła swoje do Muzeum nadsyłać będą. Na to z pewnością rachować można po spółczuciu ogólném, jakiego nasza fundacya naukowa doznała. Dochód więc z dóbr bibliotecznych tak zdaje się najłatwiej da się rozdzielić na dwie połowy: 20,000 na utrzymanie biblioteki z urzędnikami, drugie zaś 20,000 na cele naukowe.

Gdybyśmy tylko do rozporządzenia mieli 10,000 na wydawnictwo, już ten sam kapitał żelazny w krótkim czasie dokazałby cudów. Bije kropelka wody w kamień póty, póki go nie przedziurawi; tak i tutaj, niech najpowolniejsze będzie działanie Muzeum, zawsze w ciągu lat, będzie to kropla do kropli, całe morze. Za 10,000 kapitału możnaby do roku wydać porządnie i ozdobnie 7 do 8 tomów materiałów historycznych.

W lat dziesięć byłoby już z tego 70—80 tomów, w lat 100 700 do 800 tomów; ale więcej drukowaćby jeszcze można za te pieniądze. Książka przecie wydana nie zostanie na składzie w Muzeum, rozejdzie się po rękach, po księgarniach, ten i ów egzemplarz kupi, więc kapitał częściowo będzie się wracać; przypuszczamy że niecały powróci, zawsze w znacznej części Muzeum go odzyska. Takim sposobem nie traci się prawie nic, tém bardziej, że Muzeum nie potrzebując, jak kupiec, natychmiastowego procentu odbierać od kapitału, może z towarem swoim czekać póty, aż póki cały się nie wyprzeda. Urządziwszy zatem wydanie tanie ale porządne, umówiwszy się z jednym drukarzem o wydanie, można i z tego ciągnąć pewne korzyści na rzecz dobra ogólnego. Wdrożywszy się już do pracy, możeby Muzeum mogło swoim funduszem co rok dziesięć a nawet i dwanaście tomów wydawać. Zresztą dla wszelkich oszczędności, które się wynajdą, możnaby osobną ustawę napisać, ale zawsze chcielibyśmy, by każdy grosz oszczędzony szedł na wydawnictwo: możeby za jego pomocą można było wydawać postronne i opracowane już dzieła historyczne. Wybór dzieła do druku, naturalnie należałby do członka redaktora i kuratorów zakładu.

Tak w krótkim czasie zazieleniłoby się jeszcze więcej na niwie naszej literatury naukowo-historycznej, a wpływ Świdzińskiego poza grobem dałby się uczuć i w najodleglejszych pokoleniach.

Urzeczywistnienia tych drogich marzeń czekamy od margrabiego Wielopolskiego: on ma tutaj początkowanie praw. Pomagać mu będą wszyscy z poświęceniem się, z zaparciem się, bo tutaj rzecz idzie o sprawę ogólną: a naprzód żądamy ustawy zakładu, urządzenia go co prędzej w Warszawie i katalogu.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Urywek z powieści p. t. „TOMIŁO.”

Patrząc na miasto, jak orzeł ze skały,
Na wzniosłej górze stał zamek rozległy
Z olbrzymich głazów i żelaznej cegły;
Na rozgwar ciżby i losów niedbały,
Spróchniałych czasów relikwiarz święty
Śmiałymi barki wystrzelał ku górze.
Choć wieków zmarszczki lica mu zorały,
Lat młodocianych wspomnieniem zajęty,
Jeszcze wyzywał pioruny a burze.

Niemало przeżył i widział niemало,
I swe pamiątki czci nieskazitelnie;
Olbrzymie plemię, co go budowało
Braciom za milę przerzucało kielnie.
Czas wielki minął, olbrzymy pomarli,
Zmalały czasy i plemię człowieka:
Wielkich praojców zastąpiły karły;
Lecz w jego żyłach myśl wieków przecieka!
Co dla nas martwe, on przeszłością żywie;
Na gwar nasz patrząc, śmieje się wzgardliwie.

„Wstyd mnie i spojrzeć na tę zgraję płochą!
Wszak ja widziałem, że człek mego latka,
Takiego człeczek z wołami i sochą
Na jednej dłoni trzymał jak owadka!
Wy, pnia wielkiego drobne latorośli,
Wy niby wyżsi potęgą duchową,
Gdzież ta potęga w którąście urosli?
Słowo rozgłośne, ale tylko słowo!
Przeszłość, to niwa wszem dobrem bogata:
Sędziwe życie, co w czasie zakrzepło,
Zwiędniałe myśli i umarłe lata
Dały jej żyźność i wilgoć i ciepło.
Lecz sama ziemia plonów nie wyrości,

Trzeba ją w ciężkim uprawiać mozole;
 A wy? wy leżąc na niwie przeszłości,
 Jedwabnym słówkiem pielecie kąkole.
 W uściech ofiara i miłość społeczna,
 Wzniosli święceni i poświęciciele;
 W czynie sobkowstwo i nienawiść wieczna
 I cele mrówcze, powszedniutkie cele.
 Wielcy! snadź po to, by przytłaczać siebie;
 Czyż was pomieścić téj ziemi zaciasno?
 Boże! gwiazdeczki płonące na niebie
 Czy sobie gorą a dla innych gasną?
 A wy, co wyżsi nad tych gwiazd orszaki,
 Płaczeć jedni, by drudzy się śmieli;
 Głosicie postęp, a targ całkiem taki,
 Jaki był przeszłej, zaprzeszłej niedzieli.
 O! gdy tak pójdzie, jak droga zaczęta,
 To jeszcze pewnie doczekam téj chwili,
 Że waszój dziatwy zdrobniałe dziecięta
 Będą pod garnkiem swe zboże młócili."

Wtém srogie wichry jesienne nadbiegły,
 I gmach się zamknął ze swemi myślami.
 Ze starój baszty sypnęły się cegły:
 Zda się płakała kamiennemi łzami.

Wincenty Korotyński.



JEZUICI W KALISZU

(1581—1773)

SZKIC HISTORYCZNY.

SKREŚLIŁ

Cezar Biernacki.

(Ciąg dalszy).

III.

Szkoły.— Wykład nauk. — Liczba uczniów. — Dyalogi. — Koawikt i bur-sy.— Biblioteka.— Znakomitsi nauczyciele oraz uczniowie wyszli ze szkół jezuickich.

Prawie jednocześnie z wprowadzeniem do Polski wiary chrześcijańskiej, zakładane były szkoły przy kościołach katedralnych, parafialnych i konwentach, w których wykład nauk ograniczać się musiał pierwiastkowo do zbyt szczupłych wiadomości i był niemal czysto elementarny. Uczono bowiem tylko czytać po polsku i po łacinie, pisać, nieco grammatyki, rachunku, chorału kościelnego i ministrantury, a takiego planu trzymały się bez wyjątku wszystkie szkoły w kraju przed otwarciem Akademii krakowskiej. Są podania lecz niepewne o epoce założenia szkół w m. Kaliszu, mianowicie, że na początku XIV wieku istniały w tym odwiecznym grodzie dwie szkoły parafialne zwane miejskimi lub mniejszemi: jedna przy kościele samym, dziś św. Józefa, druga u św. Mikołaja należącym do kanoników regularnych lateraneńskich. Nad podobnemi zwy-

kle zakładami scholastyk albo proboszcz miejscowy miał dozór i zwierzchnictwo, jednak w Kaliszu nauczyciel szkoły farskiej podlegał magistratowi. W późniejszym atoli czasie, zamożniejsi mieszczanie niektórych miast Rzeczypospolitej uznawać zaczęli potrzebę wyższego kształcenia swych dzieci i oddawać je do szkół wyższych; ztąd za przykładem innych i w Kaliszu powstała podobna, będąca pod wyłączną opieką Akademii krakowskiej, kolonia akademicka zwana, w której prymas J. Uchański dla uboższych domów młodzi szlacheckiej kilku nauczycieli własnym kosztem utrzymywał. Taki był stan edukacji miejscowej przed wprowadzeniem Jezuitów.

Jak wszystkiemu co tylko było własnością Jezuitów kaliskich, tak i szkołom pod wyłącznym ich zwierzchnictwem będącym dał początek Karnkowski (1). Nowy ten zakład z wolna przychodził do wziętości, znaczenia i wpływu, które wreszcie osiągnął przy pomocy ludzi świątłych i gorliwie spełniających swoje powołanie. Piérwsze ziarna prawdy, sam zacny prymas począł szczepić w umysłach młodzieży z ojcowską troskliwością, powagą i miłością, usuwając na stronę wszelkie zaśszyty i znaczenie piérwsze po królu w Rzeczypospolitej, jakimi go Opatrzność nad innych wyniosła. Znajdujemy jednak w dziełach Niesieckiego i Jaroszewicza (2) dowody prawdziwej jego pokory i skromności: w celu zachęcenia młodzieży do nauki niejednokrotnie czynił do niej przemowę, a razu pewnego tak się wyraził: „te ręce kiedyś w piecu paliły, teraz królów maszczą i korony im na głowy kładą; te nogi boso chodziły, teraz piérwszą w téj ojczyźnie prymacyalną godność noszą; wiecież zkąd mi to?, szczerze mówię, zem się zawsze najpilniej o dochowanie niewinności starał.” I rzeczywiście, nigdy przeszłości swojej się nie wstydząc lub zapierając, chlubił się nawet z tego widocznie; albowiem zostawszy biskupem kazał w srebro oprawić garnczek, z którym w młodości będąc ubogim chłopcem dla napelnienia go żywnością do furt zakonnych przychodził i tę pamiątkę w miejscu widoczném kredensu umieścić polecił.

Jezuici pragnąc ustalić opinią swych szkół i obywateli zaufanie zyskać, starali się o nauczycieli zdatnych, mogących

(1) *Annuae litt. S. I. Romae* 1587, 2^oo.

(2) *Matka świętych Polska.*

dostatecznie odpowiedzieć wymaganiom przełożonych zakonu i życzeniom osób interesowanych. Ułatwianie zaś w przyjmowaniu młodzieży ze strony Tow. Jez. pod każdym względem dobrze wpływało na korzyść jego zamiarów. Jezuici kształcili nowe pokolenia w widokach rozpościerania swego wpływu na massy ludu; zwłaszcza, że gdy systemat ten opierał się na zbyt wątych zasadach, wyrodziło się tym sposobem zwichnięcie słabszych umysłów i skierowanie ich ku wyłącznym celom zakonu.

Ponieważ to wszystko, coby można w tém miejscu przytoczyć we względzie organizacyi i dążności szkół tutejszych, oraz wykazać zalety lub wady w sposobie wykładania nauk, stosuje się także, z małemi wyjątkami, do wszystkich zarówno szkół pod kierunkiem Jezuitów zostających; nadto, gdy okoliczności pomienione znalazły się już zebrane i starannie opracowane w dziele Łukaszewicza p. t. *Historya szkół w Kor. i w. ks. Lit.*, specyalnie przedmiot swój wyczerpującem: unikając zatem zbytecznego onych powtarzania wskazujemy takowe czytelnikowi, jako właściwe źródło, zdolne dokładniejsze wiadomości w tym względzie przedstawić. Fakta zaś, które poniżej podamy, dopełnią reszty całości.

Szkoły przy tutejszém kollegium w r. 1586 dzieliły się na 5 klass (1), z których trzy niższe: infima. grammatyka i syntaxis grammatycznemi; dwie wyższe: poetyka i retoryka zwały się humaniora. Zakład ten należał do wyższych jezuickich, gdyż oprócz tych nauk udzielano jeszcze studia filozofii i teologii. Wykład na pierwszym kursie był czteroletni, na drugim trwał lat trzy. Katedrę filozofii zaprowadził w r. 1598 Karnkowski (2), teologii zaś Jan Gałczyński kanonik gnieźnieński, archidyakon kaliski (3). Jan Lipski arcybiskup gnieź. polecił wykładać nauki humaniora (t. j. język łaciński i grecki) *humanioribus litteris operam dare jussit* (4). Około 1591 r. wprowadzono retorykę (5), w roku 1593 przydano jeszcze teologią moralną (6).

(1) *Annuae litt. S. J. Romae*, 1589.

(2) *Tamże*, Lugduni. 1607.

(3) *Hist. szkół Łukaszewicza IV*, 83.

(4) *Series Archiep. Gnesnens. Damalewicz* 383.

(5) *Annuae litt. S. J. Romae* 1594.

(6) *Tamże. Florentiae*. 1601.

Pomnażająca się stopniowo w samych początkach liczba uczniów dowodziła wzrastającego zaufania miejscowego. Jakóż według roczników jezuickich,

w roku 1586	było	wszystkich	razem	uczniów	500.
— 1589	—	—	—	—	400.
— 1590 i 91	—	—	—	około	500.
— 1592	—	—	—	—	730.
— 1596	—	—	—	—	300.
— 1598	—	—	—	—	600.
— 1600	—	—	—	—	500.
— 1603	—	—	—	przeszło	800.
— 1606	—	—	—	—	600.
— 1607	—	—	—	przeszło	600.

Nauczycieli w roku 1606 było siedmiu:

1) do kwestyi tyczących się sumienia; 2) do sporów o wiarę; 3) do metafizyki; 4) do fizyki; 5) loiki; 6) matematyki; 7) do wykładu retoryki. Oprócz tych, uczyło w niższych klassach 5-ciu magistrów (1).

W następnym roku było 6-ciu a w 1610 4-ch tylko przeznaczonych do udzielania nauk wyższych (2). W roku 1755 zwiększyła się liczba przedmiotów, a ztąd i liczba nauczycieli wzrosła w trójnasób, co także dowodzi, że napływ uczniów musiał być większy niż w poprzednich latach. Oprócz rektora, którym był wówczas Dąbrowski Andrzej, skład nauczycielski był następujący:

Krzyżanowski Stanisław, zwyczajny professor prawa kanonicznego, oprócz tego prokurator collegium i dozorujący drukarni.

Dobrowski Antoni, professor dogmatycznej, polemicznej i kazuistycznej teologii, także monitor spiritualis i pierwszy spowiednik (był poprzednio rektorem w Krakowie i Gdańsku).

Przanowski Andrzej, drugi professor dogmatycznej i polemicznej teologii.

Wygonowski Jan, drugi prof. teologii kazuistycznej, drugi spowiednik.

Sikorski Andrzej, trzeci prof. kazuistycznej teologii i penitencyonarz przy kościele kolegiaty.

(1) *Annuae Litt. S. I. Moguntiae*. 1618.

(2) *Tamże, Dilingae*. 1610.

Głowacki Michał prof. teologii moralnej, kustosz biblioteki i zwyczajny kaznodzieja niedzielny.

Gordon Tomasz, drugi prof. teolog. moral. i zwyczajny podczas świąt uroczystych kaznodzieja.

Borkowski Michał, drugi prof. prawa kanon. prefekt nauk, regens konwiktu nobilium, trzeci ojciec duchowny.

Niewęglowski Antoni wykładał etykę moralną i matematykę.

Brodowski Alexander, professor fizyki.

Rutkowski Franciszek, prof. metafizyki, czwarty spowiednik.

Czepielski Antoni, prof. logiki, piąty spowiednik.

Siedlecki Ignacy, prof. wymowy i poezji, także powszechnej i kościelnej historii.

Samplawski Antoni, drugi professor poezji.

Rychlewski Mikołaj, prof. grammatyki.

Jankowski Kajetan, nauczyciel początków języka łacińskiego.

Pietrowicz Józef, nauczyciel języka niemieckiego (1).

Dla dozoru szkolnego przydawany był rektorowi w pomoc prefekt nauk (*praefectus studiorum*), ten doglądał porządku wewnętrznego i moralności uczniów, wyznaczał bibliotekarza, dozorującego muzeum szkolnego, pilnował przyzwoitego zachowywania się w kościele i pełnienia chrześcijańskich obowiązków (2).

Szkoły te uposażone znacznymi nadaniami ciągle *wzrastały w znaczeniu* i świetności. Ks. Damalewicz (3) jako świadek współczesny taką dał o nich opinię: „że są pod względem wyboru professorów, nauk wyzwolonych, muz poważnych jako też z licznego uczęszczania młodzieży sławne”.

Domowe życie uczniów kollegiackich ulegało różnym fantazyom przełożonych. Młodzież dostatniejsza pod dozorem Soc. Jezu znajdowała byt tak błogi, iż władze jej umysłowe niewiele miały pobudek do swobodnego kształcenia się; rodzice znów i opiekunowie ślepe w Jezuitach pokładając zaufanie, oddawali im chętnie swoje dzieci, kształcenie zaś chłopców uboższych zawsze było u Jezuitów przykrém i męczącym, gdy przeciwnie ci, młodzież zamożną widoczném zasłanianiem, bojąc się pod jakimkolwiek względem nadwreżenia u niej zarówno sił fizycznych jako i umysłowych.

(1) Gelehrten Lexicon in Polen. Janozki.

(2) Regulae S. I. Posn. 1741.

(3) Series Archiep. Gnesn. Vars. 1649.

Dyalogi. Pod tym względem młodzież u Jezuitów podobną była do przedstawień dzisiejszych marynetek, ożywionych nitkami słabego dowcipu, upokarzających się w obec zdrowego rozsądku widzów. Wprowadzili oni zwyczaj dziwnego dawania widowisk publicznych w polskim lub łacińskim języku, w których wraz z uczniami i księża występowali w obec licznego zebrania dostojnych osób. Zabawy te odbywały się w pewnych porach roku z wielką okazałością i wystawą. Tym celem urządzona była w gmachu collegium obszerna sala zwana *teatrum* z przyległą garderobą. Dyalogi układano zwykle z tematów pobożnych lub historycznych, w których inwencja i retoryczne postacie miały stanowić główne zalety dzieła; dodać jednak należy, iż pleć niewieścia w takich rozrywkach nigdy nie miała udziału, role bowiem kobiece przez młodych mężczyzn zajmowane były. Zwyczaj przyjęto, iż każdy autor dedykował swój utwór jakiemu dobrodziejowi collegium, i tém zobowiązywał go do nakładów na przedstawienie czyli expozycją potrzebnych. Na równi z temi komedjami stawić można perory recytowane w kościele przez starszych uczniów w dniach wielkich uroczystości. Wybrany mówca z dumą wstępując na przygotowaną dla siebie mównicę, prawił z niej stosowną do święta apologią przepelnioną wszystkimi zwrotami retoryki i składni grammatycznej, tak, że w tém wszystkiém było mało rzeczy a wiele słów szumnych, przeplatanych nadętą frazeologią, w której trudno było gdzie myśli głębszej dopatrzeć.

W Kaliszu r. 1592 uczniowie collegium przedstawili komedią pod tytułem: *Teodozyusz cesarz* (według wyrażenia Roczników Jez.) tak pobożnie i zwięźle, że miejsce akcji występujących i sama osnowa dzieła oddychały świętością. Autorem tego utworu, według mniemania ówczesnego, miał być ks. Edmund Campianus Jezuita w Brunsbergu (1).

Szkoły tutejsze przyjmując przybyłego w r. 1595 do Kalisza Zygmunta III miały sposobność do popisów teatralnych. Dano tragedye „*Jehu*” w obec króla, dworzan i licznego zebrania osób (2). Nadto ogłoszono drukiem utwór sceniczny pod tytułem: „*Na szczęśliwy przyjazd Najjaśniejszego Zygmun-*

(1) *Annuae Litt. S. I. Florentiae.* 1600, 88

(2) Tamże, Neapoli. 1604, 335.

ta III króla pols. i szwedz. Zygmunt I w kaliskiem kollegium Soc. Jezu wystawiony, w Kaliszu, w drukarni Alberta Gedeliusza typogr. arcyb. w r. 1623 w mcu sierpniu". Jestto niewielki dramat, a raczej treść jego: autor nie wprowadza tu działających osób, ale tylko opowiada która z nich wchodzi na scenę, co powinna mówić, robić i t. p. Dzieli się na 3 akta i 18 scen. Osnowę stanowi zwycięstwo Zygmunta I odniesione w d. 8 września 1514 r. Wchodzi tu Mars, Psyche i kilka innych mitologicznych postaci. W epilogu pochwała dzielności, mądrości i cnot Zygmunta III i porównanie tegoż z Zygmuntem I (?) (1).

W r. 1596 przedstawiono także dramę *Judyta* (2).

W r. 1640 ku czci całego zakonu grano komedią: *Akt tryumfalny albo tryumf zakonu Soc. Jezu z Europy i z nowego świata temu to N. Imieniu Jezus zhołdowanego Najwyższemu Monarsze Bogu, w Kaliszu wystawiony*" (3).

W formacie folio wyszedł z drukarni kollegium dyalog panegiryczny w języku łacińskim w Kaliszu odegrany, pod napisem: *Honor in Auge eminentissimi et reverendissimi Domini, Domini Michaelis Radziejewski Sacrae Romanae Ecclesiae Cardinalis primique ac celsissimi principis Regni Poloniae Primatis Archipraesulis Gnesnensis Sacra Inauguratio à Karnkoviāno Soc. Jesu Collegio symbolica panegyri adornata. Anno exaltatae per hypostasim verbi humanitatis MDCLXXXVIII* (4).

Stanisław Jaworski Jezuita napisał wierszem nierymowym tragediā „*Jonatan*,” przedstawianā i wydrukowanā w Kaliszu 1746 r. in 4-to str. 74 (5).

Wydano także: *Tragoedia Sacra, que inscribitur Seifadinus Armusiae Rex, prodiit Joannes Bielski S. J. ex Typographia Collegii Soc. Jesu, Calis. 1747 in 8-o* (6).

Bursy. Jako filie szkół przy kollegium będących istniały także bursy czyli domy zwane inaczej konwiktami, przeznaczone na mieszkania dla ubogiej młodzieży, w których wszelkie

(1) Wspomnienia Wielkopolski Edw. Raczyńskiego.

(2) *Annuae Litt. S. I. Neapoli. 1605.*

(3) *Historia szkół I. Łukaszevicza 1, 261.*

(4) Z księgozbioru ś. p. Adryana Krzyżanowskiego.

(5) *Hist. Lit. pols. F. Bentkowski I. 513.*

(6) *Janocki, Polonia Litterata 8.*

potrzeby życia i utrzymanie bezpłatne lub za małe, prawie nic nieznaczące wynagrodzenie dla uczących się były zapewnione. W Kaliszu znajdowały się 3 takie bursy w różnych częściach miasta założone, jakoto: imienia Karnkowskiego, Czyżewskich i dla dzieci ubogich (pauperum).

1) *Konwikt Karnkowskiego* mieścił się w domu własnym, murowanym i obszernym o kilkunastu wygodnych salach i wielu stancyach, znajdującym się w rynku naprzeciw ratusza. Sama nazwa tego zakładu dowodzi, że założycielem jego był niejednokrotnie wspomniany prymas Karnkowski. Ono pod d. 3 kwietnia 1599 r. instytut ten uposażył nadaniem wsi Marchwacza o mil 2 od Kalisza odległej i zapisem summy 50,000 złp. lokowanój na dobrach kapituły gnieźnieńskiej (1). Jezuitci trudniąc się administracją wsi donacyjnej zarządzali także i wspomnianym kapitałem. Bursa ta była przeznaczona na pomieszczenie 12 ubogich młodzieńców szlacheckiego urodzenia, ile być mogło z rodziny fundatora pochodzących, z których każdy złożywszy jeszcze 12 złp. na rok, miał śniadanie, obiad i wieszczę, mieszkanie i dyrektora. Wszyscy konwiktorzy uczęszczali codziennie na naukę do szkół w kollegium się znajdujących (2). Instytut ten od r. 1755 nosił nazwę *Convictum nobilium*. Według zawartój na d. 1 grudnia 1781 r. przez kommissyą edukacyi narodowój kompozyty między arcybiskupem gnieźnieńskim, prymasem Antonim Ostrowskim a delegowanemi od kapituły gnieźnieńskiej o obliży duchowne po suprymowaném zgromadzeniu Jezuitów ciężące, postanowiono: że funduszem na utrzymywanie ubogiej szlacheckiej młodzieży przeznaczonym, kapituła nadal zatrudniać się i na cel właściwy używać onego będzie, obowiązując się zarazem każdego czasu na żądanie kommissyi tak z dochodów jako i wydatków oraz z oryginalnych zapisów zdać dostateczną sprawę. W skutek czego ta kapituła zwykła była corocznie wysyłać do Kalisza dwóch swoich kanoników dla sprawdzenia rachunków (3). Z protokołu wizyty szkół wydziału wielkopolskiego (4) okazuje się, iż w roku 1782 w konwikcie Karnkowskiego 4 tylko było uczniów; dopiero w 7 lat później, t. j. w r. 1789 liczba ich doszła pierwo-

(1) Obacz przypisy Nro 4.

(2) Hist. szkół I. Łukaszewicza IV, 83.

(3) Protokół kom. Eduk. z d. 4 grudnia 1781 r.

(4) Księgi wizyt szkolnych w Arch. Koron.

tnego oznaczenia. W raporcie ks. Przyłuskiego z odbytej przez niego w dniach 26—29 listopada 1785 r. wizyty szkół kaliskich, zamieszczono objaśnienie, z jakiego powodu tak znaczna różnica w komplecie liczby uczniów powstała; czemu za przeszkodę główną podaje to: że fundusz Karnkowskiego nie dopełnia się nigdy, chociaż jest dostateczny na utrzymanie 12 uczniów, i że kapituła gnieźnieńska od lat 20 nie płaci procentu od 50,000 złp. na swoich dobrach zabezpieczonych.

Do téj bursy należały jeszcze dwa place z zabudowaniami i ogrodami na Przedmieściu Wrocławskim, obok klasztoru XX. Reformatów znajdujące się, których jednak położenia i granic dostateczniej oznaczyć niepodobna.

2) *Konwikt imienia Czyżewskich* powstał z zapisu 9,800 złp. i z domu drewnianego, który pogorzał w r. 1792, przez Baltazara Czyżewskiego kanonika kaliskiego w r. 1740 uczynionego na dobrach Milejewie, Korytkowie i Marszewie dla ułatwienia edukacyi 4 ubogim uczniom z familii Czyżewskich (1). Kapitał ten innemi ofiarami powiększony i ubezpieczony w różnych miejscach wynosił w końcu 14,000 złp.: prawo rozrządzania nim służyło kapitule kollegiaty kaliskiej jako téż obierania prowizora czyli patrona konwiktu. W roku 1782 i następnych z powodu wstrzymywanych procentów nie było w tym zakładzie żadnego konwiktorza, w r. dopiero 1785 według sprawozdania z wizyty szkolnej, 2-ch tylko uczniów do korzystania z dobrodziejstwa tego przypuszczonych było.

3) *Bursa ubogich* (*pauperum v musicorum*): tak się nazywało miejsce, w którym młodzież uboga otrzymywała naukę i przytułek. Obywatelka kaliska nazwiskiem Sara Tałeska w roku 1606 nabyła dom z ogrodem na pomieszczenie ubogich dzieci potrzebujących nauki i moralnego dozoru; z tego powodu słusznie ją uważać należy jako założycielkę wspomnianego instytutu (2). Bursa ta, jak i poprzednio wymienione była także pod dozorem Jezuitów, którzy jednego z pomiędzy siebie wyznaczyli na jój zwierzchnika, mianującego się regensem lub prowizorem. Kapitał stanowiący uposażenie zabezpieczony był na pewnych nieruchomościach i placach miejskich, procent zaś wynoszący 100 złp. składał szczerpły całoroczny dochód na utrzymanie chłopców przeznaczony; z tego udzielano

(1) Roczniki Inst. Relig. i Eduk. z r. 1826/27.

(2) *Annuae Litt. Soc. Jesu. Moguntinae*. 1618.

im odzienie i żywność lichą, jakątąk naukę w szkole i przy kapeli (1). Podług wizyty szkolnej w r. 1782 dopełnionej, utrzymywano wtenczas 7 uczniów; ci zwani pauprami, nie będąc dostatecznie zaopatrzeni w pierwsze potrzeby życia, częstokroć głodni, z miłosiernych darów możniejszej młodzieży kollegiackiej wspierani, niekiedy z konieczności dopuszczali się nadużyć i grabieży: plądrując letnią porą po ogrodach i sadach, a w zimie wdzierając się do jatek rzeźniczych i piekarskich, z kąd niekiedy obfity plon cudzej własności unosili. Dozór szkolny nie mogąc czy niechcąc złemu stanowczo zaradzić, na te zdrożności rażące patrzył obojętnie, jak mówią, przez szpary, z czego częste były zażalenia magistratu do rektorów kollegium (2). Do tego jednak stopnia doszło w końcu rozwolnienie, iż pod r. 1680 w aktach Tryb. piotrkowskiego (3), znajduje się dowód, jako rektor kollegium jezuickiego z Kalisza, zapożywa Stefana i Wojciecha Mroczkowskich właścicieli wsi Bilejowo o to, iż ci pomimo żądania nie chcą wydać Ruzkowskiego Andrzeja ucznia z bursy jezuickiej, który skradłszy wiele przedmiotów kościelnych zabrał swoje rzeczy i schronił się do ich wsi. Dom jednopiętrowy, w którym Bursy zakład się mieścił, graniczył z zabudowaniami szkolnemi kollegium, tworząc narożność przy dzisiejszej ulicy Łaziennej.

Jak w innych tak i w szkole kaliskiej byli uczniowie funduszowi, stypendystami zwani, z zapisów osób prywatnych utrzymywani. O jednym z takich powzięliśmy wiadomość: że proboszcz parafialny sieradzki miał prawo prezentowania uczniów do kollegium kaliskiego z zapisu ks. Porowskiego w r. 1633 w grodzie sieradzkim działyanego (4).

Zbiory naukowe kollegium kaliskiego stanowiły ważny środek ułatwiający młodzieży nabywanie obszerniejszych wiadomości, takimi były: biblioteka, oraz gabinet fizyczny i różnych osobliwości przyrody.

Biblioteka. W miarę jak zakon jezuicki szybko w znaczeniu swém wzrastał, pomnażały się powszechnie i jego księgozbiory. To téż Jezuici kaliscy posiadali dość znaczną bibliotekę, opatrzoną w stosowny dobór dzieł w różnych gałęziach

(1) Księgi wizyt szkol. w Archiw. Koron.

(2) Hist. szkół. J. Łukaszewicza I, 271.

(3) Ks. 265 f. 437. Arch. Metr. Koł.

(4) Przegląd warszawski z r. 1840 I, 313.

wiedzy. Zbiór ten jednocześnie powstał z erekcją kolegium i jak samo kolegium wziął początek również od Karnkowskiego. Troškliwy o wszystko prymas już w r. 1584 pierwszy darem wielu ksiąg nowe pułki biblioteczne zapełnił, dając tém samym przykład do naśladowania (1). W r. 1589 powtórnie znów, lecz znacznieszą uczynił ofiarę (2); a w lat 8 później pomnożył bibliotekę nowym zbiorem ksiąg matematycznych i treści specjalnej (3). Zawsze pamiętny na dobro zgromadzenia w ostatniem nawet rozporządzeniu uczynił dla biblioteki zapis, którego jednak bliższych szczegółów nie znamy (4). Odtąd pomnażał się ciągle ten księgozbiór hojnością ofiar osób prywatnych, jak niemniej staraniem samych Jezuitów zasilany. Brudecki Prokop dziekan kaliski pleban sobotski zapisał własną bibliotekę na rzecz tutejszego kolegium (5). Lisiecki Jędrzej h. Drya niekiedy mylnie Lisiewskim zwany, prawnik i dziejopis za Zygmunta III, pod którego panowaniem pełnił urzędy instygatora koronnego i surrogatora grodzkiego kalis. przed śmiercią r. 1639 znaczny swój księgozbiór Jezuitom przekazał (6); Molska stolnikowa i surrogatorowa kalis. córka Marcina Czarnieckiego zmarła r. 1705 na powiększenie ich biblioteki 10,000 złp. przeznaczyła (7). Za czasów Załuskiego i Konarskiego powiększony obieg książek w handlu wpływać musiał i na zbogacenie biblioteki Jezuitów kaliskich. Po zniesieniu Tow. Jez. stała się ona własnością Izby Edukacyjnej, która ją szkołom wydziałowym miejscowym oddała. Zwiedzający te szkoły wizytatorowie, pojmując konieczność i korzyść z uporządkowania tego składu, liczne w tym względzie czynili wnioski i przełożenia, mianowicie co do skompletowania dzieł defektowych, usunięcia egzemplarzy zbytecznych i spisania inwentarza, na co projektowany wydatek dalby się pokryć funduszem ze sprzedaży duplikatów zyskanym. Ulepszenie to po kilkunastu dopiero latach przedsięwzięto, lecz przytém, jak się zdaje, wiele dzieł ważnych i rzadkich uroniono,

(1) *Annuae Litt. S. I. Romae.* 1587.

(2) *Tamże,* 1591.

(3) *Tamże.* Lugduni. 1607.

(4) *Tamże,* Duaci. 1618.

(5) *Kor. Pols. Niesiecki I,* 119. *Hist. szkół Łukasz. IV,* 79.

(6) *Kor. Pols. Niesiecki III,* 131, *Dyke. Ucz. Pol. Chodynieckiego II,* 29.

(7) *Kor. Pol. Niesiecki I,* 347.

skoro w roku 1826 z tak zamożnego zbioru ogólna liczba dzieł tylko 3208 wynosiła. Autor Ksiąg Bibliograficznych jeszcze przed rokiem 1823 zwiedzając suprymowane biblioteki, zauważył w jednej tylko po-Jezuickiej kaliskiej zupełniejszy komplet wydań o soborach i koncyliach kościoła katolickiego w Polsce (1). Wiadomość ta dowodzi, ile przełożeni kollegium kaliskiego dbałemi byli o zaopatrywanie się w dzieła rzeczywistej wartości i pożytku (2).

Gabinet, o którym wyżej wspomniano, istniał przy kaliskim kollegium. Zdaje się, iż powstał dopiero w świetnym czasie reformy Stanisława Konarskiego, albowiem odtąd zaczęli Jezuici wykładać nauki staranniej, pomnażając je przedmiotami nowemi do potrzeb praktycznego życia zastosowaniami. Nie posiadamy wszakże innych do tego przedmiotu odnoszących się wiadomości historycznych nad samą tylko wzmiankę, dostrzeżoną w spisie przedmiotów jednego z fascykułów starych papierów po-Jezuickich zachowujących się obecnie w Archiwum koronném.

Z liczby nauczycieli, którzy się odznaczyli nauką w kollegium tutejszém, historia zakonu wspomina następujących: *Zygmunta Brodowskiego* h. Łada, *Stanisława Koczorowskiego*, *Karola Malaperta*, *Wojciecha* i *Tomasza Młodziańskich*, wreszcie *Jana Kantego Chojeckiego*.

Nadto kollegium kaliskie wydało z pomiędzy uczniów kilkudziesięciu ludzi światłych ze znamienitemi zdolnościami, którzy różnemi czasy po większej części w stanie duchownym wysokie piastowali godności. Do takich a więcej znanych należą:

Łubieński Maciej h. Pomian, syn Świętosława, arcybiskub gnieźnieński (3).

Łubieński Stanisław brat poprzedniego, biskup płocki, dziejopis i mówca za panowania Zygmunta III; wszystkie prace jego historyczne w języku łacińskim ogłoszone drukiem w Antwerpii 1643 r. in fol. (4).

(1) Tom II, 111.

(2) Exemplarz rzadkiej dziś edycyi dzieła *Kallimacha* p. t. *P. Callimachi Geminianensis, historia de Rege Vladislao seu clade Varnensi etc.* z biblioteki szkolnej kaliskiej pochodzący, niedawno przez M. Gliszczynskiego na polski przetłumaczony, był niegdyś jak się zdaje własnością tutejszych Jezuitów.

(3) *Obraz wieku panow. Zygm. III, Siarczyńskiego II*, 298.

(4) *Tamże I*, 299.

Halezyusz Ambroży, minister zboru braci czeskich we wsi *Parcicach* ziemi wieluńskiej (1).

Szyszkowski Marcin, biskup krakowski (2).

Leszczyński h. *Wieniawa*: *Jan* biskup chełmiński i *Rafał* pułkownik: synowie *Wacława* kanclerza koronnego (3).

Wężyk Jan arcybiskup gnieźnieński (4).

Męciński Wojciech h. *Poraj*, Jezuita, gorliwy misyjnarz w Japonii (5).

Trzebicki Jędrzej h. *Łabędź* syn *Marcina* kasztelana wieluńskiego, biskup krakowski (6).

Olszowski Andrzej syn *Waleryana* kasztelana spicimirskiego, arcybiskup gnieźnieński (7).

Łubieński Władysław Aleksander, arcybiskup gnieźnieński, dziejopis i jeograf za panowania *Augusta III* pozostawił dzieło p. t. *Świat we wszystkich swoich częściach* i t. d. *Wrocław 1740*.

Lipski Jan Aleksander. h. *Grabie*, kardynał, biskup krakowski (8).

Po zniesieniu Jezuitów długo jeszcze kommissya edukacyjna utrzymywała w Kaliszu szkoły. Wielu z członków tego zgromadzenia poświęconych stanowi nauczycielskiemu nie przestało w swém powołaniu zostawać jako ludzie świeccy. Akademia zaś krakowska mając sobie powierzony zwierzchni dozór cywilny nad szkołami krajowemi, szczególniejszą zwracała uwagę na pozostałe w Kaliszu. Skutkiem téż gorliwości przełożonych i sumiennego wykładu nauk, szkoły te zyskały nawet niemalą wziętość, tak, iż z całej Wielkopolski licznie zjeżdżała się do nich młodzież, jak o tém przekonywa sprawozdanie z odbytej tu w r. 1786 wizyty (9).

(Dokończenie nastąpi).

(1) O kościołach braci czeskich w Daw. Polsce, Łukaszewicza, 335.

(2) *Vitae Praesulum etc.* Rzepnicki I, 346.

(3) Tamże III, 97, Kor. Pols. Niesiecki III, 87.

(4) *Societ Archiep.* Gnesn. S. Damalewicz 374.

(5) Kor. Pols. Niesiecki III, 237.

(6) Tamże IV, 390.

(7) *Vitae Praesulum etc.* Rzepnicki I, 181.

(8) Kor. Pols. Niesiecki III, 119.

(9) Archiw. Metr. Kor.



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Thiersa piętnasty tom konsulatu i cesarstwa.— *Etudes et lectures sur les sciences d'observation*, przez Babineta.— Pamiętniki Guizota.— Teatra; *Camma*, tragedia włoska Montanellego.— Koncerta.— Wystawa obrazów Delarocha.

Wyszedł z druku Thiersa piętnasty tom Konsulatu i Cesarstwa; rozpoczyna się odwrotem z Rossyi. Po utracie sześć kroć stu tysięcznej armii wygubionej ogniem i mrozem, Napoleon sam jeden przebywa na powrót drogę, którą przed półrokiem przeszedł maszerując tryumfalnie po zgiętych karkach niemieckich i poprzedzony dwudziestym dziewiątym buletynem, powraca do ośłupiałej rozpaczą Francyi. W sercu narodu wre oburzenie, niemal nienawiść ku wielkiemu sprawcy tylu klęsk... całą Francją jak długa i szeroka, pokrył kir, jak jedną trumnę: nie ma domu, nie ma chaty, nie ma kąta gdzieby nie płakano kogoś; gdzieby matka, żona lub siostra nie rzucała na głowę cesarza przekleństwa, wraz z krwią ukochanego.

Ale mimo tak straszne oburzenie, nikt otwarcie wystąpić nie śmie: gniewna Francya trzymana na wodzy już tylko moralną potęgą swego władcy, pod wzrokiem jego stoi nieruchoma, jak ów lew uderzony talizmanem duszy.

Wspaniały jest ten obraz pasującego się z niepodobieństwem geniusza, ta walka całego świata z jednym człowiekiem, który skutkiem niezłomnej woli i nadludzkich wysileń, znów wydobywa się na wierzch, i stawia nogę na gardle przełękłej Europy.

We cztery miesiące po powrocie z Rosyi, od stycznia do maja 1813 r., Napoleon z niechętniej i wycieńczonej piętnastoletnią wojną Francyi, wyciąga nową armią i nowe dostatki. Deficyt skarbu pokrywa dwieście milionów za sprzedane własności gminne; arsenały dostarczają broni wydobytej z najskrytszych swych zakątków; kanonierzy z okrętów przechodzą do armii lądowej; armia hiszpańska przysyła nowe kadry najwaleczniejszych oficerów; Senat oddaje do dyspozycji zwyciężonego cesarza 350,000 nowych żołnierzy; dziesięć tysięcy wyborowych ludzi zbudzone krzykiem „ojczyzna zagrożona!” siada na koń, i przy boku cesarza staje jako jego gwardya honorowa.

I znowu świeże zastępy, długim sznurem jak żurawie ciągną nad brzegi Renu, w drodze ucząc się robić bronią, w drodze zmieniając bluzy na mundury, a miękkie serca zachwiane łzami matek, na pałające żądzą zwycięstw harde dusze.

Francya po tym ostatnim wysiłku, jak ten co spełni w imię Boże ofiarę ku powszechnemu dobru, ze spokojem rezygnacyi poglądała na idących na nowe boje synów, i czekała wypadku nowej walki, śląc błogostawieństwa w ślad za oddalającym się hucem swych obrońców.

Tymczasem Niemcy wrą zemstą i zrywają się do walki. Skoro cztery tysiące rozbitków wielkiej armii, w łachmanach, bez broni, bez orłów, bez sternika, przybyło nad Niemen, cały szczepek Germański zadrżał z radości. Z razu nie śmiano wierzyć tak wielkiej łasce niebios, ale wnet przybywające wojska rosyjskie nie dozwoliły już wątpić o przegranej Napoleona. Wybuchnął więc niepodobny do opisanja zapal: kto w Boga

wierzył stawał pod broń, pragnąc dobić zwyciężonego. Blücher, Scharnhorst, Gensenau, stanawszy na czele Tugend-Bundu zapalili całe Niemcy. Wypróżniły się uniwersytety; profesorowie filozofii porzuciwszy metafizykę dla chorągwi, zaciągali się do wojska wraz z uczniami; całe pułki Czarnych ochotników, szwadrony Zielonych strzelców poprzysięgły śmiertelną walkę cesarzowi Francuzów. Na czele entuzjastów Teodor Körner śpiewał swój poemat Lira i Oręż; Ruckert deklamował W stal zakute Sonety.

Nie ma podobno w dziejach świata epicznego poematu, któryby można porównać z tą epopeją, którą opiewa Thiers pod napisem „Lutzen i Bautzen.” Czemże są walki Homera obok tych tak świeżych jeszcze tytanicznych bojów, które opowiadali nam naoczne ich świadki—ojcowie nasi. Po jednej stronie całe młode Niemcy kipiące miłością ojczyzny, palone żądzą zemsty, pragnieniem zwycięstwa: wszystkie urazy, wszystkie zniewagi przez pięć lat znoszone w milczeniu, naraz wybuchające hukem strzałów armatnich; po drugiej francuzkie rekruty oderwane wczoraj od pług, stojące w obronie dziesięcioletnich zwycięstw, w obronie ortów i ambicyi cesarza, która w ich pojęciu wyobrażała chwałę ojczyzny.

Młodzi, niewprawni żołnierze, pod gradem kul nieprzyjacielskich w bohaterów zamienieni, po dwa kroć, pod Lutzen i Bautzen powalili powstające Niemcy; ale w końcu zwycięstwo, jakby znużone tyloletnią stałością, porzuciło walecznych synów Francyi. Na przesiąkniętych krwią pobojuiskach Napoleon zbierał już tylko śmiertelnie ranne zwycięstwa: nigdy jednak więcej się nie narażał jak wtedy. W całej tej kampanii, powiada Thiers, cesarz Napoleon chciał być tylko generałem Bonaparte. W Dreźnie sam pilnował stawiania mostów; granaty padały jak grad wokoło niego, jeden z nich pękawszy cisnął mu w twarz tuman piasku

i kamieni; stojący obok młodzi włoscy żołnierze padli na ziemię: „Ah! coglioni, non fa male!” zawołał śmiejąc się do nich Napoleon. Bywało nawet, że się narażał, jakby umyślnie szukał śmierci. Opowiada Thiers, że po bitwie pod Bautzen, zasmucony śmiercią Duroc'a, najdawniejszego i najszczerzego przyjaciela swego, cesarz wyszedł na forpoczty i usiadł na faszynach zaledwie o kilka kroków od nieprzyjaciela. Tam siedząc płakał... a pies żołnierski patrzył mu w oczy i lizał ręce. Byłażto boleść po stracie przyjaciela, czy też przecucie, że te dwa dni zbiegłe są ostatnią pociechą zstaną z niebios, które odtąd już tylko karać miały?

Wojenny dramat, Thiers przeplata dyplomatyczną komedią, którą czytając nie wiadomo czy się śmiać czy oburzać. Kłopoty królików niemieckich postawionych pomiędzy burzącym się ludem, a groźbą Napoleona, wybornie opowiedziane. Książęta ci, niepewni jutra, bojąc się zarówno poddanych swoich i wojsk francuzkich, oszukują, mataczą i intrygują aż do chwili, kiedy uniesieni ogólnym prądem, przyptywają społem do zwyciężkiego obozu.

Wszystkie te zapasy i wysilenia wielkiego geniuszu i wielkiego narodu walczącego przeciw całemu światu, Thiers opowiedział tak, jak powinien mówić dziejopis: stylem jasnym, prostym i trzeźwym. Nie ma tam ani poezyi, ani porównań świetnych, ani słów kwiecistych; ale są daleko pożądańsze w historycznym dziele rzeczy: fakta i liczby. Zarzut jaki: czyniono dziejopisom starożytnym, że uwodzili wymową, pewnie nie spotka Thiersa w przyszłości; jeżeli co zarzucić mu można, to może nadto wielkie staranie się o jasność, z kąd poszło, że autor często się powtarza, a czytelnik nieraz doznaje przesytu oczywistości: aie te drobne plamki znikają w potężnej i wybornej całości.

Dwa tomy jeszcze, a ukończona będzie ta ogromna praca; jeszcze kilka miesięcy, a stanie ten wielki pomnik dziejowy, trwały jak brzoza kolumna Vendôme;

jeszcze chwila, a imię Thiersa zespoli się na wieki z wielkością pierwszego cesarstwa.

Pod napisem *Etudes et lectures sur les sciences d'observation*, pan Babinet członek Instytutu, wydał trzy bardzo zajmujące tomiki, w których zgromadził wszystkie swe naukowe artykuły pisane do dzienników i przeglądów, a mianowicie do *Revue des Deux Mondes*. Są to rozmaite wycieczki w umiarkowane strefy scyentyfikcznego świata, wiadomości naukowe obrane starannie z wszelkich nużących formułek i wypowiedziane w sposób tak miły i przystępny, że czytający nie męcząc się, ale bawiąc po drodze, wchodzi sam nie wie kiedy na szczyty wiedzy, zaledwie tylko ludziom specjalnej nauki przystępne.

W tej podróży idąc krok w krok za światłym przewodnikiem, człowiek nawet zupełnie nieznający fizyki ani astronomii, znajdzie wyjaśnienie wielu fenomenów w naturze, rozwiązanie kwestyj często poruszanych w rozmowie potocznej. Najwięcej uderzające fenomena globu, jak meteorologia, prądy oceanu, ognie podziemne, trzęsienia ziemi, cuda elektryczności i światła, prawa perspektywy powietrznej i t. d. pod piórem Babineta odkrywają kolejno swoje tajemnice.

Oprowadziwszy czytelnika po ziemi, uczony fizyk porywa go w powietrze, i unosząc na skrzydłach nauki pomiędzy girlandą globów, goni z nim razem komety, podsadza go na księżyc, pozwala dotknąć skwarnej skorupy Merkurego, spacerować wkoło saturnowego pierścienia, lub przypatrzeć się zbliżka brylantowej Wenerze. Pan Babinet tak dobrze zna wszystkie ścieżki i manowce na planetach, jak chłop nasz drogę do parafialnego kościoła; wszystkie zaś gwiazd tajemnice zbadał tak głęboko, że w jednym z swoich artykułów dyskutuje seryo możebność zamieszkania słonecznego jądra.

Babinet pierwszy począł pisać felietony naukowe treści. Nowy ten rodzaj wykładu, który spodziewana kometa Karola V wprowadziła w modę, niezmiernie teraz popłaca w Paryżu. Nikt nie powie trzech słów, nie napisze trzech wierszy, żeby z téj lub owéj okazji nie wspomniał lub nie odwołał się do uczonego fizyka. Wzięcie to pojąć łatwo: Babinet człowiek salonowy, wykształcony nietylko specjalnie, ale wszechstronnie, umie dramatyzować naukę, przedmioty dotąd wykładane sucho i nudno ubierać w poetyczną szatę cudu, unikać zbyt stronnych ścieżek, a usypywać kwiatami te, które przejść koniecznie wypada. Pełen greckich i łacińskich cytacyj, uczony akademik nie pominie żadnej sposobności przytoczenia jakiej zabawnéj anegdoty lub dowcipnego konceptu, zrodzonego w starożytnym albo nowożytnym świecie, co niezmiernie urozmaica wykład i w pamięć go wraża. Może to bowiem smutna prawda, ale, z przeproszeniem moralistów, prawda niezawodna, że dowcipny żarcik daleko łatwiej chwytą się głowy ogółu, niż najzbawienniejsze kazanie, i najczęściej bywa, że jeżeli kto spamiętał lekcya, to dla miłości jakiejś anegdoty, lub definicyi, która w kilku trafnych wyrazach zawierała treść godzinnego wykładu. Nie inaczej: dopóki ludzie ludźmi, dowcip był i będzie najzrozumialszą dla nich mową, najskuteczniejszym biczkiem do kierowania nimi, najsprężystszym czynnikiem do rozczywania zakamieniałych w fałszu lub przesądzie głów ludzkich, niezdolnych otworzyć się pod tchnieniem choćby najgorętszej miłości.

Niejeden zapewne zuczonych pedantów, którzy pod pozorem głębokości, tak powiązali naukę z nudami, iż ku niéj większą połowę rodzaju ludzkiego zniechęcili, zarzuciłby panu Babinet zbytnią lekkość, uganianie się za kolorem i efektem, rezultatami trudno dającymi się pogodzić z surowym charakterem nauki. Ale jestże to wadą w istocie? Dlaczego poetyczna lub elegancka

forma miałaby ubliżać nauce? Dlaczego we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej, piękno nie miałoby się łączyć z prawdą? Pomijając nawet estetyczną stronę takiego wykładu, i zpatrując się nań ze stanowiska praktycznego, doświadczony sędzia przyznać musi, iż to jest najpewniejszy środek nauczania, i dlatego życzyliby należało, ażeby uczeni piszący dla większej masy publiczności, o ile można w ślady panów Arago i Babinet'a wstępowali, to jest, wiedzę swą w najprzystępniejszej i najobrazowszej wypowiedali formie.

Potrzeba koniecznie powabem jakimś okrasić myśl, jeżeli chcemy, żeby weszła i przyjęta się w niewprawnych do myślenia głowach; inaczéj skarby wiedzy będą zawsze tylko konserwatywnym majoratem przechodzącym z ojca na pierworodnego, w wielkiem państwie nauki, w najlepszym zaś razie staną się własnością kilku lub kilkunastu ludzi: masy ze światła ich korzystać nie będą, a wszakże Pismo mówi wyraźnie: „nie trzymaj światła pod korcem”.

Pan Babinet idąc za przykładem pana Arago, nie ubliżył sobie bynajmniej tém, że zstąpił z naukowych szczytów i przyczynił się do wielkiego dzieła literatury scyentyficznej, której zadaniem rozpowszechnianie pojęć zdrowych o rzeczach tego świata, tłumaczenie fenomenów uderzających w naturze i podniesienie tym sposobem umysłów tak wysoko, żeby się mogły bronić przesądom i nie przerażać baśnią.

Między Franciszkiem Arago a Babinetem ta zachodzi różnica, że pierwszy sprowadził swą wiedzę do najprostszego, elementarnego wykładu: pisał dla ludu; Babinet zaś przemawia do wykształcenijszej klasy społeczeństwa, z którą mimo to, często od abecadła zaczyna, nie zapominając nigdy dodać grzecznie „wiadomo każdemu iż”... i t. d. Arago był zapewne uczeńszy w swoim, niż Babinet w swoim fachu; ale to pewna, że ten osta-

tni jest zręczniejszym rozpowszechnicielem nauki, i na tém polu wielkie usługi oddać może ludzkości.

W trzech-tomowém dziełku, o którym mowa, Babinet tłumaczy naprzód fenomen przyptywu i odptywu morza; następnie opowiada przyczyny trzęsień ziemi, owych strasznych konwulsyi globu, w których ląd stały podlany oceanem kipiącój lawy, chwieje się jak pokład miotanego burzą okrętu, a potężne stolice rozpadają się jak z kart stawiane pałace. Potém następuje meteorologia. Babinet niebardzo ten mglisty przedmiot rozświeca. „Jestto jeszcze, mówi on, zbyt młoda, zbyt nieujęta, zbyt skrzydlata nauka, żeby ją na niewzruszonej można oprzeć podstawie, i choć niezmiernie ważna dla człowieka, bo dotycząca zdrowia i urodzaju, przez wiele lat jeszcze ci, co nam o pogodzie i deszczu prawić zechcą, nie będą niestety wieszczami, ale kronikarzami tylko. Na cóż więc się przyda nauka? rzekła raz do członka akademii pewna dama zniecierpliwiona niepewnością jego odpowiedzi. „Na to, odrzekł uczony, żeby umieć powiedzieć „nie wiem.”

Po meteorologii następuje nauka o księżycu, a po niej bardzo zajmujące rozdziały o elektryczności. „Używszy, powiada autor, jako dzielnego pomocnika w pracy, wody i ognia, sił żywych i sił martwych, geniusz ludzki wezwał do pomocy samego piorunowego czynnika, ów płyn tajemniczy, niedostrzeżony, niechwytny... i, rzecz dziwna, czynnik ten fizyczny tak słusznie straszny, okazał się najpowolniejszy z wszystkich, jakie człowiek zdobył na naturze.”

Telegrafia elektryczna, ten cudowny wynalazek który rzuconą myśl w kilku sekundach przesyła na drugi koniec świata, a usunąwszy dzielącą ludzi przestrzeń, przygotowuje wielkie dzieło zjednoczenia ludzkości, niepoślednie także miejsce zajmuje w studyach Babinet. Po niej autor przechodzi kolejno wszystkie usługi, jakie motor elektryczny oddaje przemysłowi. Poró-

wnając tę potężną siłę do czarodziejki z Tysiąca nocy, która jak niewolnica wierna, zadosyć czyni każdej potrzebie, urzeczywistnia wszystkie pomysły, zaspokaja wszystkie zachcenia człowieka, ukazuje nam elektryczność pracującą z niezmordowaną czynnością nad tworzeniem lub ozdobą wyrobów metalowych, zastępującą leniwy rylec, wykonywającą w mgnieniu oka rżnięte płyty, tworzącą nową sztukę: galwanoplastykę, która powiązała przemysł ze sztukami pięknymi.

Skreśliwszy umiejętnie i jaskrawo potęgę wiedzy człowieka, cudowne rezultata nauki, ogrom środków jakie dziś ma na swoje usługi, słowem, olbrzymie dzieła, których ludzie dokonali w tym wieku najważniejszych wynalazków, Babinet przechodzi do dzieł Boskich. W rozdziale „O perspektywie powietrznej” wykłada prawa optyki będące kluczem do zrozumienia zjawisk, które tak silnie działają na zmysły nie umiejącego ich sobie wytłumaczyć człowieka, jak naprzykład, mamidła pustyni, kilka słońce na niebie, zbliżające się góry, które zdają się wychodzić na spotkanie wędrowca, i tęp podobne złudzenia. Tutaj znakomity fizyk traktując przedmioty swego fachu, największą rozwija erudycją; cały szereg globów przesuwając przed oczyma czytelnika, tłumaczy każdą figurę ich tańca, pokazuje ich rzeczywiste obroty, które widziane z ziemi częstokroć zupełnie inaczej niż są, przedstawiają się oku; tłumaczy, czemu naprzykład księżyc niemający trzeciej części średnicy kuli ziemskiej, zakrywa nam całkowicie w zaćmieniach tarczę słoneczną, która jest sto dwanaście razy większa od naszego globu.

Od perspektywy powietrznej, Babinet przechodzi do perspektywy ziemskiej: wykłada własności dziś powszechnie znanego narzędzia, stereoskopu, który pod okiem patrzącego rozwiązuje ręce malowanych posągów, prosty rysunek zmienia w statwę naturalnej wielkości, z przestrzeni wytwarza kształt i życie. W koń-

ou wykłada ex-professo wielkim dzieciom, bezdu-
szność zabawki obracania się stołów, licząc ją do rze-
czy będących umyślową hańbą naszego wieku.

A propos obracających się stołów, które amerykań-
ski czarnoksiężnik Hume na nowo tu w modę wprowa-
dził, donosimy czytelnikom naszym, iż wyszło dwu-to-
mowe dzieło pod napisem. *Histoire des sciences
occultes, ou examen des croyances populai-
res sur la magie et la sorcellerie depuis le
commencement du monde jusqu'à nos jours.*
Dzieło to, którego autorem jest hrabia d'Aubert de Fle-
sie, tutejszy dziennik katolicki *l'Univers* poleca jako
skuteczne lekarstwo przeciw stoło-manii. Jeżeli tak
jest, nie możemy dość śpiesznie zawiadomić o téj rece-
pcie ziomek naszych, o ile nam wiadomo, powszech-
nie na tę chorobę słańbujących.

Najważniejszą z nowin literackich jest ta, że pan
Guizot sprzedał księgarzowi Lévy swoje pamiętniki za
100,000 franków. Ex-minister nie miał zamiaru wyda-
nia téj pracy za życia, ale niedawno ogłoszone pamię-
tniki księcia Raguzy, skłoniły go do tego. Zdaje się, że
w dziele Guizota będzie wyjaśnienie wielu faktów rzu-
cających nieprzychylnie światło na zawód polityczny
Marmonta. Pamiętniki obejmują peryod trzydziesto-
cztero letni: rozpoczynają się 1814, kończą na 1848 ro-
ku; wyjdą w pięciu tomach.

Niespodziana zapowiedź téj publikacyi zaostrzyła
ciekawość powszechną. Przyjaciele Guizota wołają
z góry, że to będzie najważniejsze dzieło historyczne
ostatnich czasów, spodziewają się wyjaśnienia mnóstwa
punktów ciemnych w panowaniu Ludwika Filipa, roz-
wiązania wielu nierozwiązanych dotąd zagadek. Nie-
chętni wysmiewają i przedrzeźniają naprzód sposób,
w jaki dzieło napisane będzie. Że to jest bardzo tra-

fna satyra przeciw wszystkim piszącym teraz gromadnie swoje pamiętniki autorom, przytaczamy co mówi o zapowiedzianém dziele najdowcipniejszy i najrozsądniejszy z dzienników paryzkich:

„Słychać, że pan Guizot ma ogłosić swoje Pamiętniki, jako materiał do historyi naszego czasu. Wyborny to pozór mówienia o sobie i zostawiania przez kilka tomów w kontemplacyi siebie samego. To się zowie gromadzić materiały dla przyszłych historyków.

„Toż samo zrobili niedawno p. Dupin i doktor Véron, toż samo czynią wszyscy piszący teraz swoje Pamiętniki.

„Jest tylko jeden sposób gromadzenia materiałów historycznych. Autor bierze pióro i zaczyna mniej więcej jak następuje:

„Urodziłem się na kilka lat przed końcem zeszłego wieku. W dniu moich urodzin natura uczuła coś nakształt uniesienia radości. W nocy przepyszny fajerwerk wyleciał w powietrze tak, że nikt nie widział ręki która go wypuściła. Tajemniczy ten ogień widzieli wszyscy mieszkańcy mego rodzinnego miasta, każdy z nich poświadczyć to może.

„Widoczném jest przeto, że natura sama sobie sprawiła na moję intencją ów fajerwerk, chcąc dać ludziom do zrozumienia, że miałem być kiedyś jedną z chlub Francyi. Kiedy mówię jedną, rozumie się że największą.

„Przejdźmy pobieżnie pierwsze lata mego życia:

„W szkołach byłem już uważany jako fenomen, koledzy moi zaręczają, że nieraz widzieli nad czołem mojem błyszczącą aureolę. Jestto prosty szczegół, który przytaczam nieprzywiązując doń żadnej wagi; ale ponieważ mam dawać materiały historyczne, muszę dotrzymać słowa, choćbym nawet miał zadrasnąć wrodzoną skromność moję.

„Wszedłszy na świat obładowany wszystkimi możebnymi koronami uniwersyteckimi, ogromne sprawiłem wrażenie. Rywale moi, przeciwnicy polityczni (już ich miałem wtedy), utrzymywali, że w dwudziestym roku życia byłem już suchym i bardzo nieprzyjemnym pedantem; faktem jest, iż powagą i pięknnością linii głowa moja przypominała najzdarniejszych filozofów greckich.

„Znane są moje sukcesy professorskie. Przez długi czas uosabiałem całą filozofią i całą wymowę Sorbony, tak jak miałem później uosabiać wymowę i inteligencją polityczną parlamentu francuzkiego.

„Przystąpmy do mojej kariery człowieka stanu: jakby tu o niej mówić dość godnie? Nie dlatego, żeby mi zbywało na ochocie, ale nie mam słów na oddanie uwielbienia, jakie dla siebie czuję wspomniawszy na tę epokę mego życia.

„Weźcie najznakomitszych polityków wszystkich narodów jacy kiedy byli na świecie: Peryklesa, Cezara, Karola Wielkiego, Richeliego, Pitta, Napoleona, włóżcie ich w jeden piec, stopcie razem, a jeszcze nie otrzymacie metalu dość przedniego na ulanie mojej statuy.

„Mówię to bez ogródki, w kilku słowach. Historia wynajdzie ten prosty szczegół pomiędzy materyałami, które jej przekazuję.

„Mamże nie wspomnieć o moim najpiękniejszym czynie: szkole doktrynerów, którą ufundowałem z pomocą Royer-Collard'a? Nie ma nic szczytniejszego w historii inteligencji ludzkiej! Moi nieprzyjaciele polityczni chcąc mnie poniżyć utrzymywali wprawdzie, że doktrynery literackie zaswędzili Francją nudami, że ją zadusili, zabili, zamęczyli, przywiedli do ostateczności, tak dalece, że kraj aż zrobił rewelucyą, żeby ich się pozbyć. Otóż w dalszym ciągu wykażę, iż przeciwnie: rewelucya 1848 roku wybuchła skutkiem uwielbienia dla mojej osoby...

„Ale spostrzegam, że piszę pamiętniki Guizota. Nie chcąc ogłaszać naprzód materyałów, które ex-minister przygotował dla historyi, rzucam pióro.”

W teatrach francuzkich od przedstawienia Fiamminy, nie pojawiło się nic znakomitego. Komedia *Je an le Toqué*, którą Congniard umyślnie dla sławnego aktora Bouffé napisał, nie odpowiedziała oczekiwaniu. Nie pierwszyżo przykład niepowodzenia dzieł dramatycznych, których główna rola nie dla sztuki, ale dla aktora pisaną była; mimo to autorowie od téj metody odstąpić nie chcą. W Paryżu mianowicie, gdzie sławni aktorowie w ścisłej zostają przyjaźni z dramaturgami, sztuki robią się dla nich na obstalunek, jak odzienie. Autor bierze im miarę jak krawiec: tyle obwodu ma całość, tyle cali dowcipu, tyle wesołości, tyle uczucia, i. t. d. W kilka tygodni przynosi ubiór gotowy: aktor przymierza go na probie, czuje że mu wygodny, szwy go nie cisną, poły opadają dobrze, słowem odzienie wyborne: a jednak prawie zawsze rezultat nie odpowiada nadziejom. Dziwi się dyrekcyja, dziwi się aktor czemu grając tak dobrze nie sprawił większego efektu. Czemu to przypisać? Wszystkie jego zalety uwydatnił przecież autor: była scena łzawa, scena nerwowa, scena obłąkania, scena konwulsyjnego śmiechu, słowem wszystkie w których celuje, i nic!

Otóż właśnie dlatego nie powiodło mu się tą razą. Główna figura znikła w aktorze, sztuka stała się długim monologiem, przerywanym tylko kiedyniekiedy odpowiedzią nic nie znaczących powierników. Chęć odniesienia wszystkiego do jednej osoby, gwałci niejako wolność sądenia, i dlatego widzowie przez wrodzone człowiekowi sprzeciwieństwo, odwracają wzrok od téj perfekcyi, i szukają na uboczy jakiej zatartéj figury, którejby klaskać mogli.

Nowym dowodem że tak się dzieje, było przedstawienie *Jean le Toqué*. Wszystkie pochwały zebrał w podrzędnej roli występujący aktor; nie dlatego, żeby Bouffé grał źle, Boże uchroni, grał jak zazwyczaj, to jest wybornie, ale rola była zawidocznie dla niego przykrojona.

Z dramatem rzecz się ma jak z powieścią. Czemu w powieści bohater jest prawie zawsze nieznośny? Chociaż autor gromadzi w nim wszystkie ponęty i cnoty: daje mu piękność, bogactwo, dowcip, mężstwo i szlachetność; daje mu sposobność rozwinięcia tych wszystkich zalet, nie mu się nie opiera: ani kobiety, ani mężczyźni, zwycięża wszystko, włada wszystkiem, a mimo to, (czyli właśnie dlatego) gdyby nie jakaś poboczna wcale niedoskonała figura, wesoła, śmieszna, rozrzuwająca, lub poprostu prawdziwa, niejeden rzuciłby książkę, znudzony.

Toż samo w teatrze: zdaniem naszym, jeżeli aktor ma znakomity talent, nie należy dlań pisać roli jak dla śpiewaka mającego tylko dwa lub trzy tony nie fałszywe i mogącego tylko nimi śpiewać. Dramaturg powinien przedewszystkiem starać się o prawdę, postawić jakikolwiek typ, ale wyraźny i zakreślić mu akcją jak najszerszą, nie troszcząc się bynajmniej o aktora. Czyto będzie żołnierz, ksiądz, chłop czy szlachcic, dobry aktor potrafi go odegrać, potrafi być wesołym, poważnym, rubasznym lub szlachetnym, dlatego właśnie iż jest dobrym aktorem. Co najsprzeczniesze z jego naturą, to właśnie nastreczy mu sposobność rozwinięcia nieznaných zalet. Aktor winien być obiektywny, nie subiektywny.

Drugą sztuką przedstawianą jednocześnie, a przykrojoną także do figury aktora, jest *Gamma*, tragedia włoska w trzech aktach, którą tłumacz *Medei*, wygnaniec włoski, dla pani Ristori napisał. Ta jednak została

przyjętą dobrze, tak dla swęj rzeczywistęj wartości, jak dlatego, że jest córą wygnania.

Montanelli przedmiot swęj tragedyi wziął z Plutarcha. Bohaterką jest Camma kapłanka Druidów, żona Sinata wodza Gallo-Greków dowodzącego nad rzeką Sangarius w Galacyi. Sinato najdzielniejsza podpora ojczyzny, sam tylko uchronić może kraj od jarzma, które Rzym mu gotuje. Wiedzą o tém Rzymianie i wysyłają nań mordercę, wazala swego, nazwiskiem Sinorix, z którego ręki ginie celtycki wojownik. Zręcznego zabójcę lud obiera wodzem.

Sinorix kocha Cammę i chce ją pojąć za żonę; ale na widok jego, głos wewnętrzny ostrzega kapłankę że to jest zabójca jęj męża. Chce się zemścić, ale nie ma dowodów: wpada więc na dziwny podstęp. „Kocham cię, mówi do Sinorixa, ale czuję, żebym jeszcze więcej kochała tego, co zabił mego męża.” „Tym zabójcą ja jestem!” woła padając jęj do nóg kochanek.

W trzecim akcie odbywają się zaślubiny Cammy z Sinorixem. Oblubienica przy ołtarzu swych bogów pije z poświęcanęj czary i podaje ją oblubieńcowi, który wypija resztę. Odchodząc od ołtarza Camma powiada mu że pił truciznę, i że za chwilę on przed Najwyższym sędzią, ona przed ukochanym mężem stanie.

Taka jest treść, a chociaż akcyja nie jest powiązana ściśle, chociaż węzeł intrygi od początku rozwiązać można, tragedia ma sceny piękne i wspaniałą bohaterkę. Camma jest charakterystycznym obrazem celtyckięj niewiasty, którą Chateaubriand tak świetnie uosobił w Welledzie. Kapłanka bogini Koridwen, gallickięj Diany, miewa sny wieszczce i natchnienia: czar jakiś otacza ją dokoła, zimna i surowa jęj piękność więcej imponuje niż zachwyca, a kiedy wychodzi ze świątyni zbudowanęj z granitowych złomów, każdy świętą trwogą przejęty uchyla przed nią czoła.

W pierwszej zaraz scenie pani Ristori zdumiewa majestatyczną grą swoją. Podnosząca się kurtyna odsłania ją wychodzącą ze świątyni. Camma radziła się bogów: straszliwe wróżby i sny okropne zaniepokoiły jej duszę... objawienia bogini chociaż łaskawsze, nie ukończyły serca... Złowrogie wizje zdmuchują z twarzy uśmiechy i obwijają kaptankę jak czarna chmura, którą daremnie przedrzeć usiłuje. Małżonek jej Sinatus, ma z wojskiem wyruszyć w pole, ale lud szuka daremnie wodza zawsze najpierwszego w boju: nareszcie znajduje go zamordowanego zdradziecko w ciasnym parowie. Kto go zabił? Nikt nie wie. Wtém wchodzi okrzyknięty wodzem Sinorix. Jasnowidząca Camma po dreszczu który jej serce mrozi, po jeżącym się od zgrozy włosie, poznaje zabójcę męża.

Drugi akt nader efektowny zawiera tylko jedną sytuacją, ale przeprowadzoną znakomicie. W monologu Cammy, poprzedzającym jej schadzkę z Sinorixem, Ristori przypomina najpiękniejsze sceny z Myrrhy; w następującej, w której zmusza zdradziecko łatwowiernego kochanka do wyznania zbrodni, staje na szczycie sztuki dramatycznej.

„Kochałam męża, rzecze do niego, ale dopiero po jego śmierci uczułam w sercu ogień prawdziwej miłości; optakuję skon Sinata, ale młodej wdowie oświeca mi nie jego obraz... Daremnie szukam w modlitwie schronienia przed natrętną marą... umysł mój jak tuman kurzu uniesiony wichrem, biegnie za nim, przed ołtarzem klęcząc widzę go na miejscu bogini... widzę go w ciemnych ustroniach świętego lasu... żyję dla nieznanego kochanka, a on nie chce się ukazać oczom moim.” W końcu powiada, że tym ideałem jest zabójca jej męża, człowiek który dla jej miłości został krzywoprzysięzcą, zdrajcą, mordercą, nie dbając ani o gniew bogów, ani o ludzką sprawiedliwość.

Otrzymawszy wyznanie zbrodni od zachwyconego kochanka, Camma nie wierzy i chce jeszcze dowodów. Sinorix pokazuje jęj rękę skaleczoną żelazem Sinata. „Jeżeli jeszcze nie wierzysz, woła, wydrę i przyniosę ci jego zakrwawione serce.” Wtedy Camma podaje mu drżącą rękę. „Uśmiechnij się, powiedz że mnie kochasz, błaga Sinorix. „A mo, odpowiada Camma z wyrazem, po którym znać, że to słowo wyrzekła myśląc o zamordowanym. „Oh! delirio! mówi z uniesieniem zabójca, il talamo presento! Mostro! il talamo tuo sarà la tomba! woła Camma za odchodzącym, z wyrazem nieopisanéj nienawiści.

Ostatni akt przypomina balladę Alpuhara. Na uczcie weselnéj otruta Camma otruwszy męża, śmiechem okropnym usta wykrzywia i czyn swój wypowiada podobnie jak Almanzor Hiszpanowi:

„Pocałowaniem wszczepilem w duszę
 Jad, co cię będzie pożerać;
 Pojdzź zbójco, patrzaj na me katusze,
 I ty tak musisz umierać.”

Korzystając z ostatnich dni chłodnych, koncerty mnożą się w Paryżu z nieubłaganą zajadłością. Każdy żyjący z rzemiosła swego śpiewak czy grajek, widząc zbliżającą się chwilę, w której dylettanci zmordowani sztuczną muzyką wyjadą na wieś słuchać pieśni słowika i owych prawdziwie olbrzymich koncertów, które co rano i wieczór natura Bogu daje, na gwałt drukuje afisze, inwitacye i uwiadomienia, mające dopomódz do podsycenia skazanéj na długie posty sakiewki. Nie ma muru, któryby nie był pokryty rozmaitego rodzaju programami muzycznymi, wabiącemi wzrok to rozmiarem, to kolorem, to jakąś uderzającą właściwością. Jak Paryż wielki, nie ma miejsca, na którémby można zatrzymać wzrok i nie spotkać się z łokciowemi literami wypisaną zapowiedzią muzyczną, jak naprzykład:

„Dziś w sali Hertza monstrualny koncert pana B.”—
 „Muzyka klassyczna.”—„Muzyka romantyczna.”—„Muzyka salonowa.”—„Towarzystwo Choralne.”—„Towarzystwo Filharmonijne.”—„Towarzystwo liryczne.”—
 „Dzieci Lutecyi.”—„Dzieci Apollina.”—„Koncert wojskowy.”—„Koncert amatorski.”—„Koncert Musarda.”
 Koncert świętej Cecylii. i. t. d.

Wszystkie te programy też same powtarzają obietnice, jednakie budzą zaufanie i jednaką ciekawość; ale rzeczywiście dzielą się na trzy klasy: koncerty przynoszące dochód, nie przynoszące nic, i kosztujące.

Pierwsze są nader rzadkie; powodzenie ich zależy od rzeczy niemających żadnego związku ze sztuką. Artysta ażeby osiągnąć pożądany rezultat, odwiedza kolejno wszystkich wielbicieli swego talentu i sam rozprzedaje bilety. Przyjaciele jego, także czynnie wzięwszy się do dzieła, drugą seryą biletów podstępem lub namową wsuwają w ręce swoich znajomych. Nie przyszło to wprawdzie łatwo; nieraz z narażeniem nosa i godności osobistej zdobywano zamykające się podwoje, wysłuchano z uśmiechem niemało niedwuznacznych impertynencyi, ale któż na to zważa? Dość że cel dopięty: bilety rozprzedano, sala była pełna, zysk wielki.

Nie wszyscy atoli koncertanci mogą powyższych środków używać; mniej sławni i mniej znani, nie mogąc wejść sami, rozsyłają bilety w kopertach, i dlatego niezawsze znajdują nabywców. Artysci téj kategorii dochodem z koncertu zaledwie pokrywają wyłożone nań koszta: korzyści materialnej nie mają żadnej. Grają przecież, gdyż darmo wpuszczeni sprawozdawcy jutro po gazetach chwalić ich będą, i tym sposobem zawsze jakaś cegielka do budowy przyszłej sławy przybędzie.

Trzecia klasa koncertantów zupełnie nieznanego nazwiska, ucieka się poprostu pod opiekę antreprenorów, którzy za taką a taką kwotę podejmują się napeł-

nić sałę, kim?—w to się nie wchodzi, dość, że napetnią, i zawsze ludźmi; artysta zaś, zwykle bujnej imaginacyi, może sobie wyobrazić że go słuchają sami dygnitarze i diletanci, że mu klaskają sami znawcy. Jedna godzina zaspokojonej próżności kosztuje go cały rok prywatności, nędzy, może głodu... ale to go od popisu nie wstrzyma. Któż nie wie, że każdy artysta głodniejszy poklasków niż chleba, że zapładnia go chęć błyszczenia, a zadowolenie próżności jest jedynym istotnym warunkiem jego bytu.

Powyżej opisane zdobywanie szturmem słuchaczy, nie dowodzi wielkiego zamiłowania muzyki; jakoż rzeczywiście, Francuzi poczucie muzyki mają tylko w nogach gotowych zawsze skakać przy odgłosie wesołych tonów: inna muzyka, poważna, wzniosła, rzewna, nie ma dla nich żadnego znaczenia, chociaż nieraz kiwają głowami i udają rozczulonych. Co większa, sami nawet poświęcający się muzyce ludzie, z małym wyjątkiem, uważają ją jako rzemiosło: rzemiosło bardzo nieprodukcyjne, któremu oddali się tylko dlatego, że innych zyskowniejszych docisnąć się nie mogli. Grają, bo nie mieli dość pieniędzy na założenie krawieckiego warsztatu, kawiarni, restauracyi, lub czegoś podobnego; grają na instrumencie, bo nie umieją grać komedyi, jedynéj sztuki, która jest rzeczywistą potrzebą narodu francuzkiego.

Drugim powodem trudnego zaludnienia płacącemi słuchaczami sal koncertowych w Paryżu, jest niegodziwe ich urządzenie. Podczas kiedy przemysł i wrodzona praktyczność Francuzów wysiła się na jak najwyrafinowane urządzenie teatrów: rozkład sal koncertowych pozostał ten sam, jakim był za czasów Filipa Pięknego. Nie brak tam wprowadzie na ztroceniach i draperiach, ale cóż z tego, kiedy zmierzywszy okiem ciasnotę miejsca, zostawiasz swoje usposobienie muzyczne w progu,

jak potępieniec nadzieje w bramie piekła, i radbyś dopłacić drugie tyle, żeby tylko nie słyszeć odbijających się o niski sufit gam i akordów, które gdyby nawet sami aniołowie śpiewali, zawsze z tego powodu wydałyby się zbyt hałaśne i zbyt krzykliwe.

Ale już o odwrocie myśleć nie można: ażeby wyjść, potrzebaby poruszyć kilkaset osób, pomiędzy które wpłynąłby prądem cisnącym się drzwiami. Siadasz tedy, za cały horyzont mając głowę swego poprzednika, albo kapitel jednej z kolumn, które otaczają salę: zwyczajna niewzgórzysta powierzchnia podłogi, nic więcej widzieć nie pozwala.

Tak ściśnięty siedzieć musisz w tłoku (bo tłok jest zawsze, tylko dochód niezawsze), trzy, a co najmniej dwie godziny, mając często za sąsiada swego portiera, albo lokaja, którego do zapełnienia sali wezwano. Nareszcie ścierpły, znużony, z migreną w głowie i szumem w uszach, wychodzisz, przyrzekając sobie, że cię już drugi raz nieprędko na paryzkim koncercie zobaczą.

Wtedy, jak szmer oazy szumiącej wśród pustyni, budzą ci się w sercu echa koncertów niemieckich, rysują się w pamięci owe ogródki pełne wonnych kwiatów, cienistych szpalerów i róż kwitnących, gdzie na wolnym powietrzu, pod gwieździstym niebem, w cichy wieczór letni, z religijną czcią odgrywane są i słuchane symfonie Beethovena, Stworzenie świata Haydna, Nocturna Schuberta, wyjątki z oper Mozarta lub Meyerbeera: słowem wszystko, co wypowiedziano najszczytniejszego boską mową harmonii. Na takim koncercie człowiek znużony całodzienną pracą, znajdzie wychnienie, znajdzie podniesienie ducha zmateryalizowanego krzątaniem około spraw ziemskich; ale żeby być zdolnym czuć takie rozkosze, potrzeba mieć w sobie coś więcej nad palącą żądzę uciech zwierzęcych:— trzeba mieć spokój, czucie i ideałność niemiecką....

Ale wróćmy do Paryża.

— W Pałacu sztuk pięknych otwarto wystawę obrazów Pawła Delarocha. Pierwszy raz dopiero prace tego mistrza rozsiane po muzeach rządowych i prywatnych galeryach, po większej części znane tylko ze sztychowanych kopij, dzięki przyjaciołom zmarłego artysty, wystawione zostały na widok publiczny. Wystawa powszechna, ów wielki popis, na którym rozdawano malarzom patenta nieśmiertelności, na której Ingres i Delacroix pozyskali palmę pierwszeństwa, nie widziała ani jednego obrazu Delarocha. Na dwadzieścia lat przed śmiercią usunął on się był zupełnie od publicznych popisów, i starannie unikając banalnych pochlebstw i wrzaskliwych admiracyj, tworzył arcydzieła w ukryciu.

Tak widoczne lekceważenie poklasków, za któremi ubiegają się artyści, tak surowe pojmovanie sztuki w kraju, gdzie wszyscy gonią tylko za efektem, zdradza charakter niepospolity i wielką duszę. Dlatego zanim rozpoczniem przegląd obrazów Delarocha, niech nam będzie wolno powiedzieć słów kilka o nim samym.

Delaroché jeden z najpiérwszych malarzy francuzkich, należał do małej liczby artystów, którzy zamykają serce przed tłumem a otwierają je przyjaciołom; nie upojeni sławą, szukają szacunku, przekładają pracę nad sukces, ciszę nad poklaski, nie poświęcają nigdy swego przekonania dla zaszczytu, zasady dla popularności, słowem, należał do rzędu artystów, których za życia za coś więcej kochać, a po śmierci za coś więcej żałować trzeba, jak za dzieła, które po muzeach zostawili, a które tylko sławę przynoszą.

Bardzo wiele pisano w Paryżu temi czasy o talencie zmarłego malarza: różni różnie dzieła jego sądzili jednozgodnie przyznając, że był ucziwym człowiekiem; ale zdaniem naszym, wszyscy ci krytycy i panegirysi pominieli sposobność wypowiedzenia najpotrzebniejszej

nauki. Z powodu skonu niepospolitego męża poruszyli tylko kwestye podrzędne, a nie dotknęli najważniejszój, to jest kwestyi sumienia, kwestyi godności osobistój artysty. Jestto naturalne następstwo ich widzenia rzeczy.

Krytycy dzisiejsi przebaczą artyście wszystko, byle był zręczny i miał talent. Wierz w co chcesz, albo nie wierz wcale, jeżeli ci zasada ciąży, ale miej wdzięk, baw, zachwycaj, a wtedy krytyka (jeżeli można nazywać krytyką sprawozdania felietonistów) nie będzie ci miała nic do zarzucenia: kto nie ma wiary, ten się nie gniewa, kto nie wymaga nic, przebacza wszystko. Co większa, krytycy dzisiejsi nietylko nie wymagają od artysty żeby był człowiekiem, ale zupełnie zwalniają go z tego. „Sztuka, mówią, nie powinna mieć ani chorągwi, ani kokardy. Piękno zarówno do wszystkich stronnictw należy, ibyle tylko dzieło podobało się oczom, nikt o opinie i charakter twórcy jego nie spyta.”

Jestto teoria bardzo wygodna, ale stosująca się tylko do rzemieślników wykonywających towar wedle obstalunku. Sztuka nie ma chorągwi, zgoda, ale artysta ją mieć powinien, bo jest obywatelem. Jakżeżto, podczas kiedy inni ludzie pracują dla powszechnego dobra, artysta, dziecko zepsute i niepotrzebne, miałżeby prawo się odosabniać? Miałżeby prawo, podczas kiedy w kraju mord i pożoga, zasiąść spokojnie i malować z równą obojętnością zwycięzców i zwyciężonych? Nie chcemy przez to powiedzieć, że obraz powinien być manifestem: jeżeli będzie dobry, odpowie głównemu swemu warunkowi; ale sądzimy, iż prawdziwie wzniosłe dzieło może tylke natchnąć czyste w zgodzie z sobą zostające sumienie: bez niego, najwprawniejszy pędzel zdradzać będzie płytkość umysłu i najemną gotowość służenia każdemu.

Zresztą wzrok ogółu poza obrazy przenika. Choć dzieła jego nie są panegirykami Orleanów, wiadomo każdemu, że Delaroché odrzucił wszystkie ofiarowa-

ne sobie przez nowe rządy zaszczyty i pozostał wierny wygnanej królewskiej rodzinie. Fakt ten nie dodaje zapewne żadnego efektu obrazom Delarocha, ale do zadowolenia oczu dorzuca szacunek serca, każe kochać człowieka, nawet ludziom sprzecznych opinij, i podwyższa artystę do godności obywatela.

Przykładny ojciec, przyjaciel wierny, gotów zawsze na usługi drugich; pobłażający dla innych a surowy dla siebie, Delaroché był wzorem cnót publicznych i prywatnych. Czysty i niezłomny charakter mistrza wybija wyraźnie w jego obrazach: układ ich prosty i poważny jak umysł jego, a koloryt trzeźwy wydaje się być odbiciem jasnej, myślącej duszy, która ani ukrywać, ani odkrywać się nie pragnie.

Następujący list pisany po śmierci Delarocha przez jednego z najbliższych jego powierników, maluje go najlepiej:

„Żądasz odemnie szczegółów dotyczących charakteru znakomitego artysty, któregośmy utracili, a którego tylu szczerych przyjaciół żałuje... Mało go znali wielbiciele dzieł jego, a jeszcze mniej ci, którzy w tym czasie o nim pisali. Umysły wzniosłe, jak Delaroché, przechodzą przez tłum nie troszcząc się o to czy są zrozumiani, i nie poddając się sądom na które mają prawo poglądać z wyżyny swój rzeczywistej wartości. Zład ów zarzut dumy przeciwko tym, co nie mają banalnych słów na ustach. Delaroché należał wyłącznie do swoich przyjaciół i uczni, których kochał jak własne dzieci. Dla nieprzyjaciół był zawsze sprawiedliwy; czyił piękno i prawdę, czynił dobre, znajdując dzieła swoje zawsze niższe od swych natchnień. Czyił pracę i poświęcał jój całe życie, i wtedy tylko kiedy choroba, lub jakaś nadzwyczajna okoliczność wydalify go z pracowni, lekki cień mizantropii zachmurzał pogodne jego czoło. Ta więc mizantropia, którą mu tak często zarzucano, była tylko sprawiedliwością dla spółczesnych.

„Delaroche miał powierzchowność surową i melancholiczną, stałość umysłu wielką, rzadką niezłomność zasad; w głębi duszy ukrywał nadzwyczajną tkliwość. Pod koniec życia w pięknej jego duszy uczucia religijne rozwinęły się widocznie; w ostatnich swych dziełach usiłował uwydatnić stronę swego talentu, której nie kazały się domyślać pierwsze jego obrazy natchnione starożytnymi wzory. Czas jego należał zawsze do uczeni, a chociaż pracę nad wszystko miłował, jeden dzień w tygodniu poświęcał na zwiedzenie pracowni.”

Iluz artystów tegoczesnych zostawi po śmierci ludzi, którzy takie o nich wydać będą mogli świadectwo?

Malowidła Delarocha nie mają ani oślepiającego blasku, ani junakeryi, która zachwyca ludzi słabych. Silny i spokojny pędzel jego, wyrażający poprostu dramatyczne sytuacje, po chwili namysłu podobać się musi, gdyż ma powab trwały, który nie budzi entuzjazmu, ale też nie ulega reakcyi. Prawda w sztuce, jak prawda w życiu, była celem Delarocha, a historia źródłem natchnień jego, w czém poszedł za popędem ogólnym. Wywołane ruchem romantycznym usiłowanie wprowadzenia prawdy w literaturę i sztukę, rozwinęło zamiłowanie prac historycznych we Francyi; gust ten tém więcej się rozpowszechnił, iż w ciągłym niepokoju który nią miotał, studyowanie historyi stało się niejako potrzebą. Delaroche był więc malarzem historycznym, tłumaczem wielkich nieszczęść narodowych, portrecistą ofiar ginących w politycznej zawierusze. Zrozumiał on dobrze, iż wiek XIX nadto jest sceptyczny, nadto rozczarowany, nadto stary, żeby go jeszcze można było poruszyć senném widziadłem lub allegoryą. Mniemał słusznie, że ziomkowie jego nie przerażą się rzeczywistością, a nawet czémś więcej niż rzeczywistością, to jest przesadą w oddawaniu strasznych katastrof historycznych; że lud który w gniewie mógł wydmuchnąć

monarsze popioły z kościoła Saint-Denis, bez dreszczu patrzeć będzie na trumnę świętego króla. Stojąc z paletą w ręku, pośród towarzystwa złożonego z samolubów i erudyków, mógł tylko malować portrety, lub kolorować wydarte z dziejów karty. Budzić w ludzie wstręt do zbrodni a zapach do cnoty, wydawało mu się jedyną misją artysty. Nie żądał tedy od pędzla swego ani epepei, ani hymnów, ani ballad: radził się raczej rozsądku niż poezyi, i kontentował prozą historyczną. Malował jak myślał, jak żył: z godnością, szacunkiem siebie i bliźniego, a zawsze z chęcią stania się użytecznym.

Przytaczamy ustęp z listu pisanego do Polki, w którym Delaroche powiada jak pojmuje zadanie malarza.

„Historyk i malarz jednakie mają zadanie: pierwszy piórem, drugi pędzlem wypowiada dzieje, na to, żeby odkryć ludziom prawdę w całej swjej godności i prawdziwej poezyi. Jeden obraz powie nieraz więcej niż dziesięć tomów: dlatego mam przekonanie, że malarstwo powołane jest wpływać niemniej przeważnie na opinią publiczną jak literatura. Ale, ażeby ten cel osiągnąć, nie powinno ono poprzestawać na pochwalę kilku ludzi; potrzeba żeby wszyscy zeń korzystać mogli, a głównie o to się starać należy, żeby potęga złudzenia była tylko środkiem zaszczepiającym w ludziach wstręt do zbrodni, szacunek i entuzjazm dla cnoty i poświęcenia. Jestto nowa, szlachetna droga; ten kto się nią puści, zasłuży na uznanie prawych. Świat na tém zyska, to jest sztuka i rzecz publiczna.”

Powyższém pojnowaniem praktycznej użyteczności malarstwa, Delaroche różni się od reszty malarzy francuzkich; możnaby nawet powiedzieć, że niém nad wielu góruje, intencya bowiem dodaje ważności każdemu usiłowaniu. Malarz który sobie założył cel wzniosły, nawet wtedy, kiedy go nie osiągnął jest zwycięzki, bo ma zastugę wyższej aspiracyi.

Kilka dzienników paryzkich ogłosiło niekompletne katalogi dzieł Delarocha; my podajemy tu przepisaną w chronologicznym porządku listę, ułożoną przez samego Delarocha, a podajemy ją jako dowód, że Delaroch nie deklamacją o sztuce, ale pracą całego życia na imię znakomitego malarza zasłużył.

Delaroch urodził się w 1797 roku; w 1820 dał na wystawę pierwszy swój obraz: *Zdjęcie z Krzyża*, obecnie znajdujący się w kaplicy Palais-Royal. Potém, obrazy jego przybywały w następującym porządku:

Rok 1821. *Sen Athalii*.

R. 1822. *Filippo Lippi*.

R. 1823. *Joanna d'Arc badana w więzieniu przez kardynała Winchester*. (własność księcia Padwy). *Dzieci zaskoczone burzą*.

R. 1824. *Święty Wincenty a Paulo przemawiający w obec dworu Ludwika XIII za opuszczonemi dziećmi*.

R. 1825. *Filozof otoczony księgami*. *Miss Macdonald niosąca pomoc Karolowi Edwardowi po bitwie pod Culloden*. *Portret panny Sontag*. *Scena z rzezi świętego Bartłomieja*.

R. 1826. *Następstwa pojedynku*.

R. 1827. *Portret margrabiego Pastoreta*. *Król Piemontski w Trocadero*. (Galerya wersalska).

R. 1828. *Śmierć Elżbiety (w Luxemburgu) Trocadero*. (w Wersalu).

R. 1829. *Portret księcia d'Angoulême (w Wersalu)*. *Ustęp z rozbicia okrętu*. *Richelieu płynący po Rodanie*. *Portret kardynała Mazarin*.

R. 1830. *Cromwel przy trumnie Karola I*. (Własność muzeum w Nîmes).

R. 1831. *Dzieci Edwarda (w Luxemburgu)*. *Święta Amelia*. (Własność królowej Maryi-Amelii).

R. 1833. *Joanna Grey*. (Własność księcia Demidoff).

R. 1834. *Śmierć księcia Guise.* (Własność księcia d'Aumale.)

R. 1835. *Śmierć prezydenta Duranti.*—*Głowa Anioła, według panny Ludwiki Vernet.*—*Głowa Chrystusa.*

R. 1836. *Strafford idący na rusztowanie.* *Karol I napastowany przez żołnierzy Cromwela.* *Portret Horacego Delarocha* (najstarszego syna; własność Verneta, którego córka była żoną Delarocha). *Portret Guizota.* *Święta Cecylia.* *Zdobywcy Bastylii przed Ratuszem.* (własność miasta Paryża).

R. 1838. *Dziewczynka na huśtawce.*

R. 1839. *Herodiada.*

R. 1840. *Hemicycl* (fresk w pałacu sztuk pięknych). *Napoleon w swoim gabinecie.* *Portret Piotra I* (Własność księcia Demidoff).

R. 1841. *Portret pana Mallet.*

R. 1842. *Portret generała Bertranda.* *Najświętsza Panna z kamelią.*

R. 1843. *Portret księżny i księcia Fitz-James.* *Szczęśliwa matka.* *Odpozynek świętej Rodziny.* *Portret Grzegorza XVI.* (w Wersalu). *Pielgrzymi na placu świętego Piotra w Rzymie* (własność hrabiego Raczyńskiego).

R. 1844. *Włoszka z dzieckiem.* *Napoleon w swoim gabinecie w Fontainebleau.*

R. 1845. *Portret Salvandego.*

R. 1846. *Portret Remusat'a.* *Portret Pourtalès'a.* *Chrystus z apostołami na górze Oliwnój.*

R. 1847. *Karol Wielki przechodzący Alpy* (Wersal). *Chrystus na krzyżu.* *Portret księcia Noailles.* *Portret Chomel'a.*

R. 1848. *Lekcja czytania.* *Portret hrabiny Delfiny Potockiej.* *Napoleon przechodzący górę świętego Bernarda.*

R. 1849. *Portret księżny Beauvau i jej dwóch córek.*

R. 1851. *Modlące się dzieci Edwarda.* *Proces Maryi Antoniny.*

R. 1852. *Portrety Horacego i Filipa Delaroche. Portret Marcellego Czartoryskiego. Portret księżny Suwaloff. Matka Boska pod krzyżem.*

R. 1853. *Portret księcia Adama Czartoryskiego. Mojżesz na Nilu. Zdjęcie z krzyża.*

R. 1854. *Chrystus na górze Oliwnej. Matka Włoszka z dzieckiem na ręku. Herodiada. Święta Cecylia. Ofiara Panu Bogu.*

R. 1855. *Cenci idąca na śmierć. Męczennica. Komunia Maryi Stuart,*

R. 1856. *Girondyści. Portret Thiersa. Matka Boska u świętych kobiet. Matka Boska wracająca z Golgothy. Matka Boska patrząca na koronę cierniową. (Dwa ostatnie obrazy nie podpisane, są własnością dzieci).*

Z wymienionych powyżej obrazów tylko pięćdziesiąt pięć znajduje się na wystawie w pałacu sztuk pięknych. Opis cenniejszych dla braku miejsca odkładamy do przyszłego sprawozdania.



ROLNICZA LUDNOŚĆ W POLSCE

OD XV DO XVI WIEKU.

PRZEZ

T. X^{cia} L.

Rolnicza ludność dzieliła się na wolną i niewolną: jedna używała prawa ziemskiego, druga prywatnego. Pod ziemskim prawem zostawali sołtysi i kmiecie, pod prywatnym przytwierdzeni i niewolnicy. Statut Kazimierza opisuje prawne położenie dwóch pierwszych, zamilcza o dwóch drugich.

Miara swobody, idąc od sołtysa do niewolnika, stopniowo się zmniejszała: sołtys używał większej niż kmięć osobistej, majątkowej i służbowej swobody, kmięć większej niż przytwierdzony, a niewolnik swobodę miał najwięcej ograniczoną.

Dwa bardziej swobodne stany w tém się różniły pomiędzy sobą, iż sołtysi byli swobodni z sądowniczą władzą, kmiecie tyleż swobodni, ale im ta sądowa władza nie służyła.

Dwa mniej swobodne stany tém się pomiędzy sobą różniły, iż przytwierdzeni swobodę mieli ograniczoną w majątkowym i służebnym względzie, niewolnicy zaś ulegali więcej osobistej niewoli.

Powinność sołtysów była wojskowa i sądowa; powinność kmieci, przytwierdzonych i niewolników była ekonomiczna; ale kmięć uiszczał swą powinność bez robocizny, przytwierdzony z robocizną, niewolnik wyłącznie tylko robocizną.

Sołtys i kmięć mogli być współcami w swoim imieniu, bez obecności właściciela gruntu; przytwierdzony bywał współ-

cą ale tylko w obecności właściciela; za niewolnika stawał w sądzie tylko sam właściciel.

Sołtys i kmieć ulegali sądownictwu właściciela gruntu, ale pozywali go przed prawo ziemskie, gdy szło o naruszenie umowy i osobistej swobody; przytwierdzonego i niewolnika pozew nie był przyjmowany ani w sądach ani u króla, wyrok właściciela był ostateczny. Sumienie i interes własny właściciela ochraniały życie przytwierdzonego i niewolnika: *pro nullo isti habentur apud praetorem*, wyrzekło rzymskie prawo.

Sołtys i kmieć byli karani winami pieniężnymi, przytwierdzony winami pieniężnymi i na ciele, niewolnik tylko na ciele.

Sołtysa zawód był wojskowy, kmięcia wojskowy tylko do obrony zamku; wszakże i kmieć nie łamał prawa, gdy w potoczném życiu nosił się przy zbroi. Dwaj pierwsi w sądowych pojedynkach używali miecza; przytwierdzonemu i niewolnikowi z prawa było zabronionem noszenie oręża; pojedynki odbywali na kije.

Sołtys nie płacił podatku bo swą osobą stawał na wojnie; kmieć i przytwierdzony płacili, bo osobiście nie służyli na wojnie; niewolnik wolny był od podatku, gdyż był rzeczą prywatną.

U sołtysa i kmięcia uprawa była doskonalsza, liczba dobytku większa niżeli u właściciela gruntu; tamci bowiem mieli wszystkie wygody wypływające z dzierżawy, a nie znali żadnych niewygód wypływających z prawa własności. Inwentarz i uprawa u przytwierdzonych i niewolników niższemi były niżeli u właściciela.

Stan majątkowy sołtysów i kmieci był czynny; przytwierdzonych bierny; niewolnicy nie posiadali żadnego mienia. Sołtys i kmieć mieli własny dobytek, przytwierdzonego i niewolnika dobytek uważano za należący do właściciela gruntu. Sołtys dowolnie sprzedawał posiadłość, kmieć dowolnie sprzedawał posiadłość ale przytém opłacał pewny podatek na rzecz właściciela gruntu (wstanne), przytwierdzony sprzedawał z wiedzą tylko właściciela i okupywał swe służebności; niewolnik nie mógł nic sprzedawać i przy wyzwoleniu składał okup za swą osobę.

Sołtys i kmieć zawierali sakrament małżeństwa nawet i bez wiedzy właściciela; przytwierdzony z wiedzą, niewolnik z wiedzą i w drodze łaski.

Oświata szła za stopniem używanej swobody. Soltysi mniej od szlachty znali wojskowość, a mniej od duchowieństwa wykształcenia moralnego mieli; w tém ostatniem dorównywali szlachcie, przed którą przodkowali w materyach prawnych i w sztuce rolniczej. Kmiecie w znajomości rolnictwa nikomu nie ustępywali, ale w rzeczach prawnych byli mniej świadomi niż soltysi; przytwierdzeni od wszystkich tych byli niższemi. Społeczeństwo nie przypuszczało możności rozbudzenia w niewolniku sumienia, i, dzięki chrześcijaństwu, nieraz niesłusznie.

Losy przytwierdzonych i niewolników zostają obcemi dziejom ogólnym; zawarte są w prywatném życiu; nie zna ich naród. Nie wspomina ich prawo narodowe, bo nie do niego należało ich bronić. Nie wspomina ich historia, bo te życia nie nastęrczały przykładów wysokiego wyniesienia i przerażającego upadku. Zostały obcemi w poezyi; poezya lubi co jest swobodne, wzniosłe i zacne. Żeby zostawić ślad w prawie, w historyi, w poezyi, trzeba swobody: oni swobody téj nie mieli; żadnych prócz opisanja powinności, nie zostawili po sobie pamiętek.

Możemy z większą dokładnością opisać położenie kmieciów i stosunki ich z innemi potęgami społecznemi, z władzą królewską, z władzą duchowną, z władzą sądową, a przez rejkojemstwo z ogółem społeczeństwa.

W królach znajdowali rozjemców pomiędzy sobą a innemi stanami. Król bronił od duchowieństwa przy wybieraniu dziesięcin i mesznego (1), a przeciwko szlachcie przyjmował odwołania się w sprawach sądowych (2).

Władza duchowna wywalczyła i zawarowała im zachowanie niedzieli i świąt, wolne przystępowanie do sakramentów, szczególnie małżeństwa, zawsze mając zagajony sąd dla unie-

(1) Akta Konsys. Gniezn. 1433. Wladislaus Dei gratia Rex etc. Venerabili Benedicto Officiali Gnesn. etc.

(2) A. Ziems. Pozn. 1397. Nota. Judic. Pozn. gnałi celebr. in suis terminis et in presencia dne Hedwige nre Regine feria 6 post fest. S. Stanisl. It. No. prout kmetho Stanisl. de Kuczko citav. ad psenc. dom. Regine etc. A. Ziems. Pызdr. 1401. Johan. ko. de Cessie ht. trm. cum proconsul. et consul. de Pysdri coram Rege si Rex constituet. si no constituet. tunc hut. trm. cor. dno Capit. in Pysdri trcio d. post recessum Regis de Polon. p. manso libero,

ważnienia przymusowych ze strony właściciela związków (1). Broniła czystości zwyczajów w obcowaniu gospodarzy z czeładzią, właściciela z kmięciami (2). Za nic mając świeckie stosunki, gromiła wykraczających w imieniu nieuległości sumienia i praw kościelnych. Ze strasznym orężem, exkomuniką, prześladowała lichwę, przez którą zamożniejszy stawił się na swobodę uboższego. Szlachcica bawiącego się lichwiarstwem, kmięć zapożywał przed proboszcza, a ztamtąd sprawa szła za odwołaniem się do konsystorza (3). Lichwiarzy ścigano z dyecezyi do dyecezyi, i najzaciętszego exkomunika zwalczała. Potępiając lichwiarstwo, władza duchowna masę kmięci w wolności przechowywała; starania jej o to dochodziły do stopnia, iż pewna dyecezya mogła się pochwalić, że tylko jeden człowiek w niej pozostał który otwarcie żył z lichwy (4). Podejmując się roboty dla szlachcica, wypożyczając pieniądze (5), słowem we wszelkich tranzakcyach, w których najbardziej było potrzeba dobrej wiary, powątpiewając, chociaż najczęściej bezzasadnie, znaleźć bezstronność w sądzie ziemskim, lub z obawy narażenia się na koszt, kmięć wstępował w zobowiązania się nie inaczej, jak gdy szlachcic rzekł się jurysdykcji ziemskiej, a poddawał się w razie niedotrzymania umowy jurysdykcji duchownej. Natenczas uciśniony znajdował pomocniczą dłoń w poważanem forum duchownem. W tkliwy zamieniło się zwyczaj, że jurysdykcyja nad ubogim i żebrakiem z prawa należała do sądownictwa duchownego: władza duchowna opiekowała się nim, bronila go przeciw napaści, przyjmowała do swoich akt jego prawne tranzakcye, zabezpieczała mu osobistą wolność. Dostatecznem było objawić się żebrakiem, kaleką, ażeby pozyskać opiekę forum duchownego. Za wzrostem sądownictwa świeckiego i pojawieniem się pisa-

(1) Codex Dipl. Rzyszcz. II.

(2) A. Kons. Pozn. 1530—1. AC. Decretum Lagovo, ob. deflor. et pracion. virginit. et imprgn. ad sufficient. dotac. etc.

(3) A. Kapit. Warsz. 1483. Leviczmo Skasche^o.

(4) A. Visitat. Archid. Gnesn. p. R. D. Vincentium a Seve. 1608.

(5) A. Kons. Pozn. 1427. Conf^o Kithlaczski. Wiederkawff Nbl. Vincentius K. confsc. se vendidisse sub titulo reemp. uniu. pratum p. quatuor mce cum 8 gr. Mathie Nedzalek rustico de Modrze. It. q. idem M. defalcab. singlis annis 1 fl. usq. ad extenuac. dict. quatuor mree cum 8 gr.

nego świeckiego prawa, jurysdykcya duchowna widziała swoje działalność coraz się ograniczającą. Już w wieku XV pozostają tylko jęj szczątki, a w XVI przy rozszerzeniu się nauk prawnych i pojęć wywołanych reformą, jurysdykcya duchowna weszła w granice w których teraz zostaje; z niejednego smutkiem oddała swojemu młodszemu bratu, prawu świeckiemu, straż jęj powierzanych dawnięj interesów. Przystuga, którą uczyniła kmieciowi, była rzeczywistą, dotykalną. Odległość wieków, które za widzów miała, nie powinna zmniejszać jęj ważności. Co bowiem obecnie jest już prawem potocznego życia, należytością zapewnioną każdemu, to w tamtych czasach wtedy dopiero stawało się takim, gdy było nauczane w imieniu kościoła. Świetne zwycięstwa jednego wieku, stają się potoczném życiem drugiego, porażki rozpaczają.

Sądowa ziemska władza przeznaczała szczególne roki dla słuchania spraw kmiecych, ażeby natłok spraw właścicieli ziemskich nie stawał się przeszkodą w czynieniu sprawiedliwości kmieciom (1); czuwała nad bezpieczeństwem osobistém (2), nad niezatrzymywaniem bezprawnie w więzieniu (3), nad niewzbranianiem porzucenia swobodnie jednego właściciela gruntu a udania się do drugiego (4), nad zachowaniem w sprawach kryminalnych form sądowych, rozróżniając sądownictwo prawa polskiego od sądownictwa w prawie niemiec-

(1) Dissoluta Łęczyc. 5. Sabbatho proximo post fstum s. Lucie in trmin. kmethonum terrestrib. anno dom. Millesimo CCCCLXX nono.

(2) A. Z. Gnieźn. 1407. Inter Nicolaum kmeth. de Thulcze et Nicolaum hered. de Thulcze p. vulnerib. lividis et pro ove violentr. recept.

(3) A. Z. Pozn. 1435. Kmetho. It. dom. decrev. kmetho Johanes etc. Rotha pmi. Ita me deus adiuvet et S. Crx. Q. ego equitavi a Johane kmetone ad dom. Petr. Corczbog postulanda bona sua sup. decret. dominor. et narrando sic isd. ipe est apud dom. Judic. et ipe sibi no dedit. Rotha secund. Ita me deus etc. Quia equitavi ex pte Joh. kmeth. ad d. Petr. C. postulando ut ipm daret sup. decret. dominor. et ip. dar. noluit. Rotha tercii. Ita me deus etc. Q. eqnitavi ex pte J. k. ad d. Petr. C. et ipm de fortalicio et de trunco cauc. fideiuss. sup. decret. dominor. liberavi.

(4) A. Z. Pysdr. 1426. Kmetho cum Thader. kmetho diet. Stach olim de Tharnovo debet infra octo sept. ibid. in hereditate tres census solv. nobili Janussio Thader. vel consessionanc. et si no consessionabt. et solvat tunc debet sepire et edificat. als oscedlycz p. alter, kmetoni volet sedere in domo vel edificac. pdict.

kiem. Sądowa ziemska władza pilnowała, ażeby sądy właścicieli ziemskich należycie się odprawiały, śledziła czy obżalowany odebrał pozew, czy mu wyznaczono dostateczne terminy do stawiania się, czy sąd złożony był z potrzebnej liczby ławników i wójtów (1). W razie gdy kmiecia nakazano zwrócić na grunt, zastrzegał wyrok, ażeby właściciel gruntu nie ważył się go męczyć, ale postąpił według prawa (2). Kmieć chcący się wynieść sprzedawał grunt, podawał za siebie zastępcę, poświadczał stan osiadłości przez woźnego, i gdyby właściciel przeszkodę stawiał, przed sąd zapożywał (3). Sąd wchodził w rozpoznanie z jakiego usuwa się gruntu: czy okupnego, czy pańskiego, jaką odbierał załogę, co jest jego własnością, co z kupna, co z przyplodu (4); dochodził rzeczywistości długów,

(1) A. Z. Gnieźn. 1413. A. Z. Przed. Brzes. 1398—408. Johan. Lanczki ducit testes contr. kmeth. etc. Rota: Jacosmy bili przytem jaco Jan osadził sand a ławniczi wolali Bogusza ku prawu a ku prawu nestal tedgi Jan sstal prawo na Bogusza a w tom gi zabrał. A. Z. Pysdr. 1413. Patarszica It. veniens Sdzich Advocatus de P. tamqua. judex et interrogavit dnos judic. psdren. p. sua ferenda narrans et notificans causam effuale q. talis fuit quidam kmetho ignobilis suum dom. hedem maliciose acrit. et su. irr. vulnerato tand. id dus recepta de post sanitate et convalescencia locavit judicium sdm consuetudinem sub tali condicione q. id. dus fecit pelamare det. kmethonem ut venret ad judicium et jure paret dans sibi seor. additum et recessum et treugas pac. p. ta. judicia p. ipm locata qui K⁰ mime venit nec jue paruit tue dus astitit cora. judice. cause istius trm. pemptorium et judicat. solt. tandem dm. bona ipius kmethonis derelicta post fuga ipius p. dm. arrestata fuerunt adjudic. dno et hedi kmethonis hmodi scdm ut judex pdtus referebat coram judicib. judicij Pisdren. dans ead. bona kmethonis sup. fidejussoria. caucion. et null. ea voluit recipe sup. fidejuss. cauciom. sup. q. id. advocatus judicib. de nota satisfecit.

(2) A. Z. Brzes. 1425. Dus Joh. plbanus pp. magna pena et deb. reddere Johm. kmet. str. Cristino Cast. Cruschvicien. ad duas ebdomadas et ipe recipiens eu. no debt. martirisare nec in aliquis membr. offendere sed iure pro sua iniuria agere.

(3) A. Z. Pozn. 1434. Rotha tabern. It. dom. Judic. decrev. q. provid. Jhnes taberntr de Negalevo pempt. adduc. det. duos nobles als panyczu qui dent. jure erga Jhnem advocatum de Buk. Rota: Tacco nam pomosz Bog etc. iszesmy byli przitem kdy Jan karczmarz stawial trzy kmyotowicze prze woytha abo przed yego zona ozadzayancz mu rola a woyth gych nechezal przyancz albo woythcowa ad pxos trmnos part.

(4) A. Z. Łęcz. 1401. Test. ducit Paschco subagazo contr. Jo. kmm. Rota: sic ego tibi exire no madavi de domo tua et agro vlgr. kupney, sed de domo et agris vlgr. panskey.

win pieniężnych i przyczyn z jakich one nałożono (1). Kmieć wyszczególniał przyczyny dla których porzucił grunt: sąd uznawał ich słuszność, gdy właściciel nie według umowy podawał osiadłość, groził, kazał go bić, ścieśniał w sądowych sprawach (2). Gdy właściciel grunt mu odbierał, wypędzał, nie

(1) A. Z. Orłow. 1397. Nota. Q. ducit testes Jassek erga cmetonem de Dobeslavicze etc. Sic nobis DS. adiuvat et Sta. Crux sicut scimus et test. ise sę on mu ne podawał podluk prawa ani mu przez kasal. It. Jasek debet jurare erga cmet. Sic me DS. etc. sicut ego recepi bovem in expeditionale sprawne y on mi to mał szaplacicz. A. Z. Czers. Grojec. 1473. Mathia Nigo kme. in qrta residebat et tenetr. solv. med. sex gr. in med. gr. interposicionis als zalogy et qndec. gr. wstanego, med. cor. humili et quatuor pro dieb. A. Z. Przed. 1413. Nassawyn de Cuczicze etc. Rota: Taco etc. jaco tho swathezimi esze Nassowijn czo yesth wzol Jachne to w. za polthore copij tho yesth wsal w swem czinszu y w sfych wynach a ona sę ne rzeczo prowadzij precz. A. Z. Czersk. 1416. Noblis Mathias de Dambye etc. 1408—14. Thomek contra kmeton. suum etc. Rota test. Jaco tho wemij y swathezimi jaco Thomek y s yanem czo sę wsaly kmecha Wyskowa tho sę wsoly w schwych scodach gdzesz gijm scodeę uczinil y w gich zijeze. A. Z. Brz. 1423. Mathias Konarski debet jurare: Jakom ne wsyaul Stanisl. med. sexagen. gr. cum duob. gr. ale gich odbyeszał kmyoth u mye otpuszczenya ne wszyw. Id. jurabit contr. eund. Jakom no. recepi duos porcos Stan^o ita bonos set. una sexag. ale gich odbyeszał ne wszyan otpuszczenya u mnye.

(2) A. Z. Wareck. 1422. Nobil. Andreas Tarnowski intromisit se ducere dowodzicz s. iud. sup. kmeth. q. sedebas apd. me sup. ort. et laborar. diem debuisti y przewoith k^o sic respondit nec dedisti mihi in tpe gazas chiez pptea a te surecxi et hec etj. paratus sum s. iud. dowodzicz et Andreas ego paratus sum suo iudicio dowecz q. dedi te kaminatas exbrigavi ad hec tempor. A. Z. Brzes. 1412. Test. duc. Wlost de Jancor. contra Alexium Bandzelewo etc. Rota test. Sic scivit s. Wlost no minorat agrum Alex. B. sed solus ita recessitr v. wgaska. A. Z. Warec. 1420. It. Albertus de Warka ducit testes etc. Rota solus. Jacom ija o tay krziwdi od Sandziwog wstal essze mey vloki ugal na ktora szedzal. A. Z. Groj. 1425—45. Ind. test. Martini Kmethonis de Zwowo erga Nob. Johm. hered. de Kobilino p. Jur. terestr. Rota solus. Jacom ija wstal oth ijana o they krzywdą yze ma na godi nijeuszedył. Rota pr. test. Jacom ija przithem bil ijze ijan myal marczinowij chieze uszedlycz na godi et alijs sic. Jaco ya tho wyem yze ijan mijal Marczinowi chieze uszedlycz na godi. A. Z. Ciech. 1424—9. Nicolaus etc. Jakom ya oth Woytka o tho krzywdą wstal esszemi trzeczey roley spelna nie vipelni. Jacom ya o tą krzywdą od Falanthi wstal eze mi roley nyedal na ktora ma przywabijl. Falca vidua: Jakom ya o tą krzywdą oth Pelky wstala esze my kaszal czinsz

wydawał jego dobytku, statków (1), szkodę mu uczynił w zbo-

placicz a moy mąsch myal wolną wloką. Nicolaus incola de Lazokij. Jakom ija do Paska o thą crziwdą nieszethl eze mi pijenądze wzał a chicz mi nieoszethlil na swonhi Marcin deb. dicer. neusedlil et dixt nepostavil et bis quis irat. dixt mu et debuit dicere yemu. Stanislaus incola de Lachanowo: Jacom ija o tho crziwdą wsztal ezesz mi kazal chycze oprawacz a o thi chesz pijenocze pobral. Jacom ya thą krziwdą oth Mikolaya wstal eze mi lanką wzał na ktorą mą przywabil. Jakom ya oth Falislawa o tho krziwdę wstal esze mi na swonhi Woczech plotow neoprawil. Petrus Molendinator. Jakom ija o thą crzywdą oth panow Szczurowa wijszethl eze mi grobley wczasz nieoprawyalij. Jacom ya o thą krziwdą od Falanthi wstal eze mi gi myal dacz polcopi na pomocz a nijedal. Jacom ija o tho krziwdą oth yana wstal eze mi kazal nad gine sansyadi. robicz. Jacom ya o thą krziwdą oth Sandziwoya wstal eze mi wancey казал robicz nizem winowath. Jacom ya o thą krziwdą oth Abrama wstal eze mi krowę wzał we dwunaczczey groszu cinszu a ijam gemu zajjutra cinsz dawal a on go nyechczijal wżacz ani krowi wrociez ale gą chowal dwe nijedzele przes dw dnu. Incola de Wrowo: Jacom ya o thą krziwdą oth Zemaka wstal eze mi wzał voz seslami przes mey voley i nye wrocil mi go. Andr. Incola de Prusinowice: Jacom ya o thą krziwdą oth Arnoltha wstal eze mi gego zona gwalthem mąkę brala s mego sola. Stassek de ibid. Jacom ya o thą krziwdą oth A. wstal eze mi szirdzi s mego plotha zabral. Stassek incola de Wuzbicza: Jakom ya oth Jacuba o tho krziwde wstal esze mi czinsz othpuszcziw kasal gij sobe dacz. Nicolaus Sokolek. Jaco ya o thą krziwdą oth Mikolaya wsthal eze mi checijal szonę powalicz a wtem mi ssę dzeczę seszgio. Ib. 1435. Jakom ya othą crziwdą oth Fallanthi wstal esze mi sgoczkiyez prawa nijeczil (sic) a ia gi pozwal. Ibid. Induccio testium Petri kmeth. de Leśnimliny. Johanes de Gosta-czycze. It. Petrus de ibid. etc. Jaco ja o thą crziwda oth pana wsthal essze mij rathaj pańską kassną casual szchez. Rotha solius. Jaco ja tho wijem essze Pyotr o thą crzywdą oth pana wstal essze mij rathaj pańską kaszną casual szehijcz. A. Z. Warec. 1426. It. Notand. Jachna d'Nijemo-wicze ducit test. contr. honest. Margareth. de Volya etc. Rota soli. Jacom ya o tho krifdą oth Margorzathi wsztala eszmij szwathki przegroszila.

(1) A. Z. Przed. 1408—14. Petrus k^o querulabat. de Johae Szisky quia minus juste expellit me de mnsio meo ppa tandem plocutor. suus Johs dixit als respondit q. ipm nunquam expelli de mso ipius ppe extunc idem Petrus dixit patus sit pbare testib. q. me expellit et id. eti. plocutor. Johais dixt ego eti. patus sum pbare testib. q. ipm nunqm expelli de mso ipius pp. tandem nos dedimus istam causam ad dos jud. ad sent. A. Z. Groj. 1451. Kanczki. K^o Vasz super plebanum. K. p. procuratorem pposuit q. dans sibi agrum cu. ortu in quo residet aput te et dum jam a te est fideiussus tu post caucion. idem agru. cuit. et aratu. sibi recepisti pars adversa p. pcur. rnt. dni lon nescit sibi eo modo ut pponit sed

zu, kmięć zaskarżał go przed sądem (1). Oceniając szkody wyrok sądu głosi: „*Ideo nos pro tribunali sedentes, nullum timentes, solum præ oculos Deum habentes*” (2). W sprawach cywilnych sąd rozciągał opiekę na umowy, zastawy, sprzedaże, aktykując w księgach tranzakcyę czynione pomiędzy kmięciami a właścicielami i pomiędzy sobą kmięci (3). Kmięć nie przystawał na wyrok wójta i wiec, ale odwoływał się do sądu (4). W działach, bliskości, dożywociach, wianach,

dederat sibi agrum istu q. sibi debt. deservire sed ex quo no deservirat sic recep. viceversa et sup. hec ht. jus suum.

(1) A. Z. Groj. 1446. Targowski. Dum inter stren. Derslaum Targowski ab una et Johs Rawul de Bąthkowo kmeth. ptib. ab altra aborta est litgo pposuit Rawul km. per suum pcurat. contr. Dersl. T. tali sua querela dom. ego ppono contr. d. D. T. quia fenum mihi arrestav. als. zapowijedzal qd falcastravi in prato aput ipm empto et soluto et inductum in villa ips ad kmeth. ipsi filium suum conductum et depositum cum eius consensu ex qua hac ipius huiusmodi feni arestacion. in meis peccorib. als. dobittku dampnum accepi sic. qtuor sexg. Reus v^o vdlit T. responsm fecit tle quia iste k^o agro mso isto que emeat cum prato ex quo fenum hec falcastr. cens. non exolvit kmet. vicever. eid. d^o rprodit exolvi qui viceversa non soluisti et ille vicever. eti. luby. kmetho. ac domin. ipsis dederunt taxillos als. sortilegia als. lyossi ex sortilegiis dicto dno Derslao jurare decrev. qui jurare noluit et tu. het dni ad Ser. Princip. felice pxim. in Cirsko constit. termin. eis assignare.

(2) Ibid. Rawl. 1447. Prout in terminis ducalibus etc.

(3) A. Z. Pozn. 1402—4. Borkowsky cum colono. It. Albtus B. obligavit se et liberum sub decem mrcar. pene vallate nullam violenciam face. Martino colono suo secund. jus supra scrip. et sua heredit. colloc. et deips dimittere post fest. S. Martini qu. explebit labor. et Sandivogius de Manczicze fideiussit pro eod. Martino. A. grodz. Brzesk. 1456. Vendt pro X mrcas uno mso lib^o Petro dicto kmi de Swantoslaw tali cond. etc. A. Z. Brzezins. 1425. Mathias k^o de Milesky introligavit mediu. ms. Jhni de Baridny in duab. marc. tali condicione etc. A. G. Brzes. 1451—60. Resignacio unius sulci in Clobia eod. d. providi Johanes Varia de Clobya Jacobus de Volochowyecz de Sulkowo Katherina de Smyłowicze kmeth. publice recognov. quia vendiderunt unum sulcum agri ipsor. liberi in Clobya penes msi ibid. liberos jacent. pro un. marc. laborioso Petro Andrisz kmethoni de Clobya Regali. A. Z. Przed. Brzes. 1420. Veniens Thomas de Slessino publice recognovit etc.

(4) A. Z. Brzes. 1425. Veniens Nobl. Dobesl. de Redecz sbagaso Bresten. iudex cause infra septe. Quom. Nlis Cristin. de Smolsko pcurator Petri Scheliga de Thorun mandavit pelamare magnu. iudiciu. banitum vlgr vycze in Bythom infra duas ebdomadas, tunc qu. venit ad iudiciu in trno assignato, tunc ull. kmethone. paruit solum unus Scoltetus et Scabin. tunc d. Cristinus adiunctus duob. kmethonib. sim-

ściśle trzymał się prawa ziemskiego (1). Nikt nie był z prawa pełnomocnikiem jego: musiał sam stawać lub podać przez urzędowe oświadczenie umocowanego (2). W razie zachodzących trudności zdawano sprawę na sędziów polubownych (3).

plicib. et dedit facere iudicium gaycz vyece, tunc intligens d. Cruschvic. locavit Dobkone de Redecz sec. iudicium poloniale ad iudicium theutonicale tunc Dobek domns fecit clamare iuxta ius et ipsi no paruerunt tunc d. dets. Cruschvic. mandavit facere et fecit pvum iudicium. vlgr. povacek et ipsi no steter. tunc d. Cruschv. dedit eos citare v. przipszycz ut parent infra duas ebdomadas et ipsi no steter. tunc item infra duas ebdos vlgr Pantoschostn fecit eos citae et ipsi no steterunt, tunc kmeths alii steterunt et alii no. tunc d. Cruschv. egit tant. illos q. steterunt q. vos se coniurasti als. sprzisangli gwaltem et nolui laborare v. zaczagacz nec ipius soluciones poplathky solve. et damnificast. frem meum qlbet. in X marc. contr. qlbt. ago p. decem marc. et si vellet negar. paratus sum doce. sicud ius decrevit; tunc kmeth. responderunt d. Cruschv. et Scoltete nos v. nieradzibichom respondere iure poloniale ultra nrum ius theutonic. d. Cruschv. dixt. dne Jud. ego feci satis ad ius iporum theutonic. quia dedi pclamare magnum iudicium vos nunq. pare. voluist. et ppt hz ius polonic. feci tunc ego sepedictus Dobek iudex recepi hoc ad dnos q. nescivi iudice vlgr pitanie.

(1) A. Z. Pozn. 1403. It. Sziban ducit test. cont. dnum Palat. pmus Johnes Damocewski, Petrassius Grabonowski, Lutek Grabonowski, Cunrat Grabonowski, Jaszek Coszka, Bartholomeus Grabonecz. Rota: Tako gim pomozi bog y swanti † iaco to swadecz, iaco Potrowi Sziban ne kazal mu precz szzedzini a ne postampil gego zene uprawiszni a nebil Voyewodzin czlowek. Item Sziban ducit test. contr. Stachnam kmetonissam p. viro pmus Coszka. Marcussius de pvis Gorzice, Lutek Grabonowski, Bartholomeus Grabonecz, Czaslaw Grabonecz. Rota: Tako gim pomozi bog y swanti † iaco to swatecz, iaco Sziban nezalubil se Stachne prawa dzupecz tako iaco w ten czas kedy nan otnen poczanto zalowacz na prozwem ale se zalubil podluk zemskego prawa czupecz. A. G. Brzes. Recog. 1456. Constituti laboriosi Petrus Czech Albertus Cernelsky etc. kmethones de Crosijno arbitri et amicabiles comparatores publice recog. quo amicabili compos. et concordar. pueres Barthos. Stanis Johan. olim Moczucz Nicolai Thabernat. ex una et Johan. detum Manschij kmetonem de ibid. parte ex altera in hunc modum, karczme bierze ten i placi dzieciom rocznie po 1 fert. a gdy dojdą wieku, da się im do wyboru: odebrać karczme lub jej wartość kopy cztery.

(2) A. Z. Przed. 1408. Not. knet. de Cobilatlotha constituer. verum et legit. suum procuratorem dn. Johannm Castell. Crusv. contra Mieczslau de Oszecz in omnib. suis causis contra ipm agendum.

(3) A. Z. Brzes. 1425. Vntes Nobil. Andreas de Ludbranz Judex et Jaroslaus de Glushyno tamq. arbitri et amicabiles copositores intr. Scheliga Petr. de Thorun et stren. Cristinu. de Smolsko pcur. ipsius

Zaskarżony, rozlegle używał środków do obrony: obecność sądu, urzędników, szlachty, nie tamowały swobody bronięcia się, częstokroć do obelg i gniewu dochodzącej. W sprawie której akta mamy przed sobą, kmięć zarzuca właścicielowi że nie jest szlachcicem (1). W razie gdy spierające się strony, kmięć i szlachcic, odwołały się do przysięgi, rzuceniem losu rozstrzygano czy ten czy tamten ma ją składać. Raula sprawa nastęrcza przykład z jaką surowością wykonywano wyroki: właściciel nie będąc w stanie opłacić win, którym uległ, prosi sąd o wwiązanie kmięcia w jego, szlachcica, grunta (2). Wszystko to urzetelnia zdanie, że swoboda jest dawna, a tylko niewola nowożytna.

W średnich wiekach członek społeczeństwa zamało miał siły, ażeby opierać się pojedynczo przeciwnościom życia, gdy był zagrożony przez nędzę i przez samowolność mocniejszego. Stowarzyszenia pomagały mu uniknąć pierwszej i niezawsze ulegnąć drugiej. Stowarzyszenia znane Zachodowi pod różnymi nazwami (San-Hermādad w Hiszpanii, Hanza w Niemczech), u nas rozpowszechnione były pod kształtem rękojemstwa. Poręczycielstwo jednego za drugiego obejmowało wszystkie stany, łączyło nieprzerwaną spójnią członków społeczeństwa; zobowiązania się wypływające z rękojemstwa, zaglądzały podziały z przywilejów i urodzenia pochodzące. Rękojemstwo

ab una et kmethones de Bythom pte ab altera recognoverunt concordiam in hnc. qui sequitur mod. etc. A. Z. Przed. 1408—14. Nicolaus de Wecznyj no. ducit test. etc. Taco etc. Jacom przythem bil kedy Nicolay slal kmeczu penadze w then czas kedij jednacza skaszaly a on gych nechczal wszacz.

(1) A. Z. Brzes. 1436. Coram Mcis. Stren. Nobil. dis Johan. de Lyenien Palat. Capit. Andr. Jud. Nicol. [de Schewersko Venat. Dobes. Subven. Swassek Gagowski, Bogussio Thes. Brest. dignitari sup. scrip. feria qrtā pxmi post Jud. caus. vert. intr. Nob. Stanislaum subcam. Wladisl. parte ab un. et intr. Math. kmet. de Colambyno part. ab alt. etc.

(2) A. Z. Grojec. 1447. Thargowski. Strer. Dobeslaus T. venat. Vars. nolens in penis succumbere als nyechczacz szą wjnami dacz porazicz dabat in bona hereditaria realit. intromiss. in quatuor sexag. sibi p. Jud. decret. ut in lib^o continet Superius circumspecto Rawl kmeth. in B. et Dom. Judic. psident. intromiss. ũicto kmethoni in eisd. quor. sexag. decrev. accipere. Sed id. actor kmeto clamabat ut sibi isto daretur ad dm. duce. an debet accip. intromiss. domq. huius actor. postulac. an-nuent. ad Ser. Princip. dedert. ad tnos ducał. pxim. in Cirsko celebrand.

zlewało w jedną rzeszę króla, książąt, komesów, szlachtę, kmieci i mieszczan. W obec rękojemstwa stany były pomiędzy sobą równe: był jeden stan, jedna rzesza, rzesza rękojemcza. Wejście do rzeszy rękojemczej było, szczególnie dla kmiecia, pierwszym stopniem obywatelstwa, jak stracenie rękojemcy byłoby niby wyrokiem wejścia w stan przytwierdzonych lub zaginięcia ze szczerem (1). Przyjmując zasiany grunt kmieć podawał rękojemcę, iż nie odejdzie pierwój nim czynsz wniesie; odbierając załogę, iż jój nie zmarnuje; ulegając winie iż ją w terminie zapłaci. Odbierając sumę pieniężną musiał stawić rękojemcę, że wypłacający nie będzie już pociągany od innych krewnych; podejmując się roboty, iż ją należycie wykona (2). W obec plebana musiał mieć rękojemcę, że zapłaci dziesięcinę, w obec urzędu, iż stawia się na termin, w obec właściciela iż dotrzyma umowy, w obec starozakonnego dla wyzwolenia się od lichwy. Kmieć służył za rękojemcę za kmiecia, za właściciela gruntu na którym mieszkał, za wójta którego sądownictwu ulegał; i nawzajem pozyskiwał rękojem-

(1) A. Kap. Gnieź. 1505. Baranowo querela. Kanonik exposuit coram dominis quomodo iam ab aliquot sept. Mathiam Popiel laicum de B. fugitivum tenet in carcerib. nec aliquis vult pro eo cavere. Petuitq. consiliu. duor. quid secum esset factururus. Et dni Deliber. dixit qd. eum dimitteret e carcerib. et qd. diligenciam adhiberet ne fugeret sed qd. firmiter in agro sedendo laboraret et ubi tunc talitr. habita diligencia p. dm. regentem circa eund. laicu. id. laicus pter spem dm. regent. fugeret dn. habebunt bona consideracion. in dno regente ne paciar. damnu. in recuper. cens.

(2) A. Z. Pozn. 1421. Johan. kmetho de Szczepankowo luit pena VIII scot. iudic. et nob. Stanisl. totid. quas deb. solv. infra II sept. iudic. sub similib. penis et stren. Nicol. de Splawe est p. ipo kmethoni fideiussor et respond. deb. apud notar. si fuit gnarus vel no. Rota Stan. Jacosmy przitem bily yaco Stanislaw Kamenewsky vywabil Jana Szczepankowa s domu brata yego y yal gy na drodze gwaltem yaco to swaczą. Ib. 1417. It. dom. decrev. in iudicio qd. Johan. Labamka km. de Głanboczecz debet dare quinq. mrcas lat. gr. pro capite Martino Scolt. de Żelone infra sex sept. sub penis magn. regalib. et p. inimiciis vlgr o wrosdą a frtrib. carnalib. patruelib. et amicar. debet fideiub. id. Martinus de Z. A. Kons. Pozn. 1427. Pyochna de Pozn. A. Z. Grojec. 1462. Belsko. Johan. de Rossochowo luit p. VI mrc. quia recognovit q. fideiussit p. laborioso Petro kmeth. de Sthokowo q. deb. effodere et mundare piscinula als. Sadzawka sup. duob. fossoriis copaczskych et hoc debet adimpl. ad duas sept. sub p. LL. Nic^o Belski.

stwo od właściciela i od wójta (1). Rękojemstwo było szacownym narzędziem do ubezpieczenia swobody; dopóki trwało rękojemstwo, kmięć używał niby *Habeas corpus*. Ilekroć był niezadowolony z właściciela, szukał innego w sąsiedztwie, a gdy ten korzystniejsze ofiarował mu warunki, oddawał się w rękojemstwo i wyprowadzał się na grunt jego (2). Rękojemstwo w wysokim stopniu było moralizującym: nadewszystko wymagało wierności w dotrzymaniu słowa, wstręt obudzało ku zadłużaniu się; w wysokim stopniu było towarzyskie: wiązało stany bez względu na doraźne przypadkowości urodzenia i majątku; najędźniejszemu kmięciowi dawało otuchę, iż przy stateczności dojdzie do stanu zamożnego, bo drogi dochodzenia: kredyt, bezpieczeństwo i osobista swoboda, stały mu otworem; w wysokim stopniu było narodowe: losy kmięcia i szlachcica stawały się drogami dla całej rzeszy rękojemczej; ucisk pojedynczego kmięcia, strata przez niego poniesiona,

(1) A. Kons. Pozn. 1472. Obliga^o pro d. Jurzycowsky. Jacobus Golenye villicus de Boguszewo posuit se debitore pro omnib. kmeth. de B. Gotharth exceptus qd si aliquis dictor. kmet. in solucion. missal. et decim. deficerit extunc ipe Jacobus in toto p. se omnia solv. debebit et ibid. pfatus Jacob. villicus cavit pro lab^o Stanis. Gay vladario p. 20 g. pecc. et II mens. tritici. A. Z. Brzes. 1396. Act. feria qnta post S. Mart. No. Venient. km. de Thopola fideiusserunt Poczkonem sub hac condicione q. dnt ist Poczkonem statuere... q. si statue. neglexerunt extunc ad XL mrc. pdcti fideiussores sunt astricti. Ib. 1400. Nota. Paulus de Posticzino et Jacussius de Weprzki fideiusserunt manu coniuncti Prziboszoni k. de Vituna IIIor mrc. in IIIor sep. p. mediu. na sklat sb. p. Reg. A. Kons. Pozn. 1456. Census Sapowycze. D. Sandivogius heres de Trzebanye vendidisse II mrcas census annui pro viginti quatuor m. sup. totam hered. Ibid. compar. psonaltr. Johs Buyno taber Petrus et Blasius kmeth. de S. suo et omn. kmeth. ibid. nominib. detum cens. in se assumprnt. Ib. 1446. Census de Advocatia Oborniky. A. Z. Czers. 1433. Ib. Noblis Pacossius de Prompna fideiussor iur. terrestr. pro Petro kmetho. domu. sepes olodiu. non reformavit et debet reformare sepes in duab. sept. et mediu. sexagen. solv. wstanego. domu. et olodium reform. iuxta cons. terr. A. Z. Brzes. 1451—60. Thurowski. Fideiussio pro labor. Petro de Ossovo km. duas mcas minus IX gr. solv. ad ftum S. Michael. cu. no. solv. ext. obligat se p. 1/2 g. usure ad qlbt. septim. Marco Judeo de Bresth.

(2) Ib. Jaschewa. 1480. Nob. Joh. de J. luit p. quinglem ad instanciam Nob. Zawyssy de Cothovijez quia no. misit boves ad pmum fideiussor. qndoq. kmm. apud ipm fideiussit et id. kmo ubi voluit se locare aut manere liber erit etc.

stawiała się uciskiem i stratą dla całego powiatu, bo nieprzerwana nić rękojemstwa łączyła uciśnionego z najodleglejszych rękojemców rękojemcami. Rękojemstwo broniło kmiecia od gwałtu, właściciela od odbieżenia gruntu przez kmiecia nim czynsz zapłaci: czego małosilny gród nie dokona i zbiegłego nie wyszuka, to rękojemcza rzesza w trzecim, czwartym powiecie wybada, zbiegłego wynajdzie i dług ściągnie. Co sądowa władza, ścięsniona formą prawa, a niepewna treści jego, w odwłokę puści, to rzesza rękojemcza przez sąd polubowny wybada, zawyrokuje i na łamiącego opisze winę. Gdy królewska władza zależała od pojedynczej osoby, a władza sądowa od zbiorowego ciała, opinia publiczna od zmiennego organu, obrona podawana przez rękojemstwo miała namacalność kruszcu, a potęgę nie do pokonania, bo opartą na całej rzeszy rękojemczej, na całym społeczeństwie. Tylko z rękojemstwem da się pojąć w jaki sposób przez wieki rzekomo gwałtu, kmiecie mogli zachować swobodę.

Rolnicza ludność uiszczala rentę w pieniądzech, daninach i robociznie. Zasada trzech rodzajów powinności była ta sama: była to renta za grunt dzierżawiony. Jeżeli czynsz był rentą, to danina była tą samą rentą ale w kształcie produktu w pieniądż handlem nieprzeistoczonego, przyjmowanego ku większej wygodzie produkujących. I robocizna była tą samą rentą: zamiast powierzać produkcję renty za grunt same-mu kmieciowi, pociągnięto go do produkowania na folwarcznym gruncie. Stosunek pomiędzy kształtami uiszczania, zależał od handlu i mnogości gotówki przez handel sprowadzonej. W czasie zatamowania handlu zwiększał się w rencie stosunek daniny, a gdy ten czas nieco się przedłużył, rolnik zaniedbywał uprawę roli i właściciel musiał uciekać się do robocizny dla wybrania należnej mu renty. Nie od właściciela zależało dodawanie robocizny, umniejszanie daniny i przekształcanie jej na czynsz: targi rozstrzygały w jaki sposób rolnik na rok następny uiszczał rentę.

Robociznę odbywano na sposób czasowy czyli uroczny. Wieś miała albo oznaczoną jakość robót i ilość dni, albo wyznaczony dział gruntu do uprawienia (zaczas, powab, urok, plan-ta, *digeria*), albo pewną ilość korcy do posiania i aż do zwiezienia do stodoły. Summa czasów powinna była zadosyć uczynić wszystkim potrzebom gospodarstwa. Rodzajami robót

były: wyrabianie drzewa, splawianie, przywożenie do tartaku, stawianie i poprawianie dworu, kuchni, stajni, stodoły, chlewu, spichrza, łaźni, wrót, studni, przęst i mostu, wożenie kamienia do zamku, gliny, chróstu i żerdzi, gradzenie dworu, sadu, ogrodu, pola, łąki, sadzawki, upustu, doglądanie jazu, sypanie grobli, bronienie podczas wezbrania wody, strzeżenie lasu, opatrywanie drwami dworu, folwarku, szczepanie łuczywa, utrzymanie wrotnego, stróża z siekierą przy kuchni, stajni, spichrzu, chędożenie dworu, pasienie trzody, stada, drobiu, mycie i strzyżenie owiec, tuczenie wieprzów, bicie bydła, wywożenie mierzwy, oranie, bronowanie, sianie, żęcie, zwożenie, młocenie jarzyny, oziminy, koszenie, przesuszanie, stozienie siana, przywożenie kamieni młyńskich, mielenie, zawożenie ziarna do młyna, zboża na targ, do Torunia, Wrocławia, zasianie i zebranie ogrodowin, okopywanie, rwanie, moczzenie, potarcie konopi i lnu, wybijanie oleju, obieranie, siekanie, zakwaszanie kapusty, wyrabianie kaszy, darcie pierza, budowanie, strzeżenie i opatrywanie komięg, wylewanie z nich wody, przywożenie soli, chowanie ogarów, chodzenie na łowy, do rybolostwa, robienie piwa, smoły, wypalanie węgla, odprowadzanie złoczyńców do grodu, towarzyszenie przy wybieraniu czynszów i cięży (1). Oprócz zczasów były szarwarki (*labores communes*) i tlóki (*convocatoria, juvamina, adjutoria*): szarwarki byłyto roboty dla pożytku ogólnego służące około zamków, młynów i dróg. Gdyby nie wystarczała robocizna zczasna, nakazywano tlóki (gwałty, powaby, zahaty, później dni kartkowe, narzutowe): odznaczającą ich cechą było wydawanie od folwarku strawy, wymaganie nie z gruntu ale z osób; liczba powabów była już prawem oznaczana, już oznaczana według potrzeby i kosztów, na jakie urzędnik sądził narazić folwark

(1) Registr. Cri Oswiaczimens. 1508. R. Cri Sendom. 1510. R. exact. cens. Notariat. Varschov. 1526. Inv. Cap. Siradien. 1533. Ville ad Crum Chancin. 1508. R. s. Inv. Terr. ac Notar. Czyechanov. 1525. Taxa Cus Thuchol. 1570. p. Lustr. fact. Inv. Boleslav. 1517. R. Cri Brzest. 1494. R. provent. Melszt. 1527. R. cens. C. Sanoc. 1523. A. K. Pozn. 1456. 1473. A. K. Gniez. 1443. Ordinacio cum km. de Parlino. 1444. Sentent. arbitr. sup. laborib. kmeth. in Zdziechowo. Revis. Liber. II visitat. villar. Vbili Capitul. Pozn. 1570. Sumar. intr. maiętn. Brudzewskiej w Pozn. 1590. Inv. C. Premisl. 1432. I. C. Sambor. 1507—1533. R. Cap. Lublin. 1499.

z jego pożytkiem. Historią podniesienia kraju jest historia utworzenia się w nim renty, to jest zwiększenia części dochodu, którą nazywamy czystym dochodem. W tym względzie tłóki są godne uwagi: są one wskazówką zradzającej się po kraju renty.

Daniny, w porównaniu z innemi krajami, u nas nie były liczne: dowód i ubóstwa natury i braku przemysłu. Postępując od Gdańska ku południowi, to jest idąc przeciw prądowi Wisły i jej affluentów, spostrzeżemy, że mnogość gotówki coraz się zmniejsza. Najbiedniejsza strefa co do gotówki, to międzyrzecze pomiędzy Przemysłem a Kowlem, Lublinem a Sniatynem; na południu téj strefy znów nieco większa się w obiegu, a to skutkiem handlu wschodniego. Mnogość gotówki zostaje w szczelnój styczności z mnogością danin: zmniejsza się w powiatach, w których jej więcej; zwiększa się, w których mniej: w Prusach wszelkie daniny i robocizny okupują kmiecie, a zapuszczając się głębiej w kraj, liczba danin zwiększa się i jest najliczniejsza właśnie na międzyrzeczu małopolskiém i rusińskim. Najpowszechniejszą daniną było zboże: w dobrze zagospodarowanój wsi wymagano żyta dwa razy więcej niż pszenicy, owsa cztery razy. W Prusach, wymagano czterech zboża gatunków: pszenicy, żyta, jęczmienia, owsa. W Wielkopolsce trzech: pszenicy, żyta i jęczmienia; pomiędzy Poznaniem a Kamieńcem dwóch: na północ od Krakowa żyta i owsa, na południe pszenicy i żyta. W Mazowszu i Podgórzu brano tylko owies. Inne daniny były: pszenica szarzyca, proso, jagły, groch, mąka, krupy jęczmienne, hreczane, pęczak, pirogi, chleb, ralce, krasne jaja, kołacze na Rusi, strucle w Prusiech; sól jęczmienny, pszenny, piwo, klar, len, konopie, przedza lniana, przedza konopna, sienie lniane, konopne, płótno lniane i konopne, wory, ręczniki, obrusy, powrozy, motki, niewód, wiersze, sieci, snopki, kmin, chmiel, pietruszka, kapusta, chrzan, mak, tytoń, cebula, czosnek, rzepa, barszcz, manna, pieprz, szafran, śliwy, wiśnie, poziomki, czernice, maliny, jabłka (na południe od Sandomierza), orzechy wodne, siano, sieczka, fijołki, gładysze (w augustowskiém), konwalie (w bełzkiém), jagody, grzyby, borowiki, rydze, żołądz, bukiew, orzechy, popiół do blechu, ul, sanie, wóz, półwózek, wóz wojenny, becзка, niecółka, komienga, kojce, galary, obody (dzwona), mech, łyka, kora, gonty, deski, rynwy, dziegieć, smoła, tarcice, łąty, stroisz, tyki, żerdzie, krokwy, drwa,

tramy, kloce cisiny, kładziny. Kamień młyński, wapno, glina, garnki, żelazo do pługa, do wozu, sztaby, podkowy, sól i ropa w samborskim, hałun w drohobyckim, lazur miedzi w checińskim. Kogut, kapłon, kurczę, kura, gęś, gołąb, krowa, wół, jałowica, baran, baranek, kozłą, wieprz, koń, skóry jagnięce, słonina, szynka, mięso, kielbasy, łój, ser, bryndza, wikar, gomółki, masło, popręgi, sukno, pszczoły, miód, воск, krzczot, krogulec, kaczka dzika, sokół, jastrząb pomiędzy Bugiem a Prypcią, wiewiórki w ratenskim, kuny w plockim i sandomierskim, wydry; lisy wójci dawali w Prusach, popi w sanockim, kmiecie na Pokuciu. Zające, sarny, czerwiec w lubaczowskim, ryby, łososie, węgorze, pstrągi w wieluńskim, raki w poznańskim (1).

Najpierwsze w pieniężnych opłatach miejsce zajmuje czynsz, czynsz uroczysty, urok, składne, prętowe, rolne, czyli poziemne (*census pecunialis*). Liczba pieniężnych opłat (które zaraz podamy) dowodzi, z jakim pochopem właściciele chwyтали każdą okoliczność, gdy się im ta nastęrczała, do zamienienia pre-stacyi daninnych i robotnych na okup pieniężny. Okup stał zawsze otworem. Poletne, zczasne za grunta folwarczne rozdane pomiędzy kmieci. Stronne, morgowe (*lateralis*) za przyrobki. Za użycie pastwisk: zleśne, lasowe, spaśne, paśne, pastewne, brzegowe czyli łączne (*pascualium*). Robotne, dniowe czyli najem (*locatio labor.*) za wyzwolenie od tygodniowej robocizny: szarwarkowe od robocizny szarwarcznej. Kośne za uwolnienie od sprawowania siana. Furlon, powożne czyli drożne (*ductura*), posolne, solne czyli komieźne okupujące powinność powożną i powinność przywiezienia soli. Stróżne (*custodie*) i wróblowe okupujące powinność stróżowania we dworze i w polu. Siekierne (*securiale*) i kamienne okupujące powinność budowania i wożenia kamieni. Wojenne (*bellicialium*) za powinność wojskową. Pszeniczne za daninę pszenicy. Polesie (*census pecunialis de mellificiis*) za pożrebne barcie. Oczkowe, plastrowe od chowu pszczół. Kunne i lisowszczyzna, wodne, rzeczne, rybne, rybkie, jazowe, więciorne, kłomne, piskorne czyli buźne (a pi-

(1) Rev. W. Mazowiec. 1564. Lustr. WW. Plock. i Raws. 1564. Revidov. i popisan. dochodu W. Pomors. 1565. L. WW. Poznans. Kalisk. 1569. Inw. S. Sieradzki. 1541. I. Zam. Sandom. 1585. L. WW. Rusk. i Belz. 1564 — 1616. I. S. Bolek. 1615. A. S. Ref. 1672. S. Czorsztyns. A. K. Warsz. 1526. R. conscript. om. pr. Submontaneis bonorum Dambrowicz 1534. Inw. m. Szydłowca i włości 1693.

scatura fluviale) za wolne łowienie zwierza i ryb. Za użycie lasu drewnowe, drewnne, wrębne, chróstowe, różgowe, gajowe, wgajne czyli pniowe (silvium). Żerdne czyli grodne za żerdzie do ogrodów. Piecowe czyli smolne za wypalanie smoły. Kamiennie i żarnowe okupując melcie w cudzych młynach i w swoich żarnach. Browarowe, kotłowe, kolejne, piwne czyli karbowe, i stawne (a propinatione) od robienia i szynkowania trunków. Folszowe od robienia sukna; frachtowe, rzeźnicze od konsumpcji wsi zamieszkałych przez rzemieślników. Targowe wybierano podczas jarmarków. Strunga od chowu owiec; od chowu bydła rogowszczyzna, powołowszczyzna. Powołowszczyznę wybierano w wołoskich osadach każdego roku, w śniatyńskim co siódmy rok, w stryjskim co piąty, w rohatyńskim co trzeci. Osborne (forestialium) za używanie wspólnej obory. Błędne za przytrzymane bydło cudze. Pastuchowszczyzna okup za gospodarza, który pasie trzodę wiejską. Okupując stacye, na właściciela gruntu płacili wołowe, krowne, baranowe, skopowe, koźłęce, wieprzowe (vaccalium, porcorum etc.). Obiedne, kuchenne, wieczne, ławnicze (prandialium, judicialium, scabinalium) za powinność karmienia urzędnika podczas sądów. Oprawne, okupujące prawo właściciela do wyprawienia wesela córce kosztem kmieci. Wpisne, zapisne, przyłajne czyli garstne (inscriptionis, postcensum), na rejestra przy odbieraniu danin. Mięsne, poczta, cześć, pokłon, poddane, kolenda, wjezdne czyli pogastka: składka podczas świąt i na przyjazd. Wchodne, posadne czyli wkup (Einkaufsgeld, Gottespfenning). Wstanne, odchód, wykłon czyli odkłon (egressionalia) przy przyjmowaniu i porzucaniu gruntu. Kunica przy wydawaniu za mąż. Puścizna, odumarłszczyzna czyli żałobne (Erbszar, morticinium) i dzielne od spadku i działu (1).

Dzieje rolniczej ludności całe zamykają się we czterech zajściach: w ostatniej ćwierci XV wieku wprowadzono przytwierdzenie, a skutkiem przytwierdzenia nastąpiło w pierwszej ćwierci XVI wieku zwiększenie robocizny, w drugiej odbycie pomiaru, a w ćwierci ostatniej porzucenie ratajstwa i najmu.

(1) Patrz str. 805, 807. Inw. dochod. pozithk. Stwa N. M. Korczyzna 1533. 1572. I. S. Sochaczews. 1539. R. castr. Bolesl. 1517. Inw. C. Zathor. 1533.

Dawniejsza ekonomika dzieliła grunta na łan osiadły (mansus possessionatus, sessionatus, assessus), łan pusty (m. desertus, absus) i łan nieużyteczny (m. sterilis). Osiadłemi gruntami były grunta lepsze, wymagające mniej kosztu i trudu w uprawie, i mogące ponosić całą rentę jaką zwyczaj ustanowił dla okolicy (1). Pustemi były wszystkie gorsze, sapowate, piaszczyste, niedokarczowane, wymagające więcej nakładu i trudu, i które tylko za umniejszoną rentę w porównaniu z normą w okolicy przyjętą, kmięć podejmował się uprawiać. Rentą za nie był albo jeden czynsz, albo danina owsa, a najlichsze wydzierżawiano za kurę (2). Nakoniec łanem nieużytecznym nazywano, który zgoła nie ulegał uprawie. Przytwierdzenie zjawia się na wstępie jako fakt czysto ekonomiczny, jako wymaganie osobistej z inwentarzem obecności dla podniesienia pustego gruntu i małej jego renty do stopy gruntu osiadłego i renty normalnej. W XIV wieku w przywilejach zastrzegano, ażeby kmięć osobą swą na łanie mieszkał, pod utratą prawa do gruntu i budynków. Statut Kazimierza W. wtorował przytwierdzeniu, kiedy prawo porzucenia gruntu ograniczył do dwóch gospodarzy (3); lecz dopiero w ostatniej ćwierci XV wieku opinia publiczna zwróciła uwagę na pytanie o powszechném przytwierdzeniu. Przyczyną tego były polityczne zajęcia na południu, od strony Rusi; okolice dotąd zostawiane stepem, zaczęły powracać do życia; utwierdzające się bezpieczeństwo pociągało tam masy kmięci, a o tyle zmniejszało

(1) Reg. mansor. in palat. Brest. 1489. Sadlno. Octo mansi possessionati ex quib. cens. p. 3 fert. solv. It. septem msi deserti qui pro predio coluntur quorum duo possessionaliter de censu arantur. Zyrzewo. XII msi possessionati. It. XV msi deserti qui iam concreverunt roboribus qui pro predio coluntur. Swierzewo. Deserti XV msi in quib. arbusta crescunt. R. omn. prov. C. Innivlad. 1510. Mansi deserti sed quia kmetones apreciant et colunt ubi agri non sunt ex integro taxati pg. 40, g. 20 etc. Registr. cens. Pysdry 1542. de laneo possessionato per f. 2 do tego roboczny i daniny; de laneis desertis in censuum suscept. per f. 2. Liczba łanów pustych zwykle wyrównywała liczbie osiadłych w W. Brzes. łanów osiadłych 2544, łanów pustych 2023. Pobor: łanowego r. 1532.

(2) Uniwer. pobor. 1511: pro pullis aut parvo precio.

(3) Cod. dipl. Rrzesz. 1334. II CCLVI i 1404. CCCXLVII. Zw. zupeł. Stat. Kazim. W. LXIX ap. Helcel, Starod. prawa Pols. Pomn. 1856.

liczbę współzawodniczących o grunta i przez to wpływało na zmniejszenie samój renty. W Wielkopolsce znikali gospodarze, znikaly wsie. Było dużo takich, w których sam tylko dziedzic został przy zagrodniku; wszyscy kmiecie poprzechodzili na Podole; liczba pustych łanów coraz się zwiększała. Namiętność wynoszenia się dotknęła sółtysów, karczmarzów, młynarzów, to jest zamożniejszych nawet z rolniczej ludności. Grunta porastały drzewem, folwarczne były uprawiane szmatami, niedbale dla braku robotnika. Wielkopolska zamieniała się w pustynią, rola ogołocona z kmiecia mogłaby była stać się plonem czyhającego na nią Niemca. Ze smutkiem właściciel śledził dawne miedze krzakami zarosłe; wśród lasu nieraz się natrafiło na pieczyska dworów, na cmentarzyki wiejskie, na mogiły kmieci: młodzieniec strudzony łowami tam odpoczynku szukając, zdziwił się, że znalazł wśród zarośli szczątki życia. Klęski którym Ruś i Podole z rzadkiego odtąd najazdu nieprzyjaciela uległy czasami, jeszcze bardziej pociągały kmiecia w tamte strony: po wojnie pilnie potrzebując osadnika, przyjmującemu grunta podawano lżejsze warunki i dłuższą wolę. Na popieliskach Rusi biegły w rolnictwie kmieć wielkopolski swobodę, poważanie i dalekość od nieprzyjaznego mu Niemca znajdował (1).

Wymagania krajowych finansów nie były bez wpływu na wprowadzenie przytwierdzenia. Pierwszy peryod naszych finansów skończył się z Piastami. Wszystkie źródła dochodu państwa przeszły w posiadanie prywatne właścicieli ziemskich. Z Jagiellonami zaczął się drugi peryod. Odrębną cechą tego peryodu poczynającego się od r. 1404, jest, iż podatek stał się czysto publicznym, oddzielonym od prywatnego dochodu króla. W pierwszych pięćdziesięciu latach XV wieku uchwalono

(1) Reg. mans. palat. Brestens. 1489. Wączkowycze, deserta et oms agri prediales deserti. Chrostowij, villa deserta. Wroszkowo, predium desert. Wączsławicze, deserta in qua unus kmetho in mso et oms agri prediales deserti iacent. Krosijno, Krosijno Nob. pdia deserta. Cysnijewicze, Czijehoczyn, Podole, ville deserte. Syrzehowo, unus Nob. nullus kmetho. Sobijesijrnije duplex. In maiori S. omnia deserta nullus kmetho. It. in minori S. Nobilis unus cum ortul. It. molendine ventil. desertus. A. K. Płock. 1484. Fuga kmetolu. Dom. decr. de kmet. qui fugam dederunt ut sit inquisicio et jurament. p. scabinos de rebus derelict.

podatek dwa razy, w pięćdziesięciu latach poprzedzających XVI wiek, szesnaście razy, a w przeciągu XVI wieku pięćdziesiąt razy. Pięciorakie znajdujemy gałęzie podatków.

Pośrednim był tylko jeden, od trunków czopowe. Najwcześniejszą o nim wzmiankę spotykamy gdy był wybierany na koronacyi Jana Olbrachta w r. 1492 (1). Czopowe rozkładało się na podatek od robienia trunków i od ich sprzedaży: z początku wybierano je bez różnicy stanu, na którego korzyść wyrabiano i sprzedawano trunki. W końcu XVI wieku czopowe wybierano tylko w miastach: właściciele ziemscy, pod pozorem wyrabiania i sprzedawania trunku tylko na swój i swoich kmieci użytek, siebie wyzwolili od podatku czopowego (2). Summa czopowego stanowiła mniej więcej czwartą część ogółu poborów.

Miasta po oszacowaniu dóbr ruchomych i nieruchomości, od kapitału dawały podatek szosu po 5⁰/₁₀ (*Exactio civilis v, szos simpla*), 7½⁰/₁₀ (*Ex civ. medio altero*) lub po 10⁰/₁₀ (*Exactio civilis in duplo*). Szos wzmiankuje się przy wybieraniu podatku już w r. 1473 (3). Summa szosu mogła wynosić jedną piątą ogółu poborów.

Trzecią gałęzią podatku był podatek od dochodu, podatkiem czwartej części czynszów pospolicie nazywany. W XV wieku wybierano go na stopie od jednej osmej do połowy dochodu opo-

(1) Rach. królews. prywatn. 1492. Coronac. Joan. Alberti. A Petro Opaliensky Judice Poznan. p. 7 sexagen. de exactio. vid. Czopowe etc.

(2) Uniwers. pob. 1573. Czopowe wszelakie nymowane być nie ma ani się żaden, ktoregożkolwiek stanu wolnościami od niego szczycić ma ale wszyscy jednako płacić maia tak w miesciech jako y miasteczkach wsiach y domach dworzach mieyskich y pod czyiażkolwiek jurysdykcyą są. Uniw. pob. 1578. Co się dotycze dóbr szlacheckich tedy my tę folgę czyniemy, iż u nich od czterech szelągów piwa, ieden pieniądz wybieran będzie. Uniwers. pobor. 1588. A co się tycze browarow szlacheckich tedy z nich Czopowe dawane bydz niema od piwa, ktore karczmarze ich z browarow ich biorą y szynkuia. Od palenia gorzałki w miesciech y w miasteczkach, każdy powinien płacić po gr. 24, a na wsiach po gr. 12, okrom dworow szlacheckich. Nim nastapiie prawo uwalniające szlachtę od czopowego, już własnowolnie szlachta nie płaciła tego podatku. Contrib. 1527. Palat. Calis. Ducilla. Dicunt (exactor.) quod propter temeritatem hominum et dom. Nobiles defend. et notarios exact. probris et minis exterrunt. W r. 1571 wybrano z miast 67,093 f. czopowego, a ze wsi tylko 1610 f. Manual 112.

(3) Rach. królews. prywatn. 1473.

datkowanego. Od pierwszego wybierania go w połowie XV wieku, ta gałąź podatku coraz się zmniejszała w summie wpływającej do skarbu. Z piątej części, którą dawniej stanowiła w summie podatków, w pięćdziesiąt lat spadła na kilkadziesiąt florenów. Znaczenie jego było ważne. Łanowe (o którym niżej) było podatkiem z dochodu dzierżawców gruntu, podatkiem od kmieci, class biédniejszych. Czwarta część czynszów stanowiła podatek od właścicieli ziemskich, class zamożniejszych. Widocznie były to dwie gałęzie jednego szczepu; jeden był dopełnieniem drugiego: usunięcie łanowego zrzuciłoby cały ciężar podatków na klasy zamożniejsze, usunięcie czwartej części czynszów, na klasy biédniejsze. Wysoko usposobione umysłowo pokolenie dwóch Zygmuntów należycie oceniało znaczenie tego podatku i zasoby, które z niego skarb mógł czerpać. Dlatego prócz dochodów z dóbr szlacheckich, chciano pociągnąć pod podatek czwartej części czynszów, dochody z dóbr duchownych, dziesięciny i annaty płacone dworowi rzymskiemu (1). Zygmunt August poddał podatkowi czwartej części czynszów, dochody z ceł, żup i dóbr królewskich. Pod imieniem kwarty ustanowił czwartą gałąź podatków. Dla wyprowadzenia kwarty miały się odbywać co pięć lat lustracje, ale w wieku XVI odbyto ich tylko dwie (1564, 1570); w XVII dwie (1616, 1664) i dwie częściowe, i dwie w wieku XVIII (1765, 1789). Kwarta w XVI wieku stanowiła większą połowę ogólnej summy podatków. Według pierwszej lustracji miała wynosić 94476 fl. (2). Czwarta część czynszów musiała dosięgnąć dochody szlachty i duchowieństwa; kwarta dochody królewskie i dzierżawców, łanowe dochody kmieci; słowem cały dochód kraju uległby podatkowi. Ale zamiary prawodawców nie doszły skutków: zaniechanie uchwalania czwartej części czynszów zostawiło bez opodatkowania dochody szlachty i duchowieństwa. Tylko kwarta, uszczuplone czo-powe i łanowe, zostały się jako ciągłe podpory skarbu.

Łanowemu ulegały łany kmieci; wysokość łanowego dochodziła według uchwały od gr. 6 do fl. 24 z łanu. Sum-

(1) Rach. kwarty. 1578. Sunt omnes in retent. nullus enim illorum eand. Thesauro intulit preter Krasinski Epis. Cracov. et Cuiaviens. Karnkowski.

(2) Bibl. Impér. 8777. Provent. om. Reg. ex revis. Lustr. et ex Registro Thesau. demonst.

ma coraz się zmniejszała: w r. 1404 po gr. 12 od lanu wynosiła 100,000 grzywien, co licząc gr. 24 na floren, czyniło fl. 200,000; w r. 1532 na stopie gr. 20 od lanu, wynosiła już tylko fl. 56,000, pomimo przyłączenia Mazowsza i Podola, zwiększenia się ludności i podniesienia rolnictwa (1). W drugiej połowie wieku XV jeszcze mniejsze summy z tej gałęzi podatków wpływały. Z poboru 1493 wpłynęło do skarbu tylko 13,000 fl. (2). (O ile rachunki, które się zachowały są wierne). Przyczyna zmniejszenia się podatkującej materji z dwóch przeciwnych stron pochodziła: od kmieci i od właścicieli ziemskich; od niestałości zostawania na roli pierwszych, a obracania przez drugich ról kmiecych na folwarczne, przez co z prawa uwalniały się od podatku. Niezręczne rozłożenie łanowego spożywało materją podatkującą; można było wyrachować kiedy ma zaginać zupełnie, kiedy zupełnie usunie się z zakresu uniwersałów poborowych. Poborca przyjeżdżający z dawną kwitancją, znalazłszy umniejszenie łanów, musiał słuchać skargi na niestałość kmieci w zostawaniu przy osiadłości, skargi zawsze zakończone tylko gołą dla skarbu stratą. Dwie, jak powiedzieliśmy, były tego przyczyny: sądzono, że przez przytwierdzenie kmieci usunie się jedna przyczyna wpływająca z niestałości ich przy osiadłości.

(1) At nunc, quando longe cultior atque populosior est Polonia, longe minus ex ea contribucione conficitur. Kromer, De Reb. Polonor. XVI.

Rach. pryw. Summa de Exact. A. 1532.

Lanei cmet.	69,747 $\frac{1}{4}$	p. g. 20 f.	46,499 g. 18.
„ Nobil. paup.	8,301 $\frac{3}{4}$	id. 20 f.	5,534 g. 16.
„ Advoc.	2,107 $\frac{1}{2}$	id. 20 f.	1,405
Taber. hered.	542	id. 12 f.	216.
„ manual.	3,467 $\frac{1}{2}$	id. 10 f.	1,155 g. 25.
Molend. hered.	1,613	id. 12 f.	645 g. 6.
„ annual.	3,188	id. 6 f.	637 g. 18.
Areae Valach.	375	id. 12 f.	150.
Pop. Ruten.	735	id. 30 f.	735.
Exact. Civ.	1 $\frac{1}{2}$ et 6ta pars	12,567.	

Summa omn. ducill. tant. excep. f. 69,547 g. 21.

Sumaryusz iak wiele podatki Rtey po WW. uczynić mogą r. 1650. Manual. 133. Pobór pojedynkowy f. 267, 192 (z WW. Prusk. i Ukrainemi). Czopowe podług arend. f. 568,000.

(2) Rach. królews. pryw. 1493.

Opinia publiczna, wszystkie władze społeczne potępiały i miały w podejrzeniu nieosiadłą ludność. Władza duchowna widziała w osiadłości wstępną rękojmią uczęszczania do śś. sakramentów i życia chrześcijańskiego, na synodach zalecała dawanie jałmużny tylko stale zamieszkałym w parafii. Władze cywilne w mnogości nieosiadłych mieszkańców widziały zagrożenie porządkowi, przyczynę wielości występków i trudności dochodzenia wykraczających; warowały więc, ażeby nieosiadłych, nieraz mieszając ich z włóczęgami, odsyłano do sypania wałów w Kaliszu, Poznaniu i Kamieńcu. Właściciele ziemscy zalecali, ażeby nieosiadłego dłużej nad trzy dni we wsi nie cierpiano. Potoczne życie prześladowało ich piosnką i pogardą. Sama nauka w liczbie tylko osiadłych widziała zakład dobrego mienia: streszczając zdanie w dziele swém współczesny ekonomista powiada: *Ubi populus, ibi obulus* (1).

Dążność mnożenia osadników objawia się w r. 1468. Od tego roku poczęto używać licznych środków do osadzenia pustych gruntów i do ograniczenia ilości oddawanej pojedynczym gospodarzom. W celu zachęcenia dzierżawców do osadzania gruntów pustych, przepisano, że dzierżawcy ustępuje się połowa czynszu od nowoosadzonego: późniejszém rozporządzeniem przyrzeczono dożywocie osadnikowi na wykarczowany na osiadłość grunt. Przyrzeczono wynagrodzenie w ilości czterech grzywien za osadnika, oprócz zwrócenia kosztów przy osadzeniu wyłożonych; przeznaczono szczególny fundusz na dawanie załogi, mianowicie z pozostałości w gumnie i inwentarzu po zmarłych kanonikach. Dzierżawca, któryby przez opieszałość nie przyjął zgłaszającego się po osadę kmiecia, lub który surowością postępowania utraciłby ze wsi gospodarza, płacić miał czynsz przypadający od utraconego, dopokąd nie wynajdzie zastępcy (2). Wysokość załogi została ściśle opi-

(1) Constit. Synodar. 1609. A. Kons. Pozn. 1423. Gorzice. Swanch skarży że Machna żona jego, z którą jest od trzydziestu lat zaślubiony, nie chce z nim mieszkać; Machna usprawiedliwiając się powiada „quod non habet mansion. fixam. vagans et Domin. mandavit Swanchoni ut mansion. fixam habet. et domicilium dum aquirat mandt. Machne ut ad eam redier. et commanet matrimonialiter.” Prawa i Konst. I. 1496. Ustawy prawa ziemsk. polsk. i t. d. w Krakow. 1579. Gospodarstwo r. 1588, p. Anzel. Gostomskiego.

(2) A. K. Pozn. 1462—74. A. K. Warsz. 1523. Decret. dominor. supr. locac. agror. 1550. Decret. de extirpatione agror. A. K.

saną (1). Zalecono, żeby z pomiędzy dawniej osiadłej ludności wybierano synów gospodarskich, dorosłych i zdatnych, i takowych oddzielano i na gospodarstwa osadzano (2).

Prawodawcza władza wtorując wymaganiom właścicieli ziemskich, rozprzestrzeniając dążność już wykazaną w przywilejach XIV wieku, jako i w samym statucie Kazimierza W. nie pomna na ów pewnik rzymskiego prawnika: *Civitas non carcer est*, postanowiła, że odtąd jeden tylko na rok kmięć może wynieść się z gruntu; że ci tylko, którzy mają kilkoro dzieci, mogą oddawać do nauki i do rzemiosł i to tylko jednego syna a nawet nie inaczej, jak za pokazaniem karty zezwalającej od właściciela. Jedynak powinien zostawać przy roli; dzieci tylko do 12 roku mogą być oddawane do nauki lub do rzemiosła; ścieśniono wolność wydawania córek za mąż do cudzych majątności. Konstytucya r. 1543 ostatecznie porównała kmięcia z przytwierdzonym, kiedy zastrzegła, że gdyby porzucił grunt nie zachowawszy wszystkich przepisów prawa, nie może być okupiony pieniędzmi, ale wydany osobą (3).

Gniezn. 1470. De locatione mansor. desertor. quilibet locavit kmetthonem in manso deserto habeat IIIor. marc. de communitatis cens. Ibid. 1485. Ordin. de locac. kmeth. in desertis. A. Metr. Koron. XXXV. 1521. Arenda C. Przemyśl. P. Kmita: subditos nostros defendet et in iuribus ac antiquis eorum consuetudinibus mantenebit, villas agrosq. desertos colonis locabit. A. M. K. XXXI. 1518. C. Sanoczensi. villas agrosq. desertos colonis locabit (dzierzawca).

(1) A. K. G. 1488. Locatur mansus in Parlino. Łan osiany, 4 korce owsa, 1 pszenicy, 1 jęczmienia, 2 konie, półwózek, piug, chróst do grodzienia, drzewo do chlewu, dwór z sieniami z dachem. pastwisko dla koni i 2 lata woli. Addetur tamen eidem et tercius si laboraverit et edificaverit bene. Kmetho debet dare bonos fideiussores q. residebit et censum solvit. 1518. Załoga kmięcia: $\frac{1}{2}$ łanu osianego ozimina, 1 korzec pszen. 1 jęczm. 1 grochu, $\frac{1}{2}$ korca tatarski, 3 konie, brona, koła do wozu, żelaza i koła do pluga, radlica, kosa i gotowe budynki. 1618. Ut singuli habeant per 4 boves, equos 2, per 1 vaccam, scropham 1 ac instrumenta agraria. Reg. provent. C. Bydgost. 1514. Dominus dedit agrum possessum Nicolao cui dedit libert. 2 boves et vaccam 12 mensur. siligin. ferri ad rott. kosza securis et Rathlijeza.

(2) A. K. Gniez. 1528... et quod adolescentes habiles locaret (Regens).

(3) Statut. Regni Pol. a Joa. Hérburto. 1496. Unus kmetho de una villa in aliam transferri potest. Filii kmethonum si plures fuerint unus tantummodo ad servitia et praesertim ad studia literarum seu artificiorum sub literis testimonialibus Capitanei vel domini sui mittatur;

Ograniczane prawo przenoszenia się z majątności do majątności, przeistoczyło się niedługo w bezwzględne przytwierdzenie, przyrodzoną dążnością społeczeństwa ażeby przesadzać ku złemu prawo. W niespełna dwudziestu latach po zapadnięciu prawa czyniącego zwolnienie przytwierdzenia zależnym od właściciela, postanowiono, ażeby żadnego odtąd gospodarza dziedzica nie wypuszczać, ale osadzać we wsi lub w innych dobrach do tegoż właściciela należących (1). Przytwierdzenie od gospodarzy rozciągnęło się do członków rodzin: wydawania za mąż do cudzych majątności pozwalano tylko pod pewnymi warunkami, a najczęściej zupełnie go zabraniano (2). Postanowiono, że niewolno kmieciom brać w dzierżawę pustych gruntów u cudzego właściciela, dopokąd je mają u swojego (3). Zabroniono wynajmować swe grunta kmieciom cudzym (4). Sprzeciwiano się wynajmowaniu się na flis i do polnych robót do cudzych majątności (5). To przeistoczenie

alioqui si unus sit undecunque extradatur. 1511. De filiabus kmethorum in matrimonium collocatis. 1543. Kmetho profugus restituatur, et non redimatur decem marcis.

(1) A. K. G. 1513. Deputacio ad Lubcza... nullum hominem heredem de dicta villa dimitteret (Regens) sed eum locaret vel in alia bona Capitul. daret.

(2) A. S. Ref. 1671 kl. Medyniec. Surowo zakazuje się córek do inszych wsi ogolając role wydawać. A. K. G. 1744. Consensus in extradit. mulieris ad alia bona sub condicione reciprocitatis. Inw. kl. Klewiansk. (w Ordyn. Zamoy.). 1702. Na cudze wsi dziewczek wydawać za mąż ani też w cudzych wsiach żenić się niepowinni, ponieważ do swatowstwa iak przyydzie iaki ciężar w podatkach chłopi zwykli uciekać.

(3) A. K. Gniez. 1513—1620.

(4) A. S. Ref. 1680. w. Wiszenka. W cudzych wsiach gruntów aby nie wazyli się zasiewać. Odpowiedzi i t. d. Kamery J. K. M. 1744. Les sujets sont accoutumés de prendre à censés ou pour la troisième botte des champs étrangers et point économiques des pareils bails seront défendus sous peine de confiscation, la moitié au profit du Trésor, et l'autre au profit du village pour être employé aux impôts de ce village. A. K. Warsz. 1529.

(5) A. S. Ref. 1725: pracowici poddani wsi Zarzyce, Kurzyna a Vice Instig. Kor. Derengowskim. Niéma zabraniać chodzić na flis bo to dobro publiczne wymaga. Ibid. 1725. Lubcza. O przymuszaniu dzieci kmieci na służbę dworską, przymuszania takowego synow y corek in patria et materna potestate będących osobliwie tych kmieci y zagrodników, ktorzy mało dzieci mają surowo zakazujemy ale (pozwalamy) szkodliwych gromadzie przyymować y jeżeli by u którego po kilka dzieci było y do cudzych dóbr oddawali bo c'wór iesel bliższy.

warunkowanego wolą właściciela przytwierdzenia w bezwzględne, wchodziło coraz we zwyczaj od zachodu idąc ku wschodowi i ku południowi. W Mazowszu, które było jeszcze odrębnym księstwem podczas gdy zapadło prawo z r. 1496, zachowała się swoboda kmiociom, zwłaszcza, że w tém interes mieli książęta, możniejsza szlachta i szlachta drobna. Mazowsze służyć może za dowód mylności tych teoryj, które przyjmują, że jedna forma rządu więcej niżeli druga sprzyja swobodzie kmiocia, a za najmniej sprzyjającą poczytują szlachtę drobną. Mazowsze zamieszkiwała massa drobnej szlachty obok ściśle zachowujących swobodę kmiocia: dowód, że swoboda nie od ustaw społecznych, ale od serca człowieka zależy. Kto godnym jest swobody i dopokąd jest jój godnym, ten ją będzie posiadał. Zachowanie swobody kmiociom było tu przedmiotem prywatnych nawet umów (1); w r. 1539 jest ona zawarowana jeszcze prawem, ale w r. 1563, właśnie kiedy pobory najdotkliwiej uczuć się dawały, nastąpiło przytwierdzenie (2). Na Rusi, na początku XVI wieku, zastrzegano przywilejami niewydawanie nowoosiadających. Inwentarze wzmiankują wyklon coraz częstszy ku południowi, coraz radszy ku północy (3). Ale i tu w ciągu wieku bezwzględne

(1) A. Z. G. Czers. Groiec. 1472. Gloskowa. Wodynye concordia... recognoverunt quia quando et quocies aliquis kmeth. predict. ab uno ex ipsis ad alium transiret aut transire ipm. contingeret extunc quilibet ipsorum nobil. talem kmethonem recedentem vexare impedire minime presumat sed ipm. hom. liber. mittere debebuntur hec presertim reservato fideiussores instituendo si aut. q. ipor. nobilium fideiussorem no. habuit protunc, extunc talis kmetho receden. apud advocat. ex utraq. parte exucium. fideiuberi dent. et ipso a quo k. recedit debet suo jure protestari talem fideiuss. et ille ad que. k. vadit ill. a quo k. recedit pro q. sup. talem kmethonem recessum cora. ipo. ad quem transit k. aut coram jure ipius. probabit omnia absq. omni. difficultate psolv. debet omn. differ. obmissis qua. qdem. concord. utraq. part. sub p. vallata decem sexag. g. in med. gr. ten. deb. etc.

(2) A. Metr. K. LVII. 1539. Constitutiones seu formule iuxta antiquam consuetudinem in fideiussione emethonum in Palat. Plocen. observatae eademq. per Majestatem Regiam confirmatae. Dzieła T. Czackiego II. 196.

(3) A. M. K. XXXI. Privileg. v. Kuliaszne. 1546. Ib. XXXV. 1511—1521 Smolnik. It. homo undecunq. profugus ad dictam villam Smolnik commigrans nemini tradidebat (Scultetus). Iaw. S. Lubaczowsk. 1539. Egressionalia. Si aliquis colonus ex villa in alterius dominia pos-

przytwierdzenie stało się powszechnie przyjętym zwyczajem (1). Przytwierdzenie postępowało ku wschodowi, ku Dnieprowi coraz większy spotykając opór; ostatecznie zaś urzeczywistnione nad Dnieprem dopiero przy schyłku XVIII wieku.

Odtąd zniknęły odcienia prawne co do osobistej swobody pomiędzy stanami rolniczej ludności; niewolnika i kmiecia porównano z przytwierdzonym; pierwszy niewiele na tém wygrał, lecz drugi niezmiernie stracił z całym krajem, którego był obok szlachty najzacniejszém dzieckiem.

Przytwierdzenie miało ogromny wpływ i na ekonomiczne całego kraju położenie. Skutkiem przytwierdzenia ludności rolniczej zmniejszyła się miejska: już ją cudzoziemcy tylko i starozakonni zasilali. Przestali kształcić się rzemieślnicy po wsiach. W Mazowszu gdy z rozkazu króla kazano szukać cieślów, rządcy donieśli, że niema już żadnej wsi biegłej w tém rzemiośle; w dobrach arcybiskupich żalą się kmiecie, że ich zmuszają do budowania śpichrza, a oni są nieświadomi rzemiosła. Żupnicy ruscy skarżą się, że na żaden sposób nie mogą wynaleźć chcących za najem drwa do żup wozić. Zagięli komieźnicy co po Litwie sól ruską rozwozili. Kupcy nie znajdowali powoźników do prowadzenia towarów (2). W rolnictwie przymusowa osiadłość stworzyła abnormalny stan w rozmieszczeniu ludności; naruszono stosunek między żądaniem a daniem pracy; wyrodziło się niedługo przepelnienie robotnika w jednych dobrach a brak w drugich; na połu-

sessib. pecorib. et pecudib. commigrare statuerit tenetr. solv. f. 2 agro suo equival. sibi colono locato et solut. tribut. omnib. si vero hortuianus fuerit debet g. 12 si inquilinus g. 6.

(1) Reg. Cens. Drohobys. 1543. Reclinationis als. wykłon. Scindum quod nonnulli voluissent sub alios dominos ac ad villas se reclinare ac exire soluta dicta reclinatione quos non admitto nec permittere volo ob maiorem augmentum colonorum solum permitto illis ex villis una in aliam vel potestatem et dominia S. R. Mtis tenencia transire.

(2) Rewizya budowl, bydła etc. w dobr. królew. w X. Mazow. 1549. A. K. Gniez. 1536. Nyestronno. Cmetholes de N. conquesti sunt contra ō. Regentem quod ipsis ignavis artis carpentarie compulsi eosd. ad edificia perficienda lacticinatorii laborem inconsuetum. Et dom. mandav. eis. ut ipsi laborent quicquid mandaverit Regens et carpentariu. qui dum eis. laborabit audiant et intendant, ipsisq. preceperunt ut postea dum ad querelam faciend. eis. venire conting. ut non omnes sed unum v. duos ad Dnos. transmittat.

dniu na Rusi dawał się czuć brak robotnika, na północy w Polsce brak żywności: tu na saposowatych poślednich gruntach przymusowo, mozolnie, bez zarobku pracował kmieć i wąłtał na siłach dla braku strawy, gdy na południu żyto i pszenica gniły w stertach. Zabronienie swym kmiotom wynajmowania gruntów u cudzego właściciela, a niedozwolenie wynajmowania gruntów swoich kmiotom cudzym, pociągnęło ten skutek, że gdy w jednych dobrach obrabiano grunta z wielkim kosztem a małym plonem, w sąsiedzkich obok leżały odłogiem takie, które w porównaniu z pierwszymi nie wymagałyby i połowy kosztów uprawy a dawały dwa razy tyle dochodu. Przez przytwierdzenie stracono skazówkę do ustanowienia renty: skazówkę, którą zawsze i najwierniej ustanawiało swobodne współzawodnictwo kmiotki pomiędzy sobą o grunta. Rozdzielenie gruntu na pusty i osiadły nie zawisło od dowolności ludzi, ale zależało od gatunkowości gleby. Tracąc szacowną skazówkę współzawodnictwa i mnożąc osiadłą ludność, przekształcono masę gruntów pustych, poślednich w osiadłe, dla których ustanowiono powinności równające się stopie dawnych osiadłych.

I ztądto pomiędzy ludnością nędza, ztąd niemożność uiszczania czynszu i nadzwyczajne powiększenie się zaległości. Nieurodzaj, mnożenie się upodłonej monety, wszelki zatarg ekonomiczny surowiej jeszcze niż kiedy czuć się dawały kmiotom: powiększały ich domową nędzę i masę długu dworowi (1). W ciągu dziesięciu lat przez dwa w przecięciu nie uiszczali zgoła należności, przez sześć lat uiszczali w kwocie zmniejszonej, zmieniającej się od połowy do jednej dziesiątej, a przez dwa tylko lata całkowity czynsz wnosili (2). Na widok w oczy bijącej nędzy, niemożności kmiotki wypłacania czynszu, właściciel gruntu musiał chwytac się innego w miejscu czynszu środka na wydestanie dochodu, a to przez wybieranie robocizną renty z kmiotkiego gruntu. Prawo z ro-

(1) A. K. Gnieź. 1474. Indulg. viii. mens. Capi. 1482. Mutatur census in Biskupycze. Ibid. 1485. Moderatio census in Woyuczina. Voluerunt (Dni.) tamen q. Regens istam constitutionem non publicaret sed ageret tnq. ex sua persona. Ibid. 1486. Dimissio kmethoni de manso quem a duob. annis non coluit ppter. defectu. ipsius. 1492. Ibid. Indulgencia cens. in vv. ppter. scabie. in pecc.

(2) Ib. 1480—1540. A. K. Warsz. 1530 --60.

ku 1496 o przytwierdzeniu, jest już zaczątkiem prawa z roku 1520 o tygodniowej robociznie.

Sposób rozkładania podatku miał także wpływ na zwiększenie robocizny a umniejszenie gruntów na czynsz wypuszczanych. Przy względnym ubóstwie innych źródeł zamożności, rolnictwo musiało ponosić najznaczniejszą część ciężaru do zasilenia skarbu: złe więc rozłożenie podatku musiało się stać najdotkliwszém rolnictwu.

Uchwalając podatek miano na widoku brać piątą część całkowego dochodu (20 %), czyli czwartą dochodu czystego (25 %). Zdawałoby się, że stopa tak znaczna, znaczne otwory wpływy do skarbu: złe rozłożenie podatku zawiodło i nadzieje skarbu i zgubnie wpłynęło na los rolnika. Można było poznać tę czwartą część dochodu przez szacunkowanie; ale zważając trudność szacunkowania posiadłości gruntowych, obrano za podatkową jedność osiadłość łanową (łan) i dochód z niej, grzywnę (gr. 48), przypuszczając, że jest mniejwięcej równy na całą Polskę; poczem postanowiono, że taka łanowa osiadłość będzie składała czwartą część dochodu czystego lub piątą dochodu całkowego. Widać jak przypuszczenie podobne jest arbitralném, jak cały ciężar musiał spadać na okolice biędne, odległe od miast i rzek spławnych; gdy tymczasem pobór musiał być łatwym dla okolic mających propinacye, miejsca łatwego odbytu, przemysł, wyroby leśne i bartnictwo. Obok tego, uniwersał poborowy pisany pod przewagą uprawnionych pojęć, że grunta bezpośrednio na folwark przez szlachtę uprawiane są wolnemi od poboru, opisał, że pobór mają płacić tylko grunta kmieci. I cóż mogło z takiej zasady podatkowej wyniknąć? Oto obudzenie we właścicielach interesu umniejszania gruntów wypuszczanych na czynsze, a powiększania wolnych od podatku bezpośrednio na folwark uprawianych, umniejszanie wielkości osiadłości kmieciów z zostawianiem téj samej liczby osiadłych.

Ażebym wstrzymać we właścicielach tę dążność a osiągnąć pewne rodzaje dochodu z gruntu widocznie bez opodatkowania zostawionych, obok szosu, czopowego i łanowego, uchwalano, jak mówiliśmy wyżej, czwartą gałąź podatku, czwartą część czynszów. Tytułem takowego podatku wyciągano pobór od dzierżaw folwarków, hipotek, od pensyi urzędników i od czynszów i danin któreby nie złożyły podatku ty-

tulem łańowego. (1). O ile więc osiągnięto podatkiem tych ostatnich, o tyle umniejszono pobudki, które mógł mieć właściciel do zamienienia ich na robocizny. Podatek ten przy rozkładzie wymagał czasu, wielkich kosztów i szczególnej wprawy w poborcach. Koszta pochodziły ztąd, że gdy wybieranie łańowego powierzało się jednemu na cały powiat poborcy, przy wybieraniu podatku czwartej części czynszów, obok poborcy, trzeba było na wyciągnięcie dochodów, pięciu lub sześciu płatnych taxatorów i to z ludzi znaczniejszych w okolicy. W r. 1525—7 podatek czwartej części czynszów przyniósł do skarbu fl. 4,033, a koszta na taxatorów wyłożone, wynosiły fl. 8541, przeto koszta wybierania przenosiły wpływ; summa zaś wszystkich innych w tym roku podatków była fl. 67,688, gdy summa na ich wybieranie nie przewyższała fl. 2,635 (2). Przy uchwalaniu, coraz mniej tytułem tego podatku wpływało: w r. 1508 z siedmiu województw fl. 13,608, w r. 1553 z całej Polski fl. 819, w r. 1571 jeden tylko Władysław Przemyski zapłacił podatek czwartej części czynszów (3). W przeciągu lat stu wybierano ten podatek razy siedm (1454, 1456, 1462, 1508, 1525, 1538, 1553).

Drugim środkiem do powstrzymania właścicieli od umniejszania gruntów podatkowi podlegających, było zamienienie podatku od gruntu na podatek od osoby: w miejsce łańowego wybieranie poglównego. Podatek ten obruszał ludność: pojęcie wieku przypuszczało, że poglówne powinno być wybierane jedynie od starozakonnych i Tatarów. Rozdrażnione w kraju

(1) Univers. pobor. 1507. Qrta. pars censuum de censibus agrorum ac de censibus sub titulo Reemptionis. Contrib. 1527. DD. Castell. Burgr. et alii official. terres. ab officiis suis etc. Contrib. 1526. Detus. Vislicen. Censu nudi. N. Frikacz dedit a 15 mca. et g. 36 quas recepit etc. S. Mníchowsky nudi censu 2 mrc. g. 4 d. 4 de cent. fl. quos in mutuum dedit. Ex grobelne ponthal. thel. baln. ab arend. domuš ex arend. ville de miner. navig. pice de albatorio, pretorio, de Castellania. Contrib. Distr. Premis. molend. papir. pytlowego, a piscatura. Distr. Radom. ab arend. fundor. kotlowego, gayowego. ab arend. molendin.

(2) Rach. Seym. 1525—7.

(3) Pobor Pożn. Sandom. Przem. Sanoc. Kalisk. Lwowsk. Belzs. Pyzdr. 1508. Rach. Seym. 1553. Manuai Podat. 112, 1571. Władysław Przemisl. de censu suo proprio citra ultra a M. 30 p. g. 6½. NB. Plus censuum propr. habet quam M. 400 quod ob rebell. extrad. retine.

uczucia z powolnością przyjmowały, jak to zawsze bywa gdy władza działa wbrew głosowi publicznemu, nadużycia których się dopuszczano przy wybieraniu. Pierwsze pogłówne wzmiankowane jest pod r. 1453, uchwalone laudum Wtwa brzesko-kujawskiego, po pół grosza od kmiecia. Wybierane było po drugi raz na wojnę pruską, po trzeci w roku 1521 po gr. 1 od głowy, czwarty raz w r. 1553 po gr. 2 od gospodarza (1). Uchwalone w r. 1662 na stopie fl. 1 od głowy, potężnie przyczyniło się do zakończenia wojny moskiewskiej. Po główne r. 1521 przyniosło fl. 84,989, r. 1553 fl. 62,933, r. 1662 fl. 2,591,144 (2).

Trzecim środkiem na powstrzymanie właścicieli od wprowadzenia robocizny, było postanowienie prawa, że właściciel ma płacić podatek łanowego cały lub na pół z kmieciem; cztery razy tego środka użyto (1468, 1511, 1520, 1531) (3). Postanowienie to sprawiło skutki przeciwne celowi prawodawcy. Właściciel zmuszony prawem do płacenia podatku za grunt kmiecia, mniemał że domaga się słusznie, ażeby mu kmieć podatek odrobił. Kto z właścicieli nie wziął się jeszcze do powiększenia folwarku i robocizny, ten pod wpływem wprowadzanej uniwersałem podatkowej zasady, uznawał to jakoby już sobie prawem nakazane. Właśnie skutkiem téj zasady najwięcej dodano dni roboczych i najbardziej zwiększono folwarki.

(1) Opogłów. 1453 zachowało się laudum w A. Z. Brzes. 1444—93... videntes negocia videlicet potrzebą huius terre nos supfati posuimus dari dom. nunc. qui ad dom. Regem aquitare (sic) debet ut qlbt. Nobilis qui kmetones non habet pro (?) uno grosso v. Szgrosch det grossum et qui hab. kmeth. p. g. Szgrosch extunc a quolib. kmethone det medientem, de Thabern. medientem et de molendinatore medientem. Pilnością ś. p. Wojciecha Kochanowskiego (którego pracom miło mi wynurzyć wdzięczność i szacunek) zachowano trzy ćwierci arkusza rachun. po główn. 1521 w Rach. Królew. pryw. CCCXXXIX i spis pogłównia p. Sanock. w Pob. XXXI. Act. Tomie. V. Et licet exactoribus appositi fuerint superintendentes propter fideliter conservandam hanc pecuniam, caveri tamen non potuerunt ingentia furta peculatus et defraudatio fisci publici. Dimidia fere pars hujus tributı ad utrosque fures istos publicos pervenit.

(2) Rach. Król. pryw. CCCXXXIX. Rach. Seym. 1553. Rach. Seym. 1664.

(3) Uniwers. pobor. 1511, 1520, 1531: de laneo g. 20 secundum antiq. quittanc. quorum medietatem hoc est 10 g. solvet dominus, aliam vero medietatem hoc est alios decem grossos colonus.

Czasowym środkiem na umniejszenie niedoliczań skarbu a który razem i wpływ poborów na zwiększenie robocizny zwalniał, było użycie przy wybieraniu, dawnych kwitancij czyli abjurat (1). Środek ten zawierał się w wybieraniu łanowego według stopy poprzednich poborów, bez dania względu na zmiany zasze na gruncie, w zmniejszeniu się gruntów kmiecych na korzyść folwarku. Rzeczone abjuraty mogły być użyte tylko przez czas ograniczony, nie przenoszący kilkunastu lat, ponieważ użyte nieco dłużej, zanadto by się różniły od rzeczywistego położenia podatkującej materji.

Najwięcej wyrozumowanym środkiem, nie dopuszczającym wpływu podatku na zwiększenie robocizny, było wprowadzenie taxowania czyli szacunkowania, zastosowanie szosu do wybierania podatku od posiadłości gruntowych. Przed wprowadzeniem tego sposobu rozkładania, należało odbyć otaxowanie. Zamiar ten, współczesny dojrzałym latom Zygmunta i pokoleniu co otrzymało zwycięstwo z Tarnowskim pod Obertynem, powstał z następnej okoliczności. Przypuszczenie, że we wszystkich województwach łan wydawał dochód równy, widocznie było samowolne, przeto i czwarta część którą chciano wyciągnąć na rzecz skarbu, stanowiła w rzeczywistości w okolicy żyźniejszej i szczęśliwiej położonej piątą i dziesiątą część (co mogło być pod Krakowem i Inowrocławiem), w innej połowę (jak na Podlasiu), a w innej i całość dochodu całego (jak w Ratneńskim). Okolice dla których mniej korzystnie było rozwinąć folwarczne gospodarstwo, a zatem biedniejsze, daleko więcej przykładały się do łanowego, niżeli te, w których cała produkcja krajowa, ześrodkowana była w folwarkach, a przeto zamożniejsze. Dopóki podatek rzadko się powtarzał, dopóki nie drobniono kmiecych gospodarstw, różnica zachodząca w stosunku, w którym różne okolice do podatku się przykładały, nie zdawała się tak uciążliwą i rażącą. Odległość wierzchowin Wisły i Bugu opodatkowanych nad stopę, od niższych części tych zbożowych rzeczypospoliciej gościńców i od zachodnich granic, mających korzystny odbyt a opodatkowanych zanadto lekko, rzadkość i trudność pomiędzy temi okolicami stosunków,

(1) Act. Tom. V. Contrib. in Conv. Piotr. decret. 1519... qui quidem fertones solvi debent secundum quittantias anni preteriti absque juramentis.

sprawiły, iż się nie czuło tych wygody, tamtych krzywdy. Wszelką niedogodność o tyle jest przykrzejsza, o ile bliżej się znajduje ten, który jej nie ulega, zrzędzeniem ślepego losu. W takim właśnie położeniu było wojew. Sandomierskie. Składało się ono z siedmiu powiatów (Sandomierskiego, Radomskiego, Stężyckiego, Wiślickiego, Opoczyńskiego i Pilznieńskiego): w leżących na południe od Wisły, przypadają grunta góryste, kamieniste, roślinność uboga, rodzajność zaś okolic północnych jest w przysłowiu (na górze u stóp której leży Buda, biegnie Dunaj i rozściela się step po Szolnok i Debreczyn, jeszcze dziś spotkałem z owych okolic parobczaków, którzy winając kamienie do stawianej tam warowni, rzekli mi kilka słów o ubóstwie swych chałup). W takimże położeniu była ziemia Łukowska: ubóstwo jej gleby uwydatniało sąsiedzkie Lubelskie i Chełmskie urodzajów nieporównanych. W powiatach Sandomierskiego wtwa taxatorowie pod kierunkiem Bened. Izdbieńskiego kan. gnieźnieńs. i krakow. przy szacunkowaniu dawały wzgląd na ilość i jakość gruntów, acz bez ścisłych zasad; w powiecie Łukowskim odbyto ryczałtowe szacunkowanie. Próba utworzenia kadastru była pierwszą w naszym kraju: zbliżała się ona do naukowych zasad (kadastr używa dwóch elementów: szacunkowania i pomiaru) i na rozległych odbyta była podstawach (szczególnie w Sandomierskiem). Wyciągając ofiarę r. 1789, pomijano dochody od przemysłu i rzemiosła, taxacya XVI wieku szacowała lasy, grunta, pastwiska, zakłady przemysłowe, młyny, daniny, kmieciów, narzeczcie folwarki opisując każdego grunta i ich jakość, szacując dni robocze, przeto robotnych kmieciów niżej od czynszowych cenjąc, ale za to (w czem właśnie taxacya ta powinna była powstrzymać, z przyczyny podatku popęd do robocizny) szacując robociznę przy taxie folwarku (1).

(1) Taxatia Distr. Chęczin. 1540. Gori v. Nobilis Joanes Michonński sunt in ipsa kmethones V in laneis residen. hortulanus unus agri nov. deserti et predium. Borra et parum melific. Est taxata ad summam mr. 150. Taxat. Distr. Pilznien. 1536. Mikolajowicze villa Nobilis Joann. Mikolajowski sunt in ipsa kmethones sex in mediis laneis residentes per triginta grossos solven. taberna mrc. solvens hortulani tres nihil solventes kmethones solvunt per quatuor capones per triginta ova curia predium molendinum in fluvio Dunayecz duas marcas cum medio solvns. lacus sunt sed parvi comodi prata quasi acervi qua-

W niemożności znalezienia ze wszech miar traśnej i w zastosowaniu łatwej podstawy podatku, trzymano się prawidła, że łanowe mają składać wszelkie, wyłączając folwarczne, grunta osiadłe, czyto przez robotujących, czy przez czynszowych kmięciów, czyto przez zagrodników na folwarku robotujących lub czynszowych (1). Dla nadania obliczaniom skarbu pewnej podstawy, od końca XVI wieku używano abjuraty nie względem pojedynczych majątności ale względem całego powiatu, zostawując mu już według gruntowych okoliczności rozłożenie summy. Zmniejszeniu zaś gruntów kmięcych, a powiększeniu folwarcznych i stosownej robocizny, żadnej nie postawiono tamy: zależały odtąd od zwiększenia kapitału, wysokości cen na zboża: bez pierwszego nie było środków na zwiększenie folwarcznej uprawy, bez drugiej nie było celu.

Przytwierdzenie, uwolnienie gruntów folwarcznych od podatku, nieistnienie prawa opisującego wielkość gruntów mogących być przez obrócenie na folwark, wyzwolonemi od podatku, były ciągle (aż do ofiary r. 1789) trwającemi przy-

tuor. Synochowicze villa eiusd. Nob. Joannis Mikol. sunt in ipsa kmetiones octo particulas agri habentes navigium in fluvio Dunayecz eiusd. Joanis Mikolayewski. Taberna una. Solvunt tam de agris q. de navigio et taberna triginta unam mrc. grossos sex. Hortulani tres nihil solventes. De quibus duabus villis suprascriptis solv. census reemptionis pro altari in Voiijnijez octo marc. Sunt taxate ambe simul ad summam mrc. 800. Taxat. pow. Łukowskiego: Lukow opp. Jassyona Strzewow Trzebyeszow Rąkoloyownicza Zbuczyn Wisznyow Volya Kaczkowa Volya Krzywka Głowne Kownatka Dambrowka ista omn. sunt taxata per tres taxatores ad 7000 marc. videlicet venerabil. et gener. Sebast. Oppalinskij Nicolaum Kossowskij Petrum Bysteyowskij duob. tqum. videlicet iudice et subiudice Lucovien. contradicentib. qu. visum erit taxari dicta. bona pro duo mil. et quingent. marc. Wszystek powiat Chęcinski oszacowano na 49,996 grzywien; Pilznienski na 155,695; Łukowski na 51,875 grzywien.

(1) Uniwer. pobor. 1510. Constituimus decrevimus fertonum aut exactio colonorum inopie ratione hab. in duobus rtis. solvetur prima enim rata incipiet a fsto. S. Georgii et ad ftum. Penth. duretur. In qua quidem rata quilbt. k^o. agrum colens de laneo singulo possess. non obstant. antiquis quitt. quibus derogamus sex grossos. Reliquoa vero sex grossos incipiendo a fto. S. Michaelis qlbt. emeto sub penis et pigno racionib. 1564. Id. „Naypierwiey wszyscy kmięcie ktorzy sobie abo Panom swym orzą abo też roboty odkupuyą u tych Panów,”

czynami małego dochodu skarbu, ubóstwa kmieci, a nade wszystko przyczyną zwiększania się robocizny (1).

Summa wybranych podatków przez 42 lat rządów króla Zygmunta I wyniosła fl. 1,339,897, wypada więc w przecięciu fl. 31000 na rok; przez dwadzieścia cztery lat panowania Zygmunta Augusta weszło do skarbu fl. 1,823,165, to jest do 75000 fl. na rok; przez cztery lata dwóch bezkrólewów i krótkiej obecności Henryka, dochody uczyniły fl. 307,049 to jest 76000 na rok. Podatki wybrane przez dziesięć lat pa-

(1) We Francyi: Il était sevèrement interdit non seulement par l'opinion publique, mais par la loi (Ordonnan. royale de 1540) qui se faisait par là l'interprète de l'opinion, il était, dis-je, interdit aux ecclésiastiques et aux gentils hommes de tenir, d'une manière directe ou indirecte aucune ferme ou censive. Daléj autor o postanowieniu z r. 1540: Il est vrai qu'elle avait un côté fiscal, parce que les fermes et les censives étaient soumises à la taille, et qu'on ne voulait pas qu'un fermier ou un censitaire pût s'en exempter. Daresté de la Chavane. Hist. des class. agricol. en France 1854. W Braniborzu w XIII wieku wielkość gruntu, którą szlachta mogła uprawiać wolną od podatku, została ograniczoną. Item miles sub aratro suo habebit *sex mansos*, famulus vero *quatuor*, et hi erunt penitus liberi, et si plures quidem habuerint de his dabunt censum prelibatum. Concordata Marchionum Brandenb. cum Vasallos etc. 1281 ap. Schimmelfennig. Die Preussischen Direkten Steuern. 1843. W Czechach: „Im Jahre 1654 kam die erste Steuerrolle zur Publikation.... Eine Fassion der obrigkeitlichen Einkünfte fand nicht Statt, weil der Adel in jener Zeit nur zur freiwilligen Beiträgen sich herbeiliess.... Die bömische Steuerregulirung schreibt sich vom Systemal patente vom 6 Sep. 1748 her..” podzielone na ordinarium i extraordin. „Das Ordinarium wurde allen Rustikalgründen, wie sie im Jahre 1654 aufgenommen wurden, sie mochten in Handen der Untherthanen oder der Obrigkeiten sein, nach Ansässigkeiten aufgelegt... Die Repartition des Extraordinariums wurde seit dem Jahre 1748 ebenfalls nach dem Rustikalansässigkeiten, die sich auf jedem Dominium vorfanden, repartirt; für jede Rustikalrealität sollte jedes Dominium 14 fl. 35½ kr. zahlen. Allein diese Art der Umlegung führte offenbar die grösste Ungleichheit mit sich etc. Linden's Grundsteuer Verfassung in d. Oester. Mon. I, 1840. W Anglii pomijano tę trudność przy podatkowaniu przez szacunkowanie ziemskich posiadłości. Sinclair. History of the Revenue I, II. Na Sejmie 1568 Stańkiewicz poseł ze Żmudzi, tak się wyraził: A co się tycze porównania szlachty żeby to pomiarem naydowano być miało, jako kto woynę ma służyć. Ja na to nie zezwalam, ani nie chcę nowego na bracią swą stanować, chyba żeby WMście na to zwolili wszyscy tedybym musiał, ale żeby dobrowolnie, wolałbych gardło dać, niż tego z osoby swej pozwolić. Źródłopis. do Dziej. Unii. 1856, 247.

nowania króla Stefana przyniosły fl. 1,605,763, na rok fl. 160,000. Przez czterdzieści sześć lat rządów Zygmunta III weszło do skarbu fl. 16,736,083, wypada fl. 363,000 na rok. Zatem summa dochodu skarbu w przeciągu stu dwudziestu lat (1506—1633), to jest przez czasy słusznie nazwane świetnemi, doszła fl. 21,811,957 (1). Przyjmując złoty węgierski Zygmunta i Zygmunta Augusta za 1½ złp., bezkrólów i Stefana za 2, Zygmunta III za pół trzecia, a terazniejszy za 20 złp. powyższa summa uczyniłaby złp. 195,131, 000.

Pod wpływem powyższych okoliczności zaszły przemiany w sposobie odbywania robocizny i w ilości odbywanój. Istniejąca dotąd w zwyczaju urocza robocizna, nie odpowiadała wszystkim wymaganiom rolnictwa. Uroki ścieśniały rozwinięcie i należyte wykonanie robót. Mogły zbywać folwarkowi dni łowieckie i powozne, ale nie miał on wolności użycia ich na orkę lub na śpieszne zebranie z pola. Kiedy już robocizna stała się podstawą krajowego gospodarstwa, wypadało ją wyzwolić od uroków, nadać giętkość, swobodę ruchów, oddać w rozporządzenie urzędnika do użycia według miejscowości, pory roku, zmian na targach, zamieniając określenie ilości robocizny jój gatunkowością na określenie liczbą dni, zamieniając robociznę uroczną na robociznę tygodniową. Wprowadzenie tych zmian było przedmiotem narad na łonie całego kraju pomiędzy r. 1480 a 1520. Był to przedmiot trosk właścicieli i pytania żywotnego dla kmieci. We wszystkich stanach znajdowały się zacne, o przyszłość lękające się umysły, zwolennicy dawnych zwyczajów; (2) obok odważniejsi, mniej oznajomieni z surowemi kolejami życia, dowodzili, że rozwój robocizny wymagał zmiany w sposobie jój odbywania. Tygodniowa robocizna poczęła się najwcześniej w Mazowszu,

(1) Rach. Seym. 1—43. Rach. król. pryw. 36, 339, 340. Pobór. 1, 61, 100, 133. Rach. Kwart. 1—40. Prywatne króla dochody, wynosiły za Zygmunta I 1519 fl. 70,386, 1527 fl. 84,348. Za Zygmunta Augusta, 1552 fl. 144,100, 1562 fl. 115,260. Za Stefana Batorego, 1586 fl. 106,038. Za Zygmunta III, 1605 fl. 146,959. Za Władysł. IV. 1645—6 za 2 lata od św. Jana do św. Jana Percept. fl. 860,667. Distrib. fl. 976,424. Archiw. Impér. K. 1332.

(2) A. K. Gniez. 1486. Labres kmeth. Q. kmeth. omnium laborant consuetos labores iuxta antiq. coaetud. reiecta nova ordinatione.

w Brzesko Kujawskiem i postępowala ku południowi. Pierwszy raz kapituła Gnieźnieńska pozwoliła z łanu po jednym dniu na tydzień, w drodze łaski i to tylko do wyjścia woli. W kilkanaście lat później, dała do wyboru odbywanie robocizn urocznych lub po jednym dniu na tydzień przez cały rok. Kmiecie przyjęli robociznę tygodniową (1). Rozwój robocizny po przeistoczeniu urocznej na tygodniową, szybko postępował. W r. 1506 postanowiono dla kilku wsi, ażeby po dwa dni robotowały, w przeciągu tygodni trzynastu; a w r. 1514 wszystkie wsie obowiązane były do dwóch dni w przeciągu tygodni czternastu (2). Kiedy w r. 1520 zapadł statut, który postanawiał odbywanie jednego dnia na tydzień, kraj był już wyprzedził prawo (3). W r. 1530 obowiązano do dwóch dni w przeciągu dwudziestu trzech tygodni (4), w roku 1534

(1) Ib. 1481. De kmethon. in Slotkowa laboribus „qui habent libert. laborent 1 diem in septimana et indulserunt eisdem per unam mensuram avene postquam libertas expiraverit laborant omnia secundum antiquam consuetudinem.” Ib. 1500. Zlotkowo labores. „ut laborent in predio labores consuetos iuxta consuetudin. aliar. villarum aut in omn. ebdomada unam diem.” Ibidem. 1503. Budzislaw labores. Si consuetus labor videtur onerosus extunc laborent in omn. septimana unam diem tamdiu quousque domini aliter ordinabunt. A. K. Warsz. 1527. Revisio Bonor. Razny. Zoravye v. de mso. d. cens. p. XX g. 2 gall. aucam, XXX ova et quilib. septim. de mso. unum diem laborant.

(2) A. K. G. Labor Czerlemno maior. 1506. Decreverunt qd. kmethones laborabunt 2 diebus in septimana a fsto. s. Margar. ad festum Nativit. Virg. Marie, ceteris autem temporibus in qualibet ebdom. laborab. 1 diem. Ibid. 1508. Zlotkowo labor. dwa dni podczas sianokosu, ale drugi dzień na wikcie urzędnika. Ib. 1514. Labores in villis ut constituitur etc.

(3) Vol. leg. I. f. 394. Akt. Tomic. 1520 V. 134: Item... statui-mus, quod omnes et singuli coloni seu cmethones, qui prius diem in septimana non laboraverunt nobis et dominis ipsorum, de quolibet laneo unum diem septimanatim laborent et ad laborandum sunt astricti.

(4) A. K. Gnieź. 1530. Labores cmethonum institute. Decrev. ut cmethones de more antiquo a s. Gregor. ad Translat. s. Adalb. septimanatim per duos dies... laborent. A. Kapit. Warsz. 1533. De labore duorum dierum per kmethones a temp. estatis per sept. Domini animadvert. quia kmethones Nobil. in qualibet septimana semper duos dies laborant ex quolibet mso. possesso, ista decrev. ut quilibet kmeto qui residet in uno mso. agri culti et possessi ab eo tempore quo hinc. incipiunt agrum disponere pro seminatura vernali s. estivali duos dies laborarent usq. ad ftum. s. Hedwigis et p. totam hiemem duntaxat statuerant illis laborare. Et similiter kmetones qui in medio mso. resident p. unum

we trzy lata po poborze, którego połowę właściciel składać musiał, wzięwszy na uwagę przykład dóbr szlacheckich, niewczesną powolność urzędników, zepsucie kmieci, ich opieszałość, spóźnianie się w wychodzeniu na robociznę, postanowiono, ażeby odbywali po dwa dni przez rok cały (1); w roku 1549 po trzy dni w przeciągu czternastu tygodni, dwa dni ciągłej a jeden ręcznej roboty (2). Zapał doszedł raz do tego, iż wysyłając komisarzy do arcybiskupa, umocowano ich do ustanowienia robót dziennych, *a nawet i nocnych* (3). W r. 1573, ponieważ odbierają po czworgu bydła załogi, postanowiono, ażeby w przeciągu dwudziestu czterech tygodni robotowali po trzy dni we dwojgu z czworgiem bydła, co wychodzi na to, że mieli robotować po sześć dni, a w r. 1581 dodano, że odbywanie dni sześciu jest przez cały rok obowiązującym, z orzeczeniem, że we dwa dni dodane podczas zimy, przychodzą tylko do ręcznej roboty (4). Przy wymaganiu ro-

diem tenebuntur laborare in septimana. Ib. 1557 Decret. de laborib. dier. quatenus possessores labor. dier. in subdit. non retinerent qui duntaxat in una septim. duos dies et in alia unum diem laborare erunt astricti. Ib. 1558. Decr. de labor. cmet. in estate duos dies de mso. et in hyeme unum diem laborarent.

(1) A. K. Gnieź. 1534. Ut cmethones labores exerceant et faciant bis per septimanam prout moris est apud Nobiles.

(2) Ib. 1549. De laborib. cmetonum in vv. praestimonial. Gdy kmiecie niedbale robotują presertim vero pascuacionibus peccor. quas napasly vocant labores ipsos ad merid. nonnunquam retardando ita quem illorum hunc abusum domini corrigere volentes decreverunt ut in huiusmodi laboribus severior in eos fiat animadversio ut q. dies duos in septimana de m. quolibet possesso, cmetonum singuli ab exortu solis ad occasum usque laborent per anni tocius decursum a fto. tamen s. Joannis Bapt. usque ad ftum. Michael. Archang. teneb. quilibet septimana ad laborem 3 dierum hoc est dies duos pecoribus, diem vero tertium manuali sive pedestre labore obire si tamen ut fit aliqui eorund. Nobilib. vicinis ad labores tempore messis astricti fuerunt dies eosd. quos vicin. laborab. illorum al. pro tercio die a Regente reputabit. A. K. Warsz. 1609. Ad punctum quartum declarant et decernunt ut subditi non amplius labores obeant quam trium dierum incipiendo a fto. s. Adalberti ad ftum. usq. s. Martini.

(3) A. K. G. 1559. Ad constituendum imponendumque labores diurnos vel etiam nocturnos subdit... (Dni) deputaverunt.

(4) Ib. 1573. Constitucio sive decretum de laborib. cmethonum. Decreverunt ut subdit. vv. labor. a 1 die mess. Maii incipiend. usque ad festum s. Hedwigis qualibet septimana per 3 dies exerceant predia-

boczny rozkładano ją dotąd pomiędzy gospodarzy, biorąc za podstawę ilość dzierzawionego gruntu. W r. 1603 wydano ustawę, że na przyszłość w miejsce odbywania z gruntu, ma każdy gospodarz odbywać z chaty, po dni sześć, a że prawie połowa gospodarzy trzymała po pół łana, a druga po ćwierci, wypadło z łanu na którym półłanowi gospodarze siedzieli, po dni dwanaście, na którym zaś ćwiertni, po dwadzieścia cztery dni na tydzień (1). W roku 1618 zapatrując się na to, co się działo po dobrach szlacheckich, postanowiono, ażeby od sianokosu do żaynek robotowali z chaty po ośm dni, to jest z łanu osiadłego przez półłanowych gospodarzy po szesnaście, a przez ćwiertnych po trzydzieści dwa dni na tydzień (2). Krótko mówiąc: w r. 1481 robotowano z łanu po jednym dniu, w r. 1530 po dwa dni, w r. 1581 po sześć dni, w r. 1603 po dwadzieścia cztery dni, a w r. 1618 po trzydzieści dwa dni.

W dobrach szlacheckich na schyłku XIV wieku dawano do wyboru podniesienie czynszu lub robotowanie, przeto robocizna przymusową nie była (3). Na schyłku XV wieku w Ma-

les quodq. duae personae ex uno manso manuarios prestant labores et quatuor equis ex quo tot pro locatione ipsis dantur angarias obeant. Reverend. D. D. Ioanne Kokalewsky et Joanne Piotrowski Can. non consentientibus imo huic decreto contradicentibus. Ib. cmetonum declaratio laborum, 1581. A. K. W. 1618. Peticio subditorum... Et Dni decrev. ut ex medio laneo quilibet subd. labores diurnos binorum dierum estivo quid. tpe. a f. s. Adalb. ad s. Mart. ftum. tempore vero brumali uno die cum iumento et altero in personis propriis obire teneantur.

(1) A. K. G. 1603. Ordinatio labor. in villis. od każdego kmiecia z doma po trzy dni, (aby) szła robota w każdy tydzień albo ręczną albo sprzężaiem a to od czasu kiedy rolę sprawuiam na jarz aż do s. Jadwigi z tym dokładem że ponieważ na ossadę brali y bioram od panow po czworgu bydła rolnego tedy powinni téż wszelki zaciąg z czworgiem bydła odprawować. A ysz do wleczenia przeorania etc. dwoygiem tylko bydła wychodzą powinni téż w ten dzień na ręczną robotę posłać chociażby thego dnia sam gospodarz albo parobek iego młocziel we dworze albo trawę siekł. Ktorey to roboty niemaią brać sobie za krzywdę kiedy poddani szlacheccy choציay prawie na każdy dzień swym panom robia; przecie lepiej się rządzą y maiam niżeli poddani JJMM księży a to, że pilną, karczmy.

(2) Ib. 1618. Revisia etc. postanawiany żeby każdy kmieć gdy poczynaią kosicz łąki przez czale żniwa na każdy thyzien robiel cztery dni dwoygiem toiest trzy dni bydlem a cztery ręczną robotą.

(3) A. Z. Łęcz. 1396. Coram nob. Johane Olesznicien. Capit. Lanc. Veniens Noblis Seceyus de Dambe Thesaurarius pposuit VI kmeth.

zowszu kmieć przyjmował grunt z obowiązkiem jednego dnia z łanu, a nigdy więcej nad dwa dni nie robił (1). Taxacya powiatu pilźnieńskiego, z połowy XVI wieku, oznacza w jednych dobrach z łanu jeden dzień a rzadko w których dwa dni. Najdawniejszy instruktarz gospodarski, napisany w drugiej połowie XVI wieku dla dóbr w krakowskim, ustanawia trzy dni; ale zważywszy zastrzeżenie wychodzenia z dwojgiem radeł za jeden dzień płużny i liczne uroki, można wnioskować, iż te trzy, sześciu dniom odpowiadały (2). Na początku XVII wieku właściciel z chełmskiego zaskarża dzierżawcę, iż ten wymaga nad opisanie inwentarza, mianowicie cztery dni latem a trzy dni zimą; inny z tejże ziemi inwentarz, wymaga robocizny każdego dnia oprócz środy i piątku, a zatem dni czterech (3). Z drugiej połowy wieku XVII mamy przed sobą inwentarze trzech majątności w halickim: w jednej z dworzyszczą robotują po jednym dniu na tydzień, w drugiej w lecie po 3 dni, zimą po 2, w trzeciej po 8 dni latem, po 6 zimą (4). Z tegoż czasu inwentarz z radomskiego stopę robocizny oznacza na 3 dni dwojgiem tojest po 6 dni, a z drugiej majątności w tymże powiecie ale już na początku wieku XVIII, ustanawia robocizną na 4 dni bydłem i 4 dni pieszo kobieta, przeto razem dni 8 (5). W pilźnieńskim w dobrach Tarnowskich, które córka wielkiego Jana wniosła w dom XX. Ostrogskich, robotowano

in Dambo Nobili Wiszlao dicto Koth in XXX mrc. gross. tali condit. q. ipe. Wiszlous de prdict. kmeton. omnis fruct. pvent habebit quamdiu tenebit put dns Thesaurarius huit et recepit eciam ipsi kmet. debent ire falcastr. prata ubi Wiszlous illos tnsmitt. q. si kmeth. hec nollent tollerare t. Wiszlous in ipsis cens. maior potest constituere et exigere.

(1) A. Czer. Grojec. 1433. Nob. de Milanowo kmethonis laborare tenetur unum diem in septimana. It. kmeton. eciam debent servire iuxta consuetud. terr. in Mogilnicka debent pergere et ulterius hec sup. equo dni. Petri Ib. 1477. Soplino... huit laborios. Petr. sed. in mso. et tenet. duos chor. avene duos dies labor. auca. et med. capec. ovor.

(2) Spisanye yako kmyeczcie robycz maya vezirowie y zagrodcniczi yako urzędnik robothi ma viziegacz i t. d.

(3) Wyr. Tryb. Piotrk. 404, 1611. Ib. 90. 1615.

(4) Inw. Uścia 1670. W. T. Lubel. 369. I. w. Tekuczy. 1678. Ib. 370. I. wsi Kosmieszyna 1681.

(5) W. T. Lubel. 371, 1681. Inw. wsi Gościkowa. Ib. 479, I. wsi Bieniądzie 1724.

z czterech prętów dni 5, to jest z łanu dni 12. W wiślickim w dobrach Szydłowieckich, teraz spadłych na Radziwiłłów, z półrolka robotują 2 dni a 4 podczas żniwa. W bieckim odbywano dni 5 bydłem, a podczas żniwa dwojgiem, to jest dni 10. W obok leżącej ziemi przemyskiej latem 4 dni, zimą 3. W ordynacyi Zamojskich obowiązany był gospodarz z ćwierci do 2 dni, a latem od św. Wojciecha do św. Marcina do 3-ch, a ztém z łanu do dni 12. W lubelskim w dobrach włodawskich, własność Pocijów jednej z tych nieszczęśliwych rodzin, co już wznieśli się w znaczenie podczas gdy się Rzeczpospolita kłoniła ku upadkowi, z włóki robotowano 6 dni i 1 dzień szarwarku: przeto 7 dni. W poznańskim, w kurnickich dobrach, własności rodziny Działyńskich, kmieć z osiadłości robotował 6 dni (1). Lecz same przez się te cyfry nicby nie znaczyły, gdyby się nie dało względu na wielkość gruntu, do jakiej odnoszone być winny. Gorliwość urzędnika o powiększenie folwarcznych gruntów, nieznamość mierniczych, dzielenie się gospodarstw kmiecych, sprawiły, że w pierwszej połowie XVIII wieku, łan lub włoka używana w dobrach świeckich, była według świadectwa Haura i jego wydawcy w r. 1757, o ośm razy mniejsza od dawnego najmniejszego łanu polskiego, i Haur dodaje, że z półwłoczka takiej włoki kmiecie robią po 3 dni dwojgiem t. j. dni 6 na tydzień, a z łanu czyli włoki dni 12 (2). Zważając na powiększenie robocizny a to zmniejszenie gruntu, wypada, że w wieku XVI kmiecie w świeckich dobrach robili z łanu od 1 do 6 dni, a w połowie XVIII wieku

(1) Inw. Dóbr Tarnows. 1686. I. hrab. Włodawskiego 1693. W. T. Lub. 479. I. w. Kotkowszczyzna 1724. Ib. 503. I. wsiów Rostoki, Krzywego i Trzcianca. 1724. A. Z. Pozn. I. Kurn. 1654.

(2) OEkonomika Ziemians. Hauera 1757. Pytanie ciekawe czym się to dzieje że od dawnego y prawami Rzeczypospolitey opisanego gruntów podziału terazniejsze czasy odstępuią.

Podług Hauera, łan Chelmin. ma	1518,750	łokci kwadr.
„ Frankońs. z Xiąg krakow.	981,210	„ „
„ „ z Stat. koron.	851,512½	„ „
„ Polski pierwszy	362,888	„ „
„ Polski drugi	115,200	„ „
„ Mierna włoka	506,250	„ „
„ Włoka w dobr. Duchown. y Swieck. ktorey się teraz pospolicie (acz nie wszyscy) trzymają	13,500.	

z takiegoż łanu na tydzień (12×8) do 96. Nie należy cyfry téj przyjmować za średnią robocizny w dobrach świeckich, ale raczej za maximum, chociaż to maximum rzeczywiście rozciągało się do mniejszości kraju.

W dobrach królewskich odprawiali kmiecie robocizną uroczną, wyjąwszy niektóre wsie robotujące przez cały tydzień, jakimi były przy zamkach osady z potomków brańców wojennych, których pochodzenie nazwy zdradzają, (Uhry w stryjskiem, Prusy w samborskiem, Torki i Liaszki w przemyskiem, Jathwiagi w żydaczowskiem, Żmódź w chełmskiem, Tatary w ciechanowieckiem, Pieczygniagi w nowomiejskiem) i niektóre dobra nad Wisłą, jak np. starostwo sochaczowskie, kędy już w r. 1510 z łanu odbywano do trzech dni na tydzień (1). W pierwszych latach po zapadnięciu statutu z r. 1520 o robociznie tygodniowej, Zygmunt opierał się zastosowaniu jego w dobrach królewskich: są liczne z tych lat dekreta w moc których zostawia się kmieci na ich prośbę przy robociznie urocznej (2): później pod panowaniem tego króla wydawane, nie przewyższyły jednego dnia na tydzień (3). Zygmunt August w pierwszych dziesięciu latach ustanawiał z łanu po dwa dni, w drugich po trzy, a ku końcowi swych rządów i po cztery (4).

(1) Reges omn. prov. Castri Sochacz. 1510. Incole residentes in manso et eciam in medio laneo laborant per 3 dies septimanatim.

(2) Sigismundus etc... subd. et cmeton. de villa Chlina ad Zarnowicz pertinente etc. Cracov. post octav. Corpor. Chr. 1521 w Arch. Dub. A. Metr. kor. LXXI. Prescrib. pensio. subditos villae nrae. Basznia ad Cast. Lubacz. 1546... ut dempto eo metu ea quae more recepto tenent. solv. ne novis oneribus praemantur, do roku 8 dni.

(3) Ib. 1545. Rożanna Pothwisolcze et Riczychow in d. Leopold. Ib. CXVII, 1530. Spythek de Tarnow cast. Zarn. et incolae vv. Krzeszow, Xiężopola, Bieszczza, Plossy, król postanawia że po dniu na tydzień robotują, prout villae nobilium laborare consueverunt. Ib. LII. Inter incolis Starzewo tre. Premis. et Tharan Equiz. Premis. 1537. 1 dzień z pułdworz, als. medio laneo.

(4) Ib. LXXXVII. 1556. Decret. inter Capitan. Siradien. et col. v. Clonowa. 1 dzień na tydzień. Ib. CXXII 1464, 1567. Horozayna i Ryczichow, Kazimirz ustanowił 14 dni do roku, Zygmunt I 1 dzień każdego tygodnia, Zygmunt August uwolnił od podwód, powozów i stróża nocnego, a zobowiązał do dwóch dni na tydzień „ab ortu solis ad occasum, tempore meridiano 2 horas victus et refrigerii, ad pascendos boves bis in die. Ibid. CI. Constitucio labor. ac aliar. datiar. incol. v. Zukow in C. Lubacz. 1567. Ex laneo singulis septimanis duos dies ad

W r. 1570 dla wsi sstwa chełmskiego wydano na domaganie się starosty dekret na 6 dni robocizny; ale w tymże roku dekret cofnięto a robociznę sześciodniową zmniejszono do dni czterech. Król Stefan próbował znieść wszelką robociznę, folwarki podzielić pomiędzy kmieci lub oddawać je na wspólną im dzierżawę (1). Za Zygmunta III sądy referendarskie dopuszczały już robotowania pięciodniowego i sześciodniowego (2). Za Władysława IV ustanawiano z ćwierci po 3 dni, co z lanu po dni 12 na tydzień uczyni (3). Pod Janem Kazimierzem zniesienie folwarków a wypuszczenie gruntów emfiteuty-
cznym prawem poczęło się w ekonomii malborskiej, ostatecznie dokonane za Augusta II, ale w innych województwach robocizna coraz się zwiększała (4). W XVIII wieku największa różnica istniała po powiatach, dojsie ilości staje się niepodobnym dla zakłócenia gruntowego. W ekonomii sandomierskiej z pół ćwiartku robotowano dni półtora, przeto z lanu na tydzień dni ośm. W rawskim do dni dziesięciu, w łęczyckim do dwunastu, w poznańskim po trzy dni, zimą

arcem curiam aut praed. ut ab solis in locis laborib. compareant pomeridiano conquiescent per horam ante occasum vero solis per horam a labore discedent. Ib. LXXIX. Ordinatio Nicol. Odnowski de Fulstin v. Prussie in C. Leopold. 1554. 2 dies in sept. A. S. Asses. 1558. Babi et Klopoczin C. Przedec. c. Cast. Landen. Joan. Sirakowski po 2 dni z lanu. A. S. Ass. 1566. Incolas vv. Oleszicze etc. Labores vero uno horum modo quo eis libuerit obire tenebuntur aut tribus diebus integris septimanatim aut singulis diebus in hebdomada per dimidios dies incipiendo tam mane ab ortu solis ad meridiem. Ib. 1570. Decr. między Alex. Laszczem S. Chełm. a poddan. wsi Koczow. Strupin etc. 4 dni z lanu.

(1) A. M. K. CXXXII. 1586. Ordinatio in v. Dublany in OEconomiam nram. Oziminen. mają być podzielone praed. agror. interq. colonos atq. prat. piscin. tabern. molend. z tego rocznie mają dawać 1200 fl.

(2) A. S. Ref. 1601. Między p. Wężem a podd. ze wsi Szmoże. Strony robot trzy dni w tydzień s pullanku bydłem a na żniwa po dwoyga. 1608. Ulycz. 5 dni w tydzień wychodząc od południa z lanu robić, plugiem po iednemu, a pieszko po dwoyga. Ib. 1609. podd. kl. Oziminskiego a W. Send. wieś Ozimina z ćwierci każdego dnia winni robić od południa.

(3) Ib. 1637. Podd. Dz. Czulezyckiey a Krzystof. Potockim S. z ćwierci 3 dni robić, z pullanku dni 6.

(4) Inv. Ekonom. Malb. 1745. Odpowiedzi etc. Kamery JKM. 1763.

dwojgiem, a latem trojgiem; przypuszczając zaś, że to z półtarnowej osiadłości, wypadnie z łanu na tydzień dni ośmnaście. W ziemi łukowskiej z łanu do dni 24 (1).

Stosownie do zwiększenia się robocizny i okup za nią wzrastał: w r. 1489 okupnik płacił do gr. 24 (2). Statut z r. 1520 o jedną osmą naraz zwiększył okup (3); w r. 1533 okup wynosił 2, w r. 1564 do 4, a w kaliskim do 6 zł. W roku 1600 okupnik dawał do 14 fl. (4), a w końcu wieku XVII płacił w wojewód. sieradzkim, w dobrach duchownych do 38 zł., w dobrach szlacheckich w w. sandomierskim, okupno z pręta wynosiło zł. 8, z łanu zł. 96. W woj. ruskim z ćwierci zł. 20, z całego dworzyszca zł. 80. Na początku w. XVIII, w ekonomii sandomierskiej z pół ćwierci zł. 10, z łanu zł. 80 (5).

W przeciągu tego czasu wartość rzeczy i gruntowy dochód znacznie się podniosły: floryn węgierski ku końcowi wieku XV przyjmowano w obiegu po gr. 24, w końcu XVI po złp. 2

(1) Komiss. Sendom. 1733. Inw. S^{stwa} Konkolewnick. 1777. (Z. Łukows.) I. S^{stwa} Kościansk. 1775. (W. Pozn.) Lustr. W. Łęczyc. 1789. L. W. Raws. 1789.

(2) Reg. mans. in palat. Brest. 1489. Bambolyno ex predial. mans. emensur. ex quib. cens. solv. per g. XXXX et pro angaria per XX g. Pyranie XIII msi. poss. ex quib. cens. solv. per mcam. et pro angaria p. ferton.

(3) Provent. vill. super palatinatum Cracov. spectancium 1519—1521. Anno 1519 de censu sex villarum pdictar. percepta mrc. 39. Anno 1521 mrc. 45 g. 1. Hic maior est census marc. 6 q. annorum ptorum quia solucio a laboribus est adaucta ppter laud. Conven. Thorun. Inv. Castr. Sandecz. 1540. vv. Mschalnicza et Czieniawa cens. p. f. s. Martin. g. 27 alios provent. ad qrtalia videl. novi labores per g. 3 aliqui minus, prandial. p. g. 1, honoral. p. d. 14, lignalis custodial. et antiqui laboris p. g. 14. Summa cens. f. 25 g. 6.

(4) Reg. nov. civit. Corczin. 1533. v. Toriczany. Racione labores solv. de quartale g. 15. Lust. W. Pozn. 1569 w. Rogozmierz cz. f. 3 g. 14 kur 2 iay 30 owsa oni nie dżwiają ani zadnei roboty robią thilko za robothe po czerw. złot. i po thalaru s każdego śladu dawają. W. Kalis. Brzekiniecz cdkupuiącz robocizną kaźden płaci p. f. 5. g. 18. Revid. W. Mazow. 1564. Naięcie roboth p. f. 4. Taxa provent. S. Nowomieys. 1600. kmieć gdy naymie robociznę płaci f. 10—14.

(5) Compend. Inv. Archiep. Gnesners. 1685. Inv. Tarnow. 1686. Inv. Uścia 1670. Ko miss. Ekon. Sendom. 1733.

gr. 10, w końcu XVII po 13 złp., w końcu XVIII po 18 złp. (1). Łaszt pszenicy w sieradzkim ku końcowi XV wieku sprzedawano po zł. 14 $\frac{1}{2}$, w sandomierskim na początku XVI, żyta łaszt zł. 12, pszenicy zł. 16, ku końcowi po zł. 42, ku końcowi XVII po zł. 124, a w w. XVIII od 400 do 480 złp. (2). Pomimo tego kmięć wnosil w XVIII wieku czynsz wnoszony przez niego w wieku XVI, w Wielkopolsce zł. 1 gr. 18, w Mazowszu gr. 20 „miedzianych groszy” dodaje lustracya r. 1789. Różnicy zachodzącej pomiędzy wartością rzeczy, dochodem kmięcia od jego gruntu a czynszem w XVI wieku ustanowionym, dopełniano robocizną.

Starano się pewnemi prawidłami, w różnych czasach wydawanemi umniejszać właściwe robociznie niedogodności (3): zabraniano wynajmowania jęj poza granicami majątności, wybierania podczas świąt najmowania do powozów pod cudzą krescencyą; wzbroniono powozów do Torunia i Bydgoszczy: naznaczano tylko tak daleko odbywanie powozu, jak mo-

(1) A. K. G. 1494. Ut emantur floreni in auro pro peccuniis caporum pro med. sexagenam cum grosso ubi aliter non posset. Podajemy tu kurs obiegowy złotego węgierskiego:

	florin.	złp. gr.	florin.	złp. gr.
R. 1494	—	25.	1611	2 10.
1507	1	6.	1652	4 15.
1523	1	10.	1670	12 15.
1555	1	22.	1690	13 20.
1571	1	24.	1790	16 15.

(2) Reg. omn. prov. C. Sieradien. 1497. 1489. chor. trit. vend. p. g. 4. siligin. p. g. 2. avene g. 1. 1494. c. trit. g. 8 sil. 3 av. 2. 1497 trit. g. 10. R. C. Rożan. 1545. last. żyta f. 13. Prov. ter. Lomzens. 1573. last żyta p. f. 23. R. prov. Plocen. 1512. Prasnysz silig. chor. p. tern. 16. Roszan. siligin. chor. p. g. 2 $\frac{1}{2}$ zatem w Prasnyszu łaszt mniej od 2 f. w Rożanie f. 5. R. Cri. Sandom. 1524 last tritic. f. 16. silig. f. 12.

(3) A. K. Gnieź. 1542. Labor. subdit. non arendand. Ibid. 1563. Decretum de angariis et laborib. subditor. villarum. Intellectoque ex ea (Revisione) subditos ex parte gravari, ppter ea gravamina homi. tollere et desertacion. suorum bonorum obviare volentes decrev. Ne coloni atq. eor. famil. intolerabilibus laboribus oneribus et verberibus graventur et opprimantur sed eosd. labores pro posse obeant. It. dum tria festa ad popul. celebr. in septimana occurrent, nonnihil de dieb. quib. tent. coloni ad labores prediales ne negligent suos eisd. defalcetur. It. ut subd. dominic. et ftis dieb. ad predial. labores non adigantur.

zna jednego dnia zajechać (1). Stróżowanie dzienne miało być zaniechane, użyci do nocnego nie mieli być w tym czasie do żadnej roboty zmuszani (2). Zaniechano dni łowieckich; większa część uroków ustala, resztę policzono w dni tygodniowe. Zabroniono wybierania podczas lata należących się dni z zimy, używania kmięcych koni do końskich młynów (3). Powściągnięto dowolne nakazywania gwałtów, powabów i przymusowego najmu (4). Uwalniano na kilka tygodni dla podebrania pszczół i dla nagłych zdarzeń domowych (5). Gdy przypadają dwa dni świąt w tygodniu, potrącony miał być jeden dzień z robocizny. Warowano wychodzenie na robociznę ze wschodem słońca lub w godzinę po wschodzie, dwie godziny w południe odpoczynku, godzinę przed zachodem słońca na schodzenie z roboty, a dwie gdyby odległej byli od folwarku. Opisano wymiar w robotach (6). Włożono na urzę-

(1) Ib. 1569. Decret. de vectura cmet. A. K. Warsz. 1548. Decret. de vecturas als przewoth de mso. bis p. ano. Que vectur. nuc. p. doms. const. debet esse per tantam distanciam qd. subditus potuisset per diem naturalem pertransire et non ulterius. A. S. Ref. 1636. Basznia a Sną. Lubaczowską. W podróż robotnie wsie nie mają być często wyganiani iedno ze zbożem folwarkowym do blizkich miast y to za dzień. Powoz na półtora mili t. i. trzy tam y nazad, bez dnia.

(2) A. K. W. 1562. Querell. subdit. ocne. custodie. qd. qndo in curia custodiunt graviter laboribus oprimantur itaq. decrev. ut deinceps subditi dum custodiunt in curia non laborarent nisi custodirent. Ib. 1551. De angaria subd. circa custodiam in pred. decrev. ut in posteru. non esset custodia in curiis p. subd. exeqnda except. temp. qm. dom. pntes. erunt tum custodire tenent. Ib. 1558. Custodire solum p. duos ad noctem sive urgente necessitate.

(3) A. K. W. 1618. Peticio subdit. Et Dni. Cplres. decrev. vecturos lignorum si qndo. eos facere necessum fuerit pro ipsa vectura dies unus illis defalcetur. A. K. G. 1571. Decret. de diebus non reservand. Ib. 1576. Marzenino laborum.

(4) Ib. 1624. Condytie w arendzie ktore mają bydz: dzierzawcom zabroniono iest wybierania angarie t. i. gwałtów tygodniowych.

(5) A. M. K. CI. Const. labor. inc. v. Zukow. in C. Lubacz. 1567. Ad reparanda et muniend. sua mellificia qndo. tempus id postulaverit quatuor septimanas liber. habeb. quib. a laborib. istis (2 dni na tydz.) septimanatim illis praescript. immunes erunt etc. Inw. S. Gostynsk. 1561. Gdi kthora kmiothowna lyezi w pologu thedi ma wolnosc then kmyecz od zaciegu 2 nyedzieli.

(6) A. K. G. 1620. na ugor orać na dzień 20 zagonów a na iarz przez stay 16 składow (w Łeczyck.). Spissanye jako kmyecznye robycz

dnika obowiązek należytego utrzymywania dróg i grobli. Nie kazano wreszcie wymagać robocizn bezwzględnie ale według możliwości kmiecia.

Odpowiednio zwiększającej się robociznie zwiększały się folwarki. W przeciągu XVI wieku królowie wydają pozwolenia na wykupno wójtostw, sołtystw, ról kmiecych i na założenie w nich folwarków (1). W dobrach prywatnych mało gdzie i został się sołtys i wójt, ich folwarczki w rękach szlachty przyjęły rozmiary obszernych folwarków. Dążność do przysporzenia folwarków rozciągała się w kierunku od zachodu ku wschodowi. Corocznie w każdym powiecie po kilkadziesiąt łanów przyłączano do folwarków. W każdej okolicy najznakomitsi obywatele dawali przykład z siebie (2). Dobra

mayą etc. (XVI w. w Krak.) 40 zagonow orać na dzien „gūzyeby tho bycz nie moglo thedy trzydziessyassesz zagonow przynaymniey za dzyen. A. S. Ref. 1608. Ulycz. młocić z pollanku pulkopy; z lanu kopeę w dzien. A. S. Ref. 1637. S. Luboms. Gdy Switasz daleko od folwarku postanawia się azeby wytrącano im 1 dzien za drogę do Lubomla a drugi gdy się z folwarku do domów wracać będą. Ib. S. Krasnost. Goraiewiczze 1605... przewoz Starosta obowiazan mieć dobry a ieżeli zaszło omieszkanie, poddani niebędą do nagrody pociagani.

(1) A. M. K. XLVIII. 1532. Consens. Gen. Stanis. Odrowansch ad redimend. advocaciar. in C. Sambor. quia declarasset esse plerasq. villas in Samb. quorum incolis ad obeundis labores in prediis longa distanc. esset non sine gravamin. eorund. incolar. non mediocr. suppl. ut huic incommoditati prefatorum incolarum abrogando benigne consulere, sibiq. aliq. advocacias pro predijsque predictis incolis propria essent redimere pmittere dignaremus. Ib. LXXIII. 1548. Consensus exemendi oro. advocatos et scultetos ac mansos liberos in CC. Brzest. Koval. et Dobrzin. volentes bonorum nrorum condicion. quae non nisi cum damno in plures tenentarios disperguntur, efficere meliorem etc. Ib. 1553. Spytkowski Jordan. w S. Przemyskim. Ib. CX. 1569. Mikołaiowi Mieleckiemu w S. Grodeck. Ib. 1576. Jerzemu Mniszchowi w S. Sanock. proventus non mediocriter immunitas esse accepimus propter pluralit. Advocac. scult. et Valachorum. Ib. CCXXIX. 1584. Jerzemu Mniszchowi 4or agri laneos in v. Nowosszylcze ad C. Sanoczen. pertinent. de manib. eiusd. villar. colonorum quorum multi fuer. et quos minus util. et necessar. iudicaverit redim. et ad predium eiusd. villae andiungere etc.

(2) Reg. Contr. 1526. Distr. Czirnon. przy kaźdey wsi per med. mansum pro predio recept. officiose docuerunt aibo scabini corporali juramento docuerunt. R. Contr. Sandom. 1532. Sbigneus Slupeczki Cast. Polanov. in v. Comyenski pro utilitate sua ibid. predium edificavit dicens se habere cmethones nihil. Joanes de Oleslycza Pal. Lublin. in v. Lopathno minor dicta laneum med. pro curia sua convert. Marechow

duchowne uległy powszechniej dążności. Przy wsi każdej powinien być założony folwark. Do folwarku z pustych gruntów przyłączy się dwa łany. Wójtostwa mają być wykupywane i obracane na folwarki. Pola przez pomiar wynalezione pomiędzy polami kmiecemi przyłączą się do folwarcznych i rozprzeżstrzenie folwarku ma odtąd być wolnem dla dzierżawcy (1).

Zwiększenie robocizny dotknęło wszystkich odcieniów ludności: zagiął zwyczaj, że kmić przyjmował grunt bez robocizny a przytwierdzony w mniejszym nizeli niewolnik stosunku uiszczal się robocizną: podania o tych różnicach według stanu poszły w niepamięć. Stan nawet najwyższy rolniczej ludności, soltysów i wójtów, pociągnięto do robotowania. Na wstępie nakazano, ażeby byli obecni przy robotowaniu kmieci.

pro qrta. agri pro utilitate cur. sue convert. R. Contr. 1553. Terr. Gostin. 22 mans. p. curiis ademp. Distr. Ostrolącz. Kolnen. Zembr. Lomzen. 5½ m. pro prediis conversos. Palat. Cracov. 63 m. adempto p. nobilitatem et dnis. p. prediis. Pobór W. Krakow. 1558. Summa lanów 6547 na dwor wziętho 100. R. Contr. 1566. Terr. Gostin. lan. pro pred. convers. 28 l. Terr. Ciechanov. 24 l. pro prediis convers. R. contr. 1571. D. Prasnens. 171 lan. pro pred. conv. Terr. Warschov. id. Dobrzin. Lipnens. Ripens. id. Brzest. Kovalien. Przedec. Radzieiov. Crusvic. lan. desert. et ad pred. convers. 402. R. Contrib. 1588. D. Mielnic. In defectib. ppter. desert. et ad predia conver. de monstr. D. Bielsc. ob devastac. tum conflagr. et agros in predio conv. defectus f. 174. Contr. 1613. Conversion. ad predia in Premis. Sirad. Radom. Lanc. Drohic. Raven. Gostin. Plocen. Lublin. Cirn. ut posterum diligenter inquirant Exactor. utrum in his bonis deserti lanei colantur quia laudum commune Regni 1611 est a Tenutariis Contr. exigii qui laneqs ad predia convertunt vel subditos ex eis deiciunt. R. Contr. 1609. D. Oswiec. in pred. conv. lan. 7. D. Raven. lan. ad cur. et pred. recep. etc. defect. f. 64. T. Cernen. defect. ab agr. in predia convers. f. 506. R. Contr. 1623. Pal. Mazovie ob inundac. Istulae et laneos ad predium convers. defectus f. 4547. Terr. Sanoc. ob ademption. laneor. ad predia etc.

(1) A. K. G. 1419. Statutum de procuratoribus.... ubi vero alodium non sunt provideant taxatores. Ib. 1473. Lubeza: et ibid. kmeth. mandav. arare novalia pro d. Regente sup. quibus sunt controversia ad qua kmet. nihil juris habent sed Regens alodium meliorabit. Contrib. 1533. 6 Scult. exempt. et in predia colunt p. Capit. Wladisl. Ib. 1538. Duo mansi ad predium adjunct. ad quodlibet predium. Ib. 1575. Coemenda peccora. Ib. 1578. Advocatia in Vydrzyn exemenda et predio appl. A. K. W. 1529. Rev. bonor. Gionkova Vola. Inprimis videruntq. in predicta villa posset fieri predium bonum et utile in agris kmethonalib. facta tum inprimis solucione pro agris predictis. Ib.

Dawniej kmiściów zobowiązywano kilka dni swoim sołtysom odrabiać, teraz samych wójtów i sołtysów pociągnięto do strzeżenia lasów, wożenia listów, kamieni młyńskich, do tłók i koszenia siana, do powozów do Wrocławia, Gniezna, Warszawy (1).

Kmieć, przytwierdzony, niewolnik, a prawie już i sołtys, co do sposobu uiszczania należności, zostali porównani. Uiszczenie jój w robociznie stało się im wspólne. Jedyński, którzy w téj ogólnej katastrofie wygrali, byli dawni niewolnicy: ich robociznę stale opisano, postąpiono im pewne dni do wolnego rozporządzenia, obłożono dopłatkiem pieniężnym jakby początkiem czynszu, i we wszystkiém podniesiono do stanu przytwierdzonego (2).

Ludność okryła się szatą ponurą: na piersiach wryły się spolne wszystkim uciśnionym głoski: *Tristis usque ad mortem.*

(Dalszy ciąg nastąpi.)

1553. Cmethones in Rassny circa curia inhabitant propter insecuritatem curie in aliis loc. locare et domos illorum transferre admiserunt. Ib. 1566. imo. si qui ex domnis possessrbus minus quam quor. msos. p. predio habent extunc ex excrescenciis agrorum que possunt inter agros subdit. reperire adaugere debebunt. Ib. 1569. Decretum de augendis prediis. Ibid. De prediis novis locandis ut Revisores diligenter revisione facienda conspicerent ubi potuissent esse predia in bonis Capituli propter meliorem utilitatem mense. 1550. Decretum de meliori condicione in prediis.

(1) A. K. G. 1484. Mandantur scultetis ut assistant laboribus kmethonum et videant q. tales kmetones diligenter laborent. Ibid. 1562. A. K. W. 1542. Exemplar. Irarum privil. Adv. in v. Siedlcza 1618. De scultetis. Inhaerendo decretis anterioribus de scultetis inutilibus amovendis decreverant executionem eorumd. finalem per Dnos. Regentes fieri. Praecipue vero in praestimonio Kołodziejdz ut vult. persolutis scultetorum summis si quas inscriptas in suis scultetiis habuerint iure ipsorum eximan. onere scultetial. exonerentur et ad labores aliaq. onera emethonalia more aliorum colonorum redigantur.

(2) A. K. G. Decret. inter custod. et sanctuar. de v. Świątniki 1485 i nastp.

WIADOMOŚĆ

O KOTACH DZIKICH NA PODOLU,

POPREDZONA UWAGAMI O MIEJSCU JAKIE ZAJMOWAĆ
WINNY W SYSTEMACIE ZOOLOGICZNYM, KOTY NASZE DO-
MOWE Z NIEKTÓREMI ODMIANAMI SVOJEMI.

PRZEZ

Gustawa Belke.

Długo bardzo najznakomitsi nawet naturaliści uważali kota dzikiego w wielkich lasach Europy i Azji przebywającego za pierwotny typ, od którego poszły liczne odmiany domowych kotów naszych. Wprawdzie Buffon jeszcze dostrzegł był (1), że kot dziki ma kanał pokarmowy nierównie krótszy niż u domowego; że jest większy i silniejszy; że wargi jego są zawsze czarne, konchy uchove twardsze, ogon grubszy i ubarwienie stałe. Gdy jednak ta ostatnia różnica zbyt niedostateczną była aby uważać gatunek ten za osobny, ile że wiadomo każdemu jak ubarwienie zwierząt swojskich odmienia się łatwo przez wpływ pielęgnowania; na inne zaś cechy i okoliczności nie zwrócono badawczej uwagi: dlatego niektórzy zoologowie nawet pierwszej połowy terażniejszego stulecia, trzymali się dawnego mniemania, że koty domowe są odmianami dzikiego kota leśnego. Wszelako Temminck

(1) Oeuvres complètes T. I, Hist. nat. des Animaux Quadr. Imprim. Roy. 1775 p. 382.

w swój monografii rodzaju *Žbika* (*Felis*) (1) dowiódł, że większa liczba odmian domowych kotów pochodzi od kota egipskiego, którego opisał bardzo dokładnie pod nazwą *F. ganté* (*F. maniculata* Rüp.), to zaś twierdzenie swoje oparł na następnych uwagach i postrzeżeniach, których treść dla uzupełnienia artykułu naszego powtórzymy. Kot domowy zawsze jest nierównie mniejszy od dzikiego, nie można więc przypuścić, aby od niego pochodził, powszechne bowiem doświadczenie uczy, że zwierzęta w domach pielęgnowane, większe bywają od pierwotnych dzikich typów swoich: tu zaś miałyby się rzecz odwrotnie. Kot egipski (*F. maniculata*) jest wzrostu mniejszego od naszych domowych, ogon ma w stosunku do ciała takiéjże jak u nich długości i takiegoż kształtu, to jest na końcu zeszczuplony; gdy przeciwnie kot nasz dziki ma ogon nierównie krótszy, grubszy, wszędzie równy i niby ucięty. Nakoniec wszystkie prawie domowe zwierzęta oswojone zostały najprzód w krajach szczycących się dawniejszą cywilizacją i przemysłem; wiadomo, że Egipt już w najodleglejszej starożytności słynął pod tym względem. Kot jako pożyteczne w gospodarstwie domowém zwierzę, pierwój tam mógł być oswojony niż w Europie, oswojono zaś bezwątpienia ten jego gatunek, który tam się znajdował, to jest kota egipskiego. Pomimo takich dowodów przez Temmincka przywiedzionych, zdania niektórych naturalistów o pochodzeniu kota domowego były jeszcze nieustalone i niepewne. Jedni, jak *Desmarest*, *Milne-Edwards*, *Eichwald* (2), uważali go prosto za odmianę dzikich kotów naszych leśnych; inni, jakoto: *Fischer*, *Schinz* (3), domyślając się, że pochodzi od kota egipskiego, opisywali go wszelako jako gatunek oddzielny i niezależny: naostatek, co jeszcze dziwniejszą jest rzeczą, p. *Lesson* w katalogu królestwa zwierzęcego (4), mieści kota domowego jako gatunek, a dzikiego jako odmianę od niego pochodzącą. Gdy jednak już teraz powszechnie przyjętą jest w zoologii prawdą, że

(1) *Monographies de Mammalogie* 1827 T. I. p. 76—78 i 128.

(2) *Desmarest, Mammalogie* 1820, p. 232, 233, n. 366. *Milne-Edwards, Notions préliminaires de zoologie*. *Eichwald, Zoologia specialis*. T. 3, p. 377.

(3) *Fischer, Synop. Mamm.* 1830 p. 207, n. 22. *Schinz, Syst. Verzeichn.* 1844 T. I, p. 453, n. 34.

(4) *Nouveau tableau du Règne animal*, Paris 1842, p. 53 n. 531.

koty nasze domowe przynajmniej w większej liczbie odmian swoich, nie pochodzą od dzikich naszych leśnych kotów; więc idzie o to jeszcze, czy wszystkie rasy i odmiany domowe, winne są swój początek *kotowi egipskiemu*?

Według prawdopodobieństwa z szeregu odmian kota egipskiego, do których jakieśmy widzieli, należą nasze koty domowe, wyłączyć trzeba niektóre mające inny typ pierwiastkowy, a mianowicie: koty tak zwane *angorskie* (F. c. *angorensis* Briss.); te wymiarem członków i wysmuklejszą postawą zbliżają się do kota stepowego (F. *manul* Pall.); jakoż znakomity Pallas mniema, że są jego domową odmianą (1); Buffon zaś równie dostrzegł, że się więcej od dzikiego kota różnią niż wszystkie inne odmiany jemu przypisywane. *Koty cypryjskie* (Chat de Chypre ou chat zèbre Temm.) i *hiszpańskie* (F. c. *hispanica* Erxl.). Obie te odmiany, według zdania Temmincka (2), najmniej się oddalają od typu dzikiego leśnego kota, zdaje się więc, że od niego pierwiastkowo pochodzą. Nadto być jeszcze może, że rasa egipska, pomieszana z dzikimi leśnymi kotami Europy, mogła wydać rasę pośrednią, i że od gatunku *Chaus* zwanego (F. *chaus* Güld.), pochodzą także niektóre odmiany; wiadomo bowiem, że ten kot w Egipcie w domach był chowany, jak o tém niezbyt dawno znalezione mumie jego przekonywają. Kiedy zatem dowiedziono już i powszechnie przyjęto, że kot nasz domowy nie stanowi osobnego gatunku, lecz jest odmianą kota egipskiego; a trzy wyżej wymienione odmiany kotów, nie mają wspólnego początku z pospolitemi domowymi kotami, pochodząc wszelako nie od egipskiego lecz od innych gatunków, sądziłbym rzeczą słuszną, aby kota domowego w systemacie zoologicznym nie uważać jak dotąd za osobny gatunek, lecz tylko liczyć go za odmianę kota egipskiego; z liczby zaś odmian kotów przez autorów za jednoplemienne z nim mianych, wyłączyć *angorską*, *cypryjską* i *hiszpańską* i umieścić pod gatunkami, od których według prawdopodobieństwa pochodzą, następnie nomenklaturę i synonimikę gatunków *F. maniculata*, *F. manul* i *F. catus*, sprostować w ten sposób:

Felis maniculata Rüpp. (zool. Atl. t. I).

Syn. *Chat ganté* Temm. Monogr. T. I, p. 128. *F. Ruppellii* Cuv. Schinz Uebers. Fischer Synop. p. 206; Wagner Suppl. p. 537: *Falbkaze*; *F. pulchella* Gray. Lond. Mag. 1837.

(1) Zoographia rosso asiatica T. I, p. 25.

(2) Monographies T. I, p. 18.

Varietates:

a) *domestica*. Syn. *ἄλιουρος* Arist. Hist. anim. V. c. 2, n. 22; *Feles* Plin. hist. nat. X c. 75. Aelian. Animal. V. c. 27; *Catus seu Felis* Gesner Quadr. p. 344, fig. 345; *F. syriaca* Aldrov. Digit. p. 566 et 567 c. fig. 9; Lin. Syst. nat. ed. Gmel. 1. p. 80 β; *Catus domesticus* Faun. Suec. 2 p. 49; Erxl. Syst. p. 520 β; Jonst. Quadr. t. 72; Briss. Reg. an. p. 264, 1; *F. catus domesticus* Schreb. Saugth. p. 397, 12, 2 tab. 107 B, fig. 1. *Chat domestique* Buff. hist. nat. VI. t. 2; *F. catus striatus* Bechst. Natur. Deutsch. p. 654, d.; *Chat domestique tigré* Desm. Mamm. p. 232 A; Fred. Cuv. Dict. des Sciences nat. VIII, p. 207; Fischer Synop. Mam. p. 207; Lesson nouv. Tabl. du Règne an. n. 531; Schinz Syst. Verzeichn. all. Saug. T. 1, p. 453; Belke Mastologia T. 2, p. 168, n. 745.

b) *antiquorum* Cretschm. in Rüp. zool. Atl. p. 3; Less. nouv. tabl. n. 531 var. B.

c) *tralatitia* Fischer Synop. p. 208.

d) *coerulea* Erxl. l. c. p. 522; *Blue Cat* Penn. γ; Gmel. l. c. p. 81 ε; *Chat de Chartreux* Buff. t. 4; Fréd. Cuv. p. 208; *karthäuser Hauskatze*. Bechst. l. c. p. 654.

e) *sinensis* Neuh. Gesand. p. 158; Fischer Synop.; Schinz Syst. Verz. 1, p. 453.

f) *japonica* Kämpf. Hist. of Jap. I. p. 125; Fischer Synop. p. 208; *brevicaudata* Schinz l. c. p. 454.

g) *annana* Schinz l. c. p. 453.

Felis manul Pall.

Acta Petr. V. tab. 1; Zoogr. Rosso asiat. T. 1, p. 20, tab. 1; Reichenbach fig. 32, 33; Schinz syst. Verz. 1 p. 458.

Var. *angorensis*. *Angora-Cat* Pennant 133 α; Briss. Regn. an. p. 266, 4; Schreb. t. 107 B. fig. 2; Erxleb. p. 521; Gmel. p. 80 γ; Buff. tab. 5. Desmar. Mammal. p. 233 D; Encycl. Meth. Fréd. Cuv. p. 208; Fischer, Synop. Mammal. p. 208; Schinz, Syst. Verz. I. p. 454.

Felis silvestris Gesner (Quadrup. p. 353).

F. silvestris Aldrov. Digit. p. 582 f. 583; Jonston Quadr. t. 72; Rzączyński *kot dziki v. Żbik*, Hist. nat. Cur. Reg. Pol. p. 217; Lin. Syst. nat. 12, 1. p. 62, 6; Müll. Zool. Dan. prodr. p. 2, 8; *F. catus ferus* Schreb. p. 397, 12, 1 t. 107 A. et Aa; Erxleb. Syst. p. 518, 12 α; *Chat sauvage* Buff. Hist. nat. VI, t. 1; Pallas Zoographia T. 1, p. 25; Desmarest. Mammal. p. 232, n. 366; Fréd. Cuv. Dict. des Sc. nat. VIII, p. 206; *Chat ordinaire* Cuv. Règ. anim. 1 p. 163; *Felis catus ferus*. Schinz Syst. Verzeichn. 1 p. 455, n. 36; Tyzenhauz Catal.; Pietruski Hist. nat. zwierząt dzikich galicyjskich p. 52.

Variet. a) *Chat de chypre ou chat zebre* Temminck, Monogr. 1 p. 128.

b) *Hispanica* Erxleb. l. c. p. 522 ♂; *Tortoise shell cat* Penn. Synop. 184, 133 β; Gmel. l. c. p. 81 ♂; *Chat d'Espagne* Buff. l. c. t. 3; *F. catus maculatus* Bodd. Desmar. Mammal. p. 233, C; *F. tricolore* Temminck Monograph. 1 p. 128; Fisch. Synop. p. 203 ♂; Schinz syst. Verzeichn. 1 p. 455 c; Belke Mastologia T. 2, p. 169.

Dzikie koty mieszkają w całej Europie, wszędzie gdzie są jeszcze wielkie lasy, w ogólności jednak dość są rzadkie, i liczba ich w ostatnich latach widocznie się zmniejszyła, co oprócz wyniszczenia lasów i ztąd może pochodzi, że samce tak są żarłoczne i krwi chciwe, iż własne, nieliczne potomstwo w części pożerają. Znajdują się też koty w Rosyji azyatyckiej, na Kaukazie, w Gruzji aż do granic Persyi. Krainy te nawet uczony Pallas za jedyną kotów siedzibę w państwie Rosyjskiem uważał, twierdząc, że inne tego państwa prowincye wcale ich nie posiadają (1). Wszakże Georgi w geograficzno-fizyczném opisanii Rosyji (2), słusznie utrzymywał, że dziki kot mieszka także w guberniach nad Dniestrem i w Nowo-Rosyji. To podanie jego poparli dowodami na postrzeżeniach uzasadnionemi, uczeni naturaliści pp. Brandt i Kessler, piérwszy w Biuletynie Petersburskiej Akademii nauk, oddziale fizyczno-matematycznym T. XI na r. 1853; drugi w Wiestniku nauk przyrodzonych wydawanym przez towarzystwo badaczy natury w Moskwie r. 1856 Nro 15.

Najdawniejszy ślad znajdowania się kotów dzikich czyli żbikow w Polsce, znajdujemy u *Święcickiego in Topographia Masoviae*, wydanéj w Warszawie 1634 r., gdzie jest wzmianka, że się w lesie *Skwa* zwanym pokazują; toż samo powtórzył *Rzączyński* w swojej *Historia naturalis curiosa Regni Poloniae* drukowanéj 1721 r. (p. 217). Późniejsi naturaliści nie wskazują okolic przez żbiki u nas zamieszkiwanych. Professor *Jarocki* w *Opisie puszczy Białowiezkiej* (3) mówi nawet, że koty dzikie w niej się nie znajdują; pp. *Andrzejowski* i *Eichwald* (4) w sprawozdaniach o zwierzętach w zachodnich prowincyach Rosyji spostrzeżonych, również o kotach dzikich

(1) Pallas, Zoographia T. I, p. 25.

(2) Geographisch - physikal. Beschreibung des Russ. Reich. III, VI, 1520.

(3) O puszczy Białowiezkiej i o celniejszych w niej zwierzętach str. 253. (Pisma Dr. Jarockiego).

(4) Rys botaniczny 1823 — 1830. Naturhistorische Skizze 1830.

nie wspominają. P. *Stronczyński* dopiero w *Spisie zwierząt ssących kraju polskiego i pogranicznych*, wydanym w Warszawie 1839 r. mówi, że dzikie koty czyli żbiki właściwie mieszkają gdzieś w wielkich lasach naszych; a hr. *Konstanty Tyzenhauz*, w Katalogu zwierząt ssących i ptaków, podaje kota dzikiego za mieszkańca Litwy, Polski i Galicyi.

Uczony badacz p. *Pietruski*, w *Historyi naturalnej zwierząt ssących dzikich galicyjskich* 1853 r. we Lwowie wydanej, opisując dokładnie dzikiego kota na str. 52 dodaje, że zwierz ten mieszka pojedynczo w wielkich lasach Galicyi austriackiej, że dawniej był w górach Stryjskich daleko pospolitszy, a teraz przez wyniszczenie lasów coraz radszym się staje, częściej jednak niż rysia napotkać go można. (Co u nas przeciwnie się dzieje, bo rysie w gubernii Kijowskiej powiecie Radomyślskim, dość są pospolite, a żbiki bardzo rzadkie).

P. *Pietruski* miał dwa okazy tego zwierzęcia: jeden w 1828 r. złapany na żelaza we wsi Jagielnicy, a drugi 1841 roku w Podhorodcach, obwodzie Stryjskim, Galicyi austriackiej; ten ostatni przez dwa tygodnie na łańcuszku był trzymany, jadł mięso, pił mleko, ale był zawsze zły i dziki, pryskając skakał do ocz ludziom. P. *Połujński* w *Opisaniu lasów Królestwa Polskiego i zachodnich prowincyj Państwa Rosyjskiego*, zalicza koty dzikie czyli żbiki do zwierząt znajdujących się w guberniach Płockiej, Augustowskiej, Lubelskiej, Kowieńskiej, Grodzieńskiej i Mohilewskiej. Hr. *Kazimierz Wodzicki* mówi, że kot dziki już bardzo rzadko w Tatrach widzieć się daje (1); professor uniwersytetu Kijowskiego p. *Kessler* w wyżej wymienionym artykule o dzikich kotach mówi, że się znajdują gdzieś w guberniach Wołyńskiej i Kijowskiej; że niedawno jednego z nich zabito w zachodniej części Wołynia niedaleko od m. Radziwiłłowa, a drugiego upolował w powiecie Taraszczańskim gubernii Kijowskiej hr. *Aleksander Branicki* i darował go gabinetowi zoologicznemu Kijowskiemu. Co do Podola, nikt od najdawniejszych czasów, ile mi wiadomo, nie postzegł tu żbików: dopiero w listopadzie 1856 roku, w lasach wsi Pokutyniec, należących do p. prezesa *Józefa Grocholskiego*, w powiecie Urzyckim, za-

(1) Wycieczka ornitologiczna w Tatry i Karpaty galicyjskie. *Leżyczno*, 1851, str. 21.

strzelono samca dorosłego lecz młodego jeszcze, którego uprzejmie przysłał mi obywatel tegoż powiatu p. Mikołaj Makowiecki. Piękny ten okaz dostarczył mi następującego opisu.

Wielkość sporego lisa; odzież w ogólności rudawo-bura obfita i bujna, z wierzchu ciała włosy grubsze i dłuższe, czarno i brudno-biało obrączkowane, pod spodem jaśniejsze bez ości, jednostajnie rudawo-szare. Oblicze szarawo-rude, osobliwie koło nosa; wargi czarne, a nad niemi sierć blad-sza niż na reszcie głowy; wąsy białe, z pomiędzy nich po dwa ze strony nosa, z nasadami czarnemi; oczy bardzo ukośnie osadzone z obwódkami sierci jasnorudemi; nad oczami pęczki włosów szcześciastych (pęko-włosy, *vibrissae*) białe. Język i podniebienie mocno wstecznie szorstkie. Na końcach uchowych zewnątrz sierć żółtawo-szara z popielatą pomieszana, wewnątrz biała; przy samych otworach usznych na cal długa. Przyczolek żółtawo szary, policzki pokryte siercią szarą-żółtawą, dłuższą niż na reszcie ciała, bardzo wydatne; poza uszami pojedyncze, półkrągłe, czarne pręgi. Wzdłuż szyi ku grzbietowi także dwie pręgi zygzakowate. Przez środek całego grzbietu pręga także czarna. Boki ciała szaro-popielate; spód także, lecz nieco jaśniejszy, okolica łonowa i plama pod szyją białe. Nogi przednie zewnątrz szaro-żółtawe, na stronie wewnętrznej téjże barwy lecz jaśniejsze z dwiema czarnemi, poprzecznymi pręgami; tylne zewnątrz żółtawo-bure z czterema czarnemi przepaskami, na wewnętrznej stronie jaśniejsze. Uda z tyłu rudawo-żółte, stopy i początek śródrcza i śródnoża czarne, w części pod palcami nagie, a w części krótką, czarną siercią pokryte. Ogon walcowaty, wszędzie jednakowej grubości, długim, bujnym włosem odzia-ny; z wierzchu ciemno-bury, ze spodu jasno-rudy z trzema obrączkami czarnemi w drugiej połowie swęj długości; kofleć czarny.

Wymiary.

Długość ciała od końca pyska do odchodka, czyli nasady ogona	24''.
Długość głowy od końca nosa do jamy zatylkowej (foramen occipitale)	5''.
Długość wąsów.	3'' 2'''.
Długość pękowłosów (<i>vibrissarum</i>).	2''.

Największy obwód głowy	12 ¹ / ₂ ''.
Szerokość głowy między uszami.	3''.
Obwód pyska	3'' 6'''
Długość konch uchowych	2 ¹ / ₂ ''.
Odległość oczów, mierząc od wewnętrznych kątów powiek.	1'' 1'''.
Odległość od uszów do ocz	1 ¹ / ₂ ''.
Długość otworów ocznych	1''.
Szerokość ich	¹ / ₂ ''.
Długość ogona bez włosów	12''.
Długość włosów na ogonie	2''.
Grubość ogona z włosami	7 ¹ / ₂ ''.
Obwód szyi	12''.
Obwód tułowia z przodu	17 ¹ / ₂ ''.
Obwód pod brzuchem	16''.
Obwód nóg przy nasadzie gdzie się stykają z łopatką	10 ¹ / ₂ ''.
Wysokość z przodu do barków	15 ¹ / ₂ ''.
Wysokość z tyłu	17''.
Długość barku (brachii)	5 ¹ / ₂ ''.
Długość przedramienia (antibrachii).	5 ¹ / ₂ ''.
Długość goleni (tibiae)	7 ¹ / ₂ ''.
Długość stopy (tarsi)	5''.
Długość dłoni (palmae)	2''.
Długość pazurów	6'''.

Różni się od kota domowego prócz nierównie większego wzrostu, ogonem krótszym, grubszym, walcowatym i na końcu niby tępo-przyciętym; pyskiem ostrzejszym, policzkami wydatniejszymi; oczami nieco więcej w tył usuniętymi i osadzone mi nierównie więcej ukośnie, kanałem pokarmowym krótszym.

W Kamieńcu Podolskim,
w styczniu 1857 r.



Podług jakich praw urządzone być powinny stosunki majątkowe pomiędzy cudzoziemcami, bez umowy przedślubnej w związku małżeńskie wchodzącemi?

PRZEZ

Antoniego Wrotnowskiego.

Treść.

1) Przyczyny różnicy prawodawstw w materji stosunków majątkowych pomiędzy małżonkami: punkt wyjścia wszystkim ustawom wspólny. 2) Jaka kwestya stanowi przedmiot tego rozbioru? 3) Na czém opiera się zdanie przeciwne, uznające iż stosunek majątkowy małżeński cudzoziemców, urządzanym jest przez ustawy tego kraju, do którego cudzoziemiec należy. 4) Podział ustaw na *policyjne, rzeczowe i osobiste*: bliższe oznaczenie dwóch ostatnich. 5) W ocenianiu do jakiego działu ustaw, dany przepis należy, badać wypada jaki był *ostateczny i stanowczy cel* tegoż przepisu. Przykłady. 6) Reguła, podług jakiej charakter przepisu determinować należy, skoro przepis i osobą i rzeczą zajmuje się zarazem. 7) Urządzenie stosunku *majątkowego* pomiędzy małżonkami, jest raczej ustawą rzeczową niż osobistą; a ztąd cudzoziemcy względem majątków i spadków w Królestwie Polskiem, naszemu prawodawstwu ulegać muszą. 8) Inna krótsza i pewniejsza droga, do rozwiązania kwestyi prowadzi. 9) Ważność, znaczenie i skutki umowy, oceniane być muszą podług praw tego kraju, w którym została zawartą: zastosowanie tej reguły do kwestyi. 10) Różnica prawodawstwa francuzkiego od naszego kodexu w materji cudzoziemców: odmienny jej skutek na stosunki majątkowe małżeńskie. 11) Wniosek przez naukę prawa we Francyi wyprowadzony. 12) Analogiczne zastosowanie takowego do naszego kraju. Stosunek majątkowy i spadkowy małżonków, przymiotu noddanych królestwa Polskiego nie mających, urządzanym być musi przez prawa Królestwa, bez żadnej pomiędzy majątkiem ruchomym, nieruchomym i dorobkowym różnicy.

1. Stosunki majątkowe pomiędzy małżonkami, do ważniejszych przedmiotów prawa cywilnego należąc, w każdym prawodawstwie, ze szczególną starannością ocenianemi i urządzoanemi zostały. Urządzenia te od stopnia oświaty i moralności zależąc, do zwyczajów każdego kraju się stosując, potrzebom każdego narodu zadosyć czyniąc, musiały odbić i uwydatnić różnicę, jaka pomiędzy charakterem, oświatą, obyczajami i potrzebami, różnych narodów zachodzi: prawodawstwo bowiem każdego narodu, jest zawsze wiernym zwierciadłem, jego usposobień, potrzeb i idei.

Różnią się też prawodawstwa europejskie, w materji stosunków majątkowych małżeńskich; wszystkie przecież, wyprawdzają swe przepisy z jednakowego źródła, jeden przyjmują punkt wyjścia, a mianowicie: dozwalają przyszłym małżonkom, stosunki swe przez umowę przedślubną urządzić, w sposób jaki ich zamiarom i życzeniom najbardziej dogadza. Obok tej zasadniczej, wszystkim prawom wspólnej reguły, każda ustawa wskazuje właściwy sobie, ogólny stosunek prawny, jakiemu podlegać mają wszyscy, którzy wchodząc w małżeńskie związki, umowy przedślubnej sporządzić przepomnieli. Prawodawca bowiem zapewniając im opiekę, stwarza dla nich zasady, których sami nie ustalili, dopuszcza ich do korzyści prawnych, przyjmując domniemanie, iż nie pod innym stosunkiem majątkowym żyć chcieli, skoro żadnego innego pomiędzy sobą nie ustanowili.

Takim ogólnym stosunkiem majątkowym pomiędzy małżonkami w braku umowy przedślubnej, jest w kraju naszym wyłączność majątkowa w czasie trwającego małżeństwa, z którą się łączy prawo do pewnego udziału spadkowego z majątku zmarłego małżonka, służące małżonkowi który go przeżył (1).

2. Reguła ta, w zastosowaniu do krajowców, czyli (jak się nasze prawo wyraża) do *Polaków poddanych królestwa Polskiego*, jasna i niewątpliwa, nastęrczyła ważną i trudną do rozwiązania kwestyą:

czy cudzoziemcy, bez umowy przedślubnej, w związki małżeńskie w naszym kraju wchodzący, z powyższej opieki praw naszych, na równi z Polakami poddanemi królestwa Polskiego korzystać mogą; czy więc wyłączność majątków i połączony z nią udział spadkowy, małżonkowi

(1) Art. 191 i nast. tudzież art. 231 i nast. Ks. I Kod. Cyw. Pols.

przy życiu pozostałemu służyć, czy też przeciwnie stosunek prawny, wskazany ustawami tego kraju, do którego mąż ze stanu swego w chwili zawarcia małżeństwa należał do cudzoziemców stosowanym być winien?

Kwestya ta jest ważną z dwóch przyczyn: z jednej strony bowiem, cudzoziemcy i Polacy przymiotu poddanych królestwa Polskiego nie mający, dość licznie w kraju naszym przebywają i często bez umowy przedślubnej, związku małżeńskie zawierają, a ztąd pytanie, jakie prawodawstwo ich stosunki urządza, często w praktyce sądowej się następuje; z drugiej zaś strony, gdy pomiędzy prawodawstwami znakomita zachodzi różnica, ocenienie powyższego pytania, w skutkach prawnych nie może być obojętnym.

Kwestya ta, osnowy praw między-narodowych sięgająca, znakomite przedstawia trudności, zasługuje więc na wszechstronny rozbiór, tém bardziej, gdy dotąd (o ile nam wiadomo) do sądów wprost nie przychodziła, a tém samém do powagi wyroków odwołać się nie możemy.

Zobaczmyż gdzie leży źródło téj trudności i na czém takowa polega?

3. Artykuł 3 księgi I^o kodexu cywilnego polskiego, będący dosłownym przekładem artykułu 3 kodexu francuzkiego stanowi:

„Prawa policyjne i bezpieczeństwa, obowiązują wszystkich znajdujących się w kraju.

Nieruchomości wszelkie, chociażby przez cudzoziemców posiadane były, podlegają prawom królestwa Polskiego.

Prawom ściągającym się do stanu i zdolności osób, podlegają Polacy poddani królestwa Polskiego, chociażby za granicą mieszkali.”

Że zaś podług ogólnej reguły prawa narodów, to jest podług zasady wzajemności między-narodowej, tenże sam przepis odwrotnie do cudzoziemców stosować wypada; przeto z ustępu trzeciego powyższego artykułu, wypływa, iż cudzoziemiec, w kwestyach, które do *stanu* i zdolności osób się odnoszą, podlega ustawom tego kraju, do którego należy.

Z tego niewątpliwego wniosku, utworzyło się zdanie (z którym nie jednokrotnie w ciągu naszej praktyki obrończej, spotykać się nam przyszło), iż gdy kwestye małżeńskie, do *stanu* osób się odnoszą, cudzoziemcy przeto, bez umowy przedślubnej w związku małżeńskie u nas wchodzący, do stosunku majątko-

wego, ustawami naszego kraju urządzonego, odwoływać się nie mogą, że więc żyją pod takim stosunkiem majątkowym, jaki w ustawach ich krajów dla małżeństw, w braku umowy przedślubnej, został ustanowionym.

Poważamy się mniemać, iż teoria ta nie jest dokładną, a chociaż kwestya, jak to uprzedziliśmy jest rzeczywiście trudną, mamy nadzieję, iż bliższy rozbiór przedmiotu, do wprost przeciwnego doprowadzi zdania.

4. Z przepisu artykułu 3 obudwu kodexów: francuzkiego i polskiego, nauka prawa wyprowadziła trzy oddzielne rodzaje ustaw, a mianowicie: przepisy ze względu na przedmiot, do którego się odnoszą, rozdzieliła na *policyjne*, *rzeczowe* (*lois réelles ou statuts réels*) i *osobiste* (*lois personnelles ou statuts personnels*).

Ustawami *osobistemi* (*statuts personnels*) są te, które się wyłącznie osobami zajmują i w których prawodawca na głównym miał celu stan osób urządzić, tudzież zdolność z tegoż stanu wypływającą określić. Ustawami zaś *rzeczowemi* (*statuts réels*) są te, które się zajmują wyłącznie rzeczami, ich zachowaniem w rodzinach lub w ręku samej osoby, sposobami ich przenoszenia i t. p.

A więc przepisy kodexu, oznaczające od jakich warunków przymiot Polaka poddanego królestwa Polskiego zależy, dla jakich przyczyn przymiot ten utraconym być może, jaki wiek do pełnoletności, usamowolnienia, ważności małżeństwa jest potrzebnym, jakie dzieci są dziećmi prawemi, jak daleko sięga władza rodzicielska, na jakich zasadach bezwłasnowolność wyrzeczona być może, i t. p. do działu ustaw osobistych należą.

Przeciwnie zaś artykuły prawa, podające reguły, podług jakich ruchomości od nieruchomości odróżniać należy; jakie obowiązki pomiędzy dwoma sąsiednimi dziedzinami istnieją; kto i podług jakich zasad do dziedziczenia dóbr spadkowych jest powołanym i t. p. wchodzą w zbiór ustaw rzeczowych.

W wielu przecież wypadkach, dopatrzenie téj ważnej pomiędzy ustawami osobistemi a rzeczowemi różnicy, okazuje się nader trudnym. Trudność ta, z dwóch pochodzi przyczyn: 1, że wszystkie prawa bez żadnego wyjątku, zdają się być na pierwszy rzut oka osobistemi, wszystkie bowiem odnoszą się do osób, skoro ani w teorii, ani w praktyce, rzeczom rozkazywać, zabraniać, lub dozwalac nie są zdolne; wszystkie bez wyjątku,

są w wyłącznym interesie osób stanowione, osób *quarum causa jus constitutum est*, jak to właściwie wyrzekł Justynian, w początku księgi I⁶ swoich instytucyj; 2, że liczne przepisy, które na pierwszy rzut oka, czysto osobistemi być się wydają po dojrzałym zastanowieniu się, do działu ustaw rzeczowych zaliczone być muszą i przeciwnie. Prawodawca bowiem urządzając zdolność osób, o rzeczach, głównym przedmiocie który tę zdolność manifestuje, koniecznie mówić musiał; wzajemnie znowu, w przepisach, które mają na celu same rzeczy, ich zachowanie, przeniesienie własności i t. p. nie mógł zamilczeć o osobach rzeczy te nabywać lub zbywać mających. Często więc prawo ma za przedmiot i osobę i rzecz zarazem, a ztąd ocenienie do jakiego działu ustaw zaliczone być powinno, nie przełamane nastęrcza trudności.

Z tego powodu Zachariae (tom 1 § 31 (1)) przepis artykułu 3 kodexu za niedostateczny, a podział przepisów na ustawy rzeczowe i osobiste, za ciemny i wadliwy, poczytał. Z tego też powodu mniemamy, iż dopiero w ostateczności, to jest w tedy, gdy żadne inne zasady i przepisy, nastęrczając się kwestyi nie rozwiązują, do owego podziału uciekać się należy.

5. Dzieła uczonych prawników francuzkich, dostarczają nam ważne w tym przedmiocie uwagi (1), a chociaż różne przedstawiają systemata, do téj prowadzą reguły: że przy badaniu do jakiego działu ustaw, rzeczowych czy osobistych, dany przepis należy, nie litery kodexu, ale głównej idei nad literą górującej, szukać potrzeba; że uczynić wypada zupełny rozbrat z redakcją przepisu, i jedynie badać: jaki był *ostateczny i stanowczy cel* przez prawodawcę zamierzony, jaka myśl zajmowała głównie, redaktorów prawa?

Jeżeli prawodawca miał głównie na widoku zdolność osób, jeżeli jej rezultata wskazując, urządzić ją i objaśnić zamierzał, jeżeli przepis do rzeczy się odnoszący, jest tylko skutkiem téj zdolności, wtedy przepis prawa, do działu ustaw osobistych zaliczyć należy.

(1) Dumoulin. *Comm. sur les Cout*; D' Argentré, *cout. de Brétagne*; Bouher *Cout. de Bourgogne* roz. 25, Voet (Paul) *de statutis*; Pothier, *Introd gen: aux Cout.* N. 6 i nast., Merlin, *Rep. V Loi § 6 et V-o Statuts*; Proudhon. t. 1. str. 54, Chabot *quest transit.* t. 1. str. 24 i nast. Delvincourt, t. 1. str. 187; Duranton. t. 1. Nro 79 i 80, Foelix *Dr. internat* Nro 19 i nast., Marcadé, *explic. du C. N.* t. 1. str. 49 i nast., Demolombe t. 1.

Jeżeli przeciwnie głównym zamiarem prawodawcy była rzecz, sposoby jój zachowania lub przenoszenia; jeżeli stanowiona przez niego niezdolność osób, ma być drogą do tegoż celu prowadzącą: wtedy przepis bez względu na swą literę za należący do zbioru ustaw rzeczowych uważanym być musi.

Przypatrzmy się jeszcze niektórym w tym przedmiocie przykładom.

Przepisy o części rozrządzałnej i o części obowiązkowej, do działu ustaw rzeczowych należą; chociaż bowiem prawo zabrania ojcu rozporządzać pewną częścią majątku, nie ma na celu utworzenia niezdolności ojca, ale jedynie ostateczny rezultat: zapewnienie dzieciom ojczystego majątku. Zakaz czynienia szkodliwych, ograniczenie zdolności ojca, jest tylko środkiem, nie zaś celem prawodawcy, chociaż do tegoż celu prowadzi; zakaz ten bowiem, dąży do zachowania dzieciom majątku ojczystego, stanowi jedną z kardynalnych zasad, systemat sukcesyjny urządzających, jest więc statutem rzeczowym (1).

Do działu ustaw rzeczowych należą także przypisy, urządzające prawa dzieci naturalnych do spadku po ich rodzicach pozostałego, a zabraniające czynienia im darów i zapisów, część w kodexie oznaczoną przenoszących, z tym skutkiem, iż często się zdarza, że ojciec nie jest władnym dać dziecku naturalnemu tego, co każdemu obcemu ważnie dać może. I tu bowiem celem prawodawcy, jest zapewnienie wykonania przepisów, przyjęty przez niego systemat sukcesyjny urządzić mających; główną myślą prawa nie jest niezdolność dziecka naturalnego, (niezdolność zresztą względna, skoro udział jego powiększa się w miarę odleglejszego stopnia krewnych spadkodawcy do dziedziczenia powołanych), ale jedynie środkiem, prowadzącym do urzeczywistnienia głównej idei, w przedmiocie tym dominującej: do zachowania spadku w rękach dzieci prawych i dalszych krewnych zmarłego (2).

Do tegoż działu należy przepis, dotyczący nieruchomości żoninych, rządowi posagowemu poddanych; zakaz bowiem alienacji tych rzeczy, nie wypływa bynajmniej z niezdolności małżonków, ale jest środkiem prowadzącym do zapobieżenia, by rzeczy te z rąk rodziny nie wychodziły, lecz przez cały

(1) Merlin, *Rép. V-o Loi* §. 6 Nro 2; Toullier t. 1. Nro 119; Delvincourt t. 1. str. 187; Proudhon t. 1. str. 91; Marcadé t. 1. str. 51; Demolombe t. 1. str. 80; Duranton t. 1. Nro 84.

(2) Delvincourt, str. 187; Marcadé str. 52; Duranton Nro 87.

czas trwania małżeństwa, przy żonie pozostały: taki bowiem jest cel główny i ostateczny powyższego przepisu (1).

Do tegoż działu zaliczyć należy przepisy przyznające rodzicom prawo pobierania przychodów z majątku dzieci (2), urządzające obowiązki opiekunów (3) i t. d. Przeciwnie zaś przepisy, zabraniające żonie czynić lub przyjmować dary bez upoważnienia męża, i w ogóle działać bez tegoż upoważnienia, unieważniające sprzedaż przez bezwłasnowolnego dokonaną i t. p. do działu ustaw osobistych zaliczone być muszą, są bowiem skutkiem ogólnej, bezwarunkowej niezdolności, jaką prawodawca, niektóre osoby nacechować postanowił.

6. Z tych kilku przykładów widzimy: iż ile razy przepis prawa zajmuje się jednocześnie osobą i rzeczą; ile razy zdawać się będzie, iż przedmiotem tegoż przepisu jest i zdolność osoby i zachowanie lub sposób przeniesienia rzeczy zarazem, trzymać się należy reguły następującej: jeżeli zakaz sprzedawania lub kupowania, przenoszenia rzeczy lub jej otrzymywania, jest skutkiem, lub jednym ze skutków niezdolności, ogólnie i bezwarunkowo osobę dotykającej, przepis ten jest ustawą osobistą; w przeciwnym zaś wypadku, skoro nie miał na celu urządzenia stanu osoby, do działu ustaw rzeczowych należy (4).

7. Zobaczmyż więc do jakiego działu ustaw, zaliczyć należy przepisy urządzające stosunek majątkowy osób, które bez poprzedniej umowy przedślubnej, związek małżeński zawarły? Pytanie rzeczywiście trudne, skoro na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło, iż stosunek majątkowy małżonków, jest tylko wpływem i skutkiem *stanu osób*, jaki z zawartego małżeństwa pochodzi.

Małżeństwo tworzy obowiązki dwojakiego rodzaju: osobiste i majątkowe; pierwsze mają na celu urządzenie stosunków pomiędzy osobą męża i żony; głównym i ostatecznym celem drugich, jest sam majątek. I tak, przepisy kodexu, stanowiące, iż mąż winien zaopatrywać żonę we wszelkie potrzeby, iż żona przyjmuje nazwisko męża, iż żona bez upowa-

(1) Kass. 27 sierpn. 1810, 27 lut. 1817, 2 maja 1825. (S. 11, 1, 40, 17, 1, 122, 25, 1, 223). Duranton t. 1. Nro 83; Marcadé t. 1. str. 53; Delvincourt t. 1. str. 187.

(2) Merlin, *Rép. V-o Puissance paternelle* sect. 7. Nro 1; Proudhon t. 1. str. 91.

(3) Kass. 10 listop. 1813 (S. 14, 1. 21).

(4) Marcadé t. 1. str. 53.

znienia męża do żadnych czynności cywilnych nie jest zdolną i t. p., należą bez wątpienia do działu ustaw osobistych, ostatecznym bowiem i stanowczym celem prawodawcy, była osoba męża i żony, abstrakcyjnie od ich majątków uważana. Przeciwnie zaś urządzenie stosunku *majątkowego*, nie osoby męża i żony, ale ich *majątek* na głównym miało celu. Czy małżonkowie żyć będą pod rządem posagowym, czy pod wyłączością majątków, czy pod wspólnością ogólną, to ani stanu osób, ani ich stosunków osobistych, wcale nie zmienia. Stanowiąc ogólny majątkowy stosunek, prawodawca miał na celu, urządzenie reguł, którym nie osoby, ale rzeczy podlegać mają, tudzież dopełnienie systematu sukcesyjnego, jaki względem rzeczy w kraju się znajdujących, za odpowiedni potrzebom tegoż kraju poczytywał. Doświadczenie przekonywało, iż wspólność kodexowa zapewniała zbyt wielkie korzyści małżeńskie małżonkowi, który nic nie miał; narażała żony na znakomite straty, nie dając im w interesach majątku pod wspólność podchodzącego, żadnego głosu, a co najważniejsza instytucją do godności Sakramentu podniesioną, często w prostą zamieniała spekulacją. To też prawodawca z roku 1825, temu złemu zapobiegł, za pomocą następujących dwóch idei: majątki małżonków w czasie trwającego małżeństwa łączonemi nie są; po ustaniu zaś małżeństwa, małżonkowi przy życiu pozostałemu, służy udział spadkowy z majątku po zmarłym małżonku pozostałego, jako wynagrodzenie za wspólność francuzką.

Przepisy więc urządzające stosunki *majątkowe* pomiędzy małżonkami, nie są dalszym ciągiem artykułów, stan małżonków i osobiste, z tegoż stanu płynące prawa i obowiązki określających; ale stanowią część oddzielną odnoszącą się *do samych rzeczy* (ruchomych czy nieruchomych, to wszystko jedno), mającą na głównym celu oznaczenie położenia i stosunków tych rzeczy. Stan osób, charakter męża i żony, jest tu znowu, tylko środkiem nie zaś celem prawodawcy, chociaż do tego celu doprowadza i posługuje; albowiem powtarzamy raz jeszcze, głównym celem prawa jest tu urządzenie samych rzeczy, ich zachowanie i dopełnienie ogólnego systematu sukcesyjnego dla kraju przyjętego, przedmiotów, które wszystkie do działu ustaw rzeczowych nie wątpliwie należą.

Gdybyśmy przeto, rozbieraną przez nas kwestyą, za pomocą odróżnienia ustaw osobistych od rzeczowych decydować chcieli; to skoro stosunki majątkowe pomiędzy małżonkami ra-

czěj do rzeczowych, anizeli do osobistych statutów zaliczone być powinny, doszlibyśmy koniecznie do tego wniosku: iż w braku umowy przedślubnej, majątek małżonków w kraju naszym się znajdujący (tak ruchomy, jak nieruchomy), zarządzanym jest za pomocą przepisów naszego kodexu, a tém samém ulega stosunkowi prawnemu ogólnemu, jaki przez nasze prawodawstwo został postanowionym.

A więc i majątki cudzoziemców ulegają wyłączności w czasie trwającego małżeństwa; małżonkowi zaś przy życiu pozostałemu, służy taki udział ze spadku małżonka zmarłego, jaki kodexem polskim, nie zaś ustawami kraju do którego cudzoziemiec ze stanu swego należy, jest oznaczonym.

8. W rozbiórce powyższej kwestyi, poszliśmy drogą przez przeciwników naszego zdania wytkniętą, i na téj drodze odróżnienia ustaw osobistych od rzeczowych, bez względu na rzeczywiste trudności jakie się napotykają, na niejasną zasadę tego podziału, za pomocą rozumowania doszliśmy do przekonania, iż założenie, jakoby przedmiot stosunków majątkowych pomiędzy małżonkami, do stanu osób się odnosił, nie jest dokładném, a ztąd, że osnowane na tém założeniu zdanie przeciwnie, krytyki prawnej nie wytrzymuje. Wykazaliśmy bowiem, że i w ocenieniu, do jakiego działu ustaw, rzeczowych czy osobistych, przedmiot stosunków majątkowych pomiędzy małżonkami należy, kwestya na stronę praw tego kraju, w którym ślub był zawartym, rozstrzygniętą być powinna.

Ośmielamy się przeciw mniemać, że istnieje inna droga, nierównie krótsza i łatwiejsza, do tegoż samego rezultatu prowadząca, droga pewniejsza, skoro bez potrzeby wdawania się w rozbiór teoretyczny, trudny i zawily, najbiegłęjszych prawników różniący, jest zdolną nie wątpliwe zasady prawne, naszą kwestyą stanowczo rozstrzygające, wskazać, a tém samém uciekanie się do owego rozbioru zbyteczném uczynić.

9. A naprzód istnieje zasada prawna, żadnej wątpliwości nie ulegająca, iż ważność zawartej pomiędzy osobami umowy, wytłumaczenie takowej, znaczenie i skutek jej warunków, ocenianemi być muszą, odpowiednio do praw tego kraju, w którym umowa została zawartą. Zasadę tę zastosować można do kontraktu małżeńskiego: chociaż bowiem akt małżeństwa, jako akt w życiu człowieka najważniejszy, do godności Sakramentu został wyniesionym; z drugiej strony przeciw, z istoty swojej do umów należy, i tak jak inne umowy, działaniu praw

cywilnych jest poddanym. Prawodawca też urządzając stosunki majątkowe małżonków, nie umowę duchową, religijną, ale jedynie umowę drugiego rzędu, accessoryjną, do samych majątków męża i żony się odnoszącą, miał na widoku. Czyli innemi słowy: pozostawiając kościołowi, to co do dziedziny ustaw kościelnych należy, zajął się urządzeniem rzeczy ziemskich, stosunków czysto cywilnych, czyli umowy domyślnej, tej spółki, jaka przez sam fakt wykonanych ślubów, tworzy się i bytu nabiera, a którą mówca rządowy dokładnie określił, w raporcie swym trybunatowi złożonym, w słowach: „małżeństwo, samo w sobie, nie zależnie od ustaw cywilnych i kościelnych uważane, jest spółką pomiędzy mężczyzną i niewiastą, którzy się łączą, by rodzaj ludzki uwiecznić, a wzajemną sobie pomocą i dzieleniem wspólnego losu, ciężar życia łatwiej znosić mogli” (1).

Skoro zatem stosunek małżeński powstaje z chwilą samego ślubu, a ztąd w tej dopiero chwili tworzy się owa domyślna drugorzędna umowa, majątki małżonków urządzająca; umowa ta, ulegać musi temu prawodawstwu, pod którym wzięła swój początek i istnienie.

10. Ogólna ta zasada, nakazująca tłumaczyć i urządzać każdą umowę podług przepisów ustawy, miejscu zawarcia tejże umowy właściwej, do naszej kwestyi tém bardziej stosowaną być musi, skoro się zwróci uwagę na charakter czysto opiekuńczy przepisów stosunki majątkowe małżeńskie urządzających i na radykalną różnicę pomiędzy naszą ustawą a kodexem francuzkim, w materji dopuszczenia cudzoziemców do używania praw cywilnych zachodzącą.

Zacznijmy od tej różnicy. Kodex francuzki w artykule 11-m przyjął regułę, iż cudzoziemiec używać będzie we Francyi takich praw cywilnych, jakich używają Francuzi w kraju, do którego tenże cudzoziemiec należy, a to odpowiednio do istniejących traktatów narodowych.

W zasadzie zatem cudzoziemcy we Francyi praw cywilnych nie używają, i tylko wyjątkowo, o ile temu traktaty i wzajemność między-narodowa na przeszkodzie nie stoi, do dobrodziejstwa rzeczonych praw są przypuszczeni. Ogólna ta zasada była wynikiem ówczesnych politycznych stosunków Fran-

(1) Séance du 16 ventôse, an. XI. exposé des motifs de la loi relative au mariage, par le conseiller d'Etat Portalis.

cyi z całą prawie Europą, stosunków, które w dziejach końca zeszłego i początku bieżącego stulecia, tak znakomitą zajęły kartę.

W motywach przecież kodexu francuzkiego nauka prawa dopatrzyła dążność, by cudzoziemcom nie odmawiać korzyści, opieki i dobrodziejstwa praw cywilnych, zkąd wyprowadziła regułę:

że cudzoziemcy używają na równi z Francuzami praw cywilnych, które są wynikiłością zasad przez ustawy między-narodowe wskazanych (*droits civils, derivés du droit des gens*) (1).

To co prawnicy francuzcy z zasady praw między-narodowych wywiedli, okazało się dla naszego kraju jeszcze niedostatecznym, i z politycznemi ustawami naszymi niezgodnym. Już dekretem króla Saskiego z dnia 19 grudnia 1807 r. nadane zostały większe przywileje, a mianowicie prawa obywatelstwa cudzoziemcom, posiadającym własność nieruchomą w b. Księstwie Warszawskim; artykuł zaś 32. b, konstytucyi królestwa Polskiego zapewniał: iż każdy cudzoziemiec, używać będzie zarówno z innymi mieszkańcami, protekcyi praw i korzyści przez nie zaręczonych.

W obec przepisów politycznych, dla cudzoziemców tak dalece przychylnych, musiał kodex cywilny polski od owój restrykcyjnej reguły, kodexu francuzkiego odbiegnąć i odmienną w tym względzie uświęcić zasadę. Redaktorowie też naszego kodexu, w usprawiedliwieniu przedstawionego izbom prawodawczym projektu, wyraźnie oświadczyli, „że z prawem francuzkiem, zaprowadzone do nas zostały maxymy względem cudzoziemców, niezgodne z duchem naszej konstytucyi, z interesem kraju i stosunkami, w jakich zostaje z najbliższemi sąsiednimi krajami; że dlatego art. 11 i następne księgi 1-ój projektu, zawierają względem cudzoziemców prawidła odmienne od kodexu francuzkiego, a które zasadzają się w krótkości na tém: iż *cudzoziemcy używać będą również jak Polacy praw cywilnych.*”

Tę myśl prawodawczą wyjaśnił bliżej w Senacie radzca stanu Wyczechowski, rozbierając pytanie:

(1) Proudhon t. 1. str. 79; Merlin, *Rep. V-o Etranger* §. 1. Nro 8; Duranton t. 1. Nro. 168; Coin. Delisle str. 29 Nro 4; Démangeat, *Cond. civ. des étrangers en France* Nro 56 str. 248 i 249.

„Jakichże praw używają u nas cudzoziemcy?”

Przypomniawszy dobrodziejstwa artykułem 32 konstytucji zapewnione, zwrócił on uwagę na to: „że cudzoziemcy mają czas i sposobność przekonania się, czyli Polska, którą sobie za nową ojczyznę obrać zamysłają, będzie dla nich ojczyzną miłą i pożyteczną.” Poczém podawszy rys prawodawstwa francuzkiego w materyi o cudzoziemcach, dobitnie oświadczył:

„Iż co kodex francuzki ustanowił jako regułę, projekt stanowi jako wyjątek, a przeciwnie co jest w kodexie wyjątkiem, to w projekcie jest regułą.”

Że dla uczynienia téj nowéj zasady, ogólnej, do wszystkich praw cywilnych się odnoszącej, położono na czele art. 11, te wyrazy:

„Cudzoziemcy używać będą równie jak Polacy praw cywilnych”.

Po zamieszczeniu zaś kilku specjalnych wyjątków, wyrażono na końcu prawo odwetu, także jako ostatni wyjątek, od ogólnej wyżej przywiedzionej reguły.

Tak więc z przepisów naszego kodexu, (art. 3, 7, 11 i 12) cudzoziemcy używają wszystkich praw cywilnych w kraju naszym obowiązujących; o ile zatém bez umowy przedślubnej do aktu małżeństwa przystępują, o tyle ruchomy i nieruchomy ich majątek, czyto do małżeństwa wniesiony, czy w ciągu tegoż małżeństwa dorobiony, urządzanym jest przepisami art. 191 i następnych księgi 1-éj Kod. Cyw. polskiego, Udział zaś spadkowy z majątku małżonka wcześniej zmarłego małżonkowi przy życiu pozostałemu należny, podług przepisów artykułu 231, i następnych téjże księgi ustanowionym być powinien.

11. W kwestyach, które jak obecna, przez wyraźną literę kodexu roztrzygnięte nie są, na które ani protokola dyskusyi rady stanu nad kodexem francuzkim, ani urzędowe motywa naszego kodexu, bezpośredniego nie rzucają światła, uciekać się należy do nauki prawa; a mianowicie zapatrywać się należy, na zdanie komentatorów, w podobnej kwestyi:

Jakiemu stosunkowi majątkowemu, ulegają we Francyi cudzoziemcy, bez umowy przedślubnej się żeniący?

I zdanie to analogicznie do naszego kraju stosować wypada, zwłaszcza gdy redaktorom księgi 1-éj kodexu cywilnego polskiego wyraźnie było zaleconém, by z przepisów prawodawstwa francuzkiego do téjże księgi czerpali zasady; widzie-

liśmy zaś, iż oni cudzoziemcom znaczniejsze korzyści zapewnia-
li, chociaż artykuł 3-ci z kodexu francuzkiego, dosłownie do
naszej ustawy przenieśli.

Stosunkiem prawnym majątkowym we Francyi, któremu
małżonkowie, w braku odmiennej umowy przedślubnej, ulega-
ją, jest wspólność, dla odróżnienia od wspólności polskiej,
kodexową albo francuzką zwana. Otóż nauka prawa we Fran-
cyi wyprowadziła regułę:

Iż wspólność kodexowa ma miejsce i między cudzoziem-
cami nienaturalizowanymi, lecz we Francyi zamieszkują-
cymi, którzy się żenią we Francyi bez umowy przedślu-
bnej (1).

Toulier, regułę tę usprawiedliwia w sposób następujący:
jakkolwiek prawo cywilne urządza stosunki pomiędzy krajo-
wcami, to przecież cudzoziemcy mogą korzystać z takich prze-
pisów, które w zasadach praw między-narodowych czerpią swe
źródło, a takimi są przepisy o wszystkich umowach. Gdy
zaś stosunek wspólności prawnej między małżonkami, polega
na domyślnej umowie, jaką oni *tacite* przyjmują, skoro bez
interczy się żenią, a wiadomém dla nich być powinno, iż brak
takowej, sam prawodawca uzupełnia, i sam opiekując się niemi,
stwarza dla nich majątkowy stosunek: przeto za ulegających
obowiązkom z owiej domyślnej umowy wynikającym poczytani
być muszą. Cudzoziemcy bowiem mają moc zaciągać zobó-
wiązania wszelkiego rodzaju i zawierać wszelkie umowy; wol-
no im przeto poddać się stosunkowi majątkowemu w kraju
gdzie przebywają i żenią się, istniejącemu, tak samo, jak to czy-
nią krajowcy, gdy dla siebie żadnego innego stosunku nie ukła-
dają.

12. Ustawa z roku 1825 utworzyła zamiast wspólności
francuzkiej wyłączność majątkową, z dodatkiem pewnego
udziału spadkowego; to zatem co nauka prawa, trafnie z przepi-
sów kodexu francuzkiego wyprowadziła, analogicznie u nas
stosować wypada, zwłaszcza, gdy cudzoziemcy we Francyi,

(1) Toullier, t. 6. Nro 91. str. 212, l'annotateur de Lebrun, *de la Communauté* ks. 1. roz. 2 Nro 73 i nast. Denisart V-o *Communauté* §. 2, Pothier. *Communauté* Nro 21, Merlin. *Rép. V-o divorce* Oddz. 4 §. 40, Duranton tom VIII Nro 15 i nast. Rolland V-o *Contrat de Mariage* Nro 13, 14 i 15.

używają praw cywilnych, tylko wyjątkowo, kiedy tymczasem u nas, nie dopuszczenie ich do używania tych praw, jest właśnie wyjątkiem.

Skoro więc prawodawca nie wyłączył cudzoziemców od opieki art. 191 i nast. księgi 1-jej naszego kodexu dla krajowców zapewnionej, a wszelkiego wyjątku w samym kodexie szukać i takowy ściśle tłumaczyć należy; skoro wyłączenia w art. 11 księgi 1-jej zawarte, rozumiane być muszą podług znaniej maxymy: *exceptio firmat regulam*; skoro ustawa pomiędzy cudzoziemcami w królestwie osiedlonemi, a temi z nich którzy czasowo tylko w kraju przebywają, ani pomiędzy ich majątkami ruchomemi, nieruchomemi, istniejącemi w dniu małżeństwa i dorobkowemi, żadnej nie uczyniła różnicy, a gdzie prawo nie rozróżnia, tam i jego tłumacze odróżnienia dopuszczać nie są władni: przeto bez potrzeby badania do jakiego działu statutów: osobistego czy rzeczowego, przepisy o stosunkach majątkowych pomiędzy małżonkami należą, dochodzimy do tego wniosku:

Że i cudzoziemcy ulegają pod tym względem naszemu prawodawstwu, na równi z krajowcami.

Kto bowiem żyje w naszym kraju, czyto jako poddany Polski, czy jako cudzoziemiec osiedlający się lub czasowo przebywający, ten naszym krajowym urządzeniom i prawom posłusznym być musi; ale natomiast, na równi z krajowcami do opieki praw naszych odwoływać się może. Skoro cudzoziemcom, majątkowe swe stosunki tak, jak wszelkiego rodzaju umowy, wedle upodobania urządzić jest wolno, wolno im więc spełnić umowę domyślną, interczyzy nie spisując. wolne im przyjąć nasz stosunek prawny: wyłączność majątkową, z udziałem spadkowym dla małżonka przy życiu pozostałego, połączoną. Gdy zaś charakter tych przepisów jest najwyżej opiekuńczym, gdy opieka ta pomiędzy majątkiem ruchomym, nieruchomym i dorobkowym, żadnej różnicy nie czyni; z opieki tej przeto, również bez żadnej różnicy korzystają cudzoziemcy, którzy w kraju naszym się żeniąc, umowy przedślubnej spisać przepomnieli.

KRONIKA LITERACKA.

Wycieczki po stokach galicyjskich i węgierskich Tatrów, przez Dra T. Tripplina. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda, 1856 r. Tomów 2. I, 257 str. II, 208 str.

P. Tripplin po różnych podróżach za granicą odbywanych jakie wydał, przedstawia nam w tém dziele wycieczkę swą do Karpat. Naszém zdaniem jestto jedna z najlepszych, najsumienniejszych prac jego. Sposób opowiadania żywy i pełny różnaitości, w jaki opisuje swą podróż, właściwie jest użyty i odpowiada celowi, tak, iż nietylko czytelnika nie nuży, ale przyjemnie go zajmuje i zabawia; tém bardziej, że autor starał się obok dokładnego skreślenia miejscowości i o wierne scharakteryzowanie różnego plemienia i pochodzenia mieszkańców okolic, które zwiedzał: widzimy tam górali polskich, Słowaków, Madziarów, Niemców. To zaś co dorywczo wyrzekł jeden z najznakomitszych naszych pisarzy, ale nieco jednostronnie zapatrujący się w swych sądach, do obecnej pracy autora naszém zdaniem stosować się nie może. Przedstawimy tu podróż w sposób, aby czytelnik mógł mieć wyobrażenie o tych najpiękniejszych okolicach kraju naszego, które oprócz mieszkańców Galicyi i Krakowa, zamieszkałym w innych stronach dawnej Polski bardzo mało są znane.

Autor puszcza się w drogę z Krakowa, najętym czteroskonnym wózkiem, powożonym przez rażnego Krakowiaka, który z zadziwiającą zręcznością kieruje swemi konikami i zwiedza Swoszowice miejsce słynne skutecznemi wodami siarczanemi i ogromną obfitością siarki, i na Mogilany, Myślenice, Izdebnik,

gdzie niegościnnego doznaje obejścia od chłopów galicyjskich nienawidzących wieśniaków krakowskich: zdąża ku dolinie Nowego-targu, zapoznaje się z ludem góralskim, inny typ i usposobienie mającym od ludu galicyjskiego z nizin, i unosi się z zapalem nad nim. Przypatrzmy się naszemu poczciwemu góralowi: „Poczciwi synowie gór leśnych mieszkają w owych błogich strefach, gdzie powietrze, wody, zioła, zdrowiem nasycone zachwycają zmysły i duszy udzielają swobodę: tam, gdzie lud pasterski i przemyślny, miłością do swój ubogiej strzechy przejęty, od zgubnych wpływów i podszczuwań zasłonięty, czynem Kaima się nie zmazał. Spojrzyj w ich pogodne oblicze, a nie ujrysz tam owych wyrzutów sumienia, owych jęków stariej winy.” Opis i charakterystyka górala jest tak piękna i prawdziwa, że i znający dobrze ich, karty te z przyjemnością czytać mogą. I góralki znajdujemy tu opisane z całą powaźnością stylu; autor unosi się nad ich pięknnością, chwali ich kibić, wzrost, kształty, wesołe ale pełne skromności spojrzenie, właściwe tylko dzieciom niezepsutej natury i tak się w nich lubuje, że przekłada je nad góralki Szwajcaryi, Włoch i ulubionej sobie Hiszpanii.

Góral jest wzorem pracowitości: z ziemi, którą mu skąpą ręką nasypała Opatrzność, wydobywa wszystko co można wydobyć. Na gruntach i łęgach w dolinach sieje prawie każde ziarno, lecz w większej części tylko jęczmień i owies, gdzie-niegdzie groch, ziemniaki, które dziwnym obyczajem zwą z niemiecka, podobnie kartoflami w większej części Polski. Niemi jak i mlekiem, sérami, zentycą i plackami owsianemi głównie żywi się góral. W porze niezdatnej do pracy na roli, zajmuje się wyrabianiem gontów, stołków i innych prostych sprzętów do użycia, spuszczeniem drzewa, a uboższy puszcza się po całej Polsce drutując garnki lub wynajmuje się do sianożęcia i żniwa, gdy jeszcze w jego górskich stronach zboże zielone, a bydło i trzodę jego gazdy paszą po wysokich holach i połoninach. Autor zachwyca się nad położeniem uroczym górskich okolic, „ktokolwiek, mówi on, bez uprzedzenia sądzić o wdziękach przyrody umie, ten w tych lesistych ustroniach nie pozazdrości mirtowych gajów obcym krajom, bo tu kwitnie grusza i jabłoń tak pięknie, jak w najszczęśliwszych krainach (autor mówi o stronach podnóża Karpat), tu brzęczy pszczołka, tu wonne śmieją się kwiaty, tu błyszczą uroczą barwą glandiole, sileny, konwalie, bzy, balsaminy i jaskry, a dzikie róże, głogi,

ostreżnice tworzą okiem słońca nieprzejrzałe klomby, jodły i świerki wplatają się w majowe liście buków, stary jawor przepuszcza drżące światło księżyca, a za nim siedzi mały słowik i tęskne swe pieśni rozsyła opodal na lasy i wody. Oddychaj wówczas balsamiczną ich wonią, pij mleko, które ci hoża góralka z tak poczciwym uśmiechem poda, a zapominasz, żeś kiedyś żył w Arkadyi i w ogrodach Hesperyjskich przysłuchiwał się pniom hiszpańskiej dziewicy, (o czém mówiąc nawiasem autor tutaj nie zapomniał). „Ja takich cudów znaleźć się nie spodziewałem w tój przez nikogo jeszcze godnie nieślawionój krajinie, mnie tu piękność ziemi żadną sztuką nie podniesioną zdumiała, oczarowała, mnie ta prostota i rzeźwość mieszkańców szczerze zachwyciły.”

Przyjemnym jest humor jaki rozlany jest w opowiadaniach: autor nie nudzi zwykłą podróżników monotonością, opisując widoki, miejsca, okolice, lub przedmiot jaki, ale z ręcznie odskakuje od niego, tak, że sam zadziwisz się jak szybko przeniesiony jesteś w inne miejsce. Gdy droga w podróży nudna, oko podróżnika snem powleka, autor opowiada nam wtedy jakie podanie, lub rozmowę przytacza z swoim towarzyszem Stachem krakowiakiem, a w tém wszystkiém nie znać trudu, nie spostrzeżesz usiłowania zabawienia cię przyjemnie i zajęcia twój uwagi. Ładny taki znajdujemy obrazek spotkanie się z Jagusią i galanterya Stacha względem tój hożej i wdzięcznej góralki, która Stachowi nie żartem w serduszko wpadła, a w autorze uczucie litości wzbudziła. Z wioski, gdzie biedną Jagusię napotkał, autor podąża do Klikoszowy dziedzictwa hr. St.; w opisie tójże znachodzimy zdanie, które mniemamy, że je pod wpływem dawnych o Galicyi uprzedzeń wyrzekł. Mówiąc o gwiazdkach i toporkach na tarczach herbowych, nad bramą wjazdową znajdujących się, wyraża się, że „jedynato rzecz dobrze utrzymana i należycie odnawiana w całej Galicyi.”

Nie chcielibyśmy, aby zdanie to utrwaliło się w czytelnikach z innych części dawniej Polski i życzylibyśmy sobie, aby i autor zmienił je. Aczkolwiek nie zaprzeczamy dawniejszej ospałości i próżności większej części mieszkańców tój ziemi, lecz dzisiaj kto zna stosunki jej obecne, ten przyzna, że prowincya ta ocknęła się z letargu i wszechstronnie na każdej niwie pracuje, mimo lekkomyślnych okólników korespondentów niektórych gazet. Dość rzucić okiem na zamiłowanie w piśmiennictwie jakie szerzy się po kraju: gdzie da-

wniej kupiono kilka kalendarzy i kilka książek do nabożeństwa, tam dziś powstały księgarnie, drukarnie i zawiązały się wydawnictwa na wielką skalę; dosyć spojrzeć na postęp i gorliwą chęć ulepszeń w gospodarstwie, na podnoszące się i coraz liczniej zakładane fabryki, na towarzystwo krajowe kolei żelaznej na wschodnie kraje Galicyi, któremu odmówiono koncesyi na zachodnią część tejże na korzyść protegowanych przed wszystkimi i nad wszystko Niemców, czyto w postaci wędrownych kramarzy, czy handlarzy na większą stopę, czy też w postaci urzędnika zalewających kraj. Kto bezstronnie zważy trudne stosunki w jakich nieszczęśliwa Galicya znajdowała się w ostatnich czasach, i na ten ruch i zbudzenie się powszechne obecne, przyzna, że praca i postęp są obecnie *à l'ordre du jour* w kraju dawniej Polski zwaną Galicyą, i że ta nie zostaje w tyle za innymi prowincjami, jeśli ich nie wyprzedza.

W opisie Harkłowy głównej stacyi autora, z kąd wycieczki przedsięwzię, nieradzi zapoznajemy domowe szczegóły gospodarza: poznajemy pannę Augustę rodzaj emancypowanej damy na krój niemiecki, grającej w kręgle z autorem partyą po 10 kr. i gospodarza, który przy odgłosie wiwatów za zdrowie autora spija się. Autor wprowadzie rewindykuje sławę domu Harkłowy, oświadcza nam bowiem, że marszałek Radecki tamże urodził się w r. 1779 (?) i jest rodzonym wujem właściciela wsi, który jest urodzonym Polakiem. Odkryciem tém i zdradzeniem tajemnic marszałka, autor ściągnie na siebie grad reklamacyj pochodzących z strony narodowości czeskiej!....

P. T. wybrał się do Karpat w porze, gdy jeszcze lody i śniegi na szczytach gór w całej swój białości świeciły i bawi właśnie w Nowotargskiej dolinie, gdy lody ogromnemi bryłami staczały się po spienionych i wartkich wodach Dunajca, podziwiając wspaniałość wezbraną rzeki rwiącej mosty i tamy. W chwili takiej puszcza się na dalsze zwiedzenie okolic wolniejszych od zalewu, bo na góry dostać się nie sposób; puszcza się zaopatrzone nieodzownemi w podróży górskiej przedmiotami, to jest, dwiema faskami pożywienia, wraz z panem Sewerynem nowym swój podróży towarzyszem, który w drodze deklamuje Goszczyńskiego Kościeliska, na spoczynku zaś funkcyje kucharskie wypełnia. Tymczasem autor zwiedza kościół w Dębnie nader wspaniały i bogaty i unosi się nad poetycznością widoku należącego do najpiękniejszych z doliny

podtatrzańskiej; lecz nie chcąc zostawić towarzysza w niebezpiecznej dla jego żołądka samotności, wprowadzie w towarzystwie pstrągów marynowanych i bigosu: rozumie się, że autor przyczynił się wiele do wyczerpania téjże edycji; po spoczynku wybierają się podróżni już na stronę węgierską do Friedmanu, miejsca gdzie i dzisiaj wspominają z rozczuleniem pobyt Seweryna G., który u proboszcza tamtejszego przez jakiś czas bawił i w miejscu tém ułożył swój opis prześliczny „Kościeliska”. W Friedmanie sławne znajdować się miały piwnice hr. Pałaczaia, a które znowu towarzysz podróży p. Serafin starał się bliżej zbadać.

Na Czorsztyń i Krościenko p. T. dąży do Szczawnicy znanej i sławnej swoją wodą. Czorsztyń jest w zupełnej ruinie; w wieku przeszłym uległ on pożarowi i starosta D. mówi autor (jak pan Chrzan. w Ojcowie), nie chcąc pokrywać dachem mury, rozebrał je prawie całkowicie na gorzelnię, dwór, obory i spichlerz. Tymczasem zamek Nidzica (Nedetz) na przeciwnej stronie węgierskiej stoi cało i w stanie prawie takim, jak go przed 800 laty postawiono! Między Czorsztyńem i Szczawnicą znajdują się ruiny małego zamku ś. Kunegundy, gdzie siedm-dziesiąt zakonnic, jak podanie niesie, z niewielą służką zdołało się obronić najściu Tatarów.

W Szczawnicy zastanawia się nad rozbiorem wody i opisuje mniej korzystnie zakład ten, mianowicie téż pod względem niewygód i niedostatku, na jaki narażeni bywali dawniej goście i sam p. T. musiał się z swojemi beczułkami zamknąć i zabarykadować w karczmie, z obawy, aby mu zgłodnieli przybysze specyałów nie odbili. Zły humor autora tłumaczy nam ta obawa, na jaką narażony został bojąc się o pstrągi i bigos. Zakład ten, powiada p. Tripplin od czasu podróży jego podnieść się miał bardzo wysoko i bawiący z całą wygodą i komfortem spędzać mogą wesoło chwile wśród najpiękniejszych i najpoetyczniejszych okolic, jakie kraj nasz posiada. Żałujemy, że autor nie doznawał wrażeń jakimi poją się bawiący w Szczawnicy, robiąc podróż dwugodzianą w czajkach maleńkich po Dunajcu wśród stromych skał otaczających oba koryta rzeki. Wrażenie, jakie podróż tą rzeką sprawia, jednem jest z najprzyjemniejszych i najwznioślejszych jakie turystę w wycieczce po Karpatach spotkać mogą. Z Szczawnicy zwiedza Krynicę bogatą w wodę (20,000 wiader na dobę), ale zaniedbaną przez

właściciela, a którym jest sam skarb. Z Krynicy zwiedza znów lichą mieścinę Piwniczą.

Przysłuchajmy się rozmowie jaką prowadzi p. Tripplin w drodze z góralem, ujrawszy węża kilku-łokciowego: poznamy w niej przesady i wiarę ludu.

— A dalejże go batem, Janku.

— A la Boga, za nic w świecie: żeby mi ręka spuchnąć miała—odpowie góral.

— To daj bicz, pójdę zabić węża.” Ale Jonek nie chce dać bicza mówiąc.—Ej chyba, że nie dam panocku, boc to nie wąż, tylko zmijolek, to sięta mści okrutnie;” to mówiąc góral pędzi od drzewa, co konie wyskoczą. Lecz coto był zmijolek, dowiedzieć się autorowi trudno; w końcu częścią datkiem, częścią horyłką rozwiązał się język góralowi i jał prawić o zmijolkach, o boginkach i złych duchach. Zmijolki są to złośliwe zaklęte kobiety, które się w nie przeobrażają, a ten cośmy go widzieli, mówi góral, była w nim zmarła przed wielu laty dziewczka, nazwiskiem Wikta, straszliwie złośliwa. Żyła ona przed 60 laty w téj wsi, aż w końcu za pokutę w zmijolka zamienioną została. Psoty ludziom nie robi, tylko się koniom obwije u szyi, to znów krowom mleko wydoi, lub pokąsa ciele albo źrebię: ma też same wady i złośliwości, jakie miała i za życia Wikta, nawet czerwony płat na łbie jak czerwoną chustkę, którą tamta nosiła. Jak się rozgadał góral tak jał prawić i inne rzeczy i tak, że parobczaki zmieniają się w wilkołaków, jak niejaki Pietrek co był 150 lat wilkiem, aż odpokutowawszy swoje przyjął napowrót postać człowieka, iż żył aż do śmierci w kruchcie Czerwonego Klasztoru. W pieczarach lasów do Łopuszny należących znajdować się znówu mają dziwożony zamknięte i zawalone ogromnemi głazami, których ręka ludzka nie ruszy; strzegą je tam boginki, dobre duchy a ich nieprzyjaciołki, aby ludziom psoty nie robiły: każdy z przechodzących winien jest zatknąć krzyżyk w szczeliny skały, bo to lubią boginki, jako talizman trzymający dziwożony w zaklęciu. Lud wierzy w tak wielką ich złośliwość, że czasem poczciwym ludziom zakradają się do łoża małżeńskiego.

Żałować należy, że autor, który tak pilnie i skrzętnie wszystko wmieścił, co tylko mogło urozmaicić jego pełnej wartości pracę, więcej nam nie podał szczegółów tego rodzaju o góralach; témbardziej, że i inni piszący o Tatrach, zatopieni w swych badaniach geologicznych lub botanicznych, przedmiot

ten omijają. Podróżni zajęci wielkością i wspaniałością natury, nie mają dość czasu do zajmowania się badaniem wyobrażeń i przesądów ludu. A szkoda, bo z czasem wiadomość zaginąć może, gdyż lud góralski przez ciągle przestawanie z klassami oświeceńszymi, sam nabierając poloru i nieco oświaty, wstydzi się już swych przesądów i z czasem je zapomni. Zanim światło cywilizacyi i między górami zabłyśnie, wartoby sumiennie zbadać lud górski pod względem mniemań, wyobrażeń i przesądów.

Daléj poznajemy Chochółów, gdzie przebywał organista miejscowy, taki posiadający wpływ na okoliczny górski lud, iż nietylko ten nie zmazał się czynami Żeleźniaków, Mamajów i Gontów galicyjskich, ale umiał w nim ochronić i zachować dawne uczucia rodzinne. Z Chochółowa udaje się autor do Kościeliska, gdzie poczyna się źródło Czarnego Dunajca, i tworzy prześliczną czarowną dolinę, która swą pięknnością nie ustępuje zagranicznym dolinom Alp i Apenin: dolina ta natchnęła Seweryna G., iż napisał o niej znane „Kościeliska.” Nazwa jéj pochodzić ma od kości, jakie zostały z trupów tatarskich, ze szczętem tutaj w napadzie zniesionych przez górali; podobno dziać się to miało w XIII wieku.

Z Zakrysznéj, słynnéj zakładem hutniczym, udaje się do Morskiego Oka. Droga doń jest stroma i mocno utrudzająca, to téż nie szczędzi jéj wyrzutów P. T.; lecz wrażenie przykre zaciera w nim widok ładnéj katarakty spływającéj od pięciu stawów w dolinę Rostoku. Kataraktę tę przez grzeczność do najpiękniejszych w Europie zalicza: byłaby nią rzeczywiście, gdyby większa ilość spływała w miejsce małego strumienia wody, staczającego się z kolosalnéj wysokości.

Na widok Morskiego Oka, tego prawdziwego cudu natury, nie znajduje słów autor odpowiednich wrażeniu. „Pomęczeni i drżący od zimna dochodzimy już i stajemy u celu. Boże wielki! jakizto widok: wstępujesz odrazu w ogromny obszar wody otoczonéj zewsząd prostopadłemi na trzy tysiące stóp wysokimi ścianami; wstępujesz odrazu w coś tak imponującego kolosalnością rozmiarów, że w pierwszych chwilach wcale nie pojmujesz, czy jesteś nad ziemią czy pogrążony w jéj otchłaniach.”

I nie dziwimy się zachwytowi autora, niéma bowiem słów dosyć na odmalowanie wielkości natury, jawiącéj się w cudotwórném Morskiem Oku: powtórzmy tu tylko słowa jednego z poetów, które słyszeliśmy na miejscu. „Ach! jakże tu jawi się

wielkość Boga: tu umrzeć pragnąłbym, aby dusza moja stanęła odrazu przed Jego majestatem.”

Jeziro to wyniesione na 4,200 stóp nad poziom morza, zawiera blisko 4,600 stóp okręgu, długości zaś 1,600, szerokości 500, głębokość zaś jego dochodzi do 60 sążni w niektórych miejscach. Lud mniema, że jest bezdenném, a dawniej utrzymywano, że jest złączone z morzem podziemną komunikacją. Ryby tutaj znajdować się mają niezwyklej słodkim wodom wielkości. Z południowej strony otaczają je siwo-granitowe skały, perłowo-szaréj barwy, dochodzące do wysokości 3,000 stóp; od strony północno-wschodniej piętrzą się znowu skały, pnące się do góry wysokiej. Do jeziora tego spływa woda z wyższych gór i wypływa znowu szczerbą małą. Nad rzeczką tą ku wygodzie podróżnym stoi szałas, a koło niego krzyż postawiony przez Grz. Cieglera biskupa tarnow. z napisem:

*Hic non plus ultra, non super
nisi in cruce D. I. Christi 1823.*

W opisie Czarnego Stawu i Pięciu Stawów znajdujemy niedokładności, i kładzie je niżej autor przez pomyłkę tysiąc kilkaset stóp, gdy tymczasem o tęż samą wysokość są wyżej nad Morskiem Okiem. Po zwiedzeniu powtórném Kościeliskiej doliny, autor wprowadza rozmowę z góraliem strzelcem, który błędne rzuca zdanie o usposobieniu górali, czyniąc ich zdolnemi w czasie ruchów wojennych do rozbojów i łupieztwa. Niedaleka przeszłość w inném świetle wykazała charakter i usposobienie ludu górskiego: cechą jego jest łagodność, głęboka wiara i poszanowanie dla religii, i przestawanie na małym: byle tylko wśród gór swoich i werchów.

Najwięcej charakterystyczną jest wycieczka ostatnia, jaką autor przedsięwzięje na Węgry do Kesmarku, wśród której różne przygody go spotykają: poznajemy tu urzędnika, jurassora, który potocznie tnie przemowy, a potem wychylając za zdrowie gości kielich wybornego węgryzyna, zaprasza na swą gościnną ziemię w imieniu szlachty komitatu: zapoznajem się tu z sędzią komitatu, z sądem komitackim. Wszystko to są czyste węgierskie obrazki i postacie. Smutny tylko spotykamy opis węgierskich wiosek, które przez dzierżawców do ostatniej nędzy przywiedzone bywają, a dzierżawcami w wielkiej ilości bywają żydzi pod imieniem administratorów, jak się to i gdzieindziej wydarza. Wszakże i tam znajdują się panowie i dzierżawcy, którzy

czułem i baczniemi bywają na dobro swych poddanych, jak tego nam daje autor przykład, opisując wieś jedną należącą do hr. Paczaja (magnata węgierskiego, właściciela dóbr na pięciu milach kwadratowych, mimo to ostatkiem goniącego), gdzie włościanie przyjęli z zupełną oziębłością ogłoszenie patentu nadającego im uwłaszczenie, dopóki im tego własny pan czyli raczej dzierżawca nie powtórzył i nie oświadczył, że przez to nie są uwolnieni od zaległych dni pańskich, które do kilkunastu tysięcy dochodziły: wtedy dopiero się uspokoili, widząc że jeszcze stosunki ich z dobrym panem nie są zerwane.

Z Nielzicy, gdzie sąd się odbywał, udaje się autor do Podoleńca: znajdujemy tu szczegółowy opis miasta i jego szkół przez księży Pijarów utrzymywanych, a które szczególnie dawniej przez młodzież z Galicyi licznie uczęszczane były. W refektarzu pijarskim znajdują się pięknego pędzla portrety królów naszych, mianowicie też Batorego, Wazów trzech, Michała Korybuta i Jana III; wreszcie tak w Podoleńcu jak i całym Spiskiem znajduje się mnóstwo pamiątek i śladów panowania królów polskich: dziwić się temu nie będziemy, gdy przypomnimy sobie, że Spiskie tylko na kilka lat przed częścią Małopolski, Czerwoną Rusi i Podola, zwaną później i teraz Galicyą, od Polski oderwane zostało.

Ładny jest ustęp o chorym baronie węgierskim, jego leczenie przez p. Tripplina i historia osób otaczających, dziwaka magnata węgierskiego; lecz gorszy się ogromnie p. Tripplin widokiem rozwolnionych obyczajów w dziewczętach wiejskich z okolic Szmeks, sławnego miejsca wodą mineralną i kąpielami.

Podróż z Kesmarku w towarzystwie węgierskim i dwóch Polaków na szczyt Łomnicy odbyta, jest prześlicznie opowiedziana; rozmowy żywo i interesująco prowadzone, i tu jak i w całej pracy błyska niezaprzeczonego humor autora, którym umie przystroić monotoność, jaka każdemu opowiadaniu podróży towarzyszyć musi, i czytelnik uczuwa całą wdzięczność nie tylko za obznajmienie go z najpiękniejszymi okolicami kraju naszego i części sąsiedniego, ale za miłe spędzenie w towarzystwie autora kilku godzin. Autor bowiem zapominając swojej Hiszpanii, Anglii i Szwecyi i innych podróży, wciela się w miejscowość którą zwiedza, charakteryzuje ją wybornie, i zdejmują z niej tak typ odbijający się w naturze, jako też i mieszkańcach, których mówiących własnym językiem przed nas wprowadza. Metoda opisywania podróży w sposób jak

autor dokonał, jest bardzo trafna i odpowiednia celowi, gdzie czytelnik nie widząc w nim ani suchego geografę, ani nudnego pedagoga i zabawić się i nauczyć może przyjemnie. Życzyć tylko sobie możemy, aby autor w opisach to podawał, co sam naocznie widział, lub czego daty dokładne posiada, i aby nam i inne strony kraju naszego opisać zechciał swém rzeźwém i piękném piórem, bez tych monottonnych jeremiad na postęp cywilizacyi, jakie w innych zkądinąd dobrych opisach podróży do zbytku znajdujemy.

Kazimierz Kalinka.

Zapiski o południowej Rusi (Записки о Южной Руси).

Pod tym tytułem p. P. Kulisz wydał w Petersburgu przeszłego 1856 roku książkę żywo interesującą każdego badacza i miłośnika rzeczy ludowych. Książka ta acz napisana w języku wielkoruskim, treścią swą jednak należy i do polskiej literatury, jako zapoznająca bliżej z wielu dotąd nieznanemi szczegółami dotyczącemi obu Ukrain, będących niegdyś dzielnicą polską; a to tém bardziej, iż p. Kulisz w poglądzie swym na rzeczy Ukrainne obrawszy stanowisko opowiadacza raczej szczegółów życia niektórych starych piewców i bajarzy Ukrainy, niż dzieje téj okolicy, potrafił zachować całą gorącą miłość swego przedmiotu, swój rodzinnój ziemi z jój pieśniami, podaniami i zabytkami, a razem uniknąć stronności tak powszedniej i zwyczajnej zarówno u polskich jak i u rosyjskich badaczy przeszłości Ukrainy, czyli jak p. Kulisz nazywa, południowej Rusi.

Czytelnik książki p. Kulisza bardzo mało znajdzie w niój elementu podsycającego niechęci jednéj lub drugiéj strony, ale znajdzie za to na każdéj karcie, w każdym niemal wierszu prawdę tak jasną, tak owianą poetycznym duchem okolicy, tak wreszcie zręcznie opowiedzianą, że mimowoli przyznać musi p. Kuliszowi pierwszeństwo przed wszystkiemi opracowującemi przedmiot jego książki, tak w polskiej jak i w rosyjskiej literaturze.

Aby sprawozdanie z pomienionéj książki było dokładném, potrzeba naprzód rzucić okiem choćby pobieżnie na wszystko, co przed p. Kuliszem dla poznania Ukrainy zrobiono.

W polskiej literaturze Ukrainą zwykliśmy nazywać to, co w literaturze rosyjskiej zowią południową Rusią, to jest krainę od Kijowa ku porohom Dnieprowym, po obu stronach téj rzeki leżącą; krainę w podziałowych nazwach dawniej mianowaną zaporozkimi posiadłościami, polską Ukrainą i Hetmańszczyzną, noszącą dziś nazwę Małorossyi.

Dla rozjaśnienia i poznania dziejów téj krainy z tradycją, językiem, zabytkami i obyczajami ludu ją zamieszkującego, główne położyli fundamenta Zoryan Chodakowski i Bantysz Kamiński: pierwszy zebraniem wielu dum i pieśni ludowych, jakie potem przeszły na własność p. Maksymowicza, który je w części po kilkakroć wydał; drugi nie tak historją Małorossyi napisaną bez krytyki i prawie dorywczo, ale przypiskami do niej, mającemi wielkiej wagi znaczenie.

Po tych dwóch pracownikach pojawili się inni wielkich zdolności i talentów pisarskich poeci, historycy i powieściopisarze, jak: Kotlarzewski, Bohdan Zaleski, Goszczyński, Malczeski, Gogol, Marliński, Tarsza czyli M. Gr. Hrebenka, Oslowianenko, Markiewicz, Skalkowski, Maksymowicz, Srezniewski, Metliński, Nowosielski, Rulikowski, Pol, Zenon Fisz i t. d. Wszyscy ci pisarze jedni w swe utwory tchnęli poetyczny duch Ukrainy, drudzy wykazali podatność ukraińskiego języka, inni opisali malownicze okolice i miejscowe zwyczaje, inni nagromadzili dum, pieśni i skazek, zachowując je od zatracenia, inni nakoniec przejrzeni archiwa rządowe i prywatne, oddając owoce swych poszukiwań do skarbcu materyałów dla przyszłych historyków i poetów: jednem słowem zrobiono już jeżeli niezbyt wiele, to przynajmniej tyle, ile było można i dało się zrobić. Cały atoli zastęp tych różnie zdolnych pisarzy i badaczy przeszłości Ukrainy, wraz ze wszystkimi ich naśladowcami, rozdzielając się na dwa szeregi, które nazwę polskim i rosyjskim, miał wspólne dwa defekta, mniej więcej jasno się przebijające w każdym utworze i pracy. Defektami temi są: namiętna nieraz stronnicość swych przekonań, i fałszywy a często lekceważący pogląd na główną rzecz obrabianego przedmiotu, to jest na lud ukraiński. Jakoż gdy pisarze polscy studyją Ukrainę ze stanowiska szlachecko-ukraińskiego, nie mogą dość wyrazić niechęci swych i wstrętu do tego ludu, który nie oceniając szczęścia być poddanemi chłopami polskiej szlachty, burzy się i wicherzy w obronie swych wolności; pisarze zaś rosyjscy rysując najpotworniejsze obrazki śmieszności i głupoty z obyczajów

i języka swych Małorossyan, nie mogą znaleźć wyrazów na oddanie heroizmu głównych przewódców w kozackich wojnach z Polską, tworząc bohaterów i męczenników za wiarę nie tylko z nich, ale i z watażków téj myśliwskiej drużyny, coto czając się po lasach i rozdrożach polowali na wilka wołającego w chwili ugodzenia go kulą: „Jezus Marya,” albo na lisa krzyczącego: „by wey,” na widok takich myśliwych.

P. Kulisz, jak to widać z całej jego książki, przetrawiwszy w sobie te wszystkie względy i dostrzegłszy, iż badacze przeszłości Ukrainy rozdzielając się polem pracy, zostawiali odłogiem żagony raz tylko tknięty ręką autobiografa Zaporozca Korża, stanął na niem z swym pługiem. Mówię tu o ludziach, których kalectwo i niedołęztwo ciała stawiając na najniższym szczeblu społeczeństwa, wyгнаły w świat bez przytułku na żebractwo, których jednak w samém poniżeniu i poniewierce nie zapomniała mądra Opatrzność, obierając ich za skład i jakby za żyjące archiwum tego wszystkiego, czém była przeszłość rodzinnej ich ziemi. W istocie obie nasze literatury mają już dość znaczne zbiory dum, pieśni, skazek i podań ludu ukraińskiego: wiemy, iż niektóre z nich spisane zostały z prawej lub z lewej strony Dniepru, od lirnika nazywanego się Korniy lub Artem, ale z kąd oni je wzięli? dlaczego Korniy nie śpiewa dum Artemowych, a Artem nic nie słyszało tém co Piotr opowiada? Czemu lirników, bandurzystów i prostych opowiadaczy lud słuchając z upragnieniem, zbyt często słów pieśni a nawet opowiadania nie spamięta? Na to nigdyśmy dotąd nie zwracali uwagi, a przecież przeglądając jakiegokolwiek archiwum, wprzód nim przystąpimy do przeglądu akt, staramy się upewnić, iż są autentyczne. Ślepi żebracy, piewcy Ukrainy, są właśnie jakby archiwum przeszłości ukraińskiej, ale i do tego archiwum wcisnęło się wiele apokryfów; niewtajemniczonemu poznać je nader jest trudno. Probierczym kamieniem na nie jest coś nakształt osobnego zmysłu. „Stary lirnik, mówił mi z nich jeden, węchem odróżni prawdę od nieprawdy w pieśni;” I w istocie bardzo wiele razy ja sam miałem zręczność przekonania się, że domyślność czy poczucie, czy nie wiem nawet jak to nazwać, w dawnym piewcy nigdy go nie myliła w nazwaniu śpiewanej przed nim pieśni „dawną lub nową.” Przed kilku lirnikami chcąc ich dla siebie zjednać, śpiewałem nieraz między innymi dumę o księciu Romanie albo śpiewki Padury i ks. Komarnickiego; ale słuchający lirnik natychmiast się uśmiechał, mówiąc: „se pisnia nowoho

składu," gdy przeciwnie pieśni jakich się nauczyłem od innych lirników albo nawet i od ludu, słuchał z uwagą i nieraz musiałem go jej nauczyć jeśli mu była nieznaną. Owoż dać poznać miłośnikom rzeczy ludowych choćby ostatki dogaszające tego chodzącego archiwum, podjął się p. Kulisz.

Po krótkim wstępie podzielonym na paragrafy: „o celu i znaczeniu książki,” „o tłumaczeniu małowrossyjskich dum i pieśni,” „o małowrossyjskiej ortografii:” podaje następnie spis przedmiotów w książce objętych. Oto z nich niektóre: „Dawnych i terażniejszych czasów żebracy piewcy,” „Żebracy wśród małowrossyjskiego ludu zajmują pierwsze miejsce w rozwinięciu poetycznych i filozoficznych pojęć.” „Dumy ocalały tylko po lewej stronie Dniepru, co się objaśnia nie samymi wypadkami koliszczyzny, ale i przesiedleniem się ludu z prawej na lewą stronę Dniepru.” „Osiedlenie prawej strony Dniepru staraniem polskich panów,” „Dumy zapomniane zamieniają się niekiedy w proste opowiadanie,” „Wspomnienia ludowe o odległej starożytności kijowskiej,” „Historyczne pieśni składowane były nie ze wspomnień o dawnych czasach, ale z wydarzeń tylko co spełnionych.” „Twórcami historycznych dum byli nie żebracy, lecz świadkowie obecni opiewanym wydarzeniom.” „Epos w wielkiem był zachowaniu w książęcej a potem w kozaczęj Rusi,” „Dumy jassyrskie złożone zostały przez samych niewolników.” „Sam lud jest najlepszym swoim historyografem,” i t. d., tak że chcąc wszystko ciekawe i interesujące w tej książce streścić, potrzebaby cały rzeczony spis przedmiotów przepisać. Każda myśl tym spisem objęta, w samej książce jest jasno, treściwie, z oparciem się na pewnych danych opowiedziana, a danymi temi są: życiorysy i opowiadania żebraków, starców i piewców, z którymi p. Kulisz zapoznaje czytelnika w niezmiernie interesujący sposób. Oto imienny spis tych ciekawych bajarzy i pieśniarzy:

1. Kobziarz Archyp Nikonenko-Orzyckiy.
2. Kobziarz Archyp Szut-Aleksandrowski.
3. Opowiadacz Semen Jurczenko-Martynowski.
4. Lirnik Dmytro Pohoriły Zwinogrodzki.
5. Opowiadacz Kondrat Taranucha Smilański.
6. Opowiadacz Wasyl Sudenko Czerkaski.
7. Opowiadacz Charko Cechmyster Czerkaski.
8. Opowiadacz Omelko Kapłouły Subotowski.

Opowieści, dumy i pieśni zebrane od tych starców są treścią książki p. Kulisza, znaczenie zaś ich historyczne chcąc pojąć, potrzeba całe przeczytać. Wnioski z tych opowiadań i treści dum rzadko bardzo pozwala sobie wyprowadzać, zostawując to dowolności czytelnika, będąc pewnym, iż jasna ich prawda w błąd nie wprowadzi; gdzie zaś zmuszony jest niejako dodać do tekstu objaśnienie i zdanie swe wypowiedzieć, robi to z staranną oględnością i bezstronnie.

Jako kilka probek tego com powiedział, przywiode na przykład opowieść p. Kulisza o dawnych i terażniejszych ślepych piewcach.

Stronnica 2-ga. „Ślepy brał zwyczajnie do siebie jakiego sierotę, i dawał mu praktyczną naukę żebractwa, to jest: cierpieć głód, znój i wszystkie niedostatki życia tułaczego, zbierać i składać grosz do grosza z wyżebranój jałmużny, jako zapas na czarną godzinę, niespotykając żadnej jasnej w swém życiu. Między ślepiemi żebrakami napotykają się ludzie z nadzwyczajną pamięcią, przechowującą bez najmniejszej zmiany mnóstwo pieśni i powieści. Dawniej między nauczycielami żebraków byli, powiadają, prawdziwi geniusze, którzy między swą bracią dochodzili wysokiego tytułu króla dziadów. Ale czasy te przeszły, ślepi piewcy oddawna już zmaleli, upodobanie ich w dumach znikło wśród ludu, zamieniając się upodobaniem w pieśniach żartobliwych, miłosnych i tym podobnych. Dawni żebracy, piewcy przyciągali do siebie ludzi nie skargami na swe ubóstwo, lecz tonem i myślą swych pieśni, jakich niezdolną była zachować pamięć człowieka zajętego pracą około potrzeb swego stanu.”

Str. 43. „Żebracy (dawni) w Ukrainie zasługują na szczególną uwagę, będąc bowiem ostatniemi w narodzie przez swe kalectwo, niedołęztwo i stan żebraczy, zajmują pierwsze miejsce jako poeci i filozofowie ludu.”

Potém na str. 45 myśl o żebrakach kończy w te słowa: „Prosty lud Małorossyi po większej części zkłopotany codziennemi trudami na chleb powszedni, stracił zdaje się i samą chęć wiedzy o czémkolwiek za obrębem dziennych nędz życia. Serce jego zadrga chyba na ton pieśni, w dniach młodości, albo w czasie wypadkowego jakiego wesela; podania atoli i zwyczaje przechodzą u niego z rodu w ród, z potrzeby i skłonności wrodzonej mu do poetyzowania. Ślepi żebracy, kalectwem wyłączeni z warunków życia rolniczego, osiadłego,

przeznaczeni niejako zostali, aby w swém zagłębieniu się w siebie, stali się składem przeszłości, z której czerpając, aby rozsiewali i wszczepiali między otaczających religijne, filozoficzne zasady, podpierając w ten sposób obyczaje jego życia i podniosłość ducha."

Wszystkie te tak proste, jasne, a pełne prawdy i życia myśli wsparł p. Kulisz w opowiadaniu biografią piewców, którzy mu te myśli z siebie lub samemi sobą podali.

Jaką p. Kulisz obrał drogę aby przejść pośredkiem uprzedzeń międzynarodowych, wskazać może kilka wierszy z jego książki zapisanych na końcu stronnicy 85, gdzie mówiąc o zasiedleniu Ukrainy przez panów polskich, kończy: „jest podanie z czasów osiedlenia smilańszczyzny, że książę Xawery Lubomirski rozkazał ogłosić po jarmarkach, iż kto przyjdzie osiedlać się na jego ziemiach z cudzą żoną i z cudzemi wołami, on go nie tylko nie wyda, ale i bronić będzie." Słowa te niech kto ciekawo porówna z opisem tego samego faktu w powiastce „Starosta Kaniowski," w której autor zdaje się nie postrzegł się, iż ten fakt jeśli istniał istotnie, nie zaś w samym podaniu jak powiada p. Kulisz, więcej bezwątpienia uwłacza pamięci panów polskich jako senatorów i stróżów prawa, niżeli biednemu ludowi, w którym jak i wszędzie wedle przysłowia: „nie było rodu bez wyrodu."

Mówiąc ze współczuciem o pracy p. Kulisza, której zalety aby wykazać, trzebaby niemal całą książkę przetłumaczyć i tu wypisać, bynajmniej nie zabaczam na jej usterki, które jednak ze są natury drażliwej, nie dla autora wprawdzie, ale dla okoliczności czasowych, przeto sądzę lepiej ich nie dotykać, a zostawić czasowi rozjaśnienie ich; dość jest tu napomknąć, że dla historii południowej Rusi, historii bezstronnej, nie namiętnej, nie przyszedł jeszcze czas. Ścierają się w niej bowiem, i nie przygasły, nie przetlały, nie spopielały dotąd trzy różne elementa, to jest rossyjski, polski i szczerokozański, od pierwszego i drugiego jak pożar stepów gaszony. Polscy pisarze o Ukrainie chcą mieć szlachtę polską usprawiedliwioną, zwalając całą winę dwu-wiekowych prawie okropności, jakich teatrem były obie Ukrainy, na lud miejscowy i butność kozacką. Pisarze znowu rossyjscy czezą pamięć tych drugich jako męczenników wielkiej sprawy za wiarę. A Ukrainiec szczerzy ogłędając się na jedną i na drugą stronę powtarza sobie w duchu:

„Bas hude skrypka hraje
Kozak mowczyt chot vse znaje”.

Otóż prawie piérwszy p. Kulisz w książce swój wystąpił jako szczery Ukrainiec, bez uprzedzeń, bez nienawiści, powodowany samą miłością prawdy, i gdy go jako pisarza rossyjskiego łączą wszystkie sympatyje z literaturą rossyjską, stara się wprowadzić w nią pojęcia o czasach panowania Polski nad Ukrainą więć z prawdą zgodne.

Ztémwszystkiém nie mogę pominąć milczeniem niektórych wyobrażeń tu i owdzie pojawiających się w studyach nad Ukrainą i kozactwem, a których błędną treść wsparł niejako w książce swój p. Kulisz: mówię tu o dwóch podaniach: 1-ém, że za panowania Polski nad Ukrainą, cerkwie prawosławnego wyznania oddawane były żydom w arędę, i 2-ém, o dziewictwie Zaporozkiém.

Co do piérwszego, powtarza p. Kulisz w swój książce dumę o żydowskich arędach i o wojnie za to, drukowaną dawniej w etnograficznym zbiorniku, w której między innymi jest kuplet o oddaniu żydom w arędę cerkwi (str. 57), a potem na str. 166 notuje podanie w tych słowach: „było kiedyś tak jeszcze przed Chmielnickim, że klucze cerkiewne były u żyda: jeżeli czego było potrzeba do cerkwi, to idź do żyda i targuj się co wezmie: otóż z tego wyszła i bieda.” Pieśń powyższą, i to podanie zostawił p. Kulisz bez słówka objaśnienia, ztąd takowe dodać jestem zmuszony, tém więć, że i ja bardzo długo w błędném byłem przekonaniu co do tego przedmiotu, i błąd ten mój był nawet w Athenaeum p. Kraszewskiego drukowanym, tymczasem rzecz się ma tak: podanie o arędowaniu żydom cerkwi znane mi było od samego prawie dzieciństwa: słyshałem je w bajkach opowiadanych od nianiek młodszego mego rodzeństwa, i później od różnych opowiadaczy młodszego pokolenia. Gdy nadszedł czas, że mogłem zastanawiać się nad treścią słyszanych skazek, myśl o oddawaniu cerkwi żydom w arędę była prawie wiarą podobną do wierzeń w upiory i strachy, jakimi nianki wychowawców swych straszą. Znalezienie dumy przywiedzionój przez p. Kulisza w druku, napomknienia o tym przedmiocie w historii Małorossyi p. Bantysza Kamińskiego, i nadzieja dostania obiecanych mi odpisów akt o tym przedmiocie napomykających, wiarę moję jeszcze więć utwierdziły; gdy jednak obiecanych odpisów nie otrzymałem, ani nie znalazłem w tój treści cokolwiek w dawnych aktach i pry-

watnych archiwach: wiara więc moja musiała się zachwiać i wziąć inny kierunek. Podanie jakie ja słyszałem, równie jak i przywiedziona przez p. Kulisza дума nie oznacza miejsca i czasu, w których oddawanie dochodów cerkiewnych żydom w arędę byćby mogło, dopiero przytoczone wyżej u p. Kulisza podanie czas ten przed Chmielnickim oznacza. Ale ponieważ wiadome są dziejom wszystkie skargi i zażalenia Chmielnickiego przeciw szlachcie polskiej i łacinnikom, a obejmują one mnóstwo szczegółów daleko mniej znaczących jak przedmiot, o którym się tu mówi, bez wątpienia więc, gdyby arędy żydowskie dochodów cerkiewnych miały miejsce przed Chmielnickim, zajmowałyby one pewno pierwsze miejsce w jego skargach i pretensjach; że jednak o tém wzmianki w nich niema, prosta rzecz, że fakt podobny ani przed, ani przy Chmielnickim nie istniał. To samo powiedzieć można i o czasach późniejszych aż do rzezi Umańskiej, po której akta sądowe o hajdamakach nie zostawiły śladu, co byćby musiało jeśliby sążeni hajdamacy na inkwizycjach zeznawali, iż powodem jednym więcej ich buntów były arędy żydowskie nad cerkwiami. Samo nawet duchowieństwo prawosławne w pozostawionych przez siebie z różnych czasów kronikach, pamiętnikach i zapiskach, nigdzie o tém nie napomina, co byłoby niepodobieństwem jeśliby fakt istniał; nakoniec czasy po rzezi Umańskiej zbyt są niedalekie, aby fakt tak skandaliczny uszedł bez śladu. Poszukiwania moje w tym przedmiocie naprowadziły mię na ślady innego sposobu, jakiego panowie polscy łącznie z duchowieństwem łacińskim używali do propagowania na Rusi rzymskiego wyznania i unii: sposób ten zależał w nadawaniu łacińskim klasztorom i plebanom „jus patronatum”, czyli prawa prezentowania parochów do okolicznych cerkwi. Takie jus patronatum, ile mi wiadomo, miał klasztor Lachowiecki XX. Dominikanów na Wołyniu i kościół Fastowski w Kijowskiem.

2. Co do dziewictwa Zaporozkiego; napomknienia, jakie o tém gdzieniegdzie się spotykają, naprzykład w pieśni opowiadającej jak Zaporozce wzięli wronę za kobietę, a koszowy nawet przyznał się, iż był z nią ożeniony; uważaćby można za ślady istnienia ślubu czystości na Zaporozu, podobnie jak się to dzieje w zgromadzeniach duchownych. Tak nie było: dziewictwo czyli obowiązek czystości zaporozkiej leżał na Zaporozcu tak długo tylko, dopóki się znajdował w dzielnicach

posiadłości zaporozkich, gdzie pod karą śmierci kobieta nie mogła się znajdować; skoro zaś przestąpił miedze siczowe, mógł hulać ile się mu podobało z kobietami bez innej odpowiedzialności jak przed Bogiem, przed mężem lub przed rodziną ulubioną. Wszakże nie rzadko byli między zaporozcami i tacy, którzy albo całe życie, albo przynajmniej tak długo jak zostawali w registrach siczy nie znali kobiety. Znałem kilku zaporozców z ostatnich czasów siczy, między innymi Hryhora Wuża, który od dzieciństwa wychowany na siczy, młodym był bardzo w ostatniej jej godzinie; przeszedł on z bracią za Dunaj, z kąd kiedy i jak powrócił, nigdy nie mówił. Poznałem go w 1829 roku jako zawołanego rybaka, mieszkającego samotnie w skleconym przez siebie kureniu w oczeretach nad brzegiem Sobu między wsią Kalnikiem i miasteczkiem Daszowem. Liczył sobie lat przeszło ośmdziesiąt, był jednak zdrow, silny i czerstwy, wyglądał daleko młodziej, a wzrost miał olbrzymi. Starzec ten chociaż między ludem kalnickim uchodził za czarownika i znachora, był bardzo pobożnym; małomowny, zamknięty w sobie, żył samotnie z rybołówstwa, za które płacił do skarbu Daszowskiego czynszu złotych pięć, obowiązując się nie łowić ryb niczem więcej jak wędką. Wuż wśród samotnych moich z nim gawęd, jakie kiedyś osobno zbiorę, zaręczał mi, że kobietę od mężczyzny odróżnia tylko „po neszytych sztanach” (po nieszytych szarawarach). Inny zabytek zaporozca poznałem w roku 1839 w Lipowcu gub. kijowskiej: było szlachcic z konfederacyi barskiej, nazywał się Piotr Kmita; nazwisko to jak sam opowiadał przerobione u konfederatów z nazwiska Kmety, jakie nosił na Zaporozu. Kmita czyli Kmet liczył sobie przeszło lat sto, pamięć miał bardzo słabą, wszakże z długiego i burzliwego życia wiele szczegółów, jakie mu niby skamieniały w pamięci, umiał opowiedzieć. Zrósł on na Zaporozu, z kąd po długim bojowaniu przeszedł do konfederacyi barskiej, z której pamiętał księdza Marka dlatego, że on go do kościoła rzymskiego nawrócił. Po rozwiązaniu konfederacyi ożenił się i zamieszkał na Ukrainie, miejsc jednak, w których przebywał równie jak i imion żony i córki, także nazwiska zięcia swego nie pamiętał, chociaż się do tego nie przyznawał i ciągle sobie chciał przypomnieć. W roku 1839 mieszkał w okolicy Lipowca przy swój wnuczce Lewandowskiej; zaręczał mi, że do samego ożenienia się nie znał kobiety; zapytany czy wszyscy zaporozce byli tak skromni? odpowiedział: „Na siczy gom, tak,” miał przysłowie gom, które

co wyraz prawie powtarzał, „ale za siczą to byli hultaje jak ogiery.” Powiedziawszy to sam śmiał się; zapytałem go znowu jakim sposobem nie został podobny innym? Odpowiedział: „byłem w siczy, tym... tym... nie pamiętał nazwy swego urzędu, chociaż mu je wszystkie znane mi przypominałem—a do lat 30 nie mogłem się na krok wydalić, więc i nie nawykłem do hultajstwa, choć nieraz słysząc innych przechwałki i pieśni lichy i mnie korciło, ale potem jak przystałem do konfederacyi, to już czasu nie było, bo człowiek albo się bił, albo się lizał z ran, a tego było kilka razy.”

Raz zapytałem Kmetę czy nie pamięta którego ze swych wodzów zaporozkich lub konfederackich: wymienił mi Mazepę. Zapominasz dziaduniu, powiedziałem, jeszcześ nie mógł żyć kiedy Mazepa umarł. „Ot co wy wiecie, odrzekł z mocą, jakby istotnie był przekonany, że mówi prawdę. Mazepa nie umarł aż po ruinie siczy, bo przez niego to i sicz zrujnowano, a on w niej nie był, tylko żył w stepie i uczył łoburów (lirników), grać, to śpiewać, a potem rozsyłał ich na cały świat, aby o nim śpiewali, ale się już nie nazywał Mazepą tylko *Bondar*; onto i mnie do konfederacyi wyprawił.” Śpierać się ze starym nie było co, zwłaszcza, że podanie o Mazepie, iż żył gdzieś w stepach bardzo długo pod nazwiskiem Bondara, słyszałem już po kilka-kroć przedtém.

Erazm Łopolski.

CZAS, DODATEK MIESIĘCZNY, marzec 1857 miesiąci:

- 1) Ciąg dalszy Ignacego Domejki cztero miesięczną podróż z Paryża do Chili w roku 1838.
- 2) *Negocyacye ze Szwecyą o pokój 1651—1653, także ciąg dalszy.*
- 3) *Wiadomości numizmatyczne* T. Żebrowskiego, podają nam opis 32 monet tak nieznanych, jak znanych, ale albo niedokładnie opisanych, lub z pewnemi zmianami odkrytych.
- 4) *Gimnastyka języka.* Autor p. ĩ. Leksikiewicz, w sposobie bardzo oryginalnym przedstawia tę gimnastykę, bo podaje nam ją wiérsem. W jakim celu redakcyja utwor ten umieściła, nie pojmujemy: zapewne musiała mieć swoje powody, których nam trudno odgadnąć; sądzymy wszakże, że pismo tak poważne, powinno unikać tego rodzaju zagadkowych dla ogółu artykułów.
- 5) *Wyprawa do Arabii po konie (zdarzenie prawdziwe), należy*

do opowieści napiętnowanych wyższym talentem, i prawdziwie artystycznym obrobieniem. Mało mamy w naszej literaturze utworów, któreby obok tak udatnej *wyprawy* postawić można. Juliusz hr. Dzieduszycki obywatel z Podola galicyjskiego, w towarzystwie dwóch swoich kozaków: Mykoły i Hrycia, wyjeżdża do Arabii i sprowadza ogiery i klacze w celu utworzenia rasy polsko-arabskich koni. To jest treść ogólna: chciawszy podać choć w części piękność tego utworu, potrzebaby albo wielkie dawać ustępy z niego, lub coby najlepiej dało wyobrażenie dokładne, cały co dosłownie przedrukować. Nie należąc wszakże do piratów literackich, których niemały kontyngens daje nam cech księgarzy warszawskich, krakowskich, petersburskich i lwowskich: poprzestajemy na tej krótkiej wzmiance, zalecając każdemu odczytanie tej *wyprawy*. Rzecz warta przedruku w osobnej książce: autor występuje pod przybranym pseudonymem wcale niepotrzebnie, bo kto tak włada piórem, uszczerbku swemu imieniowi nie zada, a zanadto już wiele mamy pseudonymów.

Lucyan Siemieński w przeglądzie piśmiennictwa zwraca głównie uwagę na *pamiętniki*, które teraz gęsto się przejawiają w literaturze naszej, i obszerny rozbiór poświęca *pamiętnikom Ewy Felińskiej*, ogłoszonym niedawno w Wilnie. Co do tego rodzaju pism, sprawiedliwie uważa, że się zakradły u nas już nadużycia. „Weźmy między innemi (pisze) pamiętnikową formę, która nabyła u nas pewnej wziętości, takim *Paskiem* lub *Kitowiczem*, i zaraz znaleźli się zręczni pisarze, co pod tę formę podszyli skrzydłem swojej wyobraźni zmiecione różne pyłki historyczne nieprzystające do siebie, a często fałszywego pochodzenia, lub sfalszowane umyślnie. Jeżeli im brakło wątku i imaginacji do osnucia zajmującej powieści, nadawali jej dyaryuszową formę bardzo swobodną, bo fragmentaryczną. Szczególniej z czasów konfederacji barskiej i późniejszych, narodziło się co niemiara takich pofalszowanych pamiętników, w których ze najczęściej występują osoby bardzo podrzędne, nie figurujące na większej scenie dziejowej, więc niepodobna kontrolować je: potem tylko można poznać ich apokryficzność, że się same zdradzają anachronicznemi sentencjami i pojęciami. Takie igraszki pióra nie miałyby zresztą nic zdrożnego, gdyby nie bałamuciły wyobrażeń i faktów historycznych, dotąd niedość ściśle i wytrawnie zbadanych, tém bardziej, że podobne pamiętniki układane bywają przez dzisiejszych pisarzy z jakich nieforemnych i dorywczych notatek, albo z opowiadań pochodzących z mętnych źródeł, jak tego mieliśmy

przykład w różnych urywkowych pismach i wzmiankach rehabilitujących związek targowicki. Nie powiadam do tego, aby i Targowiczanie nie miał co powiedzieć na swoje usprawiedliwienie się, jeżeliby pismo takie wyszło z pod pióra jednego lub drugiego matadora związku, lecz pamiętnik jakiego poplecznika, obskuruśsa, co mógł być tylko posłusznym narzędziem, niewiele wyświecić potrafi, a jeszcze mniej warto na jego zdaniu polegać, chyba że ma komu posłużyć za obronny szaniec. Zresztą zdaje mi się, że aby pisać pamiętniki, coby miały powagę historyczną, potrzeba znaleźć się w pewnych niezwykłych warunkach. Mógł je pisać książę Saint-Simon na wysokim stanowisku u dworu, przy nadzwyczajnie rozległych stosunkach i znajomościach, mógł Tallemant de Reaux echo opinii mieszczańskich, zawistnie śledzącej każdy krok arystokracji, mógł Cezar, Żółkiewski, Jakób Sobieski hetmający wyprawom, mógł awanturniczy Pasek i skrętnie gromadzący fakta i pogłoski Kitowicz; mogło tylu jeszcze stojących dość wysoko, aby ogarniać szersze widokreśli i rozumieć działające sprężyny: ale historii robionej przez zaściankowe figury, obracające się w kółku powiatowym, a przynajmniej z powiatowemi wyobrażeniami, uważam raczej za niepotrzebne rupiecie, jak za poehodnią mającą rzucić światło prawdy na ludzi i wypadki: tém bardziej, gdy liczne a przywiązane do chwili konieczności, którym muszą ulegać publikacye podobnych pamiętników, sprawiają, że każda drażliwsza prawda bywa w nich usunięta, lub tak osłabioną omówieniem, że jeżeli nie czcza gadanina zostaje za całą korzyść, to korzyść ta bywa bardzo nikła. Służy ona najczęściej za materiał dla pisarzy powieści nie mających dość fantazyi, aby wynaleźć, ani dość talentu aby obserwować to, co ich otacza, i na co patrzą.

Niewielkiej także powagi pod względem prawdy i rozumnego ocenienia wszelkich ruchów wojennych, używają niektóre pamiętniki i wspomnienia z napoleońskich i innych kompanij, pisane częstokroć przez niższego stopnia oficerów, a nawet prostych żołnierzy. Małoznaczne zdarzenia na kwaterach lub w marszu, drobne epizody utarczek posterunkowych, mogą być oddane z humorem, dowcipem i ciekawość nastrojać jak dobra powieść, ale ta przyjemność okupowaną bywa najczęściej wielkimi bredniami co do rzeczy ważniejszych. Przypominam sobie, jak przed kilką laty, kiedy w Atheneum wyszły pamiętniki szefa Drzewieckiego, czytałem je pewnemu generałowi: słuchał ciekawie, lecz w tych ustępach co o legionach włoskich mówiły, często jak lew

grzywą wstrząsał białym włosem i przerywał: nie prawda! to nie tak było! on tam nie był! I komentował każdy fakt z tą pamięcią i prawdą, której nigdy nie zawodził: bo nie znałem człowieka co-by ją więcej jak on miłował, co-by mniej chluby szukał z życia tyłu chlubnemi zapisanego dzieły. Jakoż pomimo wspomnień mogących obudzić zazdrość w niejednym hetmanie, na kilka lat przed śmiercią spalił swoje pamiętniki, ten czysty materyał prawdy do historii legionów i wojny hiszpańskiej.”

Jeżeli się możemy zgodzić z L. Siemieńskim co do bezużyteczności fabrykacji pamiętników z czasów Rzplitej i konfederacji barskiej: nie godzimy się bynajmniej na jego zdanie, co do wskazywania, kto mógł pisać pamiętniki. Po większej części zabytki tego rodzaju ukryte są jeszcze w ręku rodzin w rękopismach: wiele już z nich poznano, i z nich właśnie nabieramy wcale innego przekonania. Autor powiada, że mógł pisać *Pasek*, my powiemy byłyby ważniejsze pamiętniki Stefana Czarnieckiego, trzymając się założenia L. Siemieńskiego; tylko zachodzi pytanie, czy miałyby równą wartość, i czy bohater ten, małomówny, potrafiłby dać nam tyle barwy owoczesnej, i rozwinąć taki talent opowieści jak *Pasek*? Pamiętników szefa Drzewieckiego, tak lekceważyć nie możemy: mogą być uczybienia i błędy, ale wieleż tam drogocennych dla nas wiadomości, na których polegać możemy, przekonani o prawości charakteru zacnego ich autora.

Żałujemy utraty pamiętników wspomnianego wyżej generała, ale i te nie byłyby zupełne, jak to zapewnia autor. Bo co do historii legiów włoskich, mamy *czysty materyał prawdy* w ich historii skreślonej przez Henryka Dąbrowskiego, który stał wówczas na ich czele. Napomykamy tu tylko o tém, aby zwrócić uwagę szanownego autora na sąd mylny: wkrótce w naszym piśmie podamy obszerną rozprawę o tych pamiętnikach, które dotąd odkryto, i tam znajdzie się lepiej rozjaśniony ten przedmiot. My ceniąc wysoko zdanie takiego pisarza jak Lucyan Siemieński, nie mogliśmy nie zaprotestować przeciw mylnemu zdaniu jego.

W zamknięciu swój rozprawy, znajdujemy odpowiedź na artykuł umieszczony w naszym piśmie w zeszycie marcowym Bartłomieja Podgórskiego o *tragedyi i traicznosci*, który w całości podajemy.

„Nie ruszałbym tego zagajenia, gdyby w mniej przyzwoitym tonie było prowadzone; lecz że autor ma na względzie rzecz samą, a nie schodzi ze sfery wyobrażeń literackich, w których nie brak mu na sposobach a nawet sposobikach trzymania się, przeto

winiem mu krótkie objaśnienie, osobliwie tam, gdzie mnie nie raczył zrozumieć. Niepotrzebnie p. B. Podgórski przypisuje mi (używając mego wyrażenia się) *dogmatyczne skostnienie*, z powodu, że starożytną tragedją stawiam jako wzór niepożyty, a raczej przewodnik w sztuce tworzenia: wziął to bowiem za ślepe naśladownictwo, za jakąś formułkę matematyczną, com ja uważał za szczyt artyststwa w oddaniu tych pojęć i uczuć jakie owym wiekom służyły. Ukazać bowiem piszącym wzór, aby do niego dociągali w płodach swoich, nie jest żadnym krępowaniem twórczości, ale poprostu skłonieniem ich do zgłębienia téj sztuki, której nieśmiertelna doskonałość tém się najlepiej tłumaczy, że wszyscy ci pisarze, co się w nią z miłością wpatrzyli, co jój tajemnice odgadli, najjaśniej zaświecili w krainie myśli i fantazyi. Z téj miary twierdzenie jego „że starożytność religijnie przestrzegana trzymałaby naszą myśl jak w ramkach, na uwiązaniu przy sobie dla form zużytych z pojęciami swemi,” i że w tych warunkach „nigdy nie mielibyśmy Danta i Goethego” służy niby za jasny dowód, iż ci mistrze ślepo nie naśladowali Greków i Rzymian, ale o tém zapomniał, czy nie chciał wiedzieć, ile potrażeń duchowych winien Dant Wirgilemu a Goethe Grekom, których zgłębieniu winien całe mistrzostwo swoje. Jak malarstwo i rzeźba ma swoje wzory, będące kodeksem sztuki, tak je ma i poezya. I największe geniusze nie tworzą z niczego, tylko się obracają tam, gdzie ich geniusz umiał dopatrzeć największe bogactwo doskonałości umniczej. Szekspir z inném wykształceniem nie byłby nie stracił na przyrodzonym geniuszu, a byłby zyskał na mierze i harmonii: chaotyczne żywioły fantazyi mogą zdumiewać swoim dzikim ogromem, ale nie budzą tego upojenia i lubości doznawanéj, a niewysłowionéj, na widok wzorów pięknoty, co wielką treść w najdoskonalszych wyraziły kształtach. Nie wątpię, iż wszystko to jest znane p. B. Podgórskiemu, przeto dziwi mię to jego podąsanie się na Greków. Przypuszczam nawet, że go mogą również jak mnie razić traiczne klejonki dzisiejszych pisarzy, i dlatego dziwię się jeszcze bardziej jego wystąpieniu przeciw tym wzorom, które mistrzować nie przestaną każdemu wiekowi, dobijającemu się o wysokie stanowisko na obszarach literatury. Sztuka, jeżeli ma nosić to miano, potrzebuje nie samych dorywczych natchnień, ale i umiejętności głębszej w oddaniu ich czy pismem, czy pędzlem, czy dłutem. Zresztą nie była tam mowa o samodzielnym geniuszach, bo dla nich krytyka dróg nie wyznacza, tylko one wskazują jój drogi,

ale o tych, co przegryzają wzory bardzo przechodniejsz natury, lub takie, co dla ducha naszego narodu stokroć obciejsze są niż starożytność hellenska. Inne wycieczki pomijam: nie mając bynajmniej zamiaru wznawiać walki między starożytnymi a nowożytnymi przypominającej czasy Perraulta: szło mi tylko o wytłumaczenie się, żem był niewłaściwie rozumianym, i że polecenie moje studyów starożytnych tak potrzebnych mnożącej się masie literatów wyzwolonych od wszelkich studyów i pysznie gardzących radą Horacego:

*Vos exemplaria graeca
Nocturna versate manu versate diurna.*

nie ma w sobie nic tak bardzo zdroźnego, aby p. Bartłomieja pobudzać do częstego sykania (sic); co zaś do jego uwag w obronie języka, dziwię się bardzo jak w postępowości swojej, nieuznającej nawet wzorów greckich, zapomina, że nowe wyrazy są tylko narzędziem, które pisarz sobie dobiera, aby lepiej i dosadniej myśl jego oddały. Używałem nieraz tego narzędzia; a że mi nie źle służyło dowiodłbym snadno, gdybym chciał szukać chluby z licznych zwrotów i wyrażeń wprowadzonych przezemnie a dziś przeszłych na własność wielu piszących."

Mauryczego Manna: „*Jeszcze jedna kwestya;*” *Kronika* obejmująca korespondencye z Krakowa, Lwowa, Wiednia, Berlina, Paryża, Rzymu, Londynu, Warszawy, i *Gazetka Literacka* zamykają ten zeszyt.

Poezye Wincentego Pola. Nowe poprawne i powiększone wydanie. Tomów cztery. Nakładem autora. W Wiedniu. W drukarni Uniwersyt. L. K. Zamarskiego. 1857. W 8ce.

Wydanie to obejmuje znakomitsze utwory ulubionego poety. Wyliczymy je szczegółowo, i wykażemy różnice od znanych edycji.

Tom piérwszy zawiera: Famiętniki JM. pana B. Winnickiego. W trzech częściach. Pod ten ogólny nadpis, wydawca podciągnął: 1) Przygody młodości w podróży z Krakowca do Nieświeża i powrót w dom rodzicielski. Gawęda, już w czwartém wydaniu. 2) Senatorska zgoda. Część 2. Tradycya Szlachecka

z Sanockiego (w drugim wydaniu). 3) Sejmik generał Województwa Ruskiego odprawiony 1766 roku w Sądowej-Wisni. Część trzecia. Sejmikowa szlachecka tradycja. (W wydaniu drugim). 4) Siedm psalmów pokutnych z psalterza Dawidowego, ułożonych do śpiewu. Wydanie drugie.

Tom drugi. Mohort. Rapsod rycerski z podania. Wydanie trzecie. Tu znajdujemy nowe *Objaśnienia* do tego wydania. Poeta zaczyna je od takiego wstępu:

„Nie tak jeszcze wiele czasu upłynęło od pierwszego wydania Mohorta, a widzę się w położeniu dodania nowych objaśnień. bo od czasu wyjścia tej mojej pracy, ukazało się w pismach publicznych wiele wzmianek o nim, a mnie obesłano wielu listami wierszem i prozą od znajomych i nieznanym, na które się odpowiedzieć godzi.”

Co do samego tekstu Mohorta, otrzymawszy o nim zdanie: „*Starszych w służbie i literaturze, jak p. Adama, p. Seweryna i p. Alexandra:*” pozostawił go niekniętym; co zaś do objaśnień: „dziwna rzecz, (słowa poety) że właśnie te, które nie miały mieć żadnego innego znaczenia, nad wyświecenie niektórych miejsc samego tekstu, obudziły najwięcej kwestyi i niechęci dla mnie, że te właśnie wywołały polemikę i spowodowały mnie do dania nowych objaśnień do Mohorta. To co wytrawni ludzie głęboko czują i podzielili, co trafiło w ich myśli pod względem znaczenia historyi i tradycyi, o czém tylko zlekka natraćiem, obraziło najwięcej adeptów literackich, znających się może na wszystkiém, tylko nie na tém, około czego chodzą. Przywykli wszakże od lat dwudziestu pięciu widzieć słuchaczy moich poza kołem pism czasowych, nie w kawiarni, ale we dworze szlacheckim, odzywam się do nich i dzisiaj z tém samém uczuciem, z jakim im przed dwudziestą pięć laty pierwsze moje płody złożyłem. Z tém zaufaniem i z tą miłością serdeczną niechaj mi wolno będzie i dziś się do nich uciec, i odpowiedzieć temi objaśnieniami na wiele listów i odezwo, któremi mnie moi czytelnicy po wyjściu Mohorta obesłać raczyli. O znaczeniu, wartości i mocy tradycyi nie będziemy chodzić w zapasy z temi, którzy jęj nie znają i ocenić nie zdołni; którzy jęj nie wzięli i wziąć nie mogli puścizną, którzy jęj nadewszystko niechętni w nicości swojej z widoków osobistych. My mówimy do tych, którym to potrzebne, dając poparcie tym, od których szukamy poparcia w obliczu rzeczy boskich i ludzkich, kościoła, dziejów, i literatury. Mohort z natury swojej wyszedł ze sfery książkowej, bo cały wzięty ze sfery tradycyi: ztąd też nastą-

pilo w skutek jego wyjścia większe zetknięcie z temi, co na tradycji oparciu w rzeczywistym świecie żyją. Nie wiedziałem o tém gdy go pisał: ale uczułem to, gdy się rozszedł po świecie. Nasza literatura dzisiejsza w pismach czasowych skupiona ignoruje w złą czy w dobrą wiarę wszystkie rzeczywiste stosunki narodu: pragnąłbym, żeby nam i sobie odpowiedzieć chciała na te dwie kwestye: *Dla kogo to wszystko pisze? Co po niej zostanie?* A sądzę, że jeżeli pisma czasowe nasze z małemi bardzo wyjątkami na te dwie kwestye sumiennie sobie i nam odpowiedzieć zechcą: znajdzie ogół czytelników w pismach czasowych większy wymiar sprawiedliwości dla siebie, większe uznanie rzeczywistego położenia swego. Nasze izolowane stanowisko jeżeli potraciło pewne żywotne kwestye dla historii i literatury, stało się to bez żadnego zarozumienia, i czy co łaskawie, czy nielaskawie będzie przyjęte, na tém mi mało zależy. Nawykły dawać to, na co mnie stać, a przemawiać do starych przyjaciół otwarcie i jasno, uczyniłem to wówczas i czynię to dziś, mimo narowów naszego czasu, który nie pozostawia potomności, ale i przeszłość swoim łokciem mierzy i wszystkie zjawiska swojego wieku ostatecznie sądzi, bez względu na to, że ktoś tam był i przed nami, i ktoś jeszcze i po nas będzie.

„W światowych dziejach mieszka sędzia świata,” powiedział Szyller, a Wiktor Hugo dowodzi „że inny jeszcze sąd historii, a inny Boga.” Otóż dla modernistów i eklektyków zostaje wybór za kim pójść zechcą, za Szyllerem, czy za Hugonem: mnie się zdaje, że w tej całej sprawie nie chodzi żywnie nikomu, ani o sądy dziejów, ani o sądy Boga, ani o sądy literatury w końcu.”

Tu przytacza poeta wyjątki z listów jakie otrzymał. Ten pyta, dlaczego o Xawerym Krasickim, o Xięciu Eustachym Lubartowiczu, o p. Kazimierzu Ostaszewskim tak mało w Mohorcie? Drugi żąda nuty i pieśni *Hejnałów*; inny Ukrainiec, wymaga, ażeby mu dał pieśń: „Czas do domu czas, zabawili nas.” Koniarz sławny pyta wreszcie, z kąd wie autor o stadzie Mohorta? Nasz poeta kategorycznie w tych objaśnieniach na te wszystkie pytania odpowiada: podaje nuty i text *Hejnałów* krakowskich i ukraińskiej pieśni; a w ostatku trzy własne rozprawy o koniach, które przyjacielowi swojemu Marcellemu Jawornickiemu redaktorowi Tygodnika Rolniczego Krakowskiego, bezimiennie przesłał. Mamy tu więc: 1) O angielskich koniach i wyścigach u nas. 2) Kilka słów o tarantowatych i srokatych koniach. 3) O maściach i odmianach w koniach. Żałujemy, że nasz poeta tak dobrze

oznajomiony z tym przedmiotem, nie wyczerpał go do dna. Staropolskie przysłowia i przypowieści, tak bogato poświęcone zdaniom o koniach, podałyby mu więcej jeszcze szczegółów co do maści koni i cech głównych, służących naszym ojcom do ocenienia wartości ich na pierwszy rzut oka.

Tom trzeci. Obejmuje znane już z pierwszego wydania *drobne poezye*.

Tom czwarty. Mieści po raz pierwszy drukiem ogłoszony poemat z pomników historycznych XV wieku: „Wit Stwosz.”

Wydanie to przygotował sam autor, i w Wiedniu drukiem ogłosił: nasz księgarz i typograf S. Orgelbrand nakład ten cały zakupił, i cenę za cztery tomy rubli srebrem 10 położył. Jakkolwiek cena ta jest daleko niższa od tego co kosztowały pojedynczo wydawane poprzednio utwory, zawsze ją za wygórowaną uważać musimy, przez co wydanie to nie tak się rychło upowszechnić potrafi. Autor przygotowuje drugie cztery tomy, w których ujrzymy nowy utwór obszernych rozmiarów: *Hetmańskie pachole*, nieznanne drobniejsze poezye, i dalszy ciąg podobno pana Benedykta Winnickiego.

Historya prawodawstw słowiańskich W. A. Maciejowskiego, (wydanie drugie) tom pierwszy, obejmujący str. 600 — VI. Całość składać będzie sześć tomów i na prenumeratę wynosi złp. 50.

Podamy tu tylko w skróceniu treść wydanego tomu. *Dział I.* Pogląd na dzieło i treść jego. *Dział II.* Ziemia i ludzie. Pogląd na treść dziejów. Pogląd na ziemię, jej granice i ludność. Podział kraju polityczny. Rysy do obrazów charakteru Słowian i Niemców. *Dział III.* Prawo, jego źródło, ojczyzna, duch, język, zabytki. *Dział IV.* Nauka prawa i znakomici prawnicy. *Dział V.* Zgodność i różność pierwotnego prawa Słowian a Niemców. *Dział VI.* Stan nauki i historii prawa w XIX wieku. Dodatki do tego tomu obejmują: przegląd samego autora drugiego a obecnego wydania: przyczynek do ziemioписu statystyki Polski XIII wieku. O rękopisach statutu litewskiego i jego przekładach polskich, dotąd nigdzie niewspomnianych. Druki praw sejmowych polskich. Źró-

dłosłów i znaczenie wyrazów prawnych i historycznych, które inaczej niż dotąd nasz badacz pojmuje. Zdanie Joachima Lelewela o znaczeniu Lachów; zamyka te dodatki: pogląd na dzieło Tacyty o Germanach napisane, i ukryte w niém historii prawodastw słowiańskich źródło. Dodany jest jeszcze skaźnik imion i nazwisk rzeczy i objaśnienie skrótów.

Dzieło to, którego pierwsze wydanie przełożone zostało na kilka języków, przerobione zupełnie, i znakomicie powiększone, przypisał uczony badacz, tym, dla których dług wdzięczności zaciągnął: „cieniom i pamięci profesorów Józefa Maciejowskiego, ks. Pawła Kotowskiego, ks. Pawła Chrzanowskiego i Jerzego Samuela Bandkiego, który opiekując się naszym autorem, wskazał mu drogę do gruntownego nauk poznania.



ROZMAITOŚCI.

KSIĄDZ NIKODEM KAMIEŃSKI.

Wspomnienie.

Ksiądz Nikodem Kamiński syn Stanisława chorążego malborskiego burgrabiego krzemienieckiego i Barbary z Kuczabskich, urodził się na Wołyniu r. 1800 w ojczystej wsi Kolkach, przeszło dwa wieki w przodkach dziedzicznej. W duchu starożytnej wiary i cnoty naddziadów, otrzymał pierwotne domowe wychowanie, potem zaś rodzice niemniej troskliwi o przyszłą jego edukacją publiczną, oddali go do gimnazjum wołyńskiego, które Tadeusz Czacki dla podźwignienia upadłej w południowych prowincjach oświaty, w Krzemieńcu dnia 1 października 1805 r. otworzył. W szkole tak słynnej ze szczęśliwego doboru znakomych nauczycieli, Nikodem Kamiński korzystnie przebywszy cztery elemetarne klasy, we trzech dwuletnich kursach z wielkim pożytkiem słuchał publicznych wykładów umiejętności, nauk i sztuk pięknych w téjże szkole, która wołą Najwyższą dla pomocy uniwersytetowi wileńskiemu w szerzeniu oświaty ustanowiona r. 1819, dla okazanych ważnych zasług w instrukcyi krajowej, zjednała sobie z powiększeniem ilości katedr, stopień liceum wołyńskiego, gdzie Nikodem Kamiński już kończąc nauki otrzymał w kursie drugim srebrny medal, mający z wizerunkiem Najjaśniejszego Cesarza napis w otoku: Aleksander I Protector Scientiarum, a na odwrocie napis: diligentiae. W kursie zaś trzecim dostał accessit do medalu złotego. Wedle rozległego planu nauk przepisanych dla liceum wołyńskiego, do

wszystkich przykładając się, w naukach przyrodzonych liczył między swemi nauczycielami: Jana Łuczyńskiego profesora fizyki experimentalnej, członka królewsko warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, znanego z rozpraw o elektryczności i o głosie, wydanych w Warszawie; Stefana Zienowicza profes. chemii, twórcę nowej teorii; Wilibalda Bessera znanego w Europie naturalistę, profesora teologii i botaniki; w prawie krajowym: Ignacego Oldakowskiego, któremu podług Ignacego Daniłowicza zaniedbana od czasów Władysława IV nauka praw winna swe odrodzenie na Wołyniu i w Litwie; w literaturze polskiej ks. prałata Aloizego Osińskiego, który ją ku wzorom świetnej dla języka epoki Zygmuntofskiej mową i własnym przykładem najgorliwiej zwracał. W ostatnim roku swojego w liceum wołyńskim pobytu, Nikodem Kamiński zawsze przejęty zamiłowaniem mowy rodzinnej wypracował o potrzebie grammatyki filologicznej rozprawę, która pozostała w rękopiśmie. Z dozągoną w sercu wdzięcznością pamiętce Tadeusza Czackiego wyjednawcy oświaty południowych prowincyj przez założenie w Krzemieńcu sławnego nauk przybytku, i w nim przewodnikom swęj młodości r. 1820 opuścił to miasto i udał się do Warszawy, gdzie przed otwarciem obrad przybywszy, na każdej sessyi sejmu podówczas w tęg stolicy odprawującego się, przy dozwalańm każdemu wnijsciu znajdował się. Potem uczęszczał już bez przerwy na lekcyę w uniwersytecie warszawskim Kazimierza Brodzińskiego, Ludwika Osińskiego, Joachima Lelewela o historyi XV, XVI i XVII wieku i na publiczne posiedzenia królewsko warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, gdzie go szczególnie zajęły rozprawy o żegludze Fenicyanów, o zasługach Sokratesa w filozofii, o pedagogice u starożytnych, jak o tęg sam wspomina w listach swoich z Warszawy na Wołyń pisanych. Z tego widać, że umysł młodzieńca już wzbogacony wiadomościami, szczególniejsz skłaniał się podówczas ku dziejom, filozofii i literaturze. Po dwuletnim kształceniu się w uniwersytecie warszawskim, Nikodem Kamiński niezmienny w pomyslanem postanowieniu uczynił krok niecofnięty, i obrał sobie za powołanie całego życia stan duchowny, w którym praca i poświęcenie się Bogu są tęg i ludziom użyteczne, a zasługą nabyte dostojenstwa, są najmilsze dla serca i sumienia. Kraków zaś obrał za miejsce do nauk teologicznych dlatego, że życzył być zbliżonym do biskupa Woronicza, którego życie duchowne i publiczne wzbudzało wysokie dlań uwielbienie i uszanowanie.

W Warszawie przedstawiony temu czcigodnemu pasterzowi, Nikodem Kamiński był od niego najlaskawiej przyjętym i najświetniejszymi nadziejami pocieszony. Ale niestety! nie było w wyrokach Opatrzności, iżby się one zupełnie ziściły.

Roku 1822 z Warszawy Kamiński przybył do Krakowa i wstąpił do tamtejszego seminaryum, które liczyło się do Królestwa Polskiego, jako seminaryum województwa krakowskiego, gdzie z takim zupełnym poświęceniem się pracy tyle czytał, pisał i modlił się, że ledwie 4 lub 5 godzin w dobę spoczynkowi zostawiał. Był bowiem zawsze przekonany, że obojętne tylko zajęcie się obowiązkami staje się przyczyną następnego zawodu w powołaniu; oraz że odznaczenie się w niem zależy od dokładnego nabycia nauk, w których niedosposobienie zarzębuje w mierności.

Po roku w seminaryum żądał prymas Woronicz, aby Nikodem Kamiński przeniósł się do mieszkania biskupów krakowskich. Wyjeżdżając na czas długi do Warszawy, z rozrzucającym zaufaniem powierzył mu do przejrzania i uporządkowania wszystkie papiery literackie, osobiste i urzędu pasterskiego. Zajął się tą pracą młodzieniec z gorliwem poświęceniem się, a dawszy ten dowód swojego ku niemu przywiązania, był odtąd zaszczycony całkowitem jego przywiązaniem.

Kamiński pałając niepokonaną żądzą nabycia wielostronnej i rozległej wiedzy, podczas swojego pobytu w Krakowie uczęszczał téż na lekcy w uniwersytecie Jagiellońskim i na publiczne posiedzenia tamtejszego naukowego Towarzystwa, a w seminaryum krakowskiem trzyletnie studia duchowne ukończywszy, został wyświęcony na kapłana świeckiego.

Rodzina księdza Nikodema Kamińskiego małe ma wiadomości przeżyłych lat jego w stanie duchownym. Posiada jednakże jego korespondencye jako drogą po bolesnej jego stracie i jedyną po nim pamiątkę, z której położone wypisy świadczyć będą, jak młody ks. Nikodem już zaszczycony był nieograniczoną prymasa Woronicza przychylnością, i co mógł mieć kraj z rodziną w osobie tego kapłana, zawczasie dla nich zgastego.

W korespondencyi pułkownika Henryka Kamińskiego, krewnego księdza Nikodema, te o nim są umieszczone wyrazy księdza arcybiskupa Woronicza: „Jestem już stary, mam zdrowie słabe, chcę, aby mnie nigdy nie odstąpił i pochował. A tego od niego żądając, łatwo zrozumie pan, jak mię los jego na

przyszłość interesować będzie. Trzeba, żeby mnie w pracy zastąpił. Jest zdatnym, moralnym, charakteru łagodnego i zajmującego, zrobić powinien karierę w tym stanie. Chcę koniecznie aby jechał do Rzymu i tam jakiś czas zabawił jako w stolicy chrześcijaństwa i przypatrzył się zblizka administracyi duchownej, aby mógł być w kraju użytecznym." Dalej słowa pułkownika: „Tak więc księdza Nikodema los zdaje się i przeznaczenie wołają obok prymasa królestwa, tak światłego i powszechnie poważanego pasterza.”

Stosownie do życzeń arcybiskupa Woronicza, ks. Nikodem Kamiński dla doskonalenia się w umiejętnościach teologicznych, wyjechał r. 1825 z Krakowa za granicę i w Paryżu w kollegium ks. Sulpicyanów z niezmordowaną gorliwością tymże się poświęcał. Pragnąc zaś największe zebrać z nich korzyści, aby niemi potem jak zdobytym plonem i owocem swych trudów własny kraj obdarzyć: ksiądz Nikodem okrom zatrudnienia obranego powołania, usilnie starał się wejść w stosunki z najznakomitszemi w stanie duchownym we Francyi pisarzami, czerpając téż w rozmowach i obcowaniu z niemi ważne dla siebie, potrzebne a objaśniające nauki. W czasie feryj wyjeżdżał z Paryża dla zwiedzenia różnych miejsc we Francyi i na brzegach oceanu Atlantyckiego czas jakiś nader korzystnie we względzie umysłowym, przepędził. Następujący list do starszego brata pisany, daje nadto jasne wyobrażenie, jak wzorowym ksiądz Nikodem był kapłanem, a razem jak on był mocno przejęty świętością i ważnością swojego powołania.

• Paryż, dnia 15 grudnia 1825 roku.

„Kochany Antoni! Już w Paryżu odebrałem list twój do Krakowa pisany. Niech będzie błogosławione imię Boga, który tak niepojętą drogą prowadzi mnie do siebie! Pytasz się mnie, kochany bracie, jakie miałem powody udania się do Paryża: oto krótko ci je przedstawiam. Od poświęcenia mojego przyjąwszy Chrystusa Pana za dziedzictwo moje, oddałem Mu całego siebie. Ofiara niktzemna, którą tylko litość Jego oczyścić może. Ten słaby rozum, który w poniżeniu swoim tak długo czułgał się po ziemi; to serce, które tylko dla świata oddychało; to obciążenie pierwszej młodości mojej, które mnie przez burzę namiętności prowadząc, przed prawdziwem nakoniec światłem postawiło, są dzisiaj dla mnie źródłem wielu rozmyślań. Nie jest to dziełem jednej godziny! Czemuż częściej do siebie nie pi-

zywaliśmy? Dziś odległość tak wielka, wzbrania mi szczegółów, które twoje serce zaspokoićby mogły. Kto mnie znał przed poświęceniem, ten mnie bynajmniej nie zna. Znałeś mnie jak wiele namiętności miały mocy nademną; może im winienem szczęśliwy stan duszy mojej. Od ich bowiem skierowania szczęście człowieka zależy. Są one tym ogniem, który w rękę szalonego przestraci i spustoszenie roznosi, lecz dobrze użyty, przyświeca ołtarzom Pana. Pokonany prawdą, mógłbym poznawszy Chrystusa, całego siebie Jemu nie oddać? Brzydzi się On połowiczną ofiarą, a kto ująwszy się Jego pługa wstecz się obraca, nie jest godzien Jego królestwa. Oddałem siebie ciężkiej pracy i ostremu posłuszeństwu, aby się w tej szkole na użyteczniejszego sługę kościołowi usposobić. Cieszy mnie bardzo, że wchodzisz w związek małżeński. Czemuż nie mogę wam jako kapłan pobłogosławić! Wierz mi, że w dzieciach twoich będę widział siebie; nie ujmiesz mi zapewne tej przyjemności, abym się ich wychowaniu poświęcił. Postawiony dziś jestem w tym szczęśliwym zbiegu okoliczności, że w potrzebnych dla kraju naszego wiadomościach, nie wielkim kosztem udoskonalić się mogę.”

W ostatniej swojej słabości ksiądz prymas Woronicz chorym z Egry do Wiednia wróciwszy, wezwał tam z Paryża księdza Nikodema Kamińskiego. Tu go czekały dwa najdotkliwsze, najokropniejsze a nieprzewidziane ciosy: wiadomość o skonie dobrej matki Barbary z Kuczabskich r. 1828 dnia 18 lipca zgasłej, która swoją bogobożnością i cnotami przypominała starodawne polskie matrony, i śmierć prymasa Woronicza swojego dobroczyńcy (r. 1829 d. 6 grudnia), który go najczulszą zaszczycał przyjaźnią. Aby uczynić zupełniejszym obraz szlacheckich skłonności serca i pięknych usposobień księdza Nikodema na pierwszym wstępie w zawód publicznego życia, oraz tak rychło zgasłych nadziei, które z nader bolesną dla rodziny stratą, smutną zasłoną okrytymi zostały: dołączam jeszcze jego własnoręczny list z Wiednia do braci pisany, ominąwszy wiele innych z Krzemeńca, Warszawy i Krakowa.

Wiedeń, d. 16 kwietnia 1830 roku.

„Zaledwo 16 kwietnia w siedm dni po odezycaniu listu, mam dość siły do łez utulenia, po tak dotkliwej stracie, jaką bracie doniosłeś. Już dwa lata dobiega, jak kochana nasza matka przeszła do wieczności, a myśl moja w rozczuleniu synowskiem mieścić jej nie przestawała pośród żyjących. Jam

się cieszył, że dni jój zwątlone, czulość moja synowska orzeźwi; że przyszłość rozjaśniona smutek roztrąci, a widok syna i kapłana tém czulszą stanie się do wyższych pociech pobudką; że w poświęceniu się mojem ujrzy zakład nierozjemnego związku dusz naszych ze Zbawicielem, któremu w osobie mojej składa na ofiarę część swoją istoty. O moi bracia kochani! gdyby nawet te wszystkie nadzieje były usunięte, miałbym jeszcze na całe życie rozrzewniającą pociechę, gdyby na łożu śmierci głos mój jednał ją ze sprawiedliwością Bożą, gdybym duszę jój we krwi Zbawiciela obmył na łono Przedwiecznego złożył, a ręką moją zawarłszy jój powieki, łzami synowskimi zroszone, w rozczuleniu pomyślał, iż one kiedyś w blasku niewygasłej chwały otworzą się i ujrzą całą rodzinę swoją wierną błogosławieństwu Bożemu, jakie dla niej zmierającym głosem wyjednywała. Do nas należy nigdy nie zapomnieć, jeśli jój dusza przed bramami niebios wstrzymana, czeka jeszcze na swe oczyszczenie. Nieśmy za nią codziennie błagalne modły do litości Bożej; starajmy się aby czystość życia naszego uczyniła je skutecznymi, a pilnie zachowując wiarę, której nas matka przy kolebkach wyuczała, pocieszajmy się nadzieją, że i ją kiedyś ujrzymy, i że ona z nami, żadnego z nas nie straciwszy, w nierozjemnej i wiecznej miłości połączoną zostanie. Ileżbym znalazł pocieszenia teraz was odwiedzając, lecz dotknął mię Bóg przeciwnościami, jakie w pokorze ducha pragnę zność. Śmierć prymasa srogo mnie osierociła. W duchu wiary poglądając, noszę lubą sercu mojemu nadzieję, że poświęcenie się moje pożytecznym dla was być nie przestanie, gdybym nawet nie przywdział tych błyszczących zaszczytów, które jak wszystkie inne prędko znikają, a w przełocie jednak swoim bardziej jak wszystkie inne sumienie obarczają. Zbliżając się dzisiaj do lat trzydziestu, miałem porę wszystkiego zapróbować i rzec wyznaniem proroka Pańskiego, że wszystko jest próżnością i udręczeniem ducha, oprócz miłości Boga i wiernej Jemu służby.

„W Paryżu odbieram najsmutniejszą wiadomość, że Prymas jest za granicą dla utrzymania niebezpiecznie zagrożonego zdrowia. Jego synowiec Janusz Weronicz pisze do mnie z Egry, że powrót mój jest nieodbity i sam prymas te wyrazy domieścił: „Dopisuję własne moje uczucia, ręką kalaki wykreślone, zaklinając cię jako wychowawca mojego duchownego, jako najczulszego przyjaciela, abys mnie starca w ostatnich momentach nie odbiegał. Nim poda się pora okrzerniej ci z Wiednia na-

pisać, każdy twój moment będzie dla mnie najdroższym, skoro będzie niezwłocznym."

„Zacząłem robić spieszne układy mojego wyjazdu i przy końcu listopada opuściłem Paryż; przez Szwajcaryą i Bawaryą spieszyłem do Wiednia. Stałem tu 6 grudnia 1829 r. o godzinie 7 rano i tegoż samego dnia w kaplicy, obok śmiertelną chorobą złożonego prymasa, odprawiłem mszę świętą. Nie wiedział on o mojem przybyciu, bo się obawiano, aby ta wiadomość nie dała mu gwałtownego, a w stanie zdrowia niebezpiecznego wzruszenia. Ani ja też nie wiedziałem, że msza moja będzie ostatnią dla niego na tej ziemi wdzięczności mojej ofiarą. Dnia tego o 11 w nocy życie swe pełne zasług, chwały i świętobliwości zamknął. Po odpowiednim godnościom Jego religijnym obrzędzie w tutejszej stolicy, odprowadziliśmy na rodzinną ziemię naszą, którą zmarły tyle kochał, drogie zwłoki, i te obok pamiątek zamierchłej chwały naszego narodu ze łzami pogrzebali.

„Co się tyczy ustalenia się mojego, czy w dyecezyi krakowskiej, czy w prowincjach waszych, wszystko do woli Boga zostawiam. Jeślibym się w kraju waszym mieścił, to potrzeba, abyście około tego z najtroskliwszą delikatnością sumienia chodzili. Broń mię Boże! abym na ciężki obowiązek dusz ludzkich pasterza, widokami dóbr doczesnych był pociągany. W tych sidłach uwięzłaby nieszczęsnie droga spokojność i swoboda méj duszy, a wiano świętokradzkie którebym wam rzucił, ciągnęłoby za sobą przekleństwo do domu w zgryzotach zasepionego niewiary mojej posiadacza. Rzuciwszy okiem, gdzież dzisiaj znajdziemy potomków Maciejowskich, Tomickich, Gamratów i tych innych, owych niegdyś udzielnych książąt i biskupów krakowskich? Dopelży ich imiona i ród ich, może dziedzictwem sierót i ubóstwa wzbogacony, sam także w ubóstwie doniknął."

„Wykułem sobie na Wawelu grobowiec, tam chcę spoczywać po zgonie," powtarzał często Woronicz za krzepkiego zdrowia, powtarzał nawet gdy konał. (Obacz przemowę Franciszka Weżyka na czele dzieł Woronicza). Tę jego wołą dopełnili roku 1830 dnia 8 i 9 stycznia synowiec zmarłego i ksiądz Nikodem Kamiński, który tego roku opuściwszy Kraków, przez Wiedeń powrócił do Paryża. Mając zdrowie nadwątłone ustawicznymi pracami, pragnął jeszcze odwiedzić rodzinę i w podróży do kraju, po krótkiej chorobie chwalebne życie zakończył roku 1832 w Dreźnie. Ziomkowi- podówczas w tej stolicy

bawiający, oddali szanownemu kapłanowi ostatnią religijną posługę, po którego bolesnej i nieodżałowanej stracie Antoni Kamiński honorowy kurator gimnazjum rowieńskiego, poświęcił mu w Teofilpolu w parafialnym kościele następujący napis:

„Księdzu Nikodemowi Kamińskiemu.

W pięknym poranku dni Twoich.

wśród rozwiniętego kwiatu błogich nadziei, kształcąc się
w umiejętnościach w krzemienieckiej szkole
w Warszawie i Krakowie pod kierunkiem prymasa Woronicza
wzbożony nauką w Paryżu i Rzymie,
już się zbliżając do rodzinnej ziemi, poszedłeś bracie kochany
na łono Boga, któregoś w świętych ołtarzach wysławiał.

Wieczna Ci pamięć nie w tym znikomym głazie,

lecz w sercach naszych,

Umarł w Dreźnie 1832 roku.”

Z tych krótkich zarysów życia księdza Nikodema Kamińskiego widzieć się daje, że kościół i kazalnica straciły w nim jeden ze swoich zaszczytów, o którym najwznioślejszy mówca chrześcijański rokował, że kiedyś jego w pracach duchownych zastąpi.

Adam Słowikowski.

KORRESPONDENCYE.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

W kwietniowym zeszycie Biblioteki Warszawskiej, mianowicie w artykule o archiwum szląskiem w Wrocławiu, na stronnicy 266, autor artykułu wymieniając w pozycyi 3 list Janusza Latańskiego wojewody poznańskiego, dotyczący sokołów, księciu Lignickiemu posłanych, dodał uwagę w słowach następujących:

„Te szachry myśliwskie możnowładcy polskiego z zagranicznymi monarchami, nie były zapewne korzystnymi dla Polski”.

Jako potomek w prostej linii rodu Latańskich, jakkolwiek dzisiaj ubogi tylko posiadacz kmiećej roli, podnoszę ten ostry przyczynek do imienia Janusza Latańskiego przyczepiony, i upraszam Redakcyę Biblioteki

Warszawskiej o zrobienie co za właściwe uzna, aby rzucone na Janusza Latałskiego podejrzenie o złe zamiary lub czyny, były albo historycznie uzasadnione, albo też żeby wykazanem zostało, że to jest tylko wypływ jakiegoś chwilowego, czysto osobistego usposobienia autora artykułu p. K. M.

Wszakże ujawnione dotychczas pisma historyczne nie wykazują nam nic takiego, coby choć najmniej wykrywało złe, krajowi swemu niezyczliwe czyny lub zamiary wojewody Latałskiego. Wiemy tylko, że Janusz Latałski, wojewoda poznański, wysłany był do Wrocławia po arcyksiężniczkę austriacką Katarzynę, przyszłą małżonkę króla Zygmunta Augusta. List zatem przez p. K. M. widziany, dowodziłby raczej, że Janusz Latałski w czasie tej misji mógł wejść w stosunki znajomości z księżętami zagranicznymi, i wymienić z nimi prostą uprzejmość w przyjęciu psów myśliwskich, a zawdzięczeniu się sokołami.

Czyliż się godzi, i czy się na cokolwiek i kumukolwiek przyda, że w najprostszych, najniewinniejszych z swój natury czynach osób historycznych, dopatrywać koniecznie będziemy nikczemnych zamiarów i dążeń, bez żadnych i najmniejszych ku temu z przeszłości wskazówek? Czyliż ci wszyscy z przodków naszych, którym własne zachody, los, fortuna, Opatrzność pozwoliły przodować w dawnym naszym społeczeństwie, a których tak szczodrze, zapewne rozdrażnieni własnym nic nie władztwem, możnowładzcami dzisiaj nazywamy, dlatego samego już że przodowali, mieli koniecznie płamić się złemi dla kraju dążeniami?

Mnie się zdaje, że jak w historii naszej, tak i w historii każdego narodu, wszędzie i zawsze jednym słowem nie trudno znaleźć jednostki ze złemi dążeniami, ze złemi czynami *rzeczywistemi*; dlaczegóż więc tak skwapliwie obciążamy się jeszcze i przypuszczeniami o nikczemności tam nawet, gdzie najmniejszych nie ma do tego powodów?

Mnie się jeszcze zdaje, że żyjemy w chwili jakiegoś schorzałego krytycyzmu historycznego: upodobaliśmy sobie najtroskliwsze wyszukiwanie w przeszłym życiu naszym nie tylko publicznych, ale nawet najtajniejszych domowych szpetności, i co tylko tam na hańbę lub poniżenie przodków naszych znajdziemy, lub czego się tylko domyślić chociaż zdołamy, wszystko to i w prozie i w harmonijnej mowie rzucamy hojnie na strawę ogółowi dzisiejszemu, zapomniawszy o *locum* i *tempus*.

Ale może to tak i dobrze! bo komuż się będzie chciało pamiętać o tak zchydzonej przeszłości? A nawet jak się przeszłość z korzeniem wytępi, nowy zasiew prędkiej się przyjmie: będzie bujniejszy porost nowych idei na gruncie tak starannie z dawnych chwastów oczyszczonym: a jakieżto prześliczne owoce potomność zbierać będzie! Podobno d'Alembert, takie same życzenia, takie proroctwo napisał Frederykowi II, gdy wielki ten monarcha w 1775 roku, zajęciem swoim przez miłość ludzkości, polskie Pomorze uszczęśliwić raczył.

J. Prawdzic Latałski.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej otrzymała z podpisem A. P. dwa zapytania z historyi naturalnej, treści następującej:

1) „Czy wirozub (*Cyprinus cephalus*) w Dnieprze żyjący jednąż jest i tą samą rybą, co głownia (po rusku *gołowl*) w Dźwinie?”

2) „Do jakiego stopnia szer. geogr. w kraju naszym rozciąga się siedlisko ropuchy płomienistej (*Rana bombina* Lin.)?”

Pierwsze z tych pytań inaczej rozwiązane być nie może, jak przez naoczne porównanie dwóch ryb w naturze: jednej z Dniepru którą tam wirozubem zowią, drugiej z Dźwiny która tam zowie się głownią (*gołowl*). Na nazwiska ludowe nie ma się co oglądać. Widzimy w Zoologii specjalnej Eichwalda rosyjskie nazwisko *gołowl* i przy *Cyprinus dobula*, i przy *Cyprinus orfus*, a przecież to są dwa zupełnie oddzielne gatunki. Korrespondent wszakże nie miał wirozuba z Dniepru, lecz z Horynia (na Wołyniu), i porównawszy go z dźwińską „głownią, znalazł, że „u wirozuba zębów szczękowych jednorzędnych było, z jednej strony 6, z drugiej 5 klinowatych, gdy głownia dźwińska miała z każdej strony zębów dwurzędnych po siedm stożkowatych, haczykowato i ostro zakończonych”. Nie mamy wprowadzić tych ryb u siebie, ażebyśmy mogli z ich zębostanu wyrzec coś stanowczego; to tylko zdaje nam się, że ryba którą korrespondent nazywa dźwińską głownią, była zapewne gatunkiem *Cyprinus dobula*, któremu Cuvier (Leç. d'anat. comp. III, Leç. 17, 4) naznacza zębów we dwóch rzędach siedm, w dolnym pięć, w górnym dwa, wszystkie kończate i nieco zagięte, a przy którym Eichwald (Zool. Spec. 3 pag. 101) kładzie nomenklaturę rosyjską *gołowl*. Przypuszczając korrespondent że dwie, przez niego porównywane ryby, mogą się tylko co do wieku różnić, wyprowadza inne pytanie: „Czy są ryby które w pewnym wieku tracą zęby a odzyskują potem odmienne od pierwszych co do liczby i kształtu?” Rozwiązanie tego pytania znajduje się w przytoczonym dopięro dziele Cuviera (*l. c. ead.* 1), który opisawszy sposób w jaki u ryb nowe zęby zastępują stare, dodaje: „mniemano więc niesłusznie, że zęby u ryb wcale się nie zmieniają”.

Co zaś do zapytania korrespondenta po jaki stopień szerokości geogr. półn. w kraju naszym znajduje się ropucha płomienista (*Bufo igneus*), zważywszy iż Linneusz poświadcza znajdowanie się tej żaby w Skanii, prowincyi szwedzkiej, łatwo odpowiedzieć, że się ona znajduje w całym naszym kraju, w miejscach dla siebie dogodnych, to jest w bagnach, których płytko rozlewają się brzegi.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1856.

69. Kłosy z rodzinnej niwy, zebrane przez Adama Pługa. (A. Pietkiewicza). 12ka. Wilno. 1856. Nakład i druk T. Glücksberga. Kart napis. 2 i str. 108. Rejestru karta 1. Rsr. 1, kop. 10.

70. Niemcy, przez Włodzimierza Budzyńskiego. (Na okładce dodano: Niemcy i Szwajcarya tom pierwszy). 12ka. Wilno. 1856. Nakład i druk T. Glücksberga. Str. 138. Napisów kart 2.

71. Opowiadania i krajobrazy. Szkice z wędrówek po Ukrainie, przez Tadeusza Padalicę. (Zenona Fischa). 2 tomy. 12ka. Wilno. 1856. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Tom I, str. 285. Tom II, str. 173.

72. Obrazy z Pisma Świętego, przez Ludwika Niemojowskiego. Poznań. Nakładem księgarni Jana Konstantego Żupańskiego. 1856. Czcionkami N. Kamińskiego i Spółki. W 8ce. Str. 342. Rub. sr. 2.

73. Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego, przez autora Listopada. 12ka. 3 tomy (na okładce dodano: Oddział I). Petersburg i Mohilew. 1856. Nakładem B. M. Wolffa (w Drukarni Gazety Codzienniej). T. I, str. 175. T. II, str. 186. T. III, str. 204. Rub. sr. 3 kop. 60.

74. Szwajcarya, przez Włodzimierza Budzyńskiego. 12ka. Wilno. 1856. Nakład i druk T. Glücksberga. Str. 134.

1857.

27. Chwile stracone, przez Juliana Horaina. Wilno. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. 1857. W 12ce. Str. 160. Kop. 75.

28. Czatterton, dramat Alfreda de Vigny. Powiedziany po polsku, przez Apolla Korzeniowskiego. Kijów. W drukarni Uniwersytetu św. Włodzimierza. (Nakładem J. B. Czerniaka w Białocerkwi). 1857. W 8ce, str. XXVII od tłumacza i 147). Rub sr. 1 kop. 50.

29. Cześć Bałwochwacza Słowian i Polski. przez Joachima Lelewela. Poznań. Nakład J. K. Żupańskiego. 1857. W 8ce. str. 148. Z rycinami i drzeworytami. Rsr. 1, kop. 10.

30. Drzwi kościelne plockie i gnieźnieńskie z lat 1133 i 1155, przez Joachima Lelewela. (Z godłem):

... foribus cardo stridebat aenis..... dum, quae fortuna
sit urbi, artificumque manus inter se operumque laborem
miratur....

Que regio in terris non plena laboris?

Sit ait, atque animum pictura possit inani.

(Virgil. Aeneid. 1, 451, 358—460, 464, 468).

Poznań. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego. 1857. W 8-cc. Czcionkami N. Kamińskiego i Spółki w Poznaniu, Str. 65. Z trzema tablicami

sztychowanemi, przedstawiającemi: 1. Drzwi płockie w Nowogrodzie Wielkim 1155. 2. Napisy na tychże drzwiach. 3. Drzwi katedry gnieźnieńskiej 1117, 1130. Kop. 45.

31. *Ewangelina*. Powieść H. Longfellowa z dziejów anglo-amerykańskich. Przetłumaczył Feliks Jezierski. 8-ka. Warszawa. 1857. W drukarni Gazety Codziennój. Str. 33.

32. Grammatyka łacińska teoretyczno-praktyczna decyzją Jaśnie Wielmożnego Ministra Oświecenia narodowego przepisana do użytku w szkołach Okręgu Naukowego Warszawskiego i nakładem tegoż Okręgu wydana. Kurs pierwszy, zawierający naukę odmian foremnych. Cena egzemplarza z oprawą tak w Warszawie, jak i na prowincyi, kop. sr. 45. 12-ka. Warszawa. 1857. (W drukarni Gazety Codziennój). Napisów karta 1, przedmowy str. liczb. V i str. 279.

33. Krótki rys chemii organicznej ze szczególnym względem na rolnictwo, technologią i medycynę. Napisał Jakób Natanson magister nauk przyrodzonych. Część pierwsza. 8-ka. Warszawa. 1857. Nakładem Henryka Natansona (w drukarni Gazety Codziennój). Napisów, przypisów i rejestru kart 4. Przedmowy str. III i str. 195.

34. Matka i macocha. Obrazek przez Juliana Milkowskiego. 16-ka. Warszawa. 1857. Nakładem Henryka Natansona. (Druk Gazety Codziennój). Napisów kart 2 i str. 426. Rsr. 1, kop. 20.

35. Miesiąc Maryi, przez W. M. Nakładem I. Klukowskiego. 1857. W 18-ce, str. 109, z drzeworytem. W drukarni J. Unger.

36. O głównych wyobrażeniach i uroczystościach bałwochwalczych naszego ludu, z powodu prac J. Lelewela: Bałwochwalcstwo Słowian i R. Berwińskiego: Studya nad literaturą ludową, napisał Kazimierz Szulc. Poznań. Druk i nakład Ludwika Merzbacha. 1857. W 8ce str. 64. Kop. 60.

37. Obrazki dramatyczne, przez Sewerynę z Zochowskich Pruszkową. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda księgarza i typografa. 1857. W 12ce, str. 204. Kop. 75.

38. Objasnienia dla używających wody mineralne, przytém cennik wód mineralnych i lekarstw specjalnych apteki Karola Lilpop. Ulica Nowy-Świat, róg Ordynackiej, Nr 1313 w Warszawie. 16ka. Warszawa. 1857. W drukarni Gazety Codziennój. Str. 16.

39. O przedawnieniu podług Kodexu Cywilnego w Królestwie Polskiem obowiązującego. Traktat V. Marcadé adwokata przy sądzie kassacyjnym, przy radzie stanu i przy ministeryum spraw wewnętrznych w Paryżu i jednego z założycieli dzieła: *Revue critique de Législation*. Obejmujący krytyczny rozbiór autorów i jurisprudeneyi czyli teoretyczny i praktyczny wykład tytułu XX, księgi III. Na język polski przetłumaczył Antoni Wrotnowski adwokat przy sądzie appellacyjnym Królestwa. Z godłem:

„La science du droit consiste autant dans la réfutation des faux principes, que dans la connaissance des véritables.”

Repertoire de Merlin, V. Novation.

8ka wielka. Warszawa. 1857. Nakładem tłumacza, (w drukarni Gazety Codziennój). Napisów kart 1, i str. 412.

40. Skazówka, jak żywić, pielegnować i utrzymywać bydło rogacze, przez C. J. Eisbein, nauczyciela i administratora szkoły rolniczej w Poppelsdorf. Oddruk z Ziemiańska, pisma poświęconego rolnictwu i przemysłowi na rok 1856. Poznań. Nakładem i czcienkami Ludwika Merzbacha. 1857. W 8ce str. 55. Kop. 45.

41. Trzy palmy. (Powieść ze Wschodu). Aleksandra Grozy. Wilno. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. 1857. W 16ce str. 95. Kop. 40.

42. Urywek rozmowy oryginalnie wierszem spisany przez Jerzego Laskarysa. Warszawa. Nakładem Michała Frühlinga księgarza. 1857. W 12ce, w drukarni J. Jaworskiego. Str. 24.

43. Warszawiaczy i Hreczkosieje, komedia w trzech aktach ze śpiewkami, przez Antoniego Wieniarskiego. (przedstawiona na Warszawskim Teatrze Rozmaitości w r. 1857). Warszawa. Nakładem S. H. Merzbacha, księgarza. 1857. W 16ce, str. 108. W drukarni J. Jaworskiego.

44. Złota legenda Henryka Longfellow. Przełożył z angielskiego F. Jezierski. Ska. Warszawa. 1857. W drukarni Gazety Codzienniej. Napisów karta 1 i str. 100.



DONIESIENIA LITERACKIE.

WARSZAWA.

Życzenia nasze, jakie objawiliśmy co do wydania w edycyi zupełnej wszystkich pism Józefa Korzeniowskiego, wkrótce spełnionemi ujrzymy. Zasłużona firma księgarni Józefa Zawadzkiego podejmuje ten nakład. Pierwszych kilka tomów obejmie wyłącznie same prace dramatyczne: każdy tom sumiennego druku do 500 stronic wyniesie. W zbior ten oprócz znanych przybędą jeszcze trzy nowe i nieznane dramata. Całkowity zbiór, wraz z powieściami wyniesie do dwudziestu tomów.

— Nakładem téjże księgarni drukuje się już „Żywot Stanisława Żółkiewskiego” przez zmarłego w samej sile wieku Seweryna Gołębiowskiego. Badacz ten korzystał wiele w téj pracy z mało znanych pomników rękopiśmiennych, któremi wielce ubogacił swoją monografią.

— W XIX tomie Rozpraw Towarzystwa gospodarskiego Galicyjskiego, znajdujemy godny uwagi akt fundacyi włościanina polskiego Jana Maciąga. „Ja niżej podpisany Jan Maciąg zważywszy, iż w kraju naszym z natury rolniczym, rolnictwo jako główna podstawa dobrobytu uważaném, przeto szczególnie pielegnowaném być powinno; zważywszy, iż rolnictwo w kraju naszym, na niskim jeszcze stopniu zostaje, podczas gdy kraje z natury mniej hojnie uposażone, za pomocą umiejętności przyrodzonych, do rolnictwa zastosowanych, zakwitnęły na trwałej i niewyczerpniętej podstawie do wysokiego stopnia posuniętej produkcyi rolniczej; a będąc przeto przekonany, iż bez wykształcenia umiejętnego w tym zawodzie, osobliwie w klasie włościańskiej, rolnictwo zakwitnąć nie może: postanowiłem częścią majątku który przy pomocy Bo-

skiej przez pracę i oszczędność uzbierałem, przyczynić się do upowszechnienia umiejętności agronomicznych, osobliwie między klasą włościan, do której pochodzeniem mojem, jako syn włościana z Dzikowca obwodu Rzeszowskiego, należę.”

Tym celem, testamentem z dnia 29 grudnia 1854 r. testator legował dziesięć tysięcy złotych reńskich (6000 rubli sr.) dla Zakładu agronomicznego lwowskiego, i takąż sumę 10,000 zł. r. dla Zakładu agronomicznego krakowskiego: łącznie 80,000 złp. czyli 12,000 rs. Kuratorem tego zapisu mianował Franciszka Smolkę adwokata lwowskiego, byłego prezesa sejmowego z r. 1848. Zarząd summ oddaje Dyrekcji każdego z tych zakładów, warując, aby one na dobrach ziemskich w Krakowskiem lub w Galicyi, z bezpieczeństwem pupilarném hipotekowane były. Procent od nich obrócony być ma na cztery stypendya, po dwa w każdym zakładzie, dla młodzieży urodzonej w Krakowskiem lub w Galicyi, ubogiej i religii katolickiej. Wołą jest testatora, aby zapis ten na zawsze zatrzymał nazwisko: „fundacyi Jana Maciąga.”

Niepodobna bez serdecznej pociechy i wzruszenia odczytać aktu tego. Podczas gdy miliony kapitałów polskich na zbytki, stroje, bale i przejażdżki zagraniczne, marnie ginie: chłopek polski, majątek pracą rąk własnych zebrany, zapisuje, dawnych panów polskich obyczajem, na rzecz publiczną. W listach składek, które gminy wiejskie lub miejskie czynią dla utworzenia szkół niższych w Galicyi, znajdujemy także dosyć często summy znaczne przez ubogich mieszczan złożone, ale mało, zbyt mało widzimy tam imion znanych. Bodajby ten zapis Jana Maciąga był dla nich przykładem, i zbawienném sumienia polskiego upomnieniem. Straciły swój blask klejnoty dawnego naszego herbarza: dzisiaj w obecnym tytule potrzeb, nowemi ofiary i pracą na nowo dokupywać się każdemu z nas szlachectwa, w starém znaczeniu, przystoi. Dawne imię, jak stary, ciężki pancerz gniece ludzi, których własna a ciągła zasługa nie podnosi.

— Wincenty Pol nadesłał do Warszawy przyjaciółom i znajomym kartkę pogrzebową, uwiadamiającą ich o zgonie swęj matki: przytaczamy ją dosłownie. „Eleonora z Lonszanów Franciszkowa Półowa wdowa przeżywszy lat 82, opatrzona ŚŚ. Sakramentami spoczęła w Bogu po krótkiej chorobie dnia 15 kwietnia 1857 r. w klasztorze PP. Dominikanek na Gródku. Nabożeństwo żałobne rozpocznie się w tymże kościele na Gródku dnia 17 kwietnia b. r. o godzinie 9 z rana; exportacya na cmentarz o godzinie 11-tėj. W smutku pogrążony syn i wnuk Stanisław, zapraszają wiernych na nabożeństwo żałobne.” Przyjaciele i wielbiciele talentu naszego wieszczą, dzielając jego boleść, zbrali się w dniu 25 kwietnia w kościele św. Karola Boromeusza na żałobne nabożeństwo, wnosząc modły za duszę świątobliwej matrony, która swe uwieczniła imię w pamięci narodu, dawszy mu syna, który potęgą słowa budzi zmarłą przeszłość i umie pocieszać serca rodaków.

— Hippolit Skimborowicz, będąc jeszcze w Akademii wileńskiej, wypracował artykuł dziejowy (jak sam wyraża) o stanie dawnym i nowszym ludu w ziemiach ruskich. Należałoby, ażeby autor przedmiot tak ważny albo ogłosił w jedném z pism naszych, lub w oddzielnej wydał książce.

— Pismo „Przyroda i przemysł” na r. b. coraz większej nabiera wartości i odznacza się więcej jak w roku zeszłym artykułami oryginalnymi. Czytamy w nim: O piorunach Adama Mieczynskiego. Narzędzia i maszyny rolnicze uznane za najpraktyczniejsze (z rycinami: H. Cegielskiego. Kopernika tudzież innych astronomów polskich w geografii zaśługa, Joachima Lelewela. Nauka o truciznach i sposobach używanych w razie zatrucia, skreślona w krótkim zarysie przez Dr. Władysława Szafarkiewicza. List profesora Jastrzębowskiego do redakcyi Przyrody i przemysłu. Korrespondencya z Waszyngtonu w Stanach Zjednoczonych. Aforyzmy o pracy przez Wojciecha Jastrzębowskiego. Przystępna cena prenumeraty złp 40 rocznie, lub półrocznie 20, pismu tak użytecznemu powinna dać u nas wielkie rozpowszechnienie.

— Znany poeta Aleksander Groza ułożył książkę do nabożeństwa p. n. „Oltarzyk Berdyczowski”, który został wydrukowany w Kijowie u J. Zawadzkiego, nakładem OO. Karmelitów Berdyczowskich. Oprócz zasobu i doboru modlitw i pieśni nabożnych, są: „Gorzkie żale”, które lud nasz tak lubi, a są przytém bez zepsucia ich prostoty umiejętnie poprawione. Nadto z bogacił nasz poeta książkę swoją godzinkami o N. Pannie Berdyczowskiej, Częstochowskiej i o św. Kazimierzu. Na końcu umieszczone są zajmujące opisy dwóch koronacyj Najświętszej Panny Berdyczowskiej. Cena nadzwyczaj niska: książka licząca do tysiąca stronnic, oprawna w półskórek kosztuje złp. 5. Exemplarze na lepszym papierze, w kosztowniejszej joprawie i z ozdobami introligatorskimi, po cenie mało co podniesionej.

— W jednym tylko exemplarzu, na pokazanie nadesłanym, oglądaliśmy „Plejadę polską”, wydaną staraniem Bolesława Maurycego Wolffa. Wydanie ozdobione drzeworytami. Petersburg, nakładem wydawcy, 1857 r, w formacie małym arkuszowym str. 200. Plejada ta zawiera: 1) Wiesława, sielankę krakowską Kazimierza Brodzińskiego. Rysunki M. Fredry, J. Kossaka, L. Straszynskiego. 2) Jan Bielecki, poemat Juliusza Słowackiego. Drzeworyty rysunku Juliusza Kossaka, rytowane przez pp. Pisan, Laveille, Sotain. 3) Luli niemowlęciu Iwoni, wiersz J. Bohdana Zaleskiego. Drzeworyty rysunku Leona Straszynskiego, rytowane przez pp. Laveille i Sotain. 4) Wiązanie Anielce, wiersz Edwarda Wasilewskiego. Drzeworyty rysunku L. Straszynskiego rytowane przez pp. Laveille i Pisan. 5) Lirnik wioskowy, sielanka Władysława Syrokomli. Drzeworyty rysunku Franciszka Kostrzewskiego, rytowane przez pp. Pisan i Sotain. 6) Przygody JP. Benedykta Winnickiego, Wincentego Pola. Drzeworyty rysunku Leona Straszynskiego, rytowane przez pp. Laveille, Pisan i Hohenfelden. 7) Wesele, łyż przez Antoniego Odyńca. Drzeworyty rysunku Maxymiliana hr. Fredry, rytowane przez pp. Hohenfelden i Cui. 8) Sierota, legenda ks. Ignacego Hołowińskiego. Drzeworyty rysunku Leona Straszynskiego, rytowane przez pp. Freund i Hohenfelden. 9) Sobótka, powieść Seweryna Goszczyńskiego. Drzeworyty rysunku Leona Straszynskiego, rytowane przez pp. Laveille, Pisan i Sotain. Tom jeden, cena złp 50. Obszerniejsze o tej publikacyi podamy sprawozdanie, skoro się znajdzie w obiegu księgarskim: teraz nadmienim tylko, że to jest pierwsze dzieło, które można nazwać prawdziwie ilustrowaném, i które może walczyć o pierwszeństwo pod

względem typograficznym i co do odbicia drzeworytów, z najpiękniejszemi wydaniem paryżkiemi i londyńskimi.

— Młody literat p. Leopold Hubert nie ustaje w chwalebném usiłowaniu przyswojenia literaturze naszej *Historji państwa Ottomańskiego* p. Hammera, i już dwa tomy tego 18 tomowego dzieła, wraz z przypisami w nich zawierającemi się wytłumaczył. P. Hubert tém mianowicie pobudzony został do podjęcia tego pracowitego przekładu, że znalazł w rzeczonym dziele mnóstwo wiadomości o dawnych stosunkach Polski z mocarstwami obcemi. Nie wątpimy, iż na wydanie tak użytecznego nam dzieła rychło znajdzie się nakładca.

— „Czytelnia Niedzielną” pod redakcją pani Aleksandry Petrów, coraz większe znajduje upowszechnienie, czego dowodem powiększająca się codziennie liczba prenumeratorów. Dobór artykułów, staranność redakcyi, nadają temu pismu wysoką wartość i współczucie czytelników. Przywiedziem tu list dwóch chłopków Wasyla Berynda i Antoniego Nockiego ze wsi Tomaszówki na Podolu pisanego pod datą 16 lutego r. b. do redakcyi Czytelni Niedzielnj. „Pocziwe pismo wasze, tyle ogólnego współczucia obudzające, i tak w całym kraju rozpowszechnione, doszło i do naszego rodzinnego siola na Podolu. My synowie biednego ludu wiejskiego, po znojných i ciężkich pracach rolnych, z niewypowiedzianą chęcią, z uczuciem rzewnej dla was wdzięczności odczytujemy każdy numer Czytelni; a ileż moralnej korzyści, osłody w smutnej doli naszej, nadziei i lepszej otuchy, każdy taki numer przynosi naszemu sercu! Cześć wam i waszym współpracownikom za tę miłość braterską dla młodziej braci w Chrystusie, za wszystkie trudy około polepszenia i oświecenia ich serc, ich umysłów: niech was Bóg błogosławi, niech wspiera wasze dążenia święte i szlachetne, i wynagrodzi dojsciem do celu. Oby duch miłości Chrystusowej ogrzał wszystkie serca, stopił lody zobojsnienia i połączył w jedną rodzinę społeczną naszą. Przyjmcie łaskawie podziękowanie nasze płynące z szczerego chłopskiego serca i wysłuchajcie prośby. Pragnąc odbierać Czytelnię Niedzielną w biegnącym roku, upraszamy redakcyi przysłać nam numer jej pod adresem: „Wasiliu Fedorowu Beryndie krestyjaninu siola Tomaszówki w podolskiej gubernii w M. Jarmolincy, w dwóch exemplarzach a w jednej kopercie. Należność zaś rubl sr. sześć załączamy.

Wasyl Berynda.

Antoni Nocki

(Ten własnoręcznie się podpisał).

— Edward Kottubaj wydał zapowiedziane przez nas dzieło p. n. „Galerya Nieświejska portretów Radziwiłłowskich”, z drzeworytami Michała Starkmana. Dzieła tego wyszedł pierwszy zeszyt: sześć zeszytów, a druku od 35 do 40 arkuszy całość będzie składać. Drzeworyty wcale udatne: druk drobny i ścisły, życiorysy obszerne, stawiają tę publikacyą w rzędzie ważniejszych i przynoszących obfitą dla dziejów naszych pomoc. Zeszyt ten zaczawszy od najdawniejszych czasów, kończy się na Mikołaju Radziwille Rudym (Rufus). Zdaje się, że praca Józefa Łoskiego obywatela Podlasia, ogłoszona w naszym piśmie: „Galerya portretowa Sapiehow” (Bibliot. Warsz. 1856 r.) podała pierwszą myśl, a bardzo szczęśliwą do Galeryi Nieświejskiej. Przedpłata na całe dzieło

w Wilnie wynosi rsr. 7 kop. 50, z pocztą rsr. 9. Skład główny u Maurycego Orgelbranda w Wilnie. Życzylibyśmy szanownemu wydawcy, ażeby więcej krytycznie korzystał z materiałów jakie ma pod ręką, gdyż na pierwszy rzut znaleźliśmy usterków niemało. Myśl piękna p. Kotłubaja, może zachęci i p. Łoskiego, który zająwszy się szczerze wydaniem „Galeryi portretowej Sapiehów, i odbiwszy na większą skalę kilka portretów w jednej z litografii warszawskich, powstrzymał się z jój ogłoszeniem. Może z pewnością przecież liczyć na to, że nakład wrócony mieć będzie przez lubowników pamiątek krajowych, którzy go chętnie wesprą prenumeratą.

— Znany z tyłu prac ważnych i uczonych Alex. hr. Przezdziecki, przygotowuje do druku: „Listy Jagiellonek.“ Jestto zbiór listów siostr Zygmunta Augusta, które nasz badacz w archiwach zagranicznych odszukał, a dopełnić je zamyśla korespondencyami, jakie się jeszcze w naszym kraju wynajdą. Szczególniej wiele znalazłoby się listów Anny Jagiellonki: drukowane nawet, naszym zdaniem należałoby do tego szacownego zbioru wciągnąć, aby zbiór ten uzupełnić. Postać Anny, późniejszej małżonki Stefana Batorego należy do pięknych figur historycznych i wszelkie po niej pomniki godzi się troskliwie zbierać i uzupełniać. Ambroży Grabowski ogłosił kilka jój listów; Dziennik warszawski z redakcyi J. K. Ordyńca, również jak Dziennik warszawski redakcyi Juliana Bartoszewicza. Archiwum Komissyi rządowej przychodów i skarbu posiada te oryginały. Zebraniem w jedną całość tak nieznaną, jak rozproszoną po zapomnianych już pismach peryodycznych, danaby była wielka pomoc dla badacza, któryby postać Anny Jagiellonki to jako niezamężnej, to jako małżonki wielkiego króla i wreszcie jako wdowy chciał odmalować na tle właściwego wieku. Trzy jój siostry już poza tą wyniosłą postacią stoją, jakkolwiek nieobojętne dla nas. Oprócz tych listów hr. Przezdziecki przygotowuje zbiór bull papieżkich dotyczących Polski: wiele zdobył niedrukowanych wcale. Zamierza do tego zbioru wcielić i drukowane, ażeby całością zupełną ubogacić naszą literaturę historyczną. Pięknato myśl, obyśmy jak najrychlej ujrzeli ją urzeczywistnioną przez ogłoszenie drukiem.

— Premium, jakie August hr. Cieszkowski za pośrednictwem naszego pisma za powieść przeznaczył, pozostało bez skutku. Obecnie gdy ta gałąź literatury rozwinęła się tak bujnie, sądzimy, że należałoby zwrócić raczej uwagę na stronę dramatyczną. Teatr nasz bardzo ubogi, repertuar jego zarzucony jest tłumaczeniami prawie, i to nędznych ramot francuzkich, w których przebierają takie, gdzie są wdzięczniejsze role dla artystów. Fredro umilkł, Korzeniowski z wielką szkodą dla naszej sceny rzucił się więcej na stronę powieściową: i ten potężny głównie w dramatach talent, od lat wielu wyłącznie poświęca pióro powieściom. Czy te, jakkolwiek znakomite utwory potrafią nam zastąpić stratę jaką ponosimy w literaturze dramatycznej?—zostaje jeszcze wielkiem pytaniem. Obrazki A. Wieniarskiego zajmują scenę wraz z fraszkami francuzkiemi: krytyka teatralna milczy, bo czyż warto mówić o scenie, na której zjawiskiem tylko przechodniem bywa jaki utwór oryginalny? Zwracając uwagę na konieczność premii dla sztuk dramatycznych, widzimy w tém i korzyść dla krajowej sceny: bo utwór uznany

za najlepszy, prędyj znajdzie może na niej miejsce, bo miedb będzie rękojnią prawdziwej wartości literackiej.

— Album lubelskiego rysowanego z natury p. A. Lerue, nakładem litografii A. Pecq'a wyszedł zeszyt III i obejmuje tekst i widoki: 1. Zamek królewski w Lublinie wraz z wiodącą do niego ulicą i domami. 2. Wnętrze kaplicy a raczej kościołka pod wezwaniem ś. Trójcy w obrebie zamku założonego przez króla Władysława Jagiełłę w r. 1395. 3. Stara Fara czyli kościół ś. Michała w Lublinie, założony przez Leszka Czarnego w r. 1282 w zawdzięczeniu Bogu za otrzymane nad Rusią i Jadzwingami zwycięztwo. Dniem bowiem przed krwawą i morderczą bitwą, kiedy rozłożywszy obóz w bliskości Lublina, sam się snem pod rozłożystym dębem pokrzepiał, miał we śnie widzenie, jakoby mu się ukazał archanioł i miecz dla pobicia nieprzyjaciół podał. Po odniesionem zwycięztwie, w tém samym miejscu kościół ten zbudował. I w rzeczy samej przy rozbieraniu murów tego gmachu, znaleziono pod mensą wielkiego ołtarza pień dębowy starannie cegłą wokoło obmurowany. Kościółek ten już nie istnieje: w roku 1856 do reszty rozebrany został. 4. Katedra w Lublinie i wieża Trynitarzka, dawniej kościół ks. Jezuitów. Piękne to wydawnictwo obznajamiające nas dokładnie z zabytkami starożytnych pomników budownictwa, zasługuje na jak największe upowszechnienie i współzucie, tém bardziej, że cena przystępna ułatwia nabycie. Wdzięczni jesteśmy p. Lerue za tę publikacyą, która niewątpliwie obudzi chęć w naszych artystach do dania nam podobnych zbiorów ze stron kraju naszego najwięcej zajmujących. Kazimierz nad Wisłą, Kielce, Sandomierz, Radom, Piotrków, Płock, Kalisz i tyle innych, nawet mniejszych grodów, zasługują, ażeby w podobnych albumach znalazły zachowanie starożytnych pomników swoich.

— Jużesmy nieraz wspominali jak późno książki wydawane we Lwowie, Krakowie, Kijowie, Wilnie i Petersburgu dochodzą do nas. B. M. Wolff w szczególnych widokach przemysłowych swoje nakłady chowa, i po roku lub dwóch po wyjściu z pod prasy dopiero do Warszawy nadsyła z Petersburga. Jakie w tém ma rachuby, to jest jego tajemnicą: czy opóźniając ich obieg w handlu księgarskim odniesie spodziewane korzyści, czas pokaże. Wszakże z innych miejsc przez brak komunikacyi to opóźnienie następuje. Tak w r. b. dopiero otrzymaliśmy przekład poematu Lermontowa p. ii. „Bojar Orsza“ przez G. C. wydanego we Lwowie 1855 r. Z pięknego tego przekładu podamy ustęp, kiedy główny bohater Arseni przebiega pole bitwy i znajduje Bojara Orszę, ojca swojej kochanki.

„Pomiędzy miecze w drzazgi zsiekane,
Pomiędzy kopii drzewce strzaskane,
Sunie się jeździec na czarnym koniu,
I czegoś szuka po krwawém błoniu;
Ku grzywie końskiej raz się pochyli,
To znów w strzemionach staje po chwili:
Któż on? nie Ruski i nie Lach wcale,
Choć na nim polska szata, wspaniale
Srebrem i złotem polyska oku,
I polska szabla wisi u boku.

A gdy koń skoczy spłoszony jękiem,
 O żebra końskie tłucze się z brzękiem.
 Spadziste czoło i sńiade lice,
 Płomiennym żarem skrzzące źrenice
 Zdają się mówić, że jeździec owy,
 Co sunie zwolna przez plac bojowy,
 Zrodził się kędyś między Tatory...
 Nie był on młody, i nie był stary;
 Ale na jego smagławej twarzy,
 W jasnych połyskach piękność się żarzy:
 Widno, że myśli burzliwych siła,
 Smutném się piętnem na niej wyryła,
 A złe i dobre, co w duszy tkwiło,
 Jakby w zwierciadle w niej się odbiło.
 I znać, że człowiek z rysy takimi
 Więcej przecierpiał, jak żył na ziemi.

W pośród doliny kurhan wyniosły,
 Nad nim dąb olbrzym bujnie wyrosły,
 Silnie go jedną podpiera stroną,
 Ku niebu strzela wzniosłą koroną,
 I niby żywy namiot cienisty
 Zwiesił nad kurhan szczyt gałęzisty.
 Tutaj znać bójka najsilniej wrzała,
 I tu zacięła. Poległych ciała
 Gęsto pocięte: rana przy ranie,
 Snem nieprzespanym śpią na kurhanie,
 A do okola od krwi strumieni
 Na wskroś przesiąkły śnieg się rumieni,
 Od końskich kopyt w ziemię wdeptany.
 Stary dąb miejsce w miejsce zrąbany,
 I krew się na nim czerwieni spiekła,
 Jakby z ran jego ciężkich wyciekła.
 Jeździec na kurhan koniem wyskoczył,
 I rażno z konia na ziemię skoczył,
 Rzucił dokoła spojrzeniem dzikiém,
 I tak przemówił cudzym językiem:
 „Tak—tu być musi, martwy czy żywy:
 Widziałem dobrze, jak starzec siwy
 O ten dąb stary wsparty plecami,
 Bił się jak wściekły z pięcią *rabami*, (1)
 I nacięty od każdej strony
 Ciał się zajadle, jak dzik zraniony;
 Widziałem, w górze jego prawica
 Trzy razy migła jak błyskawica
 I znów opadła. Za każdym razem,
 Kiedy nad głową błysnął żelazem,

(1) *Rab*, sługa, niewolnik.

Świeżej krwi strumień po mieczu ściekał:
Czwartego cięcia napróznom czekał..
Ujść... on nie uszedł! Duma zuchwała
Ujśćby mu z pola boju nie dała."

Wtém jakiś szelest i jęk stłumiony
Posłyszał jeździec od dębu strony;
Spojrzał i zadrzał: „To on!” Pod dębem,
Z skrwawioną głową, z zaciętym zębem,
Bojaryn Orsza z trudem oddycha,
Poruszył usta i szepnął zcicha:

„Poznałem ciebie! choć inna szata
Kryje twe ciało; choć mnogie lata
Zbiegły od chwili, gdy cię widziałem!
Tak jest: Arseni! Ja cię poznałem!
Poznałem dzikie twoje spojrzenie,
W którym piekielne grają płomienie;
Poznałem czoło chmurne i blade,
Na którym całą swoją szkaradę
Wyryły zbrodnie, jak piętno grzechu:
Widzę szyderstwo w twoim uśmiechu,
Co dręczy duszę jak żmii technienie;
Poznaję głosu twojego brzmienie,
Tak mi pamiętne, choć dźwięki nowe
Obce i dzikie wmieszałeś w mowę.
Pozór zdradliwy mnie nie omyli,
I wiem po coś tu przybył w tój chwili:
Ale cię twoje chęci zawiodły,
Daremny trud twój zmienniku podły:
Chciałeś, nim życie ze mnie wypłynie,
Obaczyć w strasznej skonu godzinie,
Jak mnie strach śmierci zgniecie, przytłoczy,
Mojem cierpieniem chciałeś paść oczy;
Lecz wiedz nikczemny: nieczem mi życie,
I żal mi tylko, że serca bicie
W piersiach zastyga; że legnę w grobie,
Nim się méj hańby pomszczę na tobie!
Żal mi, że we krwi, którą się zmyłem,
W której po łokcie ręce zboczyłem,
Nie ma ni kropli, ni odrobiny
Krwi twojej—zbójco, mojej rodziny.”

— Nowej seryi Księgi Świata na r. b. nakładem księgarza S. H. Merzbacha wyszło dwa zeszyty i obejmują: 1. Zatoka Bantry w Irlandyi (ze stalorytem). 2. Dzielnica chińska w Jawie. 3. Kraby (z ryc. kolor.). 4. Wybuch wulkanu Mauna Loa na wyspach Sandwich. 5. Kandydaci do prezydentury Stanów Zjednoczonych (z trzema drzeworytami). 6. Katakumby. 7. Łańcuch gór Himalaja (ze stalorytem). 8. Odwiedziny Władyki Czarnogórza. 9. Podjazd Turkuć (z ryc. kolor.). 10. Wycieczka do Alghero w Sardynii. 11. Katedra w Włocławku przez Juliana Bartosze-

wieża (z ryc. litograf.). 12. Domy przemożne z dwoma drzeworytami. 13. Malwy (z ryc. kolor.). 14. Wyprawy naukowe do Afryki podrównikowej. 15. Religia powstańców chińskich. 16. Hamburg (ze stalorytem). 17. Nowy gatunek węża w Polsce. 18. Kwas siarczany i jego zastosowania w przemyśle. 19. Smierdziel amerykański (z ryc. kolor.). 20. Z czego powstało podanie o amazonek. Z tej treści przekonać się mogą nasi czytelnicy, jak zajmującą i użyteczną jest publikacja Księgi Świata. Młodzież czerpać z niej może naukę, starsi wiekiem znajdą miłą rozrywkę i nieraz objaśnienie w kwestyach bieżących, o których spotykają lekkie lub niedokładne napomknięcie w pismach codziennych. Życzyćby należało, ażeby redakcyja tak sumienna i staranna wprowadzić mogła w Księgę Świata dokładne opisy ludu naszego i charakterystyki jego, bacząc na jego zwyczaje, podania i literaturę, a zarazem i opisy różnych okolic i pomników starożytnych polskich. Czytaliśmy już nie jedną w Księdze Świata w tym rodzaju pracę, pragnęlibyśmy się częściej z krajowemi przedmiotami spotykać, na które znajdzie się miejsce w obszernych ramach tego pisma.

— Deotyma ukończyła wielkich rozmiarów poemat p. n. „Piaś.” Małe wyjątki z tego nowego utworu już znają czytelnicy nasi. Przygotowała nadto drugą seryą poezyi i improwizacyi do druku.

J. I. Kraszewski w ostatnim liście swoim do Gazety Warszawskiej, tak odpowiada na zarzuty Przeglądu zrobione Syrokomli, a ogłoszone u nas za pośrednictwem Kroniki. „Z westchnieniem odczytaliśmy też listu wyjątek: dokądto prowadzi nas podzielenie się na stronnictwa i nie logiczność wyłącznych zdań, mających niby jakieś przekonanie partyi popierać? do upatrzenia naprzykład w Syrokomli, niemoralności, nienarodowości! do wyklinania pocziwych jego poetycznych zachwytów, do despotycznego zawracania z drogi poety, który idzie za natchnieniem Bożem pewniej, niż krytyka co się modli i żegna, a w imię Boże rzuca kamieniem na najpocziwszych dlatego tylko, że z nią do jednego bractwa należeć nie chcą, i obrony szlachty i arystokracji *quand même* nie podejmują. A! smutneto i przykre, i do czego pytam powtóre, prowadzi? Oto do uznania błędów społeczeństwa naszego za cnoty, do zamilczenia wad, do pochwalania złego, do wiekuistego pozostania w grzechu, bez nadziei poprawy. I to się dzieje w imię Chrystusowe, w imię katolicyzmu? Kamieniem pędzą do roboty przeciw przekonaniu. Ha! możemy w błędzie, ale to dla nas niepojęte rzeczy. Nie znamy ani pocziwszej, ani poetyczniejszej duszy i serca, ani silniej przejętej uczuciem miłości ku swojej ziemi i bliźnim nad Syrokomlę, wyklętego przez Przegląd, i wolimy niewyrozumowany poryw poety ku jego ideałom, niż rozumne systemaciki skrybenta, który stoi z różgą na miedzy i zda mu się, że ptakom niebieskiu górą ponad głową swoją latać zabroni.”

Włodzimierz Wolski przygotował do druku dwa tomy swoich poezyi: z dawniejszych mieszczą się tu poemata: Ojciec Hilary, Wielki pan; z nowych: Połoska, oraz wiele drobniejszych utworów. Adam Zawadzki wyda wkrótce tegoż pisarza zbiór powieści drobniejszych.

— Nakładem S. H. Merzbacha: „Pamiętniki historyczne”: rękopism ś. p. Święckiego, wydawany i mający być poprawiany co do dat i sprostowań koniecznych przez H. Lewestama, przeszedł teraz pod

redakcją Juliana Bartoszewicza. Dzieło to zyska teraz bardzo wiele, bo nietylko będziemy mieli rękojmią w poprawie wielu uchybień samego autora, ale spodziewamy się z bogatego zapasu notat naszego badacza, wiele dodatków ważnych i sprostowań.

— Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych w Nrze 124, pisząc o Zabawach przyjemnych i pożytecznych panny Józefy Śmigielskiej, taki ustęp zamieściła: „Czyż Rozrywki pani Hoffmanowej, wtedy, gdy wychodziły, znalazły takie ocenienie jak dzisiaj? Słyszeliśmy niedawno z ust wiarogodnych, że nawet w początkach swego zawodu, ta autorka wystawioną była na szyderstwa. Mówiono, że kiedy już ma taką nieszczęsną manię pisania, to żeby przynajmniej, papier który zaczerpni pod cztery klucze schowała, zamiast go dawać do druku.” Jakkolwiek pojedynczego zdania, przywiedzionego zaprzeczać trudno: co do wiadomości podanej zaprotestować musimy. „Rozrywki dla dzieci:” znalazły dorazu jak najprzychylniejsze przyjęcie i współczucie, a następnie i rozgłos w kraju całym: gdy równocześnie poważne pismo naukowe i odznaczające się doborem artykułów „Dziennik warszawski,” nie mógł opędzić kosztów tylko druku i papieru, i w ostatku zeszedł do osiemnastu prenumeratorów, Rozrywki ciągle miały do kilkuset prenumeratorów.

— „Ruchu muzycznego: tygodnika pod redakcją Józefa Sikorskiego mamy wydanych 9 numerów. Pismo to coraz więcej się upowszechnia, coraz liczniejszych znajduje prenumeratorów. I rzeczywiście ze wszęch względów zasługuje na nasze współczucie. Artykuły starannie i z talentem pisane, język śliczny, cena nadzwyczaj dostępna. Zwracamy uwagę naszych czytelników na odezwę redaktora „do dzisiejszych i przyszłych współpracowników,” z której jeden ustęp musimy przywieść:

„Dziś jeszcze wszyscy żyjemy to odosobnieniem skutkiem odległości i nienawyknienia, to przemożeni owemi cieniutkami na mappie kreskami, które fatalne pojęcie granic nam narzuciły, porozdzielały nas na jakieś stronnictwa tém szkodliwsze, że niewydatne, że przymusowe, więc przymus rozszerzające. Nie wiemy więc co myślimy naprawdę, czego nam istotnie potrzeba: nie przyszło nam nawet pomyśleć o tém na seryo. Żyjemy z dnia na dzień jak wyrobownicy, dla których przeszłość jest niczém dlatego, że z niej wycisnąć nic nie umieją: dla których przyszłość jest także niczém, bo nie mogą sobie wytchnąć prostej i jasnej do niej drogi, może w nią nie wierzą, jak nie umieją oryentować się w terażniejszości nawet. To odosobnienie, w którym pojedynczy żyją myśliciele, odbiera działaniom ich siłę, bo ją niewidzialną czyni, nieużyteczną zatem. Różnorodne kierunki myśli, różnorodne żywioły zwijają się same w sobie w kłęb martwy i próchnieją. Jak w obszarze kraju ubogim w komunikacyjne środki i targowiska, zamiera przemysł, choć nie brak materiałów surowych i rąk gotowych do ich przetwarzania: tak w krainie ducha, brak środka porozumienia się, zabija w zarodzie wiele myśli potężnych, nowych, płodnych w następstwa.

W takim stanie rzeczy dojść do czegoś znakomitego niepodobna, a przynajmniej nie tak prętko. A czas nietylko dla pojedynczych ludzi kosztowny, dla ludów także.” (Ruch i użyczny Nr 7 str. 52). Nie

jestże to dokładny obraz pracowników na niwie literackiej u nas: których choć szczupłe grono, rozpiezcha się jeszcze pod rozmaitych stronictw sztandary? Pisma peryodyczne oddzielne potworzyły sobie stronictwa, które groźnie występują jedne przeciw drugim. Rozdział ten, jak widzimy, gorzkie dla literatury wydaje owoce. Wracając do „Ruchu muzycznego,” z wydanych dotąd numerów możemy mu najpomyślniejszą wróżyć przyszłość, i nie wątpimy, że dotrzyma pola innym w tym rodzaju zbyt szumnie zapowiedzianym publikacyom.

— „Pieśni ludu polskiego,” zebrane i wydane p. Oskara Kolberga, wyszedł zeszyt szósty i ostatni, tej zajmującej i wielce ważnej dla nas pracy. Całość tej seryi stanowi grubą księgę o 448 stronach, z 10-cią rycinami kolorowanemi, przedstawiającemi kmiołków naszych tak z okolic Warszawy, Mazurów, jak i od Szkalmierza dzielnego Krakowiaka w kierezyi i z biczyskiem w ręku. O ile wiemy szanowny wydawca ma się bezwzględnie zająć wydaniem drugiej seryi tych pieśni ludowych z melodyami. Gdy to dzieło dojdzie do braci naszych Słowian, nabiorą przekonania, że lud nasz pod względem melodyi najwyżej w całej Słowiańszczyźnie stoi.

— Do rzadkości bibliograficznych u nas należy: „Skorowidz wszystkich miejscowości położonych w królestwie Galicyi i Lodomeryi, jako też w Wielkiem Księstwie Krakowskiem i Księstwie Bukowińskiem pod względem politycznej i sądowej organizacyi kraju: wraz z dokładnem oznaczeniem parafii, poczt i właścicieli tabularnych, ułożony porządkiem abecadlowym. Z mapką według nowego podziału.” Lwów nakładem Karola Wilda, drukiem Kornela Pillera, 1855 w 4-ce, str. 267. Text cały polski, karta tytułowa w połowie po niemiecku. Mapa cała z nadpisem i nazwy miejsc po niemiecku. Jest ten Skorowidz zupełnie odpowiednim wyczerpanej już u nas: „Tabelli miast i wsi etc. w Królestwie Polskiem.” Cena złp. 15 (do nabycia w księgarni H. Natansonaj).

— Rozrywek dla młodocianego wieku p. Seweryny z Żochowskich Pruszkowej wyszedł zeszyt 15, czyli ostatni piątego tomu. Stosownie do prospektu, serya ta tej zajmującej i pełnej wartości publikacyi ukończoną została. Redaktorka przygotowała nowe zasoby do drugiej seryi, a księgarz Henryk Natanson podejmuje nakład. Przychylnie przyjęcie jakiego to pismo w krótkim czasie znalazło, powinno być zapowiedzią chętnego przyjęcia i upowszechnienia mającej wyjść seryi, która podobnie jak pierwsza składać się będzie z pięciu tomów ścisłego druku, w ozdobnem wydaniu.

— Otrzymujemy wiadomość, że nasz ulubiony poeta, Wincenty Pol, ma stały zamiar wyniesienia się z coraz więcej niemczonego Krakowa, i osiedlenia się stałego na Podolu Galicyjskiem w ustronia wiejskiem. Straty bolesne dla serca swego jakie poniósł przez zgon przedwczesny żony, a następnie sędziwej matki, gorzki niejednen zawód doznany, zmusza go do opuszczenia murów starożytnego grodu. Bodajby w zaciszy wiejskiej znalazł żądany spokój i swobodę myśli, a literatura nasza zyskałaby jeszcze niejednen wzniósłny utwór okoczańego wieszczca.

Kraków, „Ten rok (pisze Czas, dodatek na kwiecień r. b.) można powiedzieć zaczął się pod szczęśliwą wróżbą dla naszego piśmiennictwa naukowego: ledwo bowiem znakomite i wielce pożądane dla historii

ojczystego prawa dzieło A. Z. Helcla opuściło prasę, zaraz zjawia się czcionkami drukarni Czasu gruby tom Fizyologii zmysłów, wyłożonej przez Dra J. Majera prof. fizyol. w Krakowie. Uczony ten mąż oprócz tyłu zasług ma jeszcze tę wielką zasługę, że pisząc w ojczystym języku nietylko wzbogacił go całym działem terminologii lekarskiej, ale nadto jak się o nim wyraził sławny fizyolog Purkynie z powodu pierwszej części jego dzieła: „Fizyologia układu nerwowego,” że: „jeżeli prof. Majer przejdzie tym sposobem wszystkie oddziały fizyologii, natenczas Polacy będą mieć dzieło naukowe téj zupełności i dokładności, jakie nateraz w Europie jedynie od Niemców oczekiwać i od nich dopiero na różne języki przekładać się zwykło.” Zaszczytna ta pochwała męża takiej naukowej powagi jak Purkynie, przekonywa, że i u nas są siły naukowe mogące iść o pierwsze z polegami naukowymi zagranicy. Wydawca p. Friedlein niczego nie szczędził, aby dzieło to wyrównało najszlachetniejszym, a oraz ekonomicznym jak na książkę naukową przystoi. wydaniom lipskim lub paryżkim.—W téjże drukarni Czasu wyszedł Rocznik 38 Towarzystwa Dobroczynności miasta Krakowa z r. 1856. Znajduje się w nim ciekawa historyczna wiadomość o starożytnym obrazie N. Panny w kaplicy Kołetek, napisana p. Konstant. Hoszowskiego b. senatora, a następnie inne szczegóły odnoszące się do administracyi funduszów Towarzystwa Dobroczynności. Oprócz niemieckiego przekładu Maryi Malczeskiego przez Schrola wydanego w Krakowie, a który jest chwalonym przez niemieckie dzienniki, wyszedł inny przekład tegoż poematu u Breitkopfa w Lipsku. P. Tessarczyk wydał trzeci zeszyt żywota cesarza Ludwika Napoleona. Czytelnik domowej Wildta wyszedł już 5 zeszyt, zawierający dalszy ciąg romansu Dred. W Lahr wydano niemiecki poemat pod napisem: Herr Luxus, eine polnische volkssage: z godłem: „zaczął złotem, skończył błotem.” Przedmiot ten wzięty jest z powieści gminnej: Pan Zbytek, znajdującą się w zbiorze pism szanownego Wójcickiego, z których przeniósłszy do Wurzbachowego dzieła: „Die Sprüchwörter der Polen,” posłużył za temat nieznanemu poecie. Utwór ten zaleca się prostotą i płynnością wiersza, w harmonii z treścią powieści gminnej. Alfred Arneth wydał po niemiecku: „Własnoręczną korespondencyą Karola III hiszpańskiego (później Karola IV cesarza) z kanclerzem czeskim hr. Wratisławem († 1742).” W dziele tém jest i dla historyka polskiego niejedna rzecz nowa, która rzuca światło na dyplomacyą polską czasu wojen o sukcesyą hiszpańską. Listy te pisane były po niemiecku własnoręcznie jako między poufałemi przyjaciółmi. Na próbę tu list jeden. Król Karol pisał 12 lutego 1710 r. „O Prusach będziecie już wiedzieć, że zawarły szkodliwe przymierze ze Szwecyą i wciągają do niego Hannover, który marzy o koronie rzymskiej: prócz tego słyhać za rzecz pewną, że Polska (August Saski) chce swego syna zrobić katolikiem w nadziei ożenienia go z jaką małą arcyksiężniczką, aby tym sposobem dostać z czasem koronę rzymską: sami poznacie, jakieby z tego wyniknęły następstwa i spuszczaam się na was, że będziecie mieli dobro swoje na uwadze, które całkiem w wasze ręce składam.” Hr. Wratisław odpisał na to. „Nie jestto bez ale, że Albani nalegają na króla Augusta (polskiego), aby kazał syna wychowywać w wierze katolickiej i że król obiecał mu i papieżowi jako głowie kościoła.” Chociaż politycznie mówić

o tém nawróceniu nie wypada zaprawdę domowi rakuzkiemu, wszelako sumienie nasze nie dopuszcza, abyśmy temu przeszkadzali. Rzeczony król August zamierza także z powodu swojego następcy, związek z najstarszą z arcyksiężniczek cesarskich: staram się ten zamiar przewlec i usiłuję cesarza w tej maksymie utrzymać, że lubo trzeba dawać dobre słowo, ale nie można się niczém wiązać, zwłaszcza że pretendentów wielu, którzy obiecuja tym co w to wierzą, że mogą dać przytém zarobić więcej niż sto tysięcy złotych." We wrześniu 1711 roku, raz jeszcze król mówi o zamiarach Augusta i pisze: „Papież jak słyhać bardzo skłonny dać koronę rzymską księciu saskiemu. (Rzeczywiście August III ożenił się z córką Józefa cesarza).

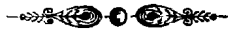
Poznań. Nakładem Ludwika Merzbacha wyszły następne dzieła: Irena, p. Paulinę Wilkońską. Pamiętniki J. Chr. Paska wydane z rękopismu Ed. Raczyńskiego, edycja 3cia. Improwizator Andersena, przekład Hieronima Feldmanowskiego 2tomy. O głównych wyobrażeniach i uroczystościach bałwochwalczych naszego ludu, z powodu prac J. Lelewela i Berwińskiego. Studya nad literaturą ludową: napisał Kazimierz Szulc. Snopek literacki, dzieło zbiorowe ułożone staraniem Pauliny z L. Wilkońskiej. *De vita et carminibus Joannis de Curis Dantisci. Scripsit Leo Czapllicki. De Triplici in materia cohaerendi statu. Disquisitione physica, autore Juliano Zaborowski. De Reinholdi Heidensteinii scriptis historicis tractavit Vladislavus Nehring.* Dowód że Napoleon nigdy nie istniał; wielkie erratum. J. K. Żupański wydał Żywot Jana Pawła Lelewela pułkownika inżynierji, a najmłodszego brata naszego historyka, który urodził się w Warszawie r. 1796, a umarł 1847 w Szwajcaryi w Bernie, i oprócz zdolności fachowych, miał jeszcze dar malowania. Z pism jego pozostały: Dziennik podróży i pobytu w Petersburgu, oraz pamiętnik pisany w kwietniu 1832 r. Drukował zaś następujące prace: 1. Le compte rendu sur les opérations du desechement du Seeland, rapport et replique. 2. Bericht über die Troknung des Seelandes. 3. Vorschlag zur Anlegung eines Bassin bei dem See. Do tych wiadomości dodamy, że J. P. Lelewel piérwszy rzucił pomysł wspaniałego zjazdu warszawskiego do Wisły w tém miejscu, gdzie dziś istnieje: widzieliśmy nadto u niego między r. 1828 a 1830, wykończone rysunki najdokładniejsze do mającego się zbudować mostu na arkadach na Wiśle. Plan ten znajduje się przechowany w Warszawie.

Tytus hr. Działyński wydaje życie Jana Zamojskiego, napisane przez Hejdenstejna, i załącza do wydania tego wszystko, co tylko posiada pism o wielkim hetmanie w swoich zbiorach. Księgarz Żupański zajmuje się wydaniem dzieł Kajetana Koźmiana: między temi mieścić się będą i Pamiętniki jego, obejmujące przeciąg czasu od r. 1780 do 1815. Poemat bohaterki tegoż pisarza „Stefan Czarniecki“ ma syn zmarłego własnym nakładem ogłosić. Wyszło już z druku „Życie Kajetana Koźmiana“ napisane przez generała Fr. Morawskiego. Nakładem L. Merzbacha ma wyjść illustrowane dzieło: „Podróż na Wschód,“ przez Emiliana Wychowskiego. August Mosbach w Wroclawiu pracuje nad krytycznym rozpoznaniem Kroniki Godzysława Łaszko, czyli jak go nazywają inaczej Paska, i stosunku jego do kroniki B guliła biskupa poznańskiego.

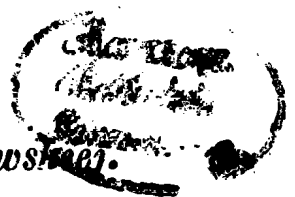
W tej pracy, która prawie zupełnie jest ukończona i wkrótce wyjdzie z druku, ma autor podług doniesienia „Dziennika literackiego lwowskiego, okazać zupełnie nowe rezultaty swych poszukiwań, i rozjaśnić stanowczo ciemną dotychczas kwestyą o tych kronikach. Mamy już tłumaczenie tej kroniki przez zmarłego Hippolita Kownackiego, ale z nieoczywistego krytyką tekstu oryginału.

Przemysł. Biblioteki Polskiej oddziału poetycznego opuścił prasę czwarty zeszyt, zawierający „wszystkie dzieła Jana Kochanowskiego.” Zdaje się, że na siedmiu zeszytach skończy się ta pożądana i nadzwyczaj tania publikacya. Wydawca p. Turowski, razem z nakładcą p. Dzikowskim, chcą przyozdobić swoje wydanie portretem nieśmiertelnego poety Zygmunta. Życzyby należało, żeby publiczność uwzględniała tyle starań, tém więcej, że pisma Kochanowskiego, będące wzorem czystości i mocy języka, składem myśli i uczuć wzniosłych religijnie, powinny się jak najwięcej rozpowszechnić, aby każdy kto czytać umie i ma jakie takie wykształcenie, czytał je, i kształcił na nich umysł i serce. W takim razie można zrobić niektóre odmiany w edycyi, dając jedną edycyą dla wyżej wykształconych zupełną, a w innej popularniejszej wyrzucając niektóre drażliwe kawałki z Fraszek, w czym ile nam wiadomo, wydawcy przemysłcy dowiedli już swojej oględności. (Przytaczając powyższą wiadomość z dodatku „Czasu” winniśmy nadmienić, że przedsiębiorczy księgarz J. K. Żupański przygotowuje (jakośmy już donieśli) krytyczne wydanie pism Jana Kochanowskiego, pod redakcyą prof. Przyborowskiego; wydanie p. Turowskiego, może zaspokoić potrzebę rozpowszechnienia pism tego poety, ale nigdy i pod żadnym względem nie potrafi stanąć obok opracowanej krytycznie edycyi prof. Przyborowskiego).

Wrocław. Nakładem W. B. Korna wyszlo tu: „Zawiedzione nadzieje.” Powieść niezmyślona, 2 tomiki (cena 2½ tal.). Utwór ten, jestto obraz osnuty na prawdach wewnętrznego życia, do których nieznanomy autor dobrał figury, które czytelnik mimowoli poznawać będzie w otaczającym go towarzystwie. Najrozmaitsze sytuacye, w których przeważają znaczne charaktery, lekkie a zgrabne piórko skreśliło wybornie. Przedewszystkiem czytelnika ujmują charaktery Karola i ślicznej Lodoli, którą autor nazwał „zwiastunką prawd żyjących w głębi duszy naszej.” Wyszedł tu pierwszy tom Kodexu dyplomatycznego szląskiego, wydawanego przez Towarzystwo przyjaciół dziejów i starożytności szląskich w Wrocławiu, zawierający dyplomata klasztoru Norbertanek w Czarnowasie niedaleko Opola. Wydawcą jest Dr. Wattenbach, przełożony prowincjonalnego archiwum szląskiego. Tytuł dzieła: „Codex diplomaticus Silesiae” etc. 1857 r. w 4-ce str. 181. Tom ten obejmuje 163 dyplomatów łacińskich i niemieckich od 1223 do 1499. Może i Towarzystwo przyjaciół nauk w Krakowie zajmie się wydawaniem Kodexu dyplomatycznego krakowskiego, obejmującego nie tylko dyplomata Krakowa, biskupstwa krakowskiego, ale i wszystkich klasztorów diecezji krakowskiej. Oddawna wyglądamy „Tynecianów” do druku przygotowanych przez Batowskiego.



Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIÉM.

Kwiecień, 1857.

Kwiecień 1857.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser-

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1g. 14m. 45s., 7 czyli w łuku 18°41'25", 5 na

watoryum Astronomiczném Warszawskiem.

ziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie wschód względem południka paryzkiego.

Data	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. środ. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z		
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz.w.	10 godz.w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz.w.	10 godz.w.		6 godz.rano	10 godz.rano	4 godz.wiecz.	10 godz.wiecz.	6 god.r.	10 god.r.	4 god.w.	10 god.w.	dę- szczy	śnie- gu	
1	☾	744.52	745.18	743.99	743.59	+ 1.5	+ 8.1	+ 13.7	+ 8.1	73.0	pr. pogod.	pochmurny	pr. pochm.	napót pog.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.			
2		742.66	742.89	742.78	743.13	+ 6.4	+ 8.9	+ 14.5	+ 9.7	81.5	poch. dész.	pochmurny	lek. pochm.	lek. pochm.	PdZ.	Pd.	—	PnW.		3.6	
3		744.79	746.10	746.41	748.54	+ 6.4	+ 10.8	+ 15.7	+ 8.5	75.0	lek. mgła	smugi	pogodny	pogodny	—	—	—	W.			
4		759.23	751.27	759.24	751.45	+ 1.7	+ 5.0	+ 13.5	+ 7.1	84.5	mgła	pochmurny	pr. pogodny	lek. pochm.	PnW.	—	PdW.	—			
5		751.08	750.79	749.36	748.94	+ 4.1	+ 7.0	+ 11.6	+ 7.0	86.5	poch. dész.	poch. dész.	pr. pogodny	pr. pogodny	W.	Pd.	PnW.	Pn.		10.0	
6		749.19	749.95	749.65	751.10	+ 3.7	+ 8.3	+ 13.4	+ 5.8	84.5	mgła gruba	l.m.napót p.	pogodny	lek. pochm.	—	PnW.	Pn.	PnW.			
7		751.93	752.27	751.87	751.97	+ 5.8	+ 8.7	+ 9.1	+ 5.2	83.8	pochmurny	pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	PnW.	PnW.	—	—			
8		750.70	750.49	749.16	749.19	+ 4.2	+ 7.7	+ 7.4	+ 4.5	90.5	pochmurny	pochmurny	poch. dész.	dészcz	—	—	PnW.	—		7.2	
9	☽	750.23	751.42	750.91	751.03	+ 3.4	+ 5.0	+ 9.8	+ 3.8	86.0	poch. dész.	pochmurny	napót pog.	pogodny	PnZ.	—	Z.	—		6.8	
10		749.00	747.59	743.60	742.56	+ 3.1	+ 7.9	+ 17.3	+ 12.2	75.3	lek. pochm.	poch. dész.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.			
11		739.84	739.31	738.96	740.60	+ 10.7	+ 15.1	+ 12.6	+ 9.1	82.5	lek. pochm.	pochmurny	dészcz	pr. pogodny	PdW.	Pd.	PdZ.	Pd.		14.4	
12		739.91	740.59	739.49	740.47	+ 6.7	+ 12.3	+ 17.2	+ 10.0	72.7	pr. pogod.	pogodny	pochmurny	poch. dész.	Pd.	Z.	PdZ.	PnW.		2.4	
13		737.49	735.22	733.88	737.63	+ 8.0	+ 10.4	+ 12.3	+ 5.6	91.0	pochmurny	dészcz	napót pog.	pogodny	PnW.	PdW.	PdZ.	Pd.		9.2	
14		738.68	738.92	741.92	745.53	+ 5.5	+ 10.8	+ 12.0	+ 6.1	75.3	napót pog.	pochmurny	napót pog.	pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	PdZ.			
15		744.99	748.87	750.99	750.72	+ 4.8	+ 9.4	+ 14.4	+ 7.1	63.7	napót pog.	napót pog.	smugi	pogodny	W.	PdZ.	Pd.	—			
16		751.77	753.32	753.67	753.75	+ 6.4	+ 11.2	+ 15.2	+ 11.8	63.8	napót pog.	smugi	pogodny	pochmurny	PdZ.	PnZ.	—	—			
17	☾	752.24	752.05	752.86	754.29	+ 8.0	+ 10.6	+ 9.0	+ 5.2	85.2	l. poch. dész.	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	PnW.	Pn.	PnZ.	Pn.		1.0	
18		755.66	757.13	757.12	758.73	+ 4.6	+ 8.3	+ 12.5	+ 7.2	64.5	mży	pochmurny	pr. pogodny	pr. pogodny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.			
19		759.75	760.57	759.39	758.91	+ 3.6	+ 9.9	+ 13.5	+ 9.6	54.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	—	Pn.	—			
20		757.78	757.49	754.49	751.97	+ 4.4	+ 12.0	+ 15.8	+ 9.1	58.3	pogodny	smugi	pogodny	pogodny	—	Z.	Z.	Pd.			
21		747.81	747.34	745.53	746.65	+ 9.1	+ 12.0	+ 13.3	+ 7.1	59.0	pogodny	pogodny	pochmurny	pr. pochm.	Z.	Z.	PnZ.	Pn.			
22		747.99	748.34	746.18	745.00	+ 2.4	+ 3.8	+ 8.6	+ 4.2	74.7	pochmurny	pochmurny	pogodny	pochmurny	Pn.	—	PnW.	Pd.			
23		741.98	742.18	741.94	743.24	+ 4.6	+ 8.5	+ 7.4	+ 4.6	84.0	poch. dész.	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	W.	—	PnW.	PnW.		6.8	
24	☽	743.85	744.63	744.01	745.41	+ 1.0	+ 3.8	+ 6.4	+ 0.9	61.3	pochmurny	lek. pochm.	lek. pochm.	pr. pogodny	Pn.	PnW.	PnW.	PnW.			
25		744.56	743.95	742.44	742.31	+ 2.6	+ 1.7	+ 3.1	+ 0.2	79.7	pr. pogod.	smugi	poch. mży	poch. śnieg	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		2.8	
26		740.33	740.68	742.07	743.62	— 0.0	+ 1.3	+ 3.5	+ 1.9	94.0	poch. śnieg	pochmurny	dészcz	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	PdZ.		3.2	
27		744.60	744.97	744.77	745.67	+ 2.1	+ 5.0	+ 6.1	+ 5.0	91.0	pochmurny	pochmurny	dészcz	dészcz	PnW.	Pn.	Pn.	Pn.		2.4	
28		747.08	747.22	747.43	748.35	+ 4.8	+ 7.9	+ 6.9	+ 5.4	87.0	poch. dész.	pochmurny	dészcz	lek. pochm.	PnZ.	PnW.	Pn.	Pn.		7.2	
29		749.72	749.91	748.29	747.77	+ 3.7	+ 9.3	+ 9.7	+ 6.7	81.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	dészcz	PnW.	—	PnW.	PnW.			
30		747.13	747.80	747.24	746.81	+ 4.8	+ 6.5	+ 10.5	+ 6.9	81.0	poch. dész.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	Pn.	Pn.		6.0	
Śre.		747.250	747.612	747.018	747.632	+ 4° 43	+ 8° 24	+ 11° 21	+ 6° 52	77.5										89.0	2.4

	m.	°.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	747.378	27	7.309
Najwyżej barometr dochodził d. 19 o g. 10 r.	760.57	28	1.158
Najniżej — — — d. 13 o g. 4 w.	733.88	27	1.326
Średnia zmiana dzienna barometru	3.126		1.386
Największa zmiana dzienna barometru d. 20—21 o g. 10 r.	10.15		4.499
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających	1.731		0.768
Średnia temperatura kwietnia wynosi: i ta jest wyższa o	749.109	27	8.077
od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających	+ 7 ^o .60 C.	+ 6 ^o .08 R.	
Największe ciepło było d. 10 o g. 4 w.	+ 0.35 „	+ 0.28 „	
Największe zimno — d. 25 o g. 6 r.	+ 7.25 „	+ 5.89 „	
Średnia zmiana dzienna temperatury	+ 17.3 „	+ 13.84 „	
Największa zmiana dzienna temperatury	— 2.6 „	— 2.08 „	
d. 9—10 o g. 10 w.	2.389 „	1.911 „	
Termometrograf wskazał:	8.4 „	6.72 „	

Maximum: + 15^o.5 R. d. 11 po połud.
Minimum: — 2^o.6 „ d. 25 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 77.5, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 6.56 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.03 większa od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 89.0 mil. czyli 39.45 lin. par.; z śniegu 2,4 mil. czyli 1.06 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 91.4 mil. czyli 40.51 lin. par. ilość ta wody jest o 13.43 lin. par. mniejsza od tej, jaka w kwietniu u nas spada.

Dni pogodnych było 2, napół pogodnych 9, pochmurnych 19.

- deszczu 17 (d. 2, 5, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 17, 18, 23, 25, 26, 27, 28, 29, 30).
- śniegu 2 (d. 25, 26).
- gradu 1 (d. 11).
- mgły 3 (d. 3, 4, 6).
- grzmotów 1 (d. 11).
- błyskawic bez grzmotów 1 (d. 5).

Wiatrów mocnych było 7 (2 Pn., 2 PnW., 1 Z., 1 PnZ., 1 PdZ.).

Wiatr panujący Północno-Wschodni, częste były także Północne.

Kwiecień r. b. był niepogodny, wilgotny i słotny a o 0.3 stop. R. cieplejszy niż zwykle. Pierwsze dwadzieścia jeden dni, a osobliwie jedenaście dni od d. 10 do 21 były znacznie ciepłe, przeciwnie ostatnie dni dziewięć chłodne. Najcieplejsze dni były d. 2, 3, 10, 11, 12, 13, 16, 20, 21; najchłodniejsze d. 25, 26, 27, 28. Dnia 10 po południu termometr na słońcu pokazywał 20 stop. R. ciepła. Po tak znacznych ciepłach, w ostatnich dniach dotkliwie zimno czuć się dało. Grzmoty wcześniej bo już d. 4 słyszano, a 10 pioruny uderzały jak wśród lata, jeden nawet z nich uszkodził topolę w ogrodzie Saskim. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był mniej pogodny niż zwykłych i pochmurnych jest jak 5.6:11.7:12.7; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 2:9:19. Deszcze padały często i obficie. Ostatni śnieg w tym miesiącu spadł w nocy z d. 25 na 26. Wiatry północne i północno-wschodnie przy końcu miesiąca znacznie oziębiały powietrze.

D. 1 o g. 9¹/₂ w. i d. 2 o g. 9 w. koła białe otaczały księżyc.

D. 3 ukazywały się plamy na słońcu,

D. 11 o g. 5 w. widziano boczne słońce.

D. 27 pierwszy raz słyszano słowika w ogrodzie botanicznym.

Wysokość wody na Wiśle największa stóp 12 cali 8 d. 7.
— — — — — najmniejsza stóp 4 cali 1 d. 27.

Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :

Digital-Center

Ul. Ostatnia 17

60-102 Poznań

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82